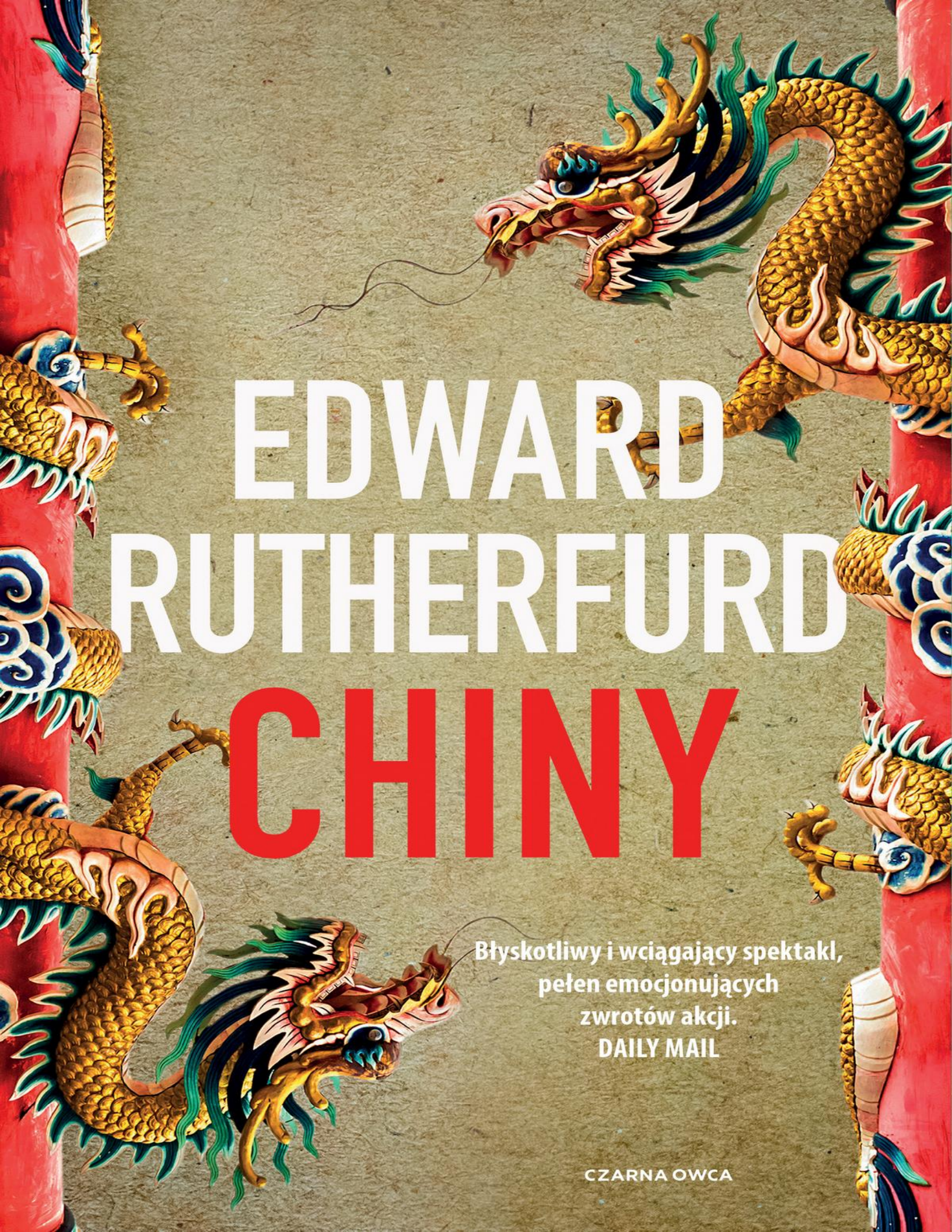

EDWARD RUTHERFURD

CHINY

Błyskotliwy i wciągający spektakl,
pełen emocjonujących
zwrotów akcji.
DAILY MAIL

CZARNA OWCA

EDWARD RUTHERFURD

CHINY

Przełożyła Aleksandra Wolnicka

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Spis treści
Strona redakcyjna
OD AUTORA
CZERWONE SŁOŃCE, ŻÓŁTA RZEKA
OPIUM
MAKAU
HONGKONG
OKNO
NEMEZIS
ZHAPU
W PAŁACU
TAJPINGOWIE
CHWILA PRAWDY
PAŁAC LETNI
W POCZUCIU OBOWIĄZKU
MISJONARZ
JINGDEZHEN
JEZIORO ZACHODNIE
ŻÓŁTA RZEKA
BOKSERZY
MANDAT NIEBIOS
POSŁOWIE

Przypisy końcowe

Tytuł oryginału: *China*

Redakcja: Jacek Ring
Projekt okładki: Alasdair Oliver
Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka
Ilustracje na okładce: © Shutterstock.com
Zdjęcie autora: © David Livshin
Opracowanie map: Rodney Paull
Korekta: Beata Wójcik, Maciej Korbasiński

Copyright © Edward Rutherfurd 2020
Copyright © for the Polish translation by Aleksandra Wolnicka, 2023
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2023

Ta książka to dzieło fikcji literackiej. Imiona, postacie, miejsca i wydarzenia są wytworami wyobraźni autora.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8143-934-3

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, www.czarnaowca.pl
Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl
Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Pamięci
ARTHURA WALEYA,
odznaczonego Orderem Towarzyszy Honoru,
poety i badacza,
którego przekłady chińskich klasyków
inspirują mnie od pół wieku

Zakazane Miasto

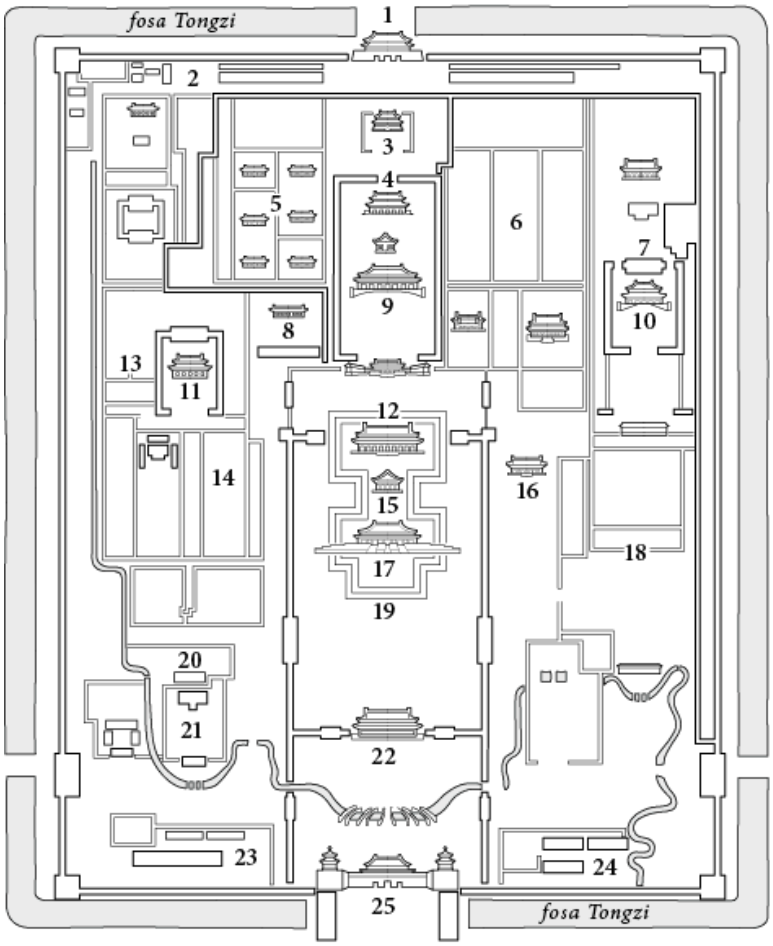

1. Brama Boskiej Mocy
2. Kuchnie i ogrody pałacowe
3. Pawilon Cesarskiego Spokoju
4. Pałac Ziemskiego Spokoju
5. Komnaty cesarzowej i konkubin
6. Apartamenty pałacowe
7. Pałac Spokojnej Długowieczności
8. Komnaty cesarza
9. Pałac Niebiańskiej Czystości
10. Pawilon Cesarskiej Zwierzchności
11. Pałac Pokoju i Wyciszenia
12. Pawilon Trwałej Harmonii
13. Duch
14. Budynki administracji cesarskiej
15. Pawilon Pośredniej Harmonii
16. Strzelnica łucznicza
17. Pawilon Najwyższej Harmonii
18. Pałace młodych książąt
19. Chodnik Smoka
20. Skarbiec
21. Cesarskie spichlerze
22. Brama Najwyższej Harmonii
23. Pomieszczenia mieszkalne służby i eunuchów
24. Kancelarie
25. Brama Południka

Pałac Letni

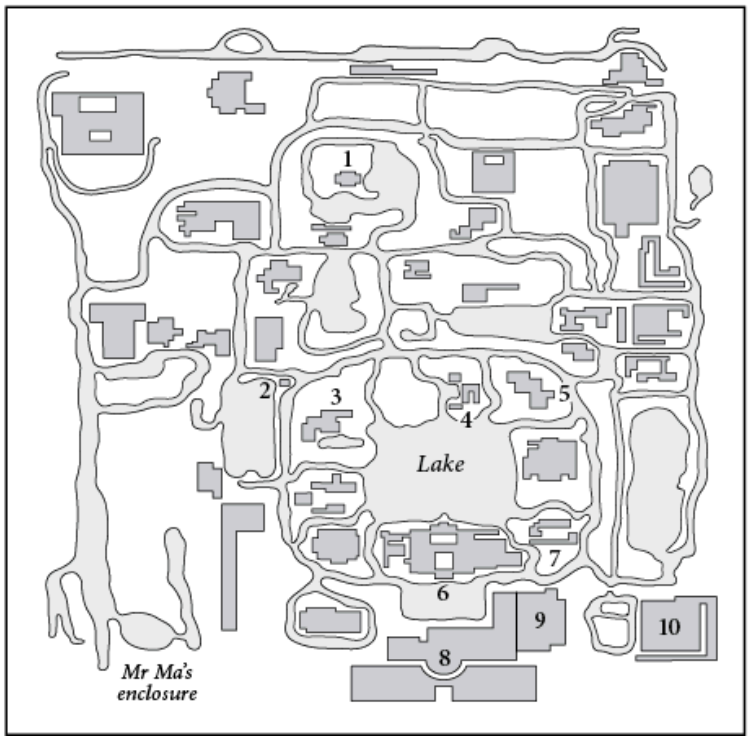

1. Świat cudów uczonego Lianxi
2. Świątynia Powszechnego Pokoju (Dom Swastyki)
3. Willa Wiosenna Kwiatu Moreli
4. Wyspa Świątynna
5. Akademia Zielonego Drzewa Wutong
6. Prywatna rezydencja cesarza
7. Taras Piwonii
8. Pawilon Audiencyjny
9. Pawilon Starannych Rządów
10. Szkoła książąt

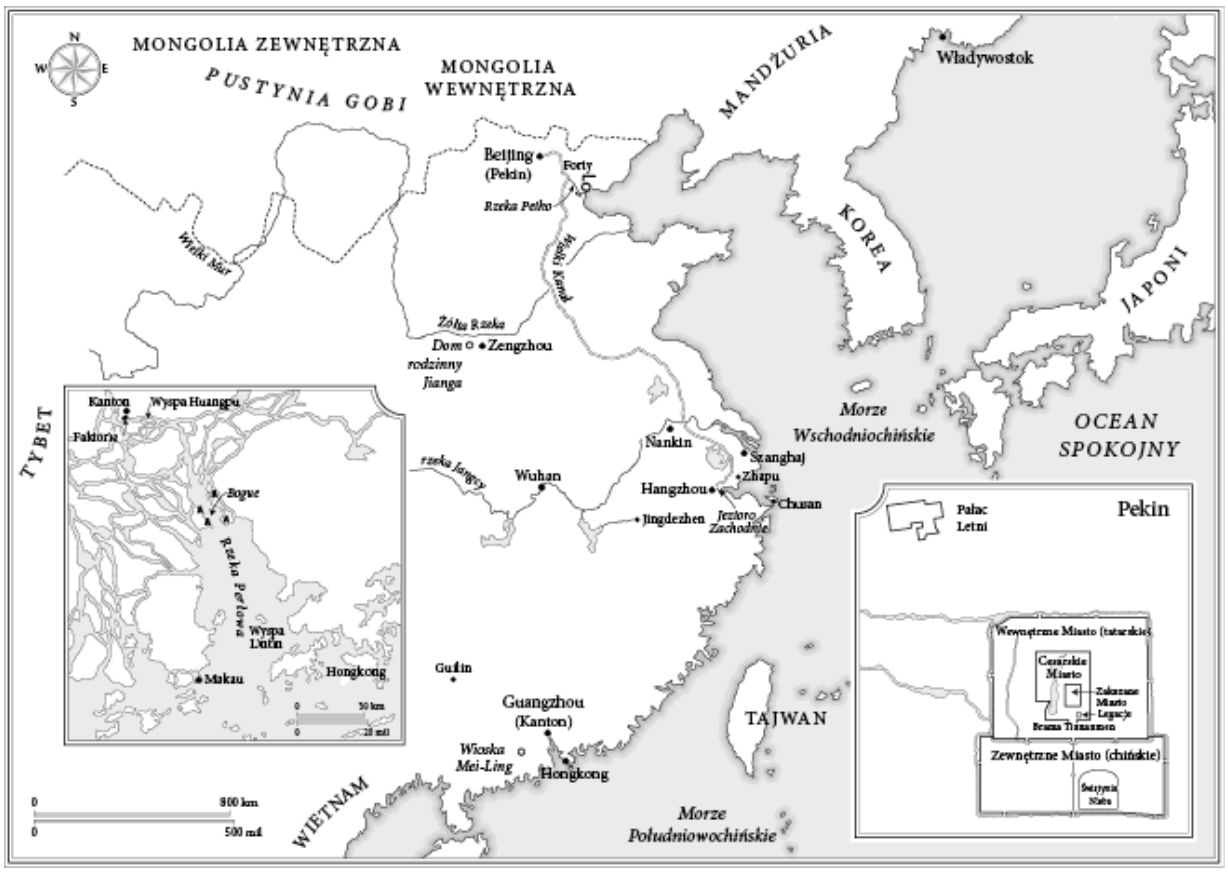
MONGOLIA ZEWNĘTRZNA
PUSTYNIA GOBI
MONGOLIA WEWNĘTRZNA
MANDŻURIA
Władywostok
Beijing (Pekin)
Forty
Rzeka Pelho
Wielki Kanał
Wielki Mur
KOREA
JAPONI
Żółta Rzeka
Dom rodzinny Jianga
Zengzhou
TYBET
Kanton
Wyspa Huangpu
Fakioria
Bogue
Rzeka Perłowa
Wyspa Lintin
Makau
Hongkong
Nankin
Szanghaj
Zhapu
Chusan
Hangzhou
Jingdezhen
Jezioro Zachodnie
rzeka Jangcy
Wuhan
Morze Wschodniochińskie
OCEAN SPOKOJNY
Pekin
Pałac Letni
Wewnętrzne Miasto (tatarskie)
Cesarskie Miasto
Zakazane Miasto
Legacje
Brama Tiananmen
Zewnętrzne Miasto (chińskie)
Świątynia Nieba
Guilin
Guangzhou (Kanton)
Wioska Mei-Ling
Hongkong
TAJWAN
WIETNAM
Morze Południowochińskie
800 km
500 mil

OD AUTORA

CHINY TO PRZEDE WSZYSTKIM POWIEŚĆ, lecz jej akcja rozgrywa się na tle autentycznych wydarzeń.

Ilekroć w tekście występują postaci historyczne, ich opisy są wyłącznie moim dziełem i mam nadzieję, że zdołałem oddać im sprawiedliwość. Jednak główni bohaterowie – handlarz, Charlie Farley, bracia Odstockowie, Nio, Shi-Rong, Mei-Ling, Lakowany Paznokieć, pan Liu, pan Ma, Guanji, ich rodziny i przyjaciele – są wytworem mojej wyobraźni.

Mam ogromny dług wdzięczności wobec następujących autorów i naukowców, z których badań, dotyczących nierzadko tekstów źródłowych, czerpałem, pisząc tę książkę. Pragnę zatem podziękować:

OGÓLNE WPROWADZENIE: Johnowi Keayowi za niezwykle przystępne wprowadzenie do historii Chin; Caroline Blunden i Markowi Elvinowi za wspaniałe kompendium wiedzy, jakim są ich *Chiny,* oraz Marinie Warner za jej bogato ilustrowaną biografię „Smoczej Cesarzowej".

PRACE NAUKOWE: Julii Lovell za historię wojny opiumowej 1839 r.; Peterowi Wardowi Fayowi za dodatkowe informacje o tej wojnie i handlu opium oraz Zhang Yangwen za dane dotyczące stosowania opium w Chinach. Realia życia eunuchów podaję za Jia Yinghua, na podstawie biografii Sun Yaotinga, konkubin i służby – za Hsieh Bao Hua, a życia służącego – na podstawie rozmów Idy Pruitt z Ning Lao T'ai-t'ai. W opisach krępowania stóp opierałem się na opracowaniach Dorothy Ko. Za wprowadzenie w złożoną kwestię historii Mandżurów dziękuję Markowi C. Elliotowi, a przede wszystkim Pameli Kyle Crossley, której szeroko zakrojone badania trzech pokoleń jednej mandżurskiej rodziny pomogły mi wykreować całkowicie fikcyjną rodzinę Guanjiego. Informacje o Pałacu Letnim zaczerpnąłem od Guo Daiheng, Young-tsu Wonga, a zwłaszcza z pracy Lil-

lian M. Li poświęconej Yuanmingyuan. W swoich opisach cesarskiego wymiaru sprawiedliwości oraz prawa dotyczącego tortur polegałem na znakomitej monografii Nancy Park. Za informacje na temat feng shui i opisy wsi południowochińskiej dziękuję Xiaoxin He i Junowi Luo, z których artykułu korzystałem. Pisząc o tajpingach, sięgałem do badań Stephena R. Platta i Jonathana Spence'a. Szczególne podziękowania należą się Dianie Preston za jej chronologiczną relację z oblężenia legacji podczas powstania bokserów, która okazała się dla mnie niewyczerpanym źródłem materiału.

Pragnę szczególnie podziękować Julii Lovell za jej mądre i niezwykle przydatne wskazówki, które pomogły mi obrać właściwy kierunek w mojej pracy; doktorowi Jamesowi Greenbaumowi, Tess Johnston i Mai Tsao za pouczające rozmowy; Sing Tsung-Ling i Hangowi Liu za dokładną lekturę brudnopisów mojej powieści pod kątem perspektywy kulturowej oraz Lynn Zhao za gruntowną weryfikację całego manuskryptu pod kątem historycznym. Odpowiedzialność za ewentualne błędy spada wyłącznie na mnie.

Słowa podziękowania należą się Rodneyowi Paullowi, który z niezwykłą starannością i cierpliwością sporządził zamieszczone tutaj mapy.

Raz jeszcze dziękuję moim redaktorom, Williamowi Thomasowi z Doubleday i Oliverowi Johnsonowi z Hoddera, nie tylko za stworzenie wspaniałych warunków współpracy, ale także za ogromną życzliwość i cierpliwość okazywaną mi podczas długotrwałego i technicznie skomplikowanego procesu przygotowywania pierwszej wersji tej książki. Chciałbym również podziękować Michaelowi Windsorowi ze Stanów Zjednoczonych i Alasdairowi Oliverowi z Wielkiej Brytanii za dwa jakże odmienne, lecz równie znakomite projekty okładki. Jestem też niezmiernie wdzięczny zespołowi z Doubleday w składzie Khari Dawkins, Maria Carella, Rita Madrigal, Michael Goldsmith, Lauren Weber i Kathy Hourigan.

Jak zawsze bardzo dziękuję Carze Jones i całej ekipie z RCW.

Na koniec chciałbym oczywiście podziękować mojej agentce od trzydziestu sześciu lat, Gill Coleridge, wobec której mam olbrzymi dług wdzięczności.

CZERWONE SŁOŃCE, ŻÓŁTA RZEKA

Styczeń 1839 roku

POCZĄTKOWO NIE SŁYSZAŁ wołania za sobą. Czerwone słońce prażyło mu twarz, gdy pędził przez środek świata.

Czterdzieści mil od świtu, a do przejechania jeszcze kilkaset. I tak mało czasu – a może już wcale go nie miał? Któż to mógł wiedzieć?

Wkrótce olbrzymia kula w kolorze fuksji skryje się za horyzontem, zapadnie melancholijny, liliowy zmierzch i trzeba będzie odpocząć. Potem o świcie znów ruszy w drogę, gnany tą samą myślą: czy zdoła dotrzeć do ojca, którego tak kochał, i przeprosić go, zanim będzie za późno? List od ciotki nie pozostawiał żadnych wątpliwości: ojciec był umierający.

– Panie Jiang! – dotarło do niego wreszcie. – Jiang Shi-Rong! Zaczekajcie!

Odwrócił głowę. Na gościńcu samotny jeździec poganiał konia. Oślepiony słonecznym blaskiem Jiang dopiero po chwili rozpoznał w mężczyźnie Wonga, sługę pana Wena. O co mogło mu chodzić? Ściągnął cugle.

Wong – niski, tęgi, łysy człowieczek pochodzący z południa – prowadził gospodarstwo uczonego starca, który darzył go bezgranicznym zaufaniem. Gdy tylko Jiang tam zawitał, Wong od razu wziął go pod swoje skrzydła. Teraz był cały zlany potem. Musiał gnać niczym cesarski posłaniec, żeby mnie dogonić – pomyślał młodzieniec.

– Coś złego z panem Wenem? – spytał zaniepokojony.

– Nie, nie. Prosi jednak, abyście natychmiast wracali do Pekinu.

– Teraz? – Na twarzy Jianga odmalowała się konsternacja. – Ale mój ojciec umiera. Muszę do niego jechać.

– Słyszeliście o szlachetnym panu Linie?

– Naturalnie. – Cały Pekin mówił o nieznanym wcześniej nikomu skromnym urzędniku, który zrobił tak duże wrażenie na cesarzu, że ten powierzył mu misję niezwykłej wagi.

– Chce was niezwłocznie widzieć.

– Mnie? – Przecież Jiang był nikim, gorzej – był nic nieznaczącym nieudacznikiem.

– Pan Wen napisał o was szlachetnemu panu Linowi. Znają się, bo studiowali razem. Pan Wen nic wam nie wspominał, żeby nie robić wam niepotrzebnie nadziei. Szlachetny pan Lin długo nie odpisywał… – Wong zrobił smutną minę. – Lecz dzisiejszego ranka, zaraz po waszym wyjeździe, pan Wen otrzymał wiadomość. Możliwe, że szlachetny pan Lin przyjmie was na służbę, ale najpierw musi się z wami spotkać. Pan Wen przykazał mi gnać na złamanie karku i was zawrócić. – Znacząco popatrzył na młodzieńca. – To dla was ogromna szansa, Jiang Shi-Rong – dodał cicho. – Jeżeli szlachetnemu panu Linowi powiedzie się jego misja, a wy mu w tym pomożecie, usłyszy o was sam cesarz. Fortuna znowu zacznie wam sprzyjać. Cieszę się waszym szczęściem. – Skłonił się lekko dla podkreślenia przyszłego statusu młodzieńca.

– Ale mój ojciec…

– Może już nie żyje. Tego nikt nie wie.

– A jeśli żyje? – Młodzieniec odwrócił wzrok; jego oblicze wyrażało czystą rozpacz. – Powinienem był pojechać do niego wcześniej – wyszeptał sam do siebie. – Ale za bardzo się wstydziłem. – Ponownie zwrócił się do Wonga: – Jeśli teraz zawrócę, stracę trzy dni. Może nawet więcej.

– Jeżeli chcecie coś w życiu osiągnąć, musicie zaryzykować. Pan Wen uważa, że wasz ojciec z pewnością chciałby, abyście spotkali się ze szlachetnym panem Linem. – Posłaniec zawahał się. – Pan Wen poinformował go, że mówicie po kantońsku. To przemawia na waszą korzyść ze względu na charakter misji.

Shi-Rong nie odpowiedział. Obydwaj wiedzieli, że to właśnie Wongowi zawdzięcza znajomość jego ojczystego dialektu kantońskiego. Początkowo młodego mandaryna bawiło przyswajanie sobie od sługi potocznych wyrażeń, wkrótce jednak odkrył, że kantoński to prawie inny język. Był bardziej tonalny niż mandaryński, lecz młodzieniec miał dobre ucho i po upływie

roku czy dwóch lat, dzięki codziennym pogawędkom z Wongiem, mówił już na tyle dobrze, aby móc się porozumieć. Jego ojciec, mający złe zdanie o ludziach z południa, uśmiechnął się ironicznie na wieść o tym osiągnięciu, po czym przyznał: „Kto wie, pewnego dnia to może ci się przydać”. Pan Wen radził mu jednak: „Nie gardź kantońską mową, chłopcze. Znajdziesz w niej wiele starodawnych słów, od dawna nieużywanych w języku mandaryńskim, którym się posługujemy”.

Wong wpatrywał się w niego z napięciem.

– Pan Wen mówi, że druga taka okazja może się wam nie trafić – rzekł.

Jiang Shi-Rong spojrzał w czerwień słońca i zrozpaczony pokręcił głową.

– Wiem – odparł cicho.

Przez chwilę żaden z nich się nie poruszył. Potem, z ciężkim sercem, młodzieniec popędził konia gościńcem z powrotem do Pekinu.

* * *

U schyłku tej samej nocy, pięćset mil dalej, w przybrzeżnej krainie na zachód od portu znanego wówczas reszcie świata jako Kanton, znad Morza Południowochińskiego nadciągnęła mgła, spowijając wszystko nieprzeniknioną bielą.

Dziewczyna podeszła do furtki prowadzącej na dziedziniec i sądząc, że jest sama, wyjrzała na zewnątrz.

Pomimo porannej mgły wyczuwała obecność słońca świecącego gdzieś za tą białą zasłoną, jednak wciąż nie mogła dostrzec brzegu stawu oddalonego od niej zaledwie o trzydzieści kroków ani rozchwianego drewnianego mostka, z którego jej teść, pan Lung, lubił oglądać pełnię księżyca i rozkoszować się myślą, że jest właścicielem stawu oraz najbogatszym mieszkańcem w wiosce.

Dziewczyna nasłuchiwała w wilgotnym powietrzu. Czasem dobiegał ją cichy chlupot, gdy jedna z kaczek zanurzała głowę w wodzie, po czym się otrząsała, lecz poza tym panowała cisza.

– Mei-Ling. – Po jej prawej stronie rozległo się syknięcie.

Zmarszczyła brwi. Z trudem rozróżniała zarysy bambusowych zarośli przy ścieżce. Ostrożnie zrobiła krok w ich stronę.

– Kto tam jest?

– To ja, Nio. – Obok bambusa zamajaczyła postać i podeszła do niej.

– Braciszku! – Dziewczyna się rozpromieniła. Chociaż wiele lat nie widziała Nio, poznałaby go wszędzie. Jego nos i policzek nadal zdobiła ta sama charakterystyczna blizna.

Nie był jej rodzonym bratem. W zasadzie można by powiedzieć, że żaden z niego krewny; pochodził z rodziny jej babki od strony matki, która była z ludu Hakka. Po tym, jak matka i siostry Nio umarły podczas zarazy, ojciec oddał go na dwa lata pod opiekę rodziców Mei-Ling, a gdy ponownie się ożenił, wziął chłopaka do siebie.

W istocie nazywał się Niu, ale w dialekcie jego rodzinnej wioski brzmiało to bardziej jak Niok, chociaż „k” było niemal niesłyszalne. Mei-Ling wybrała kompromis: wymyśliła imię Nio, z krótkim „o”, i tak już zostało.

Na długo przed jego powrotem do domu ojca Mei-Ling uznała Nio za swojego brata i była mu odtąd Starszą Siostrą.

– Kiedy przyjechałeś? – szepnęła.

– Przed dwoma dniami. Przyszedłem cię odwiedzić, ale twoja teściowa zabroniła mi się tu pokazywać. Później wybrała się jeszcze do twoich rodziców i przykazała im, żeby mnie do ciebie nie dopuszczali.

– Dlaczego tak postąpiła?

Choć piętnastoletni Nio był od niej tylko o rok młodszy, Mei-Ling uważała, że nadal wygląda dziecinnie. Przez dłuższą chwilę wbijał wzrok w ziemię, po czym w końcu wyznał: – Mogło jej chodzić o coś, co powiedziałem.

– Skąd się tu wziąłeś, braciszku?

– Uciekłem. – Uśmiechnął się, jakby to był powód do dumy.

– Och, Nio… – Zamierzała go dokładnie wypytać, lecz gestem dał jej znak, że ktoś ich obserwuje zza furtki za jej plecami.

– Czekaj na mnie jutro rano przy wjeździe do wioski – rzuciła prędko. – Postaram się przyjść o świcie. Jeżeli mi się nie uda, spróbuję kolejnego dnia. A teraz zmykaj. Szybko!

Odwróciła się, dopiero gdy Nio znikł za zaroślami bambusa.

Przy furtce stała młoda kobieta o owalnej twarzy. Wierzba była jej szwagierką. Zwracały się do siebie „siostro”, lecz na tym kończyła się ich zażyłość.

Nosiła imię na cześć pełnego gracji drzewa, jednak bez wyjściowego stroju i starannego makijażu uchodziła za dość przeciętną. Urodziła się

w sąsiednim okręgu w rodzinie zamożnych wieśniaków nazwiskiem Wan i chociaż poślubiła starszego syna pana Lunga, mieszkańcy osady nadal tytułowali ją grzecznościowo „panią Wan”, jak to było w zwyczaju. Ze względu na wyższy status społeczny rodziny Wan stopy Wierzby były w dzieciństwie krępowane i teraz chodziła ona, modnie drobiąc, co odróżniało ją od biednych wieśniaczek pokroju Mei-Ling, której rodzina ciężko pracowała w polu.

Wierzba była od niej nieco wyższa i poruszała się, jak przystało damie, w lekkim, dystyngowanym półukłonie. Niziutka Mei-Ling chodziła wyprostowana na swoich niezdeformowanych stopach, jak wiejska dziewczyna, którą była. Od maleńkości uważano ją za najładniejszą dziewczynę w osadzie; gdyby jej rodzice nie byli tacy biedni, być może również krępowaliby jej stopy, ubierali ją w piękne stroje, a w końcu sprzedali kupcowi z jednego z okolicznych miasteczek jako młodszą żonę albo konkubinę. Lecz pomimo niezwykłej urody Mei-Ling nikt by się nie spodziewał, że poślubi syna bogatego pana Lunga.

Większość ludzi uważała zresztą ich małżeństwo za skandal. Teściowa Mei-Ling była wściekła.

Te dwie młode kobiety różniło coś jeszcze: Wierzba zdążyła dać już swojemu mężowi jedno dziecko, choć – ku niezadowoleniu teściów – była to tylko dziewczynka. Na szczęście szwagierka znów była w piątym miesiącu ciąży.

W drodze powrotnej na główny dziedziniec domu Lungów Wierzba spojrzała przeciągle na Mei-Ling.

– Wiem, kto to był.

– Czyżby?

– Twój kuzyn, Nio. Słyszałam o nim. Nazywasz go Braciszkiem. – Powoli skinęła głową. – Wszyscy w domu wiedzą, że jest w wiosce, ale zabroniono nam ci o tym mówić.

– Mojemu mężowi także?

– Chciał ci powiedzieć, ale bał się, że zechcesz zobaczyć się z Nio i będziesz miała z tego powodu kłopoty. Próbował cię chronić. To wszystko.

– Powiesz matce?

– Możesz mi zaufać, siostro.

Na dziedzińcu rosło drzewko pomarańczowe. Wierzba przystanęła pod nim.

– Nie próbuj się z nim spotkać, siostro. Jeśli matka się dowie, to cię wychłoszcze. Albo zrobi coś jeszcze gorszego.

* * *

W Kalkucie było wczesne popołudnie, gdy wiozące dwóch młodych Anglików jednokonna dorożka przemierzała elegancką podmiejską dzielnicę Chowringhee. Żaluzje w oknie pojazdu były opuszczone dla ochrony przed ostrym światłem; chociaż w Indiach trwała pora chłodna, i tak było tam słoneczniej i upalniej niż przez większość brytyjskiego lata.

Charlie Farley był pogodnym człowiekiem. Wystarczająco wysoki, aby jego wzrost budził respekt podczas gry w krykieta, w której zresztą brylował, miał zaokrągloną twarz, która robiła się coraz okrąglejsza, w miarę jak jego jasne włosy coraz bardziej się przerzedzały. „Jeszcze całkiem nie wyłysiałem – zwykł żartować – ale w porze herbaty będę już łysy jak kolano”. Ukryte za okularami jasnobłękitne oczy miały przyjazny, choć w żadnym wypadku nie naiwny wyraz. W życiu, tak jak w krykiecie, Charlie zawsze grał fair.

Jego przyjaciel, John Trader, był nieco wyższy, szczupły i całkiem przystojny, o włosach barwy czarnych oliwek, lecz w jego kobaltowych oczach nie widać było szczęścia.

– To naprawdę fatalny pomysł – stwierdził ponuro.

– Nonsens, John – odparł Charlie Farley. – Powiedziałem pułkownikowi, że ocaliłeś mi życie. Potraktuje cię z największą uprzejmością. – Kilka minut później koła dorożki zachrzęściły na krótkim żwirowym podjeździe. – Oddamy jeszcze te listy mojej ciotce Harriet i ruszamy w dalszą drogę. Spróbuj wyglądać na zadowolonego.

Dom jego ciotki był typowym parterowym budynkiem kolonialnym – z tych porządniejszych – z werandą od frontu i od tyłu oraz szerokim okapem dachowym podtrzymywanym przez pomalowane na biało masywne kolumny. Z przestronnego holu głównego wchodziło się do prosto urządzonego, acz eleganckiego salonu oraz jadalni; oba pomieszczenia umeblowano w stylu angielskim. Ledwo dwaj mężczyźni dotarli do drzwi, jak spod ziemi wyrośli przed nimi hinduscy służący w nieskalanej bieli.

Ciotka Harriet musiała słyszeć nadjeżdżający powóz, bo czekała już na nich w holu. Charlie szczerze ją kochał. Podobnie jak jej siostra, a jego

matka, zachowała złociste młodzieńcze loki, miała też niebieskie oczy o szczerym wejrzeniu. Wraz z mężem przyjmowała każdego przybysza do brytyjskiej Kalkuty z niewymuszoną gościnnością, będącą znakiem rozpoznawczym kupców na stałe mieszkających w koloniach.

– Ty tutaj, Charlie? – zdumiała się. – Nie powinniście być teraz w pracy, drodzy chłopcy?

– Pracowaliśmy, ciociu Harriet – odparł – ale rano przyszły listy z Anglii, w tym jeden do ciebie od matki, więc pomyślałem, że od razu ci go dostarczę.

Ciotka się uśmiechnęła.

– Przypuszczam, że chętnie byście coś zjedli?

– Wręcz przeciwnie. Nie możemy zostać dłużej. Jemy dziś lunch z pułkownikiem Lomondem.

– Z pułkownikiem Lomondem? Co za zaszczyt!

– Tak się składa, że ojciec chodził z nim do szkoły – wyjaśnił Charlie. – Udało mi się zdobyć zaproszenie na lunch z nim w jego klubie. Chciałem, żeby John zobaczył to miejsce i trochę się rozerwał.

– Wobec tego nie zwlekajcie, chłopcy – odrzekła ciotka. – Pułkownik Lomond nie powinien na was czekać.

– Już nas nie ma – rzucił Charlie na odchodnym.

* * *

Przyszedł czas na męską rozmowę, a skoro mieli przed sobą jeszcze dziesięć minut jazdy sam na sam w dorożce, Charlie postanowił skorzystać z okazji.

– Wiesz, na czym polega twój kłopot, Trader?

– Mów. – Trader zdobył się na słaby uśmiech.

– Dobry z ciebie przyjaciel i powierzyłbym ci własne życie, ale jesteś okropnie humorzasty. Choćby i dzisiaj. Wystarczy, żebyś patrzył i dobrze się bawił.

– Wiem.

– To nie wszystko. Sęk w tym, że ciężko cię zadowolić. Bez względu na to, ile byś miał, zawsze pragniesz czegoś więcej.

– Możliwe.

– Oczywiście wiem, że miałeś paskudnego pecha być sierotą. Ale to przecież nie koniec świata. Skończyłeś porządną szkołę. Dostał ci się w spadku zacny mająteczek. Masz we mnie oddanego przyjaciela. Pracujemy razem w Rattrays, u jednego z najlepszych pośredników w Indiach. I chociaż ty chyba w to nie wierzysz, całkiem przystojny z ciebie drań. Połowa pań w Kalkucie się w tobie kocha. Czego chcieć więcej?

– Sam nie wiem, Charlie – odparł jego przyjaciel. – Opowiedz mi o tym pułkowniku Lomondzie, z którym się spotykamy. Ma jakąś rodzinę?

– Żonę. Zdarza mi się ją odwiedzać; uprzejmość zobowiązuje i tak dalej. Wytworna dama. Ich syn, trochę starszy od nas, służy w armii. Mają też córkę. Raz czy dwa widziałem ją u nich w domu. Całkiem przyjemna. – Charlie się uśmiechnął. – Ale zachowuję stosowny dystans. Pułkownik nie byłby zadowolony, gdybym zanadto się z nią zaprzyjaźnił.

– Bo sam jest arystokratą.

– Ze starego szkockiego rodu. Starszy brat włada rodzinnym zamkiem. Wiesz, co mam na myśli?

– A my jesteśmy kupcami, Charlie. Handlarzami, niegodnymi czyścić mu buty.

– Traktuje mnie całkiem przyzwoicie.

– Tylko dlatego, że chodził do szkoły z twoim ojcem. – Ciemnowłosy młodzieniec zamilkł, a gdy przyjaciel milczał, podjął: – Wiesz, co mnie irytuje, Charlie?

– Co?

– Że tacy jak Lomond mają nas za nic, bo jesteśmy przedsiębiorcami. A czymże jest imperium brytyjskie, jeśli nie olbrzymim przedsiębiorstwem handlowym? Zawsze nim było. Kto rządzi w Indiach? Kompania Wschodnioindyjska. Kto włada tamtejszą armią? Kompania Wschodnioindyjska. Choć nieoficjalnie, kompania pełni w zasadzie funkcję brytyjskiego rządu, a większość handlu jest w rękach niezależnych kupców, takich jak my. Jednak fakty są takie, że głównym zadaniem armii, której oficerami są pułkownik Lomond i do niego podobni, głównym powodem jej istnienia jest ochrona handlu. Czyli ciebie i mnie. Bez kupców nie byłoby wojska.

– Chyba mu tego nie powiesz, co? – zaniepokoił się Charlie.

– Niewykluczone. – Trader spojrzał na niego ponuro, lecz zaraz się uśmiechnął. – Nie obawiaj się.

Charlie ściągnął wargi, pokręcił głową i podjął przerwany temat.

– Dlaczego nie możesz po prostu przestrzegać reguł tej gry, John? Zważywszy na sytuację, obaj mieliśmy sporo szczęścia. Mój ojciec przez całe życie pracował dla Kompanii Wschodnioindyjskiej i na koniec dorobił się sporego majątku. Ma wielki dom w Bath i generała majora za sąsiada. Świetny chłop, grywa z ojcem w karty.

– Los nie do pogardzenia, Charlie, doprawdy.

– Gdybym jednak chciał osiągnąć więcej niż on, zasada jest prosta: może mi się poszczęści w Rattrays i uzbieram dość, żeby zakupić posiadłość, zostać ziemianinem i dżentelmenem. Wielu ludzi tak robi. Mój syn mógłby się dostać do dobrego regimentu i zostać oficerem równym stopniem któremuś z Lomondów. – Farley z powagą spojrzał na przyjaciela. – Tak właśnie wygląda wspinaczka po drabinie społecznej, Trader, jeśli cię to interesuje.

– Zajmuje mnóstwo czasu.

– Zaledwie kilka pokoleń. Wiesz, jak mówią… – Charlie Farley odchylił się z uśmiechem na oparcie siedzenia. – Szlachectwo to tylko kwestia dat.

Przekraczając surowy portal Bengalskiego Klubu Wojskowego, John Trader poczuł, że na powrót ogarnia go przygnębienie. Po pierwsze, w czarnym surducie, odpowiednim raczej na chłodniejszy brytyjski klimat, jednak wymaganym jako strój obowiązkowy w tym klubie, było mu nieznośnie gorąco. Po drugie, chodziło o samo miejsce; Brytyjczycy oficjalnie nie rządzili jeszcze w Indiach, byli jednak panami Bengalu, co było widoczne na każdym kroku w największym tutejszym mieście, Kalkucie, na torze wyścigów konnych, polu golfowym, a najbardziej na bulwarze, przy którym monumentalna, klasycystyczna fasada Bengalskiego Klubu Wojskowego w całym swoim kolonialnym majestacie spoglądała z góry na przechodniów.

Wśród nich byli naturalnie Hindusi i Anglo-Indusi, ale także obywatele brytyjscy: kupcy, handlarze, przedstawiciele klasy średniej i pracującej, to jest wszyscy ci, którzy nie władali, tylko ciężko pracowali.

Członkowie Bengalskiego Klubu Wojskowego byli bowiem władcami. Oficerami, sędziami, administratorami imperium brytyjskiego, spadkobiercami cesarzy Rzymu – a przynajmniej sami tak siebie postrzegali. Niczym rzymscy senatorowie, będący dla nich niedoścignionym wzorem, owi wojownicy i posiadacze ziemscy gardzili wszystkimi żyjącymi z handlu, a zwłaszcza kupcami.

Pułkownik Lomond czekał już w przestronnym lobby o ścianach zawieszonych obrazami, z których generałowie i mężowie stanu zdawali się łypać potępiająco na Johna. Zaraz też zaprowadzono ich do jadalni.

Biały lniany obrus był wykrochmalony i sztywny jak deska. Georgiańskie srebra, zastawa Wedgwooda, ciężkie kryształy, na początek: sherry i zupa. Pomimo mody na francuską kuchnię pułkownik nie był jej amatorem, podano więc porządny kawał wołowiny z kapustą i ziemniakami uprawianymi na miejscu w zakładanych przez Brytyjczyków ogrodach warzywnych. Do tego doskonałe wino. Krótko mówiąc, można by pomyśleć, że siedzą w klubie w samym sercu Londynu.

Pułkownik Lomond włożył tego dnia mundur, twarzową czerwoną kurtkę i czarne spodnie. Wysoki i szczupły, miał przerzedzone, lecz wciąż ciemne włosy. Brwi o uniesionych końcach nadawały mu wygląd szlachetnego jastrzębia; wypisz wymaluj wódz szkockiego klanu.

Nie ulegało wątpliwości, że bardzo się stara okazywać życzliwość młodemu Farleyowi: zwracał się do niego „mój chłopcze”, a o mieszkającym obecnie w Bath panu Farleyu seniorze mówił „twój drogi ojciec”.

– Otrzymałem list od twego drogiego ojca. Pisze w nim, że niedaleko mieszka stary generał Frobisher.

– Zna go pan, sir?

– Owszem. Znakomity myśliwy. Polował na grubą zwierzynę.

– Tygrysy?

– Naturalnie. Gdy pierwszy raz tu przyjechał, wyprawiano się na nie jeszcze pieszo. Nie to, co te dzisiejsze eskapady na słoniach. – Przychylnie skinął Charliemu głową.

Co takiego miał w sobie Charlie Farley, że pułkownik Lomond darzył go sympatią? Po części, podobnie jak jego ojciec, zawdzięczał to oczywiście swojej pogodnej naturze. Był szczery, uprzejmy i przyjemny w obyciu. Ale chodziło o coś jeszcze; znał swoje miejsce w szeregu i potrafił się z tego cieszyć. Charlie nie przekroczyłby nigdy ustalonych granic. Gdy otwarcie wyznał Lomondowi, że jego przyjaciel chętnie zobaczyłby wnętrze klubu, lecz on sam nie ma szans zaspokoić tej ciekawości – „Chyba że pan zaprosiłby nas na lunch, sir” – Lomond od razu pospieszył z zaproszeniem. „Zuchwały smarkacz” – określił go później w rozmowie z żoną, z taką samą aprobatą w głosie, z jaką wyraziłby się o odważnym młodym oficerze.

Jednak Charlie Farley nigdy nie przyniósłby mu wstydu, próbując wstąpić w szeregi członków klubu. Pułkownik Lomond nawet nieszczególnie by się temu przeciwstawiał; jak każdy z rządzących imperium brytyjskim po prostu zdawał sobie sprawę, że w pojedynczym odstępstwie od reguły nie ma niczego złego – sęk w tym, do czego by to doprowadziło.

Myśl ta kazała pułkownikowi skierować wzrok na Johna Tradera.

Coś mu się nie podobało w tym młodym człowieku, lecz nie był pewien, o co właściwie chodzi. Mając do czynienia z przyjacielem Farleya, naturalnie zamierzał traktować go uprzejmie, jednak lata życia w Indiach i bacznej obserwacji innych ludzi wyostrzyły jego szósty zmysł. Pułkownik Lomond odczuwał obecnie taki sam niepokój jak w dniu, gdy znalazł w swoim domu jadowitą kobrę.

– Z jakiego zakątka naszej ojczyzny pan pochodzi? – zagadnął na początek; to było z reguły bezpieczne pytanie.

– Początkowo wychowywałem się w West Country, sir – odparł Trader – a potem pod Londynem, w Blackheath.

– W Blackheath, hę? Czy to nie tam grasowali niegdyś przydrożni rabusie? – Uwagę tę pułkownik wygłosił żartobliwym tonem, ale czy nie kryła się w niej przypadkiem sugestia, jakoby sam John Trader także był rabusiem? Nie, na pewno nie! – Ma pan tam rodzinę?

– Nie mam żadnych żyjących krewnych – odrzekł Trader.

– Naprawdę nikogo?

– Przed laty żyli chyba jacyś dalecy krewni mego ojca. Ale po rodzinnej kłótni doszło do zerwania wszelkich kontaktów. Nie wiem nawet, jak się nazywali ani gdzie ich szukać.

– Ach tak. – Pułkownik spróbował z innej strony. – Pan i Farley nie kończyliście tej samej szkoły, prawda?

– Nie, sir. Ja uczęszczałem do Charterhouse.

– Dobra, stara szkoła. – Pułkownik upił łyk wina. Oczywiście nie to co Harrow, gdzie uczył się on sam i obaj Farleyowie.

– Trader ocalił mi życie – wtrącił Charlie z nadzieją w głosie.

Pułkownik obrzucił go przelotnym spojrzeniem. Obaj wiedzieli, że Charlie już mu o tym wspominał. Pułkownik nie chciał jednak dawać satysfakcji ciemnowłosemu nieznajomemu.

– Miło mi to słyszeć – rzekł z lekkim skinieniem głowy. – Jeśli kiedyś zjemy razem obiad – rzucił niezobowiązująco w kierunku Tradera – będzie musiał mi pan wszystko dokładnie opowiedzieć.

* * *

Przed deserem uprzątnięto obrus, a pułkownik puścił w obieg karafkę porto. Dobrze podjedli. Jeśli nawet podczas posiłku pułkownik nie zwracał się wprost do Tradera, spoglądając przy tym z życzliwością na Charliego, można to było uznać za objaw roztargnienia. Teraz jednak wyglądał, jakby coś go gryzło.

– Powiedz mi, mój chłopcze, ta wasza agencja… Rattrays… – Nachylił się do Charliego na tyle, żeby dać wyraz swemu zatroskaniu. – Są godni zaufania?

– Całkowicie, sir. Pełne bezpieczeństwo finansowe. – Charlie się uśmiechnął. – Ojciec zadał mi to samo pytanie. Po ostatnim krachu, sir, w Rattrays stawiamy teraz na umiarkowanie.

– Znakomicie. – Pułkownik skinął głową. Zaledwie dwa lata minęły od upadku wielkiego domu handlowego Palmers, który stał się ofiarą nadmiernej chciwości i zadłużenia, prześladujących okresowo każdy rynek na podobieństwo zarazy. Jego bankructwo pociągnęło na dno większość pośredników w Kalkucie, doprowadzając do ruiny liczne wdowy i sieroty. – Oczywiście – przyznał nad szklaneczką porto – w minionym wieku część nababów z Kompanii Wschodnioindyjskiej raptem w kilka lat dorobiła się olbrzymich fortun. – Jego spojrzenie stało się nieobecne, sugerując, że nawet tak dzielny żołnierz jak on nie pogardziłby dodatkowym zastrzykiem gotówki w postaci stu tysięcy funtów, gdyby łaskawym zrządzeniem losu nadarzyła się taka okazja.

– Obecnie szansę na szybkie wzbogacenie się mają tylko ci, sir – rzekł Charlie – którzy podróżują do Kantonu i handlują z Chińczykami.

– Tak słyszałem. To chyba dość szemrane interesy – dodał ciszej pułkownik.

– My w każdym razie ich nie prowadzimy – zapewnił go Charlie, dzięki czemu zasłużył na pełne aprobaty skinienie.

Milczący uprzejmie od dłuższego czasu John Trader postanowił wreszcie przemówić.

– Żałuję, że nie pochwala pan handlu z Chinami, sir – odezwał się. – Wszak mówimy tu o herbacie, prawda? – Czy w jego głosie dało się słyszeć ledwie wyczuwalną groźbę?

– O herbacie. Naturalnie. – Pułkownik odchrząknął.

– Brytyjczycy piją herbatę importowaną z Chin, ponieważ rośnie ona w zasadzie tylko tam. Handel nią jest opodatkowany, a podatek herbaciany pokrywa większość bieżących wydatków brytyjskiej marynarki.

– Niewiele wiem na ten temat – mruknął pułkownik.

– Zatem to nie herbata budzi pański sprzeciw, sir – ciągnął Trader. – Może chodzi raczej o opium, które dostarczamy Chińczykom w zamian za herbatę?

– Śmiem twierdzić, że od Chińczyków zależy, co od nas kupują – oznajmił pułkownik Lomond i wymownym spojrzeniem dał znać Charliemu, iż ma dość tej rozmowy.

– Tradycyjna angielska filiżanka herbaty – wtrącił pogodnie Charlie. – Nie do uwierzenia, ile się jej pije. Wszak rzecz nie w tym, że ktokolwiek naprawdę potrzebuje herbaty, a jednak nie potrafimy się bez niej obejść i z roku na rok pijemy jej coraz więcej. – Posłał Traderowi ostrzegawcze spojrzenie. – W istocie płacimy za nią srebrem. – Zwrócił się do pułkownika. – Obawiam się, sir, że na nas już czas. Praca czeka i tak dalej.

– Naturalnie, drogi chłopcze. Zawsze miło mi ciebie widzieć – odparł z wdzięcznością Lomond.

– Mamy tu do czynienia z trójkątem handlowym – ciągnął Trader cicho, lecz nieubłaganie. – Opium trafia do chińskich handlarzy przez naszych pośredników w Kantonie. Chińczycy płacą za nie w srebrze. Za to srebro pośrednicy kupują herbatę. Skąd jednak pochodzi opium? Z Indii, a głównie z Bengalu. Za jego uprawami stoi Kompania Wschodnioindyjska. Czy nie tak, sir?

Pułkownik Lomond nie odpowiedział. Wstał od stołu i ująwszy Charliego po przyjacielsku za ramię – jednak w taki sposób, że Trader był zmuszony za nimi podążyć – odprowadził ich do wyjścia.

Chwilę później schodzili razem po schodach wiodących do klubu i zapewne rozstaliby się na ulicy, gdyby nie przeszkodził im w tym okrzyk: „Papo!” – który dobiegł z krytego powozu, jadącego bulwarem. Podróżowała nim młoda dama z parasolką, cała w jedwabiach, w towarzystwie swej matki, służącego, woźnicy oraz forysiów. Powóz zatrzymał się przy nich.

– Dzień dobry, papo – odezwała się Agnes Lomond. – Ufam, że lunch się udał.

Pułkownika Lomonda zaskoczyło to nagłe spotkanie, lecz zwrócił się do córki z uśmiechem, rzucając zarazem żonie ostrzegawcze spojrzenie, które owa dama w lot pochwyciła.

– Oczywiście znacie obie młodego Farleya – rzekł jowialnie, gdy kobiety witały się z Charliem. – To zaś – dodał jakby od niechcenia, wskazując Tradera ruchem ręki, która opadła w pół gestu – jest jego przyjaciel.

– John Trader – przedstawił się Trader i uśmiechnął uprzejmie do pani Lomond, po czym przeniósł na jej córkę spojrzenie ciemnoniebieskich oczu. A gdy to zrobił, już go od niej nie odrywał.

Agnes Lomond miała dwadzieścia lat i była damą. Inaczej nie sposób było jej określić. Szczupła jak ojciec i nieco wyższa od matki – przystojnej, postawnej matrony – miała twarz o cudownej, jasnej, nietkniętej słońcem karnacji. Nos, zbyt długi, aby można ją uznać za piękność, podkreślał jej arystokratyczny wygląd. Innych cech charakteru nie sposób było ocenić.

Może sprawiła to jej rezerwa, kasztanowe włosy albo fakt, że była dla niego nieosiągalna pod względem towarzyskim – a może raczej jej ciemnoorzechowe oczy albo głębokie pragnienie, aby wykraść ją ojcu – dość, że John Trader rozdziawił usta i jak w transie wpatrywał się w Agnes Lomond.

Jej matka natychmiast zainterweniowała.

– Zabierzesz się z nami? – zwróciła się do męża, który czym prędzej wsiadł do powozu. – Nie chcemy odciągać pana i pańskiego przyjaciela od pracy, panie Farley. – Skinęła głową Charliemu, który odkłonił się jej, gdy powóz ruszał.

Trader zapomniał o ukłonie. Stał tylko i patrzył.

* * *

Czerwone słońce ponownie zbliżyło się do horyzontu, gdy Jiang Shi-Rong, wyłoniwszy się z sosnowego lasu, przez który biegł stary gościniec, ujrzał przed sobą miasto. Wysoko w górze, niczym żebra jakiegoś olbrzyma, niebo przecinały ciemne pasma chmur, zabarwione pomarańczową poświatą zachodzącego słońca. Jak zawsze na widok tych potężnych murów, wież i rozległych, zakrzywionych dachów z połyskliwych płytek zaparło mu dech w piersiach.

Pekin. Coś wspaniałego.

Ale czy to naprawdę było jego miasto?

Jiang wiedział, że trzy tysiące lat wcześniej ci, których nazywają ludem Hanów – jego ludem – zbudowali w tym miejscu okolone murami miasto,

lecz przed pięciuset laty Kubilaj-chan, wnuk Czyngis-chana, wielkiego mongolskiego zdobywcy, obwołał się władcą Chin i wzniósłszy wśród stepów, na swoich letnich terenach łowieckich, bajkowe Xanadu, wybrał ową północną siedzibę na swoją chińską stolicę.

Jednak już po niespełna stu latach wywodząca się z rodzimego ludu Hanów czcigodna dynastia Ming zdołała przepędzić Mongołów i umocnić Wielki Mur, tak aby odstraszał ewentualnych najeźdźców. Zachowali wszakże dawną stolicę Kubilaja i przez trzy stulecia rządzili Chinami.

Był to zaiste złoty wiek, w którym kwitły literatura i sztuka. Chińscy uczeni wydrukowali największą encyklopedię ziołolecznictwa, jaką widział świat, chińska flota zapuszczała się na zachód aż do Afryki, a porcelana dynastii Ming stanowiła przedmiot zazdrości innych narodów.

Lecz i ta światła epoka w pewnym momencie dobiegła końca. Schemat był ten sam, co po tylekroć wcześniej w dziejach Chin: stopniowy upadek i osłabienie cesarza; bunt wieśniaków; ambitny, żądny władzy generał. W tym konkretnym wypadku doszli jeszcze potężni najeźdźcy z północy, Mandżurowie – zjednoczone klany przybyłe z nieprzebranych lasów i rozległych równin na północny wschód od Wielkiego Muru.

W skład ich wojsk wchodziły wielkie kompanie zwane chorągwiami, a każdej z nich przewodził książę lub zaufany wódz. Po tym, jak cesarstwo Ming upadło i znalazło się pod mandżurskim jarzmem, wokół największych miast cesarstwa wyrosły koszary, a chorążowie pozostali w nich na kolejne stulecia.

Dumny chiński lud Hanów stał się narodem poddanym. Jego mężczyźni zmuszeni byli nosić się jak Mandżurowie: golić włosy nad czołem, a resztę zaplatać w długi, pojedynczy warkocz – cienki jak mysi ogonek – który zwisał im aż na plecy.

Chińczycy co prawda ulegli, jednak ich kultura wciąż żyła. Mandżurowie byli oczywiście dumni ze swojej bohaterskiej przeszłości, lecz gdy tylko wzięli we władanie wielkie chińskie miasta, pałace i świątynie, ich dynastia przyjęła chińską nazwę – Qing, albo Ch’ing – a rządy nie różniły się w zasadzie od rządów poprzednich cesarzy. Składali oni rytualne ofiary bogom, a niektórzy stali się wręcz znawcami chińskiej literatury.

Jiang był im winien posłuszeństwo. Mimo to, podobnie jak wielu chińskich Hanów, nadal czuł, że to on i jego lud są prawdziwymi dziedzicami tysiącletniej chińskiej kultury i że powinien stać wyżej od tych, którym obecnie służył.

Potężny zewnętrzny mur miasta ciągnął się na cztery mile ze wschodu na zachód, pośrodku zaś tkwiła wielka brama. Za murem po prawej stronie, wysoko ponad okoliczne zabudowania, wznosiła się przypominająca wielki bęben pagoda Świątyni Niebios, gdzie cesarz odprawiał tradycyjne ceremonie, błagając bogów o pomyślne zbiory. W gasnącej czerwieni nieba niebieskie płytki na trzech kondygnacjach świątynnego dachu przybrały odcień indygo.

Przekroczywszy bramę, ruszył wraz z Wongiem drogą biegnącą przez kolejne dwie mile groblą na północ, w kierunku jeszcze bardziej imponujących fortyfikacji Wewnętrznego Miasta, które zajmowało powierzchnię czterech mil kwadratowych. Chronił je wewnętrzny mur na planie zbliżonym do kwadratu, z wysoką wieżą strażniczą w każdym narożniku.

Zmierzchało, gdy wjechali do miasta, minąwszy strażników chorągwi w ich mandżurskich czapkach, kaftanach i wysokich butach. Kramy po obu stronach szerokiej ulicy właśnie się zamykały, sprzedawcy zdejmowali szyldy na noc. Pochyleni nad swoimi szuflami śmieciarze – kilku w kapeluszach z szerokim rondem, większość w ściśle przylegających do głowy małych, okrągłych czapeczkach – zgarniali gnój do wielkich glinianych naczyń. W powietrzu unosiła się woń łajna zmieszana z zapachami soi i żeń-szenia.

Jednak Wewnętrzne Miasto nie stanowiło bynajmniej serca Pekinu. W jego obrębie, za potężną bramą Niebiańskiego Spokoju Tiananmen, znajdowała się kolejna otoczona murami twierdza, czyli Cesarskie Miasto, gdzie za murami w kolorze purpury, oddzielone fosą i ukryte przed wzrokiem większości mieszkańców, lśniły złote dachy Zakazanego Miasta, najświętszego miejsca wszystkich Chińczyków. Tam, w rozległym pałacu, mieszkał sam władca Niebios: cesarz.

Tego wieczoru ich celem była północno-wschodnia dzielnica Wewnętrznego Miasta, gdzie w cichej uliczce, w przyjemnym domu nieopodal małej świątyni, mieszkał uczony pan Wen. Utrudzony Jiang marzył już tylko o odpoczynku.

Ledwie jednak wjechali na niewielki dziedziniec, starzec wybiegł im na spotkanie.

– Nareszcie! – wykrzyknął. – Musisz natychmiast udać się do szlachetnego pana Lina. Jutro wyrusza w drogę, lecz jeśli zaraz tam pójdziesz, zdążysz się z nim dziś wieczorem zobaczyć. Prędko. – Wcisnął Jiangowi

w dłoń wypisaną przepustkę do Cesarskiego Miasta. – Wong cię zaprowadzi – dodał. – Zna drogę.

Poszli pieszo nie przez Bramę Tiananmen, ale mniejszą furtę we wschodnim murze i wkrótce dotarli do wystawnego cesarskiego domu gościnnego o rozłożystym dachu, w którym zatrzymał się szlachetny Lin. Kilka minut później Shi-Rong znalazł się w niedużej sali, gdzie na szerokim, rzeźbionym fotelu z palisandru siedział człowiek, z którym miał się spotkać.

Na pierwszy rzut oka wyglądał zgoła przeciętnie – w tłumie krępych mandarynów w średnim wieku niczym by się nie wyróżniał. Miał siwiejącą, spiczastą bródkę i szeroko rozstawione oczy. Zważywszy na jego osławioną srogość, Jiang spodziewał się, że wysoki komisarz będzie miał wąskie, zaciśnięte usta, lecz jego wargi okazały się raczej pełne.

Miał w sobie dostojeństwo i wielki spokój; można by go wziąć za opata klasztoru.

Jiang ukłonił mu się.

– Wybrałem już młodzieńca, który miał dołączyć do mego orszaku jako sekretarz – przemówił cicho szlachetny Lin bez żadnych wstępów – jednakże zachorował. Czekałem, aż wyzdrowieje, ale pogorszyło mu się. Tymczasem otrzymałem list od uczonego pana Wena, którego darzę zaufaniem. Uznałem to za znak. Pisze o panu różne rzeczy, jedne pochlebne, inne trochę mniej.

– Wysoki komisarzu, stojący tu pokorny sługa poczytuje sobie za wielki zaszczyt, że jego nauczyciel, pan Wen, o nim pomyślał. Nic nie wiedziałem o tym liście – wyznał Jiang – lecz opinia pana Wena jest zawsze sprawiedliwa.

Lekkie skinienie głowy świadczyło o tym, że jego odpowiedź zadowoliła rozmówcę.

– Poinformował mnie również, że wyruszył pan w odwiedziny do swego umierającego ojca.

– Jak rzecze Konfucjusz: „szanuj ojca swego”, wysoki komisarzu.

W całych *Dialogach konfucjańskich* nie było ważniejszego przesłania.

– I ojców ojca twego – dodał cicho pan Lin. – Dlatego nie śmiałbym panu przeszkodzić w wypełnieniu tego obowiązku. Wezwałem pana tutaj w ważnej sprawie, a moja misja została mi powierzona przez samego cesa-

rza. – Umilkł. – Najpierw muszę jednak pana lepiej poznać. – Spojrzał surowo na młodzieńca. – Imię Shi-Rong oznacza „naukowe zaszczyty”. Ojciec najwyraźniej wiąże z panem duże nadzieje. Nie zdał pan jednak swoich egzaminów.

– Było tak, jak rzekłeś, panie. – Jiang zwiesił głowę.

– Dlaczego? Czy przykładał się pan jak trzeba?

– Tak sądziłem. Jest mi bardzo wstyd.

– Pański ojciec zdał swój egzamin urzędniczy za pierwszym razem. Pragnął pan okazać się lepszy od niego?

– Nie, ekscelencjo. Świadczyłoby to o moim braku szacunku. Czułem jednak, że go zawiodłem, a chciałem tylko sprawić mu radość.

– Jest pan jego jedynym synem? – Lin spojrzał ostro na Jianga, a gdy młody człowiek przytaknął, zauważył: – To ciężkie brzemię. Czy egzaminy budziły w panu lęk?

– Tak, wysoki komisarzu.

Mało powiedziane: podróż do stolicy, rząd ciasnych komórek, w których na całe trzy dni trwania egzaminu zamykano wszystkich kandydatów… Mówiło się, że jeśli któryś z nich umarł w trakcie pisania, zwłoki zawijano w całun i zrzucano z murów miejskich.

– Niektórzy kandydaci przemycają na egzamin dokumenty. Oszukują. Pan także?

Jiang drgnął. Zanim zdołał się opanować, na jego twarz wypłynął rumieniec gniewu i dumy. Zaraz też schylił z szacunkiem głowę i dopiero po chwili odważył się znów podnieść wzrok.

– Sługa wasz tak nie uczynił, panie.

– Kariera pańskiego ojca była udana, choć skromna. Nie dorobił się majątku na starość. – Lin znowu umilkł i przyglądał się Jiangowi, który nie wiedział, co ma o tym myśleć. Przypomniawszy sobie jednak osławioną surowość wysokiego komisarza i sztywne zasady moralności, jakimi się kierował w swoim postępowaniu, odparł zgodnie z prawdą:

– Ekscelencjo, wierzę, że ojciec mój nigdy w życiu nie przyjął łapówki.

– Gdyby przyjął – odrzekł starszy mężczyzna – nie byłoby pana tutaj. – Znów przyjrzał mu się z namysłem. – Miarą naszej wartości są nie tylko nasze zwycięstwa, ale i wytrwałość, młodzieńcze. Gdy upadamy, dwakroć bardziej musimy się starać. Ja także za pierwszym razem nie zdałem egzaminów urzędniczych. Wiedział pan o tym?

– Nie, panie.

– Zgłosiłem się do nich ponownie i znowu nie zdałem. Dopiero za trzecim razem. – Pozwolił swoim słowom wybrzmieć i podjął surowo: – Jeżeli uczynię pana swoim sekretarzem, będzie pan musiał być silny. I ciężko pracować. Jeżeli poniesie pan porażkę, wyciągnie pan z niej wnioski i następnym razem lepiej się spisze. Nigdy się pan nie podda. Zrozumiano?

– Tak, ekscelencjo.

– Według pana Wena za drugim podejściem zda pan egzaminy. Ale najpierw powinien pan popracować dla mnie. Zgadza się pan na to?

– Tak, ekscelencjo.

– Dobrze. – Lin skinął głową. – Proszę mi zatem powiedzieć, co pan wie na temat opium.

– Ci, których na nie stać, lubią je palić – odrzekł Jiang. – Szybko się jednak uzależniają i tracą cały swój majątek. Chorują. Decyzją cesarza opium jest nielegalne. – Umilkł niepewny, czy ośmieli się powiedzieć prawdę. – Lecz najwyraźniej wszyscy mają do niego łatwy dostęp.

– Zgadza się. W ostatnim pokoleniu handel opium wzrósł dziesięciokrotnie. Podobnie jak liczba uzależnionych, którzy z powodu swego nałogu stają się bezużyteczni, staczają się w ubóstwo… Rujnują się, giną… To wszystko jest straszne. Ludzie nie są w stanie płacić podatków, a srebro wypływa z cesarstwa szerokim strumieniem jako zapłata za opium.

– Część opium uprawia się w Chinach, jak sądzę.

– To również się zgadza. Przeważająca większość dociera jednak spoza naszych granic. Chińscy przemytnicy kupują opium od barbarzyńskich piratów. Cóż zatem możemy zrobić?

Czyżby oczekiwał odpowiedzi na swoje pytanie?

– Sługa wasz słyszał, ekscelencjo, że można ludzi z tego nałogu leczyć.

– Staramy się to czynić, ale nie zawsze się udaje. W związku z tym cesarz upoważnił mnie do poczynienia niezbędnych kroków. Przemytnicy zostaną straceni. Jakie inne problemy pan przewiduje? – Przyjrzawszy się młodzieńcowi, dostrzegł jego skrępowanie. – Pracuje pan teraz dla mnie. Ma pan być ze mną szczery.

Shi-Rong nabrał powietrza.

– Słyszałem, ekscelencjo – choć mam nadzieję, że to nieprawda – że przemytnicy opłacają miejscowe władze na wybrzeżu, aby przymykały oko na ich proceder.

– Wyłapiemy ich i ukarzemy. Śmiercią, jeśli to będzie konieczne.

– Ach. – Jiang zaczął przeczuwać, że czekające go zadanie nie będzie łatwe. Odmówić przyjmowania łapówek to jedno, ale narazić się na wrogość połowy urzędników na wybrzeżu to coś zgoła innego. Nie wróżyło to dobrze jego karierze.

– Poza cesarzem i mną nie będzie miał pan wielu przyjaciół, młodzieńcze.

Shi-Rong zwiesił głowę. Rozważał, czy nie mógłby udać nagłej choroby – jak zapewne (teraz to do niego dotarło) uczynił jego poprzednik ubiegający się o to stanowisko. Nie, to raczej wykluczone.

– Sługa wasz jest wielce zaszczycony. – I chociaż czuł, że ogarnia go paraliżujący strach, ciekawość kazała mu zadać jeszcze jedno pytanie. – Jak zamierzacie rozprawić się z piratami, ekscelencjo? Z zamorskimi barbarzyńcami.

– Jeszcze nie postanowiłem. Przekonamy się o tym, gdy dotrzemy na wybrzeże.

Shi-Rong ponownie skłonił głowę.

– Mam jedną prośbę, komisarzu. Czy mogę zobaczyć się z ojcem?

– Niech pan zaraz do niego jedzie i pochowa go albo się z nim pożegna. Na pewno uraduje go wiadomość, że otrzymał pan tak zaszczytne stanowisko. Ale nie może pan długo tam zabawić. Choćby poczucie obowiązku kazało panu zostać i go opłakiwać, ma pan niezwłocznie udać się na wybrzeże. Proszę to potraktować jak rozkaz samego cesarza.

Gdy wracali z Wongiem do domu pana Wena, Shi-Rong nie wiedział, co ma o tym wszystkim sądzić. Jednego był pewien: musi się wyspać i o świcie znów wyruszyć w drogę.

Nazajutrz zdumiał się, widząc Wonga w siodle, gotowego mu towarzyszyć.

– Pojedzie z tobą aż do Zhengzhou – oznajmił mu pan Wen. – W drodze musisz poćwiczyć swój kantoński.

Jego stary nauczyciel pomyślał o wszystkim.

* * *

Wieczorem Mei-Ling cała trzęsła się ze strachu, choć nikt nie powiedział jej złego słowa – jeszcze nie. Wykonała wszystkie polecenia teściowej, a gdy po południu starsza kobieta udała się do sąsiadki, Mei-Ling nieco

odetchnęła. Mężczyźni spędzili ten czas w bambusowym zagajniku na wzgórzu. Wierzba odpoczywała, do czego – zważywszy na jej stan i status rodziny – miała pełne prawo. Mei-Ling została więc sama ze swoimi myślami.

Czy jej siostra Wierzba dotrzymała tajemnicy? A może teściowa już słyszała o porannych odwiedzinach Nio? Zwykle wiedziała o wszystkim, co się wokół działo. Może szykowała dla Mei-Ling jakąś karę?

Martwiła się także jutrzejszym dniem i przeklinała własną głupotę. Dlaczego obiecała Nio, że się z nim spotka? Kochała go, oczywiście. Był jej Braciszkiem. Ale co ją opętało? Nawet nie omówiła tego z mężem – mężem, którego kochała przecież bardziej niż Braciszka. Lecz nawet on nie obroniłby jej przed Matką. Żadna Chinka nie ośmieliłaby się sprzeciwić swojej teściowej.

Nie powinna nigdzie iść. Wiedziała o tym. Nio to zrozumie. Ale przecież dała mu słowo. Co prawda była biedna, szczyciła się jednak tym, że nigdy nie złamała raz danego słowa. Może właśnie dlatego, że w wiosce nie liczono się szczególnie ani z nią, ani z jej rodziną, już jako mała dziewczynka zawsze stawiała sobie za punkt honoru, aby dotrzymywać obietnic. To napawało ją dumą.

Jak zresztą miałaby tego dokonać? Nawet gdyby wymknęła się niepostrzeżenie, jakie były szanse, że nikt nie zauważy jej nieobecności? W najlepszym razie nikłe. I co wtedy? Z pewnością nie uniknęłaby surowej kary.

Możliwe, że istniał pewien sposób, ale… Sęk w tym, że nie miała pewności, czy jej plan się powiedzie.

Wieczór był początkowo całkiem udany. Do rodziny jej męża należały najlepsze gospodarstwa we wsi. Za głównym dziedzińcem znajdowało się duże centralne pomieszczenie, w którym wszyscy jak co dzień się zgromadzili.

Naprzeciwko Mei-Ling, na szerokiej ławie, siedziała Wierzba ze swoim mężem, Starszym Synem. Oboje zdawali się czuć całkiem swobodnie pod spojrzeniem teściowej. Starszy Syn – kościsty, o niedomytych po pracy rękach, które w zestawieniu z delikatnymi dłońmi Wierzby wydawały się sękate i spracowane – spokojnie popijał ryżowe wino huangjiu, od czasu do czasu wymieniając uwagi z żoną. Gdy oczy Wierzby i Mei-Ling się spotkały, na twarzy szwagierki nie dostrzegła cienia poczucia winy z powodu

tego, że z sobą spiskowały. Szczęściara; wychowano ją tak, aby nie okazywała żadnych emocji.

Mei-Ling siedziała na ławie obok Młodszego Syna. Sam na sam byli zwykle rozmowni, mieli jednak dość rozsądku, aby teraz milczeć. Gdyby zaczęli gawędzić, jego matka uciszyłaby ich apodyktycznym stwierdzeniem: „Za dużo rozmawiasz ze swoją żoną, Młodszy Synu”. Z miejsca, gdzie siedziała, nie mogła jednak dostrzec, że Mei-Ling dyskretnie dotyka mężowskiej dłoni.

W ich rodzinie Młodszy Syn uchodził za głupca. Pracowity, niższy od starszego brata i zawsze zadowolony z życia, zasłużył na przydomek „Wesołek”, sugerujący pewną prostoduszność. Ale Mei-Ling dobrze go znała. Z pewnością brakowało mu ambicji i światowego obycia – w przeciwnym razie nigdy by się z nią nie ożenił. Inteligencją dorównywał jednak wszystkim pozostałym. Był też dobrym człowiekiem; od ich ślubu upłynęło zaledwie pół roku, a ona już go pokochała.

Odkąd wrócił do domu, nie miała okazji opowiedzieć mu o odwiedzinach Nio. Była pewna, że mąż błagałby ją, aby została w domu i nie narażała się rodzinie. Cóż więc powinna zrobić? Wymknąć się o świcie, o niczym mu nie mówiąc?

W głębi dużej izby stary pan Lung grał z trzema sąsiadami w madżonga.

Teścia Mei-Ling cechował niczym niezmącony spokój. Ze swoją siwą bródką, w okrągłej czapeczce na głowie i z opadającym na plecy długim, cienkim warkoczem przypominał pogodnego mędrca. Jako ojciec dwóch dorosłych synów mógł się śmiało wycofać z aktywnego życia, przenosząc na nich większość najcięższych obowiązków, mimo to wciąż nadzorował pola i osobiście pobierał należne opłaty za dzierżawę. Obchodząc kolejne gospodarstwa, rozdawał dzieciom słodycze, ale jeśli ich rodzice byli mu coś dłużni, nie odchodził, dopóki nie odzyskał swoich pieniędzy. Niewiele mówił, a gdy już się odzywał, to zwykle po to, aby dać innym do zrozumienia, że jest zamożniejszy i mądrzejszy od swoich sąsiadów.

– Pewien kupiec powiedział mi kiedyś – zauważył – że widział komplet do gry w madżonga z kamieniami wykonanymi z kości słoniowej. – Jego zestaw był zrobiony z bambusa. Biedacy grali w madżonga kartami.

– Och, panie Lung – odezwał się uprzejmie jeden z sąsiadów – czy kupi pan taki komplet z kości słoniowej? Byłby bardzo szykowny.

– Możliwe. Do tej pory jednak nigdy takiego nie widziałem.

Gra toczyła się dalej. Jego żona obserwowała ich w milczeniu z pobliskiego krzesła. Gładko zaczesane do góry i ciasno upięte włosy podkreślały jej wysokie kości policzkowe. Twardym spojrzeniem śledziła rozgrywkę, a wyraz jej twarzy zdawał się mówić, że gdyby to ona grała, szłoby jej znacznie lepiej.

Po pewnym czasie zwróciła się ku Mei-Ling.

– Widziałam dziś na ulicy twoją matkę. – Spojrzała wrogo na dziewczynę. – Był z nią jakiś chłopak. Z ludu Hakka. – Urwała. – Twoja matka jest Hakka – dodała nieżyczliwie.

– To jej matka pochodziła z Hakka – odparła Mei-Ling. – Ona jest tylko w połowie Hakka.

– Ty zaś jesteś pierwszą Hakka w naszej rodzinie – stwierdziła lodowato teściowa.

Mei-Ling spuściła wzrok. Przekaz był jasny: teściowa chciała dać jej do zrozumienia, że wie o odwiedzinach Nio i czeka, aż Mei-Ling sama się przyzna. Czy powinna to uczynić? Wiedziała, że tak byłoby najlepiej. Zapłonął w niej jednak nieśmiały płomyczek buntu, więc uparcie milczała. Teściowa przyjrzała jej się bacznie.

– Na południu Chin żyje wiele plemion – ogłosił wszem wobec pan Lung, odrywając wzrok od gry. – Hanowie najechali je i podbili. Lecz Hakka są inni. To odłam Hanów i tak jak oni przybyli tutaj z północy. Mają własne obyczaje, ale dla Hanów są jak kuzyni.

Matka nie odpowiedziała. Choć rządziła całym domem, nie mogła się spierać z głową rodziny. Przynajmniej nie przy świadkach.

– Też to słyszałem, panie Lung – przyklasnął mu jeden z sąsiadów.

– Hakka są odważni – ciągnął pan Lung. – Żyją w dużych, okrągłych chatach. Ludzie mówią, że mieszali się z plemionami ze stepów poza Wielkim Murem, na przykład z Mandżurami. Dlatego nawet bogaci Hakka nie krępują stóp swoich kobiet.

– Podobno są bardzo niezależni – dodał sąsiad.

– Same z nimi kłopoty! – krzyknęła niespodziewanie teściowa na Mei-Ling. – Ten Nio, którego nazywasz swoim Braciszkiem, to nicpoń. Przestępca. – Przerwała dla nabrania tchu. – Z rodziny matki twojej matki. Nawet nie jest twoim krewnym. – Rzeczywiście, z perspektywy chińskich Hanów, osób spokrewnionych po kądzieli nie traktowano jak członków rodziny.

– Nio nie złamał chyba żadnego prawa, Matko – odezwała się cicho Mei-Ling. Musiała go bronić.

Starsza kobieta nie raczyła jej odpowiedzieć. Zwróciła się za to do swego młodszego syna:

– Widzisz, do czego doprowadziłeś? Małżeństwo to nie zabawa. Dlatego to rodzice wybierają synowi przyszłą żonę. Z innej wioski, z innego rodu, bogatą dla bogatego, biedną dla biednego. Inaczej są z tego same kłopoty. Znasz to powiedzenie: drzwi w całym domu powinny do siebie pasować. Ale nie, ty się uparłeś. Swatka znalazła ci odpowiednią kandydatkę. Nasze rodziny się dogadały. A wtedy ni z tego, ni z owego sprzeciwiłeś się własnemu ojcu. Okryłeś nas hańbą, oznajmiając, że zamierzasz poślubić tę dziewczynę. – Obrzuciła Mei-Ling wściekłym spojrzeniem. – Tę oto ślicznotkę.

„Ślicznotkę”; zabrzmiało to niemal jak zarzut. Każda chłopska rodzina, nawet tak znacząca jak Lungowie, wierzyła w stare porzekadło: „Brzydka żona to skarb dla domu”. Bogacz mógł sobie wziąć ładną dziewczynę na konkubinę, ale uczciwy wieśniak powinien pragnąć żony, która będzie robotna i zajmie się nim oraz jego rodzicami. Ślicznotki były podejrzane; mogły się okazać zbyt próżne, żeby ciężko pracować, a co gorsza, mogły się stać obiektem pożądania innych mężczyzn.

Ogólnie rzecz biorąc, cała wieś uznała, że postępek Młodszego Syna dowodzi jego głupoty.

– Ona jest z innego rodu – wtrącił teraz grzecznie.

– Rodu? W tej wsi żyje pięć rodów. Wybrałeś najmniej znaczącą i najbiedniejszą rodzinę. A jakby tego było mało, jej hakkańska babka była konkubiną kupca. Wyrzucił ją, gdy przejeżdżał przez pobliskie miasteczko. Zadała się tam z tynkarzem i mieli szczęście, że trafił się ubogi wieśniak, gotów zaoferować ich córce dach nad głową. Zresztą cieknący. Oto kim są rodzice twojej żony!

Podczas tej tyrady Mei-Ling siedziała ze spuszczoną głową. Choć słowa teściowej ją zabolały, nie odczuwała wstydu. We wsi nie było tajemnic. Wszyscy o wszystkim wiedzieli.

– Teraz zaś – zakończyła teściowa – chce nam sprowadzać do domu przestępców. A ty tylko siedzisz i się uśmiechasz. Nie dziwota, że ludzie mają cię za durnia.

Mei-Ling zerknęła na męża. Siedział bez ruchu i milczał, a na jego wargach błąkał się spokojny, szczęśliwy uśmiech, który tak dobrze znała.

Był to jeden z powodów, dla których ludzie mieli go za prostaczka. Uśmiech nie schodził z jego ust, gdy rodzice całymi tygodniami wściekali się na niego za odmowę wzięcia za żonę wybranej przez nich panny. Uśmiechał się nawet wtedy, gdy zagrozili, że wyrzucą go z domu.

I ostatecznie pokonał ich, zmęczył tym uśmiechem; Mei-Ling nie miała co do tego wątpliwości. Pokonał ich, bo wbrew wszelkiemu rozsądkowi zapragnął się z nią ożenić.

– Zaaranżowaliście korzystne małżeństwo mojemu starszemu bratu. Powinno wam to wystarczyć – odparł cicho, ze spokojem.

Przez chwilę jego matka milczała. Wszyscy wiedzieli, że związek Starszego Syna z Wierzbą będzie idealny, jak tylko synowa powije męskiego potomka, ale nie wcześniej. Wzrok starszej kobiety spoczął na Mei-Ling.

– Pewnego dnia ten twój Nio zostanie stracony. Im szybciej, tym lepiej. Nie wolno ci się z nim widywać. Zrozumiałaś?

Wszyscy patrzyli na Mei-Ling. Nikt nic nie mówił.

– Madżong – oznajmił ze spokojem pan Lung, zgarniając pieniądze ze stolika.

* * *

To Wierzba pierwsza spostrzegła sylwetkę przy wejściu i dała znak teściowej, która natychmiast poderwała się na znak szacunku, a wraz z nią jej synowie z żonami.

Ich gość był starcem o pociągłej twarzy i długiej, białej jak śnieg brodzie. Mrużył oczy ze starości, a ich skierowane w dół kąciki sprawiały, że wyglądał, jakby spał. Nadal jednak pełnił funkcję starszego wioski.

Pan Lung wyszedł mu na powitanie.

– To zaszczyt, żeście nas odwiedzili, panie.

Podano zieloną herbatę i przez kilka minut mężczyźni prowadzili zwyczajową konwersację. Następnie starzec zwrócił się do gospodarza:

– Chcieliście mi coś pokazać, panie Lung.

– Istotnie. – Pan Lung wstał i zniknął za progiem. Na tyłach dużego pomieszczenia znajdowała się alkowa z rozległą otomaną, na której mogły swobodnie wypoczywać dwie osoby. Kobiety ustawiły przed nią niski stolik. Gdy to zrobiły, wrócił pan Lung, niosąc swoje zdobycze, starannie zawinięte w jedwab. Ostrożnie odwinął pierwszy przedmiot i podał go star-

cowi do obejrzenia, podczas gdy trzej sąsiedzi zbliżyli się, żeby także popatrzeć.

– Kupiłem to przed miesiącem w Guangzhou – pochwalił się pan Lung. – W palarni opium mają takie same, zrobione z bambusa. Tę jednak nabyłem u handlarza.

Była to fajka do palenia opium. Długi cybuch wykonano z hebanu, a główkę z brązu. Odcinek poniżej główki, znany jako kolanko, opasywała klamra z pięknie obrobionego srebra, ustnik zaś był z kości słoniowej. Ciemne drewno lśniło delikatnie. Rozległy się pomruki podziwu.

– Mam nadzieję, że będzie wam odpowiadała, gdy zapalimy dzisiaj wieczorem – rzekł pan Lung. – Jest przeznaczona dla moich honorowych gości.

– Zapewne, zapewne – przytaknął starzec.

Pan Lung odpakował drugą fajkę i wszyscy aż zachłysnęli się z zachwytu.

Jej budowa była bardziej złożona: wewnętrzny bambusowy cybuch otaczała miedziana rurka, szkliwiona w stylu kantońskim, pomalowana na zielono i ozdobiona wzorami w odcieniach błękitu, bieli i złota. Główkę pokryto czerwoną glazurą; widniały na niej małe czarne nietoperze – chiński symbol szczęścia. Ustnik wykonano z białego jadeitu.

– Ach… Bardzo kosztowny przedmiot. – Starszy wioski powiedział głośno to, co wszyscy pomyśleli.

– Połóżcie się na otomanie, a ja przygotuję dla nas fajki – zaproponował pan Lung.

Dla sąsiadów był to wyraźny sygnał do wyjścia. Palenie opium stanowiło prywatny rytuał, a zaproszony do niego był jedynie starzec.

Pan Lung przyniósł tacę pokrytą laką, postawił ją na stoliku i począł rozkładać niezbędne akcesoria z takim namaszczeniem, z jakim kobiety przygotowują się do ceremonii parzenia herbaty. Była tam mosiężna lampka oliwna ze szklanym kloszem, poza tym dwie igły, dwie spluwaczki, ceramiczne naczynko w kształcie spodka i szklany słoiczek z opium, obok którego leżała kościana łyżeczka.

Wziąwszy jedną z igieł, pan Lung przetkał nią główki obu fajek, aby upewnić się, że są zupełnie czyste. Następnie zapalił mosiężną lampkę oliwną i ujmując kościaną łyżeczkę kciukiem oraz palcem wskazującym, wydobył ze słoiczka odrobinę opium i umieścił na ceramicznym naczynku, po czym, posługując się łyżeczką oraz igłą, starannie utoczył z niego kulkę wielkości ziarna grochu.

Teraz nadszedł czas, aby rozgrzać opium. Wymagało to sporego wyczucia i umiejętności. Pan Lung podniósł kulkę czubkiem igły i ostrożnie umieścił nad lampą. Na oczach starszego wioski zwinięte niczym pączek kwiatu opium zaczęło powoli pęcznieć, a jego kolor zmienił się z ciemnobrązowego na bursztynowy.

Mężczyźni obserwowali, jak kulka opium zaczyna się złocić; wówczas pan Lung włożył ją do główki fajki starca. Ten umościł się na otomanie tak, aby leżeć z głową nachyloną nad stolikiem i lampą. Gospodarz pokazał mu, jak trzymać główkę fajki: blisko lampy, aby ciepło wydobywało opary ze złocistego opium w środku, ale nie za blisko, żeby opium się nie spaliło. Zaczekał, aż starzec zrobi co należy, a gdy udało mu się zaciągnąć, zaczął przygotowywać fajkę dla siebie.

– Wiedzieliście, starcze, że opium zwiększa możliwości seksualne mężczyzny? – zagadnął.

– Ach. To bardzo interesujące – odparł gość. – Bardzo.

– Chociaż wy przed dwoma laty straciliście żonę – zauważył gospodarz.

– Zawsze mogę sobie znaleźć nową – odparł starszy wioski. Jego twarz zdążyła już przybrać rozanielony wyraz.

Teściowa i pozostali siedzieli w milczeniu na dziedzińcu. Trudno było orzec, czy starsza kobieta pochwala palenie opium. Musiała je akceptować jako oznakę statusu swojej rodziny; dzięki temu mieszkańcy wioski jeszcze bardziej ją szanowali i jeszcze bardziej jej się bali.

* * *

Tego wieczoru Młodszy Syn był bardzo zmęczony. Dopóki się nie odezwał, Mei-Ling sądziła, że śpi.

– Wiem, że kochasz Nio. Przepraszam cię za matkę – powiedział nieoczekiwanie.

Zalała ją fala ulgi i przejęta do głębi zaczęła szeptać:

– Było mi tak ciężko na sercu, bo obiecałam się z nim zobaczyć, ale teraz chyba nie mogę. Za nic nie chciałabym cię zdenerwować.

– Nie mam nic przeciwko twojemu spotkaniu z Nio. To matka jest temu przeciwna. – Z oczu Mei-Ling popłynęły łzy, więc objął ją ramieniem. Kiedy przestała płakać, spał już jak zabity.

Rankiem wszystko wydawało się możliwe. Zaraz po przebudzeniu Mei-Ling wymknęła się na dziedziniec i na widok porannej mgły zrozumiała, co powinna zrobić, albowiem to, co ujrzała, zerkając przez furtkę w stronę stawu, w niczym nie przypominało wczorajszej mgiełki. Otaczał ją gęsty, biały obłok. Nieprzenikniony. Wszechobecny. Jak czapka niewidka podarowana jej przez bogów. Był to ten rodzaj mgły, w której, jeśli ktoś był na tyle głupi, aby się w niej zanurzyć, raz-dwa można było stracić orientację.

Miała zatem gotową wymówkę: wyszła z domu i zgubiła się. Poszła przed siebie ścieżką i nie mogła trafić z powrotem. Kto zdoła dowieść, gdzie naprawdę była? Nikt niczego nie zauważy.

Wróciła do izby. Jej kochany mąż nadal spał. Miała ochotę go pocałować, lecz nie zrobiła tego z obawy, że go obudzi. Pod spód tuniki naciągnęła szybko luźne rajtuzy, wsunęła stopy w drewniaki, chwyciła szal i wyśliznęła się na zewnątrz. Gdy przechodziła przez dziedziniec, z otomany dobiegło ją chrapanie starszego wioski. Najwyraźniej został u nich na noc. Drzwi do izby Wierzby były niedomknięte; czyżby szwagierka ją podglądała? Mei-Ling miała nadzieję, że nie. Chwilę później znalazła się za furtką i spowiła ją gęsta mgła.

Na szczęście dokładnie wiedziała, gdzie znajduje się mostek, bo inaczej by go nie dostrzegła. Macając przed sobą na oślep, odnalazła w końcu poręcz i ruszyła naprzód. Czuła zapach trzcin i mułu. Drewniane deski skrzypiały pod jej stopami. Czy w domu mogli to usłyszeć?

Wreszcie zeszła z mostku na ścieżkę i skręciła w prawo. Z obu stron górowały nad nią bambusowe zarośla – gęste, zielone. Nie widziała ich, lecz krople wilgoci spadały miękko z liści na jej głowę, gdy wędrowała wydeptaną dróżką biegnącą skrajem wioski. Poczuła bijący z ziemi ostry, kwaśnawy zapach i już wiedziała – nie widząc go – że mija niewielki gaj bananowców.

W tym samym momencie usłyszała za sobą dźwięk: ciche skrzypienie po przeciwnej stronie stawu. Ktoś przechodził przez mostek. Zmroził ją strach; czyżby Wierzba zauważyła, że wychodzi, i doniosła teściowej? Przyspieszyła, potknęła się o korzeń i nieomal upadła; w ostatniej chwili zdołała odzyskać równowagę. Jeżeli dotrze na miejsce spotkania, zanim stara ją dogoni, zdąży ukryć się we mgle wraz z Nio. Wytężyła słuch. Cisza. Matka musiała się zatrzymać albo jest już na ścieżce.

Ta zaś wznosiła się, aby na szczycie niedużego wzgórza, przy wjeździe do wioski, połączyć się z drogą gruntową. Gdy Mei-Ling znalazła się na

głównym trakcie, dojrzała niewyraźny zarys małej kamiennej świątyni z drewnianą figurką przedstawiającą człowieka – choć jej zawsze bardziej przypominała pokurczoną ze starości małpę. Pradawny założyciel wioski wciąż chronił swój ród i całą osadę. Poprosiła go w duchu o błogosławieństwo, chociaż wątpiła, czy je otrzyma.

To tutaj miała się spotkać z Nio. Cicho zawołała go po imieniu.

Mgła przypominała gęsty, nisko zawieszony tuman, pokrywała pola ryżowe za plecami dziewczyny i strumyk, gdzie mieszkały kaczki, kawałek dalej na lewo. Mimo to Mei-Ling rozróżniała dachy chat przy drodze przed sobą, a za nimi łagodne wzniesienie i dwa niewielkie grzbiety górskie – miejscowi nazywali je Niebieskim Smokiem i Białym Tygrysem – które niczym opiekuńcze ramiona z obu stron obejmowały wioskę.

Zwykle było to przyjemne miejsce. Latem osadę chłodziła bryza znad morza; zimą niskie słońce ogrzewało ją łagodnie. Feng shui wioski – wiatr i woda – było dobre, ale jeżeli Matka ją teraz przyłapie, rozpęta się tu istne piekło. Niespokojnie próbowała przebić wzrokiem mgłę. Nie mogła zbyt długo czekać.

Raz jeszcze zawołała Nio. Żadnej odpowiedzi. Jeśli chłopak wyszedł jej na spotkanie, to nawet w tej mgle na wąskiej drodze nie mogłaby się z nim rozminąć. Mamrocząc przekleństwa, pospiesznie zawróciła do wioski.

Dom jej rodziców nie prezentował się zbyt okazale. W przeciwieństwie do chat naprzeciwko nie miał dziedzińca z furtką od strony ulicy. Front tworzyły zbite byle jak deski, w które wstawiono, nie całkiem pionowo, stare drzwi od sąsiada, zabrane przed laty, gdy jego dom był rozbierany. Zamiast otwierać się na ciemne wnętrze głównej izby, wyglądały one tak, jakby miały lada moment wpaść do środka. Piętra właściwie nie było; rodzice wdrapywali się po wewnętrznej drabinie na niski stryszek, gdzie sypiali.

Mei-Ling dotarła do rozklekotanych drewnianych drzwi i pchnęła je.

– Nio! – wyszeptała zniecierpliwiona. – Nio!

Z mroku dobiegł ją najpierw szelest, a potem jego głos:

– To ty, Starsza Siostro?

– Oczywiście, że ja. Gdzie się podziewałeś?

– Nie myślałem, że przyjdziesz.

– Przecież ci obiecałam.

– Córko. – U szczytu drabiny ukazała się głowa ojca. – Wracaj do domu. Nie powinnaś tutaj przychodzić. – Matka zawtórowała mu zaraz ze

stryszku: – Wracaj do siebie. Prędko, pospiesz się.

To przeważyło szalę.

Mei-Ling zamknęła za sobą drzwi.

– Jeżeli ktoś przyjdzie, mówcie, że mnie tu nie ma! – zawołała jeszcze do rodziców.

Na tyłach domu znajdowało się podwórko. Gdy dziewczyna tam wyszła, Nio wstał i wciągnął koszulę. Dołączył do niej zaraz, rozespany, gotów się tłumaczyć.

– Nie sądziłem, że uda ci się wydostać – powiedział – a jeszcze ta mgła…

Mei-Ling spojrzała na niego ze smutkiem poprzez białawe, wilgotne opary.

– Więc uciekłeś z domu. Bliscy cię nie szukają?

– Nie. Powiedziałem ojcu, że chcę się z wami zobaczyć. Dał mi pieniądze i podarek dla twoich rodziców. Uprzedziłem go, że trochę tutaj zostanę.

– Przecież nie chcesz wracać. Chodzi o twoją macochę? Źle cię traktuje?

– Nie, jest w porządku.

– Podobno masz młodsze rodzeństwo, brata i siostrę. Lubisz ich?

– Mogą być. – Speszył się, po czym wybuchnął: – Traktują mnie jak dziecko.

– Dla rodziców zawsze pozostajemy dziećmi, Nio – odparła łagodnie. Wiedziała jednak, że go nie przekona. Musiało dojść do jakiejś rodzinnej kłótni, o której jej nie powiedział. A może ktoś go upokorzył? – Dokąd więc pojedziesz? – spytała.

– Do wielkiego miasta. Do Guangzhou. – Uśmiechnął się. – Nauczyłaś mnie mówić po kantońsku.

Guangzhou nad Rzeką Perłową, wielki port zwany przez cudzoziemców Kantonem. Gdy Nio zjawił się u nich jako mały chłopiec, znał tylko język ludu Hakka z wioski, w której mieszkał. Nikt go nie rozumiał. Wiele miesięcy zajęło Mei-Ling nauczenie go kantońskiego dialektu, którym posługiwano się w ich wiosce – prowincjonalnej odmiany języka, jakim mówiono w wielkim mieście, ale przynajmniej zrozumiałej dla mieszkańców metropolii. Jednak myśl o Braciszku błąkającym się samotnie po wielkim porcie napełniła ją trwogą.

– Nikogo tam nie znasz, Nio. Zgubisz się. Nie jedź – poprosiła. – Co zresztą miałbyś tam robić?

– Znajdę jakąś pracę. Może zostanę przemytnikiem. Zarobię dużo pieniędzy.

Na wybrzeżu przy ujściu Rzeki Perłowej kwitł nielegalny handel rozmaitym towarem. Ale to było niebezpieczne życie.

– Nie znasz żadnych przemytników – stwierdziła stanowczo. – Wszyscy należą do gangów. Jeżeli zostaniesz schwytany, grozi ci egzekucja. – Nie wiedziała co prawda zbyt wiele o gangach, ale coś niecoś słyszała.

– Znam różnych ludzi. – Nio uśmiechnął się półgębkiem, jakby skrywał jakąś tajemnicę.

– Nieprawda.

Bo niby skąd miałby ich znać? Żachnęła się na samą myśl, lecz potem coś jej zaświtało. Poprzedniego wieczoru teściowa nazwała go przestępcą. Powiedziała to z wielkim przekonaniem. Nio zapewne rozpowiadał po wsi, że uciekł z domu, co już samo w sobie było wystarczająco głupie, a może wymknęło mu się coś więcej – jakaś kompromitująca informacja, która dotarła do teściowej.

Przyjrzała się chłopcu. Przypuszczała, że chciał tylko pozować na ważnego i tajemniczego, ale ta myśl jej nie uspokoiła. Czyżby poznał kogoś, kto trudnił się przemytem? Możliwe. Czy ten ktoś wciągnął go do gangu, kusząc obietnicami bogactwa i lepszego życia? Miała okropne przeczucie, że Nio naraża się na wielkie niebezpieczeństwo.

– Przyznaj się, Nio – odezwała się stanowczo – mówiłeś we wsi o czymś, przez co mogłeś się znaleźć na ludzkich językach?

Chłopak zawahał się, a jej ścisnęło się serce.

– Wdałem się w kłótnię – odparł. – Ale to ja miałem rację.

– Z kim?

– Z kilkoma mężczyznami.

– O co poszło?

Przez chwilę zwlekał z odpowiedzią, po czym wybuchnął:

– Hanowie nie dorównują Hakka odwagą. W przeciwnym razie nie daliby się zniewolić Mandżurom!

– Co ty wygadujesz?

– Mandżurscy cesarze zmuszają wszystkich do noszenia warkoczy na znak poddaństwa. Ich rody żyją w dostatku, a Hanowie muszą na nich harować. To hańba.

Mei-Ling patrzyła na niego przerażona. Czy chciał wylądować w więzieniu? Naraz dotarła do niej straszliwa prawda.

– Nio, dołączyłeś do Białego Lotosu?

W Chinach istniało wiele stowarzyszeń, których członkami mogli być wyłącznie mężczyźni – od szanowanych rad miejskich po grupy przestępcze skupiające wszelkiej maści zabijaków. Uczeni zakładali towarzystwa kulturalne, gdzie recytowano wiersze w świetle księżyca. Zamożni kupcy tworzyli w miastach gildie i wznosili dla nich siedziby podobne do pałaców. Rzemieślnicy zrzeszali się, żeby nawzajem się wspierać.

Były też tajne stowarzyszenia, takie jak Biały Lotos, liczące setki tysięcy członków. Nikt ich nie znał i nie wiedział, co zamierzają. Ubogi wieśniak albo uśmiechnięty sprzedawca mógł być za dnia kimś zupełnie innym niż po zmroku. Bywało, że bojownicy Białego Lotosu podpalali domy skorumpowanych urzędników. Czasami kogoś mordowali. Mei-Ling słyszała, jak mówiono, że pewnego dnia Biały Lotos obali mandżurskiego cesarza.

Czy jej Braciszek mógł wdać się w konszachty z takimi ludźmi? Był taki uparty! W dodatku od dziecka miał własne szalone wyobrażenie o wymierzaniu sprawiedliwości, co zaowocowało blizną na jego twarzy. Tak, uznała po namyśle, to całkiem możliwe.

– Skądże, Starsza Siostro – odparł, po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu: – A gdyby nawet, to przecież nic bym ci nie powiedział.

Z jednej strony Mei-Ling miała ochotę nim potrząsnąć, z drugiej – pragnęła go objąć i mocno przytulić, uchronić od wszelkiego zła.

– Och, Nio. Jeszcze o tym porozmawiamy. – Musiała znaleźć sposób, żeby spędzić z nim więcej czasu, przemówić mu do rozsądku. Nie wiedziała, jak tego dokona, ale nie miała wyjścia.

– Dzisiaj wyjeżdżam – oznajmił jej z nutą przekornego triumfu.

– Nie możesz! – krzyknęła. – Zaczekaj trochę. – Musiała zebrać myśli. – Choć kilka dni. Nie chcesz znowu się ze mną spotkać? Proszę!

– No dobrze – zgodził się niechętnie. Wyglądał, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale umilkł na widok jej ojca. Na twarzy mężczyzny malował się strach. – Ktoś przyszedł – jęknął.

– Powiedzcie, że mnie tutaj nie ma – odszepnęła. To mogła być tylko matka jej męża. – Szybko – ponagliła ojca, lecz ten ani drgnął. Podobnie jak wszyscy w wiosce bał się jej teściowej. – Proszę, ojcze.

Było już jednak za późno. Drzwi frontowe uchyliły się krzywo, ukazując spowitą mgłą postać, która weszła do środka.

Ku swojej radości Mei-Ling rozpoznała w przybyszu męża.

Musiała czym prędzej wrócić z nim do domu.

– Domyśliłem się, że tutaj będziesz – rzekł – ale musimy się pospieszyć.

– Słyszałam twoje kroki na mostku – odpowiedziała. – Myślałam, że to twoja matka. – Spojrzała na niego z niepokojem. – Gniewasz się na mnie? – Pokręcił głową. – Co powiemy Matce, jeśli zauważy naszą nieobecność?

– Wyjaśnię, że zabrałem cię na przechadzkę.

– We mgle?

– Nie dowiedzie, że było inaczej. – Uśmiechnął się. – Nic nam nie zrobi.

– Jesteś dla mnie taki dobry.

Minęli małą świątynię i skręcili na bity trakt.

– Wiesz, dlaczego zmusiłem ich, żeby pozwolili mi ciebie poślubić, Mei-Ling? – zapytał nagle. – Myślisz, że chodziło o twoją urodę? O to, że byłaś najładniejszą dziewczyną w wiosce?

– Nie wiem.

– Dostrzegłem w tobie charakter. Twojego ducha. To on sprawia, że twoja twarz jest taka piękna. Dlatego cię poślubiłem. Wiedziałem, że bez względu na cenę, jaką ci przyjdzie zapłacić, spróbujesz spotkać się ze swoim Młodszym Bratem, bo go kochasz. Bo jesteś dobra. To sprawia, że jestem szczęśliwy.

– A ja mam szczęście, że mam ciebie za męża – odparła Mei-Ling. Potem opowiedziała mu wszystko o Nio i swoich obawach.

– Niedobrze – przyznał.

– Jest taki uparty – dodała. – Wiesz, skąd wzięła się blizna na jego twarzy? Kiedy był mały, jeden ze starszych chłopców we wsi powiedział coś obraźliwego o moim ojcu – że jest biedny i głupi – a potem podburzył innych, żeby się z niego wyśmiewali. Nio rzucił się na niego, chociaż tamten był od niego dwa razy większy. Powalił go, ale wtedy ten chłopak złapał kawałek deski i uderzył Nio w twarz. Stąd ma tę bliznę.

– Wykazał się odwagą.

– Owszem. Sęk w tym, że jeśli uważa, że ma rację, przestaje rozsądnie myśleć. Nigdy nie wiem, co nowego zmaluje.

– Trudno będzie ci znowu się z nim spotkać – zauważył Młodszy Syn. – Chyba nawet ja nie zdołam ci tego ułatwić. – Nagle się rozchmurzył. – Ale mogę z nim pomówić w twoim imieniu. Nikt mi tego nie zabronił. Może mnie posłucha.

– Zrobiłbyś to?

– Choćby dziś po południu, jeśli chcesz.

– Och, mężu. – Zarzuciła mu ramiona na szyję. Nie uchodziło okazywać uczuć publicznie, ale w tej mgle nikt ich nie mógł zobaczyć. Ruszyli dalej przed siebie. Tuż przed mostkiem Mei-Ling znowu się odezwała: – Jest jeszcze coś, o czym chcę ci powiedzieć.

– Kolejne złe nowiny?

– Wręcz przeciwnie. To znaczy nie mam całkowitej pewności… – Zawahała się. – Jeszcze nie. Ale chyba zostaniesz ojcem.

Jego twarz się rozpromieniła.

– Naprawdę?

– Nie mogę obiecać, że to będzie syn…

– Nie dbam o to, jeżeli córka będzie podobna do ciebie.

– Dlaczego zawsze jesteś taki dobry, mężu? – Nie uwierzyła mu, oczywiście; żadna chińska rodzina nie pragnęła dziewczynek. Gratulowano tym, którym urodził się syn. Po narodzinach dziewczynki ludzie albo nic nie mówili, albo rzucali uwagi w rodzaju: „Oby następnym razem wam się poszczęściło”. Raz słyszała, jak ktoś powiedział do ojca nowo narodzonej dziewczynki: „Współczuję ci. Spotkało cię takie nieszczęście!”.

– Naprawdę nie miałbym nic przeciwko. Jeżeli nie będą się rodzić dziewczynki, wkrótce w ogóle przestaną się rodzić dzieci. To oczywiste: zabraknie nam przyszłych matek. To głupota chcieć mieć samych synów.

Mei-Ling skinęła głową.

– Zawsze marzyłam o córeczce – wyznała. – Ale nikomu tego nie mówiłam, żeby nie narazić się na ludzki gniew.

Weszli na mostek. Mgła powoli rzedła; widzieli już poręcze i szarą wodę w dole.

Po wejściu do domu zastali tam starszego wioski, który zdążył tymczasem trochę się rozbudzić: siedział teraz na szerokiej otomanie i popijał herbatę. Matka też tam była. Stojąc w przejściu, łypnęła na nich gniewnie i zwróciła się wprost do Mei-Ling:

– Gdzie byłaś? – Wyglądała, jakby miała zaraz wybuchnąć.

– Spacerowałam z mężem, Matko – odparła potulnie dziewczyna.

– We mgle? Kłamiesz!

– Mieliśmy coś do omówienia, Matko – wtrącił Młodszy Syn. Zaczekał, aż wściekły wzrok kobiety spocznie na nim. Nie spieszył się. – Moja żona spodziewa się dziecka.

Zobaczyli, że stara podejrzliwie mruży oczy. Uwierzyła im? Jeśli okaże się to nieprawdą, uzna, że sobie z niej zakpili, a to byłoby bardzo niebezpieczne. Jeśli jednak dziecko rzeczywiście jest w drodze…

Kobieta znowu utkwiła spojrzenie w Mei-Ling. Kiedy się odezwała, jej ton był przerażająco lodowaty.

– Oby to był chłopiec, Mei-Ling.

Młodszy Syn wrócił dopiero pod wieczór. Wybrał się w interesach do sąsiedniej wioski. Mgła ustąpiła kilka godzin wcześniej i teraz ich osada, pola ryżowe, staw z kaczkami i przyjazne ramiona górskich grzbietów skąpane były w popołudniowym świetle.

Twarz mężczyzny, ukryta pod szerokim słomianym kapeluszem, który nosił dla ochrony przed słońcem, była uśmiechnięta. Od mglistego poranka wszystko układało się znakomicie. Miał do załatwienia jeszcze jedną sprawę, która będzie zwieńczeniem tego dnia, jednego – jak sądził – z najlepszych w jego życiu.

Musiał tylko uszczęśliwić żonę i przekonać nierozważnego wyrostka, aby ten nie uciekł do miasta, gdzie na pewno napytałby sobie biedy. Niełatwe zadanie, lecz on nigdy nie cofał się przed wyzwaniami. Do tego konkretnego podszedł tym bardziej gorliwie, że wystarczyło mu wyobrazić sobie wyraz szczęścia, jaki zagości na twarzy Mei-Ling, jeżeli wykona swą misję. Przez całą drogę powtarzał w myślach zdania pełne rozmaitych mądrości.

Minąwszy małą świątynię na wjeździe do osady, sięgnął do tyłu, aby strzepnąć kurz z warkocza. Poprawił też kaftan; nie chciał, aby cokolwiek psuło wrażenie dyskretnej powagi i autorytetu, jakie miał nadzieję dzisiaj roztaczać. Idąc, witał się uprzejmie z wieśniakami, bacząc, czy odpowiadają z należytym szacunkiem na jego pozdrowienia.

Gdy znalazł się przed domem rodziców Mei-Ling, zapukał do drzwi, które natychmiast otworzył jej ojciec. Ukłonił mu się nisko, lękliwie.

– Przychodzę pomówić z tym młodym człowiekiem, Nio – wyjaśnił Młodszy Syn. – Na prośbę Mei-Ling.

– Och. – Jego teść wyglądał na zdenerwowanego. – Najmocniej przepraszam – ponownie się ukłonił – ale Nio już tutaj nie ma.

– Czy prędko wróci?

– Wyjechał. Jeszcze przed południem. – Starszy człowiek pokręcił głową. – Ruszył do miasta. Już do nas nie wróci. – Ze smutkiem spojrzał na zięcia. – Być może nigdy go nie zobaczymy.

* * *

Na wieczornym niebie wisiało czerwone słońce. Wsparty na hebanowej lasce stary pan Jiang spoglądał ze zbocze, gdzie przycupnął jego wiekowy dom, i na rozległe, płaskie dno doliny, przez które, niczym strumień złocistej wulkanicznej lawy, płynęła szeroka niemal na milę Żółta Rzeka.

Żółta Rzeka; u źródła jej wody były całkiem przejrzyste, później jednak wiła się przez region zawdzięczający swoją glebę, zwaną lessową, piaskom nanoszonym przez wieki znad pustyni Gobi. Wiatr odkładał je tam, aż powstał olbrzymi, pomarańczowo-brunatny płaskowyż. Rzeka toczyła przezeń swe wody, które nabierały żółtej barwy. Tutaj, w prowincji Henan, samym sercu dawnych Chin, jej nurt nadal był żółty i pozostawał taki przez setki mil, dopóki nie złączyła się z morzem.

Cztery tysiące lat wcześniej legendarny cesarz Yu nauczył swój lud, jak okiełznać potężną rzekę, pogłębiać ją i nawadniać okoliczne ziemie. To był prawdziwy początek wielkich Chin, pomyślał starzec.

Oczywiście, jak we wszystkim, tu także należało zachować czujność. Rzeka niosła takie ilości mułu, że jej dno stale się podnosiło. Gołym okiem można było tego nie zauważyć, ponieważ wraz z okresowym podnoszeniem się i opadaniem wód rzeka rzeźbiła nowe koryto, lecz w istocie płynęła teraz powyżej otaczającego ją terenu. Dlatego co dziesięć lat trzeba było ją pogłębiać i wykonywać inne niezbędne prace. Za rok albo dwa znowu ich to czekało.

Tyle że mnie już wtedy nie będzie, pomyślał starzec i uśmiechnął się.

Cieszył się, że ostatni wieczór jego życia – przynajmniej w tym wcieleniu – jest taki piękny.

Plan był dość prosty. Zaczeka do zmierzchu, aż wszyscy w domu zasną, a potem zażyje truciznę ukrytą w sypialni, w szkatułce, którą tylko on potrafił otworzyć. Starannie ją dobrał, aby jego śmierć wyglądała na naturalną.

Nie chciał sprawiać kłopotu siostrze i swojemu synowi, Shi-Rongowi.

Pięćdziesiąt stóp przed nim wąska brama wiodąca do rodzinnego gospodarstwa – którego pokryty płytkami rozłożysty dach zakrzywiał się elegancko w najlepszym chińskim stylu – zdawała się zapraszać nowego pana tych włości na dziedziniec, który się za nią rozciągał. Wyżej na zboczu drewniane chaty wioski obsiadły szlak biegnący w górę wąwozem, o ścianach podziurawionych otworami jaskiń, z których część służyła jako spichlerze, a inne jako mieszkania. Dalej wąwóz przechodził w stromą ścieżkę, wznoszącą się na podobieństwo wykutych w skale schodów na sam szczyt wysokiego wzniesienia, gdzie na skalnym występie wśród drzew kryła się mała świątynia buddyjska.

Kiedy starzec odwrócił się, żeby raz jeszcze spojrzeć na zachód, na niknącą za wzgórzami słoneczną kulę, żałował już tylko jednego: że nie potrafi latać. Chciałbym choć raz pofrunąć, pomyślał. Dzisiaj, tego wieczoru.

Ponad tysiąc mil dzieliło go od wielkiej Wyżyny Tybetańskiej, rozległego „dachu świata” otoczonego przez Himalaje, ponad którym zdawało się w tej chwili zachodzić słońce. Przypuszczał, że człowiek czuł się tam bliżej wiecznego błękitu niebios niż w jakimkolwiek innym miejscu na ziemi. Z tych niebiańskich wyżyn brały swój początek największe rzeki Azji: Ganges, Indus, Irawadi, Brahmaputra i Mekong, wszystkie zmierzające na południe; ku wschodowi zaś toczyły swe wody dwie potężne chińskie rzeki – Jangcy, obejmująca swoją gigantyczną pętlą doliny i pola ryżowe południowych Chin, oraz Żółta Rzeka, która niby olbrzymi wąż sunęła przez obsadzone zbożem równiny centralnej i północnej części kraju.

Wyżyna Tybetańska: milcząca kraina zamarzniętych jezior i lodowców, niekończący się płaskowyż, miejsce spotkania nieba z ziemią, skąd brało początek wszelkie życie…

Był tam kiedyś, za młodu. Ogarnął go żal, że nie może znów wybrać się na wyżynę, i pozazdrościł czerwonemu słońcu, które codziennie ją oglądało. Pokiwał głową. Dziś wieczorem, pomyślał, właśnie ten widok będzie miał przed oczami, kiedy osunie się w objęcia śmierci.

Jego siostra siedziała przy niskim stoliku. Posiwiała, lecz wciąż była piękna; miał szczęście, mogąc cieszyć się jej towarzystwem, zwłaszcza że jego własna żona i córka już opuściły ten padół.

Na stoliku zauważył kupki patyczków do wróżenia z Księgi Przemian, I Ching. Nie podnosząc wzroku, powiedziała:

– Wiem o truciźnie.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Wyrocznia I Ching ci powiedziała?

– Nie. Otworzyłam szkatułkę.

– Ach. – Zrezygnowany skinął głową. Jego siostrze nigdy nie brakowało sprytu.

Ich ojciec od razu to zauważył, gdy była jeszcze małą dziewczynką. Zatrudnił nauczyciela, żeby udzielał lekcji czytania i pisania im obojgu, a także pewnemu uzdolnionemu chłopcu z wioski.

Chłopiec ów sam był teraz szanowanym nauczycielem w mieście Zhengzhou, a jego syn zdał egzaminy urzędnicze na szczeblu prowincjonalnym. Szlachetny system cesarskiej edukacji umożliwiał wieśniakom awans na najwyższe urzędy – pod warunkiem, że ktoś im dopomógł, opłaciwszy naukę. Czyniąc to, ich ojciec, dobry buddysta, niewątpliwie zaskarbił sobie nie lada zasługi.

Siostra okazała się niezwykle bystra. Gdyby dziewczęta dopuszczano do egzaminów cesarskich, pomyślał cierpko Jiang, mogłaby je zdać lepiej ode mnie. A tak należała do wąskiego grona wykształconych kobiet – w całej prowincji mogło ich być nie więcej niż pół tuzina – którym nawet uczeni okazywali najwyższy szacunek.

– Od miesiąca prawie nic nie jesz, bracie – powiedziała – w dodatku ukrywasz truciznę. Powiedz mi, proszę, dlaczego.

Zawahał się. Nie chciał jej niczego wyjaśniać. Wolałby odejść szybko, bezboleśnie.

– Pamiętasz, jak umarł nasz ojciec – rzekł cicho.

– Jak mogłabym zapomnieć?

– Cierpię na tę samą chorobę. W ubiegłym miesiącu, kiedy wybrałem się do Zhengzhou, odwiedziłem tam aptekarza. Podobno jest najlepszy. Stwierdził u mnie duży brak równowagi qi. Zaordynował akupunkturę. Na krótko mi pomogło. Ale później… – Pokręcił głową. – Nie chcę cierpieć tak jak nasz ojciec. Nie chcę też, abyście ty albo mój syn musieli na to patrzeć.

– Boisz się śmierci? – zapytała.

– Gdy byłem młody, to chociaż bywałem w świątyni buddyjskiej i studiowałem mędrców tao, starałem się przede wszystkim przestrzegać zaleceń Konfucjusza. Na pierwszym miejscu stawiałem pracę, obowiązki

wobec rodziny i dobre uczynki. Z wiekiem znów odnalazłem pociechę w buddyzmie i zacząłem rozmyślać o przyszłej egzystencji z nadzieją, że dobrze przeżyte życie zagwarantuje mi lepszą reinkarnację. Ale im jestem starszy, tym bardziej pociąga mnie to, co nie ma swojej nazwy, a co zwiemy tao. Drogą. – Zamyślony pokiwał głową. – Nie zabiegam już o to życie ani o kolejne, pragnę tylko płynąć z prądem wszechrzeczy. – Łagodnie popatrzył na siostrę. – Zresztą – dodał – jak wie każdy niepiśmienny wieśniak, żyjemy dalej w naszych dzieciach.

– Nie zażywaj na razie trucizny – poprosiła. – Twój syn może cię jeszcze odwiedzić.

– Wyrocznia I Ching tak ci powiedziała? – Spojrzał na nią podejrzliwie. Przytaknęła. Nie dał się zwieść. – Napisałaś do niego. Wiesz, że tu przyjedzie?

– O ile tylko będzie mógł. Zna swoją synowską powinność.

Starzec skinął głową i usiadł. Po kilku minutach zamknął oczy. Jego siostra nie przestawała wpatrywać się w heksagramy I Ching na papierze przed sobą.

O zmierzchu ciszę zakłócił stary sługa, który wpadł z pośpiechem do domu, wołając:

– Panie Jiang! Panie Jiang! Wasz syn nadjeżdża!

Shi-Rong padł na kolana i dotknął głową ziemi. Pokłon koutou był oznaką szacunku należnego ojcu jako głowie rodziny. Nie mógł uwierzyć, jak bardzo staruszek wychudł.

Widok syna i wieści, które przywiózł, zdały się jednak wlewać nowe życie w pana Jianga. Z ożywieniem kiwał głową, gdy Shi-Rong nakreślał mu swoje plany na przyszłość.

– Bardzo dobrze – pochwalił. – Słyszałem o szlachetnym panu Linie. To zacny człowiek. Jeden z niewielu. – Pokiwał głową. – Oczywiście powinieneś raz jeszcze podejść do egzaminów. Ale dobrze robisz, korzystając z takiej okazji. Sam cesarz…

– Dam mu się poznać z jak najlepszej strony – obiecał Shi-Rong.

– Skoro przyjechałeś, przyszykuję twoje ulubione danie – wtrąciła z uśmiechem ciotka. Ze wszystkich potraw kuchni prowincji Yu, Shi-Rong od małego najwyżej cenił danie rybne: karpia z Żółtej Rzeki, podawanego na trzy sposoby: w zupie, smażonego i na słodko-kwaśno. Nikt nie przyrzą-

dzał go lepiej niż ciotka. Potrawa była jednak czasochłonna – jej przygotowanie zajmowało aż trzy dni.

– Rano muszę wracać – zmuszony był wyznać Shi-Rong. Zobaczył, że ciotka zapada się w sobie jak po uderzeniu, a ojciec sztywnieje. Cóż jednak mógł począć?

– Nie możesz pozwolić, żeby szlachetny Lin na ciebie czekał! – zawołał ochryple ojciec. Zaraz jednak, żeby zatuszować ten wybuch emocji, dodał: – Żałuję tylko, że będziesz musiał obcować z ludźmi z południa, mój synu.

Shi-Rong uśmiechnął się. Nawet w takiej chwili ojciec trwał w swoim przekonaniu, że jedynymi prawdziwymi Chińczykami są Hanowie znad Żółtej Rzeki i wielkich, porośniętych zbożem północnych równin.

– Nadal nie cenicie ludzi z pól ryżowych, ojcze?

– Myślą wyłącznie o pieniądzach – odrzekł z pogardą pan Jiang.

– Mówisz, że szlachetny pan Lin zamierza ukrócić napady barbarzyńskich piratów – wtrąciła niespokojnie ciotka. – Czy to znaczy, że będziesz musiał wypłynąć w morze?

– Zrobi to, co mu rozkaże pan Lin – uciął ojciec. – Na pewno jest głodny – dorzucił.

Podczas gdy ciotka przygotowywała posiłek, starzec wypytał go o szczegóły jego misji.

– Czy ci piraci, o których mówisz, to rudowłosi barbarzyńcy czy inne brodate diabły? – chciał wiedzieć.

– Właściwie to nie wiem – odrzekł Shi-Rong. – Pan Wen słyszał od szlachetnego pana Lina, że niegdyś przysłali tu swoich posłów. A także że są bardzo owłosieni i nie zginają nóg, dlatego często się przewracają.

– To brzmi mało prawdopodobnie – rzekł starzec. – Ale pamiętam, że gdy byłem młody, na dwór dziadka obecnego cesarza istotnie przybyło takie poselstwo. Słyszałem o nim od ludzi będących blisko dworu. Barbarzyńcy przypłynęli statkiem z dalekiego lądu na zachodzie. Ich ambasador przywiózł podarki, ale odmówił wykonania koutou przed cesarzem, jak tego wymagał zwyczaj. Nigdy przedtem to się nie zdarzyło. Cesarz rozumiał, że ma do czynienia z ignorantem i głupcem, mimo to obdarował go wspaniałym nefrytem – choć ten dureń najwyraźniej nie poznał się na jego wartości. Potem barbarzyńcy zaprezentowali dary ze swojego kraju – zegary, teleskopy i co tam jeszcze – myśląc, że będziemy pod wrażeniem. Cesarz wyjaśnił im, że nie potrzebujemy przywiezionych przez nich rzeczy, był jednak zbyt uprzejmy, aby wytknąć, że są gorszej jakości od tych, które

otrzymał już w darze od posłów z innych zachodnich krain. Na koniec barbarzyńca poprosił o zgodę na handel z innymi portami niż Guangzhou – które całkowicie zadowala pozostałych cudzoziemskich kupców – wysunął też wiele innych niemądrych żądań. To było absurdalne. – Starzec pokiwał głową. – Być może ci opiumowi piraci są z tego samego kraju.

– Prawie nic nie wiem o dalekich zamorskich lądach – przyznał Shi-Rong.

– Mało kto coś o nich wie – odparł jego ojciec. – Ale nie zawsze tak było – dodał. – Przed czterystu laty, za czasów dynastii Ming, mieliśmy wielką flotę statków handlujących z Zachodem. Z czasem przestało to być dochodowe i teraz to ich statki przypływają do nas. Cesarstwo jest takie ogromne… Nie ma rzeczy, której nie zdołalibyśmy sami wytworzyć. Barbarzyńcy potrzebują nas, a nie na odwrót.

– Na pewno potrzebują naszej herbaty – zgodził się Shi-Rong. – Słyszałem też, że jeśli brakuje im naszego rzewienia, umierają.

– Możliwe – przytaknął ojciec. – Widzę, że ciotka przygotowała już dla nas posiłek.

Zupa, pierożki nadziewane wieprzowiną, makaron z baraniną i warzywami posypany kolendrą; dopiero czując bogaty aromat potraw, Shi-Rong zdał sobie sprawę, jak bardzo był głodny. Ojciec również zjadł coś dla towarzystwa, ku wyraźnej radości ciotki.

Podczas kolacji młodzieniec odważył się zagadnąć ojca o zdrowie.

– Starzeję się, mój synu. To naturalne. Lecz nawet gdybym miał jutro umrzeć – co przecież nie nastąpi – odszedłbym szczęśliwy, wiedząc, że majątek naszej rodziny przejdzie na godnego dziedzica.

– Błagam was, ojcze, abyście żyli jeszcze przez wiele lat. Chcę, żebyście oglądali moje sukcesy, chcę dać wam wnuki. – Zauważył, że na te słowa ciotka skinęła głową z aprobatą.

– Postaram się – obiecał z uśmiechem ojciec.

– Powinien więcej jeść – powiedziała ciotka, na co Shi-Rong z czułością umieścił pierożek w ojcowskiej misce.

Pod koniec posiłku, widząc, że starzec wydaje się zmęczony, Shi-Rong zapytał, czy nie chciałby się położyć.

– Kiedy chcesz jutro wyruszyć? – zapytał go ojciec. – O świcie?

– Rankiem. Ale nie o świcie.

– Nie jestem jeszcze gotów do snu, ale twoja ciotka chce udać się na spoczynek. Życz jej dobrej nocy. Potem jeszcze porozmawiamy. Mam ci

coś do powiedzenia.

Po wyjściu ciotki mężczyźni spędzili w milczeniu kilka minut, zanim pan Jiang znów się odezwał.

– Twoja ciotka zanadto się o mnie martwi. Ale jako że nikt z nas nie wie, kiedy umrze, czas, abym przekazał ci swoją ostatnią wolę. – Spojrzał z powagą na syna, który skłonił głowę. – Pierwsze zalecenie jest dosyć proste: we wszystkich działaniach kieruj się nauką Konfucjusza. Szanuj swoją rodzinę, cesarza, tradycję. W przeciwnym razie ogarnie cię chaos.

– Zawsze staram się tak postępować, ojcze. I nie przestanę.

– Nigdy w to nie wątpiłem. Ale im będziesz starszy, a zwłaszcza im większe sukcesy osiągniesz, tym większe pokusy napotkasz na swojej drodze. Będzie cię kusiło, aby przyjmować łapówki, jak czynią to niemal wszyscy urzędnicy. Dzięki temu odchodzą z urzędów z wielkim majątkiem. Lin nie przyjmuje łapówek. Stanowi chlubny wyjątek i rad jestem, że dla niego pracujesz. Jeżeli jednak pojawi się pokusa, nie wolno ci jej ulec. Dzięki uczciwości i własnym sukcesom zarobisz dość pieniędzy. Obiecujesz?

– Oczywiście, ojcze. Masz moje słowo.

– Pozostaje zatem jeszcze jedna sprawa, a dotyczy ona cesarza. – Ojciec się zawahał. – Nigdy nie zapominaj, że cesarz Chin zasiada na tronie w samym środku świata i ma mandat Niebios, aby nami rządzić. Prawdą jest, że przez tysiąclecia rządzące dynastie czasami się zmieniały, lecz gdy nadchodził ów czas, bogowie zawsze zsyłali nam liczne znaki. Na długo przedtem, zanim przed dwustu laty ostatni cesarz z dynastii Ming powiesił się z rozpaczy, dla wszystkich było jasne, że odpowiedzią na nasze potrzeby są Mandżurowie z północy.

– Nie dla wszystkich – musiał zaprotestować jego syn.

– Masz na myśli garstkę zwolenników dynastii Ming, którzy umknęli na Tajwan. I paru buntowników, takich jak ci bandyci z Białego Lotosu… – Ojciec wykonał lekceważący gest ręką. – Służąc cesarzowi, musisz zawsze pamiętać, że jesteś posłuszny mandatowi Niebios, mój synu. To zaś ma związek z moją ostatnią prośbą. Obiecaj mi, że nigdy nie okłamiesz cesarza.

– Naturalnie, ojcze. Dlaczego miałbym uczynić coś takiego?

– Bo wielu tak robi. Urzędnikom poleca się postąpić tak albo inaczej. Muszą składać raporty. Pragną zadowolić cesarza i zyskać awans – a przynajmniej uniknąć kłopotów – dlatego mówią cesarzowi to, co ten chce usły-

szeć. Kiedy coś pójdzie nie po ich myśli albo nie zbiorą wymaganego kontyngentu, wysyłają fałszywe sprawozdania. To wbrew zasadom konfucjańskim i jeśli zostaną przyłapani, gniew cesarza może być większy, niż gdyby wyznali mu prawdę. Mimo to wielu tak postępuje. W całym cesarstwie. – Westchnął. – To nasz kardynalny grzech.

– Ja nie będę tak robić.

– Bądź uczciwy z miłości do prawdy. Będziesz miał czyste sumienie, a zarazem to pomoże ci w karierze. Jeżeli zyskasz reputację prawdomównego, cesarz będzie wiedział, że może mieć do ciebie zaufanie, i cię awansuje.

– Obiecuję, ojcze.

– W takim razie to już wszystko.

Shi-Rong spojrzał na ojca; nic dziwnego, że starzec tak cenił pana Lina. Obaj byli tak samo zacni, ulepieni z tej samej gliny. Jeżeli nawet czekająca go misja budziła w nim ciche obawy przed wrogami, jakich mógł sobie narobić, w kwestii sprawnego lawirowania po niebezpiecznym labiryncie cesarskiej biurokracji nie miał co liczyć na poradę ojca. Pod tym względem zgadzali się z panem Linem. Cóż, pozostawało mu tylko mieć nadzieję na sukces i przychylność cesarza.

Ojciec był już zmęczony. Nagle wydał się Shi-Rongowi niezwykle słaby. Czy po raz ostatni widział go żywego? Ogarnęła go fala wdzięczności i miłości do starca, a także poczucie winy. O tyle rzeczy mógł go przecież zapytać, kiedy miał po temu możliwość.

– Rano znowu porozmawiamy – obiecał mu ojciec. – Mam ci coś do pokazania, zanim wyruszysz w drogę.

Shi-Rong zbudził się wcześnie. Ojciec jeszcze spał, lecz ciotka krzątała się po kuchni, jak się tego spodziewał.

– Powiedz mi prawdę, jak miewa się ojciec – poprosił ją cicho.

– Uważa, że jest chory. Może się mylić, jednak szykuje się na śmierć. Chce odejść szybko i spokojnie. Nic nie je.

– Co mogę zrobić?

– Możesz sprawić, aby znowu zapragnął żyć. Nikt inny tego nie dokona.

– Ależ ja chcę, aby żył. Potrzebuję go żywego.

– Wobec tego może ci się udać.

– A ty? Jak ty się masz?

– Jeszcze długo pożyję – odparła po prostu. Nie wyglądała wcale na uradowaną tą perspektywą.

Dołączył do nich ojciec, najwyraźniej w znakomitym nastroju. Zjadł trochę wraz z nimi, po czym, dając znak Shi-Rongowi, rzekł:

– Mam dla ciebie zadanie.

To była ich tradycja od wczesnego dzieciństwa, odkąd ojciec zaczął mu udzielać pierwszych lekcji: na koniec zawsze czekało chłopca jakieś zadanie – niespodzianka dla pobudzenia umysłu, żeby nauczyć go czegoś nowego. Mogła to być przyrodnicza ciekawostka, zawiłe przysłowie albo starożytna pieśń. Zwykle przypominało to zabawę i żadna wizyta Shi-Ronga w domu nie mogła się bez niej obyć.

Pan Jiang wyjął z szuflady woreczek i wysypał jego zawartość na stół. Rozległ się grzechot i Shi-Rong ujrzał kupkę drobnych odłamków kości oraz żółwiej skorupy.

– Miesiąc temu byłem w Zhengzhou – wyjaśnił ojciec – i robiłem zakupy w aptece, gdy jakiś wieśniak to przyniósł. – Uśmiechnął się. – Chciał to sprzedać aptekarzowi. „Zmielisz je – rzekł – a proszek sprzedasz za wysoką cenę. Na pewno jest w nich jakaś magiczna moc”. Miał gospodarstwo na północ od rzeki i twierdził, że znalazł kości w ziemi, a w domu ma ich więcej. Liczył chyba, że aptekarz z zyskiem sprzeda proszek i słono mu zapłaci za kolejną dostawę. Jednak aptekarz nie był zainteresowany, przekonałem go więc, aby sprzedał je mnie.

– Ale dlaczego je kupiłeś, ojcze?

– I to jest właśnie moja zagadka. Musisz ją rozwiązać. Przyjrzyj się dobrze tym odłamkom.

Początkowo Shi-Rong nie dostrzegł w nich niczego ciekawego. Ot, garść połamanych kości zabrudzonych ziemią. Ale dwa kawałki żółwiej skorupy zdawały się do siebie pasować i gdy umieścił je obok siebie, zauważył na ich powierzchni drobne nacięcia. Przejrzawszy resztę kości, znalazł więcej takich, których krawędzie były zaskakująco równe.

– Tutaj jest jakieś pismo. Wygląda na prymitywne.

– Dasz radę je odczytać?

– Nie.

– To chińskie znaki. Nie mam co do tego wątpliwości. Zobacz… – wskazał mu ojciec – to znak określający „człowieka”. Ten oznacza konia, a ten to może być „woda”.

– Chyba macie rację.

– Uważam, że to pradawne chińskie pismo, wczesne formy tych znaków, jakie znamy dzisiaj.

– Zatem muszą być bardzo stare.

– Mamy tu przykłady w pełni ukształtowanego pisma z bardzo wczesnego okresu. Według mnie te kości liczą sobie cztery tysiące lat, może nawet więcej.

Shi-Rongowi przyszła do głowy wspaniała myśl.

– Ojcze, musicie zdobyć je wszystkie i odczytać to pismo. Zyskacie sławę.

Ojciec zachichotał.

– Miałbym więc żyć jeszcze wiele lat?

– Oczywiście. Musicie zobaczyć, jak zdobywam przychylność cesarza, i samemu zdobyć sławę wśród uczonych. To wasz obowiązek względem rodziny – dodał sprytnie.

Ojciec spojrzał na niego z czułością. Miłość młodych zawsze jest trochę samolubna, inaczej być nie może, mimo to wzruszyły go zabiegi syna.

– No cóż – odrzekł bez większego przekonania. – Postaram się.

Wiedział, że teraz muszą się już pożegnać. Młodzieńca czekała długa podróż. Shi-Rong miał ruszyć doliną do Kaifengu, a dalej starożytnym traktem aż do potężnej rzeki Jangcy, trzysta mil na południe. Stamtąd od wybrzeża dzieliło go jeszcze siedemset mil lądem i rzeką. Będzie miał szczęście, jeżeli zdoła dotrzeć na miejsce w ciągu pięćdziesięciu dni.

Gdy rozstawali się przy bramie wiodącej do domu, Shi-Rong raz jeszcze błagał ojca, by ten dożył jego powrotu, na co starzec polecił mu:

– Przestrzegaj moich zaleceń.

Później wraz z siostrą patrzyli, jak odjeżdża, aż zniknął im z oczu.

Dwie godziny po odjeździe Shi-Ronga jego ciotka usiadła przy stoliku do pisania. Brat jej po krótkiej przechadzce położył się, żeby trochę odpocząć, ona zaś wróciła do tego, co zajmowało jej myśli od kilku dni przed przybyciem bratanka.

Na blacie przed sobą miała duży arkusz papieru z liniami heksagramów. Ponownie spróbowała odszyfrować ich znaczenie, tak jak robiła to już tyle razy wcześniej.

Kłopot z I Ching polegał na tym, że wyrocznia rzadko dawała jasne odpowiedzi. Zagadkowe słowa, enigmatyczne proroctwa, zagadki do rozwi-

kłania; wszystko zależało od tego, kto je interpretował. Czasami przesłanie wydawało się oczywiste, najczęściej nie.

Czy to, co zdołała odczytać na temat Shi-Ronga, było spójne? Wydawało jej się, że tak. Heksagramy wskazywały na niebezpieczeństwo, ale nie czaiło się ono blisko. Mówiły o śmierci – niespodziewanej, ale nieuniknionej. O śmierci w wodzie.

Wszystko było takie niejasne.

Nie powiedziała nic swojemu bratu. Ani bratankowi. Co by to dało?

* * *

Przyjęcie na cześć Tradera udało się wyśmienicie. Najpierw wręczono mu prezent.

– Z początku nie wiedzieliśmy, co ci podarować – wyznali mu przyjaciele. – Potem ktoś zaproponował obraz. Ale jaki? Po burzliwych dyskusjach uzgodniliśmy, że skoro natura okazała się dla ciebie ponad miarę łaskawa, obdarzając cię taką urodą, najlepiej zrobimy, dając ci twój własny portret!

– Żebyś miał co wręczyć pani swojego serca! – zawołał któryś.

– Trzeba było od razu zamówić ich kilka, dla każdej po jednym – przyłączył się ktoś inny. – Ale nie było nas stać.

– Więc oto jest! – zakrzyknęli triumfalnie.

Była to oczywiście miniatura; portrety do zawieszenia na ścianie dawano starszym mężczyznom odchodzącym na zasłużony odpoczynek, a nie młodzikom u progu życia. Mimo to Trader mógł być zadowolony: przyjaciele wybrali tradycyjny owalny kształt, tak lubiany przez damy, olej na kości słoniowej. Podobiznę Tradera oddano tak realistycznie, z takim bogactwem kolorów, jakby wyszła spod pędzla samego Andrew Robertsona. Nie wyszła, ale mogła; wszyscy byli zgodni, że ze swym bladym, przystojnym obliczem, posępnym spojrzeniem i ciemnymi lokami Trader prezentuje się na tle innych pośredników handlu z Chinami jak „istny Byron”.

– Pamiętasz tego malarza, którego zatrudniliśmy, żeby zrobił szkic naszego wspólnego portretu? – przekrzykiwali się nawzajem. – To był miniaturzysta. Przez cały czas tak naprawdę szkicował ciebie.

Trader uroczyście im podziękował i szczerze się ucieszył z prezentu. Powiedział, że zachowa go do końca życia na pamiątkę dni spędzonych

w tak miłej kompanii. Powiedziałby więcej, gdyby go nie zakrzyczeli:

– Dosyć! Wystarczy! Teraz czas na piosenkę.

Młody Crosbie, drobny, płowowłosy Szkot, siadł do pianina i na poczekaniu wymyślił skoczny kawałek, a raczej improwizował go na bieżąco z pomocą swych towarzyszy: Garstina, Standisha, Swanna, Gilesa i Humphreysa, wesołych chłopaków ze znanych przedstawicielstw handlowych. Charlie Farley naturalnie także był obecny.

* * *

Ernest Read uśmiechnął się i od niechcenia zaciągnął się cygarem. Ten potężnie zbudowany Amerykanin o krótko przystrzyżonych włosach, z sumiastymi brązowymi wąsami, pomimo swoich dwudziestu ośmiu lat doświadczeniem życiowym dorównywał czterdziestolatkowi. Dobrze wiosłował i nie stronił od typowo męskich rozrywek. Ani od kobiet. Teraz spojrzał na Johna Tradera.

– Hucznie cię żegnają, Trader. Kiedy wyjeżdżasz?

– Za trzy dni.

– Wobec tego niewykluczone, że jeszcze się zobaczymy. Przed powrotem do ojczyzny wybieram się do Makau.

– Zawsze się cieszę z dobrego towarzystwa – odrzekł John, nie zagadnął jednak Amerykanina o jego interesy. Read wyglądał na takiego, który informuje innych o swoich poczynaniach, tylko jeśli ma na to ochotę.

– Zatem zamierzasz handlować z Chińczykami – ciągnął Read. – Co myślisz o sprzedaży opium?

– To lek. – Trader wzruszył ramionami. – W Anglii podaje się laudanum małym dzieciom.

– A jeśli ktoś nadużywa tej przyjemności… to już jego kłopot, prawda?

– Tak samo jak z winem i mocniejszymi alkoholami. Zakazałbyś ich sprzedaży?

– Nie. – Read się zastanowił. – Choć mówią, że opium bardziej uzależnia. Fakty są takie, że chiński cesarz jest mu przeciwny. Sprzedaż i konsumpcja tego artykułu są w Chinach zakazane.

– Szczęśliwie nie podlegam przepisom chińskiego prawa. – Trader obrzucił Reada bystrym spojrzeniem. – Twoi rodacy także handlują opium.

– Ależ oczywiście. – Read uśmiechnął się szeroko. – Russell, Cushing, Forbes, Delano – najlepsze i najstarsze nazwiska w Bostonie. Jednak udział Amerykanów w handlu z Chinami to kropla w morzu w porównaniu z tym, co robicie wy, Brytyjczycy. – Ponownie zaciągnął się cygarem. – Podobno wszedłeś w spółkę?

– Zgadza się. Odstock i synowie to niewielka firma, w zasadzie obecnie już tylko dwaj bracia. Jeden mieszka tu, drugi w starym Kantonie.

– Słyszałem o nich – przytaknął Read. – To dobrzy pośrednicy. Domyślam się, że poszczęściło ci się na tyle, aby móc coś zainwestować.

– Trafił mi się mały spadek, i tyle.

– A teraz chcesz czym prędzej zbić majątek.

John Trader w zamyśleniu pokiwał głową.

– Coś w tym rodzaju – przyznał cicho.

Nazajutrz była niedziela. Charlie odwiedzał wtedy zwykle ciotkę. Obiad spożywano wczesnym popołudniem, po czym całe towarzystwo szło na wspomagającą trawienie przechadzkę. Na posiłek często zapraszano gości, lecz tego dnia przy stole zasiadła sama rodzina.

– Opowiedz mi o wczorajszym przyjęciu – poprosiła Charliego ciotka Harriet.

– Było jak zawsze. Żartowaliśmy sobie z Chińczyków, Crosbie próbował skomponować piosenkę i wszyscy podpuszczali Johna, mówiąc, jak to się wkrótce wzbogaci.

– O ile wiem, już teraz nie jest biedny – zauważyła ciotka.

– Ale potrzebuje więcej pieniędzy. – Charlie rzucił jej porozumiewawcze spojrzenie. – Zakochał się.

– Doprawdy? W kim?

– W Agnes Lomond.

– Opowiedz mi zatem o Agnes Lomond. Widziałam ją tylko raz.

– Właściwie to nie ma o czym mówić. Nie wiem, co on w niej widzi.

– Kiedy to się zaczęło?

– W dniu, gdy jedliśmy lunch z jej ojcem. Zupełnie jakby go grom poraził! Kilka dni później odkryłem, że odwiedził matkę Agnes. On sam słowem mi o tym nie wspomniał.

– Pułkownik Lomond go polubił?

– Przeciwnie, szczerze go nie cierpi. Jednak po tamtej wizycie pani Lomond uznała Tradera za czarującego. – Charlie myślał o czymś przez chwilę. – Przypuszczam, że pułkownik ma twardy orzech do zgryzienia. Agnes niczego nie brakuje, ale żadna z niej piękność. Naturalnie to arystokratka, tyle że niezamożna, dlatego nawet ktoś taki jak pułkownik musi postępować z rozwagą. Żadnemu ojcu nie zależy na łatce despoty przeganiającego zalotników. To zniechęca potencjalnych kandydatów do ręki panny.

– Zatem Trader zaleca się do panny Lomond?

– Do tego jeszcze daleko. Na razie wolno mu odwiedzać matkę Agnes i wtedy ją widuje. Spotykają się też przy innych okazjach, jak sądzę. Wydaje mi się jednak, że chce wzmocnić swoją pozycję, zanim posunie się dalej.

– Dlatego wyjeżdża do Chin, gdzie spodziewa się szybko zarobić fortunę. A podczas jego nieobecności…?

– Pułkownik przeczesze całe imperium brytyjskie w poszukiwaniu bardziej odpowiedniego młodzieńca. – Charlie zachichotał. – Musiał się nie na żarty przestraszyć, bo spytał mnie, czy nie byłbym przypadkiem zainteresowany.

– To mnie akurat nie dziwi. Przyjaźnił się z twoim ojcem. Poza tym cię lubi. Każda dziewczyna cieszyłaby się, mogąc cię poślubić. I co, jesteś zainteresowany?

– Dziewczyna nie jest w moim typie.

– Wiadomo, co o tym wszystkim myśli sama panna Lomond?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Charlie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

OPIUM

Marzec 1838 roku

Morza chińskie; ciepła noc, lekka bryza. Horyzont znaczyły ciemne pasma chmur, ponad którymi wśród gwiazd błyszczał srebrny półksiężyc. Morza chińskie bywały zdradliwe, szczególnie groźne w porze monsunów, tego wieczoru jednak ich czarne, gładkie jak emalia wody rozstępowały się łagodnie przed dziobem klipra. Ładunek, upchnięty pod pokładem w pięciuset skrzyniach z drewna mangowca – z których aż sto należało do Tradera i stanowiło równowartość lwiej części jego majątku – także miał czarny kolor. Było nim opium.

John Trader spoglądał z pokładu na wodę. Twarz miał nieprzeniknioną niczym pokerzysta. Dokonał wyboru i teraz nie było już odwrotu.

Miał szczęście, że Odstockowie szukali wspólnika. Młodszego z braci, Benjamina, znał już wcześniej, zanim zagadnął go o możliwość przystąpienia do spółki. Jak się okazało, trafił na właściwy moment.

– Mój brat Tully ma pięćdziesiątkę na karku – rzekł postawny kupiec. – Od lat siedzi w Kantonie i chciałby już wrócić do Londynu, do naszego ojca. – Uśmiechnął się. – Ja wręcz przeciwnie. Ojciec to stary, zrzędliwy drań. Tak czy inaczej, Tully szuka kogoś, kto przejąłby nasze sprawy w Kantonie. Myśli pan, że temu podoła?

– To brzmi jak praca w sam raz dla mnie – odparł Trader.

– Zależy nam na kimś, kto zainwestowałby w firmę. – Benjamin uważnie mu się przyjrzał.

– Niewykluczone, że byłbym zainteresowany. Oczywiście zależy, na jakich warunkach.

– To nie Kalkuta – uprzedził go kupiec. – Towarzysko mało się tam dzieje. Do samego Kantonu wstęp mają wyłącznie mężczyźni. W sezonie handlowym muszą tam tkwić całymi tygodniami, podczas gdy ich rodziny mieszkają w Makau. To nie najgorsze miejsce do życia. Zdrowe. Jak pan wie, rządzą nim Portugalczycy, ale jest też spora grupa Anglików. Mają swój kościół i tak dalej, a także przedstawiciela brytyjskiego rządu, nawiasem mówiąc. Teraz jest nim niejaki kapitan Elliot. Porządny gość, moim zdaniem.

– A po latach można się dorobić majątku – zauważył z uśmiechem Trader. Postanowił chwilowo zataić fakt, że miał nadzieję szybciej zdobyć fortunę.

– Owszem, przy odrobinie szczęścia. – Benjamin Odstock przyglądał mu się z namysłem, Trader zaś dokonywał inspekcji plam po tytoniu na kamizelce swojego starszego rozmówcy. – W tym fachu trzeba być przedsiębiorczym i mieć nerwy ze stali. Ceny szybują w górę i w dół. Czasami dochodzi do nasycenia rynku.

– Cesarz nie sprzyja handlowi.

– Tym niech się pan nie martwi. Popyt jest ogromny i stale rośnie. – Benjamin Odstock wydął rumiane policzki. – Grunt to nie tracić głowy. Nie zdziwiłbym się – dodał z zadowoleniem – gdyby handel opium trwał bez końca.

Odstockowie znali się na interesach. John uznał, że może im zaufać.

Była północ, gdy dostrzegli przed sobą szkuner. Trzykrotnie rozbłysło światło – umówiony sygnał. Trader wciąż stał na pokładzie obok kapitana.

– To pewnie McBride – odezwał się mężczyzna. – Zwykle tutaj odbiera swój towar.

– Dlaczego? – Baza przemytników znajdowała się na wyspie Lintin, w zatoce.

– McBride woli otwarte morze. – Po chwili padł rozkaz: – Stawać w dryf! – Gdy podpłynęli bliżej, szyper szkunera uniósł latarnię, której światło padało na jego brodatą twarz. – To oni – stwierdził kapitan.

Nagle po wodzie poniósł się głos McBride’a.

– W Lintin nic nie schodzi! Nie ma chętnych na towar!

Trader poczuł, że blednie. Na szczęście w ciemności nikt nie mógł tego zauważyć.

– Może on kłamie? – zwrócił się do kapitana. – Chce, żebym sprzedał towar jemu?

– McBride jest uczciwy. Zresztą sam nie kupuje, tylko sprzedaje za procent od zysków.

Moja pierwsza wyprawa, pomyślał John, i nikt nie chce kupić ładunku, w którym utopiłem cały spadek. Czyżbym był zrujnowany?

– Spróbuję pohandlować dalej na wybrzeżu! – krzyknął McBride. – Zmieszczę jeszcze sto skrzyń. Jesteście zainteresowani?

John przypomniał sobie słowa Benjamina Odstocka. Nerwy ze stali. Nie tracić głowy. Grunt to być przedsiębiorczym. Mimo to prawie się dziwił, słysząc swój własny głos:

– Tylko pod warunkiem, że zabierzecie mnie ze sobą i po wszystkim odstawicie do Kantonu.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Niech tak będzie! – odkrzyknął McBride.

Załoga szkunera liczyła dwudziestu majtków – Anglików, Holendrów, Irlandczyków, dwóch Skandynawów i kilku laskarów, indyjskich marynarzy. Przetransportowanie stu skrzyń z klipra do szerokiej ładowni szkunera zajęło im mniej niż pół godziny.

John zorientował się tymczasem, że nie jest jedynym pasażerem. Uradował się, widząc, że na pokładzie jest jego znajomy z Kalkuty, Read.

– Płynąłem do Makau – wyjaśnił Amerykanin. – Popołudniem natknęliśmy się na McBride’a. Kiedy się dowiedziałem, że zamierza spenetrować wybrzeże, zmieniłem statek i zabrałem się z nim w rejs. – Uśmiechnął się szeroko. – Cieszy mnie twoje towarzystwo, Trader. Powinno być ciekawie. Mamy też na pokładzie misjonarza. – Palcem wskazał śpiącą w hamaku postać. – Holendra.

Po przeładunku towaru McBride’owi pilno było ruszać w dalszą drogę. Załoga szybko się uwinęła i wkrótce odpłynęli.

– Możecie panowie zająć moją kabinę, jeśli chcecie – oznajmił im szyper. – Chyba że wolicie spać na górnym pokładzie, na rufie są koce. Na waszym miejscu trochę bym się zdrzemnął.

Read wybrał nocleg pod gwiazdami, John również. Gdyby coś miało się wydarzyć, wolał uniknąć elementu zaskoczenia. Przeszli na dziób statku i umościli się do snu. Większość załogi także tam była: spali albo po prostu siedzieli w milczeniu. Misjonarz – duży, zwalisty chłop – ani razu nie wyjrzał ze swojego hamaka. Od czasu do czasu z lekkim szmerem wiatru w olinowaniu mieszały się odgłosy jego pochrapywania.

John od razu zasnął. Otworzył oczy, dopiero gdy niebo rozjaśniła pierwsza zapowiedź świtu. Read już nie spał; zamyślony wpatrywał się w blednące gwiazdy nad głową.

– Dzień dobry – odezwał się John cicho. – Od dawna nie śpisz?

– Od jakiegoś czasu. – Amerykanin odwrócił ku niemu głowę. – Czy ładunek, który do nas trafił, należy do ciebie?

– Częściowo. – John usiadł. Kosmyk ciemnych włosów opadł mu na czoło. Odgarnął go.

– Czyli sporo zależy od tego, czy uda ci się go sprzedać. Zapożyczyłeś się?

– Trochę.

– Nie brakuje ci odwagi. – Read nie kontynuował tematu.

Wstali i dołączyli do stojącego przy sterze szypra.

– Spokojnie? – zagadnął go Read.

– Na razie zagrażają nam tylko piraci – odparł McBride. – Jeśli się na nich natkniemy – dodał – dam panu pistolet, sir, i poproszę, żeby pan z niego skorzystał.

– Nie zawaham się strzelić. – Read wydobył cygaro.

– Wygląda mi pan na takiego, co sporo pływał.

– Bywało się tu i ówdzie.

– Co pana tu sprowadza, jeśli wolno spytać?

– Chciałem być jak najdalej od żony. – Read zapalił cygaro i przez chwilę rozkoszował się nim w milczeniu. – Ale to pierwszy raz, kiedy coś przemycam. – Wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Dotychczas nigdy nie złamałem prawa.

– Tylko chińskie – odrzekł McBride. – A to się nie liczy.

– Racja. – Read zerknął na misjonarza, który chrapał coraz donośniej. – Niech mi pan powie, zawsze zabieracie w rejs misjonarza?

– Z reguły tak, bo znają język. Robią za tłumaczy.

– I nie przeszkadza im… to, co robimy?

McBride się uśmiechnął.

– Sam się pan przekona, sir.

Godzinę po wschodzie słońca dostrzegli zarys wybrzeża – niewielki cypel na zachodzie, który szybko zniknął im z oczu. Potem przez dłuższy czas nic się nie działo, dopiero przed południem ponownie ujrzeli brzeg. Godzinę później Trader wypatrzył zbliżające się szybko ku nim żagle. Spojrzał na kapitana McBride'a.

– Piraci? – spytał.

Kapitan pokręcił głową i na moment przekazał koło sterowe Readowi, sam zaś podszedł do misjonarza i potrząsnął nim, żeby go obudzić.

– Pobudka, van Buskirk. Mamy klientów.

Trader przyglądał się wielkiemu Holendrowi, który – gdy tylko się rozbudził – okazał się zaskakująco żwawy. Wyciągnął spod zadaszenia dwa duże wiklinowe kosze i otworzył je: jeden zawierał książki w miękkich oprawach, drugi był pełen ulotek w kolorowych, papierowych okładkach. Mężczyzna podszedł do nich.

– To Biblie? – zainteresował się Read.

– Nowy Testament, panie Read, i chrześcijańskie dzieła teologiczne. Oczywiście po chińsku. Wydrukowane w Makau.

– Żeby nawracać pogan?

– Na to liczę.

– Dziwny sposób na ewangelizację, jeśli wolno mi tak powiedzieć – z pokładu statku szmuglującego opium.

– Gdybym mógł głosić Słowo na lądzie, sir, bez obaw, że zostanę aresztowany, nie byłoby mnie tutaj – odrzekł zwalisty Holender. Spojrzał na szypra. – Który towar sprzedajemy w pierwszej kolejności?

McBride wskazał na Tradera. Misjonarz odwrócił się ku niemu.

– Mam pańskie zapewnienie, że towar pochodzi wyłącznie z Patny i Waranasi? Żadnej drobnicy z Malwy?

– Wszystko odpowiednio zapakowane, w zbitych kulach – potwierdził John. – Najwyższej jakości.

– Zdaje się pan na mnie w kwestii negocjacji ceny? – chciał wiedzieć misjonarz. Wahanie Johna nie uszło jego uwagi. – Tak będzie najlepiej.

Trader spojrzał na McBride'a, który skinął głową.

Dziwny człowiek z tego Holendra, pomyślał John. Zna różne języki, Bóg wie ile lat spędził na Wschodzie, usiłując nawracać pogan z kraju, do

którego nie miał wstępu.

Wyglądało jednak na to, że musi złożyć swój los w jego rękach.

– Zgoda – rzekł.

Łódź przemytników była długa, wąska i niepomalowana. Miała kwadratowe żagle, a przy jej burtach siedziało trzydziestu albo czterdziestu wioślarzy uzbrojonych w noże i szable abordażowe. Chińczycy nazywali je „pędzącymi smokami". Niezależnie od tego, skąd wiał wiatr – albo czy w ogóle wiał – taki „pędzący smok" mógł sprawnie manewrować i był prawie niedościgniony.

Ledwie przemytnicy przybili do burty klipra, pojawił się niski, umięśniony, bosonogi człowieczek z cienkim warkoczem, ubrany w bawełniane portki do kolan i rozpiętą koszulę. Szybko wspiął się na pokład i podszedł od razu do van Buskirka.

Negocjacje trwały zadziwiająco krótko i prowadzono je w języku kantońskim, którym Holender zdawał się płynnie posługiwać. Po kilku słowach przemytnik w ślad za kapitanem dał nura do ładowni i wybrał skrzynię, którą wyniosło na pokład dwóch majtków. Wziąwszy ostry nóż, rozciął otaczający skrzynię jutowy worek i zerwał uszczelnienie ze smoły. Po chwili skrzynia była już otwarta, a on pogrzebał w wypełniających ją trocinach i uniósł słomianą plecionkę, odsłaniając wierzchnią warstwę dwudziestu przegródek, z których każda zawierała, niczym małe pociski artyleryjskie, porcjowane opium ciasno zawinięte w makowe liście.

Wyjąwszy jedną z takich kul, mężczyzna zeskrobał z niej liść, wytarł nóż w koszulę, po czym wbił jego czubek w twardą, ciemną masę pod spodem. Następnie wsunął ostrze do ust. Na chwilę zamknął oczy, szybko skinął głową i zwrócił się do van Buskirka.

Po trwającej mniej niż minutę szybkiej wymianie zdań dobito targu.

– Pięćdziesiąt skrzyń, po sześćset srebrnych dolarów każda – oznajmił Holender.

– Liczyłem na tysiąc – odrzekł John.

– Nie w tym roku. Najpierw zaproponował pięćset. I tak pan zarobił.

Zanim skończyli rozmawiać, część załogi zaczęła pospiesznie wynosić skrzynie na pokład, inni zaś opuszczali je przez burtę na „pędzącego smoka". Jednocześnie wciągnięto na szkuner skrzynkę ze srebrem. Gdy tylko znalazła się na pokładzie, chiński przemytnik zaczął odliczać zapłatę.

Obok niego piętrzyły się worki monet i sztabki srebra. Kapitan spokojnie się temu przyglądał.

Van Buskirk natomiast błyskawicznie stracił zainteresowanie transakcją. Pospieszył do swoich koszy, sięgnął do pierwszego z nich i wydobył stertę książek.

– Niech mi pan pomoże, panie Trader! – zawołał. – Choć tyle mógłby pan zrobić.

Trader się zawahał. Na pokładzie wciąż rosła kupka srebra. Read uprzedził go; posłusznie podszedł do drugiego z koszy, wziął z niego naręcze pism i przytrzymując je podbródkiem, podszedł do burty statku, po czym wrzucił wszystko do przemytniczej łodzi poniżej. Holender zrobił to samo z egzemplarzami Nowego Testamentu.

– Przeczytajcie to – zwrócił się w dialekcie kantońskim do chińskich wioślarzy. – Głoście Słowo Boże.

Przeładunek opium odbywał się w zdumiewającym tempie. Uformowano ludzki łańcuch, tak że ciężkie skrzynie niemal frunęły z ładowni na pokład i z pokładu do smoczej łodzi. Zanim van Buskirk i Read uporali się z przekazaniem kolejnych naręczy książek oraz pism, było już po wszystkim i chiński przemytnik właśnie zamierzał opuścić ich statek.

– Proszę mu powiedzieć, żeby zaczekał! – zawołał Trader do Holendra. – Nie przeliczyłem jeszcze pieniędzy.

Na van Buskirku nie zrobiło to jednak większego wrażenia i ku rozpaczy Tradera przemytnik przeskoczył przez burtę, a chińscy wioślarze wzięli się do roboty. Zauważył, że Read i kapitan uśmiechają się. Van Buskirk spokojnie pozamykał swoje kosze i dopiero wówczas podszedł do kupki srebra.

– Podejrzewa pan, że został oszukany? – spytał i łagodnie pokręcił głową. – Wkrótce się pan przekona, młody człowieku, że Chińczykom nigdy to się nie zdarza. Nawet przemytnikom. Zapłata się zgadza co do sztabki, zapewniam pana.

John przekonał się o tym, gdy chował srebro do skarbczyka.

Płynęli przez kolejne dwie godziny. Dzień był piękny, słoneczne rozbłyski radośnie tańczyły na falach. Read i John Trader stali razem przy relingu. Kilka razy widzieli szybujące nad wodą ławice ryb latających.

Przez jakiś czas napawali się tym widokiem, po czym Amerykanin odezwał się łagodnie:

– Usiłuję cię rozgryźć, Trader. Wydajesz się porządnym człowiekiem.

– Dziękuję.

– W tej branży ludzie są zwykle twardzi. Nie mówię, że nie potrafiłbyś taki być, ale wydajesz się trochę bardziej wyrafinowany. Dlatego zastanawiam się, co tobą kieruje. Przed czymś uciekasz, czegoś szukasz. Dam głowę, że coś cię gryzie. Zadałem więc sobie pytanie: „Czyżby chodziło o kobietę?”.

– Niewykluczone – odparł John.

– To musi być niezwykła młoda dama – stwierdził Read z uśmiechem – żebyś z jej powodu wplątywał się w handel opium.

Godzinę później kapitan McBride zaklął na widok nadpływającego powoli statku o krótkim kadłubie, z ożaglowaniem rejowym.

– Wojenna dżonka – wyjaśnił. – Statek rządowy z urzędnikami na pokładzie.

– Co z nami zrobią?

– To zależy. Mogą zająć ładunek. – Spojrzał na Tradera i zobaczył, że ten zbladł jak ściana. – Możemy się też poddać i wracać do domu. Możemy ich prześcignąć. Albo możemy wyjść dalej w morze i spróbować drugiego podejścia. Tyle że oni będą tu na nas czekać.

John milczał. Podjął decyzję, żeby dostarczyć towar; jak wyjaśni swoim nowym wspólnikom utratę pięćdziesięciu skrzyni opium? Nie mógł sobie pozwolić na taką porażkę. Odwrócił się w stronę Reada. Tym razem na obliczu amerykańskiego obieżyświata malowało się zwątpienie.

Ku zaskoczeniu Tradera wyboru dokonał za nich van Buskirk.

– Płyńmy dalej, panowie – rzekł ze spokojem. Jego nalana twarz nie wyrażała żadnych emocji. – Zaufajcie mi. – Zwrócił się do szypra: – Kiedy się do nich zbliżymy, McBride, niech pan postawi statek w dryf, żeby urzędnik mógł wejść na pokład. Będę też potrzebował tutaj stołu, dwóch krzeseł i dwóch kieliszków do wina. Nikt niech się nie odzywa, słuchajcie tylko grzecznie, nawet jeśli niczego nie zrozumiecie. Ja zajmę się resztą.

Trader patrzył, jak przybija do nich wojenna dżonka. Jej wysokie drewniane burty robiły duże wrażenie. Jednostka miała wysokie maszty i ogromne żagle z bambusowej plecionki. Masywną rufę pomalowano tak, aby przypominała chińską maskę – po każdej stronie dziobu widniało

otwarte oko. Pokład wyglądał na zagracony, lecz armata była doskonale widoczna.

Na kliper przeprawił się tylko jeden człowiek, mandaryn. Przywieziono go małą wiosłową łódką, w której siedział nieporuszony – mężczyzna w średnim wieku, z długimi, obwisłymi wąsami i w czarnym kapeluszu w kształcie cylindra na głowie. Na przyozdobionej haftem szacie miał sięgającą mu za kolana długą niebieską tunikę bez rękawów, z dużym kwadratem na piersi, który był symbolem jego rangi. Znalazłszy się na pokładzie, rozejrzał się ze spokojem, po czym wydobył zwój i zaczął z niego czytać na głos. Dokument spisano w urzędowym języku mandaryńskim, który w uszach Tradera brzmiał niczym zniekształcone ptasie trele.

– O co chodzi? – szepnął do van Buskirka.

– Cesarz, mając na uwadze zdrowie i bezpieczeństwo swojego ludu, kategorycznie zakazuje sprzedaży opium. Jeżeli je posiadamy, ładunek zostanie skonfiskowany i niezwłocznie zniszczony.

John Trader drgnął.

– A więc to koniec.

– Cierpliwości – mruknął Holender.

Gdy mandaryn skończył odczytywać cesarskie obwieszczenie, van Buskirk wystąpił naprzód i nisko mu się pokłonił. Gestem wskazując przygotowany stół, zapytał grzecznie, czy mandaryn nie zechciałby usiąść i chwilę z nim porozmawiać. Kiedy obaj usiedli, wydobył z kieszeni płaszcza srebrną flaszeczkę i napełnił stojące przed nimi kieliszki ciemnobrunatnym napitkiem.

– To madera, panowie – wyjaśnił na użytek patrzących. – Nigdy się z nią nie rozstaję.

Następnie wzniósł uroczysty toast na cześć mandaryna i przez czas jakiś uprzejmie ze sobą gawędzili, sącząc wyborny trunek. Trader zauważył, że w pewnym momencie oblicze misjonarza przybrało zatroskany wyraz i mężczyzna zaczął wypytywać o coś urzędnika. Potem skinął na Johna.

– Będę potrzebował tysiąca srebrnych dolarów z pańskiego skarbczyka, panie Trader – oznajmił beznamiętnie. – McBride odda panu później swoją część.

– Ale…

– Po prostu proszę mi dać te pieniądze – polecił Holender. – W woreczku.

Kilka minut później Trader patrzył, jak misjonarz z powagą przekazuje otrzymany woreczek srebra mandarynowi, który przyjął go i nie zniżając się do tego, aby przeliczyć zapłatę, wstał od stołu.

Młody człowiek odezwał się dopiero wtedy, gdy Chińczyk był już w drodze na swoją dżonkę.

– Czyżby przekupił pan właśnie cesarskiego urzędnika?

– To nie była łapówka – stwierdził Holender – jedynie podarek.

– Co mu pan powiedział?

– Prawdę, rzecz jasna. Wyjaśniłem, że gdyby zwrócił się do pana lub kapitana albo nawet Reada z pytaniem, czy pod pokładem znajduje się opium, ponad wszelką wątpliwość usłyszałby odpowiedź odmowną. On zaś był uprzejmy przyznać, że w takim układzie wierzy wam na słowo. Wówczas zaproponowałem mu niewielki podarek. Mógł zażądać więcej, lecz tego nie zrobił.

– Tysiąc dolarów to ma być niewiele?

– Wykpił się pan tanim kosztem, Trader. Mam go zawrócić i ponownie omówić z nim sprawę?

– Uchowaj Boże!

– W takim razie możemy płynąć dalej.

Van Buskirk skinął głową kapitanowi na znak, że statek może ruszać w drogę.

– To tyle, jeśli chodzi o chińskie zasady moralne – zauważył cierpko Trader.

– To pan handluje zakazanym narkotykiem, panie Trader – przypomniał łagodnym tonem misjonarz – nie oni.

Wieczorem dotarli na miejsce spotkania – do niedużej wyspy z osłoniętym kotwicowiskiem. Statek, który miał przejąć od nich towar, oznaczony dwiema czerwonymi flagami, już na nich czekał. Połowa oryginalnego ładunku McBride’a została wcześniej zakontraktowana i opłacona srebrem w Kantonie, wymieniono więc odpowiednie listy kredytowe. Na wieść, że mają jeszcze sto skrzyń – plus pięćdziesiąt należących do Tradera – chiński kupiec zapłacił gotówką także i za nie.

O zmroku cel podróży został zrealizowany. Oba statki zarzuciły kotwice, by o świcie odpłynąć w przeciwne strony. Tymczasem chiński kupiec

z radością przyjął zaproszenie na posiłek w towarzystwie nowych przyjaciół z Zachodu.

Kolacja przebiegła w miłej atmosferze. Jedzenie było proste, wino znośne, a odrobina madery od van Buskirka poprawiła wszystkim humor. Misjonarz i Chińczyk rozmawiali głównie po kantońsku, reszta zaś gawędziła w języku angielskim. Prawdziwa niespodzianka czekała ich jednak na sam koniec.

– Panowie – odezwał się misjonarz – teraz już nie będę wam potrzebny. Nasz chiński przyjaciel zgodził się popłynąć ze mną dalej wzdłuż wybrzeża, zanim znów tu powróci, żeby spotkać się z innym brytyjskim statkiem opiumowym, którym zabiorę się z powrotem. Niewykluczone, że zdołam nawet zejść na ląd.

McBride zmarszczył brwi.

– To niebezpieczne przedsięwzięcie, sir. Z reguły misjonarze nie opuszczają naszych statków. Jeśli pana schwytają, nikt pana nie obroni. Szczególnie na lądzie.

– Wiem o tym, kapitanie. – Wielki Holender uśmiechnął się niemal przepraszająco. – Niemniej jestem misjonarzem. – Wzruszył ramionami. – Pozostaje mi liczyć na pomoc z góry. – Wskazał na niebo.

W milczeniu przetrawiali tę nowinę.

– Niech pana Bóg prowadzi, wielebny – rzekł po chwili Read. – Będzie nam pana brakować.

– Jeszcze dziś wieczorem przeprawię się z rzeczami na ich statek – zakończył van Buskirk – żeby rano was nie opóźniać.

Kwadrans później van Buskirk był gotów. Przez ramię przerzucił skórzaną torbę ze skromnym dobytkiem. Oba wiklinowe kosze opuszczono już przez burtę na drugi statek. Przed pożegnaniem misjonarz dał jeszcze znak Traderowi, a gdy ten podszedł, pociągnął go do przeciwległego relingu, gdzie nikt ich nie mógł podsłuchać.

– Panie Trader – odezwał się, zniżając głos – pozwoli pan dać sobie pewną radę?

– Oczywiście.

– Spędziłem w tej części świata wiele długich lat. Pan jest jeszcze młody i widzę, że nie jest pan złym człowiekiem. Tym bardziej błagam, aby porzucił pan swoje interesy i wrócił do ojczyzny, albo przynajmniej do Indii,

gdzie będzie pan mógł uczciwie zarabiać na życie. Jeżeli pozostanie pan przy handlu opium, może pan zaprzepaścić swoje szanse na życie wieczne.

John milczał.

– Powinien pan wiedzieć coś jeszcze – ciągnął starszy mężczyzna. – Kiedy dzisiejszego popołudnia rozmawiałem z owym mandarynem, przekazał mi pewne informacje potwierdzające wcześniejsze pogłoski. – Zniżył głos do szeptu. – Zanosi się na kłopoty. Na duże kłopoty. – Powoli skinął głową. – Uważam, że jeśli dalej będzie pan handlował opium, grozi panu ruina. Dlatego, jeśli nie dba pan o swoją nieśmiertelną duszę, radzę panu jak człowiekowi interesu: niech pan zabiera to, co już zarobił, i się ratuje.

– Ratuje?

– Niech pan ratuje życie.

* * *

Nazajutrz Mei-Ling przydarzyło się coś nieoczekiwanego. Kazano jej rozwiesić pranie na dziedzińcu i połowa rzeczy już się suszyła. Młodszy Syn z czułością jej się przyglądał. Dopiero co kupił nowego szczeniaka i bawił się z nim teraz, siedząc na ławie pod drzewkiem pomarańczowym rosnącym na środku podwórka.

Słońce świeciło, za murem z prawej strony bambusowe zarośla kołysały się łagodnie na wietrze, a ponad wyłożonym płytkami dachem po lewej widać było zbocze z tarasami pól ryżowych. Z kuchni dolatywał apetyczny zapach piekących się nad ogniem podpłomyków.

Naraz Młodszy Syn ujrzał, że żona chwieje się na nogach, jakby miała upaść. Wstał zaniepokojony.

Mei-Ling sama nie wiedziała, co się z nią dzieje. Niespodziewanie ogarnęły ją mdłości. Płosząc kury, dowlekła się pod drzewko pomarańczowe i oparła dłonią o ławkę, żeby nie stracić równowagi.

Ten właśnie moment wybrała sobie teściowa, żeby wyjść na dziedziniec.

– Ty niedobra dziewucho! – wrzasnęła. – Dlaczego się lenisz?

Mei-Ling była całkiem bezradna. Zanim mąż zdążył ją podtrzymać, zgięła się wpół i zwymiotowała na ziemię. Starsza kobieta podeszła i przyjrzała się jej uważnie. Następnie, ku zdumieniu Mei-Ling, przemówiła do niej łagodnie:

– Chodź ze mną.

Odepchnęła syna i chwyciła Mei-Ling pod rękę.

– Prędko, prędko. – Odprowadziła dziewczynę do jej izby. – Usiądź sobie tutaj, w chłodzie.

Usłyszała, jak mąż pyta, co się stało, a jego matka ostrym tonem każe mu wracać do pracy. Dziewczyna siadła na drewnianym krześle, niepewna, czy znów nie zwymiotuje, teściowa zaś poszła do kuchni, skąd wróciła po chwili z kubkiem naparu imbirowego.

– Wypij trochę tego, a później coś zjedz.

– Przepraszam – wyszeptała Mei-Ling. – Nie wiem, co mi się stało.

– Nie wiesz? – Starsza kobieta była zaskoczona. – To poranne nudności. Wierzba ma szczęście, że ją omijają. Mnie dokuczały za każdym razem. To nic złego. – Uśmiechnęła się do Mei-Ling, żeby jej dodać otuchy. – Urodzisz zdrowego syna.

Następnego ranka Mei-Ling znowu zemdliło. I kolejnego. Gdy zapytała teściową, jak długo to potrwa, starsza kobieta odparła wymijająco:

– Pewnie już niedługo.

Mei-Ling nie pozostawało nic innego, jak radować się zmianą, która zaszła w ich wzajemnych relacjach. Tak jawny dowód na to, że w synowej tli się nowe życie, w połączeniu ze wspomnieniami własnych udręk związanych z porannymi nudnościami sprawiły, że teściowa stała się wobec niej bardziej uprzejma. Nalegała, aby Mei-Ling odpoczywała, ilekroć zrobi się jej niedobrze, i często przysiadała, żeby z nią porozmawiać, co dotąd nigdy jej się nie zdarzało. Naturalnie ich pogawędki na ogół dotyczyły dziecka, które miało się urodzić.

– Przyjdzie na świat w Roku Świni – zauważyła kiedyś. – A żywiołem tego roku jest Ziemia. Rok Ziemnej Świni to nie najgorszy czas, żeby się urodzić.

Zanim skończyła trzy lata, Mei-Ling potrafiła wyrecytować z pamięci znaki chińskiego kalendarza, od których brał nazwę każdy kolejny rok: Smok, Wąż, Koń, Koza… W sumie było ich tuzin, tak więc każde zwierzę powtarzało się co dwanaście lat. Ale to nie wszystko: każdemu z nich towarzyszył któryś z pięciu przypisanych mu żywiołów: Drewno, Ogień, Ziemia, Metal i Woda. Dwanaście zwierząt, wraz z symbolizującymi je żywiołami, tworzyło zamknięty cykl sześćdziesięciu lat.

W Chinach nawet małe dzieci wiedziały, że natura człowieka zależy od tego, pod jakim znakiem przyszedł na świat. Jedne były bardziej korzystne, inne mniej.

Ognisty Koń był bardzo zły. Sprowadzał kłopoty na rodzinę, czasami wielkie kłopoty. Jeżeli w dodatku chodziło o dziewczynkę urodzoną w roku Ognistego Konia, nikt nie chciał jej pojąć za żonę. Dlatego rodzice starali się nie płodzić potomstwa w roku Ognistego Konia.

Mei-Ling miała zaledwie ogólne pojęcie o tej złożonej tematyce, lecz teściowa okazała się prawdziwą jej znawczynią.

– Znak Ziemi może wzmocnić Świnię – wyjaśniła. – Mówi się, że Świnia jest gruba i leniwa, ale nie zawsze musi tak być. Ziemna Świnia będzie pracowita i dobrze zaopiekuje się swoją żoną.

– Nie będzie za dużo jadł? – zaniepokoiła się Mei-Ling.

– Owszem, ale nie będzie wybrzydzał. – Starsza kobieta się roześmiała. – Tym lepiej dla jego żony. Nie będzie musiała dobrze gotować. A jeśli popełni błąd, on jej wybaczy. Ludzie będą go lubili. Będą mu ufali.

– Podobno urodzeni w roku Ziemnej Świni nie są zbyt bystrzy – powiedziała Mei-Ling, odrobinę zasmucona.

– Tutaj to i lepiej – zauważyła teściowa. – Tacy ludzie mają jeszcze jedną cechę – dodała. – Boją się, żeby ktoś ich nie wyśmiał, bo są prości i ufni. Stale trzeba ich zachęcać do działania. Dbać o to, żeby byli szczęśliwi. Wtedy będą dobrze pracowali.

Następnego dnia Mei-Ling odważyła się zadać jej pytanie:

– A jeśli to będzie dziewczynka, Matko? Jaka wtedy będzie?

Starsza kobieta nawet nie brała tego pod uwagę.

– Nie martw się. Byłam u wróżbity. Najpierw urodzisz synów. Córkę dopiero później.

Mei-Ling sama nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy martwić tą wiadomością. Jednak przypatrując się swojej szwagierce, której brzuch zdawał się rosnąć z każdym dniem, uświadomiła sobie, że jeśli Wierzba zgodnie z powszechnym oczekiwaniem wyda na świat chłopca, ona zaś urodzi dziewczynkę, okazywana jej teraz przez teściową życzliwość może się gwałtownie skończyć.

Zdziwiła się, gdy pewnego dnia okazało się, że ma gościa. Jej ojciec nie zbliżał się zazwyczaj do domu Lungów, lecz gdy służąca przyszła oznajmić, że stoi na zewnątrz i chciałby zamienić słowo z córką, teściowa zgodziła się, aby Mei-Ling do niego wyszła. Dodała nawet:

– Zaproś go do środka, o ile zechce wejść.

Ojciec czekał na nią przy drewnianym mostku. Wydawał się zmieszany. Towarzyszył mu nieznany Mei-Ling młody człowiek.

– To jest przyjaciel naszego Nio – rzekł. – Przyniósł wiadomość od niego, ale nie chciał mi jej przekazać. Tylko tobie. – Po tych słowach wycofał się.

Mei-Ling przyjrzała się młodzieńcowi. Mógł mieć dwadzieścia pięć lat, był szczupły i przystojny. Uśmiechał się, miał jednak w sobie coś, co jej się nie spodobało.

– Kim jesteś? – zapytała.

– Mówią na mnie Morski Smok – odparł. – Znam twojego Młodszego Brata, a ponieważ wybierałem się w te strony, przekazał mi wiadomość dla ciebie. Chce, abyś wiedziała, że dobrze się miewa.

– Jest w mieście? W Guangzhou?

– Nieopodal.

– Czym się zajmuje?

– Dobrze zarabia. Pewnego dnia może być bogaty. – Młodzieniec znów się uśmiechnął. – Prosi, żebyś nie nazywała go już Braciszkiem. Odtąd powinnaś go nazywać Kuzynem z Guangzhou.

Serce jej się ścisnęło. Czy Braciszek chciał jej w ten sposób przekazać, że stał się innym człowiekiem? Że dołączył do bandy przestępców?

– Czy nosi broń? – spytała z niepokojem.

Mężczyzna opacznie ją zrozumiał.

– Nie martw się, ma za pasem sztylet i krótką szablę. Świetnie włada nożem. – Zaśmiał się.

– Pracuje na lądzie czy na morzu?

– Na morzu.

Ojciec zbliżył się do nich.

– Powinniśmy już iść – rzekł.

Mei-Ling przytaknęła. Wiedziała już wszystko, co musiała wiedzieć. Nio został przemytnikiem albo piratem, zresztą wszystko jedno. Ogarnęło ją straszliwe przeczucie, że grozi mu rychła śmierć.

* * *

„Niech pan ratuje życie”. John upomniał się w duchu; nie wolno mu myśleć o słowach misjonarza. To nie miało sensu. Musiał dotrzeć do Kantonu

i spotkać się z Tullym Odstockiem. Ten już będzie wiedział, na co się zanosi i co należy zrobić.

Stwierdził, że gdyby mniej ufał braciom Odstockom niż holenderskiemu misjonarzowi, w ogóle nie powinien robić z nimi interesów.

Gdyby tylko w uszach nie rozbrzmiewało mu ciągle ostrzeżenie van Buskirka!

Po południu dotarli do zatoki u wejścia do delty Rzeki Perłowej.

– Widzi pan te szczyty? – McBride wskazał mu dalekie, skaliste wybrzeże, ledwo majaczące na horyzoncie. – Najbliżej stąd do wyspy Hongkong. Nic tam nie ma poza chatami paru rybaków, ale jest gdzie zakotwiczyć. To dobre schronienie w czasie sztormu.

Read stanął obok Tradera i przez pewien czas wspólnie przyglądali się skalistym brzegom wyspy.

– Podobno Odstockom dobrze się powodzi – zauważył Amerykanin. – Miałeś okazję poznać ich ojca?

– Nie. Na starość wrócił do Anglii.

– Ponoć solidnie zapracował na swoją reputację. – Wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Ludzie mówią, że to diabeł wcielony. Umysł miał ostry jak brzytwa.

Trader zmarszczył brwi. Czyżby Amerykanin chciał go delikatnie przestrzec przed Odstockami? Trudno powiedzieć.

– Benjamina znam od dłuższego czasu – rzekł. – To dobry człowiek.

– A jego brat w Kantonie?

– Tully Odstock? Jeszcze się nie spotkaliśmy.

Read wydawał się zaskoczony.

– Na twoim miejscu wolałbym kogoś dobrze poznać, zanim wszedłbym z nim w spółkę – stwierdził.

– Uważasz, że za bardzo się pospieszyłem?

– Większość zakochanych sądzi, że los im sprzyja. – Amerykanin ze smutkiem pokiwał głową. – Też taki byłem.

– Ja chyba zdaję się na instynkt – odparł John. – Jeżeli coś wydaje się w porządku… – Wzruszył ramionami. – To tak jak wtedy, gdy dajemy się nieść nurtowi rzeki. Płyniemy z prądem życia.

– Może i tak. – Read zastanawiał się przez moment. – Doświadczenie nauczyło mnie, że życie bardziej przypomina ocean. Jest nieprzewidywalne, Trader. Fala może nadejść z każdej strony, a wszystkim rządzi przypadek.

– Cóż, myślę, że jestem na dobrej drodze – stwierdził John.

Późnym popołudniem minęli Hongkong. Przez kilka kolejnych godzin statek nawigował między przyjaźnie wyglądającymi wysepkami rozsianymi u wejścia do zatoki, aż pod wieczór ujrzeli Makau.

Wyspa ta bardzo różniła się od pozostałych. Od stuleci zamieszkiwana przez Portugalczyków, miała płytką zatokę i strome zbocza usiane domostwami, willami, kościołami oraz niewielkimi fortami, które w świetle zachodzącego słońca wyglądały naprawdę malowniczo.

Zarzucili kotwicę na redzie w Makau. Do burty podpłynęła szalupa i Read wsiadł do niej, żeby dostać się na ląd.

– Nie wiadomo, czy się jeszcze kiedy spotkamy – rzekł, gdy ściskali sobie dłonie z Traderem. – Tak czy inaczej, powodzenia.

Podróż z Makau do Kantonu rozpoczęła się nazajutrz o świcie i trwała niemal trzy długie dni. McBride nie był zbyt rozmowny.

Pierwszego dnia wpłynęli głębiej w zatokę. Około południa Trader dostrzegł żagle na horyzoncie.

– Wyspa Lintin – mruknął kapitan. – Tam kutry przemytników wyładowują opium. Poza zasięgiem wzroku chińskiego gubernatora.

Po południu, w miarę jak zatoka zaczęła się zwężać, Trader mógł zauważyć po swojej lewej stronie niekończące się, szerokie równie pływowe, a daleko za nimi linię brzegową i wznoszące się w niebo górskie szczyty. Czy to wyobraźnia płatała mu figle, czy naprawdę miały w sobie coś złowrogiego?

Drugiego dnia zobaczyli przed sobą kilka cypli.

– To Bogue – wyjaśnił krótko McBride. – Brama do Chin.

Gdy dopłynęli do Bogue, szkuner stanął w dryfie obok zacumowanej kawałek od brzegu dżonki, z której pokładu szybko przeprawił się do nich młody chiński urzędnik, pobrał od McBride’a opłatę i gestem dał im znać, żeby płynęli dalej.

Brama do Chin była naprawdę dobrze strzeżona. Minęli dwa wielkie forty, po jednym na każdym brzegu rzeki, z murami z suszonych na słońcu cegieł, grubymi na trzydzieści stóp, i imponującą baterią armat wycelowanych w wodę. Każdy niemile widziany statek w kanale zostałby bez wątpienia rozniesiony w drzazgi. Wkrótce oczom ich ukazały się kolejne dwa groźne forty. Potężne cesarstwo, pomyślał John, potężne umocnienia.

Kanał się zwężał i załoga po obu burtach sondowała dno.

– Mielizny – mruknął McBride. – Trzeba uważać.

W miarę jak posuwali się naprzód, Trader mógł oglądać pola ryżowe, wioski złożone z drewnianych chat, pola zbóż, a tu i tam sad albo świątynię z wygiętym czterospadowym dachem. Po płytkich wodach niczym skrzydlate owady śmigały małe dżonki o trójkątnych żaglach rozpiętych w bambusowych ramach.

A więc tak wyglądały Chiny: groźne, urokliwe, tajemnicze.

Sampany podpływały na tyle blisko, że z góry mógł oglądać ich mieszkańców – Chińczyków z cienkimi warkoczami – którzy omiatali go obojętnym wzrokiem. Uśmiechał się do nich, a nawet machał, lecz nie reagowali. Co sobie o nim myśleli? Nie miał pojęcia.

Trzeciego dnia o poranku pokonali zakręt rzeki i ujrzeli przed sobą istny las masztów.

– Huangpu – oznajmił kapitan. – Tutaj pan wysiada.

– Myślałem, że zawiezie mnie pan do Kantonu.

– Tutaj wszyscy wyładowują towar. Do Kantonu zabierze się pan lichtugą. Przed zmrokiem będzie pan na miejscu.

Szkuner zgrabnie lawirował w olbrzymim labiryncie wysepek, kei i kotwicowisk i Trader ani się obejrzał, jak załadowano go – wraz z kuframi i skarbczykiem – do jednej z płaskodennych barek płynących w górę rzeki. McBride pożegnał go uściskiem dłoni i ponuro brzmiącym:

– Odtąd jest pan zdany sam na siebie, panie Trader.

Dwie godziny musiał czekać, aż lichtuga wyruszy w końcu w rejs. Ostatnie mile w górę Rzeki Perłowej okazały się dla niego nużące. Jako że nie mógł porozumieć się z żadnym z sześciu Chińczyków, którzy stanowili załogę barki, został sam na sam ze swoimi myślami.

Podobnie jak większość łodzi, również jego barka miała odebrać ostatni w tym sezonie zbiór herbaty – tej czarnej, najgorszej jakości – zanim cały handel w Kantonie zamknie się na letnie miesiące. Może mu się wydawało, lecz odniósł wrażenie, że załoga wykazuje już typową dla końca sezonu ospałość.

Po południu nadciągnęły chmury. Niebo ciemniało z minuty na minutę i John zaczął nawet powątpiewać, czy uda im się dotrzeć do Kantonu przed zmrokiem. Gdy już nabrał pewności, że nie ma na to szans, pokonali kolejny zakręt i ujrzał przed sobą długi rząd stłoczonych łodzi mieszkal-

nych. Wyglądało to jak rzeczne slumsy. Za nimi, w pewnym oddaleniu, minęli cumujący przy nabrzeżu duży, malowany statek. Słudzy uwijali się właśnie na jego trzech pokładach, zapalając latarnie, w których świetle Trader dostrzegł umalowane twarze wychylonych przez burtę dziewcząt.

Musiała to być jedna z chińskich Łodzi Kwiatów, pływających domów publicznych, o których słyszał. Załoga nagle się ożywiła; szczerząc zęby, wskazywali mu dziewczyny, gotowi na jego znak podpłynąć bliżej. Dziewczęta zachęcały go machaniem, lecz Trader tylko pokręcił głową, z uprzejmości siląc się na pełen żalu uśmiech.

Po kilku minutach, gdy minęli całe zatrzęsienie cumujących na rzece dżonek, oczom Johna ukazał się wreszcie cel jego podróży.

Fotografie i szkice, które widział, nie kłamały: wspaniałego portu, który cudzoziemcy nazywali Kantonem, nie dało się pomylić z żadnym innym miejscem.

Mówiono mu, że swoją zachodnią nazwę port zawdzięcza portugalskim kupcom. Słysząc, jak Chińczycy określają tę prowincję mianem Guangdong, przypuszczali, że słowo to odnosi się do miasta, i wkrótce Guangdong stało się Kantonem. Zanim świat odkrył, że w istocie nosi ono nazwę Guangzhou – co brzmiało mniej więcej jak „Gwung-Jo” – „Kanton” zdążył się już na tyle zakorzenić w świadomości obcokrajowców, że nikt się tym już nie przejmował.

Większość zachodnich podróżników nazywała zresztą Beijing Pekinem, w języku angielskim Moskwa funkcjonowała jako Moscow, a München z jakiegoś niejasnego powodu przetłumaczono na Munich. Kilku zatwardziałych lokalnych brytyjskich patriotów określało nawet francuski Lyon swojsko brzmiącym słowem Lions.

Nie wiadomo, czy wynikało to z arogancji, ignorancji czy też z lenistwa – a może z przekonania, że dokładność w kwestii obcych nazw miejscowych jest oznaką pretensjonalności, przeintelektualizowania albo czymś wręcz podejrzanym. Prawdopodobnie chodziło o wszystkie te rzeczy naraz.

Mury starożytnego miasta leżały w pewnej odległości od rzeki. W ich obrębie wolno było mieszkać wyłącznie Chińczykom, jednak pomiędzy murami a rzeką powstała imponująca dzielnica cudzoziemskich kupców.

Rozległy, otwarty teren – pusty, jeśli nie liczyć kilku budek celników – ciągnął się przez ćwierć mili wzdłuż nabrzeża na podobieństwo wielkiego placu apelowego. Za nim na wodę spoglądał śmiało długi rząd ładnych, bielonych budynków w kolonialnym stylu króla Jerzego. Wiele z nich miało

werandy i rozpięte nad nimi zielone markizy. Mieściły się tam biura i magazyny cudzoziemskich kupców oraz ich kwatery mieszkalne. Każdy budynek zajmowali obywatele innego państwa, o czym świadczyła flaga łopocząca od frontu na wysokim maszcie. A ponieważ kupców przyjęło się nazywać faktorami, należące do nich wystawne gmachy otrzymały nazwę faktorii. Ponad tuzin z nich tworzyło pierzeję placu: brytyjska, amerykańska, holenderska, niemiecka, francuska, szwedzka, hiszpańska…

Gdy barka zbliżyła się do nadbrzeża, Trader zauważył chińskiego tragarza, spieszącego do jednego z większych budynków. Zanim jego dobytek znalazł się na lądzie, ujrzał korpulentną postać, która zmierzała ku niemu raźnym krokiem. Jej tożsamość nie mogła budzić żadnych wątpliwości.

Policzki Tully’ego Odstocka pokrywały fioletowe plamy. Otyłość sprawiała, że jego oczy zdawały się niknąć w pulchnej twarzy, a głowę pokrywały kępki siwych włosów. Pierwsze skojarzenie Tradera było jednoznaczne: z wyglądu przypominał rzepę.

– Pan Trader? Tully Odstock. Cieszę się, że dotarł pan cało. Podobno wyprawił się pan na północ wzdłuż wybrzeża? Udało się panu sprzedać trochę opium?

– Tak, panie Odstock. Pięćdziesiąt skrzyń po sześćset srebrnych dolarów każda.

– Doprawdy? – Zaskoczony Tully pokiwał głową. – Świetnie się pan spisał. Znakomicie. – Jednak coś innego zdawało się zajmować jego myśli.

Tragarze tymczasem przenieśli skarbczyk i kufry na wózek ręczny i ruszyli z nim w kierunku brytyjskiej faktorii.

– Słyszałem, że handel kiepsko idzie – zagadnął Trader.

Tully obrzucił go bystrym spojrzeniem.

– Czyli nic pan jeszcze nie wie? – A na widok skonsternowanej miny Tradera dodał: – Zresztą skąd niby miałby pan wiedzieć. Wieści dotarły dopiero dziś rano i obawiam się, że nie są najlepsze. – Sapnął. – Naturalnie, wszystko jak zwykle rozejdzie się po kościach, więc nie ma się czym przejmować.

– O czym dokładnie mówimy? – zapytał podejrzliwie Trader.

– Z powodu opium Chińczycy zaczęli nam ostatnio sprawiać kłopoty. I tyle. Resztę opowiem panu przy obiedzie. Musi pan wiedzieć, że całkiem dobrze tutaj jadamy.

Trader się zatrzymał.

– Proszę powiedzieć mi wszystko od razu – zażądał, zdumiony własną stanowczością w stosunku do starszego od siebie człowieka. – Ile możemy stracić?

– Trudno ocenić, ale sądzę, że całkiem sporo. Omówimy to przy obiedzie.

– Ile?

– No cóż… – Tully nadął fioletowe policzki. – Przypuszczam, że… Rozumie pan, oczywiście czysto teoretycznie… można by rzec, że… wszystko.

– Mogę stracić wszystko?

– Niech mi pan wierzy, cała sprawa rozejdzie się po kościach – powtórzył Tully. – A teraz pora coś zjeść.

* * *

Z powodu śniegu zalegającego na przełęczach podróż wydłużyła się aż o tydzień. Shi-Rong obawiał się, że komisarz Lin będzie musiał na niego czekać, kiedy więc wreszcie dotarł do Guangzhou, z ulgą przekonał się, że mandaryn jeszcze nie przybył na miejsce.

Postanowił dobrze spożytkować ten czas. Niezależnie od zadań, jakie wyznaczy mu szlachetny pan Lin, im więcej będzie wiedział o lokalnych sprawach, tym lepiej.

Znalazł tymczasowe zakwaterowanie i zaraz wyruszył na poszukiwanie przewodnika, a rozpytawszy się tu i ówdzie, trafił dokładnie na kogoś, kogo potrzebował: kantońskiego studenta przygotowującego się do egzaminów mandaryńskich na szczeblu prowincjonalnym. Fong był szczupłym, bystrym młodzieńcem, bardzo zadowolonym z perspektywy zarobku.

Przez trzy dni zwiedzali tętniące życiem miasto, przedmieścia i cudzoziemskie faktorie. Młody Fong, oprócz tego, że okazał się świetnie poinformowany, był też dobrym nauczycielem. Pod jego opieką Shi-Rong podszlifował swój kantoński i wkrótce rozumiał większość z tego, o czym mówiło się na ulicach. Ze swojej strony, ilekroć razem jedli, Fong zasypywał go pytaniami, wielce ciekaw, co też tak ważny gość sądzi o jego rodzinnym mieście.

– Nie smakuje wam kantońska kuchnia, panie? – zagadnął go przy pierwszym wspólnym posiłku. – Nie za dużo ryżu?

– Tutejsze potrawy pachną tyloma przyprawami. I wszystko jest nazbyt słodkie – poskarżył się Shi-Rong.

– Słodko-kwaśne. To typowe dla dań południowochińskich. Proszę spróbować krojonego mięsa z kurczaka. Jest mniej słodkie. I naleśników z warzywnym nadzieniem.

Pod koniec drugiego dnia, gdy pili razem wino ryżowe, Fong zapytał go, czy Guangzhou jest takie, jak się spodziewał.

– Wiedziałem, że życie płynie tutaj szybciej – przyznał Shi-Rong – ale te tłumy w uliczkach i na targu… Trudno się przecisnąć.

– Mamy też ciemniejszą skórę. – Młody Fong uśmiechnął się szeroko. – I zależy nam tylko na pieniądzach. Tak mówi się o nas w Pekinie, prawda? – A gdy Shi-Rong nie zaprzeczył, wykrzyknął ze śmiechem: – Ale to wszystko prawda!

– A co ludzie z Guangzhou mówią o nas? – Shi-Rong postanowił się zrewanżować.

– Jesteście wyżsi i macie jaśniejszą skórę. – Fong z oczywistych względów starał się zachowywać ostrożność, lecz Shi-Rong zachęcił go, żeby mówił otwarcie. Wówczas młody kantończyk przyznał: – Mówimy, że wieśniacy z północy całe dnie spędzają w kucki.

Shi-Rong uśmiechnął się. Rzeczywiście, wieśniacy z północnych równin często przyjmowali w grupach taką pozycję, żeby odpocząć od pracy.

– Ale zawsze zbierają zboże na czas.

Szczególnie interesowało go zdanie Fonga na temat przemytu opium. Początkowo, znając stanowisko gościa, młodzieniec odpowiadał wymijająco. Lecz piątego dnia zaufał mu na tyle, żeby się zdobyć na szczerość.

– Rozkazy z Pekinu są jasne. Cesarz każe robić naloty na palarnie opium i aresztować palaczy. Prowadzone są więc obławy, ogarniające swoim zasięgiem nawet wsie. Mnóstwo ludzi trafia do więzień, a mimo to popyt na opium nie maleje. Moim zdaniem to zwykła strata czasu. Nawet gubernator tak uważa. Bez względu na oficjalne działania za rok wszystko wróci do normy.

Komisarz Lin przybył dopiero po upływie tygodnia. Ucieszył się, widząc Shi-Ronga na miejscu, a jeszcze bardziej, gdy młody pomocnik wyjawił mu, jak spędził czas oczekiwania.

– Pańska gorliwość zasługuje na pochwałę. Będzie pan moim sekretarzem, a także oczami i uszami.

Lin natychmiast zarekwirował dom na przedmieściach nieopodal cudzoziemskich faktorii i poinformował Shi-Ronga, że też ma tam zamieszkać. Już pierwszego wieczoru przedstawił mu swój plan działania.

– W drodze przeczytałem wszystkie doniesienia z tutejszej prowincji. W najbliższym tygodniu pomówię z gubernatorem, miejscowymi mandarynami i kupcami z Guangzhou – oraz ich sługami, od których najwięcej się dowiemy – żeby móc wyrobić sobie własne zdanie na ten temat. Potem zniszczymy handel opium. Jak pan sądzi, w kogo najpierw powinniśmy uderzyć?

Młodzieniec powtórzył mu słowa Fonga oraz inne rzeczy, których sam się dowiedział, po czym szczerze wyznał, że według niego czeka ich długa i niewdzięczna praca, jeżeli chcą zniechęcić pobratymców do zażywania narkotyku.

– Spalę im fajki opiumowe – oznajmił ponuro Lin. – Ale ma pan rację. Jedynym sposobem wykorzenienia tej trucizny jest przerwanie łańcucha dostaw. Kto zatem jest naszym największym wrogiem, młody panie Jiang?

– Fan Kuei, rudowłose cudzoziemskie diabły, które zwożą opium do naszego królestwa.

– Co o nich wiemy?

– Byłem w ich faktoriach. Wygląda na to, że nie wszyscy są tacy sami. Pochodzą z wielu różnych krain i tylko niektórzy mają rude włosy.

– Najgorszymi łotrami są ci z krainy zwanej Anglią. Najwyraźniej nikt nie wie, gdzie ona leży. Pan wie?

– Nie, ekscelencjo. Czy mam się o to rozpytać?

– Być może. Choć w zasadzie to nieistotne, gdzie mieszkają te prymitywne ludy. Dowiedziałem się jednak, że włada nimi królowa. I że przysłała tu swojego urzędnika.

– Tak, komisarzu. Zwie się Elliot i pochodzi ze szlachetnej rodziny. Obecnie przebywa w Makau.

– Może ta królowa nie wie nawet, co wyprawiają tu jej piraci. Może ów sługa jej o tym nie doniósł.

– To możliwe, komisarzu.

– Zacząłem pisać do tej królowej list, który zostanie przetłumaczony na jej barbarzyński język. Gdy tylko będzie gotowy, przekażę go jej słudze, aby go dostarczył. Udzielę jej nagany i wydam stosowne instrukcje. Jeżeli włada sprawiedliwie, bez wątpienia nakaże temu Elliotowi zgładzić wszystkich piratów. Najgorszy z nich to niejaki Jardine. Od niego powinna zacząć.

– Umilkł i przyjrzał się badawczo Shi-Rongowi. – Ale Fan Kuei są nieistotni. Niebiańskie Cesarstwo z łatwością poradzi sobie z garstką piratów. Ponownie więc pytam: kto jest naszym prawdziwym wrogiem, panie Jiang? Wie pan?

– Nie jestem pewien, ekscelencjo.

– Nasi rodzimi kupcy w tym mieście. Kohong, zrzeszenie chińskich gildii kupieckich – ci sami ludzie, których cesarz upoważnił do prowadzenia interesów z cudzoziemskimi przybyszami. Ci zdrajcy pozwalają barbarzyńcom handlować opium, więc surowo się z nimi rozprawimy.

Kolejnych kilka dni było bardzo pracowitych. Nie ujawniając nikomu swoich zamiarów, Lin prowadził liczne rozmowy i zbierał dowody. Shi-Rong uwijał się dzień i noc, sporządzając notatki, spisując meldunki i biegając na posyłki. Po tygodniu Lin wyznaczył mu proste zadanie: miał pójść do domu jednego z kupców zrzeszonych w kohongu i z nim pomówić.

– Tylko niech pan się z niczym nie zdradza – polecił komisarz. – Okaże mu pan życzliwość i wypyta go o cudzoziemskich kupców oraz ich towary. Dowie się, co ów człowiek naprawdę o nich myśli.

Następnego popołudnia Shi-Rong złożył mu sprawozdanie.

– Pierwsze, co odkryłem, ekscelencjo, to to, że według niego nikt nie zdoła ukrócić handlu opium. Przerwać go na pewien czas, owszem, można, sądzi jednak, że wyjedziecie stąd, gdy tylko uczynicie zadość życzeniom cesarza, a wówczas wszystko zacznie się od nowa. I chociaż znana jest mu wasza osławiona uczciwość, najwyraźniej trudno mu uwierzyć, że w przeciwieństwie do innych urzędników jesteście nieprzekupni.

– Coś jeszcze?

– Dwie rzeczy, ekscelencjo. Ton tego człowieka sugerował, iż barbarzyńscy kupcy stali się jego bliskimi przyjaciółmi. Co więcej, od jego sług dowiedziałem się, że poważnie zadłużył się u jednego z nich, niejakiego Odstocka.

– Dobrze się pan spisał. Cesarz słusznie uznał, że nie należy dopuszczać do kontaktów tych Fan Kuei z naszymi ludźmi. Lecz nawet zamknięci w obrębie jednego portu, poza murami miasta, nadal potrafią korumpować naszych kupców z kohongu, którzy rzekomo są zacnymi ludźmi.

– Istotnie.

– Wspomniał pan o dwóch rzeczach.

– Zapewne nie ma to większego znaczenia, ekscelencjo, dowiedziałem się jednak, że ów kupiec, Odstock, spodziewa się na dniach przybycia mło-

dego uczonego, który ma zostać jego młodszym wspólnikiem w interesach. Chociaż to dziwne – dodał – aby człowiek uczony parał się handlem.

– Z tymi barbarzyńcami nigdy nic nie wiadomo. Chcę, aby pan się z nim spotkał, kiedy już tu przybędzie. Sprawdzi pan, czy wie coś, co może być dla nas przydatne.

– Wedle życzenia, ekscelencjo. – Shi-Rong ukłonił mu się.

– Sądzę – rzekł Lin z posępnym uśmiechem – że jesteśmy już gotowi. Proszę zwołać na wieczór zgromadzenie członków kohongu. – Skinął szybko głową młodzieńcowi. – Dziś jeszcze uderzymy.

* * *

John Trader z przerażeniem wpatrywał się w Tully'ego Odstocka. Siedzieli w jego niewielkim biurze, którego okno wychodziło na wąską uliczkę łączącą angielską faktorię z chińską drogą na tyłach budynku. Żółtawa poświata dwóch zapalonych lamp padała na zajmowane przez nich skórzane fotele. Powietrze było duszne i nagrzane, lecz Johnem Traderem wstrząsały lodowate dreszcze, jakby znajdował się na pustyni Gobi.

– To się stało wczoraj wieczorem – opowiadał Tully. – Niejaki Lin zwołał do siebie wszystkich kupców kohongu. Nazwał ich przestępcami i zdrajcami, a potem oznajmił, że kupcy z faktorii mają wydać mu swoje zapasy opium i kohong musi to zorganizować – odpowiadają za handel z innymi krajami, rozumie pan – jeśli zaś nie wywiążą się z tego obowiązku, zostaną straceni. Dał im na to trzy dni. Tymczasem nikomu z nas nie wolno opuszczać Kantonu.

– Mówiąc o całych zapasach opium…

– Nie miał na myśli tylko tych niedużych ilości składowanych obecnie w faktoriach, lecz cały towar przechowywany w magazynach w dole rzeki i w zatoce, a także w ładowniach statków, które wciąż tu przybijają. Wszystko, co mamy. Olbrzymie ilości opium.

– A co z tym, które kupiłem i za które sam zapłaciłem?

– Oczywiście również zostanie zarekwirowane. – Tully współczująco pokiwał głową. – Muszę przyznać, że ma pan pecha. Jednak inwestując własne pieniądze w spółkę, uczynił pan z nich kapitał Odstocków – ożywił się. – Ma pan zatem prawo do dziesięcioprocentowego udziału w naszych przyszłych zyskach.

– Jakich zyskach? – Trader nawet nie ukrywał swojej goryczy. Tully milczał. – Straciłem wszystko, co zainwestowałem.

– Tego bym nie powiedział – odparł Tully. – Według mnie cała ta sprawa szybko przyschnie.

– Oddamy im opium?

– Pojutrze odbędzie się narada w tej sprawie. Naturalnie jest pan zaproszony – dodał, jakby to miało cokolwiek zmienić.

Tej nocy John Trader właściwie nie zmrużył oka. Kwatera Odstocków w angielskiej faktorii składała się z dwóch ciasnych sypialni. Pokój Tully'ego wychodził na boczną uliczkę, a pokój Johna w ogóle nie miał okna. O północy leżał w swojej dusznej klitce i słuchał dobiegającego zza gipsowej ściany pochrapywania Tully'ego. W końcu sięgnął po mosiężną lampę naftową, w której wciąż tlił się nikły płomyk, podkręcił knot i wziąwszy arkusz papieru, ponownie wbił wzrok w kolumny cyfr. Nie musiał tego robić – znał je wszystkie na pamięć.

Całkowity wkład. Zadłużenie. Należne odsetki, płatne gotówką. Wpatrując się tępo w kartkę, raz jeszcze dokonał obliczeń. Ograniczając wydatki do minimum, przez rok będzie jeszcze w stanie spłacać odsetki od pożyczki i jakoś wiązać koniec z końcem – ale niewiele dłużej. Góra piętnaście miesięcy.

Bracia Odstockowie nie wiedzieli, że się zapożyczył. Większa zainwestowana kwota pozwoliła mu wynegocjować lepsze warunki przystąpienia do spółki. W innych okolicznościach uznałby, że zrobił doskonały interes, ale teraz? Teraz groziła mu ruina.

I po co to wszystko? Żeby zdobyć Agnes, rzecz jasna. Szybko zbić fortunę. Dowieść ojcu dziewczyny, że z czasem zdoła uczynić z Agnes panią na szkockim zamku. Wiedział, że może tego dokonać. Jej twarz stanęła mu przed oczami: tak, to wszystko było możliwe. Więcej – było mu przeznaczone. Miał co do tego całkowitą pewność, której w żaden sposób nie potrafiłby racjonalnie wytłumaczyć. Ten los był mu pisany.

Uciekł więc od bezpiecznego, przeciętnego życia, jakie wiódł w Kalkucie, aby postawić wszystko na jedną kartę w Chinach. Rzucił się na głęboką wodę, wiedząc, że w razie porażki grożą mu sztormy i ostre skały, a nawet śmierć, jak tylu tysiącom poszukiwaczy przygód przed nim. Ale nie było innego wyjścia: taką już miał naturę. I nawet teraz, w obliczu bankructwa,

jakiś głosik szeptał mu, że gdyby znów miał dokonać wyboru, postąpiłby tak samo.

Mimo wszystko, wpatrując się ponuro w środku nocy w swoje wyliczenia, odczuwał strach. A gdy wreszcie udało mu się zasnąć, spał niespokojnie w ciemnej izdebce, dopóki odgłosy krzątaniny Tully'ego Odstocka nie uświadomiły mu, że nastał poranek.

– Najwyższy czas przedstawić pana kilku osobom – rzekł wspólnik, gdy wyszli z domu po skończonym śniadaniu. Mówił z ożywieniem, jakby nie było żadnych powodów do niepokoju.

John nadal nie wiedział, co o nim myśleć. Przypuszczał, że podobnie jak brat jest kupcem starej daty, kutym na cztery nogi. Jednak czy bracia nie nazbyt szybko wzięli od niego pieniądze, a jego samego przyjęli na wspólnika? Skoro zdołał ukryć przed nimi wielkość długu, jaki w tym celu zaciągnął, być może oni także ukryli przed nim to i owo, jeśli chodzi o stan swoich interesów?

Czy Tully, twierdzący, że kłopoty w Kantonie są przejściowe, próbował go oszukiwać, czy – co byłoby chyba jeszcze gorsze – oszukiwał sam siebie? Jednego John Trader był pewien: Tully Odstock się bał. Ten strach dało się niemal wyczuć, mimo to nikt poza nim nie wydawał się zaniepokojony. Przed południem zdążyli odwiedzić wszystkie faktorie. Trader poznał kupców z Francji i Szwecji, Duńczyków, Hiszpanów oraz Holendrów. Niemal każdy zgadzał się, że Lin dopiero zaczyna negocjacje.

– Odmówimy mu, a wtedy zacznie się targować – mówili.

– Musi się wykazać, żeby zrobić wrażenie na cesarzu, dostać awans i przenieść się gdzie indziej – zapewnił Johna jeden z holenderskich kupców. – To gra, w której biorą udział wszyscy mandaryni.

Dodało mu to otuchy. Po przybyciu do amerykańskiej faktorii usłyszeli dalsze pokrzepiające słowa.

Warren Delano miał dopiero trzydzieści lat. Ten przystojny mężczyzna z imponującymi wąsami, bokobrodami i życzliwym uśmiechem – chociaż John zwrócił uwagę na jego zimne jak stal spojrzenie – zdążył już zbić spory majątek na handlu opium. Reprezentował sobą wszystko, o czym John marzył. On także lekceważeniem zbył żądanie Lina.

– Całe opium, które sprzedaję, wziąłem w komis – oznajmił. – Stoję na stanowisku, że nie można wydać Chińczykom towaru będącego cudzą wła-

snością. Po prostu nie mam prawa tego zrobić.

– Piekielnie dobry argument – pochwalił Tully. – Jedna trzecia naszych zapasów też została wzięta w komis. Należy do innych kupców, Parsów z Bombaju.

– Sam pan widzi – stwierdził Delano.

Kiedy wyszli, Trader odniósł wrażenie, że jego tęgi wspólnik kroczy z nową pewnością siebie.

– Wrócimy inną drogą – rzekł, pociągając go za sobą w Old China Street.

Od frontu zabudowania faktorii wychodziły na nabrzeże, od tyłu zaś przylegały do nich malutkie podwórka i liczne schodki, które ciągnęły się na ponad sto jardów, aż do wielkiej kantońskiej arterii zwanej ulicą Trzynastu Faktorii, stanowiącej granicę pomiędzy dzielnicą cudzoziemskich kupców a chińskimi przedmieściami. Odchodziły od niej trzy przecznice, biegnące przez cały kupiecki kwartał, aż do wody: Hog Lane, przy której mieściła się angielska faktoria, Old China Street przy faktorii amerykańskiej oraz jeszcze jedna, pomiędzy hiszpańską a duńską faktorią. Choć przecinały cudzoziemską dzielnicę, zastawione były chińskimi straganami, oferującymi wszelkie przysmaki i towary codziennego użytku, jakie zgodnie z mniemaniem przekupniów mogłyby zainteresować Fan Kuei.

Minęli owe stragany i znaleźli się na ulicy Trzynastu Faktorii. Tully pogardliwie wskazał kciukiem ładną starą chińską rezydencję, która wznosiła się nieopodal, po ich lewej stronie.

– To tutaj rozgościł się komisarz Lin – prychnął. – Wydaje mu się chyba, że stąd może mieć na nas oko.

Po krótkim spacerze ruchliwą ulicą skręcili w prawo w Hog Lane. Tully wskazał Johnowi pobliską bramę.

– Tu jest nasz szpital, gdyby pan zachorował. Mamy świetnego lekarza, amerykańskiego misjonarza nazwiskiem Parker. Miły gość. – Skinął głową. – No dobrze, ma pan już pewną orientację w terenie. Pora na lunch.

Angielską faktorię zbudowała Kompania Wschodnioindyjska w osiemnastym stuleciu. Od frontu na piętrze mieściła się przestronna jadalnia, a z boków przylegały do niej biblioteka i sala bilardowa. Okna jadalni wychodziły na ogród w stylu angielskim, rozciągający się niemal aż do samego brzegu i zakończony murem. Obrazy olejne na ścianach, wygodne

fotele i zastęp znakomicie przeszkolonych kelnerów sprawiały, że czuło się tam atmosferę komfortu i staroświeckiej solidności londyńskiego klubu.

Nie wszyscy kupcy z Anglii mieszkali w faktorii, pomimo jej imponujących rozmiarów. Część znalazła zakwaterowanie po sąsiedzku, wśród innych nacji, które dysponowały wolnymi pomieszczeniami, traktując rodzimą faktorię jako miejsce przyjemnych spotkań. Tego dnia na lunchu zgromadził się tam ponad tuzin stałych bywalców. Ponieważ Jardine, największy angielski handlarz opium, popłynął niedawno w rejs do ojczyzny, zebranym przewodniczył jego wspólnik, Matheson. Kilku mężczyzn było drobnymi kupcami, z których zwłaszcza jeden, niejaki Dent, wyglądał według Tradera jak pirat z krwi i kości. Jego całkowite przeciwieństwo stanowił czcigodny doktor Parker, towarzyszący któremuś z bratanków Jardine'a.

Zarówno misjonarz, jak i korsarz sprawiali nader sympatyczne wrażenie i gotowi byli służyć cennymi radami. Matheson wskazał Traderowi miejsce obok siebie. Jego twarz o miłym wejrzeniu, okolona starannie przystrzyżonymi bokobrodami, przywodzącymi na myśl podpórki do książek, nadawała mu wygląd głęboko intelektualny, tak że bardziej niż bezwzględnego handlarza opium przypominał jowialnego księgarza.

– Sekretem udanego życia tutaj, panie Trader – rzekł serdecznie – jest posiadanie pierwszorzędnego pośrednika handlowego. Taki komprador załatwia sprawy z miejscowymi, wyszukuje dobrych chińskich służących, dba o zapasy żywności i wszystko, czego pan tylko zapragnie. Nasz jest po prostu znakomity.

– Całą służbę stanowią tubylcy?

– W zasadzie tak. Nie ma z nimi żadnych kłopotów. Kantończycy to praktyczni ludzie.

– Czy powinienem nauczyć się chińskiej mowy? – spytał John.

– Nie radziłbym – odparł gospodarz. – Władze krzywo na to patrzą. Nie chcą, abyśmy nawiązywali zbyt bliskie kontakty z ich poddanymi. Jak pan zapewne wie, wszyscy mówią tutaj łamanym angielskim. Kupcy z kohongu, służba, pracownicy portowi – z wszystkimi się pan dogada. Szybko się pan przyzwyczai. – Odwrócił się w stronę Amerykanina. – Naturalnie doktor Parker zna język chiński, ale to co innego.

Amerykański misjonarz był niskim, gładko ogolonym mężczyzną w okularach, około trzydziestki.

– Widzi pan – wyjaśnił z uśmiechem – miejscowi, nie wyłączając mandarynów, przychodzą się do mnie leczyć. Z oczywistych względów wolą, abyśmy się dobrze zrozumieli, zanim ich pokroję!

– Zawsze słyszałem, że Chińczycy szczycą się osiągnięciami swojej medycyny – zauważył Trader.

– Owszem. Ich akupunktura i leki ziołowe często się sprawdzają. Jednak w kwestii zabiegów chirurgicznych znacznie ich wyprzedzamy i dobrze o tym wiedzą. Dlatego do nas przychodzą.

– To zwykłe konowały – wtrącił stanowczo Tully.

– Nie powinniśmy okazywać nadmiernej pychy – odparł rozważnie Parker. – Proszę nie zapominać, sir, że jeszcze niedawno w Londynie chirurgią parał się byle golibroda.

Trader przypomniał sobie van Buskirka rozdającego Pismo Święte chińskim przemytnikom i zagadnął Parkera, czy udało mu się nawrócić kogokolwiek w Kantonie.

– Jeszcze nie – odparł misjonarz. – Liczę jednak, że z czasem zdobędę taki szacunek jako lekarz, że zaczną też szanować moją wiarę. Po prostu muszę być cierpliwy.

– Taka próba wiary, co? – wtrącił znowu Tully.

– Można tak powiedzieć – odrzekł cicho Parker. Spojrzał życzliwie na Tradera. – Wiem od pana Odstocka, że skończył pan studia w Oksfordzie. Jestem pod wrażeniem.

– Ach – westchnął John. Zawahał się; wiedział – zadał sobie trud, żeby wcześniej to sprawdzić – że zarówno Matheson, jak i Jardine studiowali w Edynburgu. Jardine skończył medycynę, jednak dyplom uniwersytecki nadal stanowił rzadkość wśród kupców i przedsiębiorców, w wojsku i marynarce był natomiast czymś niespotykanym. Ludzie o ambicjach intelektualnych budzili w tych kręgach podejrzliwość.

Istniał jednak sposób, aby będąc studentem Oksfordu, przekonać innych, że jest się przyzwoitym człowiekiem, a mianowicie ukończyć studia z oceną dostateczną.

Mądrzy i pracowici odbierali dyplom z wyróżnieniem. Porządni ludzie bez wygórowanych aspiracji intelektualnych wybierali mniej wymagające przedmioty, korzystali z uroków uniwersyteckiego życia, a gdy przyszło co do czego, zadowalali się najskromniejszym z dyplomów, który poświadczał, że odbyli studia, potrafią czytać oraz pisać i nauczyli się pić jak na dżentelmenów przystało. John osobiście znał człowieka, który zarzekał się,

że spędził w Oksfordzie trzy lata, nie przeczytawszy w tym czasie ani jednej książki.

– Mój opiekun życzył sobie, abym tam studiował – odparł. – Co nieco się nauczyłem, nie powiem, ale zdałem tylko podstawowe egzaminy.

Nie była to prawda; ukończył uniwersytet z wyróżnieniem, jednak w Kalkucie uznał, że rozsądniej się tym nie chwalić, i dalej trzymał się swojej historyjki.

Podczas posiłku rozmawiano o ultimatum chińskiego komisarza. Tully przekazał wszystkim opinię pana Delano, co zostało przyjęte z entuzjazmem. Zebrani zgodzili się, że lepiej przeczekać tę burzę, a Dent uderzył pięścią w stół i stwierdził, że jeśli komisarz dalej będzie sprawiał kłopoty, trzeba go chwycić za kołnierz i wrzucić do rzeki. Jako nowo przybyły, Trader słuchał w milczeniu, nie wyrażając własnego zdania.

Gdy tak przypatrywał się garstce kupców stojących w obliczu poważnych strat, bezbronnych na tym skrawku lądu w sercu milionowego cesarstwa, które – gdyby komuś przyszła na to ochota – w okamgnieniu mogło ich zmiażdżyć, odczuwał wyłącznie głęboki podziw. Może i byli arogantami, a już na pewno nie mieli w tym sporze moralnej wyższości, lecz mimo wszystko, kiedy tak dyskutowali spokojnie w swoim klubie, wydawali mu się ucieleśnieniem brytyjskości.

Przy deserze ośmielił się jednak zadać Mathesonowi pytanie.

– Jednego nie rozumiem – wyznał. – Kompania Wschodnioindyjska ma własne wojsko, które broni naszych interesów. W Chinach nie mamy własnej armii, chociaż jest tutaj przedstawiciel brytyjskiego rządu zwany superintendentem. Zatem skoro Chińczycy zagrażają brytyjskiemu handlowi i dochodom brytyjskich kupców, co zamierza z tym zrobić superintendent?

– Elliot? – parsknął Tully Odstock. – Nic! Jest do niczego. Palcem nie kiwnie. – Jego wybuch wywołał pomruk aprobaty.

– Jak pan widzi – odrzekł ze spokojem Matheson – kapitan Elliot nie cieszy się zbytnią popularnością. Wybrał się niedawno do Makau i z pewnością niedługo wróci.

– Dlaczego nie jest lubiany? – spytał John.

– Po części chyba z powodu swojego arystokratycznego pochodzenia – odparł Matheson. – Dwóch jego kuzynów ma tytuł lorda – jeden to gubernator generalny Indii, drugi zasiada w rządzie. Co najmniej jeden członek rodziny Elliota służy w randze admirała. My, kupcy, wyraźnie odczuwamy

jego niechęć. A już na pewno nie podoba mu się nasz handel opium. Nie pochwala go, w związku z czym nam również nie sprzyja.

– To może ten przeklęty biurokrata powinien pracować dla chińskiego cesarza? – wtrącił Tully.

– Elliot ma, rzecz jasna, obowiązek bronić naszych interesów – ciągnął Matheson. – Brytyjski rząd wysoko ceni herbatę, którą importujemy z Chin. Równie cenne są zyski z bawełny sprzedawanej przez nas Chińczykom – choć mogę pana zapewnić, że pomimo olbrzymiej gorliwości właścicieli angielskich przędzalni chiński rynek nigdy nie wchłonie takich ilości bawełny, aby zrównoważyło to koszt herbaty, którą musimy kupować.

– Wszystko to bardzo pięknie, Matheson – rzekł Tully Odstock – ale jeśli sprawy tutaj się skomplikują – a na to wygląda – wolałbym mieć u boku kogoś, komu mogę zaufać, a nie człowieka, który praktycznie wysługuje się Chińczykom. Jeśli chodzi o jego zasady moralne, to gdy zaczyna prawić kazania, staje się całkiem nieprzewidywalny. Możemy przez niego wszystko stracić.

– Musimy zachować spokój – upomniał go Matheson.

– Jestem spokojny – odburknął Tully, poirytowany.

– Myli się pan jednak co do Elliota, sądząc, że sprzyja Chinom – ciągnął Matheson. – W istocie powiedziałbym, że jest dokładnie na odwrót.

– A to jakim sposobem?

– Uważnie mu się przyglądam. To arystokrata, imperialista, może nawet dyplomata. A teraz weźmy Chiny, dumne cesarstwo, patrzące z góry na inne kraje. Kiedy wyprawiamy poselstwo do Chin, dwór cesarski widzi w nas poddanych, którzy przybywają złożyć mu hołd. Spodziewają się, że nasz ambasador będzie kłaniał się w pas i padał na twarz przed cesarzem. Kupcy tacy jak my jeszcze by to przełknęli, o ile nadal wolno nam będzie handlować. Ale w oczach Elliota to niedopuszczalna obraza Korony Brytyjskiej i jego osobistej godności. Przykłada ogromną wagę do swojej pozycji.

– Bez handlu nie ma pieniędzy. A bez pieniędzy nie ma pozycji – rzucił gniewnie Tully.

– Pełna zgoda. Ale nawet w kwestii handlu Elliot nie może sprzyjać Chinom. Dlaczego? Ponieważ Chińczycy nie pozwolą nam ze sobą handlować tak, jak to robimy z innymi nacjami. W całym tym ogromnym cesarstwie wolno nam handlować tylko w Kantonie i nie możemy nawet mieszkać w mieście. Gdybyśmy mieli swobodny dostęp do innych chińskich miast, żeby oferować tam nasze towary, to kto wie – być może nie musielibyśmy

nawet handlować opium. A przynajmniej Elliot mógłby wysunąć taki argument. Krótko mówiąc, superintendent nienawidzi obecnego status quo. I dopóki niebiański cesarz nie uzna imperium brytyjskiego za równe sobie i nie włączy się w normalną wymianę handlową opartą na wzajemnych stosunkach między różnymi krajami, Elliot będzie mu się zdecydowanie sprzeciwiał.

– Masz pan gadane – zauważył niechętnie Odstock, a zwracając się do Tradera, rzekł: – Liczę, że taki oksfordczyk jak pan nie pozostanie dłużny Mathesonowi i nie pozwoli mu się zagadać.

Zanim jednak Trader zdążył zareagować na tę krępującą propozycję, rozmowę przerwało wejście sługi, który wpadł do jadalni i oznajmił:

– Pan Zhou zaprasza pana Odstocka do swego domu. Pana Tradera także. Czym prędzej.

Zaskoczony Odstock rozejrzał się po sali.

– A to dopiero. Zhou jest członkiem kohongu – wyjaśnił Traderowi. – Chińskim kupcem, z którym najczęściej handluję. – Odwrócił się ku służącemu. – W jakim celu?

– Z rozkazu komisarza Lina.

– Chce mnie widzieć? – upewnił się przerażony John.

Służący przytaknął.

– Bardzo dziwne! – wykrzyknął Matheson. Nawet on wyglądał na lekko zaniepokojonego. – No cóż – rzekł po chwili – chyba powinni panowie tam pójść.

Gdy Trader, Tully Odstock i służący pana Zhou szli w górę Hog Lane, wspólnik Johna silił się na spokój.

– Nazywam go Jokerem – powiedział – dlatego że jego imię brzmi trochę podobnie do „Joe”. Nie ma nic przeciwko temu.

Byli w połowie Hog Lane, gdy Tully przystanął przy stoisku i kupił dwa ciasteczka migdałowe. Podał jedno Traderowi i sam zaczął jeść, nie ruszając się z miejsca.

– Pan Zhou mówi: iść szybko! – zawołał niespokojnie sługa, lecz kupiec to zignorował.

– Nigdy nie należy się spieszyć ani okazywać zdenerwowania – mruknął do Tradera, który w lot pojął, o co chodzi: schrupał swoje ciastko i dopiero wtedy ruszyli dalej. – Nawiasem mówiąc – ciągnął Tully – gdy już tam

dotrzemy, porozmawiamy, a za jakiś czas podadzą nam herbatę. Gospodarz będzie oczekiwał, że po jej wypiciu wyjdziemy. Takie są tutaj zwyczaje.

– Powinienem wiedzieć coś jeszcze? – spytał John.

– W tej chwili Joker jest nam winien większą sumę pieniędzy. Ale proszę się nie obawiać. To porządny człowiek. Znam go od lat. Spłaci swój dług. – Pokiwał głową. – W zasadzie już prawie tydzień go nie widziałem. Ciekawe, co myśli o tych nonsensach, które wygaduje Lin.

Pięć minut później stanęli przed domem pana Zhou. Z obszernym dziedzińcem, werandami i ładnym ogrodem na tyłach robił spore wrażenie. Gospodarz przyjął ich w pięknie umeblowanym pomieszczeniu obwieszonym czerwonymi lampionami.

– Witaj, Joker – odezwał się Tully. – Dawnośmy się nie widzieli.

– Sześć dni – odparł kupiec z kohongu.

Przypatrując się panu Zhou, John Trader uznał, że jego wspólnik nie trafił z przezwiskiem dla chińskiego kupca. Pan Zhou przyjął ich w fotelu w pozie tak dystyngowanej, jakby zasiadał na tronie. Jego pociągłą, kościstą jak u szkieletu twarz wieńczyła lśniąca łysina wysoko sklepionej czaszki. Na bogato haftowaną tunikę miał narzucony czarny jedwabny kaftan z szerokimi rękawami, a na szyi długi, podwójny sznur bursztynowych koralików, sięgający mu aż do pasa. Spoglądał na Johna bardziej jak cesarz niż dworski błazen.

– To jest pan Trader – przedstawił go Tully. – Studiował na Oksfordzie.

Pan Zhou skłonił lekko głowę i uśmiechnął się.

– Miło mi pana poznać, panie Zhou – rzekł John uprzejmie.

– Czy mówi pan po chińsku? – spytał gospodarz.

– Jeszcze nie.

Zhou nie wyglądał na zachwyconego.

– Słuchaj no, Joker – rzucił Tully – czego chce ten komisarz Lin?

– Całego waszego opium – odparł kupiec.

– Po co mu aż tyle?

– Musi przejąć cały towar, inaczej straci twarz.

– Wykluczone – oznajmił Tully stanowczo. Przyjrzał się uważnie Jokerowi. W oczach kupca dostrzegł autentyczny strach. – Joker panikuje – szepnął do Tradera i znów zwrócił się do kupca z kohongu: – Dlaczego Lin chce widzieć Tradera?

Zanim jednak zdążył usłyszeć odpowiedź, rozległy się jakieś głosy i po chwili sługa wprowadził dwóch nieznajomych.

* * *

Jiang Shi-Rong spojrzał na trzech mężczyzn. Zhou już znał i było całkiem jasne, kim jest Odstock; zatem ten ciemnowłosy młodzieniec musiał być uczonym.

Myślał, jak zdoła się porozumieć z Traderem. Nie chciał korzystać z pośrednictwa Zhou, któremu ani trochę nie ufał, dlatego przyprowadził własnego tłumacza.

Dla ścisłości, rzeczony tłumacz przybył tu z komisarzem Linem. Był to dziwny człowieczek – niski, chudy, w nieokreślonym wieku. Twierdził, że liczy sobie czterdzieści lat, choć równie dobrze mógł mieć na karku pięćdziesiątkę. Nosił okrągłe okulary o bardzo grubych, porysowanych szkłach, które jednak, jak zauważył Shi-Rong, nie powiększały mu oczu. Twierdził też, że potrafi płynnie mówić i pisać po angielsku, który to język opanował w domu pewnego misjonarza w Makau, a następnie szlifował podczas swojego pobytu w Singapurze. Ze względu na ten fragment życiorysu znany był wszystkim jako pan Singapur.

Pan Zhou dokonał oficjalnej prezentacji, po czym wspomniał Shi-Rongowi, że Odstock pytał go właśnie, co dokładnie sprowadza komisarza do Guangzhou.

Shi-Rong skłonił się uprzejmie i zwrócił do tłumacza:

– Proszę powiedzieć barbarzyńskiemu kupcowi, że komisarz Lin jest tutaj po to, aby na dobre zakończyć handel opium. – Słuchał, jak pan Singapur bez większych trudności przekazuje cudzoziemcom owo jednoznaczne stanowisko. Zauważył, że mina Odstocka wyraża jednocześnie cynizm i wściekłość, za to młody Trader wydawał się raczej przygnębiony. – Dla przestępców trudniących się nielegalnym przemytem nie będzie litości – dodał. – Niektórzy, w tym pan Zhou, mogą zostać straceni.

Pan Zhou wyglądał na zrozpaczonego.

Odstock odpowiedział, a pan Singapur przetłumaczył:

– Ten gruby barbarzyńca pyta, czy Królestwo Niebios chce nadal sprzedawać herbatę.

– Królestwo Niebios nie musi niczego sprzedawać – odrzekł Shi-Rong – lecz towary, którymi handluje, takie jak herbata i rzewień, są zdrowe. Kto ich nie spożywa, umiera. – Zauważył, że obaj barbarzyńcy są zaskoczeni. Najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, że wie, w jak wielkim stopniu ich

życie zależy od rabarbaru. – Pozwolimy barbarzyńskim kupcom płacić za nie srebrem – zakończył stanowczo Shi-Rong. – To wszystko.

Odstock i Zhou milczeli. Shi-Rong zainteresował się Traderem.

– Proszę go zapytać, dlaczego został piratem, skoro jest uczonym – polecił tłumaczowi.

– Mówi, że nie jest piratem, tylko kupcem.

– Dlaczego zatem, skoro jest uczonym, został kupcem, najniższą z istot ludzkich?

– Mówi, że kupiec nie jest najniższą z istot ludzkich. Nie w jego kraju.

Shi-Rong odniósł wrażenie, że młody barbarzyńca odpowiedział na jego pytanie gniewnym, wręcz wyzywającym tonem, jakby jego ojczyzna mogła się równać z Królestwem Niebios. I to gdy on sam oraz inni Fan Kuei dwoili się i troili, żeby dla zysków zatruwać ziomków Shi-Ronga!

– Tutaj uważamy – odparł stanowczo – że moralnym zajęciem jest praca wieśniaka, uczciwie trudzącego się w polu. Kupiec, który dla zysku handluje owocami czyjejś pracy, z oczywistych względów stoi na niższym szczeblu drabiny moralnej i zasługuje na pogardę. Proszę mu to powtórzyć.

Pan Singapur miał pewien kłopot z przetłumaczeniem jego wywodu, lecz ostatecznie mu się to udało. Trader nic nie powiedział.

Shi-Rong podjął atak.

– Zresztą jego twierdzenie, jakoby nie był piratem, to fałsz. Skoro jest uczciwy, dlaczego łamie prawo i sprzedaje opium przemytnikom?

– Mówi, że chińskie prawo go nie obowiązuje.

– Powinien szanować prawa Królestwa Niebios dlatego, że tutaj przebywa, a one są łaskawe, mądre i sprawiedliwe.

Podczas gdy pan Singapur starał się przekazać tę wypowiedź, Shi-Rong oddawał się rozmyślaniom. Doszedł do wniosku, że odpowiedzi Tradera nie mają większego sensu.

– Naprawdę jest uczonym? – zapytał sceptycznie.

– Mówi, że studiował na Uniwersytecie Oksfordzkim.

– Nie wiem, co to. Proszę go zapytać, gdzie leży jego kraj i czy jest duży.

– Mówi, że leży na wyspie, daleko na zachodzie, ale jego imperium jest większe od Królestwa Niebios.

Shi-Rong poczuł rozczarowanie. Najwyraźniej ów młody człowiek był nie tylko arogantem, ale i kłamcą. Niewykluczone, że rozmowa z nim była stratą czasu. Mimo to spytał z kamienną twarzą:

– Czy to prawda, że jego królestwem władają kobiety?

– Mówi, że niemal zawsze rządzą tam królowie, dopiero od niedawna mają młodą królową.

– A czy ta królowa przestrzega zasad moralnych czy też jest złą osobą?

– Mówi, że ta królowa nazywa się Wiktoria i wyznaje najwyższe zasady moralne.

– Czemu w takim razie pozwala swoim kupcom handlować opium?

– Jego królowa nie uważa opium za zło. Sama je zażywa. Opium jest zdrowe, szkodzi jedynie w nadmiarze.

– W tym właśnie problem – odparł Shi-Rong – ludzie zażywają je w nadmiarze. Najpierw wypalają odrobinę, potem chcą więcej i wkrótce nie mogą przestać. Wszystko, co mają, wydają na opium. Nie mogą pracować. Stają się jak chore cienie, a w końcu umierają. Ta trucizna niszczy miliony ludzi w Królestwie Niebios. Jak on może twierdzić, że jest czymś zdrowym?

– Mówi, że każdy odpowiada za własne czyny.

– Dobry władca powinien chronić swój lud. Odpowiada zań tak jak ojciec za syna. Czy ten barbarzyńca zna Konfucjusza?

– Słyszał o nim.

A zatem nie był zupełnym ignorantem.

– W takim razie powinien wiedzieć, że wszyscy ludzie są komuś winni posłuszeństwo: syn powinien słuchać ojca, a ojciec cesarza. Gdy cesarz włada mądrze i sprawiedliwie, ta mądrość i sprawiedliwość spływa na cały jego lud. A kiedy łańcuch właściwego postępowania zostaje zerwany, zaczynają się panoszyć zło i chaos. W Królestwie Niebios żyją miliony ludzi, wszystkich jednak łączy posłuszeństwo oraz normy postępowania w służbie cesarzowi, władającym nimi sprawiedliwie z Mandatu Niebios. Dlatego ani on, ani żadna barbarzyńska królowa nie będą osądzać, co jest dobre, a co złe, bo o tym decyduje wyłącznie cesarz. Nie mam nic więcej do dodania.

Shi-Rong widział, że pan Singapur dłuższy czas boryka się z przekazaniem tego Traderowi, ale był cierpliwy. Dopóki ten barbarzyńca – uczony czy nie – nie pojmie podstawowych zasad moralności, nie będą mieli żadnej płaszczyzny porozumienia.

– On mówi, że jego królowa również została namaszczona przez Niebiosa – oznajmił wreszcie pan Singapur.

– Wobec tego – odparł triumfalnie Shi-Rong – pokażę mu pismo. – Wyjął dokument i podał go Traderowi. – Może mu pan wyjaśnić, że to przetłumaczony na jego język szkic pisma, jakie komisarz Lin zamierza wysłać do jego królowej. – Z satysfakcją przyglądał się, jak Trader bierze list i zaczyna go czytać.

Pismo było znakomicie sformułowane, zgodnie z najlepszymi mandaryńskimi wzorcami kompozycji. Było rozsądne i uprzejme. Jego autor podkreślał, że od wieków wymiana handlowa między obydwoma krajami odbywała się w pokoju i harmonii, lecz ostatnio handel opium przybrał zastraszające rozmiary. Komisarz z szacunkiem sugerował, że Droga Niebios obowiązuje wszystkie kraje, i wyrażał przekonanie, że gdyby ów trujący narkotyk wwożono do jej kraju, królowa Wiktoria uznałaby go za takie samo zło, za jakie uważał go cesarz. Cesarz wie, że opium pochodzi tylko z niektórych krain znajdujących się pod jej władaniem i że handel nim nie odbywa się na jej polecenie. Dalej Lin wyjaśniał, że trzeba położyć temu kres, i prosił, aby królowa zakazała kupcom dalszej sprzedaży opium. Na koniec znajdowało się zawoalowane ostrzeżenie, mówiące, że jeśli władczyni nie spełni swojego moralnego obowiązku, ani cesarz, ani same Niebiosa nie będą sprzyjać jej rządom. I odwrotnie: jeżeli uzna cesarskie żądania, zaskarbi sobie tysiączne błogosławieństwa.

W istocie jedynym, co można było zarzucić temu wywodowi, było straszliwe tłumaczenie pana Singapura; Trader marszczył czoło z wysiłku, usiłując coś z niego zrozumieć.

Po dłuższym czasie oddał list.

– Jako uczony powinien pan docenić wagę tego pisma – rzekł Shi-Rong.

– Mówi, że jest interesujące – przetłumaczył pan Singapur.

– Mam nadzieję, że wasza królowa natychmiast zaprzestanie handlu – ciągnął młody sekretarz.

– Nie mogę przemawiać w imieniu Jej Wysokości, która sama podejmie decyzję – stwierdził ostrożnie Trader.

Wniesiono herbatę. W rozmowie silono się na uprzejmość, lecz atmosfera pozostawała napięta. Shi-Rong przekazał wszystko, czego życzył sobie pan Lin, a skoro Trader najwyraźniej nie był żadnym uczonym, nie mógł liczyć, że dowie się od niego czegoś ciekawego.

Mimo to im dłużej przyglądał się twarzy ciemnowłosego młodzieńca, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że dostrzega w niej jakiś smutek. Czyżby zachował jednak resztki przyzwoitości? Shi-Rong nie miał

ochoty na zacieśnianie znajomości z tym barbarzyńskim cudzoziemcem, a jednak był go ciekaw. Dlatego w pewnym momencie, ku własnemu zaskoczeniu, odezwał się:

– Mój ojciec jest dobrym człowiekiem. Każdego dnia myślę o tym, czego by ode mnie oczekiwał, i staram się tak postępować. Czy pański ojciec chciałby, aby handlował pan opium?

Gdy pan Singapur przetłumaczył pytanie, Trader zwiesił głowę, jakby w głębokim namyśle, po czym odparł:

– Ma pan szczęście. Ja w bardzo młodym wieku straciłem oboje rodziców. Wychowywał mnie starszy krewny. Był moim opiekunem.

– Czy był dobrym człowiekiem?

– Nie jest pewien – przetłumaczył pan Singapur.

– Sądzę – rzekł delikatnie Shi-Rong – że wie pan, iż nie powinien handlować opium, i to nie daje panu spokoju.

John Trader nie odpowiedział. Ceremonia picia herbaty dobiegła końca i nadeszła pora, żeby się pożegnać.

– Wszystko to jeden wielki stek bzdur – oświadczył wieczorem Tully Odstock. Siedzieli z Traderem w otoczonym murem ogrodzie przed angielską faktorią. – Przekona się pan, co będzie jutro, kiedy zaczną się prawdziwe negocjacje.

– Nie jestem wcale taki pewien – odparł Trader. – Ten Lin chyba nie żartuje.

– Jutro ustąpi – stwierdził Odstock. – A co do tego głupiego listu do królowej…

– Po chińsku mógł brzmieć całkiem składnie – zauważył Trader. – Na koniec zdołałem wreszcie pojąć ogólny sens, ale angielski tego człowieka był tak koślawy, że wszystko brzmiało jak bełkot. Pan Singapur to zwykły oszust.

– Otóż to – mruknął Tully. Obrzucił Tradera bystrym spojrzeniem. – A gdy ten młody mandaryn zaczął pleść o tym, że z pewnością gryzie pana sumienie… pomyślałem sobie: „Co za bezczelny typ!”.

– Racja.

– Bądź co bądź to zwykli poganie. – Tully wydobył cygaro, obciął jego czubek i ostrożnie zapalił, po czym zaciągnął się, oparł wygodnie i spojrzawszy na wieczorne niebo, wypuścił z ust kłąb dymu wprost ku pierw-

szym nieśmiałym gwiazdom. – Wie pan, co zrobię za kilka lat, kiedy już zwinę interes i wrócę do Anglii? Ożenię się. – Pokiwał głową i znowu się zaciągnął. – Znajdę sobie miłą żonkę. Będę nawet chodził do kościoła i tak dalej.

– A poza tym? – spytał od niechcenia Trader.

– Ufunduję sierociniec. Zawsze chciałem to zrobić.

– Bardzo to szlachetne z pana strony.

– Wie pan, mając pieniądze, można zrobić wiele dobrego. – Tully wypuścił dym z płuc. – Naturalnie – dodał z rozwagą – najpierw trzeba je mieć.

– Oczywiście.

– Chyba już się położę. A pan?

– Nie jestem jeszcze śpiący.

– A zatem dobrej nocy. – Tully wstał z cygarem w dłoni. – Rano przekona się pan, że miałem rację.

John siedział w ogrodzie. Niebo pociemniało, gwiazdy świeciły teraz jaśniej. Po pewnym czasie wstał i zaczął się przechadzać tam i z powrotem. Czując jednak, że potrzebuje więcej przestrzeni, opuścił ogród i poszedł na szerokie nabrzeże.

Keja była pusta, chociaż w licznie zakotwiczonych na rzece dżonkach paliły się latarnie. Minąwszy faktorię amerykańską na końcu nabrzeża, John przysiadł na żelaznym pachołku cumowniczym i wpatrzony w ciemną wodę rozmyślał o wydarzeniach minionego dnia. W pewnym momencie cała prawda o opium dotarła do niego ze straszliwą, lodowatą ostrością.

Ci wszyscy kupcy byli tutaj zbyt długo. W głowach im się nie mieściło, że sprawy mogłyby przybrać inny obrót niż do tej pory, więc oczywiście założyli, że Lin blefuje.

Ale się mylili. Im więcej Trader myślał o poznanym dziś młodym mandarynie, tym większa była jego pewność, że Jiang Shi-Rong, jego mistrz Lin oraz sam cesarz nie żartują. W grę wchodziły kwestie moralności, a oni mieli po swojej stronie Mandat Niebios i setki tysięcy wojska do dyspozycji. Jeżeli zechcą, z łatwością położą kres handlowi opium.

Kto wie, pomyślał nagle, gdyby pismo Lina zostało porządnie przetłumaczone na zrozumiały angielski i dotarło do monarchini, być może królowa Wiktoria by się z nim zgodziła. Jej przedstawiciel w Chinach, Elliot, najwyraźniej już to zrobił.

John utopił cały majątek w opium, a teraz groziło mu – był o tym coraz bardziej przekonany – że wszystko straci.

Dlaczego to uczynił? Z miłości? Dla ambicji? Nie miało to teraz znaczenia. Było już za późno. Ukrył głowę w dłoniach i zakołysał się z boku na bok.

– Odstock i cała reszta się łudzą. To koniec – wyszeptał. – Co ja zrobiłem? O Boże, co ja najlepszego zrobiłem?

* * *

Shi-Rong cieszył się, że może powiedzieć komisarzowi, iż Trader przeczytał list, i przekazać, że barbarzyński uczony był pod wrażeniem jego argumentów.

– Momentami wyglądał jak rażony gromem – donosił.

– Oby wynikło z tego coś dobrego – rzekł Lin.

Ale nie wynikło. Nazajutrz rano spotkało się niemal czterdziestu cudzoziemskich kupców i szybko uzgodnili wspólne stanowisko: nie zamierzali oddawać swoich zapasów opium i twierdzili, że potrzebują co najmniej tygodnia do namysłu.

Wtedy to Shi-Rong po raz pierwszy był świadkiem wybuchu gniewu komisarza.

– Trzeba im przekazać, iż żądam natychmiastowego wydania opium – polecił młodemu sekretarzowi. – Niech pan Singapur idzie z panem. Muszą zrozumieć, że jeśli nie usłuchają, spotkają ich poważne konsekwencje. Idźże już, chłopcze!

Po dostarczeniu wiadomości do faktorii Shi-Rong musiał czekać wiele godzin, zanim powrócił z odpowiedzią.

– Oferują wam tysiąc skrzyń, ekscelencjo, nie więcej.

Twarz komisarza skamieniała. Shi-Rong zaczął się zastanawiać, czy nie wyda rozkazu egzekucji wszystkich kupców. Lin jakby czytał mu w myślach.

– Łatwo byłoby zabić tych barbarzyńców, jednak to byłoby poniżej naszej godności. Moglibyśmy ich też wygnać, ale cesarz nie chce niszczyć całego handlu, który po części jest dobry dla jego ludu. Pragnie, aby barbarzyńcy uznali swoją zbrodnię oraz fakt, że w Królestwie Niebios obowiązuje sprawiedliwe prawo. Rozumie pan?

– Tak, ekscelencjo.

– Doskonale. Nie traktują nas poważnie. Trzeba zadbać, aby to się zmieniło. – Lin skinął głową. – Wezwę do siebie jednego albo dwóch z nich, przesłucham, a jeśli nie okażą chęci współdziałania, zostaną aresztowani. To może wywrzeć jakiś skutek.

– Macie kogoś konkretnego na myśli, ekscelencjo?

– Jeden z Anglików jest szczególnie bezczelny. We wszystkich doniesieniach są na niego skargi. Zwie się Dent. Ale potrzebny będzie jeszcze jeden.

– Może Odstock, ów starszy kupiec, z którym spotkałem się wczoraj? – podsunął Shi-Rong. – Wiemy, że przekupił kupca Zhou. Nie przejawiał żadnej skruchy, nie sądzę jednak, aby był odważnym człowiekiem. Przestraszony może wydać swoje zapasy opium. A gdy jeden ulegnie, być może ulegną wszyscy.

– Dobrze – odparł Lin. – Jutro przyprowadzisz do mnie Denta i Odstocka.

* * *

Rankiem następnego dnia Trader poszedł rozprostować nogi na nabrzeżu. Nagle spostrzegł grupę mężczyzn pospiesznie wycofujących się z Hog Lane. Chwilę potem okazało się, że są popychani przez chińskich żołnierzy. Ci ostatni mieli na sobie niebieskie tuniki, stożkowate kapelusze i byli uzbrojeni w piki. Zatarasowali wylot ulicy przy angielskiej faktorii, i tyle. Dalej wzdłuż brzegu ujrzał chińskich żołnierzy obsadzających wyloty dwóch pozostałych ulic. Faktorie i nabrzeże zostały całkowicie odcięte.

Gdy skończył relacjonować Tully’emu, co się stało, i ten wkładał kurtkę, żeby wyjść i zobaczyć wszystko na własne oczy, na schodach rozległy się kroki. W wąskich drzwiach stanął Shi-Rong, eskortowany przez dwóch żołnierzy z obnażonymi mieczami, a jeden ze sług faktorii oznajmił, kuląc się obok Shi-Ronga:

– Komisarz Lin chce widzieć u siebie pana Odstocka.

Odstock wstał z godnością i skłonił się uprzejmie Shi-Rongowi, który z podobną uprzejmością odwzajemnił ukłon. Jeśli nawet Tully odczuwał lęk, nie dał po sobie nic poznać. Zwrócił się do Tradera:

– Lepiej tam pójdę. – Wzruszył ramionami. – Pan niech zostanie na posterunku i dogląda wszystkiego, dopóki nie wrócę.

– Zostawi mnie pan samego? – Trader był wyraźnie przerażony.

Tully zapewne poszedłby z Shi-Rongiem, gdyby nie to, że w tej samej chwili na schodach załomotały czyjeś kroki i zjawił się Matheson, wściekle odpychając żołnierzy.

– Niech pan nawet o tym nie myśli, Odstock! – krzyknął. – Przyszli też po Denta.

– I co? Zgodził się pójść? – spytał Tully.

– Odparł, że w zasadzie nie ma nic przeciwko temu i z chęcią powie chińskiemu cesarzowi, co o nim sądzi.

– Cały Dent.

– Przekonałem go jednak, żeby nigdzie nie szedł, bo może już nigdy nie wrócić.

Trader spojrzał najpierw na obojętnego Shi-Ronga, a następnie na Mathesona.

– Myśli pan, że odważyliby się…

– Wątpię – odparł Matheson. – Ale jeśli zatrzymają Denta, ryzyko wzrośnie. Bóg jeden wie, czy kiedykolwiek by go wypuścili. Tak czy inaczej, lepiej teraz trzymać się razem. Nie chcemy chyba, żeby Lin brał nas kolejno w obroty. – Ponownie zwrócił się do Tully'ego: – Nie może pan z nimi iść.

– Zgoda – odrzekł kupiec. Popatrzył na Shi-Ronga. – Nigdzie nie idę.

* * *

Po odejściu Shi-Ronga i jego ludzi Matheson posłał Traderowi pokrzepiający uśmiech.

– Mogli zabrać Denta i Odstocka siłą – zauważył. – To dobry znak. – Lecz w uszach Tradera nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

Tymczasem chińscy żołnierze pozostali na ulicach, odcinając dostęp do faktorii.

Nazajutrz wciąż tam byli. Po przechadzce wzdłuż brzegu Tully i Trader wstąpili do biblioteki w angielskiej faktorii, gdzie zastali Mathesona wraz z tuzinem innych. Tully opadł na głęboki skórzany fotel.

– Książkę? – zaproponował Trader.

– Broń Boże!

Trader zbliżył się do regałów. Ktoś zostawił na półce egzemplarz *Klubu Pickwicka* Dickensa. Jako że książkę wydano zaledwie kilka lat wcześniej, przypuszczał, że ktoś przeczytał ją podczas podróży z Anglii i po przybyciu na miejsce uprzejmie podarował egzemplarz bibliotece. Może ta urocza komiczna epopeja oderwie go na chwilę od kłopotów? Na jakieś dwadzieścia minut istotnie się to udało, dopóki któryś z wyglądających przez okno mężczyzn nie zawołał:

– Dobry Boże, spójrzcie tylko na to!

Po chwili wszyscy zgromadzeni w bibliotece tłoczyli się przy oknie, spoglądając na plac poniżej.

Kroczył tamtędy ponury pochód. Pół tuzina chińskich żołnierzy prowadziło trzech członków kohongu. Wszyscy oni byli dostojnymi kupcami, lecz nikt nie wyglądał godnie z żelazną obręczą na szyi, skuty łańcuchem i wleczony przez żołnierza. Jednym z pojmanych był Joker, którego twarz wyrażała czystą rozpacz. Na środku placu pochód skręcił w stronę angielskiej faktorii i zatrzymał się. Dowodzący nim żołnierz trzymał bambusową pałkę. Uderzając nią w łydki Jokera, sprawił, że starszy człowiek krzyknął i osunął się na kolana. Nie musiał nawet bić pozostałych dwóch; natychmiast pojęli, o co chodzi, i sami uklękli. Następnie żołnierze zarzucili łańcuchy na ramiona całej trójki, aby przygnieść ich do ziemi. Zgięci wpół i upokorzeni, w pozycji przypominającej pokłon, trzej kupcy klęczeli w słońcu, a żołnierze w milczeniu im się przyglądali. Nikt się nie poruszył.

– Zamierzają ich stracić? – spytał Trader.

– Próbują tylko napędzić nam stracha – odparł ktoś.

– To teatr. – Tully Odstock prychnął pogardliwie. – Przeklęty teatr.

– Zgadzam się, że odgrywają przed nami przedstawienie – rzekł Matheson.

– Mimo wszystko – mruknął po chwili Tully – mam nadzieję, że Jokerowi nic się nie stanie. Jest mi winien mnóstwo pieniędzy – dodał ciszej.

– Może pan być pewien, że Lin o tym wie – odparł Matheson. – Jedyny sposób to ich zignorować. – Po tych słowach odsunął się od okna.

Trader jednak wyjrzał raz jeszcze, tuż przed lunchem. I ponownie po lunchu, gdy słońce świeciło wprost na głowy trzech mężczyzn. Później Tully poszedł do siebie na drzemkę, Trader zaś bez entuzjazmu rozegrał partię bilardu z bratankiem Jardine’a.

Po południu zjawiła się chińska delegacja. Tym razem nie byli uzbrojeni. Młodemu Shi-Rongowi i tłumaczowi towarzyszył sędzia w asyście dwóch

młodszych mandarynów. Trójka ta skierowała się wprost do kwatery Denta, podczas gdy Shi-Rong i pan Singapur poszli obudzić Odstocka; Trader deptał im po piętach.

Wiadomość, przetłumaczona przez pana Singapura, była zwięzła:

– Pan Jiang ma odprowadzić pana Odstocka do komisarza Lina i pozostanie tu, dopóki pan Odstock z nim pójdzie.

Odstock dłuższy czas przyglądał się Shi-Rongowi, po czym wskazał mu krzesło.

– Siadaj – rzucił, a następnie wrócił do łóżka.

Shi-Rong zajął wskazane mu miejsce i Trader także usiadł. Pan Singapur wyjaśnił, że musi wracać, gdyż komisarz Lin pragnie wprowadzić jakieś poprawki do swojego listu adresowanego do królowej Wiktorii, po czym wyszedł, pozostawiając dwóch młodzieńców samych, niezdolnych porozumieć się ze sobą.

Pół godziny, jakie upłynęło od wyjścia tłumacza, wystarczyło, aby Trader po raz pierwszy w życiu odczuł frustrację z powodu braku wspólnego języka.

Rzecz jasna, w Indiach żyły miliony ludzi, których mowy nie znał, lecz to nie było aż tak dotkliwe. Wielu hinduskich kupców oraz ludzi wykształconych płynnie posługiwało się angielskim. Często spotykał też życzliwych Anglików posiadających dogłębną wiedzę na temat Indii, którzy potrafili godzinami objaśniać mu zawiłości lokalnych obyczajów, religii i kultury.

W Chinach było całkiem inaczej. Siedział oto twarzą w twarz z podobnym do siebie młodym człowiekiem, który przed trzema dniami starał się go zrozumieć, gotów był nawet służyć mu przyjacielską radą. Zapewne czekało ich wiele godzin spędzonych w swoim towarzystwie, podczas których każdy mógłby się tyle dowiedzieć o świecie tego drugiego, a jednak nie mogli ze sobą porozmawiać. Milczenie dzieliło ich równie skutecznie jak ufortyfikowany mur.

Kusiło go, żeby chwycić jakiś przedmiot, wszystko jedno jaki, i pokazać na migi, że chciałby poznać jego chińską nazwę. Mógłby też pokazywać: to jest głowa, dłonie, stopy; mina smutna, mina wesoła i tak dalej. Jednak Shi-Rong nie dawał po sobie poznać, że ma ochotę na rozmowę, i Trader przypomniał sobie, że Chińczycy nie lubią, gdy cudzoziemcy usiłują nauczyć się ich języka. Resztę popołudnia spędzili więc w dusznym pokoiku i żaden nie dowiedział się niczego nowego.

W końcu światło za oknem przybrało lekko pomarańczową barwę i Trader, spoglądając na zegarek z dewizką, uświadomił sobie, że nadchodzi wieczór. Gestem dał znać Shi-Rongowi, że niedługo trzeba będzie położyć się spać. Chińczyk odpowiedział na migi, że jeśli Odstock z nim nie pójdzie, spędzi noc tu, gdzie jest. Trader zaprowadził go więc do niedużej sypialni, którą sam zajmował, i pokazał, że Shi-Rong może ją zająć. Zajrzał do Tully'ego i poinformował go, że wyda służbie w jadalni polecenie, aby ta przyniosła posiłek Odstockowi oraz młodemu mandarynowi. Gdy schodził na dół, Shi-Rong nie próbował go zatrzymywać.

Pół godziny później, gdy już podano posiłek, a Matheson uprzejmie pozwolił mu zająć posłanie Jardine'a, John Trader, wyglądając przez okno biblioteki, ujrzał na zachodzie czerwoną słoneczną kulę znikającą za horyzontem. Zobaczył też, że na nabrzeżu żołnierze biciem i kopniakami usiłują zmusić trzech kupców z kohongu, aby wstali. Ci jednak tyle czasu spędzili na klęczkach, że nie byli w stanie iść i jeden z żołnierzy zmuszony był dźwigać łańcuch Jokera.

Światło wlewało się przez okno, gdy Trader obudził się w wygodnym łóżku Jardine'a. Był niedzielny poranek i słońce dawno już wstało. Szybko wygramolił się z łóżka. Powinien czym prędzej zajrzeć do biednego, starego Tully'ego. Spiesząc do dużej jadalni, wpadł na pomysł sprawdzenia, czy gdzieś można zdobyć kawę, żeby w dzbanku zanieść ją wspólnikowi. Nie było jednak takiej potrzeby; okazało się, że przy stole siedzi Tully Odstock we własnej osobie.

– Najwyższy czas na pobudkę – zauważył wesoło.

– Co się stało?

– Mój młody mandaryn zniknął. Wyszedł przed świtem. Obstawy Denta też nie ma, podobnie jak większości żołnierzy. Dzisiaj obowiązuje nas rozejm.

– Jak to?

– Komisarz Lin najwyraźniej chce nam pokazać, jaki z niego porządny gość, bo potrafi uszanować dzień święty chrześcijan.

Wybrali się na przechadzkę w dół Hog Lane i skręciwszy w ulicę Trzynastu Faktorii, wrócili na nabrzeże. Nadal było tam sporo wojska. Większość przekupniów zniknęła wraz ze swoimi straganami, lecz poza tym można było odnieść wrażenie, że nic nadzwyczajnego się nie dzieje. Po

godzinie przed faktorią angielską stanęło dwóch kupców z kohongu, których wraz z Jokerem prowadzono w łańcuchach. Wyglądali na zmęczonych i nieco obolałych po wczorajszych przejściach, przyjęli jednak zaproszenie na drobny poczęstunek. Joker się nie pojawił; podobno leżał w łóżku.

Około południa uwagę Tradera zwróciło coś dziwnego. W okolicy zapanowała niezwykła cisza. Czyżby tylko z powodu niedzieli? Natknął się na Mathesona, który powiedział mu o zniknięciu swojego chińskiego pośrednika. W faktorii angielskiej nie było komu podać lunchu.

– To zły znak – stwierdził Tully. – Służba zawsze wie o wszystkim wcześniej niż my.

Wczesnym popołudniem rozeszła się nowina, że superintendent, kapitan Elliot, jest już w drodze z Makau.

– Nie wiadomo, kiedy tu przybędzie – oznajmił im Matheson – ani czy chińskie władze w ogóle go przepuszczą.

– Dlaczego mieliby go zatrzymywać? – zagadnął go Trader.

– Chcą nas odizolować.

– Nie wiem, na co miałby się nam przydać – mruknął Tully – chyba że przypłynie na okręcie wojennym.

Mniej więcej dwadzieścia minut po piątej na rzece ukazała się łódź wiosłowa – nieduża jednostka o klinkierowym poszyciu, długości zaledwie dwudziestu stóp, z sześcioma wioślarzami. Z początku nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Później zachmurzyło się i rzeka poszarzała, lecz w pewnej chwili przez szczelinę w chmurach na wodę padła żółta poświata i to właśnie stojący na brzegu Trader pierwszy zauważył w jej blasku błękit i złoto marynarskiej kurtki na rufie łodzi. Domyślił się zaraz, co to oznacza, i pobiegł zaalarmować Mathesona oraz pozostałych.

Niełatwo jest wyglądać godnie, pomyślał Trader, gdy usiłuje się wygramolić z chwiejnej łodzi. Niemniej jednak Elliot, na tyle, na ile to było możliwe, zdołał tego dokonać.

Był w pełnym umundurowaniu marynarki wojennej, z szablą u boku. Słusznego wzrostu, w kapeluszu z piórami na głowie, wydawał się jeszcze wyższy. Wyprężywszy się jak struna, podszedł do grupy kupców, którzy wyszli mu na spotkanie, i oznajmił:

– Panowie, jesteście odtąd pod moją opieką.

Trader zagapił się na niego zdumiony.

Wiedział, że Charles Elliot ma około trzydziestu pięciu lat i awansował do stopnia kapitana w brytyjskiej marynarce wojennej, spodziewał się więc ujrzeć doświadczonego dowódcę, twardo stąpającego po ziemi. Tymczasem miał przed sobą jednego z tych Anglików o jasnej cerze, którzy do czterdziestki zachowują wygląd uczniaków. Na policzkach Elliota dostrzegł delikatny puch zarostu, a jego bladoniebieskie oczy mogłyby – zdaniem Tradera – należeć do inteligentnego duchownego. W dodatku lekko seplenił.

I ten oto człowiek oznajmił właśnie, że odtąd będzie ich chronił. W głębi duszy Trader dotychczas uważał, że Tully Odstock odnosi się do Elliota ze zbytnim lekceważeniem; teraz przynajmniej widział już dlaczego.

– Jeszcze dziś wieczorem zwołam zgromadzenie wszystkich faktorii – oświadczył Elliot – ale najpierw pan, Matheson, i pańscy ludzie musicie mi dokładnie zrelacjonować, co tu się wydarzyło. Tymczasem – dodał, gdy zbliżyli się do bramy angielskiej faktorii – niech młody pan Jardine łaskawie dopilnuje, aby na tym maszcie zawisła flaga Zjednoczonego Królestwa.

Po tych słowach wszedł do środka. Trader został przed budynkiem. Nie sądził, aby był potrzebny podczas narady superintendenta z Mathesonem i pozostałymi przedstawicielami starszyzny. Wolał przez chwilę pobyć sam i zastanowić się podczas spaceru nad tym, czego właśnie był świadkiem.

Tkwił teraz na końcu nabrzeża, na tym samym żelaznym pachołku cumowniczym, na którym przed trzema dniami siedział zrozpaczony, i od niechcenia śledził wzrokiem przepływającą obok chińską łódkę z zapalonymi latarniami. Nagle zorientował się, że łódka skręca i kieruje się w jego stronę, do doku. Wstał i odsunął się od pachołka, a łódka przybiła do brzegu.

Na jej pokładzie Trader spostrzegł krzepką sylwetkę. W ustach mężczyzny tkwiło cygaro. Był to Read, Amerykanin.

– Dobry wieczór, Trader! – zawołał radośnie. – Pomyślałem, że do was zajrzę. Za nic nie przegapiłbym takiej zabawy.

– Na Boga, ależ się cieszę, że cię widzę! – wykrzyknął Trader. – Wiesz może, co nas tutaj czeka?

– Nie mam pojęcia. Zaniosę rzeczy do amerykańskiej faktorii, a potem do was przyjdę. Macie u siebie jakąś whisky?

W największej sali faktorii angielskiej zebrało się ponad czterdziestu mężczyzn, w większości Brytyjczyków i Amerykanów, kilku Parsów z Indii oraz grupka kupców innych narodowości. Obecnych było także dwóch kupców z kohongu. Trader i Odstock siedzieli w głębi wraz z Amerykanami Readem i Delano.

Elliot co prawda lekko seplenił, przemawiał jednak zwięźle i od razu przeszedł do rzeczy.

– Panowie, musicie być gotowi do natychmiastowego opuszczenia Kantonu wraz z całym dobytkiem. Jeśli trzeba, możemy dalej prowadzić handel z otwartego morza. Chociaż nie doszło jeszcze do aktów przemocy, przy obecnym nastawieniu chińskich władz nie jestem w stanie zagwarantować wam tutaj dalszego bezpieczeństwa.

– O ile się orientuję, nie pozwalają nikomu opuszczać Kantonu – zauważył Matheson.

– Natychmiast zażądam paszportów dla wszystkich, którzy zechcą wyjechać.

– A jeśli zagrożą nam fizycznie? – nie ustępował Matheson.

– Wówczas podziękujemy Bogu – odrzekł stanowczo Elliot – że nieopodal Bogue kotwiczy brytyjski okręt wojenny. Wiem też o dwóch takich amerykańskich okrętach, „Kolumbii” i „Johnie Adamsie”, które lada chwila są oczekiwane w Makau. Naturalnie nasz własny okręt gotów jest bronić wszystkich naszych przyjaciół w Kantonie i mam nadzieję, że w zamian mogę liczyć na taką samą pomoc ze strony Amerykanów.

– Może pan! – zakrzyknęli chórem Read i Delano.

Spotkanie dobiegło końca i może dlatego, że Elliot przemawiał tak zdecydowanie, a Amerykanie tak żarliwie go wsparli, Trader nabrał nieco otuchy, gdy wychodził na ulicę z Odstockiem.

– Elliot mówił bardzo stanowczo – zauważył.

Tully tylko prychnął.

– Brytyjski okręt wojenny – ten, który rzekomo ma nas ocalić. Jak miałby dopłynąć w górę rzeki, omijając chińskie baterie nadbrzeżne?

– Nie wiem – przyznał Trader.

– No właśnie – burknął Tully i udał się na spoczynek.

Nazajutrz o dziewiątej wszystko było jasne.

– Nie dostaniemy paszportów. Chińczycy zdecydowanie nam odmówili. Nikt nie opuści Kantonu – przekazał im w bibliotece Matheson.

– Utknęliśmy tu jak szczury w beczce – mruknął Tully.

– Po naszych chińskich służących nie ma śladu! – zawołał ktoś z zebranych.

– To tylko kolejny blef – powtarzał Matheson każdemu, kto do nich dołączał. – Musimy zachować spokój.

Wkrótce potem zobaczyli kilku chińskich oficerów nadjeżdżających uliczkami ku nabrzeżu na krępych, mocnych konikach. Skierowali się do dwóch budek celnych, gdzie przywiązali swoje wierzchowce. Następnie z uliczek zaczęli wyłaniać się piechurzy. Pięciu, dziesięciu, dwudziestu – nadciągali nieprzerwanym strumieniem. Nosili stożkowate kapelusze i luźne stroje, a w rękach nieśli piki i pałki.

– To miejscowa policja – wyjaśnił Tully. – Mają podlegać kohongowi i bronić dzielnicy kupieckiej. – Parsknął. – Teraz kontroluje ich Lin.

Mężczyzn cały czas przybywało. Najpierw było ich stu, potem dwustu. Uformowali szyk przed każdą faktorią. Po kilku minutach Trader zauważył zwalistą postać, która zbliżała się ku nim od strony ostatniej faktorii. Był to Read.

Trader wstrzymał oddech. Amerykanin przeszedł przed policyjnym kordonem. Chińczycy obserwowali go, nie ruszając się jednak z miejsca, a gdy Read dotarł do angielskiej faktorii, nikt nie powstrzymał go przed wejściem do środka.

– Dzień dobry, panowie – rzucił wesoło, stając w drzwiach biblioteki. – Macie coś do jedzenia? – Trudno było się nie uśmiechać w obecności tego pogodnego człowieka. Trader spojrzał na niego z wdzięcznością. – Przyglądałem się właśnie, jak Delano próbuje ugotować jajko – dodał Read tonem wyjaśnienia.

– A ty to potrafisz? – spytał go Trader.

– Owszem, ale znacznie zabawniej było obserwować jego daremne próby. Czyżbym widział chleb z marmoladą? I kawę?

– Proszę się częstować – rzekł Matheson. – Sprawia pan wrażenie bardzo spokojnego – zauważył z aprobatą.

– Nie ma sensu wpadać w panikę. Musimy trzymać fason i tak dalej.

Minęła godzina. Przed faktoriami trwała musztra policyjnych oddziałów. Czy miało to na celu zastraszenie kupców? Czy też Chińczycy przeprowadzali raczej musztrę w oczekiwaniu na rozkaz do szturmu wydany przez Lina?

Mężczyźni zgromadzeni w angielskiej faktorii na zmianę pełnili wartę przy oknie. Trader, Tully i Read siedzieli w skórzanych fotelach, kiedy dołączył do nich Dent.

– Przypuszczam, że jeśli siły policyjne wedrą się do środka, ja i Tully ponownie zostaniemy zatrzymani – powiedział.

– Możliwe – odparł Read – ale jeśli Lin zdecyduje się na ostateczność i użyje siły, równie dobrze może aresztować wszystkich handlarzy opium. – Zastanawiał się przez chwilę. – Zresztą kto wie, może niektórzy już siedzą w chińskim więzieniu.

– Zakłada pan, że Lin kontroluje swoich ludzi – wtrącił Tully Odstock. – Jednak sprawy mogą potoczyć się inaczej. Widywałem już takie zamieszki. Męczący, upalny dzień. Tłum. Rosnące zniecierpliwienie. Wystarczy byle iskra i kto wie, co się wydarzy. Wszystko może ich sprowokować.

– A wtedy?

– Wybuchną zamieszki. Chińczycy spalą faktorie. – Zachmurzony pokiwał głową. – Z nami w środku.

Nikt się nie odezwał.

Słońce prażyło przez całe popołudnie, niemal do czerwoności rozpalając żelazne pachołki cumownicze na brzegu rzeki. Policjanci zakończyli musztrę i rozstawili wyplatane bambusowe szałasy, żeby schronić się w ich cieniu. Nic nie wskazywało, że mieliby odejść ze względu na upał.

Gdy do biblioteki zajrzał Elliot, wszyscy zgromadzili się wokół niego.

– Jak tylko uda mi się spotkać z komisarzem, odbędą się negocjacje – poinformował.

Matheson przedstawił mu Tradera i wyjaśnił, że młody człowiek dopiero niedawno przybył do Kantonu. Elliot bardzo uprzejmie odwzajemnił ukłon Tradera i zauważył, iż ten wybrał sobie interesujący czas na przyjazd do Chin.

Tego wieczoru zjedli soloną wołowinę ze spiżarni z odrobiną świeżych warzyw, które im pozostały. Angielska faktoria miała jeszcze przynajmniej dobrze zaopatrzoną piwniczkę z winem.

Słońce zaszło. Przez okno Trader widział, jak policjanci patrolują nabrzeże. Nic się nie zmieniło. Mężczyźni usiedli do gry w karty, lecz John nie był w nastroju. Znów wziął do ręki książkę i zdążył się całkiem zatracić w żywiołowym dowcipie *Klubu Pickwicka*, gdy lekturę przerwał mu znajomy głos.

– Skończ z tym czytaniem i porozmawiaj ze mną – rzekł Read. W rękach trzymał dwa kieliszki brandy.

– Muszę przyznać – odparł Trader – że cieszę się z twojego towarzystwa. Ty jednak musisz żałować swojego przyjazdu tutaj.

– Lubię ryzyko. – Read w zadumie wpatrywał się w zawartość kieliszka. – Chociaż nie sądzę, aby groziło nam poważne niebezpieczeństwo.

– Jak to?

– Chińczykom zależy na handlu herbatą. Nie mają żadnego interesu w tym, żeby niszczyć cudzoziemskich kupców. Nie zapominaj, że chociaż sprzedajecie im opium, kupujecie też od nich herbatę.

– Mam jeszcze inne pytanie.

– Wal śmiało.

– Chińskie władze sprzeciwiają się handlowi opium, który trwa przecież od lat. I teraz nagle cesarz chce go ukrócić. Rozumiem wersję o krucjacie moralnej, ale czy gra nie toczy się przypadkiem o coś jeszcze?

– Dobre pytanie. – Read upił łyk brandy. – Chodzi o Meksyk.

– Meksyk?

– Tydzień temu w Makau piłem z jednym kapitanem statku, który wyłożył mi to w następujących słowach: co jest od wieków najważniejszą walutą handlową na świecie? Srebrne dolary. Dolary hiszpańskie. Bite w srebrze monety o wartości ośmiu reali. To jedyna waluta, do której każdy ma zaufanie. Większość srebra pochodziła z meksykańskich kopalni, później jednak Meksyk uniezależnił się od Hiszpanii i zaczął bić własne srebrne dolary, całkiem niezłej jakości. Ale na pełnym morzu wszyscy nadal chcą hiszpańskich *real de a ocho*, handel się rozwija, a tych jest za mało. Ludzie płacą za nie więcej, niż wynosi ich wartość nominalna. Krótko mówiąc, brakuje sprawdzonej w handlu srebrnej monety. Nadążasz?

– Chyba tak.

– Dobrze. Na czym od zawsze polega problem handlu z Chinami?

– Chętnie nam sprzedają, ale niewiele od nas kupują.

– Dokładnie. Pół wieku temu jakiś chiński cesarz obejrzał angielskie towary i mu się nie spodobały.

– I od tamtej pory nic się nie zmieniło.

– Właśnie. A gdy Chińczycy sprzedają nam herbatę, to jakiej zapłaty oczekują?

– W srebrze.

– Gdy twój komprador wybiera się na lokalny kantoński targ po warzywa, płaci drobnymi miedziakami, ale już większe transakcje w Chinach, w tym rządowe podatki oraz inne koszty, są regulowane w srebrze. Dlatego chiński rząd potrzebuje stałego dopływu srebra. Sprzedawali nam herbatę w zamian za strumień srebrnych dolarów.

– Zgadza się.

– A kiedy zaczęło nam brakować srebra, bo dolary hiszpańskie stały się towarem deficytowym, wpadliśmy na sprytny pomysł: niech chińscy przemytnicy płacą nam srebrem, a my dostarczymy im opium. I tak koło się zamknęło. Handlujemy opium, a Chinom płacimy za herbatę ich własnym srebrem.

– Więc Chińczycy nie dostają tyle srebra, ile by chcieli.

– Och, jest znacznie gorzej. Opium uzależnia. Chińskie zapotrzebowanie na opium rośnie znacznie szybciej od eksportu herbaty. W rezultacie odpływ srebra z Chin znacznie przewyższa jego dopływ do cesarskiego skarbca. Srebro wycieka z cesarstwa. – Read wzruszył ramionami. – Cesarz musi coś z tym zrobić.

– Czyli chodzi wyłącznie o srebro – zawołał Trader – i o nic więcej.

– Nie tak prędko, Trader. Pytałeś, dlaczego cesarz zwrócił się przeciwko nam. Sądzę, że ze względu na problemy ze srebrem po prostu nie miał wyboru. Ale czy to oznacza, że nie troszczy się o swój lud? Na pewno się troszczy. Albo że handel opium nie jest brudnym interesem? Przecież tak właśnie jest.

– Do czego zmierzasz?

– Nie wierzę, że istnieje tylko jedna przyczyna, Trader, podział na czarne i białe, dobro i zło. Prawdziwe życie tak nie wygląda. Przyszli historycy stwierdzą, że w tym samym czasie dochodziło tutaj do wielu zdarzeń, niektórych będących dziełem zwykłego przypadku. Jeśli uda im się w tym dostrzec jakiś schemat, prawdopodobnie okaże się on bardzo złożony. Sytuacja wciąż się zmienia, zupełnie jak morze. – Uśmiechnął się. – Bóg stworzył wszechświat, Trader, ale to nie znaczy, że uczynił go prostym.

Nazajutrz na całym nabrzeżu pojawiły się tablice wielkości pięciu stóp kwadratowych. Były ustawione na słupach i w całości pokryte chińskimi znakami. Doktor Parker wyszedł na zewnątrz, żeby je odczytać.

– Lin mówi, że woli być cierpliwy, niż uciekać się do przemocy, ale musimy wydać mu opium. Jeśli Elliot nie potrafi zapanować nad brytyjskimi kupcami, to jego obecność tutaj nie ma sensu. A jeśli nie będzie posłuszny, Niebiosa mogą go ukarać. – Parker spojrzał na nich kpiąco. – Groźba niebiańska, ale całkiem realna.

– Co za tupet! – warknął Tully.

– Zachowuje się jak dyrektor szkoły strofujący krnąbrnego uczniaka – stwierdził Parker. – Ale z jego perspektywy tak to zapewne wygląda.

Do biblioteki wpadł na chwilę Elliot. Matheson od razu do niego podszedł.

– Nie mamy wyjścia – powiedział. – Oddam Linowi dość opium, żeby mógł się wykazać przed cesarzem i ocalić twarz. Cztery, pięć tysięcy skrzyń. Przy odrobinie szczęścia może nam się powieść.

– Zabraniam panu cokolwiek mu oddawać – odrzekł ostro Elliot.

– Ma pan lepszy plan? – spytał Matheson rozgniewany.

– Owszem.

– To znaczy?

Elliot odwrócił się jednak na pięcie i wyszedł.

* * *

Wczesnym wieczorem superintendent powrócił. Trader, Read, Matheson i większość brytyjskich kupców czekających w faktorii otoczyli go ciasnym kręgiem.

– Panowie – oznajmił ze spokojem Elliot – jasne jest, że Lin nie może i nie będzie z nami pertraktował. Mam mu zatem przekazać całe zapasy opium.

Rozległy się okrzyki zdumienia.

– Całe? – dopytywał się Matheson.

– Wszystko, co mamy: tutaj, w składach oraz na statkach w zatoce. Dotyczy to także towaru wziętego w komis. Każdej skrzyni.

– Wszystko to trafi w ręce Lina?! – zawołał Dent. – Po moim trupie!

– Nie. Przekażecie zapasy mnie, a ja dostarczę opium Linowi.

Zapadła głucha cisza, którą przerwał Matheson.

– Czy to ma znaczyć, że jako przedstawiciel brytyjskiego rządu przejmuje pan opium na własność?

– Tak jest.

– Czy zatem rząd wypłaci nam odszkodowanie?

– O to właśnie chodzi.

Matheson zmarszczył brwi.

– Jeśli to wszystko zsumować, wyjdzie ponad dwadzieścia tysięcy skrzyń opium, za które trzeba będzie zapłacić.

– Pełna zgoda. A teraz wybaczcie mi panowie, muszę was opuścić. – I już go nie było.

– Przynajmniej wyrwiemy się z tej dziury – zauważył Tully. – Będziemy zapewne cholernie długo czekać na odzyskanie pieniędzy, o ile w ogóle je dostaniemy, ale i tak lepsze to od obecnej sytuacji, w której nie mamy zupełnie nic. – Odwrócił się do Tradera. – Zgodzi się pan ze mną?

John Trader powoli skinął głową. Owszem, pod warunkiem że już się zbiło majątek, tak jak Tully i Matheson; ci mogli sobie pozwolić na czekanie. Ale jeśli zainwestowało się wszystkie pieniądze – w dodatku pożyczone – w skrzynie spornego opium, to już całkiem inna historia. Jako że nie mógł się do tego przyznać, nic nie odpowiedział, skinął tylko pozostałym głową i wyszedł. Po drodze słyszał jeszcze, jak Matheson pyta Reada, co o tym wszystkim sądzi, na co Amerykanin, ze spokojem wydmuchując obłoczek dymu z cygara, odparł:

– Wydaje mi się, sir, że ten wasz kapitan Elliot to kawał przebiegłego sukinsyna.

* * *

Dwa tygodnie później, w piękny kwietniowy dzień, dwa brytyjskie statki sunęły w głąb zatoki w kierunku Bogue. Z odległości pół mili znajdujący się na płyciźnie Nio obserwował, jak mijają go w drodze do portu przeładunkowego. Razem z Morskim Smokiem tkwili w małym sampanie.

Widząc, że pirat kieruje wzrok w głąb zatoki, podążył za jego spojrzeniem i dostrzegł na horyzoncie kolejne dwa statki. Transporty opium napływały od trzech dni; Anglicy dostarczali swoje zapasy komisarzowi Linowi, który zamierzał je zniszczyć.

– Co za marnotrawstwo – odezwał się przygnębiony chłopak. – Myślisz, że Lin naprawdę położy łapę na dwudziestu tysiącach skrzyń?

Morski Smok przeniósł wzrok z powrotem na znajdujące się przed nimi statki. Opium na pokładzie jednego z nich wystarczyłoby, aby utrzymać jego i jego ludzi przez wiele miesięcy, zapewniając im pracę i sowitą zapłatę.

Nie odpowiedział jednak swojemu młodemu towarzyszowi. Wyglądał, jakby coś innego zaprzątało jego myśli. W końcu zapytał:

– Okłamałbyś mnie, Nio?

– Nie.

– Kiedy się zjawiłeś, moi ludzie nie chcieli cię na naszej łodzi. Wiedziałeś o tym? Ale powiedziałem im: „Jest młody, szybko się przyuczy”. – Morski Smok zamilkł na chwilę. – Dlaczego mnie posłuchali?

– Bo ty tutaj rządzisz.

– A poza tym?

– Mają do ciebie zaufanie.

– Właśnie. – Spojrzenie Morskiego Smoka znów powędrowało ku statkom. – Mają do mnie zaufanie. Ale też się mnie boją. – Zamyślony pokiwał głową. – Żaden by mnie nie okłamał, Nio. Żaden. Wiedzą, że zabiłbym każdego, kto by tego spróbował. Rozumiesz?

– Tak.

– Kiedy do nas dołączyłeś, dobrze zarabialiśmy. Handel szedł niemrawo, ale trafił się transport opium wzdłuż wybrzeża. Dostałeś dobrą zapłatę.

– Wszystko ci zawdzięczam.

– A teraz, przez tego przeklętego Lina, nigdzie nie można zdobyć opium, chociaż całe wybrzeże czeka na dostawy. Od miesiąca nic nie zarobiliśmy. – Przystojny pirat westchnął. – Może powinniśmy wszyscy wrócić do domów. Zdecydowałem, że kto zechce, może odejść. Ale może niedługo będzie lepiej. Moglibyśmy wspólnie kupować żywność i próbować przeczekać ten czas. Wiem, kto ma ile pieniędzy. – Spojrzał na Nio. – Kiedy powiedziałeś mi, ile odłożyłeś, spytałem, dlaczego nie ma tego więcej. A ty odparłeś: „Bo resztę przegrałem”.

– Tak było.

Morski Smok wbił wzrok w Nio.

– Wiesz, dlaczego zaufanie jest takie ważne? Kiedy wdajemy się w potyczkę, składamy swoje życie w ręce towarzyszy. Muszę wiedzieć, że

mogę polegać na każdym członku swojej załogi, tak jak on może polegać na mnie. W przeciwnym razie ktoś taki stanowi zagrożenie i musi umrzeć.

– Wszystko ci zawdzięczam – powtórzył Nio. W jego kodeksie honorowym mogło to oznaczać tylko jedno: że gotów jest oddać życie za Morskiego Smoka. Jego lojalność względem pirata przewyższała wszystkie inne zobowiązania, z wyjątkiem tych wobec ojca i jeszcze jednej osoby.

– Widziałem, jak chowasz pieniądze – rzekł cicho pirat. – W jamie pod drzewem. Dziś rano je przeliczyłem. – Na moment zapadło milczenie. – Okłamałeś mnie, Nio.

Nio zamarł. Żaden mięsień jego twarzy nawet nie drgnął. Za czerwoną szarfę wokół pasa miał zatknięty nóż. Morski Smok siedział prawie naprzeciwko, lekko przesunięty w bok. Gdyby rzucił się na niego, straciłby równowagę na tyle, żeby znaleźć się w niekorzystnej sytuacji, i musiał o tym wiedzieć. Musiał też wiedzieć, że Nio zdaje sobie z tego sprawę. Chłopak doszedł do wniosku, że na razie pirat nie spróbuje go zabić, ale na wszelki wypadek uważnie go obserwował.

– To nie są moje pieniądze – odezwał się po chwili.

– Twoje, Nio. Chcesz raczej powiedzieć, że nie chowasz ich dla siebie. Myślę, że zamierzałeś je dać tamtej kobiecie, którą na twoją prośbę odwiedziłem. Tej, która nazywa cię Braciszkiem. Tylko wiesz co, Nio? Ona mieszka w wielkim domu.

– Jej mąż pochodzi z bogatej rodziny. Ale jej rodzice są najbiedniejsi w całej wiosce. Ona nie ma nic swojego.

– Dlatego każdego wieczoru przed snem rozmyślasz o tym, jak ją zaskoczysz swoim prezentem? Powiesz, żeby ukryła te pieniądze dla siebie na przyszłość? To jest ten dobry uczynek, o jakim marzysz?

Nio skinął głową.

– I dlatego okłamałeś mnie, choć wiedziałeś, że cię zabiję, jeśli się o tym dowiem. – Morski Smok przyjrzał mu się z namysłem. – Odważny z ciebie chłopak, Nio. Najlepszy z całej załogi. – Westchnął. – Ale nie mogę pozwolić, żebyś mnie okłamywał. Co więc teraz zrobimy?

– Ty mi powiedz – odparł Nio. Czujnie obserwował pirata, gotów zareagować na jego najlżejszy ruch, lecz Morski Smok siedział całkiem nieruchomo.

– Zatrzymaj to, co odłożyłeś dla tej kobiety – powiedział wreszcie cicho. – Ale w przyszłości oddasz mi dokładnie tyle samo z tego, co zarobisz. Nie odejdziesz, dopóki nie spłacisz długu. I nigdy już mnie nie okłamiesz.

– Nigdy już cię nie okłamię.

– Módl się, żeby znów można było handlować opium.

Nio przytaknął.

– Może – szepnął – powinniśmy zabić komisarza Lina.

* * *

Jeśli John Trader sądził, że oblężenie dobiegło końca, czekało go niemiłe rozczarowanie. Elliot co prawda obiecał komisarzowi, że wyda mu całe zapasy opium, jednak Lin nie był gotów uwierzyć mu na słowo.

– Wypuszczę was, gdy wszystkie skrzynie znajdą się w moim posiadaniu – oznajmił Anglikowi. – Do tego czasu pozostaniecie moimi zakładnikami.

– To skandal! – oburzył się Tully, kiedy Matheson przekazał im nowinę.

Jednak najważniejszy pośrednik w handlu opium zareagował bardziej filozoficznie.

– Czy na jego miejscu miałby pan do nas zaufanie, Odstock? – Westchnął. – Będziemy musieli opróżnić ładownie wszystkich statków w zatoce, i nie tylko. A to potrwa wiele tygodni.

Nastała pora między zimną, suchą i wietrzną zimą a wilgotnym monsunem letnim. Dni były gorące, nabrzeże pokrywał kurz, a oni tkwili tam jak w pułapce. Trader zrozumiał, dlaczego co roku w kwietniu ludziom z faktorii tak pilno było opuścić Kanton i popłynąć na wysepkę Makau z jej łagodnymi wzgórzami i chłodną morską bryzą.

Policja i wojsko, choć już nie tak licznie, kontynuowały oblężenie. Po drugiej stronie ulicy Trzynastu Faktorii kantończycy zabawiali się, wchodząc na dachy swoich domów i obserwując uwięzionych barbarzyńców z Zachodu. Przez wiele dni nikt ze służby nie pojawiał się w faktoriach. Trudno było zdobyć świeżą żywność. Brakowało wody. Nikt nie czyścił rynsztoków i bijący z nich smród był czasami trudny do wytrzymania. Dopiero z czasem, gdy w porcie przeładunkowym założonym przez Lina w dole rzeki zaczęły się piętrzyć tysiące skrzyń opium, komisarz nieco złagodził ciężkie warunki, w jakich zmuszeni byli przebywać jego cudzoziemscy zakładnicy.

Z początkiem kwietnia pozwolił im wysłać pocztę w dół rzeki. Trader napisał dwa listy. Pierwszy był do Charliego Farleya. Zrelacjonował przyjacielowi, co się stało, dodał, że jest pewien, iż otrzymają od rządu brytyj-

skiego odszkodowanie – chociaż w istocie wcale nie był o tym przekonany – i załączył serdeczne pozdrowienia dla ciotki Charliego. Drugi list okazał się trudniejszy. Nie miał odwagi zaadresować go do samej Agnes Lomond, ale mógł przecież napisać do jej matki.

Wybrał właściwy ton: pełen szacunku, przyjazny, szczery. Jako gospodyni często podejmująca gości pani Lomond z pewnością zechce się pochwalić, że dysponuje informacjami z pierwszej ręki o tym, co obecnie dzieje się w Chinach, zadbał więc o to, aby przekazać jej wszystkie szczegóły. Podkreślił jednocześnie zagrożenie, w jakim się znaleźli wskutek oblężenia, wychwalając zimną krew Elliota i angielskich kupców, do których domyślnie zaliczał również siebie. Przede wszystkim jednak z myślą o pułkowniku dał jej do zrozumienia, jaką zniewagę dla imperium brytyjskiego stanowił ten atak – zniewagę, która powinna zostać pomszczona. Zakończył uprzejmym pytaniem o zdrowie rodziny i najlepszymi życzeniami dla wszystkich, nie wyłączając Agnes.

Dlaczego w ogóle napisał do pani Lomond? Nic nie wskazywało na to, aby kiedykolwiek miał szansę poprosić o rękę Agnes. Czy zatem ten list nie był stratą czasu? Tłumaczył sobie, że to zwykła uprzejmość z jego strony, która pozwoli mu zachować reputację człowieka o nienagannych manierach w angielskiej społeczności, ale prawda była inna. Głęboki instynkt przetrwania podpowiadał mu, żeby się nie poddawał – jeszcze nie – chociaż wydawało się, że wszystko już skończone.

W dniu, kiedy John wysłał swoje listy, Lin zgodził się na powrót służby. W połowie miesiąca pozwolono odpłynąć kilku marynarzom, którzy także utknęli w oblężonych faktoriach, kupcy mieli jednak nadal pozostać w Kantonie.

Co nastąpi, gdy wreszcie będą mogli stąd wyjechać? Czy handel z Chinami całkiem ustanie? Czy rząd brytyjski istotnie zrekompensuje im straty? Nikt nie potrafił odpowiedzieć Johnowi na te pytania.

Pewnego spokojnego popołudnia Trader wszedł do biblioteki w angielskiej faktorii. Tully wrócił do siebie na popołudniową drzemkę, podobnie jak wielu innych kupców, dlatego biblioteka świeciła pustkami, jeśli nie liczyć jednej wytwornej osobistości, śpiącej kamiennym snem w głębokim fotelu.

Był to nie kto inny jak sam superintendent Elliot.

Uważając, aby go nie obudzić, Trader zasiadł w fotelu w drugim końcu sali i otworzył *Klub Pickwicka* Dickensa. Kilka minut później do tego stopnia dał się porwać zabawnej fabule, że zapomniał, iż nie jest sam.

Doszedł właśnie do słynnego opisu wyborów w Eatanswill i zaniósł się chichotem, a potem parsknął głośno raz i drugi. Chwilę później wręcz płakał ze śmiechu.

Tym większe było jego zakłopotanie, gdy ujrzał nad sobą superintendenta Elliota, który zaglądał mu przez ramię, chcąc przekonać się, co też takiego czyta.

– Ach – odezwał się życzliwie. – Pickwick. Doskonale.

– Proszę o wybaczenie, sir – bąknął młodzieniec. – Nie chciałem zakłócać pańskiego odpoczynku.

– Nie szkodzi. I tak już pora wstawać. – Z uśmiechem przysiadł się do Tradera. – Cieszę się, że wreszcie znalazł pan powód do śmiechu. Musi być panu ciężko. Chyba ciężej niż starszym.

– Kupcy tacy jak Jardine czy Matheson przetrwają jakoś tę nawałnicę, sir. Mają olbrzymie majątki. W przeciwieństwie do mnie.

– Wiem. – Elliot pokiwał głową. – Przykro mi.

Po chwili Trader odważył się poruszyć sprawę, która leżała mu na sercu.

– Rozumiem, że najpierw musi nas pan stąd wydostać, sir, ale chciałbym wiedzieć… To znaczy, o ile może mi pan powiedzieć… Czy pańskim zdaniem będę mógł liczyć na odszkodowanie?

– Kiedyś na pewno tak, ale musi się pan uzbroić w cierpliwość.

– Obawiałem się, że tak pan odpowie.

– Jeśli to pana pocieszy – dodał łagodnie Elliot – Jardine dopływa już chyba do Londynu. Przekaże pismo od Mathesona w tym samym czasie, co mój raport dla brytyjskiego rządu. Będzie lobbował u ministrów, nie wyłączając samego Palmerstona. Stronnictwo handlarzy opium ma duże wpływy w parlamencie. A ponieważ przejąłem opium w imieniu rządu, Lin zaś przejął je ode mnie, sprawa dotyczy odtąd samego rządu. Będą musieli zareagować. Rozumie pan?

– Tak sądzę. – Wszystko to brzmiało rozsądnie, jednak z powodu, którego nie potrafiłby sprecyzować, Trader miał wrażenie, że w tej układance nadal brakuje ważnego elementu. Zmarszczył brwi. – Mogę zadać panu jeszcze jedno pytanie?

– Oczywiście.

– Chodzi o coś dziwnego, co usłyszałem od Reada po tym, jak ogłosił pan, że oddajemy nasze zapasy opium Chińczykom, ale otrzymamy odszkodowanie.

– Co takiego?

– Powiedział – z góry proszę o wybaczenie, sir, przytaczam tylko jego słowa – że jest pan „podstępnym sukinsynem”.

– Tak powiedział! – Elliot wyglądał na zadowolonego.

– Od razu go o to zapytałem. Odparł, że sam zrozumiem, ale chyba jednak nie rozumiem.

Elliot milczał, z namysłem przyglądając się Traderowi.

– Zwierzę się panu z czegoś – rzekł w końcu – o ile da mi pan słowo, że nikomu pan tego nie powtórzy. Ani pańskiemu wspólnikowi Odstockowi, ani Readowi, ani nikomu.

– Obiecuję.

– Na ile wyceniłby pan dwadzieścia tysięcy skrzyń opium?

– Na co najmniej dwa miliony funtów szterlingów, sir, może nawet więcej.

– Przypuszcza pan, że rząd brytyjski dysponuje taką kwotą w gotówce?

– Tego nie wiem.

– Otóż nie dysponuje. A nawet gdyby, na pewno by jej nam nie przekazał. Skąd zatem może wziąć taką sumę?

– Nie wiem.

– Od Chińczyków, a jakże. Musimy ich zmusić, żeby zapłacili za nasze opium.

– Ma pan na myśli wojnę?

– „Wojna” to duże słowo. Chiny są ogromne i mają nieprzeliczone rzesze mieszkańców, walka na lądzie jest zatem wykluczona. Jednak już na wybrzeżu systemy obronne są przestarzałe, a widywane przez nas dżonki wojenne nieporadne i słabo uzbrojone. Każda brytyjska jednostka rozbiłaby je w pył. I tak właśnie powinniśmy zrobić. Mówiąc potocznie, powinniśmy je trochę sponiewierać.

– A co potem? – spytał Trader.

– Ci, którzy znają trochę historię Chin, twierdzą, że zwyczajową praktyką jest wykupywanie się od kłopotów z zagranicą, o ile to tylko możliwe. Cesarstwo chińskie jest stare i trwa w izolacji od reszty świata. Nie przejmują się, o ile sytuacja wraca potem do normy. Ale nie lubią tracić twarzy. Wierzę, że zamiast ponieść ujmę na honorze, patrzeć, jak toną kolejne

okręty i rozbijane są baterie brzegowe, będą woleli czym prędzej przystać na nasze warunki. Obejmą one oczywiście pewne ustępstwa na rzecz handlu oraz reparacje wojenne. Można je będzie wykorzystać do pokrycia kosztów operacji wojskowej i rekompensat za opium utracone przez naszych kupców. Pan Read jest zatem spostrzegawczy i ma całkowitą rację. – Uśmiechnął się. – Imperium brytyjskim włada marynarka wojenna.

Elliot przygotowywał więc grunt pod wojnę między swoim krajem a Chinami.

Trader był pod wrażeniem. Przyzwyczaił się już do dumnych wojskowych, wytrawnych lokalnych administratorów i cynicznych kupców z Kalkuty, ale po raz pierwszy zyskał wgląd w zimne, bezwzględne machinacje dyplomatyczne, które stały za tym wszystkim.

Tyle że ja sam nic na tym nie zyskam, uznał. Jego jedyną nadzieją na wypłacalność był obecnie nawet nie rząd brytyjski, lecz przyszła wojna przeciwko rozległemu cesarstwu, do której wcale nie musiało dojść i której wynik, niezależnie od tego, co myślał Elliot, był więcej niż niepewny.

– Mam jeszcze ostatnie pytanie – odezwał się. – Wie pan, że komisarz Lin napisał list do królowej. Przetłumaczono go co prawda fatalnie na angielski, lecz zawarte w nim moralne przesłanie jest całkiem jasne. Co, jeśli Jej Wysokość przyzna rację Chińczykom?

Elliot spojrzał nań z uśmiechem.

– Drogi panie Trader – odparł łagodnie – naprawdę pan sądzi, że ktoś jej to pokaże?

* * *

Na początku maja wojsko i policja wycofały się z nabrzeża. Jednak Matheson, Dent, Odstock i większość angielskich kupców byli przetrzymywani jako zakładnicy do czasu, aż całe opium zostanie przekazane Chińczykom. Dopiero z początkiem ostatniego majowego tygodnia nadeszła upragniona wiadomość: „Lin dostał swoje dwadzieścia tysięcy skrzyń”.

Ale komisarz nie zakończył swojej misji. Miał jeszcze jedno żądanie.

– Ten przeklęty drań chce teraz, abyśmy podpisali zobowiązanie, że w przyszłości żaden nasz ładunek, który dotrze do Chin, nie będzie zawierał opium. Załoga, w której posiadaniu znalazłoby się opium, zostanie aresztowana – poinformował Johna Tully.

– Logiczne – odparł młodzieniec. – Po tym, jak zadał sobie tyle trudu, żeby zniszczyć tegoroczne zapasy.

– Jeszcze czego – oburzył się Odstock. – Wiadomo, czy nie wykorzysta potem takiego zobowiązania, żeby mieć podstawy mnie aresztować? Albo i stracić, skoro już o tym mowa. Zażądał, żeby Elliot również je podpisał, jako gwarancję rządową. Naturalnie Elliot nie chce nawet o tym słyszeć.

Dwa dni później zdumieli się, słysząc, że Matheson zobowiązanie podpisał. Kupiec napomknął o tym jak gdyby nigdy nic.

– Po jakiego diabła żeś pan to zrobił? – wściekał się Tully.

– Żeby się stąd wydostać, Odstock.

– Zamierzasz pan dotrzymać słowa?

– Ależ skąd. – Matheson uśmiechnął się przebiegle. – Jestem zdania, że podpisałem dokument pod presją, więc mnie nie obowiązuje.

– Cholerny spryciarz – mruknął Tully z niechętnym podziwem.

Kilku innych także w końcu podpisało. Elliot odmówił. Po stronie chińskiej zapadła cisza. Być może Lin nie zamierzał zaprzątać sobie tym głowy. W oczach cesarza komisarz już wygrał tę bitwę, a to było najważniejsze.

Brytyjscy kupcy zaczęli się rozjeżdżać. Pewnego dnia Trader zauważył, że spakowano portret zmarłego króla i przeniesiono na nabrzeże. Innego dnia widział, jak jeden z kupców ładuje na łódź czterdzieści skrzynek wina z własnej piwniczki i odpływa w dół rzeki, aby osobiście dopilnować cennego ładunku. Kiedy jednak Tully oznajmił mu, że nazajutrz rano wyruszają, Trader odparł, że nieco później dołączy do wspólnika w Makau.

– Read i kilku Amerykanów zostają jeszcze kilka dni. Pomyślałem, że zabiorę się z nimi – rzekł. Tully wyglądał na zaskoczonego, ale nie protestował.

Prawda była jednak taka, że John bał się samej myśli o wyjeździe z Kantonu. W Makau miał się gdzie zatrzymać – Tully zaproponował mu tymczasowo pokój w swojej kwaterze, nie to stanowiło więc problem.

W Kantonie trzymała Johna wisząca mu nad głową perspektywa bankructwa. Jak miałby wieść w Makau choćby skromne życie towarzyskie? Czy mógłby powiedzieć żonom i rodzinom tamtejszych kupców coś, co nie byłoby kłamstwem? Obecnie miał raczej ochotę ukryć się przed całym światem niż bywać na salonach.

Uznał, że gdyby to od niego zależało, wolałby przez całe lato prażyć się samotnie w faktorii.

Ponieważ jednak nie wchodziło to w grę, zaczął hołubić inną fantazję. A gdyby tak uciec? Mógłby napisać do wierzycieli, poprosić, aby, gdy tylko to będzie możliwe, odebrali swój dług z rządowego odszkodowania, a potem z czystym sumieniem wziąć tę resztę gotówki, jaka mu pozostała, i zniknąć.

Świat był taki wielki. Listy wysyłane z Indii na pokładach najszybszych statków wciąż potrzebowały wielu miesięcy, aby dotrzeć do Anglii. Odnalezienie go, nawet gdyby ktoś tego próbował, najpewniej zajęłoby lata.

Co mógłby robić? Wędrować po świecie jak Read. Najmować się do pracy tu i tam. Wyjechać do Ameryki. Kto wie, może zbiłby tam fortunę.

Jakie to dziwne: jeszcze niedawno marzył, aby osiedlić się z Agnes w szkockiej posiadłości. Teraz myśl o życiu bez zapuszczania korzeni, bez żadnych zobowiązań, niemal bez tożsamości, wydała mu się nagle atrakcyjna. Uwolnić się od wszelkich obowiązków. Robić, co mu się żywnie podoba. Mieć kobietę w każdym zakątku świata – marzenie niejednego młodego człowieka.

Readowi najwyraźniej takie życie odpowiadało. Może przez pewien czas mogliby podróżować razem.

Minęło kilka dni. Wszyscy Brytyjczycy wyjechali. Doktor Parker, misjonarz, pozostał w swoim prowizorycznym szpitaliku, ale faktorie kolejno likwidowano. W końcu Read oznajmił Traderowi, że wyrusza do Makau i że John powinien jechać z nim.

– Najpierw jednak – zaznaczył Amerykanin – wybierzesz się ze mną i moimi przyjaciółmi na jednodniową wycieczkę.

– Zgoda – odparł John. – A dokąd pojedziemy?

– Zobaczysz.

* * *

Słońce lśniło na wodach zatoki, gdy Shi-Rong stał dumnie obok komisarza Lina i wraz z nim oglądał dzieło zniszczenia.

Z każdym dniem rósł jego podziw dla komisarza. Nie chodziło tylko o jego kręgosłup moralny, Lin bowiem z całą pewnością zasłużył na swoją reputację wyznawcy konfucjańskiej przyzwoitości. Samodzielnie, bez rozlewu krwi, zmusił barbarzyńców do kapitulacji. Równie imponująca była jego skrupulatność. Jako administrator budził powszechny respekt.

– Powstrzymanie tych barbarzyńskich handlarzy śmierci to dopiero pierwszy krok – wyjaśnił Shi-Rongowi. – Teraz musimy pomóc naszym ludziom wyzwolić się z uzależnienia. – W całej prowincji przeprowadzano naloty na palarnie opium. W samym Guangzhou stosy skonfiskowanych fajek opiumowych miały wysokość kilkunastu stóp. – Nawet to nie wystarczy – stwierdził Lin. – Trzeba znaleźć sposób, aby uzależnieni stracili ochotę na narkotyk. Podobno pomocne są leki ze śliwek, wierzby i kwiatu brzoskwini. Proszę zebrać odpowiednie informacje – polecił – i sprawdzić, na czym dokładnie polega kuracja. – W przeciwnym razie uzależnieni mieli trafiać do więzienia i być pozbawiani narkotyku do czasu wyleczenia.

Wieści o zdecydowanych posunięciach Lina dotarły aż na dwór i pewnego dnia z Pekinu przyszedł prezent w przepięknym opakowaniu. Shi-Rong patrzył, jak Lin najpierw składa dziewięć ukłonów przed ozdobną skrzynką, ponieważ pochodziła z rąk samego cesarza, a następnie otwiera ją, wydając na widok zawartości radosne westchnienie.

– To mięso – oznajmił Shi-Rongowi. – Dziczyzna. Wie pan, co to znaczy.

Chińczycy, którzy w piśmie posługiwali się ideogramami, znakami graficznymi wyrażającymi zamiast dźwięków określone pojęcia, w języku mówionym tworzyli niezliczone kalambury. W mówionym mandaryńskim słowo oznaczające dziczyznę brzmiało tak samo jak „awans”.

– Moje gratulacje, ekscelencjo – powiedział cicho Shi-Rong. – Awans zapewniony.

Komisarz skinął głową, choć raz zbyt przejęty, aby przemówić.

Jego plan zniszczenia dwudziestu tysięcy skrzyń opium to był prawdziwy majstersztyk. Wybrane w tym celu miejsce znajdowało się nad potokiem należącym do dorzecza Rzeki Perłowej. Stała tam potężna szopa, a w niej skrzynie opium, ułożone w długich rzędach.

Bliżej brzegu trwała budowa, a ściśle rzecz biorąc, wykopki – drążono bowiem w ziemi rozległy basen wielkości dwadzieścia pięć na pięćdziesiąt jardów. W sumie miały powstać takie trzy. Wszystkie były dość płytkie, miały zaledwie po kilka stóp głębokości. Codziennie mała armia robotników układała kamienne płyty na dnie każdego zagłębienia. Następnie szalowali ściany basenu drewnem. Rury doprowadzały z potoku świeżą wodę, a dzięki śluzom zawartość każdego z nich spływała kanałami do rzeki, skąd odpływ zabierał ją codziennie na otwarte morze. W poprzek każdego

basenu Lin nakazał swoim ludziom zbudować szerokie, drewniane pomosty.

Jednocześnie przez cały czas na miejsce zjeżdżały wozy załadowane workami z solą i wapnem, które układano w stosy pod specjalnymi zadaszeniami. Na koniec Lin polecił wznieść niewielki podest, skąd można było nadzorować prace. Z początkiem czerwca wszystko było gotowe.

Zanim rozpoczęto niszczenie opium, komisarz musiał spełnić jeszcze jeden ważny obowiązek, co, jak zauważył Shi-Rong, dobrze świadczyło o pobożności i pokorze jego pana. W towarzystwie robotników wybrał się do pobliskiej świątyni, z której korzystali miejscowi rybacy, i złożywszy ofiarę przebłagalną, uprzedził boga morza, że zmuszony jest zanieczyścić jego wodną krainę dużymi ilościami opium. Błagał go także, aby rozkazał wszystkim rybom opuścić te okolice.

Tego ranka prace trwały już od godziny, gdy przybyli Amerykanie. Kilka dni wcześniej poprosili o zgodę na przyjazd i ją otrzymali.

– Amerykańscy barbarzyńcy mogą przyjechać – zdecydował komisarz Lin. – Z wyjątkiem Delano i do niego podobnych mieli mniejszy udział w przemycie opium niż Anglicy. Może są także mniej zepsuci.

Shi-Rong sprowadził pana Singapura, na wypadek gdyby komisarz chciał porozmawiać ze swoimi gośćmi. Stali teraz na podeście z widokiem na baseny. Zamiast oficjalnego stroju i insygniów Lin miał na sobie prostą tunikę i zwykły stożkowaty kapelusz. Jego sługa niósł parasol na długiej bambusowej tyczce, który trzymał wysoko nad głową komisarza.

Na rozpostartych ponad basenami pomostach robotnicy rozdeptywali czarne kule opium, żeby je rozdrobnić, a następnie zmiatali pył do wody. Pozbyli się już w ten sposób zawartości dwudziestu skrzyń, a w ciągu jednego dnia Lin zamierzał zniszczyć osiem razy tyle.

Na widok gości przedzierających się między zalegającymi wokół resztkami rozbitych skrzyń komisarz Lin zmarszczył brwi.

– Wydałem zgodę na przyjazd trzech osób – zauważył ostro – a widzę cztery.

Shi-Rong podążył za jego spojrzeniem. Przez chwilę ostry blask porannego słońca utrudniał mu rozpoznanie twarzy. Potem dostrzegł Tradera.

– Ekscelencjo, czwartym mężczyzną jest ten angielski uczony, o którym wam wspominałem. Czy mam go odesłać?

– Uczony? – zastanowił się Lin. – Niech podejdzie.

Po tym, jak wykonali stosowne ukłony, czterem mężczyznom pozwolono stanąć w odległości kilku stóp od komisarza i obserwować pracę.

Robotnicy wysypali opium do najbliższego z ogromnych dołów, po czym zaczęli dorzucać wapno i sól. W tym czasie inni wskoczyli do środka, żeby wiosłami mieszać wodnisty szlam. W powietrze buchnął gryzący odór. Shi-Rong patrzył rozbawiony, jak przybysze zakrywają nosy i krzywią się z obrzydzeniem. Nawet komisarz pozwolił sobie na drwiący uśmiech. On i jego ludzie zdążyli już przywyknąć do tego smrodu.

– Teraz barbarzyńcy żałują, że tu przyjechali – zauważył, a gdy goście powoli doszli do siebie, polecił: – Niech pan przyprowadzi do mnie tego angielskiego uczonego.

Pan Singapur tłumaczył, a Shi-Rong ich obserwował. Komisarz okazał cudzoziemcowi życzliwość.

– Komisarz Lin słyszał o was. Chociaż jesteście kupcem, przystąpiliście w swoim kraju do egzaminów. Jesteście uczonym. Znany jest wam Konfucjusz.

– To prawda – odparł Trader, kłaniając się uprzejmie.

– Komisarz uważa, że nie jesteście wyzuci z moralności. Widzicie teraz, że zły narkotyk, który wasi rodacy zwozili, aby zatruwać nasz lud, został całkowicie zniszczony. Komisarz ma nadzieję, że kupcy dostali nauczkę, i pyta, czy nie wstydzicie się tego, coście uczynili.

Trader nie od razu odpowiedział. Po dłuższym namyśle odparł:

– Wstydzę się.

– Komisarz cieszy się z waszej odpowiedzi. Świadczy o tym, że macie dobre serce i przestrzegacie zasad moralności. Pyta, czy pamiętacie list, który napisał do waszej królowej.

– Pamiętam.

– Tłumaczenie listu zostało poprawione i komisarz wysłał go w dwóch egzemplarzach, nie wie jednak, czy trafi on do rąk królowej. Nie ufa posłańcom.

– Przypuszczam, że królowa go dostanie, ale skąd mógłbym to wiedzieć?

– Komisarz pyta, czy znacie uczciwych uczonych w swoim kraju.

– Naturalnie. Wszyscy moi nauczyciele z Oksfordu to uczciwi ludzie.

– Komisarz pragnie przekazać wam teraz kopię listu, abyście przesłali ją znanym wam uczciwym uczonym z prośbą o doręczenie królowej. Zgadzacie się?

Trader ponownie się zawahał, zanim stanowczo potwierdził:

– Będę zaszczycony i zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby list dotarł do królowej. – Skłonił głowę. – Ma pan moje słowo.

Komisarz Lin wyglądał na bardzo zadowolonego i gestem dał znak Shi-Rongowi, aby ten wręczył Traderowi kopię listu. Rozmowa dobiegła końca.

Po pewnym czasie barbarzyńcy odeszli.

– Sądzi pan, że jego żal był szczery? – spytał Shi-Ronga komisarz.

– Trudno to ocenić, ekscelencjo. Ale tak uważam.

Lin skinął głową. Młody sekretarz widział, że jego pan jest wzruszony, i jego miłość ku niemu jeszcze wzrosła.

– Wygląda na to – rzekł komisarz zadumany – że Pan Dziesięciu Tysięcy Lat potrafi wpajać cnoty nawet barbarzyńcom.

* * *

Nazajutrz Trader i Read wyruszyli do Makau. Kiedy ich łodzie mijały miejsce, skąd opiumowy szlam spływał do zatoki, Read zwrócił się do swojego młodego towarzysza i szepnął:

– Zdajesz sobie sprawę, że dałeś Linowi słowo, iż wyślesz ten list?

– Obawiałem się, że w przeciwnym razie mógłby zabronić mi wyjazdu z Kantonu – przyznał Trader.

– Mimo wszystko dałeś mu słowo.

* * *

Po godzinie dziecko przyszło na świat. Od poprzedniego wieczoru w domu Lungów czuwała wiejska akuszerka. Poród Wierzby trwał długo. Mei-Ling i Matka pomagały jej, jak mogły, a gdy dziecko wreszcie się urodziło, akuszerka podała je teściowej, by ta je obejrzała. Niemowlę płakało, chociaż niezbyt głośno. Nikt się nie odzywał. Wierzba, blada ze zmęczenia, spojrzała na swoją teściową, a potem jej głowa opadła na posłanie. W oczach miała pustkę.

Właśnie urodziła drugą dziewczynkę.

Tego popołudnia w domu panowała głucha cisza. Nikt ich nie odwiedził. Oczywiście wszyscy w wiosce wiedzieli, co się stało. Ci, którzy w innych okolicznościach przyszliby w tej czy innej sprawie, bali się widoku zagniewanej twarzy pani domu. Słudzy wykonywali swoje obowiązki ze spuszczonymi głowami. Nikt nie debatował, czy to szczęśliwy dzień dla rodziny; nikt nie snuł przypuszczeń na temat charakteru nowo narodzonego dziecka.

Mei-Ling, sama solidnie zmęczona, zapytała teściową, czy może trochę odpocząć, i usłyszała, że tak. W ostatnim miesiącu ciąży brzuch Mei-Ling bardzo się powiększył i starsza kobieta okazywała jej większą troskę niż kiedykolwiek. Praktycznie nie pozwalała jej pracować i nawet jej nie łajała, kiedy dziewczyna coś źle zrobiła.

Po krótkim odpoczynku Mei-Ling poszła zobaczyć się z Wierzbą. Szwagierka obudziła się, lecz była blada i przygnębiona. Niemowlę, owinięte w tradycyjne białe płótno przysłane przez matkę Wierzby, spało obok w bambusowej kołysce. Mei-Ling mu się przyjrzała. Miało trochę włosków i chyba było podobne do swojej matki; trudno to było ocenić.

– Masz jeszcze dwa dni ciszy i spokoju, siostro – zauważyła z uśmiechem. Po tym czasie miała się zjawić matka Wierzby z ubrankami dla dziecka i prezentami.

Lecz szwagierka jakby jej nie słyszała. Wreszcie się odezwała:

– Teraz już wiem, jak to jest być tobą.

– Co masz na myśli?

– Kiedy weszłam do rodziny, wszyscy okazywali mi szacunek, bo mój ojciec jest bogaty. Dla ciebie nie byli już tacy mili.

– Niczego innego się nie spodziewałam. Miałam szczęście, wychodząc za mąż za Młodszego Syna. Jest dla mnie bardzo dobry.

– A ja? Byłam dla ciebie dobra?

– Dosyć dobra.

– Chyba niewystarczająco. Wybacz mi, siostro. – Westchnęła. – Cóż, teraz sama wiem, jakie to uczucie. Dwie córki i żadnego syna. Gdy przed chwilą odwiedziła mnie Matka, prawie się do mnie nie odzywała. Patrzyła, jakbym była śmieciem. Kiedy już dojdę do siebie, będzie mnie biła, ilekroć zrobię coś złego. Zobaczysz.

Po jakimś czasie Wierzba powiedziała, że jest zmęczona, i Mei-Ling zostawiła ją samą. Jednak coś, co ujrzała tego wieczoru, przekonało ją, że Wierzba może się mylić co do Matki. Słońce zachodziło, gdy dziecko obudziło się i zaczęło płakać. Mei-Ling, siedząca w cieniu za drzewkiem poma-

rańczowym, ujrzała, jak teściowa wynosi niemowlę z domu. Chodziła tam i z powrotem po dziedzińcu, delikatnie kołysząc dziecko w ramionach. Mei-Ling słyszała, jak cicho nuci:

– Już dobrze, moje ty śliczności. Śpij, biedne maleństwo.

Tak czule przemawiała do swojej malutkiej wnuczki! Mei-Ling nabrała pewności, że nie minie wiele czasu, a teściowa wybaczy Wierzbie, iż ta powiła drugą dziewczynkę. Dziecko szybko usnęło i Matka wróciła z nim do izby położnicy. Wkrótce potem Mei-Ling także poszła do domu, położyła się obok męża i zasnęła.

Nazajutrz wczesnym rankiem zdziwiła się, widząc przy swoim posłaniu Młodszego Syna. Wyglądał na przygnębionego.

– Dziecko umarło w nocy – powiedział.

– Umarło? Jak to?

– Musiało przestać oddychać. Czasami tak bywa.

Mei-Ling wstała i pospieszyła do szwagierki. Dziecko zniknęło, a policzki Wierzby były mokre od łez.

– Co się stało?! – krzyknęła Mei-Ling. – Jak to możliwe?

Spojrzenie Wierzby ją zmroziło. Wyrażało jednocześnie rozpacz, rozgoryczenie i bezradność.

– Może teraz Matka będzie dla mnie lepsza – odezwała się głucho – skoro dziecko nie żyje.

Następnego dnia Mei-Ling miała odwiedzić swoich rodziców. Zastanawiała się, co powinna w tej sytuacji zrobić, lecz Matka jej powiedziała: „Nic się nie stanie, jeśli do nich pójdziesz”. Dotarła więc do rodzinnego domu w południe i spędziła tam kilka godzin.

Po powrocie zastała teściową siedzącą samotnie na ławce pod drzewkiem pomarańczowym na środku pustego dziedzińca. Starsza kobieta miała posępną minę. Gestem zachęciła Mei-Ling, aby usiadła na niższej ławce naprzeciwko. Gdy dziewczyna usłuchała, teściowa przez chwilę przypatrywała jej się w milczeniu.

– Powtórz mi, co gadają w wiosce – poleciła w końcu. Mei-Ling się zawahała. – Powiedz mi prawdę – rozkazała Matka. – Całą prawdę.

– Mówią, że to my zabiliśmy dziecko.

– My?

– Rodzina.

Mei-Ling słyszała już podobne historie: o dziewczynkach urodzonych w biednych rodzinach, które nie mogły ich wyżywić albo miały już zbyt wiele córek. O dzieciach, które po cichu znikały. Umierały z wyziębienia, utopione, uduszone czy po prostu z przyczyn naturalnych, jak to często bywało z niemowlętami, któż to mógł wiedzieć. Przypuszczała, że ci, którzy znali prawdę, nigdy by jej nie ujawnili. Nie słyszała jednak, aby coś podobnego wydarzyło się w ich wiosce. Może do takich rzeczy dochodziło w innych osadach albo prowincjach, ale nie tutaj.

Mimo to ludzie ciągle gadali.

– Czyli uważają, że ja to zrobiłam – stwierdziła sucho teściowa.

Mei-Ling nie odpowiedziała. Nie było takiej potrzeby. Teściowa westchnęła.

– Boją się mnie – zauważyła. – Też myślisz, że je zabiłam?

Mei-Ling przypomniała sobie wyraz jej twarzy, gdy trzymała w ramionach dziewczynkę.

– Nie, Matko – odpowiedziała.

– Dobrze. – Teściowa skinęła głową. – Bo to nieprawda.

I na tym cała sprawa powinna się była zakończyć.

Jednak kolejnej nocy Mei-Ling drgnęła tak gwałtownie, że Młodszy Syn także się obudził.

– Co ci jest? – zapytał.

– Miałam straszny sen.

– Opowiedz mi o nim.

– Urodziłam dziecko, ale to nie był chłopiec, tylko dziewczynka. – Mei-Ling z rozpaczą wpatrywała się w ciemność. – Wtedy Matka ją zabrała… – Objęła dłońmi brzuch, jakby mogła w ten sposób ochronić swoje nienarodzone dziecko. – Wzięła ją i zabiła.

– Nigdy by tego nie zrobiła. Wiesz przecież.

– Wiem – przytaknęła. Ale wcale nie była tego taka pewna.

– Wszyscy miewamy koszmary – pocieszył ją Młodszy Syn. – Ludziom często śni się to, co ich najbardziej przeraża. To naturalne, ale nie znaczy, że taka jest prawda.

– Cała wioska uważa, że…

– Wiem. Ale to głupie. Po prostu się jej boją.

– Tak jak ja.

Młodszy Syn objął ją opiekuńczym gestem.

– Nie pozwolę, żeby coś się stało naszemu dziecku. Obiecuję. A teraz spróbuj zasnąć.

Jednak Mei-Ling nie mogła zmrużyć oka.

MAKAU

Czerwiec 1839 roku

READ MIAŁ W MAKAU kobietę. A dokładnie mieszkał u niej, kiedy nie miała innych lokatorów. Jej mąż, holenderski kapitan statku, zmarł przed wieloma laty.

Zatrzymał się tam zaraz po przyjeździe. Jakiś czas później popłynął na północ z McBride'em i Traderem, wrócił do wdowy i znów wyruszył do Kantonu. Oczywiście nie spodziewał się, że utknie tam na tak długo, lecz wdowa nie przyjęła w tym czasie innych lokatorów i jego prycza wciąż na niego czekała, gdy wrócił.

Tuż przed jego wyjazdem do Kantonu jakiś pełen dobrych chęci, ale wścibski członek lokalnej społeczności zaczepił go na ulicy i stwierdził, że to niestosowne tak otwarcie żyć w grzechu z miejscową kobietą. Chwilę później gorzko pożałował swoich słów.

Read otwarcie go zaatakował. Głos miał na tyle donośny, że wszyscy na ulicy mogli go usłyszeć.

– Sugeruje pan, że uczciwa wdowa, która pragnąc związać koniec z końcem, użycza noclegu szanowanemu człowiekowi, powinna być napiętnowana jako lubieżnica? Czy tak samo traktuje pan każdą gospodynię wynajmującą kwatery?

– Skądże znowu, sir – zaprotestował ów nadgorliwiec. – Jest pan wszakże jedynym jej lokatorem i musi pan przyznać…

– Niczego nie muszę przyznawać, sir! Czy gdyby miała sześciu lokatorów, chodziłby pan po mieście i opowiadał, że spółkuje z każdym z nich?

– Ależ skąd…

– Znane są panu przepisy prawa dotyczące zniesławienia? Czy mam iść do sądu, żeby bronić dobrego imienia tej niewinnej niewiasty? A może powinienem wychłostać pana szpicrutą?! – wrzeszczał rozjuszony Read.

Na te słowa pełen dobrych intencji dżentelmen pospiesznie się oddalił, a w ciągu godziny całe Makau miało się z czego śmiać. Później nikt już nie naprzykrzał się Readowi w związku z jego gospodynią.

Trader usłyszał tę historię od Tully'ego w dniu, w którym przybył na wyspę.

– Przez cały czas naszego pobytu w Kantonie nie zająknąłeś się ani słowem o tej kobiecie – wypomniał nazajutrz Readowi.

– Porządny człowiek nie dyskutuje o takich sprawach, Trader. – Read zmierzył go surowym spojrzeniem. – Musi być dyskretny, żeby dama miała do niego zaufanie. – Nagle się uśmiechnął. – Znajdź sobie własną kobietę, która o ciebie zadba. Tego ci teraz trzeba.

Portugalska wyspa na Morzu Południowochińskim miała śródziemnomorski klimat. Jej łagodne pagórki usiane były małymi zabytkowymi fortami, bardziej malowniczymi niż groźnymi.

Wszędzie widniały ślady dawnej przeszłości. Dwa i pół wieku wcześniej, za czasów dynastii Ming, zanim dobiegła końca budowa Bazyliki Świętego Piotra w Rzymie, jezuici wznieśli na szczycie głównego wzgórza Makau majestatyczny kamienny kościół pod wezwaniem Świętego Pawła – na znak, że wiara katolicka znów się odradza w dalekiej Azji. Świątynię widać było z odległości dwudziestu mil, podobnie jak położony poniżej jezuicki fort z baterią dział.

Dawna chwała Makau jednak nieco już przebrzmiała. Wielki kościół niedawno spłonął – ocalała tylko jego południowa fasada; tkwiła teraz samotnie na wzgórzu niczym element imponującej scenografii, błyszcząc w promieniach słońca o wschodzie i zachodzie, pusta jak wydmuszka.

John Trader od razu polubił to miejsce. Kwatera, którą dzielił z Tullym, znajdowała się w bocznej uliczce, tuż za aleją Praia Grande, biegnącą łukiem wzdłuż brzegu szerokiej zatoki. Już pierwszego dnia wybrali się z Tullym na spacer po tej nadmorskiej promenadzie. Długi szpaler okazałych willi – w większości pokrytych sztukateriami w stylu portugalskim, niektórych białych, innych pomalowanych na czerwono, zielono albo niebiesko – spoglądał wesoło na wyłożoną kamiennymi płytami ulicę, falochron i niedużą kamienistą plażę, sunące przez płyciznę dżonki z kwadrato-

wymi żaglami oraz las masztów zakotwiczonych w głębi smukłych europejskich statków. W powietrzu unosił się zapach soli i wodorostów.

– Cieszę się, że mieszkam nieopodal – stwierdził Tully. – Każdego dnia mogę zażywać krótkiej przechadzki dla zdrowia po nabrzeżu, zamiast wypluwać płuca, wędrując pod górę i na dół.

Wyżej, na wznoszących się ponad zatoką zboczach, portugalskie ulice ustępowały miejsca wystawnym, zdobionym sztukateriami willom i brytyjskim rezydencjom kolonialnym.

Ludzie wciąż nazywali Makau wyspą, choć obecnie wąska piaszczysta łacha łączyła ją ze stałym lądem. Był to port międzynarodowy, ale ponieważ miejscowe przystanie wymagały pogłębienia, mogły tam wpływać tylko płytkie dżonki; statki europejskie kotwiczyły zwykle na głębszych wodach. Tak naprawdę liczył się jednak fakt, że Makau wciąż należało do cesarza Chin, chociaż od wieków zarządzali nim portugalscy gubernatorzy.

– Musi pan wiedzieć – tłumaczył Johnowi Tully – że to miejsce stanowi typowo chiński kompromis. Jeśli nawet w Makau handluje się opium – a trochę się tutaj dzieje pod tym względem – portugalski gubernator utrzymuje to w tajemnicy. Portugalczycy są oczywiście rzymskimi katolikami, ale możesz być pan pewien jak diabli, że gubernator każe jezuickim misjonarzom zachowywać umiar w prawieniu kazań tubylcom. Władze chińskie nie lubią nawracania – nawet w Makau. Mimo to – zakończył – o ile gubernator zachowa odrobinę zdrowego rozsądku, Chińczycy zostawią Makau w spokoju. Jak dotąd było to dla nas całkiem bezpieczne schronienie.

Oficjalnie zaczęła się pora monsunów, lecz pogoda wciąż była ładna, a temperatury znośne, jak podczas najpiękniejszego angielskiego lata. Trader z radością rozkoszował się słonym morskim powietrzem i świeżo odzyskaną wolnością.

Pozostała mu do załatwienia jeszcze jedna zaległa sprawa z Kantonu: list od Lina do królowej Wiktorii.

Zastanawiał się, jak powinien postąpić. Oddać list Elliotowi? To byłoby najprostsze rozwiązanie. Szczerze wątpił, aby Elliot przekazał go monarchini, ale przynajmniej pozbyłby się brzemienia odpowiedzialności. Oczywiście, gdyby naprawdę chciał dotrzymać obietnicy danej komisarzowi, wysłałby list do kogoś zaufanego w Anglii. Jeden z jego profesorów w Oksfordzie miał dostęp do dworu królewskiego. John mógł też spalić list i zapomnieć o całej sprawie. Po upływie tygodnia postanowił po prostu schować go do kasetki, którą trzymał pod łóżkiem.

Anglojęzyczna społeczność w Makau skupiała się wokół rodzin kupieckich, nie brakowało też misjonarzy, nauczycieli oraz handlarzy. Jako kawaler Trader był wszędzie zapraszany i nikt nie oczekiwał od niego rewanżu. Rodziny brytyjskie i amerykańskie wiedziały, jak miło spędzać czas przy grze w karty albo słuchaniu muzyki. Organizowano amatorskie przedstawienia teatralne i zdrowotne spacery po wzgórzach, skąd rozpościerały się malownicze widoki, lub położonej na północ od miasta równinie Campo. John świetnie się bawił, w dodatku prawie za darmo. Raz w tygodniu spotykał się z Readem na drinka w jego ulubionym barze na nabrzeżu.

Pomimo rad Reada ostrożnie podchodził do pomysłu znalezienia sobie kobiety. Część anglojęzycznych rodzin miała niezamężne córki, wobec nich Trader zachowywał się jednak powściągliwie. Bądź co bądź obecna sytuacja finansowa nie pozwalała mu na adorowanie żadnej z nich. Celowo rozpowszechniwszy plotkę, że jego serce należy do pewnej damy z Kalkuty, zapewnił sobie szacunek, bezpieczeństwo i zainteresowanie zarówno młodych panien, jak i ich matek, co w zupełności mu odpowiadało.

Jak każdy port, również Makau miało swoje burdele, lecz John zawsze był dość wybredny; poza tym powstrzymywała go zdrowa obawa przed zarażeniem się czymś paskudnym. Żony dwóch kupców wyraźnie dały mu do zrozumienia, że chętnie poznałyby go bliżej, ale w małej społeczności takie związki mogły oznaczać duże kłopoty. Ostatnim, czego potrzebował, byli wściekli mężowie, przysparzający mu dodatkowych problemów. Na razie więc musiał się obyć bez kobiet.

W tej sytuacji jedyną rzeczą, która spędzała mu teraz sen z powiek, były długi. W natłoku spotkań towarzyskich zwykle udawało mu się o nich nie myśleć, co nie znaczy, że całkowicie uwolnił się od zmartwień. Ilekroć budził się w nocy, myślał o swoich wierzycielach. Leżąc bezsennie, niemal słyszał, jak – niczym woda z zepsutego kranu – pierwszego dnia każdego miesiąca z jego konta bankowego w odległej Kalkucie odpływają pieniądze, uszczuplając jego i tak skromny majątek. Kap, kap… Z taką myślą nie sposób było spokojnie zasnąć.

Pewnej nocy przyśnił mu się sen. Trader przechodził przez most linowy, rozpięty wysoko nad przepaścią. Nagle obejrzał się za siebie i ku swemu przerażeniu ujrzał, że drewniane deski, po których właśnie przeszedł, obluzowują się i jedna po drugiej spadają w dół. Przyspieszył więc kroku, lecz gdy znów zerknął przez ramię, zauważył, że przepaść zieje niemal tuż za

nim. Wtedy deski pod jego stopami zniknęły, on zaś runął w bezdenną pustkę i spadał, spadał…

Po dwóch dniach koszmar powrócił, a on obudził się z krzykiem i zrozpaczony leżał bezsennie aż do świtu. Z czasem strach dopadał go coraz częściej i nic nie mógł na to poradzić. Skrywana przez niego tajemnica towarzyszyła mu codziennie niczym nałóg, bliska jak przyjaciel, śmiertelnie groźna jak wróg. Bywały dni, gdy czuł się tak przygnębiony, że musiał się zmuszać do wstania z łóżka. W towarzystwie udawało mu się jednak zawsze robić dobrą minę do złej gry i na swój żałosny sposób był nawet dumny, że tak skrzętnie potrafi ukrywać swoje lęki.

Dni mijały, a John Trader, zaabsorbowany swoimi kłopotami, nie zdawał sobie nawet sprawy, jak bardzo jest samotny.

* * *

W trzecim tygodniu czerwca wybrał się na stary cmentarz. W tym roku nadejście pory monsunowej z jej wilgotnym skwarem nieco się opóźniło, lecz akurat tego dnia upał dawał się wszystkim we znaki.

Spacerowali z Tullym po Praia Grande, lecz Trader czuł potrzebę większego wysiłku fizycznego.

– Może wdrapie się pan na wzgórze? – podsunął wspólnik. – Wyżej może trochę bardziej wiać. A jeśli zechce pan nieco odsapnąć, warto wstąpić na stary cmentarz protestancki. To bardzo malownicze miejsce.

Podczas wspinaczki Trader oblewał się potem. Czuł się jak w pułapce. O ile z daleka Makau wyglądało pięknie, z bliska nie było już takie urocze. Tego dnia wyraźnie dostrzegał jego wady.

Otynkowane, malowane ściany domów były w większości popękane. Nad drzwiami brakowało fragmentów gzymsów. Wszędzie zalegał brud. Uliczny kurz osiadał mu na butach. Miał wrażenie, że w każdym zaułku siedzi jakiś żebrak. Jakby tego było mało, w rowie zauważył zdechłego kota rozszarpywanego przez czarnowrony.

W połowie drogi na szczyt dotarł do zdobionego sztukateriami barokowego kościoła Świętego Dominika o kremowo-żółtych murach z białymi wykończeniami i wysokimi zielonymi drzwiami. Starsza kobieta zamiatała kamienny dziedziniec przed wejściem, lecz poza nią nie widział tam żywej duszy. Ławka nieopodal wyglądała zachęcająco, ale nie był jeszcze gotów

na postój. Poszedł więc dalej, minął imponującą fasadę kościoła Świętego Pawła, by na koniec obejść jezuickie stanowisko artyleryjskie na wzgórzu, rozkoszując się pięknymi widokami i lekką bryzą. Pomyślał, że teraz naprawdę zasłużył na krótki odpoczynek.

Odkąd protestanci otrzymali pozwolenie na budowę skromnej kaplicy, minęło zaledwie dwadzieścia lat. Był to niewielki, prosty, bielony budynek. Do kongregacji należeli głównie Brytyjczycy i Amerykanie, choć protestanci wszystkich narodowości także byli tu mile widziani. Na równym skrawku ziemi przed samą kaplicą znajdował się stary cmentarz protestancki. Nagrobki wznosiły się wśród murawy, w delikatnym cieniu drzew, za grubym kamiennym murem.

Było tu chłodniej niż na ulicy. Łagodny powiew od morza poruszał liśćmi na czubkach drzew, lecz nie wydawały one prawie żadnego dźwięku. Wyrastające z trawy kamienie nagrobne i tablice na murze cmentarnym były okazalsze, niż John się spodziewał; niektóre miały po sześć stóp wysokości. Wyryte na nich napisy, najwyraźniej wykonane przez miejscowego kamieniarza, wyglądały nieco prymitywnie, lecz wszystkie miały jedną wspólną cechę: były ostatnim upamiętnieniem losu tych, którzy przybyli na tę odległą wyspę i odeszli, zanim zdążyli powrócić w rodzinne strony.

Pracownicy Kompanii Wschodnioindyjskiej, holenderscy kapitanowie, amerykańscy kupcy, ich żony, czasem także dzieci. Wszyscy umarli z dala od domu.

John Trader posiedział chwilę na kamieniu, a potem ruszył po cienistej trawie, odczytując napisy na mijanych nagrobkach. W pewnym miejscu zauważył na cmentarnym murze tablicę pamiątkową: porucznik Frederick Westbury z brytyjskiej marynarki wojennej zginął po walce, opłakiwany przez załogę swojego okrętu. Był młodszy niż John teraz. Tablica miała spore rozmiary, zmarły musiał więc być lubiany.

Zastanawiał się, czy w jakimś wiejskim kościele w Anglii wisi inna tablica, ufundowana przez pogrążoną w żałobie rodzinę tego młodego człowieka, i uznał, że zapewne tak. Przyszła mu do głowy następująca myśl: czy gdyby dzisiaj umarł, w tym miejscu stanąłby jego nagrobek? Czy Tully by się o to postarał? Nikt tego nie wiedział, tylko sam Bóg. Jedno było pewne: w żadnym wiejskim kościele w Anglii nie zawisłaby upamiętniająca go tablica. Nie miał tam nikogo, kto by go opłakiwał. Tylko garstka ludzi by o nim pamiętała. Charlie Farley wspominałby go czule i zapewne chciałby napisać list z kondolencjami – tyle że nie byłoby go komu wysłać.

Nagle cień drzew, zamiast przynosić upragnioną ulgę od słońca, wprawił Tradera w melancholię. Ogarnął go niewymowny smutek i wolnym krokiem zawrócił do kamienia, na którym wcześniej siedział. Osunął się nań i spuścił głowę. Cieszył się, że jest zupełnie sam, bo ku swojemu zaskoczeniu poczuł pod powiekami łzy.

Tkwił tak przez dobre dwadzieścia minut i łzy na szczęście zdążyły obeschnąć, gdy usłyszał głos mówiący:

– Witaj, młodzieńcze. – Rozejrzał się i zobaczył stojącego przed sobą Reada. – Wyglądasz na przybitego – zauważył Amerykanin.

– Nie, nieszczególnie.

– Piękne miejsce, prawda? Często tutaj spaceruję. Zabawne, bo właśnie o tobie myślałem. O czymś, co powiedziałeś, kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy się na tamtym statku.

– To znaczy?

– Wydaje mi się, że wspominałeś o jakichś długach.

– Czyżby?

– Domyślam się, że musisz teraz zaciskać pasa, zważywszy na przestoje w handlu i zniszczenie zapasów opium.

– Jak wiesz, obiecano nam odszkodowanie.

– Na które trzeba będzie diabelnie długo czekać. A tymczasem trzeba spłacać odsetki od zaciągniętych pożyczek.

– To prawda.

Read spojrzał na niego z życzliwością.

– Pozwól, że ureguluję je za ciebie.

Trader się zdumiał.

– Dobry Boże… Ale… dlaczego? Nie wiesz nawet, ile jestem winien.

– Znam skalę twojego przedsięwzięcia i chyba mam całkiem niezłe wyobrażenie na ten temat. – Perspektywa ta nie wydawała się w najmniejszym stopniu niepokoić Amerykanina. – Porządny z ciebie gość, a ja od lat nikomu nie pomogłem. Zwrócisz mi później, kiedy będziesz mógł. Nie ma pośpiechu.

– Ale ja handluję opium, Read. Sam stwierdziłeś, że to brudny interes.

– Wiesz, jak mówią, Trader: w ludzi trzeba inwestować. Może pewnego dnia zajmiesz się czymś innym. – Zaśmiał się. – Może nie będziesz miał wyboru.

– Nie mogę uwierzyć, że okazujesz mi taką życzliwość. Jednak nie pozwolę ci…

– Mam pieniądze, przyjacielu – odparł cicho Read i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Dostatecznie dużo, aby moja żona chciała ze mną być.

– A jeśli nie zdołam cię spłacić?

– Wtedy – Read uśmiechnął się szeroko – moja żona dostanie mniej w spadku, kiedy umrę.

– Nie wiem, co odpowiedzieć.

– Jeszcze jedno, Trader. Wpadniesz do mnie jutro na kolację? Moja gospodyni wspaniale gotuje.

Wdowa Willems mieszkała w cichej uliczce, w otynkowanym na niebiesko domku oddalonym o jakieś pięćdziesiąt jardów od starego jezuickiego stanowiska artyleryjskiego. W ogrodzie na tyłach znajdował się staw z liliami wodnymi. Dom należał do pani Willems, ogród zaś do jej białego kota, którego zgoda była niezbędna, jeżeli chciało się odwiedzić staw.

Podobnie jak wielu mieszkańców Makau, pani Willems wyglądała po części jak Azjatka, po części jak Europejka. Miała szeroko osadzone migdałowe oczy i delikatne rysy, była atrakcyjna, w wieku…? Trader nie potrafił ocenić. Równie dobrze mogła mieć lat trzydzieści pięć, jak i pięćdziesiąt. Jej angielski, kiedy go powitała, nie był doskonały, rozumiała jednak wszystko, co do niej mówiono.

Wnętrze prosto umeblowano w przyjemnie eklektycznym stylu: chiński stół, stara portugalska komoda, kilka holenderskich skórzanych foteli. Na ścianach Trader zauważył akwarele przedstawiające widoki z różnych krajów. Na jednej rozpoznał londyński port.

– Bardzo ładne obrazki – pochwalił uprzejmie, zwracając się do gospodyni, która wyglądała na uradowaną.

– Mąż mi je podarował – odparła z satysfakcją.

– Prosiła, aby z każdej zamorskiej podróży przywoził jej obrazek – wyjaśnił Read. – Chyba miał to być dowód tego, że o niej myślał. – Uśmiechnął się do pani Willems. – Jak widzisz, miał dobry gust.

Mężczyźni usiedli w fotelach, a pani Willems podała im drinki, po czym znikła w kuchni.

– Spodobałeś się jej – zauważył Read. – To widać.

– W jej żyłach płynie głównie chińska krew? – spytał Trader.

– Zależy, co rozumiesz przez „chińska”. Jej matka była Azjatką, w połowie Japonką, ojciec – synem portugalskiego kupca i miejscowej kobiety

z ludu Tanka.

– Tanka?

– Rdzennego ludu zamieszkującego od wieków to wybrzeże. W pewnym sensie są Chińczykami, ale ich język, liczący sobie tysiące lat, w niczym nie przypomina chińskiego. Chińczycy Han gardzą nimi. Uważają, że Tanka nie są prawdziwymi Hanami. Źle ich traktowali, więc Tanka wolą mieszkać w oddaleniu, na swoich łodziach. Z reguły są rybakami.

– Dlaczego portugalski kupiec miałby poślubić kobietę Tanka?

– To akurat jest proste: przybywali do Makau i potrzebowali kobiet, a porządne chińskie kobiety Han nie chciały wychodzić za mąż za cudzoziemców. Nie zapominaj, że Hanowie uważają nas za barbarzyńców. Dlatego Portugalczycy żenili się z kobietami Tanka. Dzisiaj na każdej ulicy zobaczysz ich potomków.

Posiłek okazał się wyborny. W większości domów, w których do tej pory bywał, usiłowano przygotowywać brytyjskie potrawy z wszelkimi koniecznymi lokalnymi modyfikacjami, jednak pani Willems postawiła na lokalną kuchnię Makau, wyjątkową mieszankę kuchni portugalskiej i południowochińskiej, z domieszką przypraw malajskich oraz indyjskich, spotykaną tylko na tej małej wyspie.

Zaczęli od delikatnie przyprawionej zupy z krewetek zwanej lacassa, podawanej z białym winem, cierpkim portugalskim vinho verde. Dalej na stół wjechał wybór dań: był tam kurczak pieczony na sposób europejski z ziemniakami i kokosowym sosem curry. Trader zamknął oczy i delektował się bogatym aromatem. Podano też Tchai de Bonzo, potrawę z warzyw gotowanych z kluseczkami („Nazywają to rozkoszą Buddy” – objaśnił Read z uśmiechem), minchi, biały ryż z mięsem mielonym i jajkiem sadzonym, dorsza, przegrzebki oraz kaszankę z konfiturą pomarańczową, sałatkę z uszami wieprzowymi i pieczone ziemniaki. Deser był równie obfity: oczywiście ciasteczka migdałowe, portugalskie sery, budyń z mleka kokosowego, pudding z mango, a na koniec, zamiast chińskiej herbaty – kawa.

Pani Willems mogła wyglądać na Chinkę, siedziała jednak przy posiłku wraz z mężczyznami, na europejską modłę. W miarę jak na stół wjeżdżały coraz to nowe potrawy, Trader zwrócił uwagę na donoszącą je ładną i młodą mieszkankę Makau, którą wziął za służącą. Wchodząc do jadalni, skromnie spuszczała wzrok i zaraz znikała w kuchni.

Gospodyni zadała mu kilka grzecznościowych pytań o rodzinę i o powód przyjazdu do Kantonu, wyczuł jednak, że odpowiedzi nieszczególnie ją obchodzą. Tym, co naprawdę ją interesowało, była data i godzina jego narodzin. Gdy zapytała go o miejsce urodzenia, Trader wskazał na wiszący na ścianie widoczek londyńskiego portu.

Podczas kolacji Read sprawnie kierował rozmową, na podobieństwo kapitana statku dbającego o gładką przeprawę. Trader prowadził z panią Willems uprzejmą pogawędkę; zapytał o jej podróże i dowiedział się, że wraz z mężem mieszkała w kilku azjatyckich portach. Odniósł przy tym wrażenie, że chociaż opowiadała o wyprawach holenderskiego kapitana do Londynu, Holandii, a nawet Portugalii, nie była do końca pewna, gdzie się dokładnie znajdują. Dopiero pod koniec posiłku konwersacja zeszła na grząski grunt.

Młoda służąca przyniosła kawę. Trader zauważył, że tym razem trochę się ociągała, jakby przysłuchiwała się ich rozmowie. Czyżby znała angielski? Czy go obserwowała?

W porównaniu z panią Willems bardziej przypominała Portugalkę. Miała wysokie azjatyckie kości policzkowe i migdałowe oczy, ale rysy jej twarzy były ostrzejsze, a gęste włosy ciemnobrązowe, a nie czarne. Miała szerokie usta i pełne wargi. Trader pomyślał, że ma bardzo zmysłową urodę. I chyba rzeczywiście mu się przyglądała.

Pani Willems też to zauważyła, bo nagle krzyknęła coś w portugalskim dialekcie z Makau, na co młoda kobieta wybiegła z pokoju.

Gospodyni zwróciła się do niego spokojnym tonem:

– Bywa pan w tutejszych domach publicznych?

Jej pytanie tak go zaskoczyło, że przez chwilę zastanawiał się, czy się nie przesłyszał. Zerknął na Reada, lecz ten nic nie powiedział; wyglądał na rozbawionego całą sytuacją.

– Nie, pani Willems – wykrztusił. – Nie bywam.

Przyglądała mu się, a on nie wiedział, co jej chodzi po głowie. Odpowiedział zgodnie z prawdą, ale czy mu uwierzyła?

– W Kantonie był pan na Łodziach Kwiatów. – Nie zabrzmiało to jak pytanie.

– Zapraszano mnie – odrzekł, wspominając łódź mijaną pierwszego dnia po przyjeździe – ale nie skorzystałem.

– Dlaczego?

– Nie chciałem niczego złapać. – Skoro ona mogła być dosadna, to dlaczego nie on?

– Jest pan czystym młodzieńcem?

– Owszem.

Wyglądało na to, że straciła zainteresowanie tematem, ponieważ wstała od stołu i poszła do kuchni, żeby przynieść coś albo znów złajać tę dziewczynę – tego już Trader nie wiedział.

Read poczekał, aż wyjdzie, zanim się odezwał.

– Spodobała ci się ta dzierlatka, przyjacielu?

– Może i tak. Przyznaję, że wygląda interesująco. Dlaczego pytasz?

– Bo ty jej się spodobałeś.

– Tej dziewczynie? Skąd wiesz?

– Wiem, i już. – Read umilkł na moment. – To młoda kuzynka pani Willems. Zatrzymała się u niej na pewien czas.

– Och. – Trader zastanawiał się nad tym, co usłyszał. – Te pytania o domy publiczne…

– Sprawdzała cię. Mówiłem, że jesteś w porządku, ale czuje się odpowiedzialna za tę dziewczynę. Dlatego wypytywała o twoją datę urodzenia. Chce ci postawić horoskop.

– Rozumiem. Co dokładnie – spytał wolno Trader – ma mi do zaoferowania?

Read uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Cokolwiek zechcesz.

Imię miała portugalskie: Marissa. W kolejnych tygodniach Trader widywał ją co drugi lub trzeci dzień. Nigdy nie wchodził od frontu, gdzie mógłby natknąć się na panią Willems, tylko bocznymi drzwiami prowadzącymi do kuchni, obok której Marissa miała swój pokoik. Czasami odwiedzał ją po południu, czasami wieczorem. Zdarzało się, że zostawał na noc i dopiero rankiem wracał do swojej kwatery, mimo to Tully Odstock ani razu nie zapytał go, gdzie był, choć przecież musiał się domyślać. Podobnie brytyjskie i amerykańskie rodziny, do których bywał zapraszany, słowem nie wspominały o Marissie, chociaż zapewne też o niej wiedziały.

Jeśli chodzi o Reada, to nadal się spotykali, wychodzili razem się napić i czasami wpadali na siebie przy okazji różnych wydarzeń towarzyskich,

kiedy jednak Trader przychodził do Marissy, kochankowie trzymali się na uboczu, w kąciku przy kuchni.

Ich romans szybko stał się namiętny. Wystarczyło, że Trader zobaczył ją w kuchni przy pracy albo poczuł delikatny zapach jej skóry, a natychmiast ogarniało go przemożne pożądanie. Marissa miała silne ciało wieśniaczki i jaśniejszą karnację, niż się spodziewał, wkrótce też miał się przekonać, jak bardzo jest gibka. Nie mógł się nią nacieszyć, ani najwyraźniej ona nim. Większość czasu spędzali w jej małej sypialni, ale od czasu do czasu chodzili razem na spacery. Pobliskie stanowisko artyleryjskie z pięknym widokiem na port było przyjemnym miejscem wieczornych schadzek. Czasami zaglądali na protestancki cmentarz, żeby przejść się pod drzewami. Nie przeszkadzało jej to, mimo że była katoliczką, i Trader nieraz całował ją w tym cichym, otoczonym murem zakątku. Kiedy indziej wyprawiali się dalej, na północ, na szeroką równinę Campo, albo na południowy kraniec wyspy, gdzie tuż przy brzegu wznosiła się stara, piękna taoistyczna świątynię A-Ma i gdzie zapalali kadzidełka dla bogini Mazu, patronki rybaków.

Uczył ją angielskiego, a ona robiła szybkie postępy. Lubiła wypytywać go o jego życie. Opowiadał, jak został osierocony i jak wyglądały jego lata szkolne. Opisywał jej Londyn i Kalkutę. Dowiedział się, że jej rodzice nie żyją, że ma starszą siostrę, zamężną i mieszkającą na stałym lądzie, gdzie Marissa także przebywała, zanim przypłynęła do Makau, żeby zamieszkać z panią Willems.

Po kilku tygodniach znajomości zaczęło do niego docierać, że nie wszystko, co dziewczyna mu mówi, jest prawdą.

Od początku ich romansu było jasne, że pod względem seksualnym ma spore doświadczenie. Nauczyła go rzeczy, których nigdy wcześniej nie robił. Już trzeciego wieczoru po tym, jak zaczęli się spotykać, wykrzyknął: „Gdzie ty się tego nauczyłaś?” – ona zaś na moment się zawahała, po czym odparła: „Przez rok byłam żoną marynarza. Zginął na morzu”.

Kiedy jednak kilka dni później w rozmowie z Readem zauważył, że Marissie musiało być ciężko po stracie męża, przyjaciel zrobił zaskoczoną minę, a otrząsnąwszy się, wymamrotał niezobowiązująco:

– Zapewne.

Po tygodniu Marissa zdawkowo napomknęła, że jej matka nie czuje się najlepiej. A gdy Trader przypomniał jej, że podobno jest sierotą, zmarszczyła brwi.

– Ja tak powiedziałam? – zdziwiła się, po czym dodała: – Ojciec umarł, ale matka mieszka z moją siostrą. – John postanowił nie drążyć tematu.

Zaczął się jednak zastanawiać, czy naprawdę wie, z kim się zadaje. Read i pani Willems ewidentnie podsunęli mu tę dziewczynę. Musieli ją dobrze znać. Czy zawarli z Marissą jakiś układ, którego nie był świadomy? A jeśli tak, to jakiego rodzaju?

– Czy powinienem jej płacić? – zagadnął kiedyś Reada.

– Nie. Wystarczy, że od czasu do czasu dasz jej jakiś upominek. Zabierz ją na targ, to sama pokaże ci, co by chciała.

Kilka dni później, podczas spaceru, dziewczyna wskazała mu belę jedwabiu i mimochodem rzuciła, że jest bardzo piękny. John zrozumiał aluzję.

Pogoda ich rozpieszczała. Co prawda nadal było gorąco i wilgotno, ale całkiem znośnie. Oczywiście nie mogło to trwać wiecznie; w końcu mieli porę monsunów.

– Wkrótce zaczną się ulewy – stwierdził Tully. – Czasami zdarza się też tajfun. – Kolejne dni upływały jednak całkiem spokojnie.

Z jednym drobnym wyjątkiem. Od czerwca Elliot nakazał wszystkim brytyjskim statkom handlowym, które chciały pozostać na miejscu, korzystanie z bezpiecznego kotwicowiska w Hongkongu.

– Słuszna decyzja – uznał Tully. – Choć Hongkong jest pusty, ale leży tuż po drugiej stronie zatoki i da się tam przetrwać tajfun.

Jednak to właśnie w azylu w Hongkongu zaczęły się kłopoty. Trader dowiedział się o nich pewnego wieczoru na początku lipca, po powrocie na kwaterę.

– Głupia sprawa – rzekł Tully. – Marynarze się nudzili, wybrali się więc do jakiejś chińskiej wioski na stałym lądzie i upili winem ryżowym, a potem wdali w awanturę z miejscowymi. Obawiam się, że jeden wieśniak został zabity. – Pokręcił głową. – Elliot wypłaci odszkodowanie rodzinie. Wyciszy całą sprawę.

– Władzom chińskim to się nie spodoba, jeśli się dowiedzą.

– Niestety – mruknął Tully. – Ale może wszystko rozejdzie się po kościach.

Trzy dni później pod wieczór mieszkańcy Makau dostrzegli ciemną spiętrzoną ścianę na południowo-wschodnim horyzoncie. Nie minęło wiele czasu, a ołowiane chmury ruszyły na nich niczym zagony harcowników, siekąc deszczem wody zatoki.

Trader i Marissa, którzy wybrali się akurat na wieczorny spacer, pospieszyli do miejsca, skąd spoglądała na miasto wysoka, gładka fasada kościoła Świętego Pawła. Wzgórze wciąż jeszcze było skąpane w słońcu. Wraz z napływem skłębionych chmur poczuli na twarzach pierwsze nagłe podmuchy wiatru.

– Lepiej wracaj do domu, zanim się zacznie – poradziła mu Marissa.

– Chcesz, żebym sobie poszedł?

– Nie, ale…

– Wolę zostać z tobą.

Kiedy schodzili ze szczytu po szerokich kamiennych stopniach, przemknął nad nimi szary cień, a gdy dotarli do podnóża schodów i spojrzeli za siebie, zobaczyli, że strzelista fasada starego kościoła jaśnieje nieziemskim blaskiem, jakby ostatkiem sił starała się zaistnieć na niebie, zanim pochłonie ją i powali potężna burza.

Trader i Marissa leżeli obok siebie, a całe Makau trzęsło się i drżało w posadach od uderzeń piorunów, grzmotów i nieustannego, ogłuszającego bębnienia deszczu o dachy. Od czasu do czasu wśród łoskotu okiennic i wycia wichury następowała krótka chwila ciszy i wówczas słychać było plusk wody płynącej rwącym strumieniem w dół wąskiej ulicy.

Przez całą noc tulili się do siebie tak mocno, jakby byli jednością, i prawie nie zmrużyli oka, aż w końcu przed świtem, gdy wiatr zaczął słabnąć, Tradera ogarnął sen.

Zanim to jednak nastąpiło, przemknęła mu przez głowę pewna myśl: co, jeśli wbrew wszelkim obietnicom brytyjski rząd nie przyjdzie z pomocą handlarzom opium, a on zbankrutuje, pomimo życzliwości Reada? Czy zrealizuje wówczas to, co raz już sobie wyobrażał – rozpocznie całkiem nowe życie, wędrując po świecie w poszukiwaniu przygód, albo osiedli się w jakimś odległym miejscu? Czy mógłby zabrać ze sobą Marissę? Nie miała, rzecz jasna, dobrej reputacji, ale co go to obchodziło? Byłaby z niej świetna gospodyni. A co do ich wspólnych nocy, to czy mógł liczyć na coś lepszego niż to, czym się teraz upajał? Raczej nie.

Obudzili się późnym rankiem. Chmury kłębiły się na niebie, lecz przebijały przez nie pierwsze promienie słońca. John postanowił zejść do alei

Praia Grande i sprawdzić, jak Tully poradził sobie podczas burzy.

Po dotarciu na szeroką promenadę od razu zauważył ogrom dokonanych przez wiatr zniszczeń. Ulicę zaścielały potłuczone dachówki, liście palmowe i rozmaite śmiecie. Jeszcze smutniejszy był widok przewróconego na bok wózka; obok leżała zerwana uprząż, z jednego końca wciąż przytwierdzona do dyszla. Czy w chwili, gdy wózek się przewrócił, było do niego zaprzężone jakieś zwierzę? Kucyk, a może raczej osioł?

Trader przeszedł na skraj alei i spojrzał w dół, na fale uderzające o falochron i wzbijające w powietrze bryzgi piany. Nie zauważył jednak, aby w zatoce dryfowało jakiekolwiek zwierzę albo ludzkie zwłoki.

Kiedy dotarł do swojej kwatery, Tully właśnie jadł śniadanie. Krótko skinął głową Traderowi.

– Mam nadzieję, że pan się o mnie nie martwił – rzucił wesoło John.

– Przecież wiedziałem, gdzie pan jest.

– No cóż – dodał młodzieniec z lekką dumą – przeżyłem swój pierwszy tajfun w Chinach.

– Burzę – burknął Tully. – Tajfun jest znacznie gorszy. A przy okazji – dodał – był tu przed chwilą jakiś człowiek, pytał o pana. Spotkaliście się?

– Nie. Co to za jeden?

Tully wzruszył ramionami.

– Pierwszy raz go widziałem.

Trader przebrał się i znów wyszedł na promenadę, żeby lepiej ocenić szkody. Szare chmury nadal pędziły po niebie, ale tu i ówdzie można już było dostrzec pierwsze przebłyski błękitu. Ostre, słone powiewy wiatru podziałały na niego ożywczo. Poczuł przyjemny przypływ energii i nie zdając sobie z tego sprawy, przyspieszył kroku. Zdążył przejść pół mili, gdy usłyszał za sobą czyjś głos.

– Pan Trader? – zapytał ktoś nosowo po angielsku. John odwrócił się poirytowany, że przerywa mu się przechadzkę. – Pan John Trader?

Mężczyzna mógł mieć tyle lat, co on. Szczupły, lecz nie tak wysoki, miał na sobie kiepsko skrojony tweedowy płaszcz, a pod nim John dostrzegł biały urzędniczy krawat. Z sobie tylko znanych powodów nieznajomy owinął wąską głowę zawiązanym pod brodą brązowym, wełnianym szalikiem. Trader od razu poczuł do niego antypatię, mimo to, rzecz jasna, odparł uprzejmie:

– Słucham pana?

– Gdy tylko odkryłem pańską tożsamość, od razu pofatygowałem się z osobistą wizytą – oznajmił z uśmiechem nieznajomy.

– Hm. A w jakimż to celu?

– Jestem pańskim kuzynem, panie Trader – zawołał mężczyzna. – Cecil Whiteparish. Jestem pewien, że zostaniemy przyjaciółmi.

Patrzył na Johna wyczekująco. Trader wpatrywał się weń ze zdumieniem. W głowie miał kompletną pustkę. Wreszcie zmarszczył brwi. Whiteparish… Czy nie tak brzmiało nazwisko dalekich krewnych ojca? Niewiele o nich wiedział. Jego opiekun tylko raz mu o nich wspomniał, tuż przed wyjazdem Johna do Oksfordu. Podobno dawno temu między jego ojcem a owymi krewnymi doszło do jakiegoś zatargu. Przyczyna nie była mu znana. Chodziło chyba o popełniony mezalians albo coś w tym rodzaju.

– Nie radzę ci szukać z nimi kontaktu – ostrzegł go opiekun. – Twoi rodzice nigdy do tego nie dążyli. – Trader nic więcej nie wiedział. Zresztą szybko zapomniał o całej sprawie.

Sądząc po wyglądzie Cecila Whiteparisha, jego ojciec i opiekun mieli rację.

– Nie wydaje mi się, abym o panu słyszał – odparł ostrożnie.

– Ach – westchnął Cecil Whiteparish. – Proszę pozwolić sobie wyjaśnić: mój dziadek i pański dziadek byli kuzynami…

– To chyba dość dalekie pokrewieństwo – przerwał mu delikatnie John.

Nie był zbyt przyjazny, ale miał ku temu dobry powód. Cecil Whiteparish był cały nie taki, jak powinien. Dotyczyło to jego ubioru, tego, jak mówił i jak się poruszał. Można to było ująć tylko w jeden sposób: nie był dżentelmenem. W oczach pułkownika Lomonda John Trader również mógłby nie uchodzić za dżentelmena, ponieważ nie należał do szlachty, ale przynajmniej wiedział, jak się należy zachowywać.

Gdyby Cecil Whiteparish uczęszczał do porządnej szkoły, kształcił się w Inns of Court albo na uniwersytecie lub trafił w szeregi przyzwoitego regimentu, potrafiłby się zachować; takich rzeczy można się było nauczyć. Było jednak oczywiste, że nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Nawet własne nazwisko wymawiał nieprawidłowo. Młody narybek w Oksfordzie nie wymawiał arystokratycznego imienia Cecil tak, jak się je pisało. W ich ustach brzmiało ono jako „Sissel”. Jednak Cecil Whiteparish o tym nie wiedział. Krótko mówiąc, bliższa znajomość z nim była wykluczona.

Gdy tak przyglądał się natrętowi, uderzyła go straszna myśl: co by się stało, gdyby jakimś cudem odbił się od dna, zbił majątek i oświadczył się

Agnes Lomond, po czym Lomondowie odkryliby, że jego jedynym krewnym jest Cecil Whiteparish? Jak by to wyglądało? Wolał nawet o tym nie myśleć.

– Co pana tutaj sprowadza? – spytał głucho.

– Pracuję dla Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego. Jestem misjonarzem. Mam nadzieję, że wesprze pan nasze dzieło.

– Hm. – Trader zastanawiał się, jak odpowiedzieć. Nagle wpadł mu do głowy świetny pomysł. – Handluję opium – rzucił wesoło.

– Mam nadzieję, że nie tylko opium – odparł Cecil Whiteparish, marszcząc brwi.

– Wyłącznie opium – potwierdził. – To czysty zysk.

– Podobno już nie – zauważył chłodno Cecil Whiteparish.

– Jestem pewien, że rząd brytyjski nam pomoże. – Trader obdarzył go szerokim uśmiechem.

Whiteparish umilkł, a Trader go obserwował. Wszystko szło po jego myśli. Jeśli tylko uda mu się wystarczająco zaszokować swojego kuzyna misjonarza, ten nie będzie chciał mieć z nim nic wspólnego i problem sam się rozwiąże. Podjął więc ofensywę.

– Przekona się pan, że Makau to bardzo gościnne miejsce – ciągnął beznamiętnie. – Mają tu bardzo atrakcyjne kobiety, choć nie sądzę, aby pan… – Urwał i jakby się zawahał, by zaraz się rozpromienić. – Prawdę mówiąc, mam tutaj uroczą kochankę. Zajmują wraz z matką domek na wzgórzu. Piękny zakątek. Mój przyjaciel Read zabawia się z matką, a ja z córką. To w połowie Portugalka, a w połowie Chinka. Wspaniałe połączenie – wie pan, istna piękność.

– Matka i córka? I wszyscy żyjecie pod jednym dachem?

– W rzeczy samej. Właśnie stamtąd idę. – Rozbawiła go myśl, że zrobił z pani Willems matkę Marissy. Ale w sumie może naprawdę nią była – ostatecznie któż to mógł wiedzieć?

– Przykro mi to słyszeć – odrzekł grobowym tonem Whiteparish. – Będę się modlił, aby powrócił pan na drogę cnoty.

– Może pewnego dnia… – mruknął Trader. – Ale nieprędko.

– Prawdziwa miłość, miłość Boża – spróbował misjonarz, siląc się na łagodność – daje więcej szczęścia niż cielesne żądze.

– Wcale temu nie zaprzeczam – odparł John. – A tak z ciekawości: czy zakosztował pan kiedyś cielesnych żądz?

– Nie musi pan ze mnie kpić, panie Trader. – Whiteparish rzucił mu pełne wyrzutu spojrzenie.

– Obawiam się, że płynie we mnie niespokojna krew – wyznał Trader, po czym dodał z bezlitosną logiką: – Możliwe, że w panu również, skoro jesteśmy spokrewnieni.

Biedny Whiteparish milczał. Podobnie jak w innych sprawach, również w kwestii obycia towarzyskiego brakowało mu doświadczenia. Nie był jednak głupcem: zrozumiał, że z jakiegoś powodu kuzyn nie chce z nim przestawać.

– Chyba powinienem już się pożegnać, panie Trader – powiedział z prostoduszną godnością. – Gdyby kiedyś zechciał mnie pan odszukać, nie będzie to zbyt trudne.

Trader odprowadził go wzrokiem. Zrobiło mu się przykro, że go tak źle potraktował – nie żeby cokolwiek go łączyło z niechcianym kuzynem – nie żałował jednak, że Whiteparish postanowił wymazać go ze swojego życia.

Gdyby w przyszłości nadarzyła mu się okazja, aby uderzyć w konkury do Agnes Lomond, Cecil Whiteparish bez wątpienia nie mógł pojawić się na horyzoncie. To była życiowa konieczność. Naraz uświadomił sobie, że nawet jeśli porzuci wszelkie ambicje i ucieknie w świat z Marissą, szanse na ponowne spotkanie z misjonarzem są więcej niż znikome. Pocieszył się tą myślą.

* * *

Shi-Rong nie posiadał się z radości. Dotychczas spisywał się bez zarzutu, lecz dzisiejsze zadanie świadczyło o tym, że komisarz Lin naprawdę darzy go zaufaniem.

Gdy niespodziewanie został osobistym sekretarzem tego wielkiego człowieka, otrzymał najniższą rangę w dziewięciostopniowej hierarchii mandaryńskiej. Zyskał dzięki temu oficjalny status urzędnika państwowego i miał prawo nosić przy czapce srebrny znaczek, a przy uroczystych okazjach tunikę z dużą, kwadratową, wyszywaną brokatem naszywką przedstawiającą muchodławkę rajską, w którym to stroju prezentował się godnie i nad wyraz atrakcyjnie.

Jako prywatny sekretarz komisarza był traktowany z ostrożnym szacunkiem przez starszych od siebie i wyższych rangą urzędników na prowincji.

Wszyscy wiedzieli, że cieszy się zaufaniem Lina, który podlegał wszak samemu cesarzowi.

Pracy było tyle, że w końcu Shi-Rong, za zgodą komisarza, zatrudnił swojego młodego nauczyciela języka kantońskiego, Fonga, który dorywczo miał mu służyć pomocą. Dzięki niemu miał pewność, że rozumie, co mówią do niego miejscowi, tutejsi wieśniacy posługiwali się bowiem dialektami niezrozumiałymi nawet dla rodowitych kantończyków.

Shi-Rong trzykrotnie pisał do ojca, przedstawiając z dumą kolejne zlecenia powierzane mu przez pana Lina, jednak ta ostatnia sprawa była zbyt osobista i delikatna, aby wspominać o niej w korespondencji. List zawsze mógł wpaść w niepowołane ręce, tymczasem komisarz dopuścił go do swoich najpilniej strzeżonych sekretów.

Z ulicy Trzynastu Faktorii skręcił w Hog Lane, oglądając się za siebie, aby sprawdzić, czy na pewno nikt go nie śledzi. Uliczka była pusta, wszystkie stragany zabite deskami. Nawet mały szpital misyjny doktora Parkera przeniósł się do budynku jednej z faktorii.

Shi-Rong dotarł do równie opustoszałego nabrzeża; odkąd Brytyjczycy odpłynęli do Makau, w faktoriach pozostała tylko garstka cudzoziemców, głównie Amerykanów. Dzielnica kupiecka przypominała teraz wymarłe miasto.

Jeden za drugim mijał ciche budynki, aż znalazł niepozorne drzwi i wszedł do środka.

Doktor Parker skończył właśnie badać chińskiego pacjenta i Shi-Rong poprosił go o chwilę rozmowy na osobności.

Chińczycy nie niepokoili misjonarza. Po pierwsze, był Amerykaninem, a nie Anglikiem, i nie miał nic wspólnego z handlem opium. Po drugie, leczył ich z dolegliwości, wobec których rodzimi lekarze byli często bezradni. Po trzecie w końcu, cieszył się powszechną sympatią, był bowiem dobrym i uczciwym człowiekiem.

– Przychodzę w imieniu komisarza Lina – wyjaśnił młody sekretarz. – Jego Ekscelencja nie życzy sobie, aby go tutaj widziano, nie chce również, aby pan był widziany w jego domu. Wolałby, aby jego kłopoty zdrowotne nie były publicznie znane. – Przerwał i uśmiechnął się. – To nic wstydliwego, po prostu nie chce się z nimi obnosić.

– Możesz go zapewnić o mojej dyskrecji, młodzieńcze. Czy mogę spytać o naturę jego dolegliwości?

– Chodzi o to – odparł Shi-Rong – że komisarz ma przepuklinę.

– Aha. Wobec tego – rzekł Parker – istnieje kilka możliwości. Pierwszym rozwiązaniem jest pas przepuklinowy, byłoby jednak znacznie lepiej i wygodniej dla komisarza, gdybym założył mu go osobiście.

– Rozumiem. Powtórzę mu pańskie słowa. Jego Ekscelencja liczy jednak, że przyśle mu pan co trzeba i objaśni, jak taki pas nosić.

Parker przez chwilę się zastanawiał. Wreszcie odparł:

– Mam dość dobre wyobrażenie o jego wzroście i wadze. Oto moja propozycja: proszę o czas do jutrzejszego wieczoru, a prześlę mu pół tuzina pasów. Będzie mógł je przymierzyć, wybrać ten, który najlepiej pasuje, a pozostałe oddacie mi za dzień lub dwa. Osobiście je zapakuję i przekażę jutro o zmierzchu przez całkowicie zaufanego posłańca. Dostarczy on paczkę, nie wiedząc, co się w niej znajduje. – Misjonarz się uśmiechnął. – Proszę jednak przekonać komisarza, aby pozwolił mi się zbadać.

Młodzieniec podziękował i wyszedł. Komisarz Lin wydawał się zadowolony z poczynionych ustaleń, więc Shi-Rong mógł spokojnie pójść na obiad z Fongiem.

* * *

Była już noc, gdy Nio niepostrzeżenie wrócił do obozowiska. Dobrze znał drogę, więc mimo zmroku niemal biegł, a gdy dotarł na miejsce, nadal drżał z podniecenia.

Obozowisko znajdowało się w odległości zaledwie dziesięciu mil od Guangzhou, ale jak dotąd stanowiło bezpieczne schronienie dla Morskiego Smoka oraz jego ludzi. Połowa załogi pochodziła z pobliskiej wioski, a nikt z miejscowych by ich nie wydał. Dzięki łapówkom, dyskretnie wręczanym sędziemu, osada nie była niepokojona przez urzędników cesarza; nawet podczas tegorocznych represji sędzia zdołał ich w porę ostrzec o planowanym nalocie policji.

Mimo wszystko było to przygnębiające miejsce. Brakowało pracy.

Od czasu zniszczenia zapasów opium przez Lina handel tym narkotykiem praktycznie zamarł. Mówiono, że tu i ówdzie w bocznych dopływach rzeki cumują łodzie z kilkunastoma skrzyniami, które udało się ocalić, ale na wodach zatoki absolutnie nic się nie działo. Nie było przemytu, nie było zarobku. Wszystko wskazywało na to, że przynajmniej na razie Lin wygrał tę bitwę, ale na jak długo?

– Wszyscy pragną opium – stwierdził Morski Smok. – Codziennie mógłbym sprzedać go tyle, ile pomieści nasza łódź. Okoliczne wioski dopominają się o dostawy. Miejmy nadzieję, że cesarz awansuje wreszcie tego przeklętego Lina i wyśle go daleko stąd.

– Nowy komisarz może się okazać jeszcze gorszy – wtrącił któryś z jego ludzi.

– Nie – odparł dowódca. – Nieważne, kogo przyśle cesarz: żaden inny mandaryn nie powstrzyma handlu. Lin jest jedynym, któremu się to udało. Pytanie tylko, jak długo zamierza tutaj zostać – dodał ponuro.

Nio dawno mu proponował, że zabije komisarza, lecz Morski Smok tylko się roześmiał.

– To nie takie proste, mój młody przyjacielu – odrzekł. – Moglibyśmy go zaskoczyć na ulicy, ale dobrze wiesz, że zawsze ktoś mu towarzyszy. Żołnierze, jego słudzy… Trudno byłoby nam potem uciec.

Ostatnio Morski Smok kilka razy posyłał Nio do miasta. Wybór chłopaka miał sens: nie tylko był inteligentny, ale dzięki swojej wymowie i dialektowi, którym się posługiwał, w oczach każdego mieszczucha uchodził za przybysza z dalszej części wybrzeża, nikt nie skojarzyłby go więc z Morskim Smokiem ani jego ludźmi. Nio cieszył się z każdej takiej wyprawy, która dawała mu wytchnienie od obozowej nudy. Jego zadaniem było zbierać informacje o dalszych planach komisarza Lina i możliwościach przemytu opium.

Od kilku miesięcy – odkąd jakiś przekupień na targu wskazał mu młodego urzędnika – wiedział, że sekretarzem Lina jest Shi-Rong. Śledził go kilka razy, żeby dowiedzieć się o nim czegoś więcej, a podczas swojego ostatniego pobytu w mieście zauważył w jego towarzystwie młodego Fonga. Odkrył, że Fong pracuje dla mandaryna, i zaczął się zastanawiać, czy dałoby się coś z niego wyciągnąć.

Tego dnia wypatrzył ich jedzących razem posiłek. Później poszedł za Fongiem do herbaciarni, gdzie tamten spotkał się z innymi młodymi ludźmi. Szczęście sprzyjało Nio: znalazł wolne miejsce przy sąsiednim stoliku, skąd mógł przysłuchiwać się ich rozmowie.

Zanim dopił herbatę, wiedział już, jak można zabić komisarza Lina.

* * *

Shi-Rong nie spał tej nocy. Rzucał się na posłaniu, z trudem powstrzymując się od krzyku. Jak mógł być tak głupi?

Komisarz Lin, człowiek, któremu wszystko zawdzięczał, poprosił go tylko o jedną rzecz. Zależało mu na dyskrecji, na prywatności. A on co zrobił?

W chwili szaleństwa opowiedział młodemu Fongowi o pasie przepuklinowym, zobowiązując go oczywiście do zachowania tajemnicy. Oczywiście! Tylko co to dało? Myślał teraz, że gdyby miał żonę, jej by się zwierzył, a wtedy wszystko inaczej by się potoczyło. A tak powiedział Fongowi, który jako kawaler każdy wieczór spędzał ze swymi przyjaciółmi. Historia stara jak świat: powierzasz sekret przyjacielowi, każesz mu przysiąc, że będzie milczał, on postępuje dokładnie tak samo w stosunku do innej osoby i w ciągu godziny wszyscy o wszystkim wiedzą.

Jak mógł być tak głupi? I taki słaby. Gdyby to dotarło do Lina, na zawsze straciłby zaufanie swojego mentora. Byłby skończony. Jego kariera dobiegłaby końca, zanim na dobre się rozpoczęła. Na nic innego zresztą nie zasłużył. Zakrył twarz dłońmi i kołysał głową na boki, po czym zacisnął pięści z rozpaczy i frustracji.

O świcie zerwał się na nogi. Musiał znaleźć Fonga. To było najważniejsze. Nie zastał go jednak w domu, w mieście też nie było po nim śladu. Po godzinie Shi-Rong musiał się poddać, ponieważ komisarz Lin go oczekiwał.

– Jest w złym humorze – ostrzegł go sługa, ledwo wszedł do budynku.

Dokuczała mu przepuklina? A może Fong się wygadał? Czy Lin już wiedział? Shi-Rong z drżeniem serca wszedł do gabinetu komisarza. Jakże wielka była jego ulga, gdy jego mentor gestem kazał mu usiąść, po czym odezwał się:

– Jiang, dzisiaj brytyjscy barbarzyńcy dowiedli, jacy są naprawdę.

– To znaczy, ekscelencjo?

– Pamięta pan, że zanim opuścili Guangzhou, zażądałem od nich podpisania gwarancji, iż nie będą już dostarczali opium do Królestwa Niebios?

– Naturalnie, ekscelencjo. Część z nich podpisała, w tym Matheson, chociaż Elliot odmówił.

– Sądził pan, że zamierzają dotrzymać słowa?

– Proszę o wybaczenie, ekscelencjo, ale nie. Wcale tak nie uważałem.

– Należy zakładać, że człowiek jest uczciwy, dopóki własnymi czynami nie dowiedzie, że jest inaczej. Gdy Elliot odmówił złożenia podpisu, zada-

łem sobie pytanie: „Dlaczego tak postąpił?”. Przyszło mi do głowy, że być może wie, iż pozostali kupcy kłamią, i nie chce brać udziału w tym haniebnym procederze.

– Za pozwoleniem, ekscelencjo – odważył się zaprotestować Shi-Rong – wydaje mi się, że przypisywaliście własne zasady moralne Elliotowi, który zapewne nie zasługuje, aby tak o nim myśleć.

– Jak pan wie – ciągnął Lin – mieliśmy ostatnio do czynienia z niegodziwym postępkiem kilku brytyjskich marynarzy, którzy na chińskiej ziemi zamordowali niewinnego wieśniaka. Zgodnie z prawem zażądałem, aby wydano nam winowajcę, a my wymierzymy mu sprawiedliwość. Elliot właśnie mi odmówił. Oświadczył, że sam osądzi swoich ludzi, ja zaś mogę jedynie wysłać swojego obserwatora.

– Co za impertynencja, ekscelencjo! To obraza dla całego Królestwa Niebios.

– Gorzej, Jiang. Oto czego jeszcze się dowiedziałem: zgodnie z prawem barbarzyńskich krajów, jeżeli ktoś dopuści się zbrodni poza granicami swojej ojczyzny, powinien zostać osądzony i ukarany przez sąd kraju, w którym dane przestępstwo miało miejsce. Mimo to Elliot odmawia przestrzegania tego prawa w Królestwie Niebios, które pod względem wielkości, historii i moralności przewyższa tę jego Anglię. Wiedziałem, że angielscy kupcy nie są lepsi od piratów, a teraz wiem, że przedstawiciel ich rządu ma w pogardzie wszelką sprawiedliwość i prawo, także swoje własne. Nie możemy tego tolerować. Niewykluczone, że wkrótce będę miał dla ciebie nową misję.

– Cokolwiek rozkażecie, ekscelencjo. – Kolejne świadectwo najwyższego zaufania; to była świetna wiadomość. Shi-Rong ukłonił się komisarzowi i już chciał się wycofać, gdy Lin go zatrzymał.

– Czy pasy przepuklinowe zostaną dostarczone dziś wieczorem?

– Tak, ekscelencjo. – Skłonił się ponownie, po czym wziął się do pracy.

Dopiero późnym popołudniem mógł ponownie wyruszyć na poszukiwanie Fonga.

Znalazł go na kwaterze; chłopak nie wyglądał najlepiej. Shi-Rong nie tracił czasu.

– Opisz mi dokładnie, co robiłeś, odkąd się wczoraj rozstaliśmy.

– Spotkałem się z przyjaciółmi i poszliśmy się napić *baijiu* – odparł zalękniony Fong. *Baijiu* był to mocny alkohol, który na północy wytwarzano ze zboża, w Kantonie zaś z ryżu.

– A potem?

– Poszliśmy do herbaciarni.

– Upiliście się?

– Wtedy jeszcze nie. Dopiero później. – Fong smutno pokręcił głową. – Dziś spałem do popołudnia. Nadal boli mnie głowa.

– Głupcze, teraz dobrze się zastanów: czy powtórzyłeś komukolwiek, co ci mówiłem o komisarzu Linie?

– Nie. Wykluczone. Nigdy bym…

– Kłamiesz.

– Nie kłamię – zapewnił błagalnym tonem Fong. Kłamał.

– Jeżeli Lin dowie się, że zdradziłem ci jego sekret – rzekł Shi-Rong – będę skończony. A wówczas pociągnę cię za sobą. Zniszczę cię. Rozumiesz? Mogę cię nawet zabić. – Nie żartował. Fong wyglądał na przerażonego. – Wiesz, na czym polega ironia tej sytuacji? – ciągnął Shi-Rong. – Okazało się, że komisarz wcale nie ma przepukliny. Wczoraj wieczorem chiński lekarz zrobił mu akupunkturę i ból całkiem ustąpił. Pas przepuklinowy nie jest już potrzebny. Jeśli więc komuś o nim wspominałeś, masz go natychmiast wyprowadzić z błędu.

Oczywiście nie była to prawda, lecz przy odrobinie szczęścia zdołałby ukręcić łeb plotce.

Czekało go jeszcze jedno zadanie, mianowicie wizyta u doktora Parkera. Jeżeli Parker nie zdążył pchnąć posłańca z pasami, istniała szansa, że nikt nie zauważy paczki opuszczającej szpital i dostarczonej do siedziby Lina. Shi-Rong wolał nie ryzykować. Postanowił sam zabrać pasy, ukryć je pod odzieżą i niepostrzeżenie dostarczyć swojemu panu.

Zapadał zmierzch, więc musiał się spieszyć. Doszedł do ulicy Trzynastu Faktorii i skręcił w Hog Lane.

Ostatnio uliczka była zwykle opustoszała, dlatego trochę go zdziwił widok grupki mężczyzn stojących pośrodku, oni zaś, widząc, że nadchodzi, ruszyli niezwłocznie w kierunku głównej arterii, a mijając go, skłonili mu się z szacunkiem.

Parker nadal był w szpitalu, jednak gdy Shi-Rong poprosił o pasy przepuklinowe, misjonarz zrobił zaskoczoną minę.

– Mój człowiek wyszedł z nimi przed kilkoma minutami. Musiał pan go widzieć.

– Czy ktoś mu towarzyszył?

– Nie, był całkiem sam.

Shi-Rong zmarszczył brwi i pospiesznie opuścił szpital. Miałby doprawdy dużo szczęścia, gdyby udało mu się dogonić posłańca. Niemal biegiem ruszył ku wylotowi Hog Lane.

Był w połowie drogi, gdy ujrzał przed sobą przerażającą zjawę. Zza jednego z zabitych deskami straganów wyłoniła się postać starca. Był śmiertelnie blady, z głowy lała mu się krew. Jedną ręką wspierał się o ścianę stoiska, a drugą trzymał się za brzuch, z którego również tryskała posoka. Ktoś pchnął go nożem. Widząc Shi-Ronga, wydał z siebie chrapliwy głos.

– Pomocy…

– To ty szedłeś z paczką od doktora Parkera?! – krzyknął Shi-Rong.

– Tak. Pomóż mi, proszę!

W jednej okropnej chwili Shi-Rong wszystkiego się domyślił. Jeżeli miał rację, nie było chwili do stracenia. Odwrócił się od starca i ogarnięty paniką popędził ku głównej ulicy.

* * *

Nic nie potoczyło się tak, jak Nio sobie zaplanował. Pierwsze rozczarowanie spotkało go już poprzedniego wieczoru.

– To się może udać – stwierdził Morski Smok po tym, jak Nio opowiedział mu o paczce z pasami przepuklinowymi. – Lin spodziewa się przesyłki. Kiedy posłaniec oznajmi strażnikom, że musi porozmawiać z komisarzem w cztery oczy, Lin każe im go wpuścić. Zależy mu na dyskrecji. Posłaniec odda mu paczkę, on ją weźmie i zanim się zorientuje, co się święci, posłaniec zatka mu ręką usta, a w serce wbije nóż. Nikt niczego nie zauważy. Po wszystkim posłaniec otworzy drzwi, ukłoni się, zamknie je za sobą i wyjdzie jak gdyby nigdy nic. – Pokiwał głową. – Pomysł ryzykowny, ale warto spróbować.

– Ja to zrobię! – zawołał podekscytowany Nio. – Nie zawiodę cię.

Morski Smok spojrzał na niego zaskoczony, po czym pokręcił głową.

– Ten, kto zabije Lina, zostanie bohaterem całego wybrzeża. Całych południowych Chin. – Uśmiechnął się. – Morski Smok będzie tym bohate-

rem. Nie ty.

– Ale… – Nio zrzedła mina. – Ja chciałem… – Jedno spojrzenie pirata uświadomiło mu, że dalszy spór mógłby przypłacić życiem. – Ty tutaj rządzisz – dodał żałośnie.

– Najpierw musimy odebrać posłańcowi przesyłkę. Potrzebnych będzie dwóch, góra trzech ludzi. – Pirat się zadumał. – Gdzie to zrobimy? Nie uda się, jeżeli zbyt szybko nas zauważy.

– Pomyślałem o tym – odparł Nio. – Będzie szedł Hog Lane. Lin kazał pozamykać stragany, więc zwykle jest tam pusto.

– Znakomicie. – Morski Smok z aprobatą skinął głową. – Pochwycisz posłańca i go ogłuszysz. Potem wepchniemy go za stragany. Zajmę jego miejsce i zaniosę paczkę komisarzowi.

– A my? Pójdziemy z tobą?

– Nie. Lin spodziewa się jednego człowieka. – Morski Smok się zastanowił. – Ty i reszta pójdziecie za mną. Tylko trzymajcie się z tyłu, żeby nikt nie pomyślał, że jesteśmy razem. Pokręcicie się w pobliżu, byle nie robić zbiegowiska przed bramą. To musi wyglądać naturalnie. Zaczekacie, aż wyjdę.

– I co dalej?

– Jeżeli wyjdę sam, niczego nie róbcie. Rozdzielcie się, jak tylko zniknę za rogiem. Musicie się rozproszyć, później spotkamy się za miastem w ustalonym miejscu.

– A jeśli będą cię ścigać?

– Wtedy pobiegniecie za mną. Udacie, że chcecie pomóc strażnikom mnie schwytać, ale zamiast tego postaracie się ich zatrzymać – wpadniecie na nich, podstawicie nogę, obalicie na ziemię – żebym zdążył uciec. Potem się rozdzielicie i spotkamy się później, tak jak mówiłem. Dacie radę to zrobić?

Przećwiczyli wszystko dwukrotnie w obozie z samego rana.

– Jeśli coś pójdzie nie tak, róbcie, co kazałem, i bądźcie gotowi się rozdzielić – polecił im Morski Smok. – Jednak moim zdaniem powinno się udać.

Wczesnym popołudniem dotarli do miasta. Najpierw opracowali plan ucieczki. Decyzja komisarza o wyborze siedziby właśnie na ulicy Trzynastu Faktorii okazała się bardzo pomocna, ulica ta znajdowała się bowiem tuż za murami miasta, którego osiem bram codziennie zamykano na noc. Dzięki temu nie groziło im, że po zmroku utkną w pułapce, dysponowali też wie-

loma drogami, aby dotrzeć do nędznych przedmieść i na ciągnące się wzdłuż rzeki nieużytki.

Następnie Nio i Morski Smok przeprowadzili rekonesans na Hog Lane. W połowie ulicy znajdował się zaułek, gdzie trzech albo czterech ludzi śmiało mogło się ukryć. Wystarczyło kilka minut, żeby ostrożnie obluzować deski w stojącym obok straganie, i już mieli gdzie porzucić ciało posłańca.

– Teraz trzeba jeszcze tylko rozmieścić czujki – powiedział Morski Smok. Nio znalazł odpowiednie miejsce na nabrzeżu, skąd mógł obserwować wejście do szpitalika doktora Parkera. Morski Smok zajął pozycję w bramie u wylotu Hog Lane. Dwaj pozostali towarzysze czekali w zaułku. – Dasz mi znak, gdy wyjdzie ze szpitala – polecił Nio pirat – a ja pobiegnę wtedy w górę uliczki.

Rozeszli się. Nio poszedł do herbaciarni, by tuż przed zmierzchem wrócić na nabrzeże.

Początkowo wszystko szło gładko. Wokół nie było żywej duszy. Nio przycupnął za dużym słupem cumowniczym, a obok na ziemi położył grubą, ciężką pałkę długości mniej więcej wałka do ciasta. Ledwo zaczęło się ściemniać, zobaczył posłańca. Nie sposób go było z nikim pomylić. Miał już swoje lata, choć nadal był całkiem żwawy. Wyłonił się z Hog Lane i szybkim krokiem ruszył wzdłuż opustoszałych faktorii ku drzwiom szpitala misyjnego.

W środku zabawił raptem kilka minut, po czym wyszedł lekko pochylony, dźwigając na plecach pakunek, na pierwszy rzut oka bardziej nieporęczny niż ciężki. Gdy tylko staruszek odwrócił się do niego plecami, Nio zerwał się, w jedną rękę chwycił pałkę, a drugą pomachał kawałkiem białego materiału, żeby dać znak czekającemu w ukryciu Morskiemu Smokowi. Zaraz też ujrzał, jak pirat znika w uliczce niczym cień. Nio ruszył za nim bezszelestnie. Kiedy starzec skręcił w Hog Lane, chłopak przycisnął pałkę do piersi i puścił się biegiem, żeby go dogonić. Poza starcem na ulicy nikogo nie było. Nio biegł w ślad za nim. Czy mężczyzna go usłyszał? Widział, że się waha. Może zechce zawrócić? Ale nie – w tej samej chwili Nio zobaczył Morskiego Smoka, który zastąpił drogę posłańcowi. Pirat ukłonił mu się grzecznie; sprytne posunięcie. Nio miał do pokonania jesz-

cze piętnaście jardów. Starzec chciał wyminąć Morskiego Smoka, lecz pirat chwycił go za ramiona. Mężczyzna krzyknął.

Nio już przy nim był i z boku zadał mu pałką cios w głowę. Łup! Echo uderzenia zdawało się wypełniać całą uliczkę. Nio dobrze wymierzył; starszy człowiek padł na ziemię jak worek. Był całkiem nieprzytomny.

Dwaj towarzysze wyskoczyli z zaułka. Zerwali z pleców starca pakunek i wcisnęli w objęcia Morskiego Smoka, po czym dźwignęli bezwładne ciało posłańca. Już mieli go przeciągnąć za stragan, gdy dowódca ich powstrzymał.

– Widział moją twarz. – Zwrócił się do Nio: – Wyciągnij swój nóż. – Nio usłuchał. – Świetnie. A teraz go zabij.

– Mam go zabić? – Nio rozejrzał się po uliczce. Pusto. Żadnych świadków. Mimo to się zawahał. Gdyby podczas próby przemytu zaatakowała ich wojenna dżonka, nie miałby nic przeciwko zabijaniu. Wiadomo było, jakie są reguły tej gry. Myśl o zabiciu komisarza też nie spędzała mu snu z powiek: Lin był mandarynem z północy, nic go nie łączyło z Nio ani z jego ludem. W dodatku starał się zniszczyć lokalny handel. Zasłużył na śmierć. Kto by się nim przejmował?

Ale ten stary kantończyk, zapewne czyjś ojciec i dziadek, był zupełnie nieszkodliwy. Biedak wykonywał tylko powierzone sobie zadanie. Nio nie chciał go zabijać.

– Widział mnie. Zabij go. – Morski Smok zmierzył go twardym wzrokiem. Wydał mu wyraźny rozkaz i nikt z załogi nie śmiałby mu się sprzeciwić. Nikt też nie wybaczyłby temu, kto by to uczynił. Pirat wpatrywał się w Nio, a w jego oczach kryła się śmiertelna groźba.

Chłopak odwrócił się i wbił ostrze w ciało starca, tuż pod żebrami, po czym przekręcił je ku górze tak, żeby przebiło serce. Zauważył, że jeden z mężczyzn podtrzymujących posłańca skinieniem głowy dał znak dowódcy. Porzucili ciało za straganem i wepchnęli deski z powrotem na miejsce.

Właśnie wtedy Nio spojrzał w stronę wylotu uliczki i dostrzegł skręcającego w nią Shi-Ronga. Nie zdawał sobie sprawy, że potrafi tak szybko zareagować. Wyciągnął rękę, chwycił paczkę z pasami przepuklinowymi i jednym ruchem cisnął ją w głąb ciemnego zaułka.

– Mandaryn – syknął. – Ukłońcie mu się, gdy będzie nas mijał. – Po czym chwyciwszy Smoka Morskiego za ramię, głośno zawołał do dwóch

pozostałych: – Dobranoc, przyjaciele! – i swobodnym krokiem ruszyli z piratem w kierunku Shi-Ronga.

Sekretarz komisarza spieszył się. Wyglądał na bardzo zaabsorbowanego. Nio i Smok Morski zeszli mu z drogi i ukłonili się, lecz on prawie nie zwrócił na nich uwagi, tak jak zdawał się w ogóle nie dostrzegać pozostałych dwóch mężczyzn. Gdy tylko znikł za rogiem, Nio dał znak towarzyszom, aby czym prędzej przynieśli pakunek, i pomógł Morskiemu Smokowi zarzucić go na plecy.

– To był sekretarz Lina – wyjaśnił. – Na pewno chciał się upewnić, czy przesyłka została przekazana.

– I bardzo dobrze. – Morski Smok przyspieszył kroku. – Parker potwierdzi, że posłaniec jest już w drodze. Działajmy.

Po dotarciu do siedziby Lina nie napotkali żadnych przeszkód. Stojący po przeciwnej stronie ulicy Nio widział, jak Morski Smok rozmawia ze strażnikami przy bramie; jeden z nich wszedł do budynku po instrukcje i wkrótce powrócił. Słychać było, jak mówi: „Zaczekasz w środku”.

Jak dotąd szło im całkiem nieźle. W dużej herbaciarni nieopodal właśnie zapalano latarnie, a na ulicy kręciło się sporo ludzi. Nio i pozostali mogli spokojnie czekać w pogotowiu, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Tylko jedno go niepokoiło: istniała szansa, że po odwiedzinach u doktora Parkera i upewnieniu się, że posłaniec wyruszył z przesyłką do komisarza, młody mandaryn nie miał tego dnia już nic więcej do załatwienia. W takiej sytuacji mógł spotkać się ze znajomymi albo pójść do herbaciarni. Jeśli jednak postanowi wrócić do siedziby komisarza, co wtedy? Parker mógł mu powiedzieć, że posłał z paczką starszego człowieka, a wówczas, widząc u swego pana Morskiego Smoka, sekretarz od razu wyczuje podstęp i cały plan weźmie w łeb. Nio przeklął się w duchu. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał?

Co mógłby zrobić, gdyby Shi-Rong nagle się pojawił? Napaść na niego na ulicy? Jak? Zabić go? Wciąż miał przy sobie nóż, którego – teraz to do niego dotarło – nawet dobrze nie wytarł.

Trudno byłoby zaatakować sekretarza na oczach strażników pełniących wartę przy bramie – Nio zapewne przypłaciłby to życiem.

Czy powinien zawrócić Hog Lane i tam spróbować zabić Shi-Ronga? Ale to oznaczałoby opuszczenie posterunku, podczas gdy Morski Smok

kazał mu czekać w pobliżu.

Wpatrując się w bramę, Nio modlił się: „Niech to się już wydarzy”. Lin musiał tylko wezwać do siebie Morskiego Smoka; wystarczy chwila i będzie po wszystkim. Oby pirat czym prędzej się pojawił, bezpiecznie przeszedł przez bramę i znalazł się na ulicy.

– No, dalej! – mamrotał pod nosem. Otwórz się wreszcie – błagał w myślach bramę.

Tak się na niej skupił, że zauważył Shi-Ronga, gdy było już za późno.

Shi-Rong biegł ile sił w nogach. Nie dostrzegł Nio, choć ten znajdował się zaledwie kilka kroków od niego.

– Otwierać bramę! To ja, pan Jiang! – krzyknął, znalazłszy się przed wejściem. Strażnicy rozpoznali go i natychmiast wpuścili do środka, on zaś wpadł na dziedziniec jak burza. – Za mną! – zawołał i pobiegł, nie oglądając się za siebie. Nie zauważył, że strażnicy się zawahali. Skręcił w przejście wiodące na wewnętrzny dziedziniec i popędził do głównego holu.

Na prawo od wejścia znajdowała się niewielka biblioteka, w której komisarz Lin miał w zwyczaju pracować. Shi-Rong zdążył zobaczyć, że drzwi się otwierają i wychodzi przez nie służący, aby wpuścić kogoś dźwigającego paczkę. Żaden nie zauważył Shi-Ronga.

Młodzieniec bez słowa przemknął obok zaskoczonego sługi, dotarł do drzwi, gdy te niemal się już zamknęły, i naparł na nie całym ciałem. Otworzyły się z hukiem, a postać stojąca po ich drugiej stronie otrzymała potężny cios w plecy i wraz z paczką runęła na podłogę.

– Wezwijcie straż! – krzyknął Shi-Rong do komisarza, sam zaś rzucił się na intruza.

Pirat leżał na podłodze i właśnie sięgał po nóż. Shi-Rong wiedział, że nawet gdyby też był uzbrojony, napastnik szybko by sobie z nim poradził i prawdopodobnie zabiłby również komisarza, zanim ktokolwiek zdołałby go powstrzymać. Całym swym ciężarem przygwoździł więc Morskiego Smoka do ziemi i chwycił go mocno, przyciskając ramiona zamachowca do jego tułowia.

Gdyby piratowi udało się wyswobodzić rękę z nożem, Shi-Rong już byłby trupem – dobrze o tym wiedział. Musiał jednak ocalić Lina, choćby to miało go kosztować życie. I chociaż Morski Smok kopał, bódł łokciami i tyłem głowy uderzał młodego mandaryna w twarz, aż krew lała mu się

z nosa i ust, Shi-Rong nie puszczał, jakby wstąpiły w niego nadludzkie siły. Minęła co najmniej minuta, zanim czterech strażników i sierżant rozbroili pirata i skrępowali go sznurem, tak że nie był w stanie się poruszyć. Dopiero wtedy Shi-Rong, mocno poobijany i zakrwawiony, zwolnił swój uścisk i wstał.

Jeżeli nawet Lin był zaskoczony napaścią, szybko się z tego otrząsnął. Wskazując dwóm strażnikom związaną postać, rozkazał:

– Weźcie go pod klucz i dobrze pilnujcie. – A zwracając się do komendanta straży, rzekł: – Zamknijcie zewnętrzną bramę i podwójcie straże. Ale nie wszczynajcie alarmu – dodał. – Ani słowa nikomu o tym incydencie. Gdyby inni złoczyńcy dowiedzieli się, że zostałem napadnięty, mogłoby ich to ośmielić.

Tymczasem Shi-Rong zdołał zatamować krwawienie z nosa i otarł twarz chustką.

Kiedy zostali sami w bibliotece, komisarz zwrócił się ku niemu.

– Ocalił mi pan życie – powiedział uroczyście. – Jest pan ranny?

– To nic, ekscelencjo.

– Jak się pan domyślił?

Shi-Rong opowiedział mu, jak poszedł sprawdzić, czy paczka z pasami została wysłana, i jak natknął się na posłańca.

– Biedak zapewne już nie żyje, ekscelencjo. Ale nie mogłem tam zostać, żeby mu pomóc. To mógł być zwykły rabunek, obawiałem się jednak czegoś znacznie gorszego i musiałem się upewnić. Przybiegłem tak szybko, jak tylko się dało. Jak widać, zdążyłem w ostatniej chwili.

Lin przytaknął, zamyślony.

– Napastnik musiał wiedzieć, że oczekuję posłańca. – Obrzucił Shi-Ronga surowym spojrzeniem. – Wspominał pan o tym komuś, panie Jiang?

– Nie, ekscelencjo.

– Zdziwiłbym się, gdyby doktor Parker nadużył mego zaufania, ale mimowolnie mógł się przed kimś zdradzić.

– Napastnik mógł zagadnąć posłańca, dokąd idzie.

– Tak, to możliwe. Coś mi jednak mówi, że ten atak został zaplanowany. Czy ktoś jeszcze był w zmowie? Przesłuchamy Parkera i posłańca, o ile ten jeszcze żyje. – Skinął głową. – No i mamy w swoich rękach zabójcę. Na pewno wszystko wyśpiewa. – Raz jeszcze uważnie przyjrzał się swojemu sekretarzowi. – Przesłuchiwanie ludzi to nic przyjemnego, ale nie mamy

innego wyjścia. Gubernator ma swojego człowieka, który zna się na rzeczy. Wyda panu odpowiednie wskazówki.

– Wskazówki, ekscelencjo?

– Tak, panie Jiang. To pan przesłucha zamachowca.

Stosowanie tortur podlegało w cesarstwie chińskim ścisłym restrykcjom. Dozwolone były wyłącznie określone procedury. Urzędnik stosujący niedopuszczone prawem metody był uznawany za przestępcę i mógł podlegać karze. Wielu osób tortury nie obejmowały, w tym tych, którzy zdali egzaminy na mandarynów, osoby starsze oraz ciężarne kobiety.

Tylko wysocy rangą urzędnicy, tacy jak komisarz Lin, mogli nakazać stosowanie surowszych rodzajów tortur, a torturowanie ludzi w celu wymuszenia zeznań było niemile widziane, powszechnie wiadomo było bowiem, że oskarżony przyzna się do wszystkiego, byle uniknąć dalszego cierpienia.

Przypadek Morskiego Smoka nie dawał jednak żadnych podstaw do złagodzenia tortur. Jego wina była bezdyskusyjna: schwytano go na próbie zamachu na cesarskiego komisarza. Należało się koniecznie dowiedzieć, kim są jego potencjalni wspólnicy i czy działał na zlecenie osób trzecich.

Sala tortur okazała się pustym pomieszczeniem o białych ścianach, z małym, wysokim oknem i klepiskiem zamiast podłogi. Na środku stał pionowy słup, a pod jedną ze ścian drewniany stół, na którym Shi-Rong zauważył dziwnie wyglądający przedmiot.

Był on wykonany z ciemnego, twardego drewna i składał się z długiego na ponad stopę trzonka zakończonego na podobieństwo wideł kilkoma listewkami, przypominającymi rozczapierzone palce ludzkiej dłoni. W każdej listewce znajdował się otwór, przez który przewleczono po dwa kawałki mocnego sznurka z pętelkami zawiązanymi na końcach. Obok tego narzędzia na stole leżały dwa solidne kołki.

Shi-Rong pomyślał, że nie wygląda to szczególnie groźnie.

Poza nim do środka weszli sierżant policji i jego pomocnik, obaj bosi i ubrani w białe bawełniane tuniki oraz sięgające do kolan rajtuzy.

Sierżant miał około czterdziestu pięciu lat, okrągłą twarz i pękatą sylwetkę. Przypominał właściciela dobrze prosperującej herbaciarni. Jego pomocnik był szczupły i wyglądał na podrostka.

Dwóch strażników wprowadziło do pomieszczenia Morskiego Smoka. Pirat był w całkiem niezłej formie.

Kazali mu uklęknąć na klepisku i przywiązali mu warkocz do słupa za jego plecami. Następnie stanęli po obu jego bokach.

Sierżant wysunął się naprzód i nakazał strażnikom unieść ręce więźnia nad głowę. Następnie skinął na swojego pomocnika, który wziął ze stołu narzędzie tortur.

Razem umieścili palce pirata pomiędzy listewkami, po cztery z każdej ręki. Następnie sierżant przełożył drewniane kołki przez pętelki na końcach sznurka i zaczął nimi obracać, napinając sznurek, co spowodowało dociśnięcie drewnianych listewek do każdego z unieruchomionych palców więźnia. Gdy wszystkie tkwiły już ściśnięte jak w imadle, sierżant cofnął się, a jego pomocnik chwycił trzonek urządzenia.

Sierżant zwrócił się do Shi-Ronga:

– Niech mu pan zada jakieś pytanie.

– Jak cię zwą? – odezwał się mandaryn.

Więzień bez słowa wpatrywał się w białą ścianę przed sobą.

Sierżant zbliżył się do niego i gwałtownym ruchem obrócił jeden z kołków. Shi-Rong zobaczył grymas bólu na twarzy więźnia i pojął, że narzędzie mocniej ścisnęło jego palce.

– Niech mu pan zada inne pytanie – rzekł sierżant, ponownie się cofając.

– Tym razem – zwrócił się do pirata Shi-Rong – musisz mi powiedzieć, jak cię zwą i dlaczego próbowałeś zgładzić komisarza.

Morski Smok nie odpowiedział, tylko z zainteresowaniem przyglądał się sufitowi.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

Pomocnik wyciągnął rękę i obserwując z zainteresowaniem więźnia, wykonał pełny obrót kołkiem. Shi-Rong zobaczył, że ciało zamachowca tężeje.

– Po prostu powiedz mi, kim jesteś – powiedział – a ja to powstrzymam. – Jednak pirat nadal milczał.

Minęła kolejna minuta i młody pomocnik znów obrócił kołek, a następnie potrząsnął uchwytem imadła. Twarz więźnia wykrzywił straszliwy grymas. Morski Smok kilka razy gwałtownie wciągnął powietrze.

Sierżant ponownie ścisnął mu palce. Potem z całej siły szarpnął imadłem.

Tym razem Morski Smok nie zdołał nad sobą zapanować i głośno krzyknął. A Shi-Rong, który aż do tej pory zachowywał zimną krew, poczuł, że dłonie zaciskają mu się w pięści, a całe ciało napina i drży na widok tej

udręki. Zauważył spojrzenie, jakim obrzucił go sierżant, i szybko wycofał się z pola widzenia więźnia. Po chwili zdołał się uspokoić.

– Powiedz mi coś – poprosił łagodnie. – Cokolwiek.

Jeszcze zanim zaczęli, Shi-Rong wiedział, że jeśli nie znajdą wspólników zamachowca, więzień będzie jedyną osobą, od której będą musieli wydobyć prawdę o całym zajściu. Starzec, na którego natknął się na Hog Lane, zmarł kilka minut później. Doktor Parker oświadczył, że – o ile dobrze pamięta – z rana uprzedził go, iż pod wieczór będzie miał dla niego zajęcie, nie przekazywał mu jednak żadnych dodatkowych wskazówek, dopóki posłaniec nie był gotów wyruszyć w drogę. Istniała niewielka szansa, że zawodzi go pamięć, lecz było to mało prawdopodobne. Nikt nie podejrzewał misjonarza o kłamstwo. Pozostawał więc tylko więzień.

Co dokładnie wiedział? Ktoś musiał mu donieść o przesyłce, która miała dyskretnie dotrzeć do komisarza Lina. Shi-Rong nie przypuszczał, aby Fong przekazał tę informację samemu zamachowcowi, jednak wieść o paczce jakoś do niego dotarła. Czy więzień zdawał sobie sprawę, że źródłem przecieku jest przesłuchujący go człowiek, do którego dałoby się dotrzeć dzięki zeznaniom Fonga? Może tak, a może nie.

Jak na ironię jedynym sposobem, aby Shi-Rong mógł poznać prawdę, było przesłuchanie niedoszłego zabójcy.

Pomyślał, że jeśli zdoła go złamać, być może podpisze tym samym na siebie wyrok śmierci.

Czy miał możliwość zamknąć przesłuchiwanemu usta? Nic mu nie przychodziło do głowy. Może powinien go zabić? Koszmar, ale sam pomysł nie był taki zły, jak mogłoby się wydawać. Bądź co bądź, jeżeli nawet zamachowiec przeżyje tortury, z pewnością zostanie stracony.

Zerknął na sierżanta i jego pomocnika. Wyglądało na to, że nigdzie się nie wybierają. Niewątpliwie mieli składać Linowi raporty. Przyszło mu nagle do głowy, że ich zadaniem może być nie tylko torturowanie więźnia, ale także obserwowanie przesłuchującego.

To było oczywiste i świadomość zagrożenia go zmroziła. *A więc stałem się podejrzanym. Nadal jestem najbardziej oczywistym źródłem przecieku informacji.* Komisarz mógł przecież uznać, że Shi-Rong również należy do spisku. To, że pospieszył mu na ratunek, mogło być zwykłym podstępem; więcej, mógł sam zlecić zamach, po czym, pod wpływem nagłych wątpli-

wości, ogarnięty strachem albo wyrzutami sumienia, w ostatniej chwili zapobiec zabójstwu. Jak inaczej, nawet po napaści na posłańca, domyśliłby się, że komisarzowi coś grozi?

Podejrzenia te tylko o włos rozmijały się z prawdą: Shi-Rong wiedział, że tajemnica się wydała, że popełnił błąd, i poczucie winy sprawiło, iż gotów był poświęcić życie, byle tylko ocalić swojego pana.

Nie pozostało mu teraz nic innego, jak przesłuchać tego człowieka, który – o ile wyzna prawdę – będzie mógł go pogrążyć.

– Zwykle zaczynają mówić – powiedział po kilku godzinach sierżant. Przyjrzał się palcom więźnia i pokazał je Shi-Rongowi. Została z nich krwawa miazga. Ciało odchodziło od stawów, ukazując oczom Shi-Ronga nagie kości. – Już ich nie użyje – mruknął sierżant.

– I co teraz? – zapytał go Shi-Rong.

– Zajmiemy się kostkami nóg – odparł sierżant. – Zaraz sam pan zobaczy.

Trochę to trwało, zanim przynieśli specjalną prasę do miażdżenia kostek. Miała prawie sześć stóp długości i również była zrobiona z drewna. Położyli ją na podłodze.

– Duża – zauważył nerwowo Shi-Rong.

– Ta sama zasada działania – wyjaśnił mu sierżant. – Tyle że zakłada się ją na nogi. Po tym zawsze pękają. – Shi-Rong nie był pewien, czy mężczyzna ma na myśli kostki, czy ofiary tortur. Prawdopodobnie jedno i drugie.

Blat prasy miał grubość więziennych wrót. Na jednym jej końcu znajdowała się deska z dwoma otworami, w których jak w dybach umieszczano nadgarstki torturowanego. Na drugim, pionowo względem podstawy, przybito trzy deski podobne do listewek w urządzeniu do miażdżenia palców, tyle że znacznie szersze i grubsze. Zamiast zwykłym sznurkiem, u góry były ze sobą ściśnięte linami.

Położyli Morskiego Smoka twarzą w dół na drewnianym blacie, unieruchomili mu nadgarstki w dybach, a kostki nóg umieścili w szczelinach między grubymi, pionowymi deskami.

Młody pomocnik wziął gruby drążek przypominający wydłużoną pałkę i zaczął nim skręcać liny. Prasa zaskrzypiała. Mężczyzna przerwał, obszedł urządzenie dookoła, przybliżył wąską twarz do twarzy więźnia, żeby sprawdzić, jak reaguje na ból, po czym wrócił do pracy. Prasa znów zaskrzypiała;

liny mocniej się napięły, deski zamknęły kości kostek w potwornym uścisku. Shi-Rong zauważył, że więzień zaciska usta. Jego twarz stała się trupio blada.

– Prasa miażdży kostki u nóg – odezwał się sierżant. – Z czasem zgruchocze mu stawy na proszek. Teraz wystarczy zaczekać – dodał.

Shi-Rong nie zdawał sobie sprawy, że jest równie blady jak więzień. Nigdy wcześniej nie był świadkiem równie potwornego cierpienia i miał wrażenie, że długo tego nie wytrzyma. Mijały kolejne minuty. W ciągu godziny trzykrotnie zwiększano nacisk, trzykrotnie też sekretarz prosił więźnia:

– Zacznij mówić, to ból się zmniejszy. Powiedz mi tylko, jak masz na imię.

Na próżno. W końcu Shi-Rong podszedł do sierżanta i szepnął:

– Naprawdę zawsze zaczynają mówić? – Sierżant przytaknął. – Po jakim czasie?

– Po kilku godzinach – odparł sierżant. – Czasami trwa to trochę dłużej.

– A jeśli nadal będzie milczał?

– Mocniej go dociśniemy.

Momentami nieszczęśnik cierpiał tak bardzo, że Shi-Rong niemal pragnął, aby więzień zaczął mówić – wszystko jedno co, byle tylko zakończyć ten koszmar.

Pomocnik przyglądał mu się z taką samą chłodną ciekawością, z jaką patrzył na więźnia. Co wiedział? Co mu chodziło po głowie? Shi-Rong uznał, że nie będzie się nad tym zastanawiał.

– Dlaczego chciałeś zabić komisarza Lina? – zapytał. Cisza. Nagle, ku jego zaskoczeniu, sierżant mruknął:

– Głupie pytanie. Połowa prowincji chce jego śmierci.

Miał rację. Jednak fakt, że odważył się powiedzieć to na głos, świadczył o pogardzie, jaką żywił do młodego mandaryna. Shi-Rong spojrzał na więźnia, aby przekonać się, jak się zachowa. Jednak zamachowiec nie zareagował. Jak długo jeszcze zdoła im się opierać?

Trudzili się całą noc, mimo to więzień milczał. Rano, gdy Shi-Rong szedł z meldunkiem do komisarza Lina, czuł się całkowicie wyczerpany.

Komisarz siedział w bibliotece. Niechętnie oderwał wzrok od papierów na biurku. Shi-Rong złożył swój raport, zastanawiając się, czy Lin zlituje

się nad więźniem albo przynajmniej da chwilę wytchnienia przesłuchującym. Jednak Lin rzucił krótko: – Nie przerywajcie – i wrócił do pracy.

Po powrocie do sali tortur Shi-Rong zauważył, że strażnicy dali więźniowi wodę i trochę ryżu, którym zwymiotował. Oczy miał zapadnięte.

– Mamy kontynuować – przekazał sierżantowi Shi-Rong. – Czy coś wam powiedział?

Sierżant pokręcił głową. Był zmęczony i poirytowany. Z wściekłością spojrzał na człowieka rozciągniętego na „smoczym łożu".

– Pora, żebyś zaczął gadać – rzekł, sięgając po klin i ciężki drewniany młotek. Wcisnął klin między deski, po czym z całej siły uderzył weń młotkiem, wprawiając na wpół zmiażdżone kości w przerażające drżenie.

Z ust więźnia wydobył się nieludzki krzyk. Shi-Rong nie przypominał sobie, aby wcześniej słyszał coś podobnego – może raz, gdy obozował nocą w lesie, lecz był to pierwotny skowyt dzikiego zwierzęcia, które zostało zaatakowane. Przyprawiające o ciarki wycie długo rozbrzmiewało echem wśród drzew. Pamiętał, że wszyscy w obozowisku trzęśli się wtedy ze strachu.

Drgnął przerażony. Nawet sierżant wyglądał na zszokowanego i żeby to ukryć, krzyknął gniewnie na więźnia: – Gadaj wreszcie, psi synu! – po czym wyrwał pomocnikowi drążek i wykonał nim pełny obrót, jakby to miało przesądzić o wyniku przesłuchania.

Udręczony więzień spazmatycznie wciągnął powietrze i wydał z siebie tak przejmujący jęk, aż Shi-Rong zgiął się wpół. Kiedy siłą woli udało mu się wyprostować, drżał na całym ciele. Zauważył, że pomocnik nadal przygląda mu się spokojnie i z zainteresowaniem.

– Niech mu pan zada pytanie – zwrócił się do niego sierżant, lecz Shi-Rong nie był w stanie niczego wykrztusić.

– Gadaj albo pożałujesz! – warknął sierżant, przeklinając więźnia, ten jednak stracił przytomność. Shi-Rong miał głęboką nadzieję, że nieszczęśnik umarł.

Ale nie.

Po dwóch godzinach sierżant wyszedł na zewnątrz i zaraz wrócił, niosąc nowy komplet desek. Wraz z pomocnikiem usunęli trzy pionowe belki i na ich miejsce wstawili nowe. Gdy je mocowali, Shi-Rong zauważył, że kostki pirata są roztrzaskane i z nóg spływa krew.

– Dlaczego zmieniacie deski na nowe? – zapytał sierżanta.

– Te moczyły się w wodzie. Są cięższe i będą ściślej przylegały. – Obrzucił Shi-Ronga ponurym spojrzeniem. – Powinny załatwić sprawę.

Ponownie zabrali się do dręczenia więźnia: pomocnik skręcał linę, sierżant używał klina i młotka. Obaj od czasu do czasu ślizgali się w kałuży ciemnej krwi na klepisku.

Shi-Rong raz za razem ponawiał swoje pytania:

– Jak się nazywasz? Kim są twoi wspólnicy?

Kusił ułaskawieniem, groził dalszymi torturami, ale niczego nie wskórał. Po południu więzień już co chwila tracił przytomność. Trudno było stwierdzić, czy w ogóle coś słyszy. W pomieszczeniu cuchnęło potem i moczem. Shi-Rong szeptem zwrócił sierżantowi uwagę, że może powinni zrobić przerwę, pozwolić więźniowi odpocząć, a nazajutrz zacząć od nowa. Mężczyzna jednak najwyraźniej za punkt honoru postawił sobie jak najszybsze złamanie przesłuchiwanego, dlatego odmówił.

Dopiero pod wieczór, słysząc przekleństwa sfrustrowanego sierżanta, Shi-Rong pojął, że więzień nie żyje.

– Jeszcze nigdy nie zawiodłem – mruknął z wściekłością sierżant i zniesmaczony wyszedł na zewnątrz. Pomocnik podążył za nim.

Ale Shi-Rong nie ruszył się z miejsca. Niemiłe mu było ich towarzystwo. Niech sierżant zda komisarzowi relację ze swojej porażki. Młodzieniec opadł na ławkę i ukrył twarz w dłoniach.

– Wybacz mi – zwrócił się wreszcie do zmarłego. – Tak bardzo mi przykro. – Czy liczył na słowa przebaczenia z ust nieboszczyka? Wiedział, że ich nie usłyszy. – Och – jęknął – co za koszmar.

Cisza.

Naraz zmarły przemówił słabym, chrapliwym szeptem:

– Masz szczęście.

Shi-Rong wpatrywał się w martwego więźnia, który zdawał się leżeć całkiem nieruchomo. Czyżby mu się przywidziało? Na pewno! Zważywszy na stan, w jakim znajdował się ten nieszczęśnik, byłoby to całkiem nieprawdopodobne. Pokręcił głową, oparł ją na dłoniach i zrozpaczony wbił wzrok w swoje stopy.

– Pamiętaj… – Szept był ledwie słyszalny; Shi-Rong nie miał pewności, czy się nie przesłyszał – że nic… im nie powiedziałem. – Potem rozległo

się ciche westchnienie.

Czyżby więc mimo wszystko przesłuchiwany nadal żył? Shi-Rong zerwał się na równe nogi. Stanął nad ciałem i przyjrzał mu się uważnie. Nie dostrzegł żadnych oznak życia.

I tak powinno pozostać. Trzeba to było zakończyć. Więzień nie mógł powiedzieć już ani słowa więcej. Shi-Rong rozpaczliwie rozejrzał się za czymś, czym mógłby udusić nieszczęśnika. Niczego takiego nie zauważył. Jedną ręką zakrył więc usta torturowanego, drugą złapał go za nos i stał tak przez długie sekundy. Przez cały czas zerkał na drzwi w obawie, że ktoś wejdzie i go zaskoczy.

Zdawało mu się, że minęła cała wieczność, zanim zdecydował się oderwać ręce od twarzy więźnia. Niedoszły zamachowiec był z całą pewnością martwy. Był zresztą martwy już wcześniej, a ten szept? Zwykła halucynacja. Może przemówił do niego duch zmarłego? Zapewne tak właśnie było.

Grunt, że nikt niczego nie słyszał.

* * *

Kiedy Shi-Rong wszedł do biblioteki, komisarz Lin już wiedział, że więzień umarł. Na widok Shi-Ronga powiedział ze spokojem:

– Wygląda pan na zmęczonego.

– Jestem zmęczony, ekscelencjo.

– Prowadzenie przesłuchania to nic miłego, niestety bywa konieczne. Gdyby ten człowiek wydał nam swoich wspólników, moglibyśmy ich także przesłuchać i dowiedzieć się czegoś więcej.

– Proszę o wybaczenie, ekscelencjo. Uznałem, że powinniśmy pozwolić mu dojść do siebie i jutro spróbować ponownie, ale…

– Wiem. Nie sądzę, aby więzień cokolwiek powiedział. Według mnie chciał umrzeć. Z jego punktu widzenia był to czyn honorowy.

– Przypuszczacie, ekscelencjo, że należał do tajnego stowarzyszenia, takiego jak Biały Lotos?

– Bardziej prawdopodobne, że był zwykłym piratem. Tacy przemytnicy często pochodzą z jednej wioski i klanu… Prędzej umrą, niż wydadzą swoich towarzyszy. – Umilkł na chwilę i posłał Shi-Rongowi ponury uśmiech. – Ale jeśli mam rację, nie zamierzam pozostawić jego wspólników na wolności. Jutro zacznę wyłapywać wszystkich piratów wzdłuż wybrzeża.

– Wszystkich, ekscelencjo?

– Wszystkich, których uda nam się wytropić. Spodziewam się, że będzie ich wielu. – Lin skinął głową. – W tym czasie pan zajmie się innym ważnym zadaniem. Teraz proszę odpocząć i zgłosić się do mnie jutro z samego rana.

– Dziękuję, ekscelencjo. – Shi-Rong skłonił się komisarzowi. Chciał podejść do drzwi, jednak Lin go zatrzymał.

– Zanim pan odejdzie, panie Jiang, chciałbym pana o coś zapytać. – Komisarz patrzył na niego ze spokojem. – Jak pan sądzi, dlaczego zleciłem panu prowadzenie tego przesłuchania?

– Nie wiem, ekscelencjo.

– Ci, którzy służą cesarzowi, muszą być gotowi wziąć na siebie brzemię odpowiedzialności. Generał wie, że wykonujący jego rozkazy mogą zginąć w bitwie. Gubernator musi wymierzać kary, nie wyłączając kary śmierci. Musi też zarządzać przesłuchania. To poważne obowiązki i mogą być trudne do udźwignięcia. Ważne, aby poznał pan gorzki smak odpowiedzialności, panie Jiang. Rozumie pan?

– Tak, ekscelencjo.

– I jeszcze jedno. – Mandaryn wpatrywał się w niego takim wzrokiem, że młodego sekretarza przeszły ciarki. – Zgodzi się pan ze mną, panie Jiang, że jeden aspekt tej sprawy pozostaje niewyjaśniony: czy zamachowiec wiedział wcześniej o przesyłce z pasami przepuklinowymi od doktora Parkera? A jeśli tak, to czy Parker zdradził mu tę tajemnicę? Jeśli zaś nie Parker, to kto? Nie można wykluczyć, że ta informacja wyszła od pana. – Lin przerwał. – A może można?

Mogłaby to być część egzaminu dla przyszłych urzędników państwowych, podczas którego pisało się słynne konfucjańskie rozprawy, wymagające logiki, starannej argumentacji i trafnego osądu. Oraz poczucia sprawiedliwości.

– Nie można wykluczyć takiej możliwości – zgodził się Shi-Rong.

– Nigdy nie wątpiłem w pańską lojalność – ciągnął Lin. – Lecz wystarczy jedno nieostrożne słowo wypowiedziane w rozmowie z przyjacielem. Ktoś je potem komuś powtórzy. Ktoś inny to podsłucha, dając początek plotkom. – Lin nie spuszczał z niego wzroku. – Szczęśliwie uniknąłem śmierci. Jestem pewien, że gdyby pan się do niej przyczynił, doświadczałby pan wyrzutów sumienia tak wielkich, że jak kamień młyński ciążyłyby

panu być może aż do śmierci. – Lin urwał. – Tymczasem ocalił mi pan życie.

Czy komisarz dawał mu w ten sposób możliwość przyznania się do winy? Shi-Rong niczego bardziej nie pragnął. Tak bardzo chciał oczyścić sumienie, błagać o wybaczenie człowieka, którego pokochał i głęboko podziwiał.

Ale jeśli to była pułapka? Nie mógł ryzykować.

– Rozumiem, ekscelencjo – odparł, pochylając głowę.

– A zatem, zakładając, że to nie pan ujawnił mój sekret, prowadzenie przesłuchania musiało być dla pana, jak już wspomniałem, nieprzyjemnym, lecz cennym doświadczeniem. Gdyby zaś był pan źródłem przecieku, to czy istniałby lepszy sposób, aby zrozumiał pan powagę swojego postępku? Byłoby to odpowiednie zadośćuczynienie za pańską nieostrożność. Makabra przesłuchania, w którym właśnie pan uczestniczył, stanowiłaby sprawiedliwą karę i najlepszą nauczkę, aby w przyszłości być bardziej odpowiedzialnym. Zgodzi się pan ze mną?

A więc Lin wszystkiego się domyślił. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Ten wielki człowiek przejrzał go na wylot.

– Tak jest, ekscelencjo – wymamrotał Shi-Rong, zwieszając głowę.

– Niech pan się dobrze wyśpi, panie Jiang. Jutro wyrusza pan w podróż. – Komisarz przeniósł wzrok na papiery na swoim biurku, dając tym samym sygnał, że rozmowa dobiegła końca.

– W podróż, ekscelencjo? – Shi-Rong nie zdołał się powstrzymać. – Dokąd?

Lin podniósł głowę zaskoczony, jakby nie spodziewał się, że jego sekretarz nadal jest w bibliotece.

– Do Makau.

* * *

Pogłoska rozeszła się na początku sierpnia. John Trader usłyszał ją od Tully’ego Odstocka, tyle że jakoś szczególnie go nie obeszła.

Ostatnie dwa tygodnie upłynęły mu całkiem przyjemnie. Po pierwsze, Cecil Whiteparish nie pojawił się już więcej od czasu ich niezręcznej rozmowy – chwała Bogu przynajmniej za to! Oczywiście nadal przebywał w Makau, lecz trzymał się na uboczu. Nikt też nie zaczepił Johna słowami:

„Słyszałem, że ma pan w rodzinie misjonarza”. Przypuszczalnie Whiteparish stracił ochotę na nawiązywanie bliższych kontaktów z kuzynem.

Trader spędzał więc miło czas w dotychczasowym towarzystwie. Marissa była zadowolona. I chociaż w pewnym oddaleniu od wyspy kotwiczyło kilka wojennych dżonek, Królestwo Niebios nie wydawało się zbytnio zainteresowane mieszkańcami Makau.

Do czasu, aż pojawiły się plotki.

– Lin ma na wyspie kogoś, kto werbuje dla niego przeklętych szpiegów – oznajmił mu Tully. – Lepiej uważać na to, co się mówi. – Pokiwał głową. – Trzymaj pan język za zębami, Trader. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

– Wiadomo, kto to jest? I gdzie jest?

– Nic nie wiadomo. Działa z pokładu jednej z tych wojennych dżonek u wybrzeży wyspy.

– Nie wydaje mi się, aby dowiedział się tu czegoś ciekawego. Przecież nic się tutaj nie dzieje.

Tully Odstock dziwnie na niego spojrzał.

– Na pańskim miejscu nie byłbym tego taki pewny – rzekł cicho.

– Doprawdy? O niczym nie wiem.

– Za bardzo był pan zajęty tą młodą kobietą – parsknął Tully, ale bez szczególnej przygany. – Tak między nami, nie ulega wątpliwości, że znów handluje się opium.

– Jak to? Przecież nic nie sprzedaliśmy. Kto zatem handluje?

– Matheson. – Tully pokręcił głową. – Ten przeklęty facet jest tak bogaty, że może robić to wszystko, czego nam nie wolno. Pod tą maską dżentelmena kryje się lepszy cwaniak.

– Jak mu się to udaje?

– Jego statki pływają u wybrzeży Manili, po drugiej stronie Morza Południowochińskiego. Przewożą bawełnę. Mają pełne ładownie całkowicie legalnego towaru. Tyle że poza nim w ładowniach ukryte są skrzynie z opium. A najlepsze, że ten spryciarz niczego nie ma na piśmie, więc jeśli nawet szpiedzy przechwycą listy wysłane przez niego do kapitanów owych statków, znajdą tylko instrukcje dotyczące przewozu bawełny – to taki szyfr, rozumie pan? Każdemu rodzajowi opium odpowiada inny rodzaj bawełny. Chintz oznacza opium z Malwy, biała bawełna – opium z Patny i tak dalej. A ponieważ po konfiskatach Lina opium stało się poszukiwaną rzadkością, Matheson dostaje wysoką cenę za każdą skrzynię. – Wspólnik

westchnął z podziwem. – Oczywiście, jeśli Lin kiedykolwiek to odkryje, rozpęta się piekło.

Tego dnia i przez cały kolejny Trader łapał się na tym, że spogląda na przechodniów innymi oczami. Czy ów szef siatki szpiegowskiej, kimkolwiek był, wykorzystywał do swoich celów Chińczyków? Przekupywał miejscowych? Może nawet zależało mu na ludziach pokroju pani Willems, której uwadze mało co umykało? Albo Marissy? Czy Marissa byłaby zdolna do czegoś takiego? Odsunął od siebie tę myśl. Mimo wszystko nie zamierzał dzielić się z nią – ani z nikim innym – nowo nabytą wiedzą.

Dwa dni później, kiedy wracał w południe do siebie, natknął się na Tully'ego. Wspólnik stał z Elliotem na skraju nadbrzeża i obaj wpatrywali się w naklejony na murze afisz. Tully gestem przywołał Tradera, dając mu znak, żeby zapoznał się z jego treścią.

Było to obwieszczenie komisarza Lina, przetłumaczone na całkiem zrozumiały angielski i bardzo niepokojące w tonie.

– Pamięta pan tych marynarzy, którzy w zeszłym miesiącu zabili tubylca w okolicach Hongkongu? – spytał Tully.

– Tak, myślałem jednak, że rodzinie tego człowieka wypłacono zadośćuczynienie. Twierdził pan, że sprawa rozejdzie się po kościach.

– No cóż, Lin się o wszystkim dowiedział i sądząc z tego obwieszczenia, nie ma zamiaru tak tego zostawić. Żąda, aby mu wydać winowajcę.

– Jeszcze nikt nie został uznany za winnego – wtrącił ostro Elliot.

– Ciekawa rzecz – zauważył Trader. – Lin pisze tutaj, że zgodnie z naszym prawem człowiek, który popełnił zbrodnię poza swoją ojczyzną, ma być sądzony według prawa suwerennego kraju, w którym doszło do przestępstwa. Czy rzeczywiście tak jest z prawnego punktu widzenia?

– Chciałby pan, żeby nasi marynarze byli torturowani, a potem straceni?! – wybuchnął Tully.

– Skądże.

– Wobec tego powiem tak: do diabła z prawem, jeśli to nie jest nasze prawo. Mam rację, Elliot?

– Nie podpisaliśmy z Chinami traktatu, który regulowałby takie sprawy – odparł stanowczo Elliot.

– Sądząc po tonie wypowiedzi – rzekł Trader – Lin chyba naprawdę uważa nas za łajdaków.

– Ustaliliśmy tożsamość sześciu mężczyzn, którzy brali udział w tym incydencie – powiedział Elliot. – Za dziesięć dni przed prawidłowo powoła-

nym sądem odbędzie się rozprawa. Poinformowałem już komisarza, że może albo sam uczestniczyć w procesie, albo przysłać swojego przedstawiciela.

– Uważa pan, że to go zadowoli? – burknął Tully.

W odpowiedzi Elliot tylko grzecznie się ukłonił i odszedł.

Po dziesięciu dniach odbyła się rozprawa. Elliot zorganizował ją na pokładzie statku i toczyła się przez dwa dni. Komisarz Lin nie wziął w niej udziału, nie przysłał też żadnego przedstawiciela. W porze lunchu Tully przekazał Traderowi wyrok.

– Pięciu marynarzy uznano za winnych.

– Morderstwa?

– Gdzie tam! Udziału w bójce i napaści. Elliot ukarał ich grzywną. Zostaną też odesłani do Anglii, gdzie odbędą karę więzienia. To załatwia sprawę.

Trader nie był tego taki pewien, ale zamartwianie się tym nic by mu teraz nie dało. Za kilka godzin miał się spotkać z Marissą. Zjadł lunch z Tullym, poszedł na przechadzkę brzegiem morza, a potem uciął sobie drzemkę.

Wczesnym wieczorem wspiął się na wzgórze. Znajdował się już prawie pod strzelistą fasadą kościoła Świętego Pawła i właśnie myślał o tym, że miło byłoby przystanąć na kilka minut przy starej jezuickiej baterii armatniej i popatrzeć na morze, gdy zauważył przed sobą dwóch ludzi zmierzających w tym samym kierunku, co on. Mógłby przysiąc, że zna jednego z nich.

Podążył za nimi, a kiedy zatrzymali się przy pierwszej starej armacie i młodszy z mężczyzn odwrócił głowę, żeby powiedzieć coś do swojego towarzysza, Trader upewnił się, że to Shi-Rong, sekretarz komisarza Lina.

Musiał przyznać, że na podstawie tego, co zdołał zaobserwować podczas ich wcześniejszych spotkań, polubił młodego mandaryna. Tylko co on tu, do diabła, robił? Czy John powinien go zagadnąć?

Nagle doznał olśnienia: to Shi-Rong mógł być owym tajemniczym człowiekiem werbującym szpiegów w Makau!

Do tej pory nie wiedzieć czemu zakładał, że to ktoś starszy wiekiem. Ale Shi-Rong był sekretarzem Lina; jeżeli odpowiednio się wykazał, komisarz mógł mu powierzyć taką misję. Czy to znaczyło, że należy go unikać?

Wręcz przeciwnie; tym bardziej warto było z nim porozmawiać, wybadać, co się właściwie dzieje. Trader ruszył naprzód, zwracając na siebie uwagę Shi-Ronga. Mandaryn go rozpoznał.

W tym samym momencie John przypomniał sobie o liście. O piśmie komisarza Lina do królowej Wiktorii, które obiecał dostarczyć na dwór. Całkiem o nim zapomniał. Mógł zrobić tylko jedno: uśmiechnął się grzecznie i ukłonił.

– Dawno się nie widzieliśmy – rzekł. – Wysłałem list komisarza Lina do Oksfordu. Miejmy nadzieję, że trafi do rąk królowej.

Czy go rozumieli? Nie miał takiej pewności. Towarzyszem Shi-Ronga nie był pan Singapur, tylko niski mężczyzna w średnim wieku, wyglądał na Malajczyka, choć włosy miał splecione z tyłu w cienki chiński warkoczyk. Mógł znać angielski, albo i nie.

– Z przykrością dowiedziałem się o śmierci tego człowieka w Hongkongu – powiedział uprzejmie Trader. – Winni zabójstwa trafili do więzienia. – Czekał. Shi-Rong i jego towarzysz spojrzeli po sobie. – Zrozumiał pan? – spytał Trader.

Mężczyźni ukłonili mu się grzecznie, lecz na ich twarzach nie dostrzegł oznak zrozumienia, żaden też mu nie odpowiedział.

Trader zapewne poddałby się i odszedł, gdyby nie to, że wszystkich ich zdumiał widok spieszącego ku nim człowieka. Przybysz wykrzykiwał nazwisko Johna.

Był to Cecil Whiteparish. Wyglądał na wściekłego. Niegrzecznie zlekceważył obu Chińczyków i praktycznie rzucił się na Tradera, jakby chciał go powalić na ziemię.

– Czego pan ode mnie chce, do diabła?! – zawołał John. Był zaskoczony i nieco zaniepokojony.

– Pomówić z panem, sir! – krzyknął jego kuzyn.

– To nie jest odpowiedni czas ani miejsce – odparł John.

– Czyżby? Pozwoli pan, że sam to ocenię. Szukałem pana w kwaterze, na próżno. Domyśliłem się więc, że tutaj pana znajdę – zapewne wybrał się pan w odwiedziny do tej swojej dziwki!

Najwyższym wysiłkiem woli John zdołał się opanować i odparł z lodowatym spokojem:

– Ten oto dżentelmen… – wskazał na Shi-Ronga – jest prywatnym sekretarzem komisarza Lina i moim znajomym. Właśnie wyrażałem swój

żal z powodu niefortunnej śmierci jednego z jego rodaków i wyjaśniłem, że wszyscy, którzy brali udział w bójce, trafili właśnie do więzienia.

Liczył, że cokolwiek było przyczyną wybuchu misjonarza, kuzyn pojmie aluzję i zacznie się zachowywać w sposób cywilizowany, przynajmniej dopóki tamci nie odejdą. Zerknął na Shi-Ronga i jego towarzysza; czy zrozumieli, o czym mówił Cecil? Oby nie. Chińczycy pozostali niewzruszeni, nic jednak nie wskazywało na to, że mają zamiar się pożegnać.

– Możliwe – burknął Whiteparish. – Ale ja mówię o haniebnym handlu opium, w którym, pomimo złożonych obietnic, nadal bierze pan udział wraz ze swoimi kompanami.

– Nieprawda! – krzyknął Trader. Przecież naprawdę niczym nie handlował; mógł tylko żałować, że nie jest inaczej. Spojrzał na Shi-Ronga i jego towarzysza. Czy jego przeklęty kuzyn miał pojęcie, jak niebezpiecznie jest wygadywać przy nich takie rzeczy?

– Ten człowiek jest sekretarzem komisarza – zwrócił uwagę Cecilowi. – Nie powinien pan wysuwać takich oskarżeń w jego obecności. Zwłaszcza że są całkowicie wyssane z palca.

– A więc zaprzecza pan, że transportuje bawełnę z Manili i że na przewożące ją statki potajemnie ładuje się opium?! – wrzasnął Whiteparish.

Skąd, u licha, zdobył te informacje? I dlaczego, na litość boską, wykrzykiwał je publicznie?

– Stanowczo temu zaprzeczam. Jak mi Bóg miły!

– Szczerze mówiąc, kuzynie Johnie, nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Wiem, co się tutaj święci. – Whiteparish popatrzył na Shi-Ronga. – Jeśli chodzi o naszych chińskich przyjaciół, to biorąc pod uwagę całe zło, jakie wyrządzamy ich rodakom, i naszą dwulicowość w kontaktach z nimi, wolałbym, abyśmy ich tu i teraz przeprosili, zamiast dalej wyrządzać im krzywdę.

– Pan oszalał – rzucił pogardliwie Trader.

– Uważasz, że nie jestem dżentelmenem – ciągnął z goryczą Whiteparish.

– Nic podobnego nie powiedziałem.

– Ale tak myślisz. Jednak w oczach Boga wy, „dżentelmeni”, nie jesteście lepsi od złodziei. Stanowicie plamę na honorze naszej ojczyzny i nie chciałbym być jednym z was. A co do tego człowieka… – wskazał na Shi-Ronga – chciałbym, aby wiedział, że nie wszyscy Anglicy są tacy sami i że

w parlamencie brytyjskim zasiadają też dobrzy ludzie, uczciwi, moralni, którzy wkrótce położą kres waszej przestępczej działalności.

Trader spojrzał na Shi-Ronga i jego towarzysza. Ich twarze niczego nie wyrażały.

– Lepiej niech pan się nauczy mówić po chińsku – zauważył drwiąco – bo ci dwaj nie zrozumieli ani słowa z pańskiej tyrady.

– Nie muszą. Słyszałeś o młodym panu Gladstonie, kuzynie? Z każdym dniem zyskuje na znaczeniu. Wiem z wiarygodnego źródła, że zamierza przeciwstawić się w parlamencie wam i waszym nieuczciwym praktykom handlowym, a wielu posłów pójdzie za nim.

Trader z niedowierzaniem wpatrywał się w swojego krewniaka. Tak to właśnie bywa, pomyślał, gdy ma się do czynienia z nieobytymi ludźmi. Brak im podstawowej wiedzy o świecie.

– Uważa pan Gladstone’a za dżentelmena z zasadami? – spytał.

– Owszem.

– Dzięki temu, że jego ojciec dorobił się wielkiego majątku, zajmuje taką, a nie inną pozycję w życiu publicznym, co pozwala mu na wygłaszanie moralizatorskich kazań. A wie pan, na czym się dorobił?

– Nie.

– Na handlu niewolnikami. Ojciec Gladstone’a zbił fortunę, handlując niewolnikami. Teraz to już oczywiście sprzeczne z prawem, ale jeszcze kilka lat temu młody pan Gladstone bronił w parlamencie tego procederu i wywalczył dla ojca ogromne odszkodowanie, gdy handel niewolnikami został ostatecznie zakazany. Więc naprawdę nie zamierzam pozwolić, aby akurat on uczył mnie moralności.

Pod jego twardym spojrzeniem Whiteparish zwiotczał jak przekłuty balon.

– Mimo wszystko źle postępujesz, kuzynie – wymamrotał.

W tym momencie coś zwróciło uwagę Tradera. Twarz towarzysza Shi-Ronga zmieniła się w ledwie zauważalny sposób. Przemknął przez nią wyraz rozbawienia. A może ironiczny uśmieszek? Po chwili jednak znów przypominała beznamiętną maskę. Czyżby mężczyzna jednak rozumiał, o czym rozmawiali?

Trader wolał nie ryzykować. Dla wspólnego dobra należało poświęcić uciążliwego kuzyna.

– Pozwoli pan, że teraz ja coś panu powiem, Whiteparish! – wybuchnął. – Pańska reputacja nie jest w Makau tajemnicą, a występki z przeszłości –

nie będę pana zawstydzał, nazywając rzeczy po imieniu – nieuczciwość, grzechy przeciwko naturze, znane są całej brytyjskiej społeczności. Wiedząc, że pana zdemaskowano, stara się pan na nas zemścić, rozpowszechniając te ohydne kłamstwa. Tak, sir, pański prawdziwy charakter jest tu wszystkim dobrze znany. Jest pan bezczelnym kłamcą, sir. Kłamcą. I wszyscy o tym wiedzą. – Whiteparish w pierwszej chwili osłupiał. Potem poczerwieniał z wściekłości. – Słusznie się pan rumieni, sir – zawołał Trader. – Wstyd!

– Ależ ja nigdy… Nigdy w życiu… – jąkał się Cecil.

– Jest pan zmieszany, i słusznie. Został pan zdemaskowany jako łotr. Wymyślił pan ten cały nielegalny handel opium tylko po to, żeby zemścić się na lepszych od siebie. Niewykluczone, że złożę na pana skargę Elliotowi. Pozwę pana o zniesławienie, podobnie jak wszyscy ci, których reputację próbuje pan zszargać swoimi kłamstwami.

Odwrócił się na pięcie i zaczął schodzić ze wzgórza. Tak jak liczył, Whiteparish nie odstępował go ani na krok, stanowczo protestując i zapewniając o swojej niewinności. Trader pozwalał mu na to, dopóki nie znaleźli się w połowie wzgórza, w bezpiecznej odległości od młodego mandaryna i jego towarzysza; miał nadzieję, że podstęp się udał.

Nie mógł tego słyszeć, ale gdy tylko się oddalili, Shi-Rong zwrócił się do swojego tłumacza i polecił:

– A teraz powtórz mi wszystko, o czym rozmawiali.

* * *

– Może to będzie chłopiec – uspokajał Mei-Ling Młodszy Syn, lecz ona pokręciła głową.

– Tak bardzo się boję, że to będzie dziewczynka – odparła. Ile razy już o tym rozmawiali? Co najmniej ze sto.

Nikt w wiosce nie uważał, że to teściowa udusiła dziecko Wierzby. Sama Wierzba nigdy o tym nie wspominała. Młodszy Syn nawet nie dopuszczał do siebie takiej myśli. Podobnie Mei-Ling. Zresztą przez cały okres ciąży teściowa okazywała jej wyłącznie życzliwość.

Dziewczyna zdawała sobie, rzecz jasna, sprawę, że nie cieszyłaby się takimi względami, gdyby urodziła dziewczynkę. Nie winiła za to teściowej; taka była kolej rzeczy. Wyobrażała sobie, jak zareagowaliby ludzie w wio-

sce, gdyby po tym, jak Starszemu Synowi dwukrotnie nie udało się spłodzić męskiego potomka, Młodszy Syn także został ojcem dziewczynki. Powiedzieliby, że Lungowie mają pecha. Pan Lung może i był bogaty, ale jego rodzina z pewnością straciłaby twarz.

Gdyby tylko drugie dziecko Wierzby okazało się chłopcem! Mei-Ling żałowała, że tak się nie stało – nie tylko ze względu na biedną Wierzbę, ale też dlatego, że wprawiłoby to teściową w świetny nastrój i może nie zależałoby jej już tak bardzo na tym, żeby Młodszy Syn miał chłopca.

Tymczasem teściowa była teraz dla niej milsza niż kiedykolwiek. Czasami, gdy Wierzba zajmowała się obowiązkami domowymi, starsza kobieta siadała i opowiadała Mei-Ling o przeszłości rodziny, jakby to ona była synową, o której zawsze marzyła.

– Teraz ty jesteś jej ulubioną córką – wypomniała jej kiedyś Wierzba ze smutkiem. – Tą, która urodzi jej wnuka.

– A jeśli nie? – Mei-Ling westchnęła. Wierzba nic nie odpowiedziała.

Miesiąc przed terminem porodu powrócił koszmar. Pojawił się nad ranem i był dokładnie taki sam jak wcześniej. Mei-Ling urodziła dziecko, dziewczynkę. Teściowa wzięła ją na ręce i wyszła z izby. Nagle Mei-Ling znalazła się na dziedzińcu i szukała niemowlęcia. Zaglądała do kolejnych pomieszczeń, ale jej dziecko zniknęło.

Drgnęła gwałtownie i się obudziła. Wiedziała, że to był tylko sen, ale nie mogła się od niego uwolnić. Oddychała ciężko, dygocząc na całym ciele… Kilka razy zaczerpnęła głęboko powietrza, żeby się uspokoić, i w myślach zwymyślała się za własną głupotę.

Potem odwróciła się i spojrzała na męża. W słabym świetle lampy, której nie gasili wieczorem, na wypadek gdyby Mei-Ling musiała wstać w nocy, widziała twarz Młodszego Syna. Uśmiechał się we śnie. Czy jej dobrodusznemu mężowi śniło się coś miłego, czy był to tylko jego naturalny wyraz twarzy podczas nocnego odpoczynku? Chciała go obudzić, opowiedzieć o swoim koszmarze i poczuć mocny, pocieszający uścisk jego ramion. Był jednak tak zmęczony po całym dniu ciężkiej pracy, że nie śmiała zakłócać mu spokojnego snu.

Dotrwała jakoś do rana i dopiero wtedy wszystko mu opowiedziała, on zaś ponownie zapewnił ją, że nic złego się nie wydarzy, zresztą na wszelki wypadek będzie przy niej, żeby bronić ich dziecka.

Po tygodniu koszmar się powtórzył, a mąż znów ją pocieszył. Kiedy po kilku dniach znów obudziła się przerażona, zachowała to dla siebie i nie obarczała już Młodszego Syna swoimi lękami. Chyba dobrze zrobiła, bo uczucie paniki minęło, a teściowa dalej traktowała ją z życzliwością.

W miarę jak zbliżał się termin porodu, Mei-Ling stawała się coraz grubsza, bolały ją plecy i nie mogła się już doczekać rozwiązania. Lecz teściowa ostrzegła ją, że pierwsze dziecko „lubi się spóźniać".

Pan Lung musiał wybrać się do pobliskiego miasta w interesach i zabrał ze sobą Młodszego Syna. Pewnego dnia w południe wyruszyli wozem, obiecując, że wrócą nazajutrz przed południem.

W nocy Mei-Ling dostała okropnych skurczów. Zaczęła jęczeć, a potem głośno krzyknęła z bólu.

Drzwi izby otworzyły się i weszła teściowa, niosąc zapaloną świecę.

– Co się dzieje, córko?

– Nie wiem. Mam bardzo silne skurcze. Bardzo mnie boli.

Starsza kobieta podeszła bliżej, postawiła świecę na stoliku obok posłania Mei-Ling, kazała jej leżeć nieruchomo i zbadała ją. Potem bez słowa poszła do drzwi i przywołała Wierzbę. Po chwili jej poleciła:

– Sprowadź położną. Powiedz, żeby natychmiast do nas przyszła!

Kobiety były dla niej takie dobre. Położna podała jej napar ziołowy do picia, żeby złagodzić ból. Teściowa ani na moment nie opuściła izby, dodawała jej otuchy i uspokajała ją. Raz po raz Mei-Ling pytała:

– Czy to prawda? Obiecujesz, że Młodszy Syn wróci z samego rana?

– Obiecuję, moja mała – odpowiedziała teściowa, a jej twarda, szeroka twarz wyrażała niespotykaną czułość.

Oby tylko Mei-Ling mogła mieć tę pewność! Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnęła teraz powrotu męża. Gdyby był przy niej Drugi Syn, wszystko byłoby w porządku, czuła bowiem, że wyda na świat dziewczynkę. Nie wiedziała dlaczego, ale była o tym przekonana.

Nadszedł świt, a ona wciąż nie urodziła. Pomimo nieznośnego cierpienia w jej głowie kołatała się tylko jedna myśl: opóźnić poród. Czy da radę wytrzymać do południa?

Co kilka minut wołała do położnej:

– Czy on już przyjechał? Czy mój mąż wrócił do domu? – Na co zdziwiona położna mogła tylko odpowiadać:

– Na pewno wkrótce się pojawi. – I dodawała: – Nie bądź niemądra, dziewczyno. Dziecko chce już przyjść na świat. Weź głęboki wdech… Jeszcze jeden… A teraz przyj!

– Nie!

Usłyszała, jak położna zwraca się do teściowej: – Ta dziewczyna całkiem oszalała – i zastanawiała się, czy starsza kobieta domyśla się, dlaczego Mei-Ling tak bardzo zależy na obecności Młodszego Syna przy narodzinach dziecka.

Natury jednak nie dało się oszukać i gdy słońce chyliło się nad horyzontem, niemowlę przyszło wreszcie na świat. Mei-Ling ujrzała w objęciach położnej maleńką istotkę, a chwilę później, ku swemu przerażeniu, w ramionach teściowej.

Naraz z osłupieniem zobaczyła, jak rozpromienia się twarz starszej kobiety. Teściowa podeszła do niej i oznajmiła z uśmiechem:

– Jest tak, jak ci mówiłam, córko. Urodziłaś syna.

Narodzinom dziecka towarzyszyło w Chinach wiele obrzędów. Mei-Ling nie mogła przez cały miesiąc opuszczać domu. Nie wolno jej było myć włosów ani rąk, stóp ani twarzy. Właściwie niczego nie mogła robić. We wszystkim wyręczała ją teściowa, łącznie z opieką nad dzieckiem, gdy to zbudziło się w nocy.

Do obowiązków młodej matki należało nakarmienie niemowlęcia piersią mniej więcej godzinę po tym, jak przyszło na świat. Teściowa oczywiście przy niej była. Kiedy Mei-Ling wzięła synka na ręce i przystawiła do piersi, nic się nie wydarzyło.

– Czy zrobiłam coś nie tak? – zdziwiła się.

– Nie. Bądź cierpliwa. – Teściowa się uśmiechnęła. – Twój mąż, gdy się urodził, potrzebował kilku minut, żeby zrozumieć, jak się do tego zabrać. O, proszę. Już wszystko w porządku.

Matka Mei-Ling przyszła około południa z ubrankami i pieluszkami dla dziecka; taki był przyjęty zwyczaj. Rzeczy nie były oczywiście najlepszej jakości, ale teściowa przyjęła je tak uprzejmie, jakby przysłano je z samego cesarskiego dworu. Mei-Ling była jej za to wdzięczna.

Tego dnia tylko na chwilę ogarnął ją smutek. Wczesnym popołudniem odwiedziła ją Wierzba. Nie wyglądała na złą, tylko na przygnębioną.

– Ty to masz szczęście – powiedziała. – Urodziłaś chłopca.

– Następnym razem ty też będziesz miała syna – pocieszyła ją Mei-Ling.

– Być może. – Wierzba się zawahała. – Nie czuję do ciebie nienawiści. Naprawdę. Zazdroszczę ci, ale cię nie nienawidzę. – Spojrzała na śpiące dziecko. – Nienawidzę twojego dziecka.

– Nie mów tak, siostro! – krzyknęła Mei-Ling. – Możesz nienawidzić mnie, jeśli musisz, ale nie mojego dziecka!

Wierzba głęboko wciągnęła powietrze, westchnęła i pokręciła głową.

– Jak mogłoby nie budzić we mnie nienawiści?

Młodszy Syn przyjechał godzinę później. Matka przyprowadziła go do izby. Uśmiechał się łagodnie, tak samo jak wówczas przez sen. Gdy zobaczył dziecko, jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

* * *

John Trader odnosił czasami wrażenie, że nie dane mu będzie zaznać w życiu spokoju. Dzięki Readowi i Marissie przez krótki czas cieszył się nim w Makau, jeśli jednak miał nadzieję, że uda mu się trochę wzbogacić kosztem Chin, Królestwo Niebios szybko wybiło mu z głowy tę myśl. A teraz jeszcze nieprzejednany komisarz Lin zamierzał wyrzucić go z Makau, a może nawet z chińskich wód.

Dwa dni po spotkaniu z Cecilem Whiteparishem usłyszał od Tully’ego Odstocka, że Chińczycy odcięli wszelkie dostawy żywności z kontynentu.

– Przez jakiś czas damy sobie radę – pocieszył go Tully, lecz już po kilku dniach rozeszła się hiobowa wieść. – Lin przerzuca w stronę Makau wojsko z dalszych części wybrzeża – oznajmił Tully. – Śmiem twierdzić, że to tylko pokaz siły.

Czy wszystko to było odwetem za odmowę Elliota wydania marynarzy w ręce chińskiego wymiaru sprawiedliwości? A może po wybuchu Whiteparisha, którego świadkiem był Shi-Rong, komisarz dowiedział się o ostatnim zorganizowanym przez Mathesona przemycie opium? Trader nie wiedział; ale niezależnie od przyczyny jedno było pewne.

– Lin nam nie ufa i chce zyskać przewagę – rzekł. – Pytanie brzmi, jak daleko gotów jest się posunąć.

Ostatecznie w Makau nadal rządził portugalski gubernator, który dysponował własnym wojskiem.

Zaniepokojenie ludzi jednak rosło. Pewnego ranka Trader spotkał na ulicy Elliota, który otwarcie mu oznajmił:

– Nasz dobry znajomy, portugalski gubernator, jest wściekły z powodu wstrzymanych dostaw i konfrontacyjnej postawy Chińczyków. To terytorium należy do Portugalii i jest gotów go bronić, jeśli zajdzie taka konieczność. Nie można mu zarzucić braku odwagi. Muszę jednak mieć na względzie bezpieczeństwo naszych ludzi. Być może będziemy musieli opuścić Makau.

– Dokąd wówczas się przeniesiemy?

– Do Hongkongu.

– Przecież tam nie ma nic poza kotwicowiskiem. Rozbijemy obóz na plaży?

– Nie. Możemy mieszkać na pokładzie naszych statków. Nie będzie to zbyt wygodne, ale powinniśmy być tam bezpieczni. Przeczekamy kilka miesięcy i zobaczymy, co się wydarzy.

– W takim razie zacznę się lepiej przygotowywać do wyjazdu z Makau – odparł ze smutkiem Trader.

Elliot uśmiechnął się ze zrozumieniem – najwyraźniej wiedział o Marissie.

– Obawiam się, że to konieczne. Wszystko się kiedyś kończy – dodał cicho.

– Życie w zamknięciu, na statkach brzmi koszmarnie – stwierdził ponuro Trader, a Elliot nie zaprzeczył.

Tego samego popołudnia superintendent oficjalnie oznajmił członkom angielskiej społeczności, aby szykowali się do wyjazdu. Nazajutrz sam wyruszył w drogę, aby poczynić stosowne przygotowania w wielkiej, pustej przystani w Hongkongu.

Dwudziestego piątego sierpnia komisarz Lin poinformował portugalskiego gubernatora Makau, że przebywający na jego wyspie Brytyjczycy powinni ją opuścić. Nadciągające akurat chińskie dżonki wojenne nie będą im w tym przeszkadzać. Przedstawiciele innych nacji, nie wyłączając Amerykanów, mogą pozostać na miejscu pod warunkiem, że nie trudnią się handlem opium.

John Trader opuścił wyspę niemal na końcu. Ostatniego dnia po południu wybrał się z Readem na spacer. Amerykaninowi, ze względu na jego obywatelstwo, wolno było zostać w Makau.

– Będzie mi brakowało twojego towarzystwa, Read – powiedział John.

– Spotkamy się jeszcze.

– Zapewne. Jestem ci winien pieniądze.

– Spłacisz dług, kiedy będziesz mógł.

– Jak myślisz, co się teraz stanie?

– Handel opium zostanie wznowiony. To nieuniknione.

– Dlaczego?

– Ponieważ w Indiach trwa zbiór tegorocznych upraw. Część towaru jest już na morzu. Wydaje mi się, że niszczenie opium to strata czasu. Lin stworzył tylko popyt na kolejne dostawy, które prędzej czy później tutaj dotrą. Nie wiadomo tylko jeszcze, w jaki sposób.

– Ze względu na nas obu mam nadzieję, że się nie mylisz. – Trader zamilkł. Stali przy starej armacie, spoglądając na wyspę i morze. – Muszę ci się do czegoś przyznać – podjął ze smutkiem w głosie. – Zaczynam żałować, że nie handluję czymś innym. Czymś, co mogłoby dobrze służyć ludziom. Czymś naprawdę potrzebnym. – Westchnął.

– Handel czymś, co nie jest szkodliwe, jest oczywiście możliwy. Większość kupców z niego żyje. Ale handlowanie czymś, co jest naprawdę potrzebne… – Read się uśmiechnął – to już całkiem inna para kaloszy. Trudna sprawa.

– Czyżby?

– Jasne, Trader. Wiesz, jak moi przodkowie zarobili swoje pierwsze pieniądze? Na rzece Hudson w starym Nowym Jorku. A wiesz, czym handlowali? Bobrowymi skórami, kupowanymi od Indian do wyrobu filcowych kapeluszy. Filcowe kapelusze były wówczas bardzo modne w Anglii, w innych krajach też. Czy były użyteczne? Tak. Czy były potrzebne? Nie bardzo. Filc był modny, to wszystko. A jednak takie właśnie były początki wielkiego Nowego Jorku. Tak samo jest z tytoniem. Czy jest nam potrzebny do życia? Nie. A cukier, którym handluje się na potęgę? Służy ludziom tylko częściowo: dużą część zbiorów przeznacza się na rum dla marynarzy brytyjskiej marynarki wojennej. Jak do tego doszło? Potężni właściciele plantacji trzciny cukrowej wytwarzali zbyt dużo cukru, jego ceny spadały, lobbowali więc w brytyjskim parlamencie, aby każdy brytyjski marynarz

otrzymywał dzienną rację rumu. Marynarka brytyjska stała się odbiorcą rumu, dzięki czemu cena cukru wzrosła.

– A teraz my sprzedajemy herbatę.

– Właśnie. Herbatę z Chin. Nie ma nic zdrożnego w piciu herbaty, a brytyjskie spożycie herbaty to jeden z cudów współczesnego świata. Ale czy przeciętny Brytyjczyk mógłby się obejść bez codziennej filiżanki herbaty? Oczywiście, że tak. Bardzo niewiele z tego, co robimy, mój przyjacielu, jest naprawdę konieczne. – Pokiwał głową. – Człowiek nabiera pokory, gdy sobie to uświadomi.

– Ale opium wyrządza ludziom krzywdę.

– Racja.

– A mimo to mi pomagasz.

– Przyjaźnimy się, Trader. Nikt nie jest doskonały. – Uśmiechnął się. – Tak to właśnie wygląda.

– Martwię się o Marissę, Read. Źle się czuję z tym, że ją zostawiam.

– Rozumiem. Zamierzałeś się z nią ożenić?

– Nie.

– Masz dla niej prezent na pożegnanie?

– Tak. Dam jej go rano, kiedy będę wyjeżdżał.

– Nic jej nie będzie.

– Naprawdę tak myślisz?

– Ja to wiem.

– Będziesz na nią uważał? Zajmiesz się nią?

Read mu się przyjrzał. Potem się uśmiechnął, a w oczach błysnęły mu dziwne iskierki – a może Traderowi tylko tak się wydawało?

– Jasne – odparł.

Tego wieczoru pani Willems przygotowała dla nich posiłek, a potem John Trader spędził noc z Marissą. Kochali się namiętnie; on powiedział jej, że nie chce jechać, ona odparła, że wie, iż John nie ma wyboru, i że jest jej smutno. Ale choć wyglądała na smutną, nie zamierzała płakać; uśmiechnęła się mężnie i znowu się kochali. Trader czuł do niej miłość i podziw, chociaż nawet w takiej chwili wydawało mu się, że tak naprawdę wcale jej nie poznał.

Ucieszyła się z prezentów, a jeśli nawet płakała po jego odejściu, on już tego nie widział.

Read odprowadził go do kwatery; Tully wyjechał poprzedniego dnia. Kufry i walizki Tradera były już gotowe i mężczyźni załadowali je na wóz, po czym przewieźli na nabrzeże.

Tam John z dobytkiem podręcznym wsiadł do czekającej nań szalupy. Uścisnął dłoń Reada, szalupa odbiła i załoga powiosłowała w kierunku statku stojącego na redzie u wybrzeży Makau.

Kiedy wraz z bagażami znalazł się na pokładzie, okazało się, że jest ostatnim pasażerem, na którego czekano. Wkrótce załoga była gotowa do podniesienia kotwicy.

John stał przy burcie, gdy zagadnął go przyjaźnie jakiś marynarz.

– A więc znów w drogę, sir?

– Tak, na to wygląda. – Wciąż wpatrywał się w dalekie nabrzeże.

– Był pan już w Hongkongu?

– Nie.

– Kiepska sprawa z tą wodą.

– Z wodą? Jaką wodą?

– Z wodą pitną w Hongkongu, sir. Nie słyszał pan?

– O niczym nie wiem. O co chodzi?

– Och, to paskudna historia, sir. Chińczycy postawili znaki przy wszystkich studniach w Hongkongu i wzdłuż całego wybrzeża, informujące, że zostały zatrute. Studnie, znaczy. Niezbyt to miłe z ich strony, prawda?

– Dobry Boże! To co będziemy pili?

– Nie wiem, sir. Ale nie martwmy się na zapas.

I tak John Trader opuścił Makau. Pożegnał swoją kobietę i wciąż nie wiedział, czy oprócz niej nie stracił także majątku. Nie wiedział, czy dalszy handel z Chinami w ogóle będzie możliwy ani czy w Hongkongu nie umrze z pragnienia.

* * *

Nio rozejrzał się dookoła. W dużej celi znajdowało się co najmniej pięćdziesięciu mężczyzn. On sam przebywał tam od tygodnia, inni dłużej. Wszyscy byli przemytnikami i piratami, schwytanymi i wtrąconymi do więzienia.

Od czasu aresztowania nic się nie działo. Czy czekały ich przesłuchania, sąd i śmierć? Nikt tego nie wiedział. Nio mógł powiedzieć tylko jedno

o tym miejscu: cuchnęło.

Może gdyby był z nimi Morski Smok, nie złapano by ich. Po tamtej strasznej nocy, gdy dowódcy nie udało się wydostać z siedziby Lina, Nio i pozostali wrócili do obozowiska. Nazajutrz Nio zakradł się do miasta, żeby się czegoś dowiedzieć. Został tam przez trzy dni, ale bez rezultatów.

A potem gruchnęła wieść: sierżant wygadał się znajomemu, ten zaś przekazał to dalej i wkrótce, chociaż oficjalnie niczego nie ogłoszono, wszyscy członkowie gangów, właściciele herbaciarni i oczywiście policjanci wiedzieli, że Morski Smok usiłował zabić komisarza Lina, że został schwytany i umarł na torturach, nie wypowiedziawszy ani jednego słowa, nawet własnego imienia. Stał się bohaterem całego wybrzeża. Nikt nie wątpił, że z czasem będzie się o nim mówiło w legendach jak morze długie i szerokie.

Załoga trzymała się razem, po części ze względu na pamięć swojego dowódcy, po części dlatego, że nie było dokąd pójść, a oni nie mieli nic innego do roboty. Obiecali sobie zresztą, że zostaną razem, a gdy nadejdą lepsze czasy, znowu wypłyną w morze, żeby przewozić opium i zarabiać dużo pieniędzy, jak wtedy gdy dowodził nimi bohaterski Morski Smok.

Pewnego dnia o świcie, podczas niespodziewanej obławy, zostali co do jednego schwytani i przewiezieni z obozowiska do więzienia. Może gdyby Morski Smok wciąż z nimi był, wystawiliby lepsze straże. Może zabiliby żołnierzy, którzy jakimś cudem ich wytropili.

Tymczasem wszystko skończyło się kompletną katastrofą. Nio podejrzewał, że jego życie właśnie dobiegło końca. Żałował tylko jednego: pieniędzy odłożonych w skrytce dla Starszej Siostry. Czy czasem o nim myślała? Na pewno; on myślał o niej każdego dnia.

Pieniądze wciąż znajdowały się tam, gdzie je ukrył. W dniu, w którym zjawiło się wojsko, Nio zamierzał powiedzieć towarzyszom, że musi się spotkać z rodziną, a potem potajemnie dostarczyć pieniądze Mei-Ling. Teraz przeklinał samego siebie, że nie zrobił tego wcześniej. Każdego dnia obmyślał sposoby ucieczki – nie po to, żeby samemu znaleźć się na wolności, ale po to, żeby oddać pieniądze Starszej Siostrze i móc raz jeszcze zobaczyć jej twarz.

Tego ranka zastanawiał się właśnie po raz kolejny, jak przechytrzyć strażników i wydostać się z celi, gdy przez stanowiące jeden bok celi kraty zobaczył nadchodzącą grupkę ludzi. Czterech było policjantami, jeden – młodym mandarynem.

Nio słyszał, jak ów młody mandaryn nakazuje strażnikom otworzyć drzwi celi, aby mógł wejść do środka. Strażnicy zaczęli się z nim spierać; wyraźnie nie spodobał im się ten pomysł. Wtedy młody mandaryn wspomniał o komisarzu Linie i chwilę później rozległ się zgrzyt klucza przekręcanego w zamku.

Z miejsca, gdzie Nio siedział, nie mógł dostrzec twarzy mandaryna, lecz wyglądało na to, że przybysz sprawnie wykonuje swoje zadanie: wybierał kolejnych więźniów, którzy byli następnie wyprowadzani na zewnątrz i ustawiani w szeregu.

Mandaryn podszedł do Nio i chłopak zobaczył wreszcie jego twarz. Zamarł; to był sekretarz Lina.

Nio od razu go rozpoznał, znał nawet jego imię. Miał wrażenie, jakby zaledwie wczoraj stał z nim twarzą w twarz na Hog Lane. Zaraz zostanie zdemaskowany. Spróbował ukryć się za innym więźniem, lecz jego ruch nie uszedł uwagi Shi-Ronga.

W ułamku sekundy znalazł się przy chłopaku i zajrzał mu w twarz.

– Ten – rzekł.

Nio został wyprowadzony z celi. Kazano mu stanąć w szeregu. Nie wiedział, czy to wstęp do przesłuchania, czy raczej do egzekucji.

HONGKONG

Październik 1839 roku

PEWNEGO CIEPŁEGO PAŹDZIERNIKOWEGO dnia Nio ogarnęły wątpliwości.

Na obszarach wybrzeża u ujścia Rzeki Perłowej w październiku każdego roku dobiega końca czas długiego monsunu letniego z jego tropikalnymi upałami, wzmożoną wilgotnością i ulewami. Rozpoczyna się nowa, wspaniała pora roku: niebo jest czyste i błękitne, od wody powiewa lekka bryza. Przypomina to idealne lato w Anglii, choć pogoda jest znacznie bardziej przewidywalna.

Nio stał na cyplu na samym skraju Bogue. Tuż za nim czekało cierpliwie czterech tragarzy z lektyką o ścianach z jedwabiu, a w pewnej odległości przed nim komisarz Lin i Shi-Rong wpatrywali się w wody zatoki, gdzie trwały manewry dwudziestu wojennych dżonek.

Podobnie jak obaj mandaryni, Nio również uważnie obserwował dżonki. W razie starcia z barbarzyńcami ćwiczenia miały zapewnić dzielnym marynarzom floty Niebiańskiego Królestwa przewagę pozwalającą im zniszczyć brytyjską marynarkę.

Shi-Rong był podekscytowany. Chociaż w sprawie pirata zawiódł komisarza Lina, zdążył się trochę zrehabilitować, zbierając informacje wywiadowcze w Makau. Po powrocie na stały ląd przygotował małą niespodziankę, która – miał taką nadzieję – spodoba się jego panu. Najpierw jednak mieli obejrzeć manewry. Podczas pobytu w Makau zakupił holenderską lunetę – mały mosiężny teleskop kapitański, z którego był bardzo dumny – mógł więc śledzić akcję ze szczegółami, gdy tylko ćwiczenia się zaczęły.

Musiał jednak zadać zwierzchnikowi jedno pytanie:

– W zatoce są brytyjskie okręty handlowe, ekscelencjo. Nie przeszkadza wam, że poznają naszą strategię?

– Chcę, aby ją poznali – odparł Lin. Popatrzył na wodę. – Zawsze dobrze jest postraszyć wroga, Jiang. Zasiać w jego umyśle panikę i zwątpienie. Zniszczyć morale. O to mi właśnie chodziło, gdy poinformowałem barbarzyńców, że zatruliśmy studnie w Hongkongu. Daliśmy im do zrozumienia, co moglibyśmy uczynić, gdybyśmy tylko chcieli. Dziś pokażemy, jak łatwo możemy ich rozbić na morzu. – Wskazał na wojenne dżonki. – Zaczęło się.

Strategia bitewna marynarki Chin była precyzyjna i doskonalona od pokoleń. Przy licznej flocie wroga można było posłać wypełnione materiałami łatwopalnymi brandery, aby siały zamęt i zniszczenie, ale główne natarcie zawsze wyglądało tak samo.

Wojenne dżonki, w przeciwieństwie do części niezgrabnych okrętów kupieckich, nie były duże. Przeważnie miały około stu stóp długości od dziobu do rufy. Świetnie manewrowały na wodach przybrzeżnych, patrolując je i zwalczając miejscowych piratów.

Pomimo swych małych rozmiarów stanowiły istne pływające fortece z waleczną załogą. Na pokładzie każdej z nich znajdowało się około pół tuzina dział, których zadaniem było spowalnianie okrętów wroga poprzez niszczenie masztów i olinowania. Z nadpływającej dżonki doskonale wyszkoleni łucznicy raz za razem wypuszczali chmary śmiercionośnych strzał, które kładły pokotem załogi pirackich łodzi, i dopiero potem wdzierali się na pokład.

Tego dnia armata strzelała samą przybitką, a groty strzał były stępione, jednak Shi-Rong widział, że łucznicy celowali z zabójczą precyzją, gdy ich strzały ze stukotem spadały na pokład wrogich statków.

– Admirał Guan wie, co robi – zauważył komisarz z satysfakcją. – Każdy statek dokładnie zna swoje miejsce w szyku. Cóż za doskonała koordynacja.

Shi-Rong patrzył, jak żołnierze zarzucają haki na maszty wroga i przyciągają statki do siebie, po czym, uzbrojeni w krótkie miecze oraz noże, wdzierają się tłumnie na ich pokłady – niektórzy po deskach abordażowych, inni na rozbujanych linach.

– Atakują! – zawołał Shi-Rong. – W ruch idą haki i liny. Już wchodzą na pokład. Są jak latające wiewiórki. – Roześmiał się. – Czy to prawda, ekscelencjo, że wojsko admirała jest szkolone w sztukach walki?

– Wielu z nich tak – odpowiedział Lin i z zadowoleniem skinął głową. – Barbarzyńcy zostaną rozniesieni na strzępy.

Spektakl trwał jeszcze pół godziny. Na koniec na pokładzie jednej z dżonek dało się zauważyć postawną sylwetkę samego admirała Guana, gdy jednostka wystrzeliła salwę fajerwerków na cześć komisarza. Lin pozwolił sobie na uśmiech zadowolenia.

Wreszcie nadeszła długo wyczekiwana przez Shi-Ronga chwila.

– Za pozwoleniem, ekscelencjo – odezwał się. Zrobił krok naprzód i uniósł mosiężną lunetę, tak aby odbiło się od niej słońce. Na ten znak jakby znikąd pojawiły się trzy smocze łodzie – jedna z przodu, dwie z tyłu – które dotychczas kryły się nieopodal w jednym z rzecznych dopływów. Załogi wiosłowały zawzięcie, a ich ruchy były idealnie zsynchronizowane. Na rufach powiewały czerwone chorągwie. Kiedy znalazły się na wysokości komisarza, marynarze zaczęli głośno wiwatować.

– To pańscy ludzie? – spytał Lin. – Ci uwolnieni z więzień?

– Tak jest, ekscelencjo. Mamy teraz dziesięć załóg, a w przyszłości dojdą kolejne. Patrolują wybrzeże tak, jak rozkazaliście.

– A efekty?

– Znakomite.

– To potwierdza dwie zasady, które często głosiłem – stwierdził Lin. – Po pierwsze, nigdy nie należy zabijać człowieka, który może jeszcze być przydatny. Pamięta pan, jak brzmi druga?

– Napuść złodzieja na złodzieja, ekscelencjo.

– Zgadza się. Ci złoczyńcy znają każdą zatoczkę na tym wybrzeżu i wszystkie sztuczki, do jakich uciekają się przemytnicy. Czy można sobie wyobrazić lepszych kandydatów do straży przybrzeżnej?

– Istotnie.

– A skoro już o tym mowa… – Lin zerknął na Nio – dlaczego ten młody nicpoń z blizną na twarzy nie jest na którejś z tych łodzi?

– Okazało się, że nie pochodzi stąd, ekscelencjo. Żadna z załóg nie chciała mieć go na pokładzie. Traktuję go więc jak chłopca na posyłki, z czego nader dobrze się wywiązuje.

Ta odpowiedź najwyraźniej usatysfakcjonowała komisarza.

– Czas na inspekcję fortu – oznajmił.

Tragarze ponieśli komisarza brzegiem rzeki w jego jedwabnej lektyce, Nio zaś w towarzystwie Shi-Ronga ruszył za nimi.

Nio szedł z głową nisko pochyloną na znak szacunku. Wszyscy wiedzieli, że to Shi-Rong przesłuchiwał Morskiego Smoka, co oznaczało, że należało się go obawiać. W pierwszej chwili, gdy młody mandaryn wybrał go spośród innych więźniów w celi, Nio uznał, że Shi-Rong musiał go rozpoznać. Z upływem dni stało się jednak jasne, że zaaferowany mandaryn nie miał pojęcia, kim jest młody skazaniec. Dla niego Nio był tylko jeszcze jednym nieszczęśnikiem z bezimiennej tłuszczy; co prawda miał na twarzy bliznę, ale podobne blizny znaczyły tysiące innych twarzy. Nio zamierzał zrobić wszystko, aby ten stan rzeczy nie uległ zmianie.

Ilekroć Shi-Rong wydawał mu jakieś polecenie, natychmiast je wykonywał; na zadane pytanie odpowiadał tak zwięźle, jak to możliwe. Odzywał się jedynie, gdy go o coś pytano, co nie zdarzało się zbyt często.

Jednak po sukcesie swojej małej inscenizacji Shi-Rong był w tak dobrym nastroju, że postanowił uciąć sobie z Nio przyjacielską pogawędkę.

– A zatem, młody człowieku – zagadnął go życzliwie – na co wydajesz zarobione pieniądze?

– Sługa wasz odkłada je, panie.

– W jakim celu?

– Dla mojej Starszej Siostry, panie. Są jej potrzebne.

– Aha. – Shi-Rong z aprobatą skinął głową. – To ci się chwali. A teraz na dodatek będziesz miał okazję zobaczyć jednych z najlepszych żołnierzy cesarstwa.

– Chorągwie, panie?

– Tak, mandżurskich wojowników. Nie żeby naszym Hanom czegoś brakowało – dodał – ale ci tutaj pochodzą z najlepszych mandżurskich chorągwi. Nie mają sobie równych.

– Podobno wojownicy z ludu Hakka także słyną z męstwa – rzekł Nio.

– Doprawdy? Ale nie mogą się równać z Mandżurami.

Nio nie odpowiedział.

Rzeczywiście, gdy tylko zbliżyli się do fortu, ujrzeli straż złożoną z około setki uroczyście odzianych Mandżurów, którzy uformowali szereg wizytowany obecnie przez komisarza.

Reprezentowali dwa rodzaje uzbrojenia. Łucznicy, w ściągniętych pasami płaszczach i z kołczanami pełnymi długich strzał u boku, dźwigający swoje potężne łuki kompozytowe, mieli na głowach letnie plecione kapelusze w kształcie kopuły, z guzikiem na czubku i opadającym na tył piórem. Muszkieterzy, w butach i serdakach z miękkiej skóry, z jakiegoś

powodu nosili okrągłe zimowe czapki z aksamitu, rozszerzające się lekko ku górze; Nio musiał przyznać, że prezentowali się w nich bardzo szykownie. Każdy dzierżył w dłoni długi, ciężki muszkiet.

Komisarz Lin wysiadł ze swojej lektyki i dał znak Shi-Rongowi, aby stanął tuż za nim. Nio trzymał się blisko swojego pana. Wówczas kapitan straży głośno wydał rozkaz, łucznicy zaś z oszałamiającą prędkością posłali w niebo serię strzał – jedną, drugą, trzecią. Nio był pod wrażeniem.

– To najpotężniejsze łuki na świecie – wyjaśnił mu Shi-Rong. – Strzały są tak ciężkie, że mogą przeszyć dwóch ludzi naraz.

Teraz przyszła kolej na muszkiety. Kapitan okrzykiem wydał pierwszy rozkaz:

– Proch w panewki!

Muszkieterzy szybko wydobyli prochownice i nasypali trochę prochu do zagłębień w kolbach swoich muszkietów.

– Panewki zamknąć! – Zasunęli pokrywki panewek, potrząsnęli muszkietami i ostrożnie zdmuchnęli resztki prochu.

– Proch do lufy. Ładuj! – Żołnierze sięgnęli po noszone przy koletach woreczki z prochem i opróżnili je, sypiąc proch do uniesionej lufy. W następnej kolejności do lufy wrzucana była kula muszkietowa, a po niej przybitka.

– Przybij ładunek! – Mocowany pod lufą długi pręt zwany stemplem służył do tego, aby kilkakrotnie ubić nim proch i ładunek w lufie. – Schowaj stempel! – Muszkieterzy wsunęli pręty z powrotem na miejsce, gdzie miały pozostać aż do następnego ładowania.

Nio uważnie śledził ten skomplikowany proces. Piraci Morskiego Smoka nie posługiwali się bronią palną, pierwszy raz widział więc coś podobnego.

Shi-Rong spojrzał na niego z uśmiechem.

– To jak ładowanie armaty – zauważył.

– Szykuj lont! – padł rozkaz kapitana. Muszkieterzy ujęli tlące się sznurki, trzymane dotychczas w lewej ręce, i przytwierdzili je do metalowego zamka w kształcie litery S znajdującego się nad panewką. Upewniwszy się, że zamek opadnie bezpośrednio na panewkę, dmuchnęli na tlące się końce, żeby rozniecić płomyk.

– Baczność! – zawołał kapitan, a żołnierze wycelowali muszkiety. – Otworzyć panewki! – Prawym palcem wskazującym i kciukiem każdy muszkieter odsunął pokrywkę panewki, odsłaniając proch.

– Ognia! – krzyknął kapitan. Po naciśnięciu spustu zamki opadły na otwarte panewki, proch zapalił się, rozległ się głośny huk i z luf wszystkich muszkietów błysnęły języki ognia, a po nich buchnęły kłęby ciemnoniebieskiego dymu. Ze wszystkich, poza trzema, które nie wypaliły.

– Doskonale! – wykrzyknął komisarz Lin, odwracając się ku Shi-Rongowi.

– Znakomicie – zawtórował mu sekretarz i zerknął na Nio. – No, a ty co powiesz?

Nio zmarszczył brwi. Całość, od pierwszego rozkazu do salwy muszkietów, zajęła pełną minutę.

– Wszystko odbywa się bardzo wolno – wymamrotał niepewnie. Pomyślał, jak błyskawicznie poruszali się Morski Smok i jego piraci. – Czy nieprzyjaciele nie rzucą się na nich, zanim będą gotowi do strzału?

– Co on mówi? – zainteresował się Lin.

Gdy Shi-Rong przekazywał wielkiemu komisarzowi jego słowa, Nio się skulił. Jak mógł być taki głupi? Wystarczyło odpowiedzieć: „Wspaniale, panie” albo coś w tym rodzaju. Czy teraz Lin rozgniewa się na niego i wtrąci z powrotem do więzienia?

Ale pomylił się co do tego wielkiego człowieka; komisarz Lin szczycił się tym, że interesuje go, jak działają różne rzeczy.

– Słuszne pytanie – rzekł. – Proszę mu wyjaśnić – polecił Shi-Rongowi – że w naszej armii panuje tak doskonały porządek, ponieważ każdy element wspiera pozostałe. Kiedy muszkieterzy ładują broń, chroni ich mur pikinierów. A gdy strzelają, tym, co budzi przerażenie wroga, są nie tylko hałas i dym, ale także kule muszkietowe, wykonane z ołowiu. Po uderzeniu w cel przenoszą impet wystrzału, zadając wrogowi rozległe rany. Raz widziałem, jak po postrzale w bark urwało człowiekowi ramię. Kula z muszkietu zwykle oznacza śmierć. – Ponuro pokiwał głową. – Od ponad dwustu lat świat drży przed naszymi wojskami.

Kiedy wspięli się na potężne mury obronne z suszonych na słońcu cegieł, otaczające fort wzniesiony z granitowych bloków, Shi-Rong z podziwem rozejrzał się dokoła. Wszystkie fortyfikacje zostały wzmocnione. To samo dotyczyło bastionu na przeciwległym brzegu rzeki. Gdy dotarli do baterii nadbrzeżnej i spojrzeli na długi szereg potężnych armat spoczywających na stanowiskach z granitu, sekretarz mruknął do siebie:

– Doskonale.

Tutaj również czekał komisarza imponujący pokaz. Najpierw wszystkie działa wypaliły z ogłuszającym hukiem. Zgromadzeni obserwowali, jak daleko na rzece kule armatnie wzbijają fontanny wody. Chwilę później ujrzeli kłęby dymu, po czym rozległ się huk baterii artyleryjskiej z oddalonego o prawie dwie mile brzegu. Po tym spektaklu oficer artylerii poprowadził Lina i Shi-Ronga wzdłuż linii armat, aby mogli dokonać inspekcji załóg.

Nio zaczekał, aż Lin się oddali, podszedł do najbliższej armaty i przyjrzał jej się z ciekawością. Ależ to była piękna bestia! Zewnętrzna powierzchnia potężnej lufy była mocno poobijana.

– Wygląda na starą – zwrócił się do starszego kanoniera.

– Ma ponad sto lat, ale strzela jak nowa – odparł krzepki mężczyzna.

Nio przyjrzał się uważniej olbrzymiemu działu. Musiało być bardzo ciężkie, nie dostrzegł jednak żadnego mechanizmu sterowania.

– Jak się z tego celuje? – zapytał.

– Lufa jest nieruchoma. Nie trzeba jej nakierowywać na cel. Czekamy, aż statek znajdzie się w prostej linii przed nami, a wówczas strzela cała bateria naraz. To samo robi bateria naprzeciwko.

– Drugi brzeg wydaje się bardzo odległy. Czy kule dosięgłyby okrętów płynących środkiem rzeki?

– Pomiędzy następnymi dwoma fortami w górze rzeki koryto jest znacznie węższe. Mysz się tamtędy nie prześliźnie.

– A gdyby smoczej łodzi udało się podpłynąć blisko brzegu, pod linią ognia?

– Zajęłaby się nią nasza piechota. Mam rację?

– Chyba tak. – Nio dalej się nad czymś zastanawiał. – A co, jeśli nieprzyjacielski statek zacznie was ostrzeliwać ze swoich dział?

– Działa okrętowe nie są aż takie duże. Zresztą nic nie przebije tych murów obronnych. To niemożliwe. – Kanonier się roześmiał. – Rozniesiemy ich okręty w drzazgi, możesz być tego pewien. Nie zdołają się przedostać w górę rzeki.

– Rozumiem – odrzekł grzecznie Nio. – Dziękuję.

Po powrocie komisarz i Shi-Rong wyglądali na bardzo zadowolonych.

– Zapytaj go, co sądzi o naszej baterii armat – polecił sekretarzowi z uśmiechem Lin. – Czy jest dla niego wystarczająco dobra?

Shi-Rong powtórzył pytanie. Tym razem Nio wolał nie ryzykować.

– Jest naprawdę wspaniała, panie – rzekł.

Lin wsiadł do swojej lektyki i zagadnął Shi-Ronga:

– Jak się miewa pański czcigodny ojciec? Kiedy znów będzie pan do niego pisał?

– Miałem zamiar napisać dzisiaj wieczorem, ekscelencjo.

– Kiedy skończy pan swój list, zapraszam do siebie. Chciałbym coś do niego dodać.

Było już dość późno, gdy Shi-Rong znalazł się przed biblioteką, gdzie pracował jego pan. Widoczna spod drzwi smuga światła powiedziała mu, że komisarz nadal tam jest.

– Poleciliście mi przyjść, gdy skończę pisać do ojca, ekscelencjo.

– Tak, istotnie. Mogę zobaczyć?

Shi-Rong położył pismo na stole. To był dobry list; poza zwyczajowymi pytaniami o zdrowie ojca i ciotki zawierał krótki opis ostatnich obowiązków młodego mandaryna, a także obrazową relację z wydarzeń minionego dnia. Shi-Rong powstrzymał się od pochlebstw, lecz było jasne, że darzy swojego pana najwyższym szacunkiem; zresztą taka była prawda.

Lin przeczytał, chrząknął z aprobatą i odłożył list na stół, po czym poprosił Shi-Ronga, aby usiadł.

– Rozważam wysłanie prywatnej wiadomości do Elliota – oznajmił komisarz. – Zanim to jednak uczynię, chciałbym usłyszeć, co pan o tym myśli. – Shi-Rong skłonił się, a Lin ciągnął: – Niedawno, wskutek nieszczęśliwego wypadku, utonął pewien brytyjski marynarz. Woda wyrzuciła jego ciało na brzeg.

– Słyszałem, ekscelencjo.

– Byłoby dla nas dogodne, gdyby topielec okazał się tym samym człowiekiem, którego wydania domagaliśmy się w związku z zamordowaniem naszego nieszczęsnego wieśniaka. Sprawa mogłaby wówczas zostać zamknięta i nikt nie straciłby twarzy – ani my, ani Brytyjczycy. Co pan o tym sądzi?

– Wasza ekscelencja jest niezwykle przebiegły – zauważył z uśmiechem Shi-Rong.

– Cesarz nie oczekuje od nas, że będziemy głupcami.

– To Elliot byłby głupcem, gdyby nie przyjął waszej oferty – odparł Shi-Rong. – Czy mogę jednak o coś zapytać?

Lin krótko skinął głową.

– Nasze siły są przytłaczające i barbarzyńcy muszą zdawać sobie z tego sprawę. Wy tymczasem wspaniałomyślnie proponujecie im kolejne ustępstwo. Cały czas zastanawiam się, czy nigdy nie kusiło was, aby raz na zawsze pozbyć się brytyjskich barbarzyńców.

– Mnie osobiście? – Lin się uśmiechnął. – Oczywiście, że kusiło. Ale niewłaściwie sformułował pan pytanie. Liczą się życzenia cesarza, nie moje. Co dokładnie polecił mi zrobić cesarz?

– Powstrzymać przemyt opium.

– Zgadza się. Czy kazał mi wszczynać wojnę z barbarzyńcami?

– Na razie nie, ekscelencjo.

– Na dużą skalę handlujemy z nimi herbatą. Nasi rolnicy ją uprawiają, a gildia kupiecka sprzedaje. Czy cesarz kazał mi zniszczyć handel herbatą?

– Nie, ekscelencjo.

– Sprawa jest zatem bardzo prosta. Brytyjczycy mogą handlować herbatą, ale nie mogą przemycać opium, w związku z czym muszą się pisemnie zobowiązać do przestrzegania naszego prawa. Według Elliota zakazują im tego ich rodzime przepisy – dlatego powinny zostać zmienione. Mam nadzieję, że ich władczyni zdążyła już przeczytać moje pismo. Jeśli kieruje się w życiu sprawiedliwością, zabroni swoim kupcom handlować opium i nakaże im natychmiast poddać się naszemu prawu. Problem zostanie rozwiązany, a moje zadanie dobiegnie końca. – Umilkł. – Czy handel herbatą jest kontynuowany?

– Tak, ekscelencjo. Przewożą ją teraz amerykańskie statki.

– W rzeczy samej. Amerykanie i pozostali barbarzyńcy, którzy podporządkowali się naszym prawom, mogą wpływać na rzekę i kupować herbatę. Tymczasem kupcy brytyjscy nie mają tutaj wstępu. Herbata oczywiście dociera do Wielkiej Brytanii, ale brytyjscy kupcy nie mogą jej przewozić. Amerykanie i inni przejmują wszystkie statki transportujące herbatę i czerpią z tego zyski, podczas gdy kupcy brytyjscy zostają z niczym i nie mogą za to winić nikogo poza sobą.

– Czy to prawda, ekscelencjo, że Amerykanom pozwolono podpisać mniej rygorystyczne zobowiązanie, które nie wymaga od nich podporządkowania się naszemu wymiarowi sprawiedliwości?

– To zobowiązanie zostało spisane w ich własnym języku, więc trudno mi to ocenić. – Przebiegły urzędnik pozwolił sobie na słaby uśmiech. –

Poza tym łotrem Delano Amerykanie praktycznie nie zajmują się przemytem opium, więc nie ma znaczenia, co podpisują.

– Nie sądzicie, ekscelencjo, że powodowani chciwością Brytyjczycy byliby w stanie nas zaatakować?

– Któż to może wiedzieć? – odparł Lin, autentycznie skonsternowany. – Nie zdołałem dotychczas pojąć zasad, jakimi się kierują.

Ponownie wziął do ręki list Shi-Ronga. Ująwszy pędzelek, zanurzył go w atramencie, wybrał odpowiednie miejsce na papierze, nakreślił szybko kilka znaków i zwrócił list Shi-Rongowi, który z zaciekawieniem przeczytał, co napisał jego pan.

Szczęśliwy pan, którego sekretarz wzbudza zaufanie;
szczęśliwy ojciec, którego syn wzbudza pochwały.

Perfekcyjny chiński duilian: dwuwierszowa sentencja, w której jeden wiersz stanowił odzwierciedlenie drugiego, a każde słowo znajdowało się pod względem gramatycznym w idealnej równowadze z pozostałymi. Jeśli zaś chodzi o elegancką kaligrafię, każde pociągnięcie pędzelka świadczyło o czystości duszy i poczuciu sprawiedliwości piszącego. Odczytawszy wiadomość, Shi-Rong pomyślał o radości, jaką sprawi ona jego ojcu, i do oczu napłynęły mu łzy.

Skłonił się w pas, pragnąc okazać swojemu panu szacunek i zarazem ukryć wzruszenie.

* * *

– Przeklęty Hongkong! – burknął Tully, stojący obok Johna Tradera na pokładzie statku, który już od wielu tygodni był ich domem. Powtarzał tak co rano. Z górującym w tle ostrym szczytem Wzgórza Wiktorii panorama Hongkongu prezentowała się niezwykle malowniczo, ale nie dla Tully’ego Odstocka.

– Przynajmniej możemy liczyć na dostawy żywności ze stałego lądu – podkreślił Trader. – I jednak nie zatruli nam studni.

– A szkoda – mruknął Tully. Z wybałuszonymi oczami wpatrywał się gniewnie w wody, na których od tygodni cumowały brytyjskie okręty. –

Prędzej umrę, niż będę tak dalej żyć.

Trudno go było winić; wszyscy mieli już serdecznie dość tej sytuacji.

– Przynajmniej jesteśmy bezpieczni – odparł uspokajającym tonem Trader.

– Raczej tkwimy tu jak banda rozbitków. Przykuci do tej przeklętej skały. – Odstock ruchem głowy wskazał daleki szczyt. – Niech pan tylko spojrzy! – Rozwścieczony wyciągnął swoje krótkie ręce w stronę kotwicowiska. – Cumuje tu siedemdziesiąt brytyjskich okrętów i z ani jednego nie ma cholernego pożytku!

– Trzeba nam cierpliwości – zasugerował nieśmiało Trader.

– Trzeba nam herbaty – warknął Tully. Milczał przez chwilę. – Widział pan list, który mi rano dostarczono na pokład? Napisał do mnie ojciec z Londynu. – Wyjął list z kieszeni. – Czytaj pan.

Odręczne pismo Ebenezera Odstocka było zdecydowane, lecz najwyraźniej zaczynał już odczuwać skutki starości.

– Przykro mi, że ma takie kłopoty z zębami – odezwał się Trader. Tully tylko prychnął z lekceważeniem. – I z nogą: pisze, że z trudem dociera do biura, nawet o lasce. – Kolejne prychnięcie. Trader zaczął czytać na głos: – „Obawiam się także, że mózg mój staje się otępiały”.

– Stary drań – mruknął Tully.

– „Zważywszy na niepewną sytuację handlu z Chinami – czytał Trader – przewiduje się deficyt herbaty na rynku, a jej cena może znacznie wzrosnąć. Byłbym wdzięczny, mój drogi synu, gdybyś w najbliższym możliwym terminie przysłał mi tyle herbaty, ile zdołasz”.

– A ja nic nie mogę zrobić – lamentował Tully. Traderowi wydawało się dziwne, że ten grubiański kupiec w średnim wieku wciąż odczuwa taki lęk przed swoim ojcem.

– Wiosenne zbiory z głębi kraju – najlepsze zbiory, do diabła! – właśnie docierają do Kantonu. Joker sprzedałby mi tyle herbaty, ile zdołałbym kupić. Mógłbym mu zapłacić w srebrze, mam nawet do dyspozycji statek, ale nie popłynę w górę rzeki, bo nie wolno mi podpisać zobowiązania Lina.

– Nie możemy się dogadać z jakimś amerykańskim kupcem?

– Próbowałem. Wszyscy są zajęci. Przypływają tu statkami wyładowanymi po brzegi bawełną, a odpływają z transportami herbaty. A ja nie mogę z tego nic uszczknąć.

– Nie moglibyśmy po prostu podpisać tego przeklętego zobowiązania? Obiecać, że nie będziemy przewozić opium? Tylko na razie, rzecz jasna.

Tully pokręcił głową.

– Nie lubię Elliota, ale co do jednego ma rację. Musimy trzymać się razem. Powiedzieliśmy Linowi, że żaden brytyjski kupiec nie może podpisać zobowiązania, które podporządkuje go prawu chińskiemu. To absolutnie wykluczone. Ale jeśli choć jeden z nas się wyłamie… cały plan spali na panewce. Nie będzie się na czym oprzeć. Jeśli raz podporządkujemy się chińskiemu prawu, już zawsze będą nas trzymali pod butem. Każdy chiński sędzia będzie nas mógł torturować i wieszać, kiedy go najdzie ochota. – Pokiwał głową z ponurą miną. – Trudno. Będę musiał odpisać staruszkowi, że nie dostanie swojej herbaty.

– Na pewno zrozumie – pocieszył go Trader.

– Nie zna go pan.

– Chyba mam pewien pomysł – odezwał się Trader po chwili milczenia.

Niewielki statek, nieobciążony żadnym ładunkiem, sunął lekko po wodzie. Rankiem następnego dnia wyłonił się z cienia rzucanego przez najwyższy szczyt Hongkongu i skierował na drugą stronę zatoki.

Gdy byli w połowie drogi, Trader dostrzegł w oddali chińską wojenną dżonkę, a po godzinie smoczą łódź.

Żadna z jednostek nie zbliżyła się jednak do ich stateczku. Zapatrzony w położone za wodą wzgórza Makau, zastanawiał się, czy uda mu się jeszcze zobaczyć Marissę.

Pamiętał swoje niezręczne zachowanie, kiedy się rozstawali – jak kochanek, który nie obiecuje powrotu. Może miała już innego mężczyznę? Ale jeśli nie? Powróciły do niego wspomnienia dotyku jej skóry, włosów pod jego palcami, zapachu… Jak wyglądałoby ich ponowne spotkanie? Co by się wydarzyło?

Przed południem ujrzał wysoko na wzgórzu gładką, błyszczącą w słońcu fasadę katedry. I tak musiał się tam wspiąć, żeby odszukać Reada, zakładając oczywiście, że Amerykanin wciąż przebywa na wyspie. Musiał tam być; przyjaciel nie zniknąłby, nie dawszy mu znać.

Kiedy stanęli na redzie, zobaczyli nadpływającą szalupę. Przeprawa na ląd zajęła im mniej niż pół godziny; Trader ani się obejrzał, jak znów znalazł się na przystani. Był gotów rozpocząć mozolną wspinaczkę na wzgórze, gdy – ku swemu wielkiemu zdziwieniu – w odległości niespełna pięćdziesięciu jardów od siebie ujrzał krzepkiego Amerykanina.

– A niech mnie, toż to młody Trader. – Read podszedł do niego z ręką wyciągniętą na powitanie. – Co cię tu sprowadza, przyjacielu?

– Przypłynąłem się z tobą zobaczyć. Szedłem akurat do domu pani Willems.

– Ach. – Czyżby oblicze Reada na moment spochmurniało? Jeżeli nawet, to niemal natychmiast jego wargi rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. – W takim razie właśnie mnie znalazłeś.

– Czy pani Willems dobrze się miewa?

– Tak.

– A Marissa?

– Nie ma jej na wyspie. Pojechała odwiedzić rodzinę.

Usiedli w portugalskiej tawernie, a Trader wyjaśnił przyjacielowi, czego potrzebuje.

– Chcecie, żebym w waszym imieniu przejął jako amerykański przedsiębiorca wasze umowy z tym chińskim kupcem, którego nazywacie Joker, wywiózł herbatę z Huangpu na pokładzie statku, który stoi teraz na redzie w Makau, i dostarczył ją do Hongkongu? A Odstockowie mi za to zapłacą?

– I to hojnie.

– Dajecie statek i płacicie za cały towar.

– Zgadza się.

Read zaciągnął się cygarem.

– To fakt, że brakuje mi ostatnio mocnych wrażeń – przyznał. Uśmiechnął się. – Makau to dobre miejsce, ale powoli zaczynam się tutaj nudzić.

– W takim razie nie powinieneś się wahać – zachęcił go Trader.

– Chyba udałoby mi się otrzymać od tutejszego gubernatora dokumenty potwierdzające, że jestem uczciwym amerykańskim kupcem. To nie powinno stanowić żadnego problemu, bo niedawno wyświadczyłem mu przysługę. Musielibyśmy oczywiście wywiesić amerykańską flagę. I może zmienić także nazwę statku. – Zastanowił się. – „Yankee Lady” – co ty na to? Masz załogę i szypra?

– Zwerbowaliśmy dobrą chińską załogę. Mat zna statek oraz tutejsze wody.

Read pokręcił głową.

– Potrzebny będzie szyper. Ale nie martw się. Znam jednego w sam raz dla ciebie.

– Gdzie?

– Tutaj. Właśnie na ciebie patrzy.

– Dowodziłeś już statkiem?

– Nie raz. Poza tym, co już ustalone, zapłacicie mi tyle co szyprowi i umowa stoi.

– Zgoda.

– Załatwmy więc od razu te papiery od gubernatora.

Biuro gubernatora znajdowało się na Praia Grande. Dobrze było znów spacerować po pięknej, wygiętej w łuk promenadzie. Trader niemal spodziewał się zobaczyć na nabrzeżu Tully'ego Odstocka, zażywającego popołudniowej przechadzki.

Gdy dotarli na miejsce, Read wyjaśnił asystentowi gubernatora, z czym przychodzi, ten zaś zaprowadził ich do poczekalni. Nie musieli długo czekać; w ciągu kilku minut asystent stanął w drzwiach i oznajmił:

– Gubernator może pana przyjąć, panie Read.

Kwadrans później Read wrócił, wymachując dokumentami i wyglądając na bardzo zadowolonego z siebie.

– Tutaj jest wszystko, czego potrzebujemy. Chodź. – Był bardzo ożywiony.

– Idziemy do ciebie? – spytał Trader, kiedy wyszli na Praia Grande.

– Ja idę. Ty nie – odparł stanowczo Read. – Lepiej od razu wracaj na statek. Niech załoga namaluje na dziobie nową nazwę, a ja się w tym czasie spakuję. Wypłyniemy przed wieczorem.

Podczas gdy jeden z członków załogi malował na dziobie litery – „Yankee Lady" – które wcześniej napisał kredą, Trader spoglądał na Makau, gdzie wysoko na wzgórzu połyskiwała w słońcu gładka fasada katedry. Myślał o Marissie.

– Wszystko gotowe – oznajmił, gdy Read w końcu się pojawił. – Wracam na ląd. Łatwo znajdę tam jakąś łódź, która odstawi mnie z powrotem do Hongkongu.

Read dziwnie na niego spojrzał.

– Potrzebuję cię w Kantonie, Trader – rzucił stanowczo. – Znasz tego Chińczyka Jokera. Powiesz mu, że może dobić ze mną targu. Bez ciebie nie płynę.

Trader nie był zadowolony z takiego obrotu spraw, spodziewał się jednak, że niewiele może na to poradzić.

Wieczorem, gdy ruszyli na północ zatoki, odważył się zapytać:

– Jak się miewa Marissa?

– Wszystko u niej w porządku.

– Ma nowego kochanka?

– Nie twój interes – odburknął Read. Po jakiejś minucie dodał: – Wiedz, że kiedy porzucasz młodą kobietę, to już do niej nie wracasz. To by ją tylko jeszcze bardziej zraniło.

Rankiem w Bogue Read pokazał dwóm urzędnikom swoje dokumenty i podpisał gwarancję, że nie przewozi na pokładzie opium. Chińczycy szybko sprawdzili ładownię i dali mu przepustkę uprawniającą do dalszej podróży. Przed południem przybili do brzegu w Huangpu i przed wieczorem byli już w drodze z kantońskich faktorii do domu starego Jokera.

Szacowny członek kohongu wielce się uradował na ich widok.

– Pan Trader! – Rozpromienił się. – Minęło tyle czasu! Czy pański przyjaciel napije się herbaty?

Nazajutrz uparł się towarzyszyć im obu podczas rejsu w dół rzeki do Huangpu, aby osobiście dopilnować załadunku herbaty na statek.

Dokonawszy inspekcji towaru, Tully Odstock okazał wielkie zadowolenie. Wydał z siebie pełne aprobaty chrząknięcie, ciepło uścisnął dłoń Reada, a Tradera poklepał po plecach.

– Nie sądziłem, że tak szybko się uwiniecie – przyznał.

– Wypłynęliśmy z Makau jeszcze tego samego dnia – wyjaśnił Trader. – A z Huangpu ruszyliśmy prosto do Hongkongu.

Tully w pełni zaakceptował uzgodnione z Readem warunki i od razu mu zapłacił.

– Nie powtórzyłby pan tego? – zapytał Amerykanina.

– Kiedy tylko zechcecie.

Tego wieczoru zjedli wspólnie kolację na pokładzie statku Tully’ego. Później Read powiedział, że chciałby porozmawiać z Odstockiem w cztery

oczy, Trader wyszedł więc na pokład, żeby popatrzeć na zachód słońca. Z miejsca, gdzie kotwiczył statek, widać było rozrzucone po morzu wyspy. W czerwieni zachodu ciemnozielone zbocza Wzgórza Wiktorii nabrały pomarańczowego odcienia, by potem wolno zmienić barwę na indygo i wreszcie, gdy z kajuty wynurzył się Read, na głęboką czerń.

– Wracam na statek – oznajmił. – Jutro przeniesiemy herbatę na większą jednostkę. Potem popłynę do Huangpu po więcej herbaty.

– Mam płynąć z tobą?

– Nie, Odstock potrzebuje cię tutaj. Dobranoc.

Po jego odejściu Trader stał jeszcze przez chwilę na pokładzie. Nocne niebo jaśniało od gwiazd. Znowu pomyślał o Marissie; miał wielką ochotę ponownie ją zobaczyć. Nawet nie po to, żeby z nią pomówić, tylko żeby na nią popatrzeć. Zastanawiał się, czy nie zdołałby pod jakimś pretekstem przedostać się do Makau.

Wreszcie zszedł pod pokład. Tully leżał w swoim hamaku, ale jeszcze nie spał. W świetle lampy Traderowi wydawało się, że wspólnik przygląda mu się zamyślony. Nic jednak nie powiedział, więc Trader też się położył, zamknął oczy i zasnął.

Kolejne dwa tygodnie upłynęły całkiem spokojnie. W tym czasie Read aż dwukrotnie wyprawiał się do Huangpu po herbatę; podczas drugiej wyprawy udało mu się także przewieźć ładunek bawełny.

Nie próżnował, w przeciwieństwie do Tradera. Młody człowiek trzy razy prosił Tully’ego, aby ten pozwolił mu popłynąć do Makau, lecz wspólnik stale mu odmawiał. Podobnie jak inni zmuszony był zatem spędzać większość czasu na pokładzie, choć razem z Tullym zdarzało im się także odwiedzać znajomych na innych statkach w poszukiwaniu najnowszych plotek i rozrywki. A także nowin, rzecz jasna; tych jednak nie docierało tu zbyt wiele.

– Faktem jest, że nie ma się co spodziewać nowych wiadomości – oznajmił Tully – i już panu mówię dlaczego. Mamy do czynienia z patową sytuacją. Chodzi o zasady. Chińczycy mówią: „Będąc w Chinach, macie przestrzegać naszych praw”, a my odmawiamy. I tyle. Cała reszta to puste gadanie. Lin proponuje, że zapomni o tym wieśniaku, którego zabili nasi marynarze, o ile zgodzimy się przestrzegać w przyszłości miejscowych praw. Dobre

sobie! Elliot już mu odpowiedział: „Możecie kontrolować nasze statki, sprawdzać, czy nie przewożą opium, zanim przepuścicie nas w górę rzeki. Ale nie podlegamy waszym prawom i nie podpiszemy żadnego zobowiązania”. Pusta gadanina.

– Słyszałem – odezwał się Trader – że niektóre brytyjskie statki wpływają na rzekę, licząc na to, że jeśli Lin zgodzi się je przepuścić po inspekcji, dotrą do Huangpu przed innymi i zdobędą najlepsze gatunki herbaty.

– Wiem. Mówię o nich, że żyją nadzieją. Mogą tkwić na tej rzece tygodniami, ale Lin nie da się na to nabrać. To kwestia zasad. Podpisz zobowiązanie. Przestrzegaj naszego prawa albo idź do diabła.

– Elliot gra na czas, prawda?

– Moim zdaniem czeka na marynarkę wojenną. – Tully wzruszył ramionami. – O ile Londyn zdecyduje się ją wyekspediować.

Z Londynu nie nadchodziły jednak żadne wieści. Ani słowa.

Był pogodny, słoneczny dzień, gdy grupa kilkunastu młodych ludzi, którzy mieli już dość kiszenia się na statkach, postanowiła wspiąć się na szczyt Wzgórza Wiktorii. Jednym z nich był John Trader.

Minęli rozsiane po przybrzeżnej osadzie chaty rybaków i wkrótce znaleźli się w porastającym zbocza gęstym lesie. Z początku szło im się łatwo. Większość wzięła ze sobą laski, zabrali też wystarczającą ilość prowiantu i wina, żeby urządzić piknik na szczycie.

Stopniowo jednak wspinaczka stawała się coraz bardziej forsowna. John zauważył, że zaczyna się pocić. Uśmiechnął się na myśl, że wreszcie ma okazję rozprostować nogi i zażyć trochę ruchu. Szli teraz ścieżką okrążającą rozległe wzgórze i minęła prawie godzina, zanim, po pokonaniu około dwóch trzecich drogi, natrafili na skalne wychodnie, gdzie przystanęli, aby popatrzeć na znajdującą się ponad tysiąc stóp w dole wodę i wystawić twarze na chłodną bryzę.

Na ostatnim odcinku drzewa przerzedziły się, a na ścieżce coraz częściej pojawiały się kamienie i wystające korzenie drzew. Szło się teraz gorzej, lecz nie minęło wiele czasu, a dotarli na szczyt.

Z wysokości tysiąca ośmiuset stóp roztaczała się zapierająca dech w piersiach panorama Hongkongu.

Wreszcie ktoś z nich przemówił:

– Wiedziałem, że to piękna przystań, ale dopiero stąd naprawdę widać rękę Stwórcy.

To prawda, pomyślał Trader. Już sama skalista wyspa o wysokich brzegach zapewniłaby bezpieczne schronienie na wodach oddzielających ją od lądu, lecz gdyby nie błogosławieństwo dodatkowej osłony, monsunowe wichry, wdzierające się przez szerokie ujście zatoki, wzburzałyby hongkońskie wody, czyniąc z nich iście piekielny kocioł.

W odległości zaledwie kilku mil na zachód, pomiędzy Hongkongiem a zatoką, leżała podłużna, wąska wyspa z wysokim pasmem górskim. Była to Lantau, która na podobieństwo chińskiego parawanu tworzyła zachodnią pierzeję rozległej, bezpiecznej przystani Hongkongu.

Stwórca uczynił jednak coś jeszcze: w połowie długości kanału hongkońskiego ogromny chiński kontynent wysuwał w kierunku wyspy rozdwojony smoczy język. Był to szeroki, nisko położony cypel znany jako Koulun, dzielący kanał na dwie części, zachodnią i wschodnią, połączone wąskim przesmykiem. Statki, które płynęły tamtędy na wschód, trafiały do innej, mniejszej przystani, znanej jako zatoka Koulun, w której ciasnych objęciach mogły przetrwać nawet najgorszy tajfun.

Trudno się było dziwić, że John Trader powiedział: „Portugalczycy mają Makau. Może my powinniśmy zająć ten zakątek?”.

Piknik dobiegł końca i wszyscy zbierali się do drogi powrotnej na dół, gdy Trader zauważył coś dziwnego.

Wśród zbiorowiska masztów na wielkim hongkońskim kotwicowisku znajdowały się tylko dwa okręty Królewskiej Marynarki Wojennej, oba niezbyt duże. „Ulotny” miał na pokładzie dwadzieścia osiem dział, po tuzinie na każdej burcie oraz cztery dodatkowe na tylnym pokładzie, dzięki czemu kwalifikował się do miana fregaty. „Hiacynt” był slupem, uzbrojonym w szesnaście armat i dwie dziewięciofuntowe półkolubryny na dziobie.

Uwagę Tradera zwróciła lekka łódź wiosłowa przewożąca kogoś na „Ulotnego”. Zatrzymawszy się, aby pasażer mógł wejść na pokład, przybiła następnie do „Hiacynta”, gdzie pozostała przez kilka minut. „Ulotny” tymczasem podniósł kotwicę. Wkrótce „Hiacynt” poszedł za jego przykładem i oba statki odpłynęły w kierunku zatoki.

Trader zagadnął towarzyszy i pokazał im oddalające się statki.

„Skąd taki pośpiech, do diaska?”

Jednak nikt nie potrafił mu odpowiedzieć.

Kilka godzin później Tully przekazał mu nowiny.

– Nie wiem dlaczego – lamentował – ale zawsze, gdy dzieje się coś złego, katastrofa spada na nas bez ostrzeżenia.

– Mówi pan, że brytyjski statek handlowy przypłynął bezpośrednio z Londynu? I że zignorował instrukcje Elliota?

– Tak. Dotarł od strony Bombaju. Wpłynął do Zatoki Kantońskiej, nie zatrzymując się i nikogo o nic nie pytając, po czym skierował się wprost do Bogue. A kiedy Chińczycy oznajmili kapitanowi, że musi podpisać zobowiązanie komisarza Lina, ten złożył swój przeklęty podpis, jakby to był byle świstek, po czym ruszył prosto do Huangpu.

– Może nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi?

– O, dobrze wiedział, o co toczy się gra. I nic go to nie obchodziło. Podciął gałąź, na której wszyscy siedzimy. Cała flota handlowa, Elliot, brytyjski rząd, wszyscy.

– Moglibyśmy powiedzieć Linowi, że to była pomyłka.

– Nonsens. Odpowie: „Twierdziliście, że żaden kapitan brytyjskiego statku nie może podpisać takiego zobowiązania. Okłamaliście mnie. Jeśli człowiekowi prosto z Londynu wolno przestrzegać chińskiego prawa, to wam także. Koniec dyskusji”. Na jego miejscu zareagowałbym tak samo.

– To co teraz zrobimy?

– Elliot zabrał „Ulotnego” i „Hiacynta” w górę zatoki. Rzekomo po to, aby chronić nasze statki tkwiące na rzece w oczekiwaniu na rozwój sytuacji, ale tak naprawdę chce się upewnić, że ich kapitanowie nie wpadną na ten sam pomysł i też nie podpiszą zobowiązania.

– A co teraz zrobi Lin?

– Któż to wie? Powie, że mamy podpisać zobowiązanie albo się stąd wynosić. Mam nadzieję, że odmówimy. Wtedy może nam odciąć dostawy. Jest do tego zdolny. Albo zatruć studnie. Bóg raczy wiedzieć, jak postąpi.

– Czy dojdzie do walki?

Tully się zastanowił.

– Pomijając fakt, że Elliot dysponuje tylko dwoma okrętami wojennymi, nie ma upoważnienia do wszczynania wojny. – Urwał. – Nie jestem też pewien, czy Lin je ma.

– Czyli na razie nie będziemy walczyć.

– Tego nie powiedziałem. Wojny są jak zamieszki. Często wybuchają przez przypadek.

* * *

Nio stał przed drzwiami Shi-Ronga. Był wieczór i właśnie zapalono latarnie. Od trzech dni kwaterowali z artylerzystami w forcie, aby na wszelki wypadek być w pobliżu. Teraz wreszcie nadszedł czas.

Nio zobaczył idącego komisarza Lina i otworzył drzwi, aby go zapowiedzieć. Gdy komisarz wszedł do środka, Shi-Rong z szacunkiem wstał od stołu, przy którym pisał. Nio zamknął drzwi, ale tym razem pozostał w izbie, ciekaw, o czym będzie mowa. Ani Shi Rong, ani Lin zdawali się nie zauważać jego obecności.

– Jutro rano? Jest pan pewien? – spytał ostro Lin.

– Jestem pewien, ekscelencjo. Dwie z moich smoczych łodzi śledziły ich przez całą drogę. Przeciwne wiatry nadal spowalniają barbarzyńskie okręty wojenne, ale przed świtem powinniśmy zobaczyć je z cypla. Dowodzi kapitan Smith, ale moi ludzie sądzą, że Elliot jest na pokładzie.

– Dobrze się pan spisał. – Lin zamilkł na moment. – Źle zrobiłem, proponując Elliotowi kompromis w sprawie tamtego zabójstwa. W ogóle nie powinienem był z nim negocjować. Własnymi czynami dowiódł swojej prawdziwej natury. Twierdził, że brytyjscy kapitanowie nie mogą podpisać zobowiązania. Teraz już wiemy, że kłamał. Ten człowiek ma za nic prawdę i prawo. To zwykły pirat i tak też będziemy z nim odtąd postępować. – Zanim wyszedł, spojrzał z zainteresowaniem na blat stołu. – Co pan pisał?

– Przepisywałem wiersz, ekscelencjo, autorstwa wielkiego Juana Mei.

– Znakomicie. – Komisarz skinął głową. – Ilekroć to możliwe, w chwilach spokoju powinniśmy zajmować się kaligrafią. W ten sposób zapracowany sługa cesarza odzyskuje równowagę i trzeźwość umysłu. – Spojrzał z zadumą na Shi-Ronga. – Po zakończeniu tej sprawy powinien pan wrócić do nauki i ponownie przystąpić do egzaminów. Ma pan zadatki, aby pewnego dnia piastować wysokie stanowisko, ale jedyną drogą, która tam prowadzi, są egzaminy urzędnicze – i tak być powinno.

Po wyjściu komisarza Nio zauważył, że Shi-Rong jest bardzo poruszony.

* * *

Tuż po wschodzie słońca Shi-Rong stał na cyplu obok komisarza Lina i czując na plecach silne podmuchy wiatru, patrzył przez mosiężną lunetę na wzburzone, szare wody zatoki.

Z lewej strony, nieopodal miejsca, gdzie zniszczono opium, stała w gotowości flota admirała Guana; nieco dalej konwój brytyjskich statków handlowych oczekiwał na pozwolenie, aby zbliżyć się do Huangpu, ku nim zaś, od strony zatoki, powoli zbliżały się „Ulotny” i „Hiacynt”. Pomimo dużej odległości Shi-Rong widział je całkiem wyraźnie.

Komisarz Lin wyciągnął rękę po lunetę, przez chwilę patrzył przez nią, po czym zwrócił się do Shi-Ronga:

– Proszę udać się do admirała Guana z taką wiadomością: jeżeli barbarzyńcy zechcą rozmawiać, ma im przekazać, że nie negocjujemy z przestępcami. Moja propozycja dotycząca mordercy została wycofana. Mają nam natychmiast wydać prawdziwego sprawcę. Żadnemu brytyjskiemu statkowi nie wolno będzie handlować, dopóki jego kapitan nie podpisze gwarancji i nie podporządkuje się naszym prawom. Niech pan weźmie ze sobą tłumacza, pana Singapura. – Umilkł. – Jeżeli zaś barbarzyńcy zaatakują, admirał ma moją zgodę, aby na nich uderzyć. To wszystko.

– Ekscelencjo… – Shi-Rong rzucił mu pełne nadziei spojrzenie. – Czy mogę pozostać na pokładzie statku admirała, aby mógł mnie później posłać po dalsze rozkazy?

– Chce pan powąchać prochu. – Lin uśmiechnął się blado. – Może pan zostać, o ile nie będzie pan przeszkadzał admirałowi.

Nio czekał już przy małej smoczej łodzi. Dotarcie do wojennej dżonki admirała nie zajęło im wiele czasu. Wszedłszy na pokład z panem Singapurem, Shi-Rong przekazał dowódcy wiadomość od komisarza, admirał zaś, ku jego wielkiej radości, zgodził się, aby młody mandaryn pozostał na miejscu.

– Przybij do brzegu i czekaj tam na mnie! – zawołał Shi-Rong do Nio. – Wezwę cię, gdy zajdzie potrzeba. Jeśli dojdzie do bitwy – dodał – będziesz miał stamtąd dobry widok.

Nie ulegało wątpliwości, że admirał Guan to wyjątkowa postać, prawdziwy chiński wojownik starej daty. W wieku prawie sześćdziesięciu lat wciąż był przystojny i trzymał się prosto jak trzcina. Miał szeroką twarz o mocnych rysach, cienkie, zwisające wąsy i mądre oczy o nieustraszonym spojrzeniu.

Słynął z uprzejmości i potraktował młodego mandaryna jak szlachetnie urodzonego, równego sobie człowieka.

– Ma pan nadzieję usłyszeć zgiełk bitewny, panie Jiang?

– Jeśli do czegoś dojdzie, o panie, nie chciałbym, żeby mnie to ominęło – odparł Shi-Rong.

– Niech pan nie liczy na zbyt wiele. Mam szesnaście w pełni uzbrojonych wojennych dżonek i tuzin branderów. Brytyjczycy byliby głupcami, gdyby nas zaatakowali.

Właśnie wtedy Shi-Rong zauważył dalej na rufie pana Singapura, który miał bardzo nietęgą minę. Wyglądał jak więdnący kwiat.

– Nasz tłumacz chyba nie pali się do walki – zauważył sucho admirał Guan.

Dopiero po dwóch godzinach brytyjskie okręty zbliżyły się do nich na tyle, aby wysłać jednomasztową łódź z trzema parami wioślarzy w kierunku wojennej dżonki admirała. Młody oficer marynarki brytyjskiej wszedł szybko na pokład i zasalutował. W ślad za nim już znacznie wolnej wdrapał się tęgi dżentelmen, który mówiąc całkiem dobrze po chińsku, przedstawił się jako misjonarz van Buskirk.

Na skinienie admirała pan Singapur przekazał oficjalny komunikat komisarza Lina, starając się, aby zabrzmiał on jak najbardziej zrozumiale po angielsku. Oficer marynarki lekko zmarszczył brwi i odparł, że trudno będzie wskazać winnego niefortunnego zabójstwa owego chińskiego wieśniaka, ponieważ wszyscy, którzy byli w nie zamieszani, zostali już odesłani do Anglii.

– Niemniej jednak – dodał – natychmiast przekażę waszą wiadomość na statek i wrócę z dalszymi propozycjami.

Po czym, skłoniwszy się uprzejmie, zszedł z pokładu.

– I co pan na to? – zwrócił się do Shi-Ronga admirał Guan, gdy Brytyjczycy powiosłowali z powrotem. – Przecież nie ma tu już o czym dyskutować.

– Zastanawiam się, czy nasz tłumacz, w nadziei na pokojowe rozwiązanie, nie złagodził nieco przesłania komisarza.

Admirał Guan wbił posępne spojrzenie w pana Singapura, ale nic nie powiedział.

Gdy oficer i van Buskirk wrócili godzinę później, admirał rozkazał Shi-Rongowi:

– Proszę przekazać misjonarzowi dokładnie decyzję komisarza Lin, słowo w słowo.

Shi-Rong wykonał polecenie. Było zupełnie jasne, że van Buskirk wszystko zrozumiał, pan Singapur natomiast wyglądał na bardzo zakłopotanego. Następnie misjonarz powtórzył po angielsku słowa komisarza oficerowi, który lekko się wzdrygnął i rzekł tylko:

– Och.

Van Buskirk przemówił po chińsku.

– Pozwoli mi pan, admirale, jako obserwatorowi, powiedzieć kilka słów? Superintendent Elliot pragnie, o ile to możliwe, dojść do porozumienia. Jednak oba okręty, które pan tutaj widzi, pływają pod rozkazami kapitana Smitha, podobnie jak pan nieustraszonego dowódcy wojennej floty. Jeżeli Smith uzna, że naszym jednostkom coś grozi, zażąda od Elliota zgody na atak.

– Czy jest piratem, tak jak Elliot? – zapytał krótko admirał.

– Elliot nie jest piratem, sir.

– To pan tak twierdzi. – Admirał Guan dał znak, że posłuchanie dobiegło końca.

Po tym, jak posłowie odpłynęli, brytyjskie okręty do końca dnia nie wykonały żadnego manewru.

Wieczorem pan Singapur podszedł do Shi-Ronga.

– Admirał nie ma do mnie zaufania – powiedział ze smutkiem. – Zresztą ten barbarzyński misjonarz i tak mówi po chińsku. Powinienem złożyć rezygnację i poprosić admirała, aby pozwolił mi się oddalić.

Kiedy Shi-Rong przekazał jego słowa admirałowi, ów zacny człowiek tylko prychnął pogardliwie.

– Boi się, że może dojść do walki – rzekł. – Niech mu pan powie, że ma tutaj pozostać. Nie zezwalam na odejście.

Później, gdy jedli wspólny posiłek na pokładzie dżonki, w prywatnej kabinie admirała, Shi-Rong zagadnął doświadczonego dowódcę, co jego zdaniem teraz nastąpi.

– Kiedy nieprzyjaciel jest silny – odparł Guan – wówczas atakuje. Jeżeli się waha, jest słaby. Każdy chiński dowódca to wie. Barbarzyńcy wahają się, wiedząc, że jeśli dojdzie do bitwy, przegrają ją z kretesem. – Pokiwał głową. – Ale powiem panu coś jeszcze: można wygrać bitwę bez walki.

– Jak to, panie?

– Przekona się pan jutro z samego rana – odrzekł Guan.

Słońce już wzeszło, gdy admirał dał znak. Shi-Rong stał u jego boku, a cała flota składająca się z dwudziestu ośmiu jednostek, w tym dżonek wojennych i branderów, wypłynęła na zatokę, kierując się w stronę brytyjskich statków handlowych.

– Zajmiemy pozycje między kupcami a okrętami wojennymi – wyjaśnił admirał Guan. – Stamtąd będziemy mogli w każdej chwili posłać nasze brandery, aby je podpaliły.

– Ale nie zaangażujecie się bezpośrednio w walkę.

– Zgadza się. Brytyjskie okręty wojenne będą miały tylko dwie możliwości: zaatakować nas albo wycofać się wraz ze statkami kupieckimi.

– Zmusicie ich do walki albo do przyjęcia upokorzenia. Wygracie bitwę, nie oddawszy ani jednego strzału.

– W rzeczy samej.

Przez następny kwadrans, gdy chińska flota powoli sunęła przez zatokę, nikt się nie odzywał. Spoglądający na południe przez lunetę Shi-Rong nie zauważył żadnego ruchu ze strony brytyjskich okrętów. Dostrzegł tylko w oddali jeden statek handlowy, który zmierzał ku nim na północ, ale nie widział, pod jaką banderą płynie.

Mocno się zdziwił, gdy admirał odwrócił się nagle do niego, mówiąc:

– Cesarz nie uznałby chyba naszych działań za nieodpowiedzialne, prawda? Jak pan sądzi?

Shi-Rongowi nie przyszłoby do głowy, że starego, doświadczonego admirała mogą trapić podobne wątpliwości. Oczywiście dobrze go rozumiał. W rozbudowanym aparacie biurokratycznym Niebiańskiego Cesarstwa wysoką pozycję mogli osiągnąć tylko ci, którzy posiedli trudną sztukę odgadywania intencji cesarza i zdobywania popleczników.

– Bądź co bądź nie atakujemy ich, panie – rzekł.

– Można się spierać, czy nie prowokujemy ich do walki.

Shi-Rong zastanawiał się przez chwilę. Gdy znów się odezwał, ostrożnie dobierał słowa.

– Komisarz Lin wyraził się jasno: Elliot dowiódł swoim zachowaniem, że jest piratem, dlatego należy odpowiednio go traktować.

Admirał skinął głową i nic już nie powiedział. Spojrzawszy ponownie przez lunetę, Shi-Rong zauważył, że odległy statek płynie pod brytyjską banderą. Uważnie śledził jego poczynania.

– Ciekawe – mruknął. Po chwili zwrócił się do admirała: – Zbliża się ku nam brytyjski statek handlowy, panie. Ale nie zmierza w stronę pozostałych kupców. Wydaje mi się, że płynie prosto na Bogue. – Podał admirałowi lunetę.

Guan przez dłuższy czas nie odrywał od niej oka.

– Ma pan rację. A więc jeszcze jeden statek z Wielkiej Brytanii gotów jest uszanować nasze prawo i podpisać zobowiązanie.

Shi-Rong już miał się z nim zgodzić, gdy nagle z pokładu „Ulotnego" wzbił się w niebo obłok dymu. Dobiegło ich echo dalekiej eksplozji.

– Widzieliście, panie?! – zawołał Shi-Rong. – Elliot strzelił przed dziób kupieckiego statku. – Nie dowierzał własnym oczom. – Tamci zawracają!

– Świetnie. – Guan zdecydowanie skinął głową. – Jeżeli tak nie postępuje pirat, to nie wiem, jak inaczej miałbym go nazwać. – Popatrzył na Shi-Ronga, szukając u młodego mandaryna potwierdzenia swych słów.

– Elliot jest piratem, panie. Właśnie to udowodnił.

Zarzucili kotwicę w skrupulatnie wyznaczonym miejscu, gdy ponownie zjawiła się brytyjska delegacja. Tak jak poprzednio, na pokładzie jednomasztowej łodzi znajdowali się młody oficer marynarki oraz van Buskirk. Shi-Rong wraz z panem Singapurem odsunęli się na bok.

Posłowie nie poprosili nawet o zgodę na wejście na pokład i całkowicie zignorowali pana Singapura. Van Buskirk zwrócił się po chińsku do Shi-Ronga:

– Kapitan Smith żąda, abyście natychmiast stąd odpłynęli. Zagrażacie brytyjskim statkom handlowym.

– Nic podobnego – odparł Shi-Rong.

– Oddalicie się?

– Nie.

Chwilę później łódź powiosłowała z powrotem na „Ulotnego".

Minęło pół godziny. Żadna ze stron nie podjęła żadnych działań. Dochodziło południe.

– Tak jak myślałem – odezwał się admirał. – Są słabi.

W południe jednak brytyjskie okręty wojenne powoli ruszyły naprzód. Admirał wydał rozkaz, aby chińskie jednostki wypłynęły im w szyku na spotkanie.

Nie było się czego obawiać. „Ulotny”, a za nim „Hiacynt” zbliżały się do szyku chińskich statków, lecz Shi-Rong nie wyobrażał sobie, aby cokolwiek osiągnęły: dwa barbarzyńskie okręty przeciwko szesnastu wojennym dżonkom, nie licząc chińskich branderów.

Wojenna dżonka admirała była większa od pozostałych. Na jej szerokim pokładzie znajdowało się dwanaście dział, po sześć z każdej burty, a w gotowości czekało blisko dwustu uzbrojonych po zęby marynarzy. Z wysokości pokładu rufowego Shi-Rong i admirał mieli znakomity widok na szyk chińskich jednostek po swoich obu stronach.

Gdy „Ulotny” znalazł się na wysokości pierwszej wojennej dżonki, został ostrzelany z chińskiej armaty, która słała salwę za salwą, celując w żagle i olinowanie. Następnie niebo przesłonił obłok strzał, które niczym rój owadów spadły na pokład brytyjskiego okrętu.

„Ulotny” poruszał się zwinniej, niż Shi-Rong mógł się spodziewać; najwyraźniej kule armatnie nie zdołały skutecznie go spowolnić. Przez lunetę próbował dostrzec ofiary chińskich łuczników, jednak chociaż „Ulotny” ruszył do natarcia, na pokładzie okrętu nie było prawie nikogo. Jak zamierzali przeprowadzić abordaż?

W tym samym momencie „Ulotny” oddał salwę ze wszystkich swoich dział jednocześnie.

Shi-Rong nie był dotąd świadkiem salwy burtowej w wykonaniu okrętu brytyjskiej marynarki wojennej. W niczym nie przypominało to wystrzałów oddawanych z pojedynczej armaty znajdującej się na pokładzie chińskiej dżonki. Gdy tuzin dział wypalił zgodnym chórem, cała burta brytyjskiego okrętu rozbłysła ogniem, a wszystko wokół spowił gęsty dym. Potężny huk przywiódł młodemu mandarynowi na myśl uderzenie pioruna. Działa nie celowały w pokład ani w olinowanie dżonki, tylko w jej kadłub, tuż ponad linią zanurzenia.

Z miejsca, gdzie stał, Shi-Rong usłyszał trzask pękającej burty i krzyki ludzi rozrywanych na strzępy gradem drewnianych odłamków. Gdy tak patrzył przerażony, z rozbitej dżonki zaczął się wydobywać dym.

„Ulotny” pospieszył naprzód, pozostawiając kolejny chiński statek – tym razem brander – „Hiacyntowi”, który podpłynął i oddał mniej widowiskową, lecz równie precyzyjną salwę burtową, trafiając brander tuż ponad linią zanurzenia. Tym razem po gromkim łoskocie zapadła dziwna cisza; kadłub brandera zadrżał, jakby wstrząsany konwulsjami, po czym statek zaczął się przechylać i coraz bardziej zanurzać w wodzie.

– Zatonie – stwierdził beznamiętnie admirał.

Shi-Rong bacznie śledził „Ulotnego”. Okręt szybko sunął przed siebie, zbliżając się do wojennej dżonki nieopodal okrętu flagowego admirała. Chiński statek oddał trzy strzały w olinowanie „Ulotnego”, uszkadzając jeden z żagli, mimo to nieprzyjaciel nie zwolnił. Fregata znajdowała się już prawie naprzeciwko wojennej dżonki. Czy brytyjscy kanonierzy zdążyli w tym czasie przeładować działa? Odpowiedź poznali już po chwili, gdy „Ulotny” oddał kolejną potężną salwę, której towarzyszył głuchy ryk.

Shi-Rong na ułamek sekundy odniósł wrażenie, że nastąpił koniec świata.

Błysk był tak wielki, że zdało mu się, iż całe niebo stanęło w ogniu; huk wystrzału całkiem go ogłuszył. Coś – sam nie wiedział co – niczym fala uderzyło go w klatkę piersiową i prawie ścięło z nóg. Sylwetki ludzi stojących na niższym pokładzie poczerniały na tle ognistej zasłony. Wojenna dżonka eksplodowała na oczach Shi-Ronga na podobieństwo beczki prochu. Buchnął dym, a z nieba posypał się deszcz połamanych desek, ostrych odłamków, fragmentów ludzkich ciał, które zasłały pokład.

W nieziemskiej poświacie twarz admirała przypominała teraz wykrzywioną wściekłością chińską maskę.

– Proch – warknął. – Trafili w nasz skład amunicji. – Odwrócił się do Shi-Ronga. – Niech pan idzie za mną.

Gdy znaleźli się na głównym pokładzie, Shi-Rong zauważył, że wstrząśnięci eksplozją marynarze stoją całkiem osłupiali. Oglądanie zabitych w bitwie to jedno, ale widok całego statku, eksplodującego wraz z załogą i obracającego się w proch na twoich oczach, to coś zupełnie innego.

– Barbarzyńcom dopisało szczęście – krzyknął admirał. – Teraz damy im nauczkę! – A do kanonierów zawołał: – Nie celujcie w olinowanie, tylko w kadłub okrętu! Zniszczcie ich działa! – Zajął miejsce na środku pokładu, przed grotmasztem, aby dodawać otuchy swoim ludziom, i zwrócił się do Shi-Ronga z poleceniem: – Niech pan podejdzie do pierwszej armaty i upewni się, że celują w burtę. Jeśli pierwsze działo odda celny strzał, pozostałe pójdą w jego ślady.

Okręt flagowy był wyposażony w tuzin dział, więcej niż jakakolwiek inna wojenna dżonka, lecz wciąż dawało to tylko po sześć dział na każdą burtę, co stanowiło połowę siły ogniowej cudzoziemskiej fregaty. Każdy strzał był więc na wagę złota.

Kanonierzy nie mieli Shi-Rongowi za złe jego uwag; robili, co było w ich mocy.

– Zawsze celujemy w olinowanie – wyjaśnił jeden przepraszającym tonem. Rzeczywiście mieli pewne trudności z ustawieniem działa tak, aby strzelało po niższej trajektorii, gdy jednak dziób „Ulotnego” znalazł się na linii ognia, oddali strzał, strącając galion nieprzyjaciela. Obsługa działa wydała okrzyki radości. Shi-Rong obejrzał się na admirała w nadziei, że nie uszło to jego uwagi. Następna chińska salwa trafiła w burtę fregaty. Obsługa trzeciego działa nie posłuchała rozkazu i wycelowała zbyt wysoko. Shi-Rong nie był pewien, dokąd poleciały pozostałe trzy kule.

Brytyjska fregata znajdowała się teraz dokładnie na ich wysokości. Długością dorównywała długości okrętu flagowego. Nieprzyjacielski okręt wszedł w łagodny przechył, jakby łapał oddech, po czym burta opadła, a wówczas wszystkie działa zgodnie huknęły.

Wojenna dżonka admirała była solidnie zbudowana, lecz jej burt nie przygotowano na przyjęcie tak zmasowanego ostrzału. Shi-Rong poczuł, że cały statek zadrżał, gdy tuzin kul armatnich trafił w burtę tuż ponad linią zanurzenia. Przed jego oczami przesunął się tylny pokład brytyjskiego okrętu. Głośnej salwie z dwóch umieszczonych tam mniejszych dział towarzyszył rozdzierający trzask, gdy jedna z kul armatnich trafiła w grotmaszt tuż nad głową admirała. Shi-Rong podbiegł do dowódcy, aby upewnić się, czy nie ucierpiał; drewniana drzazga zraniła admirała Guana w ramię, lecz zignorował to i z zimną krwią oceniał zniszczenia.

– Maszt jest tylko trochę uszkodzony – zauważył. – Wytrzyma. Widziałem, że trafiliście w brytyjski okręt. – Z aprobatą skinął głową Shi-Rongowi. – Pytanie – dodał cicho – jak bardzo nas pokancerowali i ile wody nabiera statek.

Jakby w odpowiedzi, duża wojenna dżonka przechyliła się lekko, ale wyczuwalnie na stronę podziurawionej burty. Admirał zacisnął wargi i być może poszedłby osobiście obejrzeć szkody, gdyby w tym samym momencie nie nadpłynął „Hiacynt”.

Shi-Rong zdał sobie sprawę, że z perspektywy Anglików odsłonięty pokład pełen ludzi stanowi łatwy cel. Po szoku, jakiego właśnie doznali, kanonierzy okrętu flagowego dopiero zaczęli przeładowywać działa. Admirał i załoga mogli tylko bezradnie czekać. „Hiacynt” był coraz bliżej.

Shi-Rong z przerażeniem zauważył, że działa Brytyjczyków nie są wycelowane w kadłub statku, lecz właśnie w pokład. Lufa jednego była

skierowana prosto na niego. Zobaczył rozbłysk i rzucił się na pokład, zanim rozszedł się odgłos jak uderzenie pioruna. Chwilę później wybuchły krzyki, z „Hiacynta” nie strzelano bowiem kulami armatnimi, tylko kartaczami.

Kartacz składał się z płóciennego worka ściśle wypełnionego okrągłymi pociskami z ołowiu lub żelaza wielkości winogrona. Marynarka wojenna wykorzystywała je, aby razić wroga na bliską odległość. Ładunki miotające posyłały pociski wachlarzowatymi seriami; żagle, belki i olinowanie, które znalazły się w ich zasięgu, były rozrywane na strzępy, podobnie jak ludzie.

Leżący Shi-Rong uniósł głowę, żeby się rozejrzeć. To była istna rzeź. Zobaczył mężczyzn przeciętych na pół; co najmniej trzydziestu marynarzy zostało rannych i wiło się w agonii na pokładzie. Ci, którym dopisało szczęście, zginęli na miejscu.

W pewnym oddaleniu od siebie dostrzegł pana Singapura. Tłumacz chwiał się na skraju pokładu, jedną ręką chwytając się olinowania. Druga została prawie całkowicie oderwana i wisiała bezwładnie; z uszkodzonego barku tryskała krew. Pan Singapur, z szeroko otwartymi ustami, obrzucił Shi-Ronga dziwnie smutnym spojrzeniem, zanim runął przez burtę do morza.

Admirał Guan wciąż tkwił przy grotmaszcie, nieruchomy jak posąg.

Shi-Rong poczuł, że ogarnia go wstyd.

Nie planował rzucać się plackiem na pokład, zrobił to zupełnie odruchowo. Zadziałał instynkt samozachowawczy. Tymczasem admirał ani drgnął, ze stoickim spokojem przyglądając się tej okropnej scenie.

Czy go zauważył? Uznał go za tchórza? Czy Shi-Rong właśnie zhańbił siebie, swoją rodzinę, ojca? Lepiej byłoby już zginąć. Udręczony dźwignął się z pokładu i zobaczył, że admirał spokojnie mu się przygląda.

– Wybaczcie mi, panie… – zaczął, ale Guan mu przerwał.

– Czy jest pan ranny?

– Nie, panie.

– Dobrze. Proszę stanąć przy mnie.

To było wszystko, co admirał miał mu do powiedzenia. Brytyjskie okręty płynęły dalej, wzdłuż linii nieprzyjaciela. Ich taktyka za każdym razem była taka sama i Chińczycy nie mogli nic na to poradzić. Nie mieli żadnych szans na abordaż. Angielska fregata okazała się nie fortecą pełną ludzi, lecz pływającą baterią armat, a kanonierzy angielskiej marynarki wojennej nie

mieli sobie równych. Po wstrząsie wywołanym na samym początku potężną eksplozją załogi wojennych dżonek szybko pojęły, że wróg wystrzela ich wszystkich jak kaczki. Posyłali serie strzał i oddawali salwy z nielicznych dział, lecz za każdym razem celowali wysoko w olinowanie, bo tak ich wyszkolono. Trudno też było winić tych, którzy jeden za drugim skakali do wody, żeby ratować życie.

Minąwszy ostatnią chińską jednostkę w szyku, „Ulotny” i „Hiacynt” zawróciły, dając możliwość wykazania się strzelcom na przeciwległej burcie. Mniejszy i zwinniejszy „Hiacynt” ruszył szybko naprzód, ostrzeliwując z bliska chińskie statki i zatapiając kilka z nich.

Okręt flagowy admirała jeszcze dwukrotnie znalazł się na linii ognia; raz został trafiony z armaty na wysokości linii zanurzenia, a raz grad kul z kartaczy zasypał cały pokład. Za każdym razem Shi-Rong zaciskał zęby i szykował się na śmierć, ale – choć krew odpływała mu z twarzy – trwał dzielnie u boku admirała. Skoro już mam umrzeć, myślał, niech przynajmniej powiedzą memu ojcu, że zginąłem, stojąc nieustraszenie u boku samego admirała Guana. Bał się jedynie tego, że admirał może zginąć i nie ostoi się nikt, kto mógłby zaświadczyć o jego odwadze.

Angielskie okręty nie zawróciły po tym drugim ataku, tylko odpłynęły na południe w stronę Makau, admirał zaś, którego okręt flagowy o mały włos byłby zatonął, powiódł niedobitki floty z powrotem na dawne kotwicowisko.

Późnym popołudniem Shi-Rong, wraz z Nio i jego wioślarzami, wyruszył łodzią w górę rzeki z wiadomością od admirała do komisarza Lina.

– Co właściwie mam teraz powiedzieć cesarzowi? – odezwał się Lin, zasiadając wieczorem przy swoim stole do pisania. Zerknął nieufnie na Shi-Ronga. – Meldunek admirała jest bardzo zwięzły. Twierdzi, że będzie pan w stanie zdać mi pełną i dokładną relację.

– Tak jest, ekscelencjo – odparł Shi-Rong.

Trochę to trwało, zanim opowiedział komisarzowi o wszystkim, czego był świadkiem. I choć starał się wybierać jak najbardziej krzepiące informacje, nie powiedział nic, co mijałoby się z prawdą.

– Podsumujmy zatem – rzekł Lin, przeglądając na koniec swoje zapiski. – Elliot po raz kolejny odmówił podpisania zobowiązania. Mało tego, oddał strzał ostrzegawczy przed dziobem angielskiego statku, który płynął zgod-

nie z prawem, aby podpisać takowe zobowiązanie i móc dotrzeć do Huangpu.

– Dowiódł tym samym, że jest zwykłym piratem.

– Istotnie. Admirał nie zaatakował piratów bez powodu. To oni zaatakowali jego. Artylerię okrętową mają potężną, trzeba im to przyznać. Zniszczyli kilka naszych wojennych dżonek, a jedna wyleciała w powietrze.

– Piratom się w tym przypadku poszczęściło, ekscelencjo. Trafili w skład amunicji. Nastąpił potężny wybuch, ale admirał i jego ludzie nawet nie drgnęli i kontynuowali ostrzał.

– Możemy napisać, że przez całą potyczkę nasze załogi dzielnie walczyły, a admirał zachował zimną krew oraz trzeźwy umysł.

– To nie ulega wątpliwości, ekscelencjo. Widziałem to na własne oczy. Stałem tuż obok niego.

– W dodatku nasze statki z powodzeniem odpowiedziały ogniem, a nawet strąciły galion jednego z pirackich statków.

– Zgadza się. – Shi-Rong pragnął wyznać, że sam tego dokonał, uznał jednak, że będzie lepiej, jeśli komisarz Lin dowie się tego w odpowiednim czasie z ust admirała.

– Po wszystkim barbarzyńcy wycofali się na południe zatoki.

– Tak było, ekscelencjo. Wygląda na to, że kierowali się do Makau.

– Myślę, że to wystarczy. – Lin spojrzał nań z życzliwością. – Nawiasem mówiąc, admirał pisze, że był pan dla niego wielką pomocą i zasłużył pan na pochwałę.

– Jestem mu bardzo wdzięczny, ekscelencjo. – Shi-Rong skłonił się nisko. Czyżby jego nazwisko miało się znaleźć w raporcie sporządzonym dla samego cesarza? Całkiem możliwe. Wiedział, że nie wolno mu o to zapytać.

– Myślę, że to oznacza wojnę. – Lin zmarszczył brwi. – Statki barbarzyńców zaiste budzą lęk.

– Ich sposób walki jest inny od naszego, ekscelencjo. Polegają na swoich działach i mają ich znacznie więcej niż my.

Lin dłuższą chwilę milczał.

– No cóż – rzekł w końcu – nigdy nie zdołają ominąć naszych fortyfikacji.

Tej nocy Shi-Rong spał spokojnie. Bez względu na makabryczne wydarzenia minionego dnia i słabość chińskiej floty, którą przeciwnik tak bez-

względnie obnażył, udało mu się przeżyć, a teraz jeszcze mogły z tego wyniknąć korzyści dla jego kariery.

Nazajutrz komisarz Lin posłał go z wiadomością do admirała, poszedł więc po Nio, aby ten naszykował łódź, ale nigdzie nie mógł go znaleźć. Shi-Rong przeszukał cały fort, na próżno. W nocy, nie wiedzieć jak, Nio zniknął bez śladu.

* * *

Read przybył do portu w Hongkongu dzień po Elliocie.

– Myślę, że wy, Brytyjczycy, jesteście tutaj bezpieczni – oświadczył Tully'emu i Traderowi. – Lin nie zaryzykuje walki na otwartym morzu, ale nie sądzę, aby kiedykolwiek wpuścił was ponownie do Kantonu. Joker i kupcy z kohongu są zdania, że to musi się skończyć wojną. – Miał też dla nich dobrą wiadomość. – Za trzy dni z Makau wypływa bezpośrednio do Londynu kliper z Baltimore. Kapitan obiecał mi, że zabierze cały nasz transport herbaty.

– Doskonale – odparł zadowolony Tully. – Prześlę przez niego list do ojca.

Read odbył jeszcze krótką rozmowę w cztery oczy z Tullym, nie zjadł jednak kolacji na statku, gdyż chciał jak najszybciej wrócić do Makau. Przed odejściem uścisnął jeszcze dłoń Tradera.

– Będziemy w kontakcie, przyjacielu – obiecał. – Powodzenia.

Traderowi wydawało się to dziwne; przyszło mu do głowy, że Amerykanin zamierza wyruszyć w dalszą podróż. Ponieważ jednak Readowi bardzo się spieszyło, zadowolił się przekazaniem pozdrowień dla pani Willems.

– I dla Marissy, oczywiście.

– Wysyłam pana na jakiś czas do Kalkuty – oznajmił mu po południu Tully. – Tutaj niewiele się dzieje. Nie ma sensu, żeby przesiadywał pan całymi dniami na pokładzie. Rozprostuje pan trochę nogi, popracuje z moim bratem, dowie się od niego nieco więcej o prowadzeniu interesów. Za dwa dni odpływa stąd statek.

Perspektywa normalnego życia na lądzie była z pewnością kusząca, lecz Trader miał poczucie winy na myśl, że opuszcza starszego wspólnika.

– Może to pan powinien nim popłynąć – zasugerował.

– Nie lubię Kalkuty – odparł Tully. Całkiem możliwe, że faktycznie tak było.

OKNO

Kwiecień 1840 roku

Dwukółką – w Indiach zwaną rikszą – wtoczyli się z hurgotem na podjazd przed parterowym budynkiem. Charlie dzierżył lejce, John siedział niepewnie obok niego.

– Wariaci! – krzyknęła ciotka Harriet. – Macie szczęście, żeście się nie wywrócili!

Trader się roześmiał.

– Zwłaszcza że to Charlie powoził.

– Najlepiej będzie, jak wejdziecie do domu na herbatę – oświadczyła ciotka.

Po herbacie Trader gawędził z mężem Harriet, a Charlie z ciotką przeszli do salonu.

– Bardzo polubiłam młodego Tradera, odkąd powrócił do nas przed kilkoma miesiącami – zauważyła ciotka. – Ale jest taki blady i chudy, jakby coś mu dolegało.

– Ta cała historia z opium dała mu się we znaki.

– Chyba nie stracił wszystkiego?

– Nie sądzę. Ale jest źle. Nawet jeśli rząd wypłaci odszkodowanie handlarzom opium, trzeba będzie na nie długo czekać.

– Nadal interesuje się tą dziewczyną od Lomondów? Ona wciąż jest do wzięcia.

– Będzie musiał się solidnie odkuć, zanim uderzy do niej w konkury.

– Sprawia wrażenie samotnika. Czy jest egoistą?

– To lojalny przyjaciel. Tyle mogę o nim powiedzieć.

– Ambitny?

– Niewątpliwie. Ale jest też chyba po części marzycielem.

– Ambitny marzyciel. Często właśnie tacy radzą sobie najlepiej z nas wszystkich. Albo najgorzej, kiedy ponoszą porażkę. – Ciotka Harriet się zamyśliła. – Mam przeczucie, że Trader sobie poradzi. Tym, czego mu teraz potrzeba – oznajmiła stanowczo – jest jakaś miła dziewczyna. Jedna z nas. Ktoś, kogo wszyscy lubimy i kto podtrzymałby go na duchu, pomógł mu się odnaleźć.

– A co z pieniędzmi?

– To prawda, że dziewczęta są tu zwykle sprowadzane w jednym celu: żeby znaleźć im bogatego męża. Ale znam jedną albo dwie, którym… na niczym nie zbywa, jak to mówią. Może powinien wziąć pod uwagę którąś z nich. Mogłabym go przedstawić. Jest bardzo przystojny i ma w sobie coś… z melancholijnego romantyka, taki rys bajroniczny… Wiesz, co mam na myśli…

– Ożenić się bogato… Przednia myśl. Tyle że nie sądzę, aby się zdecydował. Jest na to zbyt dumny, rozumie ciocia? Uznałby to za niehonorowe. – Charlie umilkł na chwilę. – Zresztą John nie jest pozbawiony próżności. Nie chciałby, aby go nazywano łowcą posagów.

– Wiesz, dlaczego tak bardzo mu zależy na tej dziewczynie od Lomondów? Bo nie może jej mieć – stwierdziła rozsądnie ciotka Harriet.

– Zapewne ma ciocia rację.

Ciotka westchnęła.

– W takim razie pozostaje mi tylko modlić się do Wszechmogącego, aby handlarze opium szybko stanęli na nogi.

Benjamin Odstock zdawał się niczym w życiu nie przejmować. W południe jadł posiłek, po czym zażywał drzemki. Wieczorami odwiedzał zwykle jeden z klubów w Kalkucie. Był stałym bywalcem toru wyścigów konnych i pożądanym gościem na proszonych obiadach, a dzięki bujnemu życiu towarzyskiemu i obszernej korespondencji, którą prowadził z tak odległymi zakątkami świata jak Singapur i Londyn, także świetnie poinformowanym człowiekiem.

John Trader przeżył więc niemały szok, gdy nazajutrz wkroczył do biura wspólnika, ten zaś, podniósłszy wzrok znad sterty otrzymanych właśnie

listów, oznajmił mu ponuro:

– Rząd brytyjski nam nie zapłaci.

– Ma pan na myśli odszkodowanie? Za utracone opium? – Traderowi ścisnęło się serce. – Czy to już pewne?

– Nie. Ale to jedyny logiczny wniosek.

– Mógłby mi pan to szerzej wyjaśnić? – poprosił cicho Trader, siadając naprzeciwko Odstocka.

– Wszystko zaczęło się od przybycia Jardine'a do Londynu jesienią zeszłego roku. Pod jego wpływem stronnictwo handlarzy opium, zresztą całkiem spore, zaczęło lobbować za naszą sprawą w parlamencie, u kupców, gdzie tylko się dało. Wkrótce cały Londyn wiedział już, że nas okradziono, zhańbiono flagę brytyjską i że Chińczycy dopuścili się w Kantonie zbrodni na niewinnych brytyjskich kupcach.

– Nie doszło tam do żadnych zbrodni – wtrącił Trader.

– Ale mogło dojść. Nieważne. Chce pan dostać to odszkodowanie czy nie?

– Chcę – przyznał Trader.

– A zatem: Jardine zdołał dotrzeć do samego ministra spraw zagranicznych, Palmerstona. Przedstawił mu całą sprawę, poinformował, że potrzebna będzie interwencja marynarki wojennej, pokazał mapy i tak dalej. Palmerston uważnie go wysłuchał, a potem… zapadła cisza. Dlaczego?

– Może chciał zweryfikować jego raport.

– Nonsens – odparł Benjamin. – Rządy tak nie działają. A już na pewno nie jest to sposób myślenia Palmerstona.

– W takim razie mamy w Londynie przeciwników.

– Otóż to. Serca im krwawią pod wpływem misjonarzy i tego durnia Gladstone'a. Nawet „Times" nie pochwala handlu opium. – Odstock pokręcił głową. – Ale nie o to chodzi. Sęk w tym, że nasz rząd jest słaby. Może nawet nie mieć większości w parlamencie. Do tego dochodzą kłopoty na wsi z powodu złych zbiorów i w miastach, gdzie czartyści oraz do nich podobni domagają się prawa głosu dla każdego człowieka! Boże, miej nas w swojej opiece! Co gorsza, w całym imperium, od Jamajki aż po Kanadę, mnożą się kolejne niepokoje. I jeszcze to narastające zagrożenie w Syrii… Palmerston ma sporo innych spraw na głowie. Ale największą przeszkodę stanowi co innego.

– Zapewne pieniądze.

– Oczywiście, że tak. W ostatecznym rozrachunku zawsze chodzi o pieniądze. W tym wypadku sprawa jest bardzo prosta: pieniędzy nie ma wcale, tak przynajmniej twierdzi minister finansów. Baring żali się każdemu w Londynie, kto tylko zechce go słuchać, że na wszystko brakuje pieniędzy. I chociaż jest wysokim rangą członkiem rządu, myślę, że tym razem może mówić prawdę.

– Czyli jednak nie przypłyną nam na ratunek?

– Tego nie powiedziałem. – Benjamin Odstock zamyślił się. – Coś wisi w powietrzu. Niedawno jeden z okrętów brytyjskiej marynarki wojennej otrzymał rozkaz opuszczenia Bombaju i wyruszenia z bliżej nieokreśloną misją. Dochodzą mnie słuchy, jakoby inne nasze okręty zbierały się nieopodal Cejlonu i Singapuru, podczas gdy tutaj, w Indiach, nasz gubernator generalny po cichu szykuje brytyjskie regimenty do tajemniczej ekspedycji, choć brak jest oficjalnych potwierdzeń co do jej celu.

– To jeszcze nie dowodzi…

– Niech pan zaczeka, bo to nie wszystko. Wie pan, że Elliot i wielu naszych, w tym mój drogi brat, wrócili do Makau. Lin zagroził, że znów ich wyrzuci, ale jak dotąd niczego takiego nie uczynił. Nawiasem mówiąc, cesarz awansował Lina na gubernatora. Tully pisze, że Elliot otrzymał prywatną korespondencję od Palmerstona. O treści listu nic nie wiadomo, lecz Elliot podobno był zachwycony. Wie pan, co zrobił wkrótce potem? Zaczął się rozglądać za szybkim kliperem, który odstawiłby go na północne wybrzeże Chin, w pobliże portów zaopatrujących Pekin. Niech mi pan powie, dlaczego ktoś taki jak on – nie zapominajmy, że jest dobrze wyszkolonym oficerem marynarki – miałby zrobić coś podobnego?

– Rekonesans?

– Właśnie. Mobilizacja okrętów i oddziałów, Elliot osobiście wizytujący wybrzeże bez podania ważnej przyczyny. – Odstock nie odrywał od niego wzroku. – To wszystko oznacza…

– Dobry Boże. – Trader wpatrywał się w niego osłupiały. – Zamierzamy zablokować całe chińskie wybrzeże. To znacznie wykracza poza dotychczasowe plany Elliota.

– Plany Elliota?

– Chodzi o coś, z czego zwierzył mi się w zaufaniu. Ale niech pan nie przerywa, proszę.

– No cóż, wszystko to jest typowe dla Palmerstona. Trzeba zrozumieć, jak działa jego umysł. Ten człowiek jest imperialistą. Myśli pan, że będzie

się spokojnie przyglądał, jak cesarz Chin każe naszemu ambasadorowi kłaniać się sobie w pas? Albo jak zakazuje nam handlować we wszystkich portach poza Kantonem? Albo – o ile w ogóle widział ten cholerny list – jak Lin ośmiela się robić brytyjskiej monarchini wykład na temat przestrzegania prawa?

– Czy to może się udać?

– O, myślę, że tak. Chiny potrzebują handlu. Sprowadzają rozmaite towary, żywność, oczywiście miedź oraz srebro – zależy im zwłaszcza na srebrze – a większość z tego przypływa z innych krajów do licznych portów, do których nie mamy dostępu. Taka blokada handlowa mocno by w Chińczyków uderzyła. A mało co wychodzi Brytyjczykom równie dobrze jak właśnie urządzanie blokad.

– Niemniej decyzja o wypowiedzeniu wojny całemu cesarstwu chińskiemu… Trudno uwierzyć, że Palmerston zdołał przekonać do tego parlament.

Benjamin Odstock zażył szczyptę tabaki.

– Nie uczynił tego. – Postawny kupiec napotkał zdumione spojrzenie Tradera. – Posłowie wypytują go o jego zamiary, lecz on nie chce im nic powiedzieć.

– Czy takie postępowanie jest zgodne z prawem?

– Bóg raczy wiedzieć. Jednak to go nie powstrzymuje. Nasze okręty i wojsko są już w drodze. Kiedy parlament się o tym dowie i zaprotestuje, będzie za późno.

– Niewiarygodne…

– Chce pan odzyskać swoje pieniądze czy nie?

– Chcę.

– Palmerston nie dał Jardine’owi ani nikomu innemu żadnych powodów, aby sądzić, że rząd rozważy wypłatę odszkodowań. Jeśli nie jest skłonny wyłożyć pieniędzy teraz, tym bardziej nie zrobi tego po poniesieniu kosztów związanych z ekspedycją i blokadą wybrzeża. Ale prędzej czy później odzyskamy to, co straciliśmy.

– Od samych Chińczyków. – Trader skinął głową. A więc Palmerston realizował oryginalny plan Elliota, tyle że na większą skalę.

– W rzeczy samej. Chiński cesarz osobiście nam zapłaci – po tym, jak już pokryje nasze wydatki wojenne. – Z satysfakcją pokiwał głową. – Palmerston walczy o godność imperium brytyjskiego, ale jeśli zainwestuje w wojnę z Chinami, będzie oczekiwał zwrotu z tej inwestycji. – Odstock się

uśmiechnął. – Jaki byłby sens utrzymywania imperium brytyjskiego, gdyby nie miałoby to być dochodowe, prawda?

– A więc moje nadzieje na przyszłość zależą teraz od chińskiego cesarza – odezwał się cicho Trader.

– Raczej od brytyjskiej marynarki wojennej – sprostował Odstock – co zwiększa pańskie szanse na wygraną.

– Ale to może potrwać lata! – jęknął Trader.

– To prawda. Tymczasem – dodał jego wspólnik – możemy jeszcze coś niecoś zarobić na handlu opium.

– Jak to?

– Opium nadal uprawia się w Indiach, tak?

– Tak.

– Ten narkotyk jest jak rzeka, mój chłopcze. Rzeka czarnego złota. Nic jej nie zatrzyma. W obliczu przeciwności popyt na nie może jedynie wzrastać. Można zablokować jedno ujście, ale rzeka i tak znajdzie inne.

– Jakbym słyszał mojego przyjaciela Reada. O jakich ujściach pan mówi?

– Tully już zaopatruje bezpośrednio chińskie smocze łodzie.

– Sądziłem, że Lin wszystkie przejął, a przemytników uczynił strażą przybrzeżną.

– Która za odpowiednią cenę gotowa jest równie szybko powrócić do przemytu. Część załóg gra prawdopodobnie na obie strony. Nam w zasadzie jest wszystko jedno, o ile opium dociera do odbiorców.

– A więc naprawdę zostaliśmy piratami – zauważył Trader z pewnym smutkiem.

– Stare dobre wilki morskie z czasów Szekspira – sir Francis Drake i spółka – to byli prawdziwi piraci! Tak to się zresztą zaczęło. Ale zapomina pan o jednej rzeczy. – Benjamin Odstock się uśmiechnął. – Jesteśmy brytyjskimi piratami, a to coś całkiem innego. – Poklepał się po brzuchu, zachichotał i zażył kolejną szczyptę tabaki. Nagle wyraz jego twarzy się zmienił i łypnął gniewnie na Tradera.

– Nie zamierza pan chyba zostać misjonarzem, hę? – zacietrzewił się.

John Trader pomyślał o swoim kuzynie Cecilu.

– Wykluczone – odparł stanowczo.

Ciotka Harriet miała im towarzyszyć, lecz tego dnia jej mąż nie czuł się najlepiej, postanowiła więc zostać razem z nim w domu. Ostatecznie na tańce Charlie i Trader wybrali się więc sami.

Życie towarzyskie w Kalkucie w ostatnich dniach kwietnia było jeszcze całkiem ożywione. Pod koniec maja zaczynało robić się tam nieprzyjemnie gorąco i większość Brytyjczyków wyjeżdżała wówczas do malowniczych górskich kurortów u podnóża Himalajów.

Bal zorganizowano w jednym z klubów. Panie wystąpiły, rzecz jasna, w olśniewających kreacjach, panowie zaś we frakach, białych kamizelkach i muchach albo w galowych mundurach, zasadniczo jednak atmosfera była dość swobodna. Na imprezie bawili się wspólnie wojskowi, rodziny urzędników państwowych i co zamożniejszych kupców.

Pod ścianami sali balowej ustawiono liczne krzesła i kanapy. Wkrótce po przybyciu na miejsce Charlie zauważył siedzące tam panią Lomond i Agnes, za nimi zaś stał pułkownik Lomond. Charlie nie wiedział, że Lomondowie będą na balu, i z pewnością nie zamierzał im się narzucać. Pomysł, aby podejść i przywitać się z nimi później, wydawał się jak najbardziej na miejscu, jednak pani Lomond, widząc nie jednego, ale dwóch młodych mężczyzn, którzy mogliby tańczyć z jej córką, dała znak, aby czym prędzej do nich dołączyli. Pułkownik skinął przyjaźnie głową Charliemu, na widok Tradera zareagował jednak wyjątkowo powściągliwie. Trudno było stwierdzić, czy w ogóle go zauważył.

Bawili się więc: Charlie i Trader na zmianę prosili Agnes do tańca. Był kadryl, a potem kotylion. Kiedy zagrano walca, pułkownik Lomond stwierdził, że w czasach jego młodości żaden przyzwoity mężczyzna nie poprosiłby szanowanej kobiety do tańca.

– Nawet własnej żony? – Pani Lomond delikatnie uderzyła go wachlarzem.

Pułkownik zrozumiał aluzję i powiódł ją na parkiet. Trader zauważył z rozbawieniem, że pułkownik Lomond całkiem nieźle tańczy walca.

Przede wszystkim jednak nie miał innego wyjścia, jak podziwiać Charliego. Jego przyjaciel wykazał się znajomością dobrych obyczajów, a do tego gorliwie wywiązywał się z obowiązków towarzyskich. Raz za razem przedstawiał Lomondom jakiegoś młodego człowieka, dzięki czemu Agnes miała nowego partnera prawie do każdego tańca.

Gdy wszyscy w doskonałych humorach udawali się na kolację, John słyszał jeszcze, jak pułkownik Lomond mruknął:

– Dziękuję, Charlie. Dobra robota.

* * *

W połowie kolacji Charlie uznał, że chociaż jak dotąd wszystko układa się znakomicie, nie jest całkiem zadowolony z przebiegu wieczoru. Wszystkiemu winien był pułkownik Lomond. Nie dlatego, że zrobił coś złego; Charliego irytowało raczej, czego nie zrobił.

Nie odezwał się ani słowem do Johna Tradera.

Nie okazywał mu ostentacyjnie lekceważenia, przeciwnie: gdy Trader mówił, pułkownik Lomond uprzejmie go słuchał. Jeśli zaś to Lomond zwracał się do siedzących przy stole, można było uznać, że kieruje swoje słowa także do Johna. Chodzi o to, że w tym samym czasie zaszczycał osobistą rozmową swoją żonę Agnes oraz Charliego, ale nie Johna. Traktował go z chłodem ledwo mieszczącym się w granicach dobrego wychowania.

Oczywiście część winy leżała po stronie Tradera. Celowo rozdrażnił pułkownika, gdy spotkali się po raz pierwszy w Bengalskim Klubie Wojskowym, dokąd Lomond uprzejmie zaprosił ich na lunch. Źle się wtedy zachował, Charlie uważał jednak, że nadszedł czas, aby choć trochę rozluźnić ich napięte stosunki. Był to winien przyjacielowi.

Zwrócił się więc do pani Lomond i rzucił lekko, tak aby słyszeli go zarówno Agnes, jak i pułkownik:

– Opowiadałem już pani, jak John uratował mi życie?

– Doprawdy? – Pani Lomond obdarzyła uśmiechem obu młodzieńców. – Nie wspominał pan o tym. Proszę to natychmiast naprawić.

Trader wyglądał na zakłopotanego, Agnes zaś na zaintrygowaną, w przeciwieństwie do pułkownika, który jednak nie miał innego wyboru, jak tylko wysłuchać opowieści.

– Otóż – rzekł Charlie – tak właśnie się poznaliśmy. To było w Londynie. Jadłem z ojcem kolację w jego klubie, która dosyć się przeciągnęła. W drodze powrotnej musiałem przejść przez Soho. Zamiast wezwać dorożkę, jak głupiec postanowiłem iść pieszo… Poza mną na ulicy nikogo nie było, gdy naraz z cienia wychynęło dwóch opryszków, jeden z pałką, a drugi z nożem. Zażądali pieniędzy. Nie miałem zbyt wiele przy sobie, poza złotym zegarkiem kieszonkowym od ojca, który dostałem na dwudzieste pierwsze urodziny i z którym nie chciałem się rozstawać.

– I co pan uczynił? – spytała Agnes.

– Zacząłem ile sił w płucach wzywać pomocy – odparł Charlie. – Pomyślałem, że jeśli zdołam im się opierać, dopóki nie nadejdzie wsparcie, to może wyjdę cało z tej przygody. Był to naprawdę głupi pomysł, lecz tego wieczoru szczęście mi sprzyjało. W odległości jakichś stu jardów przed nami zza rogu wypadł nasz bohater! – Roześmiał się. – A dokładnie rzecz ujmując, młody dandys w wieczorowym stroju i cylindrze… który zgubił w biegu. W ręce dzierżył hebanową laskę. Na widok dwóch uzbrojonych rzezimieszków nie wahał się ani chwili – ciągnął Charlie w uniesieniu. – Powiedziałbym nawet, że był to dla niego dodatkowy bodziec. – Zwrócił się do Tradera: – Masz duszę prawdziwego wojownika – stwierdził. – Niech ci się nie wydaje, że tego nie zauważyłem.

– I co było dalej? – chciała wiedzieć Agnes.

– Napastnicy odwrócili się, żeby stawić mu czoło. Pochwyciłem tego z pałką, lecz drugi zaatakował nożem naszego bohatera. – Uśmiechnął się szeroko do słuchaczy. – Łajdak nie wiedział, że Trader to znakomity fechtmistrz. Nie minęła chwila, a zbir, którego usiłowałem obezwładnić, zdołał się wyswobodzić. W tym jednak czasie Trader wytrącił nóż drugiemu zbójowi, który zaczął się wycofywać. Widząc, że jego kamrat wyrwał się z mojego uścisku, popełnił ogromny błąd: rzucił się na Tradera.

– Czy pan Trader uderzył go w głowę laską? – dopytywała się Agnes.

– Nie, zrobił coś sprytniejszego, choć znacznie trudniejszego – odrzekł Charlie. – Wykonał nią perfekcyjny sztych, tak szybki, że nawet się nie zorientowałem. Końcówka laski trafiła złoczyńcę dokładnie między oczy. Rozległ się trzask, jakby ktoś wypalił ze strzelby, i w następnej sekundzie ten człowiek leżał na ziemi. Miał szczęście, że nie zginął. Łotr z pałką tylko spojrzał na Tradera i wziął nogi za pas. Nawiasem mówiąc – dodał – okazało się, że ci sami dwaj rabusie miesiąc wcześniej okradli i zabili innego nieboraka. W przeciwieństwie do niego miałem to szczęście, że Trader odpowiedział na moje wezwanie. – Urwał i uśmiechnął się do zebranych. – Tak właśnie się poznaliśmy.

– Muszę przyznać – odezwała się pani Lomond – że to naprawdę bardzo ekscytujące.

– Czy stoczył pan kiedyś pojedynek, panie Trader? – zagadnęła go Agnes z nadzieją w głosie.

– Nie, panno Lomond – odpowiedział. – Farley nazwał mnie fechtmistrzem, w istocie jednak uprawiam tylko od czasu do czasu – lub uprawia-

łem, jeszcze w Londynie – szermierkę. Dla sportu i dla zdrowia.

– No cóż, pora znowu zatańczyć – wtrącił pułkownik Lomond.

– Nadal jemy, papo – zaprotestowała Agnes.

– Racja. – Pułkownik Lomond zwrócił się wreszcie do Tradera: – Nie należy pan chyba do posiadaczy laski z ukrytą szpadą?

– Nie, sir. Nigdy takiej nie miałem.

– Zawsze byłem zdania – ciągnął pułkownik – że noszenie przy sobie ukrytej broni to jedna z najpodlejszych rzeczy, jakie może zrobić człowiek. Żaden dżentelmen nie przechadzałby się po ulicach miasta z taką laską.

– Przecież on nie ma laski z ukrytą szpadą – zauważyła pani Lomond z nutką irytacji w głosie.

– Miło mi to słyszeć – mruknął pułkownik.

Ledwo Agnes zaczęła tańczyć walca z Traderem, nieoczekiwanie stwierdziła, że czuje się zmęczona, i poprosiła, żeby na chwilę usiedli. Ponieważ pozostali tańczyli, mieli kanapę tylko dla siebie. Wydawało się, że Agnes dość szybko doszła do siebie.

– Był pan kiedyś w Szkocji, panie Trader? – zapytała.

– Tylko raz, latem, kiedy studiowałem w Oksfordzie. Bardzo mi się tam podobało.

– Uwielbiam Szkocję, wie pan? Według mnie nasza rodzinna szkocka posiadłość to istny raj. Należy, rzecz jasna, do mojego wuja.

– Doskonale panią rozumiem – odrzekł Trader. – Kilku poznanych przeze mnie w Chinach kupców nabyło posiadłości w Szkocji. Choćby Jardine i Matheson.

– A czy pan także ma taki zamiar, panie Trader?

– Tak. Prawdę mówiąc, bardzo na to liczę. – Uśmiechnął się do dziewczyny. – Muszę jednak panią ostrzec: mam takie plany, ale nie zdołam ich rychło zrealizować. W tej chwili mogę wyłącznie marzyć.

– Ale chciałby pan tam zamieszkać?

– Nie wyobrażam sobie lepszego miejsca na ziemi – odrzekł z całą szczerością. – Jeśli wolno mi spytać, co takiego najbardziej kocha pani w Szkocji? Bądź co bądź zna pani te okolice lepiej ode mnie.

– Och, chyba wrzosowiska. Kiedy będąc w domu – bo myślę o tym miejscu jak o domu – wychodzę na te dzikie połacie i spoglądam za siebie, na stary zamek wśród drzew… Jest tam też strumień – potok, jak mówimy

w Szkocji – którego woda jest całkiem brązowa od torfu i ma lekko cierpki smak, znakomicie komponujący się ze słodkim zapachem wrzosów… – Ku zaskoczeniu Johna panna Lomond kontynuowała ten wątek jeszcze przez pięć minut, ani na moment nie przerywając. Niemal czuł na policzkach delikatny powiew, widział czerwonobrunatne mury starego zamku Galloway, owce i drobne, kudłate bydło na wzgórzach; łowił ryby w wodach Lomondów, jak nazywano niewielki strumień, gawędził cicho ze starym sługą pomagającym przy polowaniach, tak jak przez całe stulecia robili to przodkowie Agnes… Gdy dziewczyna skończyła, był już po uszy zakochany: nie tylko w Agnes Lomond, ale także w jej domu, ziemiach i bezpiecznym, statecznym życiu, które sobą reprezentowała. We wszystkim, czego mu brakowało i czego pożądał.

Ledwo pomyślał o swojej opłakanej sytuacji finansowej, ogarnęła go melancholia.

– Nawet ktoś, kto handluje z Chinami, potrzebuje wielu lat na zdobycie takiej fortuny, panno Lomond. Tymczasem trzeba się zadowolić kwaterami w takich miejscach jak Makau i tym podobne dziury.

– Zdaję sobie z tego sprawę. – Cudne brązowe oczy spoglądały na niego znacząco znad wachlarza. – Nie można mieć wszystkiego naraz, ale na pewno warto poczekać na to, co w życiu najlepsze.

– Zapewne – odparł zamyślony.

– Nigdy nie wolno tracić nadziei, panie Trader. Skoro już wiem, jak dzielnym jest pan człowiekiem, nie muszę chyba panu o tym przypominać.

– Myśli pani, że nie powinienem tracić nadziei? – Młodzieniec popatrzył na nią z uczuciem.

– Tak właśnie uważam, panie Trader. – Posłała mu smutne spojrzenie. – Proszę nie tracić nadziei.

Nie sposób było stwierdzić, czy mówiąc to, chciała mu dać coś do zrozumienia, czy tylko ogólnie dodać otuchy – a może tylko przekonać się, jakie wrażenie zrobią na nim jej słowa. Niewykluczone, że sama nie była pewna swoich intencji, lecz Trader potraktował to jak znak.

– Ach, tutaj jesteście – powiedziała z uśmiechem pani Lomond, schodząc z parkietu.

Charlie i John wracali jednym powozem.

– O czym rozmawialiście z panną Lomond? – zapytał Charlie.

– O Szkocji – odparł John.

– To jej ulubiony temat – zauważył Charlie. – Tym, czego najbardziej pragnie Agnes Lomond – dodał sennie – jest znaleźć mężczyznę podobnego do jej ojca. Oczywiście będącego właścicielem odpowiedniej posiadłości.

– Czy dlatego jeszcze się nie zaręczyła? – zainteresował się Trader.

– Nie jestem pewien, czy miała jakieś propozycje – odpowiedział Charlie. – Jak wiesz, tutejsi mężczyźni nie chcą żony, która uważa się za lepszą od nich. Dobra żona musi umieć odnaleźć się w życiu kolonialnym, znosić pomyślne i niepomyślne koleje losu, radzić sobie z niepowodzeniami i tak dalej. – Nagle otworzył szerzej zaspane oczy. – Mężczyzna może być zakochany, ale ostatecznie na co dzień zamiast żony potrzebuje wiernego towarzysza.

– Rozumiem, co masz na myśli – odparł Trader.

– Wiesz, dlaczego mówi się, że Agnes Lomond przypomina szkockie wrzosowisko? – spytał Charlie.

– Nie.

– Bo jest tak samo zimna i pusta.

– Aha. – Trader się roześmiał. – Dobrze, że mnie ostrzegłeś.

Uważał jednak, że sam wie lepiej.

* * *

Shi-Rong patrzył z napięciem. To się stało tak niespodziewanie, że nie miał pewności, co właściwie zobaczył. Kiedy ruszyli w pościg, przez kilka sekund spoglądał przez małą mosiężną lunetę, po czym nagle zawołał ile sił w płucach:

– Wiosłujcie! Szybciej, szybciej! Ile sił!

Za jego plecami namalowane na burcie okrętu wojennego okrągłe oczy wpatrywały się w niego wyzywająco, jakby chciały powiedzieć: Nigdy ich nie schwytacie.

Gubernator Lin był taki dumny, gdy oznajmił Shi-Rongowi:

– Kupiłem brytyjski okręt wojenny. Teraz, gdy mamy barbarzyński okręt, możemy poznać wszystkie jego sekrety.

Pomysł wydawał się rozsądny, ale rezultaty ich rozczarowały. Brytyjczycy, wycofując statek z eksploatacji, okazali się przebiegli.

– Wygląda na to, że Elliot kazał usunąć wszystkie działa, zanim pozbył się okrętu – stwierdził ze smutkiem Lin, a po miesiącu wyznał: – Nasi marynarze nie potrafią odkryć, jak działa olinowanie. Ten okręt w niczym nie przypomina żadnej z naszych łodzi. Wpadłem w gniew, ale to nic nie dało. Okręt wciąż nie nadaje się do żeglugi.

Porzucona brytyjska jednostka mimo wszystko okazała się przydatna. Gubernator Lin kazał zamontować na niej chińskie działa i wymalować na dziobie wielkie oczy, aby przypominała wojenną dżonkę, po czym zakotwiczył ją na piaszczystej mieliźnie Rzeki Perłowej, kawałek na południe od Huangpu.

– Dzięki bateriom brzegowym po obu stronach i temu statkowi na środku rzeki – oświadczył – barbarzyńskie okręty wojenne nigdy nie będą w stanie zagrozić Guangzhou.

Niemniej jednak w obrębie zatoki nie wszystko szło zgodnie z planem.

– Podobno pomimo łodzi patrolowych opium znów jest przemycane na pokładzie małych statków, a nawet smoczych łodzi – zwrócił się Lin do Shi-Ronga. – Trzeba położyć temu kres. Liczę na pana.

– Podwoję swoje wysiłki, ekscelencjo – obiecał młody mandaryn.

Jego łodzie codziennie patrolowały okoliczne wody, a sam Shi-Rong często się z nimi zabierał. Miał też szpiegów na całym wybrzeżu, robił wszystko, co było w jego mocy. Złapał kilku przemytników, ale to go nie usatysfakcjonowało.

A teraz z zatoczki niecałe pół mili przed nim wypłynęła nieznana mu smocza łódź. Mogła należeć do przemytników, co zdawał się potwierdzać fakt, że na widok pościgu jej załoga zaczęła wiosłować z całych sił.

Przez mosiężną lunetę młody mandaryn zobaczył coś jeszcze, co go naprawdę zaszokowało: na rufie smoczej łodzi siedział Nio we własnej osobie i najwyraźniej nią dowodził. Shi-Rong z łatwością go rozpoznał po bliźnie na policzku. Zresztą to, jak siedział i ponaglał swoich ludzi, również zdradzało, kim jest.

Nio, jego sługa – którego sam wybrał, uratował przed więzieniem, zatrzymał przy sobie, obdarzył zaufaniem, a nawet polubił. Nio, który zniknął tak nieoczekiwanie, jakby rozpłynął się we mgle. Shi-Rong zastanawiał się wręcz, czy chłopak nie uległ jakiemuś wypadkowi albo nie został zamordowany.

Tymczasem najwyraźniej był cały i zdrowy. Co gorsza, pomimo dobroci i zaufania, jakimi go Shi-Rong obdarzył, okazał się zdrajcą. Przeszedł na stronę wroga.

Mimo to w pierwszym odruchu miał ochotę go pozdrowić, uradowany, że chłopak żyje. Zaraz jednak przyszła mu do głowy niepokojąca myśl: jak by to wyglądało, gdyby sprowadził związanych i zamkniętych w klatkach przemytników przed oblicze gubernatora, a Lin rozpoznał w jednym z nich sługę swojego sekretarza, który tyle razy przebywał w ich towarzystwie?

Jak to by świadczyło o trafności mojego osądu, pomyślał Shi-Rong, albo o mojej umiejętności dobierania i kontrolowania ludzi? To byłaby katastrofa. Nie mógł do tego dopuścić, a zarazem nie chciał, aby Nio pozostawał na wolności, gdzie prędzej czy później ktoś go rozpozna albo aresztuje. Uznał w związku z tym, że jeśli tylko dogonią przemytników, a ci będą stawiać opór – czego akurat był pewien – Nio musi zginąć. W razie potrzeby, pomyślał Shi-Rong, własnoręcznie go zabiję.

* * *

Był drugi tydzień maja, do Kalkuty miał wkrótce zawitać letni monsun i mieszkańcy zaczęli już tłumnie wyjeżdżać do górskich kurortów. Wchodząc do biura braci Odstocków, John Trader odczuwał znużenie na myśl o czekającym go kolejnym nudnym dniu.

Mocno się więc zdziwił, słysząc dziwne odgłosy dobiegające z prywatnego gabinetu Benjamina Odstocka. Brzmiało to tak, jakby tęgi kupiec dostał ataku serca. Zaniepokojony szybko wszedł do małego, przytulnego pokoju.

Benjamin Odstock siedział przy biurku. W ręku trzymał list, a dziwny bulgot, który słyszał Trader, wydobywał się z jego gardła. Rechocząc, kupiec przez chwilę patrzył na Tradera, jakby go nie widział. Potem jego spojrzenie się wyostrzyło i zawołał:

– A to stary diabeł! Stary diabeł, powiadam!

– Co się stało? O kim pan mówi? – spytał John.

– O Ebenezerze! Moim ojcu, a o kimże innym? Stary diabeł… Niechże pan sam przeczyta! – Wcisnął mu do ręki list.

Trader zaczął czytać, Benjamin Odstock natomiast zrobił coś bardzo niezwykłego: nie zważając na to, że jest postawnym dżentelmenem w popla-

mionej tabaką marynarce, złożył małe, pulchne dłonie jak do modlitwy, wsunął je pomiędzy grube uda i rozciągnął wargi w szerokim uśmiechu niczym rozradowany uczniak.

List był zwięzły i konkretny. Potwierdzał, że rząd brytyjski wysłał ekspedycję do Chin, chociaż Palmerston nadal odmawiał udzielenia parlamentowi jakichkolwiek informacji. Dalej padło kilka szorstkich słów na temat sprzeciwiających się temu idiotów. Następnie Odstock senior jak zwykle wyliczał doskwierające mu dolegliwości, za których sprawą wszelkie obowiązki związane z prowadzeniem interesów były dla niego nieznośnym ciężarem, zakończył zaś kolejną nowiną:

W związku z niepewną sytuacją w handlu z Chinami cena herbaty w ostatnich miesiącach znacznie się wahała. Jednego dnia sięgała szylinga za funt, innego nawet trzech szylingów. Towar przesłany przez Ciebie w listopadzie został sprzedany po cenie zbliżonej do tej najwyższej. Ponadto, działając w imieniu spółki, dokonałem licznych operacji kupna i sprzedaży kontraktów na herbatę, co przyniosło dodatkowy dochód. Załączam akredytywę; kwotą, na jaką opiewa, możesz – o ile uznasz to za stosowne – podzielić się ze swoim bratem i Waszym młodszym wspólnikiem.

– Przesłał nam pieniądze – rzekł Trader, siląc się na spokój.

– Zgadza się. – Benjamin znów zachowywał się w sposób godny szanowanego kupca. Posłał Johnowi niewinne spojrzenie. – Dokładnie rzecz ujmując, siedemdziesiąt pięć tysięcy funtów.

– Siedemdziesiąt pięć tysięcy! – wykrzyknął Trader.

– Nie na darmo nazywamy ojca starym diabłem – zauważył kupiec.

– Czy mogę liczyć na swoją część?

– Och, nie widzę żadnych przeszkód. W gruncie rzeczy dostanie pan tyle samo, co Tully i ja. Dwadzieścia pięć tysięcy.

– Ale… mój udział wynosi tylko dziesięć procent. To nie…

– Tully jest z pana bardzo zadowolony. Ta paskudna sprawa z Linem w Kantonie okazała się ważnym egzaminem, który zdał pan celująco. Przekonaliśmy się, na co pana stać. Wykazał się pan opanowaniem i zachował zimną krew w podbramkowej sytuacji. A potem przyprowadził pan do nas tego Amerykanina, żebyśmy mogli dostarczyć do Anglii naszą herbatę. Już

pan o tym zapomniał? Po pańskim powrocie z Hongkongu do Kalkuty otrzymałem od Tully'ego list, w którym proponował – o ile wyrażę na to zgodę – aby został pan naszym pełnoprawnym wspólnikiem. Zdał się przy tym na mnie w sprawie terminu, w jakim miałoby to nastąpić. Tak to właśnie wygląda, drogi panie. Zgadzam się i sądzę, że lepszego momentu nie będzie.

– Nie wiem, co mam powiedzieć. – Trader był wyraźnie zaskoczony. – Okazaliście mi obaj wyjątkową życzliwość. Nigdy bym się nie spodziewał, że…

– Znakomicie. – Benjamin Odstock przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu. – Czy to wystarczy, aby spłacić pańskie długi? – zainteresował się życzliwie.

– Moje długi? – Trader zbladł, po czym, ku swojemu zakłopotaniu, silnie się zarumienił. Czyżby Read wygadał się przed Tullym? – Skąd pan wiedział, że mam długi? – spytał.

– To było oczywiste od samego początku. Obaj z Tullym od razu się domyśliliśmy. Obserwowanie, jak się pan wije – zauważył rozbawiony Benjamin – nawet nas bawiło. – Zażył szczyptę tabaki. – Dobrze, że trochę pocierpiałeś, chłopcze. Przekonaliśmy się, że masz silne nerwy i że naprawdę zależy ci na naszej spółce.

– Ach tak.

– Czy dwadzieścia pięć tysięcy wystarczy, aby spłacić pańskie zobowiązania?

– Tak.

– W takim razie wkrótce znów stanie pan na nogi. Od tej chwili jest pan równym udziałowcem w spółce Odstocków. Zaś co do opium, które straciliśmy, to jeśli kiedykolwiek otrzymamy rekompensatę, potraktujemy ją jak dodatkowy zysk. – Uśmiechnął się. – Będzie na co czekać.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Trader ze zdziwieniem pokręcił głową.

– No cóż, powiedziałbym, że pańskie kłopoty właśnie się skończyły. A jeśli chodzi o dalsze szanse na powiększenie majątku, to zobaczymy. Jeżeli nasza wyprawa przeciwko Chińczykom się nie powiedzie i dalszy handel opium zostanie udaremniony, Tully i ja zapewne weźmiemy to, co już zarobiliśmy, i wrócimy do domu. Pan zaś będzie musiał sobie jakoś radzić. – Skinął przyjaźnie głową. – Osobiście jednak stawiam na wygraną Korony Brytyjskiej.

– Ja także – przyklasnął John z entuzjazmem.

Przez kilka kolejnych godzin John Trader odpisywał na bieżącą korespondencję handlową, sprawdzał księgi rachunkowe i starał się nie myśleć o przyszłości. Niedługo po południu poczuł jednak, że musi rozprostować nogi, i ruszył powoli w kierunku rozległego parku, który rozciągał się nieopodal nad brzegiem świętej rzeki Hugli.

Drzewa dawały upragniony cień, chroniąc go przed popołudniowym słońcem. Po kilku minutach znalazł się w chłodnym zakątku z widokiem na szeroko rozlane wody, gdzie jakby na zamówienie stała kamienna ławka. Usiadł i zapatrzony w rzeczny nurt oddał się rozmyślaniom.

Co dokładnie oznaczała dla niego ta nagła zmiana sytuacji? Jego dług zostanie wkrótce uregulowany, będzie także mógł spłacić Reada, a jego spadek pozostanie nienaruszony. W istocie był teraz o kilka tysięcy bogatszy, został też równoprawnym wspólnikiem małej, ale szanowanej spółki handlowej. Większość młodych ludzi czekała wiele lat, żeby osiągnąć taką pozycję. Szczęście jednak mu dopisało.

– Przypuszczam – powiedział na głos – że mógłbym się teraz ożenić.

Wiele rodzin w Kalkucie uznałoby go za odpowiednią partię. Był teraz „dobrym kandydatem”, „człowiekiem z perspektywami”.

Gdyby to Charlie znalazł się na moim miejscu – myślał – ożeniłby się z miłą dziewczyną i byłby szczęśliwy. Tyle że on nie był Charliem i na tym polegał cały problem. Coś innego napędzało go do działania; nie był nawet pewien, co to właściwie jest. Ciekawość tego, co nieznane? Marzenia? Nie ruszał się z ławki i nie odrywał spojrzenia od płynącej wody.

Dlaczego zawsze muszę chcieć więcej? – zwrócił się z pytaniem w przestrzeń i pokręcił głową, nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi.

Naraz przed oczami stanęły mu dzikie szkockie wrzosowiska, wypalany brunatny torf i szczupła, zgrabna kobieta, której twarz spowijała mgła; to mogła być tylko Agnes. Za nią, w oddali, wznosił się szkocki zamek.

Agnes pod żadnym względem nie przypominała innych dziewcząt. John nie miał im nic do zarzucenia, po prostu uważał ją za kogoś absolutnie wyjątkowego, istotę nie z tego świata. Należała do owej tajemniczej krainy, gdzie czas mierzony jest w stuleciach, ludzie znają swoje pochodzenie, a historie rodów są równie odwieczne jak wzgórza otaczające ich siedziby. Gdyby zdołał dać jej to, czego pragnęła, ona zaś zechciałaby ująć jego dłoń, poprowadzić go do wymarzonego zamku i tam mu się oddać, uznałby, że zdobył swojego Świętego Graala.

Jeszcze wczoraj to wszystko znajdowało się w sferze marzeń, lecz dzisiaj?

Dwie rzeczy go niepokoiły. Niemal pewny sprzeciw pułkownika Lomonda stanowił mniejsze zmartwienie, bo Agnes zapewne by się za nim wstawiła; dała mu przecież do zrozumienia, że jest nim zainteresowana, a przynajmniej tak mu się wydawało. I chociaż uzyskanie zgody pułkownika mogło okazać się trudne, gotów był podjąć tę walkę.

Druga sprawa była znacznie poważniejsza: nadzieje Tradera na zdobycie majątku wciąż opierały się na założeniu, że w taki czy inny sposób handel opium zostanie wznowiony, i fakt ten nie mógł umknąć uwadze pułkownika. Gdyby do tego nie doszło, John prawdopodobnie znalazłby inną możliwość utrzymania, ale nie zdołałby zapewnić Agnes życia na takim poziomie, o jakim marzyła, on zaś ponad wszystko w świecie chciał dać jej szczęście. Znał przecież jej dobroć; gdyby przysięgła go kochać i trwać u jego boku, nigdy by go nie zawiodła. A on, czy wybaczyłby sobie, gdyby ją zawiódł?

Skoro sytuacja w Chinach wciąż pozostawała niepewna, to czy postąpiłby uczciwie, rozpoczynając starania o rękę Agnes? Z kolei czy nie straci jej, jeżeli będzie zbyt długo zwlekać?

– Muszę to jeszcze przemyśleć – mruknął. Wstał z ławki i ruszył do wyjścia z parku.

Za nim rozpościerała się dzielnica znana jako plac Dalhousie. Nie był to tylko jeden plac, jak wskazywała nazwa, lecz cały obszar, na którym okazałe budynki rządu brytyjskiego wznosiły się w pewnej odległości od szerokich ulic i otwartych przestrzeni. W tej chwili nie było tu wielu ludzi. Popołudniowe słońce prażyło, z czystego, błękitnego nieba żar lał się na kopuły, wieże i świątynie cesarstwa. Wydawało się, że nic nie jest w stanie zakłócić spokoju miejsca, w którym mocno biło serce Indii Brytyjskich, pogrążonych obecnie w popołudniowej drzemce.

Trader był tak zatopiony w myślach, że prawie nie zauważył, kiedy dotarł do anglikańskiej katedry pod wezwaniem Świętego Jana.

Lubił tę świątynię. Było coś uspokajającego w jej prostej, klasycznej bryle, przywodzącej na myśl londyński kościół St. Martin-in-the-Fields. Była piękna, ale nie za duża, wyważona i bardzo anglikańska.

Od dłuższego czasu tutaj nie zachodził, dziś jednak – czy to z powodu upału, czy też pod wpływem jakiejś nieuświadomionej duchowej potrzeby – postanowił wstąpić do kościoła. Wewnątrz panował przyjemny chłód.

John zauważył starszą kobietę, która odkurzała stalle na chórze, lecz poza nią nikogo innego tam nie było. Usiadł w ławce.

Przez minutę lub dwie rozkoszował się ciszą. Ponieważ jak dotąd nie doszedł w swoich rozmyślaniach do żadnej konkluzji, przyszło mu na myśl, że może trafił tutaj nie bez powodu i skoro już tak się stało, to może powinien się pomodlić. Tylko o co miałby prosić Boga? Tego także nie wiedział.

Naraz przypomniało mu się, że gdy jeszcze chodził do szkoły, usłyszał od tamtejszego kapelana następujące słowa: „Niedobrze jest prosić o to, czego pragniemy, bo niemal na pewno wynika to z egoistycznych pobudek i nie uszczęśliwi nikogo poza nami. Znalazłszy się w trudnej sytuacji, nie mów Bogu, co ma robić. Postaraj się oczyścić umysł, nie myśl o tym, na czym ci zależy, i proś Go, aby cię poprowadził. Przy odrobinie szczęścia – i o ile na to zasłużysz – On spełni twoją prośbę. Niewykluczone, że powiedzie cię do miejsca, o którym nawet nie śniłeś”.

Zamknął więc oczy i spróbował pójść za radą szkolnego kapelana. Pomyślał, że do tej pory Bóg był dla niego łaskawy: bądź co bądź wyprowadził go z długów. Zawierzył więc całkowicie swoją przyszłość Wszechmogącemu, prosząc jedynie: „Ześlij mi Panie jakiś znak, abym wiedział, co mam czynić”.

Odmówiwszy krótką modlitwę, wyszedł na jasny, słoneczny plac Dalhousie z cudownym poczuciem spełnienia. Pomyślał, że pójdzie i podzieli się dobrą nowiną z Charliem.

Stali w Rattrays, w obszernym pomieszczeniu na piętrze. Wysokie skrzydła przesuwnych okien były lekko uniesione – na tyle, żeby wpuszczać do środka trochę powietrza, ale nie tak wysoko, żeby powiew poruszał papierami na biurkach. Stojący w rogu hinduski służący cierpliwie poruszał wentylatorem na suficie. Dwaj współpracownicy Charliego byli zajęci swoimi sprawami i udawali, że nie słyszą każdego słowa Johna.

Charlie bardzo się ucieszył, lecz jego słowa zaskoczyły Johna:

– A więc ciocia Harriet miała jednak rację! – wykrzyknął.

– Co masz na myśli? – zdziwił się Trader.

– Nie tak dawno miała przeczucie – albo coś w rodzaju objawienia – że sobie poradzisz i wszystko dobrze się skończy. – Charlie ze zdziwieniem pokręcił głową. – Ciekawa sprawa z tą kobiecą intuicją.

– Tak czy inaczej, niech ją Bóg błogosławi – powiedział Trader z głębokim uczuciem. – Macie tu coś do picia?

Charlie wyszczerzył zęby w uśmiechu. Podszedł do stojącej pod ścianą szafki.

– Mamy wodę życia, szkocką glenlivet – oznajmił. Wyciągnął butelkę i cztery kieliszki, po czym zwrócił się do swoich kolegów: – Przyłączycie się do nas, panowie?

Dwaj młodzi kupcy wstali od biurek i nie udając już, że nie podsłuchiwali, gorąco pogratulowali Traderowi sukcesu, podczas gdy Charlie napełniał kieliszki.

Wznosili radośnie toast za toastem na cześć bohatera dnia, gdy z ulicy dobiegły ich dźwięki orkiestry. Charlie podszedł do najbliższego okna i wyjrzał.

– Na dodatek mamy orkiestrę wojskową, która uświetni tę wyjątkową okazję – oznajmił. I rzeczywiście, muzyka stawała się coraz głośniejsza, w miarę jak ulicą zbliżała się skromna parada. – To chyba już ostatni przemarsz orkiestry w tym sezonie – zauważył Charlie. – Podczas monsunu letniego nie organizuje się parad.

– Odbierz należny ci salut, Trader! – zawołali dwaj młodzi kupcy.

John podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Ujrzał nieduży oddział złożony z Hindusów: kilka plutonów oraz orkiestrę wojskową. Byli odświętnie ubrani i dobrze grali – człowiek aż czuł się dumny z tego, że jest Brytyjczykiem. Za nimi cierpliwie podążało kilka powozów; tego dnia nikt się zbytnio nie spieszył.

Charlie odwrócił się, aby przynieść butelkę i ponownie napełnić kieliszki, Trader zaś od niechcenia przyglądał się muzykom. I wtedy ją zobaczył.

Agnes z matką jechały otwartym powozem, trzecim z kolei w podążającej za orkiestrą niewielkiej kawalkadzie. Kobietom towarzyszyli tylko woźnica i stajenny – nigdzie nie dostrzegł pułkownika. Chroniły twarze pod parasolkami, widział jednak wyraźnie, że się uśmiechają, wesoło ze sobą gawędząc. Wzrok Tradera spoczął na Agnes i serce mu zamarło.

W jednej chwili wszystko stało się oczywiste – zupełnie jakby oślepił go nagły rozbłysk światła. Prosił Boga o znak i najwyraźniej właśnie go otrzymał. Od jego modlitwy w kościele upłynęła zaledwie godzina i oto niespo-

dziewanie ujrzał przed sobą Agnes. Nie ulegało wątpliwości, że jest mu przeznaczona i to ją ma poślubić.

Raz już zwrócił się o pomoc do Opatrzności, teraz jednak postanowił poprosić o kolejny, ostateczny znak. Wysokie okno było tylko lekko uniesione. John przesunął je wyżej, żeby móc się przez nie wychylić i zawołać Agnes oraz jej matkę, gdy będą przejeżdżały. Pomimo głośnej muzyki powinny go usłyszeć, a wówczas pomacha im i przekona się, czy Agnes odwzajemni pozdrowienie. Nie prosił niebios o nic więcej: jeżeli dziewczyna wykona ten prosty gest, ożeni się z nią. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Chwycił za dolną część ramy okiennej i podciągnął ją ku górze. Stojący za nim Charlie zapytał, czy nie potrzebuje pomocy. Okno było okropnie ciężkie, lecz Trader chciał je samodzielnie otworzyć. Wmówił sobie, że to ważne, jakby od tego zależał wynik zakładu, który zawarł sam ze sobą. Dźwignął ramę okienną, a ta uniosła się odrobinę, po czym zaklinowała. Szarpnął nią raz, drugi; okno lekko drgnęło, więc podciągnął je wyżej. Niemal natychmiast zaczęło znowu się zsuwać. Powóz był już prawie naprzeciwko budynku. John szarpnął ponownie i ciężka rama okienna wystrzeliła w górę z trzaskiem, który nierozważnie zignorował.

Po czym z kolejnym trzaskiem opadła w dół. Wysoka na osiem stóp szklana tafla w drewnianej futrynie sunęła niczym żelazna krata w murze obronnym po przecięciu podtrzymujących ją sznurów i zanim John zdążył się zorientować, spadła mu na dłonie, przygważdżając je do parapetu z łoskotem, który zagłuszył trzask łamanych kości.

Pociągnięty gwałtownym szarpnięciem młodzieniec poleciał naprzód i uderzył głową w zamknięte okno, wybijając szybę, której ostre odłamki poraniły jego piękną twarz.

Charlie, jego dwaj towarzysze i kilku służących potrzebowali aż pięciu minut, żeby podważyć ramę okienną i uwolnić jego pogruchotane dłonie. John Trader nie był już tego świadomy; po tym, jak zalał się krwią, szybko stracił przytomność.

Ulica na dole dawno opustoszała; orkiestra przeszła, powóz z paniami Lomond odjechał. Agnes słyszała rumor, lecz zauważyła tylko, że w mijanym właśnie budynku zamknęło się okno.

Ciotka Harriet, która z niecierpliwością odliczała dni do wyjazdu w góry, uznała, że nie może zostawić Tradera samego. Charlie słusznie postąpił, przywożąc do nich rannego przyjaciela; czyż nie od tego właśnie są przyjaciele? A John Trader nadal znajdował się w bardzo złym stanie.

Chirurg dobrze się spisał – na ile dobrze, mieli się przekonać dopiero po zdjęciu gipsu oraz bandaży.

– Będzie bolało, to pewne – orzekł lekarz. – Jeśli ból okaże się zbyt silny, proszę mu podać trochę laudanum. Przede wszystkim jednak musi teraz odpoczywać.

– Czy w pełni wróci do zdrowia? – chciała wiedzieć ciocia Harriet.

– Przy odrobinie szczęścia – odparł lekarz – będzie mógł znowu używać obu rąk. Z twarzą też nie jest tak źle, jak się obawialiśmy. Zostanie mu na pamiątkę kilka niewielkich blizn. Ale odłamki uszkodziły oko… – Pokręcił głową.

– Będzie niewidomy?

– Tylko na jedno oko. Może nosić opaskę, jak admirał Nelson.

– Ciekawe, czy to zaakceptuje. – Ciotka Harriet westchnęła.

– Nie ma innego wyjścia – stwierdził bez ogródek lekarz. – Chirurg zrobił, co mógł, obawiam się jednak, że pusty oczodół to niezbyt piękny widok. Nic na to nie poradzimy.

Bardziej niepokojący był jednak ogólny stan pacjenta.

– W takich sytuacjach zawsze najbardziej obawiamy się infekcji – przyznał lekarz. – W innych okolicznościach zalecałbym, aby czym prędzej zabrać go z obszarów dotkniętych letnim monsunem i przenieść w góry. Ale na razie wolę go mieć pod opieką. Nie jest jeszcze gotów na tak daleką podróż. Wiem, że w tej kwestii mogę na pani polegać.

Ciotka Harriet zaczęła przepraszać męża za to, że ich wyjazd w góry się odwlecze, on jednak zbył to, mówiąc:

– Trader uratował życie naszemu Charliemu. To czyni go członkiem rodziny – dodał pogodnie.

John przebywał w domu ciotki Charliego zaledwie od godziny, gdy zjawił się tam Benjamin Odstock. Kupiec był niewypowiedzianie wdzięczny gospodarzom; błagał, aby dali mu znać, gdyby czegokolwiek potrzebowali. Nazajutrz wrócił z upominkami dla obojga i odtąd zaglądał każdego popołudnia, aby sprawdzić, jak się miewa pacjent.

Bardziej zaskakujące było jednak to, że rankiem na drugi dzień po przybyciu do nich Tradera przed dom zajechał powóz z panią Lomond oraz jej

córką.

– Charlie zawiadomił nas o wypadku – wyjaśniła pani Lomond – uznałyśmy więc, że przed wyjazdem w góry wstąpimy zapytać, co z panem Traderem.

Ranny spał, gdy panie weszły do jego pokoju.

– Ledwo widać jego twarz – zauważyła pani Lomond.

– Ręce też ma całe zabandażowane – dodała Agnes.

– Czy wyzdrowieje? – chciała wiedzieć pani Lomond.

Ciotka Harriet powtórzyła jej słowa lekarza, choć pominęła milczeniem przykre szczegóły dotyczące oka Tradera.

– Uważam, że wspaniale się pani zachowała – powiedziała ciepło pani Lomond. – Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. – Wyraźnie się zawahała. – Przyszło mi właśnie do głowy – podjęła po chwili – że dopóki jesteśmy w Kalkucie, Agnes i ja mogłybyśmy przychodzić codziennie, żeby nieco panią wyręczyć.

Pułkownik nie był zachwycony tym pomysłem.

– Nie pojmuję, dlaczego w ogóle mamy się do tego mieszać – mruknął. – Wykluczone zresztą, aby Agnes przebywała z tym człowiekiem bez przyzwoitki.

– Oczywiście, że to nie wchodzi w grę – uspokoiła go żona. – Będę przy niej przez cały czas. Harriet też nie ma obowiązku zajmować się Traderem. Robi to, bo Charlie jest jej siostrzeńcem, a Trader się z nim przyjaźni. Wszyscy w Kalkucie nie mogą się jej nachwalić. Dlatego, skoro powszechnie wiadomo, że chodziłeś z ojcem Charliego do szkoły, a my bardzo go lubimy… Obawiam się, że jeśli się nie zmobilizujemy i nie pomożemy Harriet przed wyjazdem w góry… – Nie dokończyła zdania. – Zależy mi po prostu, aby mówiono, że Lomondowie zachowali się przyzwoicie.

– Masz rację, moja droga – przyznał wreszcie pułkownik. – Tylko nie zostawiaj Agnes sam na sam z tym Traderem.

Już pierwszego popołudnia pani Lomond nabrała pewności, że jej decyzja była słuszna.

– To nasz chrześcijański obowiązek, nie sądzisz, Agnes? – Istotnie, tak właśnie było. – A chrześcijańskie obowiązki należy wypełniać, nawet jeśli

są nudne – ciągnęła. – To doskonałe przygotowanie na resztę życia. – Jednak Agnes prawie się nie nudziła.

Nie oczekiwano od nich naturalnie, że będą pielęgnować pacjenta; ciotka Harriet miała dwie zaufane służące, które ją w tym wyręczały, jeśli była akurat zajęta. Zadaniem pań Lomond było zapewnianie Traderowi towarzystwa, zabawianie rozmową Harriet i okazywanie jej moralnego wsparcia.

Część popołudnia upływała ciotce Harriet na drzemce lub spacerach w ogrodzie. Kilka razy kazała przygotować powóz i wybrała się na spotkanie towarzyskie w mieście. W tym czasie panie Lomond gawędziły z Johnem, jeżeli akurat nie spał, lub grały w karty, ilekroć mąż Harriet zechciał się do nich przyłączyć.

Podczas gry w karty Agnes przypadała szczególna rola: Trader dobrze widział swoim zdrowym okiem, miał jednak trudności z poruszaniem grubo obandażowanymi palcami, jej zadaniem było więc trzymanie za niego kart i rozgrywanie partii zgodnie z jego instrukcjami, z czego – jak wszyscy zgodnie przyznawali – znakomicie się wywiązywała.

Do Johna zaglądali też inni goście: Charlie, Benjamin Odstock oraz młodzi znajomi Charliego i Tradera, w zasadzie więc dobrze się bawili.

Agnes zwróciła uwagę na coś jeszcze: głównym celem odwiedzających było podniesienie pacjenta na duchu, nie brakowało więc zwykłych żartów i docinków. Zarazem w stosunku gości do Johna dawało się wyczuć szacunek. Gdy zagadnęła o to matkę, pani Lomond przyznała jej rację, mówiąc:

– Pan Trader to człowiek z perspektywami. Rozmawiałam o nim z panem Odstockiem; nazwał go najbardziej obiecującym młodym kupcem, jakiego kiedykolwiek spotkał.

– Co sądzisz o Johnie Traderze, Agnes? – zapytała ją matka tego samego wieczoru.

– Jest bardzo przystojny – odpowiedziała dziewczyna.

– Myślisz, że jest tobą zainteresowany?

– Powiedział, że lubi Szkocję. – Agnes się rozpromieniła.

Ilekroć rozmawiała o Szkocji z innymi młodymi mężczyznami, zawsze miała wrażenie, że postępuje pragmatycznie. Zależało jej, aby wiedzieli, co stanowi jej największe marzenie. Każdy młody kawaler, któremu udało się pokonać pierwszą przeszkodę w postaci surowego pułkownika Lomonda – ten zaś nie był aż takim głupcem, aby bronić ewentualnym zalotnikom dostępu do córki, o ile tylko ich zaakceptował, rzecz jasna – musiał wiedzieć o Szkocji. Nie wszyscy konkurenci marzyli jednak o osiedleniu się na

północy, nawet jeśli było ich stać na zakup którejś z tamtejszych posiadłości. Jak zauważył pewien młody człowiek: „Rezygnuję z udziału w dalszej gonitwie. Poprzeczka jest zbyt wysoko ustawiona”. Agnes zdawała sobie z tego sprawę, ale Szkocja była jej nadrzędnym celem.

– Wiesz, że Szkocja to nie wszystko? – odezwała się cicho matka, ale nic więcej nie dodała.

Po tygodniu lekarz usunął część opatrunków z twarzy Tradera.

– Zostało kilka drobnych zadrapań – rzekł. – Jeszcze miesiąc, a znikną niemal bez śladu.

Zadowolony ze stanu pustego oczodołu, ponownie nałożył opatrunek. Zmienił też bandaże na dłoniach Tradera i zapowiedział, że wpadnie ponownie za kilka dni.

Tego popołudnia ciotka Harriet opuściła dom, zostawiając go pod opieką pań Lomond. Wsparty na poduszkach Trader gawędził z nimi przez jakiś czas, potem poczuł się senny i postanowił się zdrzemnąć. Pani Lomond wyszła więc na chwilę do ogrodu, zostawiając Agnes samą z wyraźnym poleceniem, aby w razie potrzeby córka natychmiast ją przywołała.

Trader spał, Agnes zaś siedziała w głębokim fotelu przy oknie i czytała książkę. Po pewnym czasie sama usnęła – na jak długo, tego nie była pewna. Przebudziła się z poczuciem winy, podeszła do łóżka i spojrzała na chorego. Młody człowiek nadal drzemał.

Rysy twarzy miał rozluźnione, ciemne włosy opadały na opatrunek zakrywający oko, a usta były uchylone. Pomyślała, że wygląda jak poeta kontemplujący jakiś daleki krajobraz. Może w Szkocji? Przysunęła się trochę bliżej.

Białą koszulę miał częściowo rozpiętą. Dostrzegła delikatne, ciemne włosy na jego klatce piersiowej, owionął ją zapach jego skóry. Wiedziała, że jest szczupły i silny, ale teraz, gdy tak leżał na łóżku z rękami w bandażach, wydał jej się dziwnie bezbronny. Był pacjentem, a ona w pewnym sensie jego pielęgniarką. Myśl ta, nie wiedzieć czemu, napełniła ją nieznanym poczuciem władzy.

Niedługo potem wróciła matka.

John był wielce zaskoczony odwiedzinami pań Lomond. Nie dowierzał, że ma przy sobie Agnes, która każdego popołudnia dotrzymywała mu towa-

rzystwa w domu ciotki Harriet. W dodatku z każdym kolejnym dniem wydawała mu się coraz piękniejsza.

Rejestrował najdrobniejsze szczegóły jej eleganckiego stylu bycia: to, jak się poruszała i jak siedziała, a nawet jak wypowiadała pewne słowa. Czasami udawał, że śpi, żeby móc przez na wpół przymknięte powieki obserwować jej cudowne włosy albo kształt sylwetki ciemniejącej na tle rozświetlonego słońcem okna. Przede wszystkim jednak oczarowała go jej cierpliwość i dobroć. Widział w niej swojego anioła stróża.

Ale dlaczego go odwiedzała? Przychodziła z matką, to oczywiste. Jednak czy było w tym coś więcej? Zakochał się w Agnes od pierwszego wejrzenia, a ona dała mu do tej pory wystarczająco dużo powodów, aby mógł mieć nadzieję zyskać jej przychylność. Teraz zaś, gdy został poważnie ranny i stracił oko, odwiedzała go codziennie, żeby się nim opiekować. Czy był to tylko akt miłosierdzia, jak wówczas gdy pielęgnowała chorych w miejscowym szpitalu, czy po prostu życzliwy gest wobec przyjaciela? A może celowo dążyła do spotkań z nim, w dodatku za zgodą matki? Czy dzięki tym wizytom ich znajomość miała szansę przerodzić się w coś więcej? A może już był jej drogi?

Niestety nie okazywała zbyt często swych uczuć. Żadnej dziewczynie nie wypada narzucać się mężczyźnie. Na pewno czekała, aż John wykona pierwszy ruch.

Był na to gotowy i tylko jedno go powstrzymywało: uważał, że ze względu na nią musi najpierw wydobrzeć, upewnić się, że ma sprawne ręce, zaczekać, aż doktor zdejmie wszystkie opatrunki, żeby Agnes wiedziała, z kim się wiąże.

– Jest pani dla mnie taka dobra – powiedział, zanim pożegnali się tego wieczoru. – Moja droga Agnes! Dzięki pani mam powód, aby wyzdrowieć. – Zabrzmiało to jak deklaracja uczuć.

Dziewczyna chyba zrozumiała, że John musi najpierw dojść do siebie.

Lada dzień spodziewano się nadejścia monsunu i pułkownik Lomond zdecydował, że rodzina powinna czym prędzej wyruszyć na wypoczynek w góry.

– Potrzebuję dwóch dni, żeby się przygotować i spakować – odpowiedziała pani Lomond. Tymczasem, na gorącą prośbę ciotki Harriet, która musiała szybko znaleźć kogoś na zastępstwo, Agnes pozostała przy chorym.

W południe stawiła się na posterunku, a niedługo potem ciotka wyszła pomówić z dwiema siostrami, które miały przejąć obowiązki pań Lomond.

Przez blisko pół godziny Agnes czytała Johnowi na głos, młody człowiek wydawał się jednak nieobecny, a w pewnym momencie przymknął zdrowe oko, żeby się trochę zdrzemnąć. Nie mając nic innego do roboty, dziewczyna przeniosła się z książką na werandę.

Po południu upał się nasilił, a powietrze stało się ciężkie i parne. Agnes dwukrotnie zajrzała do Johna i chwilę z nim posiedziała. Za drugim razem pacjent był wyraźnie niespokojny: rzucał się przez sen w pościeli, lecz złożyła to na karb pogody. Na krótko przed podwieczorkiem zerwał się wiatr. Zatrząsł pierzastymi liśćmi palm, ale nie przyniósł żadnej ochłody. Agnes spojrzała na niebo – wciąż było błękitne i przemykały po nim białe obłoczki.

Wróciła ciotka Harriet. Akurat siadali do podwieczorku, gdy przyszedł lekarz. Poczęstowany herbatą, oświadczył, że chciałby najpierw zbadać pacjenta, i zniknął w sypialni chorego. Po chwili poprosił ciotkę Harriet o pomoc przy zmianie opatrunków i bandaży.

Wrócili z grobowymi minami.

– Obawiam się, że wywiązała się infekcja. – Lekarz ściągnął wargi. – Musi go pani schładzać, na ile to możliwe, bo zapewne będzie gorączkował. Gdyby był bardzo rozpalony, proszę mu robić zimne okłady. Na razie nic więcej nie możemy uczynić. Wrócę z samego rana.

Wieczorem uderzył monsun. Lunęło tak, że w ciągu kilku minut ogród zmienił się w staw. Deszcz bębnił z furią o dach, jakby chciał się przebić do środka i zatopić wszystkich mieszkańców.

Agnes siedziała skulona na fotelu.

– Tego nam właśnie trzeba – powiedziała ciotka Harriet. – Odrobiny ochłody.

Wstały i przeszły do pokoju, w którym leżał John. Agnes nie mogła uwierzyć, że hałas ulewy go nie obudził. Uzgodniły, że tej nocy Agnes będzie czuwać przy chorym, a ciotka zmieni ją z samego rana.

Kiedy o świcie przyszła przejąć jej obowiązki, nadal lało jak z cebra. Zanim Agnes zdążyła się położyć, przyszedł lekarz, żeby opatrzyć rany Johna. Przyniósł ze sobą maść.

– To środek przeciwko infekcji – wyjaśnił. – Zawiera jod i potas. Sam opracowałem recepturę. Prawie zawsze okazuje się skuteczna. – Uśmiechnął się. – Jak tylko ustąpi gorączka, chłopak stanie na nogi.

Tego poranka Agnes spała niespokojnie. Kiedy wreszcie wstała, wiatr ucichł i nastał jeszcze większy upał. Wydało jej się, że cały dom pogrążył się w dusznym, wilgotnym letargu. Ciotka Harriet umieściła w pokoju chorego służącą, która obsługiwała ręczny wentylator.

Agnes znowu się położyła, a gdy zbudziła się późnym popołudniem, lekarz zdążył już ponownie odwiedzić pacjenta i wyjść. Zerwał się lekki wietrzyk, więc ciotka Harriet kazała służącej przerwać wentylowanie pokoju, otworzyła okna i wpuściła do środka świeże powietrze.

John leżał nieruchomo. Był przytomny, ale chyba nie miał ochoty na rozmowę. Gdy zapadł wieczór i Agnes zapaliła lampkę na stoliku w rogu, w jej łagodnym świetle twarz młodzieńca wydała jej się bardzo mizerna. Stojąc przy oknie, dziewczyna wdychała woń białego jaśminu w ogrodzie.

– Czuje pan, jak pachnie? – zapytała, lecz jej nie odpowiedział.

Pół godziny później jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Agnes podeszła do łóżka i dotknęła czoła chorego; było rozpalone.

Jej pierwszą myślą było zawiadomić ciotkę Harriet, ale się powstrzymała. Gdy starsza pani przekazywała jej opiekę nad Johnem, wyglądała na bardzo zmęczoną. W kącie stał dzbanek z wodą ze studni, wciąż jeszcze zimną. Nalała trochę do miski i namoczyła dwie szmatki. Uniosła głowę Johna i przyłożyła mu jedną szmatkę do karku, drugą zaś umieściła na czole i przytrzymała. Początkowo wydawało się, że okład pomógł, ale po kwadransie trzeba go było powtórzyć.

Po półgodzinie Agnes zeszła cicho do spiżarni, żeby ponownie napełnić dzbanek. Wzięła też świeże szmatki.

I tak czuwała samotnie przy chorym przez kilka kolejnych godzin. Za każdym razem, gdy ledwo udało jej się nieco go schłodzić, znowu zaczynał gorączkować, a ją ogarniało przerażenie i żałowała, że jest z nim całkiem sama.

Dochodziła północ, gdy John zaczął majaczyć. Mamrotał jakieś słowa bez związku, których Agnes nie rozumiała. Zastanawiała się, czy nie powinna jednak obudzić ciotki Harriet.

I może by tak zrobiła, gdyby chory nagle nie krzyknął:

– Zabiłem go!

– John? Co ty mówisz?

– Zabiłem go… Zabiłem go… Morderstwo… Muszę się ukryć.

– Kogo zabiłeś, John?

– Muszę uciekać… uciekać… Schować się.

– John?

– Powieszą mnie… Muszę się ukryć…

Agnes wpatrywała się w niego przerażona. Co to miało znaczyć? Niemal zapomniała o ciotce Harriet. Czy Johna dręczył koszmar? Na pewno tak było.

Po raz kolejny zrobiła mu chłodny okład i odkryła go, żeby nocne powietrze mogło owionąć jego klatkę piersiową i brzuch. Pożałowała nagle, że już nie pada.

John był cały rozpalony; nie było nawet sensu wzywać ciotki Harriet. Czy poradziłaby, żeby zrobić coś innego ponad to, co już zrobiła Agnes? Wiedziała, że gorączka nie stanowi zagrożenia, dopóki nie jest zbyt wysoka, podejrzewała jednak, że niebezpiecznie zbliżają się do punktu krytycznego. Przemyła chłodną wodą klatkę piersiową i czoło Johna. Młodzieniec uspokoił się i zamilkł – czy to był dobry znak?

Potem znowu przemówił, ale znacznie ciszej:

– Agnes…

– Tak, John?

– Agnes! – Tym razem krzyknął głośno. – Agnes! Och, Agnes…

– Tak, John. To ja, Agnes.

– Och. – Otworzył zdrowe oko. Wpatrywał się w mrok, ale jej nie widział. – Och, Agnes. Podaj mi rękę.

Spełniła jego prośbę.

– Już dobrze – powiedziała. – Jestem tutaj.

– Ach. – Twarz rozjaśnił mu delikatny uśmiech, jakby zobaczył anioła. – W takim razie wszystko w porządku.

Kilka minut później Agnes zauważyła, że gorączka spadła.

Nazajutrz, w powozie zmierzającym w stronę górskiego kurortu, Agnes była bardzo senna. Lecz nawet gdyby miała ochotę na rozmowę, nie poruszyłaby tematu Johna w obecności ojca.

Dopiero po śniadaniu, pierwszego dnia ich pobytu w górach, kiedy została sama z matką, opowiedziała jej o dziwnym zachowaniu Tradera, który bredził w malignie.

– Myśli mama, że naprawdę mógł kogoś zamordować? – zapytała.

– Bardzo w to wątpię – odparła pani Lomond. – To był zwykły koszmar, nic więcej. Kiedy ludzi dręczą koszmary, rzadko dotyczą one autentycznych wydarzeń. Na twoim miejscu już bym się tym nie trapiła. – Popatrzyła na córkę z zaciekawieniem. – Czy to ma dla ciebie znaczenie, Agnes?

Agnes nie odpowiedziała. Nie zwierzyła się matce z tego, jakim tonem Trader wypowiedział jej imię. Z jakiegoś powodu nie chciała tego robić. W zasadzie wyznał jej miłość. Była niemal pewna, że to prawda, a nie fantazja, jak ten upiorny koszmar – i zupełnie nie wiedziała, co ma o tym myśleć.

Jak dotąd żaden mężczyzna nie powiedział jej, że ją kocha.

* * *

Był początek lipca i pułkownik Lomond z niecierpliwością wyczekiwał popołudnia. Zamierzał spędzić je w ciszy, przez nikogo nie niepokojony. Przed tygodniem dołączył do żony i córki, bawiących w górskim kurorcie, miał więc już za sobą kilka dni wypoczynku. Powietrze było tu chłodne i czyste, pełne słodkich i cierpkich zapachów, które mieszały się ze sobą.

Pułkownik uwielbiał swoją chatkę, jak Anglicy nazywali górskie posiadłości. Dom był skromny, prosty, wybudowany w typowym dla kolonii stylu georgiańskim. Gdyby zamiast otynkowanych ścian w kolorze kremowym położono deski, przypominałby wiejską rezydencję z Nowej Anglii; od tamtejszych zabudowań odróżniał go dach, którym pułkownik bardzo się szczycił, wykonano go bowiem z blachy cynkowej, od dawna stosowanej w Australii i Nowej Zelandii, która dopiero niedawno zawitała do Indii Brytyjskich. Lomond osobiście nadzorował prace, a potem kazał pomalować ów blaszany dach na zielono, dzięki czemu ładnie komponował się z trawnikiem i rododendronami królującymi w ogrodzie na zboczu, na którym stał dom.

Żona pułkownika była w ogrodzie z Agnes, Lomond poszedł więc do pokoiku zwanego biblioteką, który tak naprawdę był jego prywatnym gabinetem. Rozsiadł się wygodnie w obszernym fotelu, wyciągnął przed siebie

długie nogi i zapalił fajkę, lecz w tej samej chwili, ku jego irytacji, nadszedł majordomus i powiadomił go o przybyciu gościa. Pochmurna twarz pułkownika rozpogodziła się nieco, kiedy usłyszał, że to pan Farley. Chwilę później, wciąż z fajką w ręce, wyszedł przed dom, aby powitać młodego człowieka.

– Ufam, że nie ma mi pan za złe tej niezapowiedzianej wizyty – powiedział Charlie.

– Skądże znowu, drogi chłopcze. Cieszę się, że cię widzę.

– Przed dwoma dniami przyjechałem w odwiedziny do ciotki Harriet, a ponieważ to tylko kilka godzin drogi stąd, pomyślałem, że wpadnę. Ciotka przesyła serdeczne pozdrowienia.

– To bardzo miło z jej strony. Mam nadzieję, że dobrze się miewa?

– Znakomicie. – Charlie spojrzał w dół. – Doprawdy, macie stąd państwo wspaniały widok na wodę w dolinie…

– Żona twierdzi, że przypomina jej to angielską Krainę Jezior.

Charlie przytaknął, po czym spojrzał na majaczące w oddali himalajskie szczyty.

– Tylko tutejsze góry są znacznie wyższe.

– To prawda. – Lomond uśmiechnął się z zadowoleniem.

W tym samym momencie na trawniku przed domem ukazały się pani Lomond i Agnes. Nie były same. Pułkownik Lomond znowu spochmurniał.

– Przywiozłem ze sobą Tradera – wyjaśnił Charlie. – Po wypadku przechodzi rekonwalescencję w chatce cioci Harriet. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu.

Pułkownik Lomond nie odpowiedział. Obrzucił Tradera gniewnym spojrzeniem.

John miał na sobie krótki tweedowy płaszcz. Jego prawa ręka najwyraźniej odzyskała już sprawność, gdyż trzymał w niej laskę, lecz prawa wciąż była zabandażowana i spoczywała na temblaku. Na uszkodzonym oku nosił dużą czarną opaskę, nadającą mu wygląd jakiegoś bohatera romantycznego.

Gdyby młodzieniec był oficerem, Lomond musiałby przyznać, że prezentuje się całkiem dystyngowanie; nie był nim jednak, zatem pułkownik prędzej zjadłby własny kapelusz, niż powiedział coś podobnego. Wyglądało na to, że niespodziewany gość zrobił spore wrażenie na paniach. Pułkownik przymknął powieki, jakby to miało sprawić, że młody kupiec zniknie. Przyszło mu na myśl, że mógłby ukryć się z Charliem w gabinecie, żeby w spo-

koju wypalić fajkę. Kiedy jednak otworzył oczy, z przerażeniem ujrzał, że Trader oddalił się od pań i stanowczym krokiem zmierza w jego kierunku.

– Pułkowniku Lomond – odezwał się – chciałbym pomówić z panem na osobności.

Pięć minut później pułkownik nadal mierzył go ponurym spojrzeniem. Miał wielką ochotę sięgnąć po broń i go zastrzelić albo przynajmniej wyrzucić z domu. Niestety nie wchodziło to w grę i co gorsza ten bezczelny młokos dobrze o tym wiedział.

Zakładając, że mówił prawdę – a pułkownik zamierzał osobiście to sprawdzić – ten gagatek posiadał obecnie więcej pieniędzy od niego, o czym, rzecz jasna, nie miał prawa wiedzieć. Propozycja nie była więc taka zła; żadnych innych zresztą nie było.

W końcu Lomond zmusił się do zadania pytania:

– Czy rozmawiał pan na ten temat z moją córką?

– Oczywiście, że nie, sir. Chciałem najpierw zapytać pana, czy mogę się starać o jej rękę.

– Rozumiem. – Przynajmniej w tej kwestii zachował się właściwie, o ile naturalnie mówił prawdę. – A czy ma pan podstawy, aby sądzić, że Agnes przyjmie pańskie zaloty?

– Tego nie wiem, sir. Musi pan wiedzieć, że – jak już wyjaśniłem – nie czułem się gotowy do ożenku, dopóki w ostatnim czasie moja sytuacja finansowa się nie ustabilizowała. Zachowywałem daleko idącą ostrożność, aby nie zostać źle zrozumianym przez pańską córkę bądź kogokolwiek innego. Jednak, jak wynika z naszych ogólnych rozmów, łączy nas tyle, że mogłaby przynajmniej rozważyć moją kandydaturę.

– Sam z nią o tym porozmawiam, jej matka również. Rozumie pan chyba, że trzeba będzie dokładnie potwierdzić informacje na temat pańskiego obecnego położenia. A także pańskiego charakteru – dodał stanowczo.

– Oczywiście. Wierzę, że będzie pan usatysfakcjonowany. Nikt nigdy nie miał mi nic do zarzucenia, jeśli chodzi o charakter, w przeciwnym razie broniłbym swojego honoru.

Obaj wiedzieli, że przemawia przez niego wytrawny szermierz. Trader mógł, rzecz jasna, blefować, ale przynajmniej zaczął przemawiać jak mężczyzna.

Pozostała jeszcze jedna kłopotliwa kwestia. Lomond pomyślał, że to będzie próba uczciwości Tradera.

– Pewnego dnia Agnes coś po mnie odziedziczy. Tymczasem jednak… – musiał to w końcu powiedzieć – otrzyma tylko niewielki posag.

– Czy będzie duży, czy mały, przyjmę go z wdzięcznością – odparł uprzejmie Trader.

Pułkownik Lomond ocenił dotychczasowy przebieg bitwy i zadumał się nad czekającą go kampanią.

– Martwi mnie jeszcze jedna sprawa, bardziej ogólnej natury – podjął. – Chociaż awansował pan na pełnoprawnego wspólnika i spłacił swoje długi, handel z Chinami wciąż pozostaje niepewny. Mam na myśli nie tylko odszkodowanie za utracone opium, ale i nasze dalsze interesy z cesarstwem chińskim. Wszystko będzie zależało od wyniku działań wojennych, do których niewątpliwie dojdzie. Chciałbym, aby ta kwestia została wyjaśniona przed zawarciem ewentualnego małżeństwa, dlatego niewykluczone, że nawet jeśli wszystko inne będzie przemawiać na pańską korzyść, będzie pan musiał zaakceptować dłuższy okres narzeczeństwa.

Grał na zwłokę, ciekaw, jak na to zareaguje przeciwnik.

– Sir, będę czekał na Agnes tak długo, jak będzie trzeba – odrzekł młodzieniec z zaskakującą żarliwością.

Pułkownik przyjrzał mu się. Ten człowiek albo był diabelnie dobrym aktorem, albo rzeczywiście kochał jego córkę; tej drugiej możliwości nie brał dotychczas pod uwagę.

Zanim wyszli przed dom, Trader musiał złożyć pułkownikowi solenną obietnicę, że na razie w żadnym wypadku nie wyjawi Agnes swoich zamiarów. Dopiero wówczas Lomond pozwolił mu dołączyć do pań, po czym dał znak Charliemu, że chciałby z nim porozmawiać. Gdy tylko znaleźli się sami w bibliotece, oznajmił prosto z mostu:

– Twój przyjaciel chce poślubić moją córkę. Wiedziałeś o tym, chłopcze?

– Nie wyjawił mi tego wprost, sir, kiedy tu dzisiaj jechaliśmy, ale mogłem się tego domyślić. Gdy powiedział, że chce pomówić z panem sam na sam…

– Doceniam, że uratował ci życie, mimo to nie budzi on mojej sympatii.

– Wiem, sir. On też zdaje sobie z tego sprawę.

Pułkownik Lomond milczał przez dłuższą chwilę.

– Szkoda, że ty nie jesteś na jego miejscu – mruknął wreszcie.

– Sądzę, że każdy kandydat byłby lepszy ode mnie, sir – odparł skromnie Charlie.

– Niczego ci nie brakuje – stwierdził ciepło Lomond. – Na Boga! – wykrzyknął z żalem. – Chciałbym jedynie mieć zięcia, którego będę lubił – czy to tak wiele?

– Trader to dziwny człowiek – przyznał Charlie. – Jeśli nawet nie zdołał wzbudzić w panu sympatii, może będzie mógł go pan przynajmniej szanować. Moim zdaniem odniesie on sukces znacznie przewyższający wszystko, czym ja mógłbym się pochwalić.

– Nie popieram handlu opium.

– Rząd Jej Królewskiej Mości jest zdeterminowany, aby go kontynuować, sir. Wkrótce wybuchnie wojna z tego powodu. – Charlie umilkł na moment. – W handlu opium liczy się przede wszystkim to, że szybko można zbić na nim majątek. Jeśli wolno mi zauważyć, nie jest tajemnicą, że Agnes kocha Szkocję. Bogaci handlarze opium już teraz skupują szkockie ziemie. Z łatwością mogę sobie wyobrazić, że za dziesięć lat Tradera stać będzie na zakup rozległej posiadłości w Szkocji.

– Wiem o tym – odparł cicho pułkownik.

– Czy mogę spytać, co Agnes czuje do mojego przyjaciela? – zaryzykował Charlie.

– Jeszcze z nią o tym nie rozmawiałem. – Lomond z powagą spojrzał na swojego rozmówcę. – Czy jest coś, co jako ojciec powinienem wiedzieć o tym młodym człowieku?

Charlie zamyślił się głęboko nad jego pytaniem.

– Nie – odrzekł w końcu. – Nic, co byłoby istotne.

Poszli razem na spacer – wszyscy z wyjątkiem pułkownika Lomonda, który zaszył się w swoim gabinecie. Pani Lomond chciała pokazać gościom co bardziej malownicze widoki. Ku jej zaskoczeniu Trader znał nazwy niektórych z okolicznych szczytów. Ciekawe skąd?

Po ich powrocie zastali na trawniku rozstawiony przez służbę w cieniu obszernego parasola stół, a na nim przygotowany podwieczorek. Pani Lomond poleciła słudze zawiadomić męża o podwieczorku, ten jednak wrócił z informacją, że pułkownik dołączy do nich później.

Przy herbacie gawędzili o tym i o owym, aż w końcu pani Lomond zwróciła się do Tradera z jak największą delikatnością:

– Podobno rodzice wcześnie pana osierocili i wychowywał pana opiekun. Jak wspomina pan swoje dzieciństwo?

John Trader odchylił się na oparcie fotela i uśmiechnął lekko, jakby na wspomnienie miłych chwil.

– Przypuszczam, że z powodu młodego wieku nie odczułem tak mocno owej straty. Obawiam się, że moje dzieciństwo nie było zbyt interesujące, za to bardzo spokojne i szczęśliwe. – Dodał jeszcze kilka słów o życzliwości swojego opiekuna, dobrych szkołach, do których miał szczęście chodzić, i tym podobnych rzeczach. Charlie Farley przyglądał mu się w milczeniu.

* * *

John Trader miał siedem lat, kiedy posłano go do szkoły z internatem. Nikt – poza wujkiem Adalbertem, rzecz jasna – nie wiedział, że jest mordercą.

Była to całkiem przyjemna, położona na wsi szkoła dla chłopców, jednak już po miesiącu John wdał się w bójkę.

Nie było w tym wydarzeniu nic wyjątkowego: spodziewano się, że od czasu do czasu między chłopcami będzie dochodziło do rękoczynów. Któryś ze starszych kolegów pchnął Johna, bo ten był nowy, i chłopiec uderzył głową o drzewo. Zabolało. Podjęcie walki z kimś większym od siebie mogło stać w sprzeczności z ustalonym porządkiem, ale każdy by przyznał, że świadczyło o sporej odwadze.

Gdy mały Trader rzucił się na starszego kolegę, nie odczuwał bólu ani strachu, jedynie oślepiającą wściekłość. Musiała się ona malować na jego twarzy, bo niewiele brakowało, a zaskoczony przeciwnik czmychnąłby z pola walki, został jednak, żeby nie stracić twarzy.

Podczas bójki John raz za razem padał na ziemię, lecz zawsze się podnosił, żeby znów zaatakować. Kto wie, jak długo by to trwało, gdyby nagle nie pojawił się dyrektor szkoły, który złapał Johna za ucho i pociągnął do swojego gabinetu.

Na dyrektorskim biurku leżała cienka laska z ciemnego drewna, z wygiętym uchwytem. Na jej widok John lekko się wzdrygnął, nigdy wcześniej bowiem nie otrzymał kary chłosty. Postanowił jednak w duchu,

że nie będzie płakał, choćby go nawet bardzo bolało. Zacisnął zęby, szykując się na to, co zdawało się nieuniknione, lecz dyrektor kazał mu usiąść.

Był to postawny mężczyzna po pięćdziesiątce, który zwiedził kawał świata w randze majora armii Kompanii Wschodnioindyjskiej, po czym wrócił do Anglii, założył rodzinę i kupił tę szkołę.

– A więc wdałeś się w bójkę z chłopcem większym od siebie, co, Trader? – zagadnął go ze spokojem, obserwując malca. – Czy uspokoiłeś się już na tyle, aby wysłuchać mnie, jak na rozsądnego człowieka przystało?

– Tak, sir.

– Jesteś bardzo porywczy. Zauważyłem, że łatwo dajesz się ponieść emocjom. Pewnego dnia może cię to zniszczyć. Widywałem porządnych ludzi, którzy tracili kariery, wszystko, na co ciężko pracowali, bo nie potrafili nad sobą zapanować. Gniew sprawia, że człowiek robi rzeczy, których potem żałuje, lecz wtedy może być już za późno. Rozumiesz?

– Chyba tak, sir.

– Niełatwo jest stracić rodziców – ja straciłem swoich wiele lat temu – ale nic nie możemy na to poradzić. – Umilkł i spostrzegł, że chłopiec zwiesił głowę. – Już dobrze. Chciałbym, młodzieńcze, abyś ze względu na swoich rodziców odniósł sukces w życiu. Dlatego obiecaj mi, że bez względu na wszystko od dziś aż do końca życia nie stracisz więcej panowania nad sobą. Mogę na ciebie liczyć? – Czekał. – A więc?

– Tak, sir.

– Uściśnij moją dłoń. Zawarliśmy przymierze, John, którego nie wolno ci złamać. – Wyciągnął rękę, a chłopiec ją uścisnął.

Miał zaledwie pięć lat, gdy jego rodzice utonęli podczas powrotnej przeprawy z Francji, dokąd wyruszyli w podróż. Ojciec Johna nie miał żadnej bliskiej rodziny poza potomkami pewnej ciotki, która niefortunnie wyszła za mąż i której nigdy nie poznał ani nawet z nią nie korespondował. Ze strony matki również nie było nikogo, kto przygarnąłby chłopca, z wyjątkiem owdowiałego wuja pani Trader.

Wujek Adalbert był bezdzietnym, emerytowanym prawnikiem i nigdy nie przepadał za Archiem Traderem, który handlował na giełdzie i poślubił jego siostrzenicę.

Kamienny dom z dwuspadowym dachem na zachodzie Anglii, gdzie na starość zamieszkał wuj Adalbert, miał za sobą od północy nagie kredowe

wzgórze, od zachodu zaś ciągnący się kilometrami ciemny las, do którego wuj nigdy się nie zapuszczał. Wąska ścieżka prowadziła na wschód, do wioski, w której równie rzadko bywał.

Wujek Adalbert zrobił wszystko, co do niego należało: zatrudnił guwernantkę, żeby uczyła chłopca czytać i pisać oraz sprawowała nad nim opiekę – młodą, wesołą, rudowłosą Szkotkę, pannę Grant, której nazwiska wuj czasami zapominał. Starał się też nie okazywać Johnowi, że jego obecność w domu jest dla niego uciążliwa. Chłopiec był, rzecz jasna, za mały, żeby jadać z nim wspólne posiłki w jadalni, zabierał go jednak na przechadzki i nawet próbował go sztywnym tonem zagadywać. Zaczął też rozpytywać w okolicy, czy w pobliżu nie mieszkają jacyś rówieśnicy Johna, z którymi, jak mniemał, cioteczny wnuk mógłby z korzyścią spędzać czas.

Od czasu do czasu, przechodząc korytarzem obok sypialni chłopca, słyszał stłumiony płacz, nigdy jednak nie odważył się wejść i go pocieszyć. O ile mu było wiadomo, mężczyźni nie robili takich rzeczy. Łzy były oczywiście czymś naturalnym, zważywszy na fakt, że chłopiec stracił oboje rodziców, z czasem jednak – chcąc nie chcąc – Adalbert zaczął odczuwać wyrzuty sumienia na myśl, że John nie jest u niego szczęśliwy.

Raz w tygodniu panna Grant przyprowadzała chłopca do niewielkiej biblioteki wuja, aby zdał mu sprawę ze swoich postępów. Ogólnie rzecz biorąc, z nauką radził sobie dobrze, a ponieważ nie wypadało psuć chłopca pochwałami, Adalbert wyrażał swoją aprobatę krótkim skinieniem głowy i takim samym gestem dziękował pannie Grant za jej wysiłki. Czasami malec miał trudności z jakimś słowem albo niepoprawnie odpowiadał na proste pytania wuja i Adalbert zmuszony był go karcić; zdarzało mu się wówczas widzieć w oczach chłopca cień urazy, a nawet wrogości. W innych okolicznościach podobne zachowanie wymagałoby od opiekuna stanowczej reakcji; tu jednak należało wziąć pod uwagę młody wiek Johna i fakt, że niedawno został sierotą. Pannie Grant zawsze udawało się chłopca rozchmurzyć, w związku z czym Adalbert zachowywał swoje obserwacje dla siebie. Nie chciał ryzykować utraty dobrej guwernantki i niedogodności, jakie z pewnością towarzyszyłyby poszukiwaniom innej. Co prawda pewnego razu zapytał pannę Grant, czy nie uważa, że chłopiec reaguje trochę zbyt nerwowo na krytykę, zapewniła go jednak, że podopieczny nie sprawia jej żadnych kłopotów.

– Jeśli zajdzie taka potrzeba, może okazać mu pani surowość – stwierdził uprzejmie i odtąd nie wtrącał się już w wychowanie Johna.

Był z siebie bardzo dumny, gdy po pewnym czasie znalazł odpowiednie towarzystwo, z którym chłopiec mógł spędzać czas pod okiem guwernantki, bawiąc się jak to dzieci mają w zwyczaju. Wkrótce też odkrył, że wizyty te można tak zaplanować, aby zbiegały się w czasie z długimi spacerami, które miał w zwyczaju odbywać wśród okolicznych wzgórz, albo nawet z jego dłuższymi pobytami poza domem.

Do obowiązków wuja jako opiekuna należało dbanie o spadek chłopca do czasu osiągnięcia przezeń pełnoletności. Czynił to sumiennie, co kilka miesięcy udając się do Londynu na rozmowy z przedsiębiorcami, którym powierzył różne inwestycje. Przy okazji dokonywał inspekcji dwóch wynajmowanych domów, które również wchodziły w skład majątku. Kiedy po raz pierwszy zapoznał się z sytuacją finansową ciotecznego wnuka, stwierdził, że zmarły Archie Trader zdołał podwoić posag swojej żony i sam poczynił kilka zyskownych inwestycji, które w ciągu kolejnych dwudziestu lat pozwoliłyby mu zgromadzić całkiem pokaźny majątek. Utwierdziło to tylko starego prawnika w złej opinii na temat męża swojej siostrzenicy, który nie powinien był narażać swojego życia i zdrowia, ruszając całkiem niepotrzebnie w feralną podróż do Francji.

Właśnie po jednej z takich wizyt w Londynie, gdzie zalegający z opłatami lokator wprawił go w zły humor, wuj Adalbert wrócił wieczorem do domu. Przy bramie czekała na niego miła panna Grant z wyrazem skruchy na twarzy.

– Obawiam się – wyznała – że John trochę narozrabiał, jak to chłopiec.

Jeżeli sądziła, że go w ten sposób uspokoi, to nie znała dobrze swojego chlebodawcy.

– Co się stało, panno Grant? – spytał krótko wuj.

– Dzieci uczyły Johna gry w krykieta. Pilnowałam ich, byliśmy z dala od domu. Okazało się, że John ma dobre oko i jest niezwykle silny jak na swój wiek. Kiedy miał po raz pierwszy odbijać, dostał łatwą piłkę i odbił ją naprawdę znakomicie… – Spojrzała z nadzieją na starszego pana, licząc, że wzmianka o nowo odkrytym talencie wychowanka choć trochę złagodzi cios, który miała mu zadać.

– I co dalej, panno Grant? – zawołał zniecierpliwiony Adalbert.

– Nie przypuszczałabym, że jest zdolny do tak silnego uderzenia. Obawiam się, że piłka wybiła okno na drugim piętrze – dodała z przejęciem. – Oczywiście to wyłącznie moja wina – dodała stanowczo.

– Gdzie są tamte dzieci? – chciał wiedzieć wuj.

– Poszły już do domu. Zostaliśmy tylko John i ja.

Może gdyby chłopiec wyglądał na skruszonego, gdyby uśmiechnął się, podbiegł do wuja i poprosił go o wybaczenie, Adalbert zareagowałby inaczej. Gdy jednak stary prawnik podszedł do stojącego na trawniku wychowanka, który wciąż trzymał w ręku piłkę do krykieta, dostrzegł w jego spojrzeniu tylko wyraz niechęci.

Pomyślał, że los chyba się na niego uwziął. Za sprawą Johna w jego życiu zapanował chaos: trwonił swój cenny czas na wyjazdy do Londynu, gdzie zmagał się z niesympatycznymi i nieuczciwymi lokatorami, a teraz jeszcze ten gagatek nie umiał okazać mu wdzięczności ani żadnych cieplejszych uczuć. Gapił się tylko na swojego udręczonego dobroczyńcę z bezczelną zuchwałością, całkiem zadowolony, że wybił szybę w oknie jak jakiś buntownik albo ulicznik.

– Żałujesz tego, coś uczynił? – zapytał go groźnie wuj.

– Tak, wuju. – Kłamał; to było oczywiste. Nie usiłował nawet udawać, że jest mu przykro.

– Jeśli ty i twoi koledzy nie potraficie się zachowywać jak trzeba, nie będą tu więcej przychodzili. – Nie mówił poważnie, chciał tylko nastraszyć chłopca. Nie zdawał sobie sprawy, że w uszach dziecka zabrzmiało to jak dożywotni zakaz zabawy z rówieśnikami.

John milczał. Znów obrzucił wuja tym swoim ponurym spojrzeniem. Prawnik postanowił go zawstydzić.

– Co by pomyślała twoja droga matka, gdyby tu dzisiaj była? – Chyba wreszcie coś do niego dotarło. Twarz chłopca wykrzywił grymas, jakby miał się rozpłakać. Jednak Adalbertowi jeszcze było mało. – Nie odziedziczyłeś po niej ani dobrych manier, ani tego wstrętnego spojrzenia – stwierdził chłodno. – Zapewne masz je po ojcu, którego bezmyślność zabiła twoją matkę i uczyniła z ciebie sierotę, a ze mnie twojego nieszczęsnego opiekuna.

– Ależ sir! – zawołała wstrząśnięta panna Grant. Starzec już miał się do niej odwrócić, ale nie zdążył.

To, co potem nastąpiło, wydarzyło się tak szybko, że zaskoczyło całą trójkę. Na buzi Johna odmalowały się ból i wściekłość. Chwycił piłkę do krykieta i z całej siły cisnął nią w swego wuja. Nie wiadomo, czy tak dobrze wycelował, czy był to zwykły zbieg okoliczności – dość, że piłka trafiła staruszka między oczy, w sam środek czoła. Prawnik zachwiał się

i runął na wznak, nie zdążywszy nawet ugiąć kolan. Leżał na trawniku z rozdziawionymi ustami, wbijając w niebo pusty wzrok, i ani drgnął.

Przekonana, że starszy pan stracił przytomność, panna Grant wbiegła do domu, żeby zaalarmować służbę i poprosić o wodę. John został sam z wujem.

Ostrożnie podszedł do leżącego. Twarz starszego mężczyzny była dziwnie szara, a on sam nie dawał żadnych oznak życia. Chłopiec w mig pojął, że go zabił.

Ogarnęło go przerażenie: każde dziecko wiedziało, jak kończyli mordercy. Powieszą mnie, pomyślał. Nie czekał na dobrą pannę Grant, tylko odwrócił się na pięcie i uciekł.

Guwernantka wróciła z dzbankiem wody i zaczęła przemywać nią czoło Adalberta. Zauważyła, że chłopiec zniknął, uznała jednak, że schował się gdzieś w domu. Po tym, jak stajenny osiodłał konia i pojechał po lekarza, Adalbert powoli zaczął odzyskiwać świadomość. Panna Grant wraz z kucharką pomogły mu przejść do sypialni, gdzie położył się do łóżka z zimnym okładem na głowie.

Dopiero wówczas guwernantka stwierdziła, że jej podopieczny przepadł bez śladu.

Przeszukała cały dom i najbliższy teren, poszła nawet do wsi i rozpytywała o niego u towarzyszy zabaw, ale nikt go nie widział. Stajenny powrócił z lekarzem, ten zaś orzekł, że Adalbert będzie miał przez kilka dni dużego siniaka, ale jego czaszka nie wydaje się pęknięta. – Musi mieć teraz bezwzględny spokój – dodał. – Gdyby mu się pogorszyło, proszę natychmiast po mnie posłać. W przeciwnym razie przyjadę ponownie jutro z samego rana. – Gdy guwernantka poinformowała medyka o zniknięciu chłopca, polecił, aby na razie nie niepokoiła Adalberta tą wiadomością. – W obecnym stanie i tak nic nie zdoła uczynić – stwierdził rozsądnie. – Chłopak zgłodnieje i prędzej czy później wróci do domu.

Panna Grant wysłała stajennego na wzgórze i kazała mu wypatrywać Johna aż do zachodu słońca. Sama tymczasem poszła do lasu i szukała go wszędzie, lecz zapadł zmrok, a Johna nigdzie nie było.

Nocą ponownie wybrała się do lasu z latarnią i przeszła dwie mile lub więcej, nawołując uciekiniera po imieniu. Zdrzemnęła się na krótko, a przed świtem znów była na nogach, na próżno wypatrując chłopca wśród drzew. Po śniadaniu poszła do wioski i zorganizowała grupę poszukiwawczą.

Dopiero w południe lekarz, stwierdziwszy, że stan pacjenta wyraźnie się poprawił, pozwolił jej w swojej obecności opowiedzieć o wszystkim staruszkowi.

Adalbert chłodno przyjął tę nowinę.

– To dziecko jest zepsute do szpiku kości – orzekł, a jego ton sugerował, że nie miałby nic przeciwko temu, gdyby chłopiec wcale się nie odnalazł. – Na szczęście istnieje proste rozwiązanie – dodał z uśmiechem.

Wysłuchawszy go, guwernantka wydała głośny okrzyk wzburzenia. Doktor jednak przyznał pacjentowi rację.

– Wiem, skąd można je sprowadzić – powiedział – ale najwcześniej dotrą tu jutro rano. – Dobra panna Grant mogła się tylko modlić, aby to, co wymyślił Adalbert, okazało się niepotrzebne.

Początkowo chłopiec bardzo się bał. Słyszał, jak panna Grant go wołała, a nawet widział ją ze swojej kryjówki i marzył tylko o tym, żeby podbiec i ukryć się w jej ramionach. Ta miła Szkotka była mu niemal tak bliska jak matka. Wiedział jednak, że to niemożliwe, bo zaraz zabrałaby go z powrotem do domu, a wówczas powieszono by go za morderstwo. Kiedy zniknęła mu z oczu, ruszył dalej, aż doszedł do szemrzącego wśród paproci strumyka, gdzie napił się wody.

Lipcowa noc była ciepła, ale i bardzo ciemna. Nasłuchiwał, czy nie dobiegną go odgłosy zwierząt, a gdy w pewnym momencie usłyszał ciche stąpanie, stwierdził, że to zapewne lis. Po pewnym czasie ogarnęło go takie zmęczenie, że zwinął się w kłębek i usnął.

O świcie uświadomił sobie, jak bardzo jest głodny. Był ciekaw, czy jeśli pójdzie dalej, natrafi na jakąś chatę, gdzie mógłby wyżebrać coś do jedzenia, uznał jednak, że to niedobry pomysł. Gospodarze na pewno chcieliby wiedzieć, kim jest, może nawet już był poszukiwany. Czy zdołałby w takim razie ukraść jakąś żywność? Mało prawdopodobne – większość gospodarstw była pilnowana przez psy. Gdyby wędrował wystarczająco długo i doszedł do miasta, gdzie nikt go nie znał, mógłby kupić coś do jedzenia, gdyby, rzecz jasna, miał pieniądze. Ale on nie miał przy sobie ani pensa.

Rozum podpowiadał mu, że powinien wrócić do domu, jednak zdeterminowany chłopiec, który zmuszony był błyskawicznie dorosnąć, podjął decyzję: woli już umrzeć tutaj, w lesie, wolny i niezależny, niż zostać wtrą-

cony do więzienia i skazany na stryczek przez ludzi, którzy mieliby nad nim nieograniczoną władzę.

I tak oto, w wieku sześciu lat, z powodu dziecinnego nieporozumienia, John Trader stał się człowiekiem, którym miał pozostać na resztę swojego życia.

Wciąż jednak doskwierał mu głód. Przemierzał dalej las w nadziei, że coś się wydarzy, coraz bardziej oddalając się od panny Grant i kamiennego domu z dwuspadowym dachem. Wczesnym popołudniem dotarł do sadu, w którym rosły jabłka; niektóre były już na tyle dojrzałe, że nadawały się do jedzenia. Przynajmniej trochę napełnił żołądek. Później znalazł jeżyny i zjadł ich tyle, ile dał radę. Zasypiając tego wieczoru, nie wiedział, że od domu wuja dzieli go już siedem mil.

Znaleziono go nazajutrz o dziesiątej rano, a ściśle biorąc, znalazły go psy gończe. Skrajnie zmęczony, wlókł się wzdłuż wielkiego pola pszenicy; słyszane z oddali głuche ujadanie ogromnie go przeraziło, ale gdy psy w końcu go wytropiły, ujrzał dwa przyjazne pyski o obwisłych policzkach. Brytany wydawały się równie uszczęśliwione jego widokiem jak ich właściciel, krzepki mężczyzna o bujnych, rudawych bokobrodach, który nie mógł się nachwalić swoich pupili.

Kilka minut później John znalazł się w objęciach panny Grant, która przytuliła go tak mocno, jakby była jego rodzoną matką.

Nie został ukarany. Przez kilka tygodni jego życie toczyło się zwykłym torem, tyle że wuj Adalbert często wyjeżdżał, a kiedy był w domu, rzadko rozmawiał z Johnem, natomiast panna Grant wyglądała czasami na zasmuconą.

We wrześniu, po okupionym łzami rozstaniu z panną Grant, wysłano go do małej wiejskiej szkoły z internatem.

Wuj Adalbert ani razu go tam nie odwiedził, lecz w owych czasach rodzice nie mieli w zwyczaju odwiedzać dzieci w szkole, nie czuł się więc pokrzywdzony. Nie widywał też starego prawnika podczas wakacji, Adalbert znalazł bowiem rodzinę z dużym domem nieopodal Blackheath, u której John mógł spędzać lato – przynajmniej zawsze sądził, że był to wuj, chociaż możliwe, że to miejscowy lekarz zdobył ich nazwisko – po czym wysłano pannę Grant, aby się z nimi zapoznała i ustaliła szczegóły opieki. Była to wesoła familia z liczną gromadką dzieci i John chętnie spędzał

u nich wakacje. Kiedy w wieku dwunastu lat trafił do szkoły dla starszych chłopców w Rugby, uważał ludzi z Blackheath niemal za swoich krewnych.

Marzył, aby raz jeszcze zobaczyć pannę Grant, i choć nigdy do tego nie doszło, jej wspomnienie pozostało żywe w jego pamięci. Nie zapomniał też o niefortunnym incydencie z wujem Adalbertem, choć z każdym rokiem poświęcał mu coraz mniej uwagi.

Obraz rodziców stale zacierał się w jego umyśle i jeśli nawet czasami ogarniał go smutek, gdy leżał nocą w łóżku w internacie, nigdy nie pozwalał sobie nawet na bezgłośny płacz. Zamiast tego odpływał myślami w mroczny świat, w którym podziemnymi strumieniami płynęły jego łzy.

Dotrzymał obietnicy danej dyrektorowi swojej pierwszej szkoły i nigdy więcej nie stracił panowania nad sobą. Zdarzało się, że opadał go ponury nastrój i trudno mu było zmusić się do pracy, ale potrafił okiełznać swoje emocje.

Możliwe, że wuj Adalbert latami wierzył, że syn jego siostrzenicy ma zadatki na mordercę, zmarł jednak tuż przed ukończeniem szkoły przez Johna, dzięki czemu młody Trader wkroczył w świat dorosłych z wiarą, że – podobnie jak jego rówieśnicy – jest zasadniczo całkiem porządnym człowiekiem.

Osiągnął pełnoletność, a wraz z nią pokaźny majątek. Wuj Adalbert do końca swych dni skrupulatnie troszczył się o spadek ciotecznego wnuka i choć pieniędzy wystarczało mu na zaledwie przyzwoite kawalerskie życie, John i tak miał zapewniony lepszy start niż większość ludzi w jego wieku. Z fortuny wuja nie otrzymał ani pensa; Adalbert zapisał wszystko swojemu dawnemu oksfordzkiemu kolegium, nakazując ufundować stypendium swojego imienia dla młodych adeptów prawa. Oprócz rozliczeń dotyczących spadku pozostawił Johnowi liścik z informacją, że jego ojciec, Archie Trader, miał dalekich kuzynów nazwiskiem Whiteparish, będących owocem niefortunnie zawartego małżeństwa, z którymi żadne z rodziców Johna nie chciało utrzymywać kontaktów. Radził chłopakowi, aby poszedł za ich przykładem – i to było wszystko.

* * *

W górskim kurorcie upłynął im lipiec, a potem sierpień. Agnes Lomond musiała przyznać, że z każdym dniem odczuwa rosnące podekscytowanie.

Prawnicy rodziny Lomondów przebywali w Edynburgu, w Kalkucie znalazła się jednak bardzo szanowana kancelaria adwokacka, która nawiązała kontakty z edynburskim biurem i z której usług korzystał od czasu do czasu ojciec Agnes, ilekroć potrzebował porady prawnej. Zgodnie z jego poleceniem wszczęto tam dyskretne i skrupulatne śledztwo w sprawie Tradera i jak do tej pory wyniki były zadowalające.

– Jego referencje bankowe są w porządku. Odstockowie wystawili mu pozytywną opinię – poinformował Agnes ojciec. – Wszystko, co powiedział o swojej sytuacji finansowej, okazało się prawdą, a to najważniejsze.

– Więc teraz już bardziej ci się podoba, ojcze?

– To tobie ma się podobać, nie mnie – odburknął. W jego głosie wychwyciła jednak żartobliwy ton, świadczący o tym, że nie jest całkowicie przeciwny temu związkowi.

Czy John jej się podobał? Ojciec zdecydował, że Trader może ją odwiedzać raz na tydzień, i tak też robił, zwykle w towarzystwie Charliego.

Spędzali razem miłe popołudnia. Trader był czarujący i przystojny, a z czarną opaską na oku wyglądał jak pirat, co było dość ekscytujące. Ojciec starał się traktować go z uprzejmością, w czym zwykle pomagała obecność pogodnego Charliego, lecz nawet bez niego w pobliżu Trader prezentował się jako miły i interesujący młody człowiek.

Pewnego razu rozmawiali o Kantonie i niebezpieczeństwach związanych z chińskim oblężeniem.

– Zagrożenie zostało według mnie wyolbrzymione – stwierdził Trader – głównie po to, żeby uzyskać poparcie parlamentu. Jeżeli chcecie państwo wiedzieć, czy Chińczycy mogli nas wybić do nogi, odpowiedź brzmi: tak. Znacznie przeważali nad nami liczebnie. Jednak fakt, iż nadal żyjemy, świadczy o tym, że nie mieli takiego zamiaru. Prawdziwym zagrożeniem był tłum. Gdyby władze nie zdołały nad nim zapanować, moglibyśmy źle skończyć.

Tego dnia po podwieczorku pułkownik zaprosił Tradera do biblioteki na rozmowę w cztery oczy o sytuacji militarnej. Agnes ucieszyła się, gdy po wyjściu młodzieńca ojciec oznajmił jej:

– Ten chłopak na pewno nie jest głupcem. Trzeba mu to przyznać.

Pewnego dnia, pijąc herbatę z Agnes i jej matką, John opowiadał im o Makau i tamtejszym stylu życia.

– To ładne miejsce, z przyjemnym klimatem, ale ciasne. Brak tam wielkich klubów i torów wyścigowych Kalkuty. Trzeba to mieć na względzie –

dodał i Agnes zrozumiała, że delikatnie daje jej w ten sposób do zrozumienia, aby nie oczekiwała zbyt wiele.

– Ach tak – odparła pani Lomond. – A czy tamtejsza społeczność Anglików jest życzliwa przybyszom?

– Owszem. Mamy tam ciekawą mieszankę: Brytyjczyków, Amerykanów, Portugalczyków, najrozmaitszych narodowości. Życie towarzyskie nie jest zbyt bogate, ale całkiem przyjemne. – Po czym zaczął przytaczać różne zabawne anegdoty – nic skandalicznego, uchowaj Boże! – na temat życia w Makau.

– Znam kogoś, kto tam mieszka – wtrąciła pani Lomond. – Panią Barford. Pisujemy do siebie. – Mówiąc to, nie spuszczała z niego oka.

– Panią Barford? – Twarz Tradera rozjaśnił uśmiech i odparł swobodnie: – Doskonale się znamy. Okazała mi wielką życzliwość, kiedy tam przyjechałem. Proszę przekazać jej ode mnie wyrazy uszanowania, gdy znów będzie pani do niej pisać. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Powtórzy pani wszystko, co wie na mój temat, zarówno dobre, jak i złe rzeczy.

– Napiszesz do niej? – spytała Agnes matkę po wyjściu Tradera.

– Już to zrobiłam – odpowiedziała z uśmiechem pułkownikowa. – Kilka miesięcy temu, zaraz po jego powrocie.

– Ale dlaczego?

– Jednym z obowiązków żony i matki jest wiedzieć jak najwięcej o ludziach, z którymi jej rodzina może mieć kontakt. Też będziesz tak postępowała, jeżeli będziesz rozsądna.

– I co ci odpisała?

– Trader zaskarbił sobie reputację czarującego, trochę melancholijnego, ale bystrego i przystojnego młodzieńca. Miał w Makau kochankę, pół Portugalkę, pół Chinkę, o ile dobrze pamiętam. Podobno była bardzo piękna.

– Ach tak. Co powinnam o tym myśleć?

– Jeśli masz choć trochę oleju w głowie, powinnaś się z tego cieszyć – odrzekła jej matka. – Twój pan Trader zapewne jest znakomitym kochankiem, podobnie jak swego czasu twój drogi ojciec, kiedy za niego wychodziłam, co stwierdzam z ogromną przyjemnością.

– Nigdy dotąd nie rozmawiałaś ze mną o tych sprawach.

– Teraz to robię.

– Czy ta kobieta nadal tam przebywa?

– Rozsądne pytanie. Nie, opuściła wyspę i nie zanosi się, aby tam wróciła.

W rozmowach sam na sam z matką Agnes pozwoliła sobie wyrazić niepokój wiążący się z jedną kwestią.

– Żałuję, że John nie jest lepiej urodzony. W końcu sama pochodzę z Lomondów, a i twoja rodzina liczy sobie setki lat. Wyszłabym za mąż za kogoś niżej urodzonego.

– Trader jest dżentelmenem – odparła matka.

– Nie takim jak ojciec.

– Nie można mieć wszystkiego i dobrze o tym wiesz. Wiele dziewcząt na twoim miejscu byłoby bardzo zadowolonych, gdyby udało im się zdobyć serce pana Tradera. Jeśli zależy ci na dużym domu w Szkocji, wychodząc za mąż za Johna, znacznie zwiększysz szanse na realizację swojego marzenia. – Matka westchnęła. – Tyle że być może będziesz musiała trochę poczekać.

– I co będę robiła w tym czasie?

– Urodzisz dzieci – rzekła stanowczo matka. – Przy odrobinie szczęścia zamieszkacie w Szkocji, gdy będą jeszcze w szkole.

– Za którą on zapłaci pieniędzmi pochodzącymi z handlu.

– Zgadza się.

– Z handlu opium.

– Chcesz mieć ten dom w Szkocji czy nie? – zirytowała się matka.

– Chcę – mruknęła Agnes – bardzo chcę.

Oczywiście nigdy nie przebywała z Johnem całkiem sama, ale gdy wychodzili na spacer, matka i Charlie czasami wysforowywali się naprzód i szli, nie oglądając się za siebie. Agnes rozmawiała wówczas cicho z Johnem Traderem o Szkocji i posiadłości, którą kiedyś kupią, o ile Bóg na to pozwoli. Agnes wyczuwała w nim łagodność i miłość do tego kraju, co bardzo ją ujmowało; wyobrażała go sobie w roli wiejskiego dżentelmena, na jakiego go urobi, gdy tylko cała ta nieszczęsna historia z handlem opium dobiegnie końca.

Pod koniec lata Trader odwiedził ich po raz ostatni przed swoim powrotem do Kalkuty. Lomondowie również planowali wyjazd, ale dopiero za dziesięć dni. Dla odmiany przyjechał sam i gdy Agnes wyszła go przywitać, siedział z matką w ogrodzie, pogrążony w rozmowie. Podchodząc bliżej, zauważyła pewną zmianę: nie miał temblaka, a lewa ręka została uwolniona od bandaży.

Matka rzuciła jej spojrzenie, które zdawało się mówić: „Wszystko jest w jak najlepszym porządku”. Trader wstał grzecznie z krzesła, a matka

obwieściła:

– Dzięki Bogu, John ma już zdrową drugą rękę!

Rzeczywiście, poza jedną albo dwoma bliznami ręka wyglądała jak nowa.

– Bardzo się cieszę – powiedziała Agnes.

Usiadła.

– Pozostaje więc tylko kwestia oka – powiedział Trader. – Obawiam się, że dość kiepsko to wygląda, ale oczywiście będę nosił opaskę. – Uśmiechnął się przepraszająco do Agnes. Zauważyła, że pobladł.

A potem szybkim ruchem zdjął z oka opaskę.

Lekarze zrobili wszystko, co było w ich mocy – londyński chirurg być może lepiej by sobie poradził – jednak odłamki szkła poważnie uszkodziły twarz Tradera. Jedna szeroka blizna biegła w dół od brwi aż do policzka, dwie inne przecinały ją pod różnymi kątami, a w poprzek pustego oczodołu widniał gruby, niechlujny szew, którym połączono luźne płaty skóry.

John z powrotem założył opaskę. Agnes nie odrywała od niego oczu. Nie widziała wcześniej niczego podobnego.

Spojrzenie, jakie rzuciła jej matka, osadziłoby na miejscu galopującego konia.

– Oczywiście – odezwała się spokojnie pani Lomond, prostując się jak struna – kiedy spędziło się tyle życia w wojsku i widziało tylu rannych z najstraszliwszymi urazami, człowiek zdaje sobie sprawę, jak bardzo powinien być wdzięczny choćby i za jedno oko. Jest pan młody, zdrowy, posiada sprawne kończyny i wszelkie inne zalety. – Uśmiechnęła się. – A opaska na oku wygląda nawet pociągająco. Przypuszczam, że dla kobiety to znak, że jest pan mężczyzną, a nie chłopcem. – Zwróciła się do Agnes. – Zgodzisz się ze mną?

Agnes spuściła głowę. Nie miała wątpliwości co do intencji matki; pułkownikowa właśnie jej pokazała, jak powinna postępować dama. Od księżnej na włościach w Anglii po żonę pułkownika w jakiejś odległej górskiej miejscowości w Indiach – wszystkie je obowiązywał ten sam wymóg: zachowywać się z wdziękiem pomimo niesprzyjających okoliczności, liczyć się z uczuciami innych ludzi. Pomagała w tym zawsze prawidłowa postawa, dlatego angielskim dziewczynkom stale powtarzano, żeby się nie garbiły.

– Tak – odparła Agnes, zbierając się w sobie na tyle, na ile to było możliwe.

– John powiedział, że Charlie chce, aby wziął udział w przedstawieniu, które przygotowują z przyjaciółmi – ciągnęła spokojnie matka. – Pytał, co ja o tym sądzę.

– Charlie i ja mamy być dwoma oficerami, z których jeden jest stale pijany, a drugi zawsze trzeźwy – wyjaśnił Trader. – Sęk w tym, że obaj chcemy grać pijanego.

– Doprawdy nie wiem. – Agnes zmusiła się do uśmiechu.

– Potrafi pan zagrać pijanego? – zainteresowała się pani Lomond.

– Charlie ma w tym większe doświadczenie ode mnie – odrzekł szybko Trader.

– Może powinniście robić to na zmianę – podsunęła pułkownikowa. – Mógłby pan być pijany jednego wieczoru, a on następnego. A może to ma być tylko jeden spektakl?

– Znakomity pomysł – przyznał Trader. – Dlaczego sami na to nie wpadliśmy? A odpowiadając na pani pytanie: spektakle będą dwa.

Gawędzili, gdy podawano herbatę; Agnes udawała, że uprzejmie się przysłuchuje.

Rozumiała, dlaczego to zrobił; wiedział, że musi jej pokazać, jak wygląda po wypadku. Nie mógł tego przed nią ukrywać aż do dnia ślubu. Tylko dlaczego zwlekał z tym tak długo?

Zapewne miał nadzieję, że jeśli poczeka, aż lepiej się poznają, Agnes zaakceptuje go takiego, jaki jest, i nie będzie jej przeszkadzał brak oka. Czekał z nadzieją, że ona go pokocha. Niech go diabli! Wszystko byłoby w porządku, gdyby rzeczywiście go kochała.

Kiedy dołączył do nich pułkownik Lomond, Trader przyznał się ze skruchą, że pokazał paniom swój pusty oczodół.

– Obawiam się, że kiepsko to wygląda, sir.

– Zobaczmy – rzekł pułkownik, jakby chodziło o użądlenie pszczoły, więc Trader ponownie odchylił opaskę. – Widzę, że wszystko się zagoiło – zauważył Lomond. – Rana nie będzie już sprawiała panu kłopotu. Na pańskim miejscu nie zawracałbym sobie tym głowy.

Po wyjściu Tradera, gdy Agnes i jej matka zostały same, pani Lomond skinęła jej głową z uznaniem.

– Bardzo dobrze się spisałaś, Agnes – pochwaliła. – Byłam z ciebie dumna.

– Mamo, ja tego nie zniosę! – wykrzyknęła jej córka. – Ta okropna dziura w miejscu, gdzie powinno być oko. Nie miałam pojęcia… To jest… ohydne.

Pani Lomond milczała przez chwilę.

– Nie masz wyjścia – stwierdziła stanowczo. – Zresztą to nie takie ważne. A już na pewno nie będzie ci to przeszkadzało po kilku latach małżeństwa.

– Jak mama może tak twierdzić? – zawodziła Agnes.

– Moje dziecko, przykro mi to mówić, ale najwyższa pora dorosnąć. Wychodząc za mąż, zobowiązujesz się kochać, szanować i pielęgnować swojego wybranka w zdrowiu i w chorobie. Kochamy mężów za ich charakter, w tym także za ich wady. Nie mam, rzecz jasna, na myśli żadnych wielkich niegodziwości, tylko drobne wady, od których nikt z nas nie jest wolny. Ogarniamy miłością zarówno duszę, jak i ciało, które nie jest doskonałe, a mimo to kochamy je, bo kochamy całego człowieka. Ty masz naprawdę dużo szczęścia. John Trader jest bardzo przystojnym mężczyzną. Ma jedną skazę, w dodatku niezbyt dużą, jeśli mogę tak powiedzieć. – Umilkła na moment. – Musisz więc dla jego dobra pokochać także tę skazę. To będzie twój dar dla niego. Czyniąc tak, zaskarbisz sobie jego miłość i wdzięczność. Połączy was autentyczna, głęboka więź. Jeśli nie zdołasz tego zrobić, unieszczęśliwisz swojego męża, a wówczas sama również będziesz nieszczęśliwa. I moim zdaniem nie będziesz zasługiwała na szczęście.

Zapadło milczenie.

– Mamo, ja chyba nie dam rady – powiedziała w końcu Agnes. Zastanowiła się i powoli pokręciła głową. – To takie… – Urwała. – Nie chcę, żeby mnie dotykał… – wyrwało jej się.

– Przeżyłaś szok – stwierdziła ze spokojem pani Lomond. – Poczekaj kilka dni, przyzwyczaj się do tej myśli, a obiecuję, że po pewnym czasie nie będzie ci się to wydawać takie odstręczające. Jeśli jednak naprawdę nie zdołasz się z tym pogodzić, być może nie powinnaś wychodzić za niego za mąż. Poza wszystkim innym to nie byłoby w porządku wobec niego. Radzę ci jednak, abyś dobrze się zastanowiła. Lepszej propozycji możesz już nie otrzymać. Ani żadnej innej.

– Nie wiem, co robić!

– Na początek – doradziła jej matka, nie owijając w bawełnę – mogłabyś pomyśleć o nim zamiast o sobie.

– Łatwo mamie mówić.

– Moje dziecko, otrzymałaś chrześcijańskie wychowanie. Gdybyś porozmawiała o tym z wikarym, na pewno zaleciłby ci modlitwę i miałby rację. Proponuję więc, abyś zastanowiła się, jaką żoną chcesz być, a potem się pomodliła. – Rzuciła córce karcące spojrzenie. – Nie chcę dziś już więcej o tym słyszeć.

Zrozpaczona Agnes wróciła do domu. Mijając drzwi biblioteki, gdzie jej ojciec pisał list, przystanęła i licząc na wsparcie z jego strony, zapukała, po czym weszła do środka.

– Papo?

– Tak? – Pułkownik podniósł głowę znad biurka.

– Wiem, że miał papa swoje wątpliwości co do pana Tradera.

– Chyba już do niego przywykłem. – Przyjrzał jej się badawczo. – A co się stało?

– Nie jestem pewna, czy chcę go poślubić.

– Rozumiem. – Lomond odłożył pióro. – Czy chodzi o coś, co zrobił?

– Nie, papo.

– Czy ma to coś wspólnego z jego okiem?

– Tak. Nie mogę…

– Czego?

– Nie mogę znieść tego widoku… Nie zdołam… Och, papo… – Popatrzyła na niego błagalnie.

Ale cierpliwość jej ojca się wyczerpała.

– Czy mam rozumieć – zaczął cicho – że moja córka… – podniósł głos – chce odrzucić bardzo przyzwoitą propozycję małżeństwa… – zaczerpnął tchu, po czym kontynuował *crescendo* – tylko dlatego, że jej przyszły mąż stracił oko? Czy wyobrażasz sobie – krzyczał – że gdybym został ranny na wojnie, gdy byłaś małą dziewczynką, stracił rękę czy nogę, twoja droga matka spojrzałaby na mnie, spakowała manatki i uciekła?! Hę?! – ryknął. – Tak myślisz? – Z całej siły uderzył pięścią w blat, aż pióro podskoczyło, jakby chciało stanąć na baczność. Głosem, który zdawał się nieść aż po Himalaje, zawołał: – Jak śmiesz, moja panno?! Za kogo ty się uważasz, do diabła?!

Przerażona Agnes uciekła, rzuciła się na łóżko w swoim pokoju i wybuchnęła płaczem. Później, idąc za radą matki, próbowała się modlić. Tego wieczoru i każdego kolejnego.

NEMEZIS

Czerwiec 1840 roku

SHI-RONG PONOWNIE PRZECZYTAŁ list ciotki; jego treść nie pozostawiała miejsca na domysły.

> *Ojciec Twój pragnie, abym Ci przekazała, że czuje się dobrze. Ponieważ jest obecnie niedysponowany, prosił, abym napisała ten list w jego imieniu. Żadne z nas nie młodnieje, to oczywiste. Odwiedź nas, proszę, o ile komisarz Lin zdoła przez pewien czas obyć się bez Ciebie. Mam Ci przekazać, że Twoja wierna służba cesarzowi i szlachetnemu panu Linowi jest dla Twego ojca powodem do dumy i radości.*

Jego ojciec umierał. Może nie stał jeszcze nad grobem, ale najwyraźniej był zbyt słaby, żeby samemu do niego napisać. Ciotce zależało, aby Shi-Rong wrócił do domu i pożegnał się ze staruszkiem, ojciec jednak zapewne nie chciał o tym słyszeć. Wiadomość, jaką przekazał mu w liście, nie miała zmobilizować młodzieńca do spełnienia synowskiego obowiązku, tylko go rozgrzeszyć. Ojciec dawał mu do zrozumienia, aby Shi-Rong nie czynił sobie wyrzutów, jeśli nie zdoła go w porę odwiedzić; wolał, ażeby syn pozostał tam, gdzie jest, i dalej służył cesarzowi jak należy.

Takie postępowanie było słuszne, a zarazem świadczyło o jego wielkiej dobroci.

Shi-Rong tym bardziej się ucieszył, że tydzień wcześniej wysłał do ojca list z dobrą nowiną.

Gubernator Lin był z niego wyjątkowo zadowolony. Smocze łodzie Shi-Ronga odniosły niedawno olbrzymi sukces: przechwyciły kilka brytyjskich szalup przeprowadzających nielegalny rekonesans w zatoce. Barbarzyńcy zostali rozgromieni, a ich rzekomo szlachetnie urodzony przywódca, oficer nazwiskiem Churchill, zabity.

Czy w związku z tym mógłby zobaczyć się teraz z ojcem? Bardzo tego pragnął. Jak zareagowałby szlachetny pan Lin, gdyby go o to poprosił? Shi-Rong właśnie nad tym rozmyślał, gdy przybył posłaniec.

Drżąc na całym ciele, wcisnął młodemu mandarynowi meldunek do ręki. Chwilę później Shi-Rong pospieszył do komnaty gubernatora.

Jego pan przyjął wiadomość ze spokojem.

– A więc flota złożona z dwudziestu siedmiu brytyjskich okrętów wojennych przybyła do Makau. Uważa pan, że planują wprowadzić blokadę lub zaatakować Guangzhou?

– Tak, ekscelencjo.

– Te pirackie okręty mogą być groźne na pełnym morzu – stwierdził Lin – ale nie zdołają popłynąć w górę rzeki. Gdyby znalazły się pomiędzy mieliznami a naszymi bateriami brzegowymi, wszystkie zostałyby zniszczone. A co do groźby blokady, jaki miałoby to sens? Barbarzyńcom chodzi wyłącznie o handel tym przeklętym opium, o czym obaj doskonale wiemy. Nie przyszło panu do głowy, że te okręty wojenne również mogą je przewozić?

– Zapewne jest to możliwe.

– Niewykluczone – ciągnął beznamiętnie Lin – że spróbują przemycać opium z okrętów swoimi szalupami. Jednak twoje smocze łodzie, drogi panie Jiang, dowiodły już, że łatwo możemy się z nimi rozprawić.

Shi-Rong, który przekonał się na własne oczy, co potrafi artyleria brytyjskiej marynarki, nie był aż takim optymistą. Widział, ile potrafią zdziałać dwa brytyjskie okręty wojenne; jakich spustoszeń dokonałoby dwadzieścia siedem takich jednostek?

– Co w takim razie uczynimy, ekscelencjo? – zapytał.

– Nic – odparł Lin. – Zaczekamy.

Nazajutrz okazało się, że gubernator miał rację. Po południu, w godzinie małpy [1], przybył szpieg z Makau. Był to jeden z najbardziej wiarygodnych wywiadowców z siatki, którą Shi-Rong wciąż utrzymywał na wyspie. Przesłuchawszy go dokładnie, młody mandaryn poszedł prosto do Lina.

– Mieliście rację, ekscelencjo. Wygląda na to, że Elliot zamierza popłynąć wzdłuż wybrzeża na północ, na wyspę Chusan. Stamtąd chcą blokować całą żeglugę aż do ujścia rzeki Jangcy. Mogą wręcz udaremnić dostawy zboża Wielkim Kanałem do stolicy.

– Wątpię, aby o to im chodziło. Brytyjczykami rządzi chciwość, a ich jedynym celem jest handel opium. – Lin popatrzył na Shi-Ronga ze spokojem. – Dlaczego zamożna wyspa Chusan słynie ze swoich wystawnych domostw i pięknych świątyń, panie Jiang? Ponieważ skorumpowani mandaryni z Chusan nigdy nie odmawiają przemytnikom opium przyjęcia łapówki. W ten sposób się bogacą.

– Mimo wszystko, ekscelencjo, skoro brytyjskie okręty są tak dobrze uzbrojone, to czy cesarz nie powinien uprzedzić mieszkańców Chusan? – spytał Shi-Rong. – Może zechce wysłać tam posiłki.

Lin namyślał się przez chwilę.

– Wątpię, abyśmy zdążyli – mruknął. – Ale jeszcze dziś wieczorem napiszę do cesarza – dodał – pan zaś będzie mógł przeczytać list.

Wybiła godzina szczura [2], ostatnia godzina przed północą, kiedy Lin w końcu po niego posłał.

– Zechce pan przeczytać, co napisałem do cesarza.

List spełniał oczywiście wszystkie wymogi formalne. Lin określał w nim siebie mianem „cesarskiego niewolnika”, który „z całym szacunkiem błaga” o uwagę władcy. Jednak przy wszystkich uniżonych formułkach gubernator sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie, co nie uszło uwagi Shi-Ronga. Gubernator pisał, że barbarzyńcy zdają sobie sprawę ze swoich nikłych szans na przedarcie się rzeką do Guangzhou oraz z tego, że wszelkie próby przemytu zostaną przez Chiny udaremnione. Dlatego najwyraźniej postanowili popłynąć na północ, w kierunku Chusan, licząc zapewne, że uda im się tam sprzedać opium. Gdyby władze na północnym wybrzeżu były równie czujne, sugerował z lekką ironią pan Lin, barbarzyńscy przemytnicy również nic by tam nie wskórali.

– A jeśli barbarzyńcom uda się sprzedać opium w Chusan? – zapytał Shi-Rong.

– Być może cesarz wyśle mnie, abym wybadał tamtejszych urzędników. Jest tam tylko jeden uczciwy i wartościowy człowiek: mój przyjaciel, pre-

fekt Zhenhai, małego portu na wybrzeżu nieopodal Chusan. Reszta to zwykli przestępcy.

– Nadal niepokoją mnie te brytyjskie okręty wojenne, ekscelencjo – nie poddawał się Shi Rong. – Mogą z łatwością zniszczyć każdą napotkaną wojenną dżonkę, a nawet wedrzeć się do naszych portów. Czy nie powinniśmy bardziej zdecydowanie ostrzec przed nimi cesarza?

– Jeśli obrona Chusan okaże się niewystarczająca – odparł ponuro Lin – i mieszkańcy dostaną w skórę, będzie to tylko ich problem. Niech sami wyjaśnią to cesarzowi.

– Zadbam, aby wasz list został jak najszybciej dostarczony, ekscelencjo – obiecał Shi-Rong.

– Nie ma takiej potrzeby. Skorzystaj z usług zwykłego posłańca. – Lin uśmiechnął się blado. – Grunt, aby zostało odnotowane, że zawiadomiliśmy o wszystkim cesarza.

Rano gubernator przekazał mu jeszcze jedno polecenie.

– Proszę, aby skontaktował się pan nieoficjalnie z moim przyjacielem, prefektem Zhenhai, i ostrzegł go o okrętach wojennych wroga. Niech go pan poprosi, aby dał nam znać, co tam się dzieje. Zawsze dobrze jest dysponować świeżymi informacjami.

Jeszcze tego samego ranka Shi-Rong wysłał list przez prywatnego posłańca w nadziei, że szybko dotrze do celu.

Przez ponad miesiąc nie mieli żadnych wieści. Shi-Rong rozważał, czy powinien poprosić Lina o zgodę na odwiedziny u ojca, lecz ostatecznie zdecydował się tego nie robić. Nowiny wciąż nie nadchodziły. Wreszcie w sierpniu odebrali list od prefekta Zhenhai. Wiadomości okazały się gorsze, niż Shi-Rong mógł się spodziewać. Nie zwlekając, pospieszył do swojego pana.

– Brytyjczycy wcale nie próbowali handlować opium, tylko od razu zbombardowali Chusan. W mniej niż godzinę rozbili ich obronę. Teraz cała wyspa należy do nich.

– Niemożliwe. Na Chusan mieszkają setki tysięcy ludzi.

– Wszyscy uciekli. Ale to nie koniec, ekscelencjo. Elliot przywiózł pismo od swojego ministra Palmerstona do samego cesarza.

– Co za impertynencja! I cóż ono zawiera?

– Same oburzające żądania, ekscelencjo. Brytyjczycy chcą dla swoich statków handlowych swobodnego dostępu do pół tuzina portów; ich ambasadorowie mają być traktowani tak, jakby ich królowa była równa cesarzowi. Domagają się na własność wyspy Hongkong. Twierdzą, że zostali przez was dotkliwie pokrzywdzeni, i roszczą sobie prawo do odszkodowania za całe opium, które kazaliście zniszczyć. Prefekt Zhenhai pisze ponadto, że odmawiają oddania wyspy Chusan, dopóki wszystkie ich żądania nie zostaną spełnione.

– Nie do wiary! Czy ci piraci wyobrażają sobie, że mogą wywrócić cały świat do góry nogami?

– Prefekt Zhenhai pisze, że barbarzyńcy wręczyli mu pismo do cesarza, lecz jego treść była tak oburzająca, że zwrócił list, odmawiając przekazania go dalej.

– Rozumiem. Co tam się teraz dzieje?

– Elliot zdąża na północ, do samego Pekinu.

Na tę rewelację komisarz Lin zamilkł i przez jakiś czas się nie odzywał. Wreszcie rzekł:

– A zatem nadszedł mój koniec. Proszę zostawić mnie samego, panie Jiang.

* * *

Dopiero następnego wieczoru Shi-Rong miał okazję ponownie ujrzeć swojego pana; Lin poprosił, aby młodzieniec towarzyszył mu podczas posiłku.

– Zastanawia się pan zapewne nad moimi słowami minionego wieczoru – zaczął. – Niewątpliwie przypuszcza pan, że cesarz złaje mnie za to, że w porę nie ostrzegłem go przez posłańca o potędze barbarzyńców, i że będzie mnie obwiniał o los Chusan.

– Tego się właśnie obawiam, ekscelencjo.

Lin uśmiechnął się ponuro.

– W istocie myli się pan. Cesarzowi wcale nie zależy na Chusan.

– Nie zależy mu…? – zdumiał się Shi-Rong.

– Proszę wziąć pod uwagę ogrom ziem pozostających pod władzą cesarza – odrzekł Lin. – Nawet gdyby co roku wyprawiał się, aby osobiście dokonać inspekcji swych terytoriów, w ciągu jednego życia nie zdołałby przemierzyć całego cesarstwa. Jeśli więc w jakiejś dalekiej prowincji wybu-

chają niepokoje, cesarstwo jest w stanie sobie z tym poradzić. Wszelkie kłopoty można w odpowiednim czasie rozwiązać. Czasami zresztą same znikają.

– A Chusan?

– Cała ta sprawa z Chusan jest szokująca. Nie zmienia to jednak faktu, że od Pekinu dzieli je tysiąc mil. Ludzie sprawujący tam władzę zostaną usunięci z urzędów, być może nawet straceni. Później cesarz pośle kogoś, żeby przywrócił w Chusan porządek. Cesarstwo niewiele to obejdzie.

– Ale jeśli barbarzyńcy zagrożą bezpośrednio Pekinowi…?

– To już zupełnie inna sprawa. Cesarz straciłby twarz, a do tego nie wolno nam dopuścić. Barbarzyńców należy się natychmiast pozbyć, bez względu na koszty. W razie konieczności cesarz nie zawaha się mnie poświęcić.

– Przecież w Guangzhou postąpiliście zgodnie z życzeniem cesarza.

– To prawda. Ale barbarzyńcy jasno napisali w swoim liście, że przybyli tu, ponieważ źle ich potraktowałem. Gdyby usunięcie mnie miało sprawić, że odejdą, cesarz będzie musiał mnie poświęcić, a ja przyjmę to, co nieuniknione.

– Nie wierzę, że cesarz mógłby postąpić tak niesprawiedliwie.

– Jeszcze jedno przemawia na moją niekorzyść. Jeżeli cesarz otrzyma list Elliota, to tylko z rąk gubernatora nadmorskiego regionu Pekinu, któremu Elliot przekaże go zapewne w następnej kolejności. Zna pan tego człowieka?

– Wiem, że jest szlachetnie urodzonym Mandżurem.

– Ściśle rzecz biorąc, markizem. Jego przodkowie byli Mongołami – gubernator uważa się za potomka Czyngis-chana – którzy otrzymali szlachecki tytuł kilka wieków temu, po tym, jak przyłączyli się do Mandżurów. Podobnie jak wielu szlachetnie urodzonym Mandżurom, markizowi ułatwiono zdanie egzaminów urzędniczych. Potem otrzymał przyspieszony awans. Obawiam się, że jest człowiekiem niedouczonym, niezasługującym na piastowane zaszczyty. Kilka lat temu, gdy prowadziłem pewne dochodzenie, byłem zmuszony skrytykować go w obecności cesarza, czego do dziś mi nie zapomniał.

– Będzie szukał okazji do zemsty.

– Obawiam się, że łatwo ją znajdzie. Może jest niekompetentny, ale i przebiegły.

– Czy nie możemy nic zrobić, ekscelencjo?

– Obawiam się, że niezbyt wiele – odparł Lin. Uśmiechnął się ze smutkiem. – Postaram się pana ocalić, panie Jiang – dodał – o ile to nadal będzie ode mnie zależało.

* * *

Czerwone grudniowe słońce wisiało nisko nad wieczornymi wodami, gdy smocza łódź z Nio na rufie wiosłowała w kierunku wielkiego brytyjskiego okrętu wojennego stojącego na redzie nieopodal Makau. Na głowie chłopaka tkwiła czapka chińskiego łucznika z zatkniętym pawim piórem, dzięki której był łatwo rozpoznawalny dla swoich nowych przyjaciół, brytyjskich kupców. Przemytnik Nio okazał się dla nich bardzo użyteczny, dziś jednak niczego nie przewoził.

Minęło niemal pół roku, odkąd brytyjska flota wyruszyła w czerwcu do Chusan. Teraz, szczęśliwie dla Nio, okręty wojenne znów powróciły.

Uważał, że jedyną szansą na zarobienie pieniędzy jest dla niego przywrócenie handlu opium z Brytyjczykami. Inni przewoźnicy mogli jednego dnia pracować dla Shi-Ronga, drugiego dla brytyjskich kupców, odkąd jednak Nio porzucił młodego mandaryna – a zwłaszcza odkąd dowodzony przez Shi-Ronga pościg nieomal go pochwycił – chłopak nie miał złudzeń co do swoich perspektyw. Obecnie miał tylko jedną możliwość: współpracę z Brytyjczykami.

Dziś zamierzał uczynić dla nich więcej niż kiedykolwiek. Czekało go spotkanie w cztery oczy z samym Elliotem.

Kiedy dotarli w pobliże brytyjskiego statku i łódź przybiła do burty, z pokładu zrzucono drabinkę sznurową. Nio wdrapał się po niej sam. Zaraz też zaprowadzono go do dużej, wyłożonej boazerią kabiny, gdzie po jednej stronie długiego stołu siedziało kilku mężczyzn, w większości w mundurach marynarki wojennej. Wśród nich Nio rozpoznał wysoką sylwetkę Elliota. Na drugim końcu stołu siedział młody człowiek w dopasowanym ciemnym surducie i koloratce na szyi – niewątpliwie misjonarz, który miał pełnić funkcję tłumacza. Co prawda Nio posługiwał się łamanym angielskim, lecz ta okazja była zbyt ważna i oficjalna, aby polegać wyłącznie na jego nikłych umiejętnościach.

Zaproponowano, aby usiadł. Elliot uśmiechnął się do niego krzepiąco, po czym zwrócił się do młodego misjonarza:

– Panie Whiteparish, bardzo pana prosimy.

– Dowiodłeś, że jesteś godzien zaufania – zaczął Whiteparish. – O ile nam wiadomo, w ostatnim roku pracowałeś dla komisarza Lina i możesz znać informacje, które mogłyby być dla nas cenne. – Nie mówił biegle po kantońsku, ale wyrażał się w sposób zupełnie zrozumiały. – Jeśli będziemy zadowoleni z twoich odpowiedzi, dostaniesz dwadzieścia dolarów w srebrze. Zgadzasz się?

– Tak. – Pracując dla Shi-Ronga, Nio otrzymywał takie samo wynagrodzenie jak załogi łodzi patrolowych: sześć srebrnych dolarów miesięcznie. Dwadzieścia dolarów stanowiło bardzo hojną zapłatę za jeden dzień pracy.

– A zatem, po pierwsze: doszły nas słuchy, że komisarz Lin został w październiku usunięty z urzędu przez cesarza, a jego miejsce ma zająć markiz, z którym prowadziliśmy negocjacje na północy. Przybył tu przed dziesięcioma dniami, podobno jednak Lin nadal przebywa w Guangzhou. Potwierdzasz, że tak jest?

– Oczywiście. – W Guangzhou każdy znał odpowiedź na to pytanie. – Lin został uprzedzony, że w połowie października czeka go dymisja, więc spakował dobytek i zwolnił kwaterę. Potem jednak dowiedział się, że ma zostać i służyć markizowi, który go zastąpi. Zatrzymał się więc w gildii kupców solnych i nadal tam przebywa. Markiz odwiedził go raz, ale poza tym Lin trzyma się na uboczu.

– Co ci wiadomo o łodziach patrolowych?

– Pracowałem dla pana Jianga, mandaryna, który za nie odpowiadał.

– Markiz oznajmił nam, że na znak dobrej woli zlikwiduje wszelkie patrole. Czy rzeczywiście są one likwidowane?

– Tak – potwierdził stanowczo Nio.

Elliot powiedział coś do misjonarza, a Whiteparish ponownie zwrócił się do Nio:

– Co wiesz na temat umocnień na wybrzeżu oraz ich obrońców?

– Byłem przy tym, jak pan Jiang i komisarz Lin przeprowadzali tam inspekcję. Widziałem wszystko na własne oczy.

Kiedy Whiteparish to przetłumaczył, zebrani oficerowie z ożywieniem pochylili się nad stołem.

– Opowiedz nam o obrońcach.

– To najlepsze oddziały, jakie ma cesarz. Chorągwie mandżurskie, doskonale wyszkolone. Połowę stanowią łucznicy, resztę muszkieterzy.

– Widziałeś musztrę muszkieterów? Co możesz nam o niej opowiedzieć?

– Są dobrze przygotowani. – Nio się zawahał. – Ale robią wszystko tak wolno…

– Opisz ich musztrę najlepiej, jak potrafisz.

To akurat było łatwe: wspomnienia o tamtym dniu w forcie wciąż były żywe i Nio mógł przedstawić Brytyjczykom wszystkie szczegóły musztry. Gdy Whiteparish przetłumaczył jego słowa, któryś z oficerów marynarki wykrzyknął:

– Dobry Boże! Muszkiety! Najlepsi mandżurscy chorążowie nadal korzystają z muszkietów!

Zasypali go pytaniami: czy granitowe umocnienia są zadaszone? Czy da się zbliżyć do fortów od strony lądu? Pytali go też o inne rzeczy, a on był w stanie udzielić im zadowalających odpowiedzi. Wydawali się uradowani, wręcz wniebowzięci. Potem zaczęli go wypytywać o artylerię. Ile dział jest w każdej baterii, którą widział? Czy są stare, czy nowe? Czy są sprawne? Czy widział, jak z nich strzelano?

Na każde pytanie Nio odpowiadał jak najdokładniej. W końcu oficerowie zamilkli. Na znak Elliota jeden z nich wręczył chłopakowi srebrne monety, a Whiteparish mu podziękował. Nio wstał, skłonił się zebranym, po czym znowu usiadł.

– Jest jeszcze coś, o czym mógłbym opowiedzieć – odezwał się ze spokojem.

– Co takiego?

– Czy jeśli to się okaże przydatne, dostanę kolejne dwadzieścia dolarów?

– Bezczelny smarkacz! – zawołał jeden z oficerów, lecz Elliot kazał mu zamilknąć i skinął głową Whiteparishowi.

– Pod warunkiem, że ta informacja będzie dla nas cenna – odparł misjonarz.

– To ma związek z armatami. Pytałem kanonierów, ale odpowiedzieli mi, że to bez znaczenia. Jestem przemytnikiem, dlatego zastanawiałem się, jak mógłbym ominąć baterie brzegowe, gdyby do mnie strzelały, i myślę, że bez większych trudności dałoby się to zrobić.

– Jakim sposobem?

– Wszystkie działa są zamontowane na stałe. Nie można ich skierować w górę, w dół ani obracać nimi na boki. Strzelają tylko na wprost, zawsze w to samo miejsce.

Elliot przyglądał mu się z niedowierzaniem, podobnie jak pozostali oficerowie.

– Jesteś tego pewien? – zapytał Whiteparish.

– Daję słowo, że tak jest.

Na moment zapadła cisza.

– Trzeba by to sprawdzić – odezwał się ktoś.

– Jeżeli skłamałeś – uprzedził go Whiteparish – dowiemy się o tym i bardzo się rozgniewamy.

– Po prostu zabierzcie mnie ze sobą – zaproponował spokojnie Nio – gdy zdecydujecie się szturmować fort. Jeśli skłamałem, zastrzelicie mnie, a jeśli powiedziałem prawdę, dacie mi kolejne dwadzieścia dolarów.

Tym razem nawet ten, który wcześniej się na niego oburzył, wybuchnął śmiechem.

– Niewykluczone, że tak właśnie zrobimy – przetłumaczył Whiteparish.

Drugie dwadzieścia dolarów trafiło do kieszeni Nio.

* * *

Shi-Rong szanował komisarza Lina, gdy ten cieszył się zaufaniem cesarza, ale jego podziw wzrósł jeszcze, jak jego pan wypadł z łask. Już podczas sprawowania urzędu wykazał się szlachetnością, lecz o jego godności nader dobitnie świadczył sposób, w jaki ustąpił ze stanowiska. Przeniósłszy się do nowej kwatery w pięknym gmachu gildii kupieckiej, gdzie Shi-Rong miał zaszczyt do niego dołączyć, Lin ze spokojem poświęcił się ćwiczeniom z kaligrafii, prowadzeniu korespondencji z miejscowymi uczonymi oraz swoimi przyjaciółmi w Pekinie i wielu innych miejscach.

W oczekiwaniu na przybycie markiza Shi-Rong z radością towarzyszył swemu mistrzowi w tych przyjemnych zajęciach.

– Odesłałbym pana do domu, aby mógł pan odwiedzić ojca – rzekł Lin – ale lepiej będzie, jeśli pan tutaj zostanie. Wspomniałem już przyjaciołom w Pekinie, ile panu zawdzięczam. Oczywiście nie mogę niczego obiecać, ale powinien być pan w pobliżu, jeśli pojawią się jakieś propozycje zatrudnienia.

Tak im minęła reszta października i większa część listopada.

– Markiz nie spieszy się z przyjazdem – zauważył kiedyś Shi-Rong.

– Może powinniśmy się z tego cieszyć – odparł Lin.

Gdy pod koniec listopada markiz nareszcie przybył, skierował się prosto do domu gubernatora i tam się rozgościł. Następnie wezwał do siebie na

rozmowę wiele osób, lecz nie Lina; nie próbował nawet spotkać się ze swoim poprzednikiem.

Lin w mig pojął, co to oznacza.

– Prowadzi śledztwo w mojej sprawie. Wzywa świadków, gromadzi dowody. Kiedy skończy, zaprosi mnie na przesłuchanie. To standardowa procedura. Potem spisze raport i wyśle go cesarzowi.

– I co wtedy?

– Markiz będzie bardzo zajęty. Najpierw musi uporać się z Brytyjczykami. Osobiście zamierzam czekać i służyć markizowi wszelką pomocą, tak jak nakazał cesarz. W odpowiednim czasie to on zdecyduje, czy odwołać mnie do Pekinu, zesłać na wygnanie czy skazać na śmierć.

Shi-Rong zastanawiał się, jaki los czekałby jego w tym ostatnim przypadku.

Pewnego popołudnia markiz odwiedził ich bez uprzedzenia. Ponad godzinę rozmawiał z Linem za zamkniętymi drzwiami, po czym, ku zaskoczeniu Shi-Ronga, wezwał go do siebie.

– A oto młody pan Jiang – przedstawił go Lin, gdy Shi-Rong skłonił im się nisko. – Zna okolicę, włada dialektem kantońskim i jest najlepszym sekretarzem, jakiego kiedykolwiek miałem. – Zwrócił się do Shi-Ronga: – Markiz potrzebuje sekretarza, który zna tutejszy teren. Pana wybór jest oczywisty. Będzie mu pan służył tak jak mnie i dalej wiernie wypełniał swoje obowiązki wobec cesarza.

Markiz bacznie mu się przyglądał. Jak to Mongołowie, miał wysokie kości policzkowe, w czym bez wątpienia przypominał samego Czyngis-chana, oraz przebiegłe spojrzenie, na tym jednak, jak uznał Shi-Rong, kończyło się wszelkie podobieństwo do przodka-zdobywcy. Twarz urzędnika była nalana, a ciało pulchne. Wyglądał na człowieka, który wiedzie dostatnie życie i nie zamierza dopuścić, aby to się zmieniło.

– Reprezentuję tu władzę cesarza, więc ma mi pan służyć bez wahania. – Głos miał łagodny, ale Shi-Rong wolał nie myśleć, co by go spotkało, gdyby okazał markizowi nieposłuszeństwo. – Wieczorem zgłosi się pan do mnie.

Shi-Rong ukłonił mu się i markiz odszedł.

Kiedy szykował się do przeprowadzki do domu gubernatora, Lin poprosił:

– Niech pan zostawi tutaj część swoich rzeczy. Będzie pan miał dobrą wymówkę, żeby mnie odwiedzać. – A gdy godzinę później Shi-Rong przyszedł pożegnać się – na jakiś czas – ze swoim panem, komisarz wydał mu kilku ostatnich poleceń.

– Musi pan stać się dla markiza użyteczny, wręcz niezbędny. Musi pan bez wahania wykonywać wszystko, czego on zażąda. Niech pan dba o to, aby przed podjęciem jakichkolwiek działań miał najświeższe informacje na temat bieżącej sytuacji. Może mu pan nawet szczerze udzielić swojej rady, jeżeli o nią poprosi, ale proszę zachować ostrożność. Jeśli zostanę stąd odesłany albo spotka mnie coś gorszego, od niego będzie zależeć pańskie przetrwanie i przyszła kariera. Taki jest mój dar pożegnalny dla pana.

– Zawdzięczam wam życie, ekscelencjo.

– Wygląda na to, mój drogi panie Jiang, że przegrałem tę potyczkę z markizem, niewykluczone jednak, że bitwa jeszcze się nie skończyła. Dlatego proszę, aby uczynił pan dla mnie jeszcze jedną rzecz.

– Wszystko, czego zażądacie, ekscelencjo.

– O ile to możliwe, proszę mnie codziennie informować o wszystkich poczynaniach markiza.

Pierwszym, co nazajutrz rano zrobił markiz, było zlikwidowanie patroli Shi-Ronga. W dodatku kazał mu wykonać polecenie osobiście, co zajęło dwa dni. Załogi łodzi patrolowych nie były zadowolone; każdy z ich członków tracił zarobek w wysokości sześciu srebrnych dolarów miesięcznie. Sam Shi-Rong był oburzony tym pomysłem.

Ale kiedy zajrzał do Lina, aby przekazać mu hiobowe wieści, jego dawny pan okazał olbrzymią radość.

– Znakomicie, mój drogi panie Jiang! Markiz osłabia naszą obronę. Postaram się dobrze wykorzystać tę informację.

Następnego dnia było jeszcze gorzej.

– Mój raport na temat byłego gubernatora Lina jest gotowy – oznajmił markiz, ledwo Shi-Rong się pojawił. – Trzeba go jednak uporządkować i przepisać w bardziej eleganckiej formie. Ma pan czas do wieczora, potem zostanie niezwłocznie dostarczony cesarzowi przez posłańca.

Shi-Rong cały dzień trudził się nad tym niewdzięcznym zadaniem. Czy pomagając sporządzić raport, wydawał wyrok śmierci na swojego mentora? Czy starczy mu odwagi, aby coś zmienić w treści sprawozdania, złagodzić

to czy inne sformułowanie, podkreślić, że w istocie Lin wykonywał jedynie polecenia cesarza? Wolał nie myśleć, co by się stało, gdyby wyszło na jaw, że to on odpowiada za te impertynenckie uwagi. Znane mu były mrożące krew w żyłach opowieści o dawnych cesarzach, skazujących na śmierć urzędników, którzy przedstawili im niezadowalające raporty. Jeden z cesarzy dynastii Ming kazał za coś takiego przepiłować jakiegoś biedaka na pół!

Jak się potem okazało, dobrze, że niczego nie zmienił w raporcie, bo późnym popołudniem markiz zażądał gotowego pisma i przeczytał je w całości, po czym, najwyraźniej zadowolony z rezultatu, dał Shi-Rongowi wolny wieczór.

Jak jednak miał poinformować o wszystkim swojego dawnego pana? Na pewno chciałby poznać zarzuty, jakie mu stawiano. Shi-Rong pomyślał, że mógłby przekraść się do kwatery Lina pod osłoną nocy, ale w gmachu gildii kupców solnych zawsze ktoś się kręcił, więc mógłby zostać zauważony. Jeśli nawet markiz nie kazał go śledzić, zapewne dowiedziałby się o odwiedzinach Shi-Ronga w gmachu gildii i domyśliłby się reszty. Nie pozostawało mu nic innego, jak czekać na lepszą okazję.

Jakież było jego zdziwienie, gdy następnego ranka markiz przyjął go z życzliwością, kazał mu usiąść i odezwał się:

– Ostatnie zadania, jakie panu powierzyłem, musiały być dla pana nieprzyjemne, panie Jiang.

Shi-Rong zawahał się, lecz pod przenikliwym spojrzeniem mongolskiego urzędnika zdecydował, że rozsądniej będzie wyznać prawdę.

– Tak, ekscelencjo.

– Czy poinformował pan komisarza Lina o treści mojego raportu?

– Nie, ekscelencjo. Nie uczyniłem tego.

– Jeszcze nie, ale uczyni to pan. Wie pan jednak dobrze, że poza zarzutem złego potraktowania Brytyjczyków, co stało się przyczyną naszych obecnych kłopotów – z czego on i tak zdaje sobie sprawę – nie oskarżyłem go o nic innego. Nie zakwestionowałem jego uczciwości ani skuteczności działania.

– Zauważyłem, ekscelencjo, i bardzo się z tego cieszę.

– Proszę sporządzić kopię raportu i przekazać go panu Linowi, kiedy znów się spotkacie. Wraz z moimi wyrazami szacunku.

– Ekscelencjo… – Zaskoczony Shi-Rong wstał i nisko się ukłonił.

– Musi pan być wściekły z powodu tych łodzi patrolowych – zauważył żartobliwie markiz.

– Wiecie, że to ja organizowałem rzeczne patrole, ekscelencjo. Głupotą byłoby zaprzeczać, że ich likwidacja nie była dla mnie bolesna.

– Szczera odpowiedź. – Markiz skinął głową. – Zapewne uważa to pan za zły pomysł.

– Wasza ekscelencja musiał mieć jakiś powód.

– Istotnie. Proszę, niech pan spocznie. – Markiz przyglądał mu się zamyślony. – Nadrzędnym celem cesarza było pozbycie się brytyjskich barbarzyńców z okolic Pekinu. Kolejnym krokiem będzie przekonanie ich, aby oddali nam wyspę Chusan. – Umilkł na chwilę. – Proszę się teraz zastanowić, jak mielibyśmy to osiągnąć. Z pewnością znana jest panu starożytna strategia tak zwanego „popuszczania cugli".

– Jeśli zniszczenie przeciwnika jest trudne, należy go ułagodzić.

– Stosujemy ją od dwóch tysięcy lat, od czasów dynastii Han. Tę samą technikę wykorzystuje się do oswajania dzikich zwierząt. Należy traktować barbarzyńców z życzliwością. Ulec niektórym ich żądaniom i sprawić, że zechcą żyć z nami w przyjaźni. To nie słabość; takie podejście wymaga jedynie dwóch cech, które u barbarzyńców rzadko się spotyka: cierpliwości oraz inteligencji.

– Waszą strategią jest nakłonienie ich, aby zrobili to, co chcemy.

– Lin obraził Brytyjczyków; my zrekompensujemy im ten afront. Już ich przekonaliśmy, żeby odesłali większość swoich okrętów wojennych z powrotem do zatoki. Pańskie smocze łodzie ich nękały, więc ich się pozbyliśmy. Wkrótce zaoferujemy więcej ustępstw w zamian za opuszczenie Chusan. Oczywiście nie dostaną wszystkiego, czego chcą, ale potrzebują handlu, a operacja wojskowa sporo kosztuje. – Markiz się uśmiechnął. – Prędzej czy później dojdziemy z nimi do porozumienia.

Nazajutrz markiz zaoferował Brytyjczykom rekompensatę za utracone opium w wysokości pięciu milionów srebrnych dolarów. Po tygodniu oświadczył Elliotowi:

– Wasza królowa będzie odtąd uważana za władczynię równą samemu cesarzowi, a jej przedstawiciele będą odpowiednio traktowani. – Gdy zaś Elliot zażądał przyznania imperium brytyjskiemu Hongkongu, markiz odrzekł łagodnie: – W tej chwili nie mogę panu tego obiecać. Przypuszczam, że w przyszłości, gdy nasze królestwa będą żyły w przyjaźni, cesarz

może spełnić pańską prośbę, ale na pewno nie zgodzi się na to, dopóki będziecie okupować Chusan. Musi pan przyznać, że nie byłoby to rozsądne.

Shi-Rong dyskretnie przekazał wszystkie te informacje Linowi. Jedno tylko go zastanawiało i wreszcie odważył się zapytać markiza:

– Jesteście pewni, ekscelencjo, że cesarz rzeczywiście pójdzie na te ustępstwa?

– W sztuce negocjacji chodzi nie tylko o przekonanie przeciwnika, aby uznał punkt widzenia twojego pana – wyjaśnił markiz – ale również o przekonanie swojego pana, aby postąpił rozważnie. Jeżeli uda mi się udowodnić obu stronom, że poczyniliśmy pewne postępy, mam szansę doprowadzić do porozumienia.

– A jeśli to się nie uda?

– Polityka popuszczania cugli może mieć dwojaki skutek. Po pierwsze, skłonić przeciwnika do tego, aby poszedł za głosem rozsądku. Gdyby to jednak zawiodło, damy im fałszywe poczucie bezpieczeństwa, a kiedy tylko stracą czujność, uderzymy.

– Cesarz oczekuje od was, że przekabacicie Brytyjczyków albo…

– Albo ich zniszczę.

– Czy to w ogóle możliwe, ekscelencjo?

– Cierpliwości, panie Jiang – odparł markiz. – Cierpliwości.

Nazajutrz rano przygotowali wspólnie pismo do cesarza, informujące go o toczących się z Brytyjczykami rozmowach. „Oni naprawdę nie mają pola manewru – pisał z optymizmem markiz. – Wystarczy jedno, dwa ustępstwa z naszej strony, a ulegną”.

Po południu następnego dnia otrzymali lakoniczny list od Elliota. Jego cierpliwość była na wyczerpaniu. Domagał się natychmiastowego wznowienia handlu i dodatkowo otwarcia dla brytyjskich statków kilku portów na północnym wybrzeżu.

– I co teraz? – spytał Shi-Rong.

Markiz się uśmiechnął.

– Nic tak nie sprzyja dobrym emocjom jak bankiet – odrzekł. – Niech mu pan przekaże, że chciałbym czym prędzej omówić interesujące nas sprawy, ja zaś rozpocznę przygotowania do uczty, na której wszyscy będziemy mogli się dobrze bawić.

Mijały jednak dni, a Elliot nie odpowiadał.

Z początku nie dostrzegli „Nemezis” ukrytej za innymi żaglowcami. Shi-Rong stał wraz ze starym admirałem Guanem na niewielkim wzniesieniu w górze rzeki, skąd roztaczał się doskonały widok na dwa pierwsze forty, między którymi musiały przepłynąć brytyjskie okręty.

Shi-Rong zerknął na oblicze admirała. Cóż to był za wspaniały starzec! Ponoć nawet brytyjscy marynarze podziwiali Guana za waleczność.

– Część naszych wieśniaków uważa go za potomka chińskiego boga wojny – poinformował markiza młodzieniec.

– Ma odpowiedni wygląd – przyznał markiz.

Gubernator był całkowicie zaskoczony, gdy w pierwszym tygodniu stycznia 1841 roku według kalendarza barbarzyńców Elliot, straciwszy cierpliwość, niespodziewanie wpłynął ze swoją flotą do ujścia Rzeki Perłowej. Zdążył jednak odzyskać panowanie nad sobą, zanim Shi-Rong zapytał, czy mógłby towarzyszyć admirałowi i śledzić bitwę.

– Piraci są bezradni wobec naszych umocnień – rzekł. – Admirał opracował znakomity plan bitwy. Zanim nadejdzie ranek, Brytyjczycy będą nas błagać o warunki rozejmu.

Teraz, spoglądając przez mosiężną lunetę na nadpływające brytyjskie okręty, Shi-Rong zagadnął admirała:

– Zwabiliście ich w pułapkę.

– Staram się uczyć na własnych błędach – odparł Guan. – Co dokładnie zrobiłem według pana?

– Przede wszystkim w górze rzeki, za fortami, przeciągnęliście pod wodą gruby łańcuch. Brytyjczycy go nie zauważą, ale zatrzyma ich, podczas gdy nasze baterie brzegowe rozniosą ich na strzępy.

– Zgadza się. Coś jeszcze?

– Trzymacie też w górze rzeki flotę wojennych dżonek, sądzę jednak, że znajdują się one poza zasięgiem brytyjskich dział.

– Taki cel mógłby ich skusić, gdyby zdołali podejść wystarczająco blisko. Ale to im się nie uda.

– Dlaczego?

– Płycizny. Nawet jeśli Brytyjczycy w końcu ominą łańcuch i skierują się ku moim statkom, wpłyną na płytkie wody i osiądą na mieliźnie.

– Sprytne. – Shi-Rong rozmyślał właśnie o tym, jakie ma szczęście, że jest tu, na miejscu, kiedy zauważył coś bardzo dziwnego. Dwa płynące na czele brytyjskie okręty niejako rozstąpiły się, a jego oczom ukazała się ukryta za nimi jednostka niepodobna do niczego, co dotychczas widział.

Tam gdzie powinien być maszt, tkwił buchający dymem komin, a na każdej burcie obracały się ogromne koła łopatkowe. Co najdziwniejsze, cały okręt był najwyraźniej zbudowany z żelaza. – Co to takiego, u licha? – wykrzyknął i podał lunetę admirałowi.

Guan patrzył przez nią w milczeniu. W końcu odparł:

– Nie wiem.

To właśnie była „Nemezis”.

Pierwszym, który wykonał ruch, nie był żelazny statek, ale jeden z dwóch znajdujących się przed nim okrętów wojennych. Kierując się ku otwartemu ujściu rzeki, minął działa najbliższego fortu. Gruchnęła armata, potem druga i trzecia. Pierwsze dwie kule wpadły do wody tuż obok nieprzyjacielskiego okrętu, trzecia trafiła w takielunek. Okręt płynął dalej. Z chińskiego działa padły kolejne strzały, lecz większość przeszła ponad brytyjską jednostką. Zanim okręt zdążył dopłynąć do zanurzonego w wodzie łańcucha, przechylił się na jedną burtę, jakby chciał powiedzieć: „Dziękuję bardzo”, po czym zgrabnie zawrócił, wykonawszy swoje zadanie polegające na ustaleniu zasięgu chińskich armat.

– Najwyraźniej Brytyjczycy wiedzą o naszym łańcuchu – stwierdził Shi-Rong.

Trudno było się temu dziwić; co najmniej stu bezrobotnych przewoźników w zatoce mogło sprzedać nieprzyjacielowi tę informację za jednego srebrnego dolara.

Teraz drugi drewniany okręt wojenny zajął bezpieczną pozycję w dole rzeki i oddał próbny strzał.

– Ostrzeliwują fort! – wykrzyknął zdumiony admirał.

Pierwszy okręt również oddał próbny strzał. Oba, choć oddane pod różnymi kątami, były wycelowane w jeden z granitowych narożników baterii przybrzeżnej. Przy drugiej próbie kanonierzy z obu okrętów trafili w cel. Granitowy mur ocalał, ale – jak zauważył Shi-Rong – został poważnie naruszony.

Wtedy na dobre rozpoczęło się bombardowanie. Spokojnie, niespiesznie, z precyzją wynikającą ze świetnego przeszkolenia, Brytyjczycy rozbijali jedno po drugim chińskie stanowiska artyleryjskie. W ostrzał włączyły się pozostałe okręty, w tym żelazna „Nemezis”. Shi-Rong nie był pewien, z którego statku pochodziły pociski moździerzowe, ale niejednokrotnie

przelatywały one ponad murami chroniącymi baterie dział, po czym eksplodowały, siejąc zniszczenie.

– Nie sądziłem, że zrobią coś podobnego – przyznał z pokorą admirał Guan. Shi-Rong dostrzegł łzy w jego oczach. Admirał nie był w stanie niczego zrobić – nie w tym momencie.

Był też bezradny, gdy łodzie pełne brytyjskich marynarzy błyskawicznie dotarły do brzegu, ich załogi okrążyły fort i od tyłu zaatakowały obrońców. To była masakra.

W ten sam sposób padł fort po drugiej stronie szerokiej rzeki. Następnie wróg zniszczył pale podtrzymujące przeciągnięty w poprzek rzecznego koryta łańcuch i brytyjskie okręty przedarły się w górę rzeki, płynąc na spotkanie wojennych dżonek.

– Nie mogą do nich dotrzeć! – krzyknął admirał. – To niemożliwe! – I rzeczywiście, manewr Brytyjczyków byłby skazany na porażkę, gdyby wszystkie ich okręty były drewniane.

Teraz jednak przyszedł czas, aby „Nemezis” pokazała, na co ją stać. Shi-Rong z przerażeniem patrzył, jak okręt nieubłaganie pokonuje rzeczne płycizny niczym potwór z innego świata – świata żelaznych bogów, gdzie wiatr wydymający żagle nie jest już do niczego potrzebny. Statek był tak płytko zanurzony, że swobodnie pokonał ławice piasku, kierując się wprost na zacumowane przed nim bezradne wojenne dżonki.

A potem, niby z ziejącego ogniem smoka, z pokładu „Nemezis” spadł na nie grom. Ani Shi-Rong, ani admirał nigdy wcześniej nie widzieli racy kongrewskiej.

Nie przypuszczali nawet, że istnieje coś takiego jak raca przenosząca materiały wybuchowe. Trafiając w cel, raca kongrewska powodowała eksplozję, przy której wybuch najpotężniejszego pocisku moździerzowego brzmiał niby huk petardy. Pech chciał, że już pierwsza raca wystrzelona tego dnia z pokładu „Nemezis” trafiła w skład amunicji na jednej z dżonek.

Siła eksplozji była tak wielka, że niemal zwaliła z nóg stojących w punkcie obserwacyjnym na brzegu Shi-Ronga i admirała. Kiedy opadł dym, po wojennej dżonce i jej załodze nie było śladu. Kadłub, maszty oraz ludzie zniknęli, rozerwani na strzępy, a w miejscu, gdzie cumował statek, przy brzegu ziała tylko wielka dziura.

Podczas gdy Shi-Rong z otwartymi ustami obserwował dzieło zniszczenia dokonane przez broń pochodzącą z nowego świata, ze wzgórza zbiegło ku niemu pędem dwóch posłańców.

– Panie Jiang! – zawołał jeden. – Ma pan natychmiast udać się z nami do Pekinu.

– Do Pekinu? Jak to? Kto tak zarządził?

– Cesarz.

– Cesarz? Ale dlaczego? Jesteście pewni? Będę musiał się przygotować.

– Nie rozumie pan! – zawołał jeden z mężczyzn. – Cesarz chce pana czym prędzej widzieć. Ma pan natychmiast wyruszyć z nami. Teraz, zaraz!

Kiedy Czyngis-chan stworzył pocztę cesarską, którą jego potomkowie przenieśli później na grunt chiński, mongolscy posłańcy rozwozili dekrety po pustych równinach Eurazji. Najwytrwalsi jeźdźcy dniami i nocami nie zsiadali z koni, mając ciała ciasno obwiązane szmatami, które utrzymywały ich w siodle. Na każdym postoju zmieniali wierzchowce i jechali często po kilka dni bez snu, żeby dostarczyć przesyłkę następnemu jeźdźcowi jak w olbrzymiej sztafecie.

W południowych Chinach nieco zmodyfikowano ten system, aby dostosować go do lokalnych warunków. Przez zielone doliny, pola ryżowe i górskie przełęcze cesarską pocztę można było przenosić pieszo i przekazywać z rąk do rąk wedle tej samej zasady.

Shi-Rong miał zostać potraktowany jak pilna przesyłka.

Z Guangzhou szybkonodzy kulisi ponieśli go w bambusowej lektyce. Nie było to takie złe, jednak na każdym przystanku, gdzie czekali już nowi tragarze, postój lektyki trwał tylko tyle, żeby młody mandaryn zdążył załatwić swoje potrzeby fizjologiczne. Wszelkie dostarczane mu posiłki musiał spożywać w drodze. Dzień i noc podróżował, na poły drzemiąc w rozkołysanej i podskakującej lektyce; wkrótce cały zdrętwiał, zaczął mu też doskwierać brak snu.

Na domiar złego było mu zimno. Łagodne styczniowe temperatury południowego wybrzeża Zatoki Kantońskiej zastąpił dotkliwy chłód północnych równin, w których głąb podróżowali. Dopiero po trzech dniach na jednym z punktów postojowych znalazł się dla niego zimowy przyodziewek. Shi-Rong z ulgą włożył obszyte miękkim futrem skórzane buty, długi, ocieplany płaszcz mandżurski i grubą filcową czapkę, również szytą na mandżurską modłę. Początkowo dobrze chroniły go one przed zimnem, ale w miarę jak wspinali się na kolejne górskie przełęcze, wilgotny śnieg zdawał się go oblepiać i wsiąkać w każdą najmniejszą szparkę.

Ale najgorsze czekało go dopiero na północnych równinach, odtąd bowiem miał jechać konno.

Temperatura spadła poniżej zera i wiatr siekł mu twarz jak nożem. Ziemia stwardniała na kamień, horyzont zdawał się oddalać bez końca, a mongolscy jeźdźcy oczekiwali, że za nimi nadąży.

Shi-Rong od dzieciństwa przywykł do jazdy wierzchem, ale nie do takich długich podróży. Mongołowie, którzy pokonywali konno po sto pięćdziesiąt mil w ciągu jednego dnia, twierdzili, że Shi-Rong ich spowalnia. Pod koniec pierwszego dnia był już cały poobijany od ciągłego tkwienia w kulbace.

Następnego dnia ból stał się nie do zniesienia; otarcia na skórze krwawiły, a Shi-Rong był tak zmęczony, że dwukrotnie spadł z konia. Kiedy poskarżył się zawiadującemu najbliższym postojem urzędnikowi, ten odparł:

– Kazano nam dostarczyć pana na miejsce tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Pytanie, czy mam tam dotrzeć żywy – mruknął.

Pozwolono mu pospać przez trzy godziny, a gdy się obudził, zobaczył przygotowane dla siebie coś w rodzaju hamaka zawieszonego pomiędzy dwoma jucznymi końmi. Przypięto go pasami i okryto kocem, dzięki czemu posłańcy mogli kontynuować podróż we dnie i w nocy. Na postoju wystarczyło tylko zmienić konie dźwigające hamak, Shi-Rong zaś mógł spać, ile mu się żywnie podobało.

Wreszcie, po trzynastu dniach podróży, zmęczony, posiniaczony, z obolałymi stawami i paskudną wysypką, która sprawiała mu ból przy siedzeniu, Shi-Rong, widząc przed sobą w oddali potężne mury i wieże Pekinu, pojął, że jego udręka właśnie dobiega końca. Ale co go czekało w przyszłości – czy przypadkiem nie coś gorszego? Nadal przecież nie wiedział, dlaczego się tutaj znalazł.

Zabrano go do cesarskiego zajazdu tuż za murami Zakazanego Miasta, pozwolono się wykąpać, dano czyste ubranie i nakarmiono. Urzędujący tam mandaryn traktował go uprzejmie, ale uwadze Shi-Ronga nie umknęła obecność strażnika przy bramie od ulicy. Nie próbował sprawdzać, czy gdyby chciał się przejść, zostałby zatrzymany. Usłyszał tylko, że rano ktoś z pałacu nim się zajmie, tymczasem zaś powinien się zdrzemnąć.

Już miał się położyć, gdy drzwi jego izby się otwarły i ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu Shi-Rong stanął twarzą w twarz ze starym panem

Wenem, swoim dawnym nauczycielem.

– Panie Wen! Mistrzu… – Shi-Rong ukłonił się nisko staremu uczonemu. – Co za zaszczyt! Ale skąd wiedzieliście, że tutaj jestem? Albo że w ogóle przyjadę?

– Od dawna cię oczekiwaliśmy – odpowiedział pan Wen.

– My?

– Pan Lin ma w Pekinie wielu przyjaciół i zwolenników. Jestem dumny, że mogę należeć do ich grona. Czy wiesz, dlaczego się tutaj znalazłeś?

– Wiem tylko, czcigodny nauczycielu, że cesarz po mnie posłał, ale powód nie jest mi znany.

– Pozwól zatem, że wszystko ci wyjaśnię. Po tym, jak szlachetny pan Lin został odwołany ze stanowiska, regularnie korespondował ze swoimi przyjaciółmi w Pekinie, a zwłaszcza ze mną, my zaś zajęliśmy się jego sprawą. Wiemy, że pracując dla markiza, przekazywałeś informacje panu Linowi, i że markiz zniszczył wszystko, co dobrego razem uczyniliście, a także że składał Brytyjczykom obietnice bez cesarskiego upoważnienia. Szczerze mówiąc, niektórzy tutaj zastanawiają się nawet, czy barbarzyńcy go nie przekupili.

– Nie sądzę, aby tak było, czcigodny nauczycielu.

– Tak czy inaczej – ciągnął pan Wen – szlachetny pan Lin tylko skorzysta na tego rodzaju pogłoskach.

Shi-Rong zmarszczył brwi. Zaskoczyło go, że stary nauczyciel zniża się do podobnych knowań. Pan Wen zauważył jego zdziwienie, lecz nie zareagował.

– Znaleźliśmy posłuch u samego cesarza. Lubi markiza, obawia się jednak, czy ten go nie zwodzi. Pragnie się dowiedzieć, co tak naprawdę wydarzyło się w Guangzhou. Kiedy pan Lin napisał, że nikt lepiej od ciebie nie zdoła przekazać dworowi prawdy o tym, co naprawdę się tam dzieje, postaraliśmy się, aby ta sugestia dotarła do uszu cesarza.

– Rozumiem.

– Na pewno cieszysz się, mając okazję odwdzięczyć się panu Linowi za okazaną ci wielką łaskę.

– Sądzicie, że komisarz Lin mógłby zostać przywrócony do służby, mistrzu Wen?

– Nie. Dla cesarza oznaczałoby to utratę twarzy. Ale dzięki nam może uniknąć kary.

– Cóż mam zatem czynić?

– Powiedzieć prawdę, nic więcej. Markiz okazał cesarzowi nieposłuszeństwo, osłabił naszą obronę… – Pan Wen urwał. – Idąc tutaj – podjął po chwili – słyszałem, jak mówiono, że właśnie ponieśliśmy wielką klęskę w Guangzhou. Wiesz coś o tym?

– Niestety to prawda.

– No proszę. Winę za to również ponosi markiz.

– To chyba nie takie proste – odrzekł ze znużeniem Shi-Rong.

– Nie zapominaj, chłopcze, komu jesteś winien lojalność – upomniał go jeszcze przed wyjściem pan Wen.

Rano zjawił się pałacowy eunuch, mniej więcej w wieku Shi-Ronga. Cmokając z przejęciem, obejrzał jego odparzenia – pamiątkę po jeździe w siodle – posmarował je maścią i przebrał młodego mandaryna w dworski strój, odpowiedni dla jego skromnego stanowiska.

– A teraz słuchajcie uważnie – powiedział – bo etykieta jest na dworze najważniejsza. Może przesądzić o powodzeniu lub o porażce, a nawet o życiu lub śmierci. Wyłożę wam wszystko, co musicie wiedzieć – jak stanąć przed obliczem cesarza, jak mu się kłaniać i jak się do niego zwracać.

Shi-Rong starał się słuchać w skupieniu objaśnień eunucha, prawda była jednak taka, że tylko część z nich do niego dotarła.

W końcu eunuch powiódł go przez wielkie, czerwone, wysadzane złotem bramy do Zakazanego Miasta, a następnie przez rozległy teren aż do pałacu o złotym dachu, w którym mieszkał Syn Niebios.

Sala, gdzie odbywały się prywatne audiencje, nie była tak duża, jak Shi-Rong sobie wyobrażał – okazała się niewiele większa od głównego pomieszczenia w domu jego ojca. Znajdował się w niej tron, a na nim siedział cesarz. Kątem oka Shi-Rong dostrzegł w jego otoczeniu kilku urzędników, ale nie był pewien, ilu ich było, ponieważ wzrok miał pokornie spuszczony.

Zgodnie z wymogami etykiety ukląkł i skłonił się, trzykrotnie dotykając czołem podłogi. Następnie powoli wstał i ponownie ukląkł, powtarzając wszystko jeszcze raz od początku. Znowu się podniósł, po raz trzeci ukląkł i trzykrotnie uderzył głową w posadzkę. Był to ukłon trzech uklęknięć i dziewięciu uderzeń głową, wyraz najwyższego szacunku.

Ale gdy już to zrobił, zdał sobie sprawę, że nie pamięta, co dalej. Czy powinien wstać? A jeśli nie, to czy wolno mu spojrzeć na cesarza, gdy

będzie odpowiadał na jego pytania, czy też ma raczej trzymać wzrok utkwiony w podłodze? Wiedział, że kiedy cesarz podróżował swoim żółtym powozem, nikomu pod groźbą śmierci nie wolno było na niego spoglądać. Postanowił więc dla bezpieczeństwa pozostać w pozycji klęczącej, z twarzą zwieszoną nad podłogą, dopóki ktoś mu nie powie, że ma postąpić inaczej.

Nic takiego się nie wydarzyło.

– Czy to prawda, że markiz przekazał barbarzyńcom, iż zapłacimy im pięć milionów dolarów za opium skonfiskowane przez komisarza Lina? – zwrócił się do niego jeden z urzędników.

– Wasz niewolnik potwierdza, że to prawda – odparł z szacunkiem.

– Dlaczego patrole rzeczne zostały zlikwidowane? – zapytał ten sam urzędnik.

– To wasz niewolnik zaangażował załogi łodzi i zorganizował patrole w imieniu gubernatora Lina. Potem markiz rozkazał mi je zlikwidować.

– Czy wyjaśnił dlaczego?

– Powiedział waszemu niewolnikowi, że chce udowodnić barbarzyńcom, iż możemy być ich przyjaciółmi, a nie wrogami.

– Czy markiz obiecał barbarzyńcom dostęp do innych portów poza Guangzhou?

– Stwierdził, że może to być przedmiotem negocjacji.

– Powiedział, że mogliby otrzymać wyspę Hongkong?

– Wasz niewolnik słyszał, jak mówił, że to nie podlega dyskusji.

– Jesteś pewien? – Ten głos brzmiał inaczej, łagodniej. Shi-Rong był przekonany, że należy do cesarza. Zawahał się.

– Wasz niewolnik słyszał, jak markiz mówił, że spełnienie tego żądania nie wchodzi w rachubę, gdyż jest ono sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, zwłaszcza że barbarzyńcy nadal okupują wyspę Chusan. – Był tak pewny swoich słów, że mimowolnie skinął głową.

– To jednak nie to samo co jednoznaczne zaprzeczenie, prawda? – odezwał się cesarz. Shi-Rong znów się zawahał. Był tu, żeby bronić Lina, któremu wszystko zawdzięczał, jednak przy wszystkich swoich wadach markiz dobrze go traktował. Shi-Rong wręcz trochę mu współczuł i cesarz chyba to wyczuł. – Masz odpowiadać szczerze – rzekł.

– Wasz niewolnik przypuszcza, że intencją markiza było przeciąganie negocjacji z barbarzyńcami. Chciał ich zmęczyć i albo doprowadzić do zawarcia porozumienia, albo zaatakować, gdy będą się tego najmniej spodziewali. – Ponownie skinął głową.

– Wszystko bardzo pięknie – odrzekł cesarz – ale czy nie jest prawdą, że barbarzyńcy nadal obstawali przy swoich żądaniach?

– Tak było, Wasza Cesarska Mość.

– Co dalej zamierzał zrobić markiz?

– Powiedział waszemu niewolnikowi, że zaprosi ich na ucztę.

Zapadła cisza, po czym – prawdopodobnie na znak cesarza – zwrócił się do niego inny urzędnik.

– Chodzą słuchy, że barbarzyńcy przypuścili nowy atak. Czy to prawda?

– Tak, to prawda.

– Wygląda na to, że nie mieli jednak ochoty przyjść do niego na ucztę. – Głos cesarza, choć nadal łagodny, tym razem zabrzmiał sucho.

– Może nam pan powiedzieć, co tam się właściwie stało? – spytał urzędnik.

– Tak. Wasz niewolnik był przy tym obecny. Barbarzyńcy zbombardowali forty u ujścia rzeki, a następnie zaatakowali nas na lądzie. Oba forty padły. Potem dziwny statek, cały z żelaza, wpłynął w górę rzeki. Cumowały tam nasze wojenne dżonki, chronione przez ławice piasku, ale żelazny statek pokonał płycizny i zniszczył większość dżonek, ostrzelawszy je z armat i innej broni.

– Może ten statek ma na burtach jakiś rodzaj pancerza? Gdyby był z żelaza, z pewnością by zatonął – przemówił znowu cesarz. – Jestem zaskoczony, że admirał Guan tak łatwo się poddał.

– Wasz niewolnik pragnąłby coś powiedzieć.

– Mów.

– Admirał jest bardzo dzielny, Wasza Cesarska Mość. Byłem przy nim, kiedy trwał ostrzał. To nie była wina admirała. Nieprzyjaciel miał nad nami przewagę.

Przez chwilę nikt się nie odzywał, po czym rozległ się nieznany głos.

– Czy mogę coś zasugerować, Wasza Cesarska Mość? Admirał Guan poczynił szeroko zakrojone przygotowania. Nikt nie wątpi w jego odwagę, wygląda jednak na to, że markiz, pragnąc udobruchać barbarzyńców, celowo osłabił naszą obronę. Najwyraźniej admirał Guan nie miał wystarczającego wsparcia. Z całym szacunkiem stwierdzam, że nadszedł czas, aby ktoś dysponujący większą wolą walki, o silnych zasadach moralnych wsparł admirała i raz na zawsze dał nauczkę tym piratom.

Kimkolwiek jest ten człowiek, pomyślał Shi-Rong, przywykł najwyraźniej śmiało wypowiadać swoje zdanie w obecności cesarza. Jak wspaniale

byłoby zajmować taką pozycję! Człowiek ów odważył się nawet wystąpić w obronie Lina, bo chociaż nie wymienił nazwiska komisarza, było całkiem jasne, kogo miał na myśli, wspominając o silnych zasadach moralnych.

Był tylko jeden problem: nieznajomy nie miał racji. Shi-Rong był przekonany, że ani admirał Guan, ani pan Lin nie będą w stanie powstrzymać barbarzyńskich kanonierów, a tym bardziej żelaznego statku. Było to jasne dla każdego, kto miał okazję śledzić atak na forty. Brytyjczycy dysponowali lepszą bronią i większymi umiejętnościami. Z łatwością zniszczyli chińskie umocnienia i byli gotowi uczynić to samo ze wszystkimi fortami położonymi w górę rzeki, aż po Guangzhou.

Teraz przemówił cesarz:

– Najpierw Lin twierdził, że piraci są całkiem bezradni, teraz słyszę, że zdobyli Chusan. Markiz był przekonany, że ma ich pod kontrolą w Guangzhou, oni zaś rozbili w puch jego obronę. – Łagodny głos monarchy brzmiał żałośnie. – Czy ktokolwiek mówi cesarzowi prawdę? – Nikt się nie odezwał. – Czy ty powiedziałeś mi prawdę?

Shi-Rong dopiero po chwili zorientował się, że pytanie było skierowane do niego. Już miał podnieść wzrok, ale w porę się opamiętał.

– Wasz niewolnik zgodnie z prawdą zrelacjonował wszystko, co widział i słyszał – odparł ze wzrokiem wbitym w posadzkę.

Cesarz wydawał się niepocieszony.

– No cóż, zapewne. Czy jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć?

Czy o czymś zapomniał? Może tylko o tym, że ani cesarz, ani żaden z obecnych tu jego doradców nie ma żadnego rozeznania w sytuacji. Brytyjskie okręty wojenne nie były uciążliwą przeszkodą, którą można ot tak zlikwidować; stanowiły potęgę znacznie przewyższającą możliwości floty cesarskiej i całkiem zdominowały linię brzegową cesarstwa chińskiego. Tylko czy Shi-Rong ośmieli się to powiedzieć cesarzowi?

Pomyślał o Linie, którego kochał i którego miał przecież bronić. Czy mógł wyznać, że zasady moralne komisarza są w istocie bez znaczenia? Wspomniał też starego admirała, którego tak bardzo szanował; czy mógł poinformować cesarza, że stary, waleczny wojownik na nic mu się nie przyda? A przede wszystkim, czy mógł mu powiedzieć prosto w oczy, że on i całe grono jego doradców żyją złudzeniami?

– Wasz uniżony niewolnik oświadcza, że Wasza Cesarska Mość posiada już wszystkie znane mi informacje. – W pewnym sensie było to zgodne z prawdą.

Ktoś dotknął lekko jego ramienia na znak, że powinien się wycofać.

Po godzinie odwiedził go pan Wen. Najwyraźniej zdążył już porozumieć się ze sprzymierzeńcami Lina, którzy byli obecni na cesarskiej audiencji. Stary nauczyciel wydawał się szczerze uradowany.

– Zrobiłeś doskonałe wrażenie! – wykrzyknął. – Znacznie łatwiej będzie teraz obalić argumenty przeciwko Linowi. Wiatr się odwrócił i wieje teraz w oczy markiza.

– A co z admirałem?

– Będzie musiał się zrehabilitować. Dopóki to nie nastąpi, zostanie symbolicznie zdegradowany. Na dworze spodobało się, że się za nim wstawiłeś. Uznano to za dowód odwagi. Świetnie się spisałeś.

– A ja? – spytał Shi-Rong. – Co stanie się ze mną? Pracuję dla markiza i muszę do niego wrócić. Raczej nie ucieszy go mój widok. – Urwał na moment. – Myślicie, że Lin to wszystko zaplanował – załatwił mi posadę u markiza, zmusił do przekazywania mu informacji o poczynaniach mojego obecnego pana, po czym napisał do was, sugerując, że powinienem stanąć przed obliczem cesarza i złożyć mu oficjalny meldunek?

– Jeśli nawet tak było, to miał pełne prawo tak postąpić. Jesteś mu winien lojalność.

– Przecież się nie skarżę – rzekł Shi-Rong. – Tylko co mam teraz zrobić?

– Najpierw pozostaniesz w moim domu co najmniej dwa tygodnie, ponieważ długa podróż wpędziła cię w chorobę.

– Doprawdy?

– Tak wszystkim rozpowiemy. Potem wrócisz do Guangzhou, ale bez pośpiechu. Droga zajmie ci co najmniej dwa miesiące. Podejrzewam, że zanim dotrzesz na miejsce, markiz zostanie odwołany, a wówczas pan Lin oraz my wszyscy zatroszczymy się o nową posadę dla ciebie. – Pan Wen uśmiechnął się. – W czasie gdy będziesz dochodził do zdrowia, możesz przygotowywać się u mnie do egzaminów. Stary Wong bardzo się ucieszy, mogąc znowu ci służyć. Będzie jak za dawnych czasów.

Wieczorem pan Wen dał Shi-Rongowi ziołowy napój nasenny, po którym obudził się dopiero późnym rankiem.

Około południa zaczął prószyć śnieg i sypał przez kilka godzin. W tym czasie Wong zajmował się domem, a Shi-Rong grał z gospodarzem w sza-

chy chińskie. Jego dawny nauczyciel zręcznie manewrował swoimi wieżami, Shi-Rong zaś sprytniej operował działami i chociaż wcześnie stracił słonia, bronił się dzielnie tak długo, jak padał śnieg, aż w końcu uległ panu Wenowi. Wkrótce po tym niebo się wypogodziło, a oni wyszli na nieduży dziedziniec.

Z miejscem tym wiązało się wiele szczęśliwych wspomnień Shi-Ronga. Jakże często siadywali tu latem, rozmawiając o wielkich poetach i ćwicząc się w kaligrafii! Odkąd wyjechał, tylko jedno się tutaj zmieniło: w północnym narożniku stał teraz dziwny, jasny głaz wyższy od człowieka. Był to wapień określany mianem krasowego. Nierówną powierzchnię kamienia znaczyły naturalne otwory – jedne przechodziły przezeń na wylot, inne, głębokie niczym wyloty jaskiń, zdawały się prowadzić do jakichś tajemnych, ukrytych wewnątrz światów.

– Nazywają je kamieniami uczonych – powiedział z dumą stary pan Wen.

– Jest naprawdę piękny – pochwalił Shi-Rong. – Musiał kosztować majątek.

– To prezent. – Pan Wen uśmiechnął się. – Od ucznia sprzed lat. Osiągnął dość wysoką pozycję i zyskał wielkie bogactwa. Podarował mi ten kamień w podzięce za wskazanie mu życiowej ścieżki. Podobno otrzymał go od pewnego bogatego kupca, w ramach łapówki, jak sądzę.

– Dobrze, że okazał wam swoją wdzięczność.

– Istotnie. Nawiasem mówiąc, mógłby znaleźć dla ciebie jakieś zajęcie.

Słońce mocno świeciło na tle niczym niezmąconego błękitu. Wzuli śniegowce i wybrali się na spacer do Bramy Tiananmen. Promienie słoneczne odbijały się od płytek wysokich dachów, rozległa, ośnieżona przestrzeń olśniewała bielą, a na widok wesołej czerwieni bramy usta patrzącego same rozciągały się w uśmiechu. Nie na darmo nazywano ją Bramą Niebiańskiego Spokoju.

– Dziś w nocy będzie pełnia – zauważył pan Wen.

Gdy księżyc wzeszedł ponad murem okalającym dziedziniec, Shi-Rong był już w swojej izbie. Pomimo zimna otworzył drzwi i stał tak jakiś czas, śledząc jego wędrówkę po czystym nocnym niebie. Kamień uczonego lśnił na dziedzińcu, bieleając niczym kość w księżycowym blasku; jego wgłębienia przypominały oczodoły w czaszce. Shi-Rong nie mógł się zdecydować, czy

głaz wygląda przyjaźnie, czy wrogo; dobrze, że przynajmniej panująca wokół cisza była kojąca. W końcu chłód sprawił, że młodzieniec poczuł senność; zamknął drzwi i położył się do łóżka.

Około północy przyśnił mu się dziwny sen. Stał przed drzwiami swojej izby; otworzył je i wyjrzał na dziedziniec. Wszystko wydawało się takie samo jak wcześniej, odniósł jednak wrażenie, że słyszy słaby dźwięk, daleki jak echo, nie potrafił jednak stwierdzić, co to takiego.

Nagle jego wzrok padł na oświetlony blaskiem księżyca kamień uczonego i Shi-Rong zobaczył, że ma przed sobą ojca.

Jakże był blady! Twarz miał wychudzoną i zapadniętą, jakby kości opinała już tylko skóra. Ale najbardziej przeraził Shi-Ronga wyraz oczu starca. Wpatrywały się w niego z gniewem, jakiego nigdy wcześniej nie widział.

– Coś ty uczynił?

– Ojcze. – Młodzieniec skłonił się nisko, jak przystało na posłusznego syna. Chętnie podszedłby bliżej, żeby otrzymać ojcowskie błogosławieństwo, ale za bardzo się bał.

– Coś ty uczynił? Czy nie mówiłem ci, że masz wiernie służyć cesarzowi?

– Tak, czcigodny ojcze. I tak robiłem.

– Nieprawda. Okłamałeś go w sprawie barbarzyńców. Nie ostrzegłeś przed niebezpieczeństwem. Jesteś jak zwiadowca celowo prowadzący generała w zasadzkę. Zdradziłeś cesarza.

– Powiedziałem mu tyle, ile mogłem.

– Okłamałeś Syna Niebios.

– Wszyscy okłamują cesarza! – zawołał Shi-Rong.

– Jeżeli nawet tak jest, to żadne wytłumaczenie.

– To nie takie proste…

– Oczywiście, że nie. Cnota nigdy nie przychodzi lekko. Niełatwo jest postępować honorowo, ale cała nasza tradycja, edukacja przygotowują nas właśnie do czynienia tego, co niełatwe. Czyżbyś odwrócił się od wszystkiego, czego naucza Konfucjusz?

– Nie, ojcze.

– W takim razie nic nie pojąłeś z jego nauk. Co takiego odpowiedział Konfucjusz zapytany, jak wyleczyć liczne choroby skorumpowanej władzy? Należy właściwie składać ofiary. Jak to rozumieć? Jeśli ktoś postępuje niewłaściwie w drobiazgach, to i w ważnych sprawach będzie postępował niewłaściwie. Uczciwości i właściwego postępowania uczymy się najpierw

w domu, potem w rodzinnej wiosce, mieście, prowincji, w całym cesarstwie. Postępowanie cesarza, który co roku uroczyście składa bogom ofiary, również musi być właściwe, w przeciwnym razie jego imperium będzie toczyć zgnilizna. Wszystko musi ze sobą współgrać. Jedno słabe ogniwo przerywa cały łańcuch. Tak rozumował Konfucjusz. Ty jednak odwróciłeś się od wszystkiego, co ci wpajałem. Okryłeś hańbą mnie i swoich przodków.

Zrozpaczony Shi-Rong padł na kolana i złożył ojcu niski pokłon.

– Wybacz mi, ojcze. Naprawię swój błąd.

Lecz starzec tylko pokręcił głową.

– Już za późno – odparł ze smutkiem. – Za późno.

– Mój drogi chłopcze – wykrzyknął rano stary nauczyciel na widok Shi-Ronga – wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha!

– Źle spałem – wyjaśnił Shi-Rong.

– Wybierz się na przechadzkę – zaproponował mu pan Wen po tym, jak Wong podał śniadanie. – Jest zimno, ale dzień taki piękny.

Shi-Rong posłuchał jego rady i po skończonym posiłku przez godzinę włóczył się ulicami starego miasta. Natrafił na małą świątynię konfucjańską i wszedł do niej, żeby chwilę pomedytować. Kiedy wrócił, dobiegało południe.

W domu pana Wena natknął się na Wonga, który oznajmił:

– Pan Wen otrzymał list, panie Jiang. Chce się z panem widzieć.

Shi-Rong odnalazł dawnego nauczyciela w izdebce, gdzie trzymał swoje księgi. Pan Wen miał grobową minę.

– Czy chodzi o pana Lina? – zapytał go młodzieniec.

– Nie. – Wen pokręcił głową. – Dostałem list od twojej ciotki. Napisała do ciebie do Guangzhou, ale najwyraźniej dotarł już po twoim wyjeździe.

Shi-Rong z przerażającą jasnością umysłu domyślił się, o co chodzi.

– Mój ojciec…

– Umarł, już niemal miesiąc temu, jak się zdaje. Odszedł w spokoju, ze słowami wielkiej miłości do ciebie na ustach. Byłeś mu dobrym synem. Napawałeś go dumą.

– Wcale nie jest ze mnie dumny. Już nie.

– Nie rozumiem…

– Dzisiejszej nocy widziałem jego ducha. Myślałem, że to tylko sen, ale nie. Był bardzo zagniewany. Przyniosłem wstyd jemu i moim przodkom – tak mi powiedział.

– Nie wolno ci mówić takich rzeczy!

– Ale taka jest prawda, nauczycielu. Taka jest prawda. Ojciec miał rację. – Przepełniony wstydem Shi-Rong osunął się na kolana i ukrył twarz w dłoniach.

Pan Wen milczał dłuższą chwilę.

– Będziesz musiał wrócić do domu. To twój obowiązek. Nie możesz służyć markizowi ani nikomu innemu, dopóki okres żałoby nie dobiegnie końca.

– Wiem – odparł Shi-Rong.

– Może to i dobrze – mruknął pan Wen. – Dzięki wyjazdowi unikniesz kłopotów.

* * *

Pewnego spokojnego marcowego dnia roku Pańskiego 1841 Cecil Whiteparish stał na nabrzeżu w porcie w Makau, zapatrzony na stojące na redzie statki, gdy nie kto inny jak sam kapitan Elliot, podszedłszy do niego szybkim krokiem, pozdrowił go i ku jego zaskoczeniu oświadczył:

– Drogi panie Whiteparish, właśnie pana szukałem. Znów potrzebuję pańskich usług jako tłumacza. Czy chciałby pan odwiedzić Kanton?

– To teraz jest tam bezpiecznie?

– Rzeka została oczyszczona z nieprzyjaciół niemal aż do faktorii w Kantonie, gdzie, mam nadzieję, wkrótce na nowo rozkwitnie brytyjski handel.

Od owego styczniowego dnia, kiedy eskadra Elliota wraz ze swoim żelaznym okrętem rozbiła chińskie forty u wejścia do zatoki, Brytyjczycy stale posuwali się w górę Rzeki Perłowej. Markiz poprosił o rozejm, lecz szybko stało się jasne, że tylko gra na zwłokę, i Elliot nie przerwał natarcia. Dzień po dniu, mila za milą, Brytyjczycy niszczyli kolejne baterie, umocnienia i garnizony. Straty po stronie Chińczyków były znaczne, wśród nacierających – minimalne.

– My, misjonarze, służymy panu jako tłumacze, kapitanie Elliot, ponieważ jesteśmy lojalnymi poddanymi Korony Brytyjskiej. Ponieważ jednak ta

wojna ma na celu przywrócenie handlu opium, jako sługa Boży nie mogę udawać, że to aprobuję.

– Wie pan doskonale – zapewnił go Elliot – że ja także tego nie popieram. Proszę jednak pamiętać, że w rzeczywistości misja naszego rządu jest znacznie szerzej zakrojona. Zamierzamy zmusić Chińczyków, aby zachowywali się jak kraj cywilizowany i otworzyli dla naszych statków handlowych co najmniej pięć portów, w tym Kanton. W każdym z nich chcemy mieć swoich konsulów, a jak dobrze pójdzie, to i brytyjskiego ambasadora przy cesarskim dworze. Anglicy będą odtąd mogli swobodnie zamieszkiwać wszystkie te miejsca, będą tam też kościoły chrześcijańskie dostępne dla Chińczyków. Jak więc pan widzi, nasze dążenia są zbieżne.

– Rozumiem, że handel opium ma być środkiem prowadzącym do tego celu.

– Obawiam się, że tak.

– Przypuszczam, że moim obowiązkiem jest służyć rządowi – rzekł Whiteparish. – Mam wszakże nadzieję, że ostatni raz prosi mnie pan o coś takiego. – Westchnął. – Ubolewam, że odbywa się to kosztem ludzkiego życia – dodał zasmucony.

– Ja również – odparł Elliot. – Szczególnie żałowałem tego walecznego admirała Guana, który zginął w jednym ze szturmowanych przez nas fortów. Obawiam się jednak, że tak właśnie wygląda wojna. – Umilkł na moment. – W pewnym sensie markiz też padł jej ofiarą. Stracił zaufanie cesarza.

– Został zdegradowany?

– Skazano go na śmierć i dwa dni temu odstawiono w kajdanach do Pekinu. Podobno żegnał go nie kto inny jak komisarz Lin; to dopiero ironia losu.

– Jak to wpłynie na negocjacje?

– Markiz oddał nam Hongkong, najwyraźniej bez upoważnienia cesarza. Zajęliśmy go i na pewno już nie oddamy. Obiecał nam również sześć milionów dolarów za utracone opium – prawdopodobnie również bez wiedzy cesarza, zmusimy jednak Chińczyków, żeby nam je zwrócili, może pan być tego pewien.

– W takim razie wojna się jeszcze nie skończyła.

– Istotnie – przytaknął Elliot. – I właśnie w tej sprawie, drogi panie Whiteparish, rząd Jej Królewskiej Mości potrzebuje waszej pomocy. Powierzono mi tajną ekspedycję. Mam już dobrego pilota, zna go pan, wołają go

Nio. To on przekazał nam informacje o przybrzeżnych bateriach armat, zresztą bardzo dokładne. Teraz jest mi potrzebny tłumacz.

– Rozumiem.

– Możemy natknąć się na pewien opór ze strony Chińczyków, ale proszę się nie niepokoić. – Kapitan się uśmiechnął. – Popłyniemy na „Nemezis”.

Wpłynęli w rozległą plątaninę szlaków wodnych na zachód od zatoki, w świat równi pływowych, które ciągnęły się jak okiem sięgnąć. „Nemezis”, z kontyngentem piechoty morskiej i załogą na pokładzie, sunęła mozolnie przez tę wodną krainę, holując kilka szalup. Co jakiś czas kanał się rozwidlał, lecz pilot ani razu się nie zawahał, którą drogę wybrać.

– Z Nio jest kawał łotra – zauważył Elliot – ale zna te wody jak mało kto.

– Okolica wydaje się odludna – zauważył Whiteparish.

– Według Nio wcale taka nie jest. Znajduje się tu miasto i sporo mniejszych fortów, uznałem więc, że lepiej zniszczyć je już teraz. Gdy opanujemy całą rzekę, wolałbym uniknąć niespodziewanych kłopotów na tyłach.

Po dotarciu do miasta potwierdziło się, że zgodnie z zapowiedzią Elliota nie mają się czego obawiać. Nie była to byle jaka osada – Whiteparish sądził, że mogło ją zamieszkiwać nawet trzydzieści tysięcy osób. Stojący na brzegu łucznicy wystrzelili w ich stronę chmarę strzał, lecz większość odbiła się od żelaznych burt statku. Potem drogę zagrodziły im dwie solidne wojenne dżonki, które umknęły, gdy tylko „Nemezis” natarła na nie, otwierając ogień ze swoich dział.

– Nigdy wcześniej nie widzieli okrętu wojennego, który byłby zbudowany z żelaza – zauważył ze śmiechem Elliot.

– Żelaznego smoka – dopowiedział Nio.

– Miasto nie ma takiego znaczenia – stwierdził kapitan. – Ponieważ jest wystawione na ataki z wody, możemy je zniszczyć, kiedy tylko zechcemy. Niepokoją mnie raczej te forty.

Po południu ujrzeli pierwsze umocnienia. Nie były one zbyt imponujące, większość miała mury z wypalanej na słońcu cegły i stanowiska artyleryjskie. W każdym przypadku armata żelaznego okrętu szybko poradziła sobie z chińską obroną, dzięki czemu piechota morska mogła wylądować i zagwoździć działa, nie ponosząc przy tym żadnych strat. W kilku miej-

scach pojawiły się grupy żołnierzy wymachujących archaicznymi włóczniami i wykrzykujących obelgi, jednak rozsądnie trzymały się poza zasięgiem brytyjskich karabinów.

Pod koniec popołudnia natknęli się na mały fort, którego dowódca chciał pertraktować. Był to dość młody człowiek o inteligentnej twarzy. Wszedłszy na pokład „Nemezis”, wyjaśnił, że znaczna część okolicznych ziem należy do jego ojca. Z wielkim zainteresowaniem przyjrzał się uzbrojeniu statku.

– Dużo słyszałem o żelaznym okręcie – rzekł – ale nie byłem pewien, czy to wszystko prawda.

– Proszę mu poradzić, żeby się poddał – polecił misjonarzowi Elliot.

– Mówi, że się zgadza – przetłumaczył Whiteparish. – Głupotą byłoby postąpić inaczej. Prosi jednak, aby wyświadczył mu pan pewną przysługę, dzięki której on i jego ludzie będą mogli zachować twarz. Jego armata odda kilka strzałów w naszą stronę, lecz będą to ślepe naboje. Pyta, czy moglibyśmy zrobić to samo, a wówczas chętnie się podda.

– Przykro mi – odparł Elliot. – Nie mamy czasu na takie bzdury. Ma się natychmiast poddać.

Młody dowódca z westchnieniem ustąpił, dodając po cichu jedno zdanie, którego Whiteparish nie zamierzał tłumaczyć, Elliot jednak nalegał.

– Powiedział, że ma pan lepsze działa, ale mniejszy mózg niż on.

– Zapewne ma rację – odrzekł pogodnie Elliot. – Zagwoździć jego armaty!

Gdy tej nocy statek rzucił kotwicę kilka mil dalej w górę rzeki, Elliot na wszelki wypadek wystawił wachtę, nikt jednak nie zakłócił im spokoju.

Późnym rankiem ujrzeli kolejny fort, postawiony na naturalnym wzniesieniu i strzegący zakola rzeki. Był on dwukrotnie większy od tych, które widzieli poprzedniego dnia, z potężnymi murami obronnymi z wypalanej na słońcu cegły.

– Według mnie mają tam ze dwadzieścia armat i kilkuset ludzi, może nawet więcej – stwierdził Elliot. Zmrużył oczy. – Jeśli się nie mylę, wystarczy zająć pozycję ćwierć mili w dół rzeki, a ich działa nas nie dosięgną.

Nie mylił się; przez kolejną godzinę kanonierzy z „Nemezis” metodycznie ostrzeliwali fort, aż w murze utworzyła się wielka wyrwa. Wycelowawszy w nią, wystrzelili racę kongrewską; nastąpił wybuch, a po nim rozległy

się głośne krzyki. Dopiero wtedy ostrożnie ruszyli w górę rzeki, aby znaleźć się na wprost fortu. Trzy chińskie działa wypaliły, lecz kule poszybowały za wysoko. Kanonierzy z „Nemezis” odpowiedzieli z wielką precyzją, uciszając armaty przeciwnika, po czym posłali ku nim kolejną rakietę, której eksplozja wznieciła dalsze straszliwe krzyki.

– Biedaczyska – zauważył Elliot. Przywołał porucznika piechoty morskiej, bystrego jasnowłosego mężczyznę w wieku około trzydziestu lat. – Weźcie ze sobą sierżanta – wskazał na rosłego wąsatego weterana licznych wojen – i zacznijcie szturmować fort. Obiecajcie, że okażecie litość jeńcom, a gdy się poddadzą, zagwoździe ich działa. – Do Whiteparisha zaś rzekł: – Czy może mu pan wyjaśnić, jak ma to przekazać?

W kilku słowach Whiteparish wyłożył porucznikowi, jak po kantońsku zażądać poddania fortu i obiecać okazanie litości jeńcom, po czym kazał mu dwukrotnie wszystko powtórzyć.

„Nemezis” znajdowała się teraz tak blisko brzegu, że właściwie nie potrzebowali szalup. Pod wodzą młodego oficera i rosłego sierżanta żołnierze przebiegli po przerzuconych na ląd trapach i popędzili po łagodnie wznoszącym się trawiastym zboczu w stronę fortu, nad którym unosił się dym.

Obrońcy nie dawali za wygraną. Z wyłomu i z uszkodzonych murów obronnych posypał się na nacierających grad strzał oraz kule z nielicznych muszkietów. Na szczęście nierówności terenu zapewniły Brytyjczykom osłonę i z ukrycia mogli odpowiedzieć ogniem. Armata na „Nemezis” ponownie huknęła, ale Chińczycy dalej stawiali opór.

– Harde bestie – zauważył Elliot, z podziwem kiwając głową.

Część piechoty morskiej oderwała się od reszty i niepostrzeżenie zbliżyła do wyłomu. W tym samym czasie porucznik wykrzyczał na cały głos wiadomość dla chińskich obrońców, której nauczył go Whiteparish, i na wszelki wypadek powtórzył ją jeszcze dwa razy. Musieli go usłyszeć, choć trzeba przyznać, że przekaz został okropnie zniekształcony.

Whiteparish zerknął na Elliota, potem na Nio.

– Zrozumieją, o co mu chodzi?

Nio pokręcił głową.

– Psiakrew – zaklął Elliot. – Obawiam się, że to się skończy rozlewem krwi, ale muszę zdobyć ten fort.

Porucznik wszedł na porośnięty trawą wał, raz jeszcze wykrzyczał niezrozumiały dla obrońców komunikat i w odpowiedzi doczekał się kuli

z muszkietu, posłanej ku niemu ze szczytu, która o włos chybiła celu.

– Przygotować się na ostrzał moździerzowy – rozkazał Elliot. – Dajcie szrapnele. I jeszcze jedną racę. – Spojrzał na Whiteparisha. – Nie mogę narażać życia swoich żołnierzy. Obrona jest zbyt liczna.

– Co pan zamierza?

– Obawiam się, że nie mam innego wyjścia, jak roznieść Chińczyków na strzępy. – Odwrócił się i zawołał: – Zbrojmistrzu, jesteście gotowi? – Już miał wydać rozkaz do strzału, gdy Cecil Whiteparish zrobił coś bardzo głupiego.

Niewiele myśląc, w okamgnieniu przebiegł po trapie i pognał w górę zbocza. Dopadł porucznika, wskoczył na trawiasty wał i krzyknął ile sił w płucach, posługując się swoim popisowym kantońskim:

– Poddajcie się natychmiast! Nasz generał obiecuje, że nic wam się nie stanie. Ratujcie swoje życie!

Powiedziałby zapewne więcej, gdyby ktoś z ogromną siłą nie zdzielił go w plecy, powalając na ziemię na ułamek sekundy przed tym, jak obok misjonarza śmignęła kula z muszkietu.

Przy jego uchu rozległ się głos:

– Przepraszam, sir, ale nie mogłem dopuścić do tego, żeby dostał pan kulkę. – Jak się okazało, był to krzepki sierżant. – Niech pan trzyma głowę nisko, sir. – Nad nimi świsnął kolejny pocisk.

Whiteparish pozwolił, aby wojak odciągnął go we względnie bezpieczne miejsce.

– Dziękuję panu – powiedział.

– Przepraszam, że nie spisałem się jako poseł – odezwał się wesoło porucznik. – Za to pana usłyszeli głośno i wyraźnie. Może to poskutkuje.

Ale nie poskutkowało. Niewykluczone, że chińscy obrońcy byli zbyt dumni, aby się poddać, a może nie ufali słowom barbarzyńcy. Niezależnie od powodów kontynuowali ostrzał, nie szczędząc oblegającym strzał i posyłając ku nim jeszcze jedną kulę armatnią.

Whiteparish zauważył, że porucznik spogląda w stronę statku; najwyraźniej Elliot dał mu jakiś znak.

– Tylko tym razem niech pan się nie wychyla – przestrzegł misjonarza porucznik. – Najpierw w forcie dojdzie do eksplozji, a potem zaatakujemy.

Stało się tak, jak powiedział: po ogłuszających i przeraźliwych wybuchach porucznik i jego ludzie zostawili Whiteparisha leżącego w trawie

i wkrótce ze szczytu wzgórza dobiegły go nawoływania, odgłosy strzałów i głośne krzyki, które po pewnym czasie ucichły.

Nikt nie zauważył, jak wspinał się do fortu. Najpierw przedzierał się przez gruzy, potem pomiędzy śliskimi od krwi ciałami zabitych, leżącymi w stosach po cztery albo pięć. Czyżby wszyscy obrońcy zginęli? Nie wiedział. Wewnątrz murów ukazał mu się straszny widok. W jednym z narożników kuliło się kilkunastu chińskich jeńców trzymanych pod strażą – przynajmniej ci ocaleli! Pozostały teren zasłany był czymś znacznie bardziej makabrycznym niż ludzkie zwłoki.

Kule armatnie i ładunki wybuchowe zrobiły swoje, podobnie jak broń używana w walce wręcz. Jak okiem sięgnąć na ziemi poniewierały się fragmenty ciał – dłoń tu, ręka lub noga tam – rozerwanych na strzępy obrońców. Byli też żywi: mężczyźni z głębokimi ranami, kilku z na wpół wywleczonymi wnętrznościami. Jedni wrzeszczeli jak opętani, inni odchodzili w milczeniu. Większość była półnaga. Wśród nich misjonarz dostrzegł porucznika z pistoletem i rosłego wąsatego sierżanta z krótką szablą w ręku. Spokojnie i metodycznie poruszali się między poskręcanymi sylwetkami. Oszczędzali tych rannych, którzy mieli szansę wydobrzeć, tych zaś, których obrażenia wydawały się beznadziejne, a cierpienie zbyt nieznośne, sprawnie dobijali. Whiteparish zdawał sobie sprawę, że kieruje nimi zwykła przyzwoitość, ale nigdy dotąd nie był świadkiem podobnych okropności. Wiedział, że wkrótce do makabrycznych widoków dołączy odrażający smród, i wolał na to nie czekać.

Kiedyś, gdy był jeszcze chłopcem, spotkał człowieka, który walczył w pamiętnej bitwie pod Waterloo. Zapytał go, jak po jej zakończeniu wyglądało pole bitewne, lecz weteran tylko pokręcił głową. „Nie – odparł – nie potrafię o tym mówić”. Cecil wiedział już teraz dlaczego.

Przeszło mu przez myśl, że jako misjonarz powinien nieść otuchę umierającym. Ale jaką nadzieję mógłby dać tym, którzy nawet nie znali prawdziwego, jedynego Boga chrześcijan?

Zataczając się, opuścił fort, a gdy tylko znalazł się poza murami, zgiął się wpół i zwymiotował.

Podszedł do niego sierżant.

– Żałuję, że musiał pan to oglądać. Wolimy nie zostawiać ich w takim stanie, sam pan rozumie.

– Rozumiem.

– W końcu to tylko poganie, prawda, sir? To chyba powinno pana pocieszyć.

Cecil Whiteparish stał ze schyloną głową na pokładzie „Nemezis”.

– To moja wina – zwrócił się do Elliota. – Gdybym sam tam poszedł…

– Nigdy bym do tego nie dopuścił – odparł stanowczo Elliot. – Zresztą i tak zignorowali nasze warunki, kiedy je wreszcie usłyszeli.

– Niech Bóg mi wybaczy – jęknął biedny Whiteparish.

Po godzinie „Nemezis” sunęła już dalej na północ przez bagniste tereny. Whiteparish, wciąż pogrążony we własnych myślach, drgnął zaskoczony, gdy zagadnął go chiński pilot, który wcześniej uważnie mu się przyglądał.

– Jesteście świętym człowiekiem – odezwał się Nio.

– Chyba można tak to ująć – odrzekł Whiteparish bez przekonania.

– Wiem, że Brytyjczycy czczą jakiegoś boga, ale nic poza tym. Jaki on jest, ten wasz bóg?

Whiteparish milczał przez dłuższą chwilę; właściwie to nie miał ochoty na rozmowę. Nie czuł się godny rozprawiać na takie tematy, lecz jego obowiązkiem było odpowiedzieć na pytanie chłopaka – wszak jako misjonarz właśnie po to przybył do Chin. Przedstawił więc pokrótce młodemu przemytnikowi podstawy wiary chrześcijańskiej, dzięki czemu poczuł się trochę lepiej. A gdy najwyraźniej zaintrygowany Nio nie przestawał go wypytywać, zagłębił się w bardziej szczegółowe objaśnienia i być może z wdzięczności za to, że udało mu się wreszcie zagłuszyć dojmujące poczucie porażki, zaczął mu opowiadać wszystko, co wiedział o swoim ukochanym Panu.

Kiedy skończył, Nio się zamyślił.

– Czy ten Jezus miał braci i siostry?

– Niektórzy uważają, że tak, inni mówią, że nie.

– A czy był Synem Niebios? Jak cesarz?

– Jego ojcem był władca niebios, czyli ktoś o wiele ważniejszy.

– Oby tak było – odparł Nio. Przez chwilę się zastanawiał. – Czy on zabiłby tych wszystkich ludzi w forcie?

– Nie – odrzekł stanowczo Whiteparish. – Nie uczyniłby tego.

Chłopak odezwał się dopiero po kilku minutach.

– Jesteście dobrym człowiekiem – rzekł.

– Chciałbym taki być.

– Myślę, że jesteście – oświadczył Nio.

Cecil Whiteparish nie odpowiedział, ale zaczął się zastanawiać, czy użył odpowiednich słów, mówiąc o Bogu i wierze. Czy ziarno padło na podatny grunt? I czy pewnego dnia wyda owoce?

Nie potrafił tego przewidzieć.

* * *

Początkowo Nio sądził, że jest całkiem zadowolony. Jeżeli nawet w głębi serca coś nie dawało mu spokoju, lekceważył to.

Był przecież panem swojego losu. Jego uczucia wobec Mandżurów nie uległy zmianie. Nie chciał też wracać do niepewnej egzystencji pirata, a Brytyjczycy zdawali się mu ufać i byli gotowi nadal hojnie go wynagradzać. Miał zresztą pełne ręce roboty.

W ostatnim tygodniu marca handel opium ponownie ruszył pełną parą, Brytyjczycy zaś wrócili do swojej nabrzeżnej faktorii w Kantonie, choć oddzielone murami rozległe miasto wciąż pozostawało w rękach chińskiego cesarza.

Jednak ani Brytyjczycy, ani cesarz nie zamierzali zostawiać spraw własnemu biegowi, co oznaczało, że ci pierwsi bardzo potrzebowali szpiegów.

Nio idealnie nadawał się do tej roli. Nie umykało mu nic, o czym była mowa na ulicach, a w niedługim czasie zdołał także przekupić dwóch służących z yamenu [3], którzy odtąd niezależnie od siebie przekazywali mu najświeższe wiadomości.

Dzięki temu, a także dzięki nowinom dostarczanym przez kupców pokroju Tully’ego Odstocka, którzy zasięgali języka u swoich chińskich odpowiedników zrzeszonych w kohongu, Elliot był znakomicie poinformowany.

Co tydzień Nio szedł do szpitala misyjnego obok faktorii – oficjalnie po poradę w związku z bólem łokcia, z którym nie potrafiła sobie poradzić chińska medycyna – i składał szczegółowy raport Cecilowi Whitepari-showi, który następnie przekazywał wszystko Elliotowi.

Po złożeniu takiego sprawozdania Nio zwykle zostawał, żeby pogawędzić z misjonarzem, którego uważał za dobrego człowieka, a Cecil opowiadał mu cudowne historie o przypowieściach Chrystusa i cudach, jakie czy-

nił. Nio był pod szczególnym wrażeniem tego, że chrześcijański Syn Boży chodził po wodzie, i chociaż w oczach prawa był zwykłym zdrajcą donoszącym za pieniądze cudzoziemskiemu mocodawcy, czerpał z tych rozmów duchową pociechę i siłę.

– Spodziewajcie się nowych kłopotów – poinformował Whiteparisha przy okazji swojego pierwszego meldunku. – Cesarz wściekł się z powodu utraty Hongkongu. Co do pieniędzy na odszkodowania, nie zapłaci wam, i już. Chce, żeby Brytyjczycy na dobre utknęli w Zatoce Kantońskiej i zostali unicestwieni.

– Jak miałoby się to dokonać?

– Cesarz wyśle dodatkowe oddziały wojska, bardzo liczne, z kilku prowincji. Są już w drodze. A dowodzić nimi będzie nie kto inny jak generał Yang.

– Co to za jeden?

– Bohater dawnych wojen przeciwko barbarzyńcom ze stepów. Prowincją zaś będzie zarządzał jeden z kuzynów cesarza. – Oznaczało to, że odtąd miejsce to miało stanowić najwyższy priorytet cesarskiego dworu.

Gdy jednak do miasta zaczęły napływać wyczekiwane oddziały, Nio wkrótce doniósł misjonarzowi:

– Wyglądają na zagłodzonych, a niektórzy chodzą w łachmanach. Przybyli z odległych prowincji i nie mówią ani słowa po kantońsku. Większość zdaje się nawet nie wiedzieć, dokąd ich wysłano.

– A oficerowie?

– Pijacy i dziwkarze. Widać ich tylko w dniu wypłaty żołdu. Jeśli zaś chodzi o generała Yanga, to ma on ponad siedemdziesiąt lat i jest głuchy jak pień.

– Coś jeszcze?

– Tak. Wierzy, że Brytyjczycy posługują się czarną magią. Nie może być innego wytłumaczenia, skoro tak nielicznym barbarzyńcom udało się pokonać aż tylu Chińczyków.

Przez cały kwiecień Nio znosił nowiny o kolejnych ściąganych armatach i oddziałach wojsk. Pewnego dnia na początku maja w zacisznej zatoczce nieopodal miasta wypatrzył ćwiczenia małej flotylli branderów. Przypuszczalnie mogły one zostać użyte przeciwko brytyjskim okrętom w zatoce. O tym również doniósł Whiteparishowi.

W trzecim tygodniu maja upał w Kantonie stał się nie do zniesienia. Kupcy z faktorii, chcąc nadrobić wiosenne straty, nadal prowadzili interesy,

sprzedając opium i kupując herbatę, jakby handel nigdy miał się nie skończyć. Nio zauważył jednak, że zwykli mieszkańcy Kantonu, ci, których było na to stać, po kryjomu opuszczali miasto.

Od swoich informatorów w yamenie gubernatora dowiedział się, że coś się szykuje, po czym pewnego popołudnia odkrył w pobliżu faktorii armatę ukrytą na dziedzińcu nieczynnego magazynu i pojął, że łatwo można ją przeciągnąć na nabrzeże, skąd mogłaby ostrzeliwać brytyjskie okręty.

Nazajutrz spotkał się z Whiteparishem.

– Gdzie jest kapitan Elliot? I żelazny statek?

– Żelazny statek jest na południu przy Bogue, z Elliotem na pokładzie.

– Niech lepiej czym prędzej tu przypłyną i zabiorą ludzi z faktorii. Myślę, że generał Yang zamierza zaatakować i zająć nabrzeże.

Dwa dni później „Nemezis” i flotylla brytyjskich okrętów wojennych podpłynęły Rzeką Perłową do faktorii i kupcy, chcąc nie chcąc, zgodzili się na ewakuację.

Przed zapadnięciem zmroku flotylla znalazła się na wodach na południe od miasta.

Większość ludzi spała, gdy o drugiej w nocy, podczas odpływu, na Rzece Perłowej rozpętało się piekło.

Wyciągnięte na nabrzeże armaty niespodziewanie huknęły. Brandery, połączone ze sobą łańcuchami po dwa, wypłynęły na spotkanie kotwiczących w zatoce brytyjskich okrętów. Atak przeprowadzono na ogromną skalę i wyglądało na to, że został dobrze przygotowany. Bądź co bądź chińska marynarka słynęła ze skuteczności swoich branderów.

Nio nie potrzebował wiele czasu, aby przekupić strażnika, ten zaś pozwolił mu wdrapać się na mury miejskie. Przed nim na tle nocnego nieba rozgrywała się spektakularna scena. Dochodzące z różnych kierunków wybuchy i błyski strzelających dział mogły dezorientować, lecz Nio miał dobry widok na poczynania branderów. Brytyjskie okręty – wysokie, widmowe sylwetki majaczące w oddali – zostały całkowicie zaskoczone. Większość wciąż stała na kotwicy lub próbowała odpłynąć, salwując się ucieczką przed nacierającymi kulami ognia. Jedynie „Nemezis” sprawnie manewrowała, ostrzeliwując napastników ze swoich dział. Tymczasem nadpłynęły kolejne brandery. Część wojennych dżonek wycelowała armaty w brytyj-

skie okręty i Nio wydało się nawet, że widzi, jak jeden z pocisków trafia w „Nemezis”. Czyżby Brytyjczycy mieli zostać w końcu pokonani?

– Chyba wreszcie ich dopadliśmy! – zawołał, niewiele myśląc, ogromnie podekscytowany, chociaż nikogo przy nim nie było.

Po pewnym czasie zauważył coś dziwnego. W pierwszej chwili złożył to na karb panujących ciemności, odniósł jednak wrażenie, że brandery poruszają się teraz znacznie wolniej. Kilka brytyjskich okrętów podniosło kotwicę; jeden zaczepił bosakiem o burtę brandera i zaczął ściągać go z kursu. Nio usiłował przebić wzrokiem ciemności nocy i nagle dotarło do niego, co się dzieje – był przecież doświadczonym żeglarzem… Wydał z siebie jęk.

– Wy głupcy!

Odpływ, który miał ponieść brandery w pobliże barbarzyńskich statków, właśnie dobiegał końca. Za późno wysłali je do ataku.

Kolejne godziny tylko to potwierdziły. Przez resztę krótkiej nocy i pierwsze minuty świtu Nio obserwował, jak wielka ofensywa branderów stopniowo się załamuje. Wraz ze zmianą pływów niektóre z branderów zostały wręcz zniesione z powrotem ku przedmieściom Kantonu, gdzie wkrótce wśród stojących na nabrzeżu drewnianych chat wybuchł pożar. Gdy w szarówce świtu jego oczom ukazał się cały ogrom klęski, Nio zszedł z muru.

Czuł obrzydzenie. Wcześniej, gdy Brytyjczycy atakowali forty, chińska broń okazała się bezużyteczna, podobnie jak przybrzeżna bateria dział. Chińczycy byli skazani na przegraną. Ale minionej nocy mogli wygrać. Dlaczego więc przegrali? Bo postąpili niemądrze. Stracili twarz. I chociaż interesy wiązały go teraz z Brytyjczykami, ogarnął go dogłębny wstyd.

Ucieszył się więc, gdy dwie godziny później w yamenie gubernatora usłyszał od jednego z informatorów:

– To nie generał Yang wysłał tej nocy brandery. Nic o tym nie wiedział. To była decyzja jego przełożonego, kuzyna cesarza. On wydał rozkaz i wyprawił brandery w niewłaściwym momencie. – No tak, Mandżur; to wszystko wyjaśnia, pomyślał Nio. Żaden Chińczyk Han nie zrobiłby czegoś równie głupiego.

Tak się złożyło, że to Cecil Whiteparish pierwszy rozpoznał Nio w płynącym ku nim małym sampanie. Na nabrzeżu i rzece wciąż panował taki

zamęt, że jeszcze jedna jednostka pływająca nie zwracała niczyjej uwagi, lecz na widok Nio Whiteparish od razu się rozpromienił i pomachał mu życzliwie. Zanim Nio dotarł na „Nemezis”, obok misjonarza stał już żądny nowin kapitan Elliot.

Meldunek Nio był zwięzły i rzeczowy. Fakt, że generał Yang nic nie wiedział o planie ataku, wielce zainteresował kapitana.

– Wygląda na to, że ich dowództwo jest w rozsypce – zwrócił się do Whiteparisha. – Uważam, że możemy to szybko zakończyć. Wezwę Kanton do kapitulacji.

Whiteparish z powątpiewaniem spojrzał na potężne mury miasta.

– Przecież to nie fort. Nie możemy szturmować tych murów i po prostu ich zburzyć. Poza tym tam może być nawet milion ludzi. Gdyby doszło do walk ulicznych, mieliby nad nami ogromną przewagę liczebną.

– Nie powiedziałem, że chcę zdobyć miasto, a już na pewno nie zniszczyłbym go, nawet gdybym mógł. Przybyliśmy tu, żeby handlować z Kantonem, a nie go zburzyć. Chcę tylko, żeby się poddali.

– Jak zamierza pan to osiągnąć?

– Proszę popatrzeć tam. – Elliot wyciągnął rękę. – Widzi pan to niewielkie wzniesienie kilka mil stąd, a na nim pagodę? Znajduje się tuż ponad murami miasta od północnej strony. Gdyby udało mi się umieścić tam kilka armat, trzymałyby w szachu cały Kanton. Moglibyśmy na przykład z łatwością ostrzelać yamen gubernatora. Dorzucimy do tego większy oddział wojska, na tyle liczny, żeby przestraszyć Chińczyków. Myślę, że jeśli będziemy kontynuować ostrzał z południa, a jednocześnie damy im do zrozumienia, że nasz najlepszy pułk gotów jest zaatakować ich również od północy, błyskawicznie zaproponują warunki kapitulacji.

– Tylko jak zdołamy wciągnąć tam armaty? Nie można ich przecież wlec milami przez te bagna.

– Istotnie. Działa i żołnierzy trzeba będzie przewieźć statkiem w pobliże wzgórza. – Elliot zerknął na Nio. – Niech go pan spyta, czy to jest wykonalne. Może zna jakieś przesmyki albo kanały, które dałoby się wykorzystać? Założę się, że tak.

Whiteparish zrobił, co mu polecono. Nio milczał przez chwilę, najwyraźniej zastanawiając się nad odpowiedzią, po czym pokręcił głową.

– Proszę mu powiedzieć, że nie ominie go sowita nagroda – rzekł Elliot.

Jednak Nio znów ze smutkiem pokręcił głową.

– Nie znam tych kanałów – odparł.

– Według mnie on kłamie – stwierdził Elliot. – W przeszłości zawsze służył nam pomocą. Dlaczego teraz tak się zaciął? W ostateczności mógłbym, rzecz jasna, kazać go wychłostać.

Whiteparish uważnie przyjrzał się Nio.

– Proszę pozwolić mi z nim porozmawiać – poprosił i wziął Nio na bok. – Boisz się, że zabijemy wielu ludzi, prawda? – zapytał cicho. – Tak jak w tamtym forcie. Zwykłych Chińczyków, twoich ziomków.

Nio nie odpowiedział.

Whiteparish wyjaśnił mu więc, że Elliot nie ma zamiaru zabijać mieszkańców ani burzyć miasta.

– Chodzi tylko o jego blokadę. Możemy ostrzelać yamen gubernatora, ale nic poza tym. Gdy obrońcy zobaczą nasze działa i wojsko, poddadzą się. Nieraz już tak było. Taki jest plan pana Elliota.

– Wiem, że jesteście dobrym człowiekiem – odparł wreszcie Nio. – Dajecie mi słowo, że mówicie prawdę?

Whiteparish wahał się tylko przez chwilę. Nie powiedział przecież nic, co nie byłoby zgodne z rzeczywistością. Elliot istotnie miał taki plan.

– Tak – odrzekł szczerze. – Daję ci moje słowo.

– Wobec tego będę waszym pilotem – zdecydował Nio – i wskażę wam drogę na wzgórze z pagodą. – Wyglądał jednak na zasmuconego i tym razem nie poprosił misjonarza o pieniądze.

Whiteparish mógł tylko dziękować Bogu, że oblężenie Kantonu trwało zaledwie kilka dni. Oczywiście były ofiary, nie doszło jednak do masakry. Gdy tylko armaty zaczęły ostrzeliwać yamen ze szczytu wzgórza, gubernator szybko się poddał.

Tym samym szczęśliwie udało się ocalić wiele niewinnych istnień, co było dla misjonarza najważniejsze. Ale nie tylko to: wszak dał Nio słowo, że jego lud ocaleje, i chłopak mu zaufał.

Kim był Nio? Biednym chłopakiem z ludu Hakka, płatnym szpiegiem, przemytnikiem opium i prawdopodobnie także piratem, miał jednak swój honor. Początkowo odmówił im pomocy w dotarciu na wzgórze z pagodą, żeby ratować swoich pobratymców. Whiteparish doszedł do wniosku, że gdyby zawiódł zaufanie chłopaka, nigdy by sobie tego nie wybaczył. Uświadomił sobie wręcz, że bardziej zależy mu na dobrej opinii Nio niż na opinii kuzyna Johna Tradera.

Warunki ugody, jaką Elliot zawarł z gubernatorem, były bardzo proste.

– Wstrzymałem ostrzał – wyjaśnił kapitan Cecilowi – i przystałem na wycofanie wszystkich naszych okrętów wojennych oraz wojska z Kantonu. W zamian za to gubernator wypłaci nam sześć milionów dolarów w srebrze, i to natychmiast.

– A więc Kanton wypłaci nam odszkodowanie za opium?

– Skądże, cesarz im tego zabronił. Miasto zapłaci nam za zaprzestanie działań wojennych i wycofanie naszych wojsk. To stara chińska praktyka, wie pan: płacić uciążliwym barbarzyńcom, żeby sobie poszli.

– Ale kwota jest taka sama jak ta, której żądaliśmy za zniszczone opium.

– Zwykły zbieg okoliczności.

– Co nie zmienia faktu, że brytyjscy kupcy jednak odzyskają swoje pieniądze.

– O, z pewnością. Jednak z chińskiego punktu widzenia liczy się tylko to, że rozkazy cesarza zostały wykonane. Nie stracił twarzy.

– A więc nasze okręty wojenne i wojsko wrócą teraz do domu?

– O nie, nadal wiele żądań pozostaje niespełnionych. Spodziewam się, że wkrótce znów zaatakujemy wybrzeże, ale Kanton nie musi o tym wiedzieć.

– A co z handlem opium?

– O tym nie było mowy.

– Będzie możliwy?

– Nikt tego nie wykluczył.

Whiteparish zastanawiał się przez chwilę.

– Cóż zatem zyskaliśmy?

– Kanton jest dokładnie w tej samej sytuacji, w jakiej był przed przybyciem Lina i konfiskatą opium. – Elliot uśmiechnął się rozbrajająco. – Sytuacja Chin to już zupełnie inna sprawa. Nawiasem mówiąc, mam coś dla pana. Proszę to przekazać Nio. – Z tymi słowami wręczył Whiteparishowi woreczek monet. – Proszę mu powiedzieć, że jestem mu wdzięczny za wskazanie drogi na wzgórze z pagodą.

Pustka – to właśnie odczuwał Nio. Kiedy po raz pierwszy uciekł z domu i dołączył do przemytników w zatoce, wydawało mu się, że czeka go nie lada przygoda: wolne, swobodne życie, szansa na zdobycie majątku. I miał

pieniądze, grubo ponad sto srebrnych dolarów. Dlaczego więc dręczyło go przygnębienie?

Może dlatego, że był teraz starszy i mądrzejszy. Czym innym było nienawidzić w dzieciństwie mandżurskich władców gdzieś w dalekim Pekinie, a czym innym odkryć, że potężne cesarstwo chińskie może zostać upokorzone przez garstkę barbarzyńców. To nim wstrząsnęło. Mandżurski cesarz budził w nim teraz już tylko pogardę, ale Chińczycy Han i mandaryni tacy jak Shi-Rong byli niewiele lepsi.

Nio miał wrażenie, że najodważniejszym człowiekiem, jakiego dotychczas spotkał, był Morski Smok. Pirat, który był gotów go zabić, ale i dowódca, który nie wydał członków swojej załogi. Zginął na torturach, lecz zachował honor. Prawdziwy chiński bohater – na swój sposób, oczywiście. Jeden na tysiąc.

A brytyjscy barbarzyńcy? Brytyjczycy nie byli jego ludem i nigdy nim nie będą, chociaż ten misjonarz to dobry człowiek.

Cóż więc mu pozostało? Kim właściwie był? Wśród kogo miał żyć? Jestem z ludu Hakka, powiedział sobie. Do nich należę. Ale z jakiegoś powodu już mu to nie wystarczało.

* * *

Pewnego wieczoru, kilka dni po zawarciu ugody, usłyszał przed swoją kwaterą nieopodal faktorii jakieś hałasy. Zaczął się letni monsun, lecz gdy wyszedł na zewnątrz, tylko lekko siąpiło. Na ulicy stała grupka ludzi; kilku pokrzykiwało gniewnie, nie mógł jednak zrozumieć, co mówią.

– Co się stało? – zapytał starszego mężczyznę.

– Znowu ci barbarzyńcy – wyjaśnił tamten. – Zgwałcili kilka kobiet z wioski – dodał z obrzydzeniem.

– To straszne!

– Zrobili coś jeszcze gorszego. Zakłócili spokój zmarłym.

– Na mogiły! – zawołał ktoś. – Brońmy naszych przodków!

Wszyscy jak jeden mąż ruszyliby zapewne na wezwanie, gdyby nie fakt, że w tym momencie niebo się rozstąpiło i lunął z niego deszcz tak obfity, że uniemożliwił zorganizowanie ekspedycji ratunkowej.

Monsun szalał przez dwa dni. W tym czasie Nio dowiedział się, co dokładnie zaszło. Grupa podpitych brytyjskich żołnierzy wybrała się

w teren i wdarła na jeden z wielu cmentarzy w okolicy. Z jakiegoś powodu zaciekawiło ich, jak Chińczycy chowają swoich zmarłych. Rozkopali jedną mogiłę, potem kolejną.

Coś podobnego zostałoby uznane za świętokradztwo również w Wielkiej Brytanii, ale w kraju, gdzie cała ludność raz do roku, po równonocy wiosennej, odwiedzała groby przodków w Dniu Święta Zmarłych Qingming – często pokonując w tym celu duże odległości – taki czyn stanowił nieopisaną zbrodnię.

Będący jej świadkami miejscowi wieśniacy zainterweniowali, używając siły. Doszło do walki, podczas której zaatakowano wioskę. W ciągu godziny cała okolica chwyciła za broń i tylko oberwaniu chmury pijani żołnierze zawdzięczali ocalenie życia.

Nastał pierwszy pogodny poranek po ulewnym deszczu. Nio dowiedział się, że od północy ku murom miejskim nadciąga jakieś wojsko, i wraz z kilkuset innymi mieszkańcami poszedł zobaczyć, o co właściwie chodzi.

Armia – bo żadne inne określenie nie oddałoby jej ogromu – liczyła ponad dziesięć tysięcy ludzi. Sądząc po ubiorze i koniach, których dosiadali, na jej czele stali głównie przedstawiciele miejscowej szlachty, a towarzyszyły im zastępy wojowników uzbrojonych we włócznie i łuki. Musieli to być członkowie dawnych ochotniczych oddziałów lokalnej milicji. Za nimi ciągnęła rzesza wieśniaków z bardziej prymitywną bronią: kijami, sierpami albo w ogóle z pustymi rękami.

Jedność owej armii przejawiała się na dwa sposoby: w jej szeregach powiewały zaimprowizowane czarne flagi, które w swojej masie robiły przerażające wrażenie, jednak dla Nio ważniejsze okazały się sztandary dźwigane chyba przez każdy oddział milicji. Widniało na nich to samo proste hasło, zapisane dużymi chińskimi znakami: „Prawi Ludzie”.

Wieśniacy powstali i przybyli oznajmić mieszkańcom Guangzhou, że pragną uwolnić to miasto od barbarzyńców, którzy splugawili ich przodków i wszystko, co najświętsze. Zatrzymali się pod murami miejskimi, gotowi do walki, lecz niepewni, co mają dalej czynić.

Minęło trochę czasu. Stojący obok chłopak w wieku Nio zagadnął go:

– Nie powinniśmy byli do tego dopuścić.

– A co mieliśmy zrobić?

– Pozabijać barbarzyńców.

– Są od nas lepiej uzbrojeni – odpowiedział Nio.

– Wiem, ale spójrz, ilu jest ich, a ilu nas. Wystarczyło pozwolić im przybić do brzegu, wejść do miasta, żeby poczuli się bezpiecznie, a potem wybić ich w nocy podczas snu. Na ich kilkuset przypada milion naszych.

– A co z cudzoziemskimi statkami?

– To samo: powinniśmy byli podpłynąć do nich po ciemku na setkach sampanów i wedrzeć się na pokład. Mielibyśmy nad nimi przewagę liczebną, a to najważniejsze.

W tej samej chwili od strony północnej bramy ukazało się czterech jeźdźców. Trzech było prefektami miejskimi, czwarty zaś brytyjskim oficerem. Udawali się na spotkanie armii powstańców. Kilku szlachetnie urodzonych Chińczyków wyjechało im naprzeciw, żeby z nimi negocjować.

– Jak myślisz, o czym tak debatują? – zapytał rozmówca Nio.

– Pewnie prefekci tłumaczą im, że oddziały barbarzyńców powoli opuszczają miasto. Jeszcze kilka dni i wszystkie okręty stąd odpłyną. Proszą, żeby się rozeszli i wrócili do swoich domów.

– Ale dlaczego jest z nimi barbarzyński oficer?

– Przypuszczam, że ma potwierdzić prawdziwość ich słów.

– Albo dopilnować, żeby prefekci zrobili wszystko, co im każe. To sami zdrajcy.

– Nie wydaje mi się.

– Więc też jesteś po stronie barbarzyńców? Jeszcze jeden zdrajca…

– Nie. – Nio popatrzył na chłopską armię z jej sztandarami. – Też jestem wieśniakiem, z wioski na południowym wybrzeżu. – Zawahał się, po czym skinął głową, jakby na potwierdzenie tego, co powiedział. – Należę do Prawych Ludzi.

– Szczerze w to wątpię – odparł tamten i oddalił się. Ale to prawda, pomyślał Nio. Wiedział już, kim jest, a przynajmniej kim pragnie być, bez względu na cenę: jednym z Prawych Ludzi.

* * *

Decyzja o zawarciu małżeństwa zapadła jeszcze podczas pobytu w górach. Po upadku Kantonu i wypłacie sześciu milionów dolarów odszkodowania przez cesarza stało się jasne, że majątkowi Johna Tradera i dalszym perspektywom handlu opium nic już raczej nie zagraża. A może pułkownik

Lomond zmęczył się po prostu długimi zaręczynami; niezależnie od przyczyny ślub miał się odbyć w październiku.

– Jako że nie mam żadnych bliskich krewnych, obawiam się, że przeważać będą goście ze strony panny młodej – zauważył Trader w rozmowie z panią Lomond. Charlie Farley miał być oczywiście jego drużbą, spodziewał się także ciotki Harriet z mężem. Na liście gości znalazło się również kilku jego dawnych współpracowników oraz przyjaciół z Rattrays. W Makau znał wiele osób, które mógłby zaprosić, ale czy któraś z nich byłaby gotowa wybrać się w podróż do Kalkuty? Obaj bracia Odstockowie zapowiedzieli swoje przybycie, i bardzo dobrze. Był jeszcze Read; John wysłał mu zaproszenie na adres Tully'ego Odstocka, prosząc o przekazanie Amerykaninowi.

W połowie września, będąc już w Kalkucie, odebrał list od Tully'ego z informacją, że nie zdołał dostarczyć Readowi zaproszenia.

Nasz przyjaciel Read znowu wyruszył w podróż i przypuszczam, że zamierza potem na stałe osiąść w Ameryce. Jego wyjazd zaskoczył mnie pod jednym względem: nie wiem, czy Panu wiadomo – ja z pewnością nie byłem tego świadomy – ale na początku maja Read dowiedział się, że jego żona w Ameryce zmarła, czyniąc go wdowcem, a może powinienem raczej powiedzieć: wolnym człowiekiem.

Read oznajmił mi to, zanim jeszcze wyruszył w drogę, dodając, że ma już nową żonę. Nie jestem pewien, gdzie się ożenił – na pewno nie w Makau – wygląda jednak na to, że związał się z siostrzenicą pani Willems, niejaką Marissą. Gdziekolwiek przebywa teraz on sam i jego wybranka, z pewnością nie będą obecni na Pańskim ślubie. Ja sam wszakże z niecierpliwością wyczekuję okazji do ponownego spotkania z Panem.

A zatem Trader miał rację, podejrzewając, że coś łączy Reada z tą dziewczyną! Musiał jednak przyznać, że skoro po ślubie planują zamieszkać z Agnes Lomond w małej społeczności Makau, chyba dobrze się stało, że Marissa wyszła za mąż za Reada – na wypadek gdyby kiedykolwiek oboje mieli tam powrócić.

W pewien słoneczny październikowy dzień Trader spacerował po promenadzie. Do ślubu został tylko tydzień, a on był zakochany po uszy. Uważał, że Opatrzność nad nim czuwa i wszystko na świecie jest w absolutnym porządku. Minął imponujące portale Bengalskiego Klubu Wojskowego przekonany, że nawet ten surowy budynek zdaje się przychylnie nań spoglądać.

Poprzedniego dnia Agnes opowiadała mu o pewnej organizacji dobroczynnej, działającej na rzecz dzieci, którą wspierały wraz z matką. Trader uznał, że mógłby przekazać datek – najlepiej oszałamiająco hojny – w imieniu swoim i Agnes, jako prezent ślubny dla panny Lomond. Bóg mu świadkiem, że było go na to stać. Tak był zaabsorbowany swoim planem, że nie zauważył nadchodzącego z naprzeciwka człowieka, równie jak on pogrążonego w myślach. Jeden nie był świadom bliskości drugiego, aż zrobiło się za późno.

Cecil Whiteparish zawahał się, szybko ocenił sytuację i doszedł do słusznego wniosku, że może uczynić tylko jedno, aby zachować się przyzwoicie i po chrześcijańsku.

– Dzień dobry, kuzynie Johnie – odezwał się grzecznie. Był uprzejmy, ale ostrożny.

– Dzień dobry. – Trader zmusił się do uśmiechu. – Co pana sprowadza do Kalkuty?

– Zatrzymałem się na miesiąc w Londyńskim Towarzystwie Misyjnym. Mają tu swoją siedzibę, jak pan zapewne wie.

– Ach tak. A potem wraca pan do Makau? – Właśnie sobie uświadomił, że gdy zamieszkają z Agnes w Makau, jego żona prędzej czy później dowie się o istnieniu Cecila Whiteparisha, uznał jednak, że nie będzie się tym zamartwiać, dopóki do tego nie dojdzie. Ciekaw był, jakie są szanse, że Kalkuta stanowi dla misjonarza jedynie przystanek w drodze na misje gdzie indziej.

– Owszem, wracam do Makau, przynajmniej na jakiś czas – rozwiał jego nadzieje Whiteparish.

– Och…

– Powinienem chyba pogratulować panu z okazji nadchodzącego ślubu.

– No tak. Dziękuję. – Trader umilkł i nie powiedział już nic więcej.

Cecil Whiteparish przyglądał mu się. Jego wyraz twarzy daleki był od złości; może nawet wydawał się nieco rozbawiony.

– Proszę się nie obawiać – rzekł cicho. – Nie spodziewałem się zaproszenia. Za wysokie progi. – Uśmiechnął się. – Życzę panu wszelkiej pomyślności w małżeństwie. – Mówił całkiem szczerze, Trader nie miał co do tego żadnych wątpliwości. – Żegnam – dodał jego kuzyn i poszedł w swoją stronę.

* * *

Wczesnym popołudniem John zasiadł z panią Lomond w bawialni.

– Jestem w kropce – wyznał. – Zupełnie nie wiem, co robić.

– I przyszedłeś z tym do mnie? – Pani Lomond uśmiechnęła się. – Ogromnie się cieszę. Jesteśmy teraz rodziną, rzecz jasna, a rodzina powinna trzymać się razem. Cóż cię zatem trapi?

Opowiedział jej szczerze, niczego nie pomijając, o Cecilu Whiteparishu i o tym, jak kuzyn pojawił się w jego życiu.

– Jego nazwisko widziałem wcześniej tylko raz, w liście, który pozostawił mi mój opiekun. Potem całkiem o nim zapomniałem.

– Nienawidziłeś go?

– Nie, ale nie mamy ze sobą nic wspólnego i na pewno nie chciałem mieć w nim przyjaciela.

– Nie jest jednym z nas?

– Obawiam się, że nie.

– Czułbyś się zakłopotany, gdyby przyszedł na ślub?

– Jako mój jedyny krewny? – Trader się zawahał. – Obawiam się, że pani mąż nie byłby tym zachwycony.

– I tu się mylisz! Pierwszy podniósłby krzyk, że ów człowiek to twoja rodzina i że krew jest gęstsza niż woda. Korzenie są dla niego bardzo ważne, wiesz? – Uśmiechnęła się. – Ale coś mi się wydaje, że sumienie każe ci go zaprosić. Mam rację?

– To małoduszne z mojej strony, ale uznałem, że powinienem przyznać się pani do wszystkiego.

– Oceniasz siebie trochę nazbyt surowo. Nie powiedziałeś mi nawet, czym trudni się ów młody człowiek. Ma jakieś zajęcie?

– Jest misjonarzem – odrzekł Trader.

– Misjonarzem? – Pułkownikowa odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem. – Mój drogi chłopcze, niczym już się nie kłopocz, tylko

koniecznie go zaproś.

– Naprawdę?

– Naturalnie! Po pierwsze, nie wypada zachowywać się nieuprzejmie wobec misjonarza. To byłoby w bardzo złym guście. Fakt, że masz w rodzinie duchownego, przemawia zresztą na twoją korzyść. Po drugie, ludzie spodziewają się po misjonarzach nieco osobliwego zachowania. Pamiętam, że jeden z synów starego lorda Drumossie został misjonarzem. Był dziwakiem, w ogóle niepodobnym do reszty rodziny. – Pani Lomond pokiwała głową. – Tak, to bardzo dobra wiadomość, naprawdę.

– Ale on nie pochwala handlu z Chinami. Oby tylko nie zaczął o tym mówić.

– Nic się nie martw: zadbam, aby trzymał język na wodzy.

– Doprawdy? Jak?

– Mam znajomego wikarego. Poproszę, aby na niego uważał. To bardzo mądry człowiek. – Rozpromieniła się. – Mój drogi, właśnie sobie przypomniałam, że ów znajomy ma młodego wikariusza – jego też zaprosimy! Poleci mu się, aby nie spuszczał z oka tego twojego misjonarza i troskliwie się nim zajął. Gościnnie ich powitamy, a gdyby nawet oznajmił któremuś z gości, że nie popiera handlu opium, nie będą się temu dziwić. W ten sposób wszyscy będą zadowoleni – podsumowała beztrosko.

– Może z wyjątkiem owego nieszczęsnego wikariusza.

– Przynajmniej zrobi coś dobrego i użytecznego. Czyż nie po to są wikariusze? – spytała retorycznie pani Lomond.

John Trader i Agnes Lomond wzięli zatem ślub i było to bardzo udane wydarzenie. Pan młody z piracką opaską na oku prezentował się bardzo przystojnie, panna młoda także ślicznie wyglądała. Jeszcze tego samego roku wyjechali do Makau, gdzie wynajęli przyjemny domek powyżej portu.

– Nie zabawimy tu długo – uspokoił żonę Trader. – Myślę, że za kilka lat brytyjska kolonia w większości przeniesie się do Hongkongu. Już teraz zaczynają się tam budować.

Na razie jednak Agnes trafiła w szeregi społeczności, gdzie życie toczyło się tak samo jak w Kalkucie, tyle że na nieco mniej formalnych zasadach, za to bardziej radośnie. I choć niektórzy uważali młodą panią Trader za zbyt powściągliwą, nowożeńcom to nie przeszkadzało; zdawali sobie sprawę, że

gdy John zdobędzie majątek i osiągnie odpowiednią pozycję, żona będzie dla niego oparciem.

Zamieszkali w uroczej, niedużej willi wysoko na wzgórzu, ze wspaniałym widokiem na morze. Agnes tak ją umeblowała i przyozdobiła, że – jak słusznie twierdziła – gdyby nie morze, mogłoby się wydawać, że są w którymś z górskich kurortów.

Osoby mające wstęp do jej buduaru od razu zauważały – i uznawały za wzruszające – że na toaletce, tuż za kompletem szylkretowych szczotek do włosów, które matka podarowała jej w prezencie ślubnym, pani Trader trzyma piękną miniaturę przedstawiającą jej ukochanego męża – tę samą, którą dostał od przyjaciół przed wyjazdem z Kalkuty do Chin. Była to ostatnia rzecz, na którą patrzyła każdego wieczoru przed udaniem się na spoczynek.

Naturalnie zdarzały się takie miesiące, gdy John i Tully Odstock wyjeżdżali wraz z innymi kupcami do Kantonu, gdzie kwitł ożywiony handel, Agnes nie nudziła się jednak wtedy, bo tematów do rozmowy nigdy nie brakowało.

W Kantonie panował obecnie spokój, lecz Brytyjczycy nie skończyli swojej rozprawy z Chinami. Zdobywszy niezbitą pewność, że z pomocą brytyjskiego oręża zdołają uzyskać wszystko, co tylko zechcą, władze w Londynie odwołały Elliota i zastąpiły go bardziej stanowczym dowódcą.

Wiosną 1842 roku wyruszył on na północ wybrzeża, rozbijając chińską obronę i zdobywając port za portem. Niektóre potyczki były bardzo brutalne, zwłaszcza te toczone latem, już po powrocie Johna do Makau. Podczas jednej ze swoich rzadkich, kurtuazyjnych wizyt Cecil Whiteparish oznajmił im arcyważną nowinę.

– Zajęliśmy miejsce zwane Zhapu, malownicze nadmorskie miasteczko z fortem obsadzonym przez mandżurskich chorążych – prawdziwych wojowników z klanów, które kiedyś podbiły Chiny. Walczyli do ostatniego człowieka, okazując prawdziwe męstwo. No i teraz droga jest wolna. Aż do Pekinu nie ma więcej garnizonów do zdobycia, jeśli nie liczyć kilku fortów na południe od stolicy.

Kiedy Whiteparish wychodził, Trader zagadnął go, ściszając głos:

– Podobno bitwa o Zhapu była bardzo krwawa.

– Tak, zginęły też kobiety i dzieci, ale wolałem nie wspominać o tym przy pańskiej żonie.

– Mamy obaj to szczęście, że nigdy nie byliśmy świadkami podobnych okropności – zauważył Trader.

Przez chwilę miał wrażenie, że Cecil Whiteparish chce mu coś powiedzieć, lecz tego nie zrobił.

Kilka tygodni później Agnes Trader urodziła swojemu mężowi zdrowego syna. Zaprosił wówczas Cecila Whiteparisha do siebie i wspólnie wypili butelkę szampana; w tej sytuacji wydawało się to czymś właściwym.

A już po trzech dniach John mógł przekazać żonie radosną nowinę:

– Pekin skapitulował. Podpisaliśmy traktat pokojowy i otrzymaliśmy wszystko, na czym nam zależało. Pięć portów stoi przed nami otworem… A właściwie to cztery, do których dorzucili jeszcze jakąś mieścinę zwaną Szanghajem. Grunt, że w każdym porcie będzie odtąd urzędował brytyjski konsul. Poza tym Hongkong został nam, rzecz jasna, oficjalnie odstąpiony. Do tego dochodzi odszkodowanie w wysokości dwudziestu jeden milionów dolarów, wyobrażasz to sobie?

– To chyba bardzo dużo – zauważyła Agnes.

– Owszem. – John uśmiechnął się cierpko. – Człowiek nieomal czuje się winny.

ZHAPU

1853 rok

GUANJI MIAŁ PIĘĆ lat, kiedy matka pokazała mu, jak ma się zabić. Przez cały poprzedni dzień na wybrzeżu trwała zaciekła bitwa między mandżurskimi chorągwiami a wojskami brytyjskimi i indyjskimi; dopiero wieczorem barbarzyńcy wyparli dzielnych Mandżurów z buddyjskiej świątyni na nabrzeżu, ale już następnego ranka diabły z morza natarły na garnizon w Zhapu, a ojciec Guanji wraz z innymi poszli bronić wschodniej bramy.

Otoczone murami miasto Zhapu miało kształt zbliżony do kwadratu podzielonego na cztery części poprzecznymi ulicami, które biegły z północy na południe i ze wschodu na zachód. W północno-wschodnim kwartale znajdował się budynek garnizonu, w którym mieszkał Guanji. Gdyby barbarzyńcy przedostali się do miasta przez wschodnią bramę, przebywający w garnizonie znaleźliby się w pułapce, uwięzieni bez możliwości ucieczki.

– Podaj mi te dwa noże ze stołu – poleciła matka, po czym kazała mu przyłożyć jeden z nich do szyi, nakryła jego dłoń swoją i delikatnie poprowadziła ostrze w poprzek gardła. – Po prostu przesuń ostrze w ten sposób, mocno je dociskając – powiedziała. – Nie będzie bolało.

– Dobrze, mamo.

– Wiesz, gdzie mieszka twój wujek z Hangzhou, prawda? Spróbuj się tam przedostać, jeżeli zdołasz. Może tam będziesz bezpieczny. Nie pozwól jednak, żeby zobaczyli cię barbarzyńcy. Jeśli cię złapią, użyj noża i od razu się zabij. Obiecujesz?

– Obiecuję. – Matka miała na myśli starszego brata ojca. Nazywał się Salantai, choć to akurat nie miało znaczenia, bo Guanji od zawsze znał go

jako „wujka z Hangzhou”, gdzie Salantai prowadził interesy. Jego dom znajdował się jednak na przedmieściach Zhapu.

– Czy ojciec do nas wróci?

– Jeżeli wróci, znajdzie cię u wuja.

– Chcę zostać z tobą.

Jakże blado wyglądała! Po wybuchu pocisku z moździerza zawalił się dach ich domu, a spadająca belka przygniotła matkę do podłogi i zmiażdżyła jej nogę. Guanji widział strzaskaną kość, która przebiła skórę, i powiększającą się kałużę krwi.

– Nie! – krzyknęła ostatkiem sił. – Idź już, Guanji. Zanim dotrą tu barbarzyńcy.

– Chcesz się zabić?

– Nie zadawaj pytań, tylko rób, co ci każe matka. Biegnij już! Szybko!

Odwrócił się zatem i pobiegł.

Wspomnienia, jakie Guanji zachował z tego dnia, przypominały zły sen. Od strony wschodniej bramy niosły się echem odgłosy uderzeń i ludzkie krzyki, a zarazem ulica, na którą wybiegł, była dziwnie wyludniona. Mur domu sąsiadów został częściowo zburzony, tak że mógł zajrzeć do środka przez poszarpany wyłom. Na środku dziedzińca dostrzegł studnię.

Głową tej rodziny był pewien stary człowiek; Guanji nie znał jego nazwiska, wiedział tylko, że w młodości przybył do Zhapu z Pekinu i wszyscy zwali go Starcem z Pekinu. Jego synowie poszli walczyć, lecz on sam stał na dziedzińcu ze swoją synową i trójką jej małych dzieci. Zauważył Guanjiego i obrzucił go spojrzeniem pozbawionym wyrazu. Miał szeroką, mongolską twarz; jego czoło i policzki przecinały głębokie pionowe zmarszczki – wyglądało to tak, jakby ktoś włożył mu głowę w imadło i mocno ją ścisnął.

Starzec najwyraźniej również uznał, że garnizon czeka rychły upadek, bo przeniósłszy wzrok z powrotem na swoje wnuczęta, ze smutkiem wziął na ręce pierwsze z nich, chłopca w wieku Guanjiego, i wrzucił go do studni. Następnie podniósł małą dziewczynkę i uczynił z nią to samo. Ich matka, młoda, ładna kobieta, trzymała w ramionach niemowlę. Na skinienie teścia wspięła się na cembrowinę i po chwili oboje zniknęli w czeluściach studni.

Guanji stał tam i patrzył. Starzec z Pekinu zerknął na niego i chłopcu przeszło przez myśl, że sąsiad zechce go również utopić. Był gotów rzucić

się do ucieczki, żeby ocalić życie, lecz Starzec z Pekinu usiadł powoli oparty plecami o cembrowinę, wyjął nóż i ze spokojem, niemal w roztargnieniu, jakby był zajęty czymś całkiem innym, przeciągnął ostrzem po swojej szyi. Guanji ujrzał krew tryskającą z czerwonej, cienkiej szramy. Starzec z Pekinu ponownie zwrócił ku niemu swoje oczy przepełnione bezbrzeżnym smutkiem. Guanji posłyszał krzyki u wylotu ulicy, odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Droga do domu jego wuja prowadziła przez szereg znajomych uliczek do małej, bocznej furty w murze garnizonu, strzeżonej przez pół tuzina mężczyzn.

– Zaraz zamykamy – powiedział mu jeden ze strażników. – Nie będziesz mógł tędy wrócić.

– Matka posłała mnie do domu wujka! – zawołał. Nikt nie próbował go zatrzymać.

Biegnąc na zachód, wkrótce dotarł do szerokiej ulicy ciągnącej się z północy na południe, skąd dostrzegł, że brama północna jest nadal otwarta. Szybko przez nią wybiegł, zanim strażnicy zdążyli zadać mu jakiekolwiek pytanie, po czym skręcił w wąską uliczkę wiodącą przez rzadko zabudowane przedmieścia. Dom wuja znajdował się w odległości mili od murów miasta. Guanji miał szczęście, bo nie napotkał po drodze żadnych barbarzyńców.

Przed laty wuj otrzymał zgodę, aby zamieszkać poza garnizonem, i wybudował dla swojej rodziny przyjemny kompleks dwupiętrowych domków. W głównym budynku, traktowanym z szacunkiem należnym świątyni, choć z wyglądu przypominał raczej małą stodołę, mieściła się Sala Harmonii z tabliczkami upamiętniającymi przodków. Wzdłuż jednej z pierzei niewielkiego dziedzińca stały dziwne kapliczki. Rzadko z nich korzystano, tylko przy okazji zgonów i ślubów; w takich chwilach miejscowi szamani przypominali mandżurskim klanom o ich dawnych obyczajach z czasów, gdy zamieszkiwali jeszcze lasy i równiny na północ od Wielkiego Muru.

Wuja nie było w domu, Guanji zastał jednak ciotkę wraz z dziećmi: czternastoletnią córką, dwunastoletnim synem, dziewczynką mniej więcej w jego wieku i trzyletnim beniaminkiem rodziny. Ciotka nie ucieszyła się na jego widok, ale kiedy wyjaśnił, co zaszło w domu, skinęła ponuro głową. Dopiero wtedy zauważyła nóż, który wciąż trzymał w ręku.

– Daj mi ten nóż, mały – powiedziała, lecz on tylko pokręcił głową i cofnął się.

Gdyby przyszli barbarzyńcy i wszyscy musieli się zabić, Guanji zamierzał użyć noża tak, jak pokazała mu matka. Kiedy Starzec z Pekinu poderżnął sobie gardło, nie wyglądało to bardzo strasznie. Nie wiedział, czy ciotka planuje utopić swoje dzieci, ale co do jednego miał pewność: nie pozwoli się wrzucić do żadnej studni. Ścisnął mocno nóż i jeszcze dalej odsunął się od ciotki. Wyglądała na zagniewaną, ale ponieważ była bardzo zajęta, zostawiła go w spokoju.

Minęła godzina. Nad garnizonem unosił się teraz słup dymu, ale nie zauważyli, aby ktokolwiek stamtąd wychodził – ani obrońcy, ani barbarzyńcy. W końcu ciotka kazała wszystkim wejść do domu, sama jednak została na zewnątrz, żeby pilnować bramy do czasu, aż późnym popołudniem wrócił jej mąż. Przyjechał z Hangzhou tak szybko, jak to było możliwe.

Tej nocy w Zhapu nie toczyły się już żadne walki. Rano wuj poszedł się rozejrzeć i ocenić sytuację. Wrócił w południe.

– Brytyjczycy zdobyli garnizon. Zostawią w nim mały oddział, żeby go bronił. Reszta ich nie interesuje. Celem jest Pekin. Zależy im na podpisaniu traktatu z samym cesarzem.

– A obrońcy…? – zaczęła jego żona, lecz dał jej znak, żeby o nic nie pytała.

Następnie zwrócił się do Guanjiego:

– Możesz być z siebie bardzo dumny, mój mały bratanku. Twój ojciec oddał życie, aż do końca broniąc bramy. Zginął jako bohater – powiedział stanowczo. – Mandżurski bohater! – obwieścił głośno wszystkim. – To zaszczyt dla naszego szlachetnego klanu.

– A moja matka? – spytał Guanji.

– Musiała bardzo cierpieć po tym, jak ją zostawiłeś. Wiesz, że jej noga…

– Tak, wujku. Widziałem.

– Myślę, że zaraz po twoim wyjściu odebrała sobie życie. Nie umarła w męczarniach. – Zerknął na swoją żonę. – To się stało jeszcze przed przybyciem wojsk. – Odwrócił się z powrotem do Guanjiego. – Brytyjski oficer dał mi zgodę na zabranie ciał twoich rodziców, żeby zapewnić im odpowiedni pochówek. Wszystko odbędzie się jak należy.

Tak też się stało i mały Guanji pocieszał się myślą, że jego matka nie cierpiała, a ojciec był bohaterem.

Nie każdy chłopiec uczy się, jak być bohaterem. Guanji nie miał nic przeciwko temu; korzyść była taka, że dostał kucyka na własność.

Ponieważ stracił oboje rodziców, wuj przygarnął go i uczynił swoim synem; nawet rodzony ojciec nie okazałby mu więcej dobroci i nie zadałby sobie tyle trudu, aby jak najlepiej przekazać mu mandżurskie tradycje. Przed ukończeniem szóstego roku życia Guanji potrafił już znakomicie recytować katechizm, którego nauczył go wuj.

– Do jakiego klanu należymy?

Dla każdego Chińczyka Han liczyła się przede wszystkim rodzina: rodzice i dziadkowie, których należało szanować. Pytany o to, kim jest, podawał najpierw swoje nazwisko rodowe, a dopiero później imię. Mandżurowie natomiast na pierwszym miejscu stawiali klan i plemię. Prawdziwy Mandżur nie miał nazwiska rodowego i z dumą nosił tylko jedno imię, pod jakim był znany w obrębie swojego klanu.

– Jesteśmy Suwan Guwalgiya – odpowiadał Guanji. – Nasz rodowód sięga siedmiuset lat wstecz.

– Gdzie znajduje się słup totemiczny naszego klanu?

– W Pekinie.

– Kto jest założycielem naszej gałęzi klanu?

– Fiongdon, łucznik i dowódca, towarzysz chana Nurhacziego ze Złotego Klanu, który zjednoczył plemiona Dżurdżenów i założył nasz mandżurski ród cesarski.

– Jak chan Nurhaczi okazał swoją miłość Fiongdonowi?

– Dał mu za żonę swoją wnuczkę.

– A co się stało, gdy Fiongdon umarł?

– Słońce zmieniło swoją ścieżkę, niebo rozdarły grzmoty i błyskawice, a sam chan Nurhaczi opłakiwał Fiongdona jako główny żałobnik.

– Ilu synów miał Fiongdon?

– Dwunastu, z których siódmym był Tulai, wielki dowódca kawalerii.

– Czego dokonali?

– Zrzucili dynastię Ming z chińskiego tronu.

– Ile pokoleń dzieli cię od Fiongdona?

– Dziewięć.

– Jakie zaszczyty piastował Fiongdon?

– Przed śmiercią został Panem Żółtej Chorągwi z Czerwonym Obramowaniem i jednym z Pięciu Doradców. Po śmierci otrzymał tytuł Księcia Nieugiętej Prawości. Za życia kolejnych pokoleń dwukrotnie go awanso-

wano, a sto pięćdziesiąt lat po jego śmierci przyznano mu najwyższy tytuł ze wszystkich możliwych.

– To znaczy?

– Księcia Dziedzicznego pierwszej klasy.

– Czasami, Guanji – wyjaśnił mu wuj – człowiek za życia może piastować wysokie stanowiska, lecz utracić je po śmierci. Może nawet okryć się hańbą. Jednak imię Fiongdona zyskiwało z czasem coraz większy szacunek, czego odbiciem były coraz wyższe tytuły. To dowód jego wielkiej szlachetności. – Uśmiechnął się. – Pewnego dnia, mój mały Guanji, ty także możesz przynieść podobny zaszczyt naszemu klanowi.

Kucyk był małym, krzepkim, kudłatym, mandżurskim dereszem z dużą głową i białą łatą na pysku. Jego imię brzmiało: Wiatr nad Trawami, ale mały Guanji nazywał go po prostu Wiatrem i bardzo go kochał. Jeden ze starych wojowników mandżurskich z garnizonu uczył go jeździć konno na poletku nieopodal domu.

Pół roku później wojak dał mu zabawkowy łuk, nauczył, jak go naciągać i strzelać z niego podczas jazdy. Wkrótce Guanji za każdym razem trafiał do celu, przemykając obok na grzbiecie kucyka. Nauczyciel nie mógł się go nachwalić, nawet wuj przychodził czasem, żeby zobaczyć te popisy; Guanji był wtedy bardzo dumny i szczęśliwy. Po roku dostał inny łuk, nieco większy, z którego szybko nauczył się strzelać równie celnie.

Czasami, po lekcjach jazdy konnej i strzelania z łuku, starzec zabierał Guanjiego do herbaciarni, gdzie spotykał się ze swoimi mandżurskimi przyjaciółmi, a oni opowiadali chłopcu mandżurskie bajki ludowe i przy akompaniamencie bębenka śpiewali pieśni zidi o chwalebnych czynach dawnych Mandżurów. Zachęcali też Guanjiego, aby śpiewał wraz z nimi, i wkrótce znał na pamięć z tuzin rytmicznych piosenek. Jego słuchacze wielce się radowali i nazywali go Małym Wojownikiem, bo w całym garnizonie Zhapu nie było innego chłopca, który wiedziałby aż tyle.

– Wiadomo, co mówią – powtarzał stary wojak, kiwając głową – chłopiec, który ma silne ciało, będzie miał silny umysł.

Kiedy miał siedem lat, wuj umieścił go w szkole garnizonowej.

– Poznasz nie tylko chińskie znaki – powiedział – ale nauczysz się także mówić i pisać po mandżursku. Wielu żołnierzy mandżurskich chorągwi nie zna naszego języka, lecz sąd w Pekinie nadal posługuje się mandżurskim

we wszystkich oficjalnych dokumentach. Jeśli więc zajdziesz wysoko, może ci się to przydać, a na pewno ucieszy naszego cesarza.

Wuj był jedyną znaną Guanji osobą, która kiedykolwiek była w stolicy.

– Zabierzesz mnie kiedyś do Pekinu, wujku? – spytał Guanji.

– Być może – odparł wuj.

Zhapu tymczasem wydawało się chłopcu istnym rajem. Rodzinie żyło się całkiem dobrze. Jak wszyscy mandżurscy chorążowie, jego wuj otrzymywał od cesarza skromny żołd w srebrze, przydział zboża i pewne świadczenia, takie jak możliwość kształcenia synów. Do tego dochodziły jeszcze zyski z drukarni, którą wuj prowadził w Hangzhou.

– Mandżurowie tacy jak my nie powinni być kupcami i rzemieślnikami – wyjaśnił Guanjiemu. – To poniżające zajęcia. Ale przygotowywanie i drukowanie pięknych książek tak, jak ja to robię, uważa się za odpowiednie zajęcie dla członka szlachetnego mandżurskiego rodu, więc dostałem pozwolenie. – Uśmiechnął się. – Dobrze się składa, w przeciwnym razie nie moglibyśmy żyć na takiej stopie jak teraz.

Co do dzieci wuja – obecnie jego braci i sióstr – zaakceptowały go one w takim stopniu, że po roku czy dwóch Guanji niemal zapomniał, że byli kiedyś kuzynami.

Jego ulubienicą była najstarsza Ilha. Podziwiał ją z całego serca; reprezentowała sobą wszystkie cnoty, jakimi powinna się szczycić mandżurska dziewczynka.

Mandżurki nie dreptały chwiejnie na skrępowanych stopach, tak jak to robiły modne Chinki. Ich stopy wyglądały, jak tego chciała natura. W butach na platformie, ubrane w proste, luźne suknie qipao z długimi rozcięciami po bokach, chodziły dumne, wyprostowane i swobodne. Ilha była też zabawna. Jej orzechowe oczy często się śmiały, mimo że twarz o jasnej karnacji zachowywała wyraz pełnej opanowania godności. Opiekowała się nim jak druga matka.

Guanji uwielbiał wędrować po ulicach Zhapu. Choć brytyjski atak odcisnął na kwartale garnizonowym widoczne piętno, nadmorskie miasteczko zachowało dawny urok. Jego środkiem wił się kanał centralny, którego brzegi spinało dziewięć wysokich, łukowatych, bogato zdobionych mostów. Wzdłuż niego wznosiły się budynki mieszkalne, świątynie i pawilony o dachach, których rogi były szykownie wygięte ku górze, a także wysokie

mury ogrodów; tu i ówdzie nad wodą wdzięcznie zwieszały się wierzbowe gałęzie.

Przede wszystkim jednak Guanji lubił przejażdżki na swoim kucyku. Często wyprawiali się za miasto, ścieżką prowadzącą aż do końca długiego, nisko położonego cypla wrzynającego się daleko w morze, gdzie na niewielkim wzniesieniu znajdowała się mała bateria dział. Woda, osłonięta z obu stron klifami, była tu zwykle tak spokojna, że łatwo mógł sobie wyobrazić rozciągającą się aż po horyzont równinę porośniętą trawą, zupełnie jak północne stepy, skąd pochodził jego lud. W takich chwilach lubił myśleć, że towarzyszy mu duch ojca, którego twarz ledwo pamiętał; myśl o niewidocznym kompanie dawała mu poczucie wewnętrznego spokoju i siły.

Wszystko na tej ziemi ma swój kres, nadszedł więc czas, gdy Guanji był już za duży, aby jeździć na kucyku. Wuj kupił mu wtedy konika równie wytrzymałego jak Wiatr, ale bardziej rączego, Wiatr miał zaś trafić do innego chłopca. W dniu poprzedzającym rozstanie Guanji zabrał kucyka na ostatnią przejażdżkę nad morze, aby duch ojca także mógł się z nim pożegnać.

Wracał właśnie do Zhapu, gdy ujrzał idącego polną drogą chłopca imieniem Yelu, z którym chodził do szkoły. Yelu mieszkał w domku w garnizonie, a jego rodzice byli dosyć biedni. Chłopcy nie przyjaźnili się, ale, o ile Guanji się orientował, nie byli też wrogami. Czasami Yelu się złościł, a wtedy Guanji myślał, że przypomina małego prosiaka, nigdy jednak nie mówił tego na głos. Teraz, zbliżywszy się, skinął mu grzecznie głową, lecz Yelu zastąpił mu drogę.

– Podobno wuj kupił ci nowego konia.

– To prawda. Ostatni raz jadę na Wietrze, więc jest mi bardzo smutno.

– Masz wszystko, o czym tylko zamarzysz, prawda? Starszyzna nazywa cię Małym Wojownikiem.

– To chyba dlatego, że znam dużo pieśni zidi.

– Mówi się też, że twój ojciec był bohaterem.

– Zginął w obronie miasta – przytaknął skromnie Guanji – jak wielu innych.

– Tak ci się tylko wydaje. Słyszałem, że uciekł, a później został zabity. Podobno ukrywał się w studni. I co ty na to, Mały Wojowniku?

Wstrząśnięty i zaskoczony Guanji przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć. Zanim zdążył zawołać, że to wszystko nieprawda, Yelu uciekł.

Po powrocie do domu zapytał Ilhę, co o tym myśli.

– To jasne, że on kłamie, głuptasie – odparła. – Czy to nie oczywiste? Jest o ciebie zazdrosny. Po tym, jak jego własny ojciec ledwo uszedł z życiem w dniu bitwy, niektórzy nazywali go tchórzem, choć nigdy nie udowodniono mu ucieczki.

– Nie wiedziałem o tym.

– Bo ludzie o tym nie mówią.

– Ale jak on mógł wymyślić takie kłamstwo o moim ojcu?

– Kiedy ktoś wymyśla kłamstwa na temat innych, często robi tak z obawy, że to samo mógłby usłyszeć o sobie. To jak przerzucanie na kogoś złego zaklęcia: bierzesz paskudnego pająka, który na ciebie spadł, i ciskasz na kogoś innego.

Nazajutrz Guanji zapowiedział Yelu, żeby był gotów stanąć z nim po szkole do walki. Wówczas kolega przeprosił go; przyznał, że zmyślił całą historię i że to wszystko nieprawda. Do bójki więc nie doszło, Guanji zastanawiał się jednak, czy Yelu nie uczynił tak tylko dlatego, żeby uniknąć lania. W związku z tym jego nastrój wcale się nie poprawił i chociaż nigdy nie zakwestionowałby słów wuja, ten drobny epizod zasiał w jego umyśle pewne wątpliwości.

Kilka dni później wybrał się na swoim nowym koniu ścieżką na cypel i jak zwykle wyobrażał sobie, że spokojna tafla wody to bezkresny step. Ale choć czekał, duch ojca nie zjawił się, aby mu towarzyszyć, i do końca cypla dojechał sam.

Rok po tym zdarzeniu Ilha wyszła za mąż.

– Ponieważ nikomu nie wolno poślubić członka własnego klanu – droczyła się z ojcem – doprawdy nie wiem, kto mógłby cię zadowolić, chyba że pochodziłby z królewskiego rodu. – W końcu jednak znalazł się młody człowiek o odpowiednim rodowodzie i obiecujących perspektywach. Mieszkał w wielkim mieście zwanym Nankinem, nad rzeką Jangcy, sto pięćdziesiąt mil na północ.

Guanji zapamiętał z tego dnia dwie rzeczy. Po pierwsze, pannę młodą: pięknie haftowane czerwone qipao, które miała na sobie, wydawało się godne księżniczki. Dzięki butom na platformie wzrostem niemal dorównywała mężczyznom, ale to jej fryzura wprawiła chłopca w istne osłupienie. Zwykle przy oficjalnych okazjach Ilha czesała się z przedziałkiem pośrodku

i zwijała włosy w obwarzanki za uszami, lecz w dniu ślubu upięła je na dużym grzebieniu wysoko nad głową i ozdobiła kwiatami, tak że wydawało się, że ma na głowie ciężką koronę.

– Wydajesz się taka wysoka – zauważył pełen podziwu.

– Strzeż się mnie – odparła ze śmiechem.

Drugie wspomnienie dotyczyło szamanów. Ojciec panny młodej nalegał, aby byli obecni podczas zaślubin, dwaj starcy wznieśli więc na dziedzińcu osobliwą kapliczkę i odprawili przy niej pradawne rytuały z mandżurskich lasów, zanosząc niskimi głosami śpiewne modły, których nie rozumiał nikt poza wujem – a i tego Guanji nie był całkiem pewien. Dodało to dziwnej powagi temu uroczystemu wydarzeniu.

Guanji żałował, że Ilha nie mieszka bliżej, obiecała jednak, że postara się go odwiedzać.

Nie minęło wiele czasu, a on również opuścił rodzinne strony, nadeszła bowiem pora, aby wstąpił do mandżurskiej szkoły oficerskiej w Hangzhou. Jako że wuj miał w mieście domek nieopodal drukarni, Guanji spędzał tam większą część roku z wyjątkiem świąt, kiedy wracał do Zhapu.

Hangzhou leżało w ujściu rzeki, osiemdziesiąt mil od Zhapu. Guanji nigdy wcześniej tam nie był, więc z początku czuł się trochę przytłoczony. Hangzhou było stolicą prowincji, jednym z najstarszych miast w Chinach; otaczały je potężne, wiekowe mury i rozległe przedmieścia. Na wzgórzu nad rzeką wznosiła się ku niebu olbrzymia pagoda.

– Za dawnych czasów na jej szczycie zapalano wielką latarnię – opowiadał mu wuj. – Dzięki temu żeglarze zawsze trafiali do portu. – Również w Hangzhou brał swój początek Wielki Kanał, którym spławiano na północ różne towary. – Ma tysiąc sto mil długości – wyjaśnił wuj. – Gdybyś popłynął nim w górę, minąłbyś dolinę potężnej rzeki Jangcy, a dalej na północ dolinę Żółtej Rzeki, aż w końcu dotarłbyś do Pekinu. Po Wielkim Murze to największy cud budowlany w całych Chinach.

Wzdłuż szerokich ulic miasta ciągnęły się słynne sklepy, apteki i herbaciarnie prowadzone od wieków przez te same rodziny. Ogromny kompleks koszarów żołnierzy mandżurskich chorągwi zajmował całe dwieście czterdzieści akrów powierzchni.

Guanji wstąpił do szkoły oficerskiej w Hangzhou, gdzie prawie wszyscy chłopcy byli starsi od niego i nawykli do życia w wielkim mieście. Z tego

powodu przypuszczał, że będą go pod każdym względem przewyższali, i rzeczywiście, jeśli chodzi o historię Chin i matematykę, z pewnością musiał się jeszcze wiele nauczyć. Okazało się jednak, że celuje w języku mandżurskim i ku swemu wielkiemu zaskoczeniu stwierdził, że w szkole nie ma ani jednego chłopca, który mógłby mu dorównać w tradycyjnych sztukach walki. Wielu uczniów w ogóle nie umiało jeździć konno.

– Gdy cesarz daje im pieniądze na konie – stwierdził ze smutkiem wuj – wydają je na własne potrzeby.

To właśnie podczas lat spędzonych w Hangzhou Guanji lepiej poznał i zrozumiał swojego opiekuna. Ponieważ wychowywano go na chorążego, nigdy nie interesował się zbytnio drukarnią i zdziwił się, widząc, jak świetnie wuj zna się na interesach i jak ciężko pracuje.

Spodobał mu się też warsztat drukarski. Poza wielkimi drewnianymi prasami i ułożonymi na półkach ryzami papieru znajdował się tam długi stół, przy którym siedzieli rządkiem zajęci rzeźbieniem rzemieślnicy. Książki nie były bowiem drukowane przy użyciu metalowych czcionek, lecz drewnianych klocków, z których każdy opatrzony był jednym znakiem chińskiego pisma. Klocki umieszczano potem w ramkach drukarskich.

Wuj przyjmował najróżniejsze zlecenia. Mówił na przykład:

– Dziś drukujemy ten piękny tomik wierszy. – Albo: – Do tego druku kopiujemy znaki ze starego tekstu z czasów dynastii Ming. Pewien mandaryn, mój dobry znajomy, chce wydrukować swoje eseje. A to… – wskazywał na stertę grubych arkuszy pokrytych niechlujnym pismem – jest genealogia pewnego szlachetnie urodzonego pana, sięgająca trzech tysięcy lat wstecz. Oczywiście częściowo zmyślona, ale sowicie mi za nią zapłaci – dodawał z uśmiechem. – Może i nie jestem uczonym, ale wiem, jak napisać wstęp: z lekkością, odpowiednią ilością pochlebstw i tak dalej.

Guanji pojął, że przedsiębiorstwo wuja nie prosperowałoby tak dobrze, gdyby nie rozległa sieć kontaktów. W całej prowincji nie było wykształconego człowieka, którego wuj by nie znał; to oni stanowili grono jego patronów i czytelników.

Część mieszkała w Hangzhou, lecz ulubione miejsce ich spotkań znajdowało się poza miastem, nad pięknym Jeziorem Zachodnim, dokąd pisarze i artyści zjeżdżali się kontemplować przyrodę, cesarze udawali się na wypoczynek, a mandaryni – na emeryturę. Od czasu do czasu wuj zabierał Guan-

jiego do położonej nad brzegiem jeziora willi jakiegoś bogacza albo do samotni uczonego ukrytej wśród okolicznych wzgórz. Chłopak zawsze cieszył się z tych wycieczek.

Ale choć podziwiał wuja, sam nie chciałby wieść takiego życia jak on – miał na to o wiele za dużo energii. Chciał działać, a nie całymi dniami przesiadywać w bibliotece albo w drukarni.

Podczas lat spędzonych w szkole oficerskiej Guanji dobrze radził sobie z nauką. Chwytał wszystko w lot i miał doskonałą pamięć. Co do jego sprawności fizycznej, w Hangzhou prawie nie było dużych otwartych przestrzeni, gdzie można by galopować, nie mógł więc doskonalić swoich umiejętności jeździeckich. Ćwiczył się za to w łucznictwie. Jako nastolatek Guanji stał się bardziej muskularny i niezwykle silny. Zanim skończył piętnaście lat, potrafił napinać cięższe łuki oraz strzelać dalej i z bardziej zabójczą precyzją niż jakikolwiek inny chłopiec w szkole. Jego twarz również zaczęła się zmieniać: stała się pełniejsza, o bardziej mongolskich rysach, a po obu stronach ust zwisały mu teraz cienkie, ciemnobrązowe wąsy. Pewnego dnia jego wuj, przeglądając jakieś rysunki, wyciągnął starożytną rycinę przedstawiającą wojowniczego księcia. „Robisz się do niego podobny” – zauważył z uśmiechem. I choć trochę przesadził, pewne podobieństwo rzeczywiście dało się zauważyć. Ilekroć szkoła wystawiała któreś z przedstawień tak lubianych przez Mandżurów, Guanji był zawsze wybierany do roli wojowniczego księcia.

W tym czasie na horyzoncie jego życia pojawiły się tylko dwie ciemne chmurki. Pierwszą była śmierć cesarza; na tronie zastąpił go młodziutki syn. Zawiłości dynastyczne nie miały jednak prawie żadnego wpływu na codzienność Guanjiego, poza tym, że wiązały się z obowiązkiem odbycia oficjalnej żałoby.

Drugim cieniem, jaki położył się na życiu chłopca, był bunt, który wybuchł w jednej z południowych prowincji.

– Historia stara jak świat – stwierdził wuj. – W tak olbrzymim cesarstwie zawsze gdzieś wybuchają bunty. A to Biały Lotos pragnie przywrócić dynastię Ming, a to muzułmanie wszczynają zamieszki na zachodniej granicy, gangi triady usiłują przejąć porty albo mniejszościowe plemiona sprawiają kłopoty w dalszych prowincjach. Wszystko to już widzieliśmy.

– Kto teraz za tym stoi?

– Buntownikom przewodzi człowiek z ludu Hakka imieniem Hong.

– Czego chcą?

– Obalić Mandżurów. Twierdzą, że wszystkie zmartwienia tego świata się skończą, kiedy nas nie będzie. – Westchnął. – Obiecują nawet swoim poplecznikom własne Niebiańskie Królestwo, które zwą Tajpingiem. Co za brednie!

– Mówią, że Hakka to wytrawni wojownicy. Czy ta rewolta może się rozwinąć?

– Wątpię. – Wuj pokręcił głową. – Już popełnili poważny błąd: ich przywódca wyznaje chrześcijańskiego boga barbarzyńców. Naszym rodakom to się nie spodoba.

– Ja właściwie nie wiem, kim są chrześcijanie – wyznał Guanji.

– Mają jednego głównego boga i dwóch pomniejszych. Jeden nazywa się Jezus.

– Słyszałem już to imię.

– No cóż – rzekł wuj – ten Hakka, przywódca tajpingów, podaje się za młodszego brata Jezusa. – Roześmiał się. – To zmierza donikąd.

Rok później Ilha przyjechała do Zhapu w odwiedziny z mężem i malutkim synkiem. Przybyli wspólnie świętować moment wielkiego triumfu.

O ile na dotychczasową karierę wuja składały się liczne, choć skromne osiągnięcia – wydanie ważnej książki, zapewnienie dodatkowej renty któremuś z krewnych – a każde stanowiło swoisty wkład w sukces całego rodu, o tyle tym razem wuj przeszedł samego siebie.

– Sam cesarz uhonoruje naszą rodzinę – poinformował ich. I nie chodziło wcale o zwyczajową pisemną pochwałę. – Otrzymaliśmy zgodę na wzniesienie pamiątkowego łuku – ogłosił triumfalnie – przy bramie garnizonu w Zhapu.

A wszystko za sprawą cnotliwej kobiety, z rodzaju tych, dla których Chińczycy mieli najwięcej szacunku, czyli lojalnej wdowy.

– Ojciec mój miał kilkoro dzieci – opowiadał wuj – ale tylko jeden z synów żył wystarczająco długo, żeby się ożenić. Wkrótce po ślubie zmarł, zanim spłodził potomka. Wdowa po nim była młodą i piękną kobietą i zabiegało o nią wielu mężczyzn. Do jej obowiązków należała opieka nad teściem będącym w podeszłym wieku, jednak ona uczyniła znacznie więcej. Nie chcąc dopuścić, aby rodzina jej męża wymarła bezpotomnie, znalazła

wiekowemu teściowi młodą żonę i namówiła go na ożenek. Dzięki temu, Guanji, na świat przyszli twój ojciec i ja. Po śmierci starca obie wdowy początkowo wychowywały nas wspólnie. Potem moja młoda matka zachorowała i zmarła, pozostawiając nas pod opieką owej lojalnej synowej, którą zwykliśmy nazywać babką. Zajęła się nami i zapewniła nam utrzymanie. Była kamieniem węgielnym tej rodziny. Odeszła w roku twoich narodzin, Guanji, jako najbardziej cnotliwa kobieta, jaką kiedykolwiek znałem. A teraz sam cesarz chce oddać jej cześć.

W uroczystościach wzięli udział miejscowy sędzia, liczni urzędnicy i cała rodzina. Wieczorem urządzono fajerwerki, po czym rodzina wróciła do swojej posiadłości.

Guanji, widząc psotny błysk w oku Ilhi, domyślił się, że tego wieczoru będzie próbowała się droczyć ze swoim ojcem. Oczywiście jak zawsze było w tym wiele czułości. Zaczęła, ledwo wszyscy usiedli.

– A zatem, ojcze – zagadnęła – czy jesteś wreszcie zadowolony?

Ojciec spojrzał na nią zaskoczony.

– A ty się nie cieszysz?

– Owszem, ale zarazem się dziwię. – Uśmiechnęła się. – To wszystko.

– Czemu się dziwisz? – zapytał podejrzliwie wuj.

– Ta cała cnotliwa wdowa, troska o rodzinę, żeby przodkowie mieli potomków, którzy będą o nich pamiętać, to wszystko jest bardzo konfucjańskie. Zgodne z tradycją Chińczyków Han.

– Istotnie.

– A jednak zawsze mi powtarzasz, że jesteśmy Mandżurami i nie powinniśmy się tak bardzo przejmować najbliższą rodziną, bo najważniejszy jest klan. A nasz klan jest bardzo liczny – słup totemiczny w Pekinie jest pod dobrą opieką. Szlachetny Fiongdon miał wielu potomków.

Ojciec wpatrywał się w nią. Wiedział, że się z nim drażni, ale nie zamierzał puścić jej tego płazem.

– Traktuj ojca i swoją rodzinę z większym szacunkiem – odpowiedział surowo.

Ilhi to nie powstrzymało.

– Jestem kobietą z plemienia Mandżurów, ojcze, nie Chinką z ludu Hanów. Dziewczęta mandżurskie chodzą dumnie wyprostowane. Nie krępujemy naszych stóp i mówimy to, co myślimy. Nawet dawni wielcy cha-

nowie zasięgali rad swoich żon i matek, co zostało dobrze udokumentowane.

– Wątpię, aby przyjmowali porady od córek – odparł jej ojciec. – W każdym razie w chińskiej tradycji jest wiele szlachetnych cnót. Cenimy zwłaszcza konfucjańską lojalność i normy zachowania. My, Mandżurowie, jesteśmy strażnikami Chin, więc cesarz zachęca nas do upamiętniania cnotliwych kobiet. – Spojrzał na nią z przyganą. – Jeśli cesarz uważa to za słuszne, ty także powinnaś.

– Tak, ojcze – odrzekła posłusznie Ilha.

Lecz żarty wciąż jej się trzymały. Może wypiła nieco więcej wina ryżowego niż powinna; zwykle to mężczyźni najwięcej pili, ale tego wieczoru wszyscy radośnie świętowali. Bez względu na przyczynę, pod koniec uczty zwróciła się do wszystkich z szerokim uśmiechem.

– Podziękujcie mojemu ojcu – zawołała – za wszystko, co dla was zrobił. Po raz kolejny zapewnił naszej rodzinie szacunek. Każdy bogacz i mandaryn w Hangzhou jest mu winien wdzięczność, wszyscy uczeni znad Jeziora Zachodniego to jego przyjaciele. A teraz sam cesarz uhonorował nas rodzinnym łukiem pamiątkowym w Zhapu. I wiecie co? To dopiero początek. Ojciec ma plany wobec nas wszystkich. Mnie przypadło najłatwiejsze zadanie: musiałam tylko poślubić zacnego człowieka. – Uśmiechnęła się promiennie do męża. – Nie mam się na co skarżyć. Dziękuję ci, ojcze. – Zwróciła się do swoich braci. – Wiedzcie jednak, że ojciec zaplanował też przyszłość każdego z was. Będziecie bogaci i potężni, a Guanji zostanie generałem, czyż nie, Guanji? – Roześmiała się. – On jeszcze nic nie wie, ale ojciec na pewno to także załatwi. Wszyscy jesteśmy częścią jego wielkiego planu. Wielkiego planu na chwałę naszej rodziny.

– Bądź cicho, Ilha – upomniała ją matka. – Czas do łóżka.

Tak zakończył się ów wieczór i tylko Guanji był trochę skonsternowany.

Kiedy obudził się o świcie, postanowił wybrać się na przejażdżkę. Nikt inny jeszcze nie wstał, on zaś chciał po prostu pobyć sam i przemyśleć kilka spraw.

Siodłał konia, gdy jak spod ziemi wyrósł przy nim wuj i zapytał:

– Czy mogę ci dziś towarzyszyć? – Guanji tęsknił za samotnością, lecz trudno mu było odmówić.

Niebo na wschodzie wystarczająco już pojaśniało, żeby widzieli drogę, którą jechali ramię w ramię, ciesząc się chłodem poranka i lekkim, wilgotnym powiewem od morza. Znaleźli się za murami Zhapu i skierowali na długi, pusty o tej porze cypel. Słońce jeszcze nie wzeszło nad stalowoszarym morzem.

– Odkąd byłeś małym chłopcem, zawsze lubiłeś tutaj przyjeżdżać – odezwał się wreszcie wuj.

– Tak – przyznał Guanji z roztargnieniem. – Na moim kucyku Wietrze.

Ujechali spory kawałek, zanim wuj ponownie go zagadnął.

– Ilha się myli, wiesz o tym – rzekł. – Sądzi, że usiłuję wpływać na los moich dzieci, ale to nieprawda. Staram się jedynie odkryć, co jest ich przeznaczeniem, a to coś zgoła innego.

Guanji nie od razu mu odpowiedział. Jego spostrzegawczy wuj trafnie odgadł: słowa Ilhy zaprzątały jego myśli, gdy wyruszał na tę przejażdżkę. Czyżby jego opiekun specjalnie czekał na niego tego ranka, aby móc z nim porozmawiać? Zapewne tak właśnie było.

Guanji nigdy nie kwestionował swojego obowiązku służenia klanowi ani należnego wujowi posłuszeństwa; nie w tym tkwił problem. Słowa Ilhy zasiały jednak w jego umyśle pewną wątpliwość: czy to możliwe, aby wiara w przeznaczenie, którą żywił od swoich najmłodszych lat, była w pewnym sensie złudzeniem? Iluzją podsycaną przez wuja kierującego się jak najlepszymi intencjami?

– Jak odkryłeś moje przeznaczenie, wuju? – zapytał w końcu.

– Wziąłem pod uwagę twój horoskop – odparł mężczyzna – oraz fakt, że twój ojciec był bohaterem. To nie ulega wątpliwości – dodał szybko. – Lecz ostatecznie przeważyło co innego.

– Co takiego?

– Stary Mandżur, który nauczył cię jeździć konno i strzelać z łuku. To on mnie przekonał.

– Wiem, że był do mnie przywiązany… – zaczął Guanji.

– Och, to było coś znacznie więcej. – Wuj się uśmiechnął. – Wiedziałem, że moim obowiązkiem jest posadzić cię na koniu. Twój ojciec na pewno by sobie tego życzył, nie wiedziałem jednak, czy ci się to spodoba. Moi synowie też najpierw jeździli na kucykach i nawet sprawiało im to przyjemność, ale nic z tego nie wynikło. Stary wojak nie zainteresował się nimi.

– A mną tak?

– Po twojej trzeciej lekcji zapytałem, jak ci idzie, ale nie chciał mi nic powiedzieć. Poprosił tylko, żebym po miesiącu zadał mu to samo pytanie. Odczekałem więc miesiąc i zapytałem ponownie. Oto co mi wtedy odpowiedział: „Wielu chłopców uczyłem jeździć konno, ale nigdy takiego jak ten. Jeźdźcem trzeba się urodzić – nie można się tego nauczyć. Guanji to prawdziwy mandżurski wojownik i nie chodzi tylko o jego talent, ale też o ducha. Daj mi tego chłopca na wychowanie”. Tak też uczyniłem, ale nigdy do niczego cię nie zmuszałem, Guanji. Kochałeś jazdę. To dlatego ów starszy człowiek i jego przyjaciele przygarnęli cię jak swojego i nauczyli swoich pieśni. Wiedzieli, że jesteś jednym z nich. – Urwał i pokiwał głową. – Stąd wiedziałem, co jest twoim przeznaczeniem.

– Na pewno byłem szczęśliwy – przyznał Guanji.

– Gniewam się na Ilhę. Niemądrze postąpiła. Żartowała z tego, co święte. Jeśli chcesz zatem poznać prawdę o tym, kim naprawdę jesteś, mogę ci jedynie doradzić, abyś poszukał odpowiedzi we własnym sercu. Nie ma innej drogi.

Doszli do baterii na wzgórzu, skąd widać było złociście podświetloną linię horyzontu. Czekali i w milczeniu patrzyli, jak słońce powoli wyłania się z morza. Dopiero wówczas zawrócili konie i ruszyli w kierunku domu.

– Chyba jestem Mandżurem – powiedział Guanji. – Czuję to w głębi serca.

– Znakomicie. – Jego wuj wyglądał na zadowolonego. Ujechali jeszcze kawałek, po czym wuj ściągnął wodze i obaj się zatrzymali. – A teraz, Guanji, mam dla ciebie jeszcze kilka nowin, które powinieneś usłyszeć.

– Dobrych czy złych?

– Niestety złych – odparł wuj, westchnąwszy. – Ale nie mogę dłużej zwlekać. – Przez chwilę się namyślał. – Do tej pory w swoim życiu znałeś tylko te dwa miasta: Zhapu i Hangzhou. W obu stacjonują garnizony mandżurskich chorągwi. I choć co prawda większość naszych chorążych nie ćwiczy się jak należy w jeździe konnej, tradycje mandżurskie otacza się tam szacunkiem.

– Naturalnie.

– Nie wiesz jednak, że jeśli nie liczyć Pekinu, Zhapu i Hangzhou są chyba jedynymi miejscami, gdzie kultywuje się obyczaje naszego ludu. – Uśmiechnął się z żalem. – Nigdy ci o tym nie mówiłem.

– Nie rozumiem.

– Mandżurskie chorągwie zostały rozbite, Guanji. Dla większości Chińczyków jesteśmy pośmiewiskiem, nawet sam cesarz właściwie stracił do nas zaufanie.

– Przecież cesarz sam jest Mandżurem. To Mandżurowie rządzą Chinami.

– Dwieście lat temu – odrzekł wuj – kiedy przepędziliśmy dynastię Ming z Chin, każdy chorąży mógł z dumą powiedzieć, że jest niewolnikiem cesarza. Dlaczego był to powód do dumy? Ponieważ bycie niewolnikiem cesarza oznaczało, że stoi się ponad wszystkimi innymi. – Pokiwał głową. – Nasze garnizony w całych Chinach miały przypominać Hanom, że to my tutaj rządzimy. Chorążym dobrze się wiodło – otrzymywali żołd w srebrze, do tego przydział ryżu i wiele innych korzyści. Nie wolno nam było wykonywać prostych zawodów poniżej godności Mandżurów. Chodziliśmy z wysoko podniesioną głową, ale potem… coś się wydarzyło.

– Co takiego?

– Mijały kolejne pokolenia. Oczywiście zajęło to trochę czasu, ale byliśmy coraz liczniejsi. Bunty, złe zbiory, piractwo, nie mówiąc już o niedawnej wojnie z barbarzyńcami i ich przeklętym opium, wszystko to bardzo obciążyło skarb państwa. Cesarz nie był w stanie opłacić aż tylu chorążych. Żołd stale się zmniejszał, mimo że chorążowie nadal nie mogli imać się żadnej innej pracy. Czy wiesz, co się dzieje, gdy płacisz ludziom tylko za to, że są? To demoralizujące. Wielu chorążych zapomniało, jak się walczy, wciąż jednak liczyli na cesarski żołd i swoją miskę ryżu. Niektórzy nawet wszczynali zamieszki, gdy nie dostawali tyle, ile chcieli. Są miasta, w których połowa mandżurskich chorążych to teraz żebracy – oczywiście nadal dumni z tego, że są Mandżurami, bo z czego innego ci nieszczęśnicy mają być dumni? Gdy w którejś z prowincji dochodzi do niepokojów, cesarz często wysyła tam chorągwie chińskich Hanów albo wręcz oddziały miejscowej milicji.

– To dlaczego pragniesz, abym został mandżurskim wojownikiem, wujku?

– Dobre pytanie. Bo w tym twoja jedyna nadzieja. – Wuj umilkł, po czym mówił dalej: – W Chinach można odnieść sukces na cztery sposoby. Po pierwsze, jeśli jesteś Hanem, możesz zostać kupcem. Stanowią oni obiekt pogardy, dopóki nie zyskają wystarczających bogactw, aby wkupić się w szeregi szlachetnie urodzonych. Sam jestem drobnym kupcem, choć nikt tak tego nie przedstawia. Jednak ani ja, ani moi synowie nigdy nie

wzbogacimy się na naszej małej drukarni. Drugim sposobem jest zostanie mandarynem. Egzaminy są bardzo trudne, ale korzyści bywają ogromne. Dla Hanów istnieje jeszcze trzecia droga: trzeba dać sobie odciąć jądra i zostać eunuchem na cesarskim dworze, gdzie można zbić niemały majątek.

– Dobrze, że nie urodziłem się Hanem. – Guanji pozwolił sobie na uśmiech.

– Natomiast czwartym sposobem jest żyć, jak na Mandżura przystało.

– Przecież dopiero co powiedziałeś…

– Zaczekaj, to jeszcze nie koniec. Pamiętaj, że dynastii mandżurskiej nadano Mandat Niebios. A teraz postaw się na miejscu cesarza. Co to znaczy być cesarzem Chin? Co się z tym wiąże?

– Cesarz musi składać tradycyjne ofiary bóstwom i prosić je o dobre zbiory.

– Zapewne; wszak jest Synem Niebios. Musi też reprezentować kulturę ludu, którym rządzi, czyli w tym przypadku Hanów. Przez pokolenia nasza mandżurska dynastia tak właśnie czyniła. Ostatni cesarz był autorem całkiem przyzwoitych wierszy w języku chińskim i szczycił się swoim talentem do kaligrafii. Słyszałem, że lubił nawet poprawiać chińską gramatykę w otrzymywanych memoriałach – oczywiście czerwonym atramentem! Przede wszystkim jednak cesarz nie może sobie pozwolić, aby mandżurskie klany straciły twarz, o ile chce udowodnić, że jego dynastia nadal ma prawo sprawować Mandat Niebios.

– Co z tego dla mnie wynika?

– Właśnie z powodu słabej obecnie pozycji licznych chorążych cesarz rozpaczliwie potrzebuje wartościowych Mandżurów. Mężczyzn, którzy dowiodą, że są biegli w języku chińskim, a jednocześnie cechuje ich coś więcej: starożytne mandżurskie cnoty, odróżniające nas od tych, którymi rządzimy.

– I to miałbym być ja?

– Nie mogłem dać ci wielkich bogactw ani wysokiej pozycji, Guanji, ale dzięki swojemu wrodzonemu talentowi mogłeś wzrastać w duchu mandżurskiej tradycji, co jest dzisiaj rzadkością. Twojego ojca uznano za bohatera, sam cesarz uhonorował nas pamiątkowym łukiem, ja zaś cieszę się przyjaźnią mandarynów i uczonych, którzy wstawią się za tobą. Cesarz chętnie dopomoże ci w dalszej karierze.

– Zrobiłeś już dla mnie tak wiele, wujku.

– Ty sam możesz zrobić o wiele więcej. Jako syn chorążego w szkole oficerskiej masz już pierwszeństwo awansu do stopnia oficera, z czym nawet w dzisiejszych czasach wiąże się sowite wynagrodzenie. Poza tym, Guanji, powinieneś przystąpić do egzaminów urzędniczych na szczeblu prowincjonalnym.

– Żaden ze mnie uczony.

– Nie musisz nim być. Pamiętaj, nie będziesz musiał konkurować z kandydatami spośród Chińczyków Han – dla mandżurskich chorążych zarezerwowany jest pewien limit miejsc, gwarantujący zdanie egzaminu. Oczywiście będziesz musiał ciężko pracować, ale znajdę ci nauczyciela; wystarczy trochę się wykazać, żeby otrzymać zaliczenie, a po uzyskaniu prowincjonalnego tytułu *juren* drzwi do kariery w administracji staną przed tobą otworem. Naprawdę nie ma stanowiska, którego nie mógłbyś objąć.

– Czyli jednak mam szczęście, że urodziłem się Mandżurem.

– W tym życiu, Guanji, trzeba wykorzystywać każdą przewagę, jaką zsyła nam los. Kto wie, może kolejne pokolenie będzie mogło tylko pomarzyć o takich przywilejach? Teraz jednak musisz wybrać: czy chcesz skończyć jak reszta Mandżurów, w biedzie, czy jesteś gotów walczyć?

– Jestem gotów walczyć – odpowiedział Guanji.

W kolejnych miesiącach Guanji podwoił wysiłki i jeszcze bardziej przykładał się do nauki. Spodobało mu się to nowe wyzwanie; uświadomił sobie, że dotychczas wszystkie jego działania wynikały z chęci pójścia w ślady ojca, bohatera, którego ledwo pamiętał. Ta myśl dodawała mu odwagi, niosła pociechę i radość. Teraz zaś pojął, że jego przyszłość to nie dziedzictwo wynikające z naturalnego porządku rzeczy i że będzie musiał walczyć o przetrwanie. Jego przyszłość należała do niego – z pomocą wuja mógł ją wywalczyć, ale mógł ją też przegrać.

Zanim skończył piętnaście lat, odkrył, co to znaczy polegać na sobie.

Zarazem właśnie wtedy zawładnęło nim nowe, dziwne uczucie. Pojawiło się znienacka, całkiem bez powodu: odnosił wrażenie, że czegoś mu brakuje, choć nie potrafił określić czego.

Próbował wyzwolić się z tego nastroju; wmawiał sobie, że to głupstwo. Słowa wuja były tak pełne mądrości i rozwagi! Nowa droga, jaką obrał, naprawdę miała sens, dlaczego więc dręczący głosik w jego głowie nieproszony pytał go nieustannie: „Czy rzeczywiście tego chcesz?”. „Oczywiście,

że tak” – odpowiadał. Głosik jednak nie ustępował: „Po co właściwie żyjesz? Czy liczy się dla ciebie tylko wiatr na stepie, szepty z przeszłości i łaska cesarza? A może istnieje coś ważniejszego?”. Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Chciałby móc porozmawiać o tym z Ilhą. Ale Ilha była daleko, w Nankinie.

Jego nauczyciele bardzo się uradowali, gdy Guanji wraz z grupą najbliższych przyjaciół założył stowarzyszenie, którego celem było wspólne śpiewanie starych pieśni zidi i ćwiczenie się w strzelaniu z łuku. Chociaż robili to dla zabawy, wykazywali się przy tym wielką wytrwałością. Guanji był już najlepszym łucznikiem w szkole, lecz dzięki ćwiczeniom w wolne od nauki popołudnia cała grupa osiągnęła mistrzowski poziom. Jeśli zaś chodzi o tradycyjne śpiewy, systematycznie poszerzali swój repertuar i wkrótce stali się bardzo popularni; zapraszano ich na uczty w całym Hangzhou. Gdy pewnego razu ktoś żartobliwie określił ich mianem Pięciu Bohaterów, natychmiast nazwali tak swoją grupę.

Za całym przedsięwzięciem kryły się jednak poważniejsze zamiary: naprawdę chcieli być bohaterami – mandżurskimi bohaterami. Nauczyciele w szkole doskonale zdawali sobie z tego sprawę i to był prawdziwy powód ich radości. Klasa Guanjiego okazała się, jak to się mówi, bardzo dobrym rocznikiem. Wieść o młodych idealistach dotarła nawet na dwór cesarza.

Jednak bohaterowie potrzebują przygód, a wojownicy – wrogów. Z kim miałoby walczyć Pięciu Bohaterów, kogo pokonać?

Barbarzyńcy z Zachodu nie prowadzili obecnie wojny z Chinami. Wprawdzie ogałacali cesarski skarb swoimi reparacjami, ale żadna ze stron nie mogła sobie pozwolić na kolejny konflikt, w każdym razie jeszcze nie w tym momencie.

Jedyną znaczącą rewoltę wzniecili na południu tajpingowie, ale i tam do zamieszek dochodziło tylko sporadycznie.

Rebelianci Hakka – Czciciele Boga, jak sami siebie nazywali – głosili dość niecodzienne, wręcz szokujące tezy. Buddystów i konfucjanistów mieli za bałwochwalców. Wdzierali się do buddyjskich świątyń i rozbijali wszystkie posągi, choćby i najpiękniejsze.

– Ci przestępcy nie tylko nie szanują religii i tradycji – oświadczył pewnego dnia w klasie Guanjiego nauczyciel – ale i przeciwstawiają się samemu cesarzowi. Zerwali z goleniem głów i noszeniem mandżurskich

warkoczyków. Zamiast tego zapuszczają włosy i nawet ich nie czeszą, tak że wyglądają jak dzikie zwierzęta, którymi zaiste są!

– Pokonamy ich – odezwał się Guanji.

– Obawiam się, że nie będziecie mieli okazji – odrzekł z aprobatą nauczyciel. – Oblegamy ich w mieście na północny zachód od Guangzhou i śmiem twierdzić, że za miesiąc wszyscy będą martwi.

Latem gruchnęła wieść, że tajpingowie przedostali się na wzgórza i zmierzają ku północy w liczbie czterdziestu tysięcy. Podobno gdy dotarli do pewnego miasta, dokonali masakry jego mieszkańców. W lipcu nauczyciel z dumą oznajmił klasie, że wojska mandżurskie sprytnie wpędziły buntowników w zasadzkę nad rzeką i dziesięć tysięcy z nich zginęło lub utonęło. Miesiąc później otrzymali jednak wiadomość, że tajpingowie nadal działają i zyskali posłuch wśród wieśniaków, którzy masowo ich popierają.

– Obiecują zabierać bogatym i dawać biednym – wyjaśnił wychowawca. – Mówią chłopom, że stworzą chrześcijańskie królestwo, w którym wszyscy będą wolni i szczęśliwi, oczywiście poza Mandżurami, którzy zostaną wybici co do jednego. Na początek chcą zgładzić cesarza, którego nazywają tatarskim psem, i zastąpić go Hongiem – człowiekiem z ludu Hakka, twierdzącym, że jest bratem Jezusa. Już teraz nazywa siebie Prawowitym Władcą Chin.

Wyglądało na to, że wreszcie pojawił się wróg, z którym warto walczyć. Pięciu Bohaterów zwróciło się do władz szkoły o zgodę na wstąpienie do armii, odmówiono im jednak. Guanji ani się obejrzał, jak jego wuj został wezwany do szkoły. Razem z dyrektorem poinformowali całą piątkę, że sam cesarz nakazał im kontynuować naukę.

U schyłku lata tajpingowie dotarli do ufortyfikowanego miasta nad wielką rzeką Jangcy, gdzie czekało już na nich gotowe do walki cesarskie wojsko. Minął miesiąc, potem drugi i trzeci, lecz tajpingowie nie zdołali zdobyć miasta. Pod koniec roku garnizonowi w Hangzhou przekazano długo oczekiwaną nowinę: „Buntownicy się poddali”.

Wieści spływały powoli, gdyż ten odcinek rzeki Jangcy był oddalony prawie o tysiąc mil. Guanji co pewien czas słyszał niejasne doniesienia o oddziałach tajpingów grasujących wzdłuż brzegów Jangcy w poszukiwaniu żywności, holujących łodzie i barki.

Nadszedł Chiński Nowy Rok.

Jakiś czas później Guanjiego zaskoczył komunikat, że tajpingom udało się zająć nieduże prowincjonalne miasteczko nad Jangcy. Tym razem bun-

townikom dopisało szczęście: znajdował się tam cesarski skarbiec z dużą ilością srebra, wciąż jednak trzymali się na uboczu. Najbliższym dużym miastem był Nankin, położony sześćset mil w dół rzeki. Po miesiącu kolejny meldunek potwierdził, że rebelianci zdecydowali się pozostać na swoich pozycjach.

Był poranek pod koniec marca, gdy Guanji i jego wuj ponownie wybrali się razem na konną przejażdżkę nad morze. Dziesięć dni wcześniej przybyli do Zhapu i nadszedł już prawie czas powrotu do Hangzhou. Od strony zatoki nadciągały nieliczne chmury, w powietrzu unosiła się wilgoć. Tak jak poprzednio, w milczeniu dojechali do końca cypla i zatrzymali się tam, żeby poczekać na wschód słońca.

– Byłem bardzo dumny z ciebie i twoich przyjaciół, gdy tak rwaliście się do walki – odezwał się po chwili wuj cichym głosem. – Cesarz powiedział, że przynieśliście zaszczyt klanowi Suwan Guwalgiya.

Guanji się uśmiechnął.

– Drogi wuju, żałuję, że Ilha tego nie słyszy.

– Żeby znowu się ze mnie śmiała? Też chciałbym, żeby tu była.

Wracali w milczeniu, a słońce rzucało na szorstką trawę złocistą poświatę. Ponad nimi górowały mury niedużego garnizonu. Kiedy minęli południową bramę miasta Zhapu, wybiegł z niej jakiś człowiek.

– Słyszeliście nowiny? – zawołał. – Posłaniec właśnie przybył z Hangzhou. Jechał przez całą noc. Nankin padł!

– O czym wy mówicie?

– Zdobyli go zbuntowani tajpingowie.

– Przecież stacjonują sześćset mil od Nankinu.

– Już nie. Wyrżnęli wszystkich Mandżurów w mieście: mężczyzn, kobiety i dzieci. Wszystkich.

Wuj odezwał się pierwszy:

– Meldunki mogą być błędne.

– Może Ilhi udało się uciec – dodał Guanji.

* * *

Cecil Whiteparish znajdował się zaledwie dziesięć mil od Nankinu, gdy natknął się na patrol tajpingów. Musieli go wziąć za szpiega, bo przeprowadzili go przez punkty kontrolne, po czym ujrzał przed sobą bramy miasta, które za kilka minut miały się przed nim otworzyć. Nie wiedział tylko, czy uda mu się stamtąd wydostać.

Pół roku minęło, odkąd horda tajpingów zajęła to miejsce. Przybyli rzeką Jangcy, zwożąc armaty i zapasy na zarekwirowanych po drodze statkach oraz barkach, a brzegiem prowadzili swoje oddziały. Lepiej zorganizowani, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać, w ciągu trzydziestu dni pokonali ogromny dystans sześciuset mil i z zaskoczenia zaatakowali wielkie miasto Nankin.

Być może dlatego, że tak szybko się przemieszczali, pomyślał Cecil, wsie, które mijał po drodze, wcale nie wyglądały na zniszczone. Co prawda w pobliżu miasta zobaczył niechlujnie usypane wały obronne z ziemi i kamieni oraz oczyszczone przedpole, które miało umożliwiać celny ostrzał armatni, ale nic poza tym nie zwróciło jego uwagi. Po jego prawej stronie wznosiła się w niebo pagoda z jasnych porcelanowych kafli. Wyglądało to tak, jakby tajpingowie wypatroszyli jej wnętrze, pozostawiając nietkniętą olśniewającą zewnętrzną skorupę.

Kudłaci tajpingowie przynaglali go, dźgając włóczniami, gdy jechał zbyt wolno. Przypuszczali, że jest im posłuszny, i w pewnym sensie tak było. W istocie jednak był posłuszny woli Pana, a przynajmniej miał taką nadzieję.

Wszyscy mu powtarzali, żeby nie wybierał się w tę podróż. „Nawet jeśli dotrzesz na miejsce – mówili – możesz nie wrócić stamtąd żywy”. Wszyscy z wyjątkiem jednej osoby, od której usłyszał: „Zaufaj Panu. Będę na ciebie czekała”.

Minnie Ross została wykształcona przez swojego ojca, pastora w Dundee, a do Hongkongu przyjechała jako guwernantka. Drobna, mająca nie więcej niż pięć stóp wzrostu, była biedna jak mysz kościelna, za to bardzo schludna. W jej oczach jaśniało światło Pana i zamierzała wyjść za mąż za Cecila Whiteparisha.

Znali się od roku, zanim rozpoczęły się ich zaloty. Zainicjowała je Minnie i nie trwały one długo.

Po spotkaniu w kaplicy Londyńskiego Towarzystwa Misyjnego na Lower Bazaar w Hongkongu Whiteparish uprzejmie odprowadził dziewczynę do domu. Kaplicę wybudowano niemal zaraz po tym, jak dzięki zwycięstwu odniesionemu w wojnie opiumowej Hongkong przeszedł we władanie imperium brytyjskiego. Skromny budynek w stylu kolonialnym z prostym portykiem początkowo nie pasował do niechlujnej chińskiej wioski rybackiej z widokiem na Koulun. Niedawno jednak pożar strawił większą część zabudowań i brytyjscy budowniczowie właśnie porządkowali teren. Wszystko to stanowiło element trwającej okupacji, która przywiodła na strome zbocza Hongkongu nie tylko Brytyjczyków i mieszkańców ich terytoriów zależnych, ale także licznych Chińczyków z Koulunu i Kantonu, którzy mieli służyć nowej kolonii.

W brytyjskim Hongkongu misjonarzom udało się wreszcie nawrócić pierwszych Chińczyków, a londyńska misja prowadziła tam centrum medyczne oraz niewielką, lecz prężnie działającą szkołę przy kaplicy na Lower Bazaar.

– Proszę mi powiedzieć, panie Whiteparish – zagadnęła go Minnie Ross – nadal ma pan nadzieję dokonać nowych nawróceń na kontynencie chińskim?

– Owszem – odparł Cecil.

– Ale jak dotąd niezbyt się panu wiodło.

– Prawie nikt się nie nawrócił – przyznał z westchnieniem. – Po wojnie opiumowej, gdy Chińczycy zagwarantowali Brytyjczykom dostęp do pięciu portów, sądziliśmy, że będziemy mogli swobodnie głosić Słowo Boże. Jednak w praktyce lokalni gubernatorzy nadal uniemożliwiają nam handel w tych portach, nie mówiąc już o osiedlaniu się tam konsulów i brytyjskiej społeczności. Kanton w pewnym sensie pozostaje otwarty. Drugim takim miejscem jest Szanghaj, położony znacznie dalej na północ wybrzeża. To zresztą ciekawe: dawniej Szanghaj był małym portem, praktycznie bez znaczenia, obecnie zaś szybko się rozwija.

– Pan jednak nie traci wiary w swoje posłannictwo?

– Powiedzmy, że jestem teraz o dziesięć lat starszy i trochę mądrzejszy. – Cecil Whiteparish uśmiechnął się. – Życie misjonarza w Chinach jest pełne rozczarowań, panno Ross. Wielu z tych, których poznałem po swoim przybyciu, poddało się i wróciło do ojczyzny, jeden chyba nawet stracił wiarę. Przypuszczam, że ja nie zrezygnowałem tylko ze względu na wysiłek włożony w naukę języka chińskiego. Bardziej przydam się w Chinach

niż gdziekolwiek indziej, ale nie żywię większych złudzeń. Działam w pojedynkę, lecz jeśli w ciągu swojego życia zdołam nawrócić choćby dwie osoby, zwłaszcza mające rodziny, szeregi chrześcijan przynajmniej odrobinę się powiększą.

– Jestem pewna, że liczy pan na więcej. Czy to prawda, że rozważa pan w najbliższym czasie nielegalną wyprawę do Chin?

Cecil przyjrzał jej się, marszcząc brwi.

– To miała być tajemnica.

– Nie sądzę, aby w Hongkongu udało się utrzymać cokolwiek w sekrecie, panie Whiteparish. Podobno zamierza pan przedostać się do Nankinu.

– Żołnierze zbuntowanej armii, których zwą tajpingami, uważają się za chrześcijan. Nikt nie wie dokładnie, ilu ich jest, ale mówi się o dziesiątkach tysięcy. Wkrótce mogą opanować całą prowincję. Jeśli rzeczywiście są chrześcijanami lub mają szansę się nimi stać, to może mieć niebagatelne znaczenie. Ktoś musi tam pojechać i wybadać sytuację.

– Wygląda to na bardzo niebezpieczne zadanie.

– Jestem misjonarzem i wiem już co nieco o Chińczykach. Jeśli uda mi się przemknąć niezauważonym przez mandżurskie władze i dotrzeć do rebeliantów, wątpię, aby mnie skrzywdzili.

– Pokłada pan ufność w Bogu.

– Jak zwykle.

– W takim razie musi pan tam pojechać – oświadczyła, jakby to ona podejmowała decyzję w tej sprawie.

Spojrzał na nią zaskoczony: cóż to była za dziwna osóbka! Poza niskim wzrostem w zasadzie niczym się nie wyróżniała. Miała mysie włosy, cienki, spiczasty nosek i małe oczy w odcieniu kobaltu – to jedno było w niej niezwykłe. Jej sposób bycia emanował spokojem, ale i wielką determinacją. Uznał, że musi być bardzo pewna siebie, i nic dziwnego – w końcu wychowywała się na plebanii. Nie sposób było nie okazywać jej szacunku, a jeśli czasem w rozmowie z nią miał ochotę się roześmiać – choć zawsze się powstrzymywał – wynikało to z czystej sympatii.

Był zupełnie nieprzygotowany na to, co nastąpiło potem.

– Czy nie nadszedł czas, aby pan się ożenił, panie Whiteparish? – zapytała.

– Doprawdy nie wiem – odrzekł. – Niewiele kobiet chciałoby dzielić trudy życia misjonarza, a moje środki są bardzo skromne. Nigdy nie uważałem, że osoba w moim położeniu nadaje się do małżeństwa.

– Ja bym za pana wyszła – powiedziała po prostu.

– Wielkie nieba. – Nie wiedział, jak na to zareagować. – Ale dlaczego?

– Ponieważ jest pan dobrym człowiekiem. Jaki może być inny powód do zawarcia małżeństwa?

Przyjrzał jej się i pojął, że mówi całkiem poważnie. Naprawdę tak myślała. Chcąc nie chcąc, wybuchnął śmiechem.

– Dlaczego pan się śmieje, panie Whiteparish? Czy pan sobie ze mnie kpi? – Wyglądała na głęboko zranioną.

– Skądże, panno Ross. Śmiałem się z radości. Jest pani taka dobra. Zatem wyjdzie pani za mnie?

– Ależ oczywiście. Przecież już powiedziałam.

Zapatrzył się na nią, spojrzał na morze i znowu na nią.

– Skoro podjęła już pani decyzję, panno Ross, proponuję, abyśmy się pobrali po moim powrocie z Nankinu.

– Nie wcześniej?

– Wolę, żebyś została moją żoną – powiedział łagodnie – nie wdową po mnie.

Teraz jednak, mając przed sobą bramy Nankinu i szykując się na to, co przyniesie los, Cecil Whiteparish zapomniał o grożących mu niebezpieczeństwach, zapomniał niemal, że się boi, i ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że jedyne, co odczuwa, to zachwyt. Zachwyciło go niezwykłe piękno tego miejsca.

Większość głównych miast w Chinach założono przed wiekami, lecz Nankin liczył sobie ponad dwa tysiące lat. Cecil nie wiedział tego na pewno, był jednak przekonany, że jego mury ciągną się na blisko dwadzieścia mil, w dodatku są tak grube, że ich szczytem mogłaby przemaszerować armia. Miasto było dogodnie położone, w samym sercu najżyźniejszej w Chinach doliny rzeki Jangcy. Przez trzysta lat przed najazdem Mandżurów z rozkazu dynastii Ming pełniło funkcję stolicy.

Jak każde wielkie miasto, także Nankin miał swoją cechę szczególną, która przychodziła na myśl każdemu, gdy tylko wspominano o tym miejscu. Właśnie na taki punkt orientacyjny patrzył teraz Cecil Whiteparish.

Na Górę Purpurową.

Nie dało się jej nie zauważyć. Podnóże góry zaczynało się tuż za murami północno-wschodniego kwartału miasta, gdzie znajdował się pałac daw-

nego cesarza z dynastii Ming, a jej grzbiet wznosił się łagodnie wiele mil na północ, aż do ostatniego wzniesienia, które zdawało się niemal stykać z niebem. Z jakiegoś powodu – mogło chodzić o powietrze, kąt padania światła przebijającego przez zbierające się nad szczytem błękitnoszare chmury lub o inne zjawiska przyrodnicze – jej rozległe zielone zbocza często skąpane były w magicznej poświacie zabarwionej fioletem i czerwienią, wskutek czego wydawały się nie zielone, lecz purpurowe.

Góra Purpurowa była miejscem świętym, gdyż to tutaj znajdowały się grobowce cesarzy z dynastii Ming.

Kontemplując ją, Cecil Whiteparish pomyślał, że choć krajobraz wokół usiany jest buddyjskimi i taoistycznymi klasztorami, konfucjańskimi świątyniami i pogańskimi grobami, trudno nie dostrzec w tym pięknie ręki Stwórcy. Czy to możliwe, aby zbuntowani tajpingowie rzeczywiście czcili tu prawdziwego Boga? Byłby to doprawdy istny cud.

Wkrótce zresztą sam miał się o tym przekonać – o ile, rzecz jasna, wcześniej go nie zabiją.

Konwój z jeńcem zameldował się przy bramie, gdzie misjonarz został przekazany sierżantowi, ten zaś wraz z plutonem żołnierzy powiódł go główną ulicą liczącą około tysiąca jardów długości. Następnie skręcili na wschód, w kierunku starego pałacu Ming i uszedłszy nie więcej niż ćwierć mili, wkroczyli do dużego kompleksu budynków przypominającego koszary.

Pięć minut później Cecil odkrył, że znalazł się w więzieniu, z którego nie ma wyjścia.

Nie wtrącono go przy tym do żadnej podłej celi; pomieszczenie, do jakiego trafił, okazało się całkiem spore, on zaś był jedynym lokatorem. Stały tam krzesło i stół, a okna wychodzące na mały, pusty dziedziniec zaopatrzono w grube kraty.

W ciągu kolejnych kilku godzin odwiedziło go kilka osób. Jedną był strażnik więzienny, który przyniósł mu wodę i trochę ryżu, po czym wyszedł w milczeniu i zamknął za sobą drzwi na klucz. Trzy pozostałe zjawiły się w różnych odstępach czasu. Długowłosi mężczyźni wyglądali jak dzikusy, musieli być jednak oficerami. Każdy zadawał mu takie same pytania jak jego poprzednicy: kim Cecil jest i czego szuka w Nankinie. Mijały godziny. Misjonarz siedział i czytał Biblię, aż nadszedł wieczór. Był ciekaw, czy dadzą mu lampę, ale nikt mu jej nie przyniósł. Zapadła ciemność,

a on poczuł głód. W misce znalazł trzy ziarenka ryżu, które wcześniej przeoczył. Nie widział ich, ale wyczuł je palcami i zjadł.

Nie był w stanie dostrzec tarczy solidnego zegarka z dewizką, z którym się nie rozstawał, nie wiedział więc, która była godzina, gdy drzwi jego więzienia otworzyły się i ujrzał dwie postacie. Jedna okazała się strażnikiem, który niósł zawieszoną na kiju latarnię, druga – nieznanym mu oficerem. Cecil odniósł wrażenie, że to ktoś ważny. Mężczyzna mruknął coś do strażnika, który przybliżył latarnię do twarzy Cecila, żeby oficer mógł mu się przyjrzeć. Potem padł kolejny rozkaz i strażnik uniósł latarnię wysoko, tak że światło padało teraz na całą ich trójkę.

Oficer miał długie włosy, były one jednak starannie wyszczotkowane i zaczesane. Nosił prostą, nieskazitelnie czystą tunikę przepasaną szarfą i wyglądał na jakieś trzydzieści lat, choć rysy jego twarzy wskazywały, że doświadczeniem dorównuje ludziom o dziesięć lat starszym od siebie. Jego policzek znaczyła blizna.

– Znasz mnie – przemówił po kantońsku.

Był to Nio.

– Kiedy opisano mi dziwnego szpiega, pomyślałem, że to możesz być ty, i przyszedłem się upewnić.

– Nie jestem szpiegiem, Nio, tylko brytyjskim misjonarzem, takim samym jak wcześniej. Przybyłem, bo mówi się, że tajpingowie są chrześcijanami. Chciałem się dowiedzieć, czy to prawda.

– Wyznajemy Jedynego Prawdziwego Boga.

– Ty także?

– Oczywiście.

– Chciałbym cię o coś zapytać… – zaryzykował Cecil. – Pamiętasz, jak kiedyś opowiadałem ci o naszym Panu i naszej wierze?

– Pamiętam doskonale. Jesteś ciekaw, czy to twoje słowa tak na mnie wpłynęły.

– Byłbym bardzo rad, gdyby tak było.

– Twoje słowa nie miały na mnie żadnego wpływu.

– Och…

– Uznałem jednak, że jesteś dobrym człowiekiem, co być może uratowało ci życie. Nikt tutaj nie wie, co z tobą począć.

– Rozumiem. – Cecil zmarszczył brwi. – Powiedz mi, proszę, bo ludzie mówią o was różne rzeczy: co spowodowało, że tajpingowie nawrócili się na chrześcijaństwo?

– Przed laty nasz przywódca, Jedyny Prawdziwy Król, otrzymał kilka dzieł chrześcijańskich, być może od któregoś z amerykańskich misjonarzy podróżujących na statkach przemycających opium. Nie wiem, jak było naprawdę, grunt, że nasz przywódca odłożył je na bok i całkiem o nich zapomniał. Dopiero po jakimś czasie zdarzyło mu się je przeczytać i dostąpił objawienia, po którym zaczął głosić kazania. Ludzie zaczęli się wokół niego gromadzić i tak zrodził się nasz ruch.

– „Niebiańskie Królestwo”.

– Wkrótce Nankin stanie się Niebiańską Stolicą.

– Wasz Jedyny Prawdziwy Król twierdzi, że jest młodszym bratem Jezusa.

– Tak. Nazywamy Jezusa naszym Niebiańskim Starszym Bratem.

– Przecież Jezus żył bardzo dawno temu.

– Dla Boga nie ma nic niemożliwego.

– Może porozmawiamy o tym później. Wierzysz w miłość braterską, dobroć i życzliwość wobec wszystkich ludzi?

– Zdecydowanie.

– Jednak podobno zginęło tu wielu Mandżurów.

– To prawda. Zamieszkiwali dzielnicę wokół starego pałacu cesarzy Ming. Mandżurowie nie są prawdziwymi Chińczykami. Gnębią nasz naród i w dodatku są bałwochwalcami. Stawiali nam opór, więc wszystkich ich zabiliśmy.

– Kobiety i dzieci też?

– Bóg nakazał swojemu ludowi zabijać pogan.

– Lepiej jest ich kochać i nawracać.

– Nie byli do tego zbyt chętni. – Nio umilkł na chwilę. – Wy, misjonarze, wykorzystywaliście niecny handel opium do szerzenia Ewangelii. My zabijamy Mandżurów, żeby ustanowić Niebiańskie Królestwo samego Boga. To wszystko.

– Jak będzie wyglądało to Niebiańskie Królestwo?

– Ono już tutaj jest – odrzekł Nio. – Jutro się o tym przekonasz.

* * *

Rankiem Cecil dostał smaczne śniadanie, potem przyszedł Nio i wyprowadził go na ulicę. Dzień był słoneczny. Ruszyli na zachód.

Wszędzie kręciło się mnóstwo ludzi, sklepy były otwarte i życie zdawało się toczyć zwykłym torem, jednak Cecilowi coś nie dawało spokoju – zupełnie jakby znalazł się nie w Chinach, tylko w jakiejś innej krainie.

Nagle zrozumiał, o co chodzi: żaden z mężczyzn nie nosił cienkiego warkoczyka na znak podległości wobec mandżurskich władców. Chińczycy zaplatali je od tylu pokoleń, że cudzoziemcy kojarzyli ich głównie z takim uczesaniem, niepomni, że przez całe stulecia, za czasów dynastii Ming, Tang, Han czy innej, chińscy mężczyźni nie nosili warkoczyków. Cecil już w drodze do Nankinu miał okazję widzieć długowłosych tajpingów, teraz jednak ujrzał ich całe mrowie, wszystkich z rozpuszczonymi włosami – nic dziwnego, że wydało mu się to dziwne.

Minęli niewielką świątynię buddyjską. Posągi na dziedzińcu zostały rozbite. Misjonarz zmarszczył brwi. Dlaczego to go uraziło? Może dlatego, że to były dzieła sztuki? A może chodziło o niepohamowany gniew, który sprowokował to dzieło zniszczenia?

– Niedługo – odezwał się Nio – stanie tu kościół Jedynego Prawdziwego Boga.

Minęli warsztat tkacki, a potem duży magazyn.

– Co to jest? – zapytał Cecil.

– Główny spichlerz – odparł Nio. – Teraz służy wszystkim. Nie ma już kupców, którzy bogaciliby się na żywności dla zwykłych ludzi. Mamy tu raj na ziemi: wszyscy są sobie równi, nie istnieje własność prywatna, wszystko jest wspólne. Nikt nie chodzi głodny. „Każdemu według jego potrzeb”. – Popatrzył pytająco na Whiteparisha. – Czy nie tak właśnie żyli wyznawcy Jezusa po tym, jak wstąpił do nieba?

– To nie takie proste – odpowiedział Cecil, ale nie spierał się z Nio.

Doszli do zabudowań, które mogły być koszarami, choć nigdzie nie było widać żołnierzy.

– Tutaj mieszkają kobiety – wyjaśnił mu Nio. – Samotnym mężczyznom i kobietom nie wolno przebywać w swoim towarzystwie. Wszelka niemoralność jest zakazana.

– A jeśli ktoś zboczy jednak z drogi czystości…?

– Zostanie stracony – odrzekł stanowczo jego przewodnik. Wskazał Cecilowi wylot ulicy. – Tam mieści się pałac Króla Wschodu. Wcześniej był chyba pałacem książęcym.

– Opowiedz mi o Królu Wschodu.

– Niebiańskim Królestwem będzie rządził Niebiański Król, którego nazywamy Władcą Dziesięciu Tysięcy Lat. Będzie on miał pod sobą czterech pomniejszych królów.

– Tak już było w wielu imperiach, na przykład w imperium Czyngis-chana. I w starożytnej Irlandii.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Powiedz mi coś więcej o tym Niebiańskim Królu. Wiem, że pochodzi z ludu Hakka, ale jaka jest jego historia?

– Był biednym uczniem, który ciężko pracował i celująco zdał lokalne egzaminy urzędnicze, ale choć próbował aż cztery razy, nie udało mu się zdać egzaminu prowincjonalnego w Kantonie. Mówi się, że wielu kandydatów zdaje tylko dzięki łapówkom wręczanym egzaminatorom, a on tego nie zrobił. Bóg zesłał mu widzenie, w którym oznajmił, że jest Jego młodszym synem, lecz on przez długi czas nie pojmował znaczenia tej wizji. W końcu przeczytał traktaty i zrozumiał, na czym polega jego misja. Zaczął nauczać, przyciągając do siebie kolejnych wyznawców. Taki był początek Niebiańskiego Królestwa.

– Naprawdę wierzy, że jest młodszym synem Boga?

– Tak.

Podążali dalej szeroką ulicą, aż zobaczyli przed sobą wielki pałac otoczony wysokim murem.

– Tutaj mieszka Niebiański Król – powiedział Nio.

– Chciałbym się z nim spotkać – rzekł Cecil.

– To nie będzie możliwe.

– Czy on wie, że tu jestem?

– Naturalnie.

Podeszli do bram pałacowych. Byli już całkiem blisko, gdy oczom ich ukazał się niewielki orszak złożony z pilnie strzeżonych wielobarwnych powozów i lektyk. Przez ich okna Cecil mógł dostrzec bogato ubrane Chinki będące, jak sądził, damami dworu.

– Czy to król opuszcza pałac? – zapytał.

– Nie.

– Kim więc są te kobiety?

– Żonami Niebiańskiego Króla.

– Ile ma żon?

– Siedemnaście. – Nio zerknął na misjonarza i zauważył jego zaskoczenie. – To konieczne, aby Niebiański Król miał wiele żon, podobnie jak

cesarz – wyjaśnił. – W przeciwnym razie nie uważano by go za króla.

– Nie wydaje mi się, aby… – zaczął Cecil.

– Wasi władcy nie mają żon i konkubin?

– No cóż… – W pierwszej chwili misjonarz chciał zaoponować, powstrzymała go jednak wrodzona uczciwość.

Nie sposób było zaprzeczyć, że od czasów króla Izraela Salomona aż po całkiem współczesnych monarchów będących zdeklarowanymi chrześcijanami władcy Zachodu mieli w zwyczaju utrzymywać kochanki. Tylko nowożytne Stany Zjednoczone zdawały się wyłamywać z tego niechlubnego trendu, chociaż i tego nie mógł być pewien. Postanowił zmienić temat.

– Powiedz mi, proszę – rzekł – czego ty sam oczekujesz po Niebiańskim Królestwie?

– Końca ucisku. Końca korupcji. Sprawiedliwości. Prawdy. Rządów dobrych ludzi.

– Zawsze tego pragnąłeś?

– Odkąd byłem chłopcem. Ale po drodze zrobiłem dużo złych i głupich rzeczy.

– Wielu ludzi, zranionych lub rozczarowanych tym światem i jego niedoskonałością, poszukuje czystości. To pragnienie nie jest niczym niezwykłym.

– Tego właśnie poszukujemy.

– Ale wy chcecie to odnaleźć tutaj, na ziemi. – Cecil Whiteparish westchnął. – Chrześcijanie zaś rozumieją, że doskonały świat nie jest możliwy. Straciliśmy tę szansę, gdy Adam i Ewa zostali wygnani z raju. Czystość, której szukacie, można odnaleźć tylko w niebie.

– Stworzymy niebo tutaj.

– Na ziemi nie da się tego dokonać.

– Dlaczego?

– Taka jest ludzka natura.

– To ją zmienimy.

– Bardzo szlachetne pragnienie, Nio. Historia uczy nas jednak, że to prosta droga do tyranii.

– Podobno jesteś misjonarzem.

– Owszem. Tego właśnie uczą nas, misjonarzy.

Nio milczał przez dłuższą chwilę.

– Nie powinieneś tu dłużej zostawać – powiedział w końcu.

– Dlaczego?

– We wszystkim nam się sprzeciwiasz. Ale nie bój się, zorganizuję ci bezpieczną przeprawę.

– Kiedy mam wyjechać? – zapytał Cecil.

– Jeszcze dzisiaj.

– Czy mogę przedtem wspiąć się na Górę Purpurową? Wygląda tak pięknie.

– Nie. – Nio przeszedł kilka kroków w milczeniu. – Mam dla ciebie wiadomość. Od Niebiańskiego Króla.

– Słucham.

– Przekaż swoim władcom, że czcimy Jedynego Prawdziwego Boga. Mandżurowie są bałwochwalcami, dlatego nigdy nie dadzą wam tego, czego chcecie. Powinniście pomóc nam ich zniszczyć. To wszystko.

Cecil Whiteparish opuścił Nankin jeszcze tego samego popołudnia w obstawie sześciu jeźdźców, uprzejmie pożegnawszy się z Nio. Chyba każdy z nich żałował, że nie okazał drugiemu więcej ciepła. Cecil w każdym razie był o tym przekonany i sądził, że to samo dotyczy Nio, nie sposób jednak było tego stwierdzić.

* * *

Był drugi grudnia, gdy John Trader dotarł do Hongkongu. Nie zamierzał długo tam zabawić, a przed wyjazdem chciał oczywiście zobaczyć się jeszcze z Cecilem Whiteparishem. Przygotował już nawet liścik, żeby poinformować misjonarza o swoim przybyciu.

Nie musiał go jednak wysyłać, bo zanim wyładowano ze statku jego kufry podróżne, natknął się na misjonarza w porcie.

– Kuzyn John! – wykrzyknął Whiteparish. – Witaj z powrotem. Nie spodziewałem się ciebie.

– Napisałem list anonsujący moją wizytę, lecz oto szczęśliwym zbiegiem okoliczności spotykam cię we własnej osobie.

– Minął już ponad rok. Czy znaleźliście odpowiednią posiadłość w Szkocji?

– Udało nam się zamieszkać w odległości zaledwie dwudziestu mil od posiadłości Lomondów, gdzie generał z moją teściową wynajmują obecnie dziedziczny dworek. Moja żona jest zachwycona, a dzieci uwielbiają to miejsce.

– A ty?

– Jest tam wszystko, o czym zawsze marzyłem.

– Zamieszkasz na stałe w Szkocji?

– Owszem – przytaknął Trader. – Jak być może słyszałeś, jakiś czas temu wykupiłem udziały w spółce Odstocków, teraz zaś sprzedałem dwie trzecie firmy, którą będą odtąd zarządzać tu na miejscu nowi wspólnicy. Jedną trzecią zatrzymuję dla siebie i będę dalej prowadził interesy z Wielkiej Brytanii.

– Przypuszczam, że będziesz zmuszony jeździć do Londynu?

– Od czasu do czasu. Ale dzięki nowej linii kolejowej można pokonać trasę z Glasgow do stolicy w ciągu zaledwie dwunastu i pół godziny. Całe czterysta mil! To trzydzieści dwie mile na godzinę!

– Zdumiewające. Za czasów naszego dzieciństwa byłoby to niewyobrażalne. – Whiteparish z podziwem pokręcił głową. – A więc przyjechałeś sprzedać swój dom w Hongkongu?

– Istotnie.

– To w nim się zatrzymasz?

– Nie, to zbyt kłopotliwe. Mam mieszkanie w dolnym mieście. – Popatrzył w górę, na szczyt. – Mojej żonie nigdy się tam nie podobało.

– Nie tylko jej – zgodził się Whiteparish. – Niemal wszyscy ważni kupcy, którzy pobudowali domy na tej górze, mieli problemy z pękającymi ścianami, przeciekającymi dachami… Stale coś było nie tak.

– Słusznie postąpiła, zabierając dzieci z powrotem do Makau, kiedy były jeszcze małe.

– Zawsze jednak przypływała tu z tobą, żeby dotrzymać ci towarzystwa.

– Co miesiąc na tydzień, jak w zegarku. Była dla mnie taka dobra.

– My też cieszyliśmy się, mogąc ją widzieć. Bardzo interesowała się losami misji, podobnie jak ty, oczywiście – dodał szybko Cecil.

Trader uśmiechnął się kwaśno. Entuzjazm mojej żony, pomyślał, ale moje pieniądze. Nie powiedział tego jednak na głos.

Cecil Whiteparish miał własne zdanie na temat Agnes Trader. Na początku małżeństwa z Johnem, gdy zamieszkali w uroczej willi na wzgórzu w Makau, cała ich trójka miała pełne ręce roboty: podczas gdy John zbijał majątek, Agnes urodziła czworo dzieci, Cecil zaś był bardzo zajęty pracą misyjną. Mimo to kilka razy do roku Traderowie zapraszali go do siebie na kolację i zawsze były to miłe spotkania.

Stopniowo jednak społeczność brytyjska zaczęła przenosić się do Hongkongu. Było to wówczas jeszcze surowe miejsce, pozbawione śródziemnomorskiego uroku Makau. Tam właśnie Cecil założył swoją misję, a jakiś czas później dołączyła do niego rodzina Traderów.

Agnes nie lubiła Hongkongu. Cecil potrafił to zrozumieć, choć uważał, że ze względu na Johna powinna była okazywać to mniej ostentacyjnie. A gdy zabrała dzieci z powrotem do Makau, misjonarz poczuł, że rozczarowała jego kuzyna. Cóż z tego, że skrupulatnie przestrzegała terminów comiesięcznych odwiedzin u męża; jeśli wziąć pod uwagę, jak często John był zmuszony przebywać poza domem, w kantońskich faktoriach, Cecil był zdania, że jego kuzyn nie jest traktowany tak, jak na to zasługuje.

Ilekroć Agnes była w Hongkongu, odwiedzała misję i zdarzało im się toczyć długie rozmowy. Zawsze też dbała, aby John co roku wpłacał pokaźną sumę na rzecz misji. Wszystko to było godne pochwały i Cecil był jej oczywiście wdzięczny za pieniądze, lecz osobiście uważał, że mogła zachowywać się lepiej.

Bądź co bądź dostała to, na czym jej tak zależało: posiadłość w Szkocji.

– Agnes stała się ostatnio bardzo religijna – powiedział nagle Trader.

– Doprawdy? – Whiteparish nie był pewien, jak ma na to zareagować. – Nawiasem mówiąc – dodał – sam niedługo się żenię. Właściwie już w przyszłym tygodniu. Przyjdziesz na mój ślub?

– Drogi kuzynie! – Trader uścisnął mu rękę. – Wspaniała nowina! Nie miałem o niczym pojęcia.

– To stało się dość nagle.

– Byłeś tak dobry, że przyszedłeś na mój ślub – z pewnością nie opuściłbym twojego.

Whiteparish zerknął na statek i zobaczył dwóch ludzi znoszących bagaże Tradera.

– Zjesz jutro ze mną kolację? – zapytał. – Nie obiecuję wykwintnego posiłku, ale mógłbym ci przedstawić moją narzeczoną.

– Będę zaszczycony – odparł John Trader. Musiał przyznać, że jest bardzo ciekaw wybranki kuzyna.

Od razu polubił Minnie, jakżeby inaczej? Ostatecznie, uznał, trzeba by być dziwakiem, żeby nie polubić kogoś, kto jest tak bezapelacyjnie dobry, a przy tym rzeczowy i sympatyczny.

Zauważył też z rozbawieniem zmiany, jakie ta mała, schludna Szkotka zdążyła wprowadzić w spartańskiej kwaterze Cecila nieopodal kaplicy misyjnej. Wazon z kwiatami, do tego perfekcyjnie nakryty stół – wszystko to były widome oznaki kobiecej ręki, drobiazgi, o których jego kuzyn kawaler sam zapewne nigdy by nie pomyślał.

Zastanawiał się jednak, ile Cecil jej o nim powiedział. Nie sądził, aby pochwalała jego działalność bardziej niż misjonarz. Ale jako że większa część brytyjskiej społeczności w Hongkongu była w taki czy inny sposób związana z handlem opium, mogła uznać, że lepiej zachować swoje przemyślenia dla siebie. Jeśli zaś chodzi o jego dawne miłosne przygody, to było tak dawno temu! Nie dopuścił się zresztą niczego, co nawet purytanin mógłby uznać za skandal.

Zapytała go o dzieci.

– Mamy czworo, panno Ross. James jest najstarszy i przebywa obecnie w szkole z internatem wraz ze swoim bratem, Murdo; za kilka lat pójdzie do Eton. Moje córki, Emily i Constance, mieszkają w domu z guwernantką. – Zauważył, że Whiteparish rzucił narzeczonej znaczące spojrzenie. Mówiło ono, że chociaż kuzyn misjonarz nie pochwala tego, jak Traderowie dorobili się majątku, mimo wszystko cieszą go arystokratyczne koneksje. – A zatem, panno Ross, podobnie jak moja żona jest pani Szkotką, ale raczej ze wschodniego niż z zachodniego wybrzeża, jak sądzę?

– W rzeczy samej. Mój ojciec jest pastorem w Montrose.

– Co sprowadziło panią do Hongkongu?

– Rodzina, u której pracowałam w Edynburgu, poprosiła, abym im towarzyszyła. Kiedy zasięgnęłam rady ojca, odparł, iż powinnam wyjechać i zobaczyć szeroki świat, o ile takie jest moje życzenie.

– Ma pani duszę żądną przygód, panno Ross, i jakże mądrego ojca. – Trader się uśmiechnął.

Jego słowa najwyraźniej sprawiły jej przyjemność, chciała jednak zwrócić mu uwagę na coś jeszcze.

– Czy pański kuzyn opowiedział panu o swojej niedawnej przygodzie na stałym lądzie? – A gdy Trader zrobił niepewną minę, zwróciła się do narzeczonego.

– Ach – odezwał się Cecil – w rzeczy samej, to może cię zainteresować. Wybrałem się do Nankinu, żeby zobaczyć się z tajpingami.

– Bardzo ryzykowne przedsięwzięcie. – Trader popatrzył na Whitepariśha z nowym szacunkiem, po czym spojrzał na Minnie Ross. – Nie mar-

twiła się pani o niego?

– Nie – odparła po prostu. – Cokolwiek by go tam spotkało, byłoby to zgodne z wolą Bożą.

– Ach tak – mruknął Trader.

– Opowiem ci wszystko przy kolacji – obiecał Cecil z uśmiechem.

Zanim gospodarz skończył swoją relację, zdążyli zjeść danie główne. Trader był zafascynowany tym, co usłyszał, i serdecznie podziękował kuzynowi.

– Czy według ciebie są chrześcijanami? – zapytał misjonarza.

– Liczyłem na to, rzecz jasna. Być może nawet uda się zrobić z nich chrześcijan, tymczasem jednak wiele rzeczy mnie niepokoi. Ich przywódca, podając się za brata Jezusa, dąży do tego, aby go czczono, co nigdy nie prowadzi do niczego dobrego.

– Nie sądzisz, że mógł mieć na myśli ogólny sens tego wyrażenia, tak jak my mówimy o „braciach i siostrach w Chrystusie”?

– Według mnie traktuje to zupełnie dosłownie. A co do posiadania siedemnastu żon…

Trader zerknął na Minnie Ross.

– Owi tajpingowie chcą budować na ziemi Niebiańskie Królestwo – odezwała się – a jednocześnie wymordowali w Nankinie wszystkich Mandżurów, w tym kobiety i dzieci.

– To prawda – przyznał Cecil. – Nawet ich o to pytałem.

– Nieszczególnie podoba mi się ten pomysł zniesienia wszelkiej własności prywatnej – zauważył Trader. – Jest jednak jeszcze jedna ważna kwestia, a mianowicie: to, w co ci ludzie naprawdę wierzą, może ostatecznie okazać się nieistotne, przynajmniej dla rządu brytyjskiego.

Minnie Ross wyglądała na zdziwioną, ale Whiteparish skinął głową.

– Obawiałem się, że to powiesz – mruknął żałośnie.

– Rząd brytyjski jest niezadowolony, panno Ross – wyjaśnił Trader. – Traktat z tysiąc osiemset czterdziestego drugiego roku gwarantował naszym kupcom dostęp do pięciu portów, obecność brytyjskich konsulów w tychże portach oraz wszystkie zwykłe przywileje, których podobnie jak inne narody oczekujemy od władz krajów, będących naszymi partnerami handlowymi. Poza Kantonem i Szanghajem tak się nie stało, a nawet tam nie uniknęliśmy trudności.

– Chińczycy uważają, że te ustępstwa zostały na nich wymuszone siłą – wtrącił Cecil. – A reparacje, których zażądaliśmy, okazały się niezwykle dotkliwe.

– Wszystkie traktaty zawierane po klęsce jednej ze stron są zawierane pod przymusem. Historia jest pełna takich przypadków – zaprotestował Trader – choć zgadzam się z tobą co do reparacji. Pozostaje jednak faktem, że my, Francuzi, a nawet Amerykanie mamy coraz bardziej dosyć reżimu, który uważamy za skorumpowany i utrudniający nam życie.

– Dlatego tajpingowie są postrzegani jako możliwa do przyjęcia alternatywa?

– Z perspektywy Londynu chrześcijański rząd w Chinach wydaje się ciekawą propozycją.

– Pamiętasz, kuzynie Johnie – rzekł misjonarz – tę starożytną doktrynę, której uczyliśmy się w szkole? Według niej wróg mojego wroga jest moim przyjacielem. Przez wieki Wielka Brytania broniła swojej pozycji, nastawiając przeciwko sobie największe potęgi Europy kontynentalnej, i całkiem dobrze to się sprawdzało. Dostrzegam jednak w tej doktrynie dwa potencjalnie błędne założenia.

– Wyjaśnij, proszę.

– Pierwsze jest całkiem proste. Wróg twojego wroga dziś może się wydawać przyjacielem, lecz jutro już nie. Powiedzmy, że umożliwisz mu zwycięstwo, a wówczas on, zdobywszy przewagę, może się zwrócić przeciwko tobie. Jeżeli pomożemy tajpingom zdobyć władzę, gdy tylko ją zdobędą, mogą nas potraktować gorzej niż Mandżurów.

– Chodzi o to, aby zachować równowagę sił. Ale zgadzam się, że każda zmiana reżimu wiąże się z ryzykiem – lepsze jest zło, które już się zna. A jakie jest to drugie błędne założenie?

– Według mnie znacznie groźniejsze – odrzekł Whiteparish – bo zawiera moralny fałsz. Zastanów się: twój wróg jest złym człowiekiem. Wiesz bez wątpienia, że jest zepsuty do szpiku kości, a zatem człowiek, który mu się przeciwstawia, czyli ten, który może go pokonać, z założenia musi być dobry. Tak jednak nie jest. Nie ma żadnego powodu, aby go uznać za dobrego. Całkiem możliwe wręcz, że jest równie zły. – Zawahał się. – Starasz się więc dowiedzieć, czy wróg twojego wroga jest dobry czy zły, a on odpowiada, że jest dobry, bo w ten sposób może pozyskać ciebie i innych dla swojej sprawy. I to ci wystarcza. – Znów umilkł, po czym pokręcił

głową. – Tyle że on cię okłamuje. Jest kolejnym złym człowiekiem, być może gorszym od pierwszego.

– A jacy są tajpingowie?

– Nazywają się chrześcijanami, więc automatycznie uznajemy, że muszą być dobrzy. Chcemy tak myśleć. Możemy nawet przymknąć oczy na zło, jakie czynią, bo nie chcemy go widzieć. Gdy ktoś ubiera się tak jak ja, uznaję, że musi być taki jak ja. Ale to nieprawda.

– Czyli to wilki w owczej skórze?

– Właśnie. Jak zauważyła moja droga Minnie, tajpingowie twierdzą, że są chrześcijanami i że chcą zbudować Niebiańskie Królestwo pełne dobroci, a jednak pierwszą rzeczą, jaką uczynili, było wymordowanie całej populacji niewinnych kobiet i dzieci. Będę się starał ich nawrócić i uczynić z nich lepszych chrześcijan, ale jedno jest pewne: nie powinniście dostarczać im broni.

– Wydawało mi się, że misjonarze powinni być większymi idealistami – rzekł z uśmiechem Trader.

– Bywają idealistami, dopóki nie zaczną działać w terenie. Dopiero wtedy poznają prawdziwe życie, a ono rzadko bywa piękne.

– Jednak się nie poddają.

– Na tym polega próba wiary.

– Dobry z ciebie człowiek, kuzynie Cecilu – powiedział ciepło Trader. – Podziwiam cię i po powrocie do Londynu powtórzę twoje słowa komu trzeba. Mam tylko nadzieję – dodał ciszej – że zostanę wysłuchany.

Po skończonym posiłku panowie odprowadzili Minnie Ross do domu, w którym pracowała jako guwernantka.

– Jeszcze kilka dni i nie będziesz musiał tego robić – zwróciła się z uśmiechem do Cecila, gdy ten przy drzwiach całował ją w policzek na do widzenia. Następnie obaj mężczyźni ruszyli powoli w stronę mieszkania Tradera.

– Powiedz mi – odważył się spytać Whiteparish – czy zachowujesz trzecią część udziałów w spółce z myślą o swoim synu, żeby w przyszłości nią zarządzał?

– Być może, o ile któryś z nich będzie tym zainteresowany. – Trader się uśmiechnął. – To jeszcze odległa przyszłość. Po prostu lubię trzymać rękę

na pulsie. Jestem o wiele za młody, żeby przejść na emeryturę, choć mógłbym już sobie na to pozwolić.

– W Szkocji będziesz miał aż nadto zajęć. Jestem pewien, że okażesz się wzorowym gospodarzem. – Cecil zamilkł na moment. – Pomyślałem właśnie, że może następne pokolenie…

– Zrezygnuje z tego niemoralnego handlu opium. Możesz to śmiało powiedzieć. – Trader przeszedł w milczeniu kilka kroków. – Za dziesięć, piętnaście lat handel opium może stracić na znaczeniu. Ironia losu polega na tym, że gdyby Chiny zachowywały się mniej defensywnie i otworzyły porty na światowy handel – innymi słowy, gdybyśmy mogli im więcej sprzedawać – to, jak sądzę, problem sam by się rozwiązał. Ten kraj jest tak ogromny i ma tyle potencjalnych źródeł dochodów. Nie jestem w tym przekonaniu osamotniony: ludzie z firmy Jardine Matheson, która działa na skalę, o jakiej reszta z nas może tylko pomarzyć, spodziewają się w przyszłości większego otwarcia Chin na handel.

– Obyś miał rację.

Byli już blisko kwatery Tradera.

– Chciałbym jeszcze poradzić się ciebie w pewnej sprawie osobistej – odezwał się Trader.

– Możesz liczyć na moją dyskrecję.

– Dziękuję. – Trader powoli skinął głową. – Chodzi o Agnes. Zawsze okazywała Kościołowi należyty szacunek, ale w ostatnich latach jej religijność… – szukał właściwego słowa – się nasiliła. Może to zauważyłeś?

– Trudno powiedzieć. Oczywiście była zawsze bardzo szczodra dla naszej misji.

– Czy zdarzyło jej się rozmawiać z tobą o sprawach wiary?

– Raz czy dwa, o ile dobrze pamiętam.

– A czy kiedykolwiek wspominała o małżeństwie i dzieciach?

– Niech pomyślę. – Cecil zastanawiał się przez chwilę. – Wydaje mi się, że pamiętam jedną taką rozmowę, dość dawno temu. Ale nie wdawaliśmy się w szczegóły.

– Mogę spytać, czy wspominała coś o Świętym Pawle albo Świętym Augustynie?

Whiteparish znów chwilę się zastanawiał.

– Mam wrażenie – zaczął powoli – że pytała mnie o Świętego Pawła i jego poglądy na małżeństwo. Sam święty był oczywiście celibatariuszem, co wśród współczesnych mu Żydów uchodziło za rzecz niezwykłą. Poza

tym, że surowo zakazywał wszelkiej pożądliwości, zalecał celibat, o ile to tylko było możliwe. Trzeba pamiętać, że w tamtych wczesnych czasach wspólnota chrześcijańska spodziewała się, że koniec świata nastąpi za ich życia.

– A co było po Pawle?

– Dochodzimy do Świętego Augustyna, który żył ponad trzy wieki później. Ludzie nadal oczekiwali końca świata, ale jego data pozostawała niejasna. Augustyn uważał, że pobożnym chrześcijanom wolno się żenić, lecz sam akt seksualny powinien mieć na celu prokreację. W przeciwnym razie, twierdził, staje się przejawem pożądania, a więc grzechem. Taka była ogólnie doktryna wczesnego Kościoła.

– Spłodzić dzieci, a potem powstrzymać się od współżycia.

– Tak. – Misjonarz się uśmiechnął. – Nie twierdzę, że ślepo tego przestrzegano.

– A jak jest obecnie?

– Jak wiesz, sakrament małżeństwa dopuszcza jedynie regulację naturalnych popędów. Niewielu duchownych ośmieliłoby się dalej posunąć.

– Wspominałeś o tym mojej żonie?

– Owszem, w kontekście doktryny historycznej.

– Czyli nie… nie zalecałeś jej…?

– Och. – Cecil ze zdziwieniem popatrzył na kuzyna. – Nie, skądże. Nigdy bym sobie na to nie pozwolił. – Zmarszczył brwi, po czym obrzucił Johna zaciekawionym spojrzeniem. – Jeśli chcesz, chętnie napiszę do twojej żony, aby wyjaśnić tę kwestię.

– Nie, tak tylko się zastanawiałem. Nie pisz do niej, proszę. Dobranoc. – Bądź co bądź, pomyślał Trader, skoro jego żona pragnęła trwać w celibacie, nie zamierzał stawiać jej wymagań, które byłyby dla niej odstręczające.

* * *

Shi-Rong po raz pierwszy ujrzał Mei-Ling jesienią tego samego roku. Jako wyznaczony dla prowincji sędzia przeprowadzał inspekcję i tak trafił do wioski, w której mieszkała. Mieszkańcy, widząc nadciągający orszak, zgromadzili się przy drodze, żeby zobaczyć przyjezdnych. Wójt wioski powitał go i zaproponował poczęstunek, lecz ponieważ było dopiero południe i nie

mieli żadnego powodu, aby się tam zatrzymywać, Shi-Rong podziękował mu i ruszyli w dalszą drogę.

Odjeżdżając, kątem oka dostrzegł Mei-Ling. Stała przy drodze z krępym, przyjaźnie wyglądającym wieśniakiem – zapewne swoim mężem – i trzema albo czterema innymi osobami. Wszyscy byli bez wątpienia chłopami: żadna z kobiet nie miała krępowanych stóp. Cała grupa wydawała się jednak nieco lepiej ubrana niż większość mieszkańców wsi.

Shi-Rong zagadnął swojego sekretarza, Suna, który jechał obok:

– Zauważyłeś może tę ładną kobietę? Myślisz, że to bogata wieśniaczka?

– Tak, panie. – Sun był z nim już od pięciu lat, lecz on nadal nie znał jego dokładnego wieku. Mógł mieć czterdzieści pięć lat, ale nie miało to większego znaczenia. Wysoki, chudy jak szczapa, milczący i godny zaufania Sun był pozbawiony wszelkich ambicji. Jego obecność była dla Shi-Ronga kojąca. – Może to ktoś z rodziny wójta?

– Zwróciłeś uwagę na jej cerę?

Niezależnie od miejsca zamieszkania – czy było to duże miasto, czy wioska w głębi kraju – prawie każdy mieszkaniec Chin miał jakąś wadę fizyczną. Większość dorosłych po przekroczeniu pewnego wieku cechowały, rzecz jasna, braki w uzębieniu. Często szpecił ich zez albo znamię na twarzy; do tego dochodziły różne rodzaje kalectwa, na przykład niesprawna ręka albo noga. Shi-Rong przypuszczał, że w każdym kraju ludność trapią wypadki i choroby. Tymczasem, na ile zdążył się zorientować, tamta wieśniaczka była doskonała pod każdym względem: piękna, bez żadnej skazy. Nieomal zatrzymał orszak, żeby zabawić tam dłużej – choćby po to, żeby się przekonać, czy rzeczywiście jest tak idealna, jak mu się wydawało.

– Gdzie indziej czekają nas ważne sprawy do załatwienia, panie – zauważył Sun.

– Wiem. – Shi-Rong westchnął. – Zbyt długo przebywam z dala od żony. Wiesz – ciągnął – gdyby nie to, że, jak mi powiedziano, przysłano mnie tu tylko na jakiś czas i wkrótce zostanę przeniesiony gdzie indziej, sprowadziłbym tu rodzinę. Uznałem, że dla wszystkich będzie mniej uciążliwe, jeśli zostaną w domu do czasu, aż znajdę lepsze zakwaterowanie, gdzie mógłbym ich godnie przyjąć.

– Rozumiem, panie.

– Mimo wszystko… Może jednak powinienem po nich posłać? – Zamilkł na moment. – Liczyłem, że do tej pory zdobędę jakieś wyższe stanowisko – mruknął.

Po śmierci ojca dobrze wykorzystał dany mu czas. Najpierw nauka w rodzinnej posiadłości, potem powrót do starego pana Wena w Pekinie. Dzięki niemu zdał egzaminy – może nie celująco, ale na tyle dobrze, aby móc liczyć na dobrą karierę. Ożenił się odpowiednio, z córką prefekta jednej z prowincji. To był udany związek – byli ze sobą całkiem szczęśliwi.

– Szkoda, że komisarz Lin umarł – powiedział Sun.

– To on załatwił mi posadę sędziego – przyznał Shi-Rong. – Wątpię jednak, czy gdyby żył, zdołałby uczynić dla mnie coś więcej.

Lin odzyskał dobre imię, a dla niektórych stał się wręcz bohaterem. Ponownie mianowano go gubernatorem pomniejszej prowincji, nigdy jednak nie awansował wyżej.

– Problem w tym, że nikt, kto miał jakikolwiek związek z wojną opiumową, nie cieszy się względami dworu – zauważył Shi-Rong. – Cesarz miał o mnie dobre zdanie, ale on też już nie żyje, a nowy cesarz w ogóle o mnie nie słyszał.

– Przynajmniej jesteście właścicielem wspaniałej rodzinnej posiadłości nad Żółtą Rzeką, do której zawsze możecie wrócić, panie. Niewielu sędziów ma tyle szczęścia.

– Dlatego właśnie biorą łapówki. Wiesz, że nigdy tego nie uczyniłem.

– Wiem, panie. Należy ci się za to wielki szacunek.

– Łaskawość fortuny może być błogosławieństwem, może też być przekleństwem. Kto wie, może gdybym był biedniejszy, bardziej bym się starał o awans. Co o tym sądzisz?

– Nie wiem, panie. Ale cieszę się, że nie jestem ambitny. To chyba nigdy nie czyni ludzi szczęśliwymi.

– Powiedz mi, Sun, czym spodziewasz się zostać w swoim następnym wcieleniu? Wiem, że jesteś buddystą.

– Mam nadzieję, że czymś pełnym spokoju, mój panie.

– Z pewnością na to zasługujesz. – Shi-Rong milczał przez chwilę. – Chyba powinienem wrócić po tę piękną kobietę, którą właśnie widzieliśmy. – Zerknął na swojego sekretarza, a widząc wyraz zatroskania na jego twarzy, roześmiał się. – Nie obawiaj się – rzekł – nie zrobię tego.

Ani tego roku, ani kolejnego Shi-Rong nie przejeżdżał już przez tę wioskę.

* * *

Mei-Ling dobrze zapamiętała ten dzień, ale nie z powodu Shi-Ronga, którego twarzy właściwie nie dostrzegła. Zapamiętała go, ponieważ tamtej nocy jej szwagierka zaczęła rodzić po raz ósmy, a rano już nie żyła. Biedna Wierzba osierociła czworo dzieci, w tym najmłodszego chłopca.

Życie Wierzby nie było zbyt szczęśliwe i byłoby jeszcze trudniejsze, gdyby nie Mei-Ling. Nie chodziło nawet o to, że Mei-Ling starała się okazywać jej życzliwość, choć tak właśnie robiła – po prostu ilekroć nieszczęsna Wierzba wydawała na świat kolejną córkę, Mei-Ling rodziła kolejnego syna, co zdawało się łagodzić gniew teściowej, który w przeciwnym razie spadłby na starszą synową. Z czasem żeńska głowa ich rodziny zaczęła uważać Wierzbę za wybryk natury, niefortunną okoliczność, taką jak niepogoda – krótko mówiąc, za przegraną sprawę. Kiedy w końcu Wierzba powiła syna, potraktowano ją jak bezużytecznego pracownika, który nareszcie uczynił coś jak należy, nie ma jednak żadnych gwarancji, że powtórzy swój wyczyn. A teraz nie żyła. Co to dla nich wszystkich oznaczało?

Tak się złożyło, że to wydarzenie okazało się punktem zwrotnym w życiu całej rodziny.

Stary pan Lung, który bardzo się szczycił swoimi małymi rytuałami związanymi z paleniem opium, był wściekły, gdy za sprawą kampanii komisarza Lina ustały dostawy narkotyku. Kiedy w końcu opium znów stało się dostępne, zakupił spore jego ilości na zapas – ostatecznie mógł sobie na to pozwolić. Odtąd goście zwiedzali jego magazyn, w którym przechowywano skrzynie z opium, co robiło na nich ogromne wrażenie.

– Dzięki temu nie muszę się martwić, że jakiemuś mandarynowi wtykającemu nos w nie swoje sprawy znów przyjdzie do głowy utopić opium w morzu.

– Istotnie, panie Lung – przyznawali rację goście, kłaniając mu się z szacunkiem.

Brytyjczycy jednak nadal handlowali opium, w domu był więc jego nadmiar, a stary pan Lung coraz częściej oddawał się nałogowi. Mniej troszczył się o swoje interesy, skupiając się na gromadzeniu zapasów narkotyku. Czasami Starszy Syn towarzyszył mu w rytualnym paleniu fajki opiumowej, w przeciwieństwie do Młodszego Syna, który nigdy tego nie robił. Proponowano mu, żeby spróbował, lecz on zawsze uśmiechał się i odpowiadał, że nie potrzeba mu do szczęścia więcej niż to, co już ma, po czym po prostu

wracał do swojej pracy na roli, podczas gdy stary pan Lung i starszy brat zajmowali się pożyczkami, ściąganiem dzierżawy oraz innymi sprawami.

Kiedy więc pewnej nocy stary pan Lung jak zwykle zapadł w stan nieświadomości po tradycyjnym wieczornym rytuale palenia opium i już się nie obudził, cała rodzina przeżyła wstrząs, stwierdziwszy, że nie pozostawił po sobie zbyt wiele pieniędzy. Odkryto, że nie wszyscy wierzyciele rozliczyli się z nim z zaciągniętych pożyczek, a także inne, skomplikowane zaległości, o których Starszy Syn rzekomo pamiętał, ale których jakoś nigdy nie udało mu się ściągnąć. I chociaż jego matka domagała się informacji, kto ile jest im winien, aby mogła sama odzyskać pieniądze, Starszy Syn okazał zadziwiający upór, skąpiąc jej wszelkich informacji.

– Teraz ja jestem głową rodziny – przypomniał jej, jakby to miało cokolwiek rozwiązać. Młodszy Syn próbował odwoływać się do rozsądku brata, lecz, jak ostatecznie szczerze wyznał Mei-Ling: – Jeżeli nie chce powiedzieć o czymś Matce, mnie na pewno tego nie powie. – Usiłowali nawet skorzystać z pomocy Wierzby, ale na nic się to zdało, gdyż mąż z łatwością nagiął ją do swojej woli.

Dzierżawy były więc opłacane z opóźnieniem, jeśli w ogóle. Kilku mieszkańców wsi wykupiło od Starszego Syna dzierżawione pola po zaniżonych cenach i nawet dom rodzinny Lungów zaczynał wykazywać pewne oznaki zaniedbania, chociaż Młodszy Syn sam zajmował się wszystkimi naprawami.

A potem, w noc po przejeździe sędziego przez wioskę, umarła Wierzba.

Wydawało się, że po tym wydarzeniu Starszy Syn utracił wszelką ochotę do działania. Palił więcej opium, a jego kościste ciało jeszcze bardziej zmizerniało. Brak mu było energii, żeby zajmować się jakimikolwiek sprawami, gdy zaś od czasu do czasu zdobył się na próbę odebrania części zaległych opłat, najemcy traktowali go niemal jak włóczęgę błagającego ich o jałmużnę, a nie jak swojego dzierżawcę. Matce udawało się załatwiać niektóre sprawy, ale nawet ona utraciła ducha walki i była coraz bardziej utrudzona życiem.

Pewnego dnia Mei-Ling wybrała się w sekretne miejsce, gdzie Nio zakopał dla niej srebro. Wzięła część i dała swojej teściowej.

– To na utrzymanie domu – powiedziała. – Nie na opium. – Parę miesięcy później znów musiała pójść do kryjówki; powtarzała to jeszcze kilka razy, aż po srebrze nie pozostał nawet ślad.

Z czasem dom Lungów pogrążył się w letargu, popadł w zaniedbanie i sąsiedzi już ich nie odwiedzali.

Dwa i pół roku po śmierci Wierzby do wioski przybyli Amerykanie.

Tydzień wcześniej z Kantonu wyruszyło w drogę trzech mężczyzn, którzy siedzieli teraz w jedynej gospodzie w miasteczku, zapijając spożyty posiłek. Read palił cygaro. Wyglądał na tak samo rosłego, twardego i krzepkiego jak niemal przed dwudziesty laty. Przybyło mu nieco siwych włosów i trochę głębszych zmarszczek, poza tym niewiele się zmienił. Jego syn, Franklin, był ciemnowłosym, przystojnym młodzieńcem w wieku około osiemnastu lat. Trzecim mężczyzną był Cecil Whiteparish.

Kiedy Read zjawił się w Hongkongu i zaczął wypytywać o kupca nazwiskiem Trader, naturalną koleją rzeczy skierowano go do domu misyjnego, gdzie odnalazł Cecila Whiteparisha.

– Pan Trader to mój krewny – wyjaśnił mu Cecil. – Obawiam się jednak, że mieszka teraz z rodziną w Szkocji. Mogę podać panu jego adres, jeśli życzy pan sobie do niego napisać. – Uśmiechnął się. – W tej chwili jestem dosyć zajęty, ale gdyby zechciał pan zajrzeć do mnie wieczorem, żona przygotuje coś do jedzenia, ja zaś przekażę panu najświeższe nowiny o moim kuzynie Johnie.

Spędzili razem bardzo miły wieczór. Read z radością słuchał o szczęściu Tradera i jego stale powiększającej się rodzinie. Whiteparishowie opowiedzieli mu też o działalności misji i nawróconych na chrześcijaństwo tubylcach, po czym Minnie zapytała:

– Co pana sprowadza do Hongkongu, panie Read?

– Kolej, droga pani – odparł lekko Read. – Ściśle rzecz biorąc, robotnicy kolejowi. Zamierzam werbować ich w wioskach położonych na wybrzeżu nieopodal Kantonu, a następnie zabrać ze sobą do Ameryki.

– Czy zechcą wyjechać tak daleko?

– Niektórzy już to zrobili. – A widząc jej zdziwienie, dodał: – Podczas kalifornijskiej gorączki złota w tysiąc osiemset czterdziestym ósmym roku i w kolejnych latach kilku żądnych przygód wieśniaków z okolic Kantonu usłyszało od zachodnich żeglarzy, co się u nas dzieje, i postanowiło spróbować szczęścia w Ameryce. Sam przewiozłem paru z nich przez Pacyfik.

Byli wśród nich żeglarze, a także – jak sądzę – przemytnicy. Porządne chłopaki.

– Jak pan myśli, co ich do tego skłoniło? – zainteresował się Whiteparish.

– Na ich miejscu pewnie postąpiłbym tak samo – odparł Read. – Pamiętacie państwo, co tu się działo zaraz po wojnie opiumowej. Chiński rząd był spłukany, gdy ludzie z wybrzeża usłyszeli o Gum Shan, amerykańskiej górze złota. Wyruszyli do Kalifornii podobnie jak tylu innych przed nimi, lecz większość wróciła z pustymi rękoma. Inni nadal tam mieszkają – prowadzą restauracyjki, pralnie i tak dalej. Teraz jednak szukamy innego rodzaju robotników, dlatego wyprawiamy się w głąb kraju.

– Szukacie ludzi do budowy kolei.

– Zgadza się. Lokalnych linii, na początek na obszarze Kalifornii, ale wkrótce powstanie trasa kolejowa biegnąca przez całą Amerykę, od Kalifornii aż po Nową Anglię. To już przesądzone. Będziemy potrzebowali wielu rąk do pracy.

– Nie możecie liczyć w tej kwestii na Irlandczyków? – spytał Cecil.

– A jakże, wydaje mi się jednak, że budowniczowie kolei chcą mieć dla nich konkurencję. Żeby trzymać ich w ryzach.

– Ale dlaczego akurat Chińczycy?

– Nie są tak silni jak Irlandczycy, za to można na nich polegać: zamiast alkoholu piją herbatę i nie sprawiają kłopotów. Nie szukam poszukiwaczy złota – podkreślił Read. – Zależy mi na uczciwych rolnikach, dla których przyszły ciężkie czasy. Na mężczyznach, którzy będą ciężko pracowali i wysyłali pieniądze swoim rodzinom. Wierzę, że znajdziemy ich w tych wioskach.

– Kiedy wyruszacie? – zainteresował się misjonarz.

– Lada dzień. Muszę tylko znaleźć kilku tragarzy, lokalnego przewodnika i tłumacza. Mówię trochę po kantońsku, ale nie wystarczająco dobrze. – Najwyraźniej przyszło mu coś do głowy. – Ciekaw jestem, czy nie znaleźliby się jacyś konwertyci, którzy mogliby służyć jako tłumacze w naszych kontaktach z miejscowymi. Ma pan może jakieś sugestie?

Cecil się zastanowił.

– Muszę to przemyśleć. Proszę wstąpić jutro po południu do misji, to dam panu znać, czy znam kogoś odpowiedniego.

Młody Franklin popatrzył na swego ojca i misjonarza, po czym spojrzał na dwóch tubylców, którzy pełnili funkcję tragarzy i przewodników, siedzących osobno z właścicielem gospody i gawędzących po cichu w miejscowym dialekcie.

Przeżywać wspólnie z ojcem przygody w tej odległej krainie było takie ekscytujące. Zastanawiał się, co przyniesie im kolejny dzień.

Bardzo się zdziwił, gdy Whiteparish zgłosił swoją kandydaturę na tłumacza. W pierwszej chwili obawiał się, że misjonarz nie podoła fizycznym wyzwaniom stojącym przed uczestnikami wyprawy, ale choć włosy mu się przerzedziły, Whiteparish sprawiał wrażenie twardego, krzepkiego mężczyzny, Franklin założył więc, że pewnie sobie poradzi.

Jego ojciec zadał misjonarzowi pytanie innego rodzaju.

– Co pańska żona na to, że zamierza pan wybrać się z nami w tę podróż?

– Uważa, że mężczyzna od czasu do czasu potrzebuje przygody. – Cecil się uśmiechnął. – Pewnie cieszy ją, że na jakiś czas pozbędzie się mnie z domu.

– A co z misją?

– Ach, właśnie: poza Hongkongiem mamy teraz małą filię misji pod Kantonem. Chińczykom niezbyt się to podoba, choć na razie przymykają oko na naszą działalność. W każdym razie i tak zamierzałem ją wkrótce odwiedzić. Jednocześnie od pewnego czasu chodziło mi po głowie, żeby ruszyć dalej w teren, nawiązać kontakt z miejscową ludnością i tak dalej. Niełatwo robić takie rzeczy w pojedynkę, kiedy więc zjawił się pan ze swoim planem wyprawy, uznałem, że to doskonała okazja.

– Chce im pan rozdawać dzieła teologiczne? – zaciekawił się Read.

– Nie. Gdyby lokalne władze nas zatrzymały i przeszukały, wszyscy moglibyśmy mieć kłopoty. – Misjonarz uśmiechnął się gorzko. – Z wiekiem człowiek zaczyna bardziej dbać o swoje bezpieczeństwo. Osobiście wolę rozmawiać z ludźmi, opowiadać im, w co i dlaczego wierzę. Nigdy nie wiadomo, co może z tego wyniknąć. – Pokiwał głową. – Jest też jeszcze inna kwestia.

– Tajpingowie?

– W rzeczy samej. Byłem w Nankinie i nie mam już wątpliwości: tajpingowie nie są tak naprawdę chrześcijanami. Przyswoili sobie po prostu kilka chrześcijańskich koncepcji. Zanim przenieśli się na północ, sporo tajpingów zamieszkiwało te okolice, więc zastanawiam się, czy nie pozostawili po

sobie jakichś idei, które moglibyśmy wykorzystać, sprostować i rozwinąć. Dzięki naszej wyprawie będę miał okazję się o tym przekonać.

– A zatem jest pan szpiegiem! – wykrzyknął młody Franklin, po czym zerknął na ojca, który odrzekł:

– Nie pomogę ci, synu. Jesteś zdany na siebie.

– Tak. Szpiegiem Boga – stwierdził Cecil. – Choć Wszechmogący i tak wie o wszystkim – dorzucił pogodnym tonem.

– Istotnie – przyznał Franklin.

Zanim udali się na spoczynek, Whiteparish nalegał, aby raz jeszcze omówić cały plan. Zwrócił się do Reada:

– Zabierze pan tych ludzi, ochotników, z Kantonu do Ameryki. Chińczycy nie zapłacą nic za tę podróż, zrobią to za nich szefowie kolei.

– Zgadza się. Biorę od nich do stu dolarów od głowy, z gwarancją dostawy. Przewożę też inne ładunki, żeby mi się to opłacało.

– W praktyce więc ci Chińczycy będą najemnymi sługami, dopóki nie spłacą kosztów podróży. Historia zaś uczy nas, że każdy najemnik może się stać niewolnikiem.

– To prawda. – Read zaciągnął się cygarem. – Słyszałem o chińskich służących w Kalifornii, którzy znaleźli się dokładnie w takiej sytuacji.

– Nie jestem pewien, czy mi się to podoba, Read.

– Mnie też nie. Dlatego dogadałem się z tymi od kolei. Po miesiącu zabiorę każdego ze swoich Chińczyków, który nie będzie zadowolony z pracy, a jeśli któryś zechce odejść, również go przyjmę i zwrócę opłatę za podróż.

– Ta propozycja może pana sporo kosztować.

– Wątpię. Ci Chińczycy będą całkiem nieźle zarabiać. Na miejscu mieszkają razem, tworząc małe społeczności i enklawy. Traktują to całkiem naturalnie. Myślę, że jak tylko ruszy budowa wielkiej linii kolejowej od wybrzeża do wybrzeża, każdego sezonu moje statki zapełnią się Chińczykami równie chętnymi do pracy, jak przyszli szefowie do zatrudniania ich. Połowa prawdopodobnie osiądzie w Ameryce.

– Mam nadzieję, że ma pan rację.

– A ja, że mam pańskie zaufanie.

– Ależ tak. – Misjonarz się uśmiechnął. – Ufam panu.

Następnego dnia dotarli do małej wioski, rozpytali o wójta, a Whiteparish wyjaśnił mu, czego szukają. Mężczyzna miał wątpliwości.

– Słyszałem o ludziach z wielkich miast, którzy jadą do pracy za ocean – rzekł. – Ale nie wiem, co się z nimi dzieje po przybyciu do tej krainy ani czy w ogóle stamtąd wracają.

– Są dobrze opłacani – uspokoił go Whiteparish. – Niektórzy tam zostają, inni wracają.

– Co to za żelazna droga, o której mówicie? I ta maszyna podobna do smoka, która się po niej porusza? Czy mamy coś takiego w Chinach?

– Nie.

– A czy to działa?

– Tak.

– Czy cesarz albo gubernator pozwala ludziom wyjeżdżać stąd ot tak?

– Nikt ich nie będzie pytał o zdanie.

– To prawda, że są u nas mężczyźni, którzy potrzebują pieniędzy – przyznał wójt. – Zaraz zwołam całą wioskę.

Cecil Whiteparish wyjaśnił zatem zgromadzonym propozycję Reada, a następnie przez godzinę tłumaczył liczne pytania mieszkańców i odpowiedzi Amerykanina. Gdy około południa skończyli, wraz z Readami wybrał się do następnej wioski, obiecując, że wróci nazajutrz po wszystkich, którzy chcą wyruszyć za pracą do Ameryki.

Noc była ciepła i księżyc wisiał wysoko na czystym niebie nad wioską, gdy Mei-Ling oraz Młodszy Syn poszli nad staw i przystanęli na mostku, żeby porozmawiać.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżał – powiedziała Mei-Ling.

– Pomyślałem, że jeśli pojadę z jednym z naszych synów, to może za rok albo dwa wrócimy tu z mnóstwem pieniędzy.

– Chcesz zabrać ze sobą jednego z naszych chłopców?

– We dwóch zarobimy dwa razy więcej. – Zastanowił się. – Mógłbym wziąć Ka-Faia. Jest najstarszy, chociaż chyba powinien zostać tutaj, żeby mnie zastępować. Zabiorę naszego młodszego syna. Ma już szesnaście lat i jest silny, poza tym chce jechać. Uważa, że czeka nas wielka przygoda.

– Rozmawiałeś już z nim?

– Dziś po południu.

– Nie wiedziałam.

– Z roku na rok jesteśmy coraz biedniejsi, Mei-Ling. Ostatnio, kiedy mój brat pojechał do miasta, wydał mnóstwo pieniędzy. Nawet matka nie ma już nad nim władzy. Muszę coś zrobić.

– To ty powinieneś być głową rodziny.

– Ale nie jestem.

– Chciałabym, żeby on umarł! – zawołała z rozpaczą kobieta.

– Nie mów takich rzeczy. – Zamilkł na chwilę. – Wszystko będzie dobrze. Ty i Matka zatroszczycie się o dom.

Mei-Ling wybuchnęła płaczem.

– Będę taka samotna.

– Ja też.

– Księżyc już prawie w pełni – zauważyła niepewnie.

– Jeszcze dwie noce – odparł.

Popatrzyła na odbicie księżyca w stawie. Woda była gładka jak szkło, lecz kontury księżyca zatarły się pod wpływem ronionych przez nią łez.

– Powinniśmy wracać – powiedział jej mąż. – Wszyscy już śpią.

W ciemności chwyciła go za rękę.

– Chodź – powiedziała.

Nazajutrz Cecil Whiteparish był w doskonałym nastroju. Poprzedniego wieczoru udało mu się odbyć długą rozmowę z wójtem drugiej osady, który okazał się uprzejmym staruszkiem. Słyszał o bogu tajpingów, uważał jednak, że rebeliantom bardziej zależy na zniszczeniu Mandżurów niż na czynieniu dobra. Cecil zdołał mu wyjaśnić wiele rzeczy na temat prawdziwego Boga i starzec był pod wrażeniem. Ten skromny początek napełnił misjonarza nadzieją.

Readowie natomiast znaleźli pięciu ochotników, którzy wrócili z nimi do pierwszej osady, gdzie czekało jeszcze pięciu innych mężczyzn. Jednym z nich był postawny mężczyzna, któremu towarzyszył syn. Spodobali się Readowi. „Dokładnie takich uczciwych wieśniaków szukamy” – stwierdził.

Przykro mu było jednak patrzeć na żonę tego człowieka. Była to najurodziwsza z kobiet, jaką kiedykolwiek widział w tej prowincji. Chińczycy nie lubili okazywać uczuć, więc gdy żegnała się z mężem, prawie się nie dotykali, lecz łzy nie przestawały płynąć jej po twarzy. Stała potem na drodze przy wyjeździe z wioski i patrzyła za nimi, aż zniknęli jej z oczu.

W zwykłych okolicznościach Shi-Rong zignorowałby doniesienia, które wzajemnie sobie przeczyły. Ktoś widział obcych zmierzających w głąb lądu. Jeden raport utrzymywał, że chodzi o barbarzyńców, według innego byli to tajpingowie. Rozbieżności niewątpliwie wynikały z przekłamań powstałych gdzieś po drodze. Wieści pochodziły z wiosek położonych na wybrzeżu, gdzie zwykle panował spokój. On sam od kilku lat tam nie zaglądał.

Dwa powody skłoniły go jednak do wyruszenia tam wraz z grupą uzbrojonych jeźdźców. Po pierwsze, nie miał nic innego do roboty; po drugie, jeśli chciał awansować ze swego skromnego stanowiska, musiał publicznie wykazać się czujnością – czymś, o czym gubernator mógłby wspomnieć w jednej z depesz wysyłanych na dwór cesarza – i w ten sposób zwrócić na siebie uwagę władcy.

Zresztą mogło być coś na rzeczy. Wątpił, aby tajpingowie zapuścili się aż tutaj – ich działania toczyły się obecnie daleko na północy, w okolicach Nankinu. Czyżby chodziło o członków miejscowego gangu? W ostatnich latach ludzie triady kilkakrotnie atakowali niepopularne mandżurskie władze w okolicy Guangzhou. Choć zwykle nie zapuszczali się tak daleko w głąb lądu, przypuszczał, że jest to możliwe. A może miało to coś wspólnego z ludem Hakka? Między wioskami Hakka, z ich dużymi, okrągłymi chatami, a sąsiednimi osadami Hanów często wybuchały konflikty powodowane zazdrością i zadawnionymi urazami. Czasy ogólnie były niespokojne.

Jedno było pewne: gdyby pojawiły się jakieś kłopoty, a on nie zdołałby w porę przeprowadzić śledztwa, osobiście by za to odpowiadał i zapewne mógłby zapomnieć o dalszych awansach.

Prawda była bowiem taka, że jego kariera utknęła w miejscu. Nadal był tylko sędzią okręgowym zaledwie siódmego stopnia – stał niżej nawet od zastępcy podprefekta prowincji. Przenoszono go już trzy razy, ale nigdy nie awansował. Gubernator prowincji też szczególnie się nim nie interesował, nawet jego wierny sługa Sun przeszedł niedawno na emeryturę, żeby cieszyć się wreszcie buddyjskim spokojem.

Stanowisko sędziego wiązało się z wieloma obowiązkami. Nie tylko przewodniczył sądowi, ale był także odpowiedzialny za wszystkie aspekty władzy w okręgu. Odwiedzał miasta i wioski, musiał znać wszystkich ważnych kupców i wójtów. „Pamiętaj, jesteś teraz Ojcem Ludu” – powiedział mu gubernator podczas ich pierwszego spotkania. Innymi słowy, jeśli coś szło nie tak, była to jego wina.

Shi-Rong liczył, że do tej pory zostanie mianowany podprefektem piątego stopnia, lecz nawet nie wzięto go pod uwagę. Czuł się bardzo samotny. Nie popadł w niełaskę, tylko w zapomnienie, i zdawał sobie z tego sprawę.

Jego żona też o tym wiedziała. Rok temu sprowadził ją do siebie wraz z dziećmi, okazało się jednak, że nie był to dobry pomysł. Żona nie lubiła tutejszego wilgotnego klimatu, gardziła kantończykami, których języka nie chciała się uczyć, nalegała, aby w ich domu podawano makaron zamiast ryżu, i ogólnie dawała do zrozumienia jemu oraz dzieciom, że nie powinni tu być.

– Nie rozumiem, dlaczego nie możesz znaleźć sobie lepszej posady. Mój ojciec, będąc w twoim wieku, był co najmniej urzędnikiem szóstego stopnia – zauważyła kiedyś.

Przed miesiącem Shi-Ring zasugerował, że byłoby lepiej, gdyby razem z dziećmi wróciła do rodzinnej posiadłości.

– Moja ciotka jest już bardzo słaba. Naprawdę nie daje sobie rady. Zresztą tamtejsze powietrze jest chyba zdrowsze dla dzieci – dodał. Jego synek i córka żałowali, że znów się rozstają, żona zaś dobrze udawała, że też ją to smuci. Shi-Rong obiecał, że wkrótce znów się zobaczą, i zamierzał dotrzymać obietnicy.

Ta sytuacja była dla niego równie trudna, istniało jednak wyjście: żona nie byłaby zachwycona, gdyby zrezygnował z kariery, mimo to kusiło go, aby przenieść się do rodzinnej posiadłości. Mógłby poświęcić czas przywracaniu tego miejsca do dawnej świetności i wychowaniu syna. W ciągu ostatniego miesiąca coraz częściej rozmyślał o emeryturze.

Tego dnia był jednak w pełni skupiony na czekającym go zadaniu, a jego oddział szybko posuwał się naprzód. Przejechali dotąd przez pół tuzina miast i nikt tam nie słyszał o obcych, mieli jednak jeszcze wiele mniejszych osad do odwiedzenia.

Shi-Rong przypomniał sobie, że kilka lat wcześniej w jednej z takich wiosek widział kobietę niezwykłej urody.

Mei-Ling źle spała tej nocy. Bez męża i młodszego syna dom wydawał jej się dziwnie pusty. Na szwagra nie miała co liczyć: wkrótce po odjeździe Amerykanów poszedł do swojej izby, wyjął fajkę do palenia opium i pogrążył się w niebycie. Teściowa miała ponurą minę i do nikogo się nie odzywała. Mei-Ling współczuła jej i późnym popołudniem zagadnęła ją cicho:

„Nie obwiniajcie się, Matko. Za nic nie ponosicie winy. To dzięki wam nadal jesteśmy razem”.

Starsza kobieta dotknęła jej ramienia, jakby chciała podziękować, ale tylko pokręciła głową i wyszła na zewnątrz. Mei-Ling uznała, że lepiej zostawić ją w spokoju.

Jeśli chodzi o dzieci, ich starszy syn był tak podobny do ojca, że było to niemal zabawne. Miał też podobny charakter – był solidny, pracowity, życzliwy. Mei-Ling liczyła, że w nadchodzących miesiącach będzie to dla niej pocieszeniem – zupełnie jakby jego ojciec wciąż z nimi mieszkał. Co do dzieci Wierzby, dwie córki były już zamężne, trzecia nadal mieszkała w domu – smutna, chuda dziewczyna, jak wierzba bez liści, myślała często Mei-Ling. Był jeszcze chłopiec, którego narodziny okazały się jedynym sukcesem szwagierki.

Przed laty mieli kilku służących, o których należało się zatroszczyć; teraz została im tylko jedna starsza kobieta, która mieszkała z rodziną przez całe swoje życie. Niewiele mogła już robić, ale traktowali ją jak talizman, pamiątkę lepszych czasów, które – kto wie – może jeszcze powrócą. Jej obecność także była dla Mei-Ling swego rodzaju pociechą.

Lecz tamtej nocy odczuwała tylko dojmującą samotność. Nie przestawała myśleć o swoim drogim mężu i synu. Gdzie teraz są? W jakiejś wiosce? A może śpią pod gołym niebem gdzieś na wzgórzu? Próbowała wysyłać mężowi dobre myśli pełne wyrazów miłości, niby drobne, starannie zapakowane podarki. Wyobrażała sobie, jak płyną po nocnym niebie pod czujnym okiem księżyca, niesione na skrzydłach magii, a potem spadają wprost do rąk męża, aby ten mógł je otworzyć. Czy czuł, że o nim myślała? Czy też nie mógł zasnąć? A może odczytał je we śnie?

Raz i drugi zdjął ją lodowaty, przeraźliwy strach. Jej mężowi na pewno groziło niebezpieczeństwo. Spotkało go coś złego. Musiała użyć całej siły woli, aby przepędzić złego ducha ze swego umysłu, bo jeszcze mógłby przynieść im pecha.

W końcu zmorzył ją niespokojny sen. Kiedy się obudziła, myślała, że świta. Wyszła ze swojej izby na dziedziniec i stwierdziła, że z trudem dostrzega jego przeciwległy koniec. Nie widziała muru otaczającego domu, a w miejscu rosnącego pośrodku dziedzińca drzewka majaczył niewyraźny kształt spowity mgłą. Gdzieś ponad tą mgłą musiało być źródło światła, w przeciwnym razie nie zobaczyłaby nawet tyle, nie wiedziała jednak, czy

to pierwsze promienie słońca o świcie, czy też blask księżyca, który był teraz prawie w pełni.

W stłumionej, bladej poświacie podeszła do bramy, odryglowała ją i otworzyła, po czym spojrzała w dół na staw, lecz jej wzrok nie był w stanie przebić gęstej, wilgotnej bieli na odległość większą niż dziesięć stóp. Świat stracił wszelki kształt. Pomyślała, że oto całe jej życie, wszystkie myśli rozpraszają się w białej nicości.

Postanowiła wyjść poza ogrodzenie. Pod stopami czuła twardą ziemię, lecz dziwny strach powstrzymywał ją przed zrobieniem kolejnego kroku, jakby wkroczenie w ten biały tuman oznaczało śmierć. Pomyślała, że gdyby teraz ruszyła po omacku w stronę stawu i ominęła mostek, mogłaby wpaść do wody i utonąć. Została więc na miejscu, wsparta ręką o słupek bramy.

Naraz gdzieś w pobliżu rozległo się rżenie konia. Zmarszczyła brwi; musiała się przesłyszeć. To na pewno któraś z kaczek mieszkających na brzegu stawu.

Po chwili z prawej strony dobiegł ją szept. Z bliska, bardzo bliska.

– Mei-Ling… – Czyżby nawiedził ją duch?

Odwróciła głowę i wytężyła wzrok: przez chwilę niczego nie widziała, po czym w bladej, nieziemskiej poświacie z mgły wyłonił się cień, który przybrał znany jej kształt.

– Nio! Braciszku!

Stał teraz tuż przy niej. Wyraźnie dostrzegała bliznę na jego twarzy. Długie włosy podtrzymywała żółta jedwabna chusta, zawiązana wokół głowy. Miał na sobie luźną tunikę przepasaną czerwoną szarfą, a na nogach buty z miękkiej skóry. Za uzdę trzymał pięknego konia z bujną grzywą.

Nagle to do niej dotarło: Nio nie był już jej Braciszkiem.

Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz się widzieli? Przed sześcioma laty przejeżdżał przez ich wioskę. Powiedział jej wtedy, że chce dołączyć do tajpingów. Potem tajpingowie przenieśli się dalej i stoczyli wiele walk. Mei-Ling słyszała, że rządzą dużym obszarem wokół Nankinu, ale ani razu nie miała wieści od swojego Braciszka. Zastanawiała się nawet, czy nadal żyje.

A teraz stał przed nią cały i zdrowy. Musiał mieć teraz około trzydziestu pięciu lat. Sądząc po długich włosach, nadal był tajpingiem, a także oficerem. Przyszło jej to do głowy nie tylko z powodu jego odzienia i konia; dumna postawa i każda zmarszczka na jego twarzy świadczyła o jego autorytecie.

– Jesteś sam? – zapytała, a on skinął głową. – Jak długo możesz zostać?

– Do wieczora. W ciągu dnia muszę odpocząć. Nocą bezpieczniej jest podróżować.

Musiała powiedzieć o tym Matce. Ku jej uldze starsza kobieta przyjęła tę nowinę ze spokojem. Była jednak stanowcza.

– Nie może zatrzymać się u nas w domu. Mamy już dość kłopotów. Tylko tego brakuje, żeby oskarżono nas o ukrywanie tajpinga. Zaprowadź go razem z koniem do stodoły.

Budynek stał na tyłach, w pewnej odległości od domu. Miał składzik na poddaszu i otwartą przestrzeń na dole, za bambusowym przepierzeniem, gdzie koń Nio mógł się swobodnie zmieścić obok pługa i innych narzędzi rolniczych. Stodoła, wraz z kilkoma przyległymi niskimi szopami, znajdowała się na małym, otoczonym murem dziedzińcu.

– Chłopcy są dzisiaj w bambusowym zagajniku – powiedziała teściowa Mei-Ling. – Nikt nie będzie zaglądał do składziku. W ostateczności możemy powiedzieć, że ukrył się tam bez naszej wiedzy.

Nio od razu przystał na ten plan i szybko zasnął, na długo zanim mgła się podniosła.

Po południu Mei-Ling przyniosła mu jedzenie i gdy jadł, rozmawiali. Chciała dowiedzieć się jak najwięcej o jego życiu. Wyjaśnił, że jest oficerem i ma wielu ludzi pod swoją komendą. Spytała, czy się ożenił.

– Mam różne kobiety – odparł bez emocji. – Ożenię się, gdy wojna się skończy.

– Nadal uważasz, że trzeba obalić Mandżurów? – zapytała. – Tak jak Braciszek, którego pamiętam?

– Nic się nie zmieniło.

– I myślisz, że wojsko tajpingów może ich pokonać?

– Walczymy z nimi od lat. Czasami posuwamy się w kierunku Pekinu, innym razem oni spychają nas z powrotem. Zginęło już naprawdę wielu, ale w Nankinie mamy więcej wojska, niż liczy armia cesarza, a nasi ludzie są lepiej wyszkoleni.

– Czy to wszystko, całe to zabijanie, jest tego warte?

– Niebiańskie Królestwo warte jest każdej ceny. – Zamilkł na moment, napotkawszy jej spojrzenie pełne wątpliwości. – Trzeba w to wierzyć,

zwłaszcza gdy zabiło się już tylu ludzi, Starsza Siostro – rzekł cicho. – W przeciwnym razie nie miałoby to żadnego sensu.

– A Niebiański Król? Czy wszyscy nadal w niego wierzą?

Nio się zawahał.

– Jakiś czas temu Król Wschodu zbuntował się przeciwko niemu. To już skończone – dodał z naciskiem. Milczał przez kilka chwil. – Gdzie jest twój mąż? – spytał nagle.

Teraz dla odmiany ona się zawahała. Nie chciała mu powiedzieć, co zaszło i jak bardzo sprawy się skomplikowały. Chciał wiedzieć, czy jej mąż nie żyje; pokręciła głową.

– Zapytam twoją teściową – zagroził.

Nie pozostawało jej nic innego, jak wyznać mu prawdę. Kiedy skończyła opowiadać, nie wyglądał na wstrząśniętego, raczej na zasmuconego.

– Wszystko przez opium – odparł, wzdychając. – Niszczy każdego, kto je tknie.

– To wina brytyjskich barbarzyńców… – zaczęła, ale jej przerwał.

– Oni nim handlowali i bez wątpienia ponoszą za to winę. Ale my je kupowaliśmy. Sam je przemycałem. – Ponuro pokiwał głową. – Czarne złoto. Nazwali je tak, chociaż mak kwitnie na biało – w kolorze śmierci.

– Czy tajpingowie też palą opium?

– Niektórzy tak. Jest wszechobecne. – Popatrzył na nią. – Zapewne wydałaś już wszystkie pieniądze, które ci zostawiłem.

– Wstydzę się tego, ale nie miałam innego wyjścia.

– Wiem. Dam ci więcej, zanim odjadę, ale musisz je trzymać w ukryciu. Brat twojego męża już nigdy nie przestanie palić opium. Nie pozwól, żeby znalazł srebro. W przeciwnym razie wyda wszystko i nic ci nie zostanie.

– Nie mogę znów korzystać z twojej…

– Mam pieniądze.

O zmierzchu Mei-Ling z teściową ukryły pieniądze w bezpiecznym miejscu, gdzie pełniący funkcję głowy rodziny Starszy Brat nie miał szans ich znaleźć. Kiedy Nio wyprowadził konia ze stodoły, na niebie wisiał księżyc w pełni i oświetlał mu drogę. Mei-Ling szła obok.

Zastanawiała się, czy jeszcze się kiedyś zobaczą, ale nic nie powiedziała. Zanim Nio wsiadł na konia, popatrzyła na spokojną toń stawu, w której lśniło odbicie księżyca.

– Stańmy na mostku i razem popatrzmy na księżyc, zanim wyjedziesz – poprosiła.

– Jak wtedy, gdy byliśmy młodzi, a ja byłem jeszcze twoim małym Braciszkiem.

– Mniej więcej.

Sądzi, że może mnie więcej nie ujrzeć, pomyślał Nio, i chce mnie zapamiętać takiego, jaki kiedyś byłem.

– Czemu nie? – Uśmiechnął się i skinął głową. W pobliżu nikogo nie było. Nikt nie mógł ich zauważyć.

Zapadał zmierzch, gdy Shi-Rong i jego ludzie dotarli do wioski. Mimo że nadjechali niespodziewanie, wójt czekał już na nich przy głównej drodze. Mijani mieszkańcy patrzyli na nich z pewną obawą, ale temu akurat nie należało się dziwić. Pomimo zapadających ciemności Shi-Rong, przyglądając się pokrytej zmarszczkami twarzy starego wójta, wyczuł w jego zachowaniu coś podejrzanego.

Nie tracił czasu.

– Szukam tajpingów. Czy ktoś tędy przejeżdżał?

– Tajpingów? – Wójt mógł być wytrawnym aktorem, ale jego zdziwienie wydawało się autentyczne. – Żaden tajping tutaj nie zaglądał.

– A inni rebelianci? Ludzie triady? Hakka? Wichrzyciele?

– Nie, panie, nikt taki. Tacy ludzie od lat tu nie zaglądają.

Mówił prawdę – Shi-Rong nie miał co do tego wątpliwości. Zaskoczyło go jednak, że wójt wygląda na zadowolonego. Czyżby obawiał się, że sędzia zapyta o coś innego?

– Czy ostatnio widzieliście tu w ogóle jakichś obcych? – Starszy człowiek zmarszczył brwi, jakby usiłował sobie przypomnieć. Jego zachowanie wydało się Shi-Rongowi absurdalne; wójt musiał coś ukrywać. Reszta wieśniaków stała wokół i przysłuchiwała się.

Shi-Rong przeklął własną głupotę. Okazał się zbyt gorliwy; powinien był porozmawiać z mężczyzną sam na sam, a potem kolejno przepytać innych. A tak wszyscy wezmą przykład z wójta i powtórzą tę samą bajeczkę.

– Jakich obcych, panie?

– Misjonarzy! – zawołał gniewnie Shi-Rong, obrzucając bystrym spojrzeniem zgromadzonych, żeby przekonać się, czy ktoś zareaguje. Nikt się

z niczym nie zdradził.

– Nie widzieliśmy żadnych misjonarzy, panie.

– A brytyjskich żołnierzy? – Wszyscy pokręcili głowami. – Handlarzy opium? – Tych nigdy nie brakowało.

– Nie w ostatnim czasie, panie. Nie w ciągu minionego miesiąca.

Jako że władze nie interesowały się innymi obcymi, Shi-Rong musiał odpuścić.

– Zatrzymamy się u was na noc. Będziemy potrzebowali żywności i paszy dla koni…

– Dostaniecie wszystko, czego zażądacie, panie. – Wójt uśmiechnął się. – Niczego nie pożałujemy.

Posilając się w domu wójta, Shi-Rong wpadł na pomysł, aby zapytać o piękną kobietę, którą widział tu podczas swojej poprzedniej wizyty, i przynajmniej w tej kwestii uzyskał konkretne informacje. Mieszkała w dużym domu swoich krewnych, na skraju wioski, nad stawem. Czy była zamężna? Owszem, i miała kilkoro dzieci. Czy jej mąż przebywał w wiosce?

Wójt jakby się zawahał. Ciekawe dlaczego?

– Tak sądzę, panie. Czasami on lub jego brat wyruszają do pobliskiego miasta, ale nawet wtedy zwykle wracają przed zmrokiem.

Dlaczego Shi-Rong miał wrażenie, że nie jest to cała prawda? Być może kobieta z jakiegoś powodu nie miała męża, a wójt próbował ją chronić przed sędzią i żołnierzami, którzy, jak sobie zapewne wyobrażał, mogliby spróbować ją wykorzystać.

Po skończonym posiłku Shi-Rong wyszedł na zewnątrz i ruszył przed siebie drogą. Księżyc stał w pełni. Starał się jak najlepiej przypomnieć sobie tę kobietę. Czy rzeczywiście była aż taka piękna? Obraz, jaki zdołał odtworzyć w umyśle, był niekompletny, niedoskonały, niczym stara jedwabna szata, która się postrzępiła. Bardzo pragnął odświeżyć to wspomnienie.

Przy wjeździe do wioski, nieopodal małej kapliczki, zauważył po swojej lewej stronie ścieżkę wiodącą przez zagajnik. Czy tędy prowadziła droga do domu kobiety? Skręcił w ścieżynkę.

Przebijający przez drzewa księżycowy blask był wystarczająco jasny, aby Shi-Rong mógł pokonać nierówności drogi, choć raz czy drugi potknął

się o wystające korzenie drzew. Ścieżka wiła się przez bambusowy gaj, a po pewnym czasie znów zagłębiła się w gęstsze zarośla i Shi-Rong uznał, że zabłądził. Już miał zawrócić, gdy wydało mu się, że po lewej stronie dostrzega lśnienie wody. Szedł więc dalej, aż dotarł do miejsca, gdzie między dwoma drzewami ujrzał staw skąpany w księżycowej poświacie.

Po drugiej stronie stawu znajdowało się gospodarstwo. Brzegi spinał wąski drewniany mostek, dochodzący aż do wylotu ścieżki, na której stał Shi-Rong. Zobaczył też konia przywiązanego do barierki na końcu mostku, a na jego środku, w świetle księżyca, dwie stojące postacie. Wszystko zamarło w bezruchu, nie słychać było żadnego dźwięku, zupełnie jakby to był sen.

Dwie postacie najwyraźniej nie były świadome jego obecności. Zresztą nawet gdyby spojrzały w jego stronę, prawdopodobnie nie zdołałyby go dostrzec w cieniu drzew. Ich twarze zwrócone były w dół, ku powierzchni stawu. No tak, uświadomił sobie, podziwiają odbicie księżyca w wodzie.

Kim byli ci ludzie? Czy to ta piękna kobieta? A jeśli tak, to czy towarzyszący jej mężczyzna był jej mężem, który właśnie wrócił z miasta? Stał nieco z tyłu i trudno było dojrzeć jego rysy. Wierzchowca Shi-Rong ocenił na zbyt dobrego, aby mógł należeć do prostego wieśniaka.

Nagle kobieta podniosła głowę, żeby popatrzeć w niebo, i na jej twarz padł blask księżyca. Shi-Rong ujrzał ją całkiem wyraźnie i niemal zaparło mu dech w piersiach: to była ta sama kobieta, którą wtedy widział, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. W dodatku okazała się jeszcze piękniejsza, niż zapamiętał.

Przypuszczał, że musi być w podobnym wieku jak jego żona. Ale podczas gdy pochodząca z zamożnej rodziny żona Shi-Ronga, ze swoimi skrępowanymi stopami i w bogatych strojach wyglądała na wysoko urodzoną, lecz pospolitą, ta prosta wieśniaczka przypominała mu księżniczkę ze starożytnej legendy, jakąś niebiańską istotę. Wmawiał sobie, że to księżycowa poświata dodaje jej tego niezwykłego wdzięku, który z niej emanował – przedwiecznego, ponadczasowego.

Po wodzie niósł się cichy dźwięk, coś między szeptem a szmerem. Kobieta musiała powiedzieć coś do mężczyzny, bo ten lekko się od niej odsunął, wyprostował i śmiało popatrzył na księżyc.

Shi-Rong nie mógł oderwać od niego wzroku. Widział teraz wyraźnie każdy szczegół – długie włosy tajpinga, głębokie zmarszczki będące oznaką stanowczości, bliznę na policzku. Poznał tę twarz: oczywiście mężczyzna

był teraz starszy, ale Shi-Rong był niemal pewien, że patrzy na Nio. Mimowolnie z jego ust wyrwał się okrzyk zaskoczenia.

Nio go usłyszał; zmysły musiał mieć wyostrzone jak u dzikiego zwierzęcia. Jego oczy przeszukiwały mrok pomiędzy drzewami nad wodą. Czy dostrzeże go, ukrytego w cieniu?

Wzrok Nio zatrzymał się u wylotu ścieżki, tam gdzie kończył się mostek. Mężczyzna odezwał się:

– Kimkolwiek jesteś, wejdź na mostek, żebym mógł cię zobaczyć. – Głos miał niezwykle spokojny; brzmiał, jakby przemówił przywykły do posłuszeństwa dowódca. Wydobył długi nóż. – Jeżeli tego nie zrobisz, wejdę w zarośla, gdzie z łatwością cię znajdę i zabiję.

Wybierając się na przechadzkę, Shi-Rong nie zabrał ze sobą miecza. Przypuszczał, że nawet gdyby go miał, nie zdołałby pokonać byłego pirata. Nie uśmiechało mu się zginąć w haniebny sposób na jakiejś zarośniętej leśnej ścieżce; wolał już się ujawnić i stanąć z Nio twarzą w twarz.

– Zaczekaj – powiedział, licząc, że zabrzmiało to równie stanowczo. Kilka chwil zajęło mu przejście ścieżką do miejsca, gdzie zaczynał się mostek. Wszedł na niego z pochyloną głową, a gdy od Nio dzieliło go już tylko kilka kroków, przystanął i spojrzał na niego.

– Dobry wieczór, Nio – rzekł. – Pamiętasz mnie?

Wyraz zdumienia na twarzy Nio sprawił mu wielką satysfakcję.

– Pan Jiang!

– Kiedy ostatni raz się widzieliśmy, czmychałeś przede mną w smoczej łodzi, więc co tu u licha robisz? Widzę, że jesteś teraz zbuntowanym tajpingiem – nie sądziłem, że działają na tym terenie.

– Bo nie działają. Przyjechałem do domu zobaczyć się z rodziną i właśnie miałem wracać.

– A ja jestem sędzią. Szukamy rebeliantów. Będę musiał cię aresztować.

– Nigdy do tego nie dopuszczę. – Dłoń Nio ponownie spoczęła na nożu. – Nie chcę pana zabijać, panie Jiang, ale jeśli spróbuje pan mnie aresztować, nie będę miał innego wyjścia.

– Nie, Braciszku! – zawołała kobieta z przerażeniem. – Nie sprowadzaj na nas takiego nieszczęścia.

– Ona ma rację – zauważył Shi-Rong i zwrócił się do pięknej kobiety: – Ukrywasz tego człowieka? Dlaczego nazywasz go Braciszkiem?

Kobieta wyglądała na zdezorientowaną, więc Nio odpowiedział za nią:

– Jako chłopiec uciekłem z domu, panie Jiang. Jej rodzina przygarnęła mnie i uratowała mi życie. Była dla mnie jak siostra. Ilekroć tędy przejeżdżam, zaglądam tutaj, żeby sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. – Wskazał swojego konia. – Jak pan widzi, dopiero co przyjechałem. – Uśmiechnął się. – Stoimy na mostku, bo jej rodzina nie chciała mnie wpuścić do domu.

W tym czasie Shi-Rong obserwował kobietę. Widział, że kocha Nio. Był też pewien, że Nio mówi prawdę.

– Wygląda na to, że dobrze jej się powodzi – stwierdził, wskazując gospodarstwo Lungów. – Mają duży dom.

– Który się rozpada – odparł Nio. – Rodzina straciła cały majątek. – Rzucił Shi-Rongowi ponure spojrzenie. – Powód ten sam co zwykle: opium.

– Którego napływ usiłowałem powstrzymać – przypomniał mu Shi-Rong. I które ja pomagałem przemycać, pomyślał ze smutkiem Nio. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. – Przysięgam panu, że ani ta kobieta, ani jej rodzina nie mają nic wspólnego z tajpingami – rzekł.

Shi-Rong skinął głową.

– Ci wieśniacy nas nie interesują.

– Odjadę stąd.

– A ja pojadę za tobą.

Nio pozwolił sobie na blady uśmiech.

– Ostatnim razem panu uciekłem.

– Teraz cię dogonię.

– A wówczas jeden z nas zginie. – Nio skrzywił się kwaśno. – Może nawet obaj przypłacimy to życiem. – Odwrócił się do kobiety. – Żegnaj, Starsza Siostro. Dbaj o siebie. – Następnie bez słowa podszedł do konia, dosiadł go i odjechał w kierunku drogi.

Shi-Rong patrzył za nim.

– Czy tędy dojeżdża się do wioski? – zapytał. Przytaknęła, uznał więc, że sam też może wrócić tą drogą; nie było sensu znowu przedzierać się przez te ciemne chaszcze. Nie ruszył się jednak z miejsca. Czy powinienem od razu wyruszyć w pościg za Nio? – zastanawiał się. Jego jeźdźcy zapewne już spali. Musiałby ich obudzić, a to by im się nie spodobało. Konie potrzebowały zresztą odpoczynku. Lepiej już było obudzić wszystkich o świcie, oznajmić, że w nocy widziano w wiosce wojownika tajpingów, i wyruszyć ze świeżymi siłami.

Nio z pewnością będzie kluczył, żeby ich zgubić, lecz istniało tylko kilka dróg, którymi mógł się przedostać z powrotem do Nankinu.

Gdyby Shi-Rong miał być całkiem szczery, nie żałowałby wcale, gdyby zaszczyt schwytania Nio przypadł w udziale komuś innemu, ale stojąca przed nim kobieta tego nie wiedziała.

– On nie chciał was zabić, panie – powiedziała cicho. – Byliście kiedyś przyjaciółmi?

– Znaliśmy się.

– A teraz wy chcecie go zabić?

– To zdrajca. A ja służę cesarzowi.

– Chcecie pieniędzy, panie?

Próbowała go przekupić; co innego mogła uczynić? Wielu urzędników bez wahania przyjęłoby łapówkę.

– Myślałem, że nie masz pieniędzy.

– Nio dał mi trochę – odrzekła beznamiętnie.

Shi-Rong pokiwał głową. To oczywiste, że Nio dał jej pieniądze, których potrzebowała dla swojej rodziny. A ona zamierzała je oddać, żeby uratować mu życie.

– Nie potrzebuję pieniędzy – odparł.

Rozłożyła ręce w geście rozpaczy.

– Co oni mu zrobią? – spytała szeptem.

Nie odpowiedział. Na początek zakują go w łańcuchy, potem zaczną zadawać pytania. Interesowało ich wszystko, co dotyczyło tajpingów, sytuacji w Nankinie, planów Niebiańskiego Króla.

Jeśli przesłuchujący okażą się inteligentni, spróbują przekonać Nio, aby został ich informatorem, wrócił do Nankinu i działał tam jako wywiadowca samego cesarza. Tak zwykle postępowano ze schwytanymi piratami i przemytnikami, którzy byli gotowi służyć każdemu, kto tylko im zapłaci.

Tylko czy Nio przystanie na współpracę? I czy w ogóle cokolwiek powie?

Shi-Rong miał przeczucie, że nie. Dawniej od razu by uległ, ale teraz miał w sobie coś takiego… Był dojrzały, stanowczy, zupełnie jakby odnalazł w życiu cel. Nawet gdyby go złamali, prawdopodobnie nie powiedziałby im nic przydatnego.

Z pewnością będzie torturowany. Zrobią mu to samo, co Shi-Rong zrobił tamtemu piratowi, który przed laty w Guangzhou usiłował zabić komisarza Lina.

Przybrana siostra Nio mogła słyszeć to i owo o torturach, lecz nie zamierzał jej o nich opowiadać.

Naraz z całą wyrazistością powrócił do niego koszmar tamtych tortur oraz makabryczna śmierć niedoszłego zamachowca i uświadomił sobie, że nie chce tego dla Nio. Nie skażę go na to, pomyślał, nawet dla cesarza.

Ojciec powiedziałby mu zapewne, że musi spełnić swój obowiązek, on jednak nie miał takiego zamiaru. Ależ ta kobieta była piękna! Idealna. Nieskazitelna. Jakże niezwykłym zrządzeniem losu było odnaleźć taką urodę w biednej wiosce – zupełnie jakby znaleźć cenną perłę na pustkowiu.

– Macie wino? – zapytał. Kobieta przytaknęła. – Przynieś mi trochę, a ja tymczasem popatrzę na księżyc.

Poszła, a on został sam na mostku nad stawem i przyglądał się odbiciu księżyca w wodzie. Kiedy wróciła, odezwał się:

– Nie pojadę za Nio, ale pod jednym warunkiem. Nie możesz nikomu zdradzić, że go spotkałem i pozwoliłem mu odejść wolno. W przeciwnym razie to ja zostanę aresztowany. Rozumiesz?

Skłoniła się przed nim.

– Przysięgam, panie – odpowiedziała. Chciała odejść, lecz dał jej znak, żeby usiadła na brzegu, kilka stóp od niego. Przestraszyła się, co nie uszło jego uwagi.

Zamężnej kobiecie nie wypadało przebywać z nim sam na sam, ale kto miałby ich tutaj zobaczyć? Miał nad nią władzę. Przypuszczał, że niektórzy mężczyźni, na przykład dowódcy wojskowi podczas kampanii, mogliby spróbować ją wykorzystać.

Spojrzał na nią. Nie dotknąłbym jej, pomyślał, ale mogę podziwiać jej piękno w świetle księżyca.

– Zostanę tu do świtu – oznajmił. – A ty dotrzymasz mi towarzystwa. – Uśmiechnął się. – Będziesz musiała opowiedzieć mi jakąś długą historię.

– Historię, panie? Znam wiele legend.

– Nie. Chcę czegoś innego. Opowiedz mi historię swojego życia, tylko niech będzie zgodna z prawdą. Niczego nie pomijaj.

– Moje życie nie jest zbyt interesujące – odparła.

Uśmiechnął się.

– W takim razie usnę.

Ale nie usnął, a wieśniaczka opowiadała mu o sobie aż do świtu.

Ranek minął spokojnie. Mei-Ling pomagała teściowej, jakby zupełnie nic nie zaszło, a po południu obie trochę odpoczęły.

Wieczorem, gdy zapadł zmrok, niebo było bezchmurne. Przed domem nikogo nie było: Matka szykowała się do snu, starszy syn Mei-Ling, Ka-Fai, był utrudzony po całym dniu pracy, nawet jej szwagier, który wyjątkowo wyszedł tego dnia w pole, już się położył.

Tylko Mei-Ling jeszcze nie spała. Z dziedzińca widziała wschodzący ponad murem księżyc. Wciąż była pełnia, lecz nie miała ochoty wychodzić i patrzeć na migotliwy staw. Siedziała pod drzewem, mając przed sobą zamkniętą bramę. Czuła, że powieki opadają jej ze zmęczenia, i już chciała wstać i pójść do łóżka, gdy jakiś dźwięk przy bramie sprawił, że drgnęła i zmarszczyła brwi.

Ktoś próbował dostać się do środka. Kto to mógł być o tej porze? Nio był już z pewnością daleko. Nagle ścisnęło jej się serce i pomyślała o sędzim. Czyżby zmienił zdanie, schwytał Nio i wrócił, żeby aresztować resztę rodziny za ukrywanie go? A może to był jakiś intruz? Bramę zamknięto solidną poprzeczną belką; trzeba było więcej niż jednego człowieka, żeby ją wyłamać. Powtarzała sobie, że wystarczy poczekać, a intruz odejdzie, jednak tak się nie stało. Na dziedziniec wyszła obudzona hałasem teściowa. Spojrzały niepewnie na siebie.

Wtedy rozległ się głos; ktoś prosił, żeby go wpuścić do środka. Mei-Ling rozpoznałaby ten głos wszędzie.

– Musiałem wrócić – wyjaśnił Młodszy Syn, gdy już wszyscy siedzieli razem. – Miałem wrażenie, że coś jest nie tak, że mnie potrzebujecie.

– A co na to ten Amerykanin? – zapytała Mei-Ling.

– Nie protestował – odparł z uśmiechem jej mąż. – Powiedział tylko: „Jak mus, to mus”. – Razem z synem pospieszyli więc z powrotem, podróżując od wczesnego rana. – Teraz, kiedy przekonałem się, że nic złego się nie dzieje – ciągnął – zastanawiam się, czy jednak nie wrócić i ponownie dołączyć do Amerykanina. Na pewno moglibyśmy ich jeszcze dogonić. Przecież potrzebujemy pieniędzy.

– Już nie – rzekła matka. – Znalazłam dziś pieniądze, które twój ojciec musiał kiedyś ukryć. – Zerknęła na Mei-Ling, która szybko skinęła głową i dodała, że to doprawdy wielkie szczęście. – Wystarczy nam na jakiś czas.

– Naprawdę? – ucieszył się Młodszy Syn. – Najwyraźniej to przeznaczenie sprowadziło mnie z powrotem.

– Na pewno – przytaknęła Mei-Ling.

I choć oboje byli bardzo zmęczeni, kochali się tej nocy.

Już po kilku dniach Mei-Ling ogarnęło dziwne przeczucie. Nie potrafiła dokładnie powiedzieć, o co chodziło. Może to był instynkt? Albo wspomnienie tego, co już nieraz przeżywała? A może wyobraźnia płatała jej figle? Niezależnie od przyczyny, za nic nie mogła się pozbyć tego przeczucia. Przeczucia, że rośnie w niej nowe życie.

Trzy tygodnie później jeszcze się ono nasiliło, a po miesiącu Mei-Ling była już prawie pewna. Powiedziała matce, która pokiwała głową i nie skomentowała tego ani słowem.

Wieczorem, gdy nadszedł Młodszy Syn, Matka powiedziała mu:

– Mam dla ciebie dobrą nowinę. Znowu zostaniesz ojcem.

Młodszy Syn był przeszczęśliwy.

– To musiała być ta noc przed moim wyjazdem – powiedział Mei-Ling, kiedy zostali sami.

– Albo ta noc, kiedy wróciłeś – odparła.

– Nie sądzę – zaprotestował. – Nie rozumiesz? To dlatego czułem, że muszę wrócić do domu. – Uśmiechnął się do niej podekscytowany. – Teraz wszystko nabrało sensu. Przodkowie czuwali nad nami.

– Nie pomyślałam o tym – przyznała Mei-Ling. Rzeczywiście, mogło tak być.

Ale chociaż Mei-Ling była uradowana takim obrotem spraw, musiała zrobić coś jeszcze, aby jej szczęście było pełne.

Kilka dni później, nie mówiąc nic matce, poszła do małej buddyjskiej świątyni oddalonej o kilka mil od wioski. Zachowując szczególną ostrożność, żeby nie przestąpić progu prawą nogą i nie zrobić niczego, co mogłoby urazić duchy tego miejsca, ofiarowała Buddzie dwie zapalone świece. Następnie, klękając przed posążkiem i trzykrotnie dotykając czołem ziemi, modliła się gorąco, aby jej nienarodzone dziecko okazało się dziewczynką.

W drodze powrotnej do domu czuła padające jej na twarz ciepłe promienie popołudniowego słońca. Doznanie to było tak przyjemne, że uznała je za błogosławieństwo.

Kiedy siedem miesięcy później dziecko przyszło na świat, Młodszy Syn nie posiadał się ze szczęścia.

– Nasza pierwsza córka! – zawołał z zachwytem. – Zawsze chciałaś ją mieć. I do tego jest do ciebie taka podobna!

To prawda. Dziewczynka była drobniutka, o delikatnych rysach i wyglądała zupełnie jak Mei-Ling.

Nawet teściowa okazała zadowolenie.

– Jesteś dobrą córką – zwróciła się z uśmiechem do Mei-Ling. – Będziemy mieć naprawdę ogromne szczęście, jeśli to dziecko oprócz urody odziedziczy twój charakter. – Wszystkie znaki astrologiczne również ułożyły się obiecująco.

Tylko jakie imię powinni dla niej wybrać? Rozwiązanie znalazł Młodszy Syn.

– Musiała zostać poczęta podczas pełni księżyca – rzekł. – Nazwiemy ją więc Jasny Księżyc. O ile nie masz nic przeciwko temu – dodał, spoglądając na Mei-Ling, która ochoczo na to przystała.

W PAŁACU

Od młodości zwą mnie Lakowany Paznokieć, ale żeby zasłużyć na to imię, musiałem najpierw trafić do pałacu samego cesarza, wyjaśnię więc, jak do tego doszło. Moja historia nie jest zwyczajna; nie znam nikogo, kto miałby równie ciekawe życie.

Wioska, w której przyszedłem na świat, leży około piętnastu mil na południe od Pekinu. Rodzice mieli dziewięcioro dzieci, ale tylko troje z nich przeżyło okres niemowlęcy – moje obie siostry i ja, na mnie więc spoczęła odpowiedzialność za przedłużenie rodu.

Ojciec był stolarzem, ale chyba niezbyt dobrym, bo często zdarzało mu się nie mieć pracy. Tak naprawdę był marzycielem. „Mój dziadek urodził się jako syn bogatego kupca – powtarzał – ale dla mnie pieniądze nie mają znaczenia". Ilekroć tak mówił, matka krzyczała na niego: „Tylko dlatego, że ich nie masz!". Czasami miała go serdecznie dosyć, choć myślę, że rodzice się kochali.

Pamiętam jeden raz, kiedy starał się zdobyć dla nas pieniądze; miałem wówczas siedem lat i ojciec zabrał mnie do Pekinu.

Brat dziadka wyjechał do stolicy na długo przed narodzinami mego ojca, ale każdej wiosny przyjeżdżał do naszej wioski na święto zmarłych, Qingming, żeby odwiedzić groby przodków. Zaniechał tego kilka lat przed moimi narodzinami ze względu na swój sędziwy wiek, więc nigdy nie miałem okazji go poznać. Kiedy przybyliśmy do Pekinu, dobiegał już chyba osiemdziesiątki.

Oczywiście jako najstarszy żyjący członek rodziny ojca był dla nas autorytetem. Pamiętam, że ojciec pouczył mnie, jak mam się do niego zwracać, nie znałem bowiem oficjalnego tytułu, jakim określano starszego brata dziadka ze strony ojca. Tytuł krewnego ze strony matki brzmiałby, rzecz

jasna, zupełnie inaczej; w Chinach już małe dzieci muszą się orientować w złożonych kwestiach powinowactwa. „Gdyby to był młodszy brat mojego ojca, nazywałbyś go *shu gong* – wyjaśnił mi ojciec. – Ale ponieważ jest jego starszym bratem, mówimy na niego *bo gong*”. Kiedy już nauczyłem się poprawnego tytułu, matka poinstruowała mnie: „Jak już spędzisz z nim trochę czasu, możesz zacząć pieszczotliwie nazywać go dziadkiem, jakby naprawdę nim był. To może mu się spodobać. Wzbudzisz tym jego sympatię”.

Ogromnie ucieszyła mnie myśl, że mógłby mnie pokochać tak czcigodny członek naszej rodziny, w nocy usłyszałem jednak, jak matka zwraca się do ojca: „Jeśli staruszek ma jakieś pieniądze, powinien nam je zostawić w spadku, widząc, że mamy zdrowego syna, który przedłuży nasz ród. Sam nie ma przecież własnych dzieci. Komu innemu miałby przekazać majątek?”.

Niezależnie od powodów naszej wizyty byłem bardzo podekscytowany wyprawą do Pekinu. Zaczęła się jesień, w owym roku wyjątkowo sucha; pamiętam, że liście spadające z drzew rosnących przy drodze były brązowe i łatwo się kruszyły, jakby ktoś je przypiekł na ogniu.

Do stolicy poszliśmy na piechotę. Od czasu do czasu ojciec podnosił mnie i sadzał sobie na ramionach, lecz mniej więcej połowę drogi musiałem pokonać sam. W południe zatrzymaliśmy się i zjedliśmy prowiant, który przygotowała na drogę matka, a wieczorem dotarliśmy do Pekinu.

Starszy brat mego dziadka miał jadłodajnię, w której sprzedawano makaron. Ojciec wiedział, gdzie znajduje się ów lokal, ale kiedy trafiliśmy na miejsce, nie zastaliśmy tam staruszka. Właśnie zapadał zmierzch i zapalano latarnie. Ludzie prowadzący jadłodajnię powiedzieli nam, że brat dziadka przeszedł na emeryturę, lecz nadal mieszka na sąsiedniej ulicy. Poszliśmy więc dalej.

Bez trudu odnaleźliśmy jego dom, który wcale nie był taki duży, jak to sobie wyobrażałem. W istocie był maleńki. Ojciec cicho zapukał do drzwi; nastąpiła dłuższa przerwa, po czym ktoś ostrożnie je uchylił.

Na starość ludzie się kurczą, jednak brat dziadka okazał się wyjątkowo drobnej budowy – wyglądał na niewiele wyższego ode mnie, mimo to sprawiał wrażenie całkiem żwawego. Uniósł trzymaną w ręku lampę, żeby się nam przyjrzeć. Pamiętam, że pomyślałem, iż przypomina jakiegoś ciekawskiego ptaka. Od razu wiedziałem, że to brat dziadka: miał taką samą małą

twarz jak mój ojciec. Myślałem, że będzie cały pomarszczony, jak starcy w naszej wiosce, lecz jego skóra była całkiem gładka, niczym u mnicha.

– Bratanku – rzekł na widok mego ojca. – Postarzałeś się, odkąd cię ostatni raz widziałem. A kim jest ten chłopiec?

– To mój syn.

– *Bo gong* – wymamrotałem i ukłoniłem mu się bardzo nisko.

Staruszek spojrzał na mnie. W świetle lampy zobaczyłem, że oczy ma jasne, a wzrok bystry.

– Ładny chłopak – zauważył, po czym wprowadził nas do domu. Składała się nań w zasadzie tylko jedna izba, do której od tyłu przylegała nieduża kuchnia. W głównym pomieszczeniu znajdował się szeroki piec do spania – kang – na którym można było usiąść; przez ściankę działową był połączony z nagrzewającym go piecem kuchennym. Był tam też mały drewniany stół, ława i skrzynia, w której, jak sądzę, staruszek przechowywał swoje ubrania i inny dobytek.

Zapytał ojca, czy mamy się gdzie zatrzymać, a ojciec pokręcił głową.

– W takim razie – rzekł brat mojego dziadka – możecie spać tutaj. – Nie wydawał się mieć nam za złe tej niespodziewanej wizyty. – Na kangu jest dość miejsca dla mnie i dla chłopca, ty zaś możesz spać obok na podłodze. Będzie ci całkiem ciepło. – Przyjrzał się ojcu uważnie. – Mam nadzieję, że nie jesteście głodni – rzekł – bo nie mam nic do jedzenia.

– Przywieźliśmy wam podarek – powiedział ojciec i wręczył mu prezent.

Matka bardzo się postarała, abyśmy nie przybyli z pustymi rękami. Własnoręcznie przygotowała osiem ciastek z fasoli mung – była dobrą kucharką, która umiała z niczego przyrządzić smaczny posiłek. Każde ciastko ładnie zapakowała w czerwony papier i umieściła zgrabnie jedno obok drugiego w bambusowej skrzyneczce.

Starszy Brat Dziadka położył ją na stole i obejrzał w świetle lampy.

– Jest naprawdę piękna. Twoja żona ją zrobiła? Jakie to szczęście, że masz taką dobrą żonę. Mogę zapytać, co zawiera?

– Ciastka – odpowiedział ojciec.

– Wobec tego – rzekł staruszek – otwórzmy ją, chociaż zwykle nie otwiera się prezentu przy obdarowującym. – Odwrócił się do mnie. – Masz ochotę na ciastko? – Ponieważ od południa niczego nie jadłem i czułem wielki głód, podziękowałem mu i przytaknąłem. – Zjedzmy je zatem wspólnie – zaproponował Starszy Brat Dziadka.

Podczas gdy my jedliśmy, starszy pan zaparzył dzbanek herbaty i postawił na stole trzy filiżanki. Byliśmy bardzo zmęczeni, więc głównie milczeliśmy.

– Gdybyś musiał wyjść za potrzebą – zwrócił się do ojca Starszy Brat Dziadka – kawałek dalej przy ulicy jest latryna. – Ojciec wstał i wyszedł, lecz ja nie chciałem. Widząc to, staruszek powiedział: – Jeśli cię w nocy przyciśnie, to tam, pod tą ściereczką, stoi nocnik. Możesz z niego korzystać, jest całkiem czysty.

Rzeczywiście, w kącie izby znajdował się nocnik; w świetle lampy zauważyłem kurz pokrywający ścierkę. Podziękowałem grzecznie, położyłem się na ciepłym kangu i usnąłem, zanim wrócił ojciec.

Rano poszedłem z nim do owej latryny. Nigdy wcześniej nie byłem w podobnym miejscu. Bogatsi chłopi z naszej wsi, zamieszkujący w domach z dziedzińcem pośrodku, mieli własne latryny, zwykle znajdujące się w południowym narożniku dziedzińca, które opróżniało się od strony drogi. Niektóre gospodarstwa miały też małe, zadaszone szopy, gdzie nieczystości wpadały do otwartego dołu, skąd można je było wywozić na pole jako nawóz albo karmić nimi świnie. My jednak nie mieliśmy latryny; korzystaliśmy z ogólnie dostępnego miejsca, gdzie znajdowały się wykopane w ziemi dziury, i załatwialiśmy co trzeba na świeżym powietrzu. Podczas deszczu ludzie starali się tam nie chodzić, ale i tak wolałem te prowizoryczne latryny, bo wiatr szybko rozwiewał nieprzyjemne zapachy.

Tymczasem w publicznej pekińskiej latrynie, znajdującej się w zamkniętej szopie, smród był tak okropny, że nieomal zemdlałem.

Po wszystkim umyliśmy się i poszliśmy ze Starszym Bratem Dziadka do jadłodajni, którą niegdyś prowadził, gdzie zjedliśmy makaron na śniadanie.

– Nadal tu przychodzę popracować godzinkę albo dwie – wyjaśnił nam staruszek. – Dają mi wtedy makaron za darmo. Dopóki starczy mi sił do pracy, nie będę głodował. – Słysząc to, ojciec nie wyglądał na zbytnio uradowanego, zauważyłem jednak, że wszyscy w jadłodajni odnoszą się do starszego pana niezwykle przyjaźnie, i pomyślałem, że musi się cieszyć powszechnym szacunkiem.

Następnie poszliśmy do pobliskiej niedużej świątyni taoistycznej, gdzie Starszy Brat Dziadka zapalił trzy kadzidełka. Jeden z kapłanów, odziany w ciemnoniebieskie szaty, zbliżył się do nas, aby go powitać. Staruszek

wyjaśnił mu, kim jesteśmy, a kapłan uśmiechnął się i powiedział ojcu, że jeśli chodzi o rozwój duchowy, jego wuj zrobił ogromne postępy. Nazajutrz, gdy byliśmy już w drodze do domu, ojciec stwierdził, że wuj musiał ofiarować świątyni hojne datki, skoro tak dobrze się tam o nim wyrażano. Pamiętam, że zrobiło mi się smutno, kiedy to powiedział; nawet teraz, będąc już stary, wciąż wierzę, że kapłan mówił szczerze. W życiu bywa różnie: niektórzy naprawdę mówią to, co myślą.

Jednak kulminacyjny punkt tamtej wizyty w Pekinie nie miał nic wspólnego z moim krewnym. Był to w zasadzie drobiazg, ale otworzył mi oczy na to, jak wielki i piękny jest świat.

Późnym rankiem wybraliśmy się na spacer. Starszy Brat Dziadka zapowiedział, że pokaże mi wspaniałą Bramę Tiananmen. Szli z ojcem ramię w ramię, a ja podążałem za nimi. Staruszek opowiadał ojcu różne rodzinne historie, gdy nagle usłyszeliśmy narastający odgłos bicia w bębny i uderzeń w gongi.

– Chyba nadchodzi ktoś ważny – zauważył ojciec i szybko usunęliśmy się z drogi, żeby przepuścić tę ważną osobistość.

– Czy zobaczymy cesarza? – spytałem. Starszy Brat Dziadka roześmiał się na to.

– Prawie nigdy nie opuszcza swojego pałacu, a gdy już to czyni, na pewno byś go nie zobaczył – no, chyba że chcesz, żeby ucięto ci głowę. Kiedy znajduje się w swoim powozie, nikomu nie wolno na niego spojrzeć, więc na wszelki wypadek nie odrywajcie wzroku od ziemi.

– Słyszałem – rzekł ojciec – że w niektórych barbarzyńskich krajach władcy pozwalają na siebie patrzeć.

– To tylko świadczy o ich niskiej randze – odparł natychmiast starzec. Pamiętam, poczułem się bardzo dumny z tego, że cesarz mojego kraju jest tak podobny do bogów, iż nie wolno nawet na niego zerknąć.

Nie był to zresztą cesarz, tylko jakiś urzędnik dworski, na tyle ważny, że poprzedzał go strojny orszak. Niektórzy dworacy nosili na głowach stożkowate kapelusze i mieli na sobie bogato haftowane jedwabne szaty. Teraz, widząc haftowany jedwab, prawdopodobnie od razu potrafiłbym stwierdzić, kto wykonał haft i czy nie opuścił ani jednego ściegu; owego dnia jednak po raz pierwszy w życiu zobaczyłem równie olśniewające stroje. Przyszło mi na myśl, że muszą być bardzo ciężkie, i byłem ciekaw, czy to dlatego noszący je ludzie poruszają się tak powoli i dostojnie.

Najważniejsze jednak, że na widok owych jedwabnych szat pojąłem, jakie jest moje powołanie. Skąd ptak wędrowny wie, w którą stronę ma lecieć? Otóż to: wie, i już. Zapewne kieruje nim instynkt. Tak samo było ze mną tamtego dnia w Pekinie: ujrzawszy po raz pierwszy w życiu prawdziwą subtelność i elegancję, zrozumiałem, gdzie jest moje miejsce. To było takie proste.

– Kim są ci mężczyźni? – zapytałem.

– Nazywamy ich osobami z pałacu – odparł Starszy Brat Dziadka.

– Chcę być taki jak oni – oznajmiłem, co bardzo go rozśmieszyło. Ojciec tylko pokręcił głową; nie wiedziałam dlaczego, dopóki kilka minut później nie usiedliśmy w herbaciarni.

– Zauważyłeś, że mężczyźni, których widziałeś, mieli bardzo delikatną skórę? – zapytał mnie Starszy Brat Dziadka. Musiałem przyznać, że nie zwróciłem na to uwagi. – Mają też wysoki głos – dodał – a to dlatego, że są eunuchami. Wiesz, kim jest eunuch? – Zaprzeczyłem. – Eunuch to mężczyzna, któremu ucięto jądra i penisa, żeby nie mógł płodzić dzieci. Nazywa się to kastracją. Eunuchowie dostają posady w pałacu, ponieważ nie stanowią zagrożenia dla żadnej z żon ani konkubin cesarza. Nie mogą ich uwieść.

– Myślałem – wtrącił ojciec – że czasami ucina się tylko jądra, a penis zostaje, żeby mogli oddawać mocz.

– Kiedyś istotnie tak robiono – odrzekł Starszy Brat Dziadka. – Później jednak okazało się, że niektórzy eunuchowie pomimo braku jąder mogli osiągnąć wzwód. Możesz sobie wyobrazić, do czego w związku z tym dochodziło pomiędzy nimi a cesarskimi nałożnicami, które nie mają w pałacu nic do roboty.

– No tak. – Ojciec się zaśmiał. – A to dopiero!

– Teraz więc wszystko im się usuwa – ciągnął starzec – zazwyczaj, gdy są jeszcze chłopcami. Wtedy nie jest to tak niebezpieczne.

– Czyli sikają jak kobiety? – chciał wiedzieć ojciec.

– Mniej więcej. Zazwyczaj nie kontrolują tak dobrze zwieraczy i muszą się często podmywać. – Starzec zwrócił się ku mnie: – Niektórzy z nich istotnie dorabiają się w pałacu fortuny, wielu jednak umiera w nędzy. Ale ty przecież chcesz mieć żonę i dzieci, prawda?

– Owszem, chce – odpowiedział za mnie ojciec.

– Chcę – przytaknąłem.

– W takim razie będziesz musiał wzbogacić się w inny sposób – stwierdził Starszy Brat Dziadka – choć nie mam pojęcia, jak miałbyś tego dokonać.

Od tej pory poświęciłem się roztrząsaniu kwestii, jak zdobyć majątek, a jednocześnie móc założyć rodzinę.

Po powrocie do domku Starszego Brata Dziadka nasz gospodarz postanowił odpocząć. My też byliśmy dość zmęczeni, zatem się położyliśmy. Spałem godzinę, może dwie, a gdy się obudziłem, zobaczyłem, że staruszek przygląda mi się zamyślony. Ojciec także się zbudził, lecz gdy Starszy Brat Dziadka przemówił, zwrócił się do mnie, nie do niego.

– Mylisz się, sądząc, że bogactwo uczyni cię szczęśliwym – rzekł. – W istocie jest wręcz odwrotnie. Im więcej dóbr posiadasz, tym więcej masz powodów do zmartwień. Są niczym ciężkie brzemię na twoich barkach. Mądry człowiek troszczy się tylko o to, co jest mu naprawdę niezbędne, i o nic więcej; wtedy jego życie jest proste, a on sam jest wolny. Tego się właśnie nauczyłem i tak staram się żyć. – Uśmiechnął się i wykonał gest ręką. – Rozejrzyj się po tej izbie. Co jest najważniejszą rzeczą, jaką tu widzisz?

Omiotłem spojrzeniem ławę, stół, skrzynię i przykryty czystą szmatką nocnik.

– Nocnik – odparłem, wspominając okropny smród publicznej latryny.

– Niewiele się pomyliłeś – odpowiedział – ale nie o niego mi chodziło. Najważniejszy jest kang, na którym siedzisz. Pomyśl, jak prosto skonstruowany jest nasz tradycyjny piec do spania. Zamiast marnować ciepło z kuchennego pieca i wypuszczać dym kominem, odprowadzamy go bokiem poprzez przewód biegnący środkiem kangu, dzięki czemu ogrzewa cegły, zanim wydostanie się przez otwór wentylacyjny na drugim końcu przewodu. Nawet gdy ogień w kuchni gaśnie, cegły przez całą noc pozostają ciepłe, a my możemy siedzieć na naszym kangu w dzień i spać na nim w nocy. Czy może być coś lepszego? Nawet rodzina cesarska przesiaduje w pałacu na kangach. – Jego twarz rozjaśnił pogodny uśmiech. – Mimo to na południu, w miastach takich jak na przykład Guangzhou, nie używają kangów. Dlaczego?

– Nie wiem – przyznałem.

– Bo tam jest gorąco. Nie potrzebują ich. Okoliczności są inne, a więc i potrzeby się zmieniają.

– Podobno – rzekł ojciec – Rosjanie mają coś podobnego w swojej krainie, w której panuje wielkie zimno.

– Musieli się tego nauczyć od nas – stwierdził starzec.

– A może to my nauczyliśmy się tego od nich – podsunąłem, myśląc, że jestem bardzo mądry. Lecz Starszy Brat Dziadka pokręcił głową. – To bardzo mało prawdopodobne – rzekł.

– Dlaczego?

– Bo Chińczycy są bardziej inteligentni – oświadczył, jakby to było oczywiste. Zapamiętałem jego słowa, gdyż oczywiście miał rację.

Muszę tu dodać, że jego mądrość wywarła na mnie ogromne wrażenie. Widać było, że żyje w zgodzie ze sobą. Dzieci wyczuwają takie rzeczy, nawet jeśli nie do końca je pojmują.

– Rozumiem, że macie wszystko, czego wam trzeba, i nic ponadto – powiedziałem.

– Mimo to – odrzekł – zawsze można żyć lepiej. Z początkiem każdego nowego roku staram się wyobrazić sobie kolejną rzecz, bez której mógłbym się obejść. Nie zawsze jest to łatwe, ale w końcu zawsze znajduję coś, czego tak naprawdę nie potrzebuję, i pozbywam się tego.

– A czego pozbędziecie się w tym roku, dziadku? – zapytałem; tym razem, idąc za radą matki, świadomie nie zwróciłem się do niego oficjalnym tytułem. Staruszek przez chwilę mi się przyglądał. Nie wiedziałem, czy ucieszył go ten przejaw czułości, ale chyba tak, bo się uśmiechnął.

– Sam mi to przyniosłeś – odpowiedział. – Mam na myśli te piękne opakowania, w które twoja matka zawinęła ofiarowane mi ciastka. Wiele osób cieszyłoby się nimi i zrobiłoby z nich dobry użytek. Zatrzymam je więc, aby się nimi radować i móc życzliwie myśleć o twojej drogiej matce aż do nowego roku, a potem je oddam. Ułatwiliście mi zadanie, bo prawdę mówiąc, nie wiem, czy zostało mi coś jeszcze, bez czego mógłbym się obejść.

– W takim razie dobrze zrobiliśmy, przybywając tutaj – ucieszyłem się.

– W rzeczy samej. A teraz ja dam ci coś w prezencie – rzekł. Podniósł się z kangu, podszedł do skrzyni, otworzył ją, wyjął skórzaną sakiewkę, a z niej miedziaka. Była to zwykła, nieduża moneta z kwadratowym otworem w środku. Już wtedy wiedziałem, że na jeden srebrny tael składa się tysiąc takich monet, nanizanych na sznurek.

– Proszę – powiedział – to dla ciebie. Chcę, abyś zachował ją na pamiątkę tych odwiedzin i od czasu do czasu pomodlił się za mnie.

– Dobrze – obiecałem, ogromnie uradowany.

– Wuju – wtrącił mój ojciec – wiecie, że gdybyście kiedykolwiek chcieli wrócić do wioski, zawsze możecie zamieszkać u nas. – Ojciec nie wydawał się zbytnio zachwycony tą perspektywą, ja jednak ucieszyłem się, bo bardzo polubiłem staruszka.

– Tak, tak! – zawołałem. – Byłoby wspaniale!

Starszy Brat Dziadka siadł na kangu i uśmiechnął się do nas. Wyglądał tak spokojnie.

– To bardzo miłe z waszej strony – odparł. – Ale waszym zadaniem jest opiekować się mogiłami przodków. To najważniejsza sprawa. Ja raczej zostanę w Pekinie i któregoś dnia umrę tu po cichu, nie sprawiając nikomu kłopotu. Kapłani z taoistycznej świątyni już będą wiedzieli, co zrobić, kiedy nadejdzie czas. Nigdy nie wiadomo – dodał żartobliwie – śmierć może przyjść po mnie już jutro albo dopiero za wiele lat.

– Wystarczy wam pieniędzy na życie? – upewnił się ojciec.

– Dam sobie radę. Mam niewielkie potrzeby – odrzekł staruszek. – Wiedz jednak, że jeśli uznam, że na mnie pora, to niezależnie od powodu z łatwością rozstanę się z tym światem.

– Naprawdę? – zdziwiłem się. – Jak to?

– Po prostu przestanę jeść i pić. To nic nie boli, człowiek po prostu staje się coraz słabszy i coraz bardziej senny. Nie wolno wtedy niczego pić. To najtrudniejszy etap, ale niezwykle ważny, bo dzięki temu się umiera.

– Uczycie mojego siedmioletniego syna, jak się zabić?! – wybuchnął ojciec.

– Zadał mi pytanie – stwierdził starzec.

Nie byłem wcale wstrząśnięty – przeciwnie, wydało mi się to interesujące.

Po tej rozmowie ojciec poszedł się przejść, a Starszy Brat Dziadka i ja zostaliśmy w domu i zjedliśmy jeszcze po jednym ciastku od mojej matki. Opowiedział mi, jak on i mój dziadek mieszkali w wiosce, kiedy byli chłopcami. Dowiedziałem się, że ich ojciec był kupcem i miał niewielki majątek, który stracił.

– Był bardzo nieszczęśliwy z tego powodu – mówił starzec. – To nauczyło mnie, aby nie przywiązywać się zbytnio do rzeczy materialnych.

– Dlaczego zamieszkaliście w Pekinie? – zaciekawiłem się.

– Ze wsi wygnała mnie nuda – odparł.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyruszyliśmy w drogę powrotną. Ojciec grzecznie pożegnał się ze staruszkiem, ja się ukłoniłem, a Starszy Brat Dziadka obdarzył mnie promiennym uśmiechem. Pokazałem mu jeszcze miedzianą monetę, którą od niego dostałem i teraz ściskałem w ręku.

Ojciec był oburzony, że Starszy Brat Dziadka podarował mi tylko tego miedziaka.

– Jedna miedziana moneta! Wiesz chyba, że jest właściwie bezwartościowa, prawda? – zżymał się.

W istocie staruszek wykazał się wielką mądrością, wręczając mi miedziaka. Gdyby podarował mi srebrną monetę, na pewno coś bym za nią kupił, a tak przynajmniej nie kusiło mnie, żeby ją wydać, i mam ją do dziś. Może dlatego tak dobrze pamiętam wszystkie szczegóły tamtej wizyty.

Reszta mojego dzieciństwa była raczej nieciekawa. Jedno nie ulegało wątpliwości: w naszej wiosce próżno było szukać tego, co piękne i wyszukane. Nie byliśmy bynajmniej odcięci od świata – od Wielkiego Kanału, biegnącego od wybrzeża na północ, aż do Pekinu, dzieliły nas tylko cztery mile przez pola i często tam chodziłem, żeby popatrzeć na łodzie.

Na północ od portu na część odcinków Wielkiego Kanału składa się w istocie koryto rzeki Peiho, choć w niektórych miejscach jej błotniste brzegi są tak wysokie i utwardzone, że przypomina bardziej kanał niż rzekę. Jednak ostatni jego fragment aż do Pekinu stanowi w całości dzieło człowieka i przebiega przez kilka śluz. Przy pierwszej z nich znajduje się niewielki zajazd, do którego często zaglądają załogi przepływających łodzi, żeby coś przekąsić i pogawędzić z karczmarzem.

Uwielbiałem tam chodzić; z jakiegoś powodu ciągnęło mnie do tej śluzy. Mówi się, że my, Chińczycy, opanowaliśmy sztukę ich budowania już tysiąc lat temu albo i wcześniej, bo najstarsze kanały pochodzą jeszcze z czasów dynastii Han, czyli sprzed dobrych dwudziestu wieków.

Głównym spławianym tamtędy towarem było zboże, ale zdarzały się też inne ładunki. Mimo że zwykle tkwiły starannie zapakowane w skrzyniach, czasem mignęła mi bela jedwabiu albo wysokie, porcelanowe, malowane wazy. Jakże marzyłem, aby znaleźć się na pokładzie którejś z tych łodzi!

Pewnego razu, stojąc przy śluzie, usłyszałem rozmowę, która wywarła na mnie ogromne wrażenie. Jakiś kupiec i jego syn – chłopiec mniej więcej

w moim wieku – rozprostowywali akurat nogi na brzegu kanału, podczas gdy ich łódź pokonywała śluzę. „Może ci się to nie podobać – dotarł do mnie głos kupca – ale i tak musisz się uczyć. Nigdzie w życiu nie zajdziesz, jeśli nie opanujesz czytania i pisania. To klucz do twojej przyszłości”.

Nie zdawałem sobie dotąd sprawy, jak ważna jest taka wiedza. W naszej wiosce kilka osób potrafiło czytać i pisać, ale biedacy pokroju mego ojca wszyscy byli niepiśmienni. Nie potrzebowałem wiele czasu, aby dodać dwa do dwóch: jeśli marzyło mi się lepsze życie, musiałem nauczyć się czytać.

Odtąd usilnie namawiałem ojca, żeby znalazł mi nauczyciela. W wiosce żył pewien starszy człowiek, który udzielał lekcji sześciu synom najbogatszych chłopów i rzemieślników. Nauczycielom trzeba jednak płacić, a to nie wchodziło w grę. Żeby móc zarabiać pieniądze, myślałem sobie, potrzebujesz nauczyciela; żeby go zatrudnić, też musisz mieć pieniądze. Wyglądało na to, że znalazłem się w sytuacji bez wyjścia.

Wówczas to mój ojciec wpadł na świetny pomysł. Zagadnął owego człowieka, czy nie przyjąłby za swoje lekcje zapłaty w towarach, jednak starzec nie potrzebował wyrobów stolarskich mego ojca.

– Tak naprawdę to potrzebna mi jest para skórzanych butów na zimę, takich, jakie noszą Mandżurowie. Myślisz, że dałbyś radę je dla mnie zrobić?

– Naturalnie – odparł ojciec. – Zrobię panu najlepsze skórzane buty, jakie pan kiedykolwiek widział. – I tak dobili targu.

Po powrocie do domu ojciec zwrócił się do matki:

– Potrafisz zrobić parę skórzanych butów? – Szewstwo stanowiło głównie kobiece zajęcie.

– Nie wiedziałabym nawet, jak się do tego zabrać – odpowiedziała.

– Cóż, wobec tego sam będę musiał się tym zająć – stwierdził ojciec z optymizmem. I tak zacząłem naukę.

Podczas gdy większość chłopców z konieczności chodziła na lekcje do staruszka, ja je uwielbiałem! Wkrótce potrafiłem rozpoznać około dwustu znaków chińskiego pisma, jeśli zaś chodzi o naukę pisania, szybko opanowałem podstawowe pociągnięcia pędzelkiem, które należy znać, aby zapisać każdy znak. Starzec nie dopuszczał, aby jego uczniowie wykonywali pędzelkiem nieuważne i pospieszne ruchy, co stanowi przywarę większości chłopców, którzy z reguły są bezmyślni i niecierpliwi. Według mnie każde takie pociągnięcie było zachwycające, bo przybliżało mnie do tego, co w życiu piękne i wyszukane. Każdą linię mógłbym kreślić godzinami. Sta-

ruszek musiał to zauważyć, bo czasami mnie zagadywał. Brzmiało to zabawnie, ponieważ brakowało mu kilku zębów, ale wystarczyło trochę przywyknąć i można go było całkiem dobrze zrozumieć.

– Pisanie jest jak gra na instrumencie muzycznym – mawiał. – Wymaga długotrwałych ćwiczeń i ścisłego przestrzegania zasad. Brzydki charakter pisma sprawia ból czytającemu. Bije z niego cała głupota i wulgarność piszącego. Za to na staranny charakter pisma patrzy się z przyjemnością. Uczeni potrafią rozpoznać dzieła wielkich mistrzów po ich piśmie, które nie tylko odczytujemy, ale i studiujemy, albowiem kaligrafia stanowi czystą emanację duszy piszącego.

– A więc uczeni muszą się bardzo napracować, żeby wyrazić, co im leży na sercu – stwierdziłem.

– Skądże! – zaprzeczył. – Jest wręcz odwrotnie. Kontemplują każdy znak, jakby to był krajobraz, po czym godzinami ćwiczą, starając się jak najwierniej odtworzyć to, co mają przed oczami. Stopniowo tracą przy tym poczucie własnego ja. Taki stan nosi nazwę tao. Mówimy, że stają się nieświadomi swojej duszy, a więc popadają w coś w rodzaju nieistnienia. Co ciekawe, każda próba opisania tego stanu mu szkodzi. – Uśmiechnął się. – Nawet ja to rozumiem, przynajmniej częściowo. Ja, biedny wiejski starzec z gromadką głupich uczniów.

– W ogóle nie rozumiem, o czym mówicie – rzekłem. Nie byłem nieuprzejmy, po prostu nie wiedziałem, co nauczyciel ma na myśli. Nie brzmiało to wcale jak gwarancja lepszego życia.

– Wiem – odparł. – Ale pewnego dnia może to zrozumiesz.

– Naprawdę? – zdziwiłem się.

– Nie do końca – odrzekł. – Chociaż nigdy nic nie wiadomo. – Chyba go to rozbawiło.

Moje uwielbienie dla chińskich znaków rosło i po kilku tygodniach potrafiłem już zapisywać kilka z nich w zadowalający sposób.

Jedyny problem stanowiły buty. Ojcu udało się zdobyć skórę z warsztatu, w którym wówczas pracował. Matka wystarała się dla niego o tkaninę oraz inne niezbędne rzeczy, on jednak nigdy w życiu nie zrobił pary butów.

– Wygląda na to – powiedział w końcu matce – że to nie takie proste.

– Lepiej rozejrzyj się za kimś do pomocy – poradziła matka. W sąsiedniej wiosce mieszkała szewcowa, którą znała, poszła więc do niej, ale nic nie wskórała: szewcowa odparła, że ojciec nie powinien się zajmować robieniem butów, więc ona mu nie pomoże.

– Nie martw się – stwierdził ojciec. – Dam sobie radę sam.

I wczesną jesienią wręczył staremu nauczycielowi parę butów, które wyglądały na dobrze dopasowane, dzięki czemu mogłem kontynuować lekcje. Później jednak nadeszła zima i pewnego chłodnego, deszczowego ranka wielce rozgniewany staruszek przyszedł do naszego domu i zawołał do ojca tak głośno, że wszyscy sąsiedzi go usłyszeli:

– Popatrz tylko na te buty! Całe przesiąkają, a mnie jest zimno w nogi!

– Naprawię je – zaproponował mój ojciec.

– Nie, nie naprawisz – odkrzyknął staruszek. – Gdybyś znał się na rzeczy, w ogóle by nie przemakały. Nie zamierzam odmrozić sobie stóp tylko po to, żeby twój syn mógł się nauczyć czytać i pisać.

I na tym skończyła się moja nauka. Chciałem sam zdobyć środki na opłacenie lekcji, ale ilekroć coś zarobiłem, słyszałem od matki, że nasza rodzina bardzo potrzebuje tych pieniędzy. Po tej historii z butami ojciec popadł w przygnębienie i matka zabroniła mi rozmawiać z nim o dalszej nauce, bo to go unieszczęśliwia.

Ja się jednak nie poddawałem. Ilekroć widziałem gdzieś jakiś chiński znak, na przykład w świątyni, zapisywałem go na pierwszym skrawku papieru, jaki udało mi się znaleźć, i starałem się dowiedzieć, co on oznacza. Jak wiecie, większość chińskich znaków składa się z małych obrazków przedstawiających żywioły – człowieka, dom, słońce, wodę i tak dalej – które w połączeniu ze sobą zyskują określone znaczenie. Z upływem lat udało mi się wiele z nich rozszyfrować, a gdy coś mnie przerastało, pytałem swojego dawnego mistrza. Za pierwszym razem, kiedy do niego przyszedłem, trochę się rozzłościł, ale gdy wyjaśniłem, co według mnie oznacza dany znak i dlaczego, wybuchnął śmiechem i wszystko mi wytłumaczył. Później, widząc mnie w wiosce, wołał zawsze: „Masz dla mnie jakiś nowy znak?!”. Czasami zdarzało mi się poprawnie odgadywać nawet złożone znaczenia, a raz mój dawny nauczyciel, spojrzawszy na to, co napisałem, powiedział: „Twoje pismo wygląda nie najgorzej, zważywszy na to, że nie masz o niczym pojęcia”. Byłem z siebie dumny! Mimo to nadal nie chciał mnie uczyć, bo nie byłem mu w stanie zapłacić.

Kiedy miałem czternaście lat, z taoistycznego klasztoru nadeszła wiadomość, że Starszy Brat Dziadka jest umierający, więc obaj z ojcem ponownie wyruszyliśmy do Pekinu. Zastaliśmy staruszka w jego domu w towarzy-

stwie mnicha, który się nim opiekował. Widziałem, że nie zostało mu wiele czasu: mnisi wstawili już trumnę do domu, jak to się zwykle czyni, zanim ktoś umrze. Upewniłem się, czy na żadnej ze ścian nie ma lustra; wiedziałem, że jeśli w lustrze odbije się trumna, będzie to oznaczało rychłą śmierć innego członka rodziny, a nie chciałem, żeby wypadło na mnie. Nie sądzę zresztą, aby Starszy Brat Dziadka w ogóle miał lustro – zapewne uznałby je za zbytek – a jeśli nawet takowe było, mnisi musieli już wcześniej je sprzątnąć.

Wydawał się taki drobny i kruchy! Przypomniałem sobie, jak opowiadał mi, że głodząc się, można przyspieszyć własną śmierć, lecz czuwający przy nim mnich zapewnił mnie, że starzec nadal przyjmuje jedzenie i płyny.

– Jest po prostu bardzo wiekowy – wyjaśnił.

Widząc mnie, Starszy Brat Dziadka zdobył się na blady uśmiech i próbował unieść rękę. Ująłem ją i poczułem, że lekko ściska moją dłoń. W tym momencie dostrzegł mego ojca.

– Wszystko przepadło – wyszeptał. – Wszystko. – Nie byłem pewien, czy miał na myśli swoje życie, czy raczej majątek; później już tylko milczał i wydawało się, że drzemie. W nocy był trochę niespokojny, potem się uspokoił. Odszedł we śnie, tuż przed świtem.

Rzecz jasna, nie miał dzieci, które mogłyby zatroszczyć się o jego pogrzeb. Na szczęście mnisi powiedzieli, że zostawił im dostatecznie dużo pieniędzy, aby mogli zorganizować pochówek, i rzeczywiście wszystkim się zajęli – na szczęście, bo nie sądzę, aby mój ojciec na cokolwiek się przydał pod tym względem. Urządzili mu czuwanie dla ubogich: trzy dni zamiast siedmiu, ale szczerze mówiąc, tyle było w sam raz.

Wszystko odbyło się jak trzeba: na lewo od drzwi umieszczono niewielki gong, a na nadprożu zawieszono białą tkaninę. Mnisi owinęli ciało staruszka niebieskim całunem, twarz zasłonili mu żółtą chustą i włożyli go do trumny. U jej stóp rozstawiliśmy ołtarzyk; ojciec umieścił na nim białą świecę, a mnisi kadzielnicę. Wszyscy byliśmy ubrani na biało. Mnisi postawili też przy drzwiach skrzyneczkę, do której można było wrzucać datki na pokrycie kosztów pogrzebu.

Byłem zdumiony, ilu przyjaciół miał Starszy Brat Dziadka. Wyglądało na to, że wszyscy w sąsiedztwie dobrze go znali. Mnisi zaintonowali śpiewem modlitwy i ludzie zaczęli schodzić się na czuwanie. Obyczaj wymagał, aby głośno okazywać swój żal, lecz stryjeczny dziadek był już tak stary i odszedł tak spokojnie, że w sumie nie wydawało się to właściwe. Jego

przyjaciele po prostu przychodzili i opowiadali nam o nim różne sympatyczne historie; mówili, jaki był życzliwy, skromny i tym podobne rzeczy. Mnisi zadbali również o to, aby żałobnicy mieli dość jedzenia.

Wieczorem przyszło kilku sąsiadów, żeby zagrać z ojcem w karty, na przykład w madżonga, i w ten sposób odpędzić od niego sen. Gdyby nie to, z pewnością okryłby nas hańbą, zasypiając w trakcie czuwania, zamiast strzec ciała przodka. Przyznaję, że było mi go żal: pokonał pieszo tak daleką drogę w nadziei na otrzymanie spadku, a wszystko na próżno.

Mnie pozwolono jednak zdrzemnąć się na kilka godzin.

Drugiego dnia wszystko poszło dobrze, jeśli nie liczyć dwóch rzeczy. Po pierwsze, na dziedziniec wbiegł jakiś chłopczyk w czerwonej koszuli, który to kolor, jak wszyscy wiedzą, jest odpowiedni na wesele, ale w dniu pogrzebu przynosi pecha. Nie przeszedł jednak przez drzwi, więc mnisi uznali, że to się nie liczy – miałem nadzieję, że się nie mylą. Czasami, gdy rozmyślam o tym, jak potoczyło się nasze dalsze życie, zastanawiam się, czy ów chłopczyk nie przyniósł jednak pecha nam wszystkim. Nie sposób tego zweryfikować.

Po południu ojciec z kapłanem przejrzeli skrzynię należącą do Starszego Brata Dziadka. Miał tylko kilka sztuk odzieży. Jak wiadomo, zwyczaj nakazuje palić ubrania zmarłych i mnisi już wcześniej spalili łachmany, które miał na sobie w chwili śmierci. Teraz zabrali resztę rzeczy do spalenia, ojciec zaś przetrząsnął skrzynię w poszukiwaniu pieniędzy i bardzo się zdenerwował, kiedy niczego nie znalazł. Pomyślałem, że to trochę gruboskórne z jego strony, zapomniałem bowiem, że na pogrzebie każdemu z żałobników wypada dać trochę pieniędzy zawiniętych w papier, i mój biedny ojciec zawstydził się, że nie ma nic, co mógłby rozdać. Kiedy kapłan zorientował się, o co chodzi, uspokoił nas, mówiąc, że starszy pan za życia się o to zatroszczył, i rzeczywiście, we właściwym czasie zostały rozdane podarki. Nie wiem, czy Starszy Brat Dziadka istotnie sam o to zadbał, ale kto wie? Był niezwykle dokładny.

Jedynym momentem, w którym mój ojciec stracił panowanie nad sobą, była chwila tuż po nałożeniu wieka na trumnę, kiedy starszy członek rodziny powinien ująć młotek i wbić gwóźdź przytrzymujący wieko. Ojciec nieszczególnie sobie z tym poradził i wygiął gwóźdź; nawet kapłan wyglądał wtedy na rozgniewanego. Ojciec rzucił młotek na ziemię i zawołał zrozpaczony: „Niczego nie potrafię dobrze zrobić!” A podniósłszy młotek, podał mi go ze słowami: „Lepiej ty to zrób. Był do ciebie bardziej przywią-

zany niż do mnie”. Po czym, jakby nie dość już się skompromitował, wybuchnął płaczem.

Poza tym wszystko się udało. Kiedy przyszedł czas, aby zanieść trumnę na zbocze wzgórza, gdzie staruszek miał być pochowany, pozwolono mi ją nieść razem z innymi, co bardzo mnie uradowało: był to zaszczyt, który tradycyjnie przynosi szczęście. Po drodze przeszliśmy przez dwa mostki nad strumieniami i za każdym razem ojciec pilnował, aby poinformować zmarłego w trumnie, że przechodzimy nad wodą. Przynajmniej tego nie zaniedbał. Po pochówku i odmówieniu modlitw wróciliśmy do domu stryjecznego dziadka. Nazajutrz mnisi umieścili przy drzwiach tabliczkę z czerwonym napisem, aby duch staruszka wiedział, że to jego dom. Zastanawiałem się, dlaczego ktokolwiek zakładał, że duchy mogą się zgubić? Według tradycyjnych wierzeń przed upływem siedmiu dni od pogrzebu duch zmarłego musi odnaleźć drogę do domu i dlatego często posypuje się próg proszkiem w nadziei, że duch go przypadkiem strzepnie, dzięki czemu rodzina będzie wiedziała, że bezpiecznie wrócił w swoje progi. Przypuszczam, że w przeciwnym razie niewiele można na to poradzić. Nie wiem, czy mnisi posypali próg proszkiem, bo jeszcze tego samego dnia opuściliśmy Pekin.

O ile pamiętam, zastanawiałem się, czy komuś naprawdę zależy na tym, aby duch biedaka trafił do swojego domu. W drodze powrotnej ojciec był dość przygnębiony, w przeciwieństwie do mnie.

– Staruszek żył tak, jak chciał – usiłowałem go pocieszyć. – Nawet umarł wtedy, kiedy chciał.

– Chyba masz rację – odparł ojciec. – Niewielu ludziom to się udaje. – Ale i tak nie wyglądał na szczęśliwszego.

W istocie Starszy Brat Dziadka wybrał dobry moment na śmierć, bo zaledwie kilka miesięcy po tym, jak go pochowaliśmy, w okolicy pojawili się tajpingowie.

Naszą wioskę od Pekinu dzielił zaledwie dzień drogi, dzięki czemu zawsze mieliśmy dostęp do najświeższych wiadomości. Nie to, co w głębi kraju, w dalekich górskich wioskach: cesarz mógłby umrzeć w Zakazanym Mieście i przez kolejne lata nikt by się o tym nie dowiedział. My zaś, mieszkając nieopodal Wielkiego Kanału, mogliśmy stale liczyć na nowiny docierające prosto z portu. Strażnicy śluzy zawsze o wszystkim wiedzieli.

Tajpingowie naciągnęli z południowo-zachodnich rubieży. Postępowali wzdłuż rzeki Jangcy niczym horda wojowniczych Mongołów, oblegając miasta i tocząc krwawe bitwy z wojskami cesarza. Nikt nie wie, ilu ludzi wówczas zginęło.

Zadziwiające, że wystarczy jedno pokolenie, aby o tysiącach istnień przepadła wszelka pamięć.

W każdym razie, w miarę jak posuwali się naprzód wzdłuż Jangcy, przyłączało się do nich coraz więcej buntowników. Oczywiście nadal dzieliło ich od nas tysiąc mil, a górzysta kraina wokół Jangcy zawsze wydawała się mieszkańcom wielkich północnych równin zupełnie innym światem, powtarzaliśmy więc sobie, że nie ma się czym martwić.

Tak było, dopóki nie zajęli Nankinu.

To stało się tak nagle. W jednym miesiącu byli jeszcze daleko, w dolinie Jangcy, po czym, zanim się zorientowaliśmy, pokonali setki mil, dotarli na północ niemal do delty Jangcy i stanęli pod murami Nankinu.

Nankin jest co prawda położony w odległości sześciuset mil od nas, z Pekinem łączy go jednak Wielki Kanał. Często widywaliśmy łodzie przewożące z Nankinu rozmaite ładunki, dlatego poczuliśmy się tak, jakby buntownicy stali u naszych wrót.

Nikt nie wierzył, że tajpingowie mogą zdobyć Nankin – wielkie, ufortyfikowane miasto – a jednak padł w mgnieniu oka, najeźdźcy zaś wymordowali wszystkie mandżurskie rodziny w obrębie jego murów.

Dawna stolica dynastii Ming, święte Miasto Góry Purpurowej, kontrolujące całą dolinę Jangcy i połowę chińskiego handlu rzecznego, znalazła się w rękach kudłatych włóczęgów, którzy wmawiali całemu światu, że tam właśnie mieści się stolica ich Niebiańskiego Królestwa. Sam cesarz był wobec nich bezradny.

Ciekawe, co by na to wszystko powiedział Starszy Brat Dziadka, tak zawsze ceniący spokój ducha. Czy zachowałby swoje filozoficzne nastawienie? To właśnie miałem na myśli, mówiąc, że umarł we właściwym momencie.

Tak czy inaczej, po ustanowieniu Niebiańskiego Królestwa tajpingowie na pewien czas pozostali w Nankinie, a ja musiałem podjąć ważną decyzję w związku ze swoim dalszym życiem.

Jako że skończyłem piętnaście lat, zależało mi na znalezieniu stałego zatrudnienia. Chciałem wyuczyć się jakiegoś rzemiosła, ale w naszej wiosce mieszkało tylko kilku rzemieślników, którzy mieli własnych synów i ich mogli zatrudnić. W dodatku nie darzyli mego ojca zbytnim szacunkiem i nie kwapili się, aby przyjąć mnie na czeladnika.

Z pomocą przyszła mi matka. Przyjaźniła się z kobietą z wioski, gdzie mieszkała szewcowa, żoną bardzo ważnego człowieka. Wyrabiał on lakowane przedmioty, które potem sprzedawał w Pekinie, miał także klientów wśród cudzoziemskich kupców na wybrzeżu. Matka kazała mi pójść do tej kobiety oraz jej męża w nadziei, że coś z tego będzie.

Nie uczyniłem tego jednak, przynajmniej nie od razu.

Zbyt często byłem świadkiem podobnych sytuacji: ludzie proszeni, aby dali pracę młodym czeladnikom, których wcale nie potrzebują i nie chcą, zachodzą w głowę, jak taktownie odmówić, nikogo przy tym nie obrażając. Postanowiłem zrealizować własny plan.

Przede wszystkim powiedziałem matce, że nie jestem zainteresowany. Bardzo się zmartwiła, ale na to już nic nie mogłem poradzić. Kilka dni później poszedłem do sąsiedniej wioski, żeby obejrzeć warsztat tego człowieka.

Składało się na niego obszerne podwórze z otwartymi szopami po jednej stronie i zabudowanymi po drugiej. W tych pierwszych znajdowały się bambusowe rolety, które można było opuszczać, gdy wiatr nawiewał do środka zbyt dużo kurzu. Tego dnia jednak nie było wiatru i pracownicy siedzieli przy długim stole przy uniesionych roletach; większość rzemieślników woli pracować przy naturalnym świetle. Nic nie zagradzało wejścia na dziedziniec, wszedłem więc do warsztatu, wybrałem miejsce naprzeciwko chudego mężczyzny o smutnym spojrzeniu i przerzedzonych włosach, który wydawał się pogrążony w pozornie banalnej czynności – zajmował się nakładaniem warstwy laki na zwykłą drewnianą tacę – i zacząłem mu się przyglądać.

Nie gapiłem się ot tak, z pustej ciekawości: od razu zauważyłem, że tacę wykonano z dwóch kawałków drewna sklejonych ze sobą w taki sposób, aby układ słoi się nie pokrywał. Domyśliłem się, że służy to usztywnieniu tacy, żeby się nie wypaczała. Rzemieślnik za pomocą pędzelka w milczeniu pokrywał ją czerwoną laką. Interesowały mnie najdrobniejsze szczegóły: to, jak trzymał pędzelek i jak nim poruszał. Spędziłem tak pół godziny, aż z jednej z zabudowanych szop wyłonił się rosły mężczyzna w średnim wieku i podszedł do mnie. Miał szeroką, kościstą głowę o głęboko osadzo-

nych oczach i wystającym czole, które skojarzyło mi się ze skalnym występem. Domyśliłem się, że mam przed sobą właściciela warsztatu.

– Co tu robisz? – odezwał się.

– Przyglądam się temu rzemieślnikowi, panie – odpowiedziałem, kłaniając mu się nisko. – Chciałem zobaczyć, jak to się robi.

Mężczyzna przyjrzał mi się podejrzliwie. Pewnie zastanawiał się, czy nie przyszedłem czegoś ukraść. Potem zwrócił się do rzemieślnika.

– Czy ten chłopiec ci przeszkadza? – zapytał. Chudzielec pokręcił głową. – Wyrzuć go, jeśli zacznie ci się naprzykrzać – powiedział właściciel i wyszedł na ulicę.

Kiedy rzemieślnik skończył nakładać cienką warstwę laki, zaniósł tacę do innej szopy, jednej z tych zabudowanych. Gdy wchodził do środka, zauważyłem, że nad lampą wisi tam garnek, z którego wydobywa się para. Ponieważ dzień był ciepły i dosyć suchy, pojąłem, że dzięki temu w zamkniętym pomieszczeniu jest więcej wilgoci. Odnotowałem to w pamięci, ale nic nie powiedziałem.

Następnie chudy mężczyzna zajął się innym przedmiotem, już polakowanym. Gdy zaczął nakładać kolejną warstwę w dokładnie taki sam sposób, zrozumiałem, że prawdopodobnie każdy element był kilkakrotnie pokrywany laką.

* * *

Po dwóch godzinach właściciel wrócił i zastał mnie w tym samym miejscu. Bardzo się zdziwił, o co mi zresztą chodziło. Przez chwilę myślałem, że mnie wyrzuci, postanowił jednak zignorować moją obecność i zniknął w zabudowanej szopie. Posiedziałem w warsztacie jeszcze z godzinę, po czym wyszedłem.

Do tego czasu wbiłem sobie do głowy każdy ruch ręki rzemieślnika, a po powrocie do domu wyjąłem kamień pisarski [4], pędzle oraz kilka skrawków papieru, które zachowałem, i zacząłem raz za razem ćwiczyć pociągnięcia pędzlem tak, jak to zapamiętałem, aż uznałem, że udało mi się je opanować.

Nazajutrz zabrałem swoje przybory i tym razem usiadłem naprzeciwko innego rzemieślnika. Był to spokojny, tęgi mężczyzna, nieco młodszy od poprzedniego. Zajmował się też czymś innym: lakowaną szkatułkę, nad którą pracował, zdobiły dwie postacie w bambusowym ogrodzie, a warstwa

laki była bardzo gruba – domyśliłem się, że muszą się na nią składać dziesiątki albo i setki warstw. Mężczyzna rzeźbił w lace z niezwykłą starannością, posługując się kilkoma narzędziami – ostrymi jak brzytwa nożykami, świderkiem cienkim jak igła i innymi interesującymi akcesoriami, których nigdy wcześniej nie widziałem. Była to tak misterna praca, że zapewne mogła trwać wiele tygodni. Zafascynowany, niemal zapomniałem o właścicielu warsztatu i o tym, po co tam przyszedłem.

Około południa usiadłem na dziedzińcu na ziemi, wyjąłem swoje pędzle, kamień pisarski i buteleczkę z wodą, po czym na jednym ze skrawków papieru zacząłem z grubsza kopiować wzór, który wcześniej widziałem. Następnie, używając tuszu, spróbowałem dokonać tego samego, ale w odwrotny sposób, tworząc wzór poprzez nakładanie kolejnych warstw tuszu. Czekałem, aż jedna warstwa wyschnie, co następowało dość szybko, po czym kładłem następną. Wszystko to było oczywiście bardzo niezdarne, ale pomogło mi się zorientować, na czym polega ta praca. Spędziłem tak całe popołudnie, wstając, żeby popatrzeć na grubego rzemieślnika, i znów siadając na dziedzińcu, żeby ćwiczyć się w malowaniu pędzlem i tuszem. Tego dnia nigdzie nie zauważyłem właściciela, za to późnym popołudniem gruby rzemieślnik dał mi znak, żebym do niego podszedł. Włożył mi pędzel do ręki i pokazał, jak go trzymać przy nakładaniu laki, czego, pomimo bacznej obserwacji, wciąż nie umiałem poprawnie powtórzyć. Ukłoniłem mu się więc bardzo nisko, podziękowałem i wróciłem do domu.

Nazajutrz wróciłem z obawą, że zaraz mnie odeślą, bo rzemieślnicy nie lubią młodzików kręcących się w pobliżu i wtykających nos w nie swoje sprawy. Nikt jednak nic nie powiedział, zacząłem więc przyglądać się innemu człowiekowi, który rzeźbił w drewnie. Było to bardzo ciekawe, ale sam nie potrafiłbym tego powtórzyć, po południu zająłem się więc znów kopiowaniem wzorów tęgiego rzemieślnika. Po jakimś czasie zjawił się właściciel. Tym razem od razu do mnie podszedł i spytał rozgniewany:

– Dlaczego ciągle się tutaj kręcisz? Co ty sobie wyobrażasz?

– Za pozwoleniem, panie – odparłem z szacunkiem – przyszło mi do głowy, że mógłbym się zatrudnić w takim warsztacie jak wasz, wolałem jednak najpierw dowiedzieć się jak najwięcej o tej pracy, żeby sprawdzić, czy się do niej nadaję.

– To mistrz mówi czeladnikowi, czy ma predyspozycje do tego zawodu, nie na odwrót – stwierdził ostrym tonem.

– Nie śmiałbym fatygować żadnego mistrza, dopóki nie zadam sobie trudu i nie dowiem się sam tyle, ile zdołam – odparłem. – Musiałem się zresztą przekonać, czy mógłbym poświęcić tej pracy resztę życia.

– Skąd masz kamień pisarski i pędzle? Jesteś studentem?

– Ależ nie, panie. Przez pewien czas pobierałem lekcje, lecz nie było mnie na nie stać. Sam nauczyłem się czytać i pisać najlepiej, jak potrafiłem.

– Twój ojciec nie może cię uczyć?

– Niestety, mój czcigodny ojciec nie umie czytać ani pisać.

– Napisz coś – polecił, skreśliłem więc kilka znaków jak najładniejszym charakterem pisma, on zaś spojrzał na nie i rzekł:

– Całkiem nieźle.

– Pomyślałem, mistrzu – zaryzykowałem – że skoro potrafiłem nauczyć się pisać pędzlem, to może mógłbym też nauczyć się używać go do nakładania laki.

Mistrz zerknął na grubego rzemieślnika, po czym zwrócił się do mnie:

– Nie mam dla ciebie żadnego zajęcia – odrzekł stanowczo. – Przez tych przeklętych tajpingów, którzy niszczą nasz handel, będziemy mieli szczęście, jeśli zdołamy utrzymać obecnych pracowników, a co dopiero mówić o przyjmowaniu kogoś na naukę. – Zmarszczył brwi. – Kim ty w ogóle jesteś i jak tutaj trafiłeś?

Staram się nigdy nie kłamać, ale nie chciałem jeszcze wspominać o moim ojcu, wymyśliłem więc inne nazwisko, powiedziałem, że przyjechałem z Pekinu i zatrzymałem się na miesiąc u krewnych w okolicy. Właściciel warsztatu nie wyglądał na przekonanego moimi wyjaśnieniami.

– Nie zawracaj już nikomu głowy – polecił mi i odszedł.

Jednak następnego dnia, kiedy mimo to się zjawiłem, chudy rzemieślnik skinął na mnie, kazał usiąść obok siebie, dał mi pędzelek i pokazał, jak go używać. Potem podał mi kilka drewnianych szczap, garnuszek laki i polecił samemu spróbować. Zadanie okazało się dość trudne: laka kleiła się i w ogóle nie przypominała tuszu, ale z czasem nabrałem wprawy. Reszta dnia minęła mi na lakowaniu drewienek.

Nazajutrz i kolejnego dnia wszystko się powtórzyło. Najchętniej pracowałbym z tęgim mężczyzną, którego zajęcie było znacznie ciekawsze, ale zachowałbym się wówczas nieuprzejmie wobec chudego rzemieślnika i wyszedłbym na źle wychowanego. Poza tym domyślałem się już, że to rodzaj egzaminu, który ma sprawdzić moją pracowitość i posłuszeństwo.

Minęły kolejne trzy dni. Od czasu do czasu chudy rzemieślnik zwracał mi uwagę na to, co robiłem źle, tym bardziej więc byłem zadowolony, że wykazałem się cierpliwością. Po dziesięciu dniach, około południa, zjawił się mistrz i oznajmił surowo:

– Pozwoliłem ci się uczyć, ale jestem więcej niż pewien, że okłamałeś mnie, mówiąc, kim jesteś. Lepiej od razu powiedz prawdę – w przeciwnym razie możesz iść i więcej tutaj nie wracać.

Uradowałem się, że postanowił jednak dać mi szansę, i wszystko mu wyznałem: wyjaśniłem, kim jest moja rodzina, opowiedziałem, jak chciałem nauczyć się czytać, jak ojciec zrobił buty mojemu nauczycielowi i jak przez niego straciłem szansę na dalszą edukację, lecz mimo to uczyłem się sam i naprzykrzałem się nauczycielowi na tyle, na ile starczyło mi śmiałości.

– Zaraz, zaraz – rzekł na to – to ty jesteś tym chłopcem, którego matka zna moją żonę! Miałeś przecież zgłosić się do mnie na rozmowę.

– Tak, panie – odpowiedziałem – ale jak mogłem oczekiwać, że zainteresujecie się kimś, kto nic sobą nie reprezentuje?

– To prawda, że reputacja ojca przemawia na twoją niekorzyść – przyznał. – Nie jest dobrym rzemieślnikiem. Brak mu wytrwałości.

– Szanuję swojego ojca – odparłem cicho, nisko się kłaniając.

– Bardzo słusznie, lecz mimo wszystko nie chcesz być taki jak on. Chcesz być prawdziwym rzemieślnikiem. Mam rację?

Przytaknąłem.

– Wobec tego możesz zacząć od jutra – oznajmił nieoczekiwanie. – Wiesz, że czeladnik zarabia grosze?

Nie dbałem o to, przynajmniej wtedy. Byłem taki podekscytowany!

Ciężko pracowałem i szybko się uczyłem. Po niespełna dwóch latach dorównywałem już umiejętnościami chudemu rzemieślnikowi, zdarzało mi się pracować też z tym tęgim. Mimo to wciąż byłem czeladnikiem i zawsze odnosiłem się do wszystkich z szacunkiem. Człowiek musi znać swoje miejsce.

Uświadomiłem sobie także, jak wielkie miałem szczęście. Mówi się, że chińska sztuka zdobnicza wykorzystująca lakę sięga czasów dynastii Han. Przez długi czas lakowane wyroby pochodziły głównie z południowych prowincji, gdzie można znaleźć składniki do produkcji laki, a klimat jest

odpowiednio wilgotny. Stopniowo jednak rzemieślnicy zaczęli przybywać na północ, a za panowania wielkiego cesarza mandżurskiego Qianlonga w Pekinie powstała ogromna wytwórnia cesarska. Niestety, ze względu na wojny z barbarzyńcami i tajpingami oraz pustki w cesarskim skarbcu sztuka i przemysł podupadły. Mój mistrz był właścicielem jednego z niewielu małych zakładów, które wciąż działały. Skromne dostawy wysyłał na dwór i do tych nielicznych bogaczy, do których udawało mu się dotrzeć – produkcja laki zajmuje tyle czasu, że wykonane z jej użyciem przedmioty są drogie i żaden biedak nie mógłby sobie pozwolić na ich zakup. W stolicy mistrz znalazłby zapewne wielu bezrobotnych rzemieślników, lecz mało który młody człowiek chciał się zajmować tą pracą. Dlatego właśnie go zaintrygowałem. Pewną rolę odegrał w tym także mój upór.

Warsztat bardzo mi się podobał. Gotowe wyroby przechowywano na półkach w jednej z zabudowanych szop. Wchodziłem tam, żeby popatrzeć na rzędy szkatułek, mis i waz. Czasami wytwarzaliśmy też meble; niektóre były pokryte czarną laką, ale przeważał kolor czerwony. Pamiętam piękne lakowane bambusowe wachlarze oraz duży czarny parawan z namalowanym bocianem i widokiem dalekiej góry, który miał trafić do portu, do bogatego barbarzyńcy. Do wykonania tego malowidła mistrz specjalnie zatrudnił artystów.

Mogłem im się przyglądać godzinami. Czasami pozwalałem sobie delikatnie muskać palcami misterne rzeźbienia na szkatułkach; wycięte na nich wzory były tak głębokie i złożone, że czułem, jakbym miał pod swoją dłonią cały świat w miniaturze.

Pewnego dnia – zaczęła się właśnie moja druga zima w warsztacie – mistrz odszukał mnie w magazynie. Wciąż jeszcze trochę się go bałem; rzadko się uśmiechał, a jego wielka, przypominająca kawał skały twarz wydawała mi się przerażająca.

– Podobają ci się rzeczy, którymi handlujemy, prawda? – zapytał.

– Tak, mistrzu – odpowiedziałem. – Zawsze podobało mi się to, co w życiu piękne i wyszukane.

– Cóż, nigdy nie będziesz na tyle bogaty, aby było cię stać na większość z tych przedmiotów, ale radość z wykonania przewyższa tę z posiadania.

Muszę przyznać, że jego słowa zrobiły na mnie duże wrażenie.

Potem mistrz uśmiechnął się, wręczył mi wypłatę i kazał ją przeliczyć.

– Chyba się pomyliliście, panie – powiedziałem. – To zdecydowanie za dużo.

– Te dwie ostatnie szkatułki, które pokryłeś laką, były proste, lecz doskonale wykonane – pochwalił. – Dlatego płacę ci za nie pełną stawkę, oczywiście taką, jaka należy się młodszemu rzemieślnikowi.

Ukłoniłem mu się bardzo nisko. Muszę przyznać, że na chwilę odebrało mi głos.

Miesiąc później wszyscy byliśmy pewni, że wkrótce umrzemy.

Zdążyliśmy przywyknąć do rządów tajpingów w Nankinie, gdy pewnego ranka, po przyjściu do pracy, zastałem wszystkich z zasępionymi minami.

– Te diabły znów posuwają się naprzód – oznajmił mistrz. – Ciągną tu całą hordą, żeby zająć Pekin. – Sęk w tym, że staliśmy im na drodze. – Gdyby ten cały brat Jezusa był prawdziwym królem, może nie byłoby tak źle – dodał. – Prawdziwi królowie nie zabijają rzemieślników. Jesteśmy dla nich zbyt cenni. Ale z tą hołotą nigdy nic nie wiadomo.

Tej nocy wszyscy w naszej wiosce debatowali, czy zostać na miejscu i liczyć, że nie będzie tak źle, jak mówią, czy raczej zapakować dobytek na wóz i schronić się za potężnymi murami Pekinu. Wszyscy twierdzili, że tajpingowie na pewno nie zdołają zdobyć cesarskiej stolicy, ale ja nie byłem tego taki pewien. Bądź co bądź wcześniej nikt nie przypuszczał, że zdobędą Nankin.

Potem gruchnęła wieść, że najeźdźcy obozują przy ujściu rzeki Peiho, około sześćdziesięciu mil na południe wzdłuż kanału. Prawdopodobnie wystarczyłyby im trzy dni, żeby do nas dotrzeć.

Gdybym zobaczył wówczas chmury na południowym horyzoncie, uznałbym, że to nadciągają tajpingowie. Pamiętam, że raz, w pogodną zimową noc, stałem nad brzegiem kanału i wypatrywałem w oddali poświaty bijącej z ich ognisk, ale dostrzegałem tylko gwiazdy odbijające się w zimnej wodzie.

Widywaliśmy, rzecz jasna, oddziały cesarskie zmierzające na południe – mandżurskie chorągwie, chińskich żołnierzy i kawalerię – całe mnóstwo wojska, lecz prawdę mówiąc, wcale nie czuliśmy się dzięki temu bezpieczniejsi.

Wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, gdy w tych niepewnych czasach, pośród tylu zmartwień i niepokojów, ojciec oznajmił mi pewnego wieczoru:

– Znalazłem dla ciebie żonę.

– Jak to? – odwróciłem się w stronę matki. – Wiedzieliście o tym, matko?

– Mieszka w wiosce, w której pracujesz – odpowiedziała.

– Niech zgadnę – prychnąłem – znacie jej matkę. – Tym razem jednak w grę nie wchodziły żadne sąsiedzkie znajomości.

– Sam ją wypatrzyłem! – wykrzyknął radośnie ojciec. – Jest idealna!

– A to z jakiego powodu? – spytałem. – Czy jest bogata?

– Nie. – Ojciec popatrzył na mnie, jakbym był niespełna rozumu. – Jej rodzina to ludzie powszechnie szanowani, tacy jak my.

– Rozumiem. To może jest ładna? – dociekałem.

– Ładne kobiety to tylko kłopot. Jest całkiem niebrzydka.

– No cóż, pięknie wam dziękuję, ojcze – odrzekłem. – Ale dlaczego teraz? Za młody jestem, żeby się żenić.

– Właśnie o to chodzi – odparł. – Jej ojciec ma jeszcze trzy córki. Swat dowiedział się, że jest gotów wydać ją za mąż, o ile dziewczyna zamieszka z nami jak córka, dopóki oboje nie będziecie starsi. Wtedy nie musielibyśmy płacić zwyczajowej ceny za pannę młodą. – Na co oczywiście nie byłoby nas stać.

– Może za kilka lat będę zarabiał wystarczająco dużo, żeby samemu móc sobie pozwolić na ślub, i wtedy wybierzemy kogoś odpowiedniejszego. Skąd taki pośpiech?

– Dziewczyna mogłaby pomóc twojej matce – rzekł ojciec. Zamyślił się. – Przydałaby się, zważywszy na niespokojne czasy. – Do tej pory nie wiem, co chciał przez to powiedzieć.

– Chciałbym ją najpierw zobaczyć.

To akurat nie było trudne. Wiedząc, kim jest i gdzie mieszka jej rodzina, łatwo znalazłem dogodne miejsce, skąd mogłem ją ukradkiem obserwować, i zacząłem zachodzić tam po pracy.

Dziewczyna była ode mnie młodsza o rok albo dwa. Wolałbym, żeby była między nami większa różnica wieku, ale nie można mieć wszystkiego.

– Postąpię zgodnie z twoją wolą, ojcze – oznajmiłem – ale zaczekajmy i sprawdźmy, co uczynią tajpingowie.

Wojska cesarza okazały się lepiej wyszkolone, niż sądziliśmy, i choć nie udało im się całkowicie pokonać tajpingów, zdołały odepchnąć ich poza równinę, z powrotem do Nankinu. Od razu poczuliśmy się pewniej.

Jednak według mnie tak naprawdę uratowała nas stara dobra Żółta Rzeka.

W 1855 roku, występując z brzegów powyżej równiny, zalała wszystko wielką falą. Nikt by się nie spodziewał, że wody nawet tak szerokiej rzeki mogą wyrządzić aż tak duże szkody, powódź zniszczyła jednak całe fragmenty Wielkiego Kanału między Nankinem a rzeką Peiho, wskutek czego jego południowy odcinek stał się niezdatny do użytku. Trzeba było całego pokolenia, żeby dokonać koniecznych napraw.

Dla mieszkańców tych okolic z oczywistych względów oznaczało to katastrofę, dla tajpingów zaś powódź dodatkowo stanowiła ostrzeżenie. Tak to właśnie wówczas odczytałem – jako ostrzeżenie od starożytnych bogów: jeśli kiedykolwiek powrócą na równinę, przedwieczny żółty wąż sprowadzi na nich kolejny potop, który ich wszystkich wygubi.

Nie wiem, czy tajpingowie przestraszyli się rzeki, czy raczej armii cesarza, grunt, że nigdy więcej już nas nie niepokoili.

W kolejnym roku wybuchły między nimi niesnaski: najwyraźniej jeden z generałów zyskał ogromną popularność wśród żołnierzy, co nie spodobało się Niebiańskiemu Królowi. Zamordował więc generała, całą jego rodzinę, a także dwadzieścia tysięcy jego ludzi; dziwne, że ci, którzy jednego dnia głoszą miłość braterską, następnego są w stanie rozerwać cię na strzępy.

Ożeniłem się zatem. Rodzice dali mojej wybrance na imię Róża, ponieważ kwiat ten jest symbolem Pekinu, chociaż według mnie była zbyt blada, ażeby je nosić. Muszę jednak przyznać, że nie sprawiała żadnych kłopotów: pomagała mojej matce i z wielkim szacunkiem odnosiła się do ojca, co uznałem za dobrą wróżbę na przyszłość. I chociaż teściowe często porównuje się do smoków, moja matka zawsze była dla Róży życzliwa.

Wieczorami zwykliśmy ze sobą gawędzić. Pytałem, jak jej minął dzień, ona zaś zwykle chciała wiedzieć, czy smakował mi posiłek. Ilekroć odpowiadałem, na przykład, że smakował mi makaron, matka wtrącała się, mówiąc: „To Róża go ugotowała”, i uśmiechała się do synowej, co sprawiało dziewczynie ogromną przyjemność. Pobraliśmy się po upływie zaledwie roku od dnia, w którym zamieszkała w naszym domu, i muszę przyznać, że byliśmy ze sobą bardzo szczęśliwi. Niedługo potem mój mistrz zaczął mi wypłacać pełną pensję rzemieślnika.

Nasze życie w tym czasie toczyło się dosyć spokojne. Tajpingowie nie ruszali się z Nankinu. Doszły nas słuchy, że w zachodnich prowincjach wybuchło muzułmańskie powstanie, ale prawdę mówiąc, jako prości wieśniacy niewiele wiedzieliśmy o dalekich zakątkach cesarstwa – tylko tyle, że na przestrzeni wieków wchłonęło ono różne plemiona, z których część wyznawała islam. Ojciec bardzo się wówczas zdenerwował: „Z tymi barbarzyńskimi religiami są same kłopoty! – krzyczał. – Najpierw chrześcijańscy tajpingowie, teraz muzułmanie, a wszyscy są tacy sami. Cesarz powinien tego zabronić”.

Ponieważ jednak nie wchodzili nam w drogę, nie martwiliśmy się nimi zbytnio.

Za to Brytyjczycy to była całkiem inna sprawa.

Najpierw dowiedzieliśmy się o kłopotach w Guangzhou; barbarzyńcy wciąż narzekali, że nie wywiązujemy się z postanowień haniebnego traktatu, wymuszonego na nas po wojnie opiumowej. Konsulaty w naszych portach już im nie wystarczały – teraz piraci z Zachodu chcieli mieć swojego ambasadora w Pekinie, który miałby prawo wchodzić bezceremonialnie do cesarskiej siedziby, bez wykonywania stosownego ukłonu, zupełnie jakby był równy Synowi Niebios. Coś takiego nie zdarzyło się chyba od tysiąca, a może i dwóch tysięcy lat!

I ci barbarzyńcy się dziwią, gdy mówimy, że brak im dobrych manier.

Zimą po moim ślubie Brytyjczycy weszli w spór z gubernatorem Guangzhou, który odmówił im wstępu za mury miejskie, po czym usłyszeliśmy, że go pojmali i przejęli władzę nad miastem.

Niektórych w Pekinie nawet to rozbawiło, jako że gubernator nie cieszył się dobrą reputacją, mimo to podobne zachowanie nie mogło być tolerowane.

Ani się obejrzeliśmy, załogi łodzi płynących w górę kanału doniosły nam, że nadchodzą Brytyjczycy. Wylądowali na północnym wybrzeżu i zajęli forty u ujścia rzeki Peiho, dzięki czemu mogli kontrolować cały kanał. Najbardziej jednak przeraziło nas, gdy okazało się, że połączyli siły ze zbuntowanymi tajpingami i jako jedna wielka chrześcijańska armia zamierzają zdobyć Pekin. Nie sądziliśmy, aby ktokolwiek był w stanie ich powstrzymać. Wszyscy zastanawiali się, czy obalą cesarza, a jeśli tak, co to będzie dla nas oznaczało.

Ojciec był tym wszystkim bardzo przygnębiony.

– Mandat Niebios zostanie cofnięty – rzekł – i nastanie chaos. Zawsze tak się dzieje, a wówczas wszyscy zginiemy. Kolejny cesarz będzie Brytyjczykiem albo tajpingiem. Może nawet zostaniemy zmuszeni do przyjęcia chrześcijaństwa, cokolwiek to znaczy.

– Na pewno tak się nie stanie – uspokajałem go. Nie wiem, skąd czerpałem tę pewność, ale czułem, że mam rację.

Wierzyłem w to wtedy i wierzę nadal, pomimo wszystkiego, co w życiu widziałem: nasze cesarstwo jest wieczne. Kiedy pomyśli się o tysiącletniej historii Chin, o wszystkich mądrościach, które posiedliśmy, o naszej sztuce i wynalazkach… Nawet nasze pismo jest istnym cudem: każdy jego znak jest jak świat w miniaturze. A jeśli chodzi o luksusowe przedmioty, wszystko jest wykonywane tak, aby przetrwało wieki. Lakowane szkatułki, które uwielbiam trzymać w rękach – te z wyciętymi w nich głębokimi wzorami, pokryte licznymi warstwami laki, stwardniałymi na kamień – będą istniały tak długo jak Wielki Kanał albo Wielki Mur. Czasami, gdy na nie patrzę, przychodzi mi do głowy, że tak właśnie musi wyglądać wielkie miasto widziane okiem Niebios: mury zamknięte w obrębie innych murów, ulice i aleje, pałace i świątynie, domy i dziedzińce, wszystko upakowane ciasno jak geometryczny wzór na szkatułce. Dynastie przychodzą i odchodzą, podobnie jak wojny, choroby, głód i powodzie, lecz Nankin oraz Pekin dalej istnieją, a nawet gdyby nie istniały, w każdej lakowanej szkatułce przetrwałoby ich wspomnienie, pielęgnowane niczym ogród.

Wielkiej idei nie da się unicestwić – jestem o tym przekonany.

Grunt to cierpliwość i właśnie nią wykazali się słudzy cesarza. Podobnie jak wcześniej, negocjowali teraz z Brytyjczykami, obiecując wystarczająco dużo, aby ich zadowolić, dzięki czemu zdołali ich przekonać do powrotu do Guangzhou. Przystali też na jedno nowe ustępstwo.

Brytyjczyków najwyraźniej bolało, że we wszystkich oficjalnych dokumentach nazywamy ich barbarzyńcami. Musieliśmy obiecać, że odtąd nie będziemy już określać ich tym mianem.

Oczywiście byli barbarzyńcami, więc nadal mówiliśmy tak o nich między sobą, oni zaś nie mieli o tym pojęcia, ponieważ nie znali chińskiego, co tylko dowodzi, jak niemądre to było żądanie!

Jesienią urodził się mój syn i był to chyba najpiękniejszy dzień w moim życiu. Można powiedzieć, że odtąd wszystko się zmieniło.

Pamiętam, że gdy po raz pierwszy wziąłem go na ręce, od razu zacząłem liczyć jego palce u rąk i u nóg. Róża spojrzała na mnie i zapytała, co robię.

– Sprawdzam, czy ma odpowiednią liczbę palców u rąk i u nóg.

– Co zrobisz, jeśli nie będzie miał? – spytała, ja zaś odparłem:

– Nie wiem.

– I co? – chciała wiedzieć. – Wszystko się zgadza?

– Tak – przyznałem z dumą, jakby to było nie lada osiągnięcie. – Jest idealny.

A gdy spojrzałem na jego małą twarzyczkę, stwierdziłem, że wygląda zupełnie jak mój ojciec. Wyszedłem więc na zewnątrz, gdzie nikt nie mógł mnie słyszeć, i szepnąłem do niemowlęcia:

– Co prawda wykapany z ciebie dziadek, ale wiem, że będziesz ciężko pracował i odniesiesz wielki sukces. – Była to pierwsza rzecz, jaką ode mnie usłyszał. Cóż z tego, że nic nie rozumiał; uznałem, że muszę mu to od razu powiedzieć.

Daliśmy mu na imię Zi-Hao, co znaczy: Bohaterski Syn.

Uwielbiałem być ojcem. Czasami maleństwo płakało w nocy, bo mu się ulewało, i jeśli zbudziłem się pierwszy, a Róża smacznie spała, brałem synka na ręce i kołysałem, dopóki nie poczuł się lepiej. Ilekroć moja matka to widziała, powtarzała, że nie powinienem tego robić, bo to kobiece zajęcie. Kazała mi się kłaść, a sama tuliła dziecko. Ja jednak nie miałem nic przeciwko opiece nad malcem – myślę nawet, że były to jedne z najszczęśliwszych chwil mego życia.

Pewnego dnia odniosłem akurat do magazynu skończony przedmiot, gdy zjawił się tam mistrz. Życzliwie zagadnął mnie o rodzinę, po czym oznajmił, że przyznaje mi niewielką podwyżkę.

– Płacę ci teraz najwyższą stawkę – powiedział – bo na to zasługujesz. W odpowiednim czasie, gdy opanujesz bardziej skomplikowane umiejętności, otrzymasz stosowną zapłatę.

Naturalnie ukłoniłem mu się nisko i podziękowałem.

– Dziecko daje ci się wyspać? – zapytał z uśmiechem.

– Jest całkiem znośnie, mistrzu – odparłem i opowiedziałem mu, że matka już o to dba, dodając, jak bardzo lubię nosić synka na rękach, nawet w środku nocy. – Wiecie, jak bardzo kocham luksusowe przedmioty, takie

jak te – rzekłem, wskazując otaczające nas wyroby – ale nigdy nie przypuszczałem, że dziecko pokocham jeszcze bardziej.

– Ze mną było tak samo – stwierdził, kiwając głową, po czym rzucił mi dziwne spojrzenie. – Musisz jednak uważać – dodał. – Niezależnie od tego, jak bardzo jesteś przywiązany do swoich dzieci, prędzej czy później któreś stracisz. Wszystkim nam się to zdarza. Tym bardziej doceniaj czas, gdy masz je przy sobie.

Zrozumiałem oczywiście, co chciał mi przekazać, lecz tak naprawdę nie dotarł do mnie sens jego słów. Kto by się martwił na zapas takimi rzeczami, prawda?

Kolejną dobrą rzeczą związaną z narodzinami Zi-Hao był wpływ, jaki wywarły one na moją żonę. Przybrała nieco na wadze, co jej posłużyło. Nie chodzi o to, że zrobiła się pulchna, można jednak powiedzieć, że z dziewczynki zmieniła się w młodą kobietę o doskonałej figurze i byłem z tego powodu bardzo szczęśliwy. Rok po urodzeniu Zi-Hao Róża znowu zaszła w ciążę.

Tamto lato obfitowało zresztą w dobre nowiny. Brytyjscy barbarzyńcy powrócili i przypuścili szturm na forty u ujścia rzeki Peiho, ale tym razem byliśmy już na to lepiej przygotowani i nasze wojsko przegoniło ich z powrotem do Guangzhou. Nawet mój ojciec triumfował. „Mówiłem ci, że pewnego dnia cesarz da tym barbarzyńcom nauczkę!” – zawołał, co oczywiście było nieprawdą. Mimo to wydawało się, że to dobry znak.

Mój synek zaczął chodzić. Stawiałem go sobie między nogami i trzymałem za obie rączki nad głową, ucząc stawiać jedną nóżkę przed drugą. Pod koniec lata potrafił już przejść samodzielnie kilka kroków. Znał też kilka słów. Czułem, jakby wszystko na świecie układało się tak, jak należy.

Tym większe było moje zaskoczenie, gdy malec zachorował. Zaczęło się wczesną jesienią: pewnego dnia nagle zwymiotował. Nie poświęciliśmy temu większej uwagi – takie rzeczy stale zdarzają się małym dzieciom. Ale nazajutrz to się powtórzyło, po wszystkim zaś wydawał się osowiały, co w ogóle nie było do niego podobne. Kolejnego dnia już tylko leżał na kangu pod chustą i nie chciał się ruszyć. Nie wiedzieliśmy, co się z nim dzieje. Był bardzo blady.

Matka, położna i kobieta z sąsiedniej wioski, która znała się na leczeniu, po kolei próbowały coś wskórać, ale nic mu nie pomagało. Tak bardzo się

martwiłem, że nie byłem w stanie pracować.

Dopiero mistrz znalazł właściwe rozwiązanie.

– Znam pewnego lekarza w Pekinie – powiedział. – Jeśli ktokolwiek zdoła wyleczyć twojego syna, to właśnie on. Zabierz dziecko do Pekinu i wróć tak szybko, jak to będzie możliwe.

Był to gest wielkiej życzliwości z jego strony – niewielu chlebodawców by się na niego zdobyło. Dziękując mu, prawie się rozpłakałem.

Potem zabrałem Różę i dziecko do Pekinu. Ojciec nalegał, że również z nami pojedzie.

– Może wam się tam przydam, nigdy nie wiadomo – rzekł. I rzeczywiście się przydał, gdyż przekonał szypra jednej z łodzi płynących kanałem, żeby nas przewiózł za darmo.

Apteka, w której przyjmował ów lekarz, okazała się ogromnym kompleksem handlowym. Główne pomieszczenie przypominało świątynię. Za wysokimi ladami z ciemnego drewna ciągnęły się długie rzędy szklanych słojów i koszyków z ziołami. Sam lekarz był drobnym staruszkiem; siedział w kącie na krześle i był tak niski, że palcami stóp ledwo dotykał podłogi. Kiedy mu powiedziałem, kto mnie przysyła, dziwnie na mnie spojrzał, zachował się jednak bardzo uprzejmie. Zadał nam wiele pytań, a potem zbadał dziecko.

Słyszałem, że najlepsi lekarze badają zawsze język i puls chorego. Na każdym nadgarstku mierzy się trzy poziomy pulsu, poczynając od miejsca tuż nad kciukiem i przesuwając dłoń w górę przedramienia. Lekarze różnie opisują tętno: jako ślizgające się, wznoszące, głębokie, płytkie, nitkowate, urywane. Kombinacji jest tyle, że aż kręci się w głowie. Trudno było uwierzyć, że staruszek będzie w stanie przeprowadzić wszystkie te badania na malutkim dziecku, i nie wiem, ile istotnie ich wykonał, w każdym razie trwało to dosyć długo. W końcu rzekł:

– Wasz syn jest bardzo chory – oznajmił nam. – Może umrzeć, ale myślę, że potrafię go wyleczyć. Lekarstwo będzie jednak drogie – uprzedził.

Oddałbym mu cały swój majątek.

Czekaliśmy cierpliwie przy ladzie, podczas gdy pomocnicy wybierali składniki i przekładali je do drewnianej miski. Następnie zmielili je na proszek. Wszystko to zajęło im trochę czasu.

Róża wyglądała na wyczerpaną. Tuliłem synka w ramionach, tak pochłonięty szeptaniem mu do uszka, że po lekarstwie od razu poczuje się lepiej –

nie wiedział, o czym mówię, ale dźwięk mojego głosu zdawał się go uspokajać – że prawie nie zauważyłam, kiedy ojciec wyszedł.

Gdy się zorientowałem, zacząłem się za nim rozglądać i wreszcie wypatrzyłem go pogrążonego w rozmowie ze starym lekarzem. Ojciec mówił, starzec zaś od czasu do czasu kiwał głową i coś odpowiadał, choć nie sposób było stwierdzić, czy temat w ogóle go interesuje. W chwili, gdy zacząłem się zastanawiać, jak długo to jeszcze potrwa, Róża szturchnęła mnie i wskazała na ladę. Lekarstwo było gotowe, a ja dostałem świstek papieru, który miałem odnieść do kasy. Nawet na niego nie spojrzałem – miałem już odliczone pieniądze – tylko podałem karteczkę człowiekowi za stolikiem. Zauważyłem, że nieco się zdziwił.

W pierwszej chwili sądziłem, że się przesłyszałem. Położyłem srebro na biurku, on jednak pokręcił głową i wskazał na świstek. Wtedy dopiero odczytałem, co było tam napisane.

Nadal trzymałem w objęciach swojego synka. Musiałem się zachwiać i chyba niewiele brakowało, a bym go upuścił, bo nagle znalazła się przy mnie Róża i wyciągnęła ręce po dziecko, ja zaś stałem tam, niemo wpatrzony w kasjera, jak ktoś, kto umarł, lecz jeszcze to do niego nie dotarło. Koszt lekarstwa wyniósł więcej, niż przywiozłem ze sobą do Pekinu. Właściwie znacznie przekraczał wszystko, co posiadałem. Nie byłem w stanie zapłacić za leczenie mojego synka.

I co z nim teraz będzie?

W tym samym momencie zobaczyłem, że ojciec idzie w moją stronę. Wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego.

– Wiesz, kim jest ten stary lekarz? – zapytał podekscytowany.

– Nie – wymamrotałem. Byłem tak zrozpaczony, że słuchałem go jednym uchem.

– To właściciel tego całego sklepu – odpowiedział. – Nigdy nie zgadniesz, skąd pochodził jego ojciec – z naszej wioski! Znał mego dziadka, który był bardzo zamożnym kupcem.

– No cóż – odrzekłem kwaśnym tonem – możesz mu powiedzieć, że nie zdołamy mu zapłacić. – Chyba w ogóle mnie nie słuchał. – Lekarstwo jest zbyt drogie! – krzyknąłem. – Twój wnuk umrze!

To do niego dotarło. Zamrugał oczami, lecz nie zawahał się ani przez chwilę.

– Porozmawiam z nim – rzucił.

Przyglądałem się, jak ze sobą dyskutowali, a potem zobaczyłem, że staruszek kręci głową.

– Powiedział, że jest mu przykro. Uprzedzał, że lekarstwo będzie drogie. To bardzo rzadkie zioła, nie może ich rozdawać za darmo. Podobno gdzieś tu niedaleko jest inna apteka.

Wyszliśmy więc i pół godziny później znaleźliśmy się w innej aptece. Była ona znacznie mniejsza, a lekarz młodszy. Po zapoznaniu się z naszym przypadkiem stwierdził:

– Mogę wam dać inny lek, który działa prawie tak samo. – Po czym podał cenę, która wynosiła jedną trzecią tego, co zażądał od nas staruszek. Dobiliśmy targu, on zaś wyszedł i osobiście nadzorował przygotowania, poleciwszy pomocnikom przynosić mu każdy składnik do sprawdzenia.

– Oby to zadziałało – westchnąłem – bo nie mamy więcej pieniędzy.

– Zadziała – pocieszył mnie ojciec.

Po dwóch dniach od powrotu do domu mój synek zaczął wykazywać oznaki poprawy. W pracy, ilekroć widziałem mojego mistrza, raz za razem dziękowałem mu za to, że wysłał nas do Pekinu, i choć tego nie okazywał, jestem przekonany, że sprawiało mu to przyjemność.

Dziesiątego dnia w warsztacie pojawił się mój ojciec. Przyszedł w południe, kiedy wszyscy jedliśmy i odpoczywaliśmy.

– Miałem we wsi sprawę do załatwienia i pomyślałem, że cię odwiedzę – oznajmił wesoło. Skłoniwszy się grzecznie na powitanie pozostałym rzemieślnikom, zapytał, nad czym teraz pracuję. Tak się złożyło, że przedmiot na moim stole nie był zbyt interesujący, choć i tak obejrzał go z podziwem.

– Czy mogę zobaczyć którąś z twoich ukończonych prac?

– Myślę, że tak – odparłem i zaprowadziłem go do magazynu.

Uwielbiałem pokazywać klientom półki z gotowymi wyrobami. Kiedy pracuje się w takim miejscu, człowiek jest niezwykle dumny ze wszystkiego, co pomógł stworzyć. Nie zawiodłem się: na widok długich rzędów tych skarbów ojciec otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Pokazałem mu kilka mniejszych, całkiem udanych przedmiotów, które zrobiłem.

– Jesteś prawdziwym rzemieślnikiem – pochwalił mnie. Wyglądał przy tym na bardzo dumnego i uradowanego. Potem zadał mi kilka całkiem rozsądnych pytań dotyczących bardziej skomplikowanych i cennych przedmiotów oraz umiejętności potrzebnych do ich wykonania. Byłem naprawdę

zadowolony z jego odwiedzin, gdy nagle zwrócił się do mnie z poważną miną.

– Nie przyszedłem tu, żeby oglądać lakowane dzieła – wyznał. Spojrzałem na niego zdziwiony, a on mówił dalej: – Zależało mi tylko, żebyśmy zostali sami.

– O co właściwie chodzi, ojcze? – spytałem.

– Nie chciałem, żeby inni mężczyźni nas słyszeli. Nie chciałem, żeby się dowiedzieli – szczególnie po tym, jak mistrz dał ci wolne, żebyś mógł pojechać do Pekinu.

– O czym wy mówicie, ojcze?

– Musisz poprosić swego chlebodawcę o wielką przysługę. – Skinął głową, robiąc mądrą minę. – Nigdy nie należy nikogo prosić o przysługę publicznie, bo jeśli się zgodzi, inni też zechcą wykorzystać jego dobroć. Ilekroć więc będziesz musiał prosić o przysługę, mój synu, zawsze rób to na osobności.

– Jaką przysługę? – Nie podobało mi się, do czego zmierzała ta rozmowa.

– Musi ci pożyczyć trochę pieniędzy – odrzekł i popatrzył na mnie ze smutkiem. – Chodzi o Zi-Hao. O naszego małego chłopca.

– Co wy mówicie, ojcze? – Serce mi zamarło.

– To się stało wkrótce po twoim wyjściu. Zaczął wymiotować tak jak poprzednio, a potem po prostu leżał i nie ruszał się przez cały ranek. Jest blady jak ściana. – Ojciec wyglądał na udręczonego. – Lekarstwo chyba przestało działać – dodał.

– Co teraz poczniemy?! – zawołałem.

– Właśnie dlatego tutaj przyszedłem – odparł z nagłym ożywieniem. – Wystarczy, że twój mistrz pożyczy ci pieniądze na odpowiednie lekarstwo – tamto, na które nas nie było stać. Idź do niego zaraz, powiedz, co się stało, i poproś o pożyczkę. Ma do ciebie zaufanie, bo jesteś dobrym pracownikiem. Z czasem go spłacisz.

– Nie spodoba mu się ten pomysł – powiedziałem. – Chyba się nie ośmielę.

– Nie masz wyboru – stwierdził – o ile chcesz ocalić życie swojego syna. – Po raz pierwszy miał rację. – Idź teraz i z nim porozmawiaj, a ja tutaj zaczekam.

Zrobiłem, jak kazał. Mistrz był u siebie. Kiedy podszedłem do drzwi jego domu i poprosiłem o chwilę rozmowy, od razu do mnie wyszedł.

Powitał mnie przyjaźnie, ale w jego oczach dostrzegłem cień podejrzliwości.

Nie przyznałem mu się, że kupiliśmy tańsze lekarstwo od innego lekarza, i teraz musiałem mu o wszystkim opowiedzieć, także o tym, co dzieje się z moim synem.

– Czy macie jakiś pomysł, co mógłbym jeszcze uczynić, panie? – zapytałem w nadziei, że sam coś zaproponuje – byłoby to lepsze, niż prosić go o pożyczkę – ale chyba wybrałem niewłaściwe podejście.

Mistrz długo się nie zastanawiał.

– Powinieneś pójść do świątyni i złożyć ofiarę – powiedział. – To czasami pomaga.

– Pomyślałem – rzuciłem zdesperowany – że gdybym mógł kupić tamto drogie lekarstwo, udałoby się go wyleczyć. Gdybyście byli skłonni udzielić mi pożyczki, spłaciłbym ją z pewnością. Pracowałbym dodatkowo, zrobiłbym wszystko, czego tylko zażądacie!

Przez dłuższą chwilę przyglądał mi się w milczeniu.

– Pamiętasz – rzekł w końcu – co ci mówiłem o dzieciach? Musisz być przygotowany na to, że pewnego dnia któreś z nich stracisz. Wszyscy przez to przechodzimy. To bardzo smutne – westchnął – ale taka jest kolej rzeczy.

– Muszę spróbować go ocalić – powiedziałem.

– Czasami – odparł – trzeba po prostu odpuścić.

Wiedziałem już, że nie pożyczy mi żadnych pieniędzy.

– Nic z tego – oznajmiłem ojcu, wróciwszy do magazynu. Wyglądał na bardzo przygnębionego. Potem wyszedł, a ja wróciłem do pracy.

* * *

Tego wieczoru nie wiedziałem, co zastanę w domu po swoim powrocie. Mój synek leżał cichutko. Wcześniej zjadł mniej niż połowę miseczki rozgotowanego makaronu, który przyrządziła żona. Dała mu też trochę lekarstwa, ale nic nie wskazywało na to, aby mu pomogło. Nie wiedziałem, co powiedzieć, a co gorsza, nie wiedziałem, co mam teraz zrobić.

– Jutro jadę do Pekinu – oznajmił nagle mój ojciec.

– Po co? Przecież nie mamy pieniędzy.

– Zamierzam porozmawiać z tym staruszkiem z apteki.

– Ale on już raz nam odmówił, gdy nie mieliśmy wystarczająco dużo pieniędzy. Teraz nie mamy nawet tyle.

– Wyjaśnię mu, co się stało. Jego ojciec znał mojego dziadka, kto wie, może okaże mi serce. Ludzie potrafią być dobrzy. – Zawahał się. – Masz lepszy pomysł?

Możecie sobie wyobrazić, jak bardzo się zdumiałem, gdy cztery dni później wrócił z Pekinu z lekarstwem.

Gdyby przybył o dzień później, mogłoby być za późno. Mój synek z każdą chwilą stawał się coraz słabszy; gdy poprzedniej nocy zajrzałem mu w oczy, zrozumiałem, że brak mu sił i że się poddaje. Nieraz przekonywałem się, że dopóki dziecko nie skończy pięciu albo sześciu lat, brak mu siły życiowej. Pamiętam, że podniosłem synka, przytuliłem do siebie i powiedziałem:

– Musisz być dzielny, mój mały. Musisz walczyć! – Przypuszczam, że wyczuł, co do niego mówię, nawet jeśli nie zrozumiał pojedynczych słów. I może nawet próbował walczyć z chorobą, ale nie sądzę, aby przetrwał kolejny dzień.

– Jak zdołałeś przekonać tego starca, żeby dał ci lekarstwo? – zapytałem ojca.

– Przypomniałem mu, skąd pochodzi, i powiedziałem, że życie mego wnuka jest w jego rękach. Może się zawstydził, a może dobroć zwyciężyła. Któż to wie? – Uśmiechnął się. – Czy ważne, dlaczego ktoś dobrze postępuje? Grunt, że to robi, prawda?

Daliśmy więc mojemu synkowi lekarstwo i począwszy od kolejnego dnia jego stan zaczął się poprawiać, a ja z radością spieszę wam donieść, że żyje po dziś dzień.

Kilka dni później mistrz powiedział mi, że słyszał, iż mój syn wyzdrowiał, i że bardzo się z tego cieszy.

– Jak to się stało? – chciał wiedzieć.

Opowiedziałem mu o wyprawie ojca do Pekinu, o starcu i drogim lekarstwie. Kiedy skończyłem, zamyślił się głęboko. Przyszło mi do głowy, że ogarnęły go wyrzuty sumienia, bo stary lekarz okazał nam więcej serca niż on. Nic w każdym razie nie powiedział, a po kilku dniach sam wybrał się do Pekinu.

Rankiem po swoim powrocie wezwał mnie do siebie i zapytał:

– Czy wiesz, że twój ojciec zapłacił lekarzowi za lekarstwo, które od niego otrzymał?

Całkowicie mnie tym zaskoczył.

– Ależ to niemożliwe, panie – odrzekłem. – Nie mamy tyle pieniędzy.

– Zapewniam cię, że tak było – potwierdził. – Osobiście rozmawiałem z tym lekarzem.

– Może nie chciał się obnosić ze swoją hojnością? – podsunąłem. – Albo obawia się, że gdyby inni dowiedzieli się o niej, też zaczęliby go prosić o przysługi.

– Nie sądzę – odparł mistrz. Przyjrzał mi się uważnie. – W magazynie brakuje pewnego przedmiotu – ciągnął. – Niewielkiego, ale bardzo cennego.

Zagapiłem się na niego. Chwilę trwało, zanim dotarło do mnie znaczenie jego słów.

– Och, mistrzu – wykrzyknąłem – chyba nie sądzicie, że mógłbym was okraść?!

– Kto wie, na co gotów jest człowiek, żeby ratować swoje dziecko?

Zapewne miał rację; ja sam na jego miejscu doszedłbym do podobnego wniosku, wiedziałem jednak, że go nie okradłem. A potem pojąłem, co się stało.

– Nie wziąłem go, panie. – Pokręciłem głową. Nie wiedziałem, co jeszcze mogę dodać.

– Wiem, że nie wziąłeś – odrzekł cicho. – Zrobił to twój ojciec, kiedy zostawiłeś go samego w magazynie i poszedłeś pomówić ze mną.

– Nie mieści mi się w głowie, że… – zacząłem.

– To oczywiste, że o niczym ci nie wspomniał.

– Nigdy bym do tego nie dopuścił – zapewniłem go.

– To także wiem – przerwał mi. – Nie zamierzam nikomu tego zgłaszać – ciągnął – ale obawiam się, że będziesz musiał odejść. Nie mogę cię dłużej zatrudniać.

– Mistrzu – błagałem – wiecie, że jestem dobrym pracownikiem i bardzo mi się tutaj podoba. Zrobię wszystko…

Zbył te zapewnienia machnięciem ręki.

– W Pekinie – rzekł – rozmawiałem z właścicielem małego, ale znakomitego warsztatu, gdzie wyrabia się przedmioty z laki. Pracował niegdyś w wytwórni cesarskiej. Powiedziałem mu, że mam dobrego pracownika,

młodego człowieka obdarzonego wielkim talentem, którego okoliczności rodzinne zmusiły do przeniesienia się do miasta. Z mojej rekomendacji przyjmie cię do pracy, początkowo na akord, ale z czasem może dostaniesz stałą posadę. Tylko niech twój ojciec nie zbliża się do tego miejsca, w przeciwnym razie okryjesz mnie hańbą. – Skinął głową. – Tylko ja jeden wiem o tej kradzieży i niech tak pozostanie. Ale musisz wyjechać do Pekinu. To wszystko, co mam ci do powiedzenia.

Gdy tego dnia wróciłem wieczorem do domu i skonfrontowałem się z ojcem, przyznał się do kradzieży, lecz za nią nie przeprosił.

– Jak trzeba, to trzeba. Dzięki temu uratowałem życie twojego syna.

– Za to zhańbiliście naszą rodzinę, ojcze! – krzyknąłem.

– Jeśli nikt się o tym nie dowie, to nie. – Wydawał się całkiem z siebie zadowolony.

– Straciłem przez to pracę – przypomniałem mu. – Jak to ma pomóc naszej rodzinie?

– W porządku – odparł – poproś mistrza, aby cię przyjął z powrotem, to przyznam się do winy. Niech sędzia mnie ukarze. Przynajmniej zrobię coś dla swoich najbliższych.

– Nie uczyni tego, choćbyście mieli otrzymać sto razów bambusową pałką – mruknąłem. – Zresztą nie chce wnosić przeciwko wam oskarżenia.

– Czuje się winny, to dlatego – oświadczył triumfalnie ojciec.

Wyjechaliśmy do Pekinu razem: moi rodzice, ciężarna żona oraz synek, który dzięki właściwemu lekarstwu wkrótce niemal całkowicie odzyskał zdrowie. Właściciel warsztatu dał mi pracę na akord, nie było jej jednak na tyle dużo, abym zdołał utrzymać rodzinę, i nie miałem pewności, czy to kiedykolwiek się zmieni. Matka znalazła dorywcze zatrudnienie jako służąca w domu pewnego kupca. Jedyną osobą w rodzinie, która naprawdę cieszyła się z przeprowadzki, był mój ojciec.

Miasto zdawało się mu odpowiadać i wcale nie dlatego, że znalazł stałą posadę. Wałęsając się po ulicach, zadziwiająco szybko nawiązywał znajomości – może dlatego, że zawsze chętnie zagadywał ludzi i wypytywał o ich sprawy. W krótkim czasie stał się znany w okolicy, a ludzie zaczęli go najmować do różnych prac. Zawsze dawali mu coś za fatygę i chociaż nie było tego wiele, zarabiał dość, aby móc płacić za jedzenie i część czynszu.

Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że mój ojciec nie jest leniwy – po prostu nie znosił rutyny. Dla osoby jego pokroju nie było miejsca na wsi, okazało się jednak, że w dużym mieście radzi sobie całkiem nieźle.

Moje drugie dziecko okazało się zdrowym chłopcem. Mogłoby się wydawać, że to mnie ucieszy, i w pewnym sensie tak było; zarazem jednak zyskałem kolejny powód do niepokoju.

Jako że rodzina mi się powiększała, stale szukałem sposobów, aby zarobić więcej pieniędzy na utrzymanie żony i dzieci. Matka co prawda dorabiała jako służąca, a ojciec imał się na ulicy rozmaitych płatnych zajęć, ale wiedziałem, że pewnego dnia to się skończy i wtedy ja będę musiał się nimi zaopiekować. Wszystko spadło na moje barki. Pracowałem na akord, potrzebowałem jednak stałej posady – nie tylko, żeby teraz mieć z czego żyć, ale też po to, aby móc pracować z bardziej doświadczonymi rzemieślnikami, doskonalić swoje umiejętności i w przyszłości zarabiać o wiele więcej.

Już wcześniej odkryłem, że właściciel warsztatu zatrudnia na stałe niewielu rzemieślników. Przeważnie zlecał pracę takim jak ja. W stolicy istniały oczywiście inne warsztaty wykonujące przedmioty z laki, ale nikt mnie tam nie zarekomendował. Odwiedziłem kilka z nich z pytaniem, czy nie znajdzie się dla mnie jakieś zajęcie, lecz szczęście mi nie dopisywało; w tamtym czasie nikt nie był gotów przyjąć mnie na stałe.

Możecie więc sobie wyobrazić, że każdego dnia towarzyszył mi lęk. Co się stanie, jeśli mój synek znowu zachoruje albo coś złego przytrafi się nowo narodzonemu dziecku? Co wtedy pocznę?

Ojciec nieźle się wzbogacił, sprzedając przedmiot skradziony z warsztatu mojego mistrza; zostało mu jeszcze trochę pieniędzy, które traktowaliśmy jak rezerwę na czarną godzinę. Poza tym nie mieliśmy żadnych oszczędności.

Miesiąc przed początkiem nowego roku przyniosłem do warsztatu skończony wyrób. Była to mała szkatułka o nieco bardziej skomplikowanych zdobieniach niż wszystko, co dotychczas zrobiłem. Na wieczku znajdował się wzór, który należało starannie wyrzeźbić, a ja byłem całkiem zadowolony z efektu, jaki udało mi się uzyskać.

Kiedy właściciel ją obejrzał, z uznaniem pokiwał głową.

– Piękna robota – pochwalił. – Zapłacę ci za nią dwa razy tyle, na ile się umówiliśmy. – Poczułem radość, lecz trwała ona tylko chwilę. – Obawiam

się, że nie będę cię już potrzebował – dodał. – Jeśli to się zmieni, dam ci znać, ale niczego się nie spodziewaj.

– Ale przecież moja praca…

– Och, jesteś świetnym rzemieślnikiem. Sęk w tym, że człowiek, który od lat mnie zaopatruje, zażądał większej liczby zleceń, oddam mu więc te, które ty wykonujesz. Przykro mi, ale obawiam się, że on ma pierwszeństwo. – Spojrzał na mnie życzliwie. – Między innymi dlatego płacę ci teraz w dwójnasób, żebyś mógł jakoś przetrwać.

Nie było sensu dłużej się upierać; podziękowałem mu i odszedłem.

Był jeszcze wczesny ranek, więc nie wróciłem do domu. Pamiętam, że przez wiele godzin błąkałem się po ulicach oszołomiony, wyobrażając sobie najrozmaitsze nieszczęścia: a to, że mój ojciec znowu coś ukradnie i zostanie złapany, a to, że moje dzieci umrą z braku lekarstwa… Nie patrzyłem, dokąd idę, aż ocknąłem się nieopodal Bramy Tiananmen, naprzeciwko dużej herbaciarni. Tak nie można, zbeształem sam siebie. Dość tych czarnych myśli – powinienem usiąść, napić się herbaty, uspokoić i zastanowić, jak odtąd będę zarabiać na życie. Wszedłem więc do herbaciarni i napiwszy się herbaty, spróbowałem myśleć logicznie.

Stwierdziłem, że – czy mi się to podoba, czy nie – nie mam większych szans na zdobycie pracy w zawodzie, do którego mam największe predyspozycje, a nie mogłem sobie pozwolić na to, aby kształcić się od nowa w innym rzemiośle. Mógłbym co prawda nająć się do służby w domu jakiegoś kupca, lecz zarobki nie byłyby zbyt wysokie. Rozważałem wszystkie profesje, jakie tylko mi przyszły do głowy, gdy po pewnym czasie z zadumy wyrwało mnie bicie w bębny.

Ujrzałem nieduży orszak, podobny do tego, który widziałem jako chłopiec podczas odwiedzin u Starszego Brata Dziadka. Przodem kroczył uroczyście zastęp pałacowych eunuchów w otoczeniu bębniarzy i ludzi bijących w gongi. Na ten widok przeszedł mnie przyjemny dreszcz. Jedwabne szaty eunuchów były tak bogato haftowane, tak wspaniałe, że na sam ich widok poczułem się, jakbym zajrzał do raju. Dzięki temu mogłem choć na moment zapomnieć o swoich kłopotach.

Dalej dźwigano pilnie strzeżoną lektykę, w której bez wątpienia podróżował jakiś urzędnik pałacowy wysokiej rangi. Orszak minął herbaciarnię i dotarł do rezydencji, do której wniesiono lektykę. Część eunuchów znikła na dziedzińcu, innym wyniesiono krzesła, na których usiedli przy bramie,

trzech zaś postanowiło wybrać się na przechadzkę. Ku mojemu zaskoczeniu jeden przekroczył próg herbaciarni.

Jej właściciel, potykając się o własne nogi, rzucił się, aby go powitać, po czym złożył mu niski ukłon. Muszę przyznać, że w lśniących jedwabiach i stożkowatym kapeluszu eunuch prezentował się bardzo dostojnie. Zapytany, gdzie chciałby usiąść, miło się uśmiechnął i bez wahania wskazał głową stolik obok mojego, który akurat był pusty. Usłyszałem, jak dodaje cicho, że życzy sobie tylko herbaty, nic do jedzenia.

– Macie może zieloną herbatę z Lushan?

– Naturalnie – odrzekł właściciel i oddalił się pospiesznie.

Od chwili, gdy znamienity gość usiadł, nie mogłem wyjść z podziwu dla jego elegancji. Pomyślałem, że mam przed sobą człowieka, który wie, jak należy żyć. Nie ma lepszej ani doskonalszej odmiany górskiej zielonej herbaty niż ta z Lushan. Ale nie chodziło tylko o jego wybór herbaty. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat, lecz sposób, w jaki siedział, wyprostowany i zupełnie nieruchomy, przywodził na myśl znacznie starszego mężczyznę. Każdy jego gest cechował się tak niezwykłym wdziękiem, że mógłby być kapłanem. Zawsze słyszałem, że większość eunuchów pochodzi z najbiedniejszych klas społeczeństwa, ale ten nie miał w sobie za grosz prostactwa typowego dla zwykłych ludzi. Czy była to jego cecha wrodzona, czy też wynik lat spędzonych na cesarskim dworze, tego nie wiedziałem.

Uświadomiłem sobie, że się w niego wpatruję, i zawstydzony tym przejawem złych manier zmusiłem się do odwrócenia wzroku. Wyjrzałem przez okno, karcąc się w duchu: Pomyśl lepiej, co dalej robić, zamiast gapić się na pałacowego eunucha, który w niczym ci nie pomoże.

Zauważyłem, że wraz z herbatą usługująca mu kobieta przyniosła także drobne smakołyki, które zignorował.

Spoglądałem w okno, dumając o swoich zmartwieniach, gdy z rozmyślań wyrwał mnie cichy głos:

– Wyglądasz na bardzo nieszczęśliwego, młody człowieku.

Odwróciłem się i ze zdumieniem stwierdziłem, że zagadnął mnie ów dostojny eunuch. Miał delikatną cerę, ładne usta o zdecydowanym wyrazie, a na jego twarzy malowała się szczera troska.

– Za pozwoleniem, panie, każdy z nas ma swoje zmartwienia – odrzekłem uprzejmie. – Nie sądzę, aby moje wydały się interesujące komuś tak dystyngowanemu jak wy.

– Być może – odparł życzliwie. – Ale ponieważ muszę tu czekać jeszcze przez godzinę, co samo w sobie jest dość nudne, chętnie wysłucham historii twojego życia, o ile zechcesz mi ją opowiedzieć. – Następnie zaproponował mi przekąski ze swojego stolika.

Poprosiłem, aby przerwał, gdy będzie miał dość, a następnie zrelacjonowałem mu pokrótce najważniejsze wydarzenia. Odniosłem wrażenie, że bacznie mnie obserwował, na koniec zaś pokiwał głową.

– To wcale nie było nudne – stwierdził. – I co zamierzasz teraz zrobić?

– Nie wiem, czcigodny panie – wyznałem. – Dużo bym dał, żeby to wiedzieć.

– Nie mogłem nie zauważyć – rzekł – że podczas naszej rozmowy stale zerkałeś na moją szatę. Mogę zapytać, co cię tak zainteresowało?

– Jako rzemieślnik zawsze zwracam uwagę na pięknie wykonane rzeczy, panie. Właściwie – dodałem – od dziecka pociąga mnie to, co w życiu piękne i wyszukane, mimo że sam nie mogę tego mieć. – Uśmiechnąłem się.

Ku mojemu zdumieniu wyciągnął do mnie rękę.

– Chciałbyś dotknąć jedwabiu? – zaproponował.

Oczywiście, że chciałem. W dotyku haftowany jedwab okazał się znacznie sztywniejszy, niż się spodziewałem, prawie jak brokat, w dodatku był precyzyjnie wyszywany drobnymi perełkami, przez co wydawał się dość szorstki. Nie mogłem się powstrzymać i nachyliłem, żeby z bliska przyjrzeć się ściegowi; był niewiarygodnie gęsty.

– Ten haft przetrwa nawet tysiąc lat! – wykrzyknąłem.

– Niewykluczone – odpowiedział ze śmiechem. Cofnął rękę i popatrzył na mnie zamyślony. – Wiesz – odezwał się cicho – być może istnieje sposób, abyś zdobył to, czego pragniesz, choć wiąże się to z pewnym ryzykiem i wymaga wielkiego poświęcenia.

– Powiedzcie mi, panie, co miałbym uczynić – poprosiłem.

– Mógłbyś zostać jedną z osób z pałacu, jak nas nazywają. Eunuchem.

– Eunuchem? – Spojrzałem na niego zdumiony. – Przecież jestem żonaty, panie – zaprotestowałem. – Musiałbym się na to zdecydować jako chłopiec.

– Sporo ludzi żyje w takim przeświadczeniu – odparł – ale nie mają racji. Większość eunuchów istotnie zostaje nimi za młodu – wyjaśnił – ale w pałacu jest wielu takich, którzy zostali wykastrowani już po osiągnięciu

wieku męskiego, po tym, jak się ożenili i założyli rodzinę. Pieniądze, które zarabiają w pałacu, przeznaczają na utrzymanie swoich żon i dzieci.

– Nigdy nie słyszałem o czymś podobnym! – wykrzyknąłem.

– Zapewniam cię, że tak właśnie jest. Mieszkam w pałacu i sam znam takich ludzi.

– A co na to ich żony?

– Żyje im się lepiej, niż gdyby ich mężowie się na to nie zdecydowali, a ich dzieci są zadbane i nigdy nie chodzą głodne. Eunuchom często pozwala się nocą opuszczać pałac, wiedziałeś o tym? Niektórzy wracają wtedy do swoich domów, żeby spędzić czas z rodzinami.

– Ale przecież nie mogą…

Uciszył mnie, unosząc dłoń.

– To nie znaczy, że nie mogą inaczej zadowolić kobiety. Nie musimy tu roztrząsać wszystkich możliwości. – Pokiwał głową. – Śmiem twierdzić, że w Pekinie wiele kobiet chętnie zamieniłoby swoich mężów na eunuchów.

– Nie wiem, co mam odpowiedzieć, panie – zacząłem się jąkać. Niemal odjęło mi mowę ze zdumienia.

– Wszyscy eunuchowie otrzymują skromne wynagrodzenie – ciągnął mój rozmówca – ale gdy któremuś dopisze szczęście, może sobie dodatkowo dorobić. Niektórzy stają się nawet całkiem majętni. – Umilkł, po czym dodał: – Według mnie łatwo zdobędziesz przyjaciół na dworze i będzie ci się nieźle wiodło. Poza tym – uśmiechnął się – byłbyś tam otoczony najpiękniejszymi przedmiotami, jakie można sobie wyobrazić.

Milczałem. Eunuch wyjrzał przez okno.

– Czas na mnie – oznajmił. – Gdybyś się zdecydował – ale wyłącznie wtedy, gdy będziesz naprawdę pewien, że jesteś gotów na taki drastyczny krok – w mieście jest pewien kupiec, którego polecam ci odwiedzić. Powinieneś wybrać się do niego dyskretnie, wieczorem, nie mówiąc nikomu, co tak naprawdę tam cię sprowadza. Dopiero kiedy zostaniesz z nim sam na sam, powiedz, po co przyszedłeś. Może się okazać bardzo pomocny, zarówno w zorganizowaniu samego zabiegu, jak i w przetarciu szlaku do pałacu – bez tego, rzecz jasna, zabieg okazałby się zupełnie niepotrzebną stratą czasu i pieniędzy. Tutaj masz nazwę ulicy w Wewnętrznym Mieście, przy której mieszka ów człowiek. Pytaj o pana Chena, kupca. – Wstał. – Powodzenia.

– Dziękuję wam, panie – wyszeptałem.

Po powrocie do domu nikomu słowem nie wspomniałem o naszej rozmowie, musiałem się jednak przyznać, że straciłem pracę. Widziałem, jak matka zapada się w sobie, słysząc tę nowinę, choć bardzo starała się to ukryć.

Róża usiłowała nadrabiać miną.

– Na pewno zdołam znaleźć jakieś zajęcie – powiedziała ze spokojem. – I jestem przekonana, że ty też wkrótce coś znajdziesz.

Ojciec zdawał się w ogóle nie dostrzegać problemu.

– Coś wymyślę – oznajmił nam beztrosko.

– To mnie właśnie martwi – mruknąłem.

Można by pomyśleć, że w tak wielkim mieście jak Pekin znajdzie się mnóstwo możliwości pracy, ale po dziesięciu dniach poszukiwań uświadomiłem sobie prosty, acz niezbity fakt: stolica była niczym innym jak ogromnym skupiskiem wiosek. I tak jak w każdej wiosce rzemieślnicy zatrudniali w pierwszej kolejności swoich krewnych albo synów przyjaciół. Bogacz szukający służącego woli nie zatrudniać obcych, którzy mogliby go okraść; zapyta raczej zaufanego sługę, czy zna kogoś odpowiedniego, ten zaś z pewnością będzie miał kuzyna albo przyjaciela, którego mógłby polecić. Krótko mówiąc, większość dobrych posad była już zajęta, a dla przyjezdnych pozostawały dorywcze prace, takie, jakich imał się mój ojciec – czyli nieoferujące żadnych perspektyw.

Odkryłem też coś jeszcze: całe mnóstwo biedaków. Było ich pełno na każdej ulicy. Widziałem ich już pierwszego dnia, gdy jako chłopiec odwiedziłem Starszego Brata Dziadka, ale tak naprawdę ich nie dostrzegałem. Stanowili swoiste tło i nie mieli ze mną nic wspólnego.

Głodujący, ubrani w łachmany i bosi zimą, chorzy, z umierającymi dziećmi na rękach. Gdy raz zwróciło się na nich uwagę, człowiek widział ich już wszędzie, podpierających ściany i zerkających z wąskich przejść. Przypominali wychudzone, pozbawione piór ptaki, ich dzieci zaś przywodziły na myśl pisklęta, które wypadły z gniazda. Jeśli jeszcze nie były martwe, wiadomo było, że długo nie pożyją.

Co właściwie mnie od nich odróżnia? – pomyślałem pod koniec dziesiątego dnia poszukiwań. Nie tak wiele. Pieniądze, które pozostały po kradzieży ojca. Marna praca, którą możemy wykonywać, dopóki dopisze nam zdrowie. Wystarczyłaby jednak kolejna choroba – załóżmy, że ojciec

miałby wypadek – a musielibyśmy żebrać na ulicach jak ci biedacy. Stałbym tu, trzymając synka za rękę i patrząc, jak niknie w oczach…

Czułem się tak, jakbym stąpał po krawędzi ciemnej otchłani, w którą może wpaść cała moja rodzina; wystarczy jeden niefortunny krok i będzie po nas.

Czasami widywałem ojca, który żwawo przebiegał miasto wzdłuż i wszerz – czy naprawdę nie zdawał sobie sprawy z powagi położenia, w jakim się znaleźliśmy? A może tylko udawał, żeby podtrzymać nas na duchu? Albo zwyczajnie nie potrafił spojrzeć prawdzie w oczy. Nie potrafiłem go rozgryźć.

Dziesiątego dnia powiedziałem mu:

– To na nic, niczego nie znalazłem.

Spodziewałem się chyba usłyszeć, że powinienem być cierpliwy, że coś na pewno się znajdzie. On jednak milczał i wydawało się, że obmyśla jakąś strategię.

– Wiesz – odezwał się w końcu, jakby zdradzał mi sekret – najlepszym, co można zrobić, jest ocalenie życia bogaczowi.

– Przykro mi, ale nie rozumiem – odparłem. – Co chcecie przez to powiedzieć, ojcze?

– No cóż – rzekł – jeśli napotkasz bogatego człowieka w tarapatach, a zwłaszcza jeśli będziesz miał okazję uratować mu życie, będzie ci tak wdzięczny, że zrobi dla ciebie wszystko. Wielu już zdobyło w ten sposób sławę i majątek.

– Postradaliście zmysły! – wykrzyknąłem, czego nie powinno się nigdy mówić własnemu rodzicielowi.

– Skądże – odrzekł, wyraźnie urażony. – Takie rzeczy się zdarzają. Słyszy się różne historie.

– Będę miał się zatem na baczności – westchnąłem.

Nazajutrz po zmierzchu odszukałem ulicę, o której mówił eunuch, i zapytałem o kupca Chena. Jego hutong, jak nazywa się prostokątny kompleks połączonych ze sobą parterowych budynków, znajdował się po zachodniej stronie Wewnętrznego Miasta, w dobrej okolicy zamieszkanej przez wielu bogatych kupców i rzemieślników.

Dom pana Chena był typową kupiecką siedzibą z zabudowanym dziedzińcem, do którego prowadziła brama w południowo-wschodnim naroż-

niku muru, oddzielona od ulicy kilkoma stopniami.

Zdążyłem się już nauczyć, jak w Pekinie rozpoznaje się status społeczny człowieka po tym, jak wygląda wejście do jego domu. Bram członków rodziny cesarskiej i arystokracji strzegły kamienne lwy, po jednym z każdej strony, a dokładnym wyznacznikiem czyjejś pozycji była wielkość przysługującej danej osobie bramy. Wejście do domu pana Chena, będącego zwykłym człowiekiem, było znacznie skromniejsze: zamiast lwów po obu stronach podwójnych, pomalowanych na ciemnoczerwono drzwi znajdowały się grube kamienne dyski przypominające kamienie młyńskie, jednak już ciężkie nadproże dowodziło całkiem pokaźnego majątku.

W progu stanął sługa, któremu się przedstawiłem i którego poprosiłem o rozmowę z jego panem w osobistej sprawie. Po chwili wrócił i wprowadził mnie do środka.

Ostrożnie przestąpiłem próg i znalazłem się w niezadaszonym korytarzu biegnącym od prawej do lewej strony przez całą szerokość domostwa. W wielu domach gładki załom muru wystarczyłby, aby powstrzymać złe duchy przed wejściem do środka, wiadomo bowiem, że mają one trudności z pokonywaniem zakrętów. Niektórzy każą też w tym celu malować na drzwiach groźnie wyglądające bóstwa, ale u pana Chena trzeba było przejść pomiędzy parą posągów bogów strzegących drzwi, w pełni uzbrojonych, które zdawały się gotowe unicestwić każdego – żywego czy umarłego – kto ośmieliłby się wtargnąć bez pozwolenia. Ze względu na swoje imponujące rozmiary pasowały do znaczniejszej rezydencji; przypuszczałem, że musiał je gdzieś tanio kupić.

Ich przesłanie było całkiem jasne: pan Chen ukazywał światu skromną twarz, ale zabiłby każdego, kto spróbowałby skrzywdzić jego rodzinę. Podążyłem za służącym, najpierw w lewo korytarzem, potem w prawo, na dziedziniec. Pierwszą rzeczą, jaką tam zauważyłem, był stan kamiennych płyt pod moimi stopami: nie było na nich ani odrobiny pyłu, dziedziniec musiał być więc zamiatany kilkanaście razy dziennie. Drewniane filary i pokrywające ściany panele lśniły w delikatnym świetle rozwieszonych wokół czerwonych lampionów ozdobionych frędzlami, a w głębi stały dwie przepiękne, cenne wazy z czasów dynastii Ming z posadzonymi w nich roślinami. Wprowadzono mnie do biura, gdzie czekał kupiec.

Pan Chen siedział na drewnianym, kwadratowym krześle za rzeźbionym stolikiem z palisandru. Ubrany był w długą szatę z szarego jedwabiu, bardzo prostą, najlepszej jakości, a na głowie miał czarną okrągłą czapeczkę.

Skłoniłem mu się nisko, on zaś wskazał mi krzesło naprzeciwko siebie, po drugiej stronie stolika. Usiadłem i dopiero wówczas lepiej mu się przyjrzałem.

Jakież było moje zaskoczenie, gdy okazało się, że mam przed sobą owego eunucha, którego spotkałem w herbaciarni!

– To wy jesteście panem Chenem? – zapytałem głupio.

– W rzeczy samej – przytaknął. – Nie domyśliłeś się?

Pokręciłem głową.

– Powiem ci coś – podjął. – Żaden z moich sąsiadów niczego się nie domyśla. Znają tylko pana Chena, kupca, jego żonę i dzieci.

– Nie wiedzą, że jesteście osobą z pałacu?

– Nie mają o niczym pojęcia. Widzą, jak przychodzę i wychodzę stąd w stroju kupca, ale nie są pewni, czym właściwie się zajmuję. Przebieram się dopiero w pałacu. Tylko jedna z naszych służących wie, jak jest naprawdę. Zna mnie od urodzenia i nigdy mnie nie zdradzi.

Wstał od stolika i skinął, abym za nim podążył. Weszliśmy do pięknego pomieszczenia, w którym na szerokiej sofie spoczywała jakaś dama. Obok siedziała na oko siedemnastoletnia dziewczyna i czytała na głos, lecz na nasz widok przerwała lekturę. Przy biurku po przeciwnej stronie młody, blisko dwudziestoletni mężczyzna sporządzał jakieś notatki.

– Oto moja żona oraz dwójka dzieci – powiedział pan Chen, gdy z szacunkiem im się ukłoniłem. – Co czytasz, moja córko? – zwrócił się do dziewczyny.

– *Wędrówkę na Zachód*, ojcze – odparła.

– Moja córka dobrze czyta – rzekł do mnie z dumą pan Chen. – Jej matka tego nie potrafi, ale lubi słuchać. *Wędrówka na Zachód* to wspaniała klasyczna powieść. Opisuje zabawne historie, ale jest okropnie długa, a moja córka za kilka miesięcy ma wyjść za mąż. Nie zdąży jej skończyć, zanim nas opuści. Znasz tę książkę? Mógłbyś nam ją czytać?

Wędrówka na Zachód była bardzo znana, więc co nieco o niej słyszałem. Była to epopeja mówiąca o tym, jak Małpi Król pomógł pewnemu kapłanowi w wyprawie po święte pisma buddyjskie, a także opowiadająca o napotkanych przez nich licznych demonach i niebezpieczeństwach. Jej lektura z pewnością zajęłaby wiele miesięcy.

– Potrafię trochę czytać, panie Chen – odpowiedziałem szczerze – ale nie na tyle dobrze, żeby temu podołać.

– Ja także nie dałbym rady – odrzekł pan Chen. – Mój syn zaś jest zbyt zajęty swoją pracą u pewnego dostojnego kupca, aby poświęcać czas na czytanie powieści. – Uśmiechnął się czule do żony. – Gdy zatem nasza córka opuści dom, będę musiał zatrudnić jakiegoś biednego studenta, aby doczytał nam resztę.

Po tej krótkiej wymianie zdań, poinformowawszy domowników, że mamy kilka spraw do omówienia, pan Chen zaprowadził mnie z powrotem do swojego gabinetu.

– Widziałeś moją rodzinę i wiesz już, jak żyję. W pałacu zajmuję się aprowizacją – odpowiadam za zakup żywności dla całego dworu. Mam prawo do niewielkich zysków od każdej transakcji, możesz więc sobie wyobrazić, ile zarabiam na tym stanowisku. Ponad piętnaście lat minęło, zanim mogłem sobie pozwolić na zakup tego domu, można jednak pracować w pałacu nawet trzydzieści lat i niczego się nie dorobić. Nie sposób tego przewidzieć. Niektórzy po prostu mają szczęście – jednym los sprzyja, innym nie.

– Sądzicie, że mnie dopisałoby szczęście, panie Chen?

– Odkąd cię poznałem, czuję, że jesteś szczęściarzem. Taka jest twoja karma. Gdyby było inaczej, nie sugerowałbym, abyś tutaj przychodził. Poza tym – rzekł, uśmiechając się – jesteś całkiem przystojny, a w pałacu nikt nie chce patrzeć na brzydkich ludzi.

Z początku chyba w ogóle nic nie odpowiedziałem. Pamiętam, że rozmyślałem o scenie, której dopiero co byłem świadkiem w sąsiednim pomieszczeniu, i doszedłem do wniosku, że najbardziej w świecie pragnę żyć tak jak ten człowiek. Nie byłem jednak przekonany, czy mogę się uważać za szczęściarza: utrata pracy zdawała się temu przeczyć. Ale kto wie? Może właśnie w ten sposób los chciał mnie doprowadzić ze skromnej wioski aż do pałacu cesarskiego w Pekinie.

Wiedziałem jedno i byłem o tym tak głęboko przekonany, jakbym w poprzednim życiu posiadał wielki majątek: dom taki jak ten, z tymi wszystkimi cudownymi przedmiotami, był mi przeznaczony. Odnalazłem swoje miejsce w życiu.

– Jestem gotów to zrobić – zdecydowałem.

– Będziesz musiał zaczekać trzy dni – odparł na to pan Chen. – W tym czasie poczynię niezbędne przygotowania. Oficjalnie, aby zatrudnić się jako osoba z pałacu, należy dostarczyć odpowiednie dokumenty od swojej rodziny, krewnych i wójta rodzinnej wioski, poświadczone notarialnie przez

miejscowe władze. Mam jednak pewne kontakty i mogę to wszystko załatwić. Musisz jednak uważać, aby nigdy, pod żadnym pozorem, nie wspominać o kradzieży, której dopuścił się twój ojciec. Sam zabieg wiąże się z pewnym ryzykiem, zwłaszcza po osiągnięciu przez mężczyznę dorosłości. Najlepszą renomą cieszą się chirurdzy w zakładzie prowadzonym przez niejakiego pana Bi – dostarcza on do pałacu więcej eunuchów niż ktokolwiek inny. Po kastracji pozostaniesz u niego przez jakiś czas, żeby rany dobrze się zagoiły. Koszt zabiegu jest znaczny, ale z przyjemnością pożyczę ci potrzebną kwotę z niewielkim oprocentowaniem, którą spłacisz w dogodnym dla siebie momencie. Zapewniam cię, że twoja lojalność i przyjaźń są dla mnie więcej warte niż zwrot pożyczki.

Zacząłem mu dziękować, ale uciszył mnie ruchem ręki.

– Są jeszcze dwie rzeczy, o których musisz wiedzieć – mówił dalej. – Jako eunuch nie będziesz mógł zostać pochowany ze swoją rodziną w świętej ziemi, ponieważ samookaleczenie jest uważane za grzech. Spoczniesz zatem za miastem, na cmentarzu eunuchów. Istnieje jednak sposób, aby to obejść: chirurg pana Bi przechowa twoje usunięte członki w szczelnie zamkniętym słoju. Będą one dobrze strzeżone, mogę ci to obiecać. Pewnego dnia, jeśli zarobisz wystarczająco dużo pieniędzy, twój syn będzie mógł je odkupić, a wówczas twoje ciało zostanie uznane za kompletne i twoje członki zostaną pogrzebane razem z tobą na rodzinnym cmentarzu. Większość eunuchów, rzecz jasna, nie ma synów, więc adoptuje ich specjalnie w tym celu, ty jednak spłodziłeś syna, nie będzie to więc żaden kłopot.

Muszę przyznać, że uznałem to za pocieszające.

Na koniec pan Chen wydał mi jasne polecenie:

– W najbliższych dniach musisz przedyskutować wszystko ze swoją rodziną. Możesz jeszcze zmienić zdanie. Jeśli po upływie tego czasu będziesz miał jakiekolwiek wątpliwości, błagam, abyś się wycofał. Pamiętaj, że gdy pójdziesz do pana Bi, będzie już za późno.

Tego wieczoru przedstawiłem całą sprawę moim bliskim. Matka zalała się łzami.

– Pomyśleć, że coś takiego miałoby spotkać mojego jedynego syna! – lamentowała.

– Masz jeszcze wnuków – przypomniałem jej. – Oni są teraz najważniejsi. – Ale to jej nie pocieszyło.

Ojciec milczał przez chwilę, potem spojrzał na mnie z wielkim smutkiem.

– Przykro mi z powodu tamtych butów. – Pokręcił głową.

– O czym wy mówicie, ojcze?

– O butach, które zrobiłem dla twojego nauczyciela – odrzekł. – Gdyby mu się spodobały, dalej by cię uczył, a ty mógłbyś już być dyrektorem szkoły. Albo nawet urzędnikiem państwowym. To wszystko moja wina.

Nic na to nie odpowiedziałem, bo cóż miałbym powiedzieć?

Jeśli chodzi o moją żonę, biedna Róża wcale nie była zadowolona.

– To nie jest dla mnie przyjemna perspektywa! – wybuchnęła.

– No cóż, dla mnie też nie – odburknąłem, bo mnie zdenerwowała. – Musimy myśleć o naszych dzieciach, Różo – dodałem. – Szkoda, że nie widziałaś domu pana Chena. Byłabyś zachwycona! A jego żona wydawała się całkiem szczęśliwa. Ma wszelkie wygody. Zapewnił swoim dzieciom życie, o jakim ty i ja moglibyśmy tylko pomarzyć. – Starałem się ją pocieszyć. – Gdybym mógł dać wam wszystkim to samo… – Ale chyba mnie nie słuchała.

– Nawet jeśli ci na mnie nie zależy – powiedziała – to czy nie będzie ci wstyd?

– Bardziej będę się wstydził, jeśli zaczniemy głodować i pomrzemy! – krzyknąłem. Zaczynałem chyba tracić cierpliwość; najwyraźniej nikt nie zamierzał mnie wesprzeć w mojej decyzji, a przecież to ja miałem się poświęcić dla dobra rodziny.

– Ile to będzie kosztować? – zapytał nagle ojciec.

– O nic się nie martwcie, ojcze – odparłem. – Pieniądze, które zdołaliśmy odłożyć, wystarczą na pokrycie kosztów zabiegu. – Przyznaję, że powiedziałem tak dlatego, żeby go zranić. Chciałem, żeby też cierpiał. Nie musiał wiedzieć, że pan Chen pożyczy mi odpowiednią kwotę.

Potem nikt już się do mnie nie odezwał ani słowem – ani tego wieczoru, ani nazajutrz rano. Było to gorsze, niż gdyby dalej się ze mną spierali. A może zorientowali się, że mam rację, tyle że żadne nie zamierzało mi podziękować.

Drugiego wieczoru matka dosiadła się do mnie i błagała, żebym jeszcze raz wszystko przemyślał.

– Może znajdzie się jakiś inny sposób – powiedziała. – Byłam dziś w świątyni buddyjskiej, a jutro idę do taoistycznej. – Znów wybuchnęła płaczem.

Z kolei Róża po całym dniu ostentacyjnego milczenia w nocy również okazała mi chłód.

Kiedy położyliśmy się do łóżka, powiedziałem:

– Możesz skorzystać, dopóki nadal go mam – lecz ona odwróciła się do mnie plecami.

W południe następnego dnia ojciec wrócił z miasta bardzo z siebie zadowolony.

– Mam dobre wieści – oznajmił. – Nie musisz się już wykosztowywać na zabieg.

– Jak to? – zdziwiłem się.

– Rozmawiałem z człowiekiem, którego siostrzeniec został wykastrowany jako dziecko. Okazało się, że to wcale nie takie trudne. Jego rodzina sama przeprowadziła zabieg. Trzeba tylko mieć naprawdę ostrą brzytwę, dużo papieru, olej sezamowy i trochę pieprzu syczuańskiego. – Wytłumaczył mi wszystko ze szczegółami. – Potrzeba kilku miesięcy, żeby wszystko się wygoiło, ale przez cały czas będę przy tobie czuwał, a pod moją nieobecność Róża może ci zmieniać opatrunki. – Wydawał się zachwycony tym pomysłem.

– Nie ma mowy – stwierdziłem. – Wybiorę się do fachowca.

– Mógłbyś zaoszczędzić pieniądze – odparł. Zabrzmiało to jak wyrzut.

Zbudowany z cegieł dom pana Bi stał na rogu szerokiej ulicy w Mieście Tatarskim, jak czasami bywa nazywane mandżurskie Wewnętrzne Miasto. Towarzyszący mi pan Chen wydawał się mieć pogodny nastrój. Kazał mi wziąć kurczaka i butelkę wina ryżowego w prezencie dla chirurga i przez całą drogę usta mu się nie zamykały.

– Dzięki temu, że pan Bi zapewnia stały napływ eunuchów do pałacu – opowiadał – jego rodzina zajmuje dość wysoką pozycję wśród mandżurskich chorążych. Nawet pracujący dla niego chirurdzy są urzędnikami siódmego stopnia, czyli stoją wyżej niż sędzia okręgowy. – Wszystko to zrobiło na mnie duże wrażenie. – Po powrocie do zdrowia, gdy tylko rozpoczniesz pracę – ciągnął pan Chen – otrzymasz miesięczne wynagrodzenie, które już na początku jest całkiem pokaźne. Zostanie ci przydzielony opiekun

i nauczysz się od niego różnych rzeczy, od etykiety dworskiej po umiejętności, które uczynią cię użytecznym na dworze. Po sześciu latach, jeśli będziesz się dobrze sprawował, może ci się poszczęści i zostaniesz sługą kogoś z rodziny cesarskiej. Może nawet tak się zdarzy, że co dzień będziesz widywał cesarza.

Tak mnie zagadywał, rozprawiając o czekających mnie wspaniałościach, że nie miałem czasu pomyśleć o tym, co się ze mną stanie.

Najpierw musiałem pościć przez dwa dni; w tym czasie wolno mi było przyjmować płyny, ale żadnego jedzenia. Trzeciego dnia obmyto moje ciało i podano mi wywar z rośliny konopnej.

Potem zajrzał do mnie chirurg i zapytał, jak się czuję.

– Dobrze – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Czuję się dobrze. – I uśmiechnąłem się do niego.

Właściwie było to dosyć dziwne. Pamiętam, że byłem zupełnie zrelaksowany i pogodzony z losem. Ale to nie wszystko: przepełniał mnie wewnętrzny spokój. Nie miałem cienia wątpliwości, że postępuję słusznie.

– Myślałem, że dacie mi opium na uśmierzenie bólu – powiedziałem.

– Nie. – Chirurg pokręcił głową. – Żadnego opium. Jest bardzo szkodliwe. Marihuana nie uśmierzy bólu – dodał – ale pomoże na stan zapalny. Nie będziesz też tak często wymiotował. – Wyglądał na niewiele starszego ode mnie, ale miał w sobie cichą pewność siebie człowieka, który zna się na rzeczy. – Tędy. – Wskazał mi drogę do pomieszczenia, w którym wcześniej nie byłem.

Pośrodku znajdowała się wysoka ława z ciemnego drewna, a obok niej stał pomocnik chirurga, starszy mężczyzna w szarym bawełnianym fartuchu, jaki noszą rzeźnicy. Musieli mi pomóc wspiąć się na ławkę. Zorientowałem się, że moje ruchy są trochę nieporadne.

– Teraz cię przywiążemy – oznajmił chirurg – żebyś się nie ruszał. Dzięki temu wszystko pójdzie sprawniej.

– Dobrze wiedzieć – odrzekłem, siląc się na optymizm. Trudno się dziwić, że byłem trochę przestraszony.

Przywiązano mi ramiona i tułów do ławki, a nogi rozsunięto szeroko i również przywiązano do boków ławki, tak że w ogóle nie mogłem się poruszyć. Następnie chirurg założył mi na oczy czarną opaskę i mocno ją

zacisnął. Nie spodziewałem się tego i zacząłem protestować, odparł jednak, żebym się nie martwił, bo zawsze tak robią.

Z początku, gdy robił mi nacięcia po obu stronach brzucha, właściwie niewiele czułem, później jednak zacząłem krzyczeć.

– Weź głęboki wdech, a potem zamknij usta i zacznij przeć, jakbyś chciał oddać stolec – polecił mi. – Dobrze. Jeszcze raz. I jeszcze. Otwórz usta. – Pomocnik włożył mi coś do środka. Smakowało jak jajko na twardo i naprawdę było to jajko. – Zamknij usta. Znakomicie. A teraz się nie ruszaj. Będzie bolało.

Bolało? Miałem wrażenie, jakby moje ciało między nogami nagle stanęło w ogniu. Chciałem krzyknąć, ale pomocnik zatkał mi usta, które były zresztą pełne jajka, więc jedyny dźwięk, jaki zdołałem z siebie wydobyć, przypominał rżenie ogarniętego paniką konia. Znów poczułem potworne pieczenie, jakby ktoś przypalał mnie od dołu rozżarzonym żelazem, a potem straciłem przytomność.

Do tamowania krwawienia używa się świńskiej żółci. Nie wiem dlaczego, ale tak mi powiedziano.

W istocie najgorszy nie był dzień samego zabiegu, lecz to, co nastąpiło później. Przez miesiąc tkwiłem przywiązany do drewnianej ławki.

Codziennie czułem się jak przypalany żywym ogniem. Przez pierwsze trzy dni pojono mnie wywarem z konopi, który trochę pomagał na ból, dostawałem też zupę ryżową, którą piłem przez słomkę. Trzy razy dziennie asystent pomagał mi poruszać nogami – wciąż byłem, rzecz jasna, przywiązany do ławki – ponieważ w przeciwnym razie po wstaniu zapewne nie dałbym rady zrobić ani kroku.

Leżenie na twardej ławce okazało się istną torturą. W dodatku było to okropnie nudne. Wyobraźcie sobie, że przez trzydzieści dni gapicie się na sufit. Muszę przyznać, że wcześniej nie wiedziałem, co znaczy nuda.

Jedno wydarzenie zapadło mi w pamięć: dzień po zabiegu chirurg przyszedł do mnie z jakimś słojem i pozwolił mi do niego zajrzeć. W środku znajdowały się usunięte fragmenty mojego ciała, zakonserwowane – jak się okazało – w wapnie. Zapewne powinienem był ucieszyć się na ten widok, ponieważ zostały starannie zabezpieczone, ale szczerze mówiąc, wyglądały tak obco – wyschnięte i skurczone, jakby nigdy do mnie nie należały – że zebrało mi się na płacz.

Potem odwiedził mnie ojciec.

– Róża nie była pewna, czy powinna tutaj przychodzić – rzekł, a ja poprosiłem, żeby jej nie przyprowadzał. Nie chciałem, aby żona widziała mnie przywiązanego do ławki. – Być może będziemy musieli uszczknąć trochę z pieniędzy, które mamy odłożone – dodał nieśmiało – skoro na razie nie będziesz mógł pracować.

– Oczywiście – odparłem. – Nie potrzebuję całej sumy. – Dotąd nie wspomniałem mu o pożyczce od pana Chena i nie zamierzałem tego robić.

Po miesiącu, kiedy mogłem już chodzić, wysłałem domownikom wiadomość, że mogą mnie teraz odwiedzić – niepotrzebnie, jak się zresztą okazało. Róża chciała wiedzieć, czy dobrze się czuję, a gdy przytaknąłem, odparła tylko: „To dobrze”. Nie zabrzmiało to tak, jakby naprawdę się ucieszyła. Matka zaczęła płakać, na co ojciec stwierdził, że lepiej zabierze ją do domu. Róża wróciła razem z nimi.

Pomyślałem, że wszystko się zmieni, kiedy zacznę przynosić pieniądze do domu.

Pan Chen zajrzał do mnie kilka razy, żeby sprawdzić, jak sobie radzę, ale poza tym nie miałem żadnych gości.

Nie byłem jedynym, który w tym czasie przeszedł zabieg w domu pana Bi. Oprócz mnie znajdowało się tam jeszcze z pół tuzina pacjentów, wszyscy jednak, w przeciwieństwie do mnie, byli młodymi chłopcami. Okazało się, że jestem jedynym dorosłym. Zwykle od zabiegu do dnia, w którym eunuch może udać się do pałacu, mijają trzy miesiące, ja jednak tak szybko wracałem do zdrowia, że już po dwóch byłem gotów do wyjazdu. Powiedziano mi, że zabiorę się z trzema chłopcami, którzy w następnej kolejności mieli trafić na cesarski dwór. Byli całkiem mili, ja zaś starałem się traktować ich z życzliwością. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy, a oni zadawali mi różne pytania, zakładając, że skoro jestem starszy, wiem wszystko, co należy wiedzieć. Byli to prości chłopcy ze wsi, żaden nie umiał czytać ani pisać, mogłem im więc opowiedzieć wiele rzeczy o pałacu i Pekinie, o których nie mieli pojęcia. Odniosłem wrażenie, że żaden nie zrobi większej kariery na dworze, a już z pewnością żaden tak jak ja nie doceniał pięknych przedmiotów.

W dniu, w którym mieliśmy zostać zabrani, powiedziano nam jednak, że musimy zaczekać z powodu żółtego wiatru.

To jedyne, czego nie znoszę, jeśli chodzi o wiosnę na północy Chin: zawsze kończy się żółtym wiatrem.

Przez kolejne cztery dni żółty pył przesłaniał niebo do tego stopnia, że na ulicy wzrok nie sięgał dalej niż na odległość wyciągniętej ręki. Zasłaniałem nos i usta kawałkiem jedwabiu lub bawełny, lecz drobny pył wszędzie się wciskał, osadzał na wargach i zatykał nos tak, że ledwo mogłem oddychać.

W końcu jednak wiatr ustał i przybył po nas pałacowy eunuch. Zjawił się też pan Chen, aby dotrzymać mi towarzystwa, co było bardzo miłe z jego strony.

Tego ranka niebo było czyste i jasne, chociaż daleko nad horyzontem wisiała mgła w kolorze piasku, a przebijające się przez nią promienie słoneczne zalewały świat dziwną, ostrą poświatą. Czułem się jak we śnie. Ulicę zaścielał pył, w którym odciskały się ślady naszych stóp.

– Nie cierpię tego pyłu – poskarżyłem się panu Chenowi, lecz on tylko się roześmiał.

– Niesłusznie – rzekł. – To dzięki niemu wody Żółtej Rzeki zmieniają się w płynne złoto.

– Zatyka nozdrza.

– I użyźnia wielką północną równinę – ciągnął pan Chen – gdzie rośnie cała nasza pszenica. Czy zauważyłeś – spytał – że dachówki w Zakazanym Mieście mają inny kolor niż w pozostałych częściach Pekinu?

– Tak – odparłem. – Są żółte.

– A jakiego koloru szaty wolno nosić wyłącznie cesarzowi?

– Żółte.

– Naucz się zatem kochać żółtą barwę – przykazał mi. – Żółta Rzeka, żółta ziemia, żółte dachy, żółte jedwabie…

– Już pojąłem – zapewniłem go.

Gdy w ostrym słońcu i niesamowitej poświacie odbijającej się od dachu Bramy Tiananmen zbliżyliśmy się do czerwonych murów Cesarskiego Miasta, zauważyłem, że idący z nami trzej chłopcy kulą się bojaźliwie. Wcale im się nie dziwiłem: z bliska potężne czerwone ściany i wieże wydawały się jeszcze wyższe, a trzeba pamiętać, że obwód murów miejskich wynosi ponad sześć mil. Sześć mil! Nic dziwnego, że sieją postrach, ale ja się nie bałem.

Mury pełnią bowiem dwie funkcje: bronią dostępu obcym, to oczywiste, ale ochraniają też żyjących w ich obrębie szczęśliwców. Wokół tego ostatniego faktu krążyły moje myśli, gdy zagłębialiśmy się w mroku tunelu wiodącego przez mniejszą furtę. Wchodziliśmy do najpewniejszego miejsca pod słońcem, gdzie miałem odtąd żyć bezpieczny i hojnie wynagradzany. Większość ludzi poza murami to nieudacznicy; ja byłem zwycięzcą. Co prawda zapłaciłem wysoką cenę za to, żeby się tutaj dostać, ale na tym świecie nie ma nic za darmo, prawda?

Po wyjściu z tunelu naszym oczom ukazało się Zakazane Miasto i Pałac Syna Niebios – centrum naszego świata. Poczułem ogromną ekscytację, bo nigdy wcześniej tutaj nie byłem.

Zakazane Miasto otaczała szeroka fosa, a jego mury miały purpurową barwę. Brzegi fosy łączył piękny most, po którym przeszliśmy do niewielkiej bramy w zachodnim murze, gdzie eunuch pokazał nasze przepustki mandżurskim strażnikom. Przecięliśmy mały park porośnięty drzewami i krótką alejką dotarliśmy do niskiego budynku.

– Teraz cię opuszczę – zwrócił się do mnie pan Chen. – Rób wszystko, cokolwiek ci każą. Poznasz zasady obowiązujące w pałacu i nie tylko, które z pewnością łatwo sobie przyswoisz. Odwiedzę cię za dziesięć dni, żeby sprawdzić, jak ci idzie.

Nie wiedziałem, rzecz jasna, czego mam się spodziewać, muszę jednak przyznać, że to był bardzo przyjemny dzień.

Najpierw wszyscy przeszliśmy badania lekarskie, które zapewne okazałyby się krępujące, gdyby nie fakt, że zarówno badający, jak i badani byli kastratami, nie było więc tak źle.

Potem dostaliśmy nasze uniformy – proste, bawełniane spodnie i bluzy, niebieską bieliznę, szerokie, czarne pasy i buty z krótkimi cholewkami, czyli standardowy strój na początek. Strojne jedwabie, które wcześniej widziałem, nosili wyłącznie ci spośród eunuchów, którzy osiągnęli wysoką pozycję.

Następnie poznaliśmy naszych opiekunów. Byli to eunuchowie z kilkuletnim doświadczeniem, którzy mieli nas wprowadzić w podstawowe obowiązki. Mimo że mój mentor okazał się starszy od pozostałych, najwyraźniej nie został jeszcze przedstawiony do awansu. Przypominał mi dostoj-

nego psa strzegącego domowego ogniska: poruszał się powoli i przemawiał łagodnym, smutnym głosem, ale był całkiem życzliwy.

– Wiesz, że mam cię uderzać bambusową laską, jeśli nie wyuczysz się lekcji? – spytał mnie z żalem. – Niektórzy eunuchowie lubią bić nowych, ale ja tego nie cierpię.

– Postaram się nie dawać ci do tego powodów – zapewniłem go, co chyba trochę go uspokoiło.

– Nawiasem mówiąc – rzekł – skoro jestem twoim opiekunem, musisz zwracać się do mnie „panie”.

– Tak jest, panie – odpowiedziałem i ukłoniłem mu się.

– Nie musisz tego robić, kiedy jesteśmy sami – ciągnął – sugeruję jednak, abyś tego przestrzegał, w przeciwnym razie możesz się zapomnieć, gdy staniemy przed urzędnikiem, a wtedy to ja będę miał kłopoty, że nie nauczyłem cię szacunku.

– Tak, panie. To bardzo mądra rada.

Na początek wyjaśnił mi, jak rozpoznawać starszych rangą eunuchów.

– W pałacu jest nas w sumie około dwóch tysięcy – rzekł – choć niegdyś było nas znacznie więcej. Dwustu to urzędnicy – począwszy od ósmego stopnia mandaryńskiego aż do trzeciego. To zazwyczaj najwyższa ranga, na jaką może liczyć osoba z pałacu.

– A każdej odpowiada inny uniform i insygnia, prawda? – zapytałem.

– W rzeczy samej. Zaraz ci je opiszę.

– Mam pomysł – odparłem. – Może chodźmy do garderoby, gdzie obejrzę każdą szatę? Widząc je, łatwiej wszystko zapamiętam.

– No cóż… – Mój opiekun nie wyglądał na przekonanego. – Właściwie… czemu nie?

Garderoba znajdowała się obok pralni dla eunuchów. Na widok długich rzędów jedwabnych kaftanów – niebieskich, czerwonych, purpurowych i w różnych innych kolorach – poczułem się tak, jakbym znalazł się w cesarskim skarbcu. Niektóre były z gładkiego jedwabiu, z dużą, kwadratową naszywką na piersi, na której wyhaftowano ptaka odpowiadającego danej randze. Inne w całości pokrywał haft, a ptak był wkomponowany w bogaty wzór. Trzeci stopień reprezentował wspaniały paw; dalej były dzika gęś, srebrny bażant, czapla, a siódmy stopień symbolizowała kaczka mandarynka. Najniżej postawieni urzędnicy dziewiątego stopnia nosili na piersi wyszytego małego ptaszka zwanego muchodławką rajską. Były tam też kapelusze z piórami w jadeitowych uchwytach, ozdobione chwostami

przynależnymi różnym stopniom. Omawialiśmy je kolejno przez dłuższą chwilę, po czym zapytałem:

– Czy zechcesz mnie teraz przeegzaminować, panie? – Udało mi się odpowiedzieć prawidłowo na każde pytanie, co wielce go zdumiało.

Nie wiedział, że to dla mnie żaden wysiłek: gdy tylko ujrzałem jakiś piękny wzór, zapisywał się on trwale w mojej pamięci. Miałem przed sobą wszystko, co najbardziej umiłowałem – to, co w życiu piękne i wyszukane. Mógłbym spędzić w tej garderobie cały dzień; nie mogłem się już doczekać, kiedy znowu tam wrócimy.

– Do jutra zapewne większość zapomnę, panie – powiedziałem. – Ale jeśli będziemy tu przychodzić codziennie choćby na kilka minut, wszystko sobie utrwalę i nigdy cię nie zawiodę.

Nazajutrz od rana uczyliśmy się o dachach. Jak wszystko inne w Zakazanym Mieście, każdy budynek miał przypisaną określoną rangę.

– Jak wiesz, każdy budynek rządowy ma co najmniej trzy figurki na każdym rogu dachu – zaczął mój mentor. – Najbardziej na zewnątrz umieszczony jest malutki człowieczek dosiadający ptaka. To sługa cesarza wykonujący jego polecenia. Za nim znajduje się co najmniej jedno zwierzę, które go pilnuje, a za nimi obydwoma góruje nieco od nich większy cesarski smok, który pożre ich, jeśli nie uporają się ze swoim zadaniem.

– Co najmniej trzy figurki – powtórzyłem.

– Zgadza się. Ale na ważniejszych budynkach zauważysz o dwie figurki więcej, co daje ich w sumie pięć. Na jeszcze ważniejszych – kolejne dwie, co daje siedem, a na najważniejszych – dalsze dwie, co razem daje dziewięć. Jak łatwo zauważyć, liczba zawsze jest nieparzysta, a na kalenicy tkwi zawsze taki sam orszak: jest tam ptak, lew, konik morski, byk, stworzenie będące na poły kozą, a na poły bykiem, młody smok oraz ryba. Musisz zapamiętać je wszystkie i nauczyć się znaczenia każdego z osobna, a także tego, co dany układ figurek mówi nam o danym budynku lub bramie. Tutaj, w Zakazanym Mieście, znajdziesz najróżniejsze przykłady.

– Dobrze – obiecałem.

– Jest jeszcze jedna figurka, lecz zobaczysz ją tylko na jednym budynku w całym cesarstwie. Czy wiesz, co przedstawia? – Nie wiedziałem. – Krocz̨ącego człowieka – powiedział – trzymającego miecz, jakby to była laska. Podąża z tyłu, tuż przed smokiem, nadzorując wszystkie inne figurki i występuje tylko na dachu Pawilonu Najwyższej Harmonii, tutaj, w Zakazanym Mieście, ponieważ tam właśnie znajduje się tron cesarza.

– Czy kiedykolwiek przestąpię jego próg?

– Wątpię – odrzekł – ale możesz sobie obejrzeć dach.

Następnego dnia mój opiekun wydobył zwój i rozwinął go na stole: była to mapa Zakazanego Miasta, pięknie ilustrowana obrazkami przedstawiającymi każdy gmach z osobna, z wypisanymi obok nazwami oraz liczbą figurek na każdym dachu. Studiowaliśmy ją uważnie przez kilka godzin, podczas których poczyniłem spore postępy. Kiedy w południe zrobiliśmy przerwę, mój pan zapytał, czy mam jakieś pytania.

– Zwróciłem uwagę na jedną rzecz, o której dotychczas nie wspomnieliście, panie.

– To znaczy?

– Na nazwy poszczególnych budynków – wyjaśniłem. – Każdy pałac i pawilon ma swoją piękną nazwę. Na przykład, podążając na północ od Pawilonu Najwyższej Harmonii, widzę tutaj Pawilon Trwałej Harmonii, następnie Bramę i Pałac Niebiańskiej Czystości, Pałac Ziemskiego Spokoju i Pawilon Cesarskiego Spokoju. Na wschodzie znajduje się Brama Spokojnej Długowieczności. Na zachodzie znajduje się Pałac Wiecznej Wiosny. Lista jest bardzo długa, a wszystkie nazwy mają związek z niebiańskim pokojem, harmonią i brakiem niezgody.

Mój opiekun bardzo się ucieszył na te słowa.

– Masz całkowitą rację – odparł. – Jakże mogłoby być inaczej, skoro rządy cesarza mają na celu utrzymanie harmonii, sprawiedliwości i pokoju w całym cesarstwie?

– Czy cesarz naprawdę może być przez cały czas taki mądry? – Ledwo to powiedziałem, przekląłem w duchu własną głupotę; teraz dopiero będę miał kłopoty, pomyślałem. Ale mój mentor tylko się uśmiechnął.

– Wszystko zostało starannie obmyślone przed wiekami – wyjaśnił. – Każdy w pałacu, nie wyłączając samego cesarza, jest nieustannie obserwowany. Wszystkie decyzje cesarskie i najdrobniejsze nawet czynności są zapisywane. Oprócz doradców cesarza otaczają także urzędnicy informujący go o precedensach sięgających daleko wstecz, do minionych dynastii, a mających związek z konkretną decyzją. Każde jego działanie musi być zgodne z prawem i obyczajami. Ponadto cesarz zawsze ma obok siebie przynajmniej jednego filozofa biegłego w konfucjanizmie, zwanego cenzorem, który odgrywa rolę cesarskiego wychowawcy i ma obowiązek go upominać, ilekroć jakiś rozważany przezeń czyn mógłby się okazać niespra-

wiedliwy. Cenzor może się wypowiadać całkiem swobodnie, bez żadnych obaw, a cesarz ma obowiązek go wysłuchać.

– Jak więc widzisz – podsumował – cała ta dbałość o porządek ma szersze tło. Gdyby pałac nie funkcjonował zgodnie z doskonałym porządkiem, w którym wszystko ma swoje miejsce, rangę i jest moralne, jak mielibyśmy oczekiwać, że taki sam porządek będzie obowiązywał w całym cesarstwie?

– Rozumiem, panie – odrzekłem. – Myślę, że to wszystko zostało wspaniale urządzone. – W gruncie rzeczy nadal tak uważam.

Nauka dworskiej etykiety trwała o wiele dłużej. Uczyłem się, jak należy chodzić, jak się kłaniać i jak zwracać się do wszystkich z należytym szacunkiem. Tyle błędów można było popełnić, a nawet najmniejszy mógł mnie wpędzić w poważne tarapaty.

– Ciesz się, że nie jesteśmy tak surowo traktowani jak służące – rzekł mój mentor.

Kobiet w pałacu było całe mnóstwo, począwszy od najskromniejszej sprzątaczki, która na czworakach polerowała posadzki, po damy dworu, które osobiście troszczyły się o cesarzową. Te ostatnie pochodziły zwykle z wysoko postawionych mandżurskich rodzin, gdyż taka służba stanowiła wielki zaszczyt.

– Nie wyobrażam sobie, aby mandżurskim kobietom usługującym cesarzowej mogło się źle powodzić – powiedziałem.

– I tu się mylisz – odparł. – Muszą pracować we dnie i w nocy. Jeśli ktoś z rodziny cesarskiej wezwie do siebie którąś z nich, nikogo nie będzie obchodziło, że akurat odsypia po ciężkim dniu – ma obowiązek natychmiast wstać i przybiec na rozkaz. Im ktoś jest bliżej rodziny cesarza, tym więcej ryzykuje. Kiedyś podobno jakaś nieszczęsna dziewczyna wysypała – przez przypadek, rzecz jasna – odrobinę rozżarzonego popiołu na szatę cesarzowej i materiał się zapalił. Szatę zaraz ugaszono, ale mimo wszystko… Biedaczka popełniła straszliwy błąd. Jak myślisz, co ją za to spotkało?

– Nie wiem.

– Natychmiast została ścięta, podobnie jak większość jej rodziny, choć przecież oni niczym nie zawinili, prawda?

– A gdyby zrobił to eunuch?

– Och, zostałby z pewnością ukarany, zdegradowany, ale raczej nie zapłaciłby głową – chyba że podejrzewano by, iż dopuścił się tego celowo.

Widzisz, nam w pałacu bardziej ufają. Uważa się, że wszystko zawdzięczamy dworowi cesarskiemu, więc nie ośmielimy się wystąpić przeciwko naszym panom.

Możecie być pewni, że ze wszystkich sił przykładałem się do nauki, a mój opiekun ani razu nie musiał mnie uderzyć, choć często słyszałem, że inni dostawali w skórę. Kiedy po dziesięciu dniach pan Chen przyszedł mnie odwiedzić, wiedział już, że jestem najlepszym nabytkiem dworu od ponad roku, najpojętniejszym uczniem, istnym wzorem cnót.

Dostałem akurat swoją pierwszą wypłatę, lecz gdy zaproponowałem mu zwrot pożyczki, nie chciał o tym słyszeć.

– W ogóle się tym nie kłopocz – odrzekł. – Twoja rodzina potrzebuje tych pieniędzy. – Uśmiechnął się. – Już i tak mi się przysłużyłeś, robiąc na wszystkich takie dobre wrażenie. Postarałem się, aby wszyscy zapamiętali, dzięki komu tutaj trafiłeś. – Kazał mi opowiedzieć sobie o wszystkich moich dotychczasowych poczynaniach, po czym z aprobatą pokiwał głową. – Z czasem – powiedział – gdy już zakończysz szkolenie i zdobędziesz stanowisko, postaramy się załatwić ci jakieś miłe dodatkowe zajęcie, żebyś mógł sobie trochę dorobić.

– Czym miałbym się zajmować? – zapytałem.

– Dźwiganiem lektyki członków rodziny cesarskiej – odparł. – Należałbyś do kilkuosobowej grupy i nie byłbyś zbyt często wzywany, a pobierałbyś drugie wynagrodzenie. – Roześmiał się. – Tradycyjnie zaszczyt ten był zarezerwowany dla eunuchów w podeszłym wieku, z długim stażem w pałacu, ale po tym, jak kilka razy zdarzyło im się nieomal upuścić jednego z książąt, przypadł on w udziale młodszym spośród nas, takim jak ty.

Wybrałem się do domu, żeby przekazać bliskim zarobione pieniądze oraz najnowsze dobre wieści, i wszyscy bardzo się ucieszyli na mój widok. Bawiłem się z dziećmi, a w nocy położyłem się obok żony i na różne sposoby udało mi się ją zadowolić.

Łatwo sobie wyobrazić, że gdy wczesnym rankiem wróciłem do pałacu, byłem w doskonałym nastroju.

Mój opiekun czekał na mnie, ale zamiast pójść do szkolnej sali, gdzie często odbywały się nasze lekcje, kazał mi wejść tam samemu i szepnął:

– Pan Liu chce cię widzieć. To główny eunuch, więc pamiętaj, żeby nisko mu się ukłonić.

W środku zastałem człowieka siedzącego na krześle. Po wizerunku pawia wyszytym na jego jedwabnej szacie od razu poznałem, że musi być

jednym z nielicznych eunuchów piastujących stanowisko trzeciego stopnia. Rękawy jego szaty miały przedłużenia z białej tkaniny, sięgające aż do kolan i świadczące o tym, że pełni służbę przy samym cesarzu. Ukłoniłem mu się bardzo nisko, a gdy się wyprostowałem i przyjąłem pełną szacunku postawę, zauważyłem jakieś papiery leżące obok niego na stoliku.

Twarz miał gładką i nieruchomą jak posąg.

– Czy wiesz, że twoje dokumenty budzą wątpliwości? – odezwał się.

– Wasz niegodny sługa nic o tym nie wiedział, czcigodny panie – odpowiedziałem.

– Podobno załatwił ci je pan Chen. – Przytaknąłem, bo w istocie tak było. – Pan Chen jest ważną osobistością – dodał. – Jeśli powie urzędnikom w moim departamencie – jestem bowiem odpowiedzialny za wszystkich pałacowych eunuchów – że papiery kandydata są wystarczająco dobre, aby je ostemplować i zapieczętować, uczynią, co im każe. Oczywiście mam prawo kwestionować jego decyzje.

Zadrżałem; bacznie mnie obserwował.

– Nie zamierzam jednak uchylać jego rozkazów. Zostaniesz tutaj, przynajmniej na razie. – Zrobił znaczącą pauzę. – Jak sądzisz, dlaczego tak postępuję? Może dlatego, że jesteś przykładnym uczniem, wykazującym wybitny talent do pracy na dworze?

– Mam taką nadzieję, czcigodny panie – wyjąkałem niepewnie.

– Rzeczywiście, gdybyś do niczego się nie nadawał, od razu bym cię wyrzucił. Mógłbym wyrazić zdumienie, że pan Chen wprowadził do pałacu tak niegodną osobę. Mógłbym nawet zakwestionować trafność jego osądu. Ale oczywiście tak nie jest: pan Chen cechuje się znakomitym wyczuciem. Opinie twojego opiekuna i innych osób, które cię obserwują – bo w pałacu zawsze jest się przez kogoś obserwowanym – są bez zarzutu. Wynika z nich, że jesteś bardzo obiecującym młodym człowiekiem.

– Jestem ogromnie wdzięczny, czcigodny panie, i robię, co w mojej mocy, aby inni byli ze mnie zadowoleni – wymamrotałem.

– Ale nie dlatego cię tutaj wezwałem. – Przyjrzał mi się. – Jak więc wyjaśnisz tę zagadkę?

– Wasz głupi sługa nie zna odpowiedzi na to pytanie.

– Zwykle po wstępnym przeszkoleniu nowych eunuchów dzielimy ich na dwie kategorie. Ci, którzy nie wykazują większych talentów, są odsyłani na służbę w domach arystokratów i wysokich urzędników w mieście, natomiast ci uzdolnieni przechodzą dalsze szkolenie i powierza im się rozmaite

obowiązki w pałacu – od prowadzenia księgowości po muzykowanie. Mogą pracować w jednym z kilkudziesięciu departamentów: pan Chen, na przykład, zrobił karierę w zaopatrzeniu. Po otrzymaniu konkretnego przydziału wyniki pracy każdego z nich podlegają ocenie: najpierw po trzech, a następnie po sześciu latach. Dopiero wówczas niektórzy mogą zostać wybrani do służby w bezpośrednim otoczeniu członka rodziny cesarskiej. Większość eunuchów przez całe życie pełni skromne funkcje, a mniej więcej jeden na dziesięciu awansuje do rangi urzędnika, tak jak pan Chen. Wieloletnia służba i wyższe stanowisko gwarantują również, że eunuch ma zapewnioną posadę do końca życia – o ile nie dopuści się żadnego haniebnego czynu, rzecz jasna. – Zamilkł na chwilę. – Zakładam, że liczysz zarówno na stałe zatrudnienie, jak i na awans do stopnia urzędnika. Mam rację?

– Jeżeli zostanę uznany za godnego tego zaszczytu – odparłem cicho, nisko się kłaniając.

– No cóż, wezwałem cię tutaj właśnie po to, aby przekreślić twoje nadzieje. Zamierzam mieć cię na oku i dopilnować, abyś nigdy nie otrzymał awansu ani żadnej nagrody. Będziesz przydzielany do najprostszych zadań, w odległych zakątkach Zakazanego Miasta, gdzie nigdy nie ujrzysz nikogo z rodziny cesarza. Do końca życia pozostaniesz zwykłym wyrobnikiem, a gdy umrzesz, zostaniesz pochowany na cmentarzu dla ubogich eunuchów, bo z pewnością nigdy nie zarobisz tyle, żeby móc wykupić swoje jądra. I co ty na to?

Wpatrywałem się w niego przerażony, nie wierząc własnym uszom.

– Ale dlaczego? – wykrzyknąłem.

– Nie domyślasz się? – Uśmiechnął się blado i wtedy to do mnie dotarło.

– Skoro już mam zgadywać, czcigodny panie – powiedziałem powoli – to zastanawiam się, czy ma to coś wspólnego z panem Chenem.

– Nie mylisz się. Masz bystry umysł. – Skinął głową. – W innych okolicznościach mógłbyś daleko zajść. Wielka szkoda, ale nic na to nie poradzimy.

– Czcigodny panie – zaryzykowałem – skoro już zamierzacie zrujnować mi życie, zechcielibyście łaskawie wyjaśnić swemu słudze, czym sobie zasłużył na taki los?

– Nienawidzę pana Chena i do niego podobnych.

– Ponieważ wykastrowano nas już po założeniu rodziny?

– W rzeczy samej. Wydaje wam się, że możecie mieć w życiu wszystko, podczas gdy resztę z nas pozbawiono tego, czym wy zdążyliście się nacieszyć. W zamian otrzymaliśmy ochronę i możliwość służby w pałacu, tyle że potem zjawiają się tu tacy jak ty i pan Chen, intruzi, którym niczego nie odebrano, i kradną to, co nam się słusznie należy.

– Czy większość osób z pałacu ma o nas podobne zdanie? – zapytałem.

– Zapewne, ale najważniejsze jest to, co ja czuję. Chociaż pod każdym względem przewyższam pana Chena, nie mogę go tknąć ze względu na jego stanowisko. Ale dzięki tobie mam okazję go upokorzyć. Sprowadza do pałacu utalentowanego protegowanego i się nim chwali – znakomicie. Będę go bacznie obserwował, a potem dopilnuję, żeby ów protegowany nie wkradł się w niczyje łaski ani nie awansował. Pan Chen nic na to nie poradzi, bo nie ma żadnych wpływów poza swoim departamentem. Jesteś ode mnie całkowicie zależny.

– A wy zamierzacie mnie poświęcić.

– Owszem. Poświęcając cię, udowodnię, że jego plan osadzenia w pałacu jak najliczniejszego grona osób jego pokroju nigdy się nie powiedzie. Wszyscy się o tym dowiedzą – dopilnuję, aby tak się stało – a pan Chen straci twarz, co bardzo mnie uraduje. Najważniejsze jednak, że słysząc, co ci się przydarzyło, żonaci mężczyźni nie będą się raczej w przyszłości decydowali na kastrację.

Nie sposób było zaprzeczyć, że tak właśnie będzie. A więc cierpiałem na próżno; ten człowiek uparł się zniszczyć mnie i moją rodzinę. Nie zdołałem się powstrzymać i rzuciłem mu nienawistne spojrzenie.

– Nie patrz tak na mnie – warknął.

– Dlaczego nie? – odparłem. – I tak mnie zniszczycie. – Nie miałem nic do stracenia. – Wiecie, dlaczego się na to zdecydowałem? Mój synek był chory, myśleliśmy, że umrze. Uratowaliśmy go, ale lekarstwo kosztowało nas tyle, że zostaliśmy z niczym. Bałem się nawet myśleć, co będzie, jeśli znów zachoruje. Wtedy poznałem pana Chena. Co wy uczynilibyście na moim miejscu?

– Nic ci nie przyjdzie z tego lamentowania, chyba wiesz o tym. – Zauważyłem, że mi się przygląda, ale nie potrafiłem odgadnąć jego myśli. Czyżbym dostrzegł w jego oczach błysk współczucia, gdy wspomniałem o swoim synku? Czy wzbudziłem jego szacunek tym, że usiłowałem się bronić? A może po prostu bawił się ze mną jak kot z myszą? Nie wiedzia-

łem. Z perspektywy czasu odnoszę wrażenie, że mogło chodzić po trosze o każdą z tych rzeczy.

– Będziesz miał bardzo nieszczęśliwe życie – rzekł na koniec. – A teraz wynoś się stąd.

I co się teraz ze mną stanie? – pomyślałem.

TAJPINGOWIE

1858 rok

WIOSNĄ 1858 ROKU Cecil Whiteparish postanowił zaryzykować. Nie mógł, rzecz jasna, być pewien powodzenia; po prostu, jak to się mówi, strzelał w ciemno.

– Coś takiego nigdy wcześniej się nie udało – zwierzył się Minnie – ale może tym razem…?

Od czasu ekspedycji Reada Cecilowi dobrze się wiodło w Hongkongu. Był szczęśliwy w małżeństwie i dochował się z Minnie trojga dzieci.

Założone w Hongkongu misje również dobrze prosperowały. Poza dziełami teologicznymi oraz egzemplarzami Biblii drukarnie misyjne publikowały najróżniejsze wydawnictwa chrześcijańskie. Szczególną popularnością cieszyła się *Wędrówka pielgrzyma*, a misjonarze przekładali dzieła chińskich klasyków na język angielski. „Trzeba pomóc naszym rodakom lepiej zrozumieć ten kraj – mawiał Cecil. – To także należy do naszych obowiązków”.

Pan Legge, szkocki duchowny kongregacjonalistyczny, założył seminarium, w którym chińscy konwertyci szkolili się na misjonarzy, z niektórymi wiązano zresztą duże nadzieje.

Najbardziej obiecującym kandydatem był niejaki Hong. Należał do ludu Hakka i jako młody wiejski nauczyciel przystał do tajpingów, których porzucił na rzecz pracy w kolejnych kilku misjach, zanim trafił do Legge’a. „Dobrze go wyuczyłem – stwierdził Szkot. – Doskonale opanował doktrynę. Jeszcze kilka lat i sam zacznie nawracać”.

Hong uczęszczał na lekcje biblijne, których Cecil udzielał w swoim domu, i wkrótce został zaadoptowany przez rodzinę Whiteparishów. Mniej

więcej trzydziestopięcioletni, dobrze zbudowany, przyjazny i zawsze skory do zabawy z dziećmi stał się ich ulubionym wujkiem. Zyskał nawet chrześcijańskie imię – Daniel – na cześć starotestamentowej postaci. Wszyscy bardzo się ucieszyli, gdy pojął za żonę jedną z nawróconych Chinek – piękną, młodą kobietę – i spłodził z nią syna.

– Wydaje mi się, że nasz Daniel ma wszystko, czego może pragnąć mężczyzna – zauważył kiedyś Cecil w rozmowie z Minnie, ona jednak nie była tego taka pewna.

– Odnoszę wrażenie – odpowiedziała – że czegoś o nim nie wiemy. Czegoś, co ma związek z jego przeszłością.

– To na pewno nie może być nic złego – uspokoił ją mąż.

Kolejnym źródłem radości w życiu Cecila było zacieśnienie relacji z kuzynem Traderem. Oczywiście odbyło się to za pośrednictwem listów. Wymiana korespondencji okazała się dla nich obu tak interesująca, że z czasem różnice społeczne, które w przeszłości ich dzieliły, praktycznie poszły w zapomnienie. Cecil niejednokrotnie powtarzał Minnie: „Nie widzieliśmy Johna, odkąd bawił na naszym weselu. Byłbym bardzo rad, gdyby nas znów odwiedził”.

Największym zaskoczeniem dla Johna był fakt, że jego kuzyn misjonarz okazał się tak dobrze poinformowany o wszystkim, co miało związek z handlem. W istocie nie było w tym nic niezwykłego: w miarę jak kolonia w Hongkongu się rozrastała i poprawiały się warunki życia, zjeżdżali się tam nie tylko zachodni kupcy, ale także ważni chińscy przedsiębiorcy z Kantonu pragnący osiedlić się na wyspie. Misjonarze, handlowcy i przedstawiciele innych zawodów różnych narodowości żyli obok siebie, więc człowiek tak inteligentny jak Cecil Whiteparish musiał wiedzieć o wszystkim, o czym dyskutowano.

Szczególnie wyróżniony poczuł się w dniu, kiedy otrzymał od Johna list z prośbą o radę: *Obaj moi wspólnicy sugerują* – pisał jego kuzyn – *że powinniśmy zatrudnić czwartego, młodszego wspólnika, który w odpowiednim czasie otworzyłby w porcie w Szanghaju nasze przedstawicielstwo. Co o tym sądzisz, kuzynie?*

Zaraz też mu odpisał:

Tak się składa, że niedawno odwiedziłem Szanghaj. Podczas wojny opiumowej była to tylko mała wioska rybacka przy ujściu rzeki Jangcy, otoczona murem, z niewielkim fortem chroniącym ją przed piratami, teraz jednak przeżywa prawdziwy rozkwit. Na pewien czas zawładnęły nią gangi triady, ale zostały już stamtąd przegnane. Miejscowi mandaryni i Brytyjczycy żyją ze sobą całkiem dobrze – pomagamy Chińczykom utrzymywać porządek i ściągać podatki. Poza murami starego miasta szybko wyrastają nowe, całkiem ładne dzielnice francuskie i brytyjskie.

Tajpingowie spustoszyli dolinę Jangcy. Odkąd nie powiodła się próba zdobycia przez nich Pekinu, armia cesarza trzyma ich w szachu i nie pozwala zapuszczać się poza Nankin. Nadal jednak zakłócają handel rzeczny; chcieliby przebić się z Nankinu, z kolei wojska cesarskie chciałyby zdobyć okupowane miasto. Ta patowa sytuacja nie może trwać wiecznie; przewiduję, że gdy w Chinach zapanuje pokój, a kraj otworzy się na handel z zagranicą, ogromne bogactwa spławiane dotąd rzeką Jangcy popłyną właśnie przez Szanghaj.

Handel południowochiński skupi się zatem w Hongkongu, natomiast handel rzeczny w Szanghaju. W każdym z tych dwóch portów przyda się Wam przedstawiciel.

Skoro zatem w Hongkongu dokonał się tak wielki postęp i można było żywić nadzieję na dalszy rozwój Chin, dlaczego Whiteparish, dobry misjonarz, miałby odczuwać jakikolwiek niepokój?

Nie lubił o tym mówić, lecz prawda była taka, że miał poważne obawy co do swoich rodaków i ich sprzymierzeńców.

Zachód coraz bardziej tracił bowiem cierpliwość wobec Wschodu. Doniesienia Tradera zdawały się to potwierdzać. Traktaty zawarte zaraz po zakończeniu wojny opiumowej – nie tylko z Wielką Brytanią, ale także z Francją i Ameryką – nie mogły obowiązywać wiecznie. W ciągu kolejnej dekady należało je odnowić, a termin ten dawno minął.

– Politycy twierdzą, że zależy im na wolnym handlu i szerzeniu chrześcijaństwa – zauważył kiedyś Cecil w rozmowie z Minnie.

– Przez co rozumieją wolny handel – odpowiedziała.

Brytyjskim kupcom – słusznie lub nie – nadal się wydawało, że mogą sprzedawać ogromne ilości wyrobów bawełnianych Chińczykom, których

populacja liczyła już bodaj czterysta milionów, choć nikt nie był w stanie tego dokładnie oszacować.

Powodem rosnącej irytacji ludzi Zachodu było jednak co innego: nadszedł według nich moment, aby Chiny wkroczyły wreszcie w erę nowoczesności. Koniec z traktowaniem cudzoziemców jak ignoranckich barbarzyńców i poddanych cesarza – pora dołączyć do świata wolnych i równych sobie ludzi. Żądali zmian, i to natychmiastowych; bądź co bądź historia dowodziła, że słuszność jest po ich stronie. Chińczycy mieli całą dekadę, aby to przemyśleć – co było z nimi nie tak?

Zawarcie nowych traktatów zakończyłoby ten nonsensowny spór i przedstawiciele Wielkiej Brytanii, Francji oraz Ameryki byli na to gotowi. Zdecydowano, że w drodze do Chin będzie im towarzyszyło wojsko brytyjskie; użycie siły nie musiało być konieczne, wystarczy, że wojskowi swoją obecnością podkreślą wagę posłannictwa. Brytyjskiej delegacji przewodził wytrawny dyplomata, lord Elgin.

Zanim jednak dotarli do Pekinu, na przeszkodzie stanęły im dwa wydarzenia. Najpierw w 1857 roku w Indiach doszło do zbrojnego powstania przeciwko butnej brytyjskiej dominacji, zwanego buntem sipajów, które zagroziło samej Kalkucie. Wojsko, które miało się udać do Chin, musiało zatem w pierwszej kolejności uporać się z tym problemem.

Jedyną korzyścią z tego rozlewu krwi – pisał Cecil do Tradera – *jest nauczka dla imperium brytyjskiego, które w przyszłości powinno podjąć wszelkie starania, aby lepiej poznać i zrozumieć obyczaje oraz wierzenia rdzennej ludności. Z tej perspektywy to dla nas cenna lekcja pokory*.

Drugą przeszkodą okazał się lokalny spór w Kantonie pomiędzy Brytyjczykami a porywczym chińskim gubernatorem Guangzhou, dotyczący nielegalnej żeglugi, w wyniku którego gubernator został siłą usunięty ze stanowiska, a Brytyjczycy, Francuzi i Amerykanie, przynajmniej na razie, sami zarządzali miastem. W tym wypadku nikt nie zamierzał wykazać się pokorą, co tylko wzmagało napięcie.

Gdy ucichły echa tych wydarzeń, Zachód był gotowy do negocjacji. Znów dostępne wojsko miało eskortować wysłanników wzdłuż wybrzeża z Hongkongu aż do ujścia rzeki Peiho, którą posłowie mieli następnie dopłynąć do Pekinu.

Dziesięć dni przed planowanym opuszczeniem Hongkongu przez lorda Elgina Cecil, któremu podczas uroczystej kolacji trafiła się okazja do rozmowy z nim w cztery oczy, otwarcie wyraził swoje obawy.

– Czy mogę mówić zupełnie szczerze, lordzie Elgin?

– Ależ oczywiście. – Dyplomata – w średnim wieku, łysiejący, o szeroko rozstawionych, inteligentnych oczach – miał reputację dobrego słuchacza.

– Widział pan tu na wyspie dobrze prosperujące misje i był pan świadkiem tego, jak dobrze dogadujemy się z Chińczykami. Liczę, że z czasem ta zgodna współpraca obejmie swoim zasięgiem całe cesarstwo chińskie. Trzeba nam tylko cierpliwości.

– Londynowi ostatnio jej brakuje.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale problem wygląda następująco: jeżeli znów narzucimy im siłą naszą wolę, wzbudzimy w Chińczykach wrogość. Gorzej, że jedyną nauką, jaką z tego wyciągną, będzie przekonanie o wyższości naszego uzbrojenia, zaczną więc zaopatrywać się w podobną broń, co z pewnością nie jest naszym celem.

– Mam nadzieję, że obejdzie się bez użycia broni. – Lord Elgin zamilkł na chwilę. – Tak się składa, że mam jeszcze jednego asa w rękawie. Proszę mi powiedzieć, co pan sądzi o tajpingach oraz ich tak zwanym Niebiańskim Królu. Czy są dobrymi chrześcijanami?

– Być może będą nimi w przyszłości, obecnie jednak to sekta rządzona przez człowieka, który uważa się za brata Jezusa, jest wybuchowy, może nawet szalony.

– Chińczycy mogą jednak uważać, że i my, i oni czcimy tego samego boga.

– Możliwe, chociaż tak nie jest.

– Jeśli więc dam im do zrozumienia, że rozważamy sojusz z tajpingami, to może przestraszyć cesarza i zmiękczyć jego stanowisko.

– Jest pan bardzo przebiegły, sir.

– Na tym polega moja praca.

– Czy będzie się pan domagał, aby nasz ambasador mógł przedstawić cesarzowi swoje listy uwierzytelniające bez padania na twarz?

– Naturalnie. Żadnych ceremonialnych ukłonów koutou! W dzisiejszych czasach to już uchodzi.

– Mam pewną sugestię: niech ambasador spotka się z którymś z ministrów lub książąt, wówczas obaj będą reprezentować swojego monarchę i nie będą musieli składać ceremonialnych ukłonów.

– Sprytne, ale niewykonalne. Londyn nie chce nawet o tym słyszeć. Przykro mi, ale to kwestia zasad.

– Do diabła z zasadami.

– Nie przypuszczałem, że misjonarze używają tego rodzaju wyrażeń! – Elgin się uśmiechnął.

– Ja używam.

Elgin westchnął.

– Nie jestem pewien – powiedział cicho – czy mogę sam podjąć taką decyzję.

Pewnego ranka, tydzień po wyjeździe lorda Elgina i reszty delegacji, Cecila i Minnie zaalarmował łoskot; ktoś dobijał się do drzwi. Ku swemu zaskoczeniu ujrzeli na progu wyraźnie poruszonego Daniela.

– Musicie mi pomóc! – wykrzyknął, gdy go wpuścili.

– Ale co się stało? – dopytywała się Minnie.

– Muszę natychmiast jechać do Nankinu i zobaczyć się z Niebiańskim Królem.

– Nankin jest otoczony przez wojska cesarza – zauważył Cecil. – Nigdy nie zdołasz przedrzeć się do miasta. A gdybyś nawet tam dotarł, skąd pomysł, że Niebiański Król zgodzi się ciebie przyjąć?

Daniel potoczył po nich szalonym wzrokiem. Pokręcił głową.

– Nic nie rozumiesz, mój drogi przyjacielu – jęknął. – Widzisz – wziął głęboki oddech – Niebiański Król jest moim kuzynem.

Opowiedzenie całej historii nie zajęło mu wiele czasu. Daniel od lat nie widział Niebiańskiego Króla – od czasu, gdy razem studiowali Biblię – pozostali jednak sobie bliscy. Legge wiedział o tym, ale sądził, że najlepiej będzie, jeśli Hong zachowa tę sprawę w tajemnicy.

Ostatnio jednak Daniel miał sen. Niezwykle realistyczny, w którym polecono mu wyruszyć do Niebiańskiego Króla, skorygować błędy w rozumowaniu kuzyna i wprowadzić tajpingów na drogę prawdziwego nawrócenia.

– To moje przeznaczenie! – emocjonował się. – Teraz całe moje życie nabrało nowego sensu. – Żarliwie spojrzał na Minnie. – Muszę to zrobić. Muszę.

Do południa Cecil zdążył porozmawiać z Legge’em, który wszystko potwierdził. Szkocki pastor miał jednak własne zdanie na temat planowanego przedsięwzięcia.

– Jeśli nie zabije go cesarska armia, uczyni to jego własny kuzyn. Niebiański Król oparł swoje rządy na własnych, wypaczonych wyobrażeniach tego, czym jest chrześcijaństwo. Myśli pan, że ucieszy go widok dawno niewidzianego kuzyna, który oznajmi mu, że we wszystkim się myli? Z pewnością go zamorduje.

– Hong zdaje sobie sprawę z ryzyka – odparł Cecil. – Uważa to jednak za swoją misję i jest gotów położyć na szali swoje życie. A gdyby jednak zdołał ich wszystkich nawrócić na prawdziwą wiarę? To nie jest niemożliwe. Kim jesteśmy, aby mówić mu, że nie ma racji?

– Nie wezmę na siebie takiej odpowiedzialności – stwierdził Legge. – Gdyby prawo na to pozwalało, powstrzymałbym go siłą. – Ponuro pokiwał głową. – Będzie potrzebował pieniędzy na podróż, ale ode mnie ich nie dostanie. Co to, to nie.

Tak oto Cecil Whiteparish postanowił zaryzykować. Wiedział, że to strzał w ciemno i plan może się nie powieść. Niczego nie mógł być pewien.

– Dotychczas nikt nie wskazał tajpingom właściwej drogi, ale jakim byłbym misjonarzem, gdybym ośmielił się twierdzić, że nie da się tego uczynić? Daniel może być jedynym człowiekiem, który zdoła tego dokonać.

Potrzebował tygodnia, aby zebrać odpowiednią kwotę. Wielu członków lokalnej społeczności popierało Legge’a. Nawet ci, którzy wpłacili pieniądze na fundusz ustanowiony przez Cecila – jego najbliżsi przyjaciele – w większości prosili, aby nie ujawniał nazwisk darczyńców.

A co z żoną i synkiem Daniela? Nie mógł ich przecież zabrać ze sobą w tak niebezpieczną drogę.

– Moja żona uparła się, żeby zaopiekować się dziewczyną i dzieckiem – zaskoczył go Legge. – Ale pamiętaj, Whiteparish, że posyłasz tego człowieka na zatracenie.

W końcu Daniel wyruszył w drogę. Mijały miesiące i nikt nie wiedział, czy dotarł do Nankinu ani czy w ogóle żyje.

* * *

Tego lata lord Elgin świetnie się spisał. Jego kanonierki starły na proch przybrzeżne forty strzegące Wielkiego Kanału, a w wyniku twardych negocjacji, które potem nastąpiły, otrzymał od Chińczyków wszystko, czego zażądał.

Brytyjski ambasador mógł odtąd stawać przed cesarzem bez konieczności kłaniania mu się do ziemi i znów można było legalnie sprzedawać opium. Wolny handel miał stać się rzeczywistością, chrześcijańscy misjonarze zyskali prawo nawracania ludzi w całych Chinach – cesarz gwarantował im swoją ochronę – a Brytyjczyków, Francuzów, Amerykanów ani innych cudzoziemców nie można już było nazywać barbarzyńcami, przynajmniej oficjalnie!

Wychwalany przez rodaków lord Elgin powrócił więc do rodzinnej Szkocji.

Pozostała tylko formalna ratyfikacja traktatu, w związku z czym następnego lata do stolicy Chin przybyli ambasadorowie z Wielkiej Brytanii, Francji i Ameryki.

I być może wszystko odbyłoby się zgodnie z planem, gdyby nie młodszy brat lorda Elgina, który w tym samym roku został mianowany ambasadorem, lecz zamiast taktu wolał używać brutalnej siły. Wdał się w potyczkę przy fortach, a napotkawszy opór, dał się poznać jako zwykły zabijaka, którym zresztą był. Wraz ze swym wojskiem natarł na Chińczyków, lecz szybko się przekonał, że ci zdążyli odbudować swoje umocnienia i nauczyli się lepiej ich bronić. Dostał za swoje i musiał zmykać jak niepyszny, tak oto cały wysiłek lorda Elgina poszedł na marne.

> *Dasz wiarę, drogi kuzynie? Biedny Elgin gościł akurat u rodziny królewskiej w zamku Balmoral, gdy doszły go wieści o katastrofie. Jest do głębi wstrząśnięty! Lepiej sobie nie wyobrażać, co powie młodszemu bratu, kiedy się spotkają. Poproszono go, aby wrócił i posprzątał ten nowy bałagan, na co, jak zapewne się domyślasz, nie ma najmniejszej ochoty. Uważa to jednak za swój obowiązek i jak sądzę, wyruszy do Chin w nowym roku. Możliwe, że spotkam się z nim przed wyjazdem, a wówczas opiszę Ci nasze spotkanie.*
>
> *Twój kochający kuzyn,*
> *John Trader*

* * *

W lutowy poranek roku Pańskiego 1860 można było zauważyć szczupłego Chińczyka w średnim wieku, ubranego w długą szatę, który szybkim krokiem szedł drogą od strony nabrzeża w kierunku domu Cecila Whiteparisha. Niczym się nie wyróżniał i nikt by się nie spodziewał, że wystający spod kapelusza i opadający na środek pleców warkoczyk jest sztuczny, a jeszcze kilka miesięcy wcześniej gęste, choć siwe włosy miał swobodnie rozpuszczone. Krótko mówiąc, nikt nie wziąłby go za wojownika tajpingów.

Nio przyspieszył kroku. Hongkong był większy, niż przypuszczał, w dodatku okazał się jednym wielkim placem budowy. W porcie powiedziano mu, jak trafić do domu misjonarza, ale i tak musiał dwa razy przystawać, żeby zapytać o drogę.

Wciąż nie dowierzał, że udało mu się żywym dotrzeć na tę brytyjską wyspę. Najtrudniej było obejść obozy Mandżurów i zmylić patrole krążące pomiędzy Nankinem a wybrzeżem. Wiele razy groziła mu śmierć albo niewola, wyglądało jednak na to, że Niebiański Król mówił prawdę, kiedy zapewniał go: „Mój Starszy Brat Jezus obiecał mi, że będziesz pod boską opieką”. Mógł też mieć rację, mówiąc: „Po pierwsze, musisz uzyskać poparcie Cecila Whiteparisha. On stanowi klucz do powodzenia całego planu. Niewykluczone, że to od niego zależy nasza przyszłość”.

Czasami Nio odnosił wrażenie, że Niebiański Król, ze swoimi zmiennymi nastrojami i religijnymi wizjami, któremu zdarzało się milczeć przez wiele dni, może być odrobinę szalony. Ale w jego planie nie było nic szalonego. Przeciwnie, miał on wszelkie szanse powodzenia.

Nio niejedno już widział. Niektóre wspomnienia go prześladowały i chętnie by o nich zapomniał. Jeśli jednak się uda, może się okazać, że to wszystko było tego warte.

Przed wyjściem z domu Cecil Whiteparish ucałował żonę. Minnie znowu była w ciąży, a do rozwiązania pozostały zaledwie dwa miesiące. To miało być ich czwarte dziecko.

Podszedł do drzwi i je otworzył. Był pogodny poranek. Drobne białe chmurki żwawo przemykały po jasnym niebie. Zamknął drzwi i już miał zejść na ulicę, gdy ujrzał zbliżającą się ku sobie samotną postać. „Wielkie

nieba” – zdumiał się Cecil. Nie sposób było nie poznać Nio; nie musiał nawet szukać blizny na jego policzku.

Rozmawiali w jadalni już pół godziny, kiedy zjawiła się Minnie Whiteparish.

– Usiądź, moja droga – poprosił ją Cecil – i pozwól, że przekażę ci niezwykłe wieści, które przyniósł mój przyjaciel. Pamiętasz, jak Daniel wyjeżdżał stąd w ubiegłym roku w nadziei, że zdoła dostać się do Nankinu?

– Jak mogłabym zapomnieć?

– Otóż wyobraź sobie, że dotarł nie tylko do Nankinu, ale i przed oblicze samego Niebiańskiego Króla. Najwyraźniej jedynymi ludźmi, którym ufa przywódca tajpingów, są jego krewni, w związku z czym bardzo go uradował widok kuzyna i towarzysza z czasów dzieciństwa. Mianował naszego drogiego Honga swoim osobistym doradcą.

– Oby Daniel miał na niego dobry wpływ – zauważyła Minnie ze spokojem.

– Oby – odparł Whiteparish. – Wygląda na to, że z powodzeniem wprowadził swój plan w życie. Przesyła nam zapewnienia, że wspólnota w Nankinie została zreformowana w takim stopniu, iż nie powinniśmy się dłużej wahać nazywać ich chrześcijanami, choćby pod pewnymi względami nie osiągnęli jeszcze doskonałości w przestrzeganiu doktryny i chrześcijańskich norm zachowania.

– Czy Niebiański Król nadal podaje się za brata Chrystusa?

– Według Honga tajpingowie wraz ze swoim królem wzorem wszystkich dobrych chrześcijan uważają się obecnie za braci i siostry w Chrystusie.

– Miejmy taką nadzieję – odparła jego żona.

– Nie sądzę, abyśmy musieli roztrząsać teraz każdy drobiazg.

– Czy nasz gość odwiedził już w tutejszej misji nieszczęsną żonę i dziecko Daniela? Od roku na próżno wyczekują wieści od niego, nie wiedzą, czy żyje, czy umarł.

– Wybierze się tam natychmiast, jak tylko skończymy – zapewnił ją Cecil.

– Zostawię was, abyście mogli czym prędzej zakończyć swoje sprawy. – Minnie skinęła głową Nio i wycofała się dyskretnie.

Po jej wyjściu mężczyźni podjęli przerwaną rozmowę, toczoną w języku kantońskim.

– Powiedziałeś, że przychodzisz prosić mnie o pomoc – rzekł Whiteparish. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Mam wiadomość dla oficjalnego przedstawiciela rządu brytyjskiego. To sprawa najwyższej wagi.

– Rozumiem. – Whiteparish zamyślił się. – W tej chwili w Hongkongu nie ma nikogo w tej randze, ale zapewne jest już w drodze na wyspę.

– Jak myślicie, kogo tu przyślą?

– Cóż… – Whiteparish zawahał się tylko na chwilę – mówi się o lordzie Elginie.

– To będzie lord Elgin – oświadczył stanowczo Nio, chociaż skąd miałby to wiedzieć? Cecil nie miał pojęcia.

– Wobec tego najlepiej będzie, jeśli zaczekasz i przekażesz mu swoją wiadomość.

Lecz Nio pokręcił głową.

– Zgodnie z wolą Niebiańskiego Króla to nie ja mam mu ją przekazać, tylko wy.

– Ja? – Cecil Whiteparish nie posiadał się ze zdumienia.

– Tak. Niebiański Król nie może przybyć tu osobiście. Musi pozostać w Nankinie. Jego kuzyn, którego nazywacie Danielem, jest mu tam potrzebny. Daniel powiedział jednak Niebiańskiemu Królowi, że całkowicie wam ufa. Brytyjczycy darzą was szacunkiem, więc nikt nie ośmieli się powątpiewać w wasze słowa. Poza tym osobiście znacie lorda Elgina. Jesteście najlepszym kandydatem, aby wyjaśnić lordowi Elginowi, o co prosimy i co mamy mu do zaoferowania. Niebiański Król przysłał mnie tylko dlatego, że was znam. Mam wam wszystko przekazać, a potem odejść. Odtąd nasze życie będzie spoczywać w waszych rękach.

– Och!

– Mam wam wyjawić strategię tajpingów oraz plany bitwy.

– Czy nie powinny pozostać tajne?

– Mamy do was pełne zaufanie.

Whiteparish zastanowił się.

– Rozumiesz chyba, że nie mogę niczego zataić przed lordem Elginem?

– Rozumiem.

– W takim razie mów śmiało.

– Siły cesarza niemal całkowicie otoczyły Nankin. Liczą, że uda im się zdławić nasz opór.

– Mogą tego dokonać?

– Być może, o ile wcześniej się nie poddadzą. No i dopóki będą mieć zaopatrzenie.

– Skąd docierają dostawy?

– Z Zhapu na wybrzeżu. Przechodzą przez miasto Hangzhou.

– Dysponujecie jakimś wsparciem z zewnątrz?

– Nie potrzebujemy go. Mamy generała Li. – Nio się uśmiechnął. – To jedyny wódz tajpingów, który nosi okulary. Wygląda jak nauczyciel, lecz nasi ludzie go uwielbiają. Jest bardzo przebiegły.

– Jaki ma plan?

– Przebijemy się z zaskoczenia w kilka tysięcy ludzi. Zaatakujemy Hangzhou, a może i Zhapu. Armia cesarska będzie nas ścigać, dzięki czemu w okolicach Nankinu nie zostanie zbyt wiele wojska. Wtedy zawrócimy i cała armia tajpingów zaatakuje ludzi cesarza, którzy zostali w Nankinie.

– Czyli chcecie rozdzielić armię wroga na dwie części, a następnie rozbić każdą z nich z osobna. Myślisz, że to się uda?

– Na pewno – przytaknął Nio. – Generał Li ma duże doświadczenie.

– A co potem?

– Znów przebijemy się z miasta, tym razem na północ, w górę Wielkiego Kanału. Ale nie zapuścimy się daleko, tylko na tyle, żeby osłaniać swoją flankę. Pomaszerujemy dalej na wybrzeże, do Szanghaju. To dwa dni drogi.

– Chcecie zająć Szanghaj?

– Raczej zdobyć port. Chińska obrona w Szanghaju jest śmiechu warta. Łatwo ją przełamać.

– Czy o czymś nie zapominasz? Szanghaj nie jest już dawnym starym fortem i wioską rybacką. To jedyny port, który na mocy traktatu dalej pozostaje otwarty i wciąż się rozrasta. Poza murami fortu rozpościerają się teraz cudzoziemskie dzielnice, nie tylko faktorie handlowe, ale osiedla całych społeczności – brytyjskiej, francuskiej, amerykańskiej. Co zamierzacie z nimi uczynić?

– Zależy nam tylko na forcie, nie na cudzoziemskich osiedlach. Oto wiadomość dla lorda Elgina: niech powiadomi cudzoziemców w Szanghaju, żeby wywiesili żółtą flagę na każdym budynku: na domach mieszkalnych, kościołach, sklepach. Nasi wojownicy będą wiedzieli, że jeśli tkną jakiegokolwiek cudzoziemca, który schroni się pod żółtą flagą, zostaną straceni. Niech przekaże swoim ludziom, aby pozostali w domach, dopóki walka się nie skończy. To nie potrwa długo.

– A co się stanie potem?

– Wszystko wróci do normy.

Whiteparish chwilę się zastanawiał. Czy Nio na pewno niczego przed nim nie ukrywał?

– Czego jeszcze chcą od nas tajpingowie? – zapytał.

– Nic ponad to, o czym już mówiłem.

– Mamy się więc nie mieszać w walkę tajpingów z cesarzem i pozostać neutralni – tak to się u nas nazywa.

– Zgadza się.

Z pozoru takie rozwiązanie miało sens. Po swoim przybyciu lord Elgin miał doprowadzić do unormowania stosunków z władcą Chin i otwarcia się kraju na handel. Cecil nie wyobrażał sobie, aby Elgin chciał angażować wojsko brytyjskie w walkę pomiędzy cesarzem a tajpingami.

– A co z uzbrojeniem? – Raz czy dwa dotarły do niego pogłoski o brytyjskich kupcach, którzy dyskretnie dostarczali broń tajpingom w Nankinie.

– Broń zawsze można kupić. – Nio się uśmiechnął. – Jeśli chodzi o handel bronią, po morzach pływają sami bezpaństwowcy.

– Więc to już wszystko?

– Nie. Zauważyliście, że gdy w rozmowie padło nazwisko lorda Elgina, wiedziałem już, że przybywa do Chin?

– Owszem. Ale skąd mógłbyś to wiedzieć?

– Już mówię. Jakiś czas temu Niebiański Król miał wizję, w której usłyszał, że Bóg przyśle mu z pomocą wielkiego człowieka. Po długiej modlitwie Niebiański Król zyskał pewność, że tym wielkim człowiekiem jest właśnie lord Elgin.

– Rozumiem. To bardzo interesujące. – Cecil zmarszczył brwi. – No cóż, przekonamy się, czy w istocie tak będzie.

– Oto więc druga część wiadomości, którą Niebiański Król kieruje do lorda Elgina: tajpingowie są przyjaciółmi Brytyjczyków. Wyznajemy tę samą religię. Stara mandżurska dynastia jest skorumpowana i nadszedł jej kres. Wolą Bożą jest, abyśmy zastąpili ją królestwem chrześcijańskim, dokąd Brytyjczycy oraz inni chrześcijanie będą mogli wysyłać swoich misjonarzy – wiemy bowiem, że jesteście dobrymi ludźmi – i gdzie będą mogli swobodnie handlować. Otworzymy przed wami bramy tego nowego królestwa.

– Mocne przesłanie.

– Daniel kazał mi dodać, że możecie zaufać moim słowom.

– Będziemy mieć swoich konsulów we wszystkich portach? I ambasadora w Pekinie?

– Dlaczego nie?

– Handel będzie się odbywał swobodnie? Naszym kupcom wolno będzie pływać w górę Jangcy i sprzedawać bawełnę?

– Oczywiście. Jedyne towary, których Niebiański Król nie może zaaprobować, to alkohol i tytoń. Uważa je za szkodliwe.

– Nie sądzę, aby to stanowiło problem.

– No i opium, rzecz jasna. Zresztą chrześcijańscy misjonarze też sprzeciwiają się niegodziwemu handlowi opium. Daniel zapewnił o tym Niebiańskiego Króla.

– A więc tak… – Whiteparish zamilkł na chwilę. – Należy działać z rozwagą – powiedział wreszcie.

– To już wszystko, co miałem wam przekazać – rzekł Nio. – Powtórzycie wszystko wiernie lordowi Elginowi?

– Masz na to moje słowo – obiecał Cecil. – Jak długo zamierzasz tutaj zabawić?

– Spędzę jeden dzień w misji, z rodziną Daniela. Potem mam jeszcze do spełnienia jeden obowiązek.

– Jaki?

– Muszę się zobaczyć z moją Starszą Siostrą.

Dopiero gdy dzieci leżały już w łóżkach, a on i Minnie mogli w spokoju zjeść razem kolację, Cecil podzielił się z żoną swoimi przemyśleniami.

– Wiesz, moja droga – dodał po tym, jak zrelacjonował jej propozycje Nio – niewykluczone, że Nio żyje złudzeniami. Król tajpingów może go cynicznie wykorzystywać. Lecz jeśli posłannictwo odzwierciedla prawdziwe zamiary tajpingów, konsekwencje mogą być bardzo poważne. Możliwość swobodnego prowadzenia misji na obszarze całych Chin… to coś, o czym zawsze marzyliśmy.

Minnie była nieco zmęczona i bolały ją plecy.

– Jeśli taka będzie wola Boża – skwitowała cicho słowa męża.

– Niektórzy wierzą, że Izajasz przepowiedział w swojej księdze powstanie chrześcijańskiego cesarstwa chińskiego. Prorok mówi w niej o wielkim zgromadzeniu ludzi wierzących w jedynego Boga, którzy przyjdą z północy, z zachodu oraz z „ziemi Sinim”. Możliwe, że chodzi o Chiny. Rok

temu słyszałem wspaniałe kazanie na ten temat. – Umilkł na moment. – Muszę przyznać, że ciąży mi odpowiedzialność związana z przekazaniem wiadomości lordowi Elginowi – o ile w ogóle tu przybędzie.

– Jeśli obawiasz się, że coś może ci umknąć, najlepiej od razu wszystko zanotuj, dopóki masz świeżo w pamięci słowa Nio.

– Nie o to chodzi. Miałem raczej na myśli konsekwencje tego posłannictwa.

Minnie uśmiechnęła się doń łagodnie.

– Na szczęście to już zmartwienie lorda Elgina, Cecilu, nie twoje.

– Niewykluczone, że zasięgnie mojej rady w tej kwestii. Może na przykład spytać, czy uważam słowa Nio za wiarygodne.

– Może tak, może nie.

– I co mu wtedy odpowiem? To mnie najbardziej niepokoi.

– Bóg ci podsunie, co masz mówić – ucięła, licząc, że to zakończy rozmowę.

Ten dzień był całkiem zwyczajny. Mei-Ling, jak to często miała w zwyczaju wczesnym popołudniem, przeszła przez mostek i wędrowała ścieżką biegnącą między drzewami porastającymi brzeg stawu, gdy wydało jej się, że z lewej strony dobiegł ją jakiś szelest. Przystanęła, a dźwięk się powtórzył – zapewne jakieś zwierzątko buszowało wśród liści. Ledwo jednak zrobiła kilka kroków, za jej plecami rozległ się trzask pękającej gałązki. Mei-Ling odwróciła się gwałtownie.

– Braciszku! – wykrzyknęła, a widząc, że Nio rozgląda się po ścieżce, dodała: – Nikogo tutaj nie ma. Jak się tu dostałeś?

– Wczesnym rankiem uwiązałem konia w lesie, a potem patrzyłem, jak wioska budzi się do życia. Widziałem twojego męża wychodzącego z domu. Wrócił już z Ameryki?

– Jesteś bardzo ostrożny.

– Ostatnim razem zabrakło mi ostrożności. Pamiętasz?

Przyjrzała mu się: jej młodszy brat postarzał się i posiwiał.

– Mój mąż nie pojechał wtedy do Ameryki. Wrócił do mnie.

Znaleźli oddaloną od ścieżki kłodę, na której mogli usiąść, nie będąc przez nikogo widzianymi.

– Co cię sprowadza? – zapytała. – Tyle o tobie myślałam, zastanawiałam się, co się z tobą dzieje. Musisz mi wszystko opowiedzieć.

– Tak zrobię, ale najpierw ty mi coś powiedz: jak się miewa twoja rodzina? Czy wasza sytuacja się poprawiła?

– Chyba niewiele się zmieniło. – Mei-Ling uśmiechnęła się smutno. – Mój mąż ma się dobrze, ale jego brat nadal jest bezużyteczny. My sami niewiele możemy zrobić, nawet z pomocą naszych synów, którzy są bardzo pracowici. Brat męża sprzedał większość ziemi. Nasz dom się rozpada. Podobno Amerykanie znowu szukają robotników i obiecują im dobry zarobek. Niewykluczone, że mój mąż i któryś z chłopców pojadą jednak do Ameryki. Kto wie? Dajemy sobie jakoś radę, Braciszku. Nie głodujemy.

– Przywiozłem ci pieniądze.

– Niepotrzebnie, Braciszku. Zostało mi jeszcze trochę z tego, co mi dałeś wcześniej. Zachowaj te pieniądze dla siebie.

– Są twoje. Mnie niczego nie brakuje. Ukryjemy je, zanim stąd wyjadę.

Mei-Ling westchnęła. Przypuszczała, że Nio istotnie stać na ten hojny gest.

Opowiedział jej o swoim posłannictwie, powtarzając to samo, co wcześniej Whiteparishowi.

– Jest jedna rzecz, o której nie powiedziałem Brytyjczykom – dodał.

– Co takiego?

– Wciąż mamy dużo srebra w zdobytych miastach. Naprawdę bardzo dużo. A jeszcze więcej znajduje się w forcie w Szanghaju.

– Co zamierzacie z nim zrobić? – Uśmiechnęła się. – Będziecie na starość pławić się w bogactwach?

– Skądże. Kiedy już zdobędziemy port w Szanghaju, kupimy żelazne okręty wojenne, parowce, takie jakie mają Brytyjczycy. Może tuzin, a może więcej. Potem popłyniemy nimi w górę rzeki do Nankinu, zniszczymy cesarskie obozy pod miastem i całkowicie odetniemy im zaopatrzenie. Cała rzeka Jangcy będzie nasza.

– Naprawdę myślisz, że zdołacie pokonać cesarza?

– I przepędzić Mandżurów? Oczywiście! Zwłaszcza jeśli Brytyjczycy się z nami sprzymierzą, co przecież leży w ich interesie.

Mei-Ling zastanawiała się przez chwilę.

– Wiem, że zawsze tego pragnąłeś – powiedziała cicho. – Mogę cię o coś zapytać?

– Naturalnie.

– Czy Niebiański Król jest szalony?

Zauważyła, że Nio się zawahał.

– Nie wiem – przyznał niechętnie. – Myślę, że wielcy ludzie często mogą się wydawać trochę szaleni. Widzą rzeczy, których my nie dostrzegamy. Ale zobacz, ile udało mu się osiągnąć. Ma własne królestwo, a teraz może zawładnąć całym cesarstwem, które już chwieje się w posadach i lada dzień może upaść.

– Mówisz tak, bo chcesz, żeby to była prawda.

– Wiem.

– Możliwe, że wygra z cesarzem, co jednak nie zmienia faktu, że jest szalony.

Nio zastanawiał się nad tym; nagle drgnął i wskazując przeciwległy brzeg stawu, zapytał:

– Co to za dziecko?

Z bramy domu wyłoniła się właśnie teściowa Mei-Ling, prowadząc za rękę małą dziewczynkę.

– To nasza córka – odparła Mei-Ling. – Przyszła na świat niecały rok po twojej ostatniej wizycie. – Uśmiechnęła się. – Zawsze chciałam mieć córkę.

– Musisz być bardzo szczęśliwa.

– Jestem.

– Twój mąż nie ma nic przeciwko temu, że urodziłaś dziewczynkę?

– Świata za nią nie widzi.

Starsza kobieta i dziewczynka weszły na mostek.

– Wygląda zupełnie jak ty! – wykrzyknął Nio.

– Wszyscy tak mówią – przyznała Mei-Ling. – Matka uważa, że powinniśmy zacząć krępować jej stopy, gdy trochę podrośnie. To zwiększy jej szanse dobrego zamążpójścia.

– Kobiety Hakka nie krępują stóp. – Nio zmarszczył brwi.

– Nie robią tego również kobiety mandżurskie, ale tylko tak możemy jej zapewnić lepsze życie.

Jej odpowiedź nie usatysfakcjonowała Nio.

– Kiedy przejmiemy władzę, to wszystko się zmieni – rzekł.

Mei-Ling nie odrywała oczu od córki, ale myślami błądziła gdzie indziej.

– Czy zamierzasz się kiedyś ożenić, Braciszku? – spytała go niespodziewanie.

– Jakiś czas temu pojąłem żonę. Dał mi ją Niebiański Król.

– To dobrze. Macie dzieci?

– Mieliśmy jedno, ale umarło zaraz po urodzeniu. Podobnie jak moja żona.

– Tak mi przykro! Kochałeś ją?

– Nie byliśmy ze sobą zbyt długo. – Nio obdarzył ją smutnym uśmiechem. – Na pewno nie kochałem jej tak, jak kocham ciebie, Starsza Siostro.

– To co innego. – Mei-Ling pokręciła głową. Jej Braciszek był mężczyzną w sile wieku, a mimo to zdawał się rozumować jak dziecko.

– Kiedy to się skończy – powiedział – wreszcie się ustatkuję, ożenię, założę rodzinę. Niebiański Król obiecał mi, że tak będzie.

– To dobrze. Mam nadzieję, że stanie się to już wkrótce. – Nadal wpatrywała się w przeciwległy brzeg stawu. Po chwili odwróciła się i spojrzała na niego. – Czy to nie daje ci spokoju? Potworności, które widziałeś, ludzie, których zabiłeś?

– Jestem żołnierzem.

Powoli skinęła głową. Zrozumiała, że nie chce o tym mówić.

Ukryli srebro, które przywiózł, a potem poszli na miejsce, gdzie stał uwiązany koń. Nio pożegnał się i odjechał, a Mei-Ling patrzyła, jak znika wśród drzew, bezradna niczym matka, która rozstaje się z dzieckiem.

* * *

Zanim otrzymasz ten list, kuzynie Cecilu, lord Elgin będzie już prawie u celu. Zaledwie przed kilkoma godzinami miałem okazję przez chwilę z nim rozmawiać i spieszę donieść Ci, czego się dowiedziałem, dopóki mam to jeszcze świeżo w pamięci.

Lord Elgin spełnia swój obowiązek i wraca do Chin, ma jednak nadzieję, że nie zabawi tam długo. Potwierdził, że jego misją jest ratyfikacja traktatu, który został wcześniej zawarty, i zamierza uciec się w tym celu do wszelkich niezbędnych środków. Dopiero się okaże, czy czeka go łatwe, czy raczej trudne zadanie. Towarzyszy mu francuski wysłannik, baron Gros, będą wzajemnie się wspierać.

Najbardziej zainteresował mnie jednak inny, bardziej ogólny temat. Zapytałem, czy byłby nam na rękę upadek starej mandżurskiej dynastii, której władza została wszak mocno osłabiona. I co z tajpingami, którzy przynajmniej oficjalnie deklarują się jako chrześcijanie? Czy chciałby, aby do władzy doszła obca siła, tak jak to wydarzyło się niedawno

w Kantonie? Mój rozmówca wystrzegał się wszelkich konkretów, poczynił jednak pewne ogólne spostrzeżenia, którymi się teraz z Tobą podzielę.

Otóż według niego potrzebujemy takiego chińskiego rządu, który byłby dostatecznie silny, żeby zawierać traktaty i utrzymywać w kraju porządek, ale nic ponadto. Może nawet takiego, który mógłby rządzić jedynie z naszą pomocą. To byłoby idealne rozwiązanie. W żadnym wypadku nie chcemy jednak Chin na tyle potężnych, aby nam mogły zagrozić. Nie zapominajmy, co powiedział Napoleon: Chiny to śpiący olbrzym, a gdy się obudzi, cały świat zadrży w posadach.

Ciekawi mnie Twoje zdanie na ten temat.

CHWILA PRAWDY

Marzec 1860 roku

GUANJI DOBIEGAŁ TRZYDZIESTKI i po raz pierwszy zdarzyło mu się, aby ktoś nie był pod wrażeniem jego osiągnięć. Na nieszczęście przyszłość jego kariery zależała właśnie od tego człowieka.

Nie ulegało wątpliwości, że mongolski generał brygady, który został mianowany dowódcą garnizonu w Zhapu, nie ma najlepszego zdania o nim i jego dokonaniach. Zresztą wcale się z tym nie krył. Widząc Guanjiego dosiadającego konia, stwierdził: „Siedmiolatek ze stepu dłużej wytrzymałby w siodle". A gdy zobaczył go strzelającego z łuku, rzucił tylko: „Nieźle". Na wieść, że Guanji pilnie się uczył i po egzaminach cesarskich osiągnął tytuł *juren*, oczy Mongoła zwęziły się tak, że przypominały dwa nacięcia wykonane nożem do podrzynania gardła, a z jego ust wydobyło się pogardliwe prychnięcie.

– Wulgarny dureń – mruknął wuj. – Znasz jego przezwisko, prawda? Czyngis. Wydaje mu się, że jest Czyngis-chanem. Mimo to – przestrzegł Guanjiego – jest twoim dowódcą, należy do białej chorągwi mongolskiej, co daje mu prestiż i wpływy, więc musisz zasłużyć na jego pochwałę.

– Jak miałbym tego dokonać? – zapytał Guanji.

– Nie wychylaj się i wykonuj swoje obowiązki. Nie próbuj mu się przypodobać, bo zacznie tobą pogardzać, ale sprawuj się bez zarzutu.

Mongoł był krępy i potężnie zbudowany, miał szeroką, inteligentną twarz i pachniał tabaką, której nabierał z małej, cylindrycznej tabakierki, posługując się łyżeczką z kości słoniowej.

Nie przebierał w słowach, a jego rozkazy były zawsze zwięzłe i przejrzyste. Przez trzy miesiące Guanji wykonywał je co do joty, błyskawicznie

i rzetelnie.

Po tym okresie Czyngis miał mu do powiedzenia tylko tyle: „Wiesz, na czym polega twój problem? Nigdy nie stanąłeś oko w oko ze śmiercią. Znaleźć się naprzeciwko drugiego człowieka i spojrzeć mu w twarz z myślą, że tylko jeden przeżyje – oto prawdziwa chwila prawdy”.

Guanji zapamiętał sobie te słowa i zastanawiał się, co mógłby uczynić, aby zmienić swoje położenie.

Dorastał hołubiony przez starych wojowników z garnizonu, którzy wpajali mu, że wiele w życiu osiągnie, dbając o swoją mandżurską tożsamość, jednak tym, co ostatecznie wpłynęło na przyszłe losy Guanjiego, była wieść, że jego kuzynka i starsza siostra Ilha zostały zabite wraz z całą rodziną w Nankinie w 1853 roku.

Po pierwszym wstrząsie przyszła wściekłość i dojmujące poczucie straty, którego w żaden sposób nie dało się zagłuszyć. Nocą opadały go wspomnienia, a wówczas jego ramiona napinały się z nienawiści, a on wpatrywał się w ciemność i snuł marzenia o zemście.

Z czasem ponura determinacja stwardniała w nim na kamień. Odtąd miał w życiu dwa cele, którym wszystko podporządkowywał: zajść jak najwyżej pod panowaniem mandżurskiego cesarza i zniszczyć zbuntowanych tajpingów.

Wrażenie, że w jego życiu brakuje elementu duchowego, które nawiedzało go za czasów szkolnych, nie zniknęło całkowicie. Przygotowując się do cesarskich egzaminów, z pomocą wuja i jego uczonych przyjaciół zdołał zaczerpnąć nieco z głębokiego źródła kultury chińskiej, a po wszystkim egzaminatorzy wyznali mu na osobności, że gdyby uczył się jeszcze przez kilka lat, zdobyłby tytuł, który właśnie mają przyjemność mu nadać, jako należny z urzędu każdemu mandżurskiemu chorążemu.

Zanim skończył dwadzieścia pięć lat, był już powszechnie szanowany w swoim rodzinnym garnizonie w Zhapu jako młody, obiecujący oficer mandżurskiej żółtej chorągwi z czerwonym obramowaniem.

„Za jakiś czas – oznajmił mu wuj – być może trzeba będzie znaleźć ci żonę. Najpierw jednak chciałbym, abyś otrzymał awans”.

Guanji przyznał mu rację. Jedyne, o czym marzył, gdy pierścień armii cesarskiej powoli zaciskał się wokół Niebiańskiego Królestwa tajpingów, to szansa na wstąpienie w szeregi wojska oblegającego Nankin i wyróżnienia

się w boju. Kilkakrotnie ubiegał się o przeniesienie, ale jak dotąd spotykał się z odmową.

„Żadne zadanie nie jest obecnie ważniejsze od utrzymania stałych dostaw zaopatrzenia do Hangzhou, których trasa biegnie przez Zhapu” – słyszał i wiedział, że to prawda.

Kiedy surowy mongolski generał brygady przybył objąć dowództwo w Zhapu, Guanji uznał, że to może być jego szansa na wyrwanie się z garnizonu. Podlegał bezpośrednio Czyngisowi, więc nadarzała się doskonała okazja – gdyby tylko udało mu się zrobić na nim wrażenie i przeżyć swoją chwilę prawdy!

Rozkazy nadeszły bez ostrzeżenia. Pewnego ranka Guanji rozmawiał z przyjaciółmi z garnizonu, gdy pojawił się generał brygady i przywołał go do siebie.

– Rebelianci przebili się z Nankinu i zmierzają w kierunku Hangzhou w liczbie siedmiu tysięcy pod dowództwem generała Li. Mamy wzmocnić tamtejszy garnizon. Potrzebuję czterystu w pełni wyekwipowanych strzelców, gotowych do wymarszu za dwie godziny.

– Tak jest, panie. – Guanji wahał się tylko przez chwilę. Czy odważy się zadać dowódcy to jedno, najważniejsze pytanie?

– Ty też z nami jedziesz.

Ruszyli brzegiem kanału prowadzącego z Zhapu aż na północne obrzeża Hangzhou. W swoich galowych mundurach, z tradycyjnymi warkoczami opadającymi na plecy, żołnierze wyglądali groźnie i aż palili się do walki. Byli znakomicie wyćwiczeni.

Guanji jechał konno obok Mongoła.

– Spodziewałem się – zaczął nieśmiało – że tajpingowie wyprawią się na nas w większej liczbie.

– Siedem tysięcy wytrawnych żołnierzy ma szansę zająć Hangzhou – burknął Czyngis.

– Podobno ten ich generał Li nosi okulary.

– Nie lekceważ Li. Zna się na rzeczy jak mało kto.

Guanji nie odważył się już wyrywać generała brygady z zamyślenia i jechali w milczeniu aż do momentu, gdy trzeba było rozbić pierwszy biwak. Od celu dzieliło ich osiemdziesiąt mil.

Czwartego wieczoru dotarli do wielkiego miasta Hangzhou. Na spotkanie wyjechał im oficer z pół tuzina konnych i powiódł ich drogą wiodącą do pierwszej z dwóch bram w północnym murze. Uchylono ją, aby ich wpuścić, i natychmiast zamknięto, ledwo wjechali do środka. Po ich prawej stronie ciągnął się wewnętrzny mur miejskiego garnizonu. Guanji uśmiechnął się na ten widok.

Nie uszło to uwagi Czyngisa.

– Dlaczego się uśmiechasz?

– To moja dawna szkoła, panie.

Mongoł nic na to nie odpowiedział.

W garnizonie, ku wielkiej radości Guanjiego, przydzielono im kwaterę w szkolnej sali. Wkrótce po posiłku wojskowi posnęli; Guanji też miał się położyć, ale Czyngis ani myślał spać.

– Zaprowadź mnie na mury – zażądał.

Od północy, południa i wschodu garnizon oddzielał od reszty miasta wysoki mur obronny z kilkoma furtkami prowadzącymi na miejskie ulice, od zachodu natomiast dostępu do enklawy broniły mury miejskie. W tej części znajdowała się tylko jedna potężna baszta, przez którą wychodziło się na szeroki otwarty teren porośnięty drzewami, a dalej rozciągały się spokojne wody olbrzymiego Jeziora Zachodniego. W baszcie znajdowały się schodki prowadzące na przedpiersie.

W ciemnościach wspięli się na górę i wyjrzeli: od bramy aż po brzeg jeziora płonęły setki ognisk, a w ich blasku widać było niewyraźne postacie.

– Tajpingowie – mruknął Mongoł. – A w każdym razie jakiś ich oddział.

– Wygląda na to, że szykują się do ataku na bramę i zajęcia garnizonu.

– Niewykluczone, że spróbują to uczynić – zgodził się Czyngis. – Ale najpierw musieliby zabić ciebie i mnie – dodał.

O świcie Guanjiego zbudził odgłos wystrzałów z broni palnej. Istna kanonada zdawała się dobiegać z południowego krańca miasta. Zerwał się z posłania i zobaczył nadchodzącego generała brygady.

– Zaczęło się. Zwołano naradę wojenną. Zbierz ludzi i czekajcie na mój powrót.

Dowódca wrócił po godzinie. Minę miał ponurą. Kazał Guanjiemu odwołać ludzi i pójść za sobą. Kilka minut później znowu znaleźli się na

murze, w tym samym miejscu, co poprzednio.

Tajpingowie, których ogniska rozjaśniały wcześniej mroki nocy, stali teraz w szyku bojowym w odległości dwustu jardów od miasta. Było ich około tysiąca. Z rozpuszczonymi włosami opadającymi na ramiona, z mieczami i bronią palną gotową do strzału wyglądali naprawdę przerażająco. Ich żółte chorągwie wojenne z czerwonym obramowaniem łopotały na wietrze.

Czyngis przyglądał się im beznamiętnie. Nasypał trochę tabaki na grzbiet dłoni i wciągnął ją do nosa.

– Dowódcy Hangzhou to banda głupców – mruknął, ale nie wyjaśnił dlaczego. Potem odwrócił się, żeby zlustrować lewą stronę.

Poniżej dzielnicy garnizonowej znajdowało się szerokie przejście prowadzące do kolejnej bramy w zachodnim murze, a na drugim końcu wznosił się yamen prefekta miasta, rozległy kompleks budynków i dziedzińców za ogrodzeniem z otynkowanych cegieł, które miało raczej zapewniać mieszkańcom prywatność niż ochronę i do którego przylegał plac apelowy. Dalej rozciągał się labirynt ulic, gdzie domy bogatych kupców, warsztaty rzemieślnicze, świątynie i zamieszkane przez biedaków rudery tłoczyły się obok siebie i tętniły życiem, tworząc typowe dla starych chińskich miast chaotyczne skupisko. Zabudowania miejskie kończyły się dopiero milę dalej, przed południowym murem.

– Tajpingowie pokonali umocnienia w południowo-zachodnim narożniku. – Mongoł wyciągnął rękę w tamtym kierunku i Guanji zobaczył, że nad brzegiem Jeziora Zachodniego przy końcu murów miejskich licznie powiewają chorągwie tajpingów. – Wdarli się do środka. Oddziały lokalnej milicji próbowały dać im odpór – jak myślisz, czym to się skończyło?

– Myślę, że ciężkimi walkami, panie.

– Większość obrońców rzuciła się do ucieczki. – Generał w zamyśleniu pokiwał głową. – Może wpadli w panikę, a może tajpingowie wcześniej ich przekabacili. Zapewne jedno i drugie jest prawdą. Domyślasz się, jaki będzie ich następny ruch?

– Przypuszczam, że będą chcieli przedrzeć się w naszym kierunku.

– Mieszkańcy miasta są wściekli. Wylegli na ulice, oznajmili tym z oddziałów lokalnej milicji, że jeśli nie będą walczyć, to zawisną na stryczku, po czym sami zaczęli atakować tajpingów, w razie potrzeby gołymi rękami. W tym mieście mieszka sporo Mandżurów.

– Mandżurowie nie poddadzą się bez walki – stwierdził z dumą Guanji.

– Hm. Wygląda na to, że kobiety są najzacieklejsze. Powiesiły już kilkunastu milicjantów, a na tajpingów rzucają się z nożami kuchennymi. – Skinął głową rozbawiony, po czym zwrócił się do Guanjiego: – Dlaczego w walkach ulicznych kobiety mandżurskie lepiej sobie radzą niż Chinki Han?

– Mają ducha walki – wyrecytował Guanji jak na lekcji.

– Za długo chodziłeś do szkoły, a to źle wpływa na mózg. Pomyśl o najprostszym wytłumaczeniu.

– Sam nie wiem, panie.

– Stopy! W każdym chińskim mieście ponad połowa kobiet Han od dziecka miała krępowane stopy i teraz mogą tylko kuśtykać. Kobiety mandżurskie nie krępują stóp, poruszają się więc dziesięć razy szybciej.

– Macie rację, panie – przyznał Guanji. – Głupiec ze mnie.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie zdołają ich powstrzymać? To się skończy masakrą. Pierwszą rzeczą, jaką uczynią tajpingowie, będzie wymordowanie na postrach tylu mieszkańców, ilu uda im się schwytać – mężczyzn, kobiet i dzieci. Pozostałym postawią warunek: „Dołączcie do nas albo również zginiecie”. Widziałeś kiedyś coś takiego?

– Raz, w Zhapu, gdy byłem mały. Obawiam się, że tysiące ludzi stracą życie.

– Nie tysiące. Dziesiątki tysięcy. Pomyśl: w tym mieście musi być ponad pół miliona mieszkańców. Załóżmy, że tajpingowie zabiją tylko jedną osobę na dziesięć: to daje pięćdziesiąt tysięcy. Śmierć zbiera największe żniwo w miastach, nie w wielkich bitwach.

– Pomożemy im?

– Ci głupcy z rady chcieli, żebym to uczynił. Udało mi się powstrzymać ich zapał.

– Nie sądzicie, że powinniśmy ruszyć im z odsieczą, panie?

– Dysponuję czterystoma strzelcami. W jakim terenie są najskuteczniejsi?

– Mając otwarte pole do strzału, panie. Najlepiej, jeśli mogą strzelać spoza osłony.

– A co widzisz tam na dole? Istne mrowisko. Walka toczy się na ulicach, między domami. To najgorsze pole bitwy, jakie można sobie wyobrazić. W ciągu jednego ranka straciłbym połowę swoich ludzi. Miejscowi lepiej sobie poradzą, znają każdy zakamarek miasta. – Uśmiechnął się ponuro. – A w nocy mandżurskie kobiety poderżną tajpingom gardła.

Guanji zastanawiał się przez chwilę.

– Gdybyśmy zorganizowali niespodziewany wypad za bramę garnizonu, moglibyśmy uderzyć na tajpingów na otwartym terenie, a potem wycofać się z powrotem do garnizonu.

– Moglibyśmy. Tyle że to może nie mieć większego sensu.

– Nie sądzicie chyba, że zechcą zaatakować garnizon?

– Kiedy generał Li pokazuje ci swoje oddziały, nie robi tego bez ważnego powodu. Trzeba zadać sobie pytanie, co chce w ten sposób osiągnąć. Do jakich wniosków mamy według niego dojść? I co w związku z tym mielibyśmy zrobić? Wczoraj zaprezentował nam swoich ludzi, którzy stanowią bezpośrednie zagrożenie dla garnizonu. Dziś zaatakował drugi koniec miasta. Jego oddziały wciąż czekają w gotowości pod murem miejskim po naszej stronie. Najwyraźniej tajpingom zależy, abyśmy uznali, że nas zaatakują.

– Domyślacie się, panie, o co mu tak naprawdę chodzi?

Mongoł odchrząknął, zażył tabaki, ale nie odpowiedział.

Mimo wszystko tego dnia nawet on nie był w stanie uchronić swoich ludzi przed ulicznymi walkami – w południe został przegłosowany przez radę. W tym czasie południowa część Hangzhou znajdowała się już pod kontrolą tajpingów, a rebelianci torowali sobie drogę ku północy. Co powie cesarz, jeśli niczego nie zrobimy? – martwili się dowódcy. Pokaz siły był pilnie potrzebny. Należało powstrzymać buntowników, zanim dotrą do yamenu prefekta i mandżurskiego garnizonu.

Około tysiąca ludzi, mandżurskich chorążych z garnizonu Hangzhou oraz czterystu strzelców z Zhapu, otrzymało rozkaz do wymarszu. Mongoł ustawił swoich ludzi w długim szeregu na placu przed yamenem, gdzie wcześniej kazał wznieść solidną barykadę, lecz po decyzji rady zmuszony był poświęcić kompanię pięćdziesięciu ludzi, którzy mieli wraz z pozostałymi obrońcami zagłębić się w wąskie uliczki miasta i zaatakować wroga.

– Ty nimi dowodzisz – rozkazał Guanjiemu.

– Tak jest! – odparł Guanji.

Prowadząc swoich ludzi długą ulicą na południe, Guanji był niemal pewny, że zginie. Podejrzewał, że Mongoł też się z tym liczył, nie miał jednak żalu do dowódcy – Czyngis robił tylko to, co do niego należało.

Ku własnemu zaskoczeniu stwierdził, że w tej chwili ma podobne pragnienie: zrobić to, co do niego należy. Dziecięce marzenia o sukcesach i okryciu chwałą całego klanu zeszły na dalszy plan, gdy skupił się na tym, co go czekało. Przeszło mu przez głowę, że przed śmiercią chciałby choć raz sprawdzić się w walce, wykazać się jako wojownik; to by mu wystarczyło.

Z tą myślą poprowadził swój oddział naprzód.

Ulice były w zasadzie puste. Guanji zagadywał nieliczne mijane osoby, czy widziały tajpingów, ale odpowiedź brzmiała: „Nie”. Pytano go, czy zamierza się z nimi bić, a ilekroć przytakiwał, spotykał się z uśmiechami i słowami zachęty.

Ćwierć mili dalej ulica skręcała w lewo przed małą świątynią, po czym znów biegła w kierunku południowym, gdzie było jeszcze mniej ludzi. U jej wylotu znajdował się niewielki plac, przy którym zbiegały się trzy inne ulice, wszystkie podążające od południa. Guanji podniósł rękę i dał znak żołnierzom, żeby się zatrzymali.

Na placyku panowała cisza i pustka, jeśli nie liczyć jednego człowieka. Po przeciwnej stronie, z drewnianego balkonu jednego z domów zwisał sznur, a na jego końcu kołysał się martwy członek lokalnej milicji. Wiatr poruszał lekko ciałem. Czy oprawcy kryli się w budynkach przy placu? Trudno było to przewidzieć.

Guanji nadstawił ucha. Z ulicy przylegającej do dalszego narożnika placu dobiegły ich nawoływania, a potem uderzenia bębna – najpierw odległe, potem coraz bliższe. Guanji zwrócił się do swojego sierżanta:

– Weźcie tuzin ludzi, włamcie się do domów i wynieście wszystko, co się da, żebyśmy mogli tu zbudować barykadę. Wyślijcie też zwiadowcę na drugi koniec placu, niech sprawdzi, kto stamtąd nadchodzi.

Trudno było o lepszą pozycję: gdyby udało im się wznieść barykadę u wylotu tamtej ulicy, jego ludzie mieliby dobry widok na cały plac. Mogliby też wycofać się tą samą drogą, którą tutaj przyszli.

Wkrótce na skraju placu stanęła barykada. Stoły, krzesła, ławy, skrzynie, drewniane parawany zapewniały jego ludziom dobrą osłonę, a dla napastników stanowiły trudną przeszkodę do pokonania.

– Znalazłem jedną staruszkę – zameldował sierżant. – Tajpingowie już tutaj byli. Zamordowali kilka osób, zanim ruszyli dalej. Oznajmili też, że zamierzają zająć miasto, i kazali wszystkim się stąd wynosić. Staruszka twierdzi, że nigdzie się nie ruszy. A, i jeszcze coś.

– Co takiego?

– Żąda zwrotu swoich mebli.

Chwilę później zwiadowca wrócił biegiem przez plac.

– Tajpingowie nadchodzą! Co najmniej stu, a może więcej. Za kilka minut dotrą tutaj.

Po krótkim namyśle Guanji wydał rozkazy:

– Podzielcie ludzi na dwie grupy, sierżancie. Wszyscy muszą być uzbrojeni i gotowi do strzału. Dziesięciu odeślijcie na tyły, na odległość stu kroków za nami. Niech utworzą szereg w poprzek ulicy. Gdybyśmy musieli się wycofać, będą nas osłaniali i zastrzelą tajpingów, którzy spróbują wspiąć się na barykadę. Pozostałych czterdziestu ustawcie w czterech szeregach po dziesięciu w poprzek placu. Pierwszy szereg przy samej barykadzie, trzy dalsze w odwodzie, gotowe zastąpić tamtych. Po oddaniu salwy pierwszy szereg wycofuje się, żeby przeładować broń, i tak po kolei, dopóki nie wydam rozkazu do odwrotu.

Jego ludzie byli dobrze wyćwiczeni i wkrótce wszystko było gotowe. Guanji zajął miejsce na skraju barykady, skąd miał dobry widok na ulicę dochodzącą do dalekiego narożnika placu. Przykazał żołnierzom, aby się pochylili i pozostali niewidoczni dla wroga, dopóki nie wyda im rozkazu do ataku.

Minęła minuta. I jeszcze jedna. Naraz na plac weszło trzech mężczyzn: groźnie wyglądających wojowników z rozpuszczonymi, zmierzwionymi włosami sięgającymi im do połowy pleców. Nie ulegało wątpliwości, że to tajpingowie. Rozejrzeli się dookoła. Jeden zauważył barykadę i przez chwilę jej się przypatrywał, zanim wskazał ją towarzyszom. Guanji ani drgnął. Tajpingowie go nie zauważyli. Przy odrobinie szczęścia uznają, że za barykadą nikogo nie ma. Ruszyli naprzód, najwyraźniej zamierzając się upewnić. Guanji zaklął pod nosem. Wolałby zastrzelić więcej niż trzech nieprzyjaciół. Ledwo uszli kilka kroków, z ulicy za ich plecami wyległ tłum tajpingów. Jeden niósł żółtą chorągiew, a za nim podążali inni, w tym dwaj bębniarze, którzy obowiązkowo walili w werble. Cała kolumna tajpingów wkraczała na plac; na linii ognia znajdowało się już chyba z pięćdziesięciu gęsto stłoczonych wrogów, stanowiących doskonały cel.

– Teraz! – krzyknął Guanji. – Ognia!

Rozległ się huk. Trzech idących przodem tajpingów padło na ziemię, tak jak i pół tuzina za nimi. Cel był łatwy, to prawda, jednak strzelcy również świetnie się spisali. Guanji usłyszał, jak sierżant za nim woła:

– Do tyłu! Przeładować! Kolejny szereg wystąp!

Całkowicie zaskoczeni tajpingowie zatrzymali się. Ci, którzy nie widzieli barykady, a tylko unoszący się nad placem dym, nie zdawali sobie sprawy, z jakimi siłami wroga przyszło im się zmierzyć.

– Widzicie cel? – zawołał Guanji. Kilku żołnierzy skinęło głowami. – Ognia!

Następna salwa zrobiła swoje; na całym placu rozlegały się teraz jęki rannych i umierających. Dym ograniczał widoczność, lecz Guanji odniósł wrażenie, że rażeni ciągłym, gęstym ogniem tajpingowie próbują wycofać się z placu. Nie mogli tego jednak uczynić, bo podążająca ulicą kolumna napierała na nich od tyłu, uniemożliwiając odwrót.

Trzeci szereg strzelców zajął pozycję. Guanji wskazał im, gdzie mają celować w gęstym dymie.

– Ognia!

Rozległy się kolejne krzyki. Ilu już do tej pory położyli trupem? Dwudziestu? Może więcej? W gotowości czekały jeszcze dwa szeregi strzelców – tych, którzy osłaniali ich z tyłu, od strony ulicy, oraz dziesięciu ludzi zajmujących pozycje przy barykadzie. Guanji obejrzał się za siebie, żeby sprawdzić, czy pierwsza grupa zdążyła przeładować broń. Byli prawie gotowi.

– Wstrzymać ogień – rozkazał tym przy barykadzie. – Niech dym trochę się rozwieje.

Zanim to jednak nastąpiło, grupa kilkunastu tajpingów przedarła się w kierunku barykady. Kimkolwiek byli, na pewno nie można ich było nazwać tchórzami. Uzbrojeni w pistolety i długie noże, z rozwianymi włosami, wyglądali jak wściekłe demony.

– Bierzcie ich na cel i strzelajcie bez rozkazu! – krzyknął Guanji, dobywając miecza.

Rozległa się seria strzałów, po której pięciu, może sześciu tajpingów padło martwych. Reszta dotarła do barykady – jeden gramolił się właśnie przez spiętrzone meble dokładnie na wprost niego. Guanji pchnął mieczem z całej siły, trafił napastnika w szyję i zobaczył, że ten pada do tyłu, wciąż uczepiony ręką drewnianej nogi krzesła. W jego miejsce pojawiło się jednak dwóch następnych, a przez plac biegły już inne postacie.

– Odwrót! – zakomenderował Guanji.

Dla jednego z jego ludzi rozkaz ten padł zbyt późno. Dopadło go dwóch tajpingów. Guanji rzucił się na nich. Pierwszego dźgnął mieczem od tyłu,

w plecy na wysokości nerek. Kiedy to zrobił, drugi zamierzył się na niego i Guanji poczuł lekkie ukłucie w lewym ramieniu. Ciął napastnika mieczem, po czym patrzył, jak z cienkiej czerwonej linii w poprzek szyi mężczyzny bucha krew. Tajping zatoczył się. Guanji nie czekał, tylko chwycił swojego strzelca za pas i poderwał do góry.

– Chodź! – krzyknął, po czym, potykając się, pobiegli w górę ulicy.

Obejrzał się za siebie. Czy jeszcze któryś z jego ludzi został na placu? Raczej nie. Ale wojownicy tajpingów właśnie pokonywali barykadę. Usłyszał krzyk sierżanta: „Na bok!" – i w lot pojął, o co mu chodzi. Oczywiście: piąty szereg czekał na rozkaz do strzału. Pociągnął towarzysza za sobą pod ścianę pobliskiego budynku. Rozległa się głośna kanonada i od strony zabarykadowanego przejścia dobiegły krzyki. Guanji nie oglądał się już za siebie, tylko pomknął naprzód. Chwilę później minął szereg strzelców.

– Dalej, panie! – wołał sierżant. – Nie zatrzymujcie się!

Pięćdziesiąt jardów przed nim sierżant ustawiał już kolejny szereg ludzi gotowych do strzału. Dobra robota, pomyślał Guanji. Będzie musiał go później pochwalić.

Kiedy zgromadzili się za drugim szeregiem, okazało się, że po sforsowaniu barykady tajpingowie najwyraźniej nie zamierzali ich dalej ścigać. Mimo to lepiej było się upewnić.

– Przeładować! – rozkazał. – Niech wszyscy przeładują broń.

Gdy jego rozkaz został wykonany, Guanji polecił sierżantowi ustawić ludzi w szeregu.

– Czy kogoś straciliśmy? – zapytał.

– Nikogo, panie.

– Ktoś został ranny?

– Tylko wy, panie.

– Ja? – Całkiem zapomniał o ukłuciu w ramię.

– To się często zdarza w ferworze walki, panie. Żołnierz odnosi rany i niczego nie czuje. – Sierżant się uśmiechnął. – Za pozwoleniem, panie. – Wziął jeden z kawałków białej bawełnianej tkaniny, których miał kilka owiniętych wokół pasa. – Zawsze noszę je przy sobie. – Ujął ramię Guanjiego, które dość silnie krwawiło. – Zaraz was opatrzę – rzucił wesoło. – Przypuszczam, że będziecie chcieli sami odprowadzić oddział z powrotem do garnizonu, panie – dodał na koniec.

Gdy ponownie stanęli przed generałem brygady, Guanji złożył mu krótki, lecz precyzyjny raport, nie zapominając o pochwale dla sierżanta za

inicjatywę i dbałość o porządek w oddziale.

– Zadaliśmy nieprzyjacielowi straty – podsumował. – Położyliśmy trupem co najmniej dwudziestu. Nikt z naszych nie odniósł obrażeń, poza kilkoma siniakami i tym drobnym nacięciem na moim ramieniu.

– Nie utrzymałeś swojego stanowiska.

– Nie, panie. Nie miałem żadnego wsparcia, za to wszelkie powody, aby sądzić, że zaatakuje nas duży oddział tajpingów. Mógłbym zabić jeszcze dwudziestu, ale wtedy straciłbym wszystkich ludzi.

– Dobrze. Podjąłeś właściwą decyzję. – Przez oblicze Mongoła przemknął słaby uśmiech. – Niektóre z naszych oddziałów dostały tęgie lanie. – Odwrócił się i przywołał do siebie sierżanta. – Dwudziestu zabitych wrogów? – upewnił się.

– Może nawet więcej, panie. Bardzo dogodnie się ustawili, a my mieliśmy dobrą pozycję.

– Jak się czują ludzie?

– Są w świetnych nastrojach, panie. Dobry oficer zawsze wzbudza zaufanie.

– Ja zajmę się jego raną. Przynieś mi wiadro wody. I rozgrzany nóż. – A odwracając się do Guanjiego, wskazał mu skrzynkę z amunicją. – Usiądź na tym.

Po kilku minutach wrócił sierżant. Postawił wiadro z wodą na ziemi i odwinął opatrunek z ramienia Guanjiego. Mongoł przemył ranę wodą, dokładnie ją obejrzał i raz jeszcze przepłukał.

– Jest czysta. – Skinął głową i zwrócił się do sierżanta: – Dajcie mi nóż.

Był to krótki sztylet. Guanji przyjrzał mu się – ostrze zdawało się płonąć jasnym blaskiem. Poczuł, że sierżant obejmuje ramionami jego klatkę piersiową.

– Przytrzymam was teraz, panie – powiedział spokojnie sierżant. Guanji zobaczył, że generał zanurza sztylet w wodzie. Usłyszał głośny syk, a potem głos Mongoła, szepczący mu do ucha: – To, co teraz zrobię, nazywa się przyżeganiem rany. Zagryź zęby, oprzyj język o podniebienie i nie otwieraj ust. Jeżeli wydasz jakikolwiek dźwięk, z naganą odeślę cię z powrotem do Zhapu.

Następnie przytknął sztylet do ramienia Guanjiego. Ból, jaki go przeszył, przewyższał wszystko, co czuł do tej pory. Przewiercał go na wskroś, paląc żywym ogniem. Gdyby nie ramiona sierżanta, które niczym żelazna obręcz wokół klatki piersiowej przygwoździły go do ziemi, Guanji chyba wysko-

czyłby ze skóry. Niewiele brakowało, żeby zemdlał, ale za bardzo bał się zdenerwować Mongoła. Mimo to wydał z siebie dźwięk, który jednak nie wyrwał się z ust, tylko gdzieś z głębi trzewi, tak gwałtownie i niespodziewanie, że nic nie zdołał na to poradzić.

Zapadła głucha cisza.

– Słyszeliście coś, sierżancie? – zapytał Mongoł.

– Tylko jakieś hałasy z miasta.

Czyngis chrząknął.

– Zapewne.

Guanji zdał sobie sprawę, że wstrząsają nim dreszcze.

– Dam wam trochę wody, panie – zaproponował sierżant.

Tego popołudnia tajpingowie nie próbowali już atakować wielkiej mongolskiej barykady. Yamen prefekta pozostał niezdobyty. O zmierzchu, postawiwszy czterdziestoosobową wartę przy barykadzie, reszta mandżurskich oddziałów schroniła się za murami garnizonu, a wraz z nimi Guanji.

Pozostał tam przez kolejne dni. Strzelcy z garnizonu w Zhapu wciąż strzegli barykady, nie posyłano ich już jednak ponownie na ulice miasta. Zamiast tego dowództwo w Hangzhou obrało inną taktykę: z miasta płynął nieprzerwany strumień zaopatrzenia dla partyzantów mandżurskich, którzy dzięki stałym dostawom prochu i amunicji mieli nękać tajpingów, gdzie tylko się da. Mandżurskie kobiety miały talent do robienia małych ładunków wybuchowych i dostarczały je, gdzie trzeba. Nie mijała godzina, aby Guanji nie słyszał dobiegających z miasta wystrzałów z muszkietów albo odgłosów eksplozji.

Pomimo znacznych strat w ludziach tajpingowie nadal czynili postępy: codziennie posuwali się naprzód o kilka przecznic i mścili się krwawo na każdej zdobytej enklawie. Po trzech dniach dotarli niemal pod sam yamen, lecz do tego czasu rada wojskowa Hangzhou wysłała już pilny apel do sił cesarskich oblegających Nankin, błagając o posiłki.

Guanji zachowywał optymizm.

– Jeśli przyślą nam dość ludzi – zwrócił się do Mongoła – generał Li może się znaleźć w potrzasku. Jego oddziały zostałyby zmiażdżone.

– Możliwe – mruknął Czyngis.

Tymczasem sytuacja wydawała się patowa.

Co noc Guanji wdrapywał się na mury. Było tam cicho, a on lubił samotność. Pomimo blasku bijącego od ognisk tajpingów wyraźnie widział wielkie Jezioro Zachodnie, a w świetle księżyca mógł także dostrzec łagodne grzbiety okalających je wzgórz.

Na kilka dni przed jego nagłym wyjazdem z Zhapu wuj Guanjiego wybrał się w odwiedziny do swojego starego przyjaciela, uczonego, który mieszkał w domu na jednym z tych wzgórz nad jeziorem. Guanji zastanawiał się teraz, czy wuj nadal tam przebywa i czy jest bezpieczny. Nagle pomyślał o drukarni wuja w mieście; miał nadzieję, że staruszek tam nie poszedł. Czy tajpingowie ją splądrowali? Obecnie nie było żadnego sposobu, aby to stwierdzić, obiecał sobie jednak, że zajrzy tam zaraz po zakończeniu oblężenia.

Dziwnie było myśleć o tych dwóch światach – spokojnym, wypełnionym poezją świecie uczonych oraz tym drugim, w którym gniewnie powiewały wojenne sztandary tajpingów – istniejących tuż obok siebie, nad tym samym jeziorem, skąpanych w tym samym blasku księżyca. Ten jednak stawał się coraz bledszy; jeszcze kilka dni, a w ogóle nie będzie można dojrzeć wody, chyba że przy rozgwieżdżonym niebie.

Tajpingowie zaatakowali znienacka kilka godzin po tym, jak Guanji zszedł z murów, w nocy, gdy księżyc był pomiędzy nowiem a trzecią kwadrą. Tysiąc mężczyzn, poruszających się bezszelestnie i uzbrojonych w noże, biegiem dopadło barykady przed yamenem i obezwładniło strażników. Czterdziestu zaspanych strzelców mandżurskich zginęło w ciemnościach w mniej niż minutę, a ich ciała rzucono na stertę po wschodniej stronie placu, aby wojsko z garnizonu mogło je stamtąd zabrać. Następnie, jeszcze przed świtem, tajpingowie rozebrali barykadę i wznieśli ją na nowo, tak że przebiegała teraz od yamenu przez ulicę, aż pod mur garnizonu, odcinając go od bramy miejskiej. Na dowód swojego zwycięstwa pozatykali flagi i chorągwie na murach zajętych kwartałów, w tym w yamenie prefekta i na przylegającej doń bramie zachodniej, jakby chcieli w ten sposób powiedzieć: „To wszystko należy do nas, jest naszą twierdzą”. W rękach cesarskich pozostał już tylko garnizon i najbardziej wysunięta na północ część miasta.

Jeszcze przed świtem ich zamiary stały się jasne, a obwieścił je wszem wobec stukot kilofów i łopat uderzających o ziemię. Guanji i generał bry-

gady wspięli się na mury garnizonu i spojrzeli w dół: rebelianci wznieśli prowizoryczne zadaszenie, które miało ich osłaniać podczas pracy, nie ulegało jednak wątpliwości, co próbują uczynić.

– Drążą tunel pod murem garnizonu, panie – powiedział Guanji. – Do czego miałby im posłużyć?

– Zapewne wypełnią go prochem i wysadzą w powietrze, a wówczas w murze powstanie wyrwa, przez którą będą mogli dostać się do środka.

– Jak możemy temu zapobiec?

– Możemy spróbować wykopać chodnik kontrminowy. Zrobić podkop poniżej ich tunelu, który się wówczas zawali. To powszechna taktyka stosowana w takich sytuacjach. Oczywiście oni mogą wtedy wykopać nowy chodnik i tak dalej. – Czyngis pokiwał głową. – To się może ciągnąć bez końca.

Nazajutrz tajpingowie mieli już wykopane cztery chodniki minowe i trudno było się zorientować, dokąd dokładnie zmierzają. Do tego dochodziło zagrożenie w postaci licznych sił wroga zgromadzonych przed zachodnią bramą garnizonu. Czyżby zamierzali przeprowadzić dwa ataki jednocześnie, jeden od południa, a drugi spod zachodniej bramy? Guanji przypuszczał, że taki właśnie mają plan.

Tego dnia rozważano mandżurski kontratak na yamen, lecz był on tak licznie obsadzony dobrze uzbrojonymi tajpingami, że dowództwo Hangzhou obawiało się poważnych strat. Ostatecznie postanowiono zaczekać na posiłki z Nankinu.

Tajpingowie kopali więc dalej, przez nikogo nie niepokojeni, a ludzie cesarza czekali na pomoc.

Ta nadeszła podczas nowiu księżyca. Cesarski kontyngent Wielkiego Batalionu Południowego przerwał oblężenie Niebiańskiego Królestwa, aby ruszyć z odsieczą Hangzhou. Tysiące żołnierzy zgromadziło się od północy pod murami miejskimi.

Guanji spodziewał się, że od razu wkroczą do miasta, ale generał brygady wyjaśnił mu:

– W tej chwili wewnątrz jest za mało miejsca, dlatego dziś wieczorem rozbiją obóz poza murami. – Wydawało się, że to całkiem rozsądne rozwiązanie, dopiero później, gdy nikt ich nie słyszał, dowódca dodał ciszej: –

Wśród nich mogą być szpiedzy tajpingów. Wolimy przetrzymać ich na zewnątrz aż do wybuchu walk.

– Czy nikomu nie mogę już ufać, panie? – zapytał Guanji ze smutkiem.

– Nie. Z wyjątkiem mnie. A wiesz dlaczego?

– Ponieważ jesteście moim dowódcą?

– Ponieważ jestem Mongołem. A Mongołowie to jedyni ludzie godni zaufania. – Musiało go to ubawić, bo się roześmiał. – Każdy Mongoł ci to powie.

Tej nocy Guanji nie wspiął się na mury. Z samego rana generał brygady udał się na naradę wojenną, Guanji zaś zatroszczył się, aby wszyscy strzelcy z Zhapu byli gotowi do walki, po czym z niecierpliwością wyczekiwał powrotu dowódcy. Mijały jednak godziny, a Mongoł nie wracał.

Około południa sierżant przyprowadził do niego kobietę, która podeszła do bocznej furty garnizonu i poprosiła o rozmowę z jakimś oficerem. Jeden z wartowników wiedział, że jest godną zaufania Mandżurką, dlatego przywołał sierżanta.

Była to surowa, krzepka kobieta około czterdziestki. Opowiedziała Guanjiemu swoją historię: przed tygodniem buntownicy, których szczerze nienawidziła, zabili jej męża. Wieczorem poprzedniego dnia wielu tajpingów przebywających w południowej części miasta zaczęło się przemieszczać w kierunku garnizonu. Wieść niosła, że szykuje się wielki szturm; lada moment zamierzali się tu przebić. Czas się kończył, dlatego bez zwłoki wyruszyła z południowej części miasta, ażeby ich ostrzec.

To miało sens: po nadejściu cesarskich posiłków tajpingowie najwyraźniej postanowili rzucić wszystkie siły na garnizon i czym prędzej go zająć. A potem niech Mandżurowie spróbują go odbić…

Guanji nie wahał się ani chwili. Wysłał człowieka, aby zawiadomił generała brygady, sam zaś sprawnie podzielił swoich strzelców na dwie grupy: stu pięćdziesięciu w szyku, aby salwa za salwą ostrzeliwali oddziały tajpingów, którym udałoby się przedrzeć przez zachodnią bramę garnizonu; drugie dwieście pięćdziesiąt miało czekać w gotowości, aby odeprzeć atak, który mógłby nadejść przez wyłom w południowym murze.

Nie musiał długo czekać na powrót Czyngisa; Mongoł pochwalił jego decyzje, wysłuchał uważnie mandżurskiej kobiety i polecił Guanjiemu, aby poszedł z nim na mury.

– Czy ta nowa sytuacja wpłynie na plan bitwy, panie? – chciał wiedzieć Guanji.

– Nie ma żadnego planu bitwy – odrzekł sucho Mongoł. – Rada wciąż nie może się zdecydować.

Z wysokości umocnień przyglądali się oddziałom tajpingów zgromadzonym naprzeciwko zachodniej bramy. Buntownicy wykopali rów i usypali wał, który rozciągał się od murów miejskich aż do jeziora. Najwyraźniej zamierzali wzmocnić swoją obronę, na wypadek gdyby do miasta nadciągnął Wielki Batalion Południowy.

Mongoł odwrócił się, żeby zobaczyć, co dzieje się na dole wzdłuż murów miejskich. Co kilka jardów powiewały sztandary tajpingów. Guanji przeniósł spojrzenie na yamen prefekta. Dachy budynków i liczne nieprzyjacielskie chorągwie w znacznej części przesłaniały mu widok, nie ulegało jednak wątpliwości, że rebelianci nadal pracowicie podkopują mur garnizonu. Ze swojego stanowiska widział ludzi pracowicie powiększających sterty wykopanej ziemi.

– Wczorajszej nocy też kopali – odezwał się. – Stałem u podnóża muru i słuchałem, jak ryją pod ziemią. Kiedy się kładłem, wciąż pracowali w tunelu, a było już dobrze po północy.

– Wspiąłeś się na mur?

– Wczoraj nie, panie. Nie było księżyca, więc uznałem, że niewiele stamtąd zobaczę.

– Nie było księżyca. – Mongoł w zamyśleniu pokiwał głową. – Oczywiście! Od kilku dni się zmniejszał. – Milczał przez chwilę, po czym nagle plasnął dłonią w udo. – Księżyc nie świeci! – zawołał. – Ależ ze mnie głupiec!

– Panie?

– A więc to knuje ten przebiegły diabeł Li!

– Generał Li?

– To wszystko… – Mongoł machnął ręką w kierunku ruchliwych sylwetek nieprzyjaciół w yamenie na dole. – To blef. On wcale nie zamierza zdobyć garnizonu. Nie zależy mu na Hangzhou. Czeka, aż nadejdą posiłki. To tylko taka gra, żeby odciągnąć nasze wojska od Nankinu, rozdzielić siły Wielkiego Batalionu Południowego.

– Co uczyni teraz, skoro już tu są, panie?

– Co uczyni? Osiągnął już wszystko, co zaplanował. Na co jeszcze miałby czekać? Dawno go tutaj nie ma. Jego oddziały musiały wymknąć się

wczoraj niepostrzeżenie przez zachodnią bramę, tuż pod naszym nosem, korzystając z panujących ciemności. Generał zarządził nocny wymarsz i zapewne jest już w drodze do Nankinu.

– Żeby uderzyć na resztę oblegających.

– Tak jest.

– A oddziały tajpingów, które kopią pod murem naszego garnizonu, i to obozowisko pod murami?

– Miały odwrócić naszą uwagę, tak jak te flagi na murach. Żebyśmy myśleli, że Li wciąż tutaj jest. Każdy dzień tej maskarady zwiększa dystans między nim a oddziałami pościgowymi, które za nim wyślemy.

– Co zamierzacie teraz zrobić, panie?

– Jeśli mam rację, w yamenie obsadził zapewne nie więcej niż trzystu ludzi. Sami poradzimy sobie z nimi i z obozowiskiem tajpingów, a oddziały Wielkiego Batalionu Południowego trzeba odesłać prosto do Nankinu. – Czyngis skinął głową. – Sęk w tym, że nie mogę tego udowodnić. Rada wojenna przygotuje się najwyżej na odparcie ewentualnego ataku wroga. Będą działali defensywnie.

Guanji się zastanowił.

– Gdyby udało mi się przedostać do yamenu, powinienem szybko zorientować się w sytuacji. Przekonałbym się, czy mają tam sześć tysięcy ludzi, czy tylko kilkuset. Czy rada wojenna przyjmie mój meldunek?

– To całkiem możliwe. Tylko jak zamierzasz się tam dostać?

– Mogłaby mnie tam przeprowadzić ta mandżurska kobieta – rzekł Guanji.

Mandżurka zmierzyła go wzrokiem.

– Jeśli chcesz się dostać do yamenu, musisz się przebrać za buntownika. Mam w domu odzienie tajpingów, które będzie na ciebie pasowało.

– Jak je zdobyłaś?

– Zabiłam tajpinga.

W drodze do niej też musieli zachowywać ostrożność. Guanji nie mógł przedzierać się przez okupowane miasto w mundurze mandżurskiego oficera, bo od razu zostałby pojmany przez patrol tajpingów, dlatego zanim wyruszyli, przebrał się w jakieś łachmany. Gdyby ktoś zapytał, miał udawać brata kobiety.

Wczesnym popołudniem dotarli do jej domu, który znajdował się nieopodal południowej bramy. Tam Guanji musiał ponownie się przebrać. Dwoje dzieci kobiety i staruszka, którą wziął za jej teściową, przyglądali się, jak przymierza luźny kaftan z czerwoną naszywką tajpingów i skórzany pas nieboszczyka.

– Chcesz jego miecz? – zapytała Mandżurka. – Miał dobry miecz.

Był to typowy miecz chińskiego żołnierza, prosty i ostro zakończony, mniej więcej tej samej długości co jego własny, ale nieco gorszy. Guanji go wypróbował.

– Czemu nie? – mruknął. – A co zrobimy z moimi włosami?

– Odwróć się. – Ostrożnie rozpuściła mandżurski warkocz Guanjiego, zmoczyła mu włosy i rozpostarła na jego ramionach. Na głowę wsadziła mu kapelusz zabitego tajpinga – pasował jak ulał.

– Wyglądam teraz na rebelianta? – spytał ją z uśmiechem.

– Za dnia nikogo nie oszukasz – stwierdziła. – Lepiej zaczekajmy do zmierzchu.

Wyruszyli dopiero po niecałych dwóch godzinach. Mimo że znajdowali się w południowej części miasta, nadal zachowywali dużą ostrożność; przebrawszy się w strój buntownika, Guanji musiał dla odmiany uważać na mieszkańców, tych zaś wciąż było tutaj sporo. Hanowie lub Mandżurowie chętnie poderżnęliby gardło samotnemu tajpingowi, gdyby się na niego natknęli. Skrywając odzienie tajpinga pod starym chińskim płaszczem i z włosami luźno związanymi sznurkiem w prowizoryczny warkocz, Guanji szedł obok Mandżurki, która wiodła go na północ cichymi zaułkami.

Choć uliczki miasta były dziwnie opustoszałe, Guanji dość szybko zorientował się, że stojące przy nich budynki są w większości zamieszkane. Ludzie dla bezpieczeństwa pozostali w domach, niepewni, co się wydarzy. Ilekroć Mandżurka kogoś mijała i pytała, gdzie są tajpingowie, odpowiedź za każdym razem była podobna: słyszeli, że albo wyjechali dzień wcześniej, albo że przed godziną lub dwiema widziano nieprzyjacielski patrol, lecz od tamtej pory już się nie pojawił.

W pewnym momencie dotarli do świątyni buddyjskiej, której drzwi zostały wyłamane, ale ktoś, prawdopodobnie kierując się pobożnością, postawił w środku lampion i zapalił kilka świec. Zatrzymali się na chwilę, żeby zajrzeć do środka. Tajpingowie rozbili znajdujące się tam stoły,

posągi, wszystko, co tylko wpadło im w ręce. Dalej na północ sytuacja wyglądała podobnie: ludzie ukrywali się po domach, a tajpingów nigdzie nie było widać.

Kiedy dotarli do placu, na którym Guanji i jego strzelcy zastawili zasadzkę na tajpingów, kobieta dotknęła ręką jego ramienia i kazała się zatrzymać. „Odtąd musisz stać się tajpingiem” – wyszeptała. Wzięła od niego płaszcz i szybko rozwiązała mu włosy, pozwalając, aby swobodnie opadły na ramiona. „Wczoraj było ich pełno w każdym z tych domów”.

Guanji rozejrzał się; na środku placu rozpalono ognisko, które nadal się tliło, chociaż nie było widać nikogo, kto by je podsycał. W jednym narożniku dostrzegł pozostałości barykady, którą własnoręcznie stawiał; tajpingowie zużyli meble na opał. Okoliczne domy przypatrywały mu się pustymi oknami, w żadnym jednak nie zauważył światła ani innych oznak obecności człowieka. Za to gdy skierował swój wzrok na północ, w głąb ulicy, która musiała prowadzić do yamenu, jakieś ćwierć mili przed sobą ujrzał światła.

– Dalej pójdę sam – powiedział cicho. – Zaczekaj tu na mnie.

Skinęła głową.

Był już prawie pewien, że Mongoł miał rację: tajpingowie oszukali obrońców Hangzhou i odeszli po kryjomu. Musiał się jednak co do tego upewnić ponad wszelką wątpliwość – w przeciwnym razie, jeśli tajpingowie jednak sforsują mur i wedrą się do garnizonu, którego obrona uwierzyła, że zagrożenie minęło, zginą tysiące ludzi. Szedł powoli, z mieczem zabitego tajpinga kołyszącym się u pasa, słysząc niemal bicie swego serca.

Po kilkuset jardach zobaczył wreszcie tajpingów. Mała ich grupka, w tym dwóch z pochodniami, przecięła przed nim ulicę i zniknęła w zaułku. Kilku nawet na niego spojrzało, lecz bez większego zainteresowania.

Oby tak dalej. Mijane budynki wydawały się puste; w żadnym nie dostrzegł świateł, nie słyszał też żadnych głosów. Dwukrotnie pchnął jakąś bramę i wszedł na dziedziniec. Pierwszy okazał się pusty, na drugim przykucnięty w kącie pod zapaloną latarnią samotny starzec popatrzył na niego ze smutkiem, spodziewając się zapewne, że intruz zechce go skrzywdzić. Guanji z rosnącą pewnością siebie ruszył w kierunku widzianych wcześniej świateł.

Chorągwie; wszędzie powiewały czerwono-żółte chorągwie tajpingów. Była to pierwsza rzecz, jaką zauważył, znalazłszy się na otwartej przestrzeni kwartału zajmowanego przez yamen. Chorągwie, owszem, powiewały, ale nie w rękach wojowników. Niektóre były zatknięte w ziemię, inne przywiązane do palików albo zawieszone na niskich dachach budynków. Miał przed sobą morze łopoczących na wietrze chorągwi, a ogniska i latarnie na budynkach dopełniały efektu. Widziane z góry – na przykład z murów garnizonu – sprawiały wrażenie, jakby roiło się tu od wojska.

Oczywiście byli tam wojownicy: po kilku przy każdym ognisku, długie rzędy tajpingów siedzących lub leżących na szerokich schodach przed większymi budynkami. Gdy Guanji odważnie wkroczył na teren rozległej rezydencji prefekta w centrum yamenu, napotkał tam o dziwo tylko pół tuzina wojowników, grających w warcaby w największej sali. Spojrzeli na niego bez zainteresowania. Rozejrzał się, udając, że kogoś szuka, pokręcił głową i wyszedł. Na północnym krańcu yamenu zauważył kilka zwałów ziemi najwyraźniej wydobytej z tunelu pod murem i pojął, że one również zostały starannie rozmieszczone, tak aby można je było dostrzec z garnizonu.

Ilu żołnierzy znajdowało się obecnie w yamenie? Oszacował, że widział około stu tajpingów. Ta liczba, nawet podwojona raz i drugi, nie dawała nawet pięciuset wojowników. A już na pewno nie mogło być mowy o pięciu tysiącach.

Aby się upewnić, przeszedł ulicami aż pod zachodni mur miasta. Wszędzie to samo: prawie żywej duszy.

Zakończył swoją misję, która okazała się łatwiejsza, niż przypuszczał, i z poczuciem ulgi zawrócił na pusty plac.

Wszystko wyglądało tak samo jak przedtem: na środku placu dopalały się resztki ogniska, wyludnione budynki milczały. Gdzie się podziała ta Mandżurka? Guanji wszedł na plac i ruszył w stronę ognia, żeby go zobaczyła. Rozglądał się przy tym bacznie dokoła. Czyżby gdzieś się ukryła? A może coś jej się stało? Może wiedziała coś, o czym on nie wiedział?

Gdzieś z lewej strony dobiegł go syk; właśnie odwracał się, żeby spojrzeć, gdy coś innego przykuło jego uwagę: z przodu, przy resztkach barykady w narożniku placu, błysnęło światło pochodni. Dwie pochodnie, trzy, cztery… Zanim Guanji zdążył się ukryć, na plac wbiegł niewielki patrol taj-

pingów. Czterech niosło pochodnie, sześciu było w pełni uzbrojonych. Prowadził ich oficer. Zmierzali prosto na niego.

Zamarł. Nie było sensu uciekać – już lepiej blefować.

– Idziesz w złą stronę! – zawołał oficer. – Dołącz do pozostałych.

Najwyraźniej patrol robił ostatni obchód miasta, zbierając po drodze rozproszonych wojowników. Oznaczało to zapewne wieczorny wymarsz.

Guanji zaczekał, aż się z nim zrównają. Jeśli zajmie miejsce z tyłu oddziału, może uda mu się po kryjomu odłączyć, gdy będą opuszczali plac. Oficer znajdował się zaledwie dziesięć stóp od niego.

– Stać! – krzyknął nagle i wbił bystre spojrzenie w Guanjiego.

Mógł mieć około czterdziestu lat. Włosy miał siwe, a sposób bycia świadczył o tym, że przywykł do rozkazywania podwładnym. Jeden z jego policzków znaczyła blizna. Omiótł wzrokiem długie włosy Guanjiego, niedawno uwolnione z warkocza. Widziane z bliska, w dodatku w świetle pochodni, nie wyglądały zbyt przekonująco.

– Nie znam cię – powiedział oficer. – Jak się nazywasz?

– Zhang, panie. – Było to pierwsze pospolite imię, jakie przyszło Guanjiemu do głowy.

– A jak ja się nazywam?

Guanji od razu wyczuł pułapkę: jeżeli był to starszy rangą oficer, każdy tajping w tym mieście musiał znać jego imię. Co miał odpowiedzieć? Zawahał się.

– Jesteś szpiegiem – stwierdził ze spokojem oficer, wyciągając długi nóż.

Guanji dobył miecza. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że to pusty gest – patrol mógł go w każdej chwili obezwładnić, po prostu zadziałał instynktownie.

Dwóch tajpingów ruszyło ku niemu, lecz oficer uniesioną ręką dał im znak, żeby się cofnęli.

– Jesteś oficerem? – zwrócił się do Guanjiego.

– Tak.

– To dobrze. – Mężczyzna z blizną na twarzy skinął głową. – Gotuj się na śmierć. – Nie była to groźba, tylko stwierdzenie faktu.

Pojąwszy w lot, czego się od nich oczekuje, tajpingowie z pochodniami ustawili się pomiędzy oficerem a Guanjim, po dwóch po każdej stronie. Pojedynek wymagał dobrego oświetlenia.

Guanji mocno ścisnął swój miecz. Proste ostrze zalśniło w blasku pochodni. Czuł w dłoni jego ciężar; sprawdził swoją równowagę i wbił wzrok w tajpinga z blizną. Trzeba było zwracać uwagę na dwie rzeczy: na czubek broni przeciwnika i na jego stopy.

Naraz przypomniały mu się słowa Mongoła: „Wiesz, na czym polega twój problem? Nigdy nie stanąłeś oko w oko ze śmiercią. Znaleźć się naprzeciwko drugiego człowieka i spojrzeć mu w twarz z myślą, że tylko jeden przeżyje – oto prawdziwa chwila prawdy".

A więc w końcu nadeszła jego chwila prawdy.

Guanji nie czuł strachu, zbyt pochłaniało go zadanie, które miał do wykonania. Nie był złym szermierzem. Ugiął lekko kolana i raz jeszcze sprawdził swoją równowagę. Czubek miecza trzymał nieruchomo, skierowany ku górze i wycelowany w gardło przeciwnika. Ręka mogła się poruszyć, czubek miecza – nie.

Oficer tajpingów pierwszy wykonał ruch. Nie przypominało to niczego, co dotąd widział Guanji. Tajping zdawał się kołysać z boku na bok, jakby przeistaczał się w zwierzę, na przykład w kota – pod warunkiem, że był to dziki kot – albo w coś innego, znacznie groźniejszego, jakieś mityczne, nieznane Guanjiemu stworzenie. Na przykład pół kota, pół węża.

Tajping rytmicznie przekładał długi nóż z ręki do ręki, kołysząc się z boku na bok, zupełnie jakby chciał zahipnotyzować przeciwnika. Miecz Guanjiego był dłuższy od noża tajpinga, co powinno dać mu przewagę, lecz gdy tamten, kołysząc się na ugiętych nogach, ruszył na niego, Guanji zrozumiał, że wcale tak nie jest. Nie miał przed sobą zwykłego żołnierza, tylko pirata, ulicznika i bandytę, który w swoim życiu zabił wielu ludzi.

Guanji uświadomił sobie w tym momencie, że zaraz umrze. Uniósł miecz, cofając się o krok.

Czyżby przez twarz tajpinga przemknął uśmiech? Być może, ale już się nie uśmiechał. Wiedział, że zaraz zabije człowieka jednym szybkim i czystym pchnięciem.

Guanji zrobił jeszcze jeden krok do tyłu. Ludzie z pochodniami nie poruszyli się. Tajping był teraz dobrze oświetlony, podczas gdy Guanji niemal całkowicie znalazł się w cieniu, lecz to nie miało żadnego znaczenia. Zauważył, że nogi tajpinga lekko drgają. Był gotów do natarcia. Guanji napiął wszystkie mięśnie i mocniej chwycił miecz.

Kobieta wychynęła z cienia tak nagle, że nikt jej nie zauważył. Wpadła na jednego z tajpingów, który stał najbliżej oficera, wyrwała mu pochodnię

i cisnęła nią w twarz człowieka z blizną na policzku.

Nie musiała tego nawet robić; samym swoim pojawieniem się odwróciła uwagę oficera – nie na długo, na ułamek sekundy, ale Guanjiemu to wystarczyło.

Instynktownie skoczył naprzód i wbił miecz w pierś tajpinga. Pod mężczyzną ugięły się kolana. Guanji z całej siły ciął mieczem w dół, aby jak najbardziej powiększyć ranę, po czym go wyszarpnął.

Usłyszał krzyk kobiety:

– Biegnij! Szybko! Tędy! – Poczuł, że chwyciła go za ramię.

Zaskoczenie tajpingów trzymających pochodnie i pozostałego pół tuzina żołnierzy było tak wielkie, że zanim oprzytomnieli, Guanji i kobieta zniknęli w mroku.

Na skraju placu Mandżurka wepchnęła go w zaułek i ponownie rozkazała: – Biegnij! – rzucając pochodnią w ścigających ich żołnierzy.

Nie widział, dokąd zmierza, lecz ona była tuż za nim. Potknął się, poczuł pod pachą jej silne ramię i szybko się wyprostował. Za nimi rozbrzmiewały krzyki. Pościg nie ustawał.

– Do końca, w lewo, a potem w prawo – poleciła mu. – Biegnij dalej, ja cię dogonię.

U wylotu uliczki Guanji skręcił, jak mu kazała, po czym zdał sobie sprawę, że jest sam. Gdy po dziesięciu jardach skręcił w prawo, usłyszał za sobą krzyk. Kobiecy krzyk. I znowu. Zatrzymał się; czy powinien zawrócić? Powinien jej przecież pomóc, ale zarazem musiał biec dalej i złożyć meldunek. Ten krzyk brzmiał tak rozdzierająco, że jego przewodniczka równie dobrze mogła już nie żyć. Pobiegł zatem dalej, słysząc za sobą odgłos szybkich kroków; musiał go ścigać cały oddział tajpingów. Przed sobą widział już wylot zaułka i słabo oświetloną ulicę. Dopadł do niej – była pusta, jeśli nie liczyć latarni kołyszącej się na jednym z domów. Odskoczył na bok i ścisnął miecz, żeby zabić prześladowcę, gdy tylko ten wyłoni się z zaułka.

Był gotów do natarcia, gdy ujrzał przed sobą Mandżurkę.

– Chodź – rzuciła, skręcając w ulicę. – Garnizon jest tam.

– Myślałem, że nie żyjesz – sapnął. – Dwukrotnie słyszałem twój krzyk.

– To dlatego, że było ich dwóch. – Zerknęła na niego z ponurym uśmiechem. – Zawsze krzyczę, kiedy zabijam.

– Dziękuję – powiedział.

Generał brygady był bardzo zadowolony z nich obojga, gdyż Guanji opowiedział mu ze szczegółami o wszystkim, co się wydarzyło, łącznie z tym, jak kobieta uratowała mu życie.

Mongoł podarował jej w nagrodę woreczek srebra.

– Nie musicie mi płacić – odparła.

– Masz dzieci?

– Tak.

– Więc weź te pieniądze – rzekł Mongoł.

– Mieliście całkowitą rację – stwierdził Guanji, gdy kobieta odeszła. – Jeszcze dziś wieczorem możemy zająć obozowisko tajpingów i rozbić tych koczujących w yamenie.

– I tak, i nie – odrzekł Mongoł. – Gdy was nie było, rozmawiałem z radą wojskową. W nocy nie zaryzykują natarcia, ale możemy zaatakować rano.

– Do tego czasu po tajpingach może już nie być śladu, panie – zaprotestował Guanji.

– Możliwe.

– W takim razie na próżno wyprawiłem się do miasta.

– Nie mów tak. Przeżyłeś swoją chwilę prawdy. – Dowódca się uśmiechnął. – I być może zabiłeś starszego rangą oficera tajpingów.

– Tylko dzięki tej kobiecie – przypomniał mu Guanji.

– Jeśli chcesz zostać generałem – powiedział Czyngis – powinieneś nauczyć się jednej rzeczy: nigdy nie należy tracić okazji do przypisania sobie zwycięstwa. Nic innego ludzi nie interesuje.

– Będę o tym pamiętał, panie, choć wątpię, abym kiedykolwiek został generałem.

– Dlaczego nie? Udowodniłeś, że masz tę jedną cechę niezbędną generałowi.

– Doprawdy, panie? Jaką?

Mongoł uśmiechnął się i wysypał na grzbiet dłoni odrobinę tabaki.

– Szczęście.

* * *

W sierpniu tego samego roku generał Li wraz z armią tajpingów pewny sukcesu dotarł do Szanghaju.

W ciągu ostatniego półrocza wszystkie chytre plany generała Li przyniosły spodziewane efekty: pozorowany atak na Hangzhou całkowicie zmylił wojska cesarza. Liczny oddział Wielkiego Batalionu Południowego, który ruszył na odsiecz miastu, pozostawił armię oblegającą Nankin poważnie osłabioną. Wycofujący się z Hangzhou i maszerujący nocą tajpingowie wzięli cesarską armię z zaskoczenia i całkiem ją rozbili.

W dodatku – czego generał Li już nie przewidział – oddziały Wielkiego Batalionu Południowego, odkrywszy swój błąd, nie pospieszyły wcale z powrotem do Nankinu, żeby próbować uratować sytuację. Kiedy się okazało, że nawet tylne straże tajpingów niepostrzeżenie wycofały się w nocy, cesarscy żołnierze wkroczyli do Hangzhou i splądrowali miasto. Gwałcili, zabijali i grabili swoich pobratymców – zarówno Hanów, jak i Mandżurów – co nie przysporzyło cesarzowi popularności wśród ludu.

Hangzhou bez dwóch zdań było triumfem generała Li. Tylko jeden fakt mącił jego radość: to, że stracił tam swojego najlepszego dowódcę, Nio.

No, nie do końca go stracił: Nio został ciężko ranny, gdy chciał pojmać szpiega, lecz jego ludzie nigdy nie zostawiliby go na pastwę losu. Zabrali Nio i wynieśli z miasta jeszcze tej samej nocy, a potem dźwigali rannego przez całą drogę do Nankinu.

Rana, którą odniósł, była bardzo głęboka; powinien był umrzeć, ale twardy był z niego wojownik.

Jego dowódca, generał Li, za punkt honoru postawił sobie zatem przywrócenie go do życia.

Przez wiele tygodni Nio leżał w Niebiańskim Królestwie, gdzie opiekowali się nim najlepsi lekarze w mieście. Rana powoli się goiła i szczęśliwie nie doszło do zakażenia. Nio był jednak bardzo słaby; nie mógł chodzić i chyba nawet nie chciał mówić. Po prostu leżał na posłaniu blady jak duch.

Generał Li za nic nie chciał się z tym pogodzić. Skoro Nio stracił wolę życia, on zamierzał mu ją przywrócić.

– Wiesz – odezwał się, siadając pewnego dnia przy posłaniu Nio – wszystko idzie po naszej myśli. Lord Elgin przybył do Hongkongu i z pewnością otrzymał wiadomość, którą mu zostawiłeś. Jest teraz w drodze do Pekinu na czele osiemnastu tysięcy ludzi. Nawet jeśli nie jest jeszcze gotowy sprzymierzyć się z nami, to upokorzy cesarza, a właśnie tego potrzebujemy. Ja tymczasem uderzę na Szanghaj i zrobię dokładnie to, co zaplanowaliśmy. Tamtejszy garnizon nie jest zbyt duży, barbarzyńcy nie będą się angażować w jego obronę. Zdobędziemy port, kupimy żelazne

statki i to gnijące od środka, stare cesarstwo wreszcie przestanie istnieć. Chciałbyś tego doczekać?

Przez swoje okulary bacznie wpatrywał się w oblicze Nio. Wydawało mu się, że dostrzegł blady uśmiech na wargach chorego.

– Mam pomysł! – zawołał. – Zabiorę cię ze sobą do Szanghaju. Zobaczysz, jak go zdobywamy, to doda ci sił. Razem wkroczymy do miasta.

I tak też się stało: w słoneczny sierpniowy dzień Nio, niesiony na noszach, wraz z całą armią tajpingów generała Li dotarł pod mury Szanghaju.

– Posadźcie go na krześle – polecił generał Li. – Niech sobie popatrzy. – Dzień nie był zbyt upalny. – Trochę słońca dobrze mu zrobi. – Postawił przy nim ordynansa. – Załóż mu kapelusz, jeśli słońce będzie zbyt mocno prażyło.

– Tak jest!

Generał Li podjął wszelkie środki ostrożności: chociaż nie wątpił, że jego propozycja już przed kilkoma miesiącami dotarła do cudzoziemskich posłów za pośrednictwem władz brytyjskich w Hongkongu, zlecił wydrukowanie nowych instrukcji w języku chińskim i angielskim i zadbał, aby dostarczono je do bram cudzoziemskich kwartałów jeszcze tej samej nocy, aby mieszkańcy wiedzieli, że muszą tylko wywiesić żółte flagi na swoich budynkach, a nic złego im się nie stanie. Na razie nie zamierzał tam wkraczać; zależało mu tylko na starym chińskim forcie.

Miał go teraz przed sobą: skromne umocnienia na samym brzegu.

Czy chińskie wojska w ogóle miały zamiar walczyć? Nie powinny tego robić, jeśli ich dowódcy mieli choć trochę rozumu.

Tak więc z powiewającymi na wietrze czerwono-żółtymi chorągwiami, przy dźwiękach gongów i bębnów, oddziały tajpingów pomaszerowały w kierunku bramy starego chińskiego fortu, mając po jednej stronie mur brytyjskiej dzielnicy, liczący zaledwie osiem albo dziesięć stóp wysokości.

Obrońcy starego fortu ustawili przed bramą armatę, chińska artyleria nie budziła jednak większych obaw wśród doświadczonych w bojach tajpingów. Liczyli, że po symbolicznej salwie na postrach załoga fortu skapituluje.

Generał Li ruszył naprzód ze swoimi ludźmi. Raz tylko obejrzał się za siebie, na siedzącego na krześle Nio: gdy tylko chory zobaczy, że Szanghaj

został zdobyty przez tajpingów, że cudzoziemscy kupcy mogą żyć bezpiecznie pod rządami swoich chrześcijańskich współwyznawców, a przede wszystkim że żelazne statki, które miały rozbić siły mandżurskie i obalić cesarza, cumują przy szanghajskim nabrzeżu, wtedy z pewnością powróci do krainy żywych.

Myśl ta bardzo ucieszyła generała Li. W tym samym momencie rozpoczął się ostrzał. Najpierw padła salwa z armaty przy bramie. Śmiercionośny kartacz poczynił wielkie krwawe wyrwy w szeregach trzepoczących żółtych chorągwi.

Generał Li zmarszczył brwi. To nie przypominało ostrzału z chińskiej armaty.

Druga salwa przetrzebiła kolumnę tajpingów.

Li był już pewien, że ostrzeliwują ich brytyjskie działa i brytyjscy artylerzyści. Co oni tam robili, do diaska?

Zanim zdążył pomyśleć, na murze brytyjskiej dzielnicy pojawiły się szeregi ludzi uzbrojonych w nowoczesne cudzoziemskie karabiny, które z flanki zasypały tajpingów gradem pocisków. Teraz strzelano do nich także z murów chińskiej twierdzy – głównie z karabinów skałkowych, ale ilekroć trafiały do celu, wyrządzały straszliwe szkody.

Kompletnie zaskoczone wojsko tajpingów zatrzymało się. Otrzymali wcześniej ścisłe instrukcje, aby okazywać szacunek Brytyjczykom, którzy wszak byli po ich stronie. Nawet przebiegły generał Li stał jak wryty i z przerażeniem patrzył na to, co się dzieje.

– Wycofać się! – krzyknął wreszcie; stanowili zbyt łatwy cel. Niewielu wojowników usłyszało rozkaz, a ci, którzy go usłyszeli, wciąż się wahali. Tymczasem z armaty padła kolejna salwa kartaczy. Brytyjczycy ostrzeliwali ich z murów, strzały dochodziły również z innych dzielnic.

Oddziały tajpingów, zdając sobie sprawę, że znalazły się w straszliwej pułapce, rozpoczęły odwrót. Generał Li wycofywał się razem z nimi.

Dlaczego Brytyjczycy zwrócili się przeciwko nim? To nie miało żadnego sensu! Przecież oni także walczyli z cesarzem. Czy coś im się nie spodobało w wizji chrześcijaństwa tajpingów? Na ile generał Li się orientował, nie było w niej nic złego. A może miało to związek z opium? Czyżby Brytyjczycy zawarli jakiś układ z cesarzem?

Nie miał pojęcia. Wiedział tylko, że musi przegrupować ludzi i odwołać atak. To było teraz najważniejsze. Musiał ratować swoich ludzi.

Przez kolejne pół godziny nie miał czasu zajmować się niczym innym.

Ani Brytyjczycy, ani Chińczycy nie wystawiali nosa zza murów, a to już było coś. Generał Li mógł wycofać swoich ludzi na bezpieczną odległość.

Ale chociaż nie wiedział, co i dlaczego się wydarzyło, jedno było pewne: zasady gry właśnie uległy zmianie, a wszystkie jego nadzieje i plany legły w gruzach, podobnie jak nadzieje i plany Niebiańskiego Króla.

Oraz Nio, oczywiście.

Nio! Czy nadal tam siedział na swoim krześle, całkiem sam? Czy minęli go, wycofując się w popłochu?

Tak było.

Dobrze, że przynajmniej żaden Brytyjczyk nie próbował do niego strzelać z murów.

Ale kiedy generał Li wrócił po Nio, przekonał się, że jego najlepszy dowódca jest już bardzo daleko, w całkiem innym miejscu, a na jego martwym obliczu maluje się niewysłowiony smutek.

PAŁAC LETNI

Możecie sobie wyobrazić, jak się poczułem: pan Liu był głównym eunuchem odpowiedzialnym za zarządzanie pałacem, miał wielką władzę, podczas gdy ja nie miałem żadnej. W dodatku zamierzał mnie zniszczyć.

I nie tracił czasu.

Nazajutrz rano, kiedy stawiłem się w kwaterze eunuchów gotowy do pracy i podszedłem do swojego opiekuna, ten oznajmił:

– Przykro mi, ale nie jestem już twoim mentorem. Masz się zgłosić do pralni obok.

Pralnia okazała się dużym prostokątnym pomieszczeniem z kadziami, w których z łatwością można było się utopić. Pod jedną ścianą znajdowały się magle i stojaki, na których wieszano ubrania do wyschnięcia. Oprócz słabego zapachu żywicy sosnowej z drewnianych tar unosiła się tam ostra woń ługowego mydła do prania. Zarządzający pralnią eunuch był wysokim mężczyzną o wyglądzie kogoś, z kogo już dawno wyciśnięto wszelkie soki życiowe. Pamiętam, że rozejrzałem się dookoła i pomyślałem: „Ależ to nudne zajęcie!”.

Niepotrzebnie się martwiłem, kierujący pralnią powiedział bowiem:

– Rozkazy zostały zmienione – i wskazał mi stojącego przy drzwiach starego, wyschniętego na wiór eunucha w niebieskim bawełnianym kombinezonie, dodam, że niezbyt czystym. – Masz iść z nim – polecił.

– Możesz mi mówić Śmierdziel – rzekł ów starzec. – Większość ludzi mnie tak nazywa. – Przyjrzał mi się z zaciekawieniem. – Co takiego przeskrobałeś?

– A czy to ważne? – spytałem.

– Nie – odparł. – Ale zwykle ci, którzy zasłużyli na karę, trafiają do mnie do pracy na miesiąc. Tymczasem właśnie mi powiedziano, że zostaniesz ze mną do końca swojego życia, zastanawiałem się więc, co takiego zrobiłeś.

– W takim razie będziemy mieli mnóstwo czasu na rozmowy – stwierdziłem. – Dokąd idziemy?

– Na górę, do kuchni – wyjaśnił.

Kwatery eunuchów stłoczono w narożniku południowego muru, tuż poniżej bocznej furty, kuchnie zaś znajdowały się w północno-zachodnim narożniku. Aby do nich dotrzeć, musieliśmy przejść przez całe Zakazane Miasto.

Droga wiodła długimi alejami, obok murów odgradzających różne miejsca: Ogród Dobroczynnego Spokoju, Pałac Długowieczności i Zdrowia, Pawilon Deszczu i Kwiatów.

Były tam też ogrody i uliczki, do których mogliśmy swobodnie zaglądać. W pewnym momencie minęliśmy wąski i dość ciemny zaułek.

– Co tam się znajduje? – zapytałem.

– Duch – odrzekł Śmierdziel. – Zjawa kobiety nawiedza to miejsce od trzystu lat i potrafi być naprawdę okrutna. Ludzie unikają tego miejsca.

– Och. W takim razie nie będę tam wchodził.

Kuchnie zajmowały długi szereg budynków w obrębie północnego muru. Pobliskie przejścia prowadziły na dziedzińce kwater cesarskich.

– Witaj w swoim nowym domu – powiedział Śmierdziel.

– Będziemy się zajmować gotowaniem?

– Nie. Odpadkami.

Instalacje wodno-kanalizacyjne Zakazanego Miasta były doprawdy imponujące. Wodę pitną doprowadzano rurami i kanałami aż z Jadeitowego Źródła na Zachodnich Wzgórzach, była bardzo zdrowa i słodkawa w smaku.

System kanalizacyjny sięgał wielu wieków wstecz, aż do początków dynastii Ming. Nieczystości odprowadzano do podziemnych tuneli, skąd wymywał je strumień.

Każdego ranka młodsi eunuchowie zbierali nocniki i opróżniali je do głębokich rynsztoków, co właściwie załatwiało sprawę.

Jednak z odpadkami stałymi z kuchni rzecz miała się nieco inaczej. Musiały być wywożone przez furmanki, którym wolno było dojechać do zachodniej bramy Zakazanego Miasta, ale nie dalej. Eunuchowie musieli zatem dowozić tam odpadki kuchenne ręcznymi wózkami i zwykle odbywało się to co drugi dzień.

Zadaniem Śmierdziela było odbieranie resztek, kości, wnętrzności, torsów, pomyj, krwi, brudów i innych odpadków od pracowników kuchni, wkładanie ich do beczek, przewożenie tychże do bramy i utrzymywanie kuchni w czystości. Mniej więcej co dziesięć dni musiał też czyścić wszystkie beczki – stąd wzięło się jego przezwisko.

Najgorsze, co mogłem usłyszeć tego pierwszego dnia, to słowa Śmierdziela, który oznajmił mi:

– Tak się składa, że dzisiaj wypada dzień czyszczenia beczek. Zawsze rozbieramy się wtedy do naga. – Nie miałem na to najmniejszej ochoty; wciąż wstydziłem się, że jestem eunuchem. Niektórym może się wydawać, że kastracja upodabnia mężczyznę do kobiety, ale to nieprawda. Bez względu na to, jak dobrze został przeprowadzony zabieg, to nigdy nie jest ładny widok.

– Dlaczego? – jęknąłem.

– Bo jak skończymy, pralnia nie zdoła usunąć tego smrodu z naszej odzieży roboczej. Zresztą gdyby to nawet było możliwe, i tak nie chcieliby się tym zajmować.

Muszę przyznać, że trudno było się temu dziwić: szorowanie i mycie beczek oraz usuwanie wstrętnego zapachu z drewna trwało całymi godzinami. Kiedy skończyliśmy, wyczyściliśmy jeszcze ręczne wózki, a potem wyszorowaliśmy się szczotkami z mydłem do prania, zwracając – co zrozumiałe – szczególną uwagę na nasze warkocze. Następnie włożyliśmy czyste kombinezony, które dostaliśmy rano, ustawiliśmy czyste beczki w magazynie, zapaliliśmy kadzidełka, żeby w nocy się odkaziły, i zamknęliśmy drzwi. Brudną odzież, którą mieliśmy na sobie w ciągu dnia, oddaliśmy do pralni, a potem ruszyliśmy każdy w swoją stronę.

Kiedy wróciłem do domu, z kuchni unosił się smakowity zapach. Ktoś odwdzięczył się mojemu ojcu za bieganie na posyłki i dał mu kaczkę do upieczenia. Róża przez całe popołudnie przygotowywała skromną ucztę: kaczkę po pekińsku, makaron, smażone warzywa i pierożki.

Pobawiłem się z dziećmi, a kiedy poszły spać, wspólnie z ojcem zasiedliśmy do posiłku.

– Aż miło patrzeć, jak kochasz swojego najmłodszego synka – zauważył cicho ojciec.

– To prawda – przyznałem.

– Pewnego dnia podziękuje ci za uratowanie mu życia – ciągnął. – Zrozumie, ile musiałeś dla niego poświęcić.

– Mam taką nadzieję – odparłem. Pomyślałem jednak, że biorąc pod uwagę obecny stan rzeczy, mój syn może nie mieć za co mi dziękować. Wszystko wskazywało na to, że na próżno się poświęciłem.

Poprzedniego wieczoru nie zwierzyłem się bliskim ze swoich kłopotów i tym bardziej nie zamierzałem mówić im o nich teraz. Modliłem się tylko o to, aby ten koszmar, w którym tkwiłem, wreszcie się skończył.

– Co dobrego cię dzisiaj spotkało? – chciał wiedzieć ojciec. – Nawiązałeś jakieś nowe przyjaźnie?

– Owszem – przyznałem. – Poznałem starego sługę pałacowego. Opowiedział mi różne ciekawostki o pałacu, sięgające czasów dynastii Ming.

– To dobrze – ucieszył się ojciec. – Zawsze trzeba słuchać starszych ludzi. Mają ogromną wiedzę. A co dzisiaj robiłeś?

– No cóż – odparłem – pracowaliśmy w cesarskiej kuchni.

– Widziałeś cesarza?

– Skądże! – Roześmiałem się. Pokiwał głową, jakby zrozumiał, ale wyglądał na zawiedzionego. – Tylko nie przechwalaj się tym przed sąsiadami – poprosiłem go. – Nie chcemy, żeby ktokolwiek wiedział, czym się zajmuję.

– Oczywiście – zgodził się ze mną.

Po posiłku wszyscy udaliśmy się na spoczynek. Moi rodzice i nasze dzieci spali na kangu w głównym pomieszczeniu, podczas gdy Róża i ja mieliśmy dla siebie boczną izdebkę, zapewniającą nam odrobinę prywatności. Leżąc obok żony, poczułem przypływ wdzięczności i czułości. Pożałowałem, że nie mogę zrobić dla niej niczego więcej, i zacząłem ją pieścić. Raz i drugi jęknęła cicho z rozkoszy, po czym nagle znieruchomiała i usiadła na posłaniu.

– Co się stało? – zapytałem.

– Czuję jakiś dziwny zapach – powiedziała i zmarszczyła nos. – Fuj – wzdrygnęła się – to twoje ręce. Śmierdzą odpadkami.

– W pałacu zdarzył się pewien wypadek – powiedziałem jej. – Musieliśmy posprzątać.

– Och. – Odwróciła się do mnie plecami, co nie było zbyt miłe, ale nie mogłem jej winić, wiedząc, że bije ode mnie woń beczek. Leżałem więc zawstydzony i zastanawiałem się, jak temu zapobiec na przyszłość.

Kiedy następnym razem czyściliśmy beczki, wyszorowałem palce i paznokcie tak dokładnie, aż prawie krwawiły, i tego wieczoru Róża o niczym nie wspomniała.

Wkrótce palce miałem tak zdarte, że musiałem je bandażować. Później zacząłem nosić skórzane rękawiczki. Okropnie śmierdziały, ale trochę pomagały.

Przy najbliższej wypłacie otrzymałem oczywiście najniższą możliwą stawkę, a gdy przyniosłem pieniądze do domu, ojciec wziął mnie na bok i zapytał:

– Czy to naprawdę wszystko, co zarobiłeś? – na co odparłem:

– Z czasem będzie lepiej. Musimy tylko uzbroić się w cierpliwość. – Prawda była jednak taka, że nie miałem pojęcia, jak zarobić więcej.

Odkąd przydzielono mnie do pracy ze Starym Śmierdzielem, nie widywałem już pana Chena. Rozumiałem dlaczego – został upokorzony i nic nie mógł na to poradzić, a ja stałem się dla niego powodem do wstydu. Jak sądzę, marzył, aby wszyscy zapomnieli, że miał ze mną cokolwiek wspólnego.

W desperacji postanowiłem jednak się z nim spotkać. W końcu wiedział o pałacu wszystko, co należało wiedzieć: może wspólnie wymyślimy sposób, aby wydobyć mnie z bagna, w które wpadłem. Pewnego wieczoru poszedłem więc do niego i zapukałem do wysokich drzwi od ulicy, a gdy w progu stanął służący, podałem mu swoje imię. Po chwili wrócił i oświadczył, że jego pana nie ma w domu, po czym zamknął mi drzwi przed nosem.

Nie byłem tym zaskoczony, ale też nie zamierzałem się poddawać. Nazajutrz udało mi się wcześnie rano wyjść i zaczekałem na niego na rogu ulicy. Po pewnym czasie zobaczyłem, że nadchodzi.

Możecie mi wierzyć, że nie ucieszył go mój widok, ale szedłem za nim jak cień. Najwyraźniej obawiał się, że zrobię mu scenę, bo pospiesznie wepchnął mnie do swojego domu, bylebyśmy tylko zeszli ludziom z oczu.

– Nic nie mogę dla ciebie zrobić – rzekł. – Gdybym wiedział, że pan Liu tak bardzo mnie nienawidzi, nigdy bym ci nie pomógł. Ale nie wiedziałem.

– Ma pan coś na niego? – zapytałem. – Coś, czym mógłbym go szantażować?

– Nie. Bierze łapówki, rzecz jasna, ale… – Rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: „Ale kto tego nie robi?”.

– Szkoda – stwierdziłem.

– Jesteś mi winien dużo pieniędzy – rzucił nagle.

– Których nie mam z czego oddać – odrzekłem. Powiedział tak tylko po to, żeby się mnie pozbyć, więc wyszedłem.

Po jakimś czasie zacząłem rozmyślać o samobójstwie. Czy naprawdę miałem spędzić resztę swojego życia w towarzystwie starego człowieka i dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku babrać się z nim w odpadkach, by na koniec samemu zmienić się w Starego Śmierdziela? Nie było możliwości, abym kiedykolwiek spłacił dług, jaki miałem u pana Chena, albo odkupił swoje członki. Groziło mi, że spocznę jako niepełny mężczyzna na cmentarzu dla ubogich eunuchów.

Tymczasem jak miałem utrzymać rodzinę z nędznej pensji, którą otrzymywałem? Czy moi synkowie przeżyją, jeśli zabraknie im ojca?

Wszystko, co zrobiłem, poszło na marne. Prędzej czy później rodzina odkryje prawdę o moim zajęciu w pałacu. Nie wiedziałem, czy zdołam udźwignąć ten wstyd; prawdę mówiąc, wolałbym już chyba umrzeć i powrócić w następnym wcieleniu jako zwykły robak.

Miałem do wyboru: wstydzić się przez całe życie, a mimo to nie mieć nawet cienia szansy na poprawę losu swoich synów, albo umrzeć i uwolnić się od wszystkich obowiązków, jakie na mnie ciążyły.

Główny eunuch Liu lubił bez ostrzeżenia przeprowadzać inspekcję w kuchni. Pewnego ranka przyszedłem po swój roboczy kombinezon, a on już tam był, taki jak go zapamiętałem: zaglądał do gotujących się garnków w tych swoich szatach z wizerunkiem pawia. Oczywiście wszyscy byli przerażeni. Ja także na krótką chwilę poczułem strach, a potem przyszło mi coś do głowy.

Pomyślałem, że zagląda do kuchni również po to, żeby mnie zobaczyć, upewnić się, że cierpię i że naprawdę upokorzył pana Chena.

Jedno było pewne: nie zamierzałem przepuścić tej okazji do konfrontacji z nim.

Podszedłem więc, ukłoniłem mu się nisko i powiedziałem:

– Panie Liu, czy pański uniżony sługa może z panem chwilę porozmawiać po skończonej inspekcji?

Chyba miałem rację, bo przez chwilę wpatrywał się we mnie wzrokiem pozbawionym wszelkiego wyrazu, a potem rzekł:

– Powiedz Staremu Śmierdzielowi, żeby zaczął bez ciebie.

Zaprowadził mnie do małego biura i usiadł za stołem, każąc mi stać przed sobą. Przyglądał mi się spokojnie i czekał, aż się odezwę.

– Pan Chen czuje się bardzo upokorzony – zacząłem.

– Tak słyszałem – odpowiedział.

– To straszne, co mi pan zrobił, panie Liu. Moja rodzina nie wie jeszcze, czym się zajmuję, ale się dowie. Nie mogę pozbyć się tego smrodu ze swoich dłoni. Dostaję tak nędzne wynagrodzenie, że… nie jestem w stanie ich utrzymać. Czy okaże mi pan kiedyś litość?

– Nie, bo wyszedłbym na słabeusza.

– Czy zatem wasz głupi sługa może prosić o radę?

Wyglądał na lekko zaskoczonego.

– Mnie? O radę?

– Tak, panie Liu. Czy powinienem się zabić?

– Mówisz poważnie? – zapytał.

– Wasz pokorny sługa mówi zupełnie poważnie – przytaknąłem.

– Jak zamierzasz to zrobić? – Wydawał się naprawdę zaciekawiony.

– Kiedy ostatni cesarz z dynastii Ming stracił swoje królestwo, które przeszło we władanie mandżurskich najeźdźców, udał się na wzgórze i powiesił się ze wstydu – odparłem. – Skoro taka śmierć była dobra dla niego, musi być wystarczająco dobra i dla mnie. Uznałem jednak, że najpierw powinienem pana zapytać.

– Po co?

– Może pan sobie tego nie życzyć.

– Czyżby? – Spojrzał na mnie. – A to dlaczego?

– No cóż – odpowiedziałem – wszyscy wiedzą, że moje obecne cierpienia mają pogłębić upokorzenie pana Chena. Jeśli więc doprowadzą mnie do samobójstwa, ludzie mogą zacząć mówić o panu różne złe rzeczy.

Po chwili zastanowienia skinął głową.

– Jesteś całkiem bystry – stwierdził. – Ale mylisz się. Ludzie nie cenią życia tak bardzo, jak ci się wydaje. Słyszałeś historię tej dwórki, która wysypała gorący popiół na cesarzową i została stracona? W przeciwieństwie do ciebie pochodziła ze szlacheckiej rodziny, a mimo to nikt się za nią nie ujął. Niech ci się zatem nie zdaje, że twoja śmierć kimkolwiek wstrząśnie. Nikogo to nie obejdzie. – Zadumał się. – Przeoczyłeś coś jeszcze. W tym pałacu są dziesiątki osób, którym przez lata pomagałem, które awansowałem i które zawdzięczają mi swoje życie oraz majątek. Jeżeli doprowadzę cię do śmierci, oprócz wdzięczności zacznę także budzić w nich strach, który, jak wiesz, bywa całkiem użyteczny.

– Rozumiem, co pan ma na myśli, panie Liu – odrzekłem ponuro.

– W zasadzie – ciągnął ze spokojem – nie miałbym nic przeciwko temu, żebyś się zabił.

Nie sposób było nie podziwiać logiki jego wywodu.

– W takim razie wiem już wszystko – rzuciłem.

– Miałeś pecha, że zaprzyjaźniłeś się z panem Chenem.

– Nie wierzę już w przyjaźń! – wykrzyknąłem. – Myślę, że nic podobnego nie istnieje.

– Mylisz się – poprawił mnie – istnieje. Chociaż przyznaję, że to rzadka rzecz. – Odniosłem wrażenie, że nad czymś się zastanawia. – Wiesz – powiedział – mógłbyś spróbować innej argumentacji.

– Czy wasz uniżony sługa może zapytać jakiej?

– Na razie wolałbym, abyś żył. Dopóki przebywasz ze Starym Śmierdzielem, stanowisz ciągłe źródło upokorzeń dla pana Chena. Kiedy umrzesz, ludzie szybko o wszystkim zapomną. Chociaż pan Chen z pewnością nie będzie już próbował sprowadzać do pałacu innych podobnych do siebie oszukańców – co zresztą było moim celem – chciałbym podręczyć go jeszcze przez kilka lat. – Pokiwał głową. – Złożę ci więc następującą propozycję. Otrzymasz ode mnie prezent, który pozwoli ci przez rok utrzymywać rodzinę. Pozostanie to wyłącznie między nami – pod żadnym pozorem nie wolno ci nikomu o tym powiedzieć. Przede wszystkim zaś nie wolno ci oddać panu Chenowi ani jednego miedziaka z pieniędzy, które mu jesteś winien. Jeśli o coś poprosi, odpowiesz, że nie masz pieniędzy. Zgadzasz się na taki układ?

– Czy muszę dalej pracować ze Starym Śmierdzielem? – W tej sytuacji całkiem zapomniałem o grzecznościowych formułkach.

– Owszem.

Musiałem myśleć o rodzinie.

– Zgadzam się, czcigodny panie – powiedziałem.

– Możliwe, że za rok, jeśli dalej będę chciał upokarzać pana Chena, a ty nie zrobisz nic, co by mnie rozgniewało, dostaniesz kolejny prezent. – Popatrzył na mnie. – I co ty na to?

– Wasz sługa jest wam bardzo wdzięczny, panie Liu.

– Dziś wieczorem, kiedy będziesz wracał do domu, spotkamy się na ulicy, a ja wsunę ci pieniądze do ręki.

I tak też się stało. Dostałem od niego woreczek srebra, o wiele więcej, niż się spodziewałem. Dla niego oczywiście było to tyle co nic, dla mojej rodziny – więcej niż potrzeba, aby wyżywić się przez rok.

– Nie wspominaj swoim bliskim o tych pieniądzach – przestrzegł mnie – bo zaraz wszystko wydadzą. Trzymaj je w ukryciu i wydzielaj im po trochu.

Miał rację, rzecz jasna. Ledwo wyciągnąłem tego wieczoru srebrną monetę i oznajmiłem, że to dodatek za wierną służbę w pałacu, twarz ojca cała się rozjaśniła.

– Dobrze się spisałeś, mój synu! – zawołał. – Jak tak dalej pójdzie, nie będę już musiał wcale pracować. – I chociaż się śmiał, widziałem, że mówi poważnie. Wiem z doświadczenia, że gdy tylko komuś zaświta w głowie, że nie musi pracować, później zawsze już o tym myśli.

– Nie przestawajcie pracować, ojcze – powiedziałem – bo to może być ostatnia taka wypłata.

Pozostawał jeszcze jeden problem: gdzie ukryć pieniądze?

Nadal miałem szkatułkę, w której trzymałem swoje pędzle do laki i inne narzędzia, w niej więc schowałem na noc srebro. Nie warto było go jednak tam zostawiać: prędzej czy później ktoś na pewno otworzyłby szkatułkę i znalazł pieniądze. Rano wpadłem na pewien pomysł.

Tego dnia po pracy, zamiast od razu pospieszyć do domu, przeszedłem powoli obok zaułka, o którym Stary Śmierdziel mówił, że jest nawiedzony. Wyglądał na opustoszały, nikt też nie zauważył, gdy w niego skręciłem. Przejście kończyło się małym podwórkiem. W odległości kilku stóp po lewej stronie znajdowała się furtka, a za nią ogród. Było tam bardzo cicho,

a mech porastający bruk dowodził, że nikt tam nie zaglądał. Ostrożnie pchnąłem furtkę i stwierdziłem, że jest zamknięta.

Rozejrzałem się. Mury zaułka były zwieńczone małymi dachówkami, okazały się jednak zbyt wysokie, abym mógł dosięgnąć szczytu. Bruk pod moimi stopami wydawał się bardziej obiecujący i rzeczywiście, w odległości kilku stóp od furtki, pod samym murem, dostrzegłem kamień, który sprawiał wrażenie obluzowanego. Miałem ze sobą krótki nóż i w ciągu kilku minut udało mi się go podważyć. Pod spodem była tylko ubita ziemia. Wydłubałem pośrodku nieduże zagłębienie, akurat żeby zmieściły się w nim srebrne monety, pozostawiając wokół prostokąt twardej ziemi, po czym umieściłem kamień na dawnym miejscu. Nikt by się nie domyślił, że pod spodem znajduje się skrytka.

Przez cały ten czas duch w ogóle mnie nie niepokoił.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, ponownie odwiedziłem to miejsce. Z łatwością podniosłem kamień i schowałem srebro w zagłębieniu. Idealnie się zmieściło. Dla pewności zrobiłem jednak trochę pasty z pyłu wymieszanego z laką, którą rozprowadziłem wokół kamienia niczym cienką warstwę cementu. Pasta doskonale trzymała kamień, ale z łatwością mogłem go poluzować, gdybym chciał ponownie otworzyć swój skarbczyk. A kiedy jeszcze wyciąłem i przesadziłem kilka fragmentów mchu porastającego sąsiednie kamienie, nikt by się nie domyślił, że ktoś w tym miejscu naruszył bruk.

Klęczałem na ziemi, gdy nagle poczułem za sobą czyjąś obecność – zupełnie jakby spowił mnie cień przepływającej po niebie chmury. Zrobiło mi się zimno.

Nie obejrzałem się za siebie ani nie poruszyłem. Powiedziałem tylko:

– Dziękuję, czcigodna pani, że strzeżesz mojego srebra, bo to wszystko, co mam.

Nie rozległ się żaden dźwięk, lecz uczucie chłodu ustąpiło. A kiedy wstałem i rozejrzałem się dookoła, nikogo nie zobaczyłem.

Tak się złożyło, że po miesiącu główny eunuch Liu został wysłany przez cesarza na południe od Pekinu z misją skontrolowania umocnień obronnych na wybrzeżu. Świadczyło to o wielkim zaufaniu, jakim go darzył cesarz, ponieważ normalnie eunuchom nie wolno było opuszczać stolicy. Zarazem oznaczało, że pan Liu prawie miesiąc będzie nieobecny i na ten czas jego

obowiązki przejmie zastępca. Eunuch ten był dosyć wątłej postury. Nazywał się Yuan, lecz za jego plecami wszyscy przezywali go Drżącym Liściem, ponieważ zawsze się zamartwiał, że coś pójdzie nie tak, i pewnie dlatego był taki dokładny we wszystkim, co robił.

Na jego nieszczęście akurat w tym miesiącu cesarz powrócił do Zakazanego Miasta. Ludzie mówili mi, że wszystko odbywało się tutaj bardziej oficjalnie niż w Pałacu Letnim; nikt nie chciał wtedy przebywać na dworze i wszyscy chodzili skwaszeni.

Stary Śmierdziel i ja mieliśmy o wiele więcej pracy z powodu dodatkowych nocników i też nie byliśmy zadowoleni. Biedny Drżący Liść miał każdego dnia na głowie tyle drobiazgów, które mogły pójść nie tak, że był w stanie ciągłej paniki.

W dniu, który odmienił moje życie, znajdował się w całkowitej rozsypce.

Podobno na wszystkich wpływają nasze poprzednie życia. Wzajemne sympatie zawiązują się w zamierzchłej przeszłości; ilekroć spotykamy ludzi, którzy stają się dla nas ważni, może nam się wydawać, że to przypadek – zbieg okoliczności nie bardziej znaczący niż trzepot skrzydeł motyla – w istocie jednak przyciąga nas do siebie ukryta siła, niczym głęboki nurt pod powierzchnią strumienia życia. W Chinach nazywamy ją *yuanfen*.

Można więc powiedzieć, że nieobecność głównego eunucha w dniu, w którym ulubiona konkubina cesarza złamała paznokieć, była zwykłym zbiegiem okoliczności, czystym przypadkiem, ale ja tak nie uważam. To *yuanfen* przyciągnęła nas do siebie.

Późnym popołudniem pracowałem w kuchni; zdążyłem się już oporządzić i przygotować do powrotu do domu, gdy nagle zjawił się tam Drżący Liść.

– Czy ktoś potrafi naprawić złamany damski paznokieć?! – zawołał.

Od razu nadstawiłem ucha. Wiedziałem, o czym mówi; ówczesne mandżurskie modnisie często miały paznokcie długie na kilka cali. Chodziło zapewne o dowód, że nie muszą fizycznie pracować. Ale skoro najważniejszy eunuch w pałacu tak bardzo się tym przejął, właścicielka paznokcia musiała być kimś ważnym. Bardzo ważnym. I dlaczego rozpytywał o pomoc akurat w kuchni?

Najwyraźniej próbował już wszędzie indziej. Dlaczego zatem nikt nie zgłosił się na ochotnika? Mało prawdopodobne, aby żadna z pałacowych dwórek ani służących nie potrafiła naprawić złamanego paznokcia, nie sądzicie?

Uznałem, że żadna nie chciała się podjąć tego zadania, a to mogło jedynie oznaczać, że było ono niebezpieczne. Zarazem stanowiło wyjątkową szansę, a ja nie miałem nic do stracenia. Prawdę mówiąc, gdyby Drżący Liść szukał kogoś, kto potrafi gołymi rękami schwytać tygrysa, przypuszczam, że też zgłosiłbym się na ochotnika.

– Ja mogę panu pomóc, panie Yuan – powiedziałem.

– Ty? Jak to?

– Byłem rzemieślnikiem i zajmowałem się nakładaniem laki – odparłem. – Wykonywałem najdoskonalsze przedmioty. Jestem pewien, że za pomocą laki i lakieru zdołałbym naprawić każdy złamany paznokieć.

– Cóż, tylko ty jeden się zgłosiłeś – stwierdził poirytowany. – Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Czy wasz głupi sługa może zapytać, czyj paznokieć się złamał? – odważyłem się odezwać, gdy prowadził mnie korytarzem.

– Ulubionej konkubiny cesarza. Szlachetnej Nałożnicy Yi.

Tak właśnie się wtedy nazywała; później miała być znana pod imieniem Cixi. Ludzie często nawet kilkakrotnie zmieniają swoje imiona, jeśli awansują w hierarchii, lecz ona już wtedy zajmowała ważną pozycję.

Gdyby cesarzowa, oficjalna małżonka cesarza, była w stanie dać Synowi Niebios dzieci, wszystko wyglądałoby inaczej, ale z jakiegoś powodu owa delikatna i raczej nieśmiała młoda kobieta nie mogła ich mieć, przyszłość cesarstwa znalazła się zatem w rękach konkubin.

Słyszałem, że podobnie jak większość pałacowych konkubin Szlachetna Nałożnica Yi pochodziła ze szlachetnego mandżurskiego klanu – dokładnie z Yehe Nara – choć ojciec jej nie doszedł do żadnych zaszczytów. Ludzie mówili o niej: „Nie jest piękna, ale za to mądra”. Ojciec nie zadał sobie trudu, aby postarać się dla niej o nauczyciela, więc sama nauczyła się czytać i pisać. Cesarz lubił z nią rozmawiać, a co najważniejsze, dała mu syna.

– Słyszałem, że to czarująca dama – rzekłem cicho.

– Istotnie – potwierdził. – Kiedy ma na to ochotę. Po prostu nie należy jej się narażać, to wszystko. – Po drodze opowiedział mi o niej co nieco. – Gdy służąca, która dba o jej paznokcie, złamała jeden, kazała ją obić. – Zmarszczył brwi. – Niestety, dziewczyna nie okazała się na tyle silna, żeby

to przetrzymać. – Pokręcił głową, ale potem się rozchmurzył. – Nie martw się – dodał – nic złego cię nie spotka.

Nic dziwnego, że nikt nie chciał zająć miejsca tamtej służącej.

– Jak mam się do niej zwracać? – zapytałem go. – Czy mam wykonać ceremonialny ukłon koutou?

– Po prostu nazywaj się jej niewolnikiem i kłaniaj się nisko. – Skinął mi głową. – Nie będzie sprawdzać twojej znajomości etykiety. Zależy jej tylko na ocaleniu paznokcia.

Konkubiny mieszkały po zachodniej stronie prywatnych apartamentów cesarza, w kompleksie kilku małych pałaców, z których każdy miał własny dziedziniec. Drżący Liść prowadził; znał wszystkie skróty. Podążaliśmy korytarzami o złoconych ścianach i ciężkich belkowanych stropach, niezadaszonymi przejściami o czerwonych murach i złotych furtach, przez dziedzińce, nad którymi wdzięcznie zwieszały się połacie wygiętych dachów krytych żółtą dachówką. Na wielu dziedzińcach zauważyłem ozdobne drzewa. Mówi się, że ogromne centralne place Zakazanego Miasta są pozbawione drzew, ponieważ cesarze obawiali się zabójców ukrywających się za ich pniami, jednak w mniejszych pałacach tradycyjnie rosły rozmaite pachnące rośliny i kwitnące drzewa.

W końcu przekroczyliśmy bramę z zielonym nadprożem i znaleźliśmy się na długim prostokątnym dziedzińcu z apartamentami po lewej i prawej stronie. Niektóre drzwi były otwarte i mogłem dojrzeć przez nie jedwabne posłania w przesłoniętych zasłonami niszach.

Na dziedzińcu znajdowało się z pół tuzina dam, którym usługiwało kilku eunuchów. Wszystkie miały na sobie długie jedwabne mandżurskie szaty z rozcięciami po bokach i buty na platformie, również na mandżurską modłę, w których wydawały się jeszcze wyższe i jeszcze bardziej wytworne. Zauważyłem też kilka pałacowych pekińczyków, które kręciły się w pobliżu. Na konarze rosnącego na dziedzińcu drzewa wisiała huśtawka, lecz nikt na niej nie siedział, a damy wyglądały na zdenerwowane.

Drżący Liść zaprowadził mnie do pawilonu na skraju dziedzińca. Środkowe drzwi były otwarte, a po obu ich stronach stały duże napełnione wodą kadzie z brązu, które trzymano w każdym pałacu na wypadek pożaru. Drżący Liść pierwszy wszedł do środka. Zobaczyłem, jak kłania się nisko i coś mamrocze; potem przyszła kolej na mnie.

– Wasz niewolnik stawia się na wezwanie, Wasza Wysokość – odezwałem się cicho, po czym ukląkłem. Drżący Liść kazał mi się tylko ukłonić,

ale wolałem uklęknąć.

– Wstań i pokaż mi się – powiedział głos bardzo dźwięczny i w gruncie rzeczy całkiem przyjemny. Wstałem więc i podniosłem wzrok na Szlachetną Nałożnicę Yi.

W swoim życiu spotkałem tylko kilka osób, które nazwałbym istotami wyższymi. Większość mieszkańców pałacu w ogóle nie zasługuje na to miano, lecz ona zasługiwała. Od razu to spostrzegłem i szybko domyśliłem się, jak udało jej się tego dokonać.

Większość kobiet stara się poprawiać niedostatki urody za pomocą makijażu. Pragną mieć delikatne rysy i oczy łagodne jak u sarny. Uśmiechają się, a ich czoła nie mąci żadna myśl. Tego właśnie oczekują mężczyźni, więc trudno je za to winić: zadowalaj mężczyzn i swoją teściową, a przeżyjesz, brzmi popularna maksyma. Jednak ta młoda kobieta była inna. Siedziała wyprostowana na drewnianym fotelu, nieruchomo jak Budda. Pod jej haftowanymi pantofelkami dostrzegłem białe kwadratowe platformy. Coś jeszcze zwróciło moją uwagę: stopy. Jej stopy były maleńkie. Można by pomyśleć, że w dzieciństwie je krępowano, ale to było wykluczone ze względu na jej mandżurskie pochodzenie.

Suknię miała w kolorze kwiatu śliwy, który oznacza wewnętrzną siłę. Materiał szaty, wraz z ciemniejszymi obszyciami, zdobił wzór w postaci pasków i pustych kwadratów, przy czym wzory na przedzie i na tyle sukni idealnie się na siebie nakładały. Dopełnienie tej śmiałej kreacji stanowiła fryzura: chociaż włosy Yi były przedzielone pośrodku i zaczesane do tyłu w sposób typowy dla Mandżurek, to jednak nie były one owinięte z tyłu głowy wokół dużego grzebienia w kształcie wachlarza, jaki nosiła większość dam, lecz wokół pojedynczego poziomego drewnianego pręta nad głową, nawet nieozdobionego kwiatami.

Szlachetna Nałożnica Yi nie starała się wyglądać ładnie – zamiast tego stworzyła stylizację kojarzącą się z doskonale skonstruowanym znakiem chińskiego pisma: skomplikowanym, a zarazem wyrazistym. Była przy tym niezwykle opanowana i znakomicie powściągała swoje emocje. Jak powie wam każdy ogrodnik, wystarczy otoczyć otwartą przestrzeń murem, żeby wydała się ona większa. Jeśli zamkniemy chiński znak w obramowaniu, jego symetria stanie się uderzająca. Ona najwyraźniej zdawała sobie z tego

sprawę. Potrafiła spojrzeć na siebie od zewnątrz, stworzyć projekt, którego była tylko częścią; na tym polega prawdziwy styl i sztuka.

Ludzie mówili, że ma nijaką twarz, ale co oni wiedzieli? Jej twarz była owalna, a rysy z pewnością zbyt grubo ciosane, aby mogła uchodzić za ładną, ale cechowała je doskonała regularność. Nosiła długie, ciężkie kolczyki, a mocno zarysowany podbródek świadczył o tym, że nie obawia się wyrażać swojego zdania. Czy coś w wyrazie jej ust mogło sugerować, że potrafi być życzliwa? Być może; jednak ciemne, bursztynowe oczy należały do starszej kobiety – uważnej i czujnej. Ta kobieta jest odważna, pomyślałem, ale ostrożna.

Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Czy masz doświadczenie w pielęgnacji paznokci?

– Wasz niewolnik nigdy się tym nie zajmował, Wasza Wysokość – odparłem. – Posiadłem jednak sztukę wyrobu najróżniejszych przedmiotów z laki. Jestem pewien, że zdołałbym nałożyć lakę na złamany paznokieć w taki sposób, aby się utrzymał.

Spojrzała na mnie.

– Rzeczy tej głupiej dziewuchy leżą na tamtym stole.

Obcinaczki, pilniczki, pędzelki i małe pojemniczki z laką spoczywały bezładnie w płytkiej szkatułce, jakby zostały do niej ciśnięte.

– Może gdybyśmy mieli trochę kleju… – zaczął Drżący Liść.

– Żadnego kleju – odparła ostrym tonem. – Nie cierpię kleju. – W zasadzie miała rację; klej sprawia więcej kłopotów niż korzyści, a czasami bywa trujący. Co gorsza, często jest mocniejszy niż paznokieć, co oznacza, że ten ostatni może się ponownie złamać.

Wybrałem, co było mi potrzebne, i ukląkłem przed nią. Jej dłoń spoczywała na podłokietniku fotela, palce trzymała skierowane w dół, mniej więcej na wysokości moich oczu. Paznokcie były istotnie imponującej długości; ten przy środkowym palcu był najdłuższy, mierzył dobre trzy cale, był zakrzywiony i bogato przyozdobiony. Nie mam tu na myśli tylko czerwonej laki – który to kolor, jak się wkrótce dowiedziałem, mogły nosić jedynie kobiety z cesarskiego rodu – ale też krople złota i maleńkie diamenty osadzone w lace. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego paznokcia.

Ten złamany był przy palcu wskazującym. Paskudne pęknięcie – nic dziwnego, że była taka wściekła.

– Czy mamy odłamaną końcówkę? – zapytałem.

Jedna z dam dworu przyniosła mi ją na małej poduszeczce. Przyłożyłem odłamany fragment do miejsca złamania, żeby sprawdzić, czy pasuje. Pasował. Paznokieć pękł nierówno, co mogło się nawet okazać pomocne, bo odłamany czubek kończył się czymś w rodzaju występu. Gdybym nałożył odrobinę laki pomiędzy górną część rosnącego paznokcia a spodnią część oderwanego fragmentu, zadziałałaby jak klej, który połączyłby te dwa elementy. Następnie należałoby pokryć laką zarówno spodnią, jak i wierzchnią część płytki.

– Wasz niewolnik ośmiela się prosić, aby Wasza Wysokość oparła dłoń na podłokietniku fotela i nie poruszała nią – odezwałem się. – Nałożę kilka warstw laki, ale żeby wyschła, potrzeba będzie trochę czasu.

Nic nie odpowiedziała, tylko położyła rękę tam, gdzie chciałem.

Muszę przyznać, że okazała się bardzo cierpliwa. Pracowałem przez godzinę, a ona przez ten czas ani drgnęła. Była doprawdy niezwykle opanowana.

– Wasz niewolnik sądzi, że na dzisiaj wystarczy – powiedziałem w końcu. Podczas pracy zauważyłem, że oprócz diamentowej inkrustacji na paznokciu wskazującym na serdecznym miała pięknie wykonaną srebrną osłonę na paznokcie. – Czy Wasza Wysokość mogłaby założyć podobną osłonę, aby przez noc chroniła złamany paznokieć? – zapytałem. – W tym czasie laka będzie twardniała. – Miała spiczastą drewnianą osłonę, którą udało mi się ładnie dopasować do sklejonego paznokcia.

Właśnie ją nakładałem, gdy rozległ się cichy głos Drżącego Liścia.

– Do rana znajdziemy kogoś odpowiedniego, aby zajął się waszym paznokciem, Szlachetna Nałożnico – wymamrotał – i sprowadzimy go tutaj.

Cóż, wcale mnie to nie ucieszyło. Doskonale wiedziałem, o co mu chodzi. Przyprowadził mnie do Szlachetnej Nałożnicy Yi, bo się rozgniewała, a on wpadł w panikę. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, jak wielki będzie gniew głównego eunucha Liu, gdy ten odkryje, że dostałem się do pałacu.

– Czy wasz niewolnik może przemówić? – zapytałem. Przytaknęła. – To, co dziś zrobił wasz niewolnik, wystarczy do jutra – powiedziałem – ale jeśli rano przyniosę własną lakę i pędzelki, mogę zrobić konstrukcję tak mocną, że wytrzyma do czasu, aż paznokieć urośnie przynajmniej o kolejny cal.

Drżący Liść zaczął protestować, lecz mu przerwała.

– Pozwól mu skończyć. To najlepsze rozwiązanie.

Nazajutrz rano miała na sobie inną suknię, jasnokremową, z delikatniejszym wzorem. Na jej głowie ujrzałem ten sam grzebień co poprzedniego dnia, ale tym razem przybrała go sztucznymi kwiatami, piwoniami i kwiatami śliwy wykonanymi z pereł i koralu. Wmawiałem sobie, że zrobiła to dla mnie, choć oczywiście tak nie było.

Od razu zabrałem się do pracy. Trzymając w ręku własne pędzle, czułem się znakomicie.

Z początku nie odzywała się ani słowem, ale wyczułem, że uważnie mi się przygląda.

– Naprawdę znasz się na rzeczy – zauważyła w końcu.

– Tak jest, Wasza Wysokość – odparłem.

Drżący Liść już wcześniej pouczył mnie, że ponieważ Szlachetna Nałożnica Yi nie jest księżniczką, nie powinienem zwracać się do niej „Wasza Wysokość”. Zamiast tego powinieneś mówić: „Szlachetna Nałożnico” – poinstruował mnie. Ale chyba spodobała jej się ta „Wasza Wysokość”, więc udałem, że o niczym nie wiem, i dalej tak ją tytułowałem.

Przez jakiś czas milczała, po czym zwróciła się do Drżącego Liścia, który posępnie przyglądał się moim poczynaniom.

– Co się stało z tą głupią dziewczyną, którą kazałam ci wychłostać? – zapytała.

– Obawiam się, że umarła, Szlachetna Nałożnico – odrzekł cicho.

– Doprawdy? Musiano ją obić zbyt mocno. – Nie wyglądała na zmartwioną, ale ludzie posiadający władzę i liczne przywileje często są zimni. Muszą tacy być. Chwilę później stuknęła mnie w głowę jednym z paznokci wolnej ręki. Spojrzałem w górę. – Lubisz piękne rzeczy, prawda?

Dostrzegła to we mnie! Nie wiem jak, ale dostrzegła.

– Wasz niewolnik przyznaje, że tak – wymamrotałem, schylając głowę, na co ona uśmiechnęła się do mnie.

– Opowiedz mi o sobie – rozkazała. Nie sądzę, aby naprawdę ją to interesowało, prawdopodobnie chciała tylko zabić czas. – W jakim wieku przeszedłeś operację?

– Niedawno, Wasza Wysokość, kilka miesięcy temu – odpowiedziałem.

– Niedawno? Jak to? – Teraz naprawdę się zaciekawiła. – Wyjaśnij mi to.

Nie przerywając pracy, opowiedziałem jej zatem historię mojego życia – a w każdym razie jej część. Wytłumaczyłem, że poddałem się kastracji, żeby trafić do pałacu ze względu na mojego synka.

– A więc masz żonę i dzieci?

– Tak.

– Niezwykłe. – Zmarszczyła brwi. – Czy podczas zabiegu wszystko ci usunięto? – Przyjrzała mi się podejrzliwie.

– Tak, Wasza Wysokość – zapewniłem ją. – Wszystko. Daję słowo.

– Wszystko odbyło się zgodnie z przepisami – wtrącił nerwowo Drżący Liść.

– Chcę zobaczyć – powiedziała.

Był to jeden z najgorszych momentów w moim życiu. Na pewno się zarumieniłem – to było takie upokarzające!

– Och, Wasza Wysokość, proszę… – zacząłem błagać.

Wskazała mi stojący w kącie sali parawan.

– Wejdź tam – poleciła. Następnie zwróciła się do jednej ze swoich dam: – A ty tam zajrzysz i potem mi powiesz.

Zrobiłem, co mi kazano, i rozebrałem się. Dobrze przynajmniej, że oglądała mnie tylko jedna z dam dworu, a nie wszystkie naraz, a zwłaszcza nie Szlachetna Nałożnica Yi.

– Niczego nie ma! – zawołała śpiewnie owa dama.

– Zawsze lepiej się upewnić – zauważyła Szlachetna Nałożnica, gdy wróciłem do pracy. – Z pewnością było to duże poświęcenie z twojej strony.

– Warto było, aby móc wam służyć, Wasza Wysokość – odpowiedziałem i kontynuowałem swoją pracę. Widziałem, że Drżący Liść wierci się niecierpliwie, ale się nie spieszyłem. – Wasz niewolnik zrobił na razie tyle, ile mógł – oznajmiłem wreszcie i ujrzałem wyraz ulgi na twarzy Drżącego Liścia.

A więc to koniec, pomyślałem. Jutro znów wracam do opróżniania nocników.

– Wygląda na to, że znakomicie się spisałeś – pochwaliła mnie Szlachetna Nałożnica. Zauważyłem, że skinęła głową do damy, która mnie oglądała, i zrozumiałem, co mnie teraz czeka: otrzymam srebrną monetę albo dwie, a potem się pożegnamy – chyba że spróbuję jeszcze jednej sztuczki.

– Czy wasz niewolnik może coś powiedzieć? – zapytałem. Drżący Liść rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie, ale zignorowałem je. Szlachetna Nałożnica skinęła głową, podjąłem więc: – Osoby z pałacu są często szkolone w rozmaitych sztukach. Wasz niewolnik uważa, że dzięki umiejętnościom, które już posiadł, mógłby szybko nauczyć się sztuki pielęgnacji paznokci i służyć wam w tym zakresie.

Spojrzała na mnie.

– Bezczelny jesteś – zauważyła. Wyglądało na to, że się zastanawia.

– Takie szkolenia prowadzi się tylko dla tych, którzy wykazują duże zdolności, i to po kilku latach służby w pałacu – przypomniał jej Drżący Liść. – Potem muszą się jeszcze latami doskonalić, zanim mogą usługiwać członkom rodziny cesarskiej. – Mówił cicho, ale widziałem, że jest przerażony.

– Jak na razie – odpowiedziała cierpko – przysłałeś służącą, która złamała mi paznokieć, a potem pobiłeś ją na śmierć, czego nikt nie kazał ci robić.

– To nie ja ją pobiłem, Szlachetna Nałożnico – odrzekł nerwowo.

– Pod nieobecność pana Liu ty jesteś tutaj za wszystko odpowiedzialny, więc ty ponosisz za to winę.

Gdy zobaczyłem, w jakim się znalazł położeniu, zrobiło mi się go nawet żal. To, co mówił o zasadach awansowania osób z pałacu, było oczywiście prawdą.

– Wasz niewolnik nie chciał okazać braku szacunku. – Ukłoniłem się nisko najpierw jej, a potem Drżącemu Liściowi. – Ale tak się zapalił do służby Waszej Wysokości, że całkiem się zapomniał. To prawda: jest o wiele za wcześnie, abym mógł choćby marzyć o takim zaszczycie. Błagam tylko, aby w przyszłości Wasza Wysokość pamiętała o mnie, jeśli uzna, że jestem tego godzien.

Liczyłem, że może mnie zapamiętać; nigdy nie wiadomo.

– Są też pewne zastrzeżenia co do jego osoby – powiedział Drżący Liść.

Z perspektywy czasu często o tym rozmyślałem i sądzę, że gdyby wówczas tego nie powiedział, zapewne odesłałaby mnie z kwitkiem. Nic dla niej nie znaczyłem. Trafiłbym z powrotem do kuchni.

Jednak niepokój sprawił, że Drżący Liść przeszarżował, a ona od razu to wychwyciła. Miała doskonały instynkt.

– Masz do niego zastrzeżenia? Dlaczego więc go tu sprowadziłeś? – zapytała groźnie.

– To był nagły wypadek, Szlachetna Nałożnico. Chciałem szybko pomóc.

– Jakie to zastrzeżenia?

– Najlepiej będzie zapytać pana Liu, kiedy wróci – wymamrotał.

– Czy jego opiekun skarżył się na niego?

Drżący Liść znalazł się w trudnej sytuacji. Nie lubił kłamać; to było widać. Kłamstwo bywa niebezpieczne – gdyby wyszło na jaw, że minął się z prawdą, Szlachetna Nałożnica Yi byłaby wściekła, a on miał już wystarczająco dużo kłopotów.

– Nie, Szlachetna Nałożnico.

– Jak ocenił go jego opiekun? Dobrze, słabo czy neutralnie? – nie ustępowała.

Spojrzałem na niego – nie próbowałem kwestionować jego słów ani też nie błagałem o nic wzrokiem, po prostu na niego patrzyłem.

– Dobrze – przyznał niechętnie.

– Jak dobrze? – Bawiła się z nim jak kot z myszą.

– Bardzo dobrze, Szlachetna Nałożnico.

– Mam więc pomówić z panem Liu?

– Tak byłoby najlepiej – odparł żałośnie.

– Zatem tak właśnie uczynię. To już postanowione. – Odniosłem wrażenie, że Drżącemu Liściowi ulżyło. – Tymczasem jednak – ciągnęła – ma on zostać natychmiast przeszkolony w zakresie pielęgnacji paznokci i będzie odtąd codziennie się mną zajmował, abyśmy mogli się przekonać, czy nauka nie poszła na marne.

– Szlachetna Nałożnico… – Drżący Liść odważył się jej przerwać. Widać było, że jest u kresu wytrzymałości.

– Tylko do powrotu pana Liu – dodała z uśmiechem i odesłała nas obu.

* * *

Pana Liu nie było przez całe piętnaście dni. Piętnaście cudownych dni. Codziennie rano szedłem do pałacu, aby zadbać o jej paznokcie, ale resztę dnia spędzałem na nauce w Pekinie. Wcześniej poprosiłem ojca, aby wyszukał mi najlepszego manikiurzystę w mieście, i tak też się stało: był to starszy pan, wielce zdumiony tempem, w jaki wszystko sobie przyswajałem. Jeśli bowiem masz talent i poświęcasz się czemuś całym sercem, możesz nauczyć się fachu dziesięć razy szybciej od zwykłego czeladnika.

Sam zapłaciłem za naukę, przeznaczając na to część ukrytych pieniędzy. Mogłem poprosić pałac o pokrycie kosztów, ale nie chciałem tego robić, wolałem sprawić wszystkim niespodziankę. I sprawiłem. Po upływie pięt-

nastu dni Szlachetna Nałożnica oświadczyła, że jestem najlepszym manikiurzystą, jakiego kiedykolwiek miała.

– To dlatego, że wasz niewolnik zajmował się wcześniej lakowaniem.

– Nadaję ci zatem nowe imię: Lakowany Paznokieć – oznajmiła. – Podoba ci się?

Nie żeby moje zdanie w tej kwestii miało jakiekolwiek znaczenie.

– Wasz niewolnik jest zaszczycony – odrzekłem i ukłoniłem się nisko. W istocie spodobał mi się mój nowy przydomek. Tak właśnie zostałem Lakowanym Paznokciem.

Zwykle gawędziła ze mną, kiedy zajmowałem się jej paznokciami, i zawsze była wszystkiego bardzo ciekawa. Jedno z jej pierwszych pytań dotyczyło, rzecz jasna, głównego eunucha. Co miał przeciwko mnie? Dlaczego Drżący Liść nie chciał jej nic powiedzieć? Wiedziałem, że o to zapyta, i zawczasu przygotowałem swoją odpowiedź.

– Wasza Wysokość wie, że wasz niewolnik chce być wam posłuszny – odparłem. – Jakże mogłoby być inaczej? Ale jeśli pan Liu uzna, że wszystko wam powiedziałem, tak go to rozgniewa, że może być ze mną bardzo źle. – Urwałem i spojrzałem jej w oczy. – Być może zniknę bez śladu – wyszeptałem. Widziałem, że zastanawia się nad moimi słowami. Nie zaprzeczyła. – Jednak – podjąłem – wszyscy eunuchowie znają tę historię. Każda z waszych dam dworu mogłaby się jej dowiedzieć od któregoś z nich.

Nic nie odpowiedziała, ale nazajutrz rzuciła mi dziwne spojrzenie.

– Słyszałam o panu Chenie – oznajmiła.

– Nie ode mnie, Wasza Wysokość – zastrzegłem niespokojnie.

– Nie, nie od ciebie.

Więcej już o tym nie wspominała. Później jednak zaciekawiła ją inna sprawa, o wiele bardziej osobista i ogromnie dla mnie krępująca.

– Jak to jest, kiedy eunuch jest żonaty? – zapytała.

Domyśliłem się, o co jej chodzi, ale udawałem, że nie mam pojęcia.

– Jak Wasza Wysokość zapewne wie, niektóre z osób z pałacu, o ile im się poszczęści i są w stanie odkupić swoje brakujące członki, adoptują synów, aby ci mogli odziedziczyć majątek. Z kolei obowiązkiem synów jest dopilnowanie, aby ich ojcowie zostali pochowani jak należy, obok swoich

przodków. Wasz niewolnik słyszał też, że niektórzy ze starszych eunuchów się żenią.

– Wiem – odparła. – Ale czy ich żony mogą być szczęśliwe?

– Wasz niewolnik przypuszcza, że każdy przypadek jest inny – wykręciłem się od odpowiedzi. – Żony eunuchów mają zabezpieczoną przyszłość.

Obrzuciła mnie bacznym spojrzeniem i zacząłem się obawiać, że to nie koniec przesłuchania. Przypuszczam jednak, iż uznała, że dalsze wypytywanie mnie o te sprawy będzie poniżej jej godności.

Dwa dni później, gdy wracałem przez dziedziniec, jedna z jej dwórek, która była tam sama, poprosiła, abym pobujał ją na huśtawce. Po pewnym czasie wywiązała się między nami przyjacielska pogawędka, ona zaś zauważyła:

– Miło jest z kimś porozmawiać. Wiesz, jesteśmy tu dość samotne. – Ukłoniłem się grzecznie, ale nic nie odpowiedziałem. – Niektóre konkubiny są tutaj od lat – mówiła dalej – i ledwie widziały cesarza, nie mówiąc już o spędzaniu z nim czasu.

– Przypuszczam, że gorzej jest być niezamężną starą panną – zasugerowałem. – Zresztą to wielki zaszczyt dla każdej damy i jej rodziny.

– Wolałyby być zamężne – odparła. – Wtedy przynajmniej mogłyby uprawiać miłość i mieć dzieci. – Taktownie milczałem. Rozejrzała się dookoła, aby upewnić się, że na dziedzińcu poza nami nikogo nie ma. – Chcę cię o coś zapytać – wyszeptała.

Domyślałem się już, do czego zmierza ta rozmowa i kto stoi za tą niewinną grą, ale nie pozostało mi nic innego, jak ją podjąć.

– Nie chcę być wścibska – rzekła – ale czy tak samo jest z twoją żoną?

– Z moją żoną? – Udałem, że nie rozumiem. – Moja żona ma dzieci.

– Wiem. Ale teraz, gdy jesteś wykastrowany… kiedy spędzacie ze sobą noc, to znaczy… Co właściwie robisz?

Wiedziałem, że to prędzej czy później nastąpi, wiedziałem też, czyją ciekawość muszę zaspokoić, i byłem na to przygotowany. Zarazem musiałem zachować dużą ostrożność, bo mogło mi grozić niebezpieczeństwo.

Gdybym wygadał się choć słowem o swoim pożyciu intymnym z żoną, w mgnieniu oka rozniosłoby się to po całym pałacu i wszyscy uznaliby, że mógłbym być skłonny świadczyć podobne usługi cesarskim konkubinom. Pan Liu zyskałby upragniony pretekst, aby zabronić przyjmowania takich osób jak ja do służby w pałacu, i niezwłocznie kazałby mnie wyrzucić.

Gdyby ktokolwiek podejrzewał, że odważyłem się obcować z którąś z dam dworu, prawdopodobnie zostałbym stracony.

– Moja żona to dobra kobieta – powiedziałem. – Opiekuje się moimi rodzicami i dziećmi. O nic mnie nie prosi. Jest posłuszna i całkiem zadowolona ze swojego losu. Rzecz jasna, teraz mogę być dla niej tylko przyjacielem, a ona jest dla mnie jak siostra. Jednak wiele małżeństw tak żyje.

– Aha – mruknęła i nie zawracała mi więcej głowy.

Tak minęło piętnaście dni. Nie zaspokoiłem co prawda ciekawości Szlachetnej Nałożnicy, ale nadal okazywała zadowolenie z mojej pracy, a tylko to się liczyło. Kilka razy spotkałem też jej synka. Miał chyba ze cztery lata i wydawał się miłym dzieckiem.

Cesarz przebywał obecnie w pałacu i Szlachetna Nałożnica Yi często u niego bywała, ja sam jednak ani razu go nie widziałem.

A potem wrócił główny eunuch Liu.

Popatrzył na mnie. Gdybym miał mniej rozumu, uznałbym, że przygląda mi się z życzliwością.

– No cóż – rzekł – tego nie przewidziałem.

– Ja też nie, panie Liu – odparłem.

– Nie musisz się tłumaczyć – uciął, unosząc rękę. – Wiem o wszystkim, co się tu wydarzyło. – Pokręcił głową. – Myślałem, że nic już mnie nie zaskoczy. – Westchnął. – Ale zawsze można się nauczyć czegoś nowego. – Muszę przyznać, że było to dla niego bardzo typowe: ludzie, którzy docierają na sam szczyt, zawsze są żądni wiedzy. Pytanie, jak się teraz zachowa.

– Podobno Szlachetna Nałożnica Yi nadała ci nowe imię – kontynuował drwiąco. – Lakowany Paznokieć.

– To prawda, panie Liu – przytaknąłem, schylając głowę.

– Jeśli chce, żebyś dalej dbał o jej paznokcie, to chyba nie ma innego wyjścia. – Spojrzenie, jakim mnie obrzucił, mówiło wszystko: prędzej czy później i tak zamierzał mnie zniszczyć. – Ciesz się tym, dopóki możesz – dodał ponuro.

– Wasz niegodny sługa może jedynie zaakceptować swój los – wymamrotałem.

– O jakim losie mówisz? – warknął. – Zgłosiłeś się na ochotnika, a potem poprosiłeś ją o to stanowisko.

– Wasz głupi sługa był tak zaskoczony, że zachował się impulsywnie – odrzekłem. – Zabrakło was tam, aby mi wskazać właściwą drogę. – Skwitował moje słowa prychnięciem. – Czy wasz sługa może coś jeszcze powiedzieć? – zaryzykowałem.

– Co takiego?

– Wasz sługa od dzieciństwa lubił to, co w życiu piękne i wyszukane – wyznałem. – Dlatego zacząłem pracować w warsztacie i zajmować się laką. W dniu, gdy po raz pierwszy zobaczyłem orszak osób z pałacu, poczułem, że tutaj jest moje miejsce. Śmiem się zatem zastanawiać, czy te niezwykłe okoliczności, których z pewnością w żaden sposób nie przewidziałem, mogą być wynikiem działania jakiejś ukrytej siły. Czy to może być działanie *yuanfen*?

Nigdy nie widziałem u nikogo bardziej cynicznego grymasu.

– Ach tak! Wydaje ci się, że jesteś kimś wyjątkowym. To częste złudzenie – westchnął. – Byle głupiec, który wygrywa w madżonga, wierzy, że to przeznaczenie.

– Sądzę, panie – odrzekłem – że jeśli coś się wydarza, musiało być nam przeznaczone.

– Nie mędrkuj – burknął. – Zdajesz sobie sprawę, że narobiłeś sobie wielu wrogów? Myślisz, że jak się teraz czują inni mieszkańcy pałacu? Na podobną szansę musieliby czekać przez sześć lat, podczas gdy ty, nowo przybyły, zadajesz się z nałożnicą cesarza i awansujesz przed nimi. Sądzisz, że są z tego zadowoleni?

– Nie, panie Liu – zgodziłem się z nim.

– Nie masz w pałacu żadnego przyjaciela, poza Szlachetną Nałożnicą Yi. Ale jak długo to potrwa? Dopóki nie popełnisz jakiegoś błędu, a ona cię nie przepędzi. – Urwał na moment. – Albo sama nie zostanie przepędzona.

Te ostatnie słowa wypowiedział bardzo cicho, lecz usłyszałem je całkiem wyraźnie i poczułem ukłucie strachu. Co to miało znaczyć? Czyżby wiedział o czymś, o czym ja nie wiedziałem? Musiałem wyglądać na zszokowanego, bo dodał:

– Nieraz widywałem, jak nałożnice przychodzą i odchodzą. – Przez chwilę nad czymś się zastanawiał. – Kilka rzeczy przemawia na jej korzyść. Z nią przynajmniej cesarzowi udaje się obcować. Wiesz, że zazwyczaj nie jest w stanie?

Wpatrywałem się w niego z niedowierzaniem. Mówił o Synu Niebios! Ze mną, stojącym najniżej w hierarchii eunuchów!

– To żadna tajemnica – rzucił obojętnie. – Przynajmniej tutaj, w pałacu, wszyscy o tym wiedzą. Kiedy był bardzo młody, wymykał się stąd i odwiedzał miejskie ladacznice. Tym się głównie zajmował. Ale od tego czasu… Spłodził dziecko z jedną z konkubin, lecz to tylko córka. Nieszczęsna cesarzowa wydaje się bezpłodna i tylko Szlachetna Nałożnica Yi dała mu syna.

– Czy to nie zapewnia jej bezpieczeństwa, panie? – odważyłem się zapytać.

– Nie do końca. Zgodnie z prawem jej syn mógłby zostać oddany innej matce, na przykład cesarzowej, i nadal mógłby dziedziczyć. Ale Szlachetna Nałożnica Yi zostałaby wtedy z niczym.

– Sługa wasz słyszał, że cesarz ceni sobie jej towarzystwo – powiedziałem.

– Istotnie, omawia z nią nawet sprawy państwowe. To wbrew zasadom, aby konkubiny mieszały się do polityki, ale on zdaje się tym nie przejmować. Prosi ją o rady, a ona mu ich udziela.

– Czy źle mu doradza? – zapytałem.

– Nie. Może i jest ignorantką, ale zwykle wykazuje się trzeźwym osądem. – Westchnął. – Cesarstwo znajduje się w fatalnym położeniu. Przypuszczam, że zdajesz sobie z tego sprawę? Tajpingowie doprowadzili do ruiny większą część doliny Jangcy. To właśnie tam Szlachetna Nałożnica Yi spędziła dzieciństwo, dlatego serdecznie nienawidzi tajpingów. Trzymaliśmy ich w okrążeniu, ale tej wiosny znów udało im się przedrzeć. Dotarli do Hangzhou, a następnie wycofali się, żeby rozgromić nasze wojska pod Nankinem. Kto wie, jaki będzie ich następny ruch? Cesarz jest nimi przerażony. Ostatnim razem, gdy tajpingowie zbliżyli się do Pekinu, był gotów porzucić stolicę i uciec za Wielki Mur. Wiedziałeś o tym?

– Nie, panie – odparłem – nie wiedziałem. Dobrze pamiętałem kampanię tajpingów, ale nic nie słyszałem na temat zamiarów cesarza, byłem więc naprawdę wstrząśnięty.

– To ona namówiła go do pozostania w mieście, zanim wieść o jego tchórzostwie zdążyła rozejść się wśród ludu.

– Dlaczego chciał uciec akurat na północ od Wielkiego Muru, panie? – zaciekawiłem się.

– Przed wiekami, zanim nastała dynastia Ming, cesarze mongolscy, krewni samego Czyngis-chana, wznieśli na stepie ogromny pałac myśliwski zwany Xanadu. Obecna mandżurska dynastia, zapewne chcąc ich naśladować, zbudowała podobną siedzibę na terenach łowieckich swoich przod-

ków, choć nie tak daleko na północy. Jeszcze kilka pokoleń temu jeździli tam każdego lata na wielkie polowanie, lecz ze względu na rosnące koszty musieli z tego zrezygnować. Pałac myśliwski powoli popada w ruinę, jednak cesarz czuje się chyba bezpieczniejszy na bezkresnych równinach. Przypuszczam, że gdyby zaszła taka potrzeba, zaszyłby się aż w mandżurskich lasach.

Byłem ogromnie zaskoczony, że pan Liu mówi mi takie rzeczy. Patrząc na to z perspektywy czasu, jestem pewien, że musiał się czuć sfrustrowany zachowaniem cesarza. Wydaje mi się, że niezależnie od tego, jak bardzo był na mnie zły, stwierdził, że musi podzielić się z kimś swoimi przemyśleniami, zwłaszcza że uważał mnie za inteligentnego. Naturalnie chciałem dowiedzieć się od niego jak najwięcej.

– Czy cesarz obawia się barbarzyńców? – zapytałem.

– Piratów? Wciąż nie jesteśmy pewni, czego oni właściwie chcą. Oczywiście zawsze istnieje obawa, że mogą sprzymierzyć się z tajpingami.

– A Szlachetna Nałożnica Yi?

– Gardzi wszystkimi barbarzyńcami. Twierdzi, że powinniśmy ich wszystkich zabić. Może i mają lepsze statki oraz broń, ale są od nas mniej liczni. Wiesz, iloma poddanymi rządzi cesarz?

– Wasz sługa tego nie wie – przyznałem.

– Mniej więcej czterystoma milionami. Wyobraź to sobie. Gdyby doszło do bitwy na lądzie i piraci wystrzelili naraz ze wszystkich swoich karabinów i armat, ilu ludzi mogliby zabić, zanim ulegliby naszej przewadze? Dwadzieścia tysięcy? Wątpię. Zresztą chociaż w przeszłości rozbijali nasze statki i forty, to gdy w ubiegłym roku zaatakowali nasze umocnienia brzegowe, byliśmy znacznie lepiej przygotowani i pokonaliśmy ich. Dzięki temu Szlachetna Nałożnica Yi zyskała wielką przychylność cesarza. Teraz nawet on udaje, że niczego się nie boi.

– Czy istnieje obawa, że barbarzyńcy ponownie zaatakują? – spytałem.

– Niewykluczone, ale teraz będziemy na to jeszcze lepiej przygotowani. Sam widziałem.

Zabrzmiało to bardzo obiecująco, lecz w mojej głowie pojawiło się kolejne pytanie.

– Wszystko to zdaje się potwierdzać silną pozycję Szlachetnej Nałożnicy Yi – zauważyłem. – A jednak wasz sługa odniósł wrażenie, że waszym zdaniem może ona wypaść z łask.

– Owszem. Musi cię to bardzo martwić. – Zauważyłem satysfakcję w jego głosie. – Zapewne przekonasz się o tym na własnej skórze. Nawiasem mówiąc – ciągnął – za dwa dni cały dwór przenosi się do Pałacu Letniego. Spodoba ci się tam. – Spojrzał na mnie. – Ciesz się tym, póki możesz – dodał ciszej.

Gdy cesarski korowód opuszczał Zakazane Miasto, wraz z tuzinem innych eunuchów siedziałem na krytym wozie. Poranek był pochmurny, ale ciepły. Przejeżdżaliśmy powoli przez północno-zachodnie przedmieścia, ja jednak nie zwracałem uwagi na to, co się wokół mnie działo, bo przez cały czas zachodziłem w głowę, dlaczego pan Liu wydawał się taki pewny tego, że Szlachetna Nałożnica Yi wypadnie z łask cesarza.

– A oto droga do raju! – zawołał siedzący obok mnie mężczyzna, a kilku innych eunuchów przytaknęło z uśmiechem.

Chociaż pan Liu twierdził, że wszyscy w pałacu mnie nienawidzą, podróżujący wozem eunuchowie traktowali mnie bardzo przyjaźnie. Powinno mnie to zastanowić, ale wolałem nie zaprzątać sobie tym głowy.

Zwężająca się kręta droga wiodła między zalesionymi pagórkami. Pałac Letni był oddalony od przedmieść Pekinu zaledwie o kilka mil. Chociaż jechaliśmy w ślimaczym tempie, i tak przed południem przekroczyliśmy jego bramy. Przekonałem się, że mój współpasażer mówił prawdę: istotnie znaleźliśmy się w raju.

Jak mam opisać to najpiękniejsze miejsce w całej historii świata? Ludzie nazywają je teraz starym Pałacem Letnim, jednak sam pałac będący rezydencją cesarza stanowił tylko jeden z kompleksów Yuanmingyuan – Ogrodu Doskonałej Jasności, przy czym mówiąc „ogród”, nie mam na myśli otoczonego murem skrawka zieleni, ale ogromny park, rozległy krajobraz z jeziorami, wyspami i zalesionymi wzgórzami, usiany świątyniami, willami i pagodami – wszystkim, co cieszy oko i koi duszę. Yuanmingyuan nie był też jedynym ogrodem; przylegały do niego dwa albo trzy inne olbrzymie parki, tak że ów cesarski raj rozciągał się na wiele mil.

Pierwszego dnia po przyjeździe poczułem się tak, jakbym wszedł do wnętrza obrazu – takiego, na jakim góry wyrastają z mgły ku pogodnemu niebu, łukowate mosty łączą brzegi przepaści, a uczeni medytują w maleńkich pustelniach zawieszonych wysoko na skałach.

Często mówi się o yin i yang jako o dwóch siłach wszechświata. Uważamy, że yang to siła męska, jasne słońce, błękit nieba i tak dalej, yin zaś to siła żeńska, ziemia, księżyc i mrok. Podobnie jak mąż i żona, yin i yang uzupełniają się wzajemnie; jedno potrzebuje drugiego, aby móc istnieć. Nasi mędrcy wykazali się wielką mądrością, twierdząc, że w yang istnieje element yin, a w yin element yang. W obrębie słynnego koła yin-yang widzimy bowiem, że każdy z dwóch przenikających się kształtów zawiera kropkę przeciwnego koloru; yin i yang muszą być w równowadze, w przeciwnym razie na świecie brakuje harmonii.

Niedługo po przybyciu do Yuanmingyuan pojąłem sens istnienia tego miejsca. Było ono niczym innym jak yin dopełniającym yang Zakazanego Miasta.

Doskonała symetria stołecznej fortecy odzwierciedlała władzę cesarską, świecącą złotym blaskiem na podobieństwo słońca; ogromna okrągła świątynia z niebieskim dachem, w której Syn Niebios składał ofiary bogom, figurki ludzi i zwierząt na narożnikach dachów, określające dokładnie status mieszkańca każdego budynku w idealnym konfucjańskim porządku miasta – wszystko to były oznaki męskiego yang, przynależącego do sfery nieba.

Tymczasem rajski Pałac Letni odwoływał się do ducha yin. Nie była to otoczona murami warownia, tylko naturalny krajobraz. Poszczególne budowle były rozsiane to tu, to tam, czasem na wpół ukryte wśród drzew w niezwykle malowniczy sposób. Żaden budynek nie stanowił ściśle regularnej bryły; poszczególne części zdawały się zrastać ze sobą w nieformalny, niemal przypadkowy sposób.

Wszystko to było na wskroś przeniknięte sztuką. Można wręcz powiedzieć, że ludzka ręka uporządkowała tam chaos natury i że to jest właśnie ów element yang w yin. Niektóre wzgórza i jeziora w Yuanmingyuan istotnie były sztuczne, ale nie w tym rzecz: podobnie jak malarz i kaligraf, również projektant krajobrazu musi wczuć się w ducha danego miejsca, pozwolić, aby ten duch przeniknął i wypełnił jego umysł. Na tym polega potencjał ujemny pierwiastka yin, a projektant, pozbywszy się wszelkich myśli o potencjale dodatnim, niemal bezwiednie pozwala duchowi prowadzić swoją rękę.

* * *

Szlachetna Nałożnica Yi posłała po mnie nazajutrz z samego rana. Cesarz wraz z rodziną mieszkał w kompleksie tuż nad wodą, na brzegu zbiornika zwanego Jeziorem Przednim. Rezydencja cesarska wyglądała tak samo jak letnie wille większości bogaczy, była jednak znacznie bardziej rozległa, z wieloma dziedzińcami.

Po tym, jak skończyłem z paznokciami Szlachetnej Nałożnicy, zapytała, czy inni mieszkańcy pałacu traktują mnie życzliwie. Przytaknąłem. Wydawała się nieco zaskoczona, lecz nie skomentowała tego. Wtedy nadszedł jeden ze starszych eunuchów i zapytał ją, czy zechce przejść się na spacer ze swoimi damami dworu, ona zaś potwierdziła. Uznałem, że powinienem się wycofać, lecz gestem kazała mi iść za nimi.

Cesarski kompleks wychodził wprost na duże Jezioro Przednie, za nim zaś znajdowało się Jezioro Tylne, również sporej wielkości. Ponieważ był to mój pierwszy dzień na służbie, nie miałem jeszcze okazji mu się przyjrzeć, kiedy więc ruszyliśmy w jego kierunku, nie kryłem swej ciekawości.

– Lakowany Paznokieć nigdy nie widział Jeziora Tylnego – zwróciła się Szlachetna Nałożnica do starego eunucha. – Opowiedz mu o nim, a my wszystkie będziemy się przysłuchiwać.

Starzec ukłonił się, odchrząknął i zaczął:

– Jezioro Tylne od wielu pokoleń jest rozkoszą Syna Niebios. – Słowa te wypowiedział wysokim, śpiewnym głosem, jakby odczytywał cesarską proklamację. Zauważyłem, że kilka dam wyglądało na rozbawione, ale żadna mu nie przerwała. – Oprócz wód, w których pływa wiele złotych karpi i innych rzadkich ryb, jezioro ma dziewięć wysp, do których prowadzą kładki wyjątkowej urody. Każda wyspa, mała i duża, ma indywidualny charakter. Tam… – wskazał na wysepkę znajdującą się nieopodal – leży Wyspa Tarasu Piwonii, gdzie rośnie ponad sto gatunków tego kwiatu i gdzie wielu cesarzy układało godne uwagi wiersze. Tamta zaś… – wskazał kolejną – to Wyspa Akademii Zielonego Drzewa Wutong, gdzie cesarz lubi słuchać szumu deszczu. Dalej widać strome wzgórze, na którego szczycie znajduje się najwyższy punkt Yuanmingyuan. W rzeczywistości wzgórze to jest położone na innej wyspie. U jego podnóża wznosi się piękna Willa Wiosenna Kwiatu Moreli, ulubiony cel wiosennych wycieczek. Bardzo ważna jest także Wyspa Świątynna, na której znajdują się świątynie wszystkich najważniejszych religii.

I tak dalej, i tak dalej, aż opisał wszystkie dziewięć wysp. Podczas gdy on mówił, ja jako wielbiciel wszystkiego, co piękne i wyszukane, spogląda-

łem z zachwytem na jezioro, na ten cichy, wodny bezmiar spokoju w sercu raju, w centrum naszego świata.

– Dziękuję – odezwała się Szlachetna Nałożnica Yi, kiedy skończył. – Znakomicie. – Odwróciła się ku mnie. – Niektóre kobiety – zauważyła – nakładają czerwoną farbę na środek dolnej wargi i rozmazują ją w mały, czerwony kwadracik sięgający podbródka. Rzadko tak robię. Uważasz, że powinnam? Jakie jest twoje zdanie?

Zagapiłem się na nią ze zdumieniem.

– Chcecie znać moje zdanie, Szlachetna Nałożnico? – wyjąkałem. Nie wiedziałem, dlaczego pyta mnie o coś takiego. O co jej chodziło? I co, u licha, miałem jej odpowiedzieć?

– To całkiem proste pytanie – odrzekła. – Jeśli nie odpowiesz na nie natychmiast, uznam to za nieposłuszeństwo.

Miałem nadzieję, że żartuje, ale nie mogłem być tego pewien.

– Wasz sługa uważa, że twarz Szlachetnej Nałożnicy jest doskonale wytworna i trudno sobie wyobrazić, aby coś mogłoby ją upiększyć. – Tak się składa, że nigdy nie lubiłem mody polegającej na malowaniu dolnej wargi na czerwono, w istocie więc chciałem powiedzieć: „Nie rób tego dla mnie”, choć to oczywiście nie wchodziło w grę.

– Mówisz mi zatem, abym tego nie robiła – powiedziała z uśmiechem.

– Wasz uniżony sługa nigdy nie ośmieliłby się uczynić czegoś podobnego – odrzekłem.

– No dobrze – stwierdziła – możesz odejść. Ale wróć jutro.

Nazajutrz rano czekała na mnie z kilkoma damami dworu. Był tam również jej synek, mały książę. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, był wymalowany na jej dolnej wardze czerwony kwadracik. Ukłoniłem się nisko i nic nie powiedziałem. Ona również tego nie skomentowała.

Czy zrobiła to, żeby się ze mną podroczyć? A może chciała mi przypomnieć, że moje zdanie nic dla niej nie znaczy? Powtarzałem sobie w duchu: „Bądź ostrożny. To może nie mieć z tobą nic wspólnego”. Zapewne po kolei pytała wszystkich o zdanie, zanim zdecydowała się wypróbować czerwoną szminkę. Bez względu na powody, jakie nią kierowały, niepytany nie powinienem wypowiadać się na ten temat, ona zaś milczała. Odniosłem jednak wrażenie, że drażni się ze mną dla własnej przyjemności.

Kiedy skończyłem zajmować się jej paznokciami, co nie trwało długo, przywołała jedną ze swoich dwórek i kazała mi zająć się również jej paznokciami.

Ledwo się z tym uporałem, wszyscy obecni w komnacie odwrócili się nagle w stronę wejścia i zgięli w niskim ukłonie. Ja także się odwróciłem.

Cesarzowa mignęła mi raz czy dwa razy jeszcze w Zakazanym Mieście, ale nigdy wcześniej nie znalazłem się bezpośrednio w jej obecności, natychmiast więc ukląkłem i dotknąłem głową posadzki, składając przepisowy ukłon koutou.

– Wystarczy zwykły ukłon – usłyszałem łagodny głos. Podniosłem się z posadzki i ukłoniłem z szacunkiem.

– Niżej! – krzyknęła Szlachetna Nałożnica Yi. Spróbowałem to zrobić i nieomal przewróciłem się na twarz. Wtedy zdałem sobie sprawę, że zarówno ona, jak i cesarzowa śmieją się, bynajmniej nie złośliwie. Po prostu je rozbawiłem. – To jest Lakowany Paznokieć, ten, o którym wam opowiadałam – powiedziała Szlachetna Nałożnica.

– Słyszałam o tobie same dobre rzeczy, Lakowany Paznokciu – odezwała się cesarzowa i uśmiechnęła się do mnie.

Wiedziałem oczywiście, że jest ładna, ale muszę przyznać, że widząc ją z bliska po raz pierwszy, byłem naprawdę zdumiony. Delikatne rysy, nieskazitelna skóra: wyglądała zupełnie jak malunek na wazie.

Jak to zatem możliwe, że nie dała cesarzowi dziecka? Pan Liu twierdził, że jest bezpłodna, i być może miał rację. A może po prostu nie pociągała cesarza?

Nie jestem wielbicielem konwencjonalnego kanonu urody. Gdyby była umalowaną lalką o zimnym sercu, przypuszczam, że jej charakter mógłby zniechęcić cesarza do zbliżeń, ale ona była zupełnie inna. Emanowała słodyczą i łagodnością, będąc pod każdym względem cudowną istotą. Każdy mężczyzna pragnąłby ją wziąć w ramiona. Zawsze byłem zdania, że wystarczy czuły afekt, aby w nocy między małżonkami wszystko układało się jak trzeba; nie zapomniałem o tym, chociaż nie byłem już w pełni mężczyzną.

Zrobiło mi się jej żal; musiała czuć, że zawiodła Syna Niebios i całe cesarstwo, nie mówiąc o własnym klanie, który stracił twarz, chociaż mógł liczyć na wszelkie bogactwa, gdyby tylko spłodziła dziedzica. Każdego dnia ta biedna dziewczyna musiała przechadzać się po pałacu ze świadomo-

ścią, że inni patrzą na nią i myślą: „Oto piękna żona, która nie sprawdziła się w sypialni”.

Zastanawiałem się też, co czuła wobec konkubiny, która spisała się znacznie lepiej od niej i dała cesarzowi syna. Czy była zazdrosna? Pomyślałem, że choćby miała najmilszy charakter, trudno byłoby jej nie pałać nienawiścią do Szlachetnej Nałożnicy Yi.

Tymczasem ani tego dnia, ani później nic na to nie wskazywało. Wręcz przeciwnie – o ile zdołałem się zorientować, cesarzowa kochała nałożnicę Yi jak siostrę.

Jak konkubinie się to udało? Do tej pory się nad tym zastanawiam. Być może widziała, że cesarzowa jest samotna i potrzebuje przyjaciółki. Czyżby cesarzowa nie przepadała za spełnianiem małżeńskich obowiązków i wcale nie było jej przykro, gdy ktoś ją w nich wyręczał? Jeśli zaś chodzi o omawianie spraw państwowych z Jego Cesarską Mością, jak to robiła Szlachetna Nałożnica, to nie wyobrażam sobie, aby cesarzowa miała na to chęć lub była do tego odpowiednio przygotowana. Śmiem twierdzić, że w ogóle nie marzyła o byciu cesarzową, ale nikt nie pytał jej przecież, czego tak naprawdę chce.

Obie kobiety pozostały w komnacie, gawędząc przez jakiś czas o tym, w co najlepiej się ubrać, jak ułożyć włosy i czy po południu odwiedzić którąś z dziewięciu wysp na jeziorze. Potem Szlachetna Nałożnica dała mi znak, że mam odejść, i tego dnia już więcej jej nie widziałem.

A gdzie był cesarz? Tego właśnie pragnąłem się dowiedzieć. Gdybym mógł zaobserwować jego i Szlachetną Nałożnicę razem, zorientowałbym się, jak wygląda ich relacja, a tym samym dowiedział, co może mnie czekać w przyszłości. Czy powoli zaczynał się nią nudzić? Ile czasu mi pozostało, zanim Szlachetna Nałożnica Yi straci jego względy, a ja zostanę wygnany z raju?

Wkrótce dowiedziałem się, gdzie przebywał: w pobliżu kompleksu mieszkalnego znajdował się Pawilon Audiencyjny, w którym cesarz przyjmował ministrów, gubernatorów prowincji, a nawet posłańców z odległych poddanych mu krain, nieopodal zaś rozciągał się kompleks dziedzińców zwany Pawilonem Sumiennych Rządów, gdzie osoby z pałacu zajmowały się cesarską administracją. Gdy cesarz nie przebywał akurat w odosobnie-

niu w swoim prywatnym apartamencie, zwykle znajdował się w jednym lub drugim z tych miejsc.

W ciągu mniej więcej dziesięciu dni widziałem, jak do Pawilonu Audiencyjnego wchodzili gubernator, kilku ministrów i inni ważni ludzie, lecz chociaż służbie wolno było swobodnie poruszać się po całym terenie Pałacu Letniego, ani razu nie udało mi się zobaczyć Syna Niebios.

Do czasu, aż nawiązałem nową znajomość. Chociaż pozostali mieszkańcy pałacu odnosili się do mnie z sympatią, zdawali sobie sprawę, że nie powinno mnie być wśród nich. Nie mogłem oczekiwać, że któryś z nich ni stąd, ni zowąd zostanie moim najlepszym przyjacielem. Za to pan Ma był inny.

Natknąłem się nań przypadkiem pewnego popołudnia, gdy podczas samotnego spaceru zauważyłem ogrodzony teren. Jako osoba z natury ciekawska zajrzałem do środka.

Przypominało to warsztat lakierniczy, w którym swego czasu uczyłem się fachu. Wzdłuż okalającego plac muru stały długie, niskie szopy, środek zaś zajmowały stoły, na których zauważyłem dziesiątki miniaturowych drzewek w płytkich doniczkach. Mówiąc „miniaturowe”, mam na myśli, że wiele z nich miało zaledwie dwie stopy wysokości. Wszystkie były skrępowane sznurami, które miały ograniczać ich wzrost i nadawać im niezwykłe kształty.

Trafiłem do szkółki drzewek penzai, a pan Ma ich doglądał.

Stary i przygarbiony, przez całe życie był ogrodnikiem. Twarz miał zapadniętą, a oczy załzawione, lecz kiedy podnosił wzrok na rozmówcę, jego spojrzenie okazywało się zadziwiająco bystre.

Jako że cenię wszystko, co piękne, i zawsze chcę wiedzieć, jak powstają dzieła sztuki, nie minęło wiele czasu, jak zaczęliśmy gawędzić. Nie wydaje mi się, aby chętnie zapraszał kogokolwiek do swego królestwa, ale gdy zobaczył, że jestem szczerze zainteresowany, postanowił mnie tolerować.

– Słyszałeś o Japonii, która leży po drugiej stronie morza? – zapytał, a ja potwierdziłem. – Hodują tam takie drzewka, które nazywają bonsai. Ale to nie oni wpadli na pomysł ich hodowli – ukradli go nam. Prawie wszystko, co mają, wzięło się od nas.

– Oczywiście – odparłem. – Stanowimy wszak centrum świata. – Ta odpowiedź najwyraźniej go zadowoliła.

– Latem wystawiam drzewka na stoły, a na zimę trafiają do szop. Wszystkie drzewka penzai w Pałacu Letnim i Zakazanym Mieście pochodzą z mojej szkółki.

– Czy mogę tu jeszcze wrócić? – zapytałem, a on mi nie odmówił.

Kilka dni później znów do niego wstąpiłem. Pan Ma zajęty był regulowaniem sznurów na jednym z drzewek. Obserwowałem go z daleka, nie chcąc mu przeszkadzać.

Kiedy skończył, przywołał mnie do siebie i spytał:

– Czy zauważyłeś w tym drzewku coś niezwykłego?

– Sprawiłeś, że jego gałęzie rosną poziomo – odpowiedziałem.

– Co jeszcze?

– Korona drzewka przypomina kształtem wachlarz.

– Świetnie. To jest styl pekiński. – Skinął głową. – Kiedy krępujemy drzewko penzai sznurami, nie powstrzymujemy jego wzrostu, tylko ograniczamy go w obrębie małej przestrzeni. W rezultacie drzewo wygląda na delikatne, ale jest bardzo mocne. Cała jego siła, energia jest w nim uwięziona.

– To jak z dziełem sztuki – zauważyłem. – Naturalna energia zostaje wtłoczona we wzór, skąd nie może się wydostać.

Pan Ma już miał pokiwać głową z aprobatą, gdy coś przykuło jego uwagę. Chudą dłonią chwycił mnie za ramię i padł na kolana, pociągając za sobą na ziemię. Spojrzałem w stronę wejścia i zobaczyłem samotnego mężczyznę w towarzystwie dwóch eunuchów. Pan Ma zaczął składać mu ceremonialny ukłon koutou, domyśliłem się więc, z kim mam do czynienia.

Spodziewałem się chyba, że cesarz będzie bogato odziany w żółte cesarskie szaty, jak na oficjalnych portretach, on tymczasem miał na sobie luźną brązową szatę przepasaną pasem, jakie noszą mnisi albo uczeni, a na głowie prostą czerwoną czapeczkę w kształcie stożka, taką samą jak dwaj towarzyszący mu eunuchowie. Był jeszcze dość młody, nie miał nawet trzydziestu lat, ale jego twarz wydawała się zmęczona, a oczy były zapadnięte. Nie byłem pewien, ale odniosłem wrażenie, że w jednym oku ma nerwowy tik. Podobne objawy widywałem u obdartych biedaków żyjących na ulicy, ale zobaczyć młodego cesarza w takim stanie? To dopiero był wstrząs!

Gdy tylko się podnieśliśmy, odsunąłem się na bok, cesarz zaś zwrócił się do starego ogrodnika.

– Potrzebujemy jeszcze trzech albo czterech drzewek w apartamentach, panie Ma – odezwał się życzliwym tonem. – Czy pomoże mi pan je

wybrać?

Spędzili razem kilka minut na wybieraniu drzewek: cesarz zadawał pytania, a stary pan Ma odpowiadał mu łagodnym głosem. Potem usłyszałem, jak starzec mówi:

– Dostarczymy je bezzwłocznie, Wasza Cesarska Mość.

Naraz cesarz westchnął.

– Jak tutaj spokojnie – powiedział. – Zawsze mi lepiej, kiedy pana odwiedzam.

Wydawało mi się to dziwne, skoro cesarz miał do dyspozycji cały rajski Yuanmingyuan, istną oazę spokoju, przynajmniej w moim odczuciu. Przypuszczam jednak, że on tak tego nie odbierał.

Zaczekałem, aż cesarz się oddali, po czym także się pożegnałem.

Następnego dnia, po raz pierwszy od czasu mojego przyjazdu do Pałacu Letniego, wchodząc do kwater eunuchów obok rezydencji cesarskiej, stanąłem twarzą w twarz z głównym eunuchem Liu. Nie miałem najmniejszej ochoty na to spotkanie, ale nie pozostało mi nic innego, jak tylko ukłonić mu się nisko.

– No proszę – odezwał się. – Czy osoby z pałacu dobrze cię traktują?

– Tak, panie Liu – odpowiedziałem. – To bardzo miłe, że pan pyta.

– Masz jakichś nowych znajomych?

– Wasz sługa dopiero co tutaj przybył – wyjaśniłem – miałem jednak zaszczyt poznać pana Ma. Jest tak dobry, że rozmawia ze mną, ilekroć odwiedzam jego szkółkę drzewek.

– Zawsze nawiązujesz interesujące przyjaźnie – zauważył. Zabrzmiało to niemal życzliwie. – Widziałeś już cesarza?

– Wasz uniżony sługa widział cesarza wczoraj, kiedy był z wizytą u pana Ma – odparłem.

– I co o nim sądzisz?

Czy próbował zastawić na mnie pułapkę? Liczył, że powiem coś złego o Synu Niebios, co mógłby powtórzyć komu trzeba?

– Jego Cesarska Mość był bardzo uprzejmy wobec pana Ma – powiedziałem ostrożnie. – Sługa wasz odniósł wrażenie, że darzy staruszka sympatią. – Bądź co bądź taka była prawda.

Na moment twarz pana Liu jakby złagodniała.

– Istotnie. Pan Ma to niewątpliwie kochany staruszek. Co jeszcze zauważyłeś?

– Jego Cesarska Mość powiedział, że odczuwa tam spokój. Może był zmęczony?

– To wrak człowieka. Oczywiście jest jeszcze młody. Przypuszczam, że może przeżyć wiele lat. – Podobnie jak przy poprzednich okazjach, tak i teraz nie byłem pewien, czy pan Liu mówi do mnie, czy do siebie. – No cóż, czas na mnie – rzucił nagle i zostałem sam.

Miałem teraz kolejny powód do zmartwienia. Moje życie zależało nie tylko od Szlachetnej Nałożnicy Yi, ale także od tego, jak długo będzie żył Syn Niebios. A z tego, co usłyszałem, nie zapowiadało się, aby doczekał późnej starości.

Nie miałem pojęcia, co się ze mną stanie, jeśli cesarz umrze.

Kilka dni później ponownie odwiedziłem pana Ma. Podążałem za nim w milczeniu, czekając, aż sam mnie zagadnie, jeśli będzie miał na to ochotę. Po pewnym czasie pokazał mi niezwykle splątane drzewko i stwierdził, że ma tyle lat co on. Nie chciałem go pytać o wiek, więc tylko uprzejmie skinąłem głową.

– Wiesz, że penzai mogą dożyć nawet kilkuset lat? – powiedział, po czym odwrócił się i spojrzał na mnie swoimi załzawionymi oczami. – Ja jeszcze tyle nie mam – dodał.

Roześmiałem się i ukłoniłem.

– Jeszcze nie, mistrzu – przyznałem. Cieszyłem się, że pozwolił sobie wobec mnie na ten żart, i nazwałem go mistrzem, ponieważ naprawdę nim był. Mój komplement nie umknął jego uwadze; pan Ma przyjął go w milczeniu.

Ośmieliło mnie to na tyle, że kilka minut później zadałem mu pytanie dotyczące mnie samego.

– Jestem bardzo szczęśliwy, mogąc was tutaj odwiedzać, mistrzu – zacząłem. – Ale jest to możliwe tylko dzięki przychylności Szlachetnej Nałożnicy Yi. Bez jej łaski pan Liu od razu by mnie stąd odesłał.

– Tak słyszałem – przyznał.

– Czasami wydaje mi się, że mimo wszystko pan Liu mnie lubi – ciągnąłem. – Zauważyłem też, że wszyscy mieszkańcy pałacu są dla mnie bardzo mili, a nie zachowywaliby się tak, gdyby im tego zabronił. Czy możecie mi wyjaśnić, co to wszystko znaczy? Czy to możliwe, aby pan Liu kiedyś zmienił zdanie i został moim przyjacielem… gdybym na przykład pewnego

dnia utracił względy Szlachetnej Nałożnicy? – Można powiedzieć, że jak tonący chwytałem się brzytwy, ale bardzo chciałem znaleźć jakiś sposób na pozostanie w tym raju.

Staruszek nie od razu mi odpowiedział. Po dłuższej chwili milczenia uznałem, że w ogóle tego nie zrobi.

W końcu jednak zadał mi pytanie.

– Dlaczego pan Liu nakazał osobom z pałacu okazywać ci życzliwość?

Gdy nie znalazłem na to odpowiedzi, podjął:

– Gdyby mieszkańcy pałacu traktowali cię nieżyczliwie, Szlachetna Nałożnica szybko by się o tym dowiedziała, prawda?

– Chyba tak – przyznałem. – Właściwie nawet sama mnie zapytała, czy inni okazują mi przyjaźń.

– Ano właśnie. Gdyby tak nie było, obwiniłaby o to pana Liu i byłaby na niego zła. A on, pomimo swojej wysokiej pozycji, nie może sobie na to pozwolić. Ale jest jeszcze jeden powód, dla którego pan Liu chce, żeby wszyscy byli dla ciebie mili. Domyślasz się jaki?

– Nie – wyznałem.

– Pragnie, abyś był szczęśliwy.

– To znaczy, że darzy mnie sympatią?

– Jesteś inteligentny, więc to całkiem możliwe. Ale nie o to chodzi: chce, żebyś był szczęśliwy, aby pewnego dnia, kiedy cię stąd odeśle, twój ból i upokorzenie były tym większe.

– Dlaczego?

– Żeby okazać w ten sposób swoją władzę nad tobą. – Zrobił pauzę, aby jego słowa do mnie dotarły. – Nikt cię stąd nie wypędzi. Ze strachu przed nim wszyscy mieszkańcy pałacu będą się do ciebie uśmiechali, abyś, kiedy nadejdzie dzień zapłaty, został z jego rozkazu zniszczony. Oni zaś wszyscy będą się temu przyglądać. To taki rytuał: pan Liu musi cię poświęcić, aby ocalić własną twarz, nawet jeśli cię lubi.

– Byłem bardzo głupi – przyznałem.

– Tak to już jest w pałacu. Zbyt szybko awansowałeś. Jeśli chcesz się wybić w świecie, potrzebujesz wielu przyjaciół.

– Czy wam przytrafiło się kiedyś coś podobnego? – zaciekawiłem się.

– Nie, zawsze trzymałem się ogrodnictwa. – Uśmiechnął się gorzko. – Tylko moje drzewka są mi posłuszne.

Często słyszy się narzekania na letnią pogodę w Pekinie, lecz ja nigdy się na nią nie skarżę. Najpierw, w miesiącu, który barbarzyńcy nazywają majem, zaczyna się piętnastodniowy okres, który zwiemy Powitaniem Lata. Potem jest Pełnia Ziarna, Kłos Ziarna, a po nim Przesilenie Letnie – w sumie jakieś sześćdziesiąt dni, przeważnie pogodnych i słonecznych. Czy skwar bywa nieznośny? Czy jest nazbyt parno? Nie w Pekinie.

Po piętnastu dniach Przesilenia Letniego nadchodzą z początku mniejsze, potem większe upały. Przyznaję, że bywa wtedy gorąco i parno. Początkowo zdarzają się burze, a później ulewy. Ubrania lepią się do skóry, ale nie ma co narzekać – ziemia potrzebuje wody.

O ile bowiem Przesilenie Zimowe jest męskim okresem yang – cesarz musi być wówczas w Zakazanym Mieście, aby złożyć ofiarę w intencji powrotu słońca na nieboskłon – o tyle Przesilenie Letnie jest czasem żeńskiego yin, gdy ziemia wydaje owoce i jest pojona przez deszcz.

Wśród wzgórz i jezior Pałacu Letniego prawie nie odczuwa się wilgotności, więc gdy rozległy się pierwsze grzmoty, zasłony deszczu przesłoniły niebo, a błyskawice rozświetliły dziewięć wysp na jeziorze, muszę przyznać, że przeżyłem jedne z najbardziej ekscytujących chwil w życiu.

Jeśli chodzi o świat zewnętrzny, to w owym roku, przed Przesileniem Letnim, w zasadzie o nim zapomniałem. Tajpingowie byli daleko i nic nie zwiastowało powrotu barbarzyńców. Po tym, jak kończyłem pielęgnować paznokcie Szlachetnej Nałożnicy Yi oraz jej dam dworu, często kazała mi dotrzymywać sobie towarzystwa, dzięki czemu po południu lub wieczorami wraz z większą grupą osób mogłem odwiedzać pobliskie wyspy. Czasami eunuchowie wystawiali krótkie sztuki, aby nas rozbawić. Kilku z nich było wybitnymi muzykami – jeden ze starszych eunuchów mistrzowsko grał na dwudziestojednostrunowej cytrze guzheng, inny na bambusowym flecie, jeszcze inny na lutni. Jednak najbardziej magiczne chwile przeżywałem, słuchając żałobnej pieśni dwustrunowego erhu[5], która niosła się nad wodami jeziora, podczas gdy słońce chyliło się ku zachodowi.

Odkryłem też inną ciekawostkę związaną z Pałacem Letnim: był on nie tylko najpiękniejszym parkiem na świecie, ale i gigantycznym skarbcem. Każda willa, każda świątynia pełna była najwspanialszych przedmiotów – porcelany, wyrobów z laki, posągów ze złota, mebli inkrustowanych masą perłową i drogocennymi klejnotami, wspaniałych jedwabnych gobelinów, jadeitów, obrazów… Tę kolekcję tworzono przez całe stulecia. Nawet w kwaterach eunuchów znajdowały się piękne stare łóżka, krzesła

i dywany. W przejściu przy głównej bramie, w zasięgu ręki, wisiał na murze błyszczący starożytny miecz o rękojeści inkrustowanej rubinami, według mnie bezcenny. Przypuszczam, że ktoś powiesił go tam na chwilę, może przed stu laty, a potem o nim zapomniał.

Podczas Powitania Lata Szlachetna Nałożnica Yi oznajmiła mi, że powinienem wybrać się na dzień albo dwa z wizytą do domu, co było bardzo miłe z jej strony. Poinformowałem o tym fakcie pana Liu, który wypłacił mi należne wynagrodzenie.

Moja mała rodzina ucieszyła się na mój widok. Kupiłem podarki dla rodziców i obu moich synków, a dla Róży piękny malowany wachlarz. Oczywiście chcieli wiedzieć wszystko o Pałacu Letnim, a ja szczegółowo opisałem im cuda, jakie miałem okazję oglądać. Ojciec był pod szczególnym wrażeniem skarbów, o których mu opowiedziałem.

– Muszą mieć wielu żołnierzy, żeby tego wszystkiego pilnowali – zauważył – inaczej zostałyby już dawno rozkradzione.

– Po pierwsze – wyjaśniłem mu – żołnierze nie mają wstępu na teren Pałacu Letniego, ponieważ nie są eunuchami, chociaż zawsze kilku z nich czuwa na posterunku przy zewnętrznej bramie. Po drugie, nikt z mieszkańców pałacu niczego by nie ukradł. To nie do pomyślenia.

– Co ty wygadujesz? – obruszył się. – A co z eunuchami, którzy przyjmują łapówki? Albo z ludźmi pokroju pana Chena, biorącymi procent od każdego kontraktu? Czyżbyś nie zamierzał pójść w ich ślady?

– To całkiem co innego – odpowiedziałem. – Mówicie, ojcze, o przywilejach, które wiążą się z tą pracą. Nikt się z tym nie kryje.

– Nie widzę wielkiej różnicy – odparł. – Też chodzi tylko o to, żeby zagarnąć dla siebie jak najwięcej.

– Myślicie, że ukradłbym dzieło sztuki z pałacu?! – wykrzyknąłem. – Prędzej bym chyba umarł!

Ojciec dokładnie tak właśnie postąpił, kradnąc lakowaną szkatułkę, co wpędziło mnie w kłopoty – i doskonale o tym wiedział, może więc nie powinienem był mu o tym przypominać. Okazałem mu brak szacunku, lecz wcale mnie to nie obeszło.

– Cóż, nie będziemy się o to spierać – rzekł.

– Nie będziemy – przytaknąłem. Z radością stwierdzam, że to była jedyna nieprzyjemna rozmowa, jaką odbyliśmy podczas moich odwiedzin w domu. Bawiłem się z synkami i spędziłem całkiem miłą noc z żoną, która wyraziła nadzieję, że wkrótce znowu się zobaczymy.

Podczas letnich miesięcy coraz częściej zdarzało mi się widywać cesarza i Szlachetną Nałożnicę Yi razem. Być może nasz władca miał teraz mniej zajęć, bo wraz z cesarzową, Szlachetną Nałożnicą Yi oraz innymi damami dworu regularnie uczestniczył w przyjęciach wyprawianych na dziewięciu wyspach. Nigdy nie odezwał się do mnie osobiście, ale widać było, że wie, kim jestem, i nawet uśmiechnął się do mnie pewnego wieczoru, gdy słuchaliśmy muzyki.

Czy pomiędzy nim a Szlachetną Nałożnicą były jakieś nieporozumienia? Obserwowałem ich, ilekroć miałem po temu okazję, ale Przesilenie nadeszło i minęło, a ja nie dostrzegłem żadnych przejawów niezgody. Wydawali się cieszyć swoim towarzystwem, słyszałem nawet, że dość często dzielili ze sobą łoże.

Trudno mi się wypowiadać co do stanu zdrowia cesarza – w niektóre dni wyglądał nieco lepiej, w inne nieco gorzej. Ciekawiło mnie, kto zarządzałby cesarstwem, gdyby coś mu się stało, ale w pałacu niebezpiecznie jest zadawać tego rodzaju pytania, zachowywałem je więc dla siebie.

Raz tylko dała mi do myślenia uwaga rzucona pewnego ranka przez pana Ma. Wracaliśmy z jego szkółki do kwater eunuchów, gdy pod wejście Pawilonu Audiencyjnego podjechał powóz. Ukłoniliśmy się nisko, kątem oka dostrzegając wysiadające z niego cztery postacie.

Co pewien czas któryś z książąt z cesarskiego rodu przyjeżdżał, aby zobaczyć się z cesarzem. Czasami zostawali na wieczornym przyjęciu i nocowali wówczas w jednej z gościnnych pałacowych willi. Było ich wielu i w większości należeli do potomków braci poprzedniego cesarza. Niektóre z tych pokrewieństw sięgały wieków wstecz, a dokładna ranga każdego z książąt zależała od tego, jak wielkich czynów dokonali ich przodkowie, oraz od obecnie piastowanego urzędu.

W pierwszej kolejności ukazała nam się wysoka sylwetka księcia Sushuna i jego brata, księcia Zhenga; obaj należeli do cesarskiego rodu i byli doradcami cesarza.

Drudzy z powozu wysiedli przyrodni bracia cesarza, książęta Chun i Gong. Cesarz miał bowiem kilku przyrodnich braci, których matkami były różne konkubiny, wszyscy zaś byli od niego młodsi.

Książę Chun był bardzo przystojnym młodym wojskowym; liczył sobie zaledwie dwadzieścia lat, ale właśnie ożenił się z siostrą Szlachetnej Nałożnicy Yi, co stanowiło zapewne sprytne posunięcie z jego strony, choć oczy-

wiście młoda para już wcześniej miała się ku sobie. Absorbowały go głównie obowiązki wojskowe i nieczęsto widywaliśmy go na dworze.

Tym, który naprawdę się liczył, był książę Gong, urodzony z innej matki niż cesarz i zbliżony do niego wiekiem. Nie prezentował się zbyt urodziwie – na policzku miał niewielką bliznę po czyraku, który został chyba źle nacięty, poza tym wysokie, wypukłe czoło i szeroko rozstawione oczy. Jak na swój wiek, odznaczał się wielką mądrością.

Widywałem go już wcześniej kilka razy, przebywał bowiem nie tylko w najbliższym otoczeniu cesarza, ale także pewnej starszej damy dworu, którą często odwiedzał, a która zamieszkiwała w willi niedaleko jeziora. Była to jedna z konkubin jego ojca cesarza, a po przedwczesnej śmierci jego własnej matki w zasadzie traktowała go jak syna. Nazywał ją ciocią i był jej bardzo oddany.

Stary pan Ma nie patrzył jednak na księcia Gonga, lecz na Sushuna i jego brata.

– Oho, zlatują się sępy – mruknął. Mogła to być zwykła gra świateł, ale książę Sushun i jego brat rzeczywiście wydali mi się dziwnie podobni z wyglądu do drapieżnych ptaków.

– Są aż tacy groźni? – wyszeptałem.

– Sushun jest bardzo bogaty – odpowiedział stary ogrodnik – ale zawsze mu mało, dlatego postarał się, aby oddano mu pieczę nad skarbcem. Ludzie go nienawidzą. – Zaczekał, aż książęta znikną w środku. – Wielka szkoda, że ostatni cesarz umarł tak młodo. Jak wiesz, każdy władca może wybrać następcę spośród swoich synów. Książę Gong już jako chłopiec świetnie się zapowiadał, zarówno jako żołnierz, jak i administrator, lecz jego starszy brat lepiej się uczył, więc ojciec wybrał jego. Gdyby pożył dłużej, być może odkryłby słabość charakteru starszego syna i wybrałby księcia Gonga.

– Czy jeśli cesarz umrze – odważyłem się spytać, bo byliśmy teraz całkiem sami – książę Gong ma szansę zostać…?

– Nie. Zasady zostały już dawno ustalone: tron musi przechodzić z pokolenia na pokolenie, w przeciwnym razie cesarscy bracia zaczęliby walczyć ze sobą. W przeszłości już tak się zdarzało. – Pokiwał głową. – Zawsze należy uczyć się na błędach.

– Dlaczego nazwaliście ich sępami?

– Wszyscy co do jednego są żądni władzy. Im słabszy cesarz, tym większą mają nad nim kontrolę. Rządy poprzez doradztwo – na tym to polega. W tej kwestii nawet książę Gong niewiele się od nich różni. Czy wiesz,

jakie motto sobie wybrał? „Serce nie zna prywaty”, co ma oznaczać, że pragnie służyć, nie myśląc o sobie. – Pan Ma uśmiechnął się. – Wierzysz, że to w ogóle możliwe?

– Nie wiem – przyznałem.

– On chciałby rządzić zza kulis. W zasadzie może byłoby to najlepsze rozwiązanie.

– Gdyby zatem cesarz umarł, kto zasiadłby na tronie? – zapytałem szeptem.

– Wszystko zależy od tego, kogo cesarz wyznaczy na swojego następcę. W zwykłych okolicznościach wybrałby któregoś ze swoich dorosłych bratanków, ale żadnego się jeszcze nie doczekał. Mógłby też namaścić syna któregoś ze swoich cesarskich kuzynów, gdyby ten przyszedł na świat w odpowiednim pokoleniu. Dotychczas większość cesarzy, otoczonych nałożnicami i konkubinami, miała licznych synów i wnuków, więc ktoś zawsze by się znalazł.

– A co z synkiem Szlachetnej Nałożnicy Yi? – chciałem wiedzieć.

– Trochę jeszcze za młody do rządzenia, nie uważasz?

Nie odpowiedziałem. Pomyślałem, że jeśli cesarz umrze i na tronie zasiądzie któryś z książąt, Szlachetna Nałożnica Yi będzie mogła mówić o wielkim szczęściu, jeśli otrzyma komnatę w którejś z pałacowych willi; niewykluczone jednak, że spotka ją gorszy los. Tak czy inaczej, nie zwiastowało to dla mnie niczego dobrego.

Nadeszło Przesilenie Letnie. Dawniej obchodzono je jako trzydniowe święto, obecnie świętujemy tylko przez jeden dzień. Było jednak bardzo przyjemnie: damy dworu obdarowywały się nawzajem kolorowymi wachlarzami i małymi, słodko pachnącymi saszetkami. Te ostatnie były zresztą bardzo pożądane podczas pobytu nad jeziorem, ponieważ ich zapach odstraszał komary.

Wszyscy jedliśmy makaron. Na południu podczas Przesilenia jada się psie mięso i owoce liczi – za żadnym z tych smakołyków nie przepadam, dlatego to kolejny dobry powód, żeby nie mieszkać na południu.

Osiem dni po Przesileniu Szlachetna Nałożnica Yi ponownie wysłała mnie do domu na całe trzy dni. Kiedy wróciłem, akurat zaczęła się pełnia księżyca i po zmierzchu wszyscy łącznie z cesarzem wylegliśmy na mostki łączące wyspy, aby w gęstniejącym mroku wypatrywać księżycowego odbi-

cia w wodzie. Najlepszy muzyk na dworze wypłynął łodzią na jezioro, żeby przygrywać nam na erhu, i chociaż świerszcze okropnie hałasowały, to pogoda była bezwietrzna i słyszeliśmy każdą nutę. Do śmierci będę to pamiętał.

Po święcie Przesilenia nastąpiło dwadzieścia dni spokoju. Wszyscy wydawali się szczęśliwi. Okres Lżejszego Upału okazał się całkiem łagodny, lecz wraz z nastaniem Wielkiego Upału parne powietrze stało się uciążliwe. Zanosiło się na burzę i wszyscy niecierpliwie wyczekiwaliśmy wytchnienia, jakie zwiastowała, kiedy nadeszły złe wieści.

Posłaniec, który je przyniósł, przybył godzinę po świcie. Cesarz wraz z rodziną wybierali się tego popołudnia na Wyspę Świątynną, więc kiedy dowiedzieliśmy się, co zaszło, założyliśmy, że wycieczka zostanie odwołana. Tak się jednak nie stało. Przyszło mi do głowy, że może cesarz chce się pomodlić w którejś ze świątyń.

Książę Gong przebywał właśnie w Pałacu Letnim, w odwiedzinach u damy dworu, którą nazywał ciocią, nie trzeba było zatem po niego specjalnie posyłać. Książę Sushun i jego brat zostali zawezwani z miasta wraz z trzema albo czterema ministrami. Przybył z nimi także pan Liu; wyglądało na to, że cesarz zamierza odbyć naradę na wyspie.

Jak już wspominałem, cesarzowa, kilka dam dworu oraz Szlachetna Nałożnica Yi i jej syn także mieli tego dnia wybrać się na wyspę. Nie wiem, czy cesarz zapomniał wydać odpowiednie polecenie, czy też chciał, aby mu towarzyszyli, w każdym razie gdy całe towarzystwo pojawiło się na przystani, nasz władca, który właśnie wyruszał w drogę, nie odesłał ich z powrotem. A ponieważ Szlachetna Nałożnica Yi kazała mi być w pobliżu, abym mógł jej usługiwać, ja również przeprawiłem się na wyspę. Trzymałem się jednak z tyłu, razem ze służbą, i starałem się nie zwracać na siebie uwagi pana Liu. Oczywiście zauważył mnie i pokręcił głową z niedowierzaniem, ale nic nie powiedział.

Wyspa Świątynna leżała w zatoczce na północnym krańcu jeziora. Znajdowała się tam świątynia buddyjska i taoistyczna kapliczka, a także piękny dom Smoczego Króla, władcy mórz, sprowadzającego na ziemię deszcz. Świątynie były bardzo piękne, zdobione złotymi ornamentami i zanim zaczęto omawiać bieżące sprawy, cesarz odwiedził je wszystkie po kolei, składając stosowne ofiary.

Jeden z budynków na wyspie zwrócił moją uwagę: była to pagoda z dzwonnicą, wysoka na trzy piętra. Oczywiście nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby całej fasady na wysokości drugiej kondygnacji nie pokrywała duża, okrągła, biała tarcza zegara. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego na żadnej chińskiej budowli. Wyglądało to bardzo osobliwie, zwłaszcza w kompleksie świątynnym. Przyglądałem się jej zaintrygowany, gdy obok mnie stanął pan Liu.

– Co za szkaradztwo – rzekł.

– Niezwykła rzecz, panie Liu – odpowiedziałem ostrożnie.

– Powiem ci, jak się tam znalazło – kontynuował. – Ponad sto lat temu cesarz Qianlong pozwolił kilku barbarzyńskim kapłanom przybyć na swój dwór. Kapłanów tych zwano jezuitami. Nie mieli żon, ale byli dość dobrze wychowani i posłuszni. Okazali się zaskakująco uzdolnieni, jeśli chodzi o matematykę i malarstwo – na swój sposób, rzecz jasna – mieli też sporą wiedzę o geografii. Od tamtego czasu straciliśmy zainteresowanie geografią, ponieważ wydaje się ona mało istotna dla naszego życia, ale cesarz Qianlong, który był wielkim człowiekiem, pożądał każdego rodzaju wiedzy. Pozwolił nawet tym jezuitom odwiedzić Pałac Letni, a oni namalowali kilka podobizn jego i jego rodziny.

– Nic o tym nie wiedziałem, panie Liu – przyznałem.

– Jezuici liczyli chyba, że cesarz Qianlong pozwoli im nawracać mieszkańców swojego imperium. Dobrze, że tego nie uczynił, gdyż owi jezuici czcili Jezusa tak jak tajpingowie, a popatrz tylko, jakie kłopoty zgotowali nam ci ostatni.

– Sługa wasz bardzo się cieszy, że cesarz tak właśnie postąpił – odrzekłem życzliwym tonem.

– Wiedział, jak sobie z nimi poradzić. – Pan Liu pokiwał głową.

– To znaczy, panie?

– Za pomocą chińskiej dyplomacji. Zasada numer jeden: schlebiać barbarzyńcom. Zasada numer dwa: dawać im nadzieję. Zasada numer trzy: kazać im czekać. Cesarz podziwiał niektóre z ich umiejętności, na przykład konstruowane przez nich zegary. Zamiast pozwolić im postawić na wyspie świątynię ich boga, zezwolił na umieszczenie zegara na pagodzie. Podobno sprawiło im to ogromną radość.

– Chyba potrafię to sobie wyobrazić, panie – odpowiedziałem ze śmiechem. – Ilekroć cesarz widział kapłana, mówił: „Byłem właśnie na Wyspie

Świątynnej, mój drogi przyjacielu, i mogę cię zapewnić, że twój wspaniały zegar nadal znakomicie odmierza czas”.

Pan Liu popatrzył na mnie.

– Jesteś całkiem zabawny – zauważył. – Trzeba ci to przyznać.

– Za pozwoleniem, wasz uniżony sługa pragnąłby zapytać, czy barbarzyńscy kapłani nie okazywali zniecierpliwienia.

– Być może. Cała sztuka polega jednak na tym, żeby być uprzejmym i dobrze ich traktować, tak by nie mieli na co narzekać. Stopniowo – jak w przypadku mężczyzny zakochanego w niedostępnej kobiecie – nadzieja na to, co być może nigdy nie nastąpi, staje się wartością samą w sobie. – Uśmiechnął się. – Nasza dyplomacja wobec jezuitów okazała się równie niezawodna jak ich zegary – choć te odmierzają tylko godziny, podczas gdy historię naszej dyplomacji liczy się w stuleciach.

– Teraz na dworze nie ma już jezuitów?

– Od dawna nie. Czasami przekradają się bez pozwolenia na tereny cesarstwa i usiłują nawracać chłopów w głębi kraju, ale zazwyczaj udaje nam się ich schwytać i zgładzić. Bądź co bądź łamią nasze prawo.

– Oczywiście – przyznałem. – W pełni zasługują na karę, jaka ich spotyka.

Po tym, jak cesarz zakończył składanie ofiar w świątyniach, kazano wszystkim stawić się przed jego obliczem. Przed pagodą znajdował się skrawek ziemi, a dalej nieduży staw; sceneria była naprawdę malownicza, o ile tylko nie patrzyło się na zegar. Słudzy ustawili tam duży fotel dla cesarza i kilka zadaszonych ławek dla jego dworaków. Szlachetna Nałożnica Yi usiadła na swojej ławce, a ja ukląkłem na ziemi tuż za nią. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, podczas gdy ja widziałem niemal wszystkich i słyszałem każde słowo.

Jakie to dziwne: gdy wielcy tego świata dyskutują o ważnych sprawach, zdają się w ogóle nie zauważać obecności służby. Może nam ufają, zapominają o naszym istnieniu albo traktują nas jak element umeblowania, a może po prostu lubią mieć publiczność. Przypuszczam, że gdyby cesarz planował morderstwo brata alby inny zły uczynek, wolałby, rzecz jasna, zachować swoje zamiary w tajemnicy, ale ogólnie rzecz biorąc, to doprawdy niesłychane, co można usłyszeć, przebywając na dworze. Tego popołudnia z pewnością dowiedziałem się wszystkiego, co mnie interesowało.

Cesarz wyglądał na zmęczonego, rozpoczął jednak naradę w bardzo oficjalny sposób:

– Wszyscy słyszeliście nowiny. Brytyjski barbarzyńca, lord Elgin, powrócił. Przybył wraz z francuskim wysłannikiem, baronem Grosem, który również był tutaj wcześniej. – Następnie zwrócił się do księcia Sushuna: – Czy nadal przebywają w Hongkongu?

– Tak sądzimy, Wasza Wysokość. Przypuszczamy, że planują kolejny wypad na północ.

– Jak liczne jest ich wojsko? – chciał wiedzieć cesarz.

– W sumie towarzyszy im prawie dwadzieścia tysięcy brytyjskich i francuskich żołnierzy.

– Czyli jest ich dużo – stwierdził cesarz. Odniosłem wrażenie, że wzdrygnął się, mówiąc te słowa, nie wiem jednak, czy na myśl o barbarzyńskich wojskach, czy po prostu coś go zabolało. – Czy są w stanie pokonać naszą obronę?

– W tej kwestii najlepszej odpowiedzi może udzielić pan Liu – rzekł książę Sushun. Wszyscy spojrzeli na głównego eunucha.

Nie widziałem dotąd, aby pan Liu znalazł się w takiej sytuacji, ale muszę przyznać, że świetnie sobie poradził.

– Nie uważam się za znawcę wojskowości – odparł stanowczym tonem – lecz jak wiadomo Waszej Cesarskiej Mości, przeprowadziłem ostatnio dokładną inspekcję naszych fortów. W ubiegłym roku, gdy barbarzyńcy je zaatakowali, zostali odparci. Od tego czasu rozbudowaliśmy wszystkie umocnienia. Barbarzyńcy musieliby się przedzierać przez wiele mil błota i najróżniejszych przeszkód. Nawet armaty nie na wiele im się zdadzą. Nasi oficerowie woleliby raczej umrzeć niż się poddać, a wojsko jest dobrze dowodzone. Każda próba zdobycia fortów będzie dla nich oznaczała olbrzymie straty, z pewnością większe, niż mogą sobie na to pozwolić.

Zachował się bardzo sprytnie: nie obiecywał wprost zwycięstwa, a zarazem trudno było dyskutować z przedstawionymi przez niego faktami.

Znużony cesarz skinął głową.

– Chciałbym, aby ktoś mógł mi objaśnić prawdziwy charakter tych barbarzyńców. Pisano wszak listy do królowej brytyjskiej, ale nigdy nie otrzymałem od niej odpowiedzi. Czy oni próbują zniszczyć nasze imperium? – Rozejrzał się bezradnie po kręgu swoich doradców. Ani książę Sushun, ani jego brat nie odpowiedzieli, pan Liu wpatrywał się w swoje stopy, a twarze pozostałych ministrów nie wyrażały absolutnie niczego. Żaden nie chciał

wypowiedzieć się w tej sprawie. Cesarz zwrócił się zatem do księcia Gonga: – Cóż powiesz, bracie?

Książę Gong nie uląkł się odpowiedzialności. Czyżbym w jego oczach dostrzegł cień pogardy, gdy spoglądał na grono doradców? Być może; nie byłem tego pewien.

– Wasza Cesarska Mość, rozmawiałem z każdym, kto miał do czynienia z tymi ludźmi – odparł stanowczo – i jestem przekonany, że barbarzyńców z Zachodu interesuje tylko jedno: pieniądze. Pragną z nami handlować. Statki i wojsko, które zapewnili im ich władcy, mają za zadanie zniszczyć wszystko i wszystkich, którzy staną im na drodze do zdobycia majątku.

– Czy ich władcami mogą kierować aż tak niskie pobudki? – nie dowierzał cesarz.

– Odkryłem coś ciekawego na temat ich okrętów wojennych, szczególnie tych należących do Brytyjczyków, którzy są do nas najbardziej wojowniczo nastawieni. Wygląda na to, że poza skromnym żołdem marynarze otrzymują zapłatę w postaci udziału od wartości statków i skarbów, które uda im się zdobyć. To jest ich główne źródło utrzymania, od największego admirała do najskromniejszego majtka.

– Więc nawet ich władcy postępują po piracku!

– W rzeczy samej. Tak było przez wieki. Weźmy też pod uwagę, że ilekroć próbowaliśmy powstrzymać ich niecny handel opium, wysyłali wyposażone w działa okręty, wymuszali na nas haniebne traktaty i żądali reparacji tak wielkich, że nawet nasz skarb uginał się pod ich ciężarem. Czym to się różni od przestępczych gangów, które niestety grasują w naszych miastach i wymuszają na mieszkańcach pieniądze za ochronę?

– To dokładnie to samo – przyznał cesarz.

– Wszystko nabiera sensu, jeśli przyjmiemy, że ich jedynym celem jest handel, piractwo i wymuszanie haraczy. – Książę Gong przerwał na chwilę. – A jednak, co dziwne, może to być dla nas dobra wiadomość.

– Jak to?

– Skoro zależy im wyłącznie na pieniądzach, to nie mają żadnego powodu, aby zniszczyć lub zająć nasze cesarstwo. Dotychczas, poza wymuszeniami wynikającymi z ich chciwości, nie istnieją żadne przesłanki sugerujące, że ich celem jest podbój Chin. Obawialiśmy się na przykład, że sprzymierzą się z tajpingami, jednak, choć najwyraźniej wyznają tę samą religię co tajpingowie, nie podjęli żadnej próby stworzenia z nimi wspólnej armii. – Z pewną satysfakcją rozejrzał się po zgromadzonych. – Posunął-

bym się jeszcze dalej, Wasza Cesarska Mość. Przypuszczam, że moglibyśmy sprawić, aby Brytyjczycy nam służyli, skoro ponad wszystko inne pożądają pieniędzy.

– Jak mielibyśmy tego dokonać?

– Zapłacić im, aby skierowali swoje działa przeciwko tajpingom.

– No cóż. – Cesarz zwrócił się do pozostałych: – Co o tym sądzicie?

Ciekaw byłem ich zdania. Pomysł księcia Gonga był śmiały i przebiegły. Widać było, że im się nie podobał.

– Myślę, że powinniśmy zaczekać i przekonać się, co uczynią barbarzyńcy – odezwał się książę Sushun.

– Zaczekajmy i przekonajmy się – zawtórował mu brat.

– Zaczekajmy i przekonajmy się – przyklasnęli im ministrowie.

Następnie cesarz zwrócił się do swojej cesarskiej małżonki z pytaniem, jakie jest jej zdanie w tej kwestii. Zdziwiłem się, że tak postąpił przy wszystkich obecnych tam mężczyznach.

– Nie mam zdania – odrzekła łagodnie cesarzowa. Odpowiedziałaby tak zapewne na każde zadane jej pytanie. Mówiła prawdę: nie miała zielonego pojęcia o tych sprawach.

Wówczas cesarz zwrócił się do Szlachetnej Nałożnicy Yi, a ja od razu go przejrzałem: cesarzową zagadnął jedynie z grzeczności, a tak naprawdę chciał poznać opinię swojej konkubiny.

Z miejsca, gdzie klęczałem, mogłem obserwować jej profil. Twarz miała całkiem spokojną. Skłoniła skromnie głowę i odpowiedziała cicho:

– Tylko na rozkaz Waszej Cesarskiej Mości odważę się wypowiedzieć swoje zdanie. – Po czym znów skłoniła głowę; zachowywała się w sposób naprawdę godny podziwu. – Nikt nie może wątpić w mądrość księcia Gonga – podjęła – zważywszy jednak na to, co powiedział o chciwości barbarzyńców i o tym, że gotowi są prowadzić wojny, aby zaspokoić swoją żądzę pieniądza, czy nie należy się obawiać, że to samo dążenie do bogacenia się każe im wyciągnąć rękę po kolejne zdobycze terytorialne? Zajęli nasz Hongkong, a po kłótni z gubernatorem Guangzhou wyrzucili go z miasta i rządzili nim – wielką chińską metropolią – tak, jakby byli jego właścicielami. W portach, w których pozwoliliśmy im handlować, odmawiają przestrzegania naszych praw. Pragną ustanawiać obce państwa w obrębie naszego cesarstwa. Zadaję więc sobie pytanie, do czego to doprowadzi. Może nie zależy im na podboju, ale próbują odrywać nasze ziemie kawałek

po kawałku zgodnie ze swoim widzimisię, co z pewnością nie jest dla nas korzystne.

Zauważyłem, że kilka osób kiwa głowami z aprobatą. Cesarz zwrócił się do księcia Gonga.

– I cóż, bracie? – zapytał.

Książę Gong wcale nie wyglądał na poirytowanego. Wydaje mi się, że odczuwał podziw dla Szlachetnej Nałożnicy Yi.

– Zgadzam się, że barbarzyńcy są w stanie zagarnąć wszystko, co tylko wpadnie im w ręce, ale jednocześnie można ich kontrolować.

Cesarz zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę, po czym westchnął.

– Nadal uważam, że mogą się sprzymierzyć z tajpingami – rzekł posępnie. Wszyscy czekaliśmy na jego dalsze słowa. – Zawsze jest tak samo: jakaś dynastia rządzi przez stulecia, a potem nagle wszystko zaczyna się psuć. Barbarzyńcy niepokoją granice państwa, generałowie wszczynają bunty w swoich prowincjach… Chłopi organizują powstania. Bogowie okazują gniew, zsyłając na nas głód i powodzie…

– Wielu cesarzy staje przed takimi wyzwaniami – odrzekł książę Gong. – Można je wszakże przezwyciężyć.

– Wszyscy mnie okłamują! – wykrzyknął cesarz.

– Ja cię nie okłamuję – powiedział cicho książę Gong.

– Moi przodkowie przyglądają mi się z góry.

– Musimy dać im powód do dumy.

Zapadła cisza. Wszyscy spoglądaliśmy na cesarza, który chyba nie był tego świadomy.

– Nie mam z czego być dumny. – Jego głos brzmiał tak smutno! Ale nie był to smutek wynikający z mądrości, raczej dziecinne rozżalenie. Nikt nic nie powiedział, a wówczas cesarz zaczął szlochać.

Mówimy tu o cesarzu Chin! Rzuciłem okiem na twarz Szlachetnej Nałożnicy Yi; nawet nie mrugnęła. Czy widziała go już wcześniej płaczącego? Byłem ciekaw, czy jest jej go żal – być może dawniej tak było, ale raczej nie w tej chwili. Próbowała uczynić z niego mężczyznę i to jej się nie udało. Czy kobieta obwinia się, gdy jej mężczyzna przestaje być mężczyzną?

Raczej niezbyt długo – zwyczajnie nie może sobie na to pozwolić.

– Wasza Cesarska Mość okazał się stanowczy w zasadniczej sprawie – oświadczyła nagle. Wszyscy spojrzeli na nią. – Koutou! To jest najważniej-

sze.

– Ach. W rzeczy samej. – Książę Gong pierwszy zareagował. Szlachetna Nałożnica Yi rzuciła im koło ratunkowe, aby mogli wyjść z twarzą z tej kłopotliwej sytuacji. Książę Sushun i jego brat również to dostrzegli. – W rzeczy samej – zawtórowali.

– Tak, przynajmniej w tej kwestii nie ustąpiłem barbarzyńcom – powiedział cesarz, odzyskując panowanie nad sobą.

Wyczucie czasu Szlachetnej Nałożnicy Yi jak zawsze okazało się niezawodne. Odniósłszy zwycięstwo, postanowiła, że tak powiem, pójść za ciosem.

– Wasza Cesarska Mość ani razu się nie zawahał. Ceremonialny ukłon koutou jest symbolem władzy cesarskiej. Do składania go w waszej obecności są zobowiązani nie tylko poddani Waszej Cesarskiej Mości, ale i wysłannicy innych krain. Gdybyśmy z niego zrezygnowali, można śmiało rzec, że oznaczałoby to koniec potęgi Chin.

– Nie sposób temu zaprzeczyć. – Cesarz skinął głową.

– Za pozwoleniem Waszej Cesarskiej Mości – ciągnęła łagodnym tonem – według mnie jednym z dowodów na to, że zachodni barbarzyńcy – nawet ci pochodzący z Ameryki, którzy ogólnie wydają się bardziej uprzejmi i moralni niż pozostali – usiłują podkopać i zniszczyć potęgę naszego imperium, jest fakt, iż nieugięcie odmawiają wam owej oznaki szacunku, którą od zarania dziejów okazujemy naszym cesarzom. To celowa zniewaga, o której z czasem dowie się cały świat, wszystkie podległe nam królestwa oraz nasz własny lud. Zostanie to odebrane tak, że autorytet cesarza został podważony, i będzie w istocie stanowiło początek końca. Barbarzyńcy muszą zdawać sobie z tego sprawę, dlatego twierdzę, że przybyli tu, aby nas zniszczyć.

Musiałem przyznać jej rację – co innego mogłoby to oznaczać? Myślę, że każdy, kto ją wówczas słyszał, doszedł do podobnego wniosku, nie wyłączając księcia Gonga.

– Muszą mi składać ukłon koutou – oznajmił cesarz stanowczo. – Muszą przybyć w pokoju, nieuzbrojeni, do Pekinu, na zwyczajową audiencję. Jeśli odmówią, nie przejdą poza linię obrony naszych fortów.

Narada dobiegła końca. Właściwie nie mam pewności, czy podjęto tego dnia jakiekolwiek decyzje dotyczące konkretnych działań, lecz wypowiedź cesarza wystarczyła za wszystko. Uniosłem głowę i zauważyłem nadciągające szare chmury, spomiędzy których padały na ziemię snopy żółtego

światła. Pamiętam, że spojrzałem na cesarza – również zwrócił wzrok ku niebu, a żółta poświata uwidoczniła każdą zmarszczkę na jego bladej, pełnej napięcia twarzy. Spoglądał w górę tak długo, że mogłem policzyć ruchy minutowej wskazówki na tarczy tego głupiego barbarzyńskiego zegara na pagodzie.

Nie widziałem go ponownie niemal miesiąc. W niektóre dni zamykał się ze swoimi urzędnikami w Pawilonie Audiencyjnym, zaczął też samotnie odwiedzać wyspy, wiedziałem jednak, że nadal spędza czas ze Szlachetną Nałożnicą Yi, i tylko to się dla mnie liczyło.

W Pałacu Letnim zapanowała cisza i spokój. Wszyscy odczuwali senność na skutek parnej pogody.

Co do barbarzyńców, nie wyglądało na to, aby poczynili duże postępy. Pewnego ranka, zmierzając do komnat Szlachetnej Nałożnicy, natknąłem się na pana Liu. Był tak zadowolony z siebie, że nawet się do mnie uśmiechnął.

– Barbarzyńcy utknęli w błocie – oznajmił – tak jak przewidywałem.

– Mieliście rację, panie. – Skłoniłem się przed nim z szacunkiem. – Wasz uniżony sługa bardzo się z tego cieszy.

Jednak już dzień później usłyszałem, że nadal posuwają się naprzód w kierunku fortów. Szło im mozolnie, ale się nie poddawali.

Niedługo potem, akurat gdy przebywałem u Szlachetnej Nałożnicy Yi, zjawił się książę Gong.

– Dwa mniejsze forty przybrzeżne właśnie padły – powiedział ponuro.

– Ich obrońcy uciekli? – Na obliczu Szlachetnej Nałożnicy odmalował się niepokój.

– Nie, zaciekle walczyli, więc to nie ich wina. Chodzi o broń. Karabiny barbarzyńców ładują się o wiele szybciej i strzelają o wiele celniej, dlatego zanim nasi zdążyli oddać salwę, połowa z nich została wybita. Właśnie idę oznajmić to cesarzowi.

Nazajutrz rano spytałem Szlachetną Nałożnicę, jak cesarz przyjął tę smutną wiadomość.

– Z całkowitym spokojem – odpowiedziała, ale jej nie uwierzyłem.

Po zaledwie kilku dniach dowiedzieliśmy się, jak naprawdę wygląda sytuacja: barbarzyńcy zdobyli wszystkie nasze twierdze i droga do Pekinu stanęła przed nimi otworem.

* * *

Wszyscy się zastanawiali, jak mogło do tego dojść. Jak barbarzyńcy zdołali przedrzeć się przez tyle mil bagnisk, przez ostrokoły z zaostrzonych bambusów, mury obronne i całą resztę? Oczywiście wszystkie oczy zwróciły się na pana Liu – w końcu to on zapewniał cesarza, że barbarzyńcom nie uda się nas pokonać.

Prawie było mi go żal, muszę jednak przyznać, że przyparty do ściany potrafił się bronić.

Wygląda na to, że podczas głównej bitwy kula wystrzelona z barbarzyńskiej armaty trafiła w jeden z naszych składów prochu. Zniszczenia okazały się katastrofalne i pan Liu postanowił wykorzystać ten fakt.

– To niczyja wina – przekonywał każdego, kto tylko chciał go słuchać. – Kto mógł to przewidzieć? – Poprosił mnie nawet, żebym spróbował wyjaśnić całe zdarzenie Szlachetnej Nałożnicy Yi. Pomyślałem, że musi się bardzo bać, skoro zwraca się do mnie o pomoc. Kiedy jej o tym wspomniałem, tylko skinęła głową, o czym niezwłocznie poinformowałem pana Liu.

– Dobrze – odparł. – To dobrze. – Już, już miał mi podziękować, ale opamiętał się i rzekł tylko: – Dobrze się spisałeś.

Nikt zresztą szczególnie go nie obwiniał; wydaje mi się, że wszyscy chcieli mu wierzyć.

Ponownie zapytałem Szlachetną Nałożnicę Yi o cesarza.

Tym razem odpowiedziała:

– Jest bardzo zdenerwowany.

– Mam nadzieję, że nie na was – wyrwało mi się.

– Na wszystkich – odparła.

Początkowo lord Elgin i baron Gros, wraz z głównymi siłami brytyjskimi i francuskimi, pozostali w zdobytych fortach. Wysyłali tylko łodzie patrolowe do składu u ujścia kanału, który znajdował się zaledwie kilkanaście mil od murów Pekinu. Tymczasem wysłannicy cesarza udali się do Elgina, ten jednak, zamiast przyjąć ich uprzejmie, oświadczył tylko:

– Dajcie nam wszystko, czego żądamy, łącznie z odszkodowaniem, inaczej rozpęta się wojna.

Do Pałacu Letniego codziennie przybywali ministrowie z memoriałami wyjaśniającymi cesarzowi, jak pognębić barbarzyńców, zawsze jednak

opuszczali Pawilon Audiencyjny, mrucząc pod nosem:

– Cesarz dalej się zastanawia.

Gdy pewnego ranka zgłosiłem się jak zwykle do Szlachetnej Nałożnicy, zastałem ją w pogodnym nastroju. Była sama, nie licząc klęczącego w kącie sługi. Siedziała przy stole inkrustowanym macicą perłową i popijała herbatę. Pamiętam, że miała na sobie szatę z zielonego jedwabiu, a we włosach grzebień ozdobiony kwiatami. Na jej obliczu malował się spokój, a kiedy złożyłem jej pokłon, uśmiechnęła się do mnie.

– Wyglądacie dziś na szczęśliwą, pani – zauważyłem.

– Bo jestem szczęśliwa, Lakowany Paznokciu – odparła.

– Czy wasz uniżony sługa może zapytać o powód?

– Jego Cesarska Mość podjął ważną decyzję – wyjaśniła. – Właśnie wydaje rozkazy. Ponieważ barbarzyńcom brak dobrych manier i nie rozumieją niczego poza brutalną siłą, nie będzie żadnych negocjacji. Cesarz nakazał naszym wojskom wybić ich co do jednego.

– To wspaniała wiadomość – przyznałem.

– Też tak uważam. – Schyliła lekko głowę. – Byłam bardzo zadowolona, gdy cesarz mi to oznajmił.

Zapewne to ty, moja pani, go do tego zmusiłaś, pomyślałem.

Dekret został rozesłany do wszystkich prowincji. Nie można mu było niczego zarzucić: nareszcie doczekaliśmy się zdecydowanego działania rządu. Przewidziano też nagrody: pięćdziesiąt taeli za głowę jednego z tych ciemnoskórych żołnierzy, których Brytyjczycy sprowadzili tutaj z Indii, sto za głowę białego barbarzyńcy. To powinno sprawić, że lord Elgin w końcu oprzytomnieje.

Tak się jednak nie stało. Kolejne wieści, jakie dotarły na dwór, mówiły już o tym, że lord Elgin osobiście wziął udział w marszu na Pekin, odgrażając się, że go zburzy.

Zbliżał się akurat czas moich odwiedzin u rodziny, a ponieważ na Pekin ciągnęło dwadzieścia tysięcy barbarzyńców, zależało mi, abyśmy wspólnie postanowili, co należy w tej sytuacji uczynić. Otrzymałem pozwolenie na wyjazd, pod warunkiem że spędzę w domu tylko jedną noc.

Wszyscy ucieszyli się na mój widok, zwłaszcza że przywiozłem pieniądze. Podczas gdy matka i Róża przygotowywały wieczorny posiłek, ja rozmawiałem z ojcem.

– Może powinniście wyjechać z miasta – podsunąłem.

On jednak pokręcił głową.

– Tu, za murami, będziemy bezpieczniejsi – stwierdził.

– Lord Elgin grozi, że zburzy mury miejskie.

– Blefuje – odparł ojciec. – Ich ciężkie działa zostały na rzece. Przywieźli ze sobą tylko lekkie działa polowe. Nie dałoby się nimi nawet wyszczerbić tych murów.

– Skąd wiecie, że nie mają ze sobą armat, ojcze?

– Wie o tym każdy marynarz i wszystkie załogi barek pływających po kanale. Rozmawiałem z nimi.

– Zakładając nawet, że macie rację, to co dalej?

– Niech przyjdą. Na każdego z nich przypada dziesięciu naszych. Mamy własne armaty, a mury Pekinu są znacznie grubsze niż te wokół fortów. Utkną za nimi, w samym środku terytorium wroga, a za dwa miesiące nadejdzie zima. Jeśli nie umrą z głodu, to z pewnością zamarzną.

– Po co więc tu ściągają? Czy są aż tacy głupi?

– Liczą, że wpadniemy w panikę, jeśli ruszą na Pekin. Gdy to nie nastąpi, wycofają się jak niepyszni.

Ten jeden raz pomyślałem, że staruszek może mieć rację, a przynajmniej miałem taką nadzieję. Następnego ranka wróciłem do Pałacu Letniego i pierwszą osobą, którą tam ujrzałem, był nie kto inny jak pan Liu. Powitał mnie całkiem przyjaźnie, podzieliłem się więc z nim spostrzeżeniami mojego ojca.

– Twój ojciec to mądry człowiek. Jestem dokładnie takiego samego zdania. Powinniśmy pozwolić Elginowi i jego oddziałom podejść tak blisko, jak tylko się da, a potem ich okrążymy. Nie wrócą żywi do domu.

Brytyjczycy i Francuzi zbliżali się do Pekinu, a do Pałacu Letniego co godzinę przybywali kurierzy z meldunkami od prefektów, sędziów i gubernatorów wzywających cesarza do zajęcia nieugiętego stanowiska. Ich słowa najwyraźniej podziałały na cesarza, ponieważ niespodziewanie ogłosił, że zamierza sam stanąć na czele wojska.

Pod miastem stacjonowała cała dywizja mandżurskich chorążych, naszych najlepszych ludzi; znajdowali się dokładnie na szlaku barbarzyńskiej armii i mieli rozkaz zmieść ją z powierzchni ziemi. Na część oddzia-

łów składała się uzbrojona w muszkiety piechota, lecz główną siłę stanowiła najlepsza mandżurska kawaleria. Może i była to staroświecka formacja bojowa, jednak konni łucznicy potrafili wypuszczać strzały z niewiarygodną prędkością, a ich zasięg był większy niż kuli wystrzelonej z muszkietu. Wojska barbarzyńców nigdy wcześniej nie starły się z naszą kawalerią na otwartym terenie, czekała je więc nie lada niespodzianka. Tymczasem ich patrole i nasze z każdym dniem zbliżały się do siebie. Nie ulegało wątpliwości, że wkrótce dojdzie do starcia; wszyscy spodziewaliśmy się tego lada dzień.

Przebywałem w towarzystwie Szlachetnej Nałożnicy Yi, gdy do komnaty wbiegła jedna z dam dworu.

– Schwytaliśmy w potyczce trzydziestu albo czterdziestu barbarzyńców! – oznajmiła wielce podekscytowana.

– Jakich barbarzyńców? – chciała wiedzieć Szlachetna Nałożnica.

– Jest wśród nich przynajmniej jeden z negocjatorów. Tuzin jeńców zostanie przysłanych tutaj, żebyśmy mogli ich sobie obejrzeć.

Jeszcze tego samego popołudnia przybyli do Pałacu Letniego, my zaś oczywiście wyszliśmy gromadnie na zewnątrz, aby ich zobaczyć. Nie wypadało, aby cesarz pojawił się osobiście, lecz nieopodal jego apartamentów znajdowała się mała pagoda, a Szlachetna Nałożnica wyjawiła mi, że będzie ich stamtąd obserwował przez lunetę.

Zawsze miałem trudności z odróżnieniem jednego barbarzyńcy od drugiego. Niektórzy z nich są wysocy, inni niscy, wszyscy zaś owłosieni, lecz widok tych aroganckich złoczyńców zakutych w kajdany sprawił mi olbrzymią satysfakcję. Kiedy już wszyscy mieliśmy okazję się z nich pośmiać, przewieziono ich do aresztu w Domu Więziennym. Przypuszczałem, że nie będzie to dla nich przyjemny pobyt – w lochach roiło się od szczurów i wszy, żyły tam też jadowite larwy, mogące przyprawić człowieka o śmierć. Dobrze im tak – pomyślałem.

Wkrótce potem usłyszeliśmy, że do miasta zbliżają się siły francuskie i brytyjskie, rozwścieczone wzięciem zakładników. Aby jednak dotrzeć do Pekinu, musiały najpierw przekroczyć most i stanąć twarzą w twarz ze stacjonującą pod miastem mandżurską dywizją.

– Tam ich zniszczymy – cieszyliśmy się zgodnie. – Wykluczone, żeby się przedarli. Mamy nad nimi przewagę liczebną, pięciu do jednego.

Nie zdziwiłem się, że po tych wszystkich optymistycznych nowinach cesarz postanowił tego wieczoru wypłynąć na jezioro.

Za cel wycieczki obrał osłoniętą wysepkę, na której znajdowała się Świątynia Powszechnego Pokoju – zapewne w nadziei, że gdy tylko Elgin zostanie pokonany, w cesarstwie zapanuje upragniony pokój. Wznosząca się na stawie świątynia miała niespotykany kształt; zbudowano ją na planie krzyża, którego każde ramię kończyło się prostopadłym przedłużeniem. Tworzyły tym samym znak „wan", symbolizujący spokojne Serce Buddy. Słyszałem, że zachodni barbarzyńcy nazywają taki rodzaj krzyża swastyką, choć o ile wiem, w ich krainach przedłużenia ramion krzyża są skierowane w przeciwną stronę. Tak czy inaczej, Świątynia Powszechnego Pokoju stanowiła przyjemny zakątek, w którym można było odpocząć i o każdej porze roku kontemplować księżyc.

Naturalnie zależało mi, aby – o ile to będzie możliwe – znaleźć się wśród uczestników tej wycieczki. Stanąłem w miejscu, które cesarz i jego świta musieli mijać po drodze, licząc, że Szlachetna Nałożnica mnie zauważy i da mi znak skinieniem głowy, a wówczas będę mógł do nich dołączyć. Tak też się stało.

Oprócz cesarzowej, Szlachetnej Nałożnicy Yi, jej synka i kilku dam dworu w towarzystwie znaleźli się książę Sushun i jego brat, a także kilku urzędników, którzy przybyli do Pałacu Letniego, aby nakłaniać cesarza do wytrwałości, oraz pan Liu z kilkunastoma eunuchami, w tym niżej podpisanym. Pamiętam, że jedną z dam dworu była ciotka księcia Gonga. Jego samego nie było, jako że wyruszył na południe, gdzie miał oczekiwać na barbarzyńców przy moście.

W długich świątynnych korytarzach było miejsce na wiele ołtarzyków, którymi opiekowali się wiekowi mnisi. W miejscu, gdzie korytarze krzyżowały się pośrodku, na tronie z lotosu siedziała bodhisattwa Guanyin wykonana z pozłacanego szlachetnego drewna. Miała ponad czterdzieści rąk i oczu. Mówi się, że Guanyin słyszy wszystkie dźwięki świata; jeśli rzeczywiście tak jest, to, co dociera do jej uszu, powinno ją wprawiać w gniew albo w rozpacz, jednak według kapłanów jej miłosierdzie jest niewyczerpane.

Po odmówieniu przed nią modlitwy i zapaleniu świec zebraliśmy się w jednym z ramion świątyni, gdzie muzykantka zabawiała nas grą na pipie [6]. Wysłuchaliśmy starego utworu zatytułowanego *Atakowani z dziesięciu stron* – trafny wybór, zważywszy na to, co działo się zaledwie kilka mil

na południe, nic więc dziwnego, że cesarz nakazał jej go zagrać jeszcze raz. Kiedy skończyła, siedzieliśmy pogrążeni w przyjemnej ciszy. Na zewnątrz wieczorne niebo wciąż miało jasnoniebiesko-różową barwę, lecz udało mi się dostrzec na nim sierp księżyca. W tej świątyni na wodzie wszystko wydawało się doskonałe; z łatwością można było sobie wyobrazić, że na całym świecie panuje pokój. Pamiętam, że w tamtym momencie wszyscy się uśmiechali, nawet cesarz.

Nikt nie zauważył, kiedy książę Gong po cichu wśliznął się do środka, dopóki nie oznajmił:

– Wasza Cesarska Mość, barbarzyńcy się przedarli. – Książę Gong był wyraźnie wstrząśnięty i obwiniał się o tę porażkę. – Widzieliśmy, do czego doszło w dole rzeki, przy fortach – rzekł. – Ale tam mieli cięższe armaty i sądziłem, że skoro nasza najlepsza kawaleria, która potrafi szybko się przemieszczać, czeka na nich na otwartym terenie wraz z uzbrojoną w muszkiety piechotą, poniosą takie straty, że zaraz się wycofają. Dostałem nauczkę: odwaga nic nie znaczy. Nasi ludzie ani na moment nie ustąpili im pola, jednak francuskie karabiny i brytyjskie działa rozerwały ich na strzępy. To był straszliwy widok.

– Za pozwoleniem, Wasza Cesarska Mość – odezwał się cicho jeden z mandarynów – potyczka na otwartym terenie to jedno, ale mury obronne Pekinu to co innego.

Wszyscy spojrzeliśmy na cesarza. Wpatrywał się przed siebie nieobecnym wzrokiem, jakby przebywał w zupełnie innym świecie.

– Skoro zdobyli nasze forty, dlaczego nie mieliby zdobyć Pekinu? – Głos miał matowy, niemal mechaniczny.

– Ich karabiny nie na wiele się zdadzą, kiedy zaatakują mury miejskie – rzekł książę Gong. – A gdyby nawet dostali się do środka, żaden generał nie zaryzykuje walki w ogromnym mieście, gdzie każdy mężczyzna, kobieta i dziecko będą podrzynać gardła jego żołnierzom. Teraz, gdy podeszli pod Pekin, będą chcieli z nami negocjować.

– Skoro mamy negocjować – rzekł ponuro książę Sushun – jakie atuty mamy w ręku?

– Czterdziestu ludzi, których wzięliśmy jako zakładników – odparł książę Gong. – Brytyjczyków i Francuzów. Na pewno zażądają ich bezpiecznego powrotu.

– Będą się targować o czterdziestu jeńców? – Książę Sushun zmarszczył brwi z niedowierzaniem.

– Tak sądzę. Barbarzyńcy bardziej dbają o życie swoich ludzi niż o honor swych krajów.

– Czy to nie dowód ich słabości? – spytała Szlachetna Nałożnica Yi.

– Być może – odrzekł książę Gong. – Ale działa na naszą korzyść.

Siedziałem na niskiej ławeczce tuż za Szlachetną Nałożnicą. Czułem zapach jaśminu, którym się tego dnia spryskała. Siedziała wyprostowana jak trzcina, ubrana w jasnozieloną jedwabną suknię.

Z zewnątrz dobiegło pohukiwanie sowy. Ptaki te w Pałacu Letnim często nawoływały się przed zachodem słońca. Brzmiało to jak żałobna pieśń.

Cesarz zwrócił się do pana Liu:

– Wyjeżdżamy do Pałacu Myśliwskiego. Każcie go przygotować.

– Do Pałacu Myśliwskiego, panie? – Pan Liu był zaskoczony. – Tego na północ od Muru?

– A jest jakiś inny?

– Wymaga napraw, panie…

– Możemy je przeprowadzić, kiedy już tam dotrzemy.

– Bracie – wybuchnął książę Gong – obiecałeś osobiście poprowadzić nasze wojsko! Oczywiście nie musisz tego robić, ale jeśli teraz opuścisz Pekin, wywołasz panikę. – Książę Gong zawsze starał się zwracać do brata z szacunkiem, gdy w pobliżu znajdowali się inni ludzie, musiał więc być ogromnie wzburzony, skoro aż tak się zapomniał.

– Źle mnie zrozumiałeś – odpowiedział cesarz; starał się przemawiać z godnością. – Cesarzowi nie uchodzi zajmować się bezczelnymi barbarzyńcami. Przekażcie lordowi Elginowi, że o tej porze roku cesarz ma w zwyczaju polować. Dla takiego bandyty jak on nie można zmieniać dworskich tradycji. Powiedz mu też, że w moim dworku myśliwskim często goszczę przyjaciół, czterdziestu ośmiu mongolskich książąt ze stepu. Wystarczy, że dam im znak, a sprowadzą do Pekinu trzysta tysięcy mongolskich jeźdźców i wyrżną wszystkich Francuzów i Anglików, jacy im wpadną w ręce. Elgin powinien nauczyć się manier.

Wyraz twarzy księcia Gonga świadczył o tym, że uważa cesarski wywód za nonsens.

– Chcecie, panie, abym tutaj pozostał? – zapytał ponuro.

– Skoro jesteś taki pewny, że poradzisz sobie z barbarzyńcami, oddaję ci Pekin we władanie. Bez wątpienia do czasu mojego powrotu wszystko załagodzisz.

Jakie to dziwne, pomyślałem; nasi przodkowie wybudowali Wielki Mur, żeby chronić się przed plemionami z północy, a teraz cesarz ucieka na jego drugą stronę, aby ukryć się przed barbarzyńcami nadciągającymi z południa. Wszystko zostało postawione na głowie.

Rozejrzałem się po najbliższym otoczeniu cesarza. Z wyjątkiem cesarzowej, której oblicze jak zwykle niczego nie wyrażało, ponieważ biedaczka zapewne o niczym nie myślała, wszyscy wyglądali na przerażonych.

Wszyscy oprócz księcia Sushuna. Nadal przypominał drapieżnego ptaka, ale teraz się uśmiechał.

– Wasza Cesarska Mość ma rację – rzekł gładko. – Weźmiemy barbarzyńców na przeczekanie. Większa odległość, jaka będzie odtąd dzielić Syna Niebios od Pekinu, stanie się dogodnym pretekstem, ilekroć książę Gong będzie chciał odwlec negocjacje.

Cesarz skinął mu głową z wdzięcznością i zrobił zadowoloną minę, jednak osobą, na którą teraz patrzyłem, była Szlachetna Nałożnica. Podziwiałem jej niezwykłe opanowanie: jeśli nawet była wściekła i to ukrywała, nikt niczego by się nie domyślił. Mnie jednak nie mogła oszukać.

O tym, że jest zdenerwowana, świadczyły dwa drobiazgi: żyłka pulsująca na jej prawej skroni oraz wypełzający na szyję rumieniec. Widząc jedno i drugie, nie miałem wątpliwości, że jest naprawdę zła.

Pulsującą żyłkę zauważyłem, gdy cesarz po raz pierwszy wspomniał o dworku myśliwskim. A gdy skończył wymyślać wymówki, które miały usprawiedliwić jego ucieczkę, kark mojej pani był już całkiem czerwony.

– Nie rozumiem – odezwała się chłodnym tonem; ledwo go usłyszałem, wiedziałem, że czekają nas duże kłopoty. – Jeśli uciekniecie na oczach wszystkich swoich ludzi, panie, powiedzą, że nie dbacie o sprawy cesarstwa. – Była to prawda, lecz niewygodna, a teraz wszyscy ją usłyszeli. Kilka osób zerknęło na Szlachetną Nałożnicę, lecz większość wbiła wzrok w cesarza.

Pomyślałem, że moja pani musi zamilknąć, wiedziałem bowiem, jak to się skończy. Żona może publicznie zbeształ męża, po czym wszystko zwykle rozchodzi się po kościach; nawet tak słaby człowiek jak cesarz jest w stanie wybaczyć nagły wybuch gniewu. Lecz jeśli Szlachetna Nałożnica upokorzy go w obecności dworaków, gorzko tego pożałuje.

Nie mogłem, rzecz jasna, się odezwać, zrobiłem zatem jedyną rzecz, jaka mi przyszła do głowy. Pochyliłem się do przodu i pociągnąłem za rąbek jej szaty. Nikt tego nie zauważył, ale ona poczuła szarpnięcie – zdra-

dził mi to ledwo dostrzegalny ruch jej głowy. Wyciągnęła rękę i pociągnęła szatę z powrotem do góry, dając mi znać, że mam przestać.

Cesarz wzdrygnął się lekko na jej słowa, zaraz jednak zmusił się do uśmiechu.

– Szlachetna Nałożnica Yi ma w sobie ducha prawdziwego mandżurskiego wojownika. Ale cesarz musi także wykazać się mądrością. Ona zaś musi nauczyć się dyskrecji.

Jego odpowiedzi nie można było nic zarzucić; dowodziła, że w innych okolicznościach miałby być może zadatki na dobrego władcę.

Szlachetna Nałożnica Yi nie pozwoliła się tak łatwo uciszyć. Od tamtej pory nieraz zastanawiałem się, czy może wcześniej doszło pomiędzy nimi do jakiejś osobistej sprzeczki, którą wciąż rozpamiętywała. Któż to może wiedzieć? Niezależnie od przyczyny, nie zamierzała milczeć.

– Czy nie masz wstydu? Ani dumy? Nic cię nie obchodzą twoi przodkowie ani dom cesarski?

– Dość już usłyszeliśmy! – krzyknął cesarz. – Szlachetna Nałożnica ma zamilknąć.

Chciałem szepnąć do niej, a najchętniej krzyknąć: Milcz! Ratuj siebie, jeśli nie jest jeszcze za późno! – lecz z oczywistych względów nie mogłem tego zrobić. Uczyniłem więc ostatnią rzecz, jaka mi pozostała: sięgnąłem do przodu i ponownie szarpnąłem jej szatę, tym razem naprawdę mocno. Jej ramiona uniosły się z wściekłości. Gwałtownie odwróciła głowę i z całej siły uderzyła mnie dłonią w rękę. Poczułem, jak jej paznokcie niby noże rozcinają mi skórę na grzbiecie dłoni.

Jednocześnie rozległ się suchy trzask, podobny do dźwięku wydawanego przez uderzające o siebie kawałki drewna, gdy jej długie, pokryte laką paznokcie się złamały. Uniosła rękę i przyjrzała im się z niedowierzaniem. Zerknąłem na swoją dłoń i zobaczyłem czerwone od krwi zadrapania. Szlachetna Nałożnica odwróciła się i popatrzyła na mnie, a w jej oczach ujrzałem pełną jadu wściekłość, której nigdy wcześniej nie widziałem i która mnie przeraziła. Nie była to nienawiść, o nie, tylko czysta wściekłość.

– Zobacz, co przez ciebie zrobiłam! – wrzasnęła. – Wynoś się! Wynoś!

Nie wiedziałem, jak mam zareagować: przebywając w obecności cesarza, nie można wycofać się z komnaty bez jego zgody. Podniosłem się lekko, żeby okazać jej posłuszeństwo, zerkając zarazem na cesarza w nadziei, że da mi jakiś znak. W głuchej ciszy, jaka zapadła, stałem tak, komicznie pochylony, jak ostatni idiota.

Cesarz ten problem rozwiązał za mnie i zwracając się do pana Liu, rzucił:

– Ten eunuch ma być stąd natychmiast wyprowadzony i wychłostany – rozkazał.

* * *

Pan Liu osobiście zajął się wymierzeniem mi kary. Nie spieszył się; dwóch eunuchów odsłoniło moje pośladki i przytrzymało mnie leżącego na ziemi, z rozpostartymi rękami i nogami. Dopiero wtedy pan Liu wymierzył mi uderzenie szerokim, rozszczepionym bambusem, który nazywamy *banzi*. Gdyby to nie był on, krzyknąłbym z bólu, ale nie chciałem dawać mu tej satysfakcji, chociaż niewiele brakowało, żebym zemdlał.

Kara właściwie mogła być gorsza. Otrzymałem zwyczajową chłostę, jaką wymierzano eunuchom za złe sprawowanie. Bądź co bądź wszystkim zależało, żebym za kilka dni znowu był zdolny do pracy. Moje upokorzenie było oczywiście ogromne i musiało sprawić nie lada przyjemność panu Liu. Byłem przekonany, że nazajutrz cały pałac dowie się, co mnie spotkało. Mój opiekun, pan Chen, wszyscy. „Lakowany Paznokieć połamał paznokcie Szlachetnej Nałożnicy w obecności cesarza, który kazał panu Liu go wychłostać! Co za wstyd!” Jakże będą ze mnie kpili! Będą mówili: „Lakowany Paznokieć jest skończony” i pewnie będą mieli rację.

Cały następny dzień spędziłem w swojej izdebce. Nie miałem najmniejszej ochoty jej opuszczać. Rano przyszedł starszy pielęgniarz, żeby mnie umyć i nasmarować mi zadek balsamem. Młodszy eunuch odwiedził mnie w południe i ponownie wieczorem, przynosząc jedzenie. Żaden nie wypowiedział więcej niż kilka słów, a ja nie próbowałem wciągać ich w rozmowę. Większość czasu spędziłem, leżąc na brzuchu na posłaniu i odpoczywając.

Nazajutrz rano stwierdziłem, że muszę w końcu stawić czoło szyderstwom i pogardzie otoczenia, a przede wszystkim dowiedzieć się, co się dzieje w pałacu. Czy Szlachetna Nałożnica Yi na dobre mnie przepędziła? Czy ona sama także popadła w niełaskę? Gdzie byli barbarzyńcy i jakie były ich poczynania? Właśnie miałem wyjść, gdy drzwi izdebki się otworzyły i wszedł pan Liu. Wydawał się do mnie całkiem przyjaźnie nastawiony.

– Przynoszę dobre i złe wiadomości – oznajmił. – Najpierw przekażę ci te złe. Szlachetna Nałożnica Yi jest skończona. Cesarz nie chce przebywać w jej obecności.

– Przewidywaliście, że tak się stanie – odparłem.

– Istotnie. Jednak jej upadek nie jest aż tak spektakularny, jak się spodziewałem. Nasz władca uważa, że nadal powinna opiekować się jego synem, który może jeszcze w przyszłości zasiąść na cesarskim tronie. Dlatego wraz z resztą dworu oboje mają się z nim udać do pałacu myśliwskiego.

– A więc nie zmienił zdania co do ucieczki na północ od Wielkiego Muru?

– Oczywiście, że nie. Książę Gong pozostanie tutaj.

– Czy mogę o coś zapytać, panie? Byłem naprawdę wstrząśnięty tym, że książę Sushun zachęcał cesarza do ucieczki. Czy rzeczywiście uważa tę decyzję za właściwą?

– Naturalnie – odrzekł pan Liu. – Książę Sushun chce być oczywiście jak najbliżej cesarza. Wiadomość, że książę Gong zostanie tutaj, żeby prowadzić negocjacje, wielce go uradowała. Jeśli książę Gong zawiedzie, co byłoby, rzecz jasna, godne pożałowania, jego gwiazda zblednie, a gwiazda księcia Sushun rozbłyśnie tym jaśniej. Jeśli zaś książę Gong odniesie sukces, będzie to dobre dla cesarstwa, lecz cesarz w głębi serca znienawidzi księcia Gonga za to, że okazał się odważniejszy od niego, co również wyjdzie na dobre księciu Sushunowi. – Umilkł na chwilę. – Jest jednak jeszcze jedna kwestia: książę Sushun to patriota. Jest przekonany, że jeśli nie uda się wywieźć cesarza jak najdalej stąd, w Pekinie zapanuje chaos. Sam mi to powiedział.

– Zatem cokolwiek się zdarzy, będzie to z korzyścią dla niego – zauważyłem.

– Jeśli chodzi o rządzenie krajem – oświadczył z satysfakcją pan Liu – prawdziwą sztuką jest zachować czyste sumienie.

– Rozumiem – wymamrotałem.

– Nie zapytałeś o dobrą nowinę – ciągnął. – Otóż ty także wyruszysz do pałacu myśliwskiego ze Szlachetną Nałożnicą Yi.

– To ona mi wybaczyła? – zawołałem z niedowierzaniem.

– Jest zmartwiona tym, co cię spotkało. Uważa, że to jej wina.

– Może uda mi się naprawić jej połamane paznokcie – rzuciłem z ożywieniem.

– Będziesz musiał zaczekać, aż znowu urosną, bo już je obcięła. – Uśmiechnął się. – Nawet ty nie potrafiłbyś ich naprawić.

– A co z barbarzyńcami, panie?

– Wciąż są na południe od miasta i zagrażają Pekinowi, a my nadal trzymamy ich ludzi jako zakładników. Spodziewam się dalszych walk i negocjacji, co może trwać tygodniami. Na szczęście obaj będziemy już wtedy na północ od Wielkiego Muru. – Przyjrzał mi się uważnie. – To zaś ma bezpośredni związek z rozkazami, jakie przynoszę. Wydała je sama Szlachetna Nałożnica i masz je dokładnie wypełnić.

– Oczywiście – przytaknąłem.

– Jeszcze dziś wieczorem pójdziesz do swego domu i spędzisz tam trzy dni z rodziną. Być może nie zobaczysz ich przez dłuższy czas. Oto twoje wynagrodzenie wraz z niewielką premią, którą masz im oddać. Po upływie tego czasu – ale nie wcześniej! – masz się tu stawić z powrotem. W ciągu najbliższych kilku dni część bagaży zostanie wyekspediowana i nie zdziwiłbym się, gdyby sam cesarz także wyruszył w drogę. Jednak Szlachetna Nałożnica Yi wraz z synem wyjadą dopiero za jakiś czas i twoja pani życzy sobie, abyś jej towarzyszył. Czy wszystko jest jasne?

Skrzywiłem się lekko.

– O co chodzi? – zapytał ostro pan Liu.

– Zastanawiam się właśnie, jak wytłumaczę żonie stan swoich pośladków – wyjaśniłem.

– Nie zawracaj mi głowy takimi drobiazgami – burknął.

W domu spędziłem długie szczęśliwe godziny ze swoimi dziećmi i chociaż kilka razy zdarzyło mi się wzdrygnąć z bólu podczas siadania, wytłumaczyłem im, że nadwerężyłem kręgosłup, więc nikt niczego nie podejrzewał. Jeśli chodzi o Różę, udawałem, że źle się czuję, i po prostu spaliśmy obok siebie jak rodzeństwo, dzięki czemu zdołałem ukryć przed nią swój stan. Zauważyłem, że trochę przybrała na wadze; chyba za dużo jadła.

Drugiego dnia ojciec wyszedł na chwilę, a kiedy wrócił, oznajmił:

– Cesarz opuścił wczoraj miasto.

– Domyślałem się tego.

– Podobno cały dwór wyjechał razem z nim – ciągnął. – Jesteś pewien, że Szlachetna Nałożnica mu nie towarzyszy?

– Nic nie rozumiecie, ojcze – odpowiedziałem. – Cesarz nie chce, aby przebywała w jego pobliżu.

– Czy to dobry pomysł, abyś dalej jej służył?

– Byłoby gorzej, gdybym wypadł z jej łask – odparłem.

– No cóż, skoro władza jest teraz w rękach księcia Gonga, czekają go ciężkie czasy. Wszyscy wpadli w panikę z powodu ucieczki cesarza. Żołnierze mówią, że nie wypłacono im żołdu, nie dostali nawet swoich przydziałów ryżu. Nie zdziwiłbym się, gdyby zaczęli dezerterować.

– Może powinniśmy pomyśleć o waszym wyjeździe z Pekinu – zasugerowałem.

– A dokąd mielibyśmy pojechać? – Ojciec wzruszył ramionami. – Zresztą nawet gdyby dwadzieścia tysięcy barbarzyńców wdarło się do Pekinu, mieszkańców stolicy jest tylu, że nie sądzę, aby stanowili dla nas duże zagrożenie.

Pomyślałem, że ojciec na pewno znalazłby jakiś sposób, aby przysłużyć się barbarzyńcom, tak jak to robił dotychczas, gdy załatwiał różne sprawy dla swoich sąsiadów.

W dniu powrotu do Pałacu Letniego wstałem przed świtem i choć żal mi było opuszczać rodzinę, ekscytowałem się myślą o przygodzie czekającej mnie na północ od Wielkiego Muru.

Bramy miasta były otwarte, wartownicy zdawali się drzemać. Nikt by się nie domyślił, że w odległości zaledwie kilku mil stąd stacjonuje armia barbarzyńców. Ruszyłem przed siebie drogą wiodącą do Pałacu Letniego, a gdy dotarłem na miejsce, z wartowni dobiegło mnie pochrapywanie strażnika. Nie zwróciłem na to szczególnej uwagi – bądź co bądź dopiero świtało. Wszedłem do środka i ruszyłem brzegiem Jeziora Przedniego w kierunku kwater eunuchów, mijając zagrodę, w której pan Ma trzymał swoje drzewka penzai. Jeszcze nie było go w pracy.

Nie wiem, co spodziewałem się zastać o tej porze: kilku rannych ptaszków, sznur załadowanych wozów gotowych do odjazdu? W każdym razie jakieś oznaki życia. Tymczasem powitały mnie milczące pawilony. Rzecz jasna, były bardzo piękne z tymi swoimi zakrzywionymi dachami wyrastającymi spośród mgły znad jeziora, ale zarazem wydawały się dziwnie smutne i opuszczone.

Skierowałem się prosto do kwater eunuchów i skręciłem w główny korytarz. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzałem, był ciężki, ozdobny miecz z wysadzaną rubinami rękojeścią, wiszący na swoim zwykłym miejscu na ścianie. Na ten widok od razu poweselałem.

Potem zobaczyłem pana Ma, który zbliżał się ku mnie korytarzem.

– Zastanawiałem się, gdzie się podziewasz – rzekł.

– Odwiedzałem rodzinę – odparłem – a dziś wyjeżdżam na północ razem ze Szlachetną Nałożnicą.

– Nie wydaje mi się – mruknął. – Wyjechała przed trzema dniami z cesarzem.

– Jak to możliwe? – zdumiałem się. – Gdzie jest pan Liu? Muszę z nim natychmiast pomówić!

– Wyjechał trzy dni temu wraz z nimi – powiedział pan Ma. – Wszyscy pojechali razem. Został tylko Drżący Liść, któremu pan Liu przekazał zarząd nad pałacem. Cały dwór cię szukał – dodał. – Pan Liu oznajmił, że zapewne zdezerterowałeś. Szlachetna Nałożnica była wściekła. Powiedziała, że nie chce cię już nigdy więcej widzieć.

– Przecież mówił mi, że wyjeżdża dopiero dzisiaj – zawołałem – i że z jej rozkazu mam w tym czasie odwiedzić rodzinę.

Staruszek przypatrywał mi się w milczeniu.

– A więc tak się na tobie zemścił – rzekł cicho. – Uprzedzałem cię, że to zrobi. Najpierw rozbudził twoje nadzieje, a potem cię zniszczył.

Przyznałem mu rację, zanim jeszcze skończył mówić. Nie sposób było nie podziwiać sprytu pana Liu – tak umiejętnie ukrywał swoje uczucia i długo odwlekał upragnioną zemstę. A kiedy wreszcie uderzył, zadał śmiertelny cios.

– Pojadę za nimi – powiedziałem.

– To nic nie da – stwierdził pan Ma. – Są już o trzy dni drogi stąd.

– Tak, ale przy tylu załadowanych wozach nie mogą zbyt szybko podróżować – zauważyłem. – Może uda mi się ich dogonić.

– I co wtedy?

– Wyjaśnię Szlachetnej Nałożnicy, co się naprawdę stało.

Pan Ma zastanawiał się przez chwilę.

– Czy ktoś widział, jak tu wchodziłeś? – spytał. Zaprzeczyłem. – W takim razie chodź ze mną. Trzeba cię szybko gdzieś ukryć.

Wkrótce znaleźliśmy się w jego okolonej murem szkółce.

– O co tu właściwie chodzi? – zniecierpliwiłem się.

– Pan Liu wydał rozkaz, aby cię natychmiast aresztowano, gdy tylko się pojawisz.

– Za co?

– Za ucieczkę. Dezercję. Masz czekać w więzieniu do czasu powrotu dworu, a to może potrwać wiele miesięcy. Gdyby ktoś zauważył cię na drodze albo w mieście, też ma cię zatrzymać z jego rozkazu.

– To co ja teraz zrobię?

– Proponuję, żebyś na razie ukrył się w parku. Nikomu się nie pokazuj. Zaczekaj do zmroku, a potem wróć tutaj, to obmyślimy dalszy plan.

Z braku innych możliwości zrobiłem, jak mi kazał. Bez trudu znalazłem kryjówkę w ogromnym parku, po którym prawie nikt się nie kręcił. Po zapadnięciu zmroku wróciłem do zakątka pana Ma. Miał dla mnie mnóstwo nowin.

– Biedny Drżący Liść! Kiedy nie pojawiłeś się dzisiaj rano, wysłał do twego domu trzech eunuchów, aby cię odnaleźli. Rzecz jasna, dowiedzieli się tyle, że poszedłeś do Pałacu Letniego. Drżący Liść wszędzie cię szukał, aż wpadł w panikę. „Gdzie on może być?” – zagadnął mnie w końcu. „To chyba oczywiste – odparłem. – Po drodze musiał się dowiedzieć, że cały dwór wyjechał, ruszył więc w drogę do Wielkiego Muru w nadziei, że zdoła dogonić cesarski orszak”. „Ale przecież wtedy zostanie aresztowany!” – wykrzyknął Drżący Liść. „Tyle że on nic o tym nie wie – przypomniałem mu. – Założę się, że tak właśnie uczynił”.

– Przecież chciałem tak zrobić.

– W rzeczy samej! Drżącemu Liściowi wyraźnie ulżyło, bo dzięki temu nie musiał cię aresztować i strzec przez kilka miesięcy. Powiedział mi coś jeszcze. Kiedy cesarski orszak dotrze do Wielkiego Muru, pan Liu rozkaże wartownikom, aby natychmiast cię aresztowali, gdybyś się tam pojawił.

– O wszystkim pomyślał – jęknąłem.

– A teraz – rzekł pan Ma – powiem ci, gdzie moim zdaniem mógłbyś się ukryć.

– Gdzie?

– Tutaj, w Pałacu Letnim. – Jego stare oczy błyszczały. – Tylko pomyśl: większość mieszkańców stąd wyjechała. Została jedna albo dwie wiekowe damy dworu, a także niewielka grupa eunuchów, w tym ja i ogrodnicy. Poza tym nikt. Nic się tu teraz nie będzie działo, koniec z przyjęciami i koncertami. Mamy niemal cały park dla siebie.

– Chciałbym mieć jakiś dach nad głową – zaprotestowałem.

– Mógłbyś się schronić na jednej z wysp. Nie na Wyspie Świątynnej, bo tam pozostało kilku kapłanów, ale większość wysp jest bezludna. Dawałbym ci zawczasu znać, gdyby wybierali się tam ogrodnicy. Co parę dni mogę ci też dostarczać jedzenie. Żywności mamy tu pod dostatkiem. – Uśmiechnął się do mnie. – Możesz przez jakiś czas żyć jak uczony pustelnik. Może nawet będzie ci to odpowiadało.

Przedyskutowaliśmy wady i zalety każdej z wysp. Podobała mi się Willa Wiosenna Kwiatu Moreli w pobliżu sadu i stromego wzgórza. Widziałem też siebie w jednej z małych willi wokół porośniętego kwiatami lotosu stawu, na wysepce znanej jako Magiczna Kraina Lianxi. W tych cichych, niedostępnych zakątkach można było niepostrzeżenie się zaszyć. Ostatecznie jednak wybraliśmy Taras Piwonii, najbliższą brzegu wyspę, położoną niemal naprzeciwko prywatnej rezydencji cesarza.

– To w zasadzie wiosenne i letnie ustronie – wyjaśnił mi pan Ma – ale pod nieobecność cesarza ogrodnicy na razie nie będą się nim zajmować. – Przeważył również fakt, że panu Ma łatwo było się tam dostać, gdyby chciał mi dostarczyć jedzenie lub wiadomości.

Podzieliwszy się ze mną skromnym posiłkiem, ogrodnik powiódł mnie w ciemnościach na Taras Piwonii.

Sądzę, że okres, który tam spędziłem, był jednym z najszczęśliwszych w moim życiu. Po części miało to związek z pięknem miejsca, w którym przebywałem. Kiedy tam dotarłem, piwonie były już przycięte na jesień; muszę przyznać, że nawet mnie to ucieszyło, gdyż latem zapach tych pełnych kwiatów o gęstych płatkach bywał zbyt intensywny.

Faktem jest, że byłem jedynym mieszkańcem najwspanialszego z cesarskich ogrodów w tym raju na ziemi, jakim był Yuanmingyuan. Rozkoszując się spokojem i poczuciem bezpieczeństwa, myślałem, że to musi być przeznaczenie: niezależnie od nieszczęść, jakie na mnie spadały, raz za razem się podnosiłem, w dodatku zawsze otaczało mnie to, co w życiu najpiękniejsze. Szósty z kolei cesarz mandżurskiej dynastii, wielki przodek naszego obecnego władcy, zwykł chadzać na Taras Piwonii, aby pisać tam wiersze, do czego miał wielki talent. Zastanawiałem się, czy gdybym miał możliwość dalej się kształcić, też robiłbym to samo – chociaż byłbym zapewne zbyt zajęty wąchaniem piwonii.

Ilekroć pan Ma mnie odwiedzał, przynosił jakieś nowiny. Drugiego dnia oznajmił mi: „Barbarzyńcy nadal obozują na południu. Podobno Francuzi są nieco bliżej, a Brytyjczycy zostali w tyle i oczekują na posiłki. Łatwo odróżnić, który jest który: francuskie mundury są niebieskie, a brytyjskie czerwone. Na razie doszło zaledwie do kilku potyczek”.

Kilka dni później dowiedziałem się, że Francuzi wpadli we wściekłość z powodu śmierci jednego ze swoich kapłanów, który zginął w walce i został wrzucony do kanału.

Tymczasem lord Elgin chciał odzyskać zakładników, a książę Gong odmawiał ich wydania, dopóki Elgin nie obieca, że wycofa swoją armię. W niektóre dni wydawało się, że sytuacja jest zupełnie patowa, kiedy indziej wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że taki stan rzeczy nie może długo trwać. Pan Ma uważał, że nasze wojska są bliskie buntu. Ludzie zaczynali uciekać z miasta, byłem jednak pewien, że nie ma wśród nich mego ojca.

Spędziłem na wyspie jakiś czas, gdy pewnego dnia zjawił się tam pan Ma. Staruszek zanosił się ze śmiechu.

– Przynoszę dziś dobrą wiadomość – rzekł. – Umarłeś!

– Jak to?

– Drżący Liść polecił kilku osobom z pałacu rozpytywać o ciebie – chyba tylko po to, żeby mieć co zameldować panu Liu. Ponieważ nigdzie cię nie było, nie pojawiłeś się też w pobliżu Wielkiego Muru, jeden z wysłanników powiedział Drżącemu Liściowi, że według niego nie żyjesz. Przypuszczam, że zwyczajnie znużyły go poszukiwania. Drżący Liść bardzo chce mu wierzyć. Zatem wieść niesie, że umarłeś, a ja nie wątpię, że za dzień lub dwa Drżący Liść uzna to za pewnik. Sam wiesz, jaka jest moc plotki.

– No cóż – odparłem ze śmiechem – lepiej być martwym na Tarasie Piwonii niż żywym w kuchni.

Niedługo potem lord Elgin zagroził zburzeniem murów miejskich i zniszczeniem stolicy.

– Wątpię, aby to im się udało, panie Ma – powiedziałem.

– Możliwe – zgodził się – ale mieszkańcy są przerażeni i coraz liczniej opuszczają miasto.

Pewnego wieczoru pan Ma przekazał mi, że dwóch znaczniejszych zakładników zostało przeniesionych do lepszych kwater.

– Podobno większość barbarzyńców jest w opłakanym stanie po tym, jak w więzieniu głodowali w celach pełnych szczurów – dodał. – Wygląda na to, że książę Gong chce tych dwóch trochę podtuczyć, zanim wyda ich Elginowi.

– To chyba oznacza, że będzie z nimi negocjował – rzekłem. – Gdzie są teraz Brytyjczycy?

– Tam gdzie wcześniej.

– A Francuzi?

– Znudzeni włóczą się po okolicy. Chyba szukają okazji do rabunku.

Przez cały ten czas nie mieliśmy żadnych wiadomości od cesarza i jego świty przebywających na północ od Wielkiego Muru.

Zaczęło się niemal niepostrzeżenie. Najpierw usłyszałem czyjś stłumiony śmiech dobiegający z okolic rezydencji cesarza. W odpowiedzi rozległ się ściszony głos, jakby dwoje ludzi prowadziło dyskretną rozmowę. Uznałem, że to ogrodnicy, i miałem nadzieję, że mnie nie zauważą. Głosy ucichły i przez dłuższy czas panowała cisza.

Potem, nieco dalej, zabrzmiały krzyki. Nie wyrażały gniewu; były to raczej okrzyki radości. Później, gdzieś w pobliżu, coś się stłukło; dźwięk ten musiał dobiegać z rezydencji cesarza. Co tam się mogło dziać?

Wszedłem na kładkę łączącą wyspę z lądem.

Zastanawiacie się może, dlaczego się nie ukryłem; prawdę powiedziawszy, sam nie wiem. Pamiętam tylko, że byłem zaciekawiony, a jak większość ludzi, zawsze staram się przebywać w centrum wydarzeń.

Grupki mężczyzn rozproszyły się po całym terenie. Po mundurach poznałem, że to francuscy żołnierze. Z każdą chwilą od strony bramy napływało ich coraz więcej. Może zabłąkali się do Yuanmingyuan, nie wiedząc nawet, czym jest. Towarzyszący im oficerowie nawet nie starali się ich powstrzymać, nie przypuszczam zresztą, aby mogli cokolwiek zdziałać. Wojskowi wyczuli szansę zdobycia cennych łupów, a na rabunek mieli jeszcze dwie godziny, które dzieliły ich od zapadnięcia zmroku.

Gdy przebiegałem obok rezydencji cesarza, zauważyłem kilku wychodzących stamtąd barbarzyńców; nieśli biżuterię, zegarki, figurki z brązu, a nawet małego pozłacanego Buddę.

Możecie sobie wyobrazić, jak się na ten widok poczułem: jak te dzikusy śmiały wtargnąć do naszego raju i dopuścić się świętokradztwa, kładąc swoje brudne łapy na cesarskich skarbach?

Ci, którzy cenią w życiu to, co piękne i wyszukane, potrzebują własnej armii. Wiedzielibyśmy wtedy, co zrobić z tymi szkodnikami, pomyślałem.

Przy głównym wejściu do rezydencji zauważyłem garstkę eunuchów, którzy usiłowali zatrzymać rabusiów. Jeden wziął skądś pikę, inny trzymał widły ogrodowe, pozostali byli uzbrojeni jedynie w miotły albo noże kuchenne, mimo to dzielnie walczyli.

Ważne, aby o tym pamiętać: ludzie często uważają pałacowych eunuchów za ciepłe kluchy, ale to nieprawda. Osoby z pałacu walczyły równie dzielnie jak regularni żołnierze.

Uznałem, że też muszę zdobyć jakąś broń, i właśnie zastanawiałem się, gdzie ją znajdę, gdy przypomniałem sobie o wysadzanym klejnotami mieczu, wiszącym przy wejściu do kwater eunuchów. Pobiegłem tam i zdjąłem go ze ściany. Był dosyć ciężki, a rubiny na rękojeści wrzynały mi się w dłoń, ale klingę miał ostrą. Wróciłem z nim do rezydencji.

Nie bałem się. Nie ulegało wątpliwości, że barbarzyńcom przyświecał tylko jeden cel: zagarnąć jak najwięcej łupów i uciec. Istniało duże prawdopodobieństwo, że napotkawszy opór w jednym miejscu, ruszą dalej, żeby ograbić inny budynek. Przy odrobinie szczęścia może uda nam się ich utrzymać z dala od apartamentów cesarza.

Znajdowałem się w odległości zaledwie pięćdziesięciu kroków od dzielnych dworaków broniących drzwi, gdy ujrzałem coś, co sprawiło, że serce mi zamarło. Z jednego z pawilonów wybiegła samotna postać. W jednej ręce trzymała bogato zdobioną szatę w kolorze śliwki, w drugiej wspaniały grzebień inkrustowany klejnotami. Nawet z daleka nie mogłem się mylić: rzeczy te należały do Szlachetnej Nałożnicy Yi. Była to ta sama szata, którą miała na sobie, gdy po raz pierwszy przed nią stanąłem.

Zapomniałem o strachu i niewiele myśląc, puściłem się biegiem – czułem się niemal, jakbym unosił się na skrzydłach. Ślepa furia, wściekłość i miłość – owszem, miłość – niosły mnie naprzód, a gdy dopadłem rabusia, wbiłem mu ten ceremonialny miecz prosto w brzuch. Wrzasnął, a ja wyciągnąłem miecz i z całej siły wbiłem go ponownie, gdy żołnierz już padał na ziemię. Zrobiłem to dla Szlachetnej Nałożnicy i Królestwa Niebios.

Potem wyrwałem mu z rąk szatę i grzebień, ponownie chwyciłem miecz i zostawiwszy Francuza wstrząsanego przedśmiertnymi drgawkami, pobie-

głem do kwatery Szlachetnej Nałożnicy. Na poły świadomie oczekiwałem, że któryś z barbarzyńców ruszy za mną w pogoń, lecz jeśli nawet tak było, musieli zrezygnować, zanim dotarłem do jej komnat.

W środku zastałem nie kogo innego jak Drżącego Liścia.

Chyba dopiero co wszedł, bo wyglądał, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, co się wokół niego działo. Widząc mnie z zakrwawionym mieczem, musiał przeżyć nie lada szok.

Zamrugał powiekami, rozdziawił usta i śmiertelnie pobladł. Wpatrywał się we mnie z przerażeniem; czyżby obawiał się, że chcę go zabić?

– Wybacz mi, Lakowany Paznokciu! – zawołał. – Przepraszam za całe zło, które ci wyrządzono. To nie była moja wina, wiesz o tym! Wszystko przez pana Liu. – Nic nie odpowiedziałem, po prostu na niego patrzyłem. – Zhong Kui, ocal mnie! – wykrzyknął nagle.

Dopiero wtedy zrozumiałem. Zhong Kui jest demonem, który odstrasza złe duchy; Drżący Liść musiał mnie wziąć za ducha. W dodatku za głodnego ducha, bo tylko takie mogą przybierać ludzką postać.

– Jedynymi głodnymi duchami są tutaj barbarzyńcy plądrujący pałac! – zawołałem, jednak nic do niego nie docierało. Dobrze, niech dalej uważa mnie za ducha, pomyślałem. – Zbierz wszystkie kosztowności należące do Szlachetnej Nałożnicy Yi – poleciłem mu – i schowaj je w jakimś bezpiecznym miejscu. Prędko!

– Tak jest – odparł i rzucił się zbierać rzeczy.

– Dobrze je ukryj! – krzyknąłem jeszcze.

Niewiarygodne, że rozkazywałem starszemu rangą eunuchowi, ale czułem, że mam do tego prawo. W końcu właśnie zabiłem człowieka za kradzież szaty Szlachetnej Nałożnicy.

Zostawiłem Drżącego Liścia uwijającego się w komnacie i wyszedłem na zewnątrz. Francuscy szabrownicy rozpierzchli się po całym kompleksie. Było oczywiste, że nie mogę walczyć ze wszystkimi naraz. Nie chciałem wracać do Drżącego Liścia, który prędzej czy później musiałby się zorientować, że nie jestem duchem. Pomyślałem o starym panu Ma; nie sądziłem, aby barbarzyńców zainteresowały jego drzewka, postanowiłem więc zostać tu, gdzie byłem teraz, i pilnować wejścia do apartamentów Szlachetnej Nałożnicy. Mocniej ścisnąłem zakrwawiony miecz i przyjąłem groźną postawę. Niektórzy z francuskich żołnierzy zerkali na mnie, ale żaden nie próbował podejść bliżej.

Stałem tak kilka minut, gdy zauważyłem grupkę barbarzyńców zmierzających ku pawilonom zamieszkiwanym przez starsze wiekiem damy dworu. Nieszczególnie mnie to obeszło, dopóki nie ujrzałem skradającej się od tyłu postaci. Była zbyt daleko, abym mógł dojrzeć rysy jej twarzy. Wyraźnie się wahała; wyglądała za róg budynku, po czym cofała się niepewna, dokąd by uciec.

Czy barbarzyńcy gotowi byliby ją skrzywdzić? W taki dzień jak ten nawet dama dworu mogła zostać zaatakowana. Zakląłem pod nosem; nie uśmiechało mi się porzucać posterunku, ale nie mogłem jej tak zostawić. Skryłem się za krzakami, żeby rabusie mnie nie zauważyli, i nisko pochylony pobiegłem w jej stronę. Byłem już blisko, gdy mnie dostrzegła; na widok zakrwawionego miecza w moim ręku drgnęła przerażona, jednak po stroju musiała się zorientować, że jestem eunuchem, opanowała się więc szybko i spokojnie czekała. Miała na sobie prostą szatę, lecz na jej szyi spostrzegłem naszyjnik z pereł i szlachetnych kamieni. Byłem pewien, że już ją kiedyś widziałem.

Po chwili ją rozpoznałem: miałem przed sobą kobietę, którą książę Gong nazywał ciocią. Podszedłem i ukłoniłem się jej nisko.

– Księżniczko – odezwałem się – zwą mnie Lakowanym Paznokciem. Służę Szlachetnej Nałożnicy Yi.

– Tak, tak, poznaję. Brałeś udział w walce?

– Wasz niewolnik zabił barbarzyńcę – przyznałem.

– Książę Gong miał tu być dziś po południu – powiedziała. – Wysłałam służącą, żeby go odnalazła, ale nie wiem, co się z nią stało.

– Nie sądzę, abyśmy mogli bezpiecznie tutaj czekać. Czy w środku są inne szlachetne damy?

– Zostałam tylko ja.

– Ukryjmy się lepiej na którejś z dalszych wysp – zasugerowałem.

Odniosłem wrażenie, że ten pomysł jej się spodobał.

– Znasz Willę Wiosenną Kwiatu Moreli? – zapytała. – Pawilony stoją na samym brzegu, ale zalesione wzgórze na tyłach jest całkiem odludne. Myślę, że moglibyśmy się tam ukryć.

– Zbocze jest bardzo strome, pani, i czeka nas trudna wspinaczka – ostrzegłem ją.

– Jestem Mandżurką, Lakowany Paznokciu – przypomniała mi z uśmiechem. – Nie krępowano mi stóp. Ale tak jak u Szlachetnej Nałożnicy Yi, są one tak delikatne, że mogłyby uchodzić za krępowane.

Podążyliśmy ścieżką wokół jeziora ile sił w nogach. Francuscy barbarzyńcy wciąż byli zajęci plądrowaniem pawilonów w pobliżu rezydencji cesarza, więc jeszcze tutaj nie dotarli. Przeszliśmy przez dwie bezludne wyspy, a gdy zbliżyliśmy się do Wyspy Wiosennej Kwiatu Moreli, w zasięgu wzroku nie było żywej duszy.

Przed nami nad wodą wznosiła się ładna, łukowata, kamienna kładka. Byliśmy już niemal na jej szczycie, gdy idąca za mną księżniczka powiedziała:

– Zatrzymaj się, Lakowany Paznokciu, i schowaj swój miecz.

Mówiła cicho, głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Przystanąłem więc i nie wypuszczając miecza z ręki, schowałem go za plecami. Przez chwilę nic nie rozumiałem, a potem dostrzegłem to, co ona. Miała bystrzejszy wzrok ode mnie.

Z zarośli oddalonych od nas o jakieś dwadzieścia kroków wyłonił się samotny barbarzyńca i szedł prosto na nas. Wyglądało na to, że nikogo innego z nim nie ma. W rękach trzymał karabin. Na nasz widok wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Widziałem w życiu wielu wstrętnych barbarzyńców, ale żaden nie był równie odrażający jak ten. Ogromny, z krzaczastą czarną brodą i zakrzywionym nosem, który zdawał się sięgać aż do podbródka. Jedno z jego płonących oczu uciekało na prawo, ale drugie było utkwione we mnie. Uniósł broń, ale w nas nie wycelował. Gdyby zobaczył miecz, zapewne by mnie zastrzelił.

– Jak myślisz, czego on tutaj szuka? – zapytała mnie cicho księżniczka. Była cudownie opanowana.

– Łupów – odparłem i wtedy dotarło do mnie, dlaczego jest sam. – Prawdopodobnie przybiegł tu, żeby wyprzedzić innych i zagarnąć dla siebie najcenniejsze przedmioty – dodałem.

Nikt z nas się nie poruszył, zauważyłem jednak, że wzrok barbarzyńcy spoczął na księżniczce. Zacisnąłem mocniej dłoń na rękojeści miecza. Gdyby spróbował ją skrzywdzić, zamierzałem go zabić albo zginąć w jej obronie.

Pamiętam, jak pomyślałem, że jeśli już mam oddać życie, to przynajmniej broniąc członka rodziny cesarskiej. Gdyby znaleziono nas tu oboje martwych, wszyscy by o tym usłyszeli, a moje imię byłoby czczone przez pokolenia. Byłem ciekaw, czy książę Gong odkupiłby moje odcięte członki, abym mógł zostać pochowany razem z nimi jak prawdziwy mężczyzna.

W ten sposób okazałby mi swą wdzięczność – tylko czy przyjdzie mu to do głowy?

Ręka ohydnego potwora powędrowała ku szyi, po czym wskazała na księżniczkę. Od razu pojąłem znaczenie tego gestu.

– Chce waszych pereł – powiedziałem.

– Jak on śmie? – Tak powinna przemawiać prawdziwa szlachetna dama, pomyślałem. Strata pereł nic dla niej nie znaczyła; bolała ją urażona godność. – Wykluczone – oświadczyła stanowczo.

Brodaty dzikus zwrócił ku mnie lufę swej broni.

– Zastrzeli mnie i zabierze wam perły – szepnąłem.

– Jeśli dotknie mnie swoimi rękami, będę musiała się utopić – stwierdziła.

Ani myślała o oddaniu swoich pereł. A co do utopienia się… Gdyby dama o jej pozycji – szlachetnie urodzona, nałożnica cesarza – została splugawiona dotykiem ohydnego barbarzyńcy, z pewnością miałaby prawo odebrać sobie życie.

Nie zanosiło się na to, aby udało nam się znaleźć inny honorowy sposób na wyjście z opresji.

Nieoczekiwanie spłynęło na mnie natchnienie. Pamiętajcie, zawsze należy stawiać się na miejscu swojego wroga i starać się rozumować tak jak on.

– Zaufajcie mi, księżniczko – mruknąłem; od razu zrozumiała, o co mi chodzi. Potem złożyłem Francuzowi najbardziej służalczy ukłon, na jaki potrafiłem się zdobyć, po czym wolną ręką pokazałem mu, aby się zbliżył i wziął sobie perły, zupełnie jakbym chciał powiedzieć: „Sam nie mogę ich zdjąć, ale nie będę cię powstrzymywał”.

Barbarzyńca uśmiechnął się pogardliwie. Eunuch pałacowy, pomyślał zapewne. Stale to słyszałem: słaby, zniewieściały, nielojalny.

Wszedł na mostek i ruszył w moją stronę, a ja odsunąłem się na bok, żeby mógł mnie wyminąć. Chyba nawet nie zauważył miecza, który wyciągnąłem zza pleców i wbiłem mu pod żebra, kierując ostrze w górę tak, żeby przebić serce.

Stęknął, znieruchomiał i z rękojeścią wciąż sterczącą mu z tułowia osunął się na kolana. Oparłem stopę na jego klatce piersiowej, szarpnąłem mieczem w lewo i w prawo, żeby upewnić się, iż ostrze dokona w środku dzieła spustoszenia, i wyciągnąłem go. Karabin wypadł mu z ręki i ze stu-

kotem potoczył się po kamiennej kładce. Barbarzyńca nadal klęczał; zerknąłem na ciotkę księcia Gonga.

Jej oblicze było całkiem nieruchome i nie zdradzało żadnych emocji. Jak to się mówi, widać było po niej szlachetne pochodzenie.

W tym samym momencie z ust Francuza buchnęła krew i runął twarzą na mostek. Jego ciało wzdrygnęło się raz czy dwa w silnych konwulsjach. Gdy tylko znieruchomiał, podniosłem jego karabin.

Spojrzałem na księżniczkę. Wyraz jej twarzy się nie zmienił. Rozejrzała się po jeziorze, jakby śmierć barbarzyńcy w ogóle jej nie obeszła. Zastanawiałem się właśnie, czy na pewno powinniśmy ukryć się na tej wyspie, czy też może lepiej będzie wybrać jakąś inną, gdy zawołała:

– Spójrz tam, Lakowany Paznokciu! Zaraz tutaj będą. – Spojrzałem i zobaczyłem nadbiegających od strony jeziora kilkunastu żołnierzy, a za nimi czterech mężczyzn niosących lektykę. – Ciekawe, czy nas zauważył – dodała i ogromnie podekscytowana zaczęła machać w kierunku lektyki.

Aż trudno było uwierzyć w tę niespodziewaną przemianę: z dostojnej damy przeobraziła się w rozradowaną dziewczynkę. W sumie nic dziwnego, że tak się cieszyła: najwyraźniej zbliżał się ku nam kolejny członek rodziny cesarskiej.

Książę Gong w mgnieniu oka znalazł się przy nas i szybko ocenił sytuację. Wokół głowy brodatego barbarzyńcy zdążyła już się rozlać kałuża krwi.

– Nic ci nie jest, ciociu? – zwrócił się do mojej towarzyszki. – Przybyłem tak szybko, jak się dało.

– Nic – zawołała. – Dzięki niemu! – Wskazała na mnie.

– Czy ja cię znam?

Ukłoniłem mu się nisko.

– To Lakowany Paznokieć – przedstawiła mnie. – Walczył mieczem z barbarzyńcami, zobaczył mnie i uratował. Tego tutaj też zabił. Uratował mi życie.

– Och. – Zauważyłem, że żołnierze obrzucili mnie spojrzeniami pełnymi szacunku, co bardzo mnie ucieszyło. – Czy to nie ty wpadłeś ostatnio w tarapaty? – spytał książę Gong. – Słyszałem, że nie żyjesz.

– Jeszcze nie umarłem, Wasza Wysokość – odparłem, mężnie zdobywając się na uśmiech. – Jednak obowiązkiem waszego niewolnika jest ostrzec was, że barbarzyńcy mogą tu być lada chwila. Są przy głównej bramie.

– Opuścimy teren pałacu inną drogą – zadecydował i pomógł ciotce wsiąść do lektyki, po czym znów spojrzał na mnie i na mój miecz. – To miecz ceremonialny. Skąd go masz?

Odpowiedziałem. Gestem dał mi znak, że powinienem mu go oddać. Wyciągnąłem rękę; zabolało. Rubiny zdobiące rękojeść miecza zraniły moją dłoń, która od dłuższego czasu krwawiła. W całym zamieszaniu w ogóle tego nie poczułem.

Książę wsiadł za ciotką do lektyki.

– W drogę! – nakazał swoim sługom.

Gdy podnosili lektykę, usłyszałem, jak dama dworu mówi:

– Uratował mi życie.

Książę Gong wysunął głowę na zewnątrz.

– Idziesz z nami – powiedział do mnie. Ruszyliśmy więc.

Kiedy opuszczaliśmy Yuanmingyuan, przypomniałem sobie radę ojca: powiedział mi kiedyś, że najlepszym sposobem na zdobycie fortuny jest uratowanie życia bogatemu człowiekowi. Tego dnia udało mi się dokonać czegoś znacznie lepszego: ocaliłem życie jednego z członków rodziny cesarskiej! Gdy sobie to uświadomiłem, nie mogłem powstrzymać śmiechu.

Poszczęściło mi się. Po pierwsze, znalazłem bezpieczne schronienie w dobrze strzeżonej rezydencji księcia Gonga, która znajdowała się w obrębie murów miasta i olśniewała luksusem. Jeden z eunuchów księcia wskazał mi łaźnię dla służby, dał świeże ubranie i balsam na zranioną rękę. Poprosiłem go o dodatkową porcję balsamu, którym posmarowałem sobie pośladki. Potem dostałem solidny posiłek i małą izdebkę na własny użytek. Owej nocy przespałem prawie dziesięć godzin.

Kiedy w końcu się obudziłem, ten sam eunuch podał mi śniadanie i oznajmił, że gdy tylko będę gotowy, mam iść do komnat księżniczki.

Znalazłem ją w niewielkiej bawialni – siedziała wyprostowana jak struna na dużym, wypolerowanym krześle. Miała na sobie suknię w kwiaty, a we włosach prosty grzebień z żółwiej skorupy. Wyglądała bardzo królewsko i dostojnie, ale uśmiechnęła się do mnie i kazała mi usiąść przed sobą na drewnianym stołeczku.

– Po pierwsze, chciałabym ci jeszcze raz podziękować za uratowanie mi życia – powiedziała.

– To był zaszczyt dla waszego niewolnika – odparłem, skłoniwszy głowę.

– A teraz chciałabym usłyszeć twoją historię, Lakowany Paznokciu, od momentu, gdy postanowiłeś zostać osobą z pałacu.

– Obawiam się, że was zanudzę, księżniczko.

– Na pewno nie – odrzekła. – Zresztą książę Gong cały dzisiejszy dzień spędzi poza domem. Musi dopilnować obrony miasta, a ja nie mam nikogo, kto mógłby mnie zabawić, więc równie dobrze mogę wysłuchać twojej opowieści.

Przyszło mi na myśl, że to książę Gong mógł ją poprosić, żeby mnie wypytała, skąd się wziąłem w pałacu i co tam właściwie robiłem, skoro wszyscy uważali mnie za martwego. Gdybym nie ocalił jego ciotki, ktoś inny wziąłby mnie na spytki i zapewne nie byłoby to dla mnie przyjemne.

Opowiedziałem więc wszystko po kolei: o mojej żonie i dzieciach, o chorobie mojego synka, o tym, jak pan Chen wprowadził mnie do pałacu i o niechęci pana Liu do mnie – całą prawdę, nie pomijając, rzecz jasna, psikusa, który spłatał mi pan Liu, i tego, jak postanowiłem się ukryć na Tarasie Piwonii. Wiedziałem, że jeśli to dotrze do pana Liu, może wzbudzić jeszcze większy gniew głównego eunucha, ale musiałem się bronić. Księżniczka chyba zrozumiała, że nigdy nie ośmieliłbym się wymyślić podobnej bajeczki. Pominąłem jedynie kwestię pieniędzy, które otrzymałem od pana Liu, i miejsca ich ukrycia. W życiu należy zawsze kierować się szczerością, nie powinno to jednak dotyczyć spraw finansowych.

– No cóż, to bardzo podobne do pana Liu. Co za okropny człowiek! – powiedziała, kiedy skończyłem.

– Wasz niewolnik go podziwia, księżniczko – zapewniłem ją, bo taka była prawda. – Zawsze myśli o wszystkim. Szkoda tylko, że mnie nie lubi.

– Zostaniesz z nami, Lakowany Paznokciu – oświadczyła. – Jestem pewna, że księciu Gongowi przyda się ktoś z twoimi umiejętnościami.

Książę Gong wrócił wczesnym wieczorem z bardzo ponurą miną. Nie minęło wiele czasu, a służba odkryła, co się stało: książę złożył oficjalny protest w sprawie haniebnego splądrowania Pałacu Letniego na ręce przedstawicieli francuskich i brytyjskich barbarzyńców, nie otrzymał od nich jednak żadnej odpowiedzi poza żądaniami wydania zakładników. Co gorsza, posłowie wysłani przez niego do lorda Elgina odnieśli wrażenie, że brytyjscy żołnierze wpadli w gniew, słysząc, że Francuzom udało się zdobyć tak

pokaźne łupy. Szpiedzy księcia donieśli mu z kolei, że tego samego dnia francuscy oficerowie oprowadzali brytyjskich oficerów po Yuanmingyuan.

Po wieczornym posiłku książę Gong posłał po mnie. Skinął mi lekko głową.

– Opowiadano mi o twoich przygodach. Czy to wszystko prawda? Jeżeli kłamiesz, każę cię wtrącić do więzienia.

– Wasz niewolnik klnie się na swoje życie, że powiedział samą prawdę – zapewniłem go.

– Ciotka chce, abym cię przyjął na służbę. – Przez chwilę mi się przyglądał. – Ostatecznie możesz opróżniać nasze nocniki! – zawołał nagle ze śmiechem i odprawił mnie ruchem dłoni.

Nie miałem nic przeciwko temu. Cieszyłem się, że był w dobrym humorze i że mogłem u niego zostać.

Wieczorem kładłem się już spać, kiedy powiedziano mi, że księżniczka znowu chce mnie widzieć. Przyjęła mnie w tym samym pomieszczeniu co wcześniej, tyle że teraz służąca rozplatała jej włosy, ponieważ księżniczka szykowała się do snu.

– Lakowany Paznokciu – zwróciła się do mnie – chcę cię prosić o wielką przysługę. W całym tym wczorajszym zamieszaniu zostawiłam w Letnim Pałacu coś, do czego jestem bardzo przywiązana. Jeśli to nadal tam się znajduje, a brytyjscy barbarzyńcy przyjdą, aby znowu splądrować pałac, obawiam się, że mogę utracić to na zawsze. Chodzi o przepiękny jadeitowy wisior, który podarował mi sam cesarz. Ma dla mnie wielką wartość sentymentalną.

– Oczywiście, księżniczko – odparłem, kłaniając się nisko. – Wasz uniżony sługa będzie zaszczycony, mogąc wam służyć. – Uśmiechnąłem się na dowód, że mówię całkiem szczerze.

– Wisior jest nanizany na wstążkę – wyjaśniła – i ukryty w sekretnej przegródce szafki. – Opisała mi, gdzie znajduje się owa szafka i jak mam ją otworzyć. – Będziesz potrzebował na to kilku chwil – dodała. – Nikt by się nie domyślił, że jest tam ukryty schowek. Byleby tylko barbarzyńcy nie zaczęli rozbijać mebli…

Nie dopuszczałem do siebie takiej myśli; chyba nawet brytyjscy barbarzyńcy nie byliby zdolni do takiego łajdactwa.

– Wybiorę się tam o świcie, zanim ktokolwiek obcy pojawi się w pałacu – oznajmiłem.

– Chcesz, żeby towarzyszyli ci nasi żołnierze?

– To chyba zbędne – odrzekłem. – Jeśli Brytyjczycy zjawią się tam wcześniej, kilku żołnierzy nie zdoła mnie obronić. Najlepiej będzie, jeśli po prostu zakradnę się tam i wyjdę, zanim ktokolwiek mnie zauważy.

Wczesnym świtem przekroczyłem zachodnią bramę miasta i jeszcze przed wschodem słońca minąłem główne wejście do Yuanmingyuan. Nikt go nie pilnował.

Miałem tylko jedno zadanie do wykonania: odnaleźć jadeitowy wisior księżniczki i wrócić z nim do Pekinu.

Mimo to pozwoliłem sobie nieco zboczyć z drogi, żeby zajrzeć do szkółki drzewek penzai pana Ma. Nie spodziewałem się zastać go tam o tak wczesnej porze, zresztą nie miałbym nawet możliwości zostać na dłuższą pogawędkę. Chciałem się jednak upewnić, czy nikt nie zniszczył jego cennych drzewek.

Pan Ma leżał na wznak przy wejściu do szkółki. Szczęka mu opadła, sine policzki miał zapadnięte tak, że usta ułożyły mu się w małe O. Niewidzącymi oczami wpatrywał się w niebo. Pośrodku wąskiej klatki piersiowej widniał czarny krąg zakrzepłej krwi w miejscu, gdzie został postrzelony. Zastanawiałem się, dlaczego ktoś go zabił. Kilka drzewek penzai miało przecięte sznury, jakby francuscy żołnierze próbowali je wyswobodzić z niewoli, ale chyba żadne nie znalazło nowego właściciela. Pan Ma próbował zapewne przeszkodzić szabrownikom w wejściu do szkółki, a oni go zastrzelili, bo stanął im na drodze.

Przypuszczam, że tak to już jest na wojnie: jedni giną z właściwych powodów, inni z niewłaściwych, a jeszcze inni całkiem bez powodu.

Szafka była taka, jak opisała mi ją księżniczka – piękna, dwudrzwiowa, z ciemnego palisandru. Stała pod jedną ze ścian komnaty i nie było widać, aby ktoś przy niej majstrował. Pomyślałem, że łatwo będzie ją otworzyć. Podszedłem, otworzyłem prawe drzwi i wyszukałem w środku ruchomy panel, dokładnie tak, jak mnie poinstruowała księżniczka.

Po dziesięciu minutach nadal byłem w kropce. Miałem wykonać pięć prostych czynności: przesunąć panel, nacisnąć znajdującą się za nim deskę, wsunąć palce w zagłębienie, wymacać niewielką dźwignię i pociągnąć ją w dół.

Tyle że nijak nie mogłem znaleźć dźwigni. Czy w szafie znajdował się jeszcze jakiś inny ruchomy panel? A może księżniczka pomyliła drzwi szafki? Cierpliwie wypróbowałem wszystkie alternatywy, jakie mi przyszły na myśl – na próżno.

Czyżby pomyliła kolejność? Niemal godzinę próbowałem najróżniejszych strategii. Raz, po otwarciu drzwi z drugiej strony, wydawało mi się, że odnalazłem dźwignię, ale chociaż pociągnąłem ją w dół, a potem do góry i jeszcze na boki, szafka pozostawała niezdobyta, uparcie odmawiając wyjawienia mi swojego sekretu. Gdybym tylko mógł zasięgnąć rady wiekowej damy dworu, być może powiedziałaby mi, co robię źle, ale oczywiście było to niemożliwe.

Przeszło mi przez myśl, że gdybym przyszedł tu z pomocnikiem i wózkiem, zdołalibyśmy wynieść stąd całą szafkę i przewieźć do Pekinu w czasie o wiele krótszym od tego, który tutaj spędziłem, usiłując ją otworzyć. Ale było już za późno, żeby naprawić ten błąd.

Co mi pozostawało? Czas mijał i Brytyjczycy w każdej chwili mogli się tu zjawić. Uznałem, że w najgorszym razie mogę opuścić pawilon i wrócić, gdy barbarzyńcy już stąd pójdą. Ostatecznie skoro mnie nie udało się znaleźć wisiora, mało prawdopodobne, aby oni tego dokonali. Nie chciałem jednak zawieść księżniczki i utracić jej przychylności; w pałacu łaska pańska na pstrym koniu jeździ.

Jedyne, co mi przychodziło do głowy, to siłą dostać się do wnętrza szafki. Ale jak? Korzystając z siekiery? Jak bardzo uszkodziłbym wtedy cenny mebel, który sam w sobie był dziełem sztuki? I jak zdołałbym się z tego wytłumaczyć? W ostateczności mógłbym chyba obwinić o wszystko barbarzyńców.

Przeszedłem się po sąsiednich pomieszczeniach, szukając czegoś, co mogłoby mi posłużyć za narzędzie. Niczego nie znalazłem. Już miałem iść do pałacowej kuchni w nadziei, że tam coś znajdę, gdy z zewnątrz dobiegły mnie głosy – głośne, rozmawiające w barbarzyńskim języku. Wyjrzałem przez drzwi i w odległości stu kroków od siebie ujrzałem czerwone mundury.

Nadeszli Brytyjczycy.

Pospiesznie wróciłem do szafki. Podejmując ostatnią, desperacką próbę, sięgnąłem do środka, przesunąłem panel, który próbowałem otworzyć na samym początku, pchnąłem znajdującą się za nim deskę i… tym razem, jak na zawołanie, od razu wymacałem dźwignię. Pociągnąłem ją w dół.

Nic się nie wydarzyło. Niewiarygodne! Wściekły i sfrustrowany, zapominając o swoim skaleczeniu, z głośnym okrzykiem z całej siły uderzyłem dłonią w bok szafki. Natychmiast poczułem ostry ból. Przeklęta szafka z palisandru!

W tym samym momencie coś w jej wnętrzu cicho przeskoczyło.

Sięgnąłem do środka. Sekretny schowek stał przede mną otworem. Chwilę później trzymałem w ręce wisior z jadeitu i wpatrywałem się w niego jak urzeczony. Zwyczajnie nie mogłem się powstrzymać. Jadeit był przepięknie rzeźbiony, widniały na nim sylwetki przynoszących szczęście ptaków i nietoperzy, a zarazem zachował przejrzystą czystość najpiękniejszych kamieni, jakich nie spotyka się w całym Królestwie Niebios. Kupcy sprowadzają je z Birmy. Miękkie jak tafla wody, a jednocześnie twardsze niż diament; można w nich rzeźbić, bo nigdy się nie kruszą. Zaiste, godny dar cesarza dla ukochanej. A ja miałem nieść ten cud, przyciskając go do swojego niegodnego ciała!

Mogłem bowiem zrobić tylko jedną rzecz: zawiesiłem sobie cenny wisior na szyi. Pod ubraniem był prawie niewidoczny. Pytanie, czy uda mi się stąd wydostać i nie wpaść w ręce Brytyjczyków, którzy mogliby mnie nawet zabić. Ostrożnie ruszyłem do wyjścia.

* * *

Brytyjscy barbarzyńcy dotarli właśnie gromadnie na brzeg jeziora po mojej stronie, a druga kolumna ich wojsk nadciągała od strony głównej bramy. Na moich oczach żołnierze odłączali się i zmierzali to w prawo, to w lewo, kierując się najwyraźniej ku poszczególnym wyspom. Zauważyłem coś jeszcze: wszyscy szczerzyli zęby w uśmiechu, jakby brali udział w jakimś święcie.

Uświadomiłem sobie, że oficerowie przyprowadzili ich tutaj w nagrodę. To była dla nich nie lada gratka: możliwość spędzenia całego dnia w raju i plądrowania do woli cesarskiego skarbca. Wolno im było zabrać tyle, ile zdołali unieść. Nic dziwnego, że tak się cieszyli.

Powoli oddaliłem się od pawilonu. Zauważyli mnie, ale żaden nie wykonał żadnego gestu w moim kierunku. Przypuszczam, że gdybym był uzbrojony, któryś z nich mógłby mnie zastrzelić. Albo gdybym pchał ręczny wózek wyładowany złotem – wtedy na pewno by mi go odebrali. Jednak oni widzieli tylko samotnego pałacowego eunucha, nieuzbrojonego i idącego z pustymi rękami, który czym prędzej chciał im zejść z drogi. Szedłem przed siebie, w stronę głównego wejścia.

Zaledwie dwadzieścia kroków dzieliło mnie od szkółki pana Ma, kiedy wszystko wzięło w łeb. Wspominałem już, jak trudno było mi odróżnić jednego barbarzyńcę od drugiego, lecz ten konkretny stanowił wyjątek. Miał inny mundur, a przy pasie szablę i stał samotnie, obserwując rozbiegające się po terenie oddziały.

Jak na barbarzyńcę był średniego wzrostu, ale potężnie zbudowany i miał krótkie jasnobrązowe wąsy. Jego twarz była regularna, inteligentna, z szerokim czołem. Miał też najbardziej niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Spojrzały na mnie przenikliwie, ale nie dostrzegłem w nich wrogości, zupełnie jakby zamierzał mnie przepuścić.

Niestety, tak się nie stało. Barbarzyńca dobył szabli i dał mi znak, abym się zatrzymał. Przyjrzał mi się uważnie, po czym czubkiem szabli uniósł moją szatę, żeby sprawdzić, czy niczego pod nią nie ukrywam. Niczego nie znalazł, lecz to mu nie wystarczyło.

W tym momencie usłyszałem głos, wołający: „Goh-Dun!”. Mężczyzna nie zareagował. Nie spuszczał ze mnie wzroku. „Goh-Dun!” – zawołał ktoś ponownie. Domyśliłem się, że to musi być imię tego oficera. Potem ten sam głos powiedział w barbarzyńskim języku coś, co brzmiało jak „Cotammasz?”.

Goh-Dun lekko się odwrócił; ja zrobiłem to samo. W naszym kierunku zmierzał inny oficer, tak samo ubrany. Goh-Dun poczekał, aż podejdzie, i coś do niego powiedział. Oficer skinął głową i szybko mnie obmacał: nogi, ramiona, krocze, po czym odwrócił się z powrotem do Goh-Duna i pokręcił głową.

Jednak Goh-Dun wciąż nie był zadowolony. Jego bystre niebieskie oczy lustrowały mnie, zupełnie jakby był inżynierem badającym konstrukcję nowego mostu. Powiedział coś, na co drugi oficer rozsunął górne poły mojej tuniki. Goh-Dun ostrzem szabli dotknął mojej szyi, a potem przesunął nim wzdłuż obojczyka. Stojąc nieruchomo, próbowałem niepostrzeżenie obniżyć ramię tak, aby ostrze mogło przesunąć się ponad wstążką. Prawie

mi się to udało – prawie. Goh-Dun najpierw zmarszczył lekko czoło, lecz po chwili jego wargi wygięły się w półuśmiechu. Cofnął ostrze o kilka cali, wsunął czubek szabli pod wstążkę i podciągnął ją do góry.

Chwilę później jadeitowy wisior w całej okazałości znalazł się na wysokości mojej twarzy.

– Aha – rzekł Goh-Dun.

Oficerowie oglądali wisior, wymieniając jakieś uwagi i kiwając głowami. Widać było, że uważają go za cenny. Potem Goh-Dun wziął go do ręki i szablą przeciął wstążkę.

– Nie! – zawołałem, usiłując pochwycić wisior.

Lecz barbarzyńca tylko się uśmiechnął i schował go do kieszeni.

Zacząłem kręcić głową i tłumaczyć, że klejnot należy do samego księcia Gonga, więc nie powinien go w ogóle dotykać, on jednak oczywiście nie zrozumiał ani słowa z tego, co powiedziałem. Padłem więc na kolana i niemal we łzach błagałem, aby mi go zwrócił, na co ów drugi oficer powiedział coś i wybuchnął śmiechem, Goh-Dun zaś gestem wskazał najpierw na pawilon, potem na mnie i ręką wykonał taki ruch, jakby coś chwytał. Następnie wskazał na siebie, znowu zacisnął dłoń i poklepał się po kieszeni. Znaczenie tej pantomimy było całkiem jasne: uważał, że zrabowałem wisior z pawilonu, a teraz on zrabował go mnie.

Bądź co bądź on i jego ludzie przybyli do Pałacu Letniego, żeby grabić, założył więc, że ja także postanowiłem skorzystać z okazji do wzbogacenia się. Ponieważ nadal klęczałem, kręciłem głową i głośno protestowałem, chwycił mnie za rękę, podciągnął do góry, klepnął mnie po przyjacielsku w zadek płazem szabli, co zabolało bardziej, niż mógł przypuszczać, po czym dał mi do zrozumienia, że jeśli zaraz nie odejdę, uderzy mnie ponownie.

Było to, rzecz jasna, upokarzające, lecz o wiele gorsza była myśl, że jadeitowy wisior został skalany dotykiem jego barbarzyńskich rąk. Najgorsza zaś była niepewność: jak zareagują książę Gong i jego ciotka, kiedy im o tym opowiem.

Nie byli zachwyceni, kiedy się dowiedzieli. Księżniczka okazała mi życzliwość – uwierzyła mi, a przynajmniej twierdziła, że mi wierzy. Była jednak smutna i rozczarowana, a ja nie mogłem tego znieść. Jeśli chodzi o księcia Gonga, jeszcze tego samego wieczoru dowiedziałem się, co o mnie myśli. Tak się bowiem złożyło, że znalazłem się w pobliżu drzwi

komnaty księżniczki, gdy wszedł tam, aby z nią porozmawiać, i słyszałem każde słowo.

– Najpierw ucieka, zamiast wyjechać na północ razem z resztą dworu – mówił. – Potem pozoruje własną śmierć i kradnie miecz, który jest wart fortunę.

– Przecież nim walczył. Widziałam krew na ostrzu.

– Równie dobrze mógł go wbić w jednego z naszych służących, który próbował przeszkodzić mu w kradzieży. Albo w barbarzyńcę, który chciał mu odebrać cenną zdobycz.

– Zawdzięczam mu życie.

– Skoro tak mówisz, ciociu… To jedyny powód, dla którego nie wtrąciłem go jeszcze do więzienia. Przyznaj jednak, że to się układa w pewną całość: posłany po twój jadeitowy wisior wraca z historyjką, że odebrał mu go brytyjski oficer. Jedna bajeczka goni drugą, a każda jest mniej prawdopodobna od poprzedniej. Założę się, że ukrył gdzieś ten wisior.

– Ja mu wierzę – odpowiedziała stara dama dworu. Jednocześnie usłyszałem zbliżające się do drzwi kroki i czmychnąłem.

Nazajutrz rano książę Gong wybrał się do Yuanmingyuan, aby ocenić straty. Ku swemu zaskoczeniu usłyszałem, że mam mu towarzyszyć. Podejrzewam, że chciał mnie mieć na oku. Na wszelki wypadek zabrał też ze sobą dwudziestu ludzi. Podróżował w lektyce, a ja musiałem biec z tyłu.

Przy bramie nadal nie było wartowników. Przy szkółce starego pana Ma zatrzymaliśmy się i książę wysiadł.

Ciało starego ogrodnika było teraz rozdęte i zaczynało gnić. Książę zwrócił się do mnie.

– To on? – zapytał. Przytaknąłem. – Dobrze go znałeś?

– Był dla mnie bardzo dobry, Wasza Wysokość – odpowiedziałem.

– Nie powinno się go tu tak zostawiać – rzekł, mimo to po chwili ruszyliśmy dalej.

Wyglądało na to, że mamy cały Pałac Letni dla siebie. To było niesamowite. Przy wejściu do rezydencji cesarza nie znaleźliśmy żadnych trupów, a w apartamencie Szlachetnej Nałożnicy nie było śladu Drżącego Liścia, uznałem więc, że większość eunuchów zdołała uciec.

Chodziliśmy od jednego pawilonu do drugiego, od wyspy do wyspy. Gdybym nie zobaczył na własne oczy tego, co ujrzałem owego dnia, chyba-

bym w to nie uwierzył.

Barbarzyńcy nie zabrali wszystkiego. Zrabowali złoto i srebro, biżuterię i perły; wynieśli obrazy i posągi religijne oraz setki jedwabnych sukien. Słyszałem, że niektórzy żołnierze wkładali je na siebie – czy po to, aby łatwiej było je nieść, czy też z okazji jakiegoś swojego święta, tego nie wiedziałem. Nie zabrali jednak wszystkiego z tego prostego powodu, że bogactw było zbyt wiele, aby nawet tak liczna armia zdołała je unieść.

Lecz tym, co najbardziej mną wstrząsnęło, nie była grabież cennych przedmiotów, tylko rozmiar dokonanych zniszczeń.

Jedwabne szaty podarte, bezcenne malowane zwoje rozwinięte tylko po to, żeby można się było przekonać, jakie są długie, i pozostawione na ziemi do zadeptania. Rozbite lakowane szkatułki, roztrzaskana macica perłowa, ozdoby pozrywane ze ścian świątyni. Nie uczyniono tego z żądzy odwetu ani w gniewie. Przeciwnie – barbarzyńcy doskonale się bawili podczas swojego święta. Nie mieli ani trochę szacunku dla Królestwa Niebios, jego władców, uczonych i artystów ani dla żadnego z tych pięknych przedmiotów, które radują oczy.

Na pewien czas zostałem w tyle i łkając cicho, klęczałem samotnie w jednej ze świątyń po przeciwnej stronie jeziora, zbierając fragmenty szkatułki pokrytej emalią komórkową, zmiażdżonej butem jakiegoś barbarzyńcy. Naraz zdałem sobie sprawę, że ktoś mnie obserwuje. Czyżby to był któryś z żołnierzy? Odwróciłem się, ocierając łzy, i zobaczyłem księcia Gonga. Podniosłem się chwiejnie i ukłoniłem. Moje policzki wciąż były mokre.

– I co o tym wszystkim sądzisz, Lakowany Paznokciu? – odezwał się cicho.

– Doprawdy, Wasza Wysokość! – wybuchnąłem. – Według waszego niewolnika ci barbarzyńcy są jak zwierzęta! Nie, nie zwierzęta – krzyczałem – są gorsi niż najpodlejsze bestie! Skazałbym ich wszystkich na śmierć, każdego z osobna. – Mówiłem to wyjątkowo poważnie. Szczerze wierzyłem w każde swoje słowo.

Nic na to nie odpowiedział, tylko odwrócił się i odszedł, a ja podążyłem za nim.

Kiedy ponownie znaleźliśmy się obok szkółki, w której leżały rozdęte zwłoki nieszczęsnego pana Ma, książę zatrzymał orszak i przywołał mnie.

– Lakowany Paznokciu, jak tylko wrócimy do Pekinu, pójdziesz do pałacu i spróbujesz odszukać Drżącego Liścia. – Zwróciłem uwagę na fakt,

że użył pałacowego pseudonimu pana Yuana. – Jeśli go nie znajdziesz, masz działać sam, z mojego upoważnienia. Dowiesz się, czy pan Ma miał jakąś rodzinę. To nie powinno nastręczać większych problemów, bo w pałacu prowadzone są szczegółowe rejestry. Chcę, aby ciało pana Ma zostało pochowane jak należy, tak jak on sam by sobie tego życzył. Wszystko ma się odbyć zgodnie ze zwyczajem. Sam ureguluję wszelkie rachunki, jakie mi dostarczysz. A teraz weź to. – Podał mi papier opatrzony swoją pieczęcią. – Pokaż to, komu trzeba. To mój glejt. Informuj mnie o postępach.

Drżący Liść odnalazł się w pałacu w Zakazanym Mieście. Był bardzo zdziwiony, gdy pokazałem mu pieczęć księcia Gonga, wydawał się też nieco zakłopotany swoją reakcją podczas naszego ostatniego spotkania.

– Myślałem, że jesteś duchem – wyznał.

– Niewiele brakowało, panie Yuan – odparłem z szacunkiem. – Nieomal umarłem.

– A teraz masz glejt z pieczęcią samego księcia Gonga?

– Ocaliłem życie jego ciotce – wyjaśniłem. Zdumiony pokręcił głową. – Szukaliśmy pana dzisiaj w Pałacu Letnim – dodałem. – Martwiliśmy się o pana i inne osoby z pałacu.

– Większość zdołała się wydostać – odrzekł. – Ale musieliśmy szybko uciekać.

– Pan Ma nie żyje – poinformowałem go. – Książę Gong przysyła mnie z pytaniem, czy staruszek miał jakąś rodzinę.

– Chyba bratanka, który przechowuje jego członki do pochówku.

– Mógłby pan wysłać kilku ludzi do Pałacu Letniego, żeby zabrali stamtąd ciało pana Ma? Ja tymczasem poinformuję owego bratanka o śmierci jego wuja. Książę Gong chce, aby wszystko odbyło się jak należy. Zaproponował nawet, że zapłaci za pochówek.

– Ogromnie mnie to cieszy – odparł Drżący Liść. – Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo wszyscy są przerażeni. Fakt, że książę Gong zatroszczył się w ten sposób o starego pana Ma, doda im otuchy.

Nie potrzebował wiele czasu, aby znaleźć adres bratanka ogrodnika, i wkrótce ruszyłem w drogę.

Wieczorem złożyłem meldunek księciu Gongowi, który sprawił na mnie wrażenie wielce zatroskanego. Następnie poszedłem do księżniczki. Była sama i wyraźnie pragnęła z kimś porozmawiać.

– Co się tutaj działo, Lakowany Paznokciu! Biedny książę Gong! Słyszałeś już o brytyjskich barbarzyńcach i o tym, co uczynili ze zrabowanymi z pałacu łupami? Zgromadzili wszystkie cenne przedmioty w jednym miejscu i zorganizowali wielką aukcję. Nie wiem dokładnie, jakie były jej zasady, ale ostatecznie każdy żołnierz i oficer miał otrzymać swoją część, w zależności od swego stopnia. – Przez chwilę milczała. – Domyślam się, że książę musi być bardzo zmęczony.

– Na pewno ma wiele na głowie, księżniczko – odparłem nieśmiało.

– Dzisiaj przybył posłaniec od cesarza z pytaniem, czy barbarzyńcy zostali odparci, a jeśli nie, to dlaczego. Łatwo mu mówić! Nie ma go tutaj, więc co on może wiedzieć.

– Istotnie – zgodziłem się.

– Nie winię cesarza – ciągnęła zasmucona. – Wiesz, że wychowywałam go po śmierci jego matki? Był miłym chłopcem, który zawsze chciał wszystkich zadowolić. A potem ojciec wybrał go na swojego następcę. Miał być ideałem, a to przecież niemożliwe.

– Chyba bardzo trudno jest być cesarzem – zauważyłem.

– To zgoła niewykonalne – stwierdziła. – Przynajmniej w dzisiejszych czasach. Nie wierzę jednak, że to cesarz jest autorem tych niemądrych uwag. Na pewno stoją za nimi książę Sushun i jego klika. Trzymają go w swoich szponach i zarazem usiłują osłabić pozycję księcia Gonga.

– Czy cesarz wie, że Pałac Letni został splądrowany?

– Niedługo się dowie. I o to również obwinią księcia Gonga. Doprawdy nie wiem, co się z nami stanie! – zawołała. I co się stanie ze mną, pomyślałem. Jeżeli książę Gong zostanie odsunięty od władzy, nie będę miał już żadnego obrońcy. – Barbarzyńcy muszą odejść! – wybuchnęła nagle księżniczka. – Bez względu na koszty.

Warunki barbarzyńców były bardzo konkretne: wycofają się, ale najpierw musimy spełnić ich pierwotne żądania, w tym te dotyczące składania ceremonialnego ukłonu koutou, wydania zakładników i oczywiście zapłaty gigantycznego odszkodowania. Zobowiązali się nie atakować Pekinu, o ile zgodzimy się oddać im oraz Francuzom bramę południową – główne wej-

ście do miasta – przy której miałyby odtąd stacjonować barbarzyńskie oddziały.

Czy można sobie wyobrazić coś bardziej upokarzającego? Cesarz miałby oddać klucze do bram stolicy barbarzyńskim piratom! W konsekwencji takiej decyzji tylko krok dzieliłby ich od sprawowania pełnej kontroli nad tym, kto wjeżdża do miasta i z niego wyjeżdża.

Z rana książę Gong spotkał się w swojej rezydencji z wszystkimi starszymi rangą oficerami. Potem przyjechało jeszcze kilka innych ważnych osób. Ja przez ten czas towarzyszyłem księżniczce. Książę odwiedził nas zaraz po ostatnim spotkaniu. Wyglądał na przygnębionego.

– Zdołamy utrzymać miasto – rzekł. – Lord Elgin podczas próby szturmu straciłby tylu ludzi, że nie sądzę, aby ośmielił się spróbować. Jednak wielu naszych żołnierzy zdezerterowało, w dodatku brakuje nam amunicji nawet do tych paru nędznych dział, które mamy. Nie możemy zaryzykować otwartej walki.

– A więc będziesz musiał przystać na warunki Elgina? – spytała go księżniczka.

– Obawiam się, że tak.

– Wiesz, że niczego tak nie pragnę jak odejścia barbarzyńców – ciągnęła. – Ale ilekroć się wycofują, wracają później z nowymi żądaniami. Skąd mamy wiedzieć, że ta ugoda będzie ostateczna?

– No tak. – Książę skinął głową. – Nie wiesz jeszcze, że sprawy przybrały nowy obrót. Zgłosili się do mnie Rosjanie – twierdzą, że chcą być naszymi sojusznikami i gwarantami każdego zawartego z Brytyjczykami i Francuzami porozumienia. Gdyby złamali warunki traktatu, Rosja zaopatrzy nas w broń i wyśle na pomoc swoje wojsko. Dzięki temu Brytyjczycy dwa razy się zastanowią, zanim znowu spróbują nas zaatakować.

– Będą chcieli czegoś w zamian.

– Niewątpliwie. Przekonamy się.

Ciotka nie naciskała już na niego.

Pozostawała jeszcze sprawa zakładników. Tak się złożyło, że nazajutrz rano usługiwałem księciu, gdy wezwano do niego naczelnika więzienia. Był to rosły, korpulentny Mandżur, wyglądający, jakby zawsze jadał obfite śniadania.

– Wydamy zakładników barbarzyńcom – oznajmił mu książę. – Pokażcie mi spis ich nazwisk.

Naczelnik podał mu kartkę papieru.

– Jest wśród nich tych dwóch, których kazałeś podtuczyć, Wasza Wysokość – rzekł.

Książę Gong zmarszczył brwi.

– Powinno być ich więcej – powiedział.

– No cóż, kilku straciliśmy – przyznał naczelnik.

– Straciliśmy? To znaczy, że nie żyją? Jak mogłeś do tego dopuścić?

Naczelnik wydawał się skonfundowany.

– Nikt mi nie powiedział, że więźniowie mają być utrzymywani przy życiu, Wasza Wysokość – odparł. – W ogóle nie przyszło mi to do głowy…

– Barbarzyńcy żądają zwrotu zarówno żywych, jak i ciał tych, którzy pomarli. W jakim stanie są więźniowie?

– Jak każdy, kto siedział w więzieniu, Wasza Wysokość. Ale większość zdoła chodzić o własnych siłach.

– A co ze zwłokami?

– Tym Wasza Wysokość nie musi się kłopotać. Pochowałem je w niegaszonym wapnie. Nic z nich nie zostanie.

– Głupiec z ciebie – ofuknął go książę. – Powinieneś wiedzieć, że niegaszone wapno nie niszczy ciała i kości. Ono je konserwuje. Wszelkie ślady na skórze będą dobrze widoczne.

– Och – speszył się naczelnik. – Wielka szkoda.

– Odejdź i zadbaj o to, żeby jak najlepiej się prezentowali – rozkazał mu książę Gong.

Nie widziałem już księcia po jego powrocie tego wieczoru, byłem natomiast świadkiem przybycia brodatego rosyjskiego posła, który przez dłuższy czas rozmawiał z księciem Gongiem. Ich spotkanie zakończyło się mniej więcej godzinę przed północą. Książę Gong spędził w swoim gabinecie jeszcze pół godziny, po czym ku mojemu wielkiemu zdziwieniu wezwał mnie do siebie.

– Lakowany Paznokciu – rzekł – potrzebuję twojej pomocy.

– Wasz niewolnik będzie zaszczycony – odpowiedziałem.

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. Ale jeśli kiedykolwiek to się wyda, zaprzeczę, abym cokolwiek wiedział o tej sprawie. Powiem, że jesteś złodziejem, który dzięki kłamstwom uniknął śmierci. Zostaniesz stracony, a ja nie kiwnę palcem, żeby cię uratować.

Skłoniłem mu się nisko.

– Zważywszy na to, że zawsze postępujecie honorowo, Wasza Wysokość, to musi być sprawa niezwykłej wagi.

– Otrzymałem dziś wieczorem poufną wiadomość z drugiej strony Wielkiego Muru. Książę Sushun i jego zwolennicy przekonali cesarza, aby ten nakazał natychmiast stracić barbarzyńskich zakładników. Wysłannik cesarza jest już w drodze i jutro może tu przybyć. Jeśli otrzymam ten rozkaz, będę go musiał wykonać, inaczej zapłacę własną głową. Jeśli jednak skażę zakładników na śmierć, negocjacje z barbarzyńcami zostaną zerwane, a wówczas nie wiem, co się z nami stanie. Potrzebuję jeszcze dwóch dni, żeby zakończyć negocjacje i przetransportować zakładników. Po tym czasie rozkaz cesarza będzie już nieaktualny.

– Gdyby cesarski posłaniec został zabity…

– To mogłoby wzbudzić podejrzenia. Należy opóźnić jego przybycie, ale nie mogę być z tym w żaden sposób powiązany. Nikt w pałacu, żaden urzędnik, nie może o tym wiedzieć. Masz pomysł, jak tego dokonać?

Fakt, że zwrócił się z tym do mnie, był całkiem zrozumiały. Nie piastowałem żadnego ważnego stanowiska, którego mógłbym się kurczowo trzymać. Moje życie zależało wyłącznie od dobrej woli księcia, on zaś wiedział, że nie brak mi odwagi. Czekał, a ja się namyślałem.

– Posłaniec cesarza przybędzie tu głównym gościńcem z północy?

– Na pewno. Kilkanaście mil na północ od granic miasta znajduje się cesarski zajazd. Będzie tam zmieniał konia przed dalszą drogą przez przedmieścia.

– Mam tylko jedną prośbę, Wasza Wysokość – powiedziałem. – Zostałem eunuchem, aby ocalić życie mojego synka. Jeżeli umrę albo zostanę stracony, chciałbym, aby pochowano mnie z moimi odciętymi członkami, a mojej rodzinie zapewniono utrzymanie. Może księżniczka mogłaby się tym zająć w związku z tym, że uratowałem jej życie?

– Zatroszczymy się o to.

– Będę też potrzebował pieniędzy, Wasza Wysokość, żeby zaangażować kilku ludzi do pomocy.

– Naturalnie. Ale czy oni nie odkryją, że jesteś osobą z pałacu?

– Mój udział w całej sprawie pozostanie tajemnicą, Wasza Wysokość – zapewniłem go. – Znam człowieka, który może tego dokonać.

Był środek nocy, gdy dotarłem do rodzinnego domu. Miałem na sobie starą jedwabną szatę kupca. Brama prowadząca na dziedziniec, przy którym mieszkaliśmy, nie była zamknięta, a ja wiedziałem, gdzie sypia mój ojciec. Zakradłem się tam, zasłoniłem mu ręką usta i obudziłem go. Kilka minut później wyszliśmy razem na ulicę.

Kiedy pokazałem mu woreczek ze srebrem, który dostałem od księcia Gonga, i wyjaśniłem mu swój plan, wydawał się zachwycony.

– Da się to załatwić – oznajmił radośnie, co wcale mnie nie uspokoiło.

– To samo mówiliście ojcze o butach, które mieliście uszyć, i nie skończyło się to najlepiej – przypomniałem mu. – Musimy być bardzo ostrożni. I pamiętajcie, ojcze, że nie wolno nam zabijać tego posłańca.

– Nigdy nie wybaczyłem sobie tamtej historii z butami – odparł ze smutkiem, lecz zaraz się rozchmurzył. – Ale to co innego! Zdajesz sobie sprawę, ilu żołnierzy włóczy się po okolicy w poszukiwaniu żywności i pieniędzy? Nie dbają ani o cesarza, ani o jego prawa, od kiedy nas porzucił. Są gotowi na wszystko i nie zadają zbędnych pytań. Gwarantuję, że przed świtem znajdę pół tuzina chętnych, ty zaś ruszaj gościńcem na północ i znajdź odpowiednie miejsce, gdzie będziemy mogli zastawić zasadzkę. A jeśli zdołasz, to także kryjówkę, w której będę mógł go przetrzymać przez dzień lub dwa. Daj mi trochę pieniędzy, a resztę na razie zatrzymaj. Dołączę do ciebie kilka godzin po wschodzie słońca. Muszę jeszcze odwiedzić aptekarza.

Czekałem na niego przy gościńcu. Wcześniej znalazłem miejsce, które doskonale nadawało się do urządzenia zasadzki. Na poboczu znajdowała się skalna wychodnia, a za nią kępa drzew, gdzie można się było ukryć. Minęło kilka godzin. Przez cały ten czas się denerwowałem: co zrobię, jeśli posłaniec dotrze tu przed spodziewanymi posiłkami? Stwierdziłem, że w ostateczności sam spróbuję go zatrzymać. Znajdę jakiś ciężki kamień, chwycę za lejce, ściągnę go z konia i uderzę kamieniem w głowę – w tym pokładałem całą nadzieję, ale nie byłem pewien, czy mój plan się powiedzie.

Tylko raz minął mnie pojedynczy wózek, poza tym gościniec był pusty – niewielu ludzi decydowało się na podróż, jako że mogli się gdzieś natknąć na barbarzyńców.

W końcu, trzy godziny po świcie, zobaczyłem ojca. Był sam. Dał mi znak, żebym zszedł z drogi, abyśmy nie rzucali się w oczy.

– Wybrałeś dobre miejsce – pochwalił. – Moi ludzie czekają przy gościńcu, ale nie chcę, żeby cię widzieli. Myślą, że ten jeździec przewozi pieniądze. Daj mi teraz resztę srebra, a ja powiem, że je przy nim znalazłem, i podzielę się z nimi tym łupem.

– A co się stanie z posłańcem?

– Uderzę go tym. – Wyciągnął krótką, ciężką pałkę. – Potem zwiążę i ukryję w tej kępie drzew. Kiedy oprzytomnieje, dam mu to do wypicia. – Pokazał mi flaszkę. – Aptekarz przyrządził dla mnie napój z opium i cykutą. Dzięki niemu posłaniec na wiele godzin straci przytomność. Będę miał zakrytą twarz, chociaż i tak by mnie nie zapamiętał. Będę go odurzał, dopóki nie przyjdziesz i nie dasz mi znaku, że mogę go wypuścić. Wystarczy, że zagwiżdżesz z gościńca, a ja odpowiem ci gwizdem. Obudzi się z bólem głowy i ruszy pieszo do Pekinu z cesarskimi rozkazami.

– A co się stanie z jego koniem?

– Chłopcy dostaną go jako dodatkową zapłatę.

– Próba sprzedaży konia cesarskiego gońca może być ryzykowna – uprzedziłem go. – Ktoś może zacząć zadawać pytania.

– Za kilka godzin to zwierzę zostanie poćwiartowane na mięso – odparł.

– Myślałem, że konina jest szkodliwa? – Często się o tym mówiło.

– Wielu ją lubi. Ten koń zostanie zjedzony, zanim ktokolwiek się zorientuje, że zaginął. – Ojciec wyszczerzył zęby w uśmiechu. – A teraz idź dalej na północ, aż ujdziesz co najmniej kilka mil. Kiedy minie cię posłaniec, odczekaj chwilę, a potem zawróć. Nie szukaj mnie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zostawię przy drodze trójkąt ułożony z trzech kamieni.

W południe minął mnie cesarski posłaniec. Kiedy dwie godziny później dotarłem z powrotem do skały i kępy drzew, zauważyłem ułożone równo na poboczu trzy kamienie.

Znalazłszy się ponownie w rezydencji księcia Gonga, zastałem go pochłoniętego korespondencją. Podniósł wzrok znad papierów, a ja wykonałem prawie niezauważalny ukłon.

– Opowiadaj – polecił mi.

– Nigdy się nie dowie, co go naprawdę spotkało. Skradziono mu konia i pieniądze, będzie więc przekonany, że padł ofiarą rabusiów. Teraz jest nieprzytomny, Wasza Wysokość, i będzie się znajdował pod wpływem narkotyków tak długo, jak będzie trzeba.

Książę skinął głową.

– Mam nadzieję, że to nie potrwa długo – rzekł.

Przez cały następny dzień trwały negocjacje. Książę Gong za nic nie chciał oddać barbarzyńcom południowej bramy, ale kiedy ci zobaczyli, w jakim stanie są zakładnicy i zwłoki tych, którzy nie przeżyli więzienia, wpadli w taką wściekłość, że niewiele brakowało, a w ogóle nie doszłoby do ugody. Po całonocnych obradach książę oddał im więc bramę, a traktat podpisano nazajutrz wczesnym rankiem w obecności Rosjan, którzy mieli być gwarantem porozumienia.

Kiedy wczesnym rankiem książę wrócił do rezydencji, żeby trochę się zdrzemnąć, powiedział mi, że posłaniec może się już obudzić, po czym uśmiechnął się i dodał:

– Spędź później kilka dni z rodziną, Lakowany Paznokciu. Zasłużyłeś na to.

Z sercem przepełnionym radością wyruszyłem ponownie gościńcem do kryjówki ojca. Był idealny jesienny poranek: panowało przyjemne ciepło, a niebo było pogodne i błękitne. Idąc, wspominałem wydarzenia z ostatnich kilku dni. Żyłem w ciągłym niepokoju, zarazem jednak nie mogłem nie odczuwać wdzięczności na myśl, że los nie tylko pozwolił mi znaleźć się w centrum tak ważkich zdarzeń, ale nawet odegrać w nich pewną rolę.

Jedyną zagadkę stanowiła tożsamość osoby, która ostrzegła księcia Gonga o przybyciu posłańca. Czy był to ktoś z bliskiego otoczenia cesarza? Któryś z książąt? Cóż, pomyślałem, pewnych rzeczy nigdy się nie dowiem.

Kiedy znalazłem się przy skalnej wychodni, trzy kamienie wciąż były na swoim miejscu i nigdzie nie widać było żywej duszy. Nie posłuchałem ojca i zamiast zagwizdać, ostrożnie okrążyłem skałę.

Siedział spokojnie na niedużym skalnym występie, posłaniec zaś leżał na boku i delikatnie pochrapywał. Zagwizdałem cicho. Posłaniec nie przestał chrapać, za to mój ojciec drgnął zaskoczony. Potem mnie zauważył.

– Mam nadzieję, że nikt cię nie widział – rzekł.

– Nikt, ojcze. Gościniec jest całkiem pusty.

– Tak czy inaczej… Wszystko się udało?

– Tak, ojcze. – Wskazałem na nieprzytomnego mężczyznę. – Można go już obudzić.

– Jeszcze przez jakiś czas będzie nieprzytomny. Jesteś pewien, że wszystko jest w porządku?

– Uratowałeś sytuację, ojcze. Nawet nie wiesz, ile ci zawdzięczamy, szczególnie ja.

– To nie było nic wielkiego – odparł skromnie.

– Przeciwnie. Ocaliłeś mi życie, ojcze – powiedziałem.

– Naprawdę? – Spojrzał na mnie niepewnie, a potem szeroko się uśmiechnął. – To dobrze – rzekł. – Choć raz zrobiłem coś jak należy. – Był taki szczęśliwy! Mogę się mylić, ale chyba oczy mu się zaszkliły. – Nigdy nie wybaczyłem sobie tamtej sprawy z butami – wyszeptał.

– Zapomnij o nich, ojcze – powiedziałem. – Uratowałeś mi życie. Książę Gong mówi, że mam spędzić teraz trochę czasu z rodziną, więc zobaczymy się w domu. Tylko nikomu z bliskich ani słowa o tym, co tutaj zaszło.

Skinął głową i rozstaliśmy się. Byłem ogromnie uradowany, że dzięki mnie ojciec mógł się w końcu zrehabilitować.

Spędziłem z rodziną aż cztery dni. W domu powiedziałem, że zamiast wyjechać z cesarzem na północ, musiałem zgodnie z rozkazami zostać na służbie u księcia Gonga.

– Tyle się działo – mówiłem – że dopiero teraz zgodził się dać mi trochę wolnego.

Ojciec milczał, jak się umówiliśmy, a matka i żona nie miały powodu, aby mi nie wierzyć. Synom opowiedziałem o rezydencji księcia i o tym, że uratowałem życie jego cioci, co ich bardzo ucieszyło.

– Książę Gong może uczynić cię bogatym – wtrącił ojciec.

– Nie liczyłbym na to – odparłem. – Po buncie tajpingów i ogromnych odszkodowaniach, jakie wymusili na nas barbarzyńcy, w cesarskim skarbcu od lat brakuje pieniędzy. A teraz jeszcze wszystkie kosztowności Pałacu Letniego zostały splądrowane. Książę Gong ostrożnie gospodaruje finansami państwa, ale nie wydaje mi się, aby miał czym dysponować.

– No cóż, przynajmniej wystaraj się o zapłatę w srebrze – doradził mi ojciec – a nie w tych papierowych pieniądzach.

Kiedy książę Sushun zaczął zarządzać skarbcem, próbował emitować papierowe pieniądze, które w krótkim czasie stały się bezwartościowe. Ilekroć przejeżdżał potem powozem przez miasto, uliczni sprzedawcy rzucali

w niego papierowymi pieniędzmi. Szczególnie oburzało ich, że sam opływa w dostatki.

– Nie martwcie się, ojcze – uspokoiłem go. – Książę zapłaci mi w srebrze.

Po czterech dniach sielanki, które upłynęły mi na zabawie z dziećmi, i czterech nocach spędzonych z żoną, która okazała się dla mnie dość czuła, wyruszyłem szczęśliwy do rezydencji księcia Gonga.

Połowę drogi miałem już prawie za sobą, kiedy w odległości kilku mil przed sobą, na północ od miasta, zobaczyłem dym – pojedynczy słup dymu. W pierwszej chwili uznałem, że to płonie jakaś wiejska stodoła, i już miałem ruszać w dalszą drogę, gdy obok pierwszego słupa dymu wzbił się w niebo drugi.

Przystanąłem i zacząłem się zastanawiać. Wydawało się, że dym bucha z okolic Pałacu Letniego. Serce mi się ścisnęło, gdy uświadomiłem sobie, że w cesarskiej rezydencji mógł wybuchnąć pożar. Od czasu splądrowania Yuanmingyuan przez barbarzyńców był on w zasadzie opuszczony. Gdyby w którymś z pawilonów zaprószono ogień, nikt nie zwróciłby na to uwagi. Pożar mógłby się tlić godzinami, aż w końcu cały budynek stanąłby w płomieniach, które zdołałyby się łatwo rozprzestrzenić z jednego suchego jak pieprz drewnianego dachu na drugi.

Puściłem się biegiem do rezydencji księcia Gonga i biegłem ile sił w nogach. Książę był u siebie. Z trudem łapiąc oddech, opowiedziałem, co właśnie zobaczyłem, i razem wyszliśmy na zewnątrz, żeby lepiej się temu przyjrzeć. W niebo wzbił się tymczasem trzeci słup dymu.

Książę zaklął.

– Ten barbarzyńca Elgin zapowiedział mi, że będzie musiał wymierzyć nam karę – tak to ujął: karę – za to, jak potraktowaliśmy zakładników. Ale nie powiedział, co nią będzie.

– Spaliłby Yuanmingyuan? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Kto to może wiedzieć? Kto wie, na co stać te istoty?

– Wasz niewolnik błaga was, panie, abyście pozwolili mu tam pójść! – zawołałem.

Popatrzył na mnie surowo.

– Nie wolno ci nikogo zabijać, zwłaszcza lorda Elgina – powiedział sucho. – To rozkaz. Mam już wystarczająco dużo kłopotów na głowie.

– Wasz niewolnik klnie się, że tego nie zrobi – przysiągłem żarliwie.

– Spróbuj też nie dać się zabić – dodał.

Obydwaj wiedzieliśmy, że nic nie będę w stanie zrobić, dla księcia było jednak oczywiste, że muszę tam pójść. Płonęły największe skarby Chin. Równie dobrze można by powiedzieć zrozpaczonej matce, żeby nie biegła tam, gdzie w pożarze płoną jej dzieci. Gdybym tylko zdołał coś stamtąd ocalić! Cokolwiek…

Słońce stało wysoko na porannym niebie, ale nie mogłem go wypatrzyć spod wielkiej czarnej chmury, która zawisła nad parkiem. Dzień zamienił się w noc rozświetlaną diabelskimi ogniami.

Raj Yuanmingyuan zmienił się w piekło na ziemi: z rezydencji cesarza pozostały wypalone ruiny, w których tu i ówdzie z żaru strzelały w górę snopy iskier. Pobliska świątynia stała się ścianą ryczącego ognia. Na moich oczach z pagody zaczął się wydobywać słup gęstego dymu. Wszędzie biegały postacie przypominające demony, ich czarne sylwetki wyraźnie odznaczały się na tle trzaskających płomieni.

Demony ubrane w czerwone mundury.

Płonęły nie tylko pawilony na brzegu jeziora; ogień przenosił się z wyspy na wyspę. Taras Piwonii został zniszczony, a jego budynki podpalone. Nie wiem, ilu brytyjskich żołnierzy rozproszyło się po tym ogromnym parku – ludzie mówią, że były ich cztery tysiące – ale jedno jest pewne: robili wszystko, żeby zniszczyć cesarski raj i zrównać go z ziemią.

Chciałem obejść jezioro, kiedy ujrzałem przed sobą grupę brytyjskich barbarzyńców. Dowodzący nimi oficer zerknął na mnie, lecz najwyraźniej nie wzbudziłem jego zainteresowania: skoro jakiś głupi eunuch chce się przyglądać dziełu zniszczenia, to niech sobie patrzy.

Najwyraźniej mnie nie rozpoznał, ale ja wiedziałem, kim jest. To był Goh-Dun. On i jego ludzie dotarli właśnie do pięknie rzeźbionego kamiennego mostku prowadzącego na Wyspę Wiosenną Kwiatu Moreli. Z pomocą lin i bloczków usiłowali go zburzyć, jednak mostek trzymał się mocno. Cieszyłem się, że im się nie poddaje. W końcu przerwali, a Goh-Dun naradził się z sierżantem. Pewnie zastanawiali się, czy nie wziąć trochę prochu i go wysadzić.

Nagle Goh-Dun odwrócił się i spojrzał na mnie. Odwzajemniłem jego spojrzenie. Nie jestem pewien, bo z barbarzyńcą nigdy nic nie wiadomo, ale

wydaje mi się, że wyglądał na zawstydzonego – chociaż nie potrafię powiedzieć, czy wstydził się swojego wandalizmu, czy tego, że nie udało mu się zburzyć mostku. Potem dali za wygraną i poszli dalej.

Nic nie mogłem zrobić. Ogarnęło mnie straszliwe poczucie bezsilności. Będąc świadkiem tak wielkiej niegodziwości i nie uczyniwszy nic, aby jej zapobiec, czułem się o dziwo tak, jakbym sam był jej winien. Nie mogąc dłużej tego znieść, wróciłem do Pekinu.

Ani tego, ani następnego dnia Brytyjczycy nie zaprzestali dewastacji Pałacu Letniego. W dalszym ciągu niszczyli, palili i grabili wszystko, co wcześniej pominęli. Willa Wiosenna Kwiatu Moreli, Świątynia Powszechnego Pokoju, Wyspa Świątynna: każda ostoja wytchnienia i piękna w rajskim ogrodzie Yuanmingyuan po kolei przestawała istnieć. Zapuszczali się nawet poza Yuanmingyuan, do przyległych parków i większość z nich także została zniszczona. Przestali dopiero na trzeci dzień – może po prostu się zmęczyli.

Słyszałem, że duża grupa eunuchów i panien służebnych, ukrywająca się w jednym z pawilonów na obrzeżach parku, spłonęła żywcem, gdy podpalono ich kryjówkę. Może naprawdę tak się stało, a może nie, lecz nawet bez takich makabrycznych wydarzeń dokonana przez barbarzyńców zbrodnia przerażała swoim ogromem. Dlaczego Brytyjczycy spalili Pałac Letni? Lord Elgin postawił tam dużą tablicę z napisem w języku chińskim, informującą, że jest to kara za nasze okrucieństwo i zdradę w kwestii zakładników. Ich śmierć była niewątpliwie godna pożałowania, ale czy stanowiła wystarczający powód do zniszczenia jednego z cudów tego świata?

Niektórzy twierdzą, że była to tylko wymówka i w istocie lord Elgin chciał zatuszować ślady grabieży, której w poprzednich dniach dopuścili się jego ludzie. Ale przecież publicznie zezwolił na splądrowanie pałacu i każdy z żołnierzy otrzymał swoją część, więc i tak nie zdołałby niczego ukryć. W każdym razie zniszczenia, do jakich dochodziło w zewnętrznych parkach, daleko wykraczały poza teren pierwotnej grabieży w Yuanmingyuan i dam głowę, że ludzie Elgina również tam nieźle się obłowili, zabrawszy wszystkie cenne przedmioty, jakie tylko wpadły im w ręce.

Jedno jest pewne: po swoim zwycięstwie, o ile w ogóle można je tak nazwać, barbarzyńcy dowiedli, jak bardzo zasługują na swoje miano. Wykazali się nie tylko barbarzyństwem, ale i pogardą dla Królestwa Nie-

bios, naszego dziedzictwa, sztuki i religii. Sądzę, że pokazali przy tym, jacy są głupi, nie jest bowiem mądrze dawać pokonanemu wrogowi do zrozumienia, że gardzi się nim i wszystkim, co ukochał, gdyż on tego nie wybaczy. W Niebiańskim Cesarstwie, jak je nadal nazywam, zadany nam wówczas gwałt, spalenie naszego raju oraz pogarda, jakiej to dowodziło, nigdy nie zostaną wybaczone ani zapomniane. Nawet za tysiąc lat.

* * *

W kolejnych miesiącach spędziłem dużo czasu w towarzystwie księcia Gonga. Płacił mi marnie, ale i tak byłem szczęśliwy, że żyję i cieszę się jego względami. Kiedy mu nie usługiwałem, przebywałem w komnatach księżniczki, gdzie pielęgnowałem paznokcie jej i jej przyjaciółek. Lubiła moje towarzystwo, gawędziła ze mną i od czasu do czasu dawała mi trochę pieniędzy.

Myślę, że książę miał do mnie większe zaufanie niż do większości ludzi. W swojej rezydencji miał wielu eunuchów, ale byli to służący, z którymi rzadko rozmawiał. Jeden został wykształcony na sekretarza, potrafił więc doskonale czytać i pisać. Do jego obowiązków należało prowadzenie korespondencji i przygotowywanie dokumentów, nie sądzę jednak, aby książę kiedykolwiek zapytał go o zdanie. Ja natomiast czułem się wyjątkowo uprzywilejowany, mogąc służyć księciu tak, jak tylko sobie tego zażyczył. Doceniał moją dyskrecję i przedsiębiorczość oraz umiejętność doprowadzania spraw do końca.

Z czasem przekonał się też, że jeśli chce wiedzieć, o czym mówi się na ulicach miasta, może zwrócić się do mnie jako do wiarygodnego źródła – a to dlatego, rzecz jasna, że zawsze mogłem polegać na ojcu.

Muszę też powiedzieć, że w ciągu tych miesięcy zacząłem darzyć księcia Gonga ogromnym szacunkiem. Podczas gdy cesarz, książę Sushun i reszta dworu pozostawali bezpieczni na północ od Wielkiego Muru i krytykowali z daleka poczynania księcia, on ani na chwilę nie opuścił swojego posterunku w Pekinie, dbając w zasadzie o jedność cesarstwa. Spoczywający na jego barkach ciężar odpowiedzialności musiał być zaiste trudny do udźwignięcia.

Na przykład podczas tych pełnych nerwowego napięcia dni, kiedy negocjował warunki traktatu z Brytyjczykami, rosyjski poseł postawił go

w wyjątkowo niezręcznej sytuacji.

„Nasze imperium sięga przez całą Syberię aż po Ocean Spokojny – rzekł – lecz syberyjskie wybrzeże przez całą zimę pozostaje skute lodem. Potrzebujemy portu na Pacyfiku, który byłby położony nieco dalej na południe. Gdybyście oddali nam kawałek swojego ogromnego mandżurskiego terytorium – które i tak jest pustkowiem – a także pozwolili zamieszkać tam grupie syberyjskich osadników, mogliby zbudować małą faktorię w jednej z naturalnych zatoczek, wyłącznie na nasze lokalne potrzeby. Nie będzie was to nic kosztowało – podkreślił – za to bardzo ucieszy cara".

Ale czy spodoba się Synowi Niebios?

„Książę Gong wiedział, że zausznicy cesarza będą go obwiniać – opowiadała mi potem księżniczka – ale w tamtej chwili wydawało się to jedynym możliwym rozwiązaniem".

Ta mała faktoria jest teraz potężnym rosyjskim portem zwanym Władywostok.

Nawet jeśli książę nie zawsze miał rację, to niewątpliwie kierował się dobrem swojej ojczyzny, nierzadko ryzykując przy tym własne życie. Podziwiałem go za to i zawsze będę podziwiał.

W tym czasie zdobył również pewną ilość nowoczesnych karabinów i amunicji, po czym z najlepszych żołnierzy sformował gwardię strzegącą Pekinu. Wcześniej raz za razem przegrywali starcia z barbarzyńcami i bezradnie patrzyli na śmierć swych towarzyszy – nie z braku odwagi czy dyscypliny, ale dlatego że napastnicy byli o wiele lepiej uzbrojeni. Teraz mogli śmiało spojrzeć w oczy każdemu wrogowi. Dezerterzy z armii zaczęli wracać, a ludzie patrzyli na nich z nowym szacunkiem. Książę przywrócił porządek w Pekinie.

Jeśli weźmiemy pod uwagę karierę księcia Gonga, zarówno w tym czasie, jak i w późniejszych latach, powiedziałbym, że jego geniusz w znacznej części wynikał z pragmatyzmu.

Pojąwszy, że Brytyjczycy są zwyczajnie chciwi, postanowił się nimi posłużyć tak, jak to wcześniej sugerował cesarzowi. Po otrzymaniu upragnionego prawa do handlu z Chinami zaczęli wspierać władzę cesarską, a ilekroć tajpingowie wszczynali jakieś niepokoje, pomagali cesarzowi ich pokonać. To było takie proste! Dzięki temu książę Gong zdołał zbudować nową armię chińską, wyszkoloną i dowodzoną przez brytyjskich oficerów,

wyposażoną w brytyjskie karabiny i armaty, która mogła być użyta przeciwko zbuntowanym tajpingom. Armia ta radziła sobie tak dobrze, że wkrótce zyskała miano Wiecznie Zwycięskiej i za jej sprawą w ciągu kilku lat powstanie tajpingów zostało ostatecznie stłumione.

Początkowo armią dowodził Amerykanin nazwiskiem Ward, lecz po pewnym czasie dowództwo przeszło w ręce brytyjskiego oficera, który miał zyskać wielką sławę, ja zaś poznałem go w nader ciekawych okolicznościach.

Było to kilka lat po zawarciu traktatu. Wiecznie Zwycięska Armia odnosiła takie sukcesy, że zaczęło się mówić o przyznaniu jej brytyjskiemu dowódcy Żółtego Kaftana – najwyższego wyróżnienia, na jakie może zasłużyć chiński generał – on zaś bardzo chciał go otrzymać, ponieważ jak wielu wyższych rangą wojskowych nie był pozbawiony próżności.

Słyszałem o tym brytyjskim słudze Chin wystarczająco dużo, aby wzbudził moją ciekawość, nie miałem jednak dotąd okazji widzieć go na własne oczy. Kiedy więc usłyszałem, że został zaproszony na oficjalną audiencję u księcia Gonga w Zakazanym Mieście, postanowiłem być w pobliżu, aby móc mu się przyjrzeć. Wypatrzyłem go w momencie, gdy zbliżał się do zewnętrznej bramy.

Minutę później byłem pod drzwiami gabinetu księcia. Udawał się właśnie na audiencję, lecz skinął mi przyjaźnie głową i zapytał, czego chcę.

– Wasza Wysokość – powiedziałem ogromnie przejęty – macie się dzisiaj spotkać z generałem Gordonem.

– Owszem – przytaknął. – I cóż z tego?

– Pamiętacie, jak opowiadałem wam o brytyjskim oficerze, który odebrał mi wisior z jadeitu podczas plądrowania Pałacu Letniego przez barbarzyńców? – Milczał, więc kontynuowałem: – Wtedy myślałem, że nazywa się Goh-Dun, jednak słysząc o generale Gordonie, zastanawiałem się, czy nie przekręciłem jego nazwiska i czy nie są przypadkiem ze sobą spokrewnieni. I dzisiejszego ranka wasz niewolnik zobaczył generała Gordona. To ten sam człowiek! Generał Gordon zabrał wisior waszej ciotki.

– Jesteś tego pewien? – spytał surowo książę. – Nie mylisz się?

– Jestem całkiem pewien, Wasza Wysokość. Nigdy nie widziałem oczu takiego koloru u żadnego innego człowieka. Klnę się na swoje życie!

– Mniejsza o twoje życie – odparł z uśmiechem. – Ufam jednak, że wiesz, co mówisz. – Zastanowił się. – Po oficjalnej audiencji powiem Gordonowi, że chcę z nim pomówić na osobności w jednym z przedsionków. Masz być tam obecny – zachowuj się dyskretnie, z szacunkiem, ale tak, żeby nie mógł cię nie zauważyć. Myślisz, że cię rozpozna?

– Wątpię, Wasza Wysokość. Może jeśli zostanie poruszony temat wisiora…

– Znakomicie. Czekaj w gotowości.

Muszę przyznać, że Goh-Dun wyglądał teraz w każdym calu na generała. Wzrok miał jeszcze bardziej przenikliwy, niż to zapamiętałem, i otaczała go aura wielkiego dowódcy.

– Drogi Gordonie – rzekł książę Gong. – Chciałem panu na osobności raz jeszcze podziękować i pogratulować. Wie pan, że mówi się o przyznaniu panu Żółtego Kaftana. Oczywiście nie mogę obiecać, że tak się stanie, ale jestem ze wszech miar skłonny zarekomendować pana do tego wyróżnienia.

– Wasza Wysokość jest dla mnie zbyt łaskawy – odparł Gordon z ukłonem; widać było, że jest zadowolony.

– Zastanawiam się – ciągnął książę bardzo uprzejmie – czy mógłbym prosić pana o pewną przysługę. Chodzi o moją drogą ciotkę.

– Oczywiście, o ile tylko zdołam jakoś pomóc – odrzekł nieco zdziwiony Gordon.

– W dniu, kiedy wojska brytyjskie pierwszy raz wkroczyły do Pałacu Letniego, gdzie mieszkała moja ciotka, zgubiła niestety swój jadeitowy wisior. Miał on dla niej wielką wartość sentymentalną, ponieważ otrzymała go w podarunku od mego ojca cesarza. Często zastanawiałem się, czy udałoby się go odzyskać. Gdyby się odnalazł, byłaby to wielka radość dla całej naszej rodziny.

– Rozumiem – mruknął Gordon.

– Mogę go panu opisać – dodał książę Gong, po czym zrobił to bardzo szczegółowo.

Gordon zmarszczył brwi. Potem spojrzał na mnie, jakby usiłował sobie coś przypomnieć.

Nazajutrz do pałacu przysłano jadeitowy wisior, do którego dołączony był liścik od generała. Książę Gong był tak dobry, że posłał po mnie, abym

też mógł się z nim zapoznać.

Kiedy zebrano wszystkie kosztowności, tłumaczył Gordon, najcenniejsze drobiazgi odłożono, aby przekazać je do muzeów w jego kraju, które miały prezentować unikatowe dzieła sztuki z Królestwa Niebios. Jadeitowy wisior – dzięki opisowi księcia generał ma pewność, że o nim mowa – trafił właśnie pomiędzy te przyszłe eksponaty. Gdyby się wszakże okazało, że nie o niego chodzi, z chęcią podejmie dalsze poszukiwania.

– Ułóżmy stosowną odpowiedź – rzekł książę Gong, wezwał sekretarza i począł mu dyktować: – „Drogi Gordonie, to istotnie zaginiony wisior, a moja ciotka jest przeszczęśliwa. Zarówno ona, jak i ja dziękujemy Panu za to, że zadał Pan sobie tyle trudu. Mam słabą pamięć i stale o czymś zapominam, zapewniam jednak, że ani ciotka, ani ja nigdy nie zapomnimy Pańskiej życzliwości okazanej nam w tej sprawie”. – Uśmiechnął się szelmowsko. – I co sądzisz o tej odpowiedzi, Lakowany Paznokciu?

– To istne arcydzieło, Wasza Wysokość, ze względu na symetrię przesłania.

– Wyjaśnij.

– Sugerujecie, Wasza Wysokość, że będziecie pamiętać o zwrocie wisiora, ale zapomnicie o jego pierwotnej kradzieży. Dlatego wasza odpowiedź wydaje mi się doskonale wyważona, niczym wiersz albo dzieło sztuki.

– Doskonale, Lakowany Paznokciu. Mógłbyś zostać uczonym.

Skłoniłem mu się nisko.

– Jeśli waszemu niewolnikowi wolno zapytać, Wasza Wysokość, czy istnieje fachowe określenie tego rodzaju komunikacji?

– Zapewne – odparł. – Nazywamy to dyplomacją.

Co ciekawe, miesiące po tym wydarzeniu i po ostatecznej klęsce tajpingów, gdy Gordon, po wykonaniu zadania, szykował się do opuszczenia Chin, dwór cesarski nie tylko uhonorował go Żółtym Kaftanem, ale także wręczył mu w dowód uznania dużą kwotę pieniędzy. Było to jak najbardziej na miejscu, słyszałem bowiem, że brytyjski parlament większością głosów decyduje o nagrodach finansowych dla dowódców, którzy odnieśli jakiś sukces.

Jednak Gordon stanowczo odmówił przyjęcia pieniędzy, czym bardzo uraził dwór cesarski; odmowa przyjęcia podarunku jest u nas dowodem wielkiej nieuprzejmości. Generał zachował się zresztą niekonsekwentnie, zważywszy na fakt, że osobiście brał udział w plądrowaniu Pałacu Let-

niego. Dlaczego tak postąpił? Czyżby grabież była sprzeczna z jego religią i chciał w ten sposób wymierzyć sobie karę za wcześniejsze łupiestwa? Inni chrześcijańscy żołnierze nie mieli podobnych dylematów. A może uznał, że odmowa przyjęcia daru sprawi, że wyda nam się szlachetniejszy i bardziej bohaterski od swoich ziomków? To z kolei oznaczałoby próżność.

Znacznie później miał bohatersko zginąć w Egipcie i cała Wielka Brytania opłakiwała jego śmierć. Myślę, że to by mu się spodobało.

Zastanawiacie się może, jakie były dalsze losy cesarza i Szlachetnej Nałożnicy Yi, przebywających na północ od Wielkiego Muru. Gdy tylko książę Gong przywrócił w mieście porządek, w listach zaczął błagać brata o powrót. Cesarz powinien zasiąść na swoim tronie w Pekinie – pisał; dzięki temu świat dowiedziałby się, że Syn Niebios znów rządzi swoim imperium, a naturalny porządek rzeczy został przywrócony.

Cesarz jednak raz za razem odmawiał. Przypuszczam, że wstydził się ponownie pokazać w Pekinie, mógł też się obawiać porażki po objęciu rządów.

Ale jego nieobecność też nie przyniosła mu nic dobrego. Wskutek działań wojennych zbiory ryżu były niższe, a zapasy miejskie, z których żywiono wojsko, uległy wyczerpaniu. Widząc na targu jedynie zatęchły ryż, ludzie gadali, że cały dobry ryż wysłano na północ, żeby wykarmić dwór, i obwiniali o to cesarza.

Najgorsze, że kiedy nadszedł czas składania ofiar bogom w intencji dobrych zbiorów, cesarz przesłał wiadomość, że nie zdoła przybyć osobiście, i kazał księciu Gongowi złożyć ofiarę w jego imieniu.

– Jeśli Syn Niebios nie chce wstawiać się do bogów za nami, to co z niego za pożytek? – fukał mój ojciec i takie też było ogólne przekonanie.

Nikogo więc nie dziwiło, że książę Gong z dnia na dzień zyskiwał na popularności. Żywności nadal brakowało, podobnie jak zapasów srebra, zawdzięczaliśmy mu jednak pokój i jaki taki porządek. Sytuacja powoli zmieniała się na lepsze: mandaryni wiedzieli, że książę stara się jak może, wiedzieli to również zwykli ludzie. Poza tym trwał z nami, w Pekinie, dzieląc nasze trudy, a nie krył się gdzieś na północ od Wielkiego Muru. „Przynajmniej zachowuje się jak cesarz” – mówiono.

Od księcia nauczyłem się także innych cech przynależnych dobremu władcy. Pewnego dnia odwiedził go stary uczony. Wszedłem do komnaty zaraz po jego wyjściu i zastałem księcia zamyślonego.

– Nauczyłem się dziś czegoś nowego, Lakowany Paznokciu – odezwał się do mnie. – Słyszałeś o starym Jedwabnym Szlaku prowadzącym przez pustynię i stepy na zachód?

– Wasz niewolnik słyszał, że karawany wciąż z niego korzystają – odparłem.

– Za czasów dynastii Ming stale tamtędy podróżowały. Barbarzyńcy z Zachodu nie byli nam wtedy obcy. Starzec powiedział mi też, że mieliśmy niegdyś wielką flotę statków, pływających do innych zachodnich krain, daleko na południu, gdzie ludzie mają ciemną skórę. Pochodziły stamtąd najróżniejsze skarby i przyprawy. Jednak okręty te zostały rozbite, a wszelkie zapiski na ich temat uległy zniszczeniu lub zaginęły. Aż do dzisiaj nigdy o nich nie słyszałem.

– To bardzo dziwne, Wasza Wysokość – zgodziłem się.

– Źle zrobiliśmy, odcinając się od świata. To uczyniło z nas ignorantów.

Kiedy kilka dni później przyniosłem mu poczęstunek, udzielał właśnie audiencji młodemu brytyjskiemu barbarzyńcy, którego zatrudnił do organizacji poboru ceł w portach.

Zawsze cieszyłem się, słysząc, że książę chętnie korzysta z usług barbarzyńców wykwalifikowanych w dziedzinach finansów i handlu. Ten fakt, wraz z zatrudnianiem w armii ludzi takich jak Gordon, wyraźnie dowodził, że potrafiliśmy okiełznać barbarzyńców z Zachodu i uczynić z nich posłuszne sługi cesarstwa. Spodziewałem się więc ujrzeć owego młodego barbarzyńcę na klęczkach przed księciem, lecz ku swojemu wielkiemu zdziwieniu zobaczyłem ich siedzących ramię w ramię przy stole.

Widząc moje zdumienie, książę się roześmiał.

– Ten człowiek uczy mnie arytmetyki handlu – wyjaśnił. – To doprawdy szokujące, jak mało wiem. Jestem jak dziecko. Wpojono mi wszelkie umiejętności niezbędne mandarynowi – kontynuował. – Studiowałem dzieła Konfucjusza i klasyków, uczyłem się pisać wytworne teksty, jednak nigdy nie przekazano mi niczego praktycznego. Nasz system edukacji jest najwyraźniej niedoskonały.

Wtedy byłem niezadowolony, że powiedział coś takiego w obecności barbarzyńcy, teraz jednak pojmuję, że książę wykazał się najwyższą cesarską cnotą, wielki władca musi bowiem poprzez naukę nowych zagadnień

nieustannie dążyć do rozwoju swojego królestwa. W tym celu musi być ciekawy świata i pokorny, gdyż człowiek dumny nigdy niczego sobie nie przyswoi.

Tylko jedna osoba wypowiadała się przeciwko księciu Gongowi i był nią mój ojciec.

– Książę Gong ma jedną wielką słabość – oznajmił kiedyś.

– Och – westchnąłem. – Jakąż to?

– Powinien zgładzić cesarza – odrzekł – i rządzić zamiast niego. – Nie żartował.

– Nie wygadujcie takich rzeczy, ojcze – błagałem go – bo możecie nas wszystkich wpędzić w kłopoty.

– Kto był największym ze wszystkich cesarzy potężnej dynastii Tang? – zapytał.

– Cesarz Taizong – odpowiedziałem – zwany przez potomnych cesarzem Wen [7]. – Choć minęło już dwanaście stuleci, wciąż był w Chinach legendą.

– A jak doszedł do władzy? Zabijając swoich dwóch braci i namawiając ojca cesarza do ustąpienia. Złamał w ten sposób wszystkie konfucjańskie zasady, a mimo to postąpił słusznie.

– Nie wiem, czy słusznie. W każdym razie cesarz ma syna ze Szlachetną Nałożnicą Yi, który powinien zostać jego następcą.

– Potrzebujemy silnego władcy, a nie chłopca, który będzie tak samo bezużyteczny jak jego ojciec.

– Książę Gong na pewno zachowa się właściwie – powiedziałem sztywno.

– Na tym właśnie polega problem.

– Jeśli nadal pragniecie śmierci cesarza, ojcze – zwróciłem się do niego, gdy następnym razem się spotkaliśmy – nie będziecie musieli długo czekać.

To było niesłychane: ten człowiek dopiero zbliżał się do trzydziestki. Wyglądał fatalnie, zanim jeszcze umknął na północ, a wraz z wiosną z Pałacu Myśliwskiego doszły nas wieści, że cesarz długo nie pociągnie. Mówiono, że sprowadza dziewczęta na orgie, poza tym za dużo pił i zażywał opium. Nogi miał tak spuchnięte, że z trudem go nosiły. Czyżby celowo oddawał się rozpuście, jakby prosił się o śmierć?

Nadeszło lato, a wraz z nim wielka kometa. Niektórzy uważali ją za znak nadziei, ale większość widziała w niej zwiastuna rychłego odejścia cesarza.

– Mandat Niebios zostanie cofnięty – oznajmił mi ojciec. – Nastąpi koniec dynastii.

Dobrze pamiętam moment, w którym dowiedziałem się o śmierci cesarza. Był to piękny sierpniowy dzień, a ja wracałem do rezydencji księcia Gonga po odwiedzinach u rodziny. Właśnie skończyła się silna ulewa i ziemia na drogach była jeszcze mokra.

Minął mnie orszak weselny. Tego lata odbyło się wiele ślubów, ponieważ zgodnie z tradycją po śmierci cesarza cały naród pogrążał się w żałobie i nikt w stolicy przez kolejne tysiąc dni nie mógł się żenić ani wychodzić za mąż. Dlatego każdy, kto planował ślub, bardzo się z nim spieszył.

W orszaku podróżowała panna młoda, piękna dziewczyna, z okazji zamążpójścia ubrana na czerwono i niesiona w pozłacanej lektyce. Jej kolorowo odziana eskorta prezentowała się bardzo dumnie. Ludzie uśmiechali się i bili im brawo, gdy przechodzili. Nagle jakiś mężczyzna podbiegł co tchu i powiedział coś do dźwigających lektykę. Chwilę potem orszak z panną młodą pomknął ulicą ile sił w nogach, aż biedaczka musiała trzymać się kurczowo boków lektyki. Szybko podniosłem głowę, żeby sprawdzić, czy nie nadchodzi ulewa, lecz niebo było czyste, w odcieniu błękitu. Wtedy zrozumiałem, co się musiało stać: cesarz zmarł, oni zaś spieszyli się, żeby zdążyć na ślub, zanim ktoś tego zabroni. Mam nadzieję, że młodzi zdążyli się pobrać.

Zanim dotarłem do rezydencji księcia Gonga, wszyscy zdążyli się przebrać w białe szaty na znak żałoby. W tym dniu i kolejnym przez dom księcia przewijali się mandaryni, oficerowie i krewni. Przybył też jego przystojny młodszy brat, książę Chun, któremu towarzyszyła żona. Przypominała nieco swoją siostrę, Szlachetną Nałożnicę Yi, choć moim zdaniem nie była taka piękna jak ona. Wreszcie nadjechał posłaniec z północy i książę Gong spotkał się z nim na osobności.

Postanowiłem milczeć i pozostać w głównej sali, jak długo się da, żeby posłuchać, o czym będzie mowa. Nie minęło wiele czasu, a poznałem najświeższe nowiny.

Przede wszystkim mieliśmy nowego władcę. Kiedy Szlachetna Nałożnica Yi, wykluczona z najbliższego otoczenia cesarza, zdała sobie sprawę, że jej pan stoi nad grobem, wzięła sprawy w swoje ręce. Chwyciła synka, siłą przedarła się do komnaty cesarza, obudziła go, pokazała mu chłopca i zapytała, czy jest jego dziedzicem. Cesarz się ocknął, poświadczył, że tron ma przejść na jego syna, i dodał, że należy powołać radę regencyjną. Było

to niezwykle ważne, ponieważ po wyborze następcy przez cesarza w prawidłowej linii sukcesji cały dwór musi się podporządkować tej decyzji.

Niektórzy zastanawiali się, czy książę Sushun nie zechce tronu dla siebie, ale teraz byłoby to już niemożliwe. Wszyscy w Pekinie byli pełni uznania dla sprytu Szlachetnej Nałożnicy Yi.

Kto jednak miałby zasiadać w radzie? Kto, jak to się u nas mówi, będzie sprawował władzę nad pieczęciami?

Istniało dwadzieścia pięć wielkich pieczęci, którymi stemplowano cesarskie dekrety. Regenci mieli je przechowywać do czasu, aż mały cesarz osiągnie pełnoletność. Jeśli chodzi o samą radę, istniało wiele precedensów. Po pierwsze, w jej skład mogli wchodzić wujowie nowego cesarza. Oznaczałoby to oczywiście księcia Gonga i co najmniej kilku z jego braci. Zaczęto się nawet zastanawiać, czy znajdzie się wśród nich młody, olśniewający urodą książę Chun. Nie było niczym niezwykłym, że jedną z pieczęci przyznawano również wdowie po zmarłym cesarzu. Poza nią w radzie mogli także zasiadać starsi rangą mandaryni i inne mądre głowy. Na to ostateczne rozstrzygnięcie musieliśmy jednak zaczekać jeszcze jeden dzień.

Kiedy wieści w końcu nadeszły, okazały się druzgocące. Żaden z wujów młodego cesarza, nawet książę Gong, nie znalazł się w radzie. Wszystkie miejsca przypadły księciu Sushunowi i jego akolitom. Pogwałcono tym samym wszelkie precedensy, co było nie lada skandalem. Cesarzowa i Szlachetna Nałożnica Yi, jako matka nowego cesarza, obie otrzymały po jednej pieczęci, być może po to, aby nadać całej sprawie pozory legalności. Cesarzowa naturalnie nie mogła sprawiać żadnych kłopotów, a Szlachetna Nałożnica Yi, nawet gdyby chciała, nie byłaby w stanie udaremnić decyzji rady ze względu na to, że całkiem niedawno popadła w niełaskę.

„Nie wierzymy, aby to zmarły cesarz wydał te postanowienia, niezależnie od stanu, w jakim się znajdował – mówiła większość z tych, którzy odwiedzali dom księcia Gonga. – To wszystko sprawka księcia Sushuna”. A ja spodziewałem się, że książę Gong lada dzień oficjalnie potępi nowo powołaną radę.

Jednak ku mojemu zaskoczeniu książę nic nie powiedział – ani tego dnia, ani w kolejnych. Ze spokojem dalej dbał o utrzymanie porządku w Pekinie, ogłosił też, że będzie wypełniał swoje obowiązki do czasu, aż rada regencyjna postanowi inaczej.

Książę Gong otrzymywał również prywatne wiadomości z Pałacu Myśliwskiego. Nigdy nie wyjawił mi ich treści, ale księżniczka – owszem.

Pewnego dnia oznajmiła mi:

– Mandaryni obecni na dworze nie są wcale zadowoleni z wyboru księcia Sushuna. Jeden z cenzorów – jak wiesz, cenzorom wolno mówić, co zechcą – w każdym razie jeden z cenzorów powiedział księciu Sushunowi, że rada regencyjna została powołana bezprawnie i że powinien przekazać wszystkie pieczęcie cesarzowej. Chociaż nie wiem, co dobrego miałoby z tego wyniknąć, bo ta kobieta ma całkiem pusto w głowie.

– Jak książę Sushun to przyjął? – zaciekawiłem się.

– Wpadł we wściekłość. Najchętniej pozbyłby się tego cenzora i cesarzowej, a także Szlachetnej Nałożnicy Yi.

– Mógłby to zrobić? – spytałem z niepokojem.

– Musi być niezwykle ostrożny. Niektórzy z członków rady nie pozwoliliby mu posunąć się tak daleko.

Potem dowiedzieliśmy się, że książę Sushun ustąpił, a rada nadała obu kobietom tytuł cesarzowej wdowy, podnosząc je do rangi o stopień wyższej niż ranga któregokolwiek z pozostałych regentów, przynajmniej w teorii. Regenci przebywali na północy, książę Gong rządził Pekinem, a w Chinach narastało napięcie. Nikt nie wiedział, co będzie dalej.

Pozostawał jeszcze jeden poważny problem: co zrobić z ciałem zmarłego cesarza. Trzeba je było przewieźć do Pekinu na oficjalny pochówek, lecz książę Sushun i jego zwolennicy musieliby towarzyszyć orszakowi żałobnemu. Wciąż było ciepło i zwłoki nie mogły dłużej czekać – zapewne je zabalsamowano, ale mimo to…

Minął prawie miesiąc i nic się nie wydarzyło. Po tym czasie książę Gong i książę Chun wybrali się razem do Pałacu Myśliwskiego na spotkanie z regentami.

Księżniczka była roztrzęsiona.

– Obawiam się, że książę Sushun może zechcieć ich otruć – zwierzyła mi się.

– Nie odważyłby się tego uczynić – zapewniłem ją, chociaż nie miałem pojęcia o tych sprawach.

Słyszeliśmy, że książę Sushun przyjął księcia Gonga i księcia Chuna bardzo chłodno, niemal nieuprzejmie. Uzgodniono jednak, że książę Gong będzie na razie pilnował porządku w stolicy; udało mu się też spotkać z cesarzową wdową.

Po powrocie książąt w mieście zaczęto mówić, że książę Gong pozostaje wierny swojej dewizie: „Serce nie zna prywaty” i jest pokornym sługą

regentów. Wielu było rozczarowanych i krytykowało go, że nie przeciwstawił się księciu Sushunowi, lecz on był stanowczy.

Jakiś czas po tym wydarzeniu książę Chun ponownie wybrał się na północ i przed powrotem do Pekinu spotkał się z obiema cesarzowymi. Poczyniono odpowiednie przygotowania, aby czym prędzej przewieźć ciało cesarza na południe. Zwłokom miał towarzyszyć cały dwór – mały cesarz, cesarzowe wdowy, regenci i wszyscy pozostali.

– To będzie koniec twojego przyjaciela, księcia Gonga – oświadczył ponuro mój ojciec. – Gdy tylko regenci przejmą władzę w Pekinie, zostanie odsunięty od dworu. O ile nie spotka go coś gorszego.

Cesarz nie żył już od czterdziestu czterech dni, gdy wyruszył w swoją ostatnią podróż złotym powozem przez górskie przełęcze w kierunku Wielkiego Muru. W ciągu kilku dni się rozpadało i tempo orszaku znacznie się zmniejszyło. Wszyscy byli świadomi, że w tej dzikiej krainie aż roi się od rozmaitych rzezimieszków.

– Muszę przyznać – zwróciła się do mnie dwa dni później księżniczka – że cieszę się, iż nie ma z nimi księcia Gonga. W czasie burzy wszystko może się wydarzyć i nikt nawet się nie dowie, co właściwie zaszło.

Pomyślałem o Szlachetnej Nałożnicy Yi.

Pewnego wieczoru wszedłem do komnaty, w której zwykł pracować książę Gong, ukłoniłem mu się nisko i zapytałem, czy mogę z nim porozmawiać. Popatrzył na mnie.

– O co chodzi?

– Wasz niewolnik ośmiela się niepokoić o bezpieczeństwo młodego cesarza i jego orszaku w taką pogodę w górach – wyznałem. – Wolno zapytać, czy Wasza Wysokość ma od nich jakieś wieści?

– Martwisz się, czy Szlachetna Nałożnica Yi jest cała i zdrowa?

– Wasz niewolnik obawia się o los wszystkich uczestników wyprawy – odpowiedziałem, lecz on się roześmiał.

– Chciałbyś, abym dał ci miecz i kazał iść jej bronić?

Moja mina musiała mu zdradzić, że właśnie to jest pragnieniem mego serca.

– Niedawno wysłałem dwa najlepsze szwadrony kawalerii z mojej pekińskiej gwardii, aby ich eskortowały – odrzekł. – Są już w drodze.

Dopiero po dwudziestu siedmiu dniach podróży cesarski orszak dotarł do bram Pekinu, przy czym ciężki pozłacany powóz ze zwłokami cesarza był jeszcze o dzień drogi w tyle. Zmarłemu towarzyszył sam książę Sushun; wymagał tego obyczaj, jako że był on starszym członkiem rady regencyjnej.

Mały cesarz, obie cesarzowe, pozostali regenci oraz cały dwór stanęli jednak tego dnia u bram miasta. Pogoda była piękna, dachy lśniły w promieniach słońca. Długą ulicę wiodącą od zewnętrznej południowej bramy, przez kolejne bramy, aż do purpurowych murów i złotych dachów Zakazanego Miasta, wysypano na pół cala złotym piaskiem, tworząc połyskliwą ścieżkę. Po obu stronach, od południowej bramy aż do wjazdu do Cesarskiego Miasta, rozstawiono niebieskie parawany, aby nikt z mieszkańców nie spoglądał na młodego cesarza.

Książę Gong zwołał całą swoją dwudziestotysięczną, pięknie umundurowaną pekińską gwardię, aby na ostatnim odcinku drogi żołnierze salutowali cesarzowi i regentom, gdy ci będą ich mijać.

Pozwolono mi towarzyszyć księciu Gongowi, gdy czekał na przyjęcie małego cesarza u bram cesarskiego miasta – był to akt wielkiej łaski i życzliwości z jego strony. Widok był zaiste wspaniały: mały cesarz i jego matka podróżowali w pięknej żółtej lektyce. Książę Gong wysunął się naprzód, aby złożyć ceremonialny ukłon koutou, po czym jak najuprzejmiej wprowadził cesarski orszak wraz z regentami do Zakazanego Miasta. Szedłem tuż za nimi razem z kilkoma mandarynami, którzy z wielkim podziwem spoglądali na dzielną pekińską gwardię po obu stronach drogi.

Zaraz po wkroczeniu do Zakazanego Miasta zauważyłem coś dziwnego.

Orszak cesarski, regenci oraz członkowie rodzin książęcych wchodzili właśnie do komnaty, w której miał być podawany poczęstunek. Pekińscy gwardziści pełnili wartę przy drzwiach. Młody, przystojny książę Chun oczywiście również tam był, lecz zamiast wejść do środka wraz ze wszystkimi, zwolnił kroku i zatrzymał się przed progiem. Wyglądało na to, że czeka na jakiś sygnał. W pewnym momencie zauważyłem, że lekko skinął głową, po czym wyszedł na zewnątrz i oddalił się szybkim krokiem, gdy strażnicy zamykali drzwi.

Kręciłem się wśród służby, a po kilku minutach stała się rzecz niesłychana: drzwi otworzyły się z trzaskiem i wyszli przez nie gwardziści, eskortujący pod strażą regentów, całą kompanię księcia Sushuna. Wszyscy zostali aresztowani.

Całą sprawę załatwiono zaledwie w tydzień. Książę Chun ze szwadronem kawalerii w ciągu kilku godzin aresztowali księcia Sushuna. Podobno znaleziono go w łóżku z jedną z jego konkubin, w odległości raptem kilku kroków od złotego katafalku zmarłego cesarza, którego ciała miał strzec i któremu miał okazywać cześć. Może tak było, a może nie, chociaż nikt nie musiał wymyślać na jego temat nieżyczliwych plotek: mandaryni go nienawidzili, lud go nienawidził, wojsko było przeciwko niemu. Sąd Rodu Cesarskiego natychmiast uznał go i jego popleczników za winnych przestępstw przeciwko państwu. Jego bratu i innemu cesarskiemu regentowi pozwolono się powiesić; sam Sushun został ścięty jak zwykły przestępca.

Nie dokonano jednak zemsty na tych, którzy poszli za Sushunem. Sądzę, że książę Gong wykazał się w tej kwestii wielką mądrością. Wkrótce powołano też nową radę regentów, na której czele stanął książę Gong, a w jej skład weszły obie cesarzowe i życie znów toczyło się swoim torem.

Kiedy patrzę na to z perspektywy czasu, muszę przyznać, że książę Sushun postąpił niezwykle nierozsądnie. Po pierwsze, wykluczając królewskich wujów, podważył dotychczasowe precedensy, co nastawiło przeciwko niemu wszystkich mandarynów. Po drugie, próbował dokonać zamachu stanu na odległość, przebywając z dala od ośrodka władzy w Pekinie, chociaż w takiej sytuacji trzeba być na miejscu, tam gdzie najważniejsi gracze.

Przede wszystkim zaś nie dysponował siłą militarną, która zmusiłaby jego wrogów do uległości.

Barbarzyńcy dowiedli nam, że źródłem siły jest lufa karabinu – nasza przewaga liczebna okazała się niczym wobec ich uzbrojenia – a książę Gong dowodził dwudziestoma tysiącami dobrze wyszkolonych żołnierzy, wyposażonych w nowoczesne karabiny. Jego przeciwnicy nie mieli żadnych szans; nawet dwadzieścia pięć pieczęci Niebiańskiego Cesarstwa nic nie znaczy wobec wycelowanej w człowieka broni.

Można powiedzieć, że jedyną zagadką pozostaje, jak książę Sushun wpadł na tak głupi pomysł. Moim zdaniem wykazał się arogancją, podczas gdy książę Gong był pokorny – a pokorny człowiek zawsze ma przewagę nad arogantem. Skąd brała się ta arogancja? Może stąd, że książę Sushun był bardzo zamożny. Bogacze mają w zwyczaju robić wszystko po swojemu, dlatego stają się aroganccy i popełniają błędy. Książę Sushun popełnił taki błąd i stracił głowę.

Dwa dni po aresztowaniu księcia Sushuna do domu księcia Gonga przybył pan Liu. Spędzili obaj jakiś czas sam na sam, po czym pan Liu poszedł do apartamentów księżniczki. Stałem w przejściu tuż przed drzwiami jej bawialni, więc chcąc nie chcąc, znaleźliśmy się twarzą w twarz.

Nie widziałem go, odkąd podstępnie pozbawił mnie możliwości wyjazdu wraz z całym dworem za Wielki Mur, a ponieważ on sam dopiero co stamtąd wrócił, pomyślałem, że może jeszcze nie wiedzieć, iż nie umarłem. Nie przychodziło mi do głowy nic, co mógłbym powiedzieć, więc po prostu ukłoniłem mu się nisko.

On jednak wcale nie wyglądał na zaskoczonego moim widokiem. Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

– A zatem tutaj jesteś, Lakowany Paznokciu – rzekł. – Wiem wszystko o twoich wyczynach. Od naszego ostatniego spotkania stałeś się wojownikiem, pogromcą barbarzyńców, spieszącym na ratunek księżniczkom w opałach. Znakomicie, doprawdy znakomicie. – Można by pomyśleć, że jemu to wszystko zawdzięczam.

– Do usług, panie Liu – odpowiedziałem cicho.

– Przyszedłem zobaczyć się z księżniczką. Czy mógłbyś wejść i zapytać, czy mnie przyjmie?

Może i przyjmie, ale niechętnie, pomyślałem, wspominając, jak to kiedyś nazwała go przy mnie okropnym człowiekiem. Ale gdy po chwili otwierałem mu drzwi, usłyszałem ze zdziwieniem, jak księżniczka wita go przyjaźnie:

– Drogi panie Liu! Jakże się panu odwdzięczymy za wszystko, co pan dla nas uczynił? – Do mnie zaś rzuciła: – Zostaw nas, Lakowany Paznokciu – dając mi tym samym do zrozumienia, że moje miejsce jest po drugiej stronie drzwi. Nic więcej nie usłyszałem.

Później tego samego dnia, po wyjściu pana Liu, odważyłem się wyznać księżniczce, że zaskoczyła mnie jej serdeczność okazana na jego widok. Przez pewien czas milczała, po czym się odezwała:

– Mądry z ciebie człowiek, Lakowany Paznokciu, ale musisz się jeszcze wiele nauczyć.

Dopiero po dłuższej chwili zrozumiałem, co miała na myśli: to pan Liu, kiedy przebywał na północ od Wielkiego Muru, musiał w tajemnicy kontaktować się z księciem Gongiem i to on ostrzegł księcia o wydanym przez cesarza rozkazie nakazującym egzekucję brytyjskich zakładników. Podczas ostatniego kryzysu również musiał przesyłać księciu sekretne meldunki –

nic dziwnego zatem, że księżniczka była mu wdzięczna. Oczywiście nie zamierzała mi tego wszystkiego wyjawić.

Po dziś dzień nie mam pewności, ale wiem jedno: pan Liu zawsze potrafił opowiedzieć się po zwycięskiej stronie.

Jednak moment mojego największego szczęścia dopiero miał nadejść.

Nowe władze okazały się bardzo przebiegłe: mały cesarz od razu został oficjalnym władcą Chin. Wszystkie dekrety wydawano w jego imieniu, osobiście przyjmował też urzędników. Naturalnie malec nie wiedział, co należy mówić, więc zawsze towarzyszyły mu obie cesarzowe wdowy – siedziały za tronem, ukryte za żółtą zasłoną. Mandaryn wygłaszał swoje sprawozdanie, a cesarzowe szeptały chłopcu, co ma odpowiedzieć; zwykle oznaczało to tyle, że szeptała jego matka, ponieważ nasza droga cesarzowa nie miała o rządzeniu większego pojęcia niż ów malec siedzący na tronie.

Wszyscy rozumieli, że to tylko formalność, i akceptowali ten stan rzeczy.

Prawdziwa władza spoczywała jednak w rękach małej rady doradczej. Nie było w niej żadnych wichrzycieli, jedynie godni zaufania ludzie, od lat służący na dworze, znani i szanowani przez wszystkich mandarynów i urzędników, na ich czele zaś stał książę Gong. Celem było przywrócenie spokoju i przestrzeganie precedensów – tak jak to dawniej bywało. Oczekiwano jednak, że podobnie jak podczas formowania pekińskiej brygady książę Gong wleje wkrótce w ów system rządzenia nieco nowoczesności – naturalnie w granicach rozsądku.

Aby podkreślić stabilność reżimu, oficjalnie potwierdzono pozycję obu cesarzowych wdów, przyznając im nowe zaszczyty i tytuły. Tytuł nadany cesarzowej oznaczał „Matczyna i Kojąca”, co bardzo taktownie pomijało inne jej niedostatki! Jeśli zaś chodzi o moją dawną panią, jej tytuł brzmiał teraz „Cixi” i oznaczał „Matczyną i Pomyślną”. Pod tym właśnie imieniem – Cixi – miała być odtąd znana do końca życia.

Książę Gong, w swej niezmierzonej mądrości, wyświadczył obu kobietom jeszcze jedną przysługę. Podejrzewam, że postąpił tak również dlatego, aby nikt nie mógł mu zarzucić, że osobiście skorzystał na usunięciu poprzednich regentów, co dowodziło jego wielkiego sprytu. Cały ogromny majątek straconego księcia Sushuna został skonfiskowany i przekazany cesarzowym wdowom – każda otrzymała po połowie.

Po tych wszystkich perypetiach moja dawna pani stała się nieoczekiwanie jedną z najbogatszych mieszkanek cesarstwa chińskiego.

W dniu, w którym książę Gong oznajmił mi, że mam się stawić w pałacu, nad Pekinem prószył śnieg, a niebo przypominało błękitny kryształ. Połać niczym nieskalanej bieli przed Pawilonem Najwyższej Harmonii iskrzyła się w słońcu takim blaskiem, że aż zamrugałem powiekami. Rozległy dach pawilonu, pokryty cienką warstewką śniegu, lśnił z kolei bielą w zagłębieniach, a w miejscach, gdzie przeświytywały żółte dachówki, potworzyły się niezliczone złociste prążki.

Był to, jak sądzę, najbardziej magiczny widok, jaki kiedykolwiek miałem szczęście oglądać.

Wprowadzono mnie do małej sali tronowej, gdzie ku mojemu zdumieniu cesarzowa wdowa Cixi przyjęła mnie całkiem sama. Była ubrana na biało. Poczułem znajomy zapach jaśminu, którym już wcześniej się spryskiwała.

– I cóż, Lakowany Paznokciu – odezwała się, gdy wykonałem ukłon ceremonialny koutou – patrz, co nas oboje spotkało. Wiem wszystko o twoich przygodach od księcia Gonga. Zarówno on, jak i księżniczka wyrażają się o tobie jak najpochlebniej.

– Wasz niewolnik jest zaszczycony – powiedziałem.

– Bardzo mnie zasmuciło, gdy mnie opuściłeś przed wyjazdem na północ od Muru – powiedziała.

– Wasza Wysokość! – zawołałem w rozpaczy. – To nie była moja wina… – W tym momencie ona wybuchnęła śmiechem i odparła:

– Pan Liu był bardzo niesforny.

A przecież chodziło o coś znacznie poważniejszego: celowo sprzeciwił się jej rozkazom, wydając mi odwrotne polecenie. Powinien zostać przynajmniej zdegradowany i ukarany, lecz oczywiście pan Liu zawsze potrafił się wybronić.

– Tak jest, Wasza Wysokość – przyznałem.

– Sęk w tym – podjęła – że nie mam nikogo, komu mogłabym powierzyć opiekę nad moimi paznokciami. Myślisz, że mógłbyś się tego podjąć?

Uśmiechnęła się do mnie.

– Ależ tak, Wasza Wysokość! – wykrzyknąłem i ponownie wykonałem ukłon koutou, tym razem tak nisko, że mógłbym niemal ucałować jej delikatne stopy.

W POCZUCIU OBOWIĄZKU

1865 rok

MEI-LING NIE WIEDZIAŁA, czy zobaczy jeszcze kiedyś swojego męża, ale instynktownie czuła, że odszedł od niej na zawsze. A może to strach przez nią przemawiał?

Przez te lata wiele razy rozmawiali o Ameryce jako o jednej z możliwości, nic ponadto. Ale gdy przystojny syn rosłego, obcesowego Amerykanina, który był tu już wcześniej – gdy ów syn pojawił się ponownie i zaoferował ładną sumkę z góry, jak mogli ją w takiej sytuacji odrzucić?

Tak dawno nie słyszano dobrych wieści, w osadzie ani gdziekolwiek indziej! Jeśli Niebiańskie Królestwo tajpingów zrujnowało dolinę Jangcy na okrągłą dekadę, to zniszczenie Pałacu Letniego w Pekinie przez barbarzyńców upokorzyło całe cesarstwo. Cesarz, który uciekł, był teraz martwy, na tronie zasiadało dziecko, a państwem w gruncie rzeczy zarządzały dwie niewykształcone kobiety.

Czy oto pewna era kończyła się skomleniem? [8] Czy Mandat Niebios właśnie został cofnięty?

Barbarzyńcy mieli swoje porty wzdłuż całego wybrzeża, od Szanghaju aż po Hongkong. Rządzili nimi na swoich prawach, jak własnymi, oddzielnymi królestwami. Rosjanie zajęli rozległe terytorium w Mandżurii. Zbuntowani tajpingowie i ich Niebiańskie Królestwo zostali wyparci z Nankinu dopiero przed rokiem, i to nawet nie przez cesarską armię, tylko przez chińskie oddziały wyposażone i wyszkolone przez Gordona oraz jego brytyjskich oficerów.

Przesłanie było jasne: barbarzyńcy zdecydowali się pozostawić władzę w rękach cesarskiego dworu, bo Pekin gotów był im ofiarować wszystko, czegokolwiek by sobie życzyli; każdy zdawał sobie z tego sprawę.

Cesarstwo było upokorzone, a skarbiec pusty.

Mei-Ling też nie miała pieniędzy. Ostatnią sztukę srebra dostała od Nio, gdy ten wybierał się podbić Szanghaj, i te pieniądze dawno zostały wydane.

Jaki był los Nio? Później nie miała już od niego żadnych wieści. Kampania szanghajska zakończyła się porażką. Na długo przed upadkiem Nankinu Mei-Ling martwiła się, że Nio nie żyje, ale nie miała co do tego pewności. Już wcześniej zdarzało mu się przyjeżdżać po długich okresach nieobecności. Czasami, gdy stojąc nad stawem, słyszała szelest liści poruszanych powiewem wiatru, rzucała szybkie spojrzenie na ścieżkę, spodziewając się ujrzeć Nio, lecz on nie nadchodził. Czas płynął i racjonalna część jej umysłu przekonywała ją, że Braciszek musiał zginąć, a Mei-Ling powinna się z tym pogodzić.

Gdyby tylko wiedziała to na pewno! Mogłaby wtedy zacząć go opłakiwać i odbyć żałobę jak należy. Nie mając jednak takiej pewności, czuła, że w ten sposób wyrzekłaby się go i opuściła, zamiast podsycać w sobie płomień nadziei.

Jej mąż to rozumiał. Czasami żałował, że nikt nie przywiózł im informacji o śmierci Nio, choćby po to, aby uwolnić Mei-Ling od tortur niekończących się wątpliwości.

Wreszcie, pewnego ranka, odezwał się nagle podczas wspólnego spaceru:

– Nio nie żyje. Musisz się z tym pogodzić.

– Wiem – odparła i skinęła głową. A potem wtuliła się w niego i zapłakała.

Tyle dobrego, że jej najbliżsi nie głodowali.

Oczywiście Starszy Syn nadal był formalnie głową rodziny, jednak już wcześniej okazywał słabość, a teraz przypominał chodzący cień. Rzadko palił opium, ale tylko dlatego, że nie miał go za co kupić. I – niestety – nie wpływało to raczej na poprawę jego stanu zdrowia.

Ku zaskoczeniu wszystkich trzy lata wcześniej jego chudej jak szczapa córce udało się znaleźć męża, starca z sąsiedniej wioski, który po prostu potrzebował kogoś do prowadzenia domu. Ponieważ jednak formalnie ją poślubił, odeszła i zamieszkała u niego. Być może Starszy Syn znalazłby w sobie dość siły, aby zająć się swoim najmłodszym dzieckiem, jedynym

synkiem nieszczęsnej Wierzby, ale przed trzema laty, podczas zarazy, które co kilka lat pustoszyły okoliczne wsie, dziecko zmarło.

Dla Starszego Syna był to ostateczny cios. Od tamtej pory zbierał się w sobie na tyle, aby od czasu do czasu oznajmiać im, że jest głową rodziny i musi podejmować decyzje, lecz nigdy żadnej nie podjął.

Cały dom pogrążył się w letargu. Mostek nad stawem wymagał naprawy. Młodszy Syn gotów był to zrobić, ale jego brat twierdził, że tym się zajmie. Nic jednak w tym kierunku nie uczynił.

„Nie warto się o to spierać" – powtarzał Mei-Ling Młodszy Syn i pewnie miał rację. Nikt nie wchodził już na mostek, bo było to zbyt niebezpieczne, a gdy Mei-Ling wybierała się popatrzeć na księżyc, stawała na brzegu.

Nawet jej teściową dotknął ogólny marazm. Zamiast zarządzać domem i kuchnią, wszystko złożyła na barki Mei-Ling, a sama przesiadywała na podwórzu. Kiedy Starszy Syn przestał pobierać opłaty za dzierżawę, zajęła się tym osobiście, ale chyba marnie jej szło, bo czasami wracała do domu bez pieniędzy.

W istocie więc to Mei-Ling i jej mąż troszczyli się o dom. Młodszy Syn wraz z dwoma dorosłymi synami pracowali na roli, dzięki czemu rodzina miała co jeść i w co się ubrać, ale nie udało im się wiele odłożyć.

W tym wszystkim był wszakże promyczek nadziei w osobie jedynej spośród nich, która miała szanse na lepsze życie i przy odrobinie szczęścia mogłaby im wszystkim pomóc. Jej mała córeczka, Jasny Księżyc.

– Będzie taka piękna jak ty – mawiał Młodszy Syn.

– Już jest piękniejsza – odpowiadała Mei-Ling.

– To niemożliwe – odpowiadał. Być może naprawdę tak myślał, ale Mei-Ling wiedziała swoje. Dziecko było wręcz niewiarygodnie doskonałe: z jasną, bielutką cerą, najważniejszą cechą w kanonie chińskiej urody. Oczy miała duże, nos i brwi proste, jak u szlachetnej damy dworu z czasów pełnej chwały dynastii Ming.

Młodszy Syn świata za nią nie widział. Co wieczór, ledwo wrócił do domu z pracy, siadał, żeby się z nią pobawić.

Czasami, jeśli akurat wiało, szli razem w miejsce, skąd widać było chwiejące się na wietrze bambusowe zarośla. Postukujące o siebie łodygi wydawały rytmiczne dźwięki, a jeśli wiało wystarczająco mocno, słychać było niemal, jak wzdychają.

– Piękniej grają od erhu – mówił Młodszy Syn, uszczęśliwiony. – Widzisz, jak wdzięcznie skłaniają swoje główki i łodygi tam na skraju

zagajnika? Podczas burzy nawet najwyższe z nich potrafią dotknąć wierzchołkiem ziemi, a mimo to bambus się nie łamie.

– Nigdy się nie łamie? – spytała go kiedyś dziewczynka.

– Jeśli rośnie przy murze albo jeśli inne bambusy nie pozwolą mu wygiąć się tak, jak chce, wtedy czasem może się złamać – odparł jej ojciec.

– I umiera?

– Nie. Wtedy najlepiej przyciąć go tuż nad ziemią i w następnym roku wyrośnie równie wysoki jak poprzednio.

– Kochasz bambusy, prawda, tato?! – zawołała dziewczynka.

– Prawie tak samo jak twoją matkę i ciebie – odrzekł, a dziewczynka wiedziała, że mówi prawdę.

Jasny Księżyc miała trzy lata, kiedy Młodszy Syn i jego matka zaczęli rozmawiać o stopach dziewczynki.

– Mogłaby poślubić bogatego mężczyznę – powiedziała Matka.

– I mieć dobre życie – zgodził się Młodszy Syn.

– Musimy zacząć krępować jej stopy – stwierdziła Matka. – W przeciwnym razie nie znajdzie bogatego męża.

– Chcę, żeby miała dobrego męża, takiego, jakiego ja miałam – wtrąciła Mei-Ling. – A jednak moje stopy nigdy nie były krępowane.

– Może osiągnąć znacznie więcej niż ja – odparł Młodszy Syn. – Chcę dla niej tego, co najlepsze.

– Ale czy będzie szczęśliwa? – spytała Mei-Ling.

– Dlaczego nie? – odparł rozsądnie jej mąż. – Bogactwo nie czyni człowieka nieszczęśliwym, a na pewno jest lepsze od życia w biedzie, takiego jak nasze teraz. – Gestem wskazał jej dom i połamany mostek nad stawem. – Dostała w darze od losu niezwykłą urodę. Powinniśmy to uszanować, a nie zmarnować.

– Mogłaby poślubić bogatego mężczyznę z ludu Hakka – zasugerowała Mei-Ling. – Niektórzy z nich są zamożni, a ich kobiety nie krępują stóp.

– Tylko nie Hakka – sprzeciwiła się Matka.

– No to choćby Mandżura. Ich kobiety też nie krępują stóp.

– Bogaci Mandżurowie zwykle żenią się z Mandżurkami, a ich konkubiny, Chinki Han, wszystkie mają krępowane stopy – odparła Matka. – Możesz być tego pewna.

– Ale to boli! – zawołała Mei-Ling. – Wszyscy tak mówią.

– Nie jest tak źle – stwierdziła Matka.

– Czy wiecie, jak to zrobić? – spytała ją Mei-Ling.

– W mieście żyje kobieta, która krępowała stopy wielu dziewczętom. Przyjdzie i nam pokaże.

Mei-Ling nadal była nieszczęśliwa, choć Młodszy Syn starał się ją pocieszyć.

– Tak będzie najlepiej. Kiedyś jeszcze nam za to podziękuje – obiecał. – Z taką urodą nigdy by nam nie wybaczyła, gdybyśmy nie pozwolili jej zrobić z niej użytku.

– Nie mogę nawet o tym myśleć – wyznała mu Mei-Ling.

– Więc nie myśl – rzucił Młodszy Syn. – Jasny Księżyc ma dopiero trzy lata. Zaczekamy, aż skończy sześć.

Nie rozmawiali już więcej o krępowaniu stóp, a ich córka dowiedziała się na razie tylko tyle, że przy bezchmurnym niebie musi chronić twarz pod parasolem.

Gdy Jasny Księżyc skończyła pięć lat, dotarły do nich pogłoski z wybrzeża. Amerykańscy kupcy znów krążyli po miastach i rybackich wioskach, oferując dobre wynagrodzenie wszystkim gotowym wyjechać do Kalifornii, żeby budować tam kolej.

Z trzech mężczyzn, którzy wyjechali z wioski do Ameryki, kiedy Read był tutaj poprzednim razem, dwóch zostało na obczyźnie, ale jeden powrócił. Z pieniędzmi.

Przywiózł też niezwykłe historie o wielkim kontynencie na zachodzie, z jego umiarkowanym klimatem, pięknymi zatokami i wysokimi górami. Była tam też, rzecz jasna, kolej: niekończące się żelazne szyny, które decyzją barbarzyńców miały przecinać cały kraj, oraz pędzący po tych szynach parowóz z piecem ziejącym ogniem, plujący parą i iskrami. Niektórzy mieszkańcy wioski uważali ów wynalazek za coś wspaniałego, ale Mei-Ling wydawał się czymś strasznym i złym.

Żelazny smok na szynach nie przerażał jej jednak tak bardzo jak wrażenie, jakie te opowieści wywierały na jej mężu.

– Słyszałem, że dają dużo pieniędzy, zanim jeszcze się wyjedzie. Płacą z góry, o wiele więcej, niż mógłbym kiedykolwiek zarobić tutaj. – Spojrzał na nią wymownie. – Mogłabyś użyć tych pieniędzy dla dobra gospodarstwa

i Jasnego Księżyca. A potem, gdybym wrócił z kolejną górą pieniędzy… – Tym razem jego wzrok wyrażał smutek. – Byłbym tak daleko od ciebie!

– Nie jedź tam, proszę!

– Nie wiem, co robić – westchnął. – Musimy myśleć o rodzinie.

Mei-Ling pomyślała o ich zaniedbanym gospodarstwie i o ubogiej wiosce. Wszystkim w okolicy trudno było się utrzymać. Gdyby pojawili się Amerykanie z propozycją dobrze płatnej pracy, w dodatku płatnej z góry, nie mieliby kłopotu ze znalezieniem chętnych.

Co do Młodszego Syna, dobrze znała swojego ukochanego męża. Jeśli uznał, że coś jest słuszne, nie było sposobu, aby go odwieść od tej decyzji. Pokazał już swój upór, nalegając, aby za niego wyszła. Wtedy ta cecha wydawała jej się cudowna, teraz – okropna.

– Na długo byś wyjechał? – spytała.

– Nie wiem. Przypuszczam, że na dwa albo trzy lata. Wziąłbym ze sobą naszego młodszego syna.

– Będę się czuła samotna – powiedziała po prostu.

– Ja też. Ale skoro potrzebujemy pieniędzy…

– Chyba nie pojedziesz na wybrzeże szukać tych Amerykanów?

– Nie – odparł – lecz gdyby zjawili się tutaj…

Mei-Ling zrozumiała. Gdyby pojawili się tak daleko w głębi lądu, potraktowałby to jako znak, przeznaczenie. To chciał jej przekazać. Gdyby Amerykanie przybyli do ich wioski, wyjechałby z nimi. Mogła się tylko modlić, aby tak się nie stało. Bądź co bądź, skoro płaca rzeczywiście była tak atrakcyjna, jak mówiono, znaleźliby dość chętnych na wybrzeżu. Czas mijał i nikt się nie pojawiał.

Pewnego słonecznego jesiennego dnia przybył przystojny młody Amerykanin. Pamiętał wioskę z czasów, kiedy był tu ze swoim ojcem. Oferował woreczek srebra z góry tym, którzy zobowiązali się spędzić w Ameryce trzy lata.

Pamiętał też jednak Młodszego Syna i gdy mąż Mei-Ling zgłosił się do niego ze swoją młodszą latoroślą, pokręcił głową.

– Ostatnim razem już następnego dnia zmieniłeś zdanie – powiedział.

– Teraz tego nie zrobię – zapewnił go Młodszy Syn.

– Przykro mi. Nie mogę ryzykować – odparł Amerykanin. – Potrzebuję ludzi, którzy naprawdę chcą wyjechać.

Stojącą obok męża Mei-Ling na dźwięk tych słów zalała fala radości i ulgi. Poradzimy sobie jakoś bez tych pieniędzy, pocieszyła się w duchu.

– Obiecuję, że spędzę w Ameryce cztery lata zamiast trzech – oświadczył Młodszy Syn.

Mei-Ling popatrzyła na niego przerażona. Co on wygaduje? Młody Amerykanin przyjrzał mu się z namysłem.

– Dajesz słowo honoru? – zapytał.

– Daję – odparł jej mąż. Nie patrzył na nią. – W imieniu swoim i syna.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytała go później.

– Bo inaczej by mnie nie zatrudnił – odpowiedział. – To było oczywiste.

Tak więc Amerykanin wręczył Mei-Ling woreczek srebra, a jej mąż i młodszy syn od razu za nim poszli. Młodszy Syn zapewnił ją, że czas szybko minie, próbował też udawać, że wszystko jest w porządku, ich syn zaś obiecał, że codziennie będzie o niej myślał, ale nie potrafił ukryć podekscytowania na myśl o czekającej go przygodzie.

Tej nocy na rozgwieżdżonym niebie wisiał jasny półksiężyc i tak jak poprzednio, gdy Młodszy Syn wyjechał z Amerykanami, Mei-Ling posyłała mu myśli pełne miłości. Jednak tym razem niebo się zasnuło, chmury zakryły księżyc oraz gwiazdy i kobieta nie była pewna, czy jej myśli dotarły do męża ani czy w ogóle zdołały opuścić dolinę, w której leżała ich wioska.

Ojca Jasnego Księżyca nie było w domu już dwa lata, kiedy dziewczynce zaczęto krępować stopy.

Jesień stanowiła najlepszą porę; mijały wówczas letnie upały i wilgoć, powodujące pocenie się i obrzęk stóp, ból był więc mniejszy.

Dziewczynce powiedziano, że powinna być wdzięczna.

Nawet tu, na południu, wiele kobiet w miastach miało krępowane stopy, na wsi jednak zwyczaj ten nie był powszechny i Jasny Księżyc miała być pierwszą od lat dziewczynką w ich ubogiej osadzie, którą spotyka takie szczęście.

Szczęście tym większe, że kobieta, która przybyła z miasta nadzorować całą procedurę, była powszechnie znana w okolicy ze swych umiejętności. Nazywano ją Bandażowaczką. „Bandażowała stopy w domach najlepszych rodzin w tym regionie – oznajmiła wszystkim Matka. – Trzeba to zrobić jak należy, nie zważając na koszty”.

Starannie wybrano sprzyjający czas: dwudziesty czwarty dzień ósmego księżyca. Przedtem jednak trzeba było jeszcze zadbać o mnóstwo rzeczy. Kilka tygodni wcześniej Mei-Ling pojechała do miasta z parą maleńkich – mierzących zaledwie dwa cale – bucików wykonanych przez nią z jedwabiu i bawełny, z wyhaftowaną modlitwą, i złożyła je na palniku kadzidełek w buddyjskiej świątyni Bogini Łaski.

Podczas pobytu w mieście kupiła też różne przedmioty, które miały być potrzebne w nadchodzących miesiącach i latach: kilka tuzinów wąskich rolek materiału do krępowania stóp, mały bambusowy pojemniczek do okadzania tkaniny, żeby słodko pachniała, i kilka rodzajów zasypek. Matka dała jej pieniądze na te zakupy; Mei-Ling zastanawiała się, skąd je wzięła, ale gdy zapytała, usłyszała w odpowiedzi: „Udało mi się trochę zaoszczędzić z opłat za dzierżawę, ale nic ci o tym nie wspominałam. Odkładałam je latami”. Wspólnie spróbowały uszyć parę watowanych bucików z bawełny, które dziewczynka będzie mogła nosić, kiedy jej stopy zostaną skrępowane. „Mam nadzieję, że robimy to jak należy” – powiedziała Matka. Dzień przed przybyciem Bandażowaczki oporządziły kuchnię, aby przygotować kulki z kleistego ryżu i czerwonej fasoli, lecz pomimo tej całej krzątaniny Mei-Ling widziała, że teściowa jest zdenerwowana i nieswoja, kiedy nazajutrz rano czekały na przybycie Bandażowaczki.

Ich gość wcale nie budził bojaźni ani podziwu – ot, zwykła chłopka w wieku około pięćdziesięciu lat, raczej niska i skromnie ubrana. Miała jednak skrępowane stopy i gładką twarz; to ostatnie zawdzięczała stosowaniu specjalnych balsamów. Mei-Ling pomyślała, że ma bystre spojrzenie, jak handlarka na targu, która zna na wyrywki ceny wszystkich towarów.

– Proszę nie myśleć, że krępowanie stóp to dla nas nowość – powiedziała Matka. – Żona mojego starszego syna miała krępowane stopy. Niestety, już nie żyje.

– Widzę, że macie duży dom – odparła Bandażowaczka. – Pani córki nie muszą pracować. – Zerknęła na stopy Matki.

– Moja siostra miała krępowane stopy i rodzice mogli oczywiście pozwolić sobie na krępowanie moich, ale z jakiegoś powodu tego nie uczynili – powiedziała Matka. Mei-Ling nigdy wcześniej tego od niej nie słyszała. Bandażowaczka spojrzała teraz na stopy Mei-Ling. – Jej rodzice byli biedni – wyjaśniła Matka przepraszającym tonem.

– Znałam bardzo ubogich rodziców, którzy zapożyczali się, byle tylko skrępować stopy najstarszej córce – stwierdziła Bandażowaczka – zwłasz-

cza jeśli była piękna. Oczywiście może to stanowić spore wyzwanie, szczególnie że dziewczyna powinna przybyć do domu świeżo poślubionego męża przynajmniej z czterema parami jedwabnych bucików, jedną na każdą porę roku, a nieraz z tuzinem albo i więcej.

– Nasza dziewczynka będzie miała tyle par butów, ile będzie potrzebowała – zapewniła ją Matka.

– A więc ma szczęście – rzekła Bandażowaczka. – Mogę ją zobaczyć?

– Oczywiście! – wykrzyknęła Matka. – Przyprowadzę ją.

Kiedy Matka wyszła, Mei-Ling zwróciła się do kobiety:

– Czy zabieg jest bardzo bolesny?

– Krępowaniu stóp towarzyszy ból, ale efekt jest tego wart.

– Czy to prawda, że łamie się przy tym kości stopy?

– Tylko w palcach. Drobne kostki pękają przy podwijaniu palców stóp pod podeszwę. Ale są one tak małe i miękkie, że w tym wieku prawie nie odczuwa się bólu. Właściwie nawet trudno to nazwać złamaniem. Pozostałe kości muszą wtedy rosnąć w odpowiedni sposób, ale nie są łamane. – Przerwała na moment. – Widziałaś kiedyś te miniaturowe drzewka, które bogaci ludzie trzymają w swoich domach? Mówią na nie *penzai*. Kształtuje się je według tej samej zasady: młode drzewko jest obwiązywane sznurami, żeby nie rosło. Cała energia drzewa, jego siła wewnętrzna, zostaje skoncentrowana w miniaturowej formie. Kunszt krępującego i siła natury ścierają się ze sobą. My robimy to samo, krępując dziewczynce stopy. Tworzymy stópki jak pąki lilii, prawdziwe dzieło sztuki. Są takie piękne! A kiedy dziewczyna włoży haftowane buciki, taką stopę nazywa się złotym lotosem.

– Rozumiem – przyznała nieszczęśliwa Mei-Ling.

Teściowa wróciła, prowadząc jej córkę.

Mei-Ling nie zastanawiała się, jak zareaguje Bandażowaczka, widząc Jasny Księżyc. Zapewne spodziewała się, że kobieta coś powie, lecz ta nie odezwała się ani słowem, wpatrywała się tylko w dziewczynkę jak urzeczona. Potem powoli obeszła ją dookoła, przyjrzała się z bliska jasnej skórze szyi, odstąpiła o krok, zajrzała dziecku w oczy i wreszcie usiadła na krześle.

– Będę musiała tu zostać przez jakiś czas – ogłosiła. – Może z miesiąc.

– Miesiąc? – Teściowa wyglądała na przerażoną. Ile to ich będzie kosztowało?

– Miesiąc – powtórzyła twardo Bandażowaczka. – Cena ta sama, będziecie tylko musiały mnie żywić.

– Naturalnie – zgodziła się teściowa. – Naturalnie.

Bandażowaczka dalej przyglądała się Jasnemu Księżycowi.

– Istne dzieło sztuki – wymamrotała w końcu. Nie do nich; do siebie.

Kiedy wszystko było gotowe, Bandażowaczka nakazała mężczyznom wyjść i nie wracać aż do wieczora.

– To są kobiece sprawy – wyjaśniła. – Nie potrzebujemy teraz mężczyzn w domu.

Potem kazała Mei-Ling i Matce przygotować w kuchni balię z ciepłą wodą i poleciła dziewczynce usiąść na stołku ze stopami zanurzonymi w wodzie.

– Długo muszę tak siedzieć? – chciała wiedzieć Jasny Księżyc.

– Dopilnujemy, żeby woda była przyjemnie ciepła – zapewniła ją Bandażowaczka.

– I co potem?

– Obetnę ci paznokcie u nóg.

– Czy to boli?

– Nie, skądże. Przecież nieraz obcinano ci paznokcie. Bolało cię kiedyś?

– Nie.

– No widzisz.

Dziewczynka popatrzyła z powątpiewaniem na dwie starsze kobiety, a potem na swoją matkę.

– Nie będzie cię nic bolało – potwierdziła Mei-Ling i uśmiechnęła się do córki. Przynajmniej to było prawdą.

– Po wszystkim będziesz miała śliczne stopy – wtrąciła się Matka.

– Powiedz mi – zapytała Bandażowaczka – jaką jesteś dziewczynką, oprócz tego, że jesteś piękna? Czy jesteś dobrym dzieckiem? Starasz się zadowolić swoją rodzinę, tak jak powinnaś?

Jasny Księżyc z wahaniem pokiwała głową.

– To kochane dziecko – rzekła Mei-Ling. – Ale ma też własne zdanie. Nauczyła się tego od was. – Ta ostatnia uwaga była skierowana do teściowej.

– Możliwe – odparła kobieta z zadowoleniem.

– Masz teraz siedem lat – ciągnęła Bandażowaczka. – Wiesz, co to znaczy, prawda? To znaczy, że stajesz się kobietą. Nie na ciele, jeszcze nie, ale twój umysł dojrzewa. Jesteś wystarczająco duża, aby rozumieć, co przystoi kobiecie. Będziesz odtąd nosić włosy związane w kucyki, żeby wszyscy wiedzieli, że zakończyłaś pierwszy, siedmioletni cykl swego życia. Będą cię traktowali jak odpowiedzialną osobę. Rozumiesz?

– Tak – przyznała Jasny Księżyc; w jej głosie nie było entuzjazmu.

– My, kobiety, dojrzewamy szybciej niż chłopcy. Dlatego u chłopców drugi cykl życia zaczyna się dopiero po skończeniu przez nich ośmiu lat. Ty, odkąd skończysz trzynaście – o ile masz wyrosnąć na młodą damę – masz przebywać w domu i nie wolno ci pokazywać się żadnym mężczyznom spoza rodziny, nawet sąsiadom. Od tej pory będziesz już uważana za pannę na wydaniu. A kiedy drugi cykl twojego życia dobiegnie końca, dojrzałością umysłu o dwa lata przewyższysz każdego chłopca w swoim wieku. Wiedziałaś o tym?

Jasny Księżyc zaprzeczyła.

– Tak to właśnie jest – zakończyła Bandażowaczka. – Mężczyźni stają się mądrzejsi od nas dopiero w starszym wieku, dlatego jesteśmy im posłuszne.

Słysząc te mądrości, Mei-Ling zerknęła na Matkę; wyraz twarzy starszej kobiety sugerował, że ma inne przemyślenia na ten temat, choć oczywiście nie odezwała się ani słowem.

Po półgodzinie Bandażowaczka wzięła nożyczki i starannie przycięła paznokcie u stóp dziewczynki tak krótko, jak tylko się dało, badając dokładnie każdy palec i podeszwę. Potem nalała do balii świeżej, gorącej wody.

– Teraz trzeba odczekać godzinę albo dwie – powiedziała – żeby twoje stopy stały się jak najbardziej miękkie.

Aby czas szybciej płynął, opowiedziała dziewczynce historię Yexian, dobrej chłopskiej córki, która miała okrutną macochę. Yexian zaprzyjaźniła się z czarodziejską rybą, a ta wyposażyła ją w odpowiedni strój na bal u króla. Yexian zgubiła piękny pantofelek i król szukał jego właścicielki po całym królestwie, aż znalazł Yexian i wówczas ją poślubił.

– Widzisz – dodała, skończywszy swoją opowieść – królowi bardzo przypadła do gustu uroda Yexian i jej drobne stópki. Dlatego wszystkie ładne chińskie dziewczęta krępują stopy, bo najlepsi mężowie chcą mieć żony o stopach jak lilie.

– Być może poślubisz kiedyś księcia – włączyła się Matka. – Albo ważnego urzędnika, kogoś bardzo bogatego.

– Jesteś bardzo ładna – ciągnęła Bandażowaczka. – Ale jeśli nie będziesz miała drobnych stóp, nikt nawet na ciebie nie spojrzy. A ja jestem jak ta czarodziejska ryba. Spełnię twoje marzenia. – Uśmiechnęła się.

– Nie mogę mieć zwyczajnego męża, takiego jak ojciec? – spytała dziewczynka.

– Twój ojciec poślubił mnie pomimo moich stóp – powiedziała Mei-Ling, zerkając na Matkę – ale ty możesz nie mieć tyle szczęścia.

– Możesz dopomóc swojemu ojcu i całej rodzinie, wychodząc bogato za mąż – dodała Matka. – Ojciec nie musiałby wtedy nigdzie wyjeżdżać za pracą.

– Naprawdę? – ucieszyła się Jasny Księżyc.

– Tak – odparła szybko Matka. – Robisz to dla niego i dla naszej rodziny. Ojciec wróci i powie, że jesteś dobrą, obowiązkową córką, która bardzo go kocha.

– Och.

– A ty będziesz mieć bogatego, kochającego męża, piękne stroje i cała nasza rodzina będzie ci wdzięczna.

– Naprawdę tak dobrze jest być bogatym? – zwróciła się dziewczynka z pytaniem do Mei-Ling.

– Nie jest dobrze być biednym – odpowiedziała za nią Matka.

Wlały więcej gorącej wody do balii i Bandażowaczka przez jakiś czas masowała stopy dziewczynki. Jasny Księżyc była śpiąca, więc Matka usiadła przy niej, żeby dziewczynka miała gdzie oprzeć głowę i zdrzemnąć się na godzinę, podczas gdy jej stopy moczyły się w gorącej wodzie.

– To najpiękniejsze dziecko, jakie w życiu widziałam – wyznała Mei-Ling Bandażowaczka, gdy piły razem herbatę. – Dlatego zamierzam zostać z wami tak długo. Chcę się o nią szczególnie zatroszczyć. Przyszła na świat w Roku Konia, prawda?

Mei-Ling potaknęła.

– Zawsze wtedy rodzą się najładniejsze. Ale ona jest naprawdę wyjątkowa. Będziesz z niej miała pociechę. I ja też, skoro już o tym mowa –

będzie żywym dowodem mojego kunsztu.

Po południu Bandażowaczka najpierw posypała stopy dziewczynki zasypką, żeby zabezpieczyć je przed infekcją. Potem wzięła długi pas tkaniny nasączonej wodą i owinęła nim cztery palce u lewej stopy, starannie podwinąwszy je pod podeszwę. Duży palec pozostał wolny. Kiedy upewniła się, że są właściwie ułożone, mocniej naciągnęła tkaninę, szybko owinęła ją wokół podeszwy dziewczynki i szarpnęła. Jasny Księżyc krzyknęła, ale Bandażowaczka przemówiła do niej uspokajającym tonem:

– Już dobrze, maleńka.

Następnie raz jeszcze owinęła materiał wokół dużego palca i podbicia stopy, wokół kostki, za piętą, z przodu stopy, znów wokół podbicia i pięty, zupełnie jakby przygotowywała stopę do balsamowania. Potem mocno szarpnęła – raz, drugi, aż dziewczynka znowu krzyknęła.

– Już dobrze – powtórzyła Bandażowaczka. Ostatni raz owinęła materiał wokół kostki i zawiązała go.

Potem zrobiła to samo z prawą stopą.

– Odpocznij teraz, moja mała księżniczko – powiedziała.

Przeniosły Jasny Księżyc i położyły ją na posłaniu. Mei-Ling została z nią, podczas gdy Matka i Bandażowaczka grzały się razem na dziedzińcu w promieniach jesiennego słońca.

Gawędziły tam od jakiegoś czasu, gdy Mei-Ling wyszła z domu i oznajmiła, że dziewczynka znów płacze.

– To przez te bandaże – stwierdziła Bandażowaczka. – Kiedy je zawiązywałam, były mokre. Teraz wysychają i robią się coraz ciaśniejsze.

– Chyba ma połamane kości palców – dodała Mei-Ling.

– Całkiem możliwe – stwierdziła Bandażowaczka.

Weszły do domu sprawdzić, co z Jasnym Księżycem. Kobieta pomacała jej stopę, a dziewczynka krzyknęła z bólu.

– Nic się nie martw, kochanie – pocieszyła ją Bandażowaczka. – Wszystko, co dobre, musi boleć. – Uśmiechnęła się. – Kiedyś urodzisz dziecko i będzie cię bolało jeszcze bardziej niż teraz, ale wszystkie przez to przechodzimy, i to z radością. Taki już nasz kobiecy los, prawda? – Odwróciła się do Matki.

– Zgadza się – przytaknęła Matka.

– Rano odwinę bandaże – powiedziała Bandażowaczka – a wtedy zobaczymy. Wszystko jest tak, jak być powinno – zapewniła je.

– Zapomniałam zapytać o jedną rzecz – odezwała się Matka, kiedy we dwie znów wyszły przed dom. – Czy to prawda, że czasem wdaje się gangrena i palce u nóg odpadają?

– Owszem – potwierdziła kobieta. – Niektórzy uważają, że to nawet lepiej, bo wtedy stopa jest jeszcze mniejsza. Ale takie dziewczęta często dostają zakażenia i umierają, więc staram się do tego nie dopuszczać. Ani jedna z dziewcząt, którym krępowałam stopy, nie umarła. Ani jedna.

– To dobrze. – Matka skinęła głową. – To bardzo dobrze.

– Czy ból wkrótce przejdzie? – chciała wiedzieć Mei-Ling, gdy wieczorem zasiadły we trzy do wspólnego posiłku. Ich gość nie mógł odpowiedzieć, bo miał usta pełne ryżu i fasoli, ale zrobiła to za nią Matka. Była bardzo zadowolona, mogąc wykazać się znajomością tematu.

– Musisz być cierpliwa – odparła. – Samo krępowanie palców nie wystarcza, trzeba jeszcze przekręcić kość piętową tak, aby tył pięty spoczywał płasko na ziemi. To o wiele poważniejsze przedsięwzięcie i trwa znacznie dłużej.

– Więc stopa jest całkowicie zdeformowana przez krępowanie.

– Naturalnie. Ściska się ją od pięty aż po palce, żeby złamać łuk stopy, dzięki czemu zaczyna przypominać kopytko. To trwa od dwóch do trzech lat. – Matka zwróciła się do Bandażowaczki. – Mam rację?

– Nie tylko bandaże są do tego potrzebne – odparła zapytana. – Jutro pokażę wam, jak zrobić buty do ćwiczeń. Przypominają trochę nasze buty na platformach, które pozwalają przejść suchą nogą przez błoto, tylko tutaj platforma znajduje się jedynie pod piętą, więc dziewczynki przyzwyczajają się do chodzenia ze stopami skierowanymi w dół, ku palcom. Wysokie obcasy są bardzo pomocne w miażdżeniu palców i łamaniu łuku stopy.

– A więc ból trwa przez te wszystkie lata?

Matka spojrzała na Bandażowaczkę.

– Może nie przez cały ten czas – usłyszała w odpowiedzi.

– Moja biedna córeczka – jęknęła Mei-Ling.

– Nie zachęcaj jej do narzekania – upomniała ją Matka. – To tylko pogorszy sprawę.

Mężczyźni wrócili o zmierzchu, głodni. Mei-Ling widziała, że jej szwagier wypił we wsi trochę wina. Niedużo, ale wystarczająco, żeby sprawiał wrażenie lekko nieobecnego.

Czy jej syn także pił? Prawie nigdy mu się to nie zdarzało. Uśmiechnął się do wszystkich w ten swój miły, spokojny sposób. Wyglądał dokładnie jak jego ojciec, kiedy był w tym samym wieku: uprzejmy, zrównoważony, zawsze myślący o innych. Ale było w nim jakieś napięcie, które starał się ukryć.

Już dawno temu powinien był się ożenić – dostawał różne propozycje, ale podobnie jak wcześniej jego ojciec okazywał w tej kwestii dziwny upór. Mei-Ling domyślała się dlaczego.

– Jak się czuje moja siostrzyczka? – zapytał od razu. – Mogę się z nią zobaczyć?

– Nie teraz – odpowiedziała Mei-Ling. – Śpi.

– Czy wszystko poszło dobrze?

– Nie było żadnych komplikacji – ucięła temat Matka. – Siadaj i jedz.

Po skończonej kolacji Starszy Syn przyniósł najlepszą fajkę opiumową swego ojca i zaczął się przygotowywać do jej wypalenia.

– Piękna fajka – zauważyła Bandażowaczka.

– Należała do mojego zmarłego męża. Kosztowała mnóstwo pieniędzy – oznajmiła Matka.

– Większość fajek do opium została skonfiskowana i zniszczona, gdy miasto było pod władzą komisarza Lina – zauważyła kobieta. – Mieliście szczęście.

– Ukryliśmy ją. Mąż miał też drugą – dodała Matka z satysfakcją – ale ludzie Lina nigdy tu nie dotarli.

Bandażowaczka się zamyśliła. Pewnie się zastanawia, czy powinna była wziąć od nas więcej pieniędzy, pomyślała Mei-Ling.

– Wiecie – odezwała się po chwili kobieta – jeśli chcecie zapewnić Jasnemu Księżycowi dobre zamążpójście, a myślę, że jesteście w stanie to uczynić, należy dopilnować, żeby umiała pięknie haftować. Zanim wyjdzie za mąż, będzie musiała uszyć swoją wyprawę, ale oprócz tego zwyczaj wymaga obdarowania wszystkich członków rodziny przyszłego małżonka wyszywanymi pantoflami albo czymś podobnym. Atłas i jedwab będą oczywiście słono kosztowały, ale najważniejsza jest jakość wykonanych haftów. Na tej podstawie oceni ją przyszła rodzina. Jeśli chce być szanowana, musi

po mistrzowsku posługiwać się igłą, w przeciwnym razie czekają ją nieprzyjemności.

– Ach tak. – Głos Matki zabrzmiał trochę niepewnie.

– W mieście jest pewna kobieta, moja kuzynka, która może ją nauczyć wszystkiego, co powinna umieć.

– Będę o tym pamiętała – odparła Matka.

Kiedy nazajutrz odwinęły stopy Jasnego Księżyca z bandaży, zobaczyły, że cztery palce u każdej ze stóp zostały prawidłowo złamane.

– Znakomity początek – oznajmiła Bandażowaczka i zaczęła obmywać stopy dziewczynki. – Wszyscy muszą myć stopy, żeby były czyste i ładnie pachniały – mówiła przy tym – ale przy skrępowanych stopach trzeba szczególnie uważać na zagłębienia w skórze. Jeden taki rowek powstanie między podwiniętą piętą a przednią częścią śródstopia. Zbierające się tam pot i brud mogą doprowadzić do infekcji i nieprzyjemnie pachnieć. – Uśmiechnęła się do dziewczynki. – Stopy jak pączki lilii będą twoim największym skarbem, musisz więc o nie dbać i pilnować, żeby zawsze były czyste.

Wysuszyła i zapudrowała stopy Jasnego Księżyca, po czym ponownie zaczęła je krępować, tym razem trochę ciaśniej. Jasny Księżyc zaczęła głośno płakać i narzekać.

– No, no, kochanie, wiem, że cię boli – rzekła ze współczuciem kobieta. – Ale pomyśl tylko, jak dumny będzie twój ojciec, kiedy wróci do domu i zobaczy, jaką elegancką młodą damą się stałaś!

– Kiedy on wróci? – zapytała żałośnie dziewczynka.

– Kiedy będziesz mogła mu pokazać swoje stopy jak lilie – powiedziała twardo Matka.

Mei-Ling bardzo chciała poznać odpowiedź na jedno pytanie. Dawno temu mogła zadać je swojej szwagierce, ale gdy biedna Wierzba żyła, dziwnym trafem nigdy nie rozmawiały ze sobą na ten temat. Początkowo, jako dziewczyna z ubogiej chłopskiej rodziny, Mei-Ling nie miała śmiałości go poruszać w pogawędkach z elegancką żoną najstarszego syna, a potem, kiedy Wierzba tak bardzo starała się urodzić chłopca i chorowała, wydawało się to nie na miejscu.

Kiedyś zagadnęła męża, lecz on tylko uśmiechnął się szeroko i odparł: „W ogóle się na tym nie znam, ale cieszę się, że nie miałaś krępowanych stóp. Kocham cię dokładnie taką, jaka jesteś”.

Tego popołudnia, gdy przez chwilę były sam na sam z Bandażowaczką, zebrała się w końcu na odwagę i zapytała:

– Dlaczego mężczyznom tak bardzo podobają się kobiety z krępowanymi stopami?

– A jak myślisz?

– To chyba dowód, że ich rodzina jest zamożna. Kobieta nie musi pracować w polu jak chłopka.

– Rzeczywiście. Zdeformowane stopy nie uniemożliwiają co prawda pracy w polu, ale sprawiają, że jest ona trudniejsza i nie można zbyt daleko chodzić.

– Mężczyźni naprawdę uważają, że małe, krępowane stópki są piękniejsze od naturalnych?

– Niektórych fascynują bose stopy przypominające pączki lilii – powiedziała Bandażowaczka. – Lubią je całować i pieścić. Ale przeważnie kobieta, śpiąc ze swoim mężem, ma zabandażowane stopy. Wkłada wówczas malutkie, perfumowane pantofelki z atłasu i jedwabiu. Mężczyzn bardzo to podnieca. – Zamyśliła się. – Sądzę, że lubią patrzeć, jak kobiety machają takimi stopami w pantofelkach albo coś w tym rodzaju… Podobają im się te malutkie buciki.

Tej nocy księżyc był prawie w pełni. W domu panowała cisza. Mei-Ling leżała z otwartymi oczami, choć jej córeczka usnęła.

Po jakimś czasie wstała i wyszła na zewnątrz. Księżyc świecił tak jasno, że aż zamrugała. Większość dziedzińca tonęła w księżycowym blasku, lecz pewną jego część – tę, gdzie stała ławka – spowijał mrok i tam właśnie usiadła Mei-Ling, na granicy światła i ciemności. U swych stóp zauważyła kupkę poskręcanych jesiennych liści.

Siedziała tak minutę albo dwie, gdy zdała sobie sprawę, że w ciemnym kącie pod murem po jej prawej stronie majaczy jakiś kształt. Zmrużyła oczy, próbując go rozpoznać.

– Widzę, że też nie możesz spać – odezwał się kształt.

– Ach, to ty.

Z kąta wyłonił się jej syn i usiadł obok.

– Wyszedłem, kiedy malutka płakała – powiedział. – Nie mogłem tego znieść.

– Zasnęła godzinę temu – powiedziała Mei-Ling.

– Wiem. Wolałem posiedzieć tutaj i popatrzeć na księżyc. – Przez chwilę oboje milczeli. – Czuję się winny.

– Czego?

– Tego, że mała dziewczynka musi tak cierpieć, żeby mieć małe stópki, wyjść bogato za mąż i nam pomóc. Sami powinniśmy sobie poradzić. A co ja właściwie robię?

– Starasz się, jak możesz. Dobrze pracujesz. Utrzymujesz nas.

– Po drugiej stronie wioski jest kawałek ziemi, który moglibyśmy kupić. Może udałoby mi się pożyczyć pieniądze. Gdyby Starszy Wuj też wziął się do pracy, moglibyśmy zacząć ją uprawiać. Ale sam nie dam rady.

– Może kiedy twój ojciec i brat wrócą…

– Tak. – Pokiwał głową. – Nie przysłali jeszcze żadnych pieniędzy, prawda?

– To bardzo daleko stąd. Na pewno w końcu przyślą.

– Nawet nie wiem, gdzie jest ta cała Kalifornia.

Znowu zapadła cisza.

– Daleko stąd – powtórzyła z roztargnieniem.

– Kiedy moja siostrzyczka wyjdzie za mąż, będzie potrzebowała różnych rzeczy. Haftowanych bucików i co tam jeszcze jest wymagane. To wszystko kosztuje. Sądzisz, że mamy dość pieniędzy?

– Matka i ja już o tym pomyślałyśmy – odparła Mei-Ling.

– Co zamierzacie zrobić?

– Sprzedać fajkę opiumową twojego wuja.

– Nie spodoba mu się to. – Na twarz syna powoli wypełzł uśmiech. – Wpadnie we wściekłość.

Mei-Ling powoli pokiwała głową, ale wydawało się, że myśli o czym innym.

– Wiesz, co jeszcze mnie trapi? – zapytała.

– Nie.

– Powinieneś się ożenić. Powinniśmy byli znaleźć ci żonę już dawno temu.

– Jaki ojciec, taki syn. – Uśmiechnął się. – Ojciec obstawał przy swoim i rodzice pozwolili mu ożenić się z tobą.

Mei-Ling westchnęła. W tym momencie był taki podobny do swego ojca, że aż ją to zabolało.

– Jakiej dziewczyny szukasz?

– Takiej jak ty.

– Na pewno stać cię na więcej. Pamiętaj, że moja rodzina niczego nie miała.

– Nie mam takich ambicji. Jestem zwykłym wieśniakiem pracującym w polu i lubię to.

– Znajdziemy ci więc miłą dziewczynę podobną do mnie.

– Jeszcze nie.

– Dlaczego?

– Ten dom jest zbyt smutny.

– Poweselałby, gdybyś miał żonę i dzieci.

– Może. – Zamilkł. – Wszystko idzie nie tak jak powinno. Starszy Wuj jest, jaki jest, ojca nie ma i… Sam już nie wiem.

– Sprawy nigdy nie idą dokładnie po naszej myśli.

– Kiedy ojciec wróci z moim bratem i przywiozą więcej pieniędzy…

– Ożenisz się wtedy? Obiecujesz?

– Dobrze – przytaknął. – Obiecuję.

„Kiedy ojciec wróci…” Tylko kiedy to nastąpi? Za kolejne dwa lata?

Nie było dnia, żeby Mei-Ling nie myślała o Młodszym Synu. Każdej nocy za nim tęskniła, jednak wieści od męża wciąż nie nadchodziły. Może niedługo czegoś się dowiedzą. Jeśli Amerykanin ponownie zjawi się w wiosce, przywiezie nowiny, a może i pieniądze. Na razie pozostawała im niepewność.

A w głowie Mei-Ling stale rozbrzmiewał głosik mówiący: „Już go więcej nie zobaczysz”.

* * *

Bandażowaczka dotrzymała słowa i trzeba było przyznać, że dokładnie wywiązała się ze swego zadania. Zanim minął miesiąc, nauczyła Mei-Ling i jej teściową, jak wiązać bandaże, owijając nimi stopę za każdym razem trochę ciaśniej, jak je zszywać, żeby nie trzeba było ich zmieniać codziennie, jak myć i pudrować każdą stopę. Pokazała im także, jak podnosić dziewczynkę i opuszczać ją na wąski klocek drewna położony na ziemi –

było to bardzo pożyteczne ćwiczenie, które pomogło łamać łuki stóp. Musiała jednak od czasu do czasu upominać Mei-Ling, która płaczem reagowała na krzyki Jasnego Księżyca – co, jak zauważyła, wcale nie pomagało dziewczynce.

– Kiedy przestanę nosić bandaże? – zapytała ją któregoś dnia Jasny Księżyc.

– Nigdy, moja mała – odparła Bandażowaczka. – Już do końca życia będziesz musiała lekko krępować stopy, żeby wszystko utrzymywało się na swoim miejscu.

W pewien słoneczny poranek kobieta pożegnała się z nimi i odeszła, obiecując, że wróci za miesiąc.

Około południa tego dnia pogoda się zmieniła. Od wybrzeża nadciągnęły nad dolinę szare chmury, wlokąc za sobą długie pasma mgły, i w wiosce zapanowała nieznośna wilgoć. Jasny Księżyc była przygnębiona, a Matka siedziała w domu z zamkniętymi oczami.

Mei-Ling wyszła za bramę, żeby popatrzeć na staw. Woda w nim była tak samo szara jak niebo. Przybrzeżne trzciny smętnie zwiesiły główki – być może były znudzone. Przy wejściu na mostek pływało bezszelestnie stadko kaczek.

Stała tak przez kwadrans, zanim zauważyła postać wynurzającą się spośród drzew po drugiej stronie mostku. Przybysz zawahał się, jakby nie był pewien, czy na niego wejść, więc Mei-Ling doszła do wniosku, że to ktoś spoza wioski. Miała właśnie zawołać, że drewno jest spróchniałe i przejście przez mostek może być niebezpieczne, gdy człowiek po drugiej stronie wyraźnie doszedł do tego samego wniosku i zniknął u wylotu ścieżki, którą przyszedł. Zastanawiała się od niechcenia, kim był, ponieważ jednak ścieżka wiodła w jedną stronę do wiejskiej drogi, a w drugą na pola położone w pewnej odległości od ich domu, Mei-Ling nie spodziewała się ujrzeć go ponownie.

Pięć minut później zaskoczył ją jego widok, wychodzącego zza stodoły i zmierzającego w jej kierunku. Dopiero wtedy rozpoznała w przybyszu swojego młodszego syna.

– Matko. – Był teraz nieco wyższy i mocniej zbudowany; podczas swej nieobecności zmienił się w silnego, młodego robotnika. Na plecach niósł

worek, a w ręce kij. Nie uśmiechnął się na jej widok. Wydawał się bardzo zmęczony.

– Wróciłeś! – zawołała. Jak to możliwe? Już, tak szybko? – Przypłynąłeś z Ameryki?

– Tak.

– A gdzie jest twój ojciec?

Zanim odpowiedział, w głębi serca znała już odpowiedź.

– Ojciec nie żyje.

Opowiedział jej, co się wydarzyło, dodał, że musi się położyć, i zaraz potem zasnął.

Mei-Ling przekazała nowinę najpierw Matce, prosząc, aby poinformowała pozostałych i dopilnowała, żeby nikt nie budził jej śpiącego syna.

– Kiedy jutro wstanie, wszystko nam wyjaśni – zapowiedziała.

Wcześniej jednak musiała przygotować na to swoją biedną córeczkę. Poszła do Jasnego Księżyca, usiadła na jej posłaniu i odezwała się łagodnie:

– Dostaliśmy złą wiadomość. Twój ojciec miał wypadek. Zginął w Ameryce.

Dziewczynka nic na to nie powiedziała. Wstrząśnięta wpatrywała się w matkę.

– Jestem przy tobie, malutka, podobnie jak cała twoja rodzina. Twój brat wrócił z Ameryki. Wszyscy tutaj jesteśmy. Ale ojciec już do nas nie wróci. – Objęła dziecko ramieniem.

– Nigdy go już nie zobaczę?

– Możesz o nim myśleć. Jestem pewna, że czuwa nad tobą.

Jasny Księżyc wybuchnęła płaczem, a Mei-Ling płakała razem z nią. Została z córką przez godzinę, dopóki dziewczynka nie usnęła.

Potem sama długo leżała, nie mogąc zmrużyć oka. Rozmyślała o wszystkich dobrych rzeczach mających związek z jej mężem i żałowała, że nie może z nim jeszcze raz porozmawiać, choćby po to, żeby móc się pożegnać.

Później zaś ogarnął ją gniew na niego, że zostawił ją samą – gniew, jaki żywi często czują wobec zmarłych.

Jej syn spał, a ona pilnowała, aby nikt mu nie przeszkadzał. Przespał cały wieczór, noc oraz większą część poranka i obudził się dopiero w południe.

Mei-Ling przyniosła mu skromny posiłek, a po południu zmusiła go do długiego spaceru. Dopiero wieczorem zobaczył się z całą rodziną, która zebrała się, aby wysłuchać jego opowieści.

Rodzinnemu zgromadzeniu przewodniczył Starszy Syn. Dziwnie było widzieć go siedzącego na krześle starego pana Lunga i strojącego ważne miny. Kiedy mąż Mei-Ling żył, Starszy Syn wiedział, że nie musi się wysilać – ktoś inny miał pieczę nad wszystkim. Teraz jednak Młodszy Syn niespodziewanie zniknął i nigdy już miał nie wrócić. Dopóki chłopcy Mei-Ling nie dorosną, ktoś musiał być głową rodziny Lungów. Może Starszy Syn zamierzał wreszcie zrobić to, co do niego należało, jednak Mei-Ling miała wątpliwości, czy długo wytrwa w swoim postanowieniu.

– Powiedz nam, co się wydarzyło – polecił poważnym tonem bratankowi.

– To był wypadek – wyjaśnił chłopak. – Niczyja wina, naprawdę. Układanie szyn to ciężka praca, ale właściwie nie taka trudna. Codziennie robi się to samo: oczyszcza się grunt, buduje nasyp, układa drewniane podkłady, a na nich żelazne szyny. Trzeba uważać, bo drewno i żelazo są bardzo ciężkie, ale to rutynowe zadania i każdy z nas wiedział, co ma robić. Wszystko szło dobrze, dopóki nie dotarliśmy do gór.

– Jakich gór?

– Łańcucha górskiego, który zwą Sierra Nevada. Biegnie równolegle do wybrzeża. To wysokie góry, a kolej musi je przeciąć w drodze na wschód. Praca na przełęczach bywa niebezpieczna.

– Jak zginął twój ojciec?

– Pod lawiną. Nikt jej się nie spodziewał. Kierownik budowy kazał mi cofnąć się wzdłuż torów i zamówić więcej żwiru. Uszedłem może jedną czwartą mili, kiedy odwróciłem się i zobaczyłem, jak kawał urwiska wysoko ponad szynami odrywa się i zsuwa w dół. Przez chwilę było cicho i wydawało się, że kamienie toczą się bardzo powoli, potem jednak rozległo się dudnienie i jakby grzechot, a później usłyszałem głośny ryk. Widziałem, jak odłamki skały toczą się po zboczu góry, osypująca się ziemia przypominała wodospad… Na dole wszystko okryła wielka chmura pyłu – przerwał. – Rzuciliśmy się do łopat, każdy chwytał, co miał pod ręką, byle tylko odkopać zasypanych. Dwudziestu, może trzydziestu ludzi. Większość była poważnie ranna, a dwóch albo trzech się udusiło. Jednak nigdzie nie znaleźliśmy ojca.

– Może udało mu się uciec?

– Tak pomyślałem i nawoływałem go raz za razem, lecz nigdzie nie było po nim śladu. Kopałem więc dalej z kilkoma innymi mężczyznami i po godzinie go znaleźliśmy – a raczej to, co z niego zostało. Uderzył w niego wielki głaz. Musiał zginąć na miejscu. – Zerknął na matkę, siostrzyczkę i brata. – Jestem pewien, że nie zdążył nawet poczuć bólu.

– Kiedy to się stało?

– Jakiś rok temu.

– Dlaczego więc teraz wróciłeś? – zapytał Starszy Syn. – Powinieneś był zostać do końca umowy. – Mei-Ling rzuciła mu wściekłe spojrzenie, lecz on tylko pokręcił głową i kontynuował surowym tonem: – Na pewno straciłeś mnóstwo pieniędzy, a przecież po nie tam pojechałeś.

– Wiem. Wziąłem to pod uwagę – odrzekł młodzieniec – i nie odszedłem. Dali mi to, co należało się ojcu, a ja wróciłem do pracy.

– To skąd się tutaj wziąłeś? – ciągnął nieustępliwie Starszy Syn.

– Przyjechał do nas ten młody Amerykanin. Zawsze sprawdza, jak się powodzi ludziom, których sprowadził. Chyba tylko on jeden to robi. Wiedział o ojcu, zanim mnie odnalazł, i spytał, czy wiem, że w sąsiednim obozie panuje ospa. Słyszałem, że niektórzy z robotników chorują, ale podpisałem umowę i uważałem, że nie mam nic do gadania. Jednak Amerykanin stwierdził, że powinienem wyjechać. „Troszczę się o moich Chińczyków – rzekł – i nie zamierzam stracić cię tak, jak straciłem twojego ojca”.

– Wszystko to pięknie, ale… – zaczął Starszy Syn, lecz jego bratanek nie pozwolił sobie przerwać.

– Zamierzałem odmówić, on jednak powiedział, że od dawna robi interesy z budowniczymi kolei i wszystkim się zajmie. Raz-dwa załatwił, że wypłacili mi całość wynagrodzenia, mojego i ojca. Wtedy ruszyłem w drogę do domu.

– Chcę zobaczyć pieniądze, które przywiozłeś – powiedział Starszy Syn.

– Są w bezpiecznym miejscu – odparła stanowczo Matka. – Pokażę ci jutro.

Mei-Ling przez cały ten czas obserwowała córkę, która słuchała z szeroko otwartymi oczami, lecz nie odzywała się ani słowem. Wreszcie Jasny Księżyc przymknęła powieki, jakby chciała w ten sposób odciąć się od tego, co usłyszała. Kiedy znowu je otworzyła, jej spojrzenie było pozbawione wyrazu. Mei-Ling odniosła wrażenie, że córka się wycofuje, zamyka w sobie; przywodziło to na myśl gest krzyżowania rąk na piersi. Miała nadzieję, że to minie.

– Gdzie jest pochowany twój ojciec? – spytała syna.

– W głębi doliny. Ma porządny grób. Wiem, jak tam trafić.

Mei-Ling powoli skinęła głową. Czy kiedykolwiek będzie mogła zaopiekować się grobem swojego męża? Nie sądziła, aby to było możliwe.

– Jak tam jest, w tej Kalifornii? – chciał wiedzieć Starszy Syn.

– Klimat jest łagodny, bardziej suchy niż u nas. Ameryka to ogromny kraj, ale nie mieszka tam wielu ludzi.

– Nie mają dużych miast, takich jak nasze?

– Nie w Kalifornii, w każdym razie jeszcze nie. Spotyka się je w innych częściach Ameryki, ale przeważnie nie otaczają ich żadne mury.

– Jak można zbudować miasto bez murów? – zdziwiła się Matka. – A jeśli zostanie zaatakowane?

– Nie wiem. Niedawno toczyła się tam wielka wojna. Mieszkańcy walczyli między sobą, mnóstwo ludzi zginęło. Jak podczas powstania tajpingów. Ale front ani razu nie zbliżył się do Kalifornii.

– Jak traktowali was przełożeni na kolei? – spytała go Mei-Ling.

– Lubią Chińczyków. Pracujemy ciężko i nie sprawiamy kłopotów. Dużo Chińczyków już pracuje na kalifornijskiej kolei, a nowi wciąż przyjeżdżają. Kiedyś prace fizyczne wykonywali tam głównie Irlandczycy – dodał z dumą. – Duzi, silni ludzie. Ale kiedy zaczęli narzekać, że zabieramy im pracę, szef budowy kolei odparł, że jeśli nie przestaną, zastąpi ich wszystkich Chińczykami.

– Kim są Irlandczycy? – chciała wiedzieć Matka.

– To barbarzyńskie plemię. W Ameryce jest takich wiele.

Starszy Syn wyglądał na usatysfakcjonowanego tym, co usłyszał.

– Może wszyscy powinniśmy przenieść się do Ameryki – stwierdził.

– Tam trzeba ciężko pracować – mruknęła Matka, lecz Starszy Syn jej nie usłyszał. Tej nocy znów palił opium w fajce swojego ojca.

Rano, kiedy Starszy Syn jeszcze spał, Matka, Mei-Ling oraz jej dwóch synów odbyli naradę rodzinną. Do tej pory młodszy syn Mei-Ling zdążył już zyskać miano Brata z Kalifornii – nazywano go tak zarówno w rodzinie, jak i w wiosce.

Pierwsze pytanie brzmiało: co powinni teraz uczynić dwaj synowie Mei-Ling. Brat z Kalifornii zaproponował, że wróci do Ameryki, ale zanim Mei-

Ling zdążyła wyrazić swoje obawy, uprzedziła ją Matka, odpowiadając twardo:

– Wykluczone. Obydwaj jesteście potrzebni tu na miejscu.

– W takim razie – rzekł Ka-Fai, zwracając się do Mei-Ling – co powiecie na zakup tej ziemi na drugim końcu wioski, o której wspominałem? Czy mamy teraz dość pieniędzy, żeby ją kupić? Jestem pewien, że we dwóch dalibyśmy radę ją uprawiać.

Mei-Ling spojrzała na Matkę, która zacisnęła usta.

– Wiem, ile ta ziemia kosztuje. Jeśli wydamy przywiezione z Ameryki pieniądze i dodatkowo sprzedamy fajkę, może nam wystarczy. Ale wtedy nie będziemy mieć posagu dla Jasnego Księżyca, dzięki któremu mogłaby bogato wyjść za mąż. A skoro już zdecydowałyśmy się krępować jej stopy…

– Możemy pożyczyć pieniądze na zakup ziemi – zasugerował Brat z Kalifornii.

– Żadnych pożyczek – zaprotestowała ostro Matka.

– Sądzę… – zaczęła powoli Mei-Ling, starannie ważąc słowa. – Uważam, że powinniście kupić tę ziemię, Matko. Przecież kiedy obaj chłopcy zaczną ją uprawiać, zyskamy dodatkowe dochody. Minie jeszcze wiele lat, zanim będziemy musieli poszukać męża dla Jasnego Księżyca. W tym czasie wiele może się wydarzyć. – Matka posłała jej przeciągłe spojrzenie.

– Jak sobie życzysz – odpowiedziała. – Sprzedamy fajkę opiumową.

– Zamierzacie sprzedać fajkę dziadka? – zdziwił się Brat z Kalifornii. – A co na to Starszy Wuj?

– Może palić bambusową fajkę – odparła ponuro Matka. – Odurzony opium przynajmniej nie będzie się wtrącał.

Nikt się nie odezwał. Matka właśnie dała wszystkim do zrozumienia, że nie uważa własnego syna za głowę rodziny. Słyszeli to na własne uszy. Nie powinno tak być, wiedzieli jednak, że ma rację.

Kiedy jej synowie wychodzili, Mei-Ling usłyszała jeszcze, jak Brat z Kalifornii mówi do swojego brata:

– Pierwsze, co zamierzam zrobić, to odbudować mostek nad stawem.

– Zrobimy to razem – przyklasnął mu Ka-Fai.

Do incydentu doszło w środku dnia, a Mei-Ling była nim całkowicie zaskoczona. Siedziała wraz z Jasnym Księżycem oraz Matką na ławce, patrząc,

jak obaj bracia, po pas w wodzie, wyciągają przegniłe deski z mostku.

Kilka minut wcześniej zeszła na brzeg i szepnęła do młodszego syna:

– Od swojego powrotu musiałeś sporo przemyśleć, ale kiedy skończycie, zajmij się trochę siostrzyczką. Na razie prawie słowem się do niej nie odezwałeś.

Chłopak przytaknął. Kiedy wyszedł z wody, wdrapał się, cały przemoczony, na zbocze i uśmiechając się przyjaźnie do Jasnego Księżyca, zapytał:

– Jak się dzisiaj miewa moja piękna siostrzyczka?

Jasny Księżyc nie odpowiedziała, tylko wbiła wzrok w ziemię. Wszyscy uznali, że musiała się zawstydzić.

– Jeszcze do ciebie nie przywykła – stwierdziła Matka.

– Wysuszę się – powiedział do dziewczynki jej brat – a wtedy usiądziemy i utniemy sobie pogawędkę.

Po tych słowach zniknął w domu, a gdy znów się pojawił, na dziedzińcu była już cała rodzina. Dołączył do nich także Starszy Syn, nieświadom wcześniejszej rodzinnej narady. Jasny Księżyc siedziała pod drzewem obok Mei-Ling, która wstała i gestem pokazała Bratu z Kalifornii, żeby zajął jej miejsce. Ledwo chłopak usiadł, Starszy Syn zwrócił się do wszystkich:

– Mój drogi brat umarł niemal rok temu, w dalekim kraju, więc nie obowiązują nas powszechnie przyjęte zwyczaje pogrzebowe, ale przez najbliższe dwa dni będziemy go opłakiwać. – Powiedział to w prosty, choć dystyngowany sposób i nikt nie zaprotestował. Matka kiwnęła głową na znak, że się zgadza, po czym podjęto przerwane rozmowy.

– Wyglądasz tak dorośle ze swoimi ślicznymi stópkami – zwrócił się uprzejmie do Jasnego Księżyca jej Brat z Kalifornii. – Ojciec często opowiadał mi o tobie, kiedy pracowaliśmy na kolei. Byłby dumny, widząc cię teraz.

Jasny Księżyc milczała.

– Przykro mi, że przywiozłem takie złe wieści – ciągnął. – Musiały cię bardzo zasmucić.

Przez chwilę wydawało się, że dziewczynka mu odpowie, czekał więc cierpliwie.

– Wszyscy stale tak mówią! – wybuchła nagle ze wzrokiem wciąż wbitym w ziemię.

– Co mówią?

– Że ojciec byłby ze mnie dumny. A to nieprawda.

– Jak to? – Brat z Kalifornii zmarszczył brwi. – Dlaczego?

– Nienawidzę swoich skrępowanych stóp! – wykrzyknęła. – Nienawidzę ich! Wcale nie są śliczne. Są zmiażdżone, mają połamane kości i przez cały czas mnie bolą. Okropnie mnie bolą! – wrzasnęła.

– No cóż, wiem, że to przez jakiś czas boli… – odważył się wtrącić jej brat, ale mu przerwała:

– Co ty wiesz? Krępowali ci stopy? Nie! A ja jestem teraz kaleką!

– Nie mów tak – skarciła ją Matka. – Powinnaś dostać lanie.

– Nic mnie to nie obchodzi! – krzyknęła dziewczynka. – Na pewno nie będzie bolało bardziej niż moje stopy!

– Ależ charakterek ma to dziecko! – zawołała Matka, ale nie próbowała uderzyć dziewczynki.

– To dla twojego dobra – powiedział stanowczo Starszy Syn – nie żeby go to obchodziło, po prostu nadal uważał się za głowę rodziny.

– Gdybyście z ojcem nie wyjechali – Jasny Księżyc zaatakowała Brata z Kalifornii – nie byłabym taka. Ojciec nigdy by im nie pozwolił krępować mi stóp. On mnie kochał.

– To dla twojego dobra – powtórzyła Mei-Ling.

– Wcale nie – odparła dziewczynka ze smutkiem. – Chcecie, żebym wyszła bogato za mąż, bo wtedy będziecie mieli pieniądze.

– Gdzie ona się nauczyła mówić takie rzeczy? W tym wieku? – zdumiała się Matka.

– Właściwie… – zaczął łagodnie Brat z Kalifornii, ale zamilkł, napotkawszy spojrzenie Mei-Ling.

– Idź do siebie – nakazała córce Mei-Ling. Patrzyła, jak Jasny Księżyc z bólem kuśtyka przez dziedziniec. Kiedy zniknęła w domu, Mei-Ling zwróciła się do swojego młodszego syna: – Zamierzałeś jej powiedzieć, że ojciec również uważał, iż należy krępować jej stopy.

– Wiele razy wspominał mi o tym w Kalifornii.

– Wbiła sobie do głowy, że ojciec by temu zapobiegł. – I może naprawdę by tak było, gdyby przekonał się, ile bólu jej to sprawia, pomyślała. – A teraz jej ojciec nie żyje, a ona pamięta tylko, jaki był dla niej dobry, jak trzymał ją za rękę, i wierzy, że uchroniłby ją przed krępowaniem stóp. Tylko to jej pozostało.

– Kogo więc będzie winić? – spytał Brat z Kalifornii. – Mnie? Mojego brata? Ciebie?

– Zapewne mnie i Matkę – odparła Mei-Ling.

– Ale kłamstwo pozostaje kłamstwem – rzekła Matka.

Mei-Ling spojrzała na nią.

– Wiemy, że Młodszy Syn uwielbiał swoją córkę – powiedziała. – I jeżeli Jasny Księżyc ma w to wierzyć za cenę jednego kłamstewka, to niech nikt nie wyprowadza jej z błędu.

– Może masz rację, moja córko. – Matka pokiwała głową. – Poza tym jest zła, bo śmierć ojca bardzo ją zabolała.

Reszta dnia minęła im spokojnie. Bracia poszli obejrzeć pola po drugiej stronie wioski, a Starszy Syn wybrał się z nimi. Po powrocie Brat z Kalifornii przysiadł się do Jasnego Księżyca i rozmawiał z nią już bez żadnych przykrych incydentów. Po wieczornym posiłku stwierdził, że chce mu się spać, i wkrótce wszyscy się położyli.

Jednak Mei-Ling nie była śpiąca. Wzięła nieduży lampion i wyszła na podwórko. Chciała przez chwilę pobyć sama ze swoimi myślami i swoją żałobą. Siedziała tak jakiś czas, ale żal nie zawsze przychodzi na zawołanie. Niebo zaciągnęło się chmurami.

Potem pojawił się jej starszy syn, Ka-Fai.

– Nie jesteś zmęczona? – zapytał. Pokręciła głową. – Ja jestem, ale nie mogę zasnąć. – Usiadł przy niej. – Prawie pełnia, ale nic nie widać – dodał, zadzierając głowę do góry.

– Pełnia będzie dopiero jutro – odparła. – Może do tego czasu się rozpogodzi.

Chłopak ziewnął. Mei-Ling przyjrzała mu się: był taki podobny do ojca! Zalała ją fala słodko-gorzkiej miłości.

– Pamiętasz, co obiecałeś zrobić po powrocie ojca? – spytała. Przytaknął. – Teraz wrócił twój brat. To prawie to samo.

– Wiem.

– A więc ożenisz się? – Ponownie skinął głową. – Myślisz o kimś konkretnym? – Zaprzeczył. – Chcesz się jeszcze zastanowić?

– O takich sprawach decyduje rodzina – stwierdził Ka-Fai – a nie pan młody.

– Wiem. Ale jesteś taki uparty, że sądziłam…

– Ty wybierz mi żonę. – Uśmiechnął się do niej.

– Och – odparła, przyjemnie zaskoczona.

Przez chwilę siedzieli w ciszy.

– Teraz już naprawdę chce mi się spać – oznajmił wreszcie Ka-Fai i udał się na spoczynek.

Mei-Ling została sama. Cieszyła się, że przystał na małżeństwo. Rozważała wady i zalety swojego syna, lecz nie przychodziła jej do głowy żadna kandydatka ani nawet żaden typ dziewczyny. Była jednak pewna, że kiedy znajdzie tę właściwą, od razu ją rozpozna.

Po bólu, jaki musiała znosić, obserwując ogrom cierpienia Jasnego Księżyca, myśl o zaaranżowaniu szczęśliwego małżeństwa syna była dla niej jak kojący balsam.

Czas płynął i myśli Mei-Ling zwróciły się ku zmarłemu mężowi. Jak to możliwe, że przeczuwała, iż do niej nie wróci? Nie wiedziała. Co takiego wydarzyło się tamtej pierwszej pochmurnej nocy po jego wyjeździe, że jej wyrazy miłości – niczym starannie zapakowane, cenne podarki – najwyraźniej nigdy do niego nie dotarły? Czy się od niej odwrócił? Na pewno nie. Całymi miesiącami słała jego śladem dobre myśli i kilka razy wydawało jej się, że wyczuwa jego wzajemność, ale prawdę mówiąc, wcale nie była tego pewna.

Zawsze myślała, że gdyby umarł, ona od razu się zorientuje; to było tylko założenie albo coś, w co pragnęła wierzyć.

Tak się jednak nie stało. Teraz już wiedziała, kiedy mniej więcej zginął, i pamiętała, że w owym czasie nie czuła zupełnie nic.

Siedząc teraz w ciemnościach na dziedzińcu, wspominała wszystkie miłe rzeczy i wspólnie spędzane chwile. Myślała o tym, jaki był dobry. Spodziewała się, że przyniesie jej to spokój i pocieszenie. Niczego tak nie pragnęła jak otworzyć drzwi w niebie, przez które jego duch mógłby przejść i znowu być razem z nią.

Ale niebo milczało i żaden duch się nie zjawił. Czekała w ciszy, czując się tak, jakby zamknięto ją na klucz w jakiejś szkatułce. Straciła swoją miłość. I niczego nie czuła.

Zupełnie niczego.

* * *

Kolejnej wiosny Shi-Rong wybrał się do prefektury Guilin. Towarzyszyło mu tylko dwóch służących i sekretarz, wysoki młody człowiek nazwiskiem Peng. Podróż zajęła im dwa miesiące.

Pod koniec pierwszego miesiąca Peng zapytał go:

– Panie, czy na pewno nie pomyliliśmy drogi?

– Zadajesz zbyt wiele pytań. – Wziął Penga ze sobą, żeby wyświadczyć przysługę jego ojcu, ważnej osobistości, przyjacielowi samego księcia Gonga. Młodzieniec był trzecim synem pana Penga, a jego ojciec nie miał co do niego wyraźnie sprecyzowanych planów.

Ustalenia pomiędzy Shi-Rongiem a ojcem Penga były jasne.

– Obaj wiemy, mój drogi, że już dawno temu powinien był pan awansować – oznajmił mu pan Peng. – Jest do obsadzenia stanowisko wiceprefekta w Guilin. Piąty stopień urzędniczy. Niech pan tam pojedzie, unika kłopotów i nie wychyla się, a za rok albo dwa zwolni się kilka stanowisk i jak sądzę, będę w stanie załatwić panu coś, co połączy awans z zyskiem.

– W Guilin? – Shi-Rong wydął wargi. Nie chodziło mu tylko o to, że to prowincjonalny zaścianek. Lud Miao, duża grupa etniczna od wieków sprawiająca kłopoty, przez ostatnią dekadę stale wszczynał bunty. Co prawda do powstań dochodziło w sąsiadującej od północy prowincji, ale tereny wokół Guilin zamieszkiwało wielu ludzi Miao. Mogło to się wiązać z różnymi niedogodnościami, a nawet stanowić realne zagrożenie. – Naprawdę nie może mi pan zaproponować niczego innego?

– Jeśli niepokoi pana lud Miao, właśnie dostałem list od tamtejszego prefekta. Ten wspaniały człowiek zapewnia mnie, że w okolicy panuje spokój. To ubogie, ale piękne miejsce. Niech pan tam spędzi krótki czas, a obiecuję, że to się panu opłaci.

Była to w każdym razie jakaś szansa – najlepsza oferta, jaka od dawna mu się trafiła – przyjął ją więc z wdzięcznością. A kiedy rozmówca wspomniał, że jego trzeci syn potrzebuje zajęcia, Shi-Rong natychmiast pojął aluzję.

– Czy powinienem coś wiedzieć o tym młodym człowieku? – zapytał.

– Będzie pan musiał stale go uciszać – ojciec Penga uśmiechnął się przepraszająco.

* * *

Przez pierwszy miesiąc Peng zadawał mu sporo pytań dotyczących administrowania prefekturą i swoich obowiązków. Pytania nie były głupie i Shi-Rong chętnie na nie odpowiadał. Dla zabicia czasu nauczył też młodzieńca

podstaw języka kantońskiego. I szybko wyćwiczył się w uprzejmych sposobach uciszania chłopaka.

– Czy wasza żona i rodzina dołączą do nas? – spytał go drugiego dnia Peng.

– Nie od razu. Niestety, moja córka choruje i nie może podróżować. Dopóki nie poczuje się lepiej, moja droga żona pozostanie z nią w naszym domu rodzinnym.

– Rozumiem. A czy będziemy mieli przyjemność zobaczyć waszych synów?

– Być może. Mój starszy syn jest obecnie zajęty studiami. Zapewne dobrze zrobiłby mu kilkumiesięczny odpoczynek w Guilin.

– Musi być wam ciężko z dala od żony – odważył się skomentować Peng.

– W rzeczy samej – przyznał Shi-Rong. Mógłby dodać: „Nie tak ciężko, jak ci się wydaje”, zamiast tego rzekł z powagą: – Przede wszystkim jednak mamy obowiązki wobec cesarza.

– Och. Naturalnie, panie. Obowiązek przede wszystkim.

– A teraz, jeśli pozwolisz, drogi Pengu, chciałbym w ciszy podziwiać widoki – oznajmił stanowczo Shi-Rong.

– Czy to prawda – spytał Peng innym razem – że byliście prywatnym sekretarzem wielkiego pana Lina podczas jego pobytu w Guangzhou?

– Istotnie.

– Ojciec mówi, że pan Lin był wielkim bohaterem i najuczciwszym sługą cesarza, jaki kiedykolwiek żył.

– Z pewnością był uczciwy – przytaknął Shi-Rong. – Jak wiesz, popadł w czasową niełaskę, a później odzyskał swoje stanowisko, lecz jego kariera nie wyglądała potem już tak samo. Cieszę się, że po śmierci jego imię jest otoczone szacunkiem.

– Ojciec mówi, że większość mandarynów chce tylko napchać sobie kieszenie.

– Nikt nie jest idealny – odparł ostrożnie Shi-Rong.

– Ojciec mówi, że jesteście tacy jak pan Lin.

– Jest zbyt łaskawy. Nie zasługuję na taki komplement.

– Jestem przekonany, że wasze postępowanie w Guilin będzie bez zarzutu, panie – ciągnął Peng z entuzjazmem. – Wszystkiego się od was nauczę.

Shi-Rong nie odpowiedział. Wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał.

Entuzjazm młodego Penga był w gruncie rzeczy całkiem uzasadniony. Na tle innych ludzi zajmujących podobne stanowiska Shi-Rong stanowił ucieleśnienie prawości, co zresztą nie przynosiło mu żadnych korzyści. Był już po pięćdziesiątce i właściwie do niczego nie doszedł. Jeżeli miał coś zrobić dla swojej rodziny, a przynajmniej zasłużyć na szacunek dzieci, musiał dołożyć trochę pieniędzy do rodzinnego majątku. Nigdy nie zniżyłby się do niegodziwości; gdyby rodzina kogoś słusznie oskarżonego o popełnienie przestępstwa próbowała przekupić Shi-Ronga, aby uznał go za niewinnego, nawet by tego nie rozważał. Ale musiały istnieć inne, mniej haniebne sposoby wzbogacenia się. Nie wykluczał, że mając w przyszłości taką możliwość, raz czy dwa pokusiłby się o dodatkowy zarobek – oczywiście mając pewność, że nie zostanie przyłapany.

Nadszedł czas, aby znowu uciszyć Penga.

– Znasz wiersz *Nocne rozważania*, napisany przez poetę Li Baia z dynastii Tang? – spytał nagle.

– Oczywiście, panie. Każde dziecko go zna.

– Wyrecytuj mi go.

Peng zastosował się do polecenia:

Przed łóżkiem światło księżyca,
rozmyślam, czy na gruncie szron.
Podnoszę głowę zobaczyć pełnię księżyca,
opadam rozmyślając o rodzinnych stronach [9].

– Doskonale – pochwalił go Shi-Rong. – Wiesz, Li Bai napisał ponad tysiąc wierszy i właśnie przyszedł mi do głowy jeden z nich. Chciałbym poświęcić resztę dnia na jego kontemplację. Przez nikogo nie niepokojony – dodał uprzejmie.

Tak zaczął się drugi miesiąc ich podróży. Shi-Rong z zadowoleniem stwierdził, że Peng nigdy, ani razu nie spytał go, dlaczego zapuścili się tak daleko na południe.

* * *

Słońce już zachodziło, kiedy Mei-Ling dostrzegła czterech jeźdźców. Stała przy bramie wraz ze Starszym Synem, podziwiając w dole świeżo odremontowany mostek nad stawem.

Głowa rodziny była w radosnym nastroju – tego dnia udało mu się nawet pobrać opłatę za dzierżawę od jednego z wieśniaków.

– Zobacz, jak świetnie się spisaliśmy przy tym mostku – odezwał się, jakby sam zrobił cokolwiek.

Jeden z jeźdźców, wysoki młodzieniec, zsiadł z konia i podszedł do nich.

– Mój pan jest ważnym urzędnikiem – zwrócił się do Starszego Syna w łamanym kantońskim. – Potrzebujemy schronienia na noc. Dobrze zapłacimy.

Chłopak rzeczywiście wyglądał na urzędnika. Spojrzenie Mei-Ling zwróciło się ku pozostałym: dwóm służącym, oczywiście, oraz mandarynowi, który właśnie nadchodził, prowadząc za uzdę konia.

Widząc jego twarz, kobieta pobladła, a w jej głowie rozpętała się istna gonitwa myśli. Dlaczego tutaj przybył? Czy mogło chodzić o Nio? Słyszał coś o nim? Czy to możliwe?

– Oczywiście, zapraszamy, będziemy zaszczyceni – usłyszała głos Starszego Syna. – Właśnie mieliśmy siadać do posiłku.

Mężczyźni siedzieli przy stole: Shi-Rong, młody Peng, Starszy Syn i jej dwóch synów, a Mei-Ling wraz z Matką ich obsługiwały. Świeżo poślubiona żona jej syna, wesoła, lubiana przez wszystkich wiejska dziewczyna, zajęła się dwoma służącymi Shi-Ronga, którzy mieli być ulokowani w stodole. Jasnemu Księżycowi przykazano, aby została u siebie.

Shi-Rong odnosił się do Starszego Syna z przyjazną uprzejmością, na którą ten z pewnością nie zasługiwał. Syn z Kalifornii opowiadał Pengowi o Ameryce, a Ka-Fai jak zwykle uśmiechał się życzliwie do zgromadzonych.

– To on, prawda? – szepnęła Matka, gdy znalazły się we dwie w kuchni. Kiedy Mei-Ling bez słowa przytaknęła, Matka wyjaśniła: – Wcześniej dobrze mu się nie przyjrzałam, nie na tyle, żeby go rozpoznać. Ale kiedy ujrzałam wyraz twojej twarzy…

– Po co on tutaj przyjechał, Matko? Czy to może mieć coś wspólnego z Nio?

– Być może. Jeśli Nio żyje.

Jasny Księżyc pojawiła się, kiedy kończyli posiłek. Ciekawość zwyciężyła i dziewczynka wyszła ze swojej izdebki, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Kim jest ta piękna młoda dama? – Shi-Rong wpatrywał się w nią zaskoczony.

– Moją córką – odparła Mei-Ling.

– Rozumiem. – Mandaryn przyjrzał się im obydwu. – Wygląda całkiem jak ty.

– Była dumą i radością swego ojca – dodała Matka. – Mojego młodszego syna, panie. Świata poza nią nie widział.

– Nie widział?

– Umarł półtora roku temu.

– Przykro mi to słyszeć. – Shi-Rong skłonił głowę, ale cały czas przyglądał się Jasnemu Księżycowi. – Widzę, że krępujecie jej stopy.

– Taka uroda nie powinna się zmarnować – powiedziała Matka.

– Z pewnością. – Shi Rong skinął głową na znak aprobaty.

Dziewczynka otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Nadal niemal codziennie lamentowała z powodu swoich stóp. Czyżby miała im teraz przynieść wstyd, pozwalając sobie na wybuch emocji w obecności mandaryna? Matka spojrzała na nią tak wymownie, że Jasny Księżyc poszła po rozum do głowy i postanowiła siedzieć cicho.

– Wyborny posiłek – pochwalił uprzejmie Shi-Rong. – Przejdę się teraz nad staw. Może matka tego uroczego dziecka zechce mi towarzyszyć? – zwrócił się do Mei-Ling.

Światło księżyca w trzeciej kwadrze z trudem odbijało się w postrzępionych chmurach wysoko na niebie, kiedy w ciszy zmierzali w stronę mostku.

Mei-Ling zastanawiała się, czego on od niej chce.

Weszli na mostek i stanęli pośrodku. Shi-Rong wskazał jej odbicie księżyca w wodzie, a Mei-Ling skinęła głową na znak, że je widzi.

– Powiedz mi – odezwał się cicho – miałaś jakieś wieści od Nio?

A więc o to chodziło. Znów ścigał Nio.

– Ani słowa. – Spojrzała na niego ze smutkiem. – Chcecie go aresztować, panie?

– Nie. Zastanawiałem się po prostu, co się z nim stało. Wiesz, nie zawsze byliśmy wrogami.

– Od pięciu lat się do mnie nie odezwał.

– A zatem nie żyje. Może poległ w Nankinie.

Wiedziała, że powstanie tajpingów w końcu upadło. Wiecznie Zwycięska Armia, jak ich nazywano, wyposażona w karabiny i działa barbarzyńców, rozgromiła rebeliantów. Nankin został zdobyty, a Niebiański Król zginął. Doszło do straszliwej rzezi.

– Wiem, że cię kochał – ciągnął Shi-Rong. – Sądzę, że gdyby żył, do tej pory już by wrócił. – Uśmiechnął się smutno. – Tajpingowie już nigdy nam nie zagrożą, więc nie aresztowałbym go, chyba że byłbym do tego zmuszony. Właściwie to przyjechałem zobaczyć się z tobą – dodał, ściszając głos.

– Ze mną? – zdumiała się. – Dlaczego?

* * *

Przeznaczenie, pomyślał; to musiało być przeznaczenie. Kiedy wyruszał w tę podróż, wiedział tylko jedno: potrzebna mu była odmiana. Kilka lat z dala od żony, z którą nie był zbyt szczęśliwy, dopóki spodziewany awans nie nastawi jej do niego bardziej przychylnie. Czas na refleksję, żeby mógł pożyć trochę własnym życiem. I może znaleźć sobie jakąś towarzyszkę.

Czasami zastanawiał się, czy powinien mieć konkubinę. Prawo i zwyczaj na to zezwalały; po kimś na jego stanowisku oczekiwano wręcz, że będzie miał kochankę. Wiele szanowanych rodzin, którym brakowało pieniędzy, na rozsądnych warunkach z chęcią ofiarowałoby mu którąś ze swych córek – dobrze wychowaną, z krępowanymi od dziecka stopami i odrobiną obycia.

Bywało, że konkubiny i żony żyły ze sobą całkiem zgodnie, choć nie wyobrażał sobie tego w przypadku własnej małżonki. To by ją zabolało. Wpadłaby we wściekłość i zaczęłyby się ciągłe narzekania. Co prawda nie czuł się przez nią kochany, ale nie chciał przydawać żonie cierpienia.

Rozwiązaniem byłoby znalezienie sobie konkubiny na czas, który spędzał z dala od domu. To również było całkowicie dopuszczalne. Nikogo by nie zdziwiło, gdyby mandaryn w średnim wieku chciał odzyskać młodość i utracony wigor w towarzystwie ładnej dziewczyny. A w dużych miastach było wiele urodziwych i eleganckich kobiet, dobrze przygotowanych do odgrywania takiej roli.

Dlaczego więc skręcił na południe, nadkładając dwieście pięćdziesiąt mil drogi tylko po to, żeby dotrzeć do zapomnianej przez wszystkich wioski i odnaleźć – albo i nie – wieśniaczkę o niekrępowanych stopach, z którą wiele lat temu w księżycową noc siedział nad stawem i która opowiadała mu historię swojego życia?

Jej uroda, uczciwość zrobiły na nim wrażenie, podobnie jak inteligencja. I jeszcze coś, coś magicznego i nieuchwytnego, o czym nie potrafił zapomnieć przez te wszystkie lata. Może sprawił to blask księżyca, ale chyba nie o to chodziło.

Teraz, kiedy wreszcie zyskał odrobinę swobody, postanowił ją odnaleźć, sprawdzić, czy nadal wygląda tak, jak ją zapamiętał. Był całkiem przygotowany na to, że się zmieniła albo że w świetle dnia dawna magia – by tak rzec – przestanie działać. Albo, co bardziej prawdopodobne, że Mei-Ling okaże się niedostępna.

Jednak kiedy ją ujrzał, zaparło mu dech w piersiach. Była dokładnie taka, jak ją zapamiętał, a może nawet jeszcze piękniejsza.

W dodatku owdowiała, można więc było zakładać, że jest wolna. To naprawdę musiało być przeznaczenie.

* * *

Zamilkł na moment.

– Przykro mi, że straciłaś męża. Ale masz dwóch synów na schwał i córeczkę, równie piękną jak ty. Ze skrępowanymi stopami może znaleźć bogatego męża.

– Mamy taką nadzieję – odparła cicho.

– Powinnaś też nauczyć ją haftu i tym podobnych rzeczy oraz innych umiejętności przydatnych młodej damie. Wierszy do recytowania z pamięci i tak dalej.

Po co jej to mówił? Nie miała pojęcia. Ale nie mogła milczeć – to byłoby nieuprzejme – powiedziała więc coś, o czym ostatnio bez przerwy myślała:

– Żeby znaleźć bogatego męża, trzeba wydać dużo pieniędzy. Zdążyłam się już o tym przekonać.

– Ach. – Shi-Rong oparł dłonie na balustradzie mostu i spojrzał na nie. – Niewykluczone, że mógłbym ci w tym pomóc, o ile zechcesz – odwrócił

się do niej. Widział, że przygląda mu się nieufnie. – Najbliższy rok, może półtora, spędzę w prefekturze Guilin – dodał szybko. – Chciałbym, żebyś mi towarzyszyła.

– Towarzyszyła? – Zmarszczyła brwi. – Jako konkubina?

– Tak.

– Dlaczego nie poszukacie konkubiny na miejscu, panie?

– Myślę o tobie bez przerwy, odkąd spotkaliśmy się tamtej nocy z Nio. Nadłożyłem dwieście pięćdziesiąt mil, żeby cię odnaleźć.

– Macie żonę, panie?

– Jej tam nie będzie. Jeśli chcesz, możesz zabrać ze sobą córeczkę. Wiele by się nauczyła o życiu mężczyzny na moim stanowisku. To mogłoby jej się przydać.

Jej dziecko miałoby zamieszkać w domu mężczyzny, którego ona byłaby konkubiną? Nie tak to sobie wymarzyła. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że Shi-Rong ma rację. Sama nie wiedziała prawie nic o wyrafinowanym stylu życia bogacza czy mandaryna, o ich obyczajach, rozmowach, rytuałach społecznych, podobnie jak nikt w jej rodzinie ani, prawdę mówiąc, w całej wiosce. Jeśli Jasny Księżyc miała znaleźć bogatego męża, rok czy dwa spędzone w domu mandaryna zapewniłyby jej doskonałą edukację.

Rok czy dwa – albo dopóki się mną nie znudzi, pomyślała, a wtedy mnie wyrzuci. Nie chciała, żeby jej córeczka na to patrzyła.

– Moja córka zostanie w domu – oświadczyła.

– Jak sobie życzysz. Czy to znaczy, że zechcesz rozważyć moją propozycję?

– Będę mogła odejść po półtora roku?

– Tak.

Mei-Ling się zamyśliła. Powiedziała synom, że mogą kupić ziemię. Wierzyła, że znajdą się pieniądze na posag dla Jasnego Księżyca, ale prawdę mówiąc, nie miała pojęcia, skąd mieliby je wziąć. I oto nagle pojawiła się przed nią możliwość zarobku. Niezależnie od tego, jak bardzo jej się to nie podobało, miała obowiązek się zgodzić – pod warunkiem, że pieniędzy będzie wystarczająco dużo i że na pewno je otrzyma.

Oczywiście istniało pewne ryzyko. Mandaryn mógł ją źle traktować. Przypuszczała, że jedno albo dwa bicia wytrzyma, a gdyby było gorzej, zawsze mogła uciec. Albo zabić jego, a potem siebie, pomyślała. Byle tylko najpierw zdążyć przekazać pieniądze rodzinie.

– Musielibyście zapłacić mi z góry – powiedziała. – Już teraz.

– Mam ci zaufać?

– Tak.

– Wiedziałem, że tak powiesz.

Wyjął nieduży woreczek pełen monet, podał jej i otworzył. Zajrzała do środka. W świetle księżyca dostrzegła srebrne monety. Nie przeliczyła ich, ale było tego sporo.

– Potrzebuję dwóch takich woreczków – oznajmiła. Chyba mu tym zaimponowała. Ku jej zaskoczeniu bez słowa wyciągnął drugi. Do tego też zajrzała.

– Tutaj jest tyle samo – zapewnił ją. – Masz na to moje słowo.

Mei-Ling zrobiła szybkie obliczenia. Jeśli od razu odda woreczki ze srebrem Matce, starsza kobieta schowa je gdzieś, gdzie nikt, nawet żaden z jej synów, ich nie znajdzie.

Spojrzała na mężczyznę, którego ledwo znała. Co by powiedział Drugi Syn? Że robi to, co musi, skoro jego już nie ma i nie może jej pomóc, pomyślała. Tak, z pewnością powiedziałby coś takiego. I przez moment, po raz pierwszy, odkąd dowiedziała się o jego śmierci, Mei-Ling miała wrażenie, że czuje obecność męża.

– Będziemy musieli poprosić o zgodę głowę rodziny – powiedziała.

* * *

Shi-Rong widział, że Mei-Ling spodobało się w Guilin. Podróż była długa, jakieś trzysta mil na północ od wioski, ale gdy tam dotarli, oboje byli zgodni, że miejsce jest absolutnie wyjątkowe. Tysiące lat opadów i spływającej po ziemi wody wyrzeźbiły miękkie, krasowe skały regionu, tworząc miniaturowe góry, strome jak mrowiska, wysokie na kilkaset stóp i porośnięte niemal w całości zielonymi drzewami, z wyjątkiem szarych urwisk tu i ówdzie po bokach, gdzie nawet górska roślinność nie dawała rady się zakorzenić. Przyjemna rzeka o nazwie Li przepływała tuż obok miasta.

W słoneczne dni wzgórza otaczające zaciszne równiny pastwisk i pól ryżowych sprawiały wrażenie gigantycznych zielonych dolmenów chroniących święte miejsce. Kiedy zaś nadrzeczne doliny zasnuwała mgła, patrzący zdawał się mieć przed sobą armię zakapturzonych bogów poruszających się wolno w świecie chmur. Shi-Rong widywał takie krajobrazy na

malowidłach i zawsze uważał, że są dziełem wyobraźni malarza. Teraz odkrył, że ów raj istnieje naprawdę.

Mei-Ling odpowiadał podzwrotnikowy klimat, dla niego zbyt gorący i wilgotny, polubiła też tamtejszych ludzi.

Niektóre z plemion zamieszkiwały te tereny, zanim jeszcze Chiny stały się państwem. Każde miało własny język lub dialekt, często niezrozumiały dla sąsiadów. Wszyscy służący w oficjalnej rezydencji Shi-Ronga pochodzili z ludu Zhuang, najliczniejszego w okolicy. Po miesiącu Mei-Ling była w stanie swobodnie się z nimi porozumiewać, a nawet ze smakiem spożywać kwaszoną kapustę i liście herbaty smażone w oleju, które jadano tu codziennie z ryżem. „Możesz zjeść i moją porcję” – mawiał ze śmiechem Shi-Rong.

Był pełen podziwu, że ta kobieta z małej wioski potrafiła się tak łatwo zaadaptować.

– Jak ty to robisz? – spytał ją kiedyś.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Moja matka była w połowie Hakka, więc od początku przywykłam do tego, że moi krewni pochodzą z dwóch różnych światów. Może to dlatego.

Szybko przekonał się, że jej inteligencja znacznie wykracza poza umiejętność prowadzenia rozmów ze służbą z ludu Zhuang.

Wkrótce po przybyciu zastanawiał się, co robić z Mei-Ling, jeśli chodzi o prefekta i innych oficjeli. Naturalnie mógł trzymać ją w odosobnieniu w domu, ale wtedy ludzie zaczęliby plotkować i wymyślać niestworzone historie. Miesiąc później, kiedy poznał już prefekta, miłego człowieka o swobodnym sposobie bycia, opowiedział mu szczerze o swojej czarującej konkubinie.

– To zwykła wieśniaczka, płynie w niej krew ludu Hakka, jest jednak inteligentna i bardzo piękna. Jak mam z nią postępować?

– Drogi panie Jiang – odparł z uśmiechem dobroduszny, siwobrody prefekt – doszły mnie słuchy o jej urodzie i zastanawiałem się, czy będę miał okazję ją poznać.

– Muszę pana ostrzec, że nie miała nigdy krępowanych stóp.

– Rozpuszczę plotkę, że jest na wpół Mandżurką. – Starszy mężczyzna uśmiechnął się szeroko. – Daleko stąd do Pekinu, mieszkamy wśród dziwnych plemion i nie przejmujemy się takimi rzeczami. Niech pan ją przyprowadzi, żeby poznała moją żonę. Zawsze się cieszy z nowego towarzystwa.

Shi-Rong zrobił, o co go poproszono, i obie kobiety spędziły ze sobą godzinę. Później Mei-Ling powiedziała mu, że żona prefekta zaprosiła ją do siebie na następny dzień. Ku jego zdumieniu w ciągu miesiąca otrzymała dwanaście takich zaproszeń. Wszelkie wątpliwości, jakie mógł żywić co do tych wizyt, zostały wkrótce rozwiane uwagą prefekta, który rzekł:

– Moja żona przepada za towarzystwem Mei-Ling. Całymi popołudniami trajkoczą do siebie.

– Jak się porozumiewacie? – zagadnął kiedyś Mei-Ling. – Ona chyba mówi po kantońsku?

– Tak, ale uczy mnie mandaryńskiego.

– I o czym rozmawiacie?

– Jest bardzo ciekawa życia na wsi, w małej osadzie, takiej jak moja. Całe życie spędziła w miastach. A ja mam dużo pytań do niej.

– Aha – mruknął, zastanawiając się, jakie to mogą być pytania. Dowiedział się miesiąc później, kiedy pewnego dnia Mei-Ling oznajmiła, że poda mu herbatę. Oczywiście nie było w tym nic niezwykłego – ot, codzienny rytuał we wszystkich domach w tym kraju. Zaskoczył go jednak piękny, nowy zestaw do herbaty, ustawiony w niezwykle elegancki sposób, a jeszcze bardziej Mei-Ling, która obsługiwała go w stroju z bogatego jedwabiu, z włosami uczesanymi tak wymyślnie, jakby była damą z Pekinu. Nie tylko prowadziła z nim uprzejmą rozmowę po mandaryńsku, ale nawet wtrącała odpowiednie cytaty z poezji.

Jakim cudem nauczyła się tego wszystkiego? Od żony prefekta, rzecz jasna. Z upływem czasu jej osiągnięcia stały się coraz bardziej imponujące. Zaczęła się nosić w zupełnie inny sposób, a jej znajomość mandaryńskiego poprawiła się do tego stopnia, że za rok, jak przypuszczał, powinna posługiwać się nim już całkiem płynnie.

Jaki miała w tym cel? Chciała go zadowolić? Pokazać, na co ją stać? A może po tym, jak zaznała życia w domu wiceprefekta, nie będzie chciała wrócić do swojej ubogiej wioski? Może sądziła, że po rozstaniu z Shi-Rongiem będzie mogła zostać konkubiną innego ważnego urzędnika albo nawet żoną kupca.

Było coś jeszcze, co wzbudziło jego podejrzenia.

Początkowo zauważył, że delikatnie wymawia się od jego atencji, gdy nastawał ten czas w miesiącu, kiedy mogłaby zajść w ciążę, lecz nigdy się na to nie skarżył. Potem jednak nagle przestała go unikać. Nie była za stara, żeby mieć dziecko. Czyżby wykalkulowała sobie, że zatrzyma go przy

sobie, jeśli da mu potomka? A skoro już o tym mowa, to co by zrobił, gdyby faktycznie się tak stało? Pewnego wieczoru zapytał więc wprost:

– Nie obawiasz się, że zajdziesz w ciążę?

– Nie – odparła ze spokojem. – Wystarczy pić specjalny napój z ziół. Robi się go z korzenia mniszka i trójskrzydlaka [10]. Jest bardzo skuteczny. Dostaję go od aptekarza.

– Nie wiedziałem – wyznał.

– Ja też nie. Żona prefekta mi powiedziała.

Shi-Rong miał mieszane uczucia na myśl, że żona prefekta wie tyle o jego prywatnym życiu, ale niewiele mógł na to poradzić.

Wciąż rozważał, czy nie zatrzymać jej przy sobie na dłużej. Była to bardzo kusząca perspektywa. Jako kochanka Mei-Ling dawała mu wszystko, o czym tylko mężczyzna mógł zamarzyć. Ciągle budziła w nim podziw swoją urodą. Kiedy się kochali, zdarzało mu się zadawać sobie pytanie: jak to jest, że nadal czuję tę niezwykłą magię? Mei-Ling była jak południowa róża, której kolor nigdy nie blednie i która rozkwita raz za razem. Albo jak lotos, chiński symbol czystości, wyrastający ze zwykłego błota i olśniewający białymi płatkami.

To, czy ona coś do niego czuła, stanowiło odrębną kwestię.

Czy wiedział cokolwiek o jej emocjach? Raczej nie.

– Robisz tak wiele, żeby mnie zadowolić – rzekł do niej uprzejmie któregoś dnia. – Mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczny, że tyle się nauczyłaś.

– Cieszę się, że jesteś zadowolony – odparła grzecznie i umilkła na moment. – A ja z kolei jestem wdzięczna, że dzięki tobie mogę nauczyć się tych wszystkich nowych rzeczy z myślą o swojej córce.

Z myślą o córce. Oczywiście. Jak mogłem być taki próżny, wyrzucał sobie Shi-Rong, i taki głupi? Uczy się, żeby przekazać wiedzę swojej córeczce, której skrępowano stopy, aby uczynić z niej prawdziwą damę. I choć sprawiłoby mu przyjemność, gdyby robiła to wszystko tylko dla niego, nie potrafił jej nie podziwiać.

Niedługo potem zaczęła uczyć się czytania i pisania. Shi-Rong sam trochę jej w tym pomagał, żeby lepiej zrozumieć, co kryje jej umysł. Okazała się bardzo pojętną uczennicą.

– Oto kolejna umiejętność, którą przekażesz swojej córeczce – zauważył kiedyś ze śmiechem, lecz ona pokręciła głową.

– Mogę jej zapewnić podstawy, ale będzie potrzebowała prawdziwego nauczyciela. A ja muszę mieć na to pieniądze.

Shi-Rong nic nie powiedział. Zrozumiał, co mu chciała przekazać.

* * *

Ciekawiło ją wszystko. Chciała dowiedzieć się jak najwięcej o Pekinie i Zakazanym Mieście oraz o tym, jak tam się żyło. Pytała o wielkie rzeki i miasto Nankin, o Wielki Kanał i Wielki Mur. Słyszała o tych wszystkich miejscach, lecz nigdy ich nie widziała. Chciała też dowiedzieć się czegoś o cesarzu.

– Miał tylko sześć lat, kiedy jego ojciec umarł – wyjaśnił jej Shi-Rong – więc to wciąż młody chłopak. Na czas swoich rządów przyjął imię Tong-zhi, co oznacza „Jedność dla Porządku”, czego z pewnością nam teraz trzeba. Doradza mu rada regencyjna, której przewodzi czcigodna małżonka jego ojca – bardzo miła i cicha osoba, ale niewiele wie o rządzeniu – oraz jego matka, którą zwano Szlachetną Nałożnicą Yi, lecz teraz znana jest jako cesarzowa wdowa Cixi. Ma bardzo silny charakter. We dwie dysponują cesarskimi pieczęciami, za pomocą których poświadczane są oficjalne dokumenty. Im z kolei doradza książę Gong.

– Czy ta Cixi może zabierać głos w sprawach związanych z rządzeniem krajem?

– W praktyce tak. Właściwie ostatnio przerosła znaczeniem księcia Gonga.

– Czy Chinami kiedykolwiek władała cesarzowa?

– Tylko raz, w czasach dynastii Tang – tysiąc dwieście lat temu. Była to wyjątkowo podła kobieta zwana cesarzową Wu. Aby dojść do władzy, zabiła tylu członków swojej rodziny, że kiedy sama zmarła, jej nagrobek pozostał pusty.

– Och. – Mei-Ling wydawała się nieco rozczarowana.

– Co zabawne – kontynuował pogodnie Shi-Rong – w tym regionie w dawnych czasach plemionami dowodziły kobiety. Konfucjuszowi by to się nie spodobało. – Uśmiechnął się i z rozbawieniem zauważył, że Mei-Ling nic na to nie odpowiedziała.

Była też ciekawa barbarzyńców i świata poza Niebiańskim Cesarstwem. Opowiedział jej, jak mądry książę Gong wraz z innymi odkrył sposób na

wykorzystanie barbarzyńców jako najemników, celników i tak dalej.

– Mamy ich broń, a wkrótce będziemy kupować od nich żelazne statki. Wysyłamy nawet uczonych na ich uniwersytety – stwierdził z dumą.

* * *

– Mam jeszcze jedno pytanie – oznajmiła któregoś dnia. – Mówiłeś o kupowaniu broni i statków od barbarzyńców. A co z ich kolejami?

– Z kolejami? – Słyszał już tę nazwę, ale wciąż nie miał pewności, co właściwie oznacza. Rok wcześniej jeden z barbarzyńców ułożył za pomocą niewielkiej maszyny kilkaset jardów torów, żeby zademonstrować ów wynalazek w Pekinie. Shi-Rong nie widział tego na własne oczy, ale władze, zbadawszy owo diabelskie urządzenie, kazały je natychmiast rozebrać. – Gdzie usłyszałaś o kolejach?

– Jeden z moich synów pojechał do Kalifornii w Ameryce i pracował tam na kolei. Tak samo jak tysiące innych mężczyzn z naszej prowincji. – Opowiedziała mu wszystko o kolei: jak była skonstruowana, jak wyglądały parowozy i cały tabor, ile hałasu robiły i jak były w stanie przewozić ludzi i towary na odległość setek mil szybciej niż jakikolwiek wóz konny. Kiedy skończyła mówić, Shi-Rong mógł tylko wpatrywać się w nią z przerażeniem.

– Wynalazek, który opisujesz, musi budzić odrazę. Potrzebujemy broni od barbarzyńców, żeby chronić naszą cywilizację, a nie wstrętnych dymiących maszyn, które ją zniszczą. Jeśli ktoś, kogo wyślemy na zachód, natknie się na taką potworność i doniesie nam o tym, jestem pewien, że cesarz utrzyma zakaz budowania u nas podobnych konstrukcji.

Mei-Ling pochyliła głowę z szacunkiem.

Jakie to jednak dziwne, pomyślał Shi-Rong, że ta niepiśmienna chłopka z zapadłej wioski wie o rzeczach, o których on, wszechstronnie wykształcony mandaryn, nie ma pojęcia. Wyglądało zresztą na to, że pod tym względem wyprzedzają go tysiące innych wieśniaków.

W owym czasie tylko jedno budziło w nim niepokój. Chodziło o Mei-Ling i młodego Penga. Co sekretarz myślał o jego kochance?

Młodzieniec dobrze wykonywał swoją pracę, był pełen szacunku, a Shi-Rong przyzwyczaił go do trzymania języka za zębami. Wydawał się jednak

dość świętoszkowaty i nikt nie słyszał, aby miał jakiekolwiek bliższe kontakty z miejscowymi kobietami. Cóż, jego sprawa; ale jeśli ojciec Penga naopowiadał mu, że jestem wcieleniem cnót, dumał Shi-Rong, chłopak może skrycie potępiać moje relacje z Mei-Ling. Co, jeśli w liście do ojca wspomni o swoich odczuciach?

Shi-Rong wiedział o całej korespondencji wysyłanej z prefektury do Pekinu: chłopak do tej pory ani razu nie napisał do domu, co raczej go zaskoczyło. Gdyby ten trochę może nazbyt poważny młodzieniec wyjawił ojcu, że życie prywatne jego nowego pana pozostawia wiele do życzenia, starszy pan Peng prawdopodobnie po prostu skwitowałby to śmiechem. Albo i nie.

Niech pan unika kłopotów, doradził mu. Niech pan się nie wychyla. Czy posiadanie konkubiny z wioski w głębi kraju mogło zostać uznane za coś niewłaściwego?

– Jesteś, jak sądzę, w dobrych stosunkach z moją konkubiną Mei-Ling, prawda? – zapytał od niechcenia młodego Penga któregoś ranka.

– Tak, panie. Jest bardzo inteligentna – dodał Peng z szacunkiem.

– Zaiste. Ona także jest dobrego zdania o tobie. – Shi-Rong zamilkł na chwilę. – Szkoda, że to tylko wieśniaczka, no i oczywiście ma niekrępowane stopy. Wróci do swojej wioski, kiedy moje obowiązki tutaj dobiegną końca. Przyznam jednak, że przykro mi będzie się z nią rozstawać.

– Rozstaniecie się z nią, panie?

– Naturalnie. – Shi-Rong zmierzył młodzieńca poważnym wzrokiem. – Kiedy chodzi o karierę, Peng, niezwykle istotne jest przestrzeganie odpowiednich konwencji. Mieć tutaj konkubinę taką jak Mei-Ling to jedno – i bądź pewien, że przedyskutowałem tę sprawę z prefektem. Ale na przykład w Pekinie to by zupełnie nie uchodziło, choćby była najbardziej czarująca i inteligentna. Z pewnością to rozumiesz.

– Rozumiem, panie.

– Dobrze. To wszystko, Peng. Wracaj do pracy.

Ta rozmowa powinna była uspokoić Shi-Ronga, ale tak się nie stało. Przez następne dni przeklinał sam siebie. Nie powinienem był w ogóle podnosić tej sprawy, myślał. Osiągnąłem tylko tyle, że podsunąłem mu temat do dalszych rozmyślań. Zastanawiał się, co powinien w związku z tym uczynić.

Kiedy po raz pierwszy przybył do rezydencji wiceprefekta w Guilin, stwierdził z zadowoleniem, że jest ładnie umeblowana, w sposób nierzucający się w oczy. Dużo mebli było drewnianych, rzeźbionych w miłe dla oka ornamenty, inne w najprostszym stylu dynastii Ming, pozbawione niemal całkiem ozdób. Wraz z przylegającym doń ogrodem odpowiednim do rozważań filozoficznych oraz stawem ze złotymi rybkami dom stanowił oazę spokoju, co oboje z Mei-Ling bardzo doceniali.

W środku znajdowało się kilka cennych drobiazgów, z których parę spoczywało dyskretnie na prostym drewnianym stoliku w holu. Shi-Rongowi najbardziej podobała się jadeitowa figurka, nie większa niż trzy cale, stojąca zwykle z tyłu.

– Można jej nie zauważyć, prawda? – zagadnął któregoś dnia Mei-Ling. Figurka, przedstawiająca łysego muzykanta o wyglądzie Buddy, nie dość, że była bardzo małych rozmiarów, to jej kolor, kremowo-brązowy, zlewał się z jasnym drewnem stolika, na którym stała. – Ludziom wydaje się, że jadeit jest zielony albo ma jakiś inny jaskrawy kolor. Ale nie zawsze tak jest. Ten człowieczek jest wykonany z jadeitu i ma sporą wartość.

– Pewnie przynosi szczęście temu domowi – odparła. Shi-Rong uśmiechnął się i przytaknął.

Jakież było jego zdumienie, gdy któregoś ranka Mei-Ling bez słowa zaprowadziła go do stolika i wskazała puste miejsce po figurce.

– Och. Może ktoś ze służby wziął ją do wyczyszczenia – rzekł.

Ale Mei-Ling pokręciła głową.

– Obawiam się, że ktoś uzna, iż to ja ją ukradłam – powiedziała cicho.

Zmarszczył brwi. To było możliwe. Zastanawiał się, co robić.

– Wiem, kto ją zabrał – szepnęła Mei-Ling.

– Naprawdę? To powiedz.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że ci powiedziałam. Miałabym kłopoty. I ja, i ty.

– Będę cię chronił.

– To Peng. Nie widział mnie, ale ja go widziałam.

– Peng? – Dziwne. Wierzył jej, ale czemu Peng, syn bogatego i potężnego człowieka, miałby kraść?

– Proszę, nie mów mu, że ci powiedziałam.

– Nie powiem.

Cały dzień o tym rozmyślał. Zetknął się już z takimi przypadkami. Udał się na spoczynek, a rano wiedział już, co zrobi.

– Powiedz mi, Peng – zwrócił się przyjaźnie do sekretarza, kiedy byli w biurze tylko we dwóch – jesteś zadowolony ze swojej pracy tutaj?

– Tak, panie. Bardzo. – Wyglądało na to, że młody człowiek mówi prawdę.

– Peng, to bardzo ważne, aby młodzieniec służący swemu panu czuł się doceniany – tak samo jak syn posłuszny ojcu. Ojcowie muszą uważać na to, jak traktują synów, bo jeśli nie, to syn, czując się nieszczęśliwy, może uczynić coś głupiego – z zemsty albo po to, żeby się pocieszyć. Konfucjusz jest stanowczo przeciwny takim postępkom, co nie znaczy, że one się nie zdarzają. Jeśli więc jako twój pan uczyniłem coś, co cię unieszczęśliwiło, możesz mi teraz o tym powiedzieć.

– Ależ nie, panie. Nic podobnego nie miało miejsca – odparł młodzieniec żarliwie i z wielką powagą.

– To dobrze. – Shi-Rong się uśmiechnął. – Przejdźmy teraz do innej sprawy, zupełnie z tym niezwiązanej. To drobiazg i nikomu o nim nie wspominałem, tobie jednak powiem, bo może znajdziesz jakieś rozwiązanie.

– Oczywiście, panie – odparł Peng, skupiony i uważny.

– Na stoliku u mnie w holu stała figurka muzykanta z jasnobrązowego jadeitu. Wyjątkowo mi się podoba, jest znakomicie wykonana. Otóż owa figurka zniknęła. Nie pożyczyłeś jej przypadkiem? Może chciałeś ozdobić nią swój pokój? Całkowicie rozumiem, że może ci się podobać, ale chcę, żeby dalej stała u mnie na stoliku. Jeśli więc ją pożyczyłeś, czy byłbyś uprzejmy teraz mi ją zwrócić?

Czyżby młody Peng się zawahał? Shi-Rong odniósł takie wrażenie.

– Nic na ten temat nie wiem, panie – odparł.

– Peng. – Shi-Rong spojrzał na młodzieńca. – Robiłeś już takie rzeczy.

– Nie, panie.

– Wiem, że robiłeś, Peng.

Zapadła okropna cisza. Peng wyglądał jak półtora nieszczęścia.

– Ojciec obiecał, że nic wam nie powie! – krzyknął w końcu rozdrażniony.

A więc Shi-Rong trafnie odgadł i młody człowiek wpadł w zastawioną przez niego pułapkę.

– Powinienem poinformować twojego ojca oraz prefekta – kontynuował Shi-Rong. – Obawiam się jednak, że to rozzłościłoby twego ojca i zakończyło twoją karierę. Szkoda, bo jesteś taki młody.

– Tak, panie.

– Idź teraz po figurkę i przynieś ją tutaj.

Po kilku minutach Peng wrócił z jadeitową figurką. Shi-Rong ujął małego muzykanta w dłoń i popatrzył nań serdecznie.

– Musisz obiecać, że nigdy więcej tego nie zrobisz.

– Obiecuję, panie.

– Nie, Peng. Musisz obiecać sobie, nie mnie. Dobrze wywiązujesz się ze swoich obowiązków. Powinieneś być z tego dumny. Twój ojciec na pewno będzie dumny, dlatego nie musisz już kraść. – Przerwał. – Zaraz napiszę do niego list, żeby cię pochwalić. Powiedz, czy napisałeś do ojca, odkąd tu jesteś?

– Nie, panie.

– Będzie urażony, jeśli otrzyma list ode mnie, a nie od własnego syna. Idź, napisz do niego i przynieś mi list do sprawdzenia.

Godzinę później sprawa została załatwiona. Shi-Rong ułożył swój list nader przebiegle: jego młody sekretarz pilnie pracował, był chlubą rodziny i cieszył się sympatią prefekta, jego żony oraz wszystkich domowników Shi-Ronga. Mandaryn wyraził też wdzięczność Starszemu Panu Pengowi za dar w postaci syna, któremu przepowiadał świetną karierę. Kiedy sekretarz wrócił, Shi-Rong ochoczo podsunął mu list do przeczytania.

Peng z kolei dokładnie opisał ojcu wszystkie swoje obowiązki. Zawarł też krótkie sprawozdanie z wykonywanej pracy, opis pięknych widoków i mądrego zarządzania prefekta, po czym przeszedł sam siebie w zachwytach nad Shi-Rongiem. Mądrość, prawość i uprzejmość mandaryna zostały opisane z taką wdzięcznością i szczerością, że gdyby nie to było od początku jego celem, Shi-Rong mógłby się zarumienić.

– Zapieczętuj swój list – polecił – a ja zapieczętuję swój. – Uśmiechnął się do Penga. – Mam nadzieję, że kiedyś wspomnisz ten dzień jako ten, który zmienił twe życie na lepsze – rzekł. – Z tego samego powodu jest to dobry dzień także dla mnie.

* * *

Z upływem miesięcy Shi-Rong musiał przyznać, że choć z punktu widzenia jego kariery pobyt w Guilin mógł uchodzić za zesłanie na głuchą prowincję, on sam nigdy w życiu nie był szczęśliwszy. Zresztą pod względem zawodowym to także nie był zmarnowany czas. Szybko zrozumiał, że za pogod-

nym sposobem bycia prefekta kryła się nie tylko uprzejmość, ale i wielka przenikliwość.

Był też doskonałym nauczycielem. Pokazał Shi-Rongowi, jak postępować z różnymi plemionami i unikać konfliktów; jak nie tylko wprowadzać nowe prawa, ale też kierować sędziami. Z końcem roku Shi-Rong zdał sobie sprawę, że więcej nauczył się od niego niż od kogokolwiek innego, wyjąwszy komisarza Lina.

Kiedy więc przyszedł list od pana Penga, którego autor obiecywał, że jeśli jego protegowany cierpliwie wytrzyma jeszcze pół roku, z pewnością będzie mu w stanie załatwić niezwykle opłacalne stanowisko bliżej stolicy, mandaryn był całkiem zadowolony.

Tylko jedno go smuciło: Mei-Ling miała wyjechać. Kończył się jej półtoraroczny pobyt w Guilin.

Czekało go pół roku bez niej. Poprosił, aby została jeszcze tych kilka miesięcy, ale odmówiła.

– To była… i wciąż jest, najbardziej zdumiewająca rzecz, jaka mi się w życiu przydarzyła. Przepełnia mnie wielka wdzięczność – odrzekła. Wiedział, że jest zbyt uczciwa, aby kłamać w takiej sprawie.

– Więc zostań jeszcze tych kilka miesięcy – błagał.

– Córka czeka na mnie. Powiedziałam jej, że nie będzie mnie półtora roku. Myślisz, że nie odlicza dni do mojego przyjazdu?

Tak się złożyło, że akurat w tym czasie przyszedł list od żony Shi-Ronga. Utrzymany w przyjaznym tonie informował, że ich syn, Ru-Hai, któremu wkrótce przysługiwała przerwa od studiów, byłby szczęśliwy, gdyby ojciec zaprosił go do siebie na miesiąc i pokazał mu całe piękno Guilin.

– Wyjeżdżam miesiąc po zakończeniu letnich monsunów – powiedziała Mei-Ling. – Może wtedy go zaproś? To przepiękna pora roku, a syn dotrzyma ci towarzystwa. Będziesz tak zajęty, że ledwo zauważysz moją nieobecność.

– To nie będzie to samo. – Shi-Rong uśmiechnął się z żalem. – Ale masz rację. Tak powinienem zrobić. – I odpisał żonie, wydając odpowiednie dyspozycje.

* * *

Letnie deszcze skończyły się przed kilkoma dniami i Shi-Rong zaczął właśnie planować rozrywki na przyjazd syna. Nie bardzo wiedział, czego oczekiwać po tym spotkaniu. Nie widzieli się prawie dwa lata. Ru-Hai miał wkrótce skończyć osiemnaście lat i był już, jak sądził jego ojciec, raczej młodym mężczyzną niż chłopcem, którego zapamiętał.

Był więc zaskoczony, gdy któregoś popołudnia Ru-Hai pojawił się w jego domu.

– Spodziewaliśmy się ciebie dopiero za miesiąc! – wykrzyknął.

– Przyjechałem wcześniej – odparł Ru-Hai. – Nie cieszycie się, ojcze?

– Oczywiście, że się cieszę. Bardzo – zapewnił go Shi-Rong. – Po prostu zaskoczyłeś mnie. Jesteś teraz wyższy – dodał. – Czy masz dużo nauki?

– Tak, ojcze – odparł Ru-Hai i ukłonił mu się z szacunkiem.

– Wejdź zatem – zaprosił go ojciec radośnie – i opowiedz mi o wszystkim.

Ru-Hai zdał mu relację z domu. Matka czuła się dobrze.

– To znakomicie! – uradował się Shi-Rong. – Zaraz napiszę do twojej drogiej matki, że dotarłeś szczęśliwie. – Młodszy brat też cieszył się dobrym zdrowiem i wytrwale spędzał czas na nauce. – Świetnie – pochwalił Shi-Rong z uśmiechem. – Siostra jednak nadal chorowała i nie mogła oddalać się od rodzinnego domu. – Wielka szkoda – rzekł ze smutkiem Shi-Rong. – Twoja matka oczywiście słusznie postępuje, zostając przy niej, chociaż wolałbym, aby było inaczej.

Zaprowadził syna do biura i przedstawił go Pengowi. Opowiedział mu także o życzliwym prefekcie i jego żonie oraz wspomniał o pięknie okolicy. Służący podał im herbatę.

Chłopak wydawał się zadowolony. Był zmęczony po długiej podróży, poszedł więc odpocząć trochę przed kolacją z ojcem i Pengiem.

– Jak mam teraz postąpić? – poradził się Shi-Rong swojej konkubiny.

– Chcesz, żebym natychmiast wyjechała?

– Nie.

– Więc nie rób nic.

Kiedy Mei-Ling weszła, aby podać im posiłek, Shi-Rong przedstawił ją jej imieniem i Ru-Hai grzecznie się przywitał, choć nie było jasne, czy wie, kim jest owa kobieta. Po kolacji Peng musiał zająć się korespondencją, więc ojciec i syn zostali sami.

– Wasza gospodyni jest bardzo piękna, ojcze – zauważył Ru-Hai. – Czy służy w tej rezydencji?

– Nie – odparł jego ojciec. – W istocie jest moją konkubiną. Zapomniałem o tym wspomnieć, kiedy was sobie przedstawiałem.

– Macie konkubinę, ojcze? – Ru-Hai popatrzył na niego skonsternowany.

– Tylko jedną.

– Czy moja matka o tym wie?

– Nie. Widzisz, dopiero po przyjeździe tutaj zdecydowałem się wziąć ją do siebie.

Ru-Hai milczał przez chwilę.

– Macie inną kobietę i moja biedna matka nawet o tym nie wie?

– Mężczyźnie na moim stanowisku wręcz wypada mieć konkubinę.

– Matka miała rację! – wybuchnął Ru-Hai. – Myślicie tylko o sobie, ojcze! – I wybiegł z pokoju.

Shi-Rong czekał przez godzinę. Zastanawiał się, co jeszcze żona wygadywała o nim za jego plecami. Nie był zły na chłopca, że chciał bronić matki, ale też nie mógł pozwolić, aby obrażał go w jego domu. Po godzinie przywołał Penga, kazał mu odszukać Ru-Haia i przyprowadzić go do siebie. Kiedy syn wszedł, wciąż nachmurzony, Shi-Rong odniósł się doń stanowczo.

– Nie wolno ci obrażać ojca. Bez względu na swoje uczucia masz okazywać mi szacunek. To twój obowiązek. Bądź łaskaw pamiętać o tym. – Przerwał. – Jeśli chodzi o Mei-Ling, najprawdopodobniej ona i twoja matka nigdy się nie spotkają, ponieważ kiedy stąd wyjadę, ona powróci do swojej rodziny. Przykro mi będzie się z nią rozstawać, ale to nieuniknione. Tymczasem sam się przekonasz, jaka to czarująca osoba.

– To tylko uboga chłopka z jakiejś zapomnianej przez wszystkich wioski. Nawet nie miała krępowanych stóp.

– Płynie w niej krew Hakka. Jak zapewne wiesz, lud Hakka nie krępuje stóp swoich kobiet, podobnie jak Mandżurowie, choć akurat jej córka ma krępowane stopy. Co do jej rodziny, posiadają duże gospodarstwo i sporo ziemi. Żyją z dzierżawy. – Tak było dawniej, pomyślał, i może tak być w przyszłości. O teraźniejszości wolał nie wspominać.

– Ale i tak jest kantońską chłopką – burknął Ru-Hai.

Shi-Rong powinien był natychmiast go skarcić za tę niegrzeczną uwagę, ale postanowił przemówić mu do rozsądku.

– Zobaczysz, że ma wytworne maniery, potrafi nawet trochę czytać i pisać – wiele dobrze urodzonych dam ogranicza się do tych umiejętności –

i zna mandaryński na tyle dobrze, aby recytować wiersze w tym języku. – W myślach podziękował żonie prefekta, która okazała się inspiracją dla tych wszystkich osiągnięć. Uświadomił sobie, że ma w ręku jeszcze jeden atut. – Nawiasem mówiąc, uważaj, co mówisz na jej temat w obecności prefekta – dodał. – Mei-Ling i jego żona są serdecznymi przyjaciółkami.

To był strzał w dziesiątkę. Syn podniósł na niego zdumiony wzrok i zamilkł.

Shi-Rong widywał już wcześniej takie przypadki. Kupiec brał sobie na przykład drugą żonę, a gdy jego dzieci ją oceniały, najbardziej liczyło się dla nich to, czy dzięki niej wzrośnie status rodziny. To było całkiem naturalne – odzywał się w nich instynkt samozachowawczy. Dzieci nienawidzą nowej żony nie dlatego, że jest ładna, podczas gdy ich matka właśnie traci urodę, ale dlatego że jeśli urodzi dzieci ich ojcu, one same mniej odziedziczą. Poza tym pogardzają nią, gdyż pochodzi z niższej klasy społecznej. Oczywiście jeżeli jest bogata i wnosi w posagu pieniądze, sprawy mają się inaczej.

Ru-Hai nic już nie powiedział, ale później tego samego wieczoru Shi-Rong zauważył, że jego syn z ciekawością przygląda się przechodzącej cicho przez dziedziniec Mei-Ling.

Nazajutrz wybrali się we trójkę w odwiedziny do prefekta. Mei-Ling i żona dostojnika zostały razem, podczas gdy prefekt i Shi-Rong zabrali Ru-Hai na wycieczkę po okolicy.

Rzeka Li, przepływająca obok domów i wijąca się między polami ryżowymi w obramowaniu górujących nad nią zielonych wzgórz, tworzyła tak malowniczy krajobraz, że widok wprost zapierał dech w piersiach. Na chłopcu duże wrażenie wywarli także spotykani na ulicy członkowie różnych plemion. Z podziwem spoglądał na mężczyzn z ludu Zhuang w surowych, granatowych strojach oraz na ich kobiety, również ubrane na granatowo, ale noszące do tego jaskrawo haftowane fartuchy. Jakby w kontraście do nich, kobiety Yao przywdziewały okazałe, kwieciste suknie obwieszone srebrnymi świecidełkami w takiej ilości, aż dziw brał, że w ogóle są w stanie w nich chodzić. Ru-Hai naliczył przynajmniej pięć społeczności, zgodnie zamieszkujących tę samą ulicę.

Zobaczył też wysokie drewniane domy, których najniższa kondygnacja służyła jako stodoła, wyżej mieszkali ludzie, a pod samym dachem mieściły

się magazyny.

– Tak wysoko nawet szczury się nie dostaną – zauważył, śmiejąc się, prefekt.

Zeszli nad rzekę, gdzie ujrzeli rybaków w łodziach.

– To prawdopodobnie najbardziej obfitująca w ryby rzeka w całym cesarstwie – powiedział Shi-Rong. – W tych wodach żyje ich aż dwieście gatunków.

– I wszystkie nadają się do jedzenia? – zainteresował się Ru-Hai. Ojciec nie wiedział i poprosił prefekta o wyjaśnienie.

– Kantończycy zjedzą niemal wszystko – odparł z uśmiechem dostojnik.

Na targowisku obejrzeli bogato wyszywane tkaniny na sprzedaż, każdą w stylu charakterystycznym dla danego plemienia. Przystanęli, żeby popatrzeć na tłum słuchający pary muzykantów. Jeden grał na flecie, drugi na rogu, a towarzyszył im starszy mężczyzna uderzający w wielki miedziany bęben.

– Ten bęben liczy zapewne kilkaset lat – powiedział Shi-Rong. Na ulicy pojawiła się grupa śpiewaków. – Zaczną występ dopiero za godzinę lub dwie, ale jeśli chcesz ich posłuchać, możesz się tu pokręcić i zaczekać – powiedział prefekt. – Gdybyś mógł spędzić tu cały rok, miałbyś okazję oglądać najróżniejsze ceremonie. Wiesz, że mają tu nawet walki byków?

Kiedy w południe wrócili do rezydencji prefekta, młody Ru-Hai prawie całkiem zapomniał o swoim wybuchu gniewu poprzedniego dnia i nabrał pewności, że Guilin to najbardziej egzotyczne i romantyczne miejsce, jakie kiedykolwiek odwiedził.

Po południu wciąż było bardzo ciepło. Ru-Hai znowu poszedł do miasta. Mei-Ling wróciła do domu i siedziała na kamiennej ławce w ogrodzie, częściowo ukryta za słodko pachnącym krzewem osmantusa. Wzięła ze sobą robótkę, żeby doskonalić się w sztuce haftu, lecz zanim zaczęła, na ścieżce ktoś się pojawił.

Zaskoczył ją widok Ru-Haia; sądziła, że nadal jest na targowisku i słucha występu śpiewaków.

Zanim ją dostrzegł, zdążyła przyjrzeć się jego twarzy; wydawał się zamyślony. Nie nadąsany, tylko pogrążony w głębokiej zadumie. Zapewne przyszedł do ogrodu, szukając tu samotności, pomyślała. Już miała wstać

i ustąpić mu miejsca, lecz chłopak rozpromienił się na jej widok i chętnie usiadł na ławce obok niej.

– Czy mogę ci zadać pytanie? – odezwał się.

– Oczywiście. – Skłoniła uprzejmie głowę.

– Jak zostałaś konkubiną mojego ojca?

– Och. – Nie spodziewała się, że będzie aż tak bezpośredni. – Twój ojciec okazał wielką życzliwość mojej rodzinie – odparła po chwili milczenia. – Ale jeśli ci o tym opowiem, musisz przyrzec, że nikomu tego nie powtórzysz. To mogłoby być kłopotliwe dla twojego ojca.

– Dobrze. – Zmarszczył czoło. – Przyrzekam.

– Kilka lat temu mój kuzyn wpadł w tarapaty – zaczęła Mei-Ling. – Był mi bardzo bliski, moja rodzina właściwie go adoptowała. Nazywałam go Braciszkiem. Oficjalnie twój ojciec powinien go aresztować, ale Braciszek był jeszcze młody i twój ojciec puścił go wolno. Miałam więc wobec niego dług wdzięczności i sądziłam, że nigdy nie uda mi się go spłacić. Później nie widziałam twojego ojca przez wiele lat, ale gdy kilka miesięcy temu przypadkiem znalazł się nieopodal mojej wioski, złożył nam wizytę. Mój drogi mąż zmarł półtora roku wcześniej. Twój ojciec i ja zaczęliśmy rozmawiać. Chyba czułam się wtedy samotna i prawdę mówiąc, wydawało mi się, że twój ojciec czuje się podobnie. I tak, od słowa do słowa… znalazłam się tutaj.

– Nie wiedziałem, że ojca stać na coś podobnego – stwierdził Ru-Hai, wyraźnie pod wrażeniem.

– Nikt z nas nie wie wszystkiego o innych, prawda? – odparła.

– Zapewne. – Ze smutkiem pokiwał głową. – Byłem na niego zły ze względu na matkę. Miałem nawet zamiar wrócić jutro do domu, gdyby nie zechciał mnie tutaj zatrzymać.

– Nie sądzę, aby cię zatrzymywał – powiedziała. – Raczej by tego nie okazał, ale byłby głęboko zraniony.

– Teraz to on rani moją matkę.

– Czy ona coś wie?

– Nie.

– A więc – wybacz, że to powiem, możesz o mnie źle pomyśleć – ale czy musisz jej mówić? Wiesz, że już niedługo wracam do domu.

– Nie sądzisz, że ojciec zabierze cię ze sobą w kolejne miejsce, do którego go poślą?

– Na pewno nie. Muszę wracać do swojej rodziny – odparła. – Wierzę, że twoi rodzice ponownie się zejdą.

– Może. – Ru-Hai zastanawiał się przez chwilę. – Matka dużo narzeka – wyznał posępnie. – Jej zdaniem ojciec powinien odnosić większe sukcesy w swojej karierze.

– Według mnie już odnosi.

– Być może. Ale ona tak nie uważa.

Wbił wzrok w ziemię. Chyba coś rozpamiętywał, więc mu nie przerywała. Nagle zwrócił się do niej:

– Czy uważasz mojego ojca za dobrego człowieka?

Spojrzała na niego oszołomiona. Czy syn w ogóle powinien zadawać takie pytania? I czy ona powinna odpowiedzieć?

– Kiedy jesteśmy młodzi – zaczęła ostrożnie – oczekujemy, że ludzie będą dobrzy albo źli. Ale to nie takie proste. Wszyscy jesteśmy trochę tacy, a trochę tacy. – Pomyślała o Nio. Ilu ludzi zabił jej Braciszek, zanim jeszcze dołączył do tajpingów? Wolała nie wiedzieć. – Niewielu jest dobrych przez cały czas – mówiła dalej. – Raczej bywają dobrzy. Trzeba po prostu mieć nadzieję, że człowiek częściej postępuje dobrze niż źle. Sądzę, że trzeba szukać w innych tego, co najlepsze – zakończyła.

– To wszystko?

– Cóż, zawsze można próbować zmienić to, co nie jest dobre w drugim człowieku. Myślę, że my, kobiety, częściej próbujemy zmieniać mężczyzn niż na odwrót.

– Naprawdę?

– Trzeba przy tym bardzo uważać. Jeśli kobieta za dużo gdera albo urazi w jakiś sposób dumę mężczyzny, on od niej odejdzie. Przeważnie rozsądniej jest przyjąć go takim, jaki jest. – Uśmiechnęła się kpiąco. Czy zorientował się, że mówiła o jego matce? Chyba tak, choć w żaden sposób nie dał tego po sobie poznać. W każdym razie wydawało się, że ten temat jest dla niego zamknięty.

– Uważasz zatem, że powinienem tu zostać?

– Tak. To piękne miejsce i myślę, że spędzisz tu miłe wakacje – odpowiedziała z uśmiechem. – Jestem pewna, że taki przystojny chłopak jak ty z łatwością zaprzyjaźni się z miejscowymi dziewczętami.

– Wszystkie godne szacunku dziewczęta siedzą w domach – odparł z powątpiewaniem. – Nikt nie może ich oglądać, dopóki nie wyjdą za mąż.

– Może znajdą się inne – odparła, wstając. – Powinnam iść teraz do twojego ojca. Jeśli pokłócisz się z nim z mojego powodu, będzie mi bardzo przykro. Ale jeśli tego nie zrobisz, kiedyś będziesz z tego zadowolony. Tak myślę. – Zastanawiała się, czy posłucha jej rady.

Dla Shi-Ronga ten miesiąc upłynął bardzo szczęśliwie. Wziął sobie do serca sugestię Mei-Ling i spędzał ze swoim synem tyle czasu, ile tylko mógł. Wyprawiali się na wycieczki po okolicy, podczas których opowiadał Ru-Haiowi różne przydatne rzeczy o służbie cesarzowi. Odwiedzali plemienne wioski, wspięli się na kilka szczytów, a nawet wybrali się razem na ryby.

Chłopak odniósł także sukces towarzyski. Prefekt i jego żona uważali go za czarującego. Kobieta doceniała jego urodę, prefekt zaś nie mógł się go nachwalić w listach do swoich przyjaciół, którzy mogli okazać się pomocni na dalszym etapie życia Ru-Haia.

Peng także miał swoją rolę do odegrania.

„Zabierz go, proszę, gdzieś wieczorem – zwrócił się do sekretarza Shi-Rong. – Powinien oddawać się rozrywkom z rówieśnikami”.

Kilka razy młodzieńcy wyszli więc razem, żeby się napić.

– Nie sądzę, aby z takim towarzyszem jak Peng wdał się w jakieś kłopoty – Shi-Rong zwierzył się Mei-Ling.

W połowie miesiąca powiedział jej:

– Dostałem list. Kiedy Ru-Hai stąd wyjedzie, wybierze się do krewnych swojej matki w Pekinie. Skoro więc czeka cię podróż w dół rzeki, do Guangzhou, czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, aby mój syn towarzyszył ci do portu? Tam wsiądzie na statek płynący wzdłuż wybrzeża i dalej Wielkim Kanałem, aż do Pekinu.

Mei-Ling od dawna cieszyła się na tę podróż. Rejs rzeką był szybszy i przyjemniejszy od wyprawy gościńcem. Powinno być ciepło i przyjemnie, a wokół piękne krajobrazy. Po raz pierwszy w życiu miałaby czas wyłącznie dla siebie i nie musiałaby spełniać żadnych powinności.

Nie chciała jednak okazywać niewdzięczności Shi-Rongowi ani niechęci chłopcu, zwłaszcza że pomysł był rozsądny, więc oczywiście się zgodziła.

Kilka dni przed wyjazdem Ru-Haia prefekt zaproponował im wycieczkę do jaskiń. Było ich sporo w okolicy, co wśród krasowych wzgórz nie było

niczym niespotykanym. Najbliższa znajdowała się zaledwie w odległości krótkiego spaceru od ich domu i Ru-Hai z ojcem kilka razy wybrali się tam z latarniami, żeby obejrzeć gąszcz stalaktytów, wdzięcznie zwieszających się z wysokiego stropu. Jaskinia była jednak dość mała.

– Pracuje tu pewien stary muzyk – rzekł prefekt. – Opowiedział mi kiedyś, że ojciec pokazał mu odludny zakątek cały zarośnięty sitowiem, które ścinał i z którego robił flety. Według niego była tam niegdyś duża jaskinia, nie wiedział jednak, gdzie znajduje się wejście, i nie znał nikogo, kto by to pamiętał. Być może dawno temu strop się zawalił albo wydarzyło się coś podobnego. Bardzo mnie tym zaciekawił. To chyba tylko około trzech mil stąd. Może pański syn i Peng spróbowaliby odnaleźć to miejsce? Mieliby zajęcie, a jeśli znajdą coś interesującego, zorganizujemy ekspedycję, żeby to obejrzeć.

Nazajutrz rano Peng i Ru-Hai, zachwyceni perspektywą czekającej ich przygody, ochoczo wybrali się w drogę wraz ze starym muzykiem. Wrócili wieczorem, z wypiekami na twarzach i ogromnie podekscytowani.

– To tylko trzy mile stąd, ale nikogo tam nie ma. Musieliśmy wyciąć sobie drogę w sitowiu i trochę pokopać, ale znaleźliśmy jaskinię! Jest naprawdę olbrzymia! – wołał Ru-Hai.

– Rzeczywiście robi wrażenie – przyznał Peng. – Jeżeli prefekt zechce ją zbadać, panie, będziemy potrzebowali kilku robotników i dwóch dni na przygotowanie.

– A także lampionów – dodał Ru-Hai. – Kolorowych, całe mnóstwo! Tysiąc!

– Na pewno nie aż tyle – odparł jego ojciec. – Będziesz miał szczęście, jeśli dostaniesz setkę.

Ale kiedy opowiedział o tym następnego ranka prefektowi, dostojnik roześmiał się w głos.

– Dajcie mu tysiąc – zarządził.

Orszak był zaiste imponujący: w pierwszej lektyce podróżował prefekt, w drugiej Shi-Rong. Dwie kolejne, nieco mniejsze, zajmowały żona prefekta oraz Mei-Ling. Dalej podążali różni mniej ważni urzędnicy i miejscowe osobistości, a za nimi, pieszo, gromadka gwardzistów i świta służących.

Poruszali się ścieżką wyciętą w sitowiu, aż dotarli do płaskiej polany przy skalnej ścianie, gdzie czekali Peng i Ru-Hai. Młodzieńcy powitali prefekta głębokimi ukłonami, Shi-Rong zauważył jednak, że jego syn szczerzy zęby w uśmiechu.

Gdy wszyscy dotarli na miejsce, ruszyli dalej pieszo stromym zboczem, na którym robotnicy ułożyli drewniane schodki. Nie uszli nawet pięćdziesięciu jardów, gdy ujrzeli wejście do jaskini; tunel oświetlony lampionami wiódł w głąb wapiennej skały. Peng i Ru-Hai poprowadzili całą grupę rozświetlonym korytarzem i nagle wszyscy znaleźli się w ogromnej sali.

Shi-Rong stanął obok prefekta, który zanosił się cichym śmiechem.

– Nigdy nie widziałem czegoś podobnego – stwierdził dostojnik. – Wydaje mi się, że twój syn wykorzystał wszystkie lampiony, które od nas dostał.

Widok był doprawdy imponujący. Jaskinia ciągnęła się na prawie trzysta jardów i była podzielona na kilka części. Największą stanowiła wielka, zakręcająca komnata, w której stalagmity, będące jakby miniaturami stromych krasowych wzgórz na zewnątrz, skupiły się na przeciwległym brzegu centralnie położonego podziemnego jeziora. Ru-Hai sprytnie umieścił niebieskie, czerwone i zielone lampiony wśród stalagmitów, tak że odbijały się w wodzie. Sprawiało to wrażenie jakiegoś magicznego miasta. Dostrzegłszy na stropie jaśniej nakrapiane fragmenty skał, ustawił białe lampiony dokładnie poniżej, dzięki czemu wydawało się, że nad kamiennym miastem górują połyskliwe, skłębione chmury. Na kilka minut wszyscy obecni zamarli w milczeniu i chłonęli piękno tego ukrytego świata.

– Czy możemy poprowadzić was dalej, panie? – zwrócił się wreszcie Ru-Hai do prefekta.

– Oczywiście.

Robotnicy ułożyli kamienną dróżkę wijącą się między niewielkimi stawami i stalagmitami. Długie stalaktyty zwieszały się ze stropu na podobieństwo palców próbujących po przyjacielsku muskać ich głowy. Tu też młodzieńcy znakomicie się spisali; światło lampionów co chwilę zastępowały głębokie cienie, w których stalaktytowe palce wyglądały jak należące do niewidzialnych duchów. Grupa dotarła do wystającej ściany, na której powyginane kamienne formacje tworzyły coś na kształt wodospadów, a następnie do miejsca, gdzie stała tylko jedna podziurawiona wapienna figura, jakby żywcem przeniesiona z chińskiego ogrodu.

– To był naprawdę dobry pomysł – stwierdził prefekt uradowany.

– Jak tu pięknie. Cudownie! – zachwycała się jego żona, po czym zwróciła się do Mei-Ling: – Prawda, moja droga?

– To jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie widziałam w życiu. Dziękuję wam, panie.

– Powinniśmy wszyscy podziękować tym oto młodzieńcom – rzekł prefekt. – Ja tylko powiedziałem im, gdzie może się znajdować ta jaskinia. Reszty dokonali sami.

– Za pozwoleniem, panie – odezwał się Peng – chcielibyśmy pokazać wam coś jeszcze, co z pewnością was zainteresuje jako uczonego.

– Uczonego, hę? Dalej, Shi-Rong! – zawołał prefekt. – Zobaczmy to obydwaj.

Prefekt, Shi-Rong i kilku mandarynów ruszyło w ślad za Pengiem w słabiej oświetlone dalsze partie jaskini. Pół tuzina robotników z latarniami na długich kijach czekało przy skalnej ścianie. Na znak dany przez Penga unieśli latarnie i zbliżyli je do skały.

– Coś takiego! – wykrzyknął prefekt.

Napisy. Dziesiątki napisów, wykonanych zapewne dużymi pędzlami i tuszem bezpośrednio na porowatej skale. Zapis był archaiczny, ale znaki dawały się odczytać bez trudu. Shi-Rong i prefekt uważnie im się przyglądali.

– Co o tym sądzisz? – spytał prefekt.

– Dynastia Tang. Rzekłbym nawet: wczesna dynastia Tang – odparł Shi-Rong.

– Też tak myślę. To miejsce musiało być użytkowane już tysiąc lat temu.

– Wygląda na to, że byli to jacyś uczeni mandaryni.

– Ile jest tych napisów? – zwrócił się prefekt do Penga.

– Na razie odkryłem siedemdziesiąt, panie.

– Należałoby je skopiować – stwierdził prefekt.

– Peng – zarządził Shi-Rong – skopiujesz je. Masz na to miesiąc.

– Tak, panie. – Peng skłonił głowę, nie wiadomo, smutny czy zadowolony z polecenia.

Dopiero w tym momencie Shi-Rong zdał sobie sprawę, że jego syn im nie towarzyszy. Zmarszczył brwi. Ru-Hai powinien być świadkiem odkrycia tak cennego dla nauki i wiedzy. Byłoby dobrze, gdyby pokazał prefektowi, że go to interesuje, a następnie wysłuchał, w jaki sposób jego ojciec tak łatwo zidentyfikował okres, z którego pochodziły napisy. Jednak go z nimi nie było. Gdzie się zatem podziewał?

Żona prefekta rozglądała się po jaskini. Gdy jej mąż i Shi-Rong poszli oglądać inskrypcje, ona i Mei-Ling zostały z resztą uczestników wyprawy. Mei-Ling stanęła nad wodą, a żona prefekta odeszła na bok, żeby mieć lepszą perspektywę.

Dwadzieścia czy trzydzieści osób, wliczając w to gwardzistów i służących, tkwiło to tu, to tam, niektórzy ukryci w cieniu, inni widoczni w świetle lampionów. Dwie albo trzy postacie majaczyły jako czarne sylwetki.

Mei-Ling wciąż stała samotnie nad brzegiem jeziorka. Odbijające się w wodzie kolorowe światła rzucały łagodny blask na jej twarz. Wpatrywała się w migotliwy krajobraz kamiennego „miasta", niepomna na wszystko inne w tych podziemnych czeluściach.

Żona prefekta pomyślała, że jej przyjaciółka doprawdy ślicznie wygląda ze swoją lekko uniesioną twarzą, nieziemsko bladą w błękitnym świetle. Lata jej płodności chyba powoli mijały, jednak w tej chwili wydawała się świeża i młoda. Co za szkoda, że Mei-Ling i Shi-Rong nie mogą się pobrać. Byliby ze sobą szczęśliwi.

No, ale na to nic się nie poradzi. Żona prefekta odwróciła głowę i zobaczyła Ru-Haia.

Chłopak stał przy ścianie, z twarzą oświetloną czerwonym lampionem. Też z wytężoną uwagą spoglądał na wodę. Próbowała się zorientować, w co chłopak tak się wpatruje, ale potrwało chwilę, zanim zrozumiała.

Ru-Hai nie odrywał wzroku od Mei-Ling.

W tym samym momencie ruszył w jej stronę i przystanął obok. Musiał się odezwać, bo Mei-Ling odwróciła się zaskoczona. Dodał coś jeszcze i Mei-Ling potaknęła, znów zwracając spojrzenie ku wodzie. Zapewne rzucił jakąś uwagę na temat malowniczego widoku, pomyślała żona prefekta. Odczekała chwilę i dołączyła do nich. Spostrzegłszy ją, Ru-Hai odsunął się od Mei-Ling, lecz ona sama się nie poruszyła.

Później, gdy szły we dwie do lektyk, żona prefekta się odezwała:

– Młody Ru-Hai jest w tobie zakochany. Zauważyłaś?

– We mnie? – Żadna kobieta nie odrzuciłaby kategorycznie takiej opinii. – Nie sądzę – odparła Mei-Ling. – Mogłabym być jego matką.

– Takie związki wcale nie są rzadkością. – Jej przyjaciółka się uśmiechnęła. – Poza tym wyglądasz najwyżej na trzydzieści lat. Jestem pełna uznania dla jego gustu.

– Nonsens. – Mei-Ling pokręciła głową.

– Prawdopodobnie już wcześniej skłaniał się ku temu, bo jesteś piękna i okazałaś mu życzliwość, ale chyba dopiero dzisiaj, w tej jaskini, doznał czegoś w rodzaju objawienia.

– No tak. Jaskinia.

– To takie magiczne miejsce.

– Cóż – odrzekła sucho Mei-Ling – jestem pewna, że wkrótce mu przejdzie.

Ale jeśli sądziła, że na tym ta sprawa się skończy, była w błędzie.

Następnego ranka, gdy Ru-Hai wyszedł z ojcem, żona prefekta zajrzała do Mei-Ling na pogawędkę.

– Wiesz – odezwała się – jestem pewna, że Ru-Hai nie był jeszcze z żadną kobietą.

– Raczej nie – zgodziła się z nią Mei-Ling.

– Nie myślałaś o tym?

– Nie. Dlaczego miałabym myśleć?

– Mogłabyś.

– Ale nie myślałam.

– Cóż, powinna się nim zająć jakaś miła kobieta. Tak byłoby lepiej, niż gdyby miał to zrobić z jakąś dziewką w ciemnym zaułku miasta. Pomyśl o ryzyku, jakie by się z tym wiązało.

Mei-Ling wpatrywała się w przestrzeń przed sobą. Na podstawie ich częstych rozmów zdążyła się zorientować, że w cztery oczy żona prefekta potrafi być dosadna, nawet grubiańska. I że snucie drobnych intryg nie jest poniżej jej godności.

– Ktoś na pewno zdoła coś zaaranżować – odparła oschle.

– Bez wątpienia. Ale czy nie byłoby mu przyjemniej zrobić to z kimś, w kim jest zadurzony? Zachować to cenne, magiczne wspomnienie na resztę życia?

Mei-Ling milczała.

– Lubisz go przecież, prawda?

Mei-Ling zachowała swoje myśli dla siebie.

W przeddzień wyjazdu Mei-Ling Shi-Rong rzekł do niej łagodnie:

– Naprawdę żałuję, że wyjeżdżasz. Powiedziałem ci już, co czuję. Dotrzymałaś swojej części umowy, a nawet wypełniłaś ją z naddatkiem. Zanim tu przyjechałaś, zaufałem ci i zapłaciłem z góry. Teraz daję ci drugie

tyle. Będziesz potrzebowała pieniędzy na edukację Jasnego Księżyca. – Uśmiechnął się. – Mam nadzieję, że dobrze cię traktowałem.

– Nie mógłbyś traktować mnie lepiej. – Umilkła. – Ale ponieważ naprawdę chcesz mi pomóc, wyznam szczerze, że potrzebuję czegoś jeszcze. W naszej wiosce wszyscy jesteśmy prostymi chłopami, znamy parę zamożniejszych osób w najbliższym mieście, ale to wszystko. Nie zdołamy znaleźć Jasnemu Księżycowi męża, na jakiego zasługuje. Taka uroda nie powinna się zmarnować.

– Nie powinna.

– Ty mógłbyś znaleźć jej odpowiedniego męża. Jest jeszcze dużo czasu.

– Tak. – Shi-Rong powoli skinął głową. – Zobaczę, co da się zrobić.

Nazajutrz rano Mei-Ling i Ru-Hai ruszyli w drogę. Podróżowali z wszelkimi wygodami – prefekt nalegał, aby popłynęli jego prywatną łodzią rzeczną. Był to duży sampan z żaglem i zadaszonym miejscem do siedzenia przypominającym namiot, wyposażonym w obite tkaninami ławy i otomany z mnóstwem jedwabnych poduszek, na których można było komfortowo siedzieć, spać i spożywać posiłki. Towarzyszyła im służąca i załoga składająca się z sześciu żeglarzy.

Prefekt osobiście odprowadził ich na pomost. Był z nim Shi-Rong, który bardzo długo i serdecznie żegnał się z Mei-Ling, oraz żona prefekta, która zanim odbili od brzegu, szepnęła jej coś życzliwie do ucha.

Ru-Hai był wyraźnie podekscytowany czekającą go podróżą. Mei-Ling z przyjemnością zauważyła, że żegnając się z ojcem, dał wyraz głębokiemu synowskiemu przywiązaniu; cieszyło ją, że w pewnym stopniu mogła się do tego przyczynić.

Odpłynęli, machając do niewielkiej grupki na pomoście, dopóki powoli nie zniknęła im z oczu za zakolem rzeki.

Mei-Ling oparła się o poduszki i podziwiała widoki. Pogoda była idealna, lekki wietrzyk muskał policzki, rzeka lśniła w porannych promieniach słońca. Ku błękitnemu niebu wznosiły się strome zbocza krasowych wzgórz.

Podróż miała potrwać kilka dni. Po drodze będą mijali dwie sławne gospody, w których mogliby spędzić noc, ale oczywiście mogą też nocować na statku. Czekały ich niespieszne dni pełne niczym niezmąconego spokoju.

Mei-Ling uświadomiła sobie, że być może w całym swoim życiu nie miała tyle czasu tylko dla siebie, bez żadnych obowiązków, żadnej odpowiedzialności. Wypełniła wszystkie zobowiązania, na które umówiła się z Shi-Rongiem, a dopiero za dwa tygodnie czekał ją powrót do zwykłych domowych zajęć.

To było magiczne interludium, czas tylko dla niej, z dala od wszystkiego i wszystkich. Poczuła lekki dreszczyk podniecenia.

Spojrzała na Ru-Haia. Patrzył na nią. Uśmiechnął się, chyba zawstydzony, odwrócił wzrok i udawał, że podziwia góry.

Pomyślała o swojej przyjaciółce, żonie prefekta. Co takiego szepnęła jej, kiedy się żegnały? „Nie zapomnij zaopiekować się tym chłopcem”.

Mei-Ling pokręciła głową. Niemądra kobieta. Myśleć o czymś takim, w jej wieku! Ru-Hai budził w niej wyłącznie macierzyńskie uczucia. Bardzo miłe uczucia, oczywiście.

Zamknęła oczy i oddała się rozmyślaniom.

Był przystojny, to prawda. Właściwie miała już przed sobą młodego mężczyznę.

Czy ktoś by się dowiedział, gdyby to zrobiła? I czy kogokolwiek by to obeszło? Co pomyślałby sobie o niej Shi-Rong? Nie wiedziała. Czy mogła polegać na dyskrecji chłopca? Dobre pytanie; przypuszczała, że było to mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe.

Nigdy wcześniej nie pozwoliła sobie na nic podobnego. Gdyby zrobili to teraz, w tym magicznym miejscu, chyba nikomu nie stałaby się wielka szkoda?

Otworzyła oczy i zobaczyła, że Ru-Hai znów na nią patrzy.

Cóż, pomyślała sobie, sama nie wiem. Może to zrobię, a może nie. Wiedziała jedno: jeżeli się zdecyduje, będzie to musiało pozostać jej osobistym sekretem.

MISJONARZ

1875 rok

JOHN TRADER WYBRAŁ drogę na skróty i cwałował teraz przez otwartą przestrzeń. Nieistotne spotkanie w sąsiedniej posiadłości, w którym obiecał uczestniczyć, skończyło się dopiero o wpół do pierwszej i był już spóźniony.

Spóźniony na przyjazd Emily, swojej ukochanej córki.

Agnes umarła przed trzema laty, dość nieoczekiwanie, pogrążając całe hrabstwo w żałobie. Emily była podobna do matki jak dwie krople wody, a zarazem urocza na swój własny sposób. Ilekroć John był z jakiegoś powodu przygnębiony, jego żona miała w zwyczaju ze spokojem oddawać się modlitwie, Emily zaś, już jako dziecko, przychodziła do gabinetu, w którym zwykle pracował, siadała obok, brała go za rękę i mówiła: „Nie martw się, papo”, po czym dodawała: „Pójdziemy na spacer?” i nawet jeśli John nie był w nastroju, wstawał, ujmował ją za rączkę, po czym wychodzili razem do ogrodu, co zawsze poprawiało mu humor. Zwykle zanim się obejrzał, Emily wracała z jakimś obrazkiem, który właśnie dla niego namalowała i który przypinał do deski umieszczonej na blacie sekretarzyka, żeby móc przez cały czas na niego patrzeć.

Dzisiaj w południe miała go odwiedzić ze swoim mężem Henrym. Mogli spędzić w posiadłości tylko dwa dni. A potem? Kto wie, co będzie potem?

Oczom jego ukazał się duży dom w Drumlomond. Zbudowany z czerwonego piaskowca, wyglądał jak większość budynków mieszkalnych w okolicy: był kwadratowy i rozległy. Trader zwykł mówić z sympatią, że trochę przypomina koszary, jednak ze swoimi przestronnymi pokojami, oranżerią z papugą w klatce i stajniami jawił się jako raj dla ich dorastają-

cych dzieci, dla których dodatkową atrakcję stanowiły stodoła i zwierzęta gospodarskie oraz fakt, że na terenie posiadłości można było łowić ryby i polować z psami.

W jesiennym słońcu dom emanował aurą solidności i spokoju. Po przeprowadzce nadali posiadłości nową nazwę od rodowego nazwiska Agnes, co spotkało się z powszechną aprobatą i miało odtąd przypominać całemu hrabstwu, że rodzina Lomondów zamieszkiwała te okolice od pokoleń. Cóż z tego, że John Trader kupił ją za zyski czerpane z handlu opium; fakt ten szczęśliwie zacierał się stopniowo w powszechnej pamięci. Odkąd ostatnimi czasy brytyjscy plantatorzy nauczyli się uprawiać herbatę w Indiach i Brytyjczycy zagustowali w ciemniejszym naparze z Darjeeling, nie było już takiego popytu na chińską herbatę. Miejsce Johna w spółce zajął jego najstarszy syn i firma zarabiała obecnie o wiele więcej na imporcie indyjskiej herbaty niż na sprzedaży opium Chińczykom.

Jednak dla Johna Tradera Drumlomond przestał być oazą solidności i spokoju z chwilą, gdy w jego życiu pojawił się Henry Whiteparish i ukradł mu córkę.

Już owego pierwszego, strasznego dnia, kiedy przyszedł list od Henry'ego, John próbował przemówić Emily do rozsądku.

– Pamiętasz, jak pojechałaś do Paryża?

– Tak, papo. – Od młodych dam wymagano znajomości francuskiego, lecz podstawy konwersacji, opanowane dzięki angielskim guwernantkom, okazały się niewystarczające, gdy postanowiły kiedyś wypróbować swoje umiejętności na młodym gościu z Francji, bawiącym przejazdem w okolicy. Młodzieniec wybuchnął śmiechem, co oczywiście było bardzo niegrzeczne z jego strony, lecz zarazem dowodziło niedostatków domowej edukacji. Trzeba było temu jakoś zaradzić.

Emily wyjechała więc za granicę, po raz pierwszy w życiu. Była zachwycona, nawet nauczyła się trochę francuskiego, po czym stwierdziła, że chciałaby więcej podróżować.

– Obawiam się, że według ciebie wyjazd do Chin z misjonarzem będzie czymś podobnym do pobytu w Paryżu – rzekł. – A to coś zgoła innego.

– Uważasz, że Henry nie jest dla mnie odpowiedni?

– Tak uważam.

– To mój kuzyn.

– Wiem.

– Kocham cię, papo, i wolałabym tego nie robić, ale ostatecznie mogę z nim uciec i wziąć ślub potajemnie.

– Potajemnie? – Trader spojrzał na nią zdumiony. Nigdy wcześniej nie słyszał, aby jakakolwiek panna chciała zbiec z misjonarzem. Czy misjonarzom wolno było w ogóle żenić się w sekrecie?

* * *

Najsilniejsze wsparcie przyszło z zupełnie nieoczekiwanej strony. Po rozmowie z Emily Trader siedział w bibliotece, gdy kilka minut po godzinie dwunastej w południe na podjazd przed domem wjechała ładna bryczka, z której wysiadł w pośpiechu wyraźnie zrozpaczony Cecil Whiteparish w kapeluszu z dużym rondem.

– Drogi kuzynie! – wykrzyknął, gdy tylko odźwierny go zaanonsował. – Wybacz, że zjawiam się bez uprzedzenia, ale jak tylko usłyszałem tę straszną nowinę, wyruszyłem z Salisbury do Londynu, gdzie od razu wsiadłem w pociąg do Dumfries.

Trader zaprowadził go do biblioteki.

– Co o tym wszystkim sądzisz? – spytał, zanim jeszcze usiedli.

– Och, naturalnie trzeba temu zapobiec! – zawołał Whiteparish. – I to niezwłocznie! Chyba muszę się napić – wyznał, opadając na skórzany fotel.

Z wdzięcznością przyjął szklanicę ze szkła ołowiowego, napełnioną od serca miejscową whisky bladnoch. Upił duży łyk, pokręcił głową i oznajmił:

– To wszystko przeze mnie.

– Nie wydaje mi się – odparł Trader łagodnie. – Równie dobrze ja mógłbym się obwiniać. Sam go tu zaprosiłem.

– Nie. Zaprosiłeś mnie i Minnie, niemal natychmiast po moim powrocie na stałe do Salisbury, co było niezwykle uprzejme z twojej strony. A ponieważ Henry właśnie przyjechał z Chin, a ja byłem z niego taki dumny i – przyznaję – chciałem mu pokazać wspaniałą posiadłość kuzyna, zapytałem, czy może nam towarzyszyć, a ty się zgodziłeś. Nie przewidziałem, do czego to doprowadzi.

Tamta wizyta była właściwie całkiem udana. Spędzili razem tydzień, czerpiąc przyjemność z rodzinnych posiłków i spacerów po okolicy. Byli

też w kościele, gdzie misjonarza i jego żonę powitano z głębokim szacunkiem. Jednego wieczoru John zaprosił nawet kilkoro bardziej religijnych sąsiadów na kolację; wypytywali Cecila drobiazgowo o Chiny oraz o prowadzoną tam przez niego działalność misyjną i uznali go jednogłośnie za wspaniałego człowieka.

Prawdę mówiąc, przez cały ten tydzień nikt nie zauważył, że Henry i Emily spędzają dużo czasu w swoim towarzystwie.

– Wiedziałeś, że Henry i twoja córka zaczęli potem ze sobą korespondować? – spytał go Cecil.

– Nie od razu.

– Oczywiście napisał do niej z siedziby misji w Londynie, żeby nie wyglądało to na prywatną korespondencję. Uraziło mnie, że nic mi o tym nie wspomniał.

– Miał prawie trzydzieści lat. Nie musiał.

– Nie wspomniał, bo dobrze wiedział, co by ode mnie usłyszał. A potem Emily wraz z siostrą wyjechały na tydzień do Edynburga, dokąd on także podążył i spotkał się z nimi niby przypadkiem. To już było podstępne!

– Jak powiadają, w miłości i na wojnie wszystkie chwyty są dozwolone.

– Nie, jeżeli jest się misjonarzem! – odparował Cecil z wściekłością. – Mój syn potraktował cię w sposób odrażający.

– Powiedziałeś mu to?

– Ma się rozumieć! Jak również że jest kłamliwy, egoistyczny i nieodpowiedzialny.

– I co on na to?

– Och, to, co zwykle: że mnie szanuje, ale w tym wypadku musi kierować się własnym osądem. Stara śpiewka.

– Emily oświadczyła mi, że jest gotowa z nim uciec i poślubić go potajemnie.

– Uciec? – Cecil aż zamrugał z wrażenia. – Potajemnie?

– Jest pełnoletnia, niewykluczone zatem, że w świetle prawa byłoby to legalne. Jak zareagowałyby władze misji, gdyby rzeczywiście uciekli, a potem pojawili się w Chinach? Zakładając, rzecz jasna, że byliby małżeństwem?

– Ufam, że natychmiast odesłano by ich z powrotem – odparł stanowczo Cecil, po czym umilkł na moment. – Chociaż kto wie – dodał. – Stale brakuje im rąk do pracy. – Oszołomiony pokręcił głową. – Co ona w nim

widzi? Nie jest wysoki ani przystojny jak jego bracia. Prezentuje się niewiele lepiej ode mnie.

– Ma w sobie pewien magnetyzm – odparł Trader w zamyśleniu. – Wie, czego chce, i jest uparty. Kobiety to lubią. Pytanie, jak daleko sprawy zaszły… Chociaż przyzwoitka nie odstępowała Emily na krok.

– Boże, uchowaj! Nawet nie chcę o tym myśleć!

– Nie sądzę, aby ją uwiódł. Albo ona jego. Myślę, że zakochała się w samej idei bycia żoną misjonarza. Wydaje jej się, że to takie romantyczne…

– W byciu żoną misjonarza nie ma absolutnie nic romantycznego – powiedział Cecil zdecydowanie. – Absolutnie nic. – Ze złością pociągnął łyk whisky i przez kilka chwil rozmyślał w milczeniu. – Znaczną część życia spędzam, prosząc ludzi o pieniądze na wsparcie misji – rzekł wreszcie powoli i uśmiechnął się słabo. – Poznałem większość sztuczek, które bywają w tym pomocne. Oczywiście szczera wiara w to, że służę dobrej sprawie, także się przydaje. – Znów zamilkł. – Ale nigdy nikogo nie zachęcam do wyboru misjonarskiego powołania.

– A jeśli ktoś cię pyta, czy powinien obrać tę ścieżkę? Chyba go nie zniechęcasz?

– Owszem, zazwyczaj tak właśnie robię, nawet jeśli człowiek ów mnie zapewnia, że bardzo tego pragnie.

– Dlaczego?

– Ponieważ z moich obserwacji wynika, że – jak w przypadku wielu trudnych powołań – najlepszymi misjonarzami nie są ci, którym najbardziej zależy na karierze, tylko ci, którzy po prostu nie wyobrażają sobie innego życia. Najlepsi duchowni w Kościele zwykle wcale nie pragnęli podążać tym kamienistym szlakiem, lecz coś ich nań skierowało. Sądzę więc, że masz rację: Emily zakochała się w idei misjonarskiego życia – i właśnie dlatego nie powinna wychodzić za misjonarza.

– Powiesz jej to?

– W krótkich, prostych słowach.

Uczynił to już następnego wieczoru. Wytłumaczył dziewczynie grzecznie, acz stanowczo, jak naprawdę wygląda życie misjonarza.

– Jedną z najgorszych rzeczy – rzekł – jest to, że nigdy nie wiadomo, komu można zaufać. Kiedy myślisz, że wreszcie udało ci się kogoś nawró-

cić, okazuje się, że czeka cię kolejne rozczarowanie. – Opisał jej ciągły niedostatek pieniędzy, zmartwienia związane z dziećmi i konflikty, do jakich w tak trudnych warunkach może dochodzić między małżonkami. – Poza tym będziesz tam samotna. Będziesz tęskniła za domem. Krótko mówiąc, wszystko wygląda inaczej, niż to sobie wyobrażasz. Ostatecznie dojdziesz do wniosku, że popełniłaś ogromny błąd.

Emily uśmiechnęła się, skinęła lekko głową i odparła:

– Mówi pan zupełnie jak Henry.

– Naprawdę?

– Stale powtarza mi to samo co pan.

Trzeba było wytoczyć najcięższe działa.

– Sądzisz, że wszystko się ułoży, bo będziesz tam razem z Henrym, muszę ci jednak powiedzieć, że moim zdaniem nie tylko jesteś nieprzygotowana do takiego życia, ale w ogóle się do niego nie nadajesz. Od urodzenia cieszyłaś się wszelkimi wygodami i komfortem, a życie w chińskiej misji jest trudne. Często trzeba pracować fizycznie, własnymi rękami. Nie spodoba ci się to i, jeśli mam być zupełnie szczery, zwyczajnie temu nie podołasz.

– Panie Whiteparish, może i mieszkam w dużym domu, ale to wiejski dom. Znam robotników rolnych, dorastałam wspólnie z ich dziećmi. Wiem dobrze, jak wygląda ich życie, i znam smak pracy fizycznej.

– Ale Chiny w niczym nie przypominają Galloway. Będą cię otaczali ludzie, z których żaden nie zna angielskiego. Żaden!

– Niektórzy starcy w Galloway też nie mówią po angielsku, tylko po gaelicku. Sama znam trochę ten język.

– Nie przyszło ci do głowy, że możesz niechcący stać się zawadą dla swojego męża?

– Naprawdę tak pan sądzi? – Przez jej twarz przemknął cień.

– Obawiam się, że tak.

Emily milczała ze zmarszczonym czołem. Czyżby jego słowa do niej dotarły? Czy istniał promyk nadziei? Chwali jej się, że nie chciałaby zawieść Henry’ego, pomyślał Cecil. Wydaje się to znaczyć dla niej więcej niż cokolwiek innego.

– Henry twierdzi, że we mnie wierzy – odezwała się niepewnie dziewczyna. – Mówi, że Bóg da mi siłę, której potrzebuję. Myśli pan, że się myli? – Spojrzała na niego z powagą. – Że oszukuje sam siebie, ponieważ mnie kocha?

Cecil Whiteparish popatrzył na nią. Co miał jej odpowiedzieć? Chyba prawdę, bo cóż by innego?

– Nie wiem – odparł. – Ale rozumiem, dlaczego cię kocha.

Ślub udał się dzięki pułkownikowi Lomondowi, który przemówił krótko i treściwie.

– Nasza urocza panna młoda wychodzi za mąż za krewniaka, co zwykle jest rozsądnym posunięciem. Bądź co bądź poślubiając kogoś z rodziny, wiemy, czego się po nim spodziewać. – Rozległy się pomruki aprobaty; żaden z przedstawicieli szkockiej szlachty nie ośmieliłby się nie zgodzić z tym zdaniem. – Krewniak, o którym mowa, jest w dodatku człowiekiem, który postanowił oddać się służbie naszej religii, co zresztą wszyscy powinniśmy czynić. Co więcej – mówię to jako stary wojak – w tym celu jest gotów stawić czoło niewygodom i grożącym mu niebezpieczeństwom. Los dał mu żonę z naszej rodziny, która – co stwierdzam z dumą – gotowa jest towarzyszyć mu w tej misji. Wznieśmy zatem kielichy w naszym tradycyjnym szkockim toaście: zdrowia! – Zamilkł, po czym dodał z przekonaniem: – I długiego życia!

Wszyscy zrozumieli, co chciał przekazać; po takim toaście mogło paść jedynie więcej życzliwych słów.

Siedzieli we troje przy dużym stole w jadalni. Był czwartek, więc na lunch podano zimną wołowinę i marynaty. Trader lubił popijać to danie francuskim winem, o którym w owym czasie nikt jeszcze nie słyszał, odkrytym niedawno przez jego kupca winnego.

– Nazywa się beaujolais. To czerwone wino, ale podaje się je schłodzone – wyjaśnił mu kupiec. Drumlomond było zatem jedynym miejscem w Szkocji, gdzie podawano je w czwartki do wołowiny z marynatami.

Rozmawiali o rodzinie, przyjaciołach i innych ogólnych sprawach, dopóki ze stołu nie sprzątnięto głównego dania.

W większości dobrych domów kucharka specjalizowała się w określonych daniach. Pani Ives z Drumlomond była mistrzynią wypieków. W zależności od pory roku przyrządzała łososia zapiekanego w cieście albo polędwicę à la Wellington – potrawy wspominane potem przez gości całymi latami – a niezależnie od pory roku, po kolacji oraz po mięsnym daniu na lunch, serwowała zawsze dwie tarty – owocową i wytrawną. Tego dnia

z okazji przyjazdu Emily upiekła tartę z grzybami, wiedząc, że to jej ulubiona.

Emily wydała okrzyk radości. Rozpromienioną panią Ives zawezwano z kuchni i podziękowano jej jak należy, po czym John Trader przeszedł wreszcie do zasadniczego tematu rozmowy.

– Cóż, moja droga – zaczął – wraz z Henrym spędziliście w Londynie kilka miesięcy. Dużo było przygotowań przed podróżą?

– Owszem, papo, dość dużo.

– Z radością dodam, że Emily, poza wszystkim innym, zaczęła się uczyć chińskiego – powiedział Henry – i poczyniła niezwykłe postępy.

– Brawo, kochanie. – Trader z uznaniem skinął głową. Mógł sobie nie życzyć, aby poślubiła misjonarza, ale skoro już tak się stało, należało poważnie traktować swoje obowiązki. – Jestem z ciebie dumny. Czy wiecie już, dokąd was wyślą?

– Jeszcze nie, papo.

– Najpierw, oczywiście, udamy się do Hongkongu – wyjaśnił Henry. – Być może trafimy do Szanghaju, co nie byłoby wcale takie złe, ale możemy też ruszyć do któregoś z portów wymienionych w traktacie albo w ogóle dalej w głąb kraju.

– Widziałem ostatnio kilka fotografii – rzekł Trader. – Z podpisów wynikało, że przedstawiają protestanckie misje w Chinach, jednak na ile byłem w stanie się zorientować, wszyscy na nich byli odziani w stroje chińskich kupców. Czy pomylono podpisy, czy też istotnie będziesz nosił taki strój, Henry? A jeśli tak, to z jakiego powodu?

– Ach. – Henry pokiwał głową. – Podpis był zapewne prawidłowy. Nie jestem pewien, ale jeśli o mnie chodzi, mogę nosić się jak miejscowi kupcy, przynajmniej od czasu do czasu.

– Dlaczego?

– Proszę sobie wyobrazić, że jest pan Chińczykiem, postawić się na ich miejscu. Weźmy pod uwagę, co tam się wydarzyło przez ostatnie trzydzieści lat: wojny opiumowe, spalenie Pałacu Letniego – wszystko to były akty świadczące o wielkim braku szacunku z naszej strony, a jeśli jeszcze wspomnimy odrażające morderstwa i zniszczenia dokonane przez zbuntowanych tajpingów, nic dziwnego, że Chińczycy są podejrzliwi w stosunku do Brytyjczyków i do ich religii. Większość z nich zresztą uważa, że tajpingowie czcili to samo bóstwo co my. – Zamilkł na chwilę. – Wojnę można wygrać szybko, ale zdobycie zaufania trwa o wiele dłużej. Dobrym sposobem na

załagodzenie tej sytuacji jest poszanowanie miejscowych obyczajów, jeśli nie stoją w sprzeczności z naszą wiarą. Przywdziewanie lokalnych strojów wydaje się oczywistym wyborem, zwłaszcza że są one dobrze dostosowane do tamtejszego klimatu.

– To rzeczywiście rozsądne – zgodził się Trader. – Gordon także zwykł nosić chiński mundur. – Po chwili dodał: – Cieszę się, że w dzisiejszych czasach bezpieczniej jest wykonywać posługę misjonarza.

Henry zacisnął wargi.

– Niektóre rzeczy istotnie się zmieniły – przyznał ostrożnie.

– Wyczuwam w twym głosie wątpliwości.

– Nigdy nie powinno się lekceważyć potencjalnego zagrożenia – odparł jego zięć; z natury nie potrafił kłamać.

– Co cię martwi najbardziej? – spytał Trader.

– Zanim odpowiem – odrzekł Henry – muszę pana zapewnić, że nie chodzi mi o rywalizację religijną ani o niechęć do Kościoła katolickiego, który ma w swoich szeregach jednych z najlepszych znanych mi ludzi. Uważam jednak, że w Chinach katolicy popełnili błąd.

– Jak to?

– Mam na myśli budowę kościołów. Stawiają te swoje olbrzymie budowle w ważnych i otaczanych czcią miejscach, co obraża rdzennych mieszkańców. Jeden wzniesiono w miejsce starej świątyni, inny na terenie jamenu gubernatora. Widać je z odległości wielu mil, całkiem zdominowały okoliczny krajobraz.

– To przecież nic nowego, prawda? – stwierdził Trader. – Od początków chrześcijaństwa Kościół stawia sobie za punkt honoru wznoszenie swoich budowli sakralnych tam, gdzie niegdyś stały pogańskie świątynie, tak jak przejął pogańskie święta: letnie przesilenie, Halloween i tym podobne. Pragnie triumfować na każdym polu.

– To prawda, ale zwykle najpierw robiono coś innego – nawracano władcę, a wówczas lud podążał za nim. Przez trzy wieki jezuici mieli nadzieję, że nawrócą chińskich cesarzy, ale to im się nie udało. I z pewnością nie zdołają tego dokonać z Cesarzową Wdową Cixi. Krótko mówiąc, katolicy nie dysponują wystarczającą siłą, aby zatriumfować.

– Czyli obcy barbarzyńcy zwyciężają Chińczyków w walce, potem ich obrażają, a następnie obnoszą się ze swoją wyższością, zawłaszczając ziemie, których nie kontrolują – podsumował Trader. – Nie za dobrze to wygląda.

– Moja wiara jest oczywiście bezwarunkowa, inaczej nie wybierałbym się tam – ciągnął Henry. – To kwestia opinii, ale zdaje mi się, że triumfalizm zawsze jest nierozsądny. Jest proszeniem się o kłopoty. Jako chrześcijanin dodałbym także, że zawsze lepiej okazywać pokorę.

– Czy coś zwiastuje kłopoty?

– W popularnych gazetach pojawiają się rozmaite hasła skierowane przeciwko katolikom – odparł Henry. – Choć to, czy zwykli ludzie odróżniają katolików od protestantów, to już inna sprawa. Oskarża się chrześcijan o porywanie chińskich dzieci, picie ich krwi i tak dalej, co oczywiście jest kompletnym nonsensem. W gruncie rzeczy dokładnie to samo chrześcijanie wygadywali w średniowieczu o Żydach. W każdym razie – ciągnął ze spokojem – gdyby, co nie daj Boże, w przyszłości sprawy przybrały kiepski obrót, powinienem zdążyć szybko ewakuować Emily i dzieci, o ile będziemy je mieli. Już z nią o tym rozmawiałem.

John Trader siedział w milczeniu. Naprzeciwko niego na ścianie wisiał szkocki pejzaż, przedstawiający zachód słońca w górach. Bił od niego ponury blask, jakby zwiastun żałoby.

– A więc zdołasz wydostać ich na czas? – spytał Trader powoli. – Jesteś tego pewien?

– O, tak – odparł Henry. – Tak sądzę.

JINGDEZHEN

1875 rok

NA POŁUDNIOWYM BRZEGU potężnej rzeki Jangcy, jakieś sto pięćdziesiąt mil na północ od starożytnego miasta Nankin, główny nurt zasilały dopływy z okolicznych wzgórz. Nad jednym z tych dopływów, w odległości jednego dnia drogi, w głębokiej, bezpiecznej dolinie leżało miasto – spokojne, choć wystarczająco ważne, aby prefekt miał tam swoją rezydencję.

Jego peryferie różniły się od przedmieść innych chińskich miast. Zamiast rozrzuconych tu i ówdzie pojedynczych warsztatów, podwórek i składzików były ich tam całe setki, z dachami najeżonymi gęstwą krótkich ceglanych kominów widocznych wśród koron drzew.

To było Jingdezhen, chińska stolica porcelany, gdzie ceramika wytwarzana z miejscowej gliny była formowana, malowana, szkliwiona i wypalana w miejskich piecach w liczbie ponad dziewięciu tysięcy, wliczając w to te najmniejsze. Garncarze z Jingdezhen produkowali porcelanę już w czasach dynastii Han, ponad tysiąc pięćset lat temu. Istniało wiele jej odmian, lecz za najsłynniejszą uważano tę w kolorach bieli i błękitu.

Najdoskonalsze dzieła były zarezerwowane dla dworu cesarskiego.

Większość mieszkańców Jingdezhen zgodziłaby się, że w ostatnim czasie ich miasto miało szczęście do prefekta, był nim bowiem człowiek o nieposzlakowanej uczciwości.

Zwłaszcza jego przestrzeganiu prawa nie można było niczego zarzucić. Wdzięczni mu byli szczególnie najubożsi; biada każdemu miejscowemu urzędnikowi, który wziąłby łapówkę w zamian za wyrok skazujący bied-

nego, lecz niewinnego podsądnego! Jeśli już należało wymierzyć karę, była ona zazwyczaj łagodna; szczególną awersję prefekt żywił do tortur. Krótko mówiąc, był życzliwy, ale uczciwy.

A jeśli zdarzało się, że w duchu wzajemnego zrozumienia i przyjaźni dopomógł któremuś z miejscowych przedsiębiorców uniknąć pewnych utrudnień, ten zaś z wdzięczności mu się zrewanżował, pozostawało to ściśle między nimi. Tego rodzaju rozwiązania zwykle sprzyjały handlowi, więc wszyscy w Jingdezhen je akceptowali. Jedyną osobą, która mogła na tym nie skorzystać, był cesarz, ale cesarz znajdował się daleko i niewielu się nim obecnie przejmowało.

Grunt to dobre wyczucie czasu. Shi-Rong spojrzał na miasto z balkonu rezydencji prefekta i uśmiechnął się. Był przepiękny jesienny dzień. W głębi ulicy dostrzegł właśnie swoją ofiarę i był całkowicie przekonany, że odniesie sukces. Zaplanował wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

Przed pięciu laty owdowiał i chociaż nie byli z żoną blisko, ogromnie jej współczuł. Długo chorowała na raka, a on przez cały ten czas cierpiał razem z nią.

Nie wziął sobie potem nowej żony. Sam nie wiedział, czy tak bardzo zagustował w krótkotrwałych związkach, jak ten z Mei-Ling, czy też odczuwał podskórny lęk, że następna żona również okazałaby się zrzędzącą megierą, tak jak pierwsza.

Kilka miesięcy temu rozstał się ze swoją ostatnią konkubiną. Wkrótce zapewne poszuka kolejnej, ale żenić się nie miał zamiaru.

Co za wspaniały jesienny dzień! Pora monsunów przeminęła i lejący się z błękitnego nieba słoneczny żar łagodził obecnie miły wietrzyk. Rozwiewał on migotliwą mgiełkę nad piecami do wypalania porcelany oraz smużki dymu z kominów, zanim zdążyły dotrzeć ponad drzewa i kwiaty w ogrodzie prefekta.

Shi-Rongowi podobało się w Jingdezhen. Połączenie handlu, sztuki i wszechogarniającego spokoju napawało go zadowoleniem.

Kilka lat przed jego przybyciem spokój ten został zaburzony. Fanatyczni tajpingowie przybyli z Nankinu, ze swego Niebiańskiego Królestwa w dole rzeki, rozlali się po dolinie, wkroczyli do miasta i rozbili wszystkie dziewięć tysięcy pieców.

Dlaczego to uczynili? A któż to może wiedzieć? Według Shi-Ronga fanatyk i chuligan to jedno i to samo. Ale od upadku Niebiańskiego Królestwa minęło dziesięć lat i pracowici garncarze oraz kupcy z Jingdezhen odbudowali piece tak szybko i sprawnie, że trudno było uwierzyć, iż kiedykolwiek były zniszczone.

O ile wszystko pójdzie pomyślnie, Shi-Rong zamierzał wyjechać nazajutrz do Pekinu. Przypuszczał, że wystarczy rozmowa lub dwie, no i oczywiście odpowiednia łapówka, na którą miał już odłożone pieniądze. Później czekała go perspektywa kilkuletniej częściowej emerytury, podczas której przy odrobinie szczęścia mógł nawet podwoić swój majątek. Jeżeli wykaże się dyskrecją, będzie to prawdziwe ukoronowanie jego kariery.

Podczas pobytu w Pekinie zamierzał także spotkać się ze swym synem. Już teraz cieszył się na tę myśl. Może nie dostąpiłem najwyższych godności, myślał sobie, ale ojciec prefekt to także nie powód do wstydu. Urzędnik niższego czwartego stopnia to nie byle co. Kwadrat mandaryński na jego piersi przedstawiał dziką gęś, a nakrycie głowy zdobił ciężki niebieski guz. Przyjaciele młodzieńca powinni to zobaczyć.

Najpierw jednak trzeba było się zatroszczyć o dziewczynę. O Jasny Księżyc, jego nową córkę.

Przyrzekł Mei-Ling, że znajdzie dla niej dobrego męża, i dziś zamierzał spełnić tę obietnicę. Sam był zaskoczony, jak bardzo cieszyła go ta perspektywa.

Na ulicy przyszła ofiara dotarła właśnie do bram rezydencji. Shi-Rong odwrócił się i zszedł na dół, żeby powitać gościa.

– Nie mogę uwierzyć, panie Yao – rzekł, gdy tylko usiedli – że już rok minął, odkąd pochowaliśmy pańską drogą żonę. – Westchnął. – Dobrze znam to uczucie. Zaledwie kilka lat temu straciłem swoją. – Pokiwał smutno głową. – Jak się miewają pańskie obie córki?

– Znakomicie, dziękuję. Są dla mnie ogromną pociechą – odparł kupiec. – Gdyby tylko mój biedny synek nie był taki słabowity… Jego śmierć niezmiernie zasmuciła mnie i moją żonę.

– Wiem, jak byliście sobie oddani – powiedział Shi-Rong.

– Była moją jedyną żoną. Większość kupców o mojej pozycji bierze sobie drugą, ale ja nigdy tego nie zrobiłem.

– Był pan wyjątkowym mężem – przyznał Shi-Rong i na moment jakby się zawahał. – Zastanawiałem się właśnie – mówię to jako przyjaciel – czy nie nadszedł czas, aby poczucie obowiązku skłoniło pana do spłodzenia męskiego potomka? W końcu jest pan to winien swoim przodkom. Kto się zatroszczy o ich groby?

– To prawda. Życie toczy się dalej.

Według szpiegów Shi-Ronga kupiec już zaczynał przejawiać pierwsze przejawy powrotu sił życiowych. W ciągu ostatnich trzech miesięcy pan Yao złożył kilka wizyt w najlepszych miejscowych przybytkach rozkoszy.

Poza posiadanym majątkiem Yao był także całkiem przystojny. Czterdziestokilkuletni, potężnie zbudowany, z nosem o szerokich nozdrzach, bujnymi wąsami o podwiniętych w dół końcach i dużą, lekko wysuniętą naprzód głową przypominał Shi-Rongowi byka szykującego się do ataku. Z pewnością nie można go było lekceważyć, dowiódł jednak, że potrafi być dobrym i oddanym mężem. Najwyraźniej był też subtelniejszy, niż na to wyglądał.

Każdego roku na przykład, ilekroć chciał okazać Shi-Rongowi swoją przyjaźń, robił to w najbardziej wyszukany sposób. Kiedyś wskazał mu starożytną wazę, którą niedawno nabył jako część kolekcji, i rzucił:

– Mojej żonie ta waza się nie podoba. Czy nie zechciałby pan mnie od niej uwolnić? – Po czym podał jakąś niewartą wspomnienia cenę i oczywiście, kiedy Shi-Rong pokazał później wazę antykwariuszowi, okazało się, że była warta dwadzieścia razy tyle, ile za nią zapłacił. Przy innej okazji Yao doradził Shi-Rongowi, aby ten kupił dom zmarłego kupca. – Mówią, że staruszek ukrył w nim srebro. Rozejrzałem się i niczego nie znalazłem, ale kto wie, może panu bardziej się poszczęści? – Wszedłszy w posiadanie domu, Shi-Rong rzeczywiście znalazł skrzynkę srebrnych dolarów, ukrytą nieudolnie pod podłogą.

Dzięki tym dyskretnym przysługom pan Yao, właściciel dwóch najlepszych warsztatów ceramicznych w mieście, które produkowały wyłącznie na potrzeby dworu cesarskiego, mógł prowadzić nielegalne interesy i dostarczać porcelanę innym odbiorcom. Jego zyski były znaczne, a upominki dla Shi-Ronga – proporcjonalnej wartości. Po pomyślnym załatwieniu sprawy z miejscowymi urzędnikami Shi-Rongowi wciąż pozostawała całkiem pokaźna sumka.

Szczęśliwy bieg historii także mu się przysłużył. Trzy lata po tym, jak przybył do Jingdezhen, akurat gdy oczekiwał przeniesienia na inną pla-

cówkę, na dworze w Pekinie wydarzyło się coś ważnego.

Przez dziesięć lat, kiedy jej syn był niepełnoletni, cesarzowa wdowa Cixi wraz z wdową po ostatnim cesarzu nieprzerwanie rządziły krajem, oczywiście nieoficjalnie.

W minionym roku nadszedł jednak czas, aby młodzieniec osobiście przejął rządy, i nie skończyło się to dobrze. Chłopak wdał się w swojego bezużytecznego ojca; ani matka, ani najlepsi nauczyciele, ani nawet najmądrzejsi doradcy nie potrafili na niego wpłynąć. Całą swoją wiedzę o cesarstwie i jego mieszkańcach czerpał z wypraw do miejskich burdeli. Znaleziono mu odpowiednią żonę, ale nie był nią zainteresowany. Właściwie niczym nie był zainteresowany poza rozpustą, co stanowiło najszybszą drogę do zrujnowania sobie zdrowia.

A potem umarł. Czy został otruty? Nikt tego nie wiedział. Czy jego własna matka przyłożyła do tego rękę? Cixi wszystkiemu zaprzeczyła; bądź co bądź był jej jedynym synem. Jako że jego śmierć była pod każdym względem korzystna, nikt nie chciał badać jej zbyt szczegółowo. Wkrótce zresztą znaleziono innego młodziutkiego cesarza.

Został nim syn księcia Chuna, który ożenił się z siostrą Cixi. Z formalnego punktu widzenia stanowiło to naruszenie prawa do sukcesji, należał bowiem do tego samego pokolenia co cesarz, który właśnie umarł, ale Cixi bardzo na tym zależało i ostatecznie dopięła swego. Adoptowała chłopca i wróciła do roli matki cesarza, szarej eminencji.

W całym tym zamieszaniu nikt na dworze nie miał głowy zajmować się przenosinami prefekta z Jingdezhen w nowe miejsce, a Shi-Rong nikomu o sobie nie przypominał. Siedział cicho i cieszył się przyjaźnią pana Yao, wskutek czego do jesieni 1875 roku skromny majątek pozostawiony mu przez ojca znacząco się powiększył.

– Zwykle, rzecz jasna – mówił dalej Shi-Rong – znalezienie odpowiedniej kandydatki i złożenie sprawy w ręce swatów należy do rodziny narzeczonego, ale wziąwszy pod uwagę naszą przyjaźń, mam nadzieję, że nie będzie miał mi pan za złe pewnej sugestii. Gdyby chciał pan ożenić się ponownie, drogi panie Yao, chyba miałbym dla pana odpowiednią narzeczoną.

– Doprawdy? – zainteresował się kupiec. – Mogę spytać, kto to taki?

– Ta oto dziewczyna. – Shi-Rong otworzył szufladę stolika i wyjął z niej oprawioną w ramki fotografię. – Pani, obok której stoi, to jej matka.

Wiele wysiłku włożył w zrobienie tego zdjęcia. Fotograf kształcony w Makau i wysłany do wioski Mei-Ling doskonale rozumiał wagę swojej misji. Zdjęcie zrobił na podwórku, które upiększył kilkoma egzotycznymi roślinami doniczkowymi. Mei-Ling i jej córka były elegancko ubrane i umalowane, jak na modne damy przystało. Fotografię nawet lekko podbarwiono, zgodnie z najnowszymi trendami. Fotograf bardzo inteligentnie zrobił też zdjęcie domu z drugiej strony stawu. Mostek, obecnie pięknie odremontowany, odbijał się w tafli porośniętej kępami lilii wodnych. Całość sprawiała wrażenie dobrobytu – skromnego i prowincjonalnego, ale zawsze dobrobytu.

Pan Yao wnikliwie przyjrzał się obu fotografiom.

– Dziewczyna jest piękna. Podobnie jak jej matka – stwierdził z podziwem. Zaraz jednak zmarszczył brwi. – Ale stopy matki…

– Nie były krępowane. Pochodzi z bogatej rodziny Hakka. Bliscy jej ojca nie chcieli ich złościć krępowaniem stóp wnuczce.

– Czyli rodzina Hakka była dla nich ważna.

– W rzeczy samej – skłamał Shi-Rong. – Ale Jasny Księżyc, tak się nazywa owa dziewczyna, ma stopy krępowane, jak sam pan widzi.

– Długo pan zna tę rodzinę?

– Owszem. Po tym, jak matka dziewczyny owdowiała, towarzyszyła mi do Guilin i spędziła tam ze mną trochę czasu. Pomimo swoich niekrępowanych stóp jest niezwykle elegancką i wyrafinowaną kobietą. Została najlepszą przyjaciółką żony prefekta.

Pan Yao patrzył na niego z ciekawością.

– Wygląda na to, że darzy pan jej córkę szczególnym zainteresowaniem.

– Owszem. Adoptowałem ją. – Uczynił to już przed rokiem, argumentując, że to pomoże w znalezieniu dla niej dobrego męża, co zresztą było prawdą.

– Matka zachwyca urodą, ale ta młoda dama zapowiada się chyba na jeszcze większą piękność – pochwalił pan Yao.

Shi-Rong lekko skłonił głowę, przyjmując jego komplement.

– Tak się składa, że bardzo przypomina siostrę mojego nieżyjącego ojca – przyznał.

– Ach tak. – Kupiec rzucił mu porozumiewawcze spojrzenie. Shi-Rong udał, że tego nie widzi.

Sprawy szły dokładnie tak, jak to przewidział. Nie powiedział kupcowi wprost, że Jasny Księżyc jest jego córką, którą oczywiście nie była, ale Yao

mógł sobie w to wierzyć, skoro najwyraźniej miał na to ochotę. Dla kupca pokroju pana Yao małżeństwo z córką – ślubną czy nieślubną – prefekta ze starej szlacheckiej rodziny, takiego jak Shi-Rong, byłoby wielkim powodem do dumy.

– Może to pana zainteresuje – rzekł Yao – że sam będę wkrótce należał do szlachty.

– Doprawdy?

– Negocjacje już dobiegają końca.

Wszyscy kupcy, którzy mogli sobie na to pozwolić, tak czynili. Za stosowną opłatą dwór cesarski obdarzał ich tytułem szlacheckim, dzięki czemu mogli prezentować w domach symbole swojej pozycji. Nie byli już, przynajmniej oficjalnie, pogardzanymi handlarzami wyłudzającymi od ludzi pieniądze, za jakich ich wcześniej uważano.

Shi-Rong osobiście uważał to za dewaluację stanu szlacheckiego i brak szacunku dla porządku konfucjańskiego, ale czego innego można było się spodziewać w tak niespokojnych czasach? W tym wypadku byłoby to zdecydowanie z korzyścią dla jego adoptowanej córki.

– Gratuluję panu – powiedział. – Wielu mężczyzn, drogi panie Yao – ciągnął beznamiętnie – chciałoby poślubić moją adoptowaną córkę, ja wszakże chciałbym, aby związała się z człowiekiem zamożnym, rzecz jasna, ale nie nazbyt wiekowym. Pan jest wciąż pełen życia. Chcę, aby była dobrze traktowana, i wiem, że w tej kwestii mogę na pana liczyć. W zamian dostanie pan młodą, zdrową kobietę, której matka rodziła wcześniej samych synów.

– To bardzo dobrze – przyznał Yao.

– Zanim zwróciłem się z tym do pana – kontynuował Shi-Rong – uznałem, że mądrze będzie zasięgnąć porady osoby pośredniczącej w zawieraniu małżeństw. Sprawdziła wasze daty urodzin, zajrzała do kalendarza i z radością mogę panu przekazać, że gdyby ślub miał się odbyć w tym roku, nie stoją mu na przeszkodzie żadne złe przepowiednie. Mogę ją przysłać do pana, chyba że woli pan skonsultować to z własną.

– Proszę ją przysłać – odparł Yao entuzjastycznie. – Z chęcią posłucham jej rad.

– Wyprawa panny młodej będzie, rzecz jasna, należyta – mówił dalej Shi-Rong. – Wszystkie zwyczajowe podarki dla pańskiej rodziny zostaną w odpowiednim czasie wysłane przez narzeczoną. Przyszło mi jednak do głowy, że może zechciałby pan obejrzeć to. – Z tej samej szuflady co poprzednio zdjęcie wyjął kilka próbek haftu i pokazał je kupcowi.

– Bardzo piękne. – Yao był pod dużym wrażeniem. – Zaiste, bardzo piękne.

– Wszystkie wyszły spod jej ręki. Jest niebywale utalentowana. Wytwornie przeprowadza ceremonię parzenia herbaty, jest oczytana w poezji… – Widząc, że pan Yao wygląda na lekko zaniepokojonego, zapewnił go szybko: – To znaczy na poziomie, jaki jest odpowiedni dla nowego członka stanu szlacheckiego.

– Oczywiście – powiedział Yao. – To bardzo na miejscu.

– Muszę teraz udać się do Pekinu – powiadomił go Shi-Rong. – Napiszę tymczasem do Jasnego Księżyca i jej matki, żeby przyjechały do Jingdezhen i zatrzymały się w mojej rezydencji. Sądzę, że przed ich przyjazdem zdążę już wrócić ze stolicy. Czy to by panu odpowiadało?

– Jak najbardziej – odparł Yao. – Jak najbardziej.

Popłynął z biegiem rzeki Jangcy do Nankinu, potem do Hangzhou i dalej, aż na wybrzeże, gdzie w Zhapu przesiadł się na szybki statek. Osiemnaście dni później z wybrzeża na południe od Pekinu Wielkim Kanałem z łatwością dostał się do stolicy i bez problemu znalazł odpowiednią kwaterę. Wysłał wiadomość do Ru-Haia, że pierwszego dnia musi zająć się interesami, ale nazajutrz złoży mu wizytę.

Sugestia przyjazdu do Pekinu wyszła od jego starego przyjaciela, pana Penga seniora. Oprócz tego, że w Guilin Shi-Rong wziął młodego Penga pod swoje skrzydła, wystawił mu także pozytywne listy polecające, a jego ojciec nigdy nie zapominał tego rodzaju przysług. Gdyby wszystko, o czym pisał w liście, miało dojść do skutku, spłaciłby z naddatkiem wszelkie długi wdzięczności.

Jak Ci wiadomo, drogi przyjacielu, żaden oficjalny urząd nie jest bardziej rentowny od poboru i dystrybucji podatku solnego. Dotychczas zajmował się tym jeden człowiek, który mógł uciułać ładny majątek, uszczuplając nieco te niewyobrażalne sumy.

W ostatnich latach handel solą nie jest już tak ściśle kontrolowany i całkiem spora grupa ludzi może się na nim wzbogacić, w związku z czym tego rodzaju stanowiska są bardzo pożądane.

Dowiedziałem się właśnie, że jedno z nich niedługo się zwolni, i pomyślałem, że może Cię to zainteresować. Na razie mało kto o tym

wie, jeśli więc będziesz działał szybko, możesz je zdobyć. Normalnie poprosiłbym księcia Gonga, aby szepnął za Tobą słówko, i prawdopodobnie to by wystarczyło, ale, jak zapewne wiesz, podczas niedawnego kryzysu na dworze związanego z sukcesją cesarzowa wdowa Cixi nie tylko adoptowała swojego siostrzeńca i ogłosiła go nowym cesarzem, lecz także, niestety, ograniczyła władzę i wpływy księcia Gonga, więc jego poparcie nie byłoby teraz dla Ciebie korzystne.

Tak się jednak składa, że znam człowieka, który cieszy się posłuchem u Cixi. Doprawdy, dziwny z niego jegomość. Opowiem ci wszystko na jego temat, jeśli tylko przyjedziesz do Pekinu. Naturalnie nie obędzie się bez łapówki.

Tak więc po przyjemnym posiłku spożytym w towarzystwie pana Penga Shi-Rong skierował swe kroki ku dostatniej ulicy w dzielnicy kupieckiej i dotarł do eleganckich drzwi, przez które wpuścił go służący.

Po tym, co usłyszał od pana Penga na temat gospodarza, Shi-Rong był go bardzo ciekawy. Gdy tylko drzwi się zamknęły, stwierdził, że stoi pomiędzy dwoma budzącymi grozę boskimi wojownikami strzegącymi holu. Zerknął na swoje odbicie w wielkim, zamglonym lustrze, które miało odstraszać wszelkie złe duchy, i podążył za sługą w lewo, a potem w prawo na dziedziniec.

Dom zrobił na nim olśniewające wrażenie. Czuło się, że należy do bogatego człowieka. Shi-Rong zastanawiał się, jak gospodarz zdołał zebrać aż tyle pieniędzy w czasie zaledwie dwunastu lat. Czy łapówka, którą doradził mu Peng, okaże się wystarczająca, aby usatysfakcjonować tak ważną osobistość?

Po wejściu na dziedziniec zauważył szesnasto- lub siedemnastoletniego chłopaka, który cicho zniknął w drzwiach w odległym narożniku. Czyżby to był syn gospodarza? Spojrzał w bok i przez ażurową kratownicę w otwartym oknie dostrzegł kobietę siedzącą na pokrytej brokatem otomanie; paliła chyba fajkę opiumową. Może to była matka chłopca?

Wprowadzono go do niedużego, lecz ładnie urządzonego gabinetu i poinformowano, że pan domu wkrótce do niego dołączy. Rzeczywiście, za chwilę lekki szelest jedwabiu za drzwiami zapowiedział nadejście gospodarza.

A więc to był ów żonaty eunuch znany jako Lakowany Paznokieć! Peng określił go mianem „dziwnego jegomościa” i rzeczywiście różnił się od eunuchów, których Shi-Rong widywał już wcześniej.

Miał na sobie prostą, choć kosztowną szarą szatę, do tego zwykłe okrągłe nakrycie głowy z takiego samego materiału. Można by go wziąć za bogatego kupca, choć ma też w sobie coś z uniżoności eunucha, pomyślał Shi-Rong, kiedy Lakowany Paznokieć skłonił mu się nisko i usiadł naprzeciwko gościa.

– Mój przyjaciel, pan Peng, wyjaśnił mi szczegółowo pańskie oczekiwania, czcigodny panie. – Głos miał cichy, ale nie tak wysoki jak wielu eunuchów. Shi-Rong zastanawiał się, czy za pełną respektu grzecznością nie kryje się niespokojny umysł.

Nie było przyjęte komplementować obcego człowieka przy pierwszym spotkaniu, ale Shi-Rong nie mógł się powstrzymać.

– Muszę panu pogratulować tego przepięknego domu – rzekł.

– Nie należy do mnie, panie – odparł gospodarz. – Jest własnością mego dostojnego przyjaciela, pana Chena. Odkąd przeprowadził się na wieś, wynajmuję go od niego, z zastrzeżeniem, że właściciel może zeń korzystać, kiedy tylko zechce. Dwa razy do roku spędza z nami cały miesiąc.

– Doskonały układ.

– Kiedy byłem młody, pan Chen był moim opiekunem. Podobnie jak ja został eunuchem już po tym, jak się ożenił i założył rodzinę. Mieszkając tutaj, również uchodził za kupca, tak jak ja. Sąsiedzi nic nie wiedzą o moim zajęciu w pałacu.

– To doprawdy niezwykłe.

Przez kilka kolejnych minut mężczyźni wymieniali zwyczajowe uprzejmości. Shi-Rong zapytał, czy to syna eunucha zauważył na dziedzińcu. Lakowany Paznokieć potwierdził. Shi-Rong zdecydował, że o żonę lepiej go nie pytać.

– Mój syn zbliża się do trzydziestki – powiedział. – Pracuje tu, w Pekinie, w Biurze Spraw Zagranicznych.

– Ciekawe miejsce – zauważył uprzejmie gospodarz. – To chyba pierwsze pokolenie od czasów dynastii Ming, które interesuje się krainami poza granicami naszego cesarstwa. Musi pan być z niego dumny.

Shi-Rong lekko skłonił głowę na znak zgody.

– Czy pan Peng zapoznał pana z moimi oczekiwaniami? – podjął Lakowany Paznokieć. Najwyraźniej czas wymiany uprzejmości już minął.

– Tak. Wszystko się zgadza. Zasugerował, abym ofiarował panu ten skromny upominek… – Shi-Rong wydobył mieszek ze srebrem – który pokryje wszelkie wydatki, jakie mógłby pan ponieść, oraz drugie tyle po otrzymaniu przeze mnie nominacji.

– Naturalnie. Rozumie pan jednak, że to wymaga cierpliwości. Grunt to odpowiednie wyczucie czasu. – Lakowany Paznokieć zamyślony popatrzył na mandaryna. – Czy mogę być z panem całkiem szczery?

– Oczywiście.

– Musi pan wiedzieć, dostojny panie, że choć jestem oddanym niewolnikiem cesarzowej wdowy Cixi – zawdzięczam jej wszystko i oddałbym za nią życie – nie znaczy to wcale, że uważam ją za ideał.

– Któż z nas nim jest?

– Jest obdarzona niezwykłym instynktem. Nawet jej najbardziej irytujące decyzje często wychodzą na dobre, w każdym razie jej na pewno. Ale jest zmienna, nigdy nie wiadomo, w jakim humorze będzie danego dnia. Ktoś taki jak ja, jej długoletni zaufany sługa, jest jeszcze względnie bezpieczny. Jestem tylko eunuchem, który pielęgnuje jej paznokcie, i rozmowa ze mną stanowi dla niej rozrywkę. Ale słyszał pan, że ostatnio zwróciła się przeciwko samemu księciu Gongowi.

– Oczywiście.

– Nie próbowała go zniszczyć – nie jest niewdzięczna – ale na razie jego wpływy na dworze zostały znacznie ograniczone.

– Tak też słyszałem.

– Krótko mówiąc, czcigodny panie, należy zachować wielką ostrożność. Najpierw zaczekam, aż oficjalnie zwolni się interesujące pana stanowisko. Poruszenie tego tematu wcześniej mogłoby być uznane za impertynencję.

– Rozumiem.

– Potem muszę trafić na jej dobry dzień. Potrafię rozpoznać nastrój cesarzowej, jak tylko znajdę się w jej obecności. Jeśli będzie źle, z rozkoszą mi odmówi. Jeśli dobrze, uśmiechnie się i spyta, jaką dostałem łapówkę.

– Spyta pana o to? – zaniepokoił się Shi-Rong.

– Oczywiście. Wszyscy w pałacu je przyjmują. To ją rozbawi.

– Ale wtedy będzie wiedziała, że to ja pana przekupiłem.

– Wątpię, czy to ją w ogóle obejdzie. Nie sądzę, aby kiedykolwiek o panu słyszała.

Shi-Rong westchnął. Zabolało go, że usłyszał coś takiego z ust eunucha, ale zapewne taka była prawda.

– Cesarzowa wdowa przyszła na świat w bardzo ubogiej rodzinie – ciągnął eunuch. – Nie miała nic, kiedy urodził się jej syn ani nawet kiedy zmarł jego ojciec. Jej życie było zagrożone. Być może słyszał pan o tym, że książę Sushun chciał ją wygnać, a może nawet zabić. Potem jednak, jak wszyscy wiemy, książę Gong zatriumfował, doszło do egzekucji Sushuna, a jego olbrzymia posiadłość przypadła w udziale Cixi. Nagle, pierwszy raz w życiu, miała mnóstwo pieniędzy i jak wiele osób, których spotkał taki uśmiech losu, jest bardzo hojna. Nie zawsze i nie wobec każdego, ma się rozumieć, ale bardzo lubi, kiedy jej słudzy także się bogacą. Sprawia jej to przyjemność.

– Miło mi to słyszeć.

– Naturalnie to, że otrzyma pan stanowisko jednego z inspektorów solnych, nie będzie jej nic kosztować. Kiedy zostanie pan nominowany, będzie pan odkładał dla siebie część podatku solnego należącego do państwa – co w gruncie rzeczy stanowi kradzież – jednak na pana miejscu każdy postępowałby tak samo, więc to nie zrobi większej różnicy. Ja otrzymam od pana łapówkę, a ponieważ ona mnie lubi, wszystko będzie w porządku.

– Uroczo pan to ujął – skomentował Shi-Rong. Poczuł się urażony słowami Lakowanego Paznokcia. Eunuch o tym wiedział, ale wcale go to nie martwiło. Shi-Rong wyobrażał sobie, że wręcz rozkoszuje się widokiem mężczyzny przewyższającego go pod każdym względem, zmuszonego do przełknięcia niewygodnej prawdy. Zamiast więc się złościć, wykorzystał okazję, aby zapytać go o coś, nad czym często się zastanawiał. – Proszę mi powiedzieć – zagadnął – czego cesarzowa oczekuje po swojej obecnej pozycji? Co jeszcze ją uszczęśliwia?

– Ach. – Lakowany Paznokieć pokiwał głową. Pytanie chyba przypadło mu do gustu, bo zastanawiał się chwilę, zanim odpowiedział. – Po pierwsze, sądzę, że po prostu chce przetrwać. Dwanaście lat temu, jak już mówiłem, niewiele brakowało, a zostałaby stracona.

– To całkiem zrozumiałe.

– Po drugie, jak każdy lubi sprawiać sobie przyjemności, ale w jej sytuacji nie jest to łatwe. Wkrótce skończy czterdzieści lat. Nie posiada może klasycznych rysów, ale ma takie same potrzeby jak każda kobieta w jej wieku. Jej wpływy całkowicie zasadzają się jednak na tym, że to oficjalna matka młodego cesarza, nie może więc ryzykować, biorąc sobie kochanków. – Przerwał i zamyślił się. – Gdyby nie była tak zdyscyplinowana, mogłaby zacząć palić opium. Ale uwielbia teatr. Stać ją na angażowanie

całych trup aktorów i tancerzy. Jak panu wiadomo, na dworze większość ról odgrywają eunuchowie, więc wszystkich nas to bawi.

– Mówią, że jest ekstrawagancka, rozrzutna, bo chce odbudować Pałac Letni, chociaż nie podźwignęliśmy się jeszcze po buncie tajpingów i wojnach opiumowych.

– Ludzie nadają jej rozmaite przydomki. Urzędnicy, którzy mieli pecha poznać ją od tej gorszej strony, nazywają ją smoczycą. Sam znam osoby z pałacu, które nazywają ją Starym Buddą, według mnie odrobinę przedwcześnie, uważają bowiem, że jest nieprzenikniona. Jednak moim zdaniem wszyscy pomijają zasadniczy punkt. Żeby pojąć działania cesarzowej wdowy, trzeba zapomnieć o osobie i przyjrzeć się sytuacji.

– A sytuacja jest taka, że cesarstwo jest w ruinie.

– Tak. I wiele lat minie, zanim powróci do swojej wcześniejszej chwały. A czym ona ma się w tym czasie zajmować? Musi dać ludowi jakąś nadzieję. – Lakowany Paznokieć umilkł na chwilę. – Co pana zdaniem było największą katastrofą podczas wojen opiumowych?

– Z pewnością spalenie Pałacu Letniego.

– Zaiste. I nie chodziło tylko o jego zniszczenie; to było poniżenie. Poczerniała ruina w samym sercu naszego cesarstwa. – Znów przerwał. – Wie pan, byłem tam i widziałem to wszystko. Walczyłem nawet z barbarzyńcami, zabiłem dwóch z nich mieczem.

– Walczył pan? – Shi-Rong, pomimo wysiłku, nie potrafił całkiem ukryć niedowierzania.

– Nie wierzy mi pan. – Lakowany Paznokieć obrzucił go chłodnym spojrzeniem.

– Tego nie powiedziałem.

– To nieistotne. Obecnie – ciągnął eunuch – siły barbarzyńców wciąż nas osaczają jak zgłodniałe szczury, próbujące ukraść, co się da. Cixi ich nienawidzi, ale wie także, że niewiele możemy na to poradzić. Jeszcze nie, dopóki nie staniemy się silniejsi. Ale może zacząć odbudowę przynajmniej części Pałacu Letniego na dowód, że cesarstwo zamierza odzyskać swą godność.

Shi-Rong pomyślał, że eunuch nie jest głupi. Czegoś mu jednak brakowało w tym całym wywodzie, a ponieważ czuł, że do tej pory znajdował się w rozmowie na przegranej pozycji, postanowił zadać kolejne pytanie, choć zapewne lepiej byłoby zamilknąć.

– Pałac Letni służył jednak prywatnym rozrywkom – stwierdził. – Cesarz nie składał tam rytualnych ofiar, rozumie pan, co mam na myśli. To był raczej ośrodek kultury i sztuki, a nie miejsce, w którym zajmowano się ważnymi sprawami państwa.

Czy zdawał sobie sprawę, że pośrednio sugeruje, iż eunuch oddawał się tam frywolnym zajęciom? A może tak zaabsorbowało go konstruowanie swojej opinii, że nie zastanowił się, z jakich cegieł ją zbuduje?

– Rytualne ofiary to ceremonie, z których każda ma przypisaną sobie procedurę – odparł chłodno Lakowany Paznokieć. – To właściwie rodzaj spektaklu. Ilekroć cesarz jest niesiony ulicą, towarzyszy mu orszak pięknie odzianej służby, żołnierze, bębniarze. To także pewien spektakl. Skąd ludzie mieliby wiedzieć, że w cesarstwie panuje porządek? Tylko dzięki ceremoniom, bo ceremonie są czymś, co mogą zobaczyć na własne oczy, zgadza się pan? – Wpatrywał się w Shi-Ronga, dopóki mandaryn nie skinął głową. – Zresztą – ciągnął beznamiętnym tonem – ludzie lubią parady, lubią, kiedy cesarz i jego słudzy zapewniają im wspaniałe widowisko, tak samo jak lubią, aby świątynie były piękne i pełne wonnych świec oraz lśniącego złota. Czują się dobrze, gdy cesarz udowadnia im, że nasz kraj jest wielki, a świątynie przybliżają ich do nieba.

– A jeżeli ludzie są biedni?

– Chłopi również lubią się stroić, nawet ci z najbiedniejszych górskich wiosek. Proszę popatrzeć na kolorowe stroje plemienne, które wkładają od święta. Zdumiewające, skąd je biorą, ale jakoś im się udaje. Taka jest ludzka natura. – Przerwał. – Poza tym lubią być zabawiani. To element sztuki rządzenia. Nie można pozwolić, aby ludzie głodowali, ale wybaczą swemu władcy niemal wszystko, jeśli ten zapewni im rozrywkę.

– Szanują sprawiedliwość i moralność – oznajmił Shi-Rong.

– Kiedy są im potrzebne – stwierdził Lakowany Paznokieć. – Przede wszystkim jednak pożądają zabawy.

– Może ma pan zbyt cyniczne spojrzenie na naszych rodaków – rzekł sztywno Shi-Rong.

– Pochodzę z ludu – zaripostował eunuch. – Kiedy byłem chłopcem, w domu bieda aż piszczała. – Jego spojrzenie spoczęło na moment na ładnej porcelanie stojącej na stoliku pod ścianą. – Być może dlatego tak bardzo doceniam to, co w życiu piękne i wyszukane.

– Mnie wychowano w poszanowaniu dla porządku konfucjańskiego – powiedział Shi-Rong.

– Ach, tak – odparł Lakowany Paznokieć. – Może więc powinniśmy nazwać tę naszą umowę konfucjańską łapówką?

Shi-Rong skrzywił się, jakby go ktoś uderzył; nie mógł nic na to poradzić. Pomyślał o swoim ojcu i spojrzał bezradnie na eunucha, który nagle wydał mu się zmęczony.

– Dość już chyba ustaliliśmy jak na jeden dzień – powiedział. – Wyślę panu wiadomość, gdy tylko będę mógł. Proszę czekać cierpliwie.

Mężczyźni wstali.

– Zaszczytem było pana poznać, czcigodny panie – wymamrotał eunuch, znów z tą swoją niepokojąco służalczą manierą, odprowadzając Shi-Ronga do wyjścia.

Shi-Rong już miał minąć dwóch boskich wojowników i wyjść na ulicę, ale zatrzymał się jeszcze na chwilę. Czuł potrzebę, aby coś jeszcze powiedzieć. Nie po to, żeby mieć ostatnie słowo, ale żeby się odezwać i rzucić cokolwiek, co pozwoliłoby mu zejść z placu bitwy z podniesionym czołem.

– Proszę wybaczyć, że o to pytam – powiedział – ale ciekawi mnie, na co zamierza pan wydać otrzymane ode mnie pieniądze. Może na kupno tego wspaniałego domu?

– Nie – odparł spokojnie Lakowany Paznokieć. – Muszę się przedtem zająć inną sprawą. Odkupię swoje intymne części ciała, abym, kiedy nadejdzie mój czas, mógł być pochowany wraz z nimi. Eunuchom często udaje się tego dokonać dopiero pod koniec życia albo nigdy do tego nie dochodzi. To oczywiście kwestia honoru – dla mnie i dla mojej rodziny.

– Ach – odrzekł Shi-Rong. – Nie pomyślałem o tym.

Wjazd do jamenu Tsungli, Biura Spraw Zagranicznych, był akurat na tyle szeroki, aby pomieścić powóz. Budynek nie rzucał się w oczy, ginął wśród większych ministerstw Cesarskiego Miasta, gdyż pomimo trwających dwanaście lat energicznych działań księcia Gonga duża część mandarynów nadal postrzegała biuro jako jedynie tymczasowy departament. Wielu urzędników tam pracujących zajmowało również stanowiska w innych agendach rządowych.

Niektórzy na szczęście mieli odmienne zdanie na ten temat i młody Ru-Hai do nich należał. „Z czasem będziemy liczyć się coraz bardziej – zwrócił się do Shi-Ronga. – To może być dla mnie szybka droga na szczyt”.

Jako dobry ojciec Shi-Rong zawsze wyrażał się z szacunkiem o jamenie Tsungli, nawet jeśli prywatnie nie był pewien, czy jego syn ma rację.

Tak czy inaczej, ucieszył się, gdy Ru-Hai zaproponował, aby spotkali się właśnie tam. Mój syn jest chyba ze mnie dumny, pomyślał. Chce mnie przedstawić swoim przyjaciołom. Ciekawie byłoby porozmawiać z jego współpracownikami, dowiedzieć się, jak ci młodzi ludzie patrzą na sprawy kraju.

Rankiem Shi-Rong obudził się w radosnym nastroju. Niemal zapomniał już o poniżeniu, jakiego doznał podczas spotkania z Lakowanym Paznokciem; pamiętał jedynie, że eunuch wiedział, jak podejść Smoczą Cesarzową i że wkrótce stanowisko inspektora solnego będzie jego.

W dalekiej przyszłości jego potomkowie, czuwając przy grobach w Dniu Przodków [11], będą być może z podziwem wspominać ich dokonania. Może będą wychwalać jego syna, Ru-Haia – Shi-Rong w każdym razie miał taką nadzieję – a gdy dojdą do jego mogiły, powiedzą przynajmniej tyle: „Shi-Rong był prefektem, dostojnikiem czwartego stopnia, który pozostawił swoją rodzinę bogatszą, niż była kiedykolwiek przedtem”.

Wjeżdżał więc przez bramę jamenu z uśmiechem na twarzy.

Niestety, nie można zakładać, że skoro nam dopisuje dobry humor, innym również będzie. Ru-Hai powitał Shi-Ronga i prowadził go właśnie do swego gabinetu, gdy ten zauważył, że mijane przez nich ministerialne kuchnie, podobnie jak wiele tego rodzaju miejsc, nie są zbyt czyste.

– Muszę powiedzieć, że niezbyt mi się to podoba – rzekł dobrodusznie – że wprowadzasz swojego starego ojca od kuchni. Kto zasługuje na to, aby wejść frontowymi drzwiami?

– To jedyne wejście – odparł Ru-Hai. Był spięty i nie uśmiechał się. – Kiedy tworzono biuro, podzielili stary budynek, żeby nas pomieścić.

– Czyli zagranicznych ambasadorów też się tędy wprowadza?

– Jeżeli czeka ich oficjalna audiencja, udają się wprost do Pałacu Cesarskiego, ale prywatne spotkania urzędników odbywają się tutaj, w biurze. – Widać było, że jest zakłopotany. – Sądzę, że niedługo nas gdzieś przeniosą.

Shi-Rong zmarszczył brwi. Taki brak ceremoniału nie świadczył o wielkim szacunku dworu dla cudzoziemskich ambasadorów – ani dla mandarynów, z którymi się spotykali, skoro już o tym mowa. Osobiście nie obcho-

dzili go ambasadorowie, za to kariera syna – jak najbardziej. Wchodząc do gabinetu Ru-Haia, stracił resztę dobrego humoru.

Pomieszczenie było długie, wąskie i zakurzone, a jego wysokie okna wychodziły na cichy dziedziniec z figurą kamiennego lwa i samotnym drzewem ze złamaną gałęzią. W środku stały trzy biurka, a na ścianie w głębi wisiała duża mapa.

Ru-Hai przedstawił mu swoich dwóch współpracowników. Żaden nie miał chyba jeszcze trzydziestu lat. Pierwszy, Chińczyk Han, był chudym, nerwowym mężczyzną w okrągłych okularach, o imieniu Gao. Drugi, niski, pulchny Mandżur, miał szeroką twarz i przymrużone oczy, jakby wiecznie stał pod wiatr. Niewiele mówił. Obydwaj sprawiali wrażenie przyjaznych i okazali najwyższy szacunek dla stopnia Shi-Ronga.

– Może chcielibyście wiedzieć, ojcze, czym się tu zajmujemy? – spytał Ru-Hai, gdy uprzejmościom stało się zadość.

– Z miłą chęcią – odparł Shi-Rong.

Podeszli do mapy. Mandżur stanął po jednej stronie z długim wskaźnikiem, Gao po drugiej. Ru-Hai ruchem głowy dał mu znak. Najwyraźniej wcześniej wszystko to przećwiczyli.

– Jesteśmy tu po to – odezwał się Gao – aby ocalić cesarstwo.

– Cóż – odparł Shi-Rong z uśmiechem – ktoś musi to robić, jak sądzę.

Żadnemu z trzech młodzieńców nie wydało się to zabawne.

– Przez wieki – ciągnął Gao – Cesarstwo Niebios nie potrzebowało prawie niczego spoza swych granic. Zagraniczni wysłannicy przybywali złożyć nam hołd i uczyć się od nas, bo przewyższaliśmy ich znacznie potęgą, bogactwem i dorobkiem naszej cywilizacji. – Przerwał na chwilę. – Potem z zachodu nadciągnęli brytyjscy piraci, wyniszczali naszych mieszkańców za pomocą opium. Nakazaliśmy im zaniechać tego procederu, a wówczas nas zaatakowali. Mieli lepsze statki, działa i karabiny. Proszę spojrzeć, gdzie się teraz znajdują.

Na dany znak Mandżur stuknął wskaźnikiem w kilka punktów mapy, wzdłuż wybrzeża i na rzece Jangcy.

– Oto porty, gdzie dzięki zawartym traktatom barbarzyńcy mogą się rządzić własnymi prawami. Udzielne królestwa wewnątrz naszego cesarstwa. Dlaczego powstały? Bo przez dwieście lat lekceważyliśmy Zachód, a oni w tym czasie ulepszali swoją broń. Świat się zmieniał, tylko my o tym nie wiedzieliśmy.

– Misją jamenu Tsungli – podjął Ru-Hai – jest powstrzymać barbarzyńców, uczyć się od nich i chronić nasze ziemie. Ale to niełatwe. Dowiedzieliśmy się na przykład, że przestrzegają zawartych umów – to im się akurat chwali – podjęliśmy więc próbę renegocjacji traktatów dotyczących portów i ceł. Nowe postanowienia miały być uczciwe dla obu stron. Jednak brytyjski wysłannik był niezadowolony i kiedy przekazał nasze propozycje swojemu rządowi, ten odmówił podpisania traktatów. Cokolwiek od nas dostaną, zawsze chcą więcej.

– Nie szanują naszych tradycji – dodał Gao – i wszystko chcą robić po swojemu.

– Dziesięć lat temu – zwrócił się Ru-Hai do ojca – próbowaliśmy kupić od nich okręty wojenne, ale nadal ich nie mamy. Podejrzewamy, że Brytyjczycy wolą, abyśmy byli słabi.

– Niezależnie od tego, czy jest to celowa polityka, czy nie – kontynuował Gao – pozostaje faktem, że inne państwa postrzegają nas jako bezbronnych i wykorzystują to.

– Na przykład Rosja – oznajmił Ru-Hai, a Mandżur znów stuknął w mapę. – Władywostok już do nich należy, wiemy jednak, że kuszą ich nasze rozległe tereny w północnej Mandżurii. Już rozmieścili tam swoje oddziały wojska. Czy zdołamy zmusić ich do odwrotu? Zobaczymy. – Zwrócił się do Mandżura. – Francja – powiedział.

Mandżur postukał w mapę wskaźnikiem, przeciągając nim wzdłuż długiej linii brzegowej na południowy zachód od granicy Chin.

– Tonkin, Annam, Wietnam, czy jak tam go zowią – przez dwa tysiące lat stanowił część naszego cesarstwa albo płacił nam daninę. W zeszłym roku wkroczyli tam Francuzi i zawładnęli całym regionem.

– Francuzi nami gardzą – rzekł Gao. – Najpierw wybudowali olbrzymie kościoły, górujące nad naszym krajobrazem, żeby nawracać ludzi na swoją wiarę, a teraz spokojnie przejmują królestwa płacące nam trybut.

– Co więc waszym zdaniem powinniśmy uczynić? – spytał Shi-Rong. – Iść na wojnę z Francją?

– Niewykluczone. Kiedy będziemy wystarczająco silni – odparł Gao.

– Chodzi o to, ojcze – wtrącił się Ru-Hai – że poprzednie pokolenie nie doceniło brytyjskiej marynarki. Teraz dogadaliśmy się z Brytyjczykami, ale nasza marynarka nadal jest słaba, a wojska lądowe jeszcze słabsze. Wciąż nie wyciągnęliśmy wniosków z tamtej lekcji i popełniamy ten sam błąd

w stosunku do innych barbarzyńskich potęg. Jedna z nich jest dużo bardziej niebezpieczna niż Rosjanie czy Francuzi, bo mamy ją tuż pod bokiem.

– Japonia! – wykrzyknął Gao.

Mandżur kilkakrotnie postukał wskaźnikiem w mapę, tak gwałtownie, że wydawało się, iż próbuje zepchnąć górę Fuji do oceanu.

– Dwadzieścia pięć lat temu – mówił dalej Gao – Japonia była zamknięta dla świata. Amerykanin, komandor Perry, przypłynął tam z nowoczesnymi okrętami wojennymi i zmiażdżył japońską marynarkę. Zmusił Japończyków do otwarcia swoich portów na handel, ale zawarte z nimi umowy nie były uczciwe, bo faworyzowały Amerykanów. Postąpili z nimi dokładnie tak samo jak Brytyjczycy z nami. I co stało się później? Japończycy się przebudzili. Mają nowego cesarza, Meiji, który przejął władzę, i kraj zmienia się jak nigdy dotąd. Uczą się wszystkiego od zachodnich barbarzyńców i rozwijają nowoczesną armię. Więcej: wiedzą, że jeśli w przyszłości chcą się obronić, muszą zwiększyć kontrolę nad drogami morskimi.

– Mówisz o wyspach Riuku – przerwał Shi-Rong. Był to niewielki archipelag, rozciągający się od wybrzeży Japonii aż do wyspy Formoza, jak barbarzyńcy nazywali Tajwan. Trzy lata temu Japończycy wylądowali tam i zajęli wszystkie wyspy. Zaszokowało to Shi-Ronga, ale jak dotąd niczego w tej sprawie nie uczyniono.

– Oczywiście. O naszych wyspach Riuku – odparł jego syn. – A my, jak słabi głupcy, którymi zresztą jesteśmy, pozwoliliśmy im na to. Wkrótce zechcą zawładnąć Tajwanem, który należy do nas od dwustu lat.

– Przypuszczam, że w Jingdezhen jesteśmy trochę zapóźnieni – rzekł Shi-Rong – ale o ile udało mi się dowiedzieć, to właśnie jamen Tsungli, czyli wy, dopuścił do tego.

– Nie my! – zawołali chórem trzej młodzi mężczyźni. – Tylko ci starzy idioci, którzy nami dowodzą i nawet nie pracują tutaj na stałe.

– Rozumiem. – Shi-Rong się skrzywił. – A książę Gong?

– Nigdy by na to nie pozwolił – stwierdził Ru-Hai ze smutkiem. – Ale cesarzowa wdowa go nie posłuchała.

– I, o ile wiem, nadal go nie słucha – stwierdził Shi-Rong, przypominając sobie wczorajszą rozmowę z eunuchem.

– W każdym razie – podjął Gao – głównym celem Japonii nie są wyspy ani nawet Tajwan.

– Nie? – Shi Rong zmarszczył brwi. – Więc co?

Gao zawahał się przez chwilę. Zerknął na swoich współpracowników. Ru-Hai skinął głową.

– To – rzekł Gao, a Mandżur postukał wskaźnikiem w wielki Półwysep Koreański.

– Japonia nie zbliżyła się nawet do półwyspu – stwierdził Shi-Rong.

– Ale to zrobi – odparł jego syn.

– Skąd wiecie?

– Wiemy. – Ru-Hai spojrzał na ojca z powagą. – Lada dzień. Mogą tam być w tej chwili, gdy my tu sobie rozmawiamy.

– Trudno mi w to uwierzyć – rzekł Shi-Rong i po chwili dodał: – To nasze najważniejsze wasalne królestwo.

– Nawet więcej – dodał Gao. – Przez wieki ten olbrzymi półwysep był niczym ramię chroniące nasze północne brzegi, broniące dostępu do Pekinu od strony Morza Japońskiego. Ani należne nam daniny, ani lojalność tamtejszych mieszkańców nigdy dotąd nie były kwestionowane.

– Japończycy chcieliby to zmienić – powiedział Ru-Hai.

– Sądzicie, że dokonają inwazji?

– Nie, jeszcze nie. Nie są do tego gotowi. Ale postarają się tam przeniknąć, będą kusić mieszkańców handlem z zagranicą, nowymi pomysłami. Spróbują oderwać ich od nas.

– To co powinniśmy zrobić?

– Wrócić do gry – odparł Gao. – Postąpić tak jak Japończycy. Nawiązać pełną współpracę z zachodnimi barbarzyńcami. Dowiedzieć się wszystkiego nie tylko o ich broni, ale też o statkach, fabrykach, o wszystkim, co daje im siłę, a czego brak nas osłabia.

– Pod warunkiem, że nie będą to koleje – powiedział Shi-Rong. – One są potworne. Nie warto byłoby żyć, mając obok siebie tak odrażające maszyny. – Powiedział to półżartem, ale naprawdę tak myślał. Ru-Hai i jego przyjaciele wiedzieli, że tak było. Popatrzyli na siebie w milczeniu i grzecznie zignorowali jego uwagę.

– Ojcze – rzekł Ru-Hai bardzo poważnym tonem – wszyscy jesteśmy dumni z bycia Chińczykami. Ale samo bycie Chińczykiem już nie wystarczy. Innymi słowy, jeśli chcemy, żeby wszystko zostało po staremu, musimy się zmienić. Nasz wysłannik udał się do Brytyjczyków, do Londynu, żeby wszystkiego się dowiedzieć. Kilku studentów jest już w Ameryce na tamtejszych uniwersytetach. Kiedyś przodowaliśmy w świecie, ale

teraz jesteśmy zapóźnieni w matematyce, inżynierii, finansach. Wszystkiego można się tam nauczyć. Nasi przywódcy też muszą to zrozumieć.

– Słyszałem o tych ekspedycjach – odparł Shi-Rong. – Ale bądźcie ostrożni. Nadal potrzebujemy mandarynów kształconych w moralności i filozofii. Cesarstwem nie mogą rządzić dusigrosze i mechanicy. – Przerwał. – Jedna rzecz mnie niepokoi.

– Co takiego? – spytał Ru-Hai.

– Nawet jeśli nie wszystko mi się podoba, podziwiam, że próbujecie w ten sposób ratować Cesarstwo Niebios. Widać, że jesteście uczciwi i odważni. Ale widać także, że dwór cesarski ani wasi przełożeni nie są jeszcze przekonani do waszych pomysłów. Wybaczcie, że to powiem, ale jesteście jeszcze bardzo młodzi, zbyt młodzi, aby brać na swoje barki takie brzemię.

– Wiemy – odrzekł Ru-Hai. – Dlatego próbujemy przekonać bliskie nam starsze osoby, ludzi takich jak ty, ojcze. Jeśli ty i podobni do ciebie przemówicie w naszym imieniu, dwór potraktuje to poważnie. Sprawa jest bardzo pilna. To właśnie trzeba im uświadomić.

– Mogę o tym porozmawiać z panem Pengiem i kilkoma innymi osobami, które znam – zaofiarował się Shi-Rong. – Prefektami, gubernatorami, wpływowymi ludźmi.

– Dziękuję, ojcze – odparł Ru-Hai. – Nie sądzę, abyś znał kogoś, kogo zechce wysłuchać cesarzowa Cixi?

– Raczej nie. – Shi-Rongowi przykro było rozczarować syna. Chciałby sprawić wrażenie ważniejszej osobistości na jego kolegach. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. – Jedyny znany mi człowiek, który twierdzi, że cieszy się jej posłuchem – uśmiechnął się z rozbawieniem – to eunuch, który dba o jej paznokcie. Nie wydaje mi się jednak, aby na wiele wam się przydał.

Ru-Hai otworzył ze zdumienia usta.

– Znacie eunucha, który dba o jej paznokcie, ojcze?! – wykrzyknął z niedowierzaniem.

– To wspaniale! – zawtórował mu Gao.

– Skąd go znacie? – dopytywał Ru-Hai z przejęciem.

– Właściwie to znajomy pana Penga. Ten eunuch jest również kupcem i łączą mnie z nim pewne interesy. – Nie powiedział jakie. – Niedługo powinienem znów się z nim spotkać.

– Pomówcie z nim, ojcze, proszę! To byłoby cudowne!

– Panie, jeśli możemy dostarczyć wam więcej informacji, dajcie nam tylko znać – poprosił Gao. Nawet Mandżur gorliwie pokiwał głową.

Shi-Rong ze smutkiem uświadomił sobie, że w oczach syna oraz jego współpracowników on, prefekt czwartego stopnia, jest kimś bardzo mało znaczącym w porównaniu z eunuchem, który obcina i poleruje paznokcie cesarzowej wdowy.

Wieczorny posiłek zjadł z synem w miejscu, gdzie się zatrzymał. Był to elegancki zajazd, w którym często mieszkali mandaryni odwiedzający stolicę. Służba była uważna, jedzenie doskonałe i pod koniec kolacji Shi-Rong był w całkiem dobrym nastroju. Spotkanie w jamenie Tsungli zraniło nieco jego miłość własną, ale tylko troszeczkę. Nie wypadł źle, a spotkanie było ciekawe. Siedział więc, zadowolony ze smacznego posiłku, i patrzył z uczuciem na syna.

– Wiesz, może już czas, żebyś się ożenił – zauważył. – Co o tym myślisz?

– Chciałbym najpierw zajść dalej w swojej karierze urzędnika, ojcze.

– Rozumiem – odparł Shi-Rong – jednak droga, którą podążasz w jamenie Tsungli, jest dosyć niepewna.

Zobaczył, że jego syn marszczy brwi.

– Nie zrozum mnie źle. Podziwiam cię i wiem, że to, co robisz, może prowadzić do wielkich rzeczy. Ale wiąże się z tym pewne ryzyko. – Przerwał. – Twój dziadek zostawił majątek w bardzo dobrym stanie, mnie też udało się odłożyć trochę pieniędzy. Jeśli więc chodzi o małżeństwo, stanowisz całkiem dobrą partię, niezależnie od tego, co stanie się w jamenie. Przy odrobinie szczęścia zapewne znajdziemy ci żonę, która również będzie pochodzić z zamożnej rodziny.

Ru-Hai wolno pokiwał głową. Wyglądał, jakby coś rozważał.

– Mogę was o coś zapytać, ojcze? – odezwał się w końcu.

– Oczywiście, mój chłopcze.

– Dlaczego spotykacie się z tym eunuchem? Tym od paznokci Cixi?

Shi-Rong się zawahał. Dopóki wszystko nie zostanie załatwione, nie chciał wspominać o stanowisku inspektora solnego nawet własnemu synowi. Po pierwsze, cała sprawa musiała się odbyć w tajemnicy, a po drugie, nie od dziś uważał, że ogłaszanie zwycięstwa przed czasem przynosi pecha.

– Chodzi o prywatne sprawy – powiedział zdecydowanym tonem, aby zapobiec dalszym pytaniom. Jednak wyraz twarzy syna mówił wyraźnie, że na tym się nie skończy. Musiał zaciemnić obraz, dorzucając nieistotne informacje; dobrze wiedział, jak to się robi. – Dziwny z niego człowiek – dodał lekkim tonem. – Miał żonę i dzieci, zanim go wykastrowano. Przypuszczam, że chodziło o jakieś korzyści pałacowe. Mieszka w kupieckim domu i jego sąsiedzi nawet nie wiedzą, że jest eunuchem. Sam nie zdawałem sobie z tego sprawy, okazuje się jednak, że na dworze służy kilku żonatych eunuchów. – Miał nadzieję, że to załatwi sprawę, z pewnością nie był jednak przygotowany na to, co potem nastąpiło.

Ru-Hai, który siedział wpatrzony w swój talerz, nagle poderwał głowę.

– Dajecie mu łapówki, ojcze?

Pytanie było nie tylko impertynenckie, lecz również niebezpieczne.

– Dlaczego tak sądzisz? – Głos Shi-Ronga zabrzmiał chłodno.

– Ludzie mówią, że je przyjmujesz.

– Jacy ludzie? Twoi koledzy z biura?

– Nie. Inni.

– Zdajesz sobie sprawę, że w całym cesarstwie trudno byłoby znaleźć urzędnika państwowego, który wcześniej czy później nie byłby o to oskarżony?

– Bez wątpienia.

Shi-Rong zamilkł na chwilę. Czuł gniew, ale zachował spokój.

– Kiedy byłem mniej więcej w twoim wieku – odezwał się zamyślony – mój ojciec kazał mi przyrzec, że nigdy nie będę przyjmował łapówek. Niepotrzebnie się martwił, bo miałem pracować dla najbardziej nieprzekupnego urzędnika, o jakim kiedykolwiek słyszano. Mówię oczywiście o wielkim komisarzu Linie. – Pokiwał głową. – Lin lubił mnie i miał do mnie zaufanie. Nigdy go nie zawiodłem. Przykro mi, że własny syn kwestionuje moją uczciwość.

To była poważna reprymenda, ale Ru-Hai wcale nie pochylił głowy ze wstydem, tak jak powinien.

– Mówię tylko, ojcze, że nie chcę odnosić korzyści, nawet pośrednich, z żadnych łapówek – odezwał się cicho.

Shi-Rong milczał. Jak długo syn czekał, aby go tym zaskoczyć? Już prawie rok się nie widzieli i myślał, że chłopak będzie się cieszył na spotkanie z ojcem. Jeszcze kilka godzin temu, w biurze, był o tym przekonany. A jednak nie. Brak szacunku odczuł jak policzek.

Chłopak wdał się w matkę, pomyślał ze złością. Widzę, co kryje się za tym jego poczuciem sprawiedliwości. Rozgrzesza się na wypadek, gdyby mnie przyłapali.

Najwyraźniej będzie musiał traktować syna jak każdą inną niebezpieczną osobę – ostrożnie i z przebiegłością. Wiedział, jak to się robi.

– Miło mi to słyszeć. Twoje podejście jest słuszne – powiedział. – I uważam, że to zamyka sprawę. – Przyszła mu do głowy pewna myśl. – Przy okazji, pamiętasz Mei-Ling, którą poznałeś w Guilin? – spytał.

– Oczywiście.

– Wiedziałeś, że ma córkę?

– Pamiętam, że o tym słyszałem.

– Piękna dziewczyna. Niedługo wychodzi za mąż, za znajomego kupca w Jingdezhen. – Uśmiechnął się. – Ponieważ nie ma ojca, zdecydowałem, że ją adoptuję. Wyświadczyłem w ten sposób uprzejmość dziewczynie i jej matce. Przez małżeństwo wejdzie do bogatej rodziny.

– Poszczęściło się jej. – Ru-Hai skłonił głowę, ale ojciec dostrzegł, że jest zaskoczony. – Nie wspominaliście mi o tym, ojcze.

– Miałem zamiar powiedzieć ci, kiedy się zobaczymy. To nie była rzecz najwyższej wagi.

– Kiedy odbędzie się ślub?

– Jak tylko wrócę do Jingdezhen.

– A więc mam nową siostrę.

– Przybraną siostrę, owszem.

Teraz, pomyślał Shi-Rong z ponurą satysfakcją, mój przemądrzały syn zastanawia się, czy zamierzam dać jego nowej siostrze jakieś pieniądze, którymi, jak twierdzi, tak bardzo się brzydzi. Ponownie się uśmiechnął.

– Tymczasem – podjął obojętnym tonem – dopóki jestem w Pekinie, uczynię, co w mojej mocy, aby popchnąć sprawę, o której mi dziś wspominaliście.

* * *

Jak obiecał, tak zrobił. Szybko przekonał się, że zna w stolicy całkiem sporo mandarynów chętnych do rozmowy o jamenie Tsunglin. Większość zgadzała się, że wojsko należy zmodernizować, wykorzystując w tym celu zachodnią broń i metody walki. Pewien były gubernator powiedział mu, że

nazywają to doktryną samoumacniania. Ale już w kwestiach handlu i edukacji zdania były bardzo podzielone. Niektórzy popierali młodych, inni ufali starej dobrej zasadzie, aby „barbarzyńców trzymać na dystans”.

Dopomogło mu pewne nieprzewidziane wydarzenie. Dwa dni po spotkaniu z młodymi urzędnikami gruchnęła wieść, że japoński okręt wojenny przeprowadził atak na Półwysep Koreański – dokładnie tak, jak przewidzieli Ru-Hai i jego przyjaciele.

– To wstrząsnęło mandarynami – poinformował syna. – Kiedy mówię, że wasza misja jest pilna, uważnie mnie słuchają.

– Może ten eunuch także weźmie to pod uwagę – przypomniał mu syn.

– Najpierw muszę się z nim zobaczyć – odparł Shi-Rong.

Niestety, z tym był pewien problem. Lakowany Paznokieć kazał mu czekać cierpliwie, ale gdy minęło dziesięć dni i Shi-Rong nadal nie otrzymał żadnej wiadomości, zdecydował się złożyć mu wizytę. Eunuch był w domu i przywitał go grzecznie, choć Shi-Rong wyczuł nutę irytacji w jego głosie.

– Nic się nie zmieniło, dostojny panie. Nadal czekam, aż nowina o wakacie zostanie oficjalnie ogłoszona. Jestem pewien, że nam się poszczęści. – Widząc, że jego odpowiedź nie zadowoliła Shi-Ronga, dodał: – Zależy mi na tym tak samo jak panu.

– Rozumiem – odrzekł Shi-Rong. Było jasne, że Lakowany Paznokieć czeka, aż sobie pójdzie, oddalił się zatem, nie poruszając tematu jamenu Tsungli.

W kolejnych dniach jego frustracja narastała. Lobbowanie na rzecz inicjatywy jamenu traciło rozpęd, w miarę jak kończyli się znajomi, do których Shi-Rong mógłby się zwrócić. Przez większość czasu nie miał nic do roboty poza czekaniem na wiadomość od Lakowanego Paznokcia, która nie nadchodziła. Dwa razy zjadł posiłek z synem; obyło się bez incydentów, a temat łapówek nie był już poruszany.

Czas jednak płynął nieubłaganie. Mei-Ling i jej córka były już zapewne w drodze do Jingdezhen. Shi-Rong musiał wracać na ślub.

Po kolejnych dziesięciu dniach nie wytrzymał i ponownie wybrał się do domu eunucha, chociaż wiedział, że nie powinien tego robić.

Właśnie zapadał zmierzch. Służący, który otworzył drzwi, wydawał się zaskoczony i powiedział, że jego pana nie ma w domu.

– Może już dzisiaj nie wrócić – dodał.

Czyżby kłamał? Chyba nie. W pałacu mogło się akurat odbywać jakieś przedstawienie albo koncert i Cixi zażądała obecności swojego faworyta.

W takim razie zapewne spędzi tam noc, choć równie dobrze mógł po prostu wrócić późno do domu.

Shi-Rong odwrócił się na pięcie. Skoro już tu przyszedł, nie chciał odchodzić z niczym, na wypadek gdyby Lakowany Paznokieć jednak wrócił do siebie. Ale przecież nie mogę tak stać na rogu, pomyślał. To by świadczyło o braku godności. Ruszył więc powoli w stronę Cesarskiego Miasta.

Nie było trudno wykoncypować, którędy będzie wracał Lakowany Paznokieć. Trzeba było iść w kierunku Bramy Tiananmen. Jeśli przypadkiem natknie się na eunucha, tym lepiej; otwarta przestrzeń przed bramą była dobrze oświetlona latarniami i prefekt mógł się tam przechadzać do woli, niepytany przez strażników o to, co tam robi.

Dotarł do placu. Zaczynało robić się chłodno i wokół nie było wielu ludzi. Obszedł plac i zatrzymał się na chwilę, aby spojrzeć w górę na ogromne wrota. Potem zrobił kolejną rundę i jeszcze jedną, tym razem trzymając się blisko bramy. Zastanawiał się właśnie, czy ponownie obejść plac, czy też wracać do swej kwatery, kiedy zauważył wysoką, majestatyczną postać, zmierzającą w jego kierunku. Kiedy się zbliżyła, Shi-Rong rozpoznał w niej pałacowego eunucha – sądząc po stroju i insygniach, jednego z najwyższych rangą.

Czy powinien go zagadnąć? Właściwie czemu nie. Ostatecznie, pod warunkiem, że zrobi to dyskretnie, nie miał nic do stracenia. Zatrzymał się w miejscu, gdzie światło latarni pozwalało wyraźnie dojrzeć insygnia czwartego stopnia na jego piersi, a gdy eunuch się zbliżył, zagadnął go:

– Proszę wybaczyć, chciałbym pana o coś zapytać, jeśli można. Miałem nadzieję przed wyjazdem z Pekinu pomówić ze swoim przyjacielem, znanym w pałacu jako Lakowany Paznokieć. Nie wie pan przypadkiem, czy jest dziś na służbie i czy będzie tędy wychodził?

Wysoki eunuch zatrzymał się i na widok insygniów Shi-Ronga odparł cichym głosem:

– Dobry wieczór panu. Nazywam się Liu. Czy mogę wiedzieć, z kim mam zaszczyt rozmawiać?

– Jestem prefektem Jingdezhen.

– Ach. – Pan Liu się uśmiechnął. – Cóż, mogę pana poinformować, że Lakowany Paznokieć dzisiaj nie wyjdzie z pałacu. Wiem to na pewno. Mogę panu jakoś pomóc?

– Nie, panie Liu, dziękuję. Już mi pan pomógł.

– Bardzo się cieszę. – Pan Liu przyglądał mu się z ciekawością. – Powinienem wyjaśnić, że jestem jednym z największych wielbicieli pana przyjaciela. Odegrałem zasadniczą rolę w jego karierze na samym początku jego pałacowej służby.

– Doprawdy? – uradował się Shi-Rong. Zastanawiał się, czy pan Liu mógłby mu pomóc ustalić czas i miejsce sposobne do osaczenia nieuchwytnego wspólnika w interesach.

– Wybierałem się właśnie do ulubionej herbaciarni – powiedział pan Liu. – Czy zechciałby pan mi towarzyszyć? Sprawiłoby mi to wielką przyjemność.

– Ależ oczywiście – odparł Shi-Rong.

Jakże czarującą i inteligentną osobą okazał się pan Liu! Szybko stało się jasne, że są z Lakowanym Paznokciem dobrymi przyjaciółmi. Opowiedział Shi-Rongowi o czasach, kiedy spędzali razem rozkoszne wieczory na wyspach położonych na jeziorze Pałacu Letniego, i o skandalach, jakich byli świadkami w Zakazanym Mieście – tych informacji udzielił mu oczywiście w największej tajemnicy – po czym, zapewniwszy Shi-Ronga, że poza Lakowanym Paznokciem nie ma w zasadzie bliższego przyjaciela, dodał żarliwie:

– Może mu pan całkowicie zaufać w swojej sprawie. Jest uczciwy i nigdy pana nie zawiedzie.

– Dobrze wiedzieć – odrzekł Shi-Rong.

– Nie chciałbym być niedyskretny – ciągnął pan Liu – ale chyba wspomniał mi o pana sprawie – wyłącznie dlatego, że ma do mnie zaufanie, rzecz jasna. Od czasu do czasu dzielimy się tego rodzaju informacjami.

– Powiedział panu o wakacie na stanowisku inspektora solnego?

– Ach. – Pan Liu się uśmiechnął. – W rzeczy samej.

– Chodzi o to, że wszystko trwa tak długo. Lakowany Paznokieć twierdzi, że musimy zaczekać na oficjalne ogłoszenie wakatu.

– I ma całkowitą rację – zapewnił go pan Liu. – Do tej pory proszę niczego nie robić. Kto oficjalnie zgłosi pana kandydaturę?

– Mój przyjaciel, pan Peng, i jego znajomi z ministerstwa.

– Doskonale. Gdy tylko to zrobią, Lakowany Paznokieć szepnie Cixi słówko. To powinno wystarczyć, ale grunt to odpowiednie wyczucie czasu.

– Byłem u niego niedawno. Kazał mi zachować cierpliwość, tyle że ja nie mogę już dłużej czekać. – Shi-Rong wyjaśnił sprawy związane z Mei-Ling i spodziewanym ślubem.

– Nie ma potrzeby, żeby czekał pan w Pekinie – powiedział Liu. – Cixi nie będzie chciała widzieć pana osobiście. Proszę spokojnie jechać na ślub, stanowisko na pewno panu przypadnie. – Przerwał. – Jeśli to pana uspokoi, sam porozmawiam o całej sprawie z Lakowanym Paznokciem. Mój głos trochę się liczy w pałacu. Teraz, kiedy pana poznałem, z radością poprę wraz z nim pańską kandydaturę. Pana podanie zostanie niezwłocznie zaakceptowane.

– To bardzo uprzejme z pana strony, panie Liu. – Shi-Rong się zawahał. – Chodzi o to, że ustaliliśmy już…

– Rozumiem, co pana dręczy. – Pan Liu uniósł lekko dłoń i uśmiechnął się. – Proszę się tym nie martwić, drogi panie. Nic nie będzie mi pan winien za tę drobną przysługę. W istocie nie wyobraża pan sobie, ile przyjemności da mi zaangażowanie się w tę sprawę.

– Czy mam go powiadomić, że z panem rozmawiałem?

– A po co? Sam z nim pomówię, bo jeśli pan spróbuje znów się z nim skontaktować, może poczuć się urażony – prosił pana przecież o cierpliwość. Będzie wiedział, jak się z panem skontaktować w Jingdezhen, podobnie jak szanowny pan Peng. Proszę więc ruszać w drogę powrotną tak szybko, jak tylko uzna pan za stosowne.

Shi-Rong tak też uczynił. Wyjechał następnego dnia.

* * *

Im bliżej ślubu, tym bardziej cała rodzina pana Yao rozpływała się w zachwytach nad Jasnym Księżycem. Jego wiekowa już matka, siostry, ciotka, siostrzenice, siostrzeńcy, kuzynów nie wyłączając, nie mogli się jej nachwalić. Hafty, które przysłała, okazały się prześliczne. Kobiety spotkały się z dziewczyną, po czym oznajmiły, że jest piękna, czarująca, pełna szacunku i dobra. Nawet jeśli niektórzy uważali jej osiągnięcia za odrobinę przewyższające ich własne, wszyscy byli zgodni, że skoro pan Yao ma zostać szlachcicem, właśnie takiej żony mu trzeba.

Jedyną osobą, która coś znaczyła w Jingdezhen i jeszcze nie poznała narzeczonej, był pan młody i tak miało pozostać aż do dnia ślubu. Wszystko

zorganizowano jak należy, w zgodzie z tradycją.

Dla Shi-Ronga były to bardzo szczęśliwe dni. Cieszył się, że ta piękna młoda kobieta mieszka teraz w jego domu, a rozsiewane przez pana Yao plotki, jakoby Jasny Księżyc nie była jedynie jego adoptowaną córką, wcale nie zaszkodziły jego reputacji. Przeciwnie; uroda matki dziewczyny, o której wiedziano, że była niegdyś konkubiną Shi-Ronga, stanowiła kolejny dowód na to, że gust prefekta Jingdezhen dorównuje jego wysokiej randze.

Jako że na przyjęciu weselnym powinien być obecny jeszcze jeden krewny płci męskiej, Mei-Ling przyjechała w towarzystwie Brata z Kalifornii. Choć w porównaniu z matką i siostrą był nieco nieobyty, jego spokojne i przyjazne nastawienie do ludzi oraz gotowość dzielenia się opowieściami o amerykańskich dziwach przemawiały na jego korzyść.

Jedna tylko rzecz irytowała Shi-Ronga. Mei-Ling wraz z córką dzieliły pokój i matka konsekwentnie spędzała w nim każdą noc. W głębi duszy liczył, że będzie mu bardziej przychylna, ale ponieważ nie wykazywała żadnej inicjatywy, on sam również milczał.

Ślub i wesele udały się doskonale. Jasny Księżyc naturalnie popłakiwała, kiedy niesiono ją do domu narzeczonego; dziewczyna powinna okazywać smutek na myśl, że rozstaje się z ukochanymi rodzicami. Nie wydawała się zachwycona mężem, kiedy go w końcu ujrzała, lecz z czasem, dzięki czułym atencjom małżonka, powinna odnaleźć szczęście.

Wzniesiono toasty i wręczono podarki. Jasny Księżyc usługiwała gościom. Jej mąż oraz, co równie ważne, jego rodzina byli z niej bardzo zadowoleni.

Trochę mnie to kosztowało, pomyślał Shi-Rong, ale tak należało postąpić. Był usatysfakcjonowany. W jego świecie wszystko układało się znakomicie.

Jak się miało okazać, prawie wszystko.

Nazajutrz Mei-Ling zaskoczyła prefekta, przychodząc do niego z zafrasowaną miną.

– Czy mogę usiąść? – spytała. – Muszę coś z tobą omówić. – Skinął głową. Usiadła naprzeciw niego. – Przyszłam prosić o przysługę – powiedziała.

– Jeszcze jedną?

– Ubiegłej nocy miałam zły sen. – Przerwała na moment. – Wiele lat temu Nio dał mi trochę pieniędzy. To jedyny majątek, jaki kiedykolwiek miałam. Trzymałam je w ukryciu, pomogły mi przetrwać ciężkie czasy.

– Przecież twoja rodzina nie cierpi teraz biedy. – Shi-Rong zmarszczył brwi.

– To prawda. Mój zły sen dotyczył Jasnego Księżyca.

– Jasnego Księżyca? – O czym ona mówiła? – Właśnie znalazłem jej bogatego męża. Nigdy nie będzie jej niczego brakowało.

– Wiem. – Zawahała się. – Ale w moim śnie coś poszło nie tak. Mąż się z nią rozwiódł. Odesłał ją do domu.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Ale została z niczym.

– Jeśli uczyni coś niewłaściwego, będzie mu niewierna, to mąż może ją wyrzucić i zatrzymać posag, ale w żadnym innym wypadku. Z pewnością nie sugerujesz, że zrobi coś takiego?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale tak było w moim śnie.

– To tylko niemądry sen. Oczywiście, gdyby do tego doszło, sama byłaby sobie winna. Straciłaby honor, chociaż zapewne rodzina mogłaby się nią wtedy zaopiekować.

– Tyle wydaliśmy na jej edukację i wszystko, co było niezbędne, żeby dobrze wydać ją za mąż, że nie sądzę, aby bracia zechcieli jej pomagać.

– Nie winiłbym ich za to.

– A ja nie mogłabym jej wesprzeć, bo nie mam żadnych swoich pieniędzy. Wydałam już te, które mi wcześniej dałeś. Ale gdybyś mógł dać mi jeszcze trochę, tak jak kiedyś Nio, trzymałabym je w ukryciu, żeby jej pomóc, gdyby kiedykolwiek zaszła taka potrzeba.

Shi-Rong przyjrzał jej się uważnie. Czy próbowała go naciągnąć? Nie, pomyślał, to do niej niepodobne. Mówiła prawdę, jakkolwiek idiotyczne byłyby jej obawy. Pomyślał o wydatkach, jakie już poniósł, i poczuł złość, a zarazem wzruszenie. Mei-Ling w rozpaczy zwróciła się do niego o pomoc.

Jeśli miał być szczery, mógł sobie na to pozwolić. Z chwilą, gdy otrzyma dobrą wiadomość z Pekinu, jego majątek zostanie zabezpieczony, a Shi-Rong prawie nie zauważy braku sumy, którą mógł jej teraz ofiarować.

– Zobaczę, co da się zrobić – odpowiedział z uśmiechem. – Na pewno coś się dla ciebie znajdzie.

– Dziękuję. – Skłoniła przed nim głowę. – To wiele dla mnie znaczy.

Wedle zwyczaju trzeciego dnia po ślubie państwo młodzi odwiedzili dom rodziców żony. Powitały ich tam ciepłe uśmiechy i świąteczna atmosfera. Uszczęśliwiony pan Yao obdarował Shi-Ronga i Mei-Ling tradycyjnymi prezentami, zwracając się do nich „ojcze” i „matko”. Wszyscy byli zadowoleni. Rytuał zawarcia małżeństwa został dopełniony.

Posłaniec z Pekinu przybył do domu prefekta nazajutrz w południe. Wraz z różnymi pakunkami i oficjalnymi przesyłkami przywiózł list od Lakowanego Paznokcia. W zaciszu gabinetu Shi-Rong z zapałem zabrał się do jego lektury, zanim nawet otworzył dokumenty handlowe.

Z wielkim bólem, czcigodny panie, spieszę donieść o katastrofie, jaka miała miejsce. Nasze plany zostały pokrzyżowane.

Nie mam wielu wrogów, co napawa mnie dumą, ale jednym z nich, który już wcześniej usiłował mnie zniszczyć i od tamtej pory nie ustaje w rzucaniu mi kłód pod nogi, ilekroć ma po temu okazję, jest niejaki pan Liu, ważna osobistość o wielkiej władzy w pałacu. Jakimś sposobem – nie zdołałem dowiedzieć się jakim – uzyskał informacje o wakacie na stanowisku inspektora solnego i o moim zainteresowaniu tą sprawą. Tego wieczoru, kiedy zamierzałem wspomnieć o panu cesarzowej, wcześniej wystarał się o audiencję i obsadził na tym stanowisku własnego kandydata. Kiedy nazajutrz poruszyłem temat z cesarzową, roześmiała się i odparła: „Masz pecha, Lakowany Paznokciu. Właśnie obiecałam je przyjacielowi pana Liu. Spóźniłeś się”.

Nic na to nie poradzę, czcigodny panie. Jeśli dowiem się o innych możliwościach, uczynię, co w mojej mocy, aby niezwłocznie pana o nich powiadomić. Tymczasem jednak nie ma żadnych widoków na pański rychły awans, zwracam więc pańską przedpłatę przez tego samego posłańca.

To poważny cios dla nas obydwóch i mogę jedynie wyrazić swoje głębokie ubolewanie.

Shi-Rong wydał jęk udręki. Szanse na bogactwo przepadły. Ślub i wesele Jasnego Księżyca pokaźnie uszczupliły jego majątek. Nie mogło być nawet mowy o podarowaniu Mei-Ling dodatkowych pieniędzy.

JEZIORO ZACHODNIE

1887 rok

GUANJI NIE MIAŁ żadnego planu. Zwykle uważał, że w sprawach sercowych lepiej nie robić planów. Jeśli coś miało się wydarzyć, to prędzej czy później się wydarzy, a jeśli nie, to nie.

Kiedy jakaś kobieta go zainteresowała, był czarujący, dawał jej do zrozumienia, że ją podziwia, ale to wszystko. Następny ruch należał do niej – o ile, rzecz jasna, zechce go wykonać. Na tym polegała cała sztuka; traktował to jak swego rodzaju wyzwanie.

Zwykle brał na cel wdowy – tak było znacznie bezpieczniej – jednak ten przypadek był inny. Nie był jeszcze pewien, jak powinien postąpić. Pojawiły się trudności, które trzeba było pokonać, zagrożenie, niepewność. To wszystko wymagało cierpliwości. Na szczęście miał mnóstwo czasu, a przynajmniej tak mu się wydawało.

Skończył pięćdziesiąt lat i był wdowcem cieszącym się dobrym zdrowiem, z dwoma dorosłymi, przystojnymi synami i córką, która dobrze wyszła za mąż. To dawało mu sporą swobodę. Jako Mandżur cieszył się szacunkiem wynikającym ze znaczenia jego klanu i piastowanego wysokiego stanowiska. Miał tyle pieniędzy, ile potrzebował, i wspaniały dom w jednym z najpiękniejszych i najmodniejszych zakątków świata.

Sąsiedzi znad Jeziora Zachodniego nazywali go generałem. To prawda, że przez krótki czas pełnił tę funkcję, ale przecież mógł zajść jeszcze dalej. Gdyby wygrał jakąś wielką bitwę, mógłby nawet otrzymać oficjalny tytuł. Jednak przed siedmiu laty zdecydował się przejść w stan spoczynku i od tego czasu prowadził bardzo przyjemne i wygodne życie.

Można by uznać, że jego przydomek – generał – jest zabarwiony lekką kpiną. Żołnierzy uważano wszak za prymitywnych ludzi, stojących o wiele niżej od uczonych, jednak wśród chińskich ludzi pióra – poetów i uczonych, którzy zwykli osiedlać się w tej rozkosznej okolicy nieopodal Hangzhou – Guanji cieszył się dobrą opinią. Pamięć o jego wykształconym wuju wciąż była tu żywa; wielu miejscowych dostojników i uczonych znało Guanjiego od dziecka i wiedziało, że już jako uczeń wykazywał talent literacki. Skoro teraz, po przejściu na emeryturę, zdecydował się wieść życie kulturalnego człowieka nad Jeziorem Zachodnim, byli gotowi z radością przyjąć go do swego grona.

Pan Yao dopiero co nabył willę nad jeziorem. Jego interesy w Jingdezhen kwitły, a dwunastoletnie małżeństwo z Jasnym Księżycem – prawdziwą pięknością – zaowocowało trzema udanymi synami i córką. Sukcesja rodu została zapewniona. Musiał poczekać jeszcze około piętnastu lat, zanim przekaże warsztaty ceramiczne najstarszemu synowi, tymczasem zaś miał siostrzeńca, który doskonale się sprawdzał, doglądając na co dzień jego spraw.

Pan Yao mógł więc co roku pozwolić sobie na dwa lub trzy miesiące wolnego, żeby wieść dostatnie życie szlachcica, którym w istocie się stał. A czy jest na to lepszy sposób niż zamieszkanie w pięknej willi nad modnym Jeziorem Zachodnim, dziesięć dni drogi od dymiących kominów jego warsztatów ceramicznych w Jingdezhen?

Nie był do końca pewien, co miałby robić w tak arystokratycznym miejscu, gdy już się tam znajdzie, ale zamierzał się tego dowiedzieć.

Dlatego bardzo się ucieszył, gdy podczas wizyty z żoną i dziećmi w słynnej pobliskiej świątyni kapłan przedstawił go dystyngowanemu sąsiadowi, generałowi, który grzecznie wyraził zadowolenie, iż willa, od kilku lat pusta i zaniedbana, ma wreszcie nowego właściciela. Pan Yao zapytał, czy generał zechciałby go odwiedzić i być może zaproponować jakieś ulepszenia. Sąsiad był zachwycony tą propozycją. Miał co prawda jakieś sprawy do załatwienia w Hangzhou, ale termin wizyty ustalono na dziesięć dni po jego powrocie.

I oto wreszcie nadszedł.

– Wspaniałe położenie – chwalił Guanji, gdy zwiedzali razem teren posiadłości. Znaleźli się właśnie nad samym brzegiem jeziora.

– Zamówiłem łódź, abyśmy mogli popływać po jeziorze – powiedział pan Yao.

– Wiem, że pewne miejsca są tu szczególnie polecane do oglądania księżyca, zachodów słońca za pagodą na wzgórzu i tak dalej – rzekł Guanji. – Z przyjemnością je panu wskażę, gdy przypłynie łódź. – A może pokażę je także twojej urodziwej małżonce, pomyślał. Widział ją tylko przelotnie w świątyni, ale zobaczył wystarczająco dużo, aby skwapliwie przyjąć zaproszenie do odwiedzenia willi kupca.

– Dziękuję panu, generale – odparł pan Yao.

Jak wiele chińskich ogrodów, również teren położonej nad jeziorem posiadłości był podzielony na liczne mniejsze zakątki, zapewniające miłe odosobnienie, a zarazem stanowiące element zaskoczenia, tak że całość sprawiała wrażenie znacznie rozleglejszej niż w rzeczywistości.

Przeszli przez mały łukowaty mostek, spinający brzegi pustego stawu.

– Pomyślałem, że zakupię do tego stawu czerwone karpie – odezwał się pan Yao.

– Doskonały pomysł.

Ścieżka zaprowadziła ich do otoczonego murem ogrodu, do którego weszli przez okrągłą księżycową bramę. Ogród został niedawno oczyszczony, ale nie obsadzono go jeszcze żadnymi roślinami.

– Myślał pan już o roślinach? – zapytał Guanji.

– Posadzimy tu całe mnóstwo piwonii – odpowiedział pan Yao.

Guanji przystanął.

– Proponuję, aby nie traktował pan piwonii jako motywu przewodniego – rzekł. – Zaraz powiem panu dlaczego. Co najmniej dwie wille nad jeziorem słyną ze swoich piwonii. Radziłbym skonsultować się z ogrodnikiem i stworzyć coś wyjątkowego, własnego.

– Dziękuję. – Yao był mu najwyraźniej bardzo wdzięczny. – To brzmi rozsądnie. A więc tylko kilka piwonii, żeby sprawić przyjemność mojej żonie.

– Naturalnie. – Guanji się uśmiechnął. – Zawsze należy sprawiać przyjemność żonie.

– Moja żona bywa krnąbrna – zauważył pan Yao ze śmiechem – mimo to uważam się za szczęśliwca.

– Ach. Może pan też zasadzić tu drzewka kwitnącej śliwy – rzucił od niechcenia Guanji. – Będą się znakomicie komponowały z cyprysami, które już pan tutaj ma.

Opuściwszy otoczony murem ogród, poszli dalej ścieżką, która prowadziła w górę po kilku stopniach. U ich szczytu Guanji zatrzymał się nagle; przyszła mu do głowy pewna myśl.

– A w tym miejscu może kamień uczonych? – zaproponował, wskazując placyk przed sobą.

Wapienne skały krasowe o egzotycznych kształtach i tajemniczych wgłębieniach nadal były popularne wśród bogaczy, którzy mogli sobie na nie pozwolić.

Pan Yao uśmiechnął się krzywo.

– Chcecie powiedzieć, generale, że nie ma sensu, abym udawał biedaka?

– Otóż to. – Guanji się roześmiał. Nawet spodobał mu się ten inteligentny kupiec.

Kiedy weszli do środka, dowiedział się więcej o swoim gospodarzu. Willa była już wygodnie umeblowana, solidnymi, doskonałej jakości stołami i krzesłami oraz otomanami pokrytymi kosztownym jedwabnym brokatem. Zauważył kilka wyrobów z laki, a także inne ciekawe przedmioty.

Pierwszym z nich była stojąca na stoliku przy wejściu bardzo ładna niebiesko-biała waza z czasów dynastii Ming. Chociaż… czy na pewno?

– Zastanawia się pan, czy to autentyczna waza Ming, czy jej kopia. – Pan Yao zauważył wahanie gościa.

– Z pewnością żadna kopia nie byłaby równie piękna – odparł uprzejmie Guanji.

– W jednym z moich warsztatów ceramicznych w Jingdezhen wykonujemy kopie tej wazy, które nawet znawcy na pierwszy rzut oka mylą z oryginałem. Ta tutaj to jednak oryginał z okresu Ming.

Przeszli korytarzem, mijając po drodze inne skarby.

Po wejściu do pokoju, gdzie miano im podać herbatę, Guanji zauważył dzban pokryty emalią komórkową. Współczesne wyroby tego rodzaju były bogato zdobione, ale z czasem emalia odpadała, dlatego te starożytne ogromnie ceniono. Wzrok generała przykuły jadeitowe figurki wykonane przez Hanów przed dwoma tysiącami lat.

– Widzę, że jest pan prawdziwym koneserem, panie Yao – stwierdził.

– Niezupełnie, generale. – Yao uśmiechnął się z ironią. – Po prostu mam dobrych doradców.

Guanji pochylił głowę. Jego gospodarz był nuworyszem, dającym upust swojej próżności, ale dobrze wiedział, co robi.

– Być może już pan o nich słyszał – rzekł – ale dzięki mojemu zmarłemu wujowi znam osobiście większość antykwariuszy w Hangzhou i chętnie podzielę się swoimi spostrzeżeniami na temat tego, którzy z nich najbardziej zasługują na zaufanie.

– Jest pan bardzo miły – odparł pan Yao. – Ach. – Podniósł wzrok. – A oto i moja żona.

Była w każdym calu idealna. Czy można tak w ogóle o kimkolwiek powiedzieć? Niewykluczone, pomyślał. Już podczas ich krótkiego spotkania w świątyni jej uroda zrobiła na nim piorunujące wrażenie, teraz zaś jeszcze bardziej utwierdził się w swoich odczuciach. Przyszła, aby podać im herbatę.

W chińskim rytuale podawania herbaty nie było nic sztywnego ani formalnego. Chodziło o to, aby gość poczuł się mile widziany, jak we własnym domu. Żeby ogarnął go spokój. Każdy ruch był prosty i celowy: ogrzewanie imbryczka i szerokich czarek gorącą wodą; delikatne przesypywanie ciemnych, skręconych liści herbaty do czajniczka; czarka z liśćmi podsuwana każdemu z gości do powąchania, dzięki czemu mogli poczuć aromat herbaty; pierwsze parzenie herbaty w imbryczku; przelewanie jej, po uprzednim odcedzeniu liści, do dzbanka, z którego ostrożnie napełniano czarki do połowy, nie wyżej, przezroczystym, delikatnie pachnącym płynem.

Tylko jeden szczegół tego rytuału nie miał ściśle praktycznego celu, a mianowicie gdy gość delikatnie stukał dwoma knykciami w stół, aby podziękować. Nawiązywano tym samym do uroczej opowieści mówiącej o tym, jak przed wiekami pewien cesarz podróżujący incognito zatrzymał się w gospodzie; obsługiwał tam własnego służącego, nalewając mu herbatę, ten zaś, aby nie zdradzić tożsamości cesarza, wykonał ów ledwie dostrzegalny gest, mający oznaczać ukłon.

Cóż zatem wyróżniało Jasny Księżyc? Podawała herbatę niedbale, ale tak samo czyniły służące w herbaciarniach. Chodziło o wdzięk, z jakim wykonywała każdą czynność. To było niemal magiczne.

Jak udawało jej się osiągnąć taki efekt? Guanji próbował przeanalizować jej ruchy. Być może wynikało to z jej postawy, z tego, jak się trzymała. Siedziała w tradycyjnej pozycji, z lekko wygiętymi plecami – ale nie bardziej, niż to było naturalne. Zachowywała doskonałe skupienie, a jej twarz cechował niczym niezmącony spokój.

Zwrócił uwagę na piękną krzywiznę jej piersi, niezbyt dużych, ale bardzo kobiecych, i nagle zapragnął jej z całej siły.

Nie była to zwykła mieszanka ciekawości i pożądania, jaką odczuwał w przypadku większości ładnych kobiet. To było coś więcej. Chyba się w niej zakochuję, pomyślał.

– Powiedziałem mojej żonie – odezwał się pan Yao – że wie pan więcej o tej okolicy niż ktokolwiek inny nad jeziorem. – Wyraźnie zachęcał gościa, aby powiedział kilka słów.

– Pani mąż przypisuje mi zbyt duże zasługi – odpowiedział uprzejmie Guanji. – To prawda, że urodziłem się w garnizonie w Zhapu, tu na wybrzeżu, a mój wuj był znanym drukarzem i cenioną postacią w środowisku literackim Hangzhou. Przypuszczam, że to dość naturalne, iż po przejściu w stan spoczynku postanowiłem zamieszkać nad Jeziorem Zachodnim. – Uśmiechnął się. – Jestem pewien, że zna pani tę czarującą legendę o powstaniu Jeziora Zachodniego?

– Tak, panie – odparła. – Cesarzowa Nieba chciała ukraść magiczny Biały Jadeit, którego strzegły Jadeitowy Smok i Złoty Feniks, a na koniec, podczas bitwy toczonej przez jej armię, Jadeitowy Kamień spadł na ziemię i utworzył Jezioro Zachodnie, którego po dziś dzień strzeże Góra Feniksa.

– W rzeczy samej. Jest też wiele innych historii związanych z tym jeziorem – oczywiście głównie są to opowieści o utraconej miłości. Na przykład opowieść o Białym Wężu.

– „Biała Dama jest uwięziona w pagodzie nad jeziorem” – dopowiedziała cicho Jasny Księżyc.

Guanji spojrzał na nią ze zdumieniem. Istniały niezliczone wersje tej opowieści. Najpopularniejsze z tych współczesnych zmieniały starą, ponurą historię w konwencjonalny romans. Jednak wers, który zacytowała żona gospodarza, pochodził ze starszego, mniej znanego wiersza, o którego znajomość Guanji nigdy by jej nie podejrzewał.

– „Jej kochanek umrze, gdy odnajdzie białego węża” – odwzajemnił się innym cytatem, a zwracając się do pana Yao, rzekł z podziwem: – Pańska żona ma niezwykłą wiedzę na temat poezji.

– To prawda – zgodził się ze śmiechem pan Yao. – Ciągle coś cytuje.

Jasny Księżyc skłoniła głowę przed Guanjim, dziękując mu za komplement. Następnie podniosła wzrok i rzuciła mu ukradkowe spojrzenie. Tak ukradkowe, że pan Yao niczego nie zauważył, lecz dla Guanjiego przekaz był całkiem jasny: „Mojemu mężowi brakuje ogłady, ale cóż mogę na to poradzić?”.

Guanji ponownie zagadnął pana Yao.

– Widział pan już pagodę Leifeng? – Ta ciekawa stara ruina liczyła dziewięć stuleci. Dawno temu japońscy piraci spalili górne drewniane kondygnacje wielkiej ośmiobocznej wieży, lecz jej kamienny trzon wciąż tkwił niczym upiorny wiekowy strażnik na niskim wzgórzu nad jeziorem. – Niektórzy uczeni wierzą, że pod tą wieżą znajduje się ukryty grobowiec, a w nim pukiel włosów Buddy.

Ze swadą opowiadał im o cesarzach, którzy odwiedzali niegdyś jezioro, i o obecnych mieszkańcach tych okolic. Zwracał się do obojga, bacząc, aby nawiązywać kontakt wzrokowy jedynie z kupcem, a nie z jego młodą żoną.

– Twoja matka powinna to usłyszeć! – wykrzyknął nagle Yao, zwracając się do Jasnego Księżyca. – Idź i ją przyprowadź.

– Wiesz, że moja matka nie czuje się najlepiej – przypomniała mu łagodnie. – A ja nie skończyłam jeszcze podawać herbaty.

– Nieważne, to wszystko nieważne – odrzekł. – Twoja matka jest tylko trochę przemęczona. Powiedz jej, że proszę, aby do nas dołączyła. To poprawi jej nastrój.

Jasny Księżyc nic nie odpowiedziała, ale jej niechęć była oczywista i Guanji nie mógł jej za to winić. Pan Yao był jednak nieubłagany.

– Dobrze jej robi, kiedy czasami jej się sprzeciwiam – stwierdził, gdy tylko żona wyszła. – Jej matka odwiedziła nas wkrótce po naszym pierwszym spotkaniu w świątyni – ciągnął. – To bardzo piękna kobieta. Pochodzi z zamożnej chłopskiej rodziny, ale jest niezwykle wytworna. Owdowiała, a potem została konkubiną znamienitego mandaryna, pochodzącego ze starej, szanowanej rodziny. Moja żona była późnym dzieckiem – kiedy się urodziła, miała już dwóch dorosłych braci.

– Rozumiem.

– Jasny Księżyc jest bardzo podobna do swojej matki, lecz łączy ją także bliskie podobieństwo z niektórymi członkami rodziny mandaryna. Oczywiście adoptował ją i uznał za rodzoną córkę, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– Myślę, że tak.

– Być może zaskoczy pana fakt, że w przeciwieństwie do reszty rodziny matka Jasnego Księżyca nie miała krępowanych stóp. To dlatego, że jej matka pochodziła z bogatej rodziny Hakka i przez wzgląd na nich ojciec nie krępował jej stóp.

– Jestem Mandżurem – odparł gładko Guanji – więc żadna z kobiet w mojej rodzinie, w tym moja żona, nie miała krępowanych stóp. – Chociaż od czasu do czasu zdarzało mu się sypiać z kobietami z ludu Han, których stopy były krępowane, Guanji nigdy nie uważał osławionych „złotych lotosów" za podnietę erotyczną. W istocie przy takich okazjach starał się nie zwracać na nie uwagi.

– Mam nadzieję, że czuje się na tyle dobrze, aby do nas dołączyć – powiedział pan Yao. – Myślę, że się panu spodoba.

Kilka minut później kobieta, o której rozmawiali, weszła do pokoju.

Guanji nie mógł oderwać od niej wzroku. Ile mogła mieć lat? Z informacji, które mu przekazano, wynikało, że musiała być już po sześćdziesiątce, a zatem starsza niż on. Wyglądała jednak najwyżej na pięćdziesięciolatkę – w dodatku wyjątkowo piękną.

Nagle przyszło mu do głowy, że pan Yao mógł mieć ukryty powód, aby ich sobie przedstawić. Uśmiechnął się do siebie. Czyżby chciał, aby Guanji przyjął tę kobietę do swojego domu? To stworzyłoby towarzyską więź między nuworyszem a jego dostojnym sąsiadem. Mogło również chodzić o to – uznał w swojej przenikliwości generał – aby mieszkająca w pobliżu matka wywierała temperujący wpływ na młodą żonę kupca.

Mam zatem pełną swobodę działania, pomyślał Guanji.

– Generał łaskawie zaproponował – zwrócił się do kobiety pan Yao – że kiedy przypłynie łódź, zabierze nas wszystkich i pokaże nam najpiękniejsze miejsca na jeziorze.

– Za trzy dni ma być pełnia księżyca – przypomniał im Guanji. – Czy do tego czasu pańska łódź zdąży tu przybyć, panie Yao? Będę wówczas do pańskich usług.

– Niestety, nie sądzę, aby tak szybko tu dotarła – odpowiedział Yao.

– A zatem wyprawimy się na jezioro przy następnej pełni księżyca – stwierdził niezrażony Guanji.

– Czyli już beze mnie – odezwała się Mei-Ling. – Niedługo muszę wracać do mojej rodziny.

– Zostańże przynajmniej do następnej pełni – namawiał ją pan Yao.

– To bardzo miłe, ale obawiam się, że niewykonalne – odparła, a zwracając się do Guanjiego, dodała: – Powie pan zapewne, że „spieszę się jak podróżny, który ma przed sobą daleką drogę”.

Był to słynny cytat z *Dziewiętnastu starych wierszy*, odnoszący się do krótkiego czasu pomiędzy życiem a śmiercią i zawierający sugestię, aby cieszyć się każdą chwilą. Czyżby chciała dać mu w ten sposób do zrozumienia, że jest nim zainteresowana? A może po prostu pokazała, że tak jak jej córka potrafi czytać i pisać, wiedziała bowiem, że zadowoli tym próżność swojego zięcia?

– Może łódź zdąży przypłynąć na czas – wtrąciła Jasny Księżyc.

Zapadło chwilowe milczenie i matka dziewczyny włączyła się do rozmowy, aby ją podtrzymać.

– Słyszałam, generale, że wcześnie przeszedł pan w stan spoczynku, aby zająć się literaturą. Jeśli to nie jest zbyt impertynenckie pytanie z mojej strony, czy była to nagła decyzja, czy też długo ją pan rozważał?

Mei-Ling nieszczególnie to obchodziło, ale, jak wynikało z jej doświadczenia, mężczyźni o wysokim statusie lubili mówić o sobie.

– Ach. – Guanji się zastanowił. Tak naprawdę wcale nie musiał się zastanawiać, bo już wiele razy wygłaszał tę krótką przemowę. Ludzie lubią jednak myśleć, że zadali oryginalne pytanie. – Kiedy byłem chłopcem – zaczął – osieroconym przez rodziców, powiedziano mi, że moim obowiązkiem jest zostać wojownikiem jak mój ojciec, który zginął jako bohater. Należał do klanu Suwan Guwalgiya, którego słup totemiczny znajduje się w Pekinie. Jestem potomkiem w dziewiątym pokoleniu Fiongdona, Pana Żółtej Chorągwi z Czerwonym Obramowaniem i bliskiego towarzysza założyciela mandżurskiego rodu cesarskiego. Fiongdon otrzymał tytuł Księcia Nieugiętej Prawości, a wiele stuleci po śmierci awansowano go jeszcze wyżej, na Księcia Dziedzicznego pierwszej klasy.

– To najwyższy stopień dla urodzonych poza rodziną cesarską – zauważył pan Yao, kiwając głową do swojej żony i jej matki, aby upewnić się, że rozumieją, jak wspaniałego gościa udało mu się zaprosić do swojego domu.

– Mój wuj z Hangzhou, który mnie wychował, był znaną postacią świata literackiego. Wydał wiele pięknych książek i często spisywał wspomnienia oraz dedykacje. Wpoił mi jednak, że moim obowiązkiem i przeznaczeniem

jest zostać wielkim wojownikiem w służbie cesarza. A ponieważ był człowiekiem majętnym, mógł zapewnić mi najlepsze konie, broń i nauczycieli, a także dobre wykształcenie zarówno w języku mandżurskim, jak i chińskim, abym sprostał temu zadaniu. Jak wiadomo, w dzisiejszych czasach nie ma zbyt wielu mandżurskich wojowników wyszkolonych w tradycyjnym stylu, miał więc nadzieję, że na ich tle będę się wyróżniał.

– I z pewnością tak było – wtrącił uprzejmie gospodarz.

– Do pewnego momentu, panie Yao. Chorążowie mandżurscy traktowali mnie jak jednego ze swoich. Nauczyli mnie swoich pieśni i wszystkich dawnych opowieści. Jeździłem z nimi konno, strzelałem z łuku, poznałem wolność rozległego stepu i pokochałem ją. Podobała mi się też nauka w szkole, ale nigdy nie chciałem być uczonym. Myślę, że miałem w sobie za dużo radości i energii. – Popatrzył na kobiety. – A jednak czegoś mi w życiu brakowało. Odnajdywałem to chyba w poezji, a czasami również w świątyni. – Urwał, jakby zabrakło mu słów. – Kiedyś nawet skrycie zastanawiałem się, czy nie zostać kapłanem. Chłopcy w pewnym wieku często miewają takie myśli, o ile są wrażliwi. Odbierałem to jednak jako słabość. Pilnie wypełniałem swoje obowiązki, walczyłem z tajpingami, chętnie ryzykowałem życie, jak każdy żołnierz. Z czasem awansowałem na dowódcę. – Umilkł.

– A mimo to poczucie, że czegoś panu w życiu brakuje, nie opuściło pana całkowicie, prawda? – zapytała Jasny Księżyc.

– Miałem szczęśliwe małżeństwo. Często mówiłem mojej drogiej żonie, że jest dla mnie za dobra, ale ona była na tyle uprzejma, że udawała, że tak nie jest. – Uśmiechnął się z lekką pogardą dla siebie. – Myślę, że mogę śmiało powiedzieć, iż oboje byliśmy bardzo szczęśliwi. Tęsknię za nią każdego dnia. Kiedy moja droga córka była gotowa do zamążpójścia, zadaliśmy sobie wiele trudu, aby znaleźć jej męża, z którym, jak sądziliśmy, będzie równie szczęśliwa, i z radością mogę oznajmić, że jest. – Zamilkł na chwilę. – Odpowiadając na pani pytanie, przyznaję, że dopóki żyła moja żona, czułem się duchowo pełny. Ale kiedy ją straciłem, wtedy… Zatęskniłem za Hangzhou i Jeziorem Zachodnim. Być może w ustach żołnierza przyznanie się do własnej wrażliwości oznacza słabość, podejrzewam jednak, że jeśli chodzi o charakter, muszę mieć w sobie więcej z wuja niż z ojca.

– To nie jest słabość – oświadczyła z głębokim przekonaniem Jasny Księżyc.

– Cóż, miło, że pani tak mówi – odparł Guanji. A potem nagle się rozpromienił. – Mam dwóch wspaniałych synów, którzy zostali wychowani na wojskowych i nie mają tego rodzaju rozterek. Przystojni jak diabli. – Zwrócił się do pana Yao: – Podobno cesarzowa Cixi lubi urodziwych młodych mandżurskich wojowników i chętnie ich awansuje. – Zaśmiał się, rzucając kupcowi znaczące spojrzenie. – Wiążę z nimi wielkie nadzieje!

Pan Yao również się roześmiał, ale to jego dwie towarzyszki obserwował Guanji. Większość kobiet ceniła twardych mężczyzn, jednak generał, okazujący szacunek swojej zmarłej żonie, umiejący przyznać się do wrażliwości, a nawet podatny na zranienie… Jego przemowa niemal zawsze robiła wrażenie na płci przeciwnej.

I rzeczywiście, Jasny Księżyc głęboko się nad czymś zadumała, jednak z twarzy jej matki nie dało się niczego wyczytać.

Pogawędzili jeszcze trochę o ostatnich wydarzeniach na dworze cesarskim, o nowej linii kolejowej, która w końcu, niestety, została zbudowana w Pekinie. Wszyscy byli zgodni, że takiej potworności nie powinno się nigdy dopuścić w pobliże Jeziora Zachodniego. Kiedy rytuał picia herbaty dobiegł końca, Guanji grzecznie zasugerował, że na niego już pora.

Gospodyni łaskawie wyraziła nadzieję, że generał zaszczyci ich wkrótce kolejną wizytą, i Guanji już wstawał, gdy okazało się, że gospodarz nie jest jeszcze gotowy się z nim rozstać.

– Generał jest zbyt dyskretny, aby o tym wspomnieć – odezwał się do kobiet – musicie jednak wiedzieć, że jest on również znanym kolekcjonerem.

Najwyraźniej kupiec rozpytywał o niego. Guanji pochylił głowę.

– Istotnie, panie Yao – przyznał. – Zbieram historyczne pieczęcie, choć moja kolekcja jest raczej skromna.

Jej początki nie sięgały zbyt daleko wstecz. Przed wyjazdem nad Jezioro Zachodnie Guanji uznał, że dobrze byłoby zapewnić sobie jakąś pozycję w tym kulturalnym światku. Nie miał wystarczających zdolności literackich, aby naśladować eseje swojego wuja z Hangzhou, ale wpadł na pomysł, że mógłby zostać znawcą jakiejś niezbyt wymagającej dziedziny. Jeden z jego uczonych przyjaciół naukowców zasugerował: „A może byś zaczął coś zbierać? Na przykład pieczęcie? Nie są zbyt drogie”.

Okazało się, że to znakomity wybór. Kamienie pieczętne były przecież w użyciu od zarania chińskiej cywilizacji. Spód, rzeźbiony w chińskie znaki, często prymitywne, ale zawsze doskonale geometryczne, zanurzano

w tuszu i używano do stemplowania dokumentów, a z upływem lat także malowideł oraz dzieł kaligrafii. Odciski pieczęci kolekcjonerskich uznawano za ostateczne potwierdzenie wartości danego dzieła sztuki, a z czasem zaczęły wręcz podnosić ową wartość. Niekiedy górna część kamienia pieczętnego, którą użytkownik trzymał w ręku podczas przykładania pieczęci, mogła być zwykłym prostokątnym blokiem lub mieć dowolny kształt, jednak zwłaszcza w ostatnich stuleciach owa górna część zaczęła być rzeźbiona i polerowana, stając się piękną małą rzeźbą, która mieściła się w dłoni – tym samym pieczęć zyskiwała niejako status podwójnego dzieła sztuki.

Guanjiemu szczególnie odpowiadało to, że sztuka wyrobu kamieni pieczętnych osiągnęła największy rozkwit za czasów dynastii Ming i rozwijała się również za dynastii mandżurskiej, a więc zgłębiając tę formę sztuki, on, rodowity Mandżur, nawiązywał zarówno do swego rodowodu, jak i do kultury Hanów, której pragnął być częścią.

Wkrótce z pomocą pośredników udało mu się zgromadzić całkiem imponującą kolekcję, a za sprawą wytężonej pracy umysłowej szybko stał się biegły w tropieniu źródeł pochodzenia każdej pieczęci, dokumentu historycznego oraz dzieła sztuki, do których mogła być stosowana, dzięki czemu sprawiał wrażenie znacznie bardziej obytego, niż był w rzeczywistości. Ludzie pióra zamieszkujący brzegi Jeziora Zachodniego zawsze chętnie odwiedzali jego dom, zwłaszcza gdy do obejrzenia była kolejna rzadka starożytna pieczęć.

Jego strategia towarzyska sprawdziła się bez zarzutu, a Guanji, dzięki swoim umiejętnościom taktycznym, dodatkowo wzmocnił ten efekt, ograniczając liczbę dostępnych zaproszeń. Gość przybywający nad jezioro, który miał szczęście zostać przedstawiony generałowi, wcale nie musiał zostać zaproszony do obejrzenia kolekcji i tylko nieliczni dostępowali tego zaszczytu. Gdy nowo przybyły zgłaszał chęć zobaczenia zbioru, generał zdawał się tego nie słyszeć i taki człowiek zmuszony był czekać rok albo dwa i w tym czasie zaprzyjaźnić się z generałem, zanim otrzymał zaproszenie. Niektórych w ogóle nie zapraszano, tak że społeczność okolic jeziora była już wyraźnie podzielona na dwie grupy: tych, którzy widzieli kolekcję pieczęci Guanjiego, oraz tych, którzy jej nie widzieli.

– Jestem pewien – rzekł pan Yao – że moja żona i jej matka z ogromną chęcią obejrzałyby pańską kolekcję, choć niestety matka mojej żony może nie mieć takiej okazji, jako że niedługo już u nas zabawi.

Guanji popatrzył na niego. Sprytny ruch, pomyślał. Ten człowiek jest natarczywy, ale przebiegły.

– Obawiam się, że mój zbiór starych, omszałych kamieni pieczętnych mógłby je obie zanudzić – odparł.

– Słyszałam, że są niezwykle interesujące – wtrąciła Jasny Księżyc. – Moja matka i ja bardzo chciałybyśmy je obejrzeć.

Czy to mąż ją do tego namówił? – zastanawiał się Guanji. Prawdopodobnie tak; ten kupiec był przebiegłym przeciwnikiem. Kusił go kobietami, aby mieć pewność, że zobaczy kolekcję szybciej niż ktokolwiek inny. Guanji uznał, że jest gotów ustąpić.

– Odwiedźcie mnie wszyscy troje, skoro naprawdę uważacie, że to was nie zanudzi – zaproponował. – Jutro mi nie pasuje, ale może macie czas pojutrze?

– Oczywiście, że tak – odparł natychmiast pan Yao.

Następnego popołudnia Mei-Ling i jej córka odbyły krótką rozmowę. Stały w otoczonym murem ogrodzie, niebo było szare, a pod ich stopami rozciągała się szarobura połać nagich łodyg i wyrwanych chwastów. Mury ogrodzenia, z których pozdzierano niechciane pnącza, były nagie i surowe. Czyżby w powietrzu pojawił się chłód? Mei-Ling nie była pewna. Wydawało jej się, że nie jest ani ciepło, ani zimno – właściwie trudno było określić temperaturę. Księżycowa brama wpatrywała się w nie swoim pustym oczodołem, gdy Mei-Ling przemówiła:

– Wczoraj robiłaś słodkie oczy do generała. Myślisz, że nikt tego nie zauważył, ale ja widziałam.

– Myślę, że to raczej tobą jest zainteresowany, matko – odparła Jasny Księżyc.

– Widywałam już takich jak on.

– Ja też. Zazwyczaj uwodzą wdowy. Z żonami jest za dużo kłopotów.

– Nie wolno ci nawet myśleć o zdradzie.

– Kto powiedział, że o niej myślę?

– Byłaś nim zauroczona.

– Bo to niezwykły człowiek. Wie, jak traktować kobietę.

– Wie, jak uwodzić kobiety. Całe to gadanie o tym, że jest wojownikiem o wrażliwej duszy. Jak mogłaś się nabrać na coś takiego?

– Jest dokładnym przeciwieństwem mojego męża. Wychowałaś mnie, abym wiedziała co nieco o świecie ludzi dobrze wychowanych. Wiesz, że tak było. Nie możesz mnie więc winić, jeśli pociąga mnie człowiek wykształcony.

– Odrobina kultury jest mile widziana, jeśli chce się zawrzeć udane małżeństwo.

– Tak jak krępowanie stóp. Sama nigdy nie musiałaś cierpieć, ale mnie do tego zmusiłaś. Do dziś żałuję, że nie mam takich stóp, jak chciała natura, i że nie wyszłam za chłopa ze wsi.

– Nie wiesz, o czym mówisz! – krzyknęła jej matka. – Nigdy nie zaznałaś…

– Czego nigdy nie zaznałam?

– Jak to jest być bezsilną, bez pieniędzy, a nawet bez jedzenia. Gwarantuję ci, że nie ma w tym żadnego ukojenia dla duszy, żadnej godności. Myślisz, że cieszyłam się, gdy mój mąż musiał wyjechać aż do Ameryki, żeby zarobić pieniądze, których potrzebowaliśmy? A i tak powodziło nam się lepiej niż większości ludzi w wiosce.

– Kiedy panna młoda jest niesiona w czerwono-złotej lektyce z domu rodziców na wesele, przez całą drogę musi udawać, że płacze, żeby pokazać, jak bardzo jej żal opuszczać rodzinny dom. Ale ja płakałam prawdziwymi łzami.

– Masz dzieci, rodzinę, piękny dom. – Mei-Ling wskazała ręką willę. – Twój mąż jest bogaty. To dobry człowiek. Mało która panna młoda dostaje od życia aż tyle. Jedno jest pewne: nie znęca się nad tobą.

– Rzeczywiście, nie traktuje mnie źle. – Jasny Księżyc wykonała poirytowany gest.

– Zatem wypełniaj swoje obowiązki jak należy. – Jej matka umilkła na moment. – Zdajesz sobie sprawę, co się z tobą stanie, jeśli będziesz niewierna?

– Może zgodzimy się na separację. Prawo na to zezwala.

– Tylko jeśli twój mąż sobie tego zażyczy. Może wyrzucić cię z domu, a dzieci zatrzymać. Pomyśl o nich. A jeśli oskarży cię o zdradę, prawo mówi jasno: dostaniesz dziewięćdziesiąt uderzeń pałką.

– Zarówno żona, jak i jej kochanek otrzymują chłostę.

– Nieprawda. Zapominasz, że generał oprócz swojego stopnia wojskowego ma też tytuł jurena, co oznacza, że nie podlega karom cielesnym. Wyszedłby z tego obronną ręką, podczas gdy twoja reputacja zostałaby

zniszczona. – Mei-Ling wzięła głęboki oddech. – Obiecaj mi, moje dziecko. Musisz dać mi słowo, że nigdy, przenigdy nie okażesz się niewierna. Nie mogłabym patrzeć na twój upadek. Nie po tym wszystkim, przez co przeszłam.

– Nic mi nie wiadomo, abyś jakoś szczególnie się poświęcała.

– Jest wiele rzeczy, o których nie wiesz – odpowiedziała jej matka. Chociaż Jasny Księżyc skończyła trzydzieści lat i miała własną rodzinę, Mei-Ling wydawało się czasem, że jej córka w pewnym sensie pozostała dzieckiem.

Czy naprawdę nie rozumiała, jak wielkie niebezpieczeństwo może jej grozić?

Jasny Księżyc milczała. Wyglądało na to, że się zastanawia.

– Matko – powiedziała w końcu – czy mogę ci zadać pytanie?

– Chyba tak. Jakie?

– Czy kiedykolwiek zdradziłaś mojego ojca?

– Jak możesz pytać o coś takiego własną matkę! – wykrzyknęła Mei-Ling. – Byliśmy bardzo szczęśliwą parą.

– Mój mąż rozpowiada na prawo i lewo, że mój przybrany ojciec jest moim prawdziwym ojcem. Sprawia mu przyjemność, gdy ludzie myślą, że jego żona wywodzi się z wysoko postawionej rodziny. Ale ja chciałabym wiedzieć, jaka jest prawda.

– Poznałam twojego przybranego ojca na długo po tym, jak zostałam wdową. Przejeżdżał przez naszą wioskę w drodze do Guilin. Zauważył mnie, rozpytał o mnie w wiosce, a potem poprosił, żebym została jego konkubiną. Powiedziałam, że wyjadę z nim na rok lub dwa, jeśli mi zapłaci – pieniądze były potrzebne na twoją edukację. Tak to było. – Możliwe, że pominęła jakiś drobiazg, ale wszystko, co przed chwilą powiedziała, było prawdą. – Byłaś już wtedy małą dziewczynką. Zrobiłam to dla ciebie i zostawiłam cię w domu z Matką, a potem czym prędzej do ciebie wróciłam.

– Dlaczego więc mnie adoptował?

– Kiedy się rozstawaliśmy, poprosiłam, aby pomógł mi znaleźć dla ciebie dobrego męża. Adopcja ułatwiła to zadanie. Shi-Rong nie powiedział panu Yao, że jesteś jego córką – twój przyszły mąż sam doszedł do takiego wniosku i nie było sensu na siłę wyprowadzać go z błędu.

– Więc znalazłaś mi bogatego męża, wykorzystawszy fałszywe przeświadczenie.

– Nikt nigdy nie powiedział, że jesteś córką Shi-Ronga. Yao po prostu założył, że tak jest. Może nawet sam tak nie uważa, ale zapewne chce, aby inni tak myśleli.

– Co mi zatem pozostaje?

– Masz dobrego męża. Bądź za to wdzięczna losowi – stwierdziła stanowczo Mei-Ling. – On i tak by się z tobą ożenił, wiesz o tym. I z pewnością bardzo się cieszy, że to uczynił.

– Dlaczego wszystko musi być oparte na kłamstwie?

– Twój dobry mąż nie jest kłamstwem. Twoje dzieci nie są kłamstwem. Twój dom nie jest kłamstwem. Musimy budować na tym, co jest w naszym życiu prawdziwe. A ty masz tego więcej niż większość ludzi. Tylko dzięki temu można iść naprzód.

– A może ja nie chcę iść naprzód?

– Musisz.

Jasny Księżyc nie odpowiedziała.

W tym momencie w ogrodowej furtce stanął pan Yao i ich rozmowa dobiegła końca.

Nazajutrz rano do domu generała zawitał nieznajomy. Guanji siedział w swojej małej bibliotece, zajęty lekturą listu od kolekcjonera z Hangzhou, gdy służący oznajmił mu:

– Pewien człowiek chce się z wami widzieć, panie. Twierdzi, że jest waszym krewnym.

– Nie jesteś co do tego przekonany – zauważył Guanji.

– Nie, panie.

Drzewo rodu Suwan Guwalgiya przez wieki wypuściło liczne gałęzie, a generał, jako osoba publiczna, zawsze starał się uprzejmie traktować członków swego klanu, nawet jeśli nie był do końca pewien, kim właściwie są.

– Wprowadź go i zobaczmy, kto to taki – stwierdził życzliwie.

Niemal natychmiast tego pożałował.

Przybysz był mniej więcej w jego wieku i podobnego wzrostu – albo byłby, gdyby tak się nie garbił. Na tym jednak podobieństwo się kończyło. Twarz miał bladą, odzienie może nie w strzępach, ale solidnie przetarte, co sprawiało dziwnie przygnębiające wrażenie. Guanji domyślił się, że ma przed sobą człowieka uzależnionego od opium.

– Coś nas łączy, generale – odezwał się nieznajomy.

– Czyżby?

– Jesteście potomkiem w dziewiątym pokoleniu naszego wielkiego przodka Fiongdona, tak samo jak ja.

Czy był nim naprawdę? Któż to mógł wiedzieć? Niewątpliwie przybysz gotów był wyrecytować mu szczegółowo cały ich rodowód, lecz Guanji nie chciał tego słuchać.

– Gdzie mieszkasz? – zapytał, licząc, że gdzieś daleko.

– W Xi’an.

Xi’an była jedną z czterech starożytnych stolic cesarstwa Chin. Wzniesiona, a potem przebudowywana w miejscach nieodległych od swego pierwotnego położenia, nosząca różne nazwy – Chang’an, Daxing – stanowiła niegdyś bramę biegnącego na zachód Jedwabnego Szlaku. Mieścił się tam również fort z dużym garnizonem mandżurskim.

I znajdowała się ponad osiemset mil stąd.

– Skąd się tutaj wziąłeś?

– Przyjechałem odwiedzić Pekin, żeby chociaż raz w życiu zobaczyć słup totemiczny naszego klanu.

– Podjąłeś zatem podróż w słusznej sprawie.

– Kosztowała mnie wszystko, co miałem. – A więc o to chodziło. Przyjechał po pieniądze.

– Ale potem przyjechałeś tutaj.

– Żeby zobaczyć Jezioro Zachodnie. I złożyć wam wizytę.

– Jestem doprawdy zaszczycony – odparł sucho Guanji.

– Przez wiele lat śledziłem waszą chlubną karierę.

Oraz zapewne kariery innych krewnych, na których masz nadzieję pasożytować, pomyślał Guanji.

– Jak zarabiasz na życie? – spytał jednak łagodnie.

– Mój ojciec był chorążym, żołnierzem – odpowiedział gość.

– Mój także. Ale czym ty się zajmujesz?

– Niestety, cesarz zatrudnia nas coraz mniej licznie.

– To prawda. Ostatnio oddziały chińskich Hanów często okazywały się lepsze od nas. Sam nimi dowodziłem. – Guanji pozwolił, aby to, co powiedział, wybrzmiało. – A więc polegasz na przydziałach ryżu i srebra, do których jako dziedziczny chorąży masz prawo – podjął.

– Przez całe moje życie haniebnie je zmniejszano! – wykrzyknął z oburzeniem przybysz.

– Nie zachowuj się niedorzecznie – ofuknął go Guanji. – Wiesz równie dobrze jak ja, że w kraju brakuje pieniędzy. Bunt tajpingów zrujnował całą dolinę rzeki Jangcy, a reparacje barbarzyńców ogołociły skarb państwa. Poza tym z każdym pokoleniem przybywa Mandżurów, których trzeba wykarmić. Wiesz, że cesarstwa nie stać na dawne uposażenia.

– Co więc mamy robić?

– Ludzie czasami o tym zapominają, ale kiedy Mandżurowie po raz pierwszy podbili i wyparli stąd Mingów, trzeba było się zatroszczyć o ogromną liczbę chorążych. Czy otrzymywali żołd? Nie. Większości dano ziemię i kazano ją uprawiać, tak jak zwyczajnym chłopom z ludu Hanów. Niestety, nie byli w tym zbyt dobrzy, ale taka była ich nagroda.

– Jednak potomkowie Suwan Guwalgiya byli wybrańcami, stojącymi wyżej od innych.

– To prawda, że my oraz członkowie innych klanów byliśmy wybierani do obsadzania garnizonów w wielkich miastach i otrzymywaliśmy dodatkowe uposażenie w nagrodę za służbę wojskową.

– I nie wolno nam było wykonywać żadnej innej pracy.

– Na początku tak, jednak to się zmieniło. Mamy inne czasy. Chorążym z garnizonów wolno już nawet parać się handlem. Mój szacowny wuj prowadził drukarnię – przypomniał mu Guanji. – Szlachetne zajęcie, ale to jednak handel. – Spojrzał z niesmakiem na swojego krewnego, o ile ów człowiek istotnie nim był. – Uważasz – ciągnął – że coś ci się należy.

– Oczywiście – padła odpowiedź.

Guanji skinął głową, jakby na potwierdzenie własnych myśli. Nieraz to widywał: chorążych, którzy woleli żebrać na ulicach Hangzhou, niż uczciwie zarabiać, ponieważ wierzyli, że praca jest poniżej ich godności. Tacy ludzie byli doprawdy bezwartościowi i Guanji w skrytości ducha pogardzał nimi tak samo jak Chińczykami Han.

Tylko jedna niewygodna myśl nie dawała mu spokoju: czy sam był od nich lepszy? W jakim stopniu jego sukces był zasługą wuja, który potrafił zrobić użytek z tych uprawnień, jakie jeszcze Mandżurom pozostały? Nie ulegało wątpliwości, że Guanji przeszedł przez cesarski system egzaminacyjny i został jurenem właśnie z racji swojego mandżurskiego pochodzenia. Owszem, ciężko pracował i awansował dzięki własnym zasługom. Ale co by było, gdyby nie stał za nim wuj? Czy mógłby skończyć tak samo jak ten nieszczęsny krewniak? Powtarzał sobie po tysiąckroć, że to niemożliwe, jednak sama myśl tak go zirytowała, że przyłapał się na tym, iż z wściekło-

ści zaciska dłonie w pięści. Zamiast więc dać przybyszowi trochę pieniędzy i odesłać go w dalszą drogę, postanowił go najpierw ukarać.

– Obawiam się, że nie mogę ci pomóc – rzekł. – Jeśli dam ci pieniądze, wydasz je na opium. Będziesz musiał poszukać kogoś innego, kogo mógłbyś naciągnąć.

Jego krewny spojrzał na niego z niedowierzaniem. Potem twarz wykrzywił mu grymas wściekłości.

– Tak traktujecie członka rodu Fiongdona? – zawołał.

– Obawiam się, że tak – westchnął Guanji.

– Bądź przeklęty! – krzyknął przybysz tak głośno, że aż służący zajrzał do środka przez drzwi. – Wydaje ci się, że możesz patrzeć na mnie z góry? Siedzisz sobie w swoim pięknym domu, wszyscy nazywają cię generałem, a ty uważasz się za lepszego ode mnie? Też pochodzę ze szlachetnej rodziny. Mam lepszy rodowód niż ty, prowadzący wprost do Fiongdona, skoro już musisz wiedzieć.

– Nie muszę.

– Twoja matka była zwykłą dziewką!

– Robisz z siebie głupca.

– Nie imponujesz mi. Ani trochę.

– Zamilcz – powiedział Guanji. Służący nadal nerwowo zerkał przez drzwi. – Jeśli chcesz, abym dał ci pieniądze na powrót do domu – kontynuował ze spokojem generał – powinieneś być chyba bardziej uprzejmy.

– Łajdak! Szmata!

Guanji spojrzał na niego beznamiętnie, po czym zwrócił się do służącego.

– Idź i sprowadź pomoc – polecił.

– Żądam – wykrzyknął przybysz dumnie – aby okazywano mi w tym domu należyty szacunek.

– Ja także. – Guanji wstał, podszedł do szafki, otworzył szufladę i wyjął z niej woreczek pełen monet. Wyjął kilka, schował je z powrotem do szuflady, po czym wrócił z woreczkiem na miejsce i usiadł. W tym samym momencie nadszedł sługa z dwoma innymi.

Guanji zwrócił się do swojego gościa.

– Masz tu trochę pieniędzy. Wystarczą na drogę powrotną, ale to wszystko, co mogę ci dać. Niech ci się nie wydaje, że kiedykolwiek dostaniesz ode mnie więcej, bo nie dostaniesz. – Wręczył mu woreczek. Zastanawiał się, czy jego gość zrobi przedstawienie i ciśnie w niego woreczkiem

wraz z jego zawartością. Zauważył jednak, że ręka rzekomego krewniaka zacisnęła się na pieniądzach niczym szpony jastrzębia. Zwrócił się do trzech służących: – Wyprowadźcie go i nigdy więcej tu nie wpuszczajcie.

– Trzymajcie ręce przy sobie – rozkazał natręt sługom, gdy ci go pochwycili. – Pożałujesz tego! – krzyknął jeszcze do Guanjiego, gdy go wyprowadzano. – Bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić.

– Już żałuję – odrzekł Guanji i wrócił do lektury korespondencji.

Prawda była jednak taka, że ta rozmowa nim wstrząsnęła. Ucieszył się, gdy dzięki popołudniowej wizycie pana Yao i jego dwóch towarzyszek mógł o niej zapomnieć.

Mei-Ling dopiero po dłuższej chwili pojęła, jak wspaniały jest dom generała i dlaczego. Stał na wzgórzu nad jeziorem i z daleka można go było wziąć za niewielki klasztor ze wznoszącą się nieopodal dzwonnicą.

Kiedy jednak dotarli do zewnętrznej bramy, zobaczyła, że główny budynek jest w zasadzie typowym chińskim domem z dziedzińcem, nieróżniącym się od jej rodzinnego domu na południu. Dziedziniec był mniej więcej tej samej wielkości, ale wydawał się okazalszy – może dlatego, że otaczające go mury były wyższe, a centralny hol wyżej sklepiony i bardziej przestronny. Przypominał rezydencję dostojnika w jakimś prowincjonalnym mieście.

Generał przywitał się z nimi uprzejmie i zaprowadził do drzwi z lewej strony dziedzińca. Tutaj, w pomieszczeniach, gdzie zwykle mieściły się sypialnie rodziny, stworzył jedną długą galerię, w której przechowywał swoją kolekcję.

Pod ścianą na jednym końcu galerii stała duża szafka, a na ścianach wisiały malowidła na jedwabiu, dla bezpieczeństwa ukryte za specjalnymi ramami. Nie było tu jednak żadnych innych mebli ani dekoracji. Całą pozostałą przestrzeń przeznaczono na pieczęcie.

Mei-Ling musiała przyznać, że generał pięknie je wyeksponował. Od początku nie pozwolił, aby jego małe muzeum rozrastało się w chaotyczny i nieuporządkowany sposób. Zlecił pierwszorzędnym rzemieślnikom zbudowanie gabloty, która biegła przez cały środek galerii, ze szklanymi drzwiczkami po obu stronach i dwiema szerokimi półkami pomiędzy nimi.

– Szczęście mi dopisało – wyjaśnił gościom. – W momencie, gdy zaczynałem tworzyć swoją kolekcję, wystawiono akurat na sprzedaż ciekawy

zbiór, dzieło życia pewnego starego uczonego. Zawierał on prace niemal z każdego okresu. Kupiłem go, tworząc tym samym podwaliny kolekcji. Od tamtej pory muszę tylko korzystać z dobrych rad i budować, że tak powiem, na tych podwalinach kolejne kondygnacje.

Mei-Ling przyjrzała się z bliska zbiorom generała. Były doprawdy imponujące. Niektóre z pieczęci spoczywały na półce skierowane wierzchnią stroną do patrzącego. Inne, których grzbiety były misternie rzeźbione, ustawiono spodem do dołu, aby można było podziwiać ich kształty. Większość wykonano z drewna i kamienia, ale niektóre były z brązu lub innych metali, a nawet z jadeitu. Do każdego eksponatu dołączony był kwadracik grubego papieru, na którym widniała pieczęć odciśnięta czerwonym tuszem.

Zauważyła coś jeszcze. Obie półki były zajęte i pieczęcie szeroko rozmieszczone, a dolną zarezerwowano dla najbardziej wyjątkowych okazów. Nawet biorąc pod uwagę fakt, że można je było podziwiać z obu stron, nie ulegało wątpliwości, że kolekcja może się jeszcze powiększyć dwu- albo trzykrotnie w stosunku do swoich obecnych rozmiarów, a jednocześnie gablocie nie groziło przepełnienie.

Generał dobrze rozplanował stanowiska bojowe. Jego strategia była przemyślana, a zarazem elastyczna.

Pan Yao chrząknął z podziwem. Kupiec handlujący porcelaną potrafił się poznać na wartościowych przedmiotach.

Generał okazał się doskonałym przewodnikiem. Zabrał ich w podróż w czasie, pokazując, jak pieczęcie ewoluowały, zachowując elementy prymitywnych chińskich znaków sprzed tysięcy lat. Kilka razy przystanął także przed malowidłami na ścianach. Niektóre przedstawiały górskie krajobrazy, inne ludzi lub zwierzęta. Za każdym razem malunek był ozdobiony kilkoma pionowymi rzędami kaligrafii, do których kolekcjonerzy dodawali swoje czerwone pieczęcie.

– Ilekroć zdobywam nową pieczęć – wyjaśniał im generał – staram się zdobyć także dzieło – malowidło lub książkę – opatrzone taką samą pieczęcią. Wspaniała pieczęć kolekcjonerska często podnosi wartość dzieła sztuki, może też dodawać mu urody. Oczywiście jestem tylko początkującym zbieraczem, ale prawdziwi koneserzy posiadają ogromną wiedzę w tej dziedzinie. Potrafią wniknąć w umysł zarówno artysty, jak i innego kolekcjonera. Zaczyna się to jak zabawa, a wciąga jak narkotyk. – Uśmiechnął się. – Dobry narkotyk.

Na koniec zaprowadził ich do szafki stojącej na końcu galerii. Otworzył ją i Mei-Ling zobaczyła tuzin pięknych, długich, oprawnych w skórę pudełek, w których znajdowały się zwoje, a także kilka płaskich książek przewiązanych jedwabną wstążką. Generał wyjął jedną z nich i wskazał na jej stronę tytułową.

– Ta książka pochodzi z czasów dynastii Ming. Opowiada o podboju Chin przez mongolskich potomków Czyngis-chana ponad pięć stuleci temu. Jak widać, tuż obok tytułu widnieje pieczęć kolekcjonerska.

– Widzieliśmy taką samą na malowidle – spostrzegła Jasny Księżyc. – Poznaję.

– Ma pani znakomite oko. – Generał ukłonił się, a Jasny Księżyc wyglądała na zadowoloną. – Ale z tytułem jest coś nie w porządku. Ciekaw jestem, czy ktoś z państwa potrafi stwierdzić, o co chodzi.

Wszyscy przyjrzeli się stronie tytułowej.

– Wydaje mi się, że brakuje jakiegoś znaku – powiedział pan Yao.

– W rzeczy samej. Widać nawet lukę w miejscu, w którym się znajdował.

– A więc został usunięty – odgadł pan Yao – ale nie widzę żadnego śladu wymazywania.

– Ja też nie, mój drogi panie. Musiało to zostać zrobione z wielką wprawą. A teraz podam wam brakujące słowo: „barbarzyńca”. – Uśmiechnął się do gości. – Chociaż Mongołowie – albo dynastia Yuan, jak ich nazywamy – byli niezwyciężonymi wojownikami, Chińczycy Han nadal uważali ich za barbarzyńców. Kiedy rodzima dynastia Ming przybyła tu, aby ponownie rządzić naszą ziemią, zwykle nazywała członków dynastii Yuan „barbarzyńskimi Yuanami”. Tak właśnie było tu napisane: barbarzyńscy Yuanowie. Po kilku stuleciach Mingowie zostali usunięci przez naszą obecną mandżurską dynastię – a nie muszę chyba mówić, że Mandżurowie byli kolejną grupą barbarzyńców z północy, po części Mongołami. Moi ziomkowie! – Uśmiechnął się szeroko. – Nie podobało nam się, gdy epitet „barbarzyńca” był stosowany wobec Yuanów, ponieważ równie dobrze mógłby być stosowany wobec nas.

– Czy słowo to było wtedy zakazane w całym cesarstwie?

– Podejmowano próby stosowania cenzury, ale bez wielkiego przekonania. O dziwo, w pierwszej kolejności znudziło się to właśnie cesarzom z mandżurskiej dynastii – jak wiecie, byli oni wielkimi uczonymi. Ale kolekcjoner, którego czerwoną pieczęć właśnie oglądamy, nabył tę książkę

w czasach mandżurskich i wolał nie ryzykować. Wymazał więc feralne słowo z karty tytułowej. Potem zaczął wymazywać je z tekstu, co chyba okazało się zbyt trudne, odkryłem bowiem, że po kilku stronach zrezygnował.

– Jest pan znakomicie przygotowany do oprowadzania – pochwalił go pan Yao.

– To moja pasja – odparł uprzejmie generał, po czym zwrócił się do Jasnego Księżyca i Mei-Ling: – Chcę, abyście wiedziały, drogie panie, że znam swoje miejsce. W końcu jestem tylko skromnym barbarzyńcą z północy.

Zgrabnie mu to wyszło. Pokaz pokory w wykonaniu mandżurskiego szlachcica wobec rodziny chińskiego nuworysza – nie należało tego traktować poważnie, mimo to było urocze. Nawet Mei-Ling musiała się uśmiechnąć.

I nadal się uśmiechała, dopóki nie spojrzała na twarz swojej córki. Malował się na niej podziw i tłumione podniecenie. To było zrozumiałe; oto gościli u człowieka, jakiego dotychczas nie spotkała. Szlachetnie urodzonego Mandżura, uczonego żołnierza, który okazywał jej szacunek. Człowieka obytego i światowego, mającego dość pewności siebie, aby śmiać się z własnych niedostatków. Mężczyzny o wyższym statusie społecznym, młodszego od jej męża.

Tego właśnie się obawiała. Jej córce groziło, że zakocha się w generale i zniszczy samą siebie, a Mei-Ling nie wiedziała, jak temu zaradzić.

– Czy jest coś jeszcze do zobaczenia? – zapytała Jasny Księżyc.

– Tylko moje najnowsze nabytki. Trzymam je pod ręką i studiuję w swojej pracowni na górze, dopóki nie dowiem się o nich jak najwięcej. Potem umieszczam je tutaj, w gablocie. – Zwrócił się do pana Yao: – Nigdy dotąd nikogo tam nie zapraszałem, ale jeśli to państwa interesuje…

– Oczywiście – odpowiedział pan Yao.

– Mam stamtąd ładny widok – rzucił jeszcze Guanji, zwracając się do pań.

Przeszli przez przydomowy ogródek, a następnie przez bramę na zalesione zbocze. Kręta, zaopatrzona w stopnie ścieżka wiodła około piętnastu stóp w górę, na skalną półkę z widokiem na rezydencję, gdzie zbudowano uro-

czy pawilonik z chińskim dachem. Mei-Ling zdała sobie sprawę, że z daleka pomyliła go z dzwonnicą.

– Oto moja mała pustelnia – wyjaśnił Guanji.

Pawilon był bardzo skromnie urządzony, nie większy od zwykłej jednoosobowej izby. Pod ścianą stało biurko z krzesłem, a na ścianie nad nim wisiało kilka półek z kilkunastoma kamieniami pieczętnymi, oczekującymi, aż właściciel się nimi zajmie. Garść papierów na biurku i taca z przyborami do pisania świadczyły o tym, że generał pracował tam wcześniej w ciągu dnia. Niewielka szafka obok biurka, skrzynia na ubrania w kącie i piękna otomana naprzeciwko okna dopełniały umeblowania.

Mei-Ling spojrzała na otomanę.

– Śpi pan tu na górze?

– Zazwyczaj tak. – Generał się uśmiechnął. – Jestem po prostu „pustelnikiem z łóżkiem pełnym książek”.

Mei-Ling od razu rozpoznała cytat – pochodził ze słynnego wiersza o nadejściu zimy i starości. Posłała mu drwiące spojrzenie.

– Jestem pewna, że potrafi pan jakoś ogrzać to swoje łóżko, generale – powiedziała, po czym przeklęła się w duchu. Mogło to zabrzmieć, jakby z nim flirtowała.

Jeśli nawet tak pomyślał, uprzejmie zignorował tę uwagę.

– Jak pani widzi, tu na górze nie ma paleniska, ale jako żołnierz przywykłem do sypiania w namiotach, a nawet pod gołym niebem. – Gestem wskazał na okno. – Lubię świeże powietrze. Zwykle śpię tu aż do późnej jesieni. Potem wracam do domu na zimę.

Jasny Księżyc podeszła tymczasem do okna i wyjrzała przez nie. Było szerokie, bez żadnych ozdób, za to z dużymi drewnianymi okiennicami, które chroniły pawilon przed deszczem i wiatrem. Okiennice były teraz szeroko otwarte, a z okna roztaczał się malowniczy widok na dom i ogród poniżej oraz na wody pięknego Jeziora Zachodniego. Mei-Ling dołączyła do niej i matka oraz córka stały razem w milczeniu, podczas gdy mężczyźni w głębi gawędzili.

Generał pokazywał panu Yao jeden ze swoich najnowszych zakupów. Mei-Ling nie słyszała, co dokładnie powiedział, dotarła do niej jednak odpowiedź kupca:

– Ach, to niezwykle interesujące.

Jasny Księżyc szepnęła do niej:

– Mogłabym tu zostać na zawsze. – Westchnęła. Sama uwaga była całkiem niewinna i z powodzeniem mogła stanowić komentarz do podziwianego krajobrazu. Ale Mei-Ling nie spodobało się to, co usłyszała.

– Wykluczone – odszepnęła surowo.

– Muszę zobaczyć ten wspaniały widok – dobiegły ją słowa pana Yao i odsunęła się, chcąc zrobić mu miejsce, aby mógł stanąć obok żony.

Tymczasem przyszła jej do głowy pewna myśl.

– Proszę mi powiedzieć, generale – zaczęła – zauważyłam, że idąc tutaj, wyszliśmy poza ogrodzenie pańskiej posiadłości. Czy to znaczy, że każdy może tu wejść prosto z drogi?

– Chyba tak. Jak dotąd nikt nigdy tego nie uczynił.

– Nie obawia się pan, że którejś nocy zakradnie się tu jakiś rabuś?

– Okolice Jeziora Zachodniego są bardzo spokojne. Nigdy nie słyszałem, aby ktoś tutaj został okradziony. – Uśmiechnął się. – A w razie czego potrafię się obronić. – Wskazał jej coś, co stało oparte o słupek łóżka, a na co wcześniej nie zwróciła uwagi. Był to miecz daō. – Stary żołnierski nawyk – wyjaśnił ze śmiechem.

– Zobaczcie! – zawołała Jasny Księżyc, która w tym samym momencie spojrzała na matkę. – Generał trzyma miecz przy posłaniu!

– Żeby inni kolekcjonerzy trzymali się ode mnie z daleka – zażartował.

W jednej chwili Mei-Ling wszystko pojęła. Wiedziała już, czym uwodzi kobiety: swoją rangą, kolekcją, ogładą, sekretnym azylem nad najpiękniejszym jeziorem w całych Chinach, wojskowym mieczem, obietnicą niebezpieczeństwa i przygody… Tak mu się to udawało.

A Jasny Księżyc, stojąc u boku męża, wyobrażała sobie właśnie ich potajemną schadzkę. Mei-Ling wyczytała to z jej oczu.

Generał poprowadził ich na dół tą samą ścieżką. Jasny Księżyc szła razem z nim, a Mei-Ling z tyłu, wraz z panem Yao – a przynajmniej tak sądziła, bo gdy dotarłszy do podnóża schodów, obejrzała się za siebie, zdała sobie sprawę, że kupiec z jakiegoś powodu zawrócił do okna i wyglądał przez nie na jezioro. Nie chcąc zostawiać go samego, zaczekała, aż zejdzie, aby mogli razem wejść przez uchyloną furtkę do ogrodu.

A ponieważ stała tam całkiem sama, w ciszy, dobiegły ją słowa, które padły między generałem a jej córką.

– Bardzo szybko rozpoznała pani pieczęć w tej książce – zauważył Guanji. – Mogłaby pani zostać kolekcjonerem.

– Nie sądzę, generale – odparła Jasny Księżyc. – Widzi pan, nigdy wcześniej nie przyglądałam się pieczęciom, to znaczy zdobiącym je wzorom. Dlatego tych kilka, które widziałam, miałam świeżo w pamięci. Z dziećmi jest tak samo. Nic im nie umknie, bo wszystko jest dla nich nowe. Ale dorośli są tak pochłonięci codziennymi sprawami, że niemal na nic nie zwracają uwagi.

– Możliwe. Myślę jednak, że pani jest bardzo spostrzegawcza. – Zawahał się na moment. – Ma pani w sobie niezwykłe piękno – powiedział nagle. – Pani mąż jest szczęściarzem.

– Nie jestem pewna, czy o tym wie.

– Konfucjusz twierdzi, że żona powinna być posłuszna mężowi, zapomniał wszakże dodać, że żaden z nas, mężów, nie jest wystarczająco dobry dla swojej żony. – Nie powiedział tego wprost, pomyślała Mei-Ling, ale właściwie można było te słowa odebrać jak zdanie, które każda nieszczęśliwa żona chciałaby usłyszeć: „Twój mąż na ciebie nie zasługuje”.

– Z niecierpliwością będę wyczekiwał sposobności, aby pokazać pani wszystkie najpiękniejsze zakątki na jeziorze, kiedy przypłynie łódź – dodał generał.

– Kiedy przypłynie łódź.

Mei-Ling odwróciła się. Pan Yao schodził na dół i wkrótce się z nią zrównał.

– Nareszcie jesteśmy – powiedziała, gdy przekroczyli furtkę.

Generał nie nalewał im herbaty osobiście, jak cesarz w tym starym opowiadaniu. Ceremonialnego parzenia dokonała starsza służąca, kiedy zasiedli w głównej sali.

Rozmawiali o tym i o owym. Generał powiedział, że – choć może się to wydawać mało prawdopodobne, zważywszy na dzisiejszą przyjemną jesienną pogodę – spodziewa się rychłego ochłodzenia.

– Zawsze potrafię przewidzieć pogodę – rzekł. – Przekonacie się jutro.

– Mam nadzieję – odezwał się uprzejmie pan Yao – że przy naszym następnym spotkaniu, generale, opowie nam pan o swojej wybitnej karierze wojskowej. Wiem, że brał pan udział w wielkiej wojnie z tajpingami.

– To prawda, walczyłem z tajpingami – przyznał Guanji – ale wielu innych przeżyło o wiele ciekawsze przygody ode mnie.

– Czy kiedykolwiek znalazł się pan w śmiertelnym niebezpieczeństwie? – zapytała Jasny Księżyc.

– Każdy żołnierz musi go posmakować – odparł Guanji łagodnie. – Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy. Można zginąć od zabłąkanej kuli z muszkietu albo w walce wręcz. Jeśli chodzi o czyny godne uwagi, to nie wydaje mi się, abym takiego dokonał. – Uśmiechnął się. – Powiem tylko tyle: kiedy jedyny raz naprawdę myślałem, że zginę, wygrałem pojedynek wyłącznie dzięki łutowi szczęścia, co wcale nie przysparza mi chwały.

– Proszę nam o tym opowiedzieć, generale – poprosiła Jasny Księżyc – zanim wyjdziemy.

– No cóż – odrzekł Guanji – było to tak. Po czym zrelacjonował im pokrótce całą historię. Opowiedział o zawziętym, zażywającym tabaki generale, którego spotkał, gdy był młodym oficerem, i o tym, jak wyruszyli z Zhapu do Hangzhou. Nie zawracał sobie głowy opisywaniem przebiegu walk ani tego, jak został ranny, tylko od razu przeszedł do chwili prawdy, gdy stanął oko w oko z oficerem tajpingów.

– Był to z pewnością wysoko postawiony oficer ich armii, ale bardziej przypominał mi pirata, w dodatku poruszał się jak kot. Ja miałem miecz, a on tylko nóż. Nawiasem mówiąc, nie jestem złym szermierzem, jednak po sposobie, w jaki posługiwał się swoim długim nożem, wiedziałem, że nie mam szans. „Gotuj się na śmierć” – powiedział. Kiedy zbliżał się do mnie, przykucając i kołysząc się na boki, pomyślałem: „To prawda. Zaraz umrę”. Jednak na wszelki wypadek trzymałem miecz w pogotowiu. I wtedy stała się rzecz niezwykła. Kobieta, która mnie prowadziła i która ukryła się w cieniu, rzuciła się na niego. To wystarczyło, żeby odwrócić jego uwagę. Zaatakowałem go i dopadłem. – Uśmiechnął się. – A potem uciekłem. W tym też jestem dobry.

Pan Yao się roześmiał.

– Myślę, że jest pan nazbyt skromny.

– Ale zabił go pan? – chciała wiedzieć Jasny Księżyc.

– O tak, zabiłem.

Mei-Ling wyglądała, jakby nad czymś się zastanawiała.

– Jak nazywał się ten starszy oficer?

– Nigdy się tego nie dowiedziałem.

– A jak wyglądał?

– Miał może ze czterdzieści lat. Siwiał już, ale był bardzo zwinny. I miał bliznę. – Guanji palcem nakreślił jej przebieg na swoim policzku. – O, taką. Ale dlaczego pani pyta? Mogliście się znać?

– Skąd miałabym znać oficera tajpingów? – odpowiedziała Mei-Ling. – Ale widziałam zdjęcia niektórych z nich. Nie było wśród nich żadnego z taką blizną.

– Cóż, kimkolwiek był człowiek, którego zabiłem, na pewno miał bliznę.

Wkrótce potem, kiedy się żegnali, generał okazał szczególną łaskawość, mówiąc, jak bardzo chciałby ponownie zobaczyć Mei-Ling, gdy będzie przebywała nad Jeziorem Zachodnim.

W drodze do domu pan Yao zwrócił się do niej:

– Chyba wpadłaś w oko generałowi.

* * *

Rano przypłynęła nowa łódź pana Yao. Była bardzo piękna – szeroka, z zadaszeniem w połowie swojej długości i ławkami pokrytymi poduszkami, na których panie mogły wygodnie siedzieć. Pan Yao wezwał Jasny Księżyc oraz ich dzieci, aby ją obejrzeli. Dzieci chciały natychmiast wypłynąć na jezioro, ale pan Yao im na to nie pozwolił, gdyż – jak poprzedniego dnia przewidział generał – niebo się zachmurzyło i wiał silny wiatr, przez który woda zaczynała się burzyć.

Tego dnia Mei-Ling czuła się zmęczona, odpoczywała przez cały ranek i dopiero w południe zeszła na mały pomost, przy którym cumowała łódź. Zobaczyła, że Jasny Księżyc stoi tam sama i wpatruje się w wodę. Od razu zrozumiała, dlaczego pan Yao nie pozwolił rodzinie wypłynąć tego dnia na jezioro. Łódź była płaskodenna, z pewnością pojemna, ale o niewielkim zanurzeniu. Nadawała się do niespiesznych wycieczek, ale tylko przy ładnej pogodzie.

Zbliżyła się i stanęła obok córki. Przez krótką chwilę żadna z nich się nie odzywała.

– Nie wolno ci o nim myśleć – odezwała się cicho. – Dla niego to tylko gra.

– Co jest grą?

– Ty, a nawet ja. Inne kobiety, które bez wątpienia miał. Jesteśmy jego pasją, podobnie jak ta kolekcja.

– On traktuje swoją kolekcję poważnie.

– Studiuje nas, jak te swoje pieczęcie. Odkrywa pewne schematy i naszą złożoność. Możesz być pewna, że kobiety chętnie do niego przychodzą. Powiem więcej: czasami wydaje im się, że to one go uwiodły. Tyle że ostatecznie potrzebuje nas tylko w jednym celu. Stanowimy kolejną pieczęć w jego prywatnej kolekcji. Teraz jesteś nim zauroczona, ale to minie.

– Wszystko kiedyś minie.

– Nie pozwól mu zniszczyć ciebie i twoich dzieci.

Jej córka dłuższą chwilę milczała. Potem zauważyła:

– Dziś w nocy będzie pełnia.

– Nie zobaczymy jej.

– Gdyby chmury się rozwiały, a wiatr osłabł, moglibyśmy wypłynąć na jezioro.

– Nie.

– Czy chodzi o coś jeszcze, matko?

– Co masz na myśli?

– Nie wiem. Kiedy opowiadał nam o swoim pojedynku z oficerem tajpingów, zwróciłam uwagę na wyraz twojej twarzy. Zobaczyłam coś… sama nie wiem co.

– Nic podobnego.

– Wracam do domu – oznajmiła Jasny Księżyc.

Ale Mei-Ling nie poszła za nią. Została sama na przystani i spoglądała na wodę. Myślała o Nio. To właśnie Nio został zabity przez generała; nie miała co do tego wątpliwości. Wszystkie okoliczności do siebie pasowały, instynkt też jej to podpowiadał. Nio zginął z ręki tego czarującego starego uwodziciela, który groził, że w następnej kolejności zniszczy jej córkę.

Późnym popołudniem wiatr się nasilił. Napłynęły ciemne, gęste chmury i nigdzie nie było widać księżyca w pełni, nie wiadomo było nawet, w którym miejscu na niebie mógłby się znajdować. Do zmroku wiatr wściekle rozkołysał taflę jeziora i wdzierał się pod zadaszenie płytkiej łodzi – nikt nie wpadł na to, żeby je zdjąć – wprawiając tkaninę w głośny trzepot i szamocząc łodzią na wszystkie strony.

Domownicy wcześnie położyli się spać. Nikt nie widział, jak Mei-Ling wyślizguje się z domu w mrok. Miała przy sobie mały woreczek.

Guanji na wpół drzemał na otomanie. Nie podjął jeszcze decyzji, że zmierza spać, lecz w każdej chwili mógł się osunąć w niebyt, a gdyby tak się stało – pomyślał – nie miałby nic przeciwko temu. W ogóle by mu to nie przeszkadzało.

Na biurku stała mała mosiężna lampa naftowa – jedna z tych, które wielokrotnie zabierał na wojenne wyprawy – dająca wystarczająco dużo światła, aby w razie gdyby zasnął i ponownie się obudził, pozwoliła mu odnaleźć się w otoczeniu.

Na zewnątrz wiatr telepał okiennicami. Guanji lubił szum wiatru, tak jak lubił deszcz i grzmoty. Nigdy nie wydawały mu się groźne. Przypominały bezkresne, rozległe równiny, o których marzył jako dziecko.

I być może pogrążyłby się we śnie, gdyby nie dobiegło go delikatne stuknięcie – nie od strony okna, tylko od drzwi po lewej. Ktoś je otworzył.

Natychmiast się rozbudził. Jego prawa ręka powędrowała do miecza stojącego obok łóżka i chwyciła za rękojeść. Oczy jednak miał nadal przymknięte, jakby spał.

Powoli, niemal bezszelestnie, intruz przeszedł po podłodze i stanął w nogach łóżka. Wtedy w blasku lampy Guanji rozpoznał tę kobietę, Mei-Ling.

– Dobry wieczór – odezwał się.

– Ach! – Z jej ust wyrwał się mimowolny okrzyk. – Myślałam, że pan śpi.

– Już się obudziłem. – Otworzył oczy i uśmiechnął się do niej. – Na zewnątrz szaleje nie lada burza.

– Tylko trochę wieje.

– Przyszła tu pani sama?

– A z kim miałabym przyjść?

– Co mogę dla pani zrobić?

Mei-Ling obmyśliła dwie wersje planu: jedną na wypadek, gdyby generał spał; drugą, gdyby czuwał. Wolałaby zastać go uśpionego, ale tak się nie stało. Podeszła do skrzyni z ubraniami, położyła na niej swój woreczek i zaczęła się rozbierać.

Zachowała młodzieńczą figurę. Miękkie światło było dla niej łaskawe, ale nawet w ostrzejszym świetle mogłaby uchodzić za zdrową, o dziesięć lat młodszą kobietę. Potem odwróciła się do niego. Uśmiechał się. Usiadła obok niego na otomanie.

Z biegiem lat Guanji stworzył pewną teorię. Chińskie święta księżyca dotyczyły co prawda rodzinnego szczęścia, jednak wielu uważało, że pełnia sprzyja aktowi miłości. Według teorii Guanjiego kobiety były bardziej podatne na wpływ księżyca niż mężczyźni.

Tego wieczoru przyszedł mu jednak do głowy inny pomysł. Czy to możliwe, aby księżyc w pełni, choć ukryty za chmurami, przyciągnął do niego tę kobietę? Zastanawiał się, co prawda, czy nie uwieść Mei-Ling, zanim wyjedzie na południe, nie spodziewał się wszakże, że starsza kobieta wykona pierwszy ruch, i to tak szybko. To musi być wpływ księżyca, zdecydował, mimo że wcale go nie widać. Chyba że to burza ją podnieca.

Niezależnie od powodów jej obecności w jego łóżku, tej nocy z pewnością nie miał na co narzekać.

* * *

Godzinę po północy Mei-Ling bardzo ostrożnie zsunęła się z otomany. Wiatr nadal walił w okiennice, prawie tak głośno jak wcześniej. Generał leżał na wznak, pogrążony we śnie, z lekko rozchylonymi ustami i spokojnym obliczem. Dokładnie tak, jak powinien.

Nie traciła czasu. Nie chciała, żeby się obudził. Sięgnęła po miecz leżący z boku łóżka i ostrożnie wyjęła go z pochwy. Ostrze zalśniło w świetle lampy. Szybko je wypróbowała, aby upewnić się, że jest naostrzone. Następnie, balansując na wygodnie rozstawionych nogach, uniosła chińską szablę wysoko nad głowę i opuściła ją płynnym ruchem. „Niech ostrze wykona swoją robotę” – mawiali mężczyźni w jej wiosce, ilekroć ścinali drzewo. I wykonało.

Oczy generała otworzyły się szeroko. Rozdziawił usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Mei-Ling podniosła miecz, niepewna, czy uderzyć ponownie. Widziała, że przecięła mu szyję aż do kręgów. Czy je także powinna przeciąć? Jego gardło otwarło się w kształt wielkiego V. Rozległo

się bulgotanie, ale niezbyt głośne, i polała się z niego krew. Mei-Ling się cofnęła.

Odłożyła miecz daō na podłogę przy oknie. Nie było potrzeby umieszczać go poza zasięgiem generała, ale poczuła się dzięki temu bezpieczniej. Wzięła woreczek, z którym przyszła, i otworzyła szuflady biurka. W jednej znajdowała się niewielka suma pieniędzy. Mei-Ling wzięła pieniądze i wrzuciła je do woreczka. Następnie zdjęła pieczęcie z półek nad biurkiem i również wrzuciła je do woreczka. Rozejrzała się za czymś jeszcze, co mogłoby skusić złodzieja, i dostrzegła niedużą ozdobę z jadeitu. Ją także zabrała.

Ubrała się pospiesznie. Zauważyła, że posłanie zdążyło już pokryć się krwią. To dobrze; zastygając, ukryje wszelkie ślady jej bytności tutaj.

Upewniła się, że nie zostawiła niczego poza mieczem generała, i wyszła na zewnątrz.

Było ciemno choć oko wykol, ale wcześniej dobrze zapamiętała każdy cal drogi, poza tym wiedziała, jak się poruszać po nierównym terenie. Na pewnym odcinku ścieżka wiodła bezpośrednio nad jeziorem. Sięgając do woreczka, Mei-Ling wyrzuciła całą jego zawartość do wody – monety, pieczęcie i mały jadeitowy ornament, jedno po drugim, tak daleko, jak potrafiła.

Nie minęła godzina, a znalazła się z powrotem w łóżku. Nikt nie widział, jak wychodziła ani jak wracała.

* * *

Rano pan Yao wybrał się do sąsiada mieszkającego około mili dalej. W południe wrócił ogromnie wzburzony.

– Słyszeliście? Nocą, podczas burzy, generał został zamordowany przez rabusia. Zginął od własnego miecza. Kto byłby w stanie zrobić coś tak okropnego?

Po południu nowina lotem ptaka obiegła okolicę. Słudzy generała mówili, że poprzedniego dnia ich pan strasznie się pokłócił z dalekim krewnym, który przyszedł do niego po prośbie. Człowiek ów groził, że wyrządzi generałowi krzywdę.

Dwa dni później z Hangzhou nadeszły kolejne wieści. Mężczyznę odnaleziono w tamtejszej palarni opium. Nie potrafił wyjaśnić swoich wcze-

śniejszych poczynań.

– Sprawa jest zamknięta – oznajmił pan Yao. – To na pewno on.

– Powinien zostać stracony – powiedziała z przejęciem Jasny Księżyc.

– Zostanie. Już ty się o to nie martw – stwierdził jej mąż.

Mei-Ling milczała.

Dziesięć dni później wróciła do domu.

ŻÓŁTA RZEKA

Wrzesień 1887 roku

SHI-RONG SIĘ UŚMIECHNĄŁ. Tym razem musiało się udać. W końcu się zrehabilituje, i to nie tylko w oczach własnego syna, ale także zmarłego ojca; może nawet pamięć o nim przetrwa w podręcznikach historii? Musiał jednak zachować ostrożność i najpierw pomówić z synem. Nie zamierzał, rzecz jasna, zdradzać Ru-Haiowi całego planu – lepiej było zachować go w tajemnicy – ale i tak czekała ich poważna rozmowa.

Wyrwał ostatni chwast rosnący przy grobie ojca. Lubił pielęgnować mogiły przodków, dawało mu to poczucie spokoju. Skromny cmentarzyk, na którym spoczywali, położony na skalnej półce z widokiem na szeroką równinę Żółtej Rzeki, był starannie utrzymany, podobnie jak położony nieco wyżej mały klasztor buddyjski. Kilka lat wcześniej Shi-Rong zapłacił za jego renowację, posiadłość także została odnowiona. Wszystko było w jak najlepszym porządku.

Ogromna tarcza słoneczna oderwała się od wschodniego horyzontu, a połyskliwa rzeka wiła się ospale, tocząc swoje wody zmącone żółtym pyłem przez rozległy azjatycki płaskowyż, w którym przez wieki wydrążyła koryto.

Może dzisiaj przybędzie Ru-Hai, pomyślał Shi-Rong. Mój syn i jego mały chłopiec. Był pewien, że w końcu przyjadą.

Ani tej wiosny, ani poprzedniej nie było ich na Qingming – chociaż jest to święto, podczas którego wszyscy wracają na groby przodków, żeby spotkać się z krewnymi, posprzątać mogiły i okazać szacunek tym, którym zawdzięczają życie. Wszyscy, to jest ci, którzy mogą to uczynić, dla Ru-Haia bowiem przyjazd tutaj nie był łatwy: Pekin od rodzinnej posiadłości

dzieliło ponad czterysta mil, okrągły miesiąc drogi. Nie mógł odbywać tak dalekiej podróży co roku, więc Shi-Rong w pojedynkę omiatał groby i modlił się w samotności.

Teraz jednak syn zapowiedział, że do niego dołączy. Nie mógł inaczej postąpić po liście, jaki wysłał do niego Shi-Rong:

> *Minęło tyle czasu, odkąd Cię ostatnio widziałem, mój synu. Ojciec Twój prosi Cię, abyś niezwłocznie przyjechał, ponieważ musi omówić z Tobą pewne sprawy dotyczące rodzinnego majątku. Zabierz, proszę, także ze sobą swojego syna, aby mógł poznać dziadka i zachować pamięć o nim na kolejne lata.*
>
> *Proponuję, abyś spędził w domu około dwóch dni, a potem, przed powrotem do Pekinu, zabrał synka w góry, do wielkiego klasztoru Shaolin, gdzie można zobaczyć mistrzów zen doskonalących się w sztukach walki, co bez wątpienia mu się spodoba.*

W ciągu ostatniej dekady Shi-Rong prawie nie bywał w Pekinie. Jedną wizytę na dworze złożył, kiedy przechodził w stan spoczynku; drugą, kiedy organizował ślub syna – małżeństwo z córką mandaryna trzeciego stopnia okazało się zresztą całkiem udane. Po raz trzeci odwiedził stolicę przed trzema laty, aby zobaczyć się z Ru-Haiem oraz jego bliskimi, i tyle. Był jednak poinformowany o bieżących wydarzeniach.

Patrząc wstecz na ostatnie dwudziestolecie, miał wrażenie, że sytuację Chin najlepiej podsumowują dwa słowa: stagnacja i korupcja. Dobrze wiedział, co mówi: ostatecznie sam przyłożył do tego rękę.

Skarbiec nadal świecił pustkami, kolejne prowincje nawiedzała klęska głodu, na ulicach wszystkich miast można było spotkać żebraków. Planowaną odbudowę Pałacu Letniego odkładano z powodu braku funduszy już tyle razy, że Shi-Rong w końcu stracił rachubę.

W okolicy większość znanych mu ludzi marzyła po prostu o powrocie do dawnego życia, takiego jak za poprzedniego pokolenia. Czy można było ich za to winić? Cóż, że starzejący się mandaryni przyjmowali łapówki i trzymali się kurczowo swoich stanowisk, a gubernatorzy okłamywali dwór cesarski w związku z sytuacją w swoich prowincjach? Czy nie zawsze tak było? Lepsza była już stagnacja niż chaos.

Reformy wojskowe utknęły, a mocarstwa kolonialne krążyły wokół cesarstwa na podobieństwo stada wygłodniałych wilków. Na północnym wschodzie Rosja przy każdej nadarzającej się okazji zagarniała kolejne terytoria, a na południowym zachodzie Birmańczycy wypowiedzieli posłuszeństwo Chinom i uznali zwierzchność Brytyjczyków. Francja władała obecnie Wietnamem, a jej okręty wojenne patrolowały wody wokół Tajwanu. Z kolei Japończyków z trudem udało się powstrzymać przed zajęciem Półwyspu Koreańskiego, pytanie tylko, na jak długo.

Jak w ogóle doszło do tego wszystkiego?

Shi-Rong wiedział, co powiedziałby jego ojciec: gdy król przestrzega zasad moralności konfucjańskiej, w jego królestwie panuje porządek, w przeciwnym razie nastaje anarchia.

Zwróciłby mu też uwagę na to, co stało się przed ćwierć wiekiem, gdy cesarz haniebnie porzucił swój urząd i uciekł na północ. Barbarzyńcy zniszczyli wówczas Pałac Letni i upokorzyli Cesarstwo Niebios.

W czasach pierwszej regencji przestrzegano jeszcze ustalonych zasad. Młodziutki cesarz był synem poprzedniego władcy, a funkcję regentki, na mocy odpowiednich przepisów, sprawowała cesarzowa. W tych okolicznościach miało sens, aby regentką została matka chłopca, Cixi. Była też rada regencyjna, na której czele stał książę Gong.

Jednak gdy młody dziedzic zmarł i trzeba było ustanowić drugą regencję, sprawy potoczyły się już zgoła inaczej. Kto wybrał kandydata na nowego cesarza? Cixi. Dlaczego? Ponieważ był synem jej siostry, a jego ojciec, książę Chun, należał do jej zwolenników. Czy to było właściwe? Nie; pogwałcono zasady sukcesji. Ojciec Shi-Ronga orzekłby, że nic dobrego nie może z tego wyniknąć, lecz nikt nie ośmielił się sprzeciwić cesarzowej wdowie.

A raczej nikt z wyjątkiem jednego człowieka, bohaterskiego mandaryna, cenzora Wu. Tylko on zachował się jak prawdziwy wyznawca konfucjanizmu i złożył oficjalny protest. Niektórzy nazywali go Męczennikiem Wu, zapłacił bowiem życiem za swoje przekonania.

A czego ja dokonałem w owym roku? – rozmyślał ze smutkiem Shi-Rong. Nie udało mu się zdobyć stanowiska inspektora solnego i został oskarżony przez własnego syna o przyjmowanie łapówek. Był to dla niego rok upokorzenia i wstydu.

Jeśli chodzi o Cixi, to Shi-Rong odniósł wrażenie, że w ciągu pierwszych kilku lat panowania nie osiągnęła nic poza wyeliminowaniem z gry

księcia Gonga, jedynego człowieka, którego cesarstwo naprawdę potrzebowało – z przewodniczącego rady zamienił się w zwykłego doradcę.

A potem stało się coś dziwnego: Cixi nagle zachorowała. Wieść niosła, że jest bliska śmierci, i przez wiele miesięcy nikt jej nie widywał. Od czasu do czasu przesyłała radzie wiadomości, lecz całą władzę sprawowała potulna cesarzowa. Ta sytuacja trwała około roku.

Co w tym czasie działo się z Cixi? Nikt tego nie wiedział. Co ukrywała? W tym czasie Ru-Hai przybył do domu z krótką wizytą i Shi-Rong zapytał go:

– Czy to możliwe, że zaszła w ciążę i usiłuje to ukryć?

– Nie sądzę, ojcze – odparł. – Jest na to już trochę za stara.

– A co wynika z pogłosek?

– Mogła zachorować na ospę, chociaż nie wydaje mi się to prawdopodobne. – Ru-Hai się uśmiechnął. – Cokolwiek by mówić, mieszkańcy Zakazanego Miasta potrafią dochować tajemnicy.

– Może to kara zesłana przez bogów za jej wszystkie grzechy – zauważył kwaśno Shi-Rong, nie dowiedział się jednak niczego więcej.

Po roku Cixi pojawiła się publicznie jak gdyby nigdy nic. Niektórzy mówili, że się postarzała, i coraz więcej osób nazywało ją odtąd Czcigodnym Buddą. Cesarzowe znów sprawowały władzę wspólnie i Shi-Rong wyobrażał sobie, że tak będzie przez jeszcze pięć albo sześć lat, dopóki nowy cesarz nie osiągnie pełnoletności.

Tym bardziej zdumiało go, gdy po roku dobra i życzliwa cesarzowa, która nigdy nikomu nie wyrządziła krzywdy, niespodziewanie zmarła. Ru-Hai napisał mu, że miała wylew. W wieku czterdziestu czterech lat? Może raczej została otruta? A jeśli tak, to przez kogo? Czy to Cixi uznała, że skoro cesarzowa tak dobrze sobie poradziła, rządząc państwem pod jej nieobecność, lud może uznać ją samą za zbędną, i dlatego postanowiła otruć przyjaciółkę?

Nie było to wcale aż tak nieprawdopodobne, jak by się mogło wydawać. Wszyscy dobrze znaliśmy postać jedynej jak dotąd cesarzowej Chin, która przed dwustu laty doszła do władzy w podobny sposób jak Cixi. Była konkubiną cesarza, a po jego śmierci została konkubiną jego syna. Żeby zostać jedyną władczynią cesarstwa chińskiego, zamordowała dwie legalne cesarzowe, dwie inne konkubiny i prawdopodobnie czwórkę własnych dzieci.

Czy Cixi była ulepiona z tej samej gliny? Według Shi-Ronga wszystko zdawało się na to wskazywać.

Pogłoski o tym, co działo się na dworze, wystarczyłyby, aby ją potępić, a wydarzenia ostatnich trzech lat tylko potwierdziły jego najgłębsze obawy.

Cixi rozwiązała dotychczasową radę regencyjną i oddaliła księcia Gonga, swojego najlepszego doradcę, nakazując mu wycofanie się z życia publicznego, po czym na czele rady postawiła księcia Chuna, ojca małoletniego cesarza. Pomijając nawet fakt, że ów niegdyś waleczny książę dawno już spadł do roli zwykłego sługusa, gotowego biec na każde skinienie Cixi, obowiązujące w pałacu prawo zabraniało, aby ojciec małego cesarza był jego oficjalnym doradcą. Jakby tego było mało, gdy młody cesarz osiągnął pełnoletność i miał przejąć rządy, Cixi przekonała nową radę, że nie jest on gotowy do pełnienia władzy, i sama pozostała u steru. Shi-Rong szczerze wątpił, aby miała kiedykolwiek dobrowolnie ustąpić.

Uknuł więc własny sekretny plan. Jeśli tylko zdoła go zrealizować, będzie wolny, wypełniwszy konfucjański obowiązek wobec rodziny oraz kraju. Nic już go nie będzie powstrzymywało przed podjęciem nowych wyzwań, na przykład życia wypełnionego medytacją.

* * *

Shi-Rong nie potrafiłby określić, kiedy dokładnie zaczął się wycofywać z aktywnego życia. Z pewnością nastąpiło to po tym, jak ustąpił z urzędu prefekta Jingdezhen i przeszedł w stan spoczynku. W kolejnym roku zaabsorbowało go małżeństwo Ru-Haia, potem przeżywał emocje związane z narodzinami pierwszego wnuka; młody Bao-Yu miał wkrótce skończyć dziesięć lat.

Po tym, jak opuścił Jingdezhen, straciwszy szansę na objęcie posady inspektora solnego, Shi-Rong osiadł w rodzinnej posiadłości. Jego przyjaciel, pan Peng, podsunął mu jeszcze jedną propozycję – lukratywnego stanowiska na południu kraju – lecz po doznanej w Pekinie porażce i upokorzeniu Shi-Rong wolał już nie ryzykować. Jako że akurat wtedy okazał się najbardziej potrzebny w rodzinnym majątku, postanowił poświęcić się doprowadzeniu domu przodków do jak najlepszego stanu i na tym poprzestać.

Dzięki jego wysiłkom posiadłość rozkwitła bardziej niż kiedykolwiek: budynki były odnowione, a spichlerze pełne. Wypełniwszy ten obowiązek

wobec rodziny, Shi-Rong poczuł, że ma teraz pełne prawo poświęcić się sprawom umysłu.

Ilekroć pogoda dopisywała, już przed świtem przemierzał wioskę, skąd biegnąca stromym zboczem wąska ścieżka prowadziła go na rodzinny cmentarz. Czasami wspinał się jeszcze wyżej, do małej buddyjskiej świątyni, aby przy wtórze porannego świergotu spoglądać z góry na dolinę Żółtej Rzeki. Często docierał na wzgórze, zanim jeszcze pierwsze promienie rozświetliły wschodni horyzont, i pozostawał tam długo po wschodzie słońca.

W takich chwilach, gdy świat cały jak okiem sięgnąć zdawał się wypełniony trelami ptaków witających kolejny dzień, Shi-Rong całkiem tracił poczucie rzeczywistości; miał wrażenie, że rozpływa się w wielkiej światłości poranka. W niektóre dni wracał w to samo miejsce, aby obejrzeć także zachód słońca, a następnie przez godzinę albo dłużej wpatrywać się w gwiazdy.

Z czasem rytuał ten stał się dla niego równie ważny jak modlitwa dla mnicha i nie wyobrażał sobie życia bez niego.

Nawiązał też znajomość ze starym uczonym mieszkającym kilka mil dalej na wzgórzach, nad wioską zwaną Huayuankou, gdzie od niepamiętnych czasów znajdowała się przeprawa promowa przez Żółtą Rzekę.

Pan Gu był niemal o dekadę starszy od Shi-Ronga. Nie sposób było określić jego wzrostu, poruszał się bowiem zgięty wpół. Drobną twarz miał pooraną zmarszczkami, zachował jednak bystre spojrzenie i nadal prowadził intensywną korespondencję z uczonymi w całym cesarstwie.

Mieszkał w skromnym gospodarstwie z małym ogrodem, w którym z upodobaniem uprawiał różne rośliny. Czasami Shi-Rong martwił się złym stanem jego domu; zaproponował nawet, że wybuduje dla staruszka nową siedzibę na terenie swojej posesji.

– Nie będę się panu narzucał z odwiedzinami – zapewnił go. – A przynajmniej nie bardziej niż obecnie.

Jednak pan Gu pokręcił głową.

– Te ziemie królowie Zhou przed ponad dwoma tysiącami lat podarowali mojej rodzinie – przypomniał Shi-Rongowi. – Gdzie indziej miałbym mieszkać? – Jego jasne oczy błyszczały z rozbawienia.

– Proszę mnie zawiadomić, jeżeli zmieni pan zdanie – poprosił Shi-Rong, było jednak jasne, że jego nowy przyjaciel nie ma zamiaru nigdzie się przeprowadzać.

Shi-Rong odwiedzał pana Gu mniej więcej dwa razy w miesiącu. Rozmawiali wówczas na różne tematy, stary uczony pożyczał mu książki, często też wspólnie czytali. Zupełnie jakbym znowu studiował, myślał Shi-Rong, tyle że bez egzaminów.

Obowiązkowym zakończeniem każdej takiej wizyty była wspólna przechadzka nad rzekę. Do pokonania mieli ponad milę długą, stromą ścieżką, lecz staruszek był niezwykle żwawy. „Z łatwością wspinam się pod górę o własnych siłach – mawiał – jeżeli tylko mam dobry kij, na którym mogę się oprzeć. Ale już zejście na dół jest znacznie trudniejsze. Do tego potrzebuję pańskiego silnego ramienia”. Shi-Rong cieszył się, że może mu się przydać, ostrzegł jednak pana Gu, że niedługo może wymagać stałej pomocy.

Najbardziej lubił te spotkania, kiedy ćwiczyli się w kaligrafii.

Shi-Rong zawsze szczycił się swoim pismem. Jako mandaryn słynął z elegancko spisywanych listów i wspomnień. Pociągnięcia jego pędzla były zawsze odpowiednio wyważone, mocne i płynne, dlatego gdy staruszek zaproponował, aby każdy z nich zapisał ten sam wiersz, chętnie przyjął wyzwanie. Był to starożytny poemat o uczonym w górach i Shi-Rongowi udało się znakomicie odtworzyć styl kaligrafii z okresu, w którym został napisany. Kiedy nie bez pewnej dumy wręczył uczonemu swoją wersję, pan Gu w zadumie pokiwał głową.

– Egzaminatorzy na szczeblu krajowym byliby pod wielkim wrażeniem – przyznał.

– Dziękuję.

– Od razu widać, że jest pan biurokratą.

– Ach. – Shi-Rong zmarszczył brwi. Czy miał to uznać za komplement?

Starszy mężczyzna bez słowa przysunął mu swoje dzieło. Powiedzieć, że różniło się od wersji Shi-Ronga, to nic nie powiedzieć: było jak z innego świata. Każdy znak żył własnym tajemniczym życiem – nawiązując do sąsiednich, komentując je, a czasami im się przeciwstawiając – aż do przedostatniego, który to, zakończony długim zawijasem, zdawał się niemalże rozpływać w górskiej mgle. Ostatni znak pełnił funkcję swoistej pieczęci, spinającej całość.

– W kaligrafii oraz w malarstwie, które są w zasadzie jednym i tym samym, muszą być obecne zarówno yin, jak i yang – rzekł pan Gu. – Wie pan o tym, lecz tego nie praktykuje. Za dużo pan myśli. Narzuca pan pismu swoją wolę; to przejaw yang. Musi pan dać się ponieść, zamiast próbować formułować swoje myśli. Musi pan zapomnieć o sobie samym. Dopuścić do siebie yin, przeciwieństwo. Kontemplować tekst w ciszy, a wtedy, przy odpowiedniej praktyce, gdy nie będzie pan poszukiwał określonej formy – pańska ręka nieświadomie stanie się myślą.

Starzec miał rację: Shi-Rong znał to wszystko w teorii, jednak nie mógł się nadziwić, jak trudno przełożyć to na praktykę po latach pracy w administracji państwowej.

Po tamtej rozmowie niemal codziennie poświęcał godzinkę albo dwie na ćwiczenie kaligrafii. Czasami stawiał na papierze tylko jeden znak i medytował nad jego znaczeniem; częściej przepisywał jakiś wiersz. Niekiedy sam układał poezję i próbował ją zapisywać, raz za razem, zamykając oczy podczas kreślenia znaków, żeby ich nie poprawiać. Zdarzało mu się wówczas uzyskiwać niespodziewane piękno zapisu, o jakie nigdy by siebie nie podejrzewał. A gdy pokazywał uczonemu swoje osiągnięcia, pan Gu chwalił go: „Znacznie lepiej. Ma pan jeszcze wiele do zrobienia, ale jest pan na właściwej drodze”.

Pewnego zimowego popołudnia, po trzech latach starań, Shi-Rong wyznał swojemu mistrzowi:

– Ostatnio coś u siebie zauważyłem, ale nie jestem pewien, co to oznacza.

– Śmiało, proszę mówić.

– Nawet nie wiem, jak to opisać – stwierdził Shi-Rong. – Chodzi o swego rodzaju uczucie oderwania od świata. Rzeczy, które zawsze były dla mnie ważne – moja ranga, honor rodziny, a nawet przodkowie – nie wydają mi się już tak istotne. To chyba straszna zbrodnia nie dbać o przodków.

– Z wiekiem stajemy się bardziej świadomi szerszego aspektu życia – odparł pan Gu. – Po części to właśnie praktykują taoiści. Nasz indywidualny los staje się w naszych oczach mniej znaczący.

– Nawet zasady Konfucjusza, według których starałem się żyć, nie wydają mi się już takie ważne.

– Moim zdaniem – oświadczył pan Gu – nauki Konfucjusza są istotne dla młodych. Zapewniają im moralne zasady, według których mają żyć,

a bez których społeczeństwo się rozpada. Młodzi muszą w coś wierzyć. Jeśli nie uwierzą w Konfucjusza, to uwierzą w coś gorszego.

– Nie sądzi pan, że młodzi powinni szukać oświecenia?

– W pewnym stopniu, ale bez przesady – odrzekł wesoło uczony. – Jeśli staną się zbyt oświeceni, nie będą chcieli wykonywać żadnej pracy. – Uśmiechnął się. – Oświecenie jest dobre dla takich starców jak my.

W kolejnych miesiącach, w miarę jak Shi-Rong doskonalił się w kaligrafii, jego poczucie oderwania od świata również zdawało się narastać, lecz ogólnie towarzyszył mu głęboki spokój. Mimo to nadal zajmował się sprawami związanymi z posiadłością, a różne codzienne drobiazgi – kłopotliwy dzierżawca czy przeciekający dach – irytowały go tak samo jak wcześniej.

W ciągu ostatniego roku zaczął jednak zauważać w sobie kolejną zmianę. Z pozoru niemal niedostrzegalna, niewątpliwie jednak stawała się faktem: z dnia na dzień coraz bardziej tracił chęć na zajmowanie się zwykłymi sprawami. Rzadziej wspinał się na wzgórze o świcie, bez entuzjazmu oddawał się studiom. Myślał już tylko o tym, kiedy przekaże majątek synowi.

Ru-Hai i jego synek nie przyjechali w dniu, w którym ich wyczekiwał, tylko nazajutrz w południe: Ru-Hai na silnym koniu, a Bao-Yu na mocnym kucyku, którym zaraz zaopiekował się stajenny. Nieliczna gromadka służby znała Ru-Haia od dziecka i wszyscy chcieli go serdecznie powitać, minęło więc sporo czasu, zanim cała trójka zasiadła do wspólnego posiłku, a Shi-Rong miał wreszcie okazję przyjrzeć się wnukowi. Bardzo chciał polubić chłopca i zyskać jego sympatię.

Trzeba przyznać, że jego wnuk okazał się całkiem inny, niż się spodziewał. Oczywiście minęło kilka ładnych lat, odkąd widział Bao-Yu, i chłopiec bardzo wyrósł od tamtej pory. Wszyscy mężczyźni w rodzinie jego matki byli wysocy, nic więc dziwnego, że już teraz młody Bao-Yu zapowiadał się na rosłego młodzieńca o płaskiej twarzy. Miał przy tym wilczy apetyt, był jednak bardzo grzeczny i pełen szacunku; Shi-Rong cieszył się, że Ru-Hai o to zadbał.

Podczas posiłku, wypytawszy Ru-Haia o żonę i ich dwie córki, uzyskał od syna obietnicę, że następnej wiosny cała rodzina przyjedzie razem na święto Qingming. Potem, żeby wnuk nie czuł się pominięty, Shi-Rong

zagadnął go o naukę w szkole. Jakie postępy poczynił w zgłębianiu nauk Konfucjusza?

– Nieźle sobie radzi – odpowiedział za chłopca Ru-Hai, może nieco zbyt szybko. – Ma talent do matematyki – dodał.

– Ach – mruknął Shi-Rong trochę nieuważnie. – Miło mi to słyszeć. – Zachęcająco skinął chłopcu głową.

Jeśli nawet początkowo wnuk lekko go zaskoczył, to po skończonym posiłku Shi-Rong był już całkiem zdezorientowany: mieli właśnie zamiar wspiąć się na wzgórze, żeby odwiedzić mogiły przodków, gdy nagle Bao-Yu położył się na wznak na dziedzińcu i poprosił dziadka, aby ten stanął mu na brzuchu.

– Czego on chce? – zwrócił się Shi-Rong do Ru-Haia.

– Chce, abyście stanęli mu na brzuchu, ojcze – odpowiedział z uśmiechem syn. – Wszystkich zawsze o to prosi.

– Dziadek może nawet na mnie wskoczyć, jeśli chce! – zawołał dumnie chłopiec.

– Wykluczone! Powiedz mu, żeby natychmiast wstał – zażądał gniewnie Shi-Rong.

– Wszystko w porządku, ojcze – uspokoił go Ru-Hai – on chce ci tylko zaimponować tym, jaki jest silny. – Shi-Rong był zdania, że zarówno jego syn, jak i wnuk postradali zmysły. Czy tak okazuje się szacunek dziadkowi?

– Może tam sobie leżeć cały dzień – odburknął. – Mam lepsze rzeczy do roboty niż skakanie po nim w górę i w dół. – Chwycił syna mocno za rękę i pociągnął w stronę wyjścia z dziedzińca. Jeśli nawet chłopiec był zawiedziony, to tego nie okazał. Po prostu poderwał się z ziemi i pobiegł za mężczyznami.

– Nic takiego się nie stało, ojcze – dodał Ru-Hai. – Jak to mówią, w zdrowym ciele zdrowy duch.

– Chłopak najwyraźniej potrzebuje ruchu – skwitował sucho Shi-Rong.

Było piękne popołudnie i z cmentarza roztaczał się wspaniały widok na rozległą dolinę.

– Byłeś tu już wcześniej – zwrócił się Shi-Rong do chłopca, który rozglądał się niepewnie.

– Nie pamięta tego – rzekł Ru-Hai.

Shi-Rong w milczeniu pokazywał chłopcu grobowce.

– Tu leży mój ojciec, a twój pradziadek. A tam jego ojciec i jego… – Przez kilka minut z szacunkiem pochylał się kolejno nad mogiłami, wypowiadając po kilka słów o każdym ze zmarłych. Potem wraz z Ru-Haiem i chłopcem odmówili modlitwę za przodków. Bao-Yu zachowywał się jak należy, a na koniec Shi-Rong polecił mu: – Masz zapamiętać do końca życia ten dzień, kiedy wraz z ojcem i dziadkiem modliłeś się przy grobach naszych przodków. Obiecujesz?

– Tak, dziadku.

– Tym razem już będzie pamiętał – zapewnił Ru-Hai.

– Dobrze. Popatrz na dolinę. Czeka nas piękny dzień. – Rzeczywiście, od dawna nie pamiętał tak pogodnego dnia. – Podoba ci się ten widok? – zapytał Bao-Yu.

– Tak, dziadku. – Chłopiec energicznie skinął głową.

– Nasza rodzina cieszy się nim od setek lat – ciągnął Shi-Rong. – Tutaj, w tej dolinie, zaczęła się historia Chin. Nie wiemy nawet, kiedy tu przybyliśmy, tak dawno to było. Cokolwiek robimy w życiu, zawsze w końcu wracamy do domu i spoglądamy w dół na rzekę. Mój ojciec tak robił i śmiem twierdzić, że z twoim ojcem będzie tak samo. – Zerknął na Ru-Haia.

– Oczywiście – potaknął Ru-Hai.

– Czy ja też będę tutaj przychodził? – chciał wiedzieć chłopiec.

– Chyba nie ma sensu nigdzie się stąd przenosić, prawda?

– Rzeczywiście – przyznał jego wnuk.

– W takim razie jesteśmy zgodni – ucieszył się Shi-Rong. – Co jeszcze wiesz o tej rzece?

– Płynie swoim korytem dzięki pracom irygacyjnym Wielkiego Yu.

– Bez niego nie zrodziłaby się cywilizacja Żółtej Rzeki. Wiesz, kiedy żył?

– Według legendy cztery tysiące lat temu.

– Brawo, chłopcze. A czy miał znamienitych przodków?

– Był potomkiem w dziesiątym pokoleniu samego Żółtego Cesarza, który mógł być bogiem.

– No cóż – zwrócił się do Ru-Haia Shi-Rong – mój wnuk wie wszystko, co trzeba. – Obdarzył chłopca uśmiechem pełnym aprobaty. – Niewykluczone, że jednak wskoczę mu na brzuch.

– Teraz rzeka znowu wymaga pogłębiania – odezwał się niespodziewanie chłopiec.

– Zapewne – zgodził się z pewnym zaskoczeniem Shi-Rong.

– Wasz wnuk chciałby ją pogłębić, ojcze – wyjaśnił mu Ru-Hai.

– Chcę być jak Wielki Yu – oświadczył Bao-Yu.

– Chce być cesarzem? – zdumiał się Shi-Rong.

– Nie, ojcze. – Ru-Hai się roześmiał. – Inżynierem.

– Inżynierem? – Shi-Rong zmarszczył brwi. – Wtedy musiałby mieć do czynienia z maszynami. W naszej rodzinie nie miewamy inżynierów – poinformował chłopca – choć oczywiście możemy ich zatrudniać.

– Zapominacie, ojcze – wtrącił Ru-Hai – że Wielki Yu nie był zbyt dumny, aby pracować fizycznie u boku swoich robotników, gdy ci budowali i pogłębiali. Przynajmniej tak mówią.

– To było dawno temu – mruknął jego ojciec, po czym zwrócił się do chłopca: – Chodź, pokażę ci jeszcze lepszy widok. – Poprowadził ich ścieżką pod górę, ku małej świątyni buddyjskiej.

Nikogo tam nie było, a widok na dolinę wprost zapierał dech w piersiach.

– Ale tu pięknie! – zachwycił się chłopiec. – Czy ta świątynia od dawna tutaj stoi?

– Około trzystu lat. Wybudowano ją na naszej ziemi za nasze pieniądze.

– A gdzie są mnisi?

– Przychodzą z większego klasztoru oddalonego stąd ze trzy mile. Co kilka dni któryś z nich tu zagląda.

– Czy to oni są mistrzami zen?

– Nie.

– Ojciec zabierze mnie do dużego klasztoru mistrzów zen, gdzie mnisi ćwiczą się w sztukach walki – oznajmił Bao-Yu i zamarkował w powietrzu kilka ciosów rękami. – Łup, łup, łup… Ajjj… Trzask-prask!

– Wiem – odrzekł Shi-Rong. – To był mój pomysł.

– Naprawdę? – Chłopiec spojrzał na swojego dziadka ze zdziwieniem. – Bardzo dobry! – dodał całkiem szczerze.

Gdy po pewnym czasie wrócili do domu, Shi-Rong oprowadził ich po gospodarstwie, opowiadając wnukowi o swoim uczonym ojcu i starej ciotce.

– Mogła być uczoną albo tworzyć muzykę – powiedział. – A to – pokazał – są pałeczki *I Ching*, których używała.

Jego wnuk słuchał wszystkiego z uwagą, choć czy jego zainteresowanie było autentyczne, tego już Shi-Rong nie potrafił stwierdzić. Wreszcie Ru-

Hai zasugerował, że skoro obaj są zmęczeni po podróży, powinni trochę odpocząć.

Po niecałej godzinie spędzonej w pomieszczeniu, które służyło mu jako biblioteka i gabinet, Shi-Rong zdał sobie nagle sprawę z obecności wnuka. Bao-Yu stał w drzwiach, niepewny, czy wolno mu przeszkodzić dziadkowi. Wyglądał na rozespanego.

– Wejdź – zachęcił go Shi-Rong. – Właśnie przyniesiono herbatę. Chciałbyś się ze mną napić? – Chłopiec przytaknął, więc Shi-Rong napełnił dla niego czarkę.

– Tak tu cicho i miło – zauważył chłopiec.

– Prawda? – Dość mu już dziś nakładłem do głowy, pomyślał, milczał więc, gdy chłopiec kręcił się po izbie, oglądając kolejne przedmioty.

– Co to jest? – zapytał naraz, zdejmując z półki miseczkę pełną drobnych kości i połamanych muszli.

– Mój ojciec kupił je od aptekarza. Pewien rolnik znalazł je na swojej ziemi, uznał, że mogą mieć magiczne właściwości, i chciał, aby aptekarz zmielił je na magiczny eliksir.

– Aha. – Jego wnuk usiadł z miseczką na kolanach i zaczął oglądać kości. – „Człowiek” – powiedział nagle.

– Człowiek?

– Tak jest tutaj napisane. „Człowiek”. „Dom”. – Obrócił w palcach jedną kość, potem zbadał inną. – „Słońce”. „Rzeka”. „Koń”. To jakieś pismo, prawda?

– Tak uważał mój ojciec. Bardzo stare pismo. Sprzed tysięcy lat. Te znaki w niczym nie przypominają dzisiejszych. Wydają się dość prymitywne. – Shi-Rong umilkł. – Gdzie widziałeś znak oznaczający konia?

Bao-Yu pokazał mu odłamek kostny i wskazał mu maleńki wydrapany znak.

– Wygląda delikatniej i jakby niekompletnie – stwierdził – ale kształt ma taki sam.

– Rzeczywiście – przyznał Shi-Rong. – Wcześniej tego nie zauważyłem.

Tego wieczoru nie czekali z kolacją. Bao-Yu słaniał się ze zmęczenia, więc Ru-Hai kazał mu pójść do swojej izby i położyć się spać. Dopiero kiedy

zostali we dwóch, zwrócił się do ojca, chcąc poruszyć kwestię, która leżała mu na sercu:

– Przyjechałem od razu, jak tylko otrzymałem wasz list.

– Dobry z ciebie syn.

– Źle się czujecie, ojcze?

– Starzeję się.

– Nie jesteście jeszcze aż tak bardzo posunięci w latach. I nie wyglądacie na chorego.

– Może. Ale czuję, że koniec jest już bliski. Ogarnęła mnie dziwna słabość. Inne znaki też na to wskazują. Coś podobnego przytrafiło się memu ojcu. Dlatego jestem pewien, że to będzie moja ostatnia zima.

– Mam nadzieję, że się mylicie, ojcze.

– Inaczej nie posłałbym po ciebie – ciągnął ze spokojem Shi-Rong. Uśmiechnął się kpiąco. – Chcę, aby mój wnuk zapamiętał mnie takiego, jaki teraz jestem.

Uważnie przyjrzał się synowi. W ciągu ostatnich dziesięciu lat nie widywali się zbyt często. Nie było w tym niczyjej winy, po prostu Ru-Hai miał w Pekinie wiele obowiązków. Gdy jakiś czas po jego ślubie Shi-Rong wybrał się do stolicy, synowa i małe wnuczęta przyjęli go z szacunkiem i wielką uprzejmością, dokładnie tak, jak powinno się traktować dostojnego dziadka. Synowa kilkakrotnie podkreślała, że chciałaby spędzać więcej czasu w rodzinnej posiadłości, gdzie wnuki mogłyby go lepiej poznać.

– Mój dom jest dla was otwarty. Będę palił w piecu, żeby ogrzać go na wasz przyjazd – zapewnił ją z uśmiechem.

Czy syn go szanował? Miał nadzieję, że tak, ale nie był zupełnie pewien. Dobrze pamiętał, jak przed kilkunastu laty Ru-Hai oskarżył go o przyjmowanie łapówek. Pomimo upływu czasu tamte słowa wciąż między nimi wisiały niczym wahadło w zegarze.

Zaprowadził syna do małej biblioteki, podszedł do szafki, wyjął z niej grubą księgę złożoną z oprawionych w jedwab arkuszy i położył ją na stole.

– Nie musisz się niczego obawiać – rzekł. – Może nadal wyobrażasz sobie, że ukrywam tu skrzynie z nielegalnie zagarniętym srebrem albo worki z łapówkami? Gdyby tak było, żyłbym jak człowiek bogaty. Oto księga rachunkowa posiadłości, wszystko jest tu odnotowane jak należy. Właściwie powinieneś podziękować swojemu dziadkowi, choć później to ja kontynuowałem jego dzieło. Dwa pokolenia dobrego zarządzania i oszczędności doprowadziły tę posiadłość do rozkwitu. Mówiłem ci to już zresztą

kilkanaście lat temu. Prześledź rachunki, a sam się przekonasz, w jakim stopniu, dzięki mądrości i uczciwej pracy, udało mi się powiększyć nasz majątek. – Zamilkł na moment. – Tutaj masz zapasowy klucz do szafki. Zatrzymaj go, proszę. Tylko nie zgub!

Czy w swojej krótkiej przemowie minął się z prawdą? Sądząc po rachunkach, z pewnością nie. Nie znalazłoby się tam nic, co mogłoby zadać kłam jego słowom.

Jeżeli nawet istniała gotówka, z której posiadania nie umiałby się wytłumaczyć, dawno temu przepadła bez śladu, wydana na przykład na zaślubiny Jasnego Księżyca albo na odnowienie małej buddyjskiej świątyni na wzgórzu. W domu znajdowały się co prawda cenne przedmioty, które za nią kupił, zadbał jednak, aby udokumentować, iż każdy należał do jakiegoś przodka. Nikt nie zdołałby tego podważyć. Zakupy ziemi zostały sfinansowane z pożyczek szybko spłacanych dzięki kolejnym łapówkom. Niektóre z tych działek zostały następnie odsprzedane z pokaźnym zyskiem, a za uzyskane środki zakupiono inne i teraz rozszyfrowanie zawiłych transakcji byłoby już raczej niemożliwe. Łapówki rozpłynęły się jak mgła.

– W tej szafce znajdziesz także sporo dokumentów rodzinnych, sięgających wiele wieków wstecz – ciągnął Shi-Rong – oraz inne, bardziej aktualne, w tym wprawki z kaligrafii i wiersze mojego autorstwa.

Urwał; czy Ru-Hai ośmieli się ponownie zarzucić przekupstwo? Wyglądało na to, że chyba nie. Syn tylko pochylił głowę.

– Wystarczy na dziś – oświadczył Shi-Rong. – Powinieneś się przespać. Jutro możemy spędzić trochę czasu w wiosce. Później czeka nas jeszcze jedna rozmowa, bardzo ważna, na twój temat.

Po tym, jak syn poszedł spać, Shi-Rong pozostał w bibliotece. Nie odczuwał senności. Po chwili wziął księgę rachunkową i odłożył ją z powrotem do szafki. Sięgnąwszy do jednej z szufladek, wyciągnął dwa cienkie zwoje, porównał je ze sobą, sprawdzając, czy są identyczne, odchrząknął z zadowoleniem i schował je na miejsce.

Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem.

Wciąż jednak targał nim wewnętrzny niepokój. Wyszedł na dziedziniec; gwiazdy świeciły jasno, blady półksiężyc oświetlał niebo. Shi-Rong minął bramę wjazdową, przeciął rozpościerający się za nią równy trawiasty teren i stanął na krawędzi zbocza, skąd roztaczał się piękny widok na całą dolinę

– nie tak imponujący jak z położonego wyżej cmentarzyka, ale wystarczająco malowniczy. Połyskująca w słabym księżycowym blasku Żółta Rzeka toczyła swoje rozległe wody na odległość wielu mil, by w końcu rozpłynąć się w srebrzystej mgle. Shi-Rong odwrócił się i popatrzył w górę jej koryta.

Wtedy to zobaczył: jasne rozbłyski daleko na zachodzie.

To chyba błyskawice, pomyślał. Musiała się tam rozpętać potężna burza. Gdzie dokładnie? Na pewno zbyt daleko, żeby dotarło do niego choćby echo grzmotu.

Czarna zasłona zawisła nad zachodnim horyzontem, całkiem przesłaniając gwiazdy. Shi-Rong szybko się zorientował, że to, co widzi, to nie błyskawice, lecz ich odbicia w masywnych zwałach chmur spiętrzonych ponad burzą, pozostającą poza zasięgiem jego wzroku, poniżej linii horyzontu. Błyskać musiało się daleko, może nawet sto mil w górę rzeki.

Nazajutrz wstał o świcie. Niebo zasnuły szare chmury, ale jeszcze nie padało. Burza wciąż szalała na horyzoncie, chociaż wiatr, na ile Shi-Rong mógł to ocenić, wiał bardziej z południa niż z zachodu.

Przedpołudnie spędzili bardzo przyjemnie, zwiedzając wioskę i posiadłość, dzięki czemu Ru-Hai miał okazję odświeżyć stare znajomości. Co do młodego Bao-Yu, mieszkańcy wioski byli go niezwykle ciekawi. Zaraz znaleźli się rówieśnicy chłopca, którym przykazano pokazać mu okolicę. Szybko odkryli, że jest silny oraz przyjazny, i to w zupełności im wystarczyło, aby przed powrotem Bao-Yu do domu wszyscy chłopcy kolejno stanęli mu na brzuchu, podobnie jak kilka młodszych dziewczynek. Nie było to do końca to, czego życzyłby sobie Shi-Rong, nie ulegało jednak wątpliwości, że jego wnuk budzi powszechną sympatię, a to było najważniejsze.

Kiedy kończyli południowy posiłek, z zewnątrz dobiegł ich stukot kropel deszczu.

– Jeśli burza tu dotrze, nie uda wam się raczej dostać do klasztoru mistrzów zen – zauważył Shi-Rong. – Trzeba będzie zaczekać kilka dni.

– Najwyżej zrezygnujemy – stwierdził Ru-Hai. – Możemy się tam wybrać kiedy indziej.

– Nie – odrzekł jego ojciec. Zależało mu, żeby tam poszli. To stanowiło część jego planu. – Chłopiec nie może się tego doczekać – dodał.

Po południu deszcz bębnił miarowo o dach. Shi-Rong ucieszył się, gdy Ru-Hai zasugerował, aby rozegrał z wnukiem partyjkę chińskich szachów. Oderwało to jego myśli od deszczu i pozwoliło delikatnie zgłębić umysł chłopca bez sprawiania wrażenia, że go przepytuje.

– Niektórzy – rzucił lekko – cenią inny rodzaj szachów, ten perski, w który grają barbarzyńcy, ale ja wolę nasze, chińskie. Dopuszczają więcej wariantów rozgrywki. Poza tym – ciągnął z uśmiechem – jako wierny wyznawca Konfucjusza, nie ośmieliłbym się porzucić gry, w którą moi przodkowie grywali od czterech tysięcy lat.

– Ja też jestem konfucjanistą – powiedział Bao-Yu, wykonując ruch.

– Uważajcie na swoje piony, ojcze – wtrącił Ru-Hai.

– Opowiedz mi, co przez to rozumiesz – poprosił wnuka Shi-Rong. Ku jego zdziwieniu i wielkiemu zadowoleniu Bao-Yu precyzyjnie przedstawił główne założenia nauk chińskiego mędrca. Co więcej, pamiętał wiele trafnych cytatów, a nawet kilka anegdot o wielkim mistrzu. Nieźle jak na chłopca w jego wieku, całkiem nieźle! Shi-Rong uznał, że posiadając tak solidne podstawy, młody Bao-Yu ma wielkie szanse, kiedy nadejdzie odpowiedni czas, pomyślnie zaliczyć swój pierwszy egzamin na szczeblu prowincjonalnym.

– Jeśli postępujemy niewłaściwie – rzekł – prędzej czy później społeczeństwo wpada w prymitywny chaos. Zdarzało się to już wiele razy, w wiekach zamętu pomiędzy dynastiami.

– To jak z inżynierią – stwierdził chłopiec. – Jeśli budynek nie jest solidnie zbudowany, to się zawali. Żeby państwo było silne, musi w nim panować porządek.

Shi-Rong zmarszczył brwi.

– To, co mówisz, jest słuszne, ale nie do końca – przestrzegł wnuka. – Źródłem właściwego postępowania jest ugruntowana moralność.

– Tak, dziadku. Będę pamiętał.

– Powiedz mi – podjął Shi-Rong – czy znasz historię cenzora Wu?

– Nie, dziadku.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł, aby opowiadać o tym chłopcu – wtrącił się Ru-Hai, lecz Shi-Rong go zignorował.

– Wszystko wydarzyło się zaledwie przed ośmiu laty – zwrócił się do Bao-Yu – niedługo po twoich narodzinach. Czy wiesz, czym zajmuje się cenzor?

– Nie bardzo, dziadku.

– Od wieków pewnym mężczyznom, starannie dobieranym ze względu na swoją mądrość i prawość moralną, powierzano stanowisko cenzora. Byli oni kimś w rodzaju strażników rządu. Ilekroć zauważali, że urzędnik postępuje sprzecznie z prawem, zwyczajem lub moralnością, mogli go oskarżyć przed cesarzem. Gdyby nawet sam cesarz zachował się niewłaściwie, mieli prawo powiedzieć mu to prosto w oczy i nie zostaliby za to ukarani.

– Niezwykłe – odparł z podziwem chłopiec.

– Zgodne z zasadami konfucjanizmu – kontynuował jego dziadek. – Prawdziwy konfucjański porządek zasadza się nie na władzy, lecz na moralności. Jednak w ostatnim stuleciu… – Shi-Rong widział, że Ru-Hai kręci głową, ale mówił dalej pomimo to – rola cenzora nieco się zmieniła. Obecnie to urzędników karze się za niewłaściwe postępowanie, cesarze natomiast gorzej znoszą krytykę.

– Czy cesarz mógłby ukarać cenzora? – spytał Bao-Yu.

– Na pewno poważnie by się przed tym zawahał. Jest jednak mało prawdopodobne, aby ponownie poprosił go o radę. Na dobrą sprawę dawna funkcja tego urzędu zanikła. – Umilkł na moment. – Nie znaczy to, że całkiem o niej zapomniano.

– Czy Wu upomniał cesarza?

– Obecny cesarz zasiadł na tronie jako chłopiec, zgodnie z życzeniem cesarzowej wdowy Cixi. Sposób, w jaki go wybrano, był niewłaściwy. Wu jasno powiedział o tym cesarzowej wdowie, ale Cixi odrzuciła jego zastrzeżenia. Jak myślisz, co zrobił wtedy Wu? Popełnił samobójstwo.

– Czy mogło wyniknąć z tego coś dobrego?

– Nazywamy to zawstydzaniem. Zawstydził cesarzową, pokazując, że woli odebrać sobie życie, niż zaakceptować jej niewłaściwe działania. Jak widzisz, był prawdziwym konfucjanistą.

– Czy Cixi zmieniła decyzję?

– Nie. Ale mandaryni i uczeni w całym cesarstwie dowiedzieli się, co i dlaczego uczynił Wu. Odtąd jego imię wypowiadane jest z szacunkiem jako przykład dla nas wszystkich.

– Uważacie, że miał rację, dziadku?

– Kiedy byłem młody – odpowiedział mu Shi-Rong – ojciec kazał mi przyrzec, że będę zawsze lojalnie służył cesarzowi. Jednak w tym wypadku z pewnością by się zgodził, że Wu postąpił słusznie. Sam Konfucjusz, jak to mówią, nie kłaniał się władzy.

– Bao-Yu jest trochę za młody, żeby tego słuchać – ostrzegł go cicho Ru-Hai.

– I tak wkrótce wszystkiego by się dowiedział – mruknął jego ojciec. – Kto wie, może nadejdzie czas, gdy będziemy potrzebowali nowego cenzora Wu – zwrócił się do chłopca.

– Nie chcę, aby komukolwiek to powtarzał – zainterweniował ponownie Ru-Hai. – Na pewno nie w Pekinie.

– Masz rację. – Shi-Rong popatrzył na wnuka. – Nikomu nie wolno ci powtórzyć tego, co ci właśnie powiedziałem. To będzie nasza tajemnica. Rozumiesz?

– Tak, dziadku.

– Obiecujesz?

– Tak, dziadku.

– Dobrze. Grajmy dalej.

Po kolejnych dziesięciu minutach Shi-Rong stwierdził, że wnuk go pokonał.

Przecierało się. Bao-Yu zapytał, czy może wyjść na zewnątrz, a oni się zgodzili.

Nadszedł czas, aby Shi-Rong odbył ostatnią, najważniejszą rozmowę ze swoim synem. Zaczął ostrożnie.

– Mój drogi synu – odezwał się – wspomniałem, że według mnie ten rok będzie moim ostatnim. Jeśli mam rację, trzeba podjąć pewne decyzje i chcę je podjąć razem z tobą. Najważniejsze pytanie brzmi, czy po okresie żałoby zechcesz pozostać tu na stałe, aby zarządzać rodzinnym majątkiem, czy też kariera zatrzyma cię w stolicy, być może na wiele lat. Jeśli wybierzesz to drugie, muszę od razu poczynić kroki w celu wyznaczenia zarządcy oraz przeprowadzić niezbędne ustalenia, aby wszystko poszło gładko. – Przyjrzał się badawczo Ru-Haiowi. – Twoja kariera jest najważniejsza. Pod żadnym pozorem nie rezygnuj z perspektyw ewentualnego awansu; nie ma takiej potrzeby.

Ru-Hai ze smutkiem pokręcił głową.

– Chciałbym powiedzieć, że moja kariera zmierza we właściwym kierunku, ojcze – rzekł. – Niestety. Zresztą nie tylko moja – pamiętacie, ojcze, tych dwóch młodych ludzi, którzy pracowali ze mną, kiedy odwiedziliście mnie w biurze?

– Oczywiście.

– Obaj już stamtąd odeszli, podobnie jak czterech innych najwyższych stopniem urzędników. Jamen Tsungli to dziś tylko wydmuszka. Mocarstwa kolonialne odbierają nam kolejne terytoria.

– Przecież powstrzymaliśmy Japonię.

– Do czasu. W przyszłości Japonia będzie stanowić dla nas wielkie zagrożenie, zresztą z tego samego powodu, o którym wspominałem kilkanaście lat temu: ponieważ się modernizuje. – Westchnął. – Na nic zda się zamawianie na przykład zachodnich okrętów, skoro żaden z naszych marynarzy nie został przeszkolony do ich obsługi. Tylko jedno chińskie miasto – Szanghaj – ma połączenie telegraficzne z Pekinem. Wiem, że ich nie pochwalacie, ojcze, ale to absurd, że nie mamy prawie żadnej linii kolejowej. Starzy mandaryni uważają, że mocarstwa kolonialne uczyniłyby z kolei narzędzie opresji. – Pokręcił głową. – Wszyscy boją się zmian, nie wyłączając Cixi.

– Cixi potrafi tylko jedno. Przetrwać.

– Według mnie jest samotna i się boi – ciągnął Ru-Hai. – Ale cesarstwo popadło w stagnację, ja zaś czuję, że nic już chyba nie trzyma mnie w ministerstwie.

Shi-Rong przytaknął. Było mu oczywiście przykro z powodu rozczarowania Ru-Haia, lecz dzięki temu wyznaniu wszystko stało się znacznie prostsze. Przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl.

– Twój syn, a mój wnuk, wydaje się inteligentny. Jak myślisz, co będzie robił w życiu?

– Nie jestem pewien.

– Mógłby dobrze sobie poradzić na egzaminach urzędniczych.

– To prawda. Nawiasem mówiąc, słyszeliście, ojcze, że egzaminy mają się zmienić?

– Zmienić? Jak?

– Mają zostać rozszerzone o nowoczesny, bardziej praktyczny komponent związany z handlem. Przypuszczam, że to cię nie cieszy.

– Przeciwnie. – Shi-Rong się zamyślił. – To może być dobry pomysł. Ale fundament konfucjański powinien zostać zachowany. Bez moralnego fundamentu wiedza handlowa, w ogóle jakakolwiek wiedza, jest bezużyteczna. Gorzej niż bezużyteczna – jest niebezpieczna. Nawet inżynierowie potrzebują filozofii.

– Ale inżynier może nie potrzebować archaicznego chińskiego aż w takim stopniu.

– Studia klasyczne dobrze wpływają na mózg. – Shi-Rong przerwał. – Przypuszczam, że twój syn będzie służył cesarzowi w taki czy inny sposób. Będzie musiał, o ile chce budować mosty, kanały czy co tam jeszcze innego.

– O ile będzie jeszcze istniał cesarz, któremu trzeba służyć.

– Przez całe życie słyszałem, jak mówiono, że Mandat Niebios zostanie wkrótce cofnięty – zauważył jego ojciec – lecz pomimo podłych postępków dworu cesarskiego tak się nie stało.

– I jeśli dwór postawi na swoim, nigdy do tego nie dojdzie – stwierdził Ru-Hai. – Niektórzy uważają jednak, że jeśli cesarstwo w końcu upadnie, będzie musiała nastąpić całkowita zmiana ustroju, choć nikt chyba nie wie, na czym miałaby polegać.

– Tak czy inaczej – mruknął jego ojciec – cieszę się, że już tego nie dożyję.

Po wieczornym posiłku rozległ się grzmot. Jakiś czas przedtem zapadła ciemność. Bao-Yu chciał wyjść na zewnątrz, żeby popatrzeć na burzę, więc wspólnie z Shi-Rongiem poszli na dziedziniec. Ledwo znaleźli się na dworze, niebo na zachodzie rozdarła błyskawica.

– Spójrzcie, dziadku. – Bao-Yu wskazał w górę. – Gwiazdy.

Miał rację. Tym razem burza była bliżej niż poprzednio, ale nie dotarła jeszcze do tej części doliny Żółtej Rzeki. Niebo nad nimi było pogodne i rozgwieżdżone.

Shi-Rong zbliżył się do bramy i wyszedł na zewnątrz. Z miejsca, skąd roztaczał się widok na całą dolinę, mógł podziwiać rozgrywający się przed nim spektakl pogodowy.

Był on zaiste niezwykły: w poprzek nieba, z południa na północ, na podobieństwo olbrzymiej kurtyny rozpościerało się pasmo czerni, a z jego wnętrza dochodziło głuche dudnienie. Raz za razem rozlegał się łoskot, któremu towarzyszyły błyski. Burza musi być raptem dziesięć, może kilkanaście mil stąd, pomyślał.

– Dziadku. – Bao-Yu stanął obok niego. – Czy możemy wspiąć się na wzgórze, żeby lepiej widzieć?

Shi-Rong spojrzał na chłopca.

– Myślisz, że powinniśmy?

– O tak!

– Znakomity pomysł. – Shi-Rong zwrócił się do Ru-Haia, który stanął za jego plecami. – Ty i ja możemy wziąć po jednej latarni. Nie żebym jej potrzebował, bo znam tę ścieżkę jak własną kieszeń.

– A jeśli złapie nas deszcz? – zaprotestował Ru-Hai. – Przemokniemy. W dodatku zrobi się ślisko.

Shi-Rong i jego wnuk popatrzyli po sobie.

– I co z tego? – odpowiedzieli zgodnie.

Wzięli więc latarnie i przeszli przez wioskę, której mieszkańcy, myśląc, że to jakiś rytuał, z zainteresowaniem obserwowali ich przez uchylone drzwi. A gdy ruszyli ścieżką pod górę, jedyną osobą, która się potknęła, był Ru-Hai, co go szczególnie nie uradowało.

Kiedy w końcu dotarli do skalnej półki, na której znajdowały się groby przodków, Shi-Rong umieścił latarnie za jedną z mogił, aby ich światło nie psuło widoku, i przez kwadrans wpatrywali się w szalejącą burzę, która nieuchronnie ku nim nadciągała. Co jakiś czas niebo rozświetlał gwałtowny błysk, a huk grzmotów zdawał się rozrywać firmament.

Naraz Ru-Hai spojrzał w górę, powiedział, że nie widać już tylu gwiazd co wcześniej, i dodał, że lepiej będzie zawrócić. Jednak Shi-Rong dostrzegł w świetle błyskawicy wyraz twarzy swego wnuka i odparł:

– Jeśli się pospieszymy, zdążymy jeszcze rzucić okiem z góry, spod świątyni. – Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, chłopiec już biegł po latarnie. Shi-Rong zwrócił się tymczasem do Ru-Haia. – To potrwa tylko chwilę – obiecał.

I rzeczywiście, ledwie dotarli na szczyt i stanęli przy świątyni, widok przesłoniła im ściana deszczu tak bliska, że na twarzach czuli krople wilgoci.

– Czas schodzić – powiedział Shi-Rong do wnuka. – Podobało ci się?

– Bardzo, dziadku.

– Ciekawy widok – przyznał Ru-Hai z nieco mniejszym entuzjazmem.

Ruszyli więc w dół. Rozpadało się, dopiero kiedy dotarli do wioski. Drobne krople deszczu padały na ścieżkę i zwilżały czubki latarni, a gdy dotarli do domu, byli tylko trochę zmoczeni.

Potem wszyscy udali się na spoczynek i spali aż do rana.

Tej nocy burza ich oszczędziła: skierowała się na północ i zahaczyła o wioskę jedynie serią przelotnych deszczy, które ustały przed świtem.

Zanim zjedli śniadanie, a służba przyprowadziła przed bramę konia i kucyka, zdążyło całkiem się rozpogodzić.

– Nie ma potrzeby, abyście jechali drogą przez dolinę do miasta, a następnie zawracali na wzgórza – odezwał się do syna Shi-Rong. – Wystarczy przejechać przez wioskę i ścieżką wspiąć się na wyżynę. Znasz drogę. Pod wieczór będziecie w klasztorze Shaolin.

Ru-Hai przytaknął i pożegnał się z ojcem.

– Spotkamy się wszyscy wiosną z okazji Qingming – powiedział stanowczo.

Shi-Rong w milczeniu skinął głową, następnie zwrócił się do chłopca:

– Mam coś dla ciebie – powiedział i podał Bao-Yu malutkie pudełko. – Pamiętasz ten odłamek kości, na którym zauważyłeś wydrapany znak oznaczający konia?

– Tak, dziadku.

– Oto on. Chcę, abyś go zachował jako prezent ode mnie na pamiątkę tej wizyty.

– Dziękuję, dziadku. – Chłopiec wyglądał na uradowanego.

– Musisz go strzec – upomniał go ojciec.

– Będę – obiecał Bao-Yu.

– W takim razie do widzenia – rzekł Shi-Rong. Stanął przy bramie i patrzył, jak odjeżdżają pod górę ulicą, aż zniknęli mu z oczu.

Godzinę później zasiadł przy stole w swojej małej bibliotece. Miał przed sobą dwa zwoje, które wcześniej przygotował. Nie było potrzeby niczego w nich zmieniać; wszystko ułożyło się dokładnie tak, jak oczekiwał. Był już niemal gotowy, aby ruszyć do domu pana Gu.

Pozostał mu do spełnienia jeszcze tylko jeden drobny obowiązek.

Od jakiegoś już czasu myślał o Mei-Ling i pieniądzach, o które poprosiła go w dniu ślubu Jasnego Księżyca.

Shi-Rong był wówczas tak zszokowany niefortunnym obrotem spraw, tak wstrząśnięty utratą pieniędzy, które spodziewał się zarobić, że uznał, iż nie może bardziej uszczuplić swojego majątku. Bądź co bądź wydał mnóstwo na ślub. Po pewnym czasie zdał sobie jednak sprawę, że dodatkowy wydatek nie zrobiłby właściwie żadnej różnicy.

Mógł łatwo naprawić ów błąd, ale raz odmówiwszy, z niewiadomego powodu ubzdurał sobie, że okazałby słabość, przystając na prośbę Mei-Ling. Nie uczynił więc nic, a później w zasadzie o wszystkim zapomniał. Ze wstydem uświadomił sobie, że nie wie nawet, czy Mei-Ling jeszcze żyje. Przypuszczał, że tak.

Ci, których czeka śmierć, powinni uczciwie rozliczyć się ze swoich długów.

Podszedł do szafki i wyjął kwadratową skrzyneczkę, po brzegi wypełnioną srebrem. Było tam więcej, niż chciała Mei-Ling. Shi-Rong zamknął skrzyneczkę i opieczętował ją, po czym owinął starannie kawałkiem jedwabnego brokatu, obwiązał sznurkiem i opieczętował węzeł. Na koniec umieścił pakunek w skórzanej torbie.

Ponownie usiadł przy biurku i napisał do Jasnego Księżyca list z informacją, że jeśli jej matka żyje, powinna zgłosić się do pana Gu, który ma dla niej paczkę. Potem wydał polecenie stajennemu, aby ten niezwłocznie się przed nim stawił.

Słońce stało wysoko na czystym, błękitnym niebie, gdy zmierzali do domu pana Gu. Shi-Rong niósł w sakwie oba zwoje i list, stajenny zaś dźwigał przewieszoną przez ramię skórzaną torbę. Kiedy dotarli do małego gospodarstwa na wzgórzu, Shi-Rong wziął skórzaną torbę i powiedział stajennemu, że może teraz wrócić do domu.

Stary pan Gu ucieszył się na jego widok. Był w radosnym nastroju.

– Co za wspaniały jesienny dzień! Widział pan te wielkie burze, które przeszły w górze rzeki? A u nas tylko raz czy dwa pokropiło. Przed pańskim przybyciem akurat układałem wiersz. Zechciałby mi pan pomóc? Może dokończymy go razem?

– Właściwie to chciałem z panem pomówić – odpowiedział Shi-Rong. – Chciałbym prosić o pewną przysługę.

– Ależ oczywiście. Oczywiście. Usiądźmy i proszę mi wszystko opowiedzieć.

– Chodzi o to, że zamierzam się dzisiaj zabić.

– Doprawdy? A to niespodzianka. Jest pan pewien? Dlaczego chce pan to zrobić? Wie pan, że to niezgodne z duchem konfucjanizmu, prawda? Samobójstwo jest dozwolone tylko w szczególnych okolicznościach.

– Wiem. Chcę, aby pan to przeczytał. – Z tymi słowy Shi-Rong podał mu jeden z dwóch zwojów.

Pan Gu przez chwilę czytał w milczeniu.

– Muszę przyznać, że pańska krytyka poczynań dworu jest ze wszech miar słuszna. Nie jestem jednak pewien, czy przejęcie władzy przez cesarza zdoła ocalić nasz kraj. Wiem tylko, że Konfucjusz w pełni poparłby pańską odezwę. A zatem chce pan zostać nowym cenzorem Wu i zawstydzić Cixi? Wie pan, że Wu spisał swój protest w formie wiersza?

– Mój cel jest nieco inny i dlatego potrzebuję pańskiej pomocy. Po pierwsze, wielki czyn cenzora Wu nie powinien mieć naśladowców. Musi pozostać wyjątkowy, zresztą nie jestem godzien go naśladować. Po drugie, nie kieruję swojej odezwy do dworu, tylko do społeczności uczonych. Winię ich za to, że się nie zjednoczyli, aby doradzać cesarzowi.

– Nie chce pan bezpośrednio zaatakować Cixi.

– Otóż to. Po części dlatego, że nie chcę sprowadzać jej gniewu na głowę syna. Byłem wręcz gotów opóźnić całą sprawę, jeśli miałoby mu to zaszkodzić w karierze, jednak Ru-Hai twierdzi, że nie ma szans niczego osiągnąć. Chce ustąpić ze stanowiska.

– To zrozumiałe.

– Poza tym uważam, że agitowanie uczonych przyniesie na dłuższą metę lepsze efekty.

– Pan zaś odbierze sobie życie, aby dowieść swojego zaangażowania.

– Właśnie. Chcę, aby zaczekał pan, aż mój syn – który, rzecz jasna, o niczym nie wie – przejdzie w stan spoczynku i bezpiecznie osiądzie w naszej rodzinnej posiadłości, i dopiero potem rozpowszechnił mój protest wśród wąskiej grupy uczonych. Byle nie nazbyt licznej! Niech wieść o tym, co uczyniłem, stopniowo się rozniesie.

– Mądrze. Pańskie imię zyska nieśmiertelność i zostanie otoczone szacunkiem.

– W pewien sposób. Bez rozgłosu. Niczego więcej nie pragnę.

– Sporządził pan dwie kopie?

– Tak. Chciałbym, aby przekazał pan jedną z nich mojemu synowi, ale jeszcze nie teraz. Za rok, może dwa.

– Wszystko pan przemyślał. A co jest w tej skórzanej torbie?

– Ach. Z tym wiąże się kolejna przysługa, o którą chciałbym pana prosić, zupełnie niezwiązana z pierwszą. Czy mógłby pan wysłać ten list do

mojej adoptowanej córki i przechować tę skrzyneczkę w skórzanej torbie, dopóki ona lub jej matka się po nią nie zgłoszą?

– Nie widzę powodu, dla którego miałbym panu odmówić. Jak zamierza pan się zabić?

– W tych okolicznościach powszechnie przyjętym sposobem jest powieszenie. Wyrządza ciału mniejszą szkodę niż inne metody.

– To prawda. Zapewne powinien pan się powiesić. Zejdziemy przedtem na dół i popatrzymy na rzekę? Potem możemy się napić herbaty, a pan przed odejściem pomoże mi z moim wierszem.

Stanęli nad samą wodą na ścieżce holowniczej, zapatrzeni w szeroko rozlany żółtobrunatny nurt. Rzeka wyraźnie przybrała po niedawnych deszczach; zamiast jak zwykle leniwie toczonych wód korytem rwał bystry potok albo raczej przelewały się wzburzone morskie fale.

– Proszę tylko na to spojrzeć! – zawołał starzec. – Potężna Żółta Rzeka w całym swoim majestacie i potędze! Oto dusza tej starożytnej krainy. Ależ mamy szczęście, że tutaj mieszkamy.

– Istotnie – zgodził się Shi-Rong.

Przez minutę albo dwie obserwowali ten niezwykły spektakl, po czym zawrócili.

– Nie jestem przekonany, że powinien pan się zabić – wyznał pan Gu. – Dlaczego trochę pan z tym nie zaczeka? Zawsze zdążę wysłać pański list.

– Tak będzie lepiej – odparł Shi-Rong. – W ten sposób wszystko się wypełni.

– Mógłby pan jeszcze popracować nad swoją kaligrafią.

– Wiem. Przy okazji, czy mógłby pan posłać kogoś jutro do klasztoru Shaolin z prośbą do opata, aby przekazał mojemu synowi wiadomość, że jego ojciec nie żyje? Wybrali się tam razem z moim wnukiem.

– Jak pan sobie życzy. Zamierza pan zrobić to dziś wieczorem?

– Tak.

– Będzie mi pana brakowało. Może jeszcze zmieni pan zdanie. Wówczas proszę przyjść do mnie z samego rana.

– Dobrze. Tak zrobię – o ile się rozmyślę, rzecz jasna.

Zeszli ze ścieżki holowniczej i Shi-Rong zaproponował, że odprowadzi staruszka do domu, lecz pan Gu odpowiedział, że nie ma takiej potrzeby. Pod-

pierając się laską, ruszył naprzód ścieżką prowadzącą przez rozległą równinę i dalej pod górę stromym zboczem.

Shi-Rong nie chciał jeszcze wracać do siebie. Widok szeroko rozlanej Żółtej Rzeki w całej jej krasie sam w sobie był niezwykle ekscytujący, a przecież miał już jej więcej nie ujrzeć. Poszedł więc ponownie na ścieżkę holowniczą. Kilka razy odwrócił się, żeby popatrzeć na oddalającą się sylwetkę pana Gu. Z wysokiego brzegu całkiem dobrze widział jego drobną postać, powoli wspinającą się ścieżką prowadzącą z samego dna doliny. Po pewnym czasie staruszek stał się już tylko ciemną kropką w oddali; po raz ostatni zobaczył go, gdy pan Gu zbliżał się do swojego małego domku wśród drzew, położonego jakieś trzysta stóp nad doliną.

Przez kolejne pół godziny Shi-Rong obserwował potężną rzekę niosącą połamane gałęzie i najróżniejsze śmieci, które wpadły w jej wzburzone fale.

W naturze wszystko płynie, pomyślał. A sądząc po rozmiarach Żółtej Rzeki, ów strumień życia nie ma końca.

Wreszcie uznał, że czas już na niego. Zobaczył wszystko, co chciał. Zszedł ze ścieżki holowniczej i skręcił w gruntową drogę wiodącą bardziej na zachód, w kierunku domu.

Szedł powoli, bez pośpiechu. Jego plan był w każdym calu doskonały i wkrótce miał się wypełnić.

Jiang Shi-Rong pokonał jakieś ćwierć mili, wędrując tak dnem doliny, gdy usłyszał za sobą straszliwy ryk.

Odwrócił się na pięcie i przerażony spojrzał za siebie, po czym rzucił się do ucieczki.

Lecz wody Żółtej Rzeki okazały się szybsze i nieskończenie potężniejsze od niego. Gnały przed siebie, niszcząc wszystko na swojej drodze.

Skutki wielkiej powodzi, do której doszło po tym, jak Żółta Rzeka wystąpiła z brzegów w Huayuankou i zalała szeroką dolinę, zmiatając z powierzchni ziemi całe gospodarstwa, wioski i miasta, okazały się gorsze niż jakiegokolwiek tsunami, ponieważ wody tej jednej z największych rzek na świecie, płynącej na wyżynie, stale zalewały okoliczne ziemie.

Szacuje się, że dziewięćset tysięcy ludzi straciło wówczas życie. Dom przodków Shi-Ronga, znajdujący się znacznie powyżej doliny, ocalał, podobnie jak położony wysoko w górach klasztor Shaolin i małe gospodarstwo pana Gu na wzgórzu.

Jednak sąsiad i uczeń pana Gu, Shi-Rong, przepadł bez śladu.

BOKSERZY

Luty 1900 roku

Doktor Cunningham przyjrzał się staremu Traderowi. Wcześniej miał dwie pacjentki po dziewięćdziesiątce, po których zgłosił się do niego John Trader z Drumlomond. Na oko wydawał się w świetnej formie: wysoki, wysportowany, bez grama zbędnego tłuszczu. Lekarz wiedział z doświadczenia, że tacy mężczyźni z reguły żyją najdłużej.

– Nie ręczę za pańskie zdrowie, jeśli podejmie pan tę podróż – oświadczył.

– Nie zaręczy pan też za nie, jeśli jej nie podejmę – odparł wesoło Trader. – Mam prawie dziewięćdziesiątkę na karku.

– Proszę zażywać lekarstwa i unikać stresu. Czy może pan zrobić przynajmniej tyle?

– Tak sądzę. Czeka mnie długi rejs dobrym statkiem. Przypuszczam, że mogę się podczas niego nudzić, ale nie stresować. Później wystarczy już tylko złapać pociąg do Pekinu. Zatrzymam się u córki w misji, która jest bezpiecznie położona w obrębie Wewnętrznego Miasta. Tam także raczej nie grozi mi żaden stres.

– Jest pan zatem zdecydowany?

– Chciałbym jeszcze raz zobaczyć Emily, zanim będzie za późno. Nie miałem też okazji poznać jej najmłodszego syna. Minęło dobre dziesięć lat, odkąd ona i jej mąż byli tu po raz ostatni. – Uśmiechnął się. – Nie jestem pewien, czy mogę dłużej czekać.

– W takim razie chyba istotnie powinien pan ich odwiedzić. – Doktor Cunningham odłożył na bok stetoskop. – Co się w ogóle teraz dzieje w Chinach? Czytam gazety, ale kompletnie nie rozumiem tego kraju. A pan?

– Chyba tak. Próbowali się modernizować, ale nie zaszli zbyt daleko, co wszyscy usiłują przekuć na swoją korzyść, szczególnie Japończycy. Słyszał pan, że zaledwie przed pięciu laty całkowicie rozbili chińską marynarkę? Sprawują teraz pełną kontrolę nad Półwyspem Koreańskim. Na domiar złego zajęli również Tajwan.

– Czyli Formozę, prawda?

– Inna nazwa, ta sama wyspa nieopodal chińskiego wybrzeża, pomiędzy Szanghajem a Hongkongiem. Dla Chin to straszne upokorzenie.

– Nigdy nie zdołałem pojąć, czy Chiny są bogatym, czy biednym krajem.

– Jedno i drugie jest prawdą. Rzecz jasna, polegają głównie na rolnictwie, niewiele mają tam jeszcze przemysłu. Ale prawdziwe bogactwa kryją się pod ziemią. Słyszałem o pewnym młodym Amerykaninie, Herbercie Hooverze, który poszukuje w północnych Chinach antracytu i, jak sądzę, również złota. Można więc powiedzieć, że kraj ten ma przed sobą wielkie możliwości – o ile Chińczycy wreszcie się obudzą.

– A co z przewrotem pałacowym, o którym czytałem?

– To nieodłączny element toczącej się od lat debaty: modernizować się czy nie. Po zadanym przez Japończyków upokorzeniu młody chiński cesarz, który w końcu zdołał nakłonić wiekową Cixi do ustąpienia, ogłosił szeroko zakrojone reformy. Z dnia na dzień usiłował zmodernizować cesarstwo, wykazując się przy tym, jak sądzę, pewną naiwnością. Konserwatywny establishment szybko położył temu kres i ani się wszyscy obejrzeli, Cixi z powrotem przejęła władzę, a młody cesarz stał się więźniem we własnym pałacu. Wydaje mi się, że nadal przebywa w odosobnieniu. – Przerwał. – Nie sądzę, aby ktokolwiek wiedział, co tak naprawdę dzieje się w Zakazanym Mieście. To najbardziej tajemnicze miejsce na ziemi.

– Ta stara umiejętnie wykorzystuje fakt, że na tronie zasiadają nieletni chłopcy albo słabi młodzieńcy. Rządzi niepodzielnie już prawie czterdzieści lat, prawda?

– Mniej więcej.

– Ostatnie pytanie: kim są ludzie noszący czerwone szarfy i turbany, którzy zaczęli ostatnio wzniecać zamieszki? Nazywają ich bokserami. To jakieś tajne stowarzyszenie? Coś jak dawni tajpingowie?

– Należą do czegoś w rodzaju nacjonalistycznej sekty, jakich było już wiele. Wie pan, chcieliby wyrzucić z Chin cudzoziemców z ich religią i tak

dalej. Praktykują poza tym jakiś rodzaj magicznej sztuki walki – dlatego nasi nazywają ich bokserami. Twierdzą, że kule się ich nie imają.

– Śmiem w to wątpić – mruknął lekarz.

– Mają zwolenników wśród chłopstwa, ale tylko w kilku północnych prowincjach. Noszą czerwone koszule i turbany. To wszystko, co wiem na ich temat.

– Niepokoi się pan o swoją córkę?

– Na wszelki wypadek poszedłem do Ministerstwa Spraw Zagranicznych na rozmowę. Nasz człowiek w Pekinie – z tytułem ministra – donosi, że jak na razie panuje tam względny spokój.

– Wierzy pan w to?

– Przekonam się na miejscu.

Doktor Cunningham przyjrzał się badawczo swojemu pacjentowi.

– Mam wrażenie, że ten wyjazd może nie okazać się wcale tak spokojny, jak usiłuje mi pan wmówić.

– Nonsens!

– Chce pan ich przekonać do powrotu, prawda? O to w tym wszystkim chodzi?

– Skądże – odparł Trader. – Po prostu marzą mi się krótkie wakacje w słońcu.

* * *

Był majowy poranek w Pekinie. Poprzedniego dnia wiatr znad pustyni Gobi przetoczył się przez miasto niczym tsunami, niosąc ze sobą obłok czarnego pyłu, i Emily nie mogła pozbyć się go z włosów, co tylko potęgowało jej poczucie niepokoju i dziwnego skrępowania.

Czekała na ojca, który lada dzień miał przybyć do Chin. Powstrzymałaby go przed przyjazdem, gdyby nie fakt, że kiedy jego list do niej dotarł, John Trader od dawna był już w drodze. Tęskniła za nim, oczywiście, ale jak miała się zajmować starym, niemal dziewięćdziesięcioletnim człowiekiem przy tym wszystkim, co się tu teraz działo?

Przestronny dziedziniec misji anglikańskiej był cały pokryty pyłem. Po jednej jego stronie wznosił się budynek misji, dwa inne boki zajmowały dormitoria, od ulicy zaś posesję zamykał wysoki mur z bramą wejściową.

Na dziedzińcu znajdowało się zwykle kilku chińskich konwertytów – mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy spacerowali albo kucali w cieniu – jednak w ciągu ostatnich trzech dni ich liczba stale rosła. Wciąż przybywało rodzin szukających schronienia na terenie misji; wkrótce dormitoria całkiem się zapełnią. Co takiego widzieli, co napawało ich aż takim strachem?

O jednym Emily słyszała: o czerwonych balonach.

Pojawiły się mniej więcej przed dziesięcioma dniami – wzbijały się w niebo nad Pekinem, najpierw po kilka, potem całymi chmarami. Bokserzy dawali w ten sposób znać mieszkańcom, że przybyli do stolicy i zapraszali wszystkich dobrych Chińczyków, aby się do nich przyłączyli. Balony mogły być także zapowiedzią kłopotów dla tych, którzy tego nie uczynią, dla cudzoziemców zaś oraz tych Chińczyków, którzy byli na tyle głupi i nielojalni, aby przyjąć religię barbarzyńców, stanowiły wyraźną groźbę.

Czy należało traktować je poważnie? Dość powiedzieć, że większość konwertytów przybywających do misji powtarzała: „Lepiej nam będzie tutaj”.

Anglikańska misja była bezpiecznie ukryta za potężnymi murami chronionego Wewnętrznego Miasta – albo Miasta Tatarskiego, jak nazywali je cudzoziemcy – i znajdowała się tylko pięć minut spacerem od Bramy Tiananmen.

Przed sobą Emily miała kilkoro z nowo przybyłych, młodą rodzinę, która pojawiła się z ręcznym wózkiem wypełnionym ubogim dobytkiem. Ci jednak nie pochodzili spoza stolicy – wiedziała, że mieszkają zaledwie pół mili dalej, w dzielnicy tatarskiej. Dlaczego zatem szukali tutaj schronienia?

Nagle zauważyła, że patrzą w stronę bramy, i podążając za ich spojrzeniem, dostrzegła na ulicy młodą kobietę – właściwie jeszcze dziewczynę, przepasaną czerwoną szarfą, z czerwoną chustą na głowie – która wieszała na otwartej bramie jakiś afisz.

Pospieszyła ku niej, wołając: „Czego chcesz?” – lecz dziewczyna w ogóle nie zwróciła na nią uwagi. Emily podeszła bliżej i spojrzała na afisz. Treść odezwy, nabazgranej dużymi chińskimi znakami, była całkiem jednoznaczna:

PRECZ Z BARBARZYŃCAMI.
ŚMIERĆ ZDRAJCOM.

„Zdrajcom”, to znaczy konwertytom. Dziewczyna musiała należeć do jednej z kobiecych brygad, którymi posługiwali się teraz bokserzy. Nazywano je Czerwonymi Latarniami. Emily słyszała o nich, ale pierwszy raz widziała ich członkinię.

– Odejdź stąd! – krzyknęła, jednak dziewczyna w czerwieni tylko popatrzyła na nią z pogardą. Następnie, nie spiesząc się, przeszła na koniec muru odgradzającego misję i spokojnie przykleiła tam kolejny, identyczny afisz, po czym zniknęła za rogiem. Emily z wściekłością zerwała odezwę z bramy. Afisz na rogu okazał się trudniejszy do usunięcia, ale udało jej się podrzeć go paznokciami. Dziewczyna z Czerwonych Latarni zniknęła, przynajmniej na razie.

Po powrocie na dziedziniec Emily zamieniła kilka słów z nowo przybyłą rodziną, a następnie weszła do domu.

Poprzedniego wieczoru Henry przekazał jej krążącą po mieście pogłoskę, jakoby bokserzy zaatakowali misję w głębi kraju i zabili w niej wszystkich chińskich konwertytów. Czy to mogła być prawda? Czy bokserzy zamierzali uczynić to samo tutaj, w samym sercu stolicy? Chyba do tego nie dojdzie?

Emily pomyślała o swoim synu Tomie. Większość podobnych do nich rodzin posyłała swoje pociechy w wieku siedmiu czy ośmiu lat do angielskich szkół z internatem, jednak Tom był ich najmłodszym synkiem i chcieli zatrzymać go przy sobie jak najdłużej. Teraz miał prawie jedenaście lat i przygotowywał się do rozstania z rodzicami pod koniec roku. Czy nie powinien wyjechać już teraz? Czy słusznie robili, trzymając go tutaj, skoro groziło mu tak wielkie niebezpieczeństwo?

Rozważała ten problem przez dobry kwadrans, gdy z zamyślenia wyrwał ją hałas dobiegający od drzwi wejściowych.

– To ty, Tom?! – zawołała. – Henry?

Wstała i weszła do holu, gdzie ujrzała przed sobą wysoką, tylko lekko przygarbioną postać ojca, który szeroko się do niej uśmiechał.

Trader był w całkiem dobrym nastroju. Pochylił się, aby ucałować córkę.

– Wstąpiłem do brytyjskiej legacji, żeby zapytać o drogę – powiedział. – To niedaleko stąd, jak się okazuje.

– Istotnie – przyznała Emily. – Znakomicie wyglądasz, papo.

– Przy okazji dowiedziałem się, że dziś wieczorem jest tam organizowane przyjęcie z okazji urodzin królowej. Mam nadzieję, że pójdziemy?

– O ile nie jesteś zbyt zmęczony.

– A czym miałbym się zmęczyć? Przez ostatnie trzy miesiące tkwiłem bezczynnie na statku. Za nic nie przegapiłbym takiej okazji. Muszę nadrobić zaległości, poznać wszystkie nowiny i tak dalej.

– Skoro mowa o nowinach – podjęła temat Emily – widziałeś po drodze z wybrzeża coś niepokojącego?

– Przypuszczam, że masz na myśli tych bokserów. Nie widziałem żadnego z nich, za to w pobliżu Pekinu kręci się sporo wojska. Podobno ściągnięto ich z prowincji Gansu.

– Naprawdę? – Emily się uśmiechnęła. – To świetna wiadomość. Te oddziały są częścią regularnej armii cesarskiej i nie przepadają zbytnio za bokserami.

Trader chętnie wypytałby ją szczegółowo o bokserów, gdyby nie to, że w drzwiach stanął nagle szczupły, przystojny chłopiec o ciemnych, zmierzwionych włosach.

– A oto i Tom – powiedziała Emily. – Twój wnuk. – Uśmiechnęła się, widząc zaskoczoną minę ojca. – Wygląda zupełnie jak ty, papo.

– Rzeczywiście – przyznał Trader. – Czy ma równie zmienny charakter?

– Zdecydowanie nie!

– Wygląda więc na to, że szczęśliwie żadne z was go po mnie nie odziedziczyło. – Rozpromieniony Trader uścisnął dłoń chłopca. – Cieszę się, że w końcu cię poznałem.

Młody Tom omiótł go badawczym spojrzeniem.

– Czy grywasz w krykieta, dziadku? – spytał z nadzieją w głosie.

Przyjęcie w brytyjskiej legacji odbyło się zgodnie z tradycyjnym protokołem: najpierw oficjalna kolacja dla wybranych, potem przyjęcie z tańcami dla większego grona gości.

– Obawiam się, że Henry i ja nie zasługujemy na to, aby otrzymać zaproszenie na kolację – wyjaśniła ojcu Emily – ale na tańce oczywiście pójdziemy.

Jej ojciec przyjechał do nich dobrze przygotowany. Żaden dżentelmen epoki wiktoriańskiej nie podróżował bez odpowiedniego kompletu uroczystych strojów wieczorowych – te należące do Tradera zostały upchnięte

w wielkim, żebrowanym kufrze, który dwaj służący z trudem przydźwigali na teren misji. Wysoki, z czarną opaską na oku i dwornymi manierami, w doskonale skrojonym stroju wieczorowym, senior rodu prezentował się nad wyraz dystyngowanie. Można go było wręcz wziąć za byłego ambasadora, Emily z dumą przedstawiła go więc sir Claude'owi i lady MacDonaldom, gdy ci wyszli powitać drugą turę gości.

– Pan jest ojcem Emily? – Lady MacDonald nie zdołała całkiem ukryć swojego zaskoczenia. – Słyszałam, że przyjechał pan dopiero dzisiaj.

– W rzeczy samej – odparł Trader z czarującym uśmiechem, skłoniwszy się lekko.

– Przybywa pan z daleka? – spytał sir Claude.

– Z Galloway. To oczywiście daleko na południe od ziem MacDonaldów – wyjaśnił uprzejmie Trader, ziemie tego wielkiego klanu leżały bowiem w regionie Highlands i na wyspie Skye.

– Ciekaw jestem, czy zna pan tam ludzi nazwiskiem Lomond – rzucił sir Claude, chcąc najwyraźniej jakoś uplasować Tradera w znanej sobie hierarchii.

– To rodzina mojej żony – odrzekł gładko Trader. – Nasza posiadłość nazywa się Drumlomond.

– Jaka szkoda, że nie było tu pana na początku miesiąca – powiedział życzliwie MacDonald. – Założyliśmy tuż za miastem mały tor wyścigowy. Wszystko szło jak w zegarku, ale sezon zakończył się przed trzema tygodniami.

– Właśnie mi się wydawało, że w drodze do legacji widziałem kilka dobrze wyglądających kucyków – powiedział Trader.

– Cóż, bardzo się cieszymy z pańskiego przyjazdu – dodała ciepło lady MacDonald. – Mam nadzieję, że będziemy się teraz częściej widywali. – Nie minęło pięć minut, jak gospodyni przypadła do Emily. – Nie wiedzieliśmy, że pani matka pochodziła z Lomondów! Przypuszczam, że po prostu kojarzyliśmy panią z misją anglikańską.

– Której jestem częścią – odparła Emily. – Henry to nasz kuzyn.

– Ach tak. A czy pani rodzina uprawia ziemię w Drumlomond?

– Zachowaliśmy część posiadłości, lecz większość gospodarstw jest dzierżawiona. Nie jest tego wiele, raptem kilka tysięcy akrów.

– Och. Mój mąż i ja zastanawialiśmy się, czy podczas swojego pobytu tutaj ojciec pani zgodziłby się, abyśmy wydali przyjęcie na jego cześć. Jak

pani sądzi, spodobałby mu się ten pomysł? I czy pani wraz z mężem bylibyście skłonni mu towarzyszyć?

– Bardzo to uprzejme z pani strony, lady MacDonald. – Emily się uśmiechnęła. – Jestem pewna, że byłby zachwycony.

– Bardzo się cieszę – odparła gospodyni i dotknąwszy lekko ramienia Emily, oddaliła się pospiesznie.

Dzielnica legacji, położona nieco na wschód od głównej Bramy Tiananmen, znajdowała się tuż za murami Cesarskiego Miasta, a największy kompleks należał do Brytyjczyków. Wznosiła się tam piękna rezydencja ze stajniami oraz liczne budynki, w tym teatr, w którym tego wieczoru zorganizowano kolację. Mieszkańcy mogli także korzystać z rozległych trawników, miłego cienia rzucanego przez wysokie drzewa, a nawet kortu tenisowego.

Podczas gdy Emily rozmawiała z gospodynią przyjęcia, Trader i Henry stali pod drzewem i obserwowali gości.

– To głównie dyplomaci innych mocarstw kolonialnych – zauważył Henry, wskazując teściowi grupę gawędzących ze sobą dżentelmenów. – Francuzi, Niemcy, Austriacy, Rosjanie, Japończycy. – Skinął głową. – Można by pomyśleć, że przybyli tutaj, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o tym kraju. W istocie przez większość czasu obserwują siebie nawzajem, chcąc mieć pewność, że nikt nie czerpie z Chin większych korzyści od nich. Naturalnie to samo dzieje się w Afryce – każdy europejski kraj stara się zagarnąć jak najwięcej dla siebie.

– Pominąłeś Amerykanów.

– Oni są nieco inni. Widzi ojciec tego młodego człowieka z twarzą jak rzymski generał, o tam? To Herbert Hoover, Amerykanin. Nawiasem mówiąc, ożenił się właśnie z pewną miłą dziewczyną imieniem Lou.

– Słyszałem, że poszukuje tu minerałów.

– Znalazł złoża antracytu. Hoover zamierza robić interesy z Chińczykami, ale nic poza tym go nie interesuje. Nie jest kolonialistą, chociaż Amerykanie mają tu swoich misjonarzy.

– A z kim najlepiej porozmawiać, żeby dowiedzieć się, co tak naprawdę dzieje się teraz w Chinach? – zapytał go Trader.

– Z misjonarzami, bo żyjemy wśród zwykłych ludzi. Trzeba kogoś dobrze poznać, żeby go nawrócić. – Henry rozejrzał się dookoła, po czym uśmiechnął się do siebie. – Widzę tam kilku ludzi, którzy mogą ojca zainte-

resować: Morrisona z londyńskiego „Timesa” i człowieka nazwiskiem Backhouse, który dobrze mówi po chińsku. Ostrzegam jednak, że z Backhouse’a jest trochę dziwak. Lubi rozsiewać plotki. Chciałby ich ojciec poznać?

– Zdecydowanie.

Morrison wyglądał dokładnie na tego, kim był – na inteligentnego, obytego w świecie australijskiego Szkota pod czterdziestkę, zawodowego obserwatora, który nie owijał w bawełnę; z kolei dobiegający trzydziestki Backhouse robił nader ekscentryczne wrażenie. A może brakowało mu piątej klepki?

– Nosi pan nietypowe nazwisko – zauważył Trader. – Wymawia się je chyba „Bachus”? Słyszałem kiedyś o baronecie nazwiskiem Backhouse.

– To mój ojciec, sir.

Trader pomyślał, że to wiele tłumaczy: młody Backhouse nie był może jeszcze szalonym baronetem, ale z czasem niewątpliwie miał szansę się nim stać.

Dziennikarz z „Timesa” nie był chyba zachwycony tym, że przerwano mu rozmowę, aby przedstawić wiekowego Anglika, o którym nigdy nie słyszał. Mimo to uprzejmie przywitał się z Traderem.

– Pierwszy raz w Chinach, sir? – zagaił.

– Niezupełnie. – Trader uśmiechnął się doń życzliwie. – Byłem w Kantonie podczas pierwszej wojny opiumowej. Prawdę mówiąc, utknąłem tam na czas oblężenia.

– Doprawdy? – Wyraz twarzy Morrisona zmienił się diametralnie. – Zostanie pan tutaj dłużej? Bardzo chciałbym z panem porozmawiać, wysłuchać pańskiej historii.

– Kiedy tylko pan zechce.

– Sir Claude będzie przemawiał – wtrącił się Henry. Istotnie, wysoka sylwetka sir Claude’a MacDonalda zmierzała dostojnie na skraj trawnika.

– Wie pan, czemu MacDonald zawdzięcza swoją nominację? – szepnął Backhouse do Tradera. – Podobno dysponował niepodważalnymi dowodami na to, iż lord Salisbury, w życiu prywatnym, że tak powiem, był nikim innym jak Kubą Rozpruwaczem! Mówią, że skonfrontował się z nim i oznajmił, że ceną za jego milczenie jest posada ministra w Pekinie.

Myśl, że powszechnie szanowany premier Wielkiej Brytanii miałby być niesławnym seryjnym mordercą, z całą pewnością była niedorzeczna.

– Zawsze opowiada pan takie nieprawdopodobne historie? – zapytał go Trader.

Rozległo się głośne stukanie w kieliszek i wysłannik Wielkiej Brytanii do Chin zaczął przemawiać.

– Wasze ekscelencje, panie i panowie, z radością witamy was w tym szczęśliwym dniu urodzin naszej władczyni. Zanim jednak wzniosę toast, chciałbym powiedzieć kilka słów o obecnej sytuacji w Pekinie. Głęboko wstrząsnęła nami wieść o zbrodniach popełnionych niedawno na misjonarzach i nawróconych przez nich Chińczykach. Nasze myśli kierują się ku tym wszystkim, którzy ucierpieli. Muszę jednak podkreślić, że nic nie wskazuje na to, aby okrucieństwa bokserów miały się rozprzestrzenić poza kilka północnych prowincji. W południowych Chinach nikt o nich nie słyszał. Rząd chiński zapewnił nas za pośrednictwem jamenu Tsungli, że wyda edykt nakazujący całkowite stłumienie powstania bokserów. Odbyło się także spotkanie przywódców wszystkich legacji, podczas którego oznajmiliśmy Chińczykom, że jeśli natychmiast nie spełnią swojej obietnicy, wezwiemy na pomoc nasze wojska z wybrzeża. Nasze okręty wojenne czekają w gotowości, mam więc wszelkie powody, aby wierzyć, że ten godny pożałowania problem zostanie wkrótce rozwiązany.

Rozległy się oklaski, po czym wzniesiono toast za zdrowie Wiktorii, królowej Wielkiej Brytanii i cesarzowej Indii, z radosnej okazji jej osiemdziesiątych pierwszych urodzin, sześćdziesięciu trzech lat na tronie oraz w intencji wielu kolejnych – jeśli Bóg da, naturalnie. Niechaj nam długo panuje! Wszyscy Brytyjczycy wiwatowali i klaskali na rozległym, zalanym słońcem trawniku legacji.

– A jakie jest pańskie zdanie na ten temat? – zwrócił się John Trader do Morrisona.

– Bokserów może nie być tak łatwo powstrzymać. Nie ma nic dziwnego w tym, że grupy nacjonalistów występują przeciwko cudzoziemcom, którzy stale ich upokarzają. Obawiam się też… – Morrison zerknął na Henry’ego – że nasi misjonarze, mimo najlepszych chęci, mogli się do tego przyczynić.

– Co pan ma na myśli? – spytał Trader.

– Na przykład mówiąc Chińczykom, że nie powinni czcić swoich przodków. Z teologicznego punktu widzenia mają rację, ale nie jest to zbyt mądre. Cześć oddawana zmarłym to fundament konfucjańskiej idei moralnego życia rodzinnego.

Trader skinął głową.

– W szkockich górach – rzekł – nadal stawia się kamienne kopce dla zmarłych. To odwieczny pogański rytuał, lecz nikt nie widzi w tym nic złego. – Rzucił Henry'emu szelmowskie spojrzenie. – Może moje dzieci też mi taki usypią.

– Chętnie położę kamień na twoim kopczyku, ojcze – odpowiedział wesoło Henry. – Chrześcijańskie rodziny też opiekują się grobami przodków na każdym przykościelnym cmentarzyku. Tylko niech mnie ojciec nie prosi, abym go czcił po śmierci, ani niech sobie nie wyobraża, że ześle mi pomoc z zaświatów. – Zwrócił się do Morrisona: – Dla mnie osobiście kwestia kultu zmarłych nie stanowi problemu. Jeśli moi konwertyci mają odnieść korzyści duchowe z chrześcijaństwa, stopniowo muszę im uświadamiać, że wszystko pochodzi od Boga i to do niego należy się modlić za dusze przodków. Niemniej rzeczywiście zdaniem niektórych Chińczyków atakujemy ich tradycje.

Wróciła Emily, prowadząc ze sobą państwa Hooverów, których przedstawiła ojcu.

– Morrison opisywał właśnie, jak to my, misjonarze, uwłaczamy Chińczykom – wyjaśnił nowo przybyłym Henry. – Mów dalej, Morrison. Co jeszcze złego im zrobiliśmy?

– W ostatnich latach podejmowaliśmy próby zniechęcania Chińczyków do krępowania kobietom stóp.

– Ale to taki okropny zwyczaj! – wykrzyknęła Lou Hoover.

– I bardzo bolesny – odpowiedziała Emily. – Kobiety stale mi się na to skarżą.

– Nigdy nie zdołam pojąć, dlaczego ktokolwiek miałby robić coś takiego – wyznała Lou, po czym zwróciła się do Tradera. – A co pan o tym sądzi, panie Trader?

– Istotnie, to bardzo dziwne, że na całym świecie ludzie próbują deformować ciała, które dał im Bóg – odrzekł. – Słyszałem, że w niektórych regionach Afryki kobiety wyciągają sobie szyje za pomocą metalowych obręczy tak bardzo, że gdyby usunąć obręcze, nie zdołałyby utrzymać głowy w pionie. Z kolei starożytni Majowie w Ameryce Środkowej wydłużali czaszki swoich niemowląt, ściskając je między deskami. Ale chyba najgorszym obyczajem ze wszystkich jest ten, który sami kultywujemy, zresztą po obu stronach Atlantyku.

– To znaczy? – zaciekawił się Hoover.

– Ściskanie kobiet gorsetami z fiszbinów tak ciasno, że – jak zapewniają lekarze – szkodzi to ich zdrowiu w stopniu znacznie większym, niż gdybyśmy krępowali im stopy jak Chińczycy. – John Trader z potępieniem pokręcił głową. – Nie mam pojęcia, dlaczego ludzie wyczyniają podobne rzeczy.

– A co rząd chiński mówi o krępowaniu stóp? – chciał wiedzieć Hoover.

– Rządzący Mandżurowie nie krępują stóp swoich kobiet – odpowiedział Morrison – więc nie sądzę, aby ta kwestia zbytnio ich obchodziła. To zwyczaj chińskich Hanów, wiąże się z nim prestiż społeczny. Naturalnie nikt nie lubi, gdy osoby postronne mówią mu, jak ma żyć.

– Pominął pan jeden aspekt sprawy – wtrącił Backhouse. – Krępowane stopy odgrywają rolę fetyszu. Mężczyzn podniecają u kobiet drobne stópki, jak małe kopytka obute w jedwabne i satynowe pantofelki.

Zapadła niezręczna cisza.

– Obawiam się, że to prawda – przyznała Emily.

– Ale nie ma potrzeby o tym wspominać – burknął jej ojciec.

– Racja – przyklasnął mu stanowczo pan Hoover, rzucając Backhouse'owi wściekłe spojrzenie.

– Inną rzeczą, która przemawia na korzyść bokserów – podjął Morrison – jest mistyka. Przekonali samych siebie oraz wielu innych ludzi, że posiadają magiczne moce, a wiecie państwo, jak przesądni potrafią być Chińczycy. Od kilku lat funkcjonuje w tym kraju telegraf, mimo to wielu Chińczyków nadal uważa go za narzędzie czarnej magii.

– Henry ma w misji teleskop – wtrąciła z uśmiechem Emily. – Wiecie państwo, taki na statywie. Większość konwertytów nawet się do niego nie zbliża, myśląc, że to jakaś czarodziejska broń.

– W gaelickiej Szkocji funkcjonuje niemal tyle samo przesądów co tutaj – przypomniał swoim rozmówcom Trader. – A gdy weźmie się pod uwagę wszystkie okropności, które sprowadziliśmy do Chin, jak choćby tę żelazną kanonierkę z wojny opiumowej, jakiej nigdy tu wcześniej nie widziano… Śmiem twierdzić, że na miejscu przeciętnego Chińczyka, gdybym zobaczył barbarzyńcę z dziwną tubą na trójnogu, też byłbym bardzo nieufny.

– O dziwo, chińskie przesądy mogą nam być na rękę – podjął Morrison. – Rozmawiałem z sir Robertem Hartem, który od czterdziestu lat bada chińskie obyczaje i wie o nich więcej niż ktokolwiek inny. Powiedział mi, że według chińskiej mądrości ludowej we wrześniu tego roku przypada dzień, w którym spodziewane są różne kataklizmy. Według niego, jeśli bokserzy

zamierzają nas czymś zaskoczyć, wybiorą właśnie ten dzień, co daje nam prawie cztery miesiące na przygotowania.

– Czuje się pan spokojniejszy, sir? – zwrócił się Trader do Hoovera.

– Nie bardzo. Wycofałem swoich ludzi z Chin. Nie mogę ich narażać. Antracyt będzie musiał poczekać. Lou i ja jutro ruszamy na wybrzeże.

– Według MacDonalda jamen Tsungli gwarantuje nam bezpieczeństwo – rzekł Trader. – Ale nie o to chciałem zapytać. Kto podejmuje teraz ostateczne decyzje w Chinach?

– Wiekowa dama, cesarzowa wdowa – odpowiedział mu Morrison.

– Cixi – potwierdził Backhouse. – Stary Budda.

– A jakie jest jej stanowisko w sprawie bokserów?

– Może im sprzyjać albo się ich bać. Trudno powiedzieć – odparł Morrison.

– Wcale nie! – zawołał Backhouse. – Cixi nienawidzi Zachodu od czasów wojen opiumowych. Zawsze chciała nas stąd przegonić, ale nigdy nie była w stanie tego dokonać z obawy przed odwetem zachodnich mocarstw. Jeśli jednak bokserzy powstaną i wykonają za nią brudną robotę, będzie zachwycona.

– Skąd pan to wie? – dopytywał się Hoover.

– Sama mi to powiedziała – odrzekł Backhouse z triumfalnym uśmiechem. – Tak się składa, że zaliczam się do grona jej bliskich przyjaciół.

– Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo – odparł Amerykanin.

– Niesłusznie, sir. Po pierwsze, biegle mówię po chińsku. Po drugie, zawarłem znajomość z Lakowanym Paznokciem, jednym z pałacowych eunuchów, który jest blisko cesarzowej wdowy. Po trzecie, nie jestem ani misjonarzem, ani przedstawicielem brytyjskiego rządu. Po czwarte, mój przyjaciel eunuch wie, że cesarzowa jest ciekawa cudzoziemców, i uznał, że mogę dostarczyć jej rozrywki. W rezultacie rozmawiałem z nią przy wielu różnych okazjach.

– Zawsze sądziłem, że tylko eunuchowie mają wstęp do pałacu – wtrącił Trader.

– Zasadniczo ma pan rację, lecz cudzoziemcy, książęta i ministrowie, zawsze byli tam podejmowani na specjalnych audiencjach. Jednak Cixi od lat robi, co jej się żywnie podoba. Zwłaszcza gdy przebywa w Pałacu Letnim, w którym lubi rezydować.

– Przecież zniszczyliśmy im Pałac Letni – powiedział Trader.

– Cixi zawsze chciała go odbudować, ale nigdy nie było na to funduszy. W końcu przywrócono do użytku jeden z mniejszych parków, a na jeziorze skonstruowano ogromną łódź wycieczkową. To znaczy wygląda jak łódź, bo w rzeczywistości jest zrobiona z kamienia. Cixi uwielbia wydawać huczne przyjęcia na tej kamiennej łodzi – bardzo huczne.

– Zawsze wyobrażałem sobie Smoczą Cesarzową jako raczej surową osobę – zauważył Trader.

– Prywatnie jest zupełnie inna. W istocie jej najbardziej zaufani eunuchowie mają prawo świadczyć jej intymne usługi, które mogłyby pana zadziwić. Tak samo rzecz ma się ze mną.

– Oburzające – stwierdził zdegustowany Hoover. – Lou, wychodzimy. – I wyszli. Dzięki Bogu chwilę później nadeszła lady MacDonald. – Zaraz zaczną się tańce. Zaproponowałam sir Robertowi Hartowi, aby poprosił mnie do pierwszego tańca, on jednak twierdzi, że jest na to za stary. Przychodzę więc prosić o to pana, panie Trader.

– Ależ, lady MacDonald, jestem znacznie starszy od niego – odrzekł Trader.

– Nie sądzi pan, że powinniśmy mu pokazać, gdzie raki zimują? – nie ustępowała.

Trader się uśmiechnął.

– Święte słowa – przyznał.

Następnie, ku ogólnej radości, najstarszy z gości poprowadził gospodynię na parkiet, a konkretnie na kort tenisowy, gdzie dali z siebie wszystko i zostali nagrodzeni oklaskami. Zatańczyli nawet po raz drugi, wprawiając Emily w wielką dumę. I choć Henry poprosił ją do tańca, wolała zaczekać do następnego kawałka, aby móc obserwować ojca, bo – jak dodała – właśnie tak chciałaby go zapamiętać.

Tymczasem Trader i jego partnerka miło ze sobą gawędzili.

– Naprawdę powinien pan zostać u córki tak długo, jak to będzie możliwe – mówiła lady MacDonald. – Przepadamy za nią. Latem mamy w zwyczaju organizować tutaj turniej tenisowy dla tych, którzy zostają w Pekinie – ciągnęła beztrosko.

– Mam nadzieję, iż nie oczekuje pani ode mnie, że będę grał w tenisa.

– Może pan wręczać nagrody.

– Trzeba będzie trochę wywalcować kort po dzisiejszych tańcach – zauważył Trader.

– Naturalnie. Choć biorąc pod uwagę nasz poziom gry, może to nie mieć większego znaczenia.

– Kiedy byłem w Indiach – rzekł – w sezonie upałów wyjeżdżaliśmy do górskich kurortów.

– Tutaj jest tak samo. Ludzie też wyjeżdżają w góry. Nie jest tam tak ładnie jak w Indiach, ale całkiem malowniczo. Niektóre z górskich domów były kiedyś świątyniami i są doprawdy osobliwe. Jeśli zostanie pan dłużej, obiecuję pokazać panu kilka z nich.

– Myśli pani, że wszystko dobrze się skończy? Mam na myśli bokserów i nie tylko.

– Francuski minister właśnie wyznał mi, że czeka nas masakra – odparła lekko. – Ale przecież nie możemy pozwolić, żeby Francuzi nas straszyli, prawda?

Nazajutrz rano Emily naliczyła kolejnych trzydziestu konwertytów szukających schronienia w misji. Wszystkie łóżka w dormitoriach były już zajęte, zaczęła więc szykować koce, które można by rozłożyć na podłodze. W południe odwiedziła ją pani Reid, żona jednego z brytyjskich lekarzy, i oznajmiła, że z kilku brytyjskich domów zbiegli służący. Ostrzeżono ich, aby uciekali z Pekinu. Henry wybrał się do legacji i wrócił z niepokojącymi nowinami.

– Doszło do potyczki między oddziałem bokserów a wojskami cesarza. Bokserzy wygrali i nic nie wskazuje na to, aby Cixi miała nad nimi jakąkolwiek kontrolę.

Wtedy nic więcej nie dodał, lecz już kolejnego wieczoru, kiedy zostali sami, ponownie podjął temat.

– Wiesz – zwrócił się do żony – niezależnie od tego, czy Cixi kontroluje bokserów, nie da się zaprzeczyć, że lada dzień mogą nas uwięzić w Pekinie. – Umilkł na chwilę i spojrzał na nią ponuro. – Tom nie powinien dłużej pozostawać w domu. Ani twój ojciec, skoro już o tym mowa. Lepiej niech pojadą na wybrzeże, dopóki jeszcze mogą, a stamtąd twój ojciec powinien zabrać Toma do Anglii.

– Skoro tak uważasz. – Westchnęła. – Będzie mi ich obu bardzo brakowało. Ale i tak spędziłam z Tomem więcej czasu niż większość matek. Ma już prawie jedenaście lat. – Uśmiechnęła się czule do męża. – A zatem znowu będziemy tylko we dwoje.

Henry milczał przez chwilę.

– Myślę, że ty także powinnaś wyjechać.

– Ja? – Emily wyglądała na wstrząśniętą tym pomysłem. – Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. – Przyjrzała mu się. Henry pokręcił głową. – Kiedy mieliśmy się pobrać, ostrzegłeś mnie przed grożącymi mi niebezpieczeństwami. Ślubowałam, że wytrwam przy tobie na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie, dopóki śmierć nas nie rozłączy. Nie opuszczę cię teraz.

– Może więc powinienem ci to nakazać. Kiedy się pobieraliśmy, ślubowałaś także, że będziesz mnie kochać, szanować i będziesz mi posłuszna. – Patrzył na nią z wielkim uczuciem, wiedziała jednak, że nie żartuje.

– Tak czy inaczej, Henry – nie poddawała się Emily – jeśli naprawdę uważasz, że sprawy mogą przybrać zły obrót, istnieje jeszcze inne rozwiązanie: ty też powinieneś wyjechać. Mało kto służy w misji tak długo jak ty.

– Nie mogę opuścić tych, których sam nawróciłem. – Pokręcił głową. – Jestem za nich odpowiedzialny. Nie mogę ich teraz porzucić. Gdyby, nie daj Boże, doszło do najgorszego, nasze dzieci nie powinny stracić obojga rodziców.

– Jestem tak samo odpowiedzialna za naszych konwertytów jak ty, Henry – odparła. – Wiesz, że to prawda. Co do dzieci, obie nasze córki są już zamężne, a moi bracia na pewno zajęliby się chłopcami. Zamieszkaliby z nimi w Drumlomond. Zresztą kiedy Tom pójdzie do szkoły, minie wiele lat, zanim znów nas zobaczy – taki już jest los setek dzieci, których rodzice służą na całym obszarze imperium brytyjskiego. Spędzają wakacje u krewnych w Anglii, a rodziców ujrzą ponownie zapewne dopiero po skończeniu szkoły, może nawet jeszcze później.

– Zaczekajmy dzień albo dwa – postanowił Henry. – Wtedy zobaczymy.

Cały następny ranek spędził w legacji. Wrócił chwilę po południu.

– Wieść niesie, że bokserzy przysięgli wierność Cixi – poinformował żonę. – Podobno szkolili się w Cesarskim Mieście w jakimś rodzaju sztuk walki. Nie wiem, co to dla nas oznacza – wyznał. – Nikt w legacji tego nie wie. Jak się miewa twój ojciec?

– Och – odparła Emily. – Ojciec jest absolutnie wyjątkowy. Zapewnia Tomowi rozrywkę.

– Jaką?

– Grają razem w krykieta.

Trader całkiem dobrze się bawił. Jego wnuk okazał się nieskomplikowanym chłopcem; zależało mu wyłącznie na tym, żeby się nie skompromitować po przyjeździe do Anglii.

– Inni chłopcy będą w szkole o trzy albo cztery lata dłużej ode mnie – wyjaśnił dziadkowi. – Nie wiem, dlaczego rodzice tak długo mnie tutaj trzymali. Chciałbym mieć pewność, że jestem dobry w czymś, co ma znaczenie, na przykład w krykiecie, żeby nie wyjść na nieudacznika. Mam nadzieję, że na początek wystarczy mi jedna taka umiejętność. Co o tym myślisz, dziadku?

– W szkole wystarczy umieć dobrze jedną rzecz. W życiu zresztą też, jeśli mam być szczery.

– Mam kij do krykieta i piłkę. Mógłbyś mi ją porzucać.

– Chcesz poćwiczyć na sucho, tak? Zgoda. – Trader wolał nie myśleć, ile czasu minęło, odkąd ostatni raz trzymał w ręku piłkę do krykieta. Zajęli pozycje w jednym końcu dziedzińca misji i rozpoczęli grę.

Trader nie próbował rzutów znad głowy, wiedząc, że krótkie podania będą dokładniejsze. Potrafił jednak na różne sposoby podkręcić piłkę.

– Trzymaj kij prosto! – zawołał. – Zrób krok naprzód i próbuj odbijać… – Sam nie był w szkolnej reprezentacji, ale posiadł wszechstronne umiejętności i potrafił wystarczająco dużo, żeby dobrze wytrenować młodego Toma. Kiedy znużył go krykiet, przez kolejne pół godziny z radością przerzucał się z wnukiem piłką na oczach zaciekawionych konwertytów, dopóki nie uratowała go Emily.

– Jesteś bardzo dobrym dziadkiem – powiedziała.

– Naprawdę sprawiło mi to przyjemność.

– Czy jutro znowu możemy zagrać? – zapytał Tom.

– Oczywiście – odparł Trader.

– Mogę cię o coś zapytać, dziadku?

– Chyba tak.

– Czy w szkole wszyscy będą nosić białe stroje do gry w krykieta? Ojciec twierdzi, że mogę śmiało grać w szarym stroju, który mam.

– Cóż, twój ojciec naturalnie ma rację. – A także pensję misjonarza, dodał w myślach Trader. – Wszystko na pewno się wyjaśni, kiedy nadejdzie odpowiednia pora – dodał gładko. – Minie rok, zanim rozpocznie się kolejny sezon krykieta. Do tego czasu zdążysz jeszcze urosnąć.

– Dziękuję, ojcze – powiedziała Emily po odejściu Toma. Trader się uśmiechnął. Chłopiec będzie miał biały strój do krykieta, jak wszyscy jego

koledzy – już on tego dopilnuje.

Weszli do domu, gdzie Emily podała mu lemoniadę, przyniosła też szklankę dla siebie.

– Ojcze – powiedziała – Henry i ja martwimy się o Toma.

– Wydaje mi się, że nic mu nie dolega.

– Chodzi o bokserów. Nie wiemy, co się wydarzy, uważamy jednak, że powinien natychmiast wyjechać do Anglii. Na wszelki wypadek.

– No tak. A co z tobą i Henrym? Czy również nie powinniście stąd wyjechać?

– Henry nie opuści konwertytów. A ja nie opuszczę Henry'ego.

– Rozumiem. Ale nie zgadzam się, jeśli chodzi o ciebie. Musisz myśleć o swoich dzieciach.

– Proszę, papo, nie zaczynaj. Henry już… – Urwała. – Bardzo chciałabym spędzić z tobą więcej czasu. Te ostatnie dni były wspaniałe. Proszę cię jednak, abyś zabrał Toma do domu.

– Kiedy?

– Jutro. Najdalej pojutrze.

– Wiesz – odrzekł – przepłynąłem kawał świata, żeby was zobaczyć i spędzić z wami trochę czasu, zanim będzie za późno. Przyznaję, byłem też trochę zaniepokojony wieściami o bokserach i chciałem przekonać się na miejscu, jak stoją sprawy. Jeżeli będzie naprawdę źle, postaram się, abyście wszyscy wrócili ze mną do Anglii. Niewykluczone, że to ostatnia ważna rzecz, jaką mógłbym zrobić dla naszej rodziny.

– Więc po to wyprawiłeś się w tak daleką podróż?

– Bądź co bądź nie była to dla mnie wyprawa w nieznane.

– No cóż, Henry usiłuje zmusić mnie do wyjazdu, ale to mu się nie uda. Tobie też nie. Obawiam się, że będziesz musiał wyjechać stąd w towarzystwie Toma. Perspektywa wspólnej podróży ogromnie go ucieszy – traktuje cię jak bohatera.

– Doskonale wiesz, że w drodze na nic mu się nie przydam. Po prostu wsadź go na statek, a już kapitan będzie miał na niego oko. Daj mu instrukcje, dokąd ma później wysłać Toma. Może pojechać do Drumlomond; z łatwością dotrze tam pociągiem.

– Mam go potraktować jak paczkę do doręczenia?

– Mnóstwo dzieci tak właśnie podróżuje po całym imperium brytyjskim.

– Skoro Tom ma sam popłynąć do Anglii, to dokąd ty się wybierzesz?

– Jeśli zgodzisz się stąd wyjechać, będę towarzyszyć wam obojgu, ale jeśli zostaniesz, wolałbym zostać razem z tobą. Naturalnie, jeśli nie masz nic przeciwko temu. – Uśmiechnął się. – To z tobą przede wszystkim chciałem się zobaczyć.

– Naraziłbyś się na niebezpieczeństwo.

– Gdy ma się prawie dziewięćdziesiąt lat, nie żal nadstawiać karku.

– Byłbyś gotów stanąć do walki z szablą w dłoni?

– Wiesz, że kiedyś byłem całkiem niezłym szermierzem.

– Och, ojcze. – Emily wstała i pocałowała go. – Czy możesz przynajmniej odstawić Toma na statek?

Trader przytaknął.

– Oczywiście.

Nazajutrz pierzaste chmury na wschodzie od rana były podświetlone na czerwono. Emily zastanawiała się, czy to zwiastuje burzę, lecz gdy po śniadaniu Tom i jego dziadek wyszli na dziedziniec z kijem oraz piłką do krykieta, niebo wciąż było pogodne.

Nie powiedziała jeszcze synowi, że ma wyjechać z Chin. Korzystając z tego, że był poza domem, zajęła się pakowaniem jego kufra i przed południem domknęła wieko. A zatem to już koniec, pomyślała. Dzieciństwo Toma właśnie się skończyło, przynajmniej dla niej. Odtąd będzie dla niej zamknięte jak ten zabezpieczony kłódką kufer. Syn pomacha jej na pożegnanie i całkiem możliwe, że już nigdy więcej się nie zobaczą. Zanim chłopiec dotrze do Anglii, Emily może już przecież nie żyć.

Przysiadła na kufrze. Z dziedzińca dochodziły echa rozgrywki. Nagle zapragnęła ponownie otworzyć kufer i włożyć do środka coś osobistego, żeby Tom już zawsze mógł ją pamiętać. Tylko co? Kiedyś ludzie zamawiali u malarzy własne miniaturowe podobizny, które ich bliscy mogli mieć zawsze przy sobie; teraz robiło się głównie fotografie. To akurat łatwo byłoby załatwić, lecz pech chciał, że ona przez wszystkie te lata nigdy nie dała się sfotografować.

Jakoś zawsze wydawało jej się, że ma zbyt wiele pracy w misji, żeby myśleć o takich głupstwach, a teraz nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby podarować swojemu synkowi. Zrobiła w myślach szybki remanent: a może mały modlitewnik? Tom miał już taki. Musi być coś, co mogłaby mu dać na pamiątkę, jednak w głowie czuła pustkę. Ogarnęła ją

bezradność i poczucie, że zawiodła jako matka. Wybuchnęła płaczem. Zrozpaczona nadal siedziała na kufrze, gdy usłyszała, że drzwi wejściowe się otwierają.

Chwilę później do środka wpadł Henry.

– Bokserzy zaczęli zrywać tory kolejowe! Podpalili jedną ze stacji. Wszyscy wzywają na pomoc oddziały z garnizonów na wybrzeżu. Francuzi i Rosjanie już to zrobili, podobnie jak Amerykanie.

– Czy pociąg do Pekinu nadal kursuje i wojsko zdoła do nas dotrzeć?

– To się okaże. Tak czy inaczej, twój ojciec i Tom nie mogą dziś nigdzie jechać.

– Och. – Wbrew zdrowemu rozsądkowi i trosce o bezpieczeństwo Toma Emily poczuła radość. Może w tym czasie znajdzie jakąś pamiątkę, którą będzie mogła mu podarować!

Cały następny dzień upłynął im na oczekiwaniu. Ulicami miasta maszerowali bokserzy. Czy dwór ich kontrolował, czy też należało się spodziewać, że niespodziewanie zaatakują i spalą misję? Tej nocy Emily i Henry nasłuchiwali pieśni wojennych śpiewanych przez bokserów przy ogniskach.

Posłaniec przybył do misji tuż po świcie. Przyniósł wiadomość od MacDonalda: mieli się dyskretnie ewakuować i przedostać na teren legacji. Mogli zabrać ze sobą konwertytów, pod warunkiem że jeszcze tego samego dnia opuszczą misję. Brytyjski minister nalegał na pośpiech, dodając, że nie może zagwarantować im bezpieczeństwa.

Henry wezwał do siebie całą rodzinę.

– Wszyscy nawróceni to Chińczycy. Powiedzcie im, żeby zdjęli z szyi krzyżyki oraz wszelkie symbole świadczące o tym, że są chrześcijanami. Następnie mają wymykać się stąd po kilku, rozpraszać w tłumie i różnymi drogami przedostawać do Dzielnicy Legacji. Powiedzcie im, żeby się nie spieszyli: to niecałą milę stąd. Musimy najpierw ich ewakuować.

Ulicę wypełniali ludzie. Na szczęście w pobliżu misji nie było nigdzie widać bokserów w charakterystycznych czerwonych turbanach i szarfach; najwyraźniej byli zajęci organizowaniem parad gdzie indziej. Dzięki temu konwertytom łatwo było przemknąć się niepostrzeżenie małymi grupkami i do południa misja opustoszała.

– A co zrobimy z tobą? – zwrócił się Henry do Emily. – Nie wydaje mi się, abyś mogła ujść za chińską mieszczkę z ludu Han, bo masz niekrępo-

wane stopy.

– Pamiętasz, jak żona doktora Smitha i ja wybrałyśmy się na bal przebierańców do legacji w strojach Mandżurek? – odparła Emily. – Wciąż mam gdzieś tamte kostiumy. Tak się składa, że to były prawdziwe mandżurskie suknie.

– Doskonale. Ty i Tom możecie je włożyć. Bokserzy twierdzą, że wspierają reżim, więc nie powinni was zaczepiać.

Tom zaczął protestować przeciwko kobiecemu przebraniu, lecz dziadek polecił mu stanowczo, aby zrobił, o co go poproszono.

– Lepiej, żebyś się postarał – dodał. – Nie chcesz chyba niepotrzebnie narażać życia matki.

Podczas gdy Emily i Tom przebierali się w domu, Henry i trzej najbardziej zaufani słudzy pracujący w misji zaczęli ładować na zaprzężony w osła wóz ubrania, koce i prowiant – wszystko, co ich zdaniem mogło się przydać w legacji.

– Jest ojciec zdecydowanie za wysoki, żeby udawać Chińczyka – zwrócił się Henry do teścia. – Chyba najlepiej będzie, jeśli położy się ojciec na wozie, a my nakryjemy go kocami. – Traderowi nie bardzo spodobał się ten pomysł, ale nic nie powiedział.

Ostatnimi przedmiotami, które załadowali na wóz, był teleskop i statyw Henry’ego.

– Przypuszczam, że może się przydać, gdyby nas zaatakowano – powiedział Henry. – Chociaż prawda jest taka, że po prostu nie chcę się z nim rozstawać. – Gdy zarówno teleskop, jak i statyw znalazły się na wozie, zabrakło na nim miejsca dla jego teścia. – Już wiem! – wykrzyknął nagle Trader. – Postaw statyw w wózku i zamontuj na nim teleskop. Właśnie tak. Emily – zawołał – potrzebuję białego prześcieradła, igły z nitką i kilku minut twojego czasu!

Gdy dziesięć minut później jego wysoka postać ponownie ukazała się na dziedzińcu, Trader miał na sobie udrapowaną długą białą szatę, sięgającą mu aż do stóp. Kiedy stanął na wozie obok statywu, chwycił w dłonie teleskop i zaczął nim obracać to w jedną, to w drugą stronę, wyglądał zupełnie jak wyobrażenie śmierci albo czarodziej podczas święta duchów; wysoki, szczupły, z czarną przepaską na oku sprawiał doprawdy przerażające wrażenie.

– To ich powinno odstraszyć – rzekł z satysfakcją.

– Ja już się boję – odparł Henry.

Uzgodniono, że najpierw na ulicę wyjedzie wóz prowadzony przez służącego i strzeżony przez Tradera oraz jego czarodziejską lunetę, a następnie skieruje się na wschód i minie Bramę Tiananmen. Podczas gdy oczy wszystkich będą zwrócone na wóz, dwie przebrane Mandżurki wymkną się z misji wraz z dwiema służącymi i przejdą przez miasto na ulicę Legacji.

– A co ty sam zamierzasz zrobić, Henry? – zapytała Emily.

– Zaczekam do zmroku, żeby pochować co się da i zająć się ewentualnymi konwertytami, którzy szukaliby w misji schronienia. Potem, o zmierzchu, kiedy zrobi się spokojniej, zamknę misję, przejdę przez miasto i dołączę do was.

Emily zrobiła, jak zarządził jej mąż. Niedługo po tym, jak wyszli z Tomem na ulicę, zobaczyła, że jakiś prostak usiłuje wdrapać się na wóz; wystarczyło jednak, że jej ojciec gwałtownie obrócił lunetę, kierując ją prosto w twarz intruza, aby ten w popłochu zeskoczył z wozu i uciekł.

Niedługo potem, gdy mijali ogromną Bramę Tiananmen, znów dostrzegła wóz z ojcem, tym razem w oddali, gdy na podobieństwo małego żaglowca przedzierał się przez morze ludzi. Na widok oddziału bokserów w czerwonych turbanach zaledwie sto jardów od niego z przestrachem wciągnęła powietrze, trzymali się jednak z daleka, najwyraźniej niepewni, czy w obliczu magicznej broni wysokiego, białego, jednookiego czarodzieja mogą polegać na mocy swoich duchów opiekuńczych.

Przez całe lato tylko jedno trapiło Johna Tradera, a mianowicie pytanie, jak by tu się na coś przydać. Kim byłby, gdyby nie mógł okazać wsparcia współtowarzyszom? Zawadzającym wszystkim starcem, kolejną gębą do wykarmienia przy stale kurczących się zapasach żywności albo wręcz zagrożeniem dla innych. Musiał wnieść coś od siebie, tylko co?

Zaledwie kilka godzin po jego przybyciu do legacji dotarły tam również pierwsze oddziały z wybrzeża. Żołnierze przyjechali pociągiem i wszyscy wielce się uradowali na ich widok. Okazało się jednak, że bokserzy sprawiają różnego rodzaju kłopoty wzdłuż linii kolejowej, mogło więc minąć trochę czasu, zanim główny korpus upora się z nimi i wyruszy z odsieczą na północ, do stolicy.

Trader z zainteresowaniem przyglądał się awangardzie: naliczył pomiędzy trzystu a czterystu żołnierzy – Brytyjczyków, Amerykanów, Francuzów, Niemców, Rosjan i Japończyków. Z nich wszystkich Amerykanie wyglądali

na najbardziej doświadczonych, zwłaszcza w porównaniu z brytyjskimi chłopcami, w większości młodymi i nieopierzonymi. Swoim przybyciem dowiedli przynajmniej tyle, że cudzoziemskie mocarstwa poważnie traktują ostatnie wydarzenia. Trader liczył poza tym, że zachodnia broń okaże się lepsza od chińskiej.

Kiedy wieczorem, ku wielkiej uldze Emily, dołączył do nich Henry, Trader wypytał go o chińskie uzbrojenie.

– Odpowiedź nie jest prosta – rzekł Henry. – Bokserzy nie polegają wyłącznie na swoich mieczach i magii duchów opiekuńczych, niektórzy z nich noszą pistolety. Oddziały cesarskie często mają na wyposażeniu nowoczesne karabiny, a także działka polowe Kruppa, lecz nadal widuje się żołnierzy uzbrojonych w łuki i strzały. A dlaczego ojciec pyta?

– Po prostu byłem ciekawy.

Dzielnica Legacji była rozległa, zajmowała prawie pół mili kwadratowej. Z północy na południe jej środkiem biegł kanał zwany dumnie Cesarskim Kanałem Jadeitowym – choć w porze suchej był to po prostu głęboki rów, który znikał pod murami miasta za bramą wodną.

Ulica Legacji, jedna z głównych arterii komunikacyjnych, przecinała dolną część enklawy z zachodu na wschód, w odległości zaledwie kilkuset stóp na północ od południowego muru. Pomiędzy nią a murami miejskimi znajdowały się zabudowania legacji holenderskiej, amerykańskiej oraz niemieckiej, a także Bank Hongkongu i biura spółki Jardine Matheson. Północną pierzeję ulicy stanowiły siedziby Rosjan, Japończyków, Francuzów oraz Włochów.

Niemal całą północną część Dzielnicy Legacji zajmowały dwa rozległe kompleksy: na wschód od kanału za murem wznosił się pałac otoczony hektarami terenów zielonych, należący do życzliwego cudzoziemcom chińskiego księcia. Enklawa ta znana była pod nazwą Fu.

– Poprosiliśmy księcia, aby pozwolił nam umieścić konwertytów w Fu – powiedział Henry. – W razie kłopotów tamtejsze oddziały wojska powinny ich obronić.

– Będą tam mieli więcej przestrzeni, niż im potrzeba. – Trader się uśmiechnął.

– Niech ojciec nie zapomina, że nie tylko my sprowadziliśmy tutaj swoich konwertytów. Są jeszcze inne misje protestanckie, zwłaszcza metodyści,

oraz liczna grupa nawróconych, którzy schronili się w katolickiej katedrze. Jeśli sprawy przybiorą zły obrót, wykorzystamy cały dostępny nam teren.

Na drugim brzegu kanału mieściło się duże brytyjskie osiedle, które wraz z pięknym, przestronnym ogrodem zajmowało cały północno-zachodni narożnik Dzielnicy Legacji. Za jego zachodnim murem rozpościerał się plac, na którym często odbywał się mongolski targ. Na północ od kompleksu wznosiła się stara chińska biblioteka, a nad jej dachem w odległości kilkuset jardów widać było purpurowe mury Zakazanego Miasta.

Przez blisko tydzień w legacjach panował względny spokój. Co prawda stale krążyły pogłoski o nowych atakach bokserów: a to zerwali większą część torów kolejowych; a to spalili trybunę na małym torze wyścigowym, co bardzo wszystkich poirytowało. Mówiło się, że cesarzowa Cixi przybyła z Pałacu Letniego do Zakazanego Miasta wraz z dużym oddziałem wojsk z prowincji Gansu. Czy to zwiastowało coś dobrego? Kiedy kilku europejskich posłów złożyło wizytę w jamenie Tsungli, wszyscy doznali nie lada szoku.

– Zwykle traktują nas tam całkiem uprzejmie – relacjonowali. – Ale tym razem nie chcieli nawet z nami rozmawiać.

– Zachowajcie spokój – doradzał im MacDonald. – I czekajcie na posiłki.

Trader starał się zapewniać Tomowi rozrywki, za co rodzice chłopca byli mu bardzo wdzięczni. Wnuk tak zapalił się do gry w krykieta, że ani na moment nie rozstawał się z piłką, którą nosił w kieszeni. Emily chciała interweniować, lecz Trader stanowczo jej to odradził.

– Myślę, że traktuje ją jak talizman – stwierdził. – Coś w rodzaju gwarancji, że wszystko dobrze się skończy, a on bezpiecznie trafi do szkoły i będzie tam grał w krykieta z innymi chłopcami.

– Och – westchnęła jego córka. – Czy nie powinien się o to modlić, zamiast zdawać się na jakiś talizman?

– Oczywiście, że powinien się modlić. Ale pozwól mu zatrzymać tę piłkę. Przecież nic złego nie robi.

Dla pewnego urozmaicenia, a także aby zapewnić sobie nieco wypoczynku, Trader rozpiął w zacisznym zakątku ogrodu spory kawałek siatki z naszytym na niej szpagatem kawałkiem mocnego płótna. Namalowano na nim białą farbą bramkę do krykieta naturalnych rozmiarów, złożoną

z trzech słupków i umieszczonych luźno na ich szczycie poprzeczek. Nad bramką zawiesił pomalowaną również na biało parę starych skórzanych rękawic, podarowanych mu przez MacDonalda i luźno związanych szpagatem.

– Widzisz, to są rękawice zawodnika czekającego za bramką na przyjęcie piłki – wyjaśnił Tomowi. – Kiedy grasz w polu, twoim celem jest zawsze umieszczenie piłki w jego rękach, albo bezpośrednio, albo po pojedynczym odbiciu. Rękawice poruszą się, ilekroć w nie wcelujesz.

Pomysł okazał się niezwykle trafny. Tom miał naturalny talent do wykonywania rzutów, a dziadek dodatkowo pokazał mu technikę, dzięki której nie musiał nadwerężać łokcia; wkrótce, przy rzutach oddawanych z odległości pięciu do ponad pięćdziesięciu jardów, chłopak trafiał w rękawice w ponad dziewięćdziesięciu procentach przypadków i z każdym dniem stawał się coraz lepszy. Sam MacDonald przyszedł, żeby popatrzeć, jak gra, i zauważył, że w tym tempie będą niedługo potrzebowali jeszcze jednej pary rękawic.

– Czy mógłby pan nam jakichś użyczyć? – zapytał Trader.

– Moja żona chyba się bez nich obędzie – odparł MacDonald z uśmiechem.

Trader zorganizował również na korcie tenisowym zawody w krykieta dla chłopców i dziewcząt; z konieczności posłużyli się piłką tenisową, lecz młodemu Tomowi zdawało się to w ogóle nie przeszkadzać.

Wieczorami, po jedzeniu, Trader zwykle wypijał drinka i wypalał cygaro w towarzystwie Henry’ego. Opowiadał wtedy zięciowi o wojnie opiumowej i o Indiach, które pamiętał sprzed lat, żeby choć trochę oderwać jego myśli od kłopotów i pomóc mu się odprężyć.

I choć w głębi ducha sądził, że przywódcom legacji okropnie wolno idzie przygotowywanie dzielnicy do obrony, zachował te przemyślenia dla siebie.

Dziesiątego czerwca, gdy Trader i Tom trenowali rzuty na siatce, MacDonald wyjrzał z rezydencji i zawołał do starszego pana:

– Dobre nowiny! Otrzymałem właśnie depeszę od admirała Seymoura, brytyjskiego dowódcy naszych wojsk na wybrzeżu. Wkrótce wyruszy nam z odsieczą liczny oddział żołnierzy.

Ponownie zjawił się, gdy kończyli trening, lecz tym razem czoło miał zmarszczone.

– Wszystko w porządku? – zapytał go cicho Trader.

– Niezupełnie. Linia telegraficzna została uszkodzona. Obawiam się, że na jakiś czas utraciliśmy wszelki kontakt z wybrzeżem.

Dwa dni później John Trader wpadł na świetny pomysł. Najbliższy Tomowi wiekiem był piętnastoletni syn jednego z amerykańskich misjonarzy, bystry, hałaśliwy chłopak imieniem Fargo. Budził on nieśmiałość młodszego Toma, sam też – choć odnosił się do niego całkiem grzecznie – nie był szczególnie zainteresowany kontaktami z brytyjskim kolegą. Kiedy jednak Trader zagadnął go, mówiąc: „Wiesz, brakuje mi sił, żeby bez końca rzucać Tomowi piłkę do krykieta. Czy mógłbym liczyć, że mi w tym pomożesz?”, młody Amerykanin uśmiechnął się i odrzekł: „Jeśli radzę sobie z piłką bejsbolową, to chyba dam radę i tej”.

W ciągu godziny do nich dołączył i w kolejnych dniach jeszcze kilkakrotnie zaglądał, żeby poćwiczyć z Tomem.

Po zmroku wybuchły zamieszki. Mieszkańcy legacji usłyszeli okrzyki bokserów wdzierających się do Wewnętrznego Miasta poprzez wschodnią bramę. Napastnicy zjawili się z pochodniami – całym morzem pochodni – a ich czerwona poświata oblała wysokie budynki. W jej blasku na murach drżały cienie maszerujących; trudno było określić, ilu dokładnie ich było, ale na pewno setki.

Z ogrodu rezydencji Trader i Henry śledzili światło pochodni rozlewające się ku północy i zachodowi.

– Kierują się chyba do naszej misji – powiedział Henry. – Dzięki Bogu nikogo już tam nie znajdą. Niewykluczone, że ich celem jest również katolicka katedra.

– Ilu katolickich konwertytów mają u siebie Francuzi? – spytał go Trader.

– Ponad trzy tysiące, jak sądzę. Na szczęście katedra to prawdziwa forteca.

W tym samym momencie rozległy się rozpaczliwe krzyki. Ktoś gorączkowo bił w dzwon. W ciemności dostrzegli buchające w górę płomienie i chmurę dymu.

Ogień zaczął przygasać dopiero przed świtem, gdy obaj mężczyźni udawali się na spoczynek.

Późnym rankiem Emily obudziła ojca.

– Bokserzy zaatakowali wszystkie misje – powiedziała. – Zginęło wielu ludzi. Od rana do Dzielnicy Legacji ściągają konwertyci. Umieszczamy ich w Fu. Niektórzy mężczyźni byli torturowani, kobiety zaś… może się papa domyślić, co je spotkało. – Popatrzyła na niego ze smutkiem. – Zrobiłbyś coś dla mnie?

– O ile tylko zdołam.

– Chciałabym mieć pistolet. Nie za ciężki, coś, co łatwo mogłabym obsługiwać. Do tego trochę amunicji, na wypadek gdybym musiała się bronić. Czy możesz to dla mnie zdobyć?

Trader spojrzał na nią badawczo.

– Skoro jesteś pewna, że tego właśnie chcesz.

– Nie mów nic Henry’emu. Nie ma takiej potrzeby.

W ciągu dnia bokserzy wylegli na ulice w poszukiwaniu konwertytów. Dzień później wdarli się do zachodniej dzielnicy Zewnętrznego Miasta i podpalili domy bogatych chińskich kupców, którzy robili interesy z chrześcijanami.

MacDonald zwołał naradę, na którą poszli także Henry i Trader.

– Dwór cesarski nakazał właśnie wszystkim cudzoziemskim misjom natychmiastowe opuszczenie Pekinu – oznajmił im MacDonald. – Przypuszczam, że na wieść o nadciągających posiłkach Cixi podjęła ostatnią próbę zmuszenia nas do wyjazdu. Czy powinniśmy opuścić miasto, to już zupełnie inna sprawa. Jakieś przemyślenia?

– Przed godziną odwiedził mnie Backhouse – rzekł Morrison. – Od zaprzyjaźnionego pałacowego eunucha dowiedział się, że brytyjski admirał na wybrzeżu wypowiedział wojnę całemu cesarstwu chińskiemu, co tak rozwścieczyło Cixi, że przyrzekła na dobre przepędzić stąd wszystkich cudzoziemskich dyplomatów.

– Admirał Seymour wypowiedział Chinom wojnę?! – wykrzyknął MacDonald. – Niemożliwe!

– Ma pan rację, to nieprawda. Eunuch powiedział Backhouse’owi, że raport został zmyślony przez część szlachetnie urodzonych do spółki z eunuchami, którzy najchętniej by się nas pozbyli. Ale Cixi im uwierzyła.

– Boże, dopomóż nam! A gdzie jest teraz Backhouse?

– Znowu gdzieś przepadł, ale jego opowieść ma sens. – Urwał na moment. – I jeszcze jedno: podobno posiłki mogą tu dotrzeć z opóźnieniem. W porcie na południu aż roi się od bokserów. Żeby się przebić do stolicy, trzeba ich najpierw pokonać. Nie sądzę jednak, aby miało to długo potrwać.

MacDonald poszedł porozmawiać z zarządzającymi resztą legacji; większość była za tym, aby grać na zwłokę. Na koniec zwrócił się do Tradera.

– Przebywał pan w Kantonie podczas oblężenia – zagadnął go z uśmiechem. – Co by nam pan poradził?

– Mogę powiedzieć tylko jedno – odrzekł Trader. – Przy takiej tłuszczy na ulicach nie ma znaczenia, kto dowodzi, bo może nie być już w stanie kontrolować swoich ludzi. Ktokolwiek opuści Dzielnicę Legacji, będzie całkowicie bezbronny. Jeśli bokserzy nas zabiją na rozkaz Cixi lub nawet bez jej wiedzy, zawsze będzie mogła oświadczyć, że nie ponosi za to winy. Naszą jedyną nadzieją jest zabarykadowanie się tutaj do czasu przybycia odsieczy.

Jego słowa dodatkowo utwierdziły dyplomatów w przekonaniu, że należy zaczekać na rozwój wypadków, i tak też uczynili.

Nazajutrz Trader na własną rękę podjął próbę interwencji w sprawy legacji. Niewiele osób o tym wiedziało; poprosił Henry’ego, aby zwołał jak najwięcej misjonarzy na spotkanie modlitewne na korcie tenisowym, a gdy się tam zebrali, dyskretnie do nich dołączył.

Następnie, poproszony przez Henry’ego o powiedzenie przed wspólną modlitwą kilku słów tytułem wstępu, przemówił prosto i do rzeczy.

– Jeśli chcemy przetrwać, może się zdarzyć, że będziemy potrzebowali czegoś więcej niż modlitwy, a mianowicie waszych umiejętności, panowie. Na razie, jak widzę, nasi dyplomaci w żadnej sprawie nie potrafią dojść ze sobą do porozumienia – mówił. – Nie potrafiliby zorganizować festynu piwnego w browarze. W Dzielnicy Legacji brakuje centralnego zarządzania, nikt nie koordynuje zaopatrzenia w żywność i leki ani jakichkolwiek innych działań. Wy natomiast macie doświadczenie w prowadzeniu misji. Jeśli nie przejmiecie władzy, nigdy do niczego nie dojdziemy.

– Szefowie legacji mogą nam się przeciwstawić – zauważył Henry.

– Stawiam dziesięć do jednego, że tego nie zrobią. Żaden z nich nie wie, jak się w tej sytuacji zachować.

– A co z obroną, barykadami, tego rodzaju rzeczami? – chciał wiedzieć Henry. Rozejrzał się po twarzach otaczających go mężczyzn.

– Tak się składa – rzekł pewien amerykański metodysta – że jestem dyplomowanym inżynierem.

Od tego momentu wszystko poszło już gładko. W ciągu kilku godzin wzniesiono fachowe barykady i rozdzielono miejsca noclegowe. Misjonarze zorganizowali komitet żywnościowy, pralnię oraz izbę chorych z dwoma lekarzami i pięcioma pielęgniarkami; wydzielili też zagrodę dla owiec i część dziedzińca dla dojnych krów.

Dobrze się stało, ponieważ o godzinie czwartej tego samego dnia rozpoczęło się oblężenie legacji, a zapoczątkował je pojedynczy wystrzał z zaplecza chińskiego sklepu w pobliżu.

W kolejnych tygodniach wiele rzeczy zaskoczyło Johna Tradera. Po pierwsze, nie przestawał zdumiewać go fakt, że wszyscy nadal żyją.

Okazało się, że są całkiem dobrze przygotowani do obrony. Górujący nad legacjami potężny mur miejski obsadzono wartownikami, a na końcu każdego strzeżonego odcinka wznosiła się barykada. Gdyby wróg zdołał się tamtędy przedrzeć, byłby to koniec ich wszystkich.

Mniejsze legacje położone na obrzeżach dzielnicy – austriacka, belgijska i holenderska – zostały porzucone jako zbyt trudne do obrony. Amerykanie, zamieszkujący najbliżej zachodniego krańca enklawy, przy ulicy Legacji, zostali przeniesieni do bezpieczniejszego osiedla brytyjskiego. Podczas gdy amerykańscy żołnierze byli najlepszymi strzelcami, Japończycy okazali się najbardziej zdyscyplinowani i niezawodni i to im powierzono kierowanie coraz szerszym strumieniem konwertytów zmierzających wyschniętym kanałem na teren Fu.

Każdego dnia i przez większość nocy narażeni byli na ostrzał snajperski oraz pociski wystrzeliwane z chińskich działek polowych.

Konwertytów z Fu wcielono do służby jako robotników; byli stale zajęci naprawianiem szkód i wznoszeniem nowych barykad.

Największe obawy budziła groźba pożaru. Oprócz trwającego w gotowości zastępu straży pożarnej trzymano także w pogotowiu szereg wiader z wodą; nigdy nie było wiadomo, kiedy bokserzy rzucą na mury kolejny kłąb zapalonych szmat nasączonych naftą. Pewnej strasznej nocy buntow-

nicy w czerwonych turbanach podpalili starą chińską bibliotekę przy północnym murze kompleksu.

– Właśnie puścili z dymem swoje największe skarby narodowe w nadziei, że nas stąd wykurzą – zauważył zdegustowany Henry.

– Wojna i inteligencja nigdy nie szły w parze – stwierdził Trader.

Rodzina doczekała się jednak pewnej miłej odmiany. Z powodu setek uciekinierów napływających do brytyjskiej legacji miejsca w dormitoriach były na wagę złota, sypiali więc wraz z innymi na materacach rozłożonych w kaplicy na terenie kompleksu, dopóki pewnego dnia lady MacDonald nie zagadnęła dyskretnie Emily.

– Z przykrością patrzę na to, że pani ojciec zmuszony jest w swoim wieku spać na posadzce w kaplicy – powiedziała, ściszając głos. – Mamy u siebie jeden wolny pokój, a jeśli moje dwie córki zgodzą się spać razem, to nawet dwa. Zastanawialiśmy się, czy nie zechciałaby pani zająć jednego z nich wraz z mężem, w drugim zaś moglibyśmy ulokować pani ojca. W obu stoją porządne łóżka.

– Z pewnością… – zaczęła Emily, lecz zawahała się. – Zaraz zapytam Henry’ego.

– Zgódź się – zdecydował, kiedy przedstawiła mu propozycję lady MacDonald.

– Nie uważasz, że korzystanie ze specjalnych względów będzie nie w porządku wobec innych?

– Zgódź się – powtórzył.

Jej ojciec był zachwycony, gdy przekazała mu tę wiadomość.

– Ty i Henry zajmiecie jeden pokój – powiedział – a Tom może spać ze mną.

– Na pewno zaproponowała to tylko dlatego, że jesteś właścicielem Drumlomond – zażartowała Emily.

Trader się uśmiechnął.

– Wiedziałem, że dobrze zrobiłem, kupując tę posiadłość.

Kilka dni później doszło do mniej radosnej niespodzianki. Trader i Henry byli akurat w pobliżu kortu tenisowego, gdy przy zachodnim wylocie ulicy Legacji dało się słyszeć palbę karabinową, a chwilę później głośne okrzyki i na teren kompleksu wjechał nieduży wóz wyładowany prowiantem, powożony przez piętnastoletniego chłopaka w kowbojskim kapeluszu. Gdy się zatrzymał, z wozu wypadło ciało jednego z konwertytów i znieruchomiało na ziemi.

Trader od razu rozpoznał młodzieńca w kapeluszu; był nim młody Fargo. Wiedząc, że znajdujący się po chińskiej stronie opuszczonej amerykańskiej legacji sklep pełen jest najróżniejszych potrzebnych towarów, potajemnie wystarał się o wóz i namówił dwóch chińskich konwertytów, aby wraz z nim stawili czoło snajperom, przedarli się tam i wyładowali wóz prowiantem.

Fargo wrócił z tej eskapady bez jednego zadrapania. Dwaj Chińczycy nie mieli aż tyle szczęścia; jeden z nich został ranny, drugi, którego ciało spadło z wozu, zginął. W dowód szacunku wyprawiono mu uroczysty pogrzeb. Za narażanie życia Fargo otrzymał tylko łagodną reprymendę, a jego matce kazano zatrzymać większość żywności. Bądź co bądź była doskonałą kucharką i chętnie dzieliła się z innymi zapasami jedzenia.

– Jedno mnie tylko martwi – zwierzył się Trader Emily. – Tom już wcześniej widział w Fargo wzór do naśladowania, a teraz wręcz go ubóstwia. Boję się, że jeśli Fargo wpadnie na kolejny cholernie głupi pomysł, Tom zechce się do niego przyłączyć albo, co gorsza, sam spróbuje wymyślić coś równie głupiego.

– Henry poważnie z nim porozmawia – uspokoiła go Emily. – A tobie może uda się przemówić Fargo do rozsądku.

Dwa dni później wieczorem zapadła dziwna cisza. Trader obserwował właśnie zachód słońca, gdy zauważył, że ostrzał snajperski bokserów, który normalnie trwał aż do zapadnięcia zmroku, słabnie, by po kilku minutach ustać zupełnie. Czerwone słońce, pozornie nieruchome, zawisło nad dachami pobliskiej chińskiej bramy, jakby i je zaskoczyła ta niesamowita cisza na dole. Co to mogło oznaczać? Czyżby ogłoszono rozejm? A może bokserzy zdecydowali się przerwać oblężenie na wieść o nadciągających z wybrzeża posiłkach?

Niemal pośrodku brytyjskiego kompleksu znajdował się dziedziniec, a na nim mała chińska dzwonnica, chroniona przed ogniem snajperów przez okoliczne budynki i w związku z tym służąca jako punkt informacyjny. Pospieszywszy do niej, Trader dostrzegł grupkę ludzi, którzy się tam zebrali. Nie wywieszono jednak żadnego ogłoszenia, które mogłoby wyjaśnić tę niespodziewaną ciszę.

Godzinę później, bez słowa wyjaśnienia, Chińczycy znów zaczęli ich ostrzeliwać i trwało to aż do późnej nocy.

Następnego ranka Trader, MacDonald i Morrison ustawili teleskop Henry’ego na poddaszu rezydencji. Pomieszczenie było ciasne, lecz miało dwa okna, jedno wychodzące na wschód i położone za kanałem ogrody Fu, drugie – na zachód. Umieścili teleskop przy wschodnim oknie.

– Pan pierwszy – zwrócił się MacDonald do Tradera.

Widział wszystko doskonale, nawet twarze konwertytów w Fu i japońskich strażników na barykadach. Przechylił nieco teleskop, kierując go na położone dalej chińskie domy, i przyjrzał się uważnie oknom na wyższych piętrach i dachom. Snajperzy dobrze się ukryli, ale po dłuższej chwili zauważył jednego, który właśnie oddawał strzał z okna.

Trader zmarszczył brwi; to było bardzo dziwne. Przebiegł spojrzeniem szczyt dachu i cofnął się, dojrzawszy kolejnego snajpera.

– Proszę – rzekł do MacDonalda i dziennikarza z „Timesa”.

Przedstawiciel rządu brytyjskiego popatrzył przez lunetę, zerknął na Tradera i dał Morrisonowi znak, żeby także spojrzał.

– Nigdzie nie widać czerwonych turbanów – odezwał się po chwili dziennikarz. – To wojska cesarskie, a nie bokserzy.

– Tak właśnie nam się wydawało – potwierdzili pozostali.

Z okna od zachodu roztaczał się dobry widok na mongolski targ. Morrison przez dobre dwie minuty lustrował budynki wznoszące się wokół placu.

– To z całą pewnością wojska cesarskie – stwierdził sucho. – Ani jednego boksera w zasięgu wzroku.

– Jak pan myśli, co to oznacza? – zapytał brytyjski minister.

– Bokserzy się wycofali, chociaż trudno powiedzieć dlaczego. Może chcą zregenerować siły, a może wysłano ich na południe, żeby zablokowali odsiecz? Faktem jest, że oblegające nas oddziały podlegają bezpośrednio Smoczej Cesarzowej z Zakazanego Miasta. – Morrison się skrzywił. – A to wyraźnie wskazuje, że ona chce naszej śmierci.

Ostatnie dni czerwca były straszliwe: snajperzy zebrali krwawe żniwo wśród obrońców legacji. Każdego wieczoru na prowizoryczny pochówek czekało kilka kolejnych ciał, owiniętych w jutową tkaninę pełniącą funkcję całunu. Jednak większy problem stanowiły zwłoki chińskich napastników, zalegające często w miejscach, skąd nie można było ich wydobyć bez narażania życia. W miarę jak dzienne temperatury osiągały maksimum typowe

dla tej pory roku, wszechobecny odór śmierci stawał się nie do wytrzymania.

Po upałach nadeszły tropikalne ulewy z towarzyszeniem grzmotów i błyskawic, które z hukiem biły w legację, jakby sama Smocza Cesarzowa rozkazała piorunom zniszczyć bezbożnych intruzów oraz ich dzieło. Henry poszedł do Fu, żeby spędzić godzinę ze swoimi konwertytami, i wrócił stamtąd całkiem przemoczony.

– To dla nich trudniejsze niż dla nas – wyjaśnił Traderowi. – Żołnierze Cixi myślą, że poprzez grzmoty bogowie wyrażają poparcie dla ich sprawy. Nawróceni też mogą snuć takie przypuszczenia. – Uśmiechnął się kwaśno. – Nie wszystkie przesądy udało nam się wykorzenić.

Tego wieczoru, pomimo wciąż szalejącej burzy, atak na Dzielnicę Legacji przybrał na sile. Wojska chińskie prowadziły nieprzerwany ostrzał z karabinów i armat od wschodu, zachodu i północy. Ponieważ pociski raz za razem przebijały dach i bębniły w mury rezydencji, Whiteparishowie i Trader zeszli na dół, gdzie MacDonaldowie siedzieli z córkami w bawialni. Żeby im nie przeszkadzać, Emily i Henry postanowili dyskretnie pozostać w holu.

Zaledwie po kilku minutach przez huk grzmotów i ognia artyleryjskiego przedarły się inne dźwięki, dochodzące z przylegającego do holu składziku, w którym dla bezpieczeństwa umieszczono fortepian będący na wyposażeniu rezydencji. Żeby się do niego dostać, trzeba było najpierw przedrzeć się przez sterty kufrów, był to jednak imponujący instrument marki Bösendorfer o głębokim, bogatym brzmieniu. Raz pewien młody człowiek z niemieckiego przedstawicielstwa zapytał MacDonalda, czy mógłby na nim ćwiczyć. Brytyjski minister, nie chcąc być niegrzecznym w tak napiętej sytuacji, odparł, iż młodzieniec może na nim grać, kiedy tylko zechce. W parnym, gorącym powietrzu fortepian nieco się rozstroił, lecz Niemcowi zdawało się to w niczym nie przeszkadzać.

I taki właśnie moment wybrał sobie na koncert.

Czy to możliwe, aby sypiał w składziku? Czy w ogóle był świadomy, co się wokół niego działo? A może próbował dodać sobie otuchy? Niewykluczone, że w nieznośnej spiekocie, wszechobecnym zgiełku i strachu zwyczajnie postradał zmysły. Niezależnie od przyczyny grał *Cwał Walkirii*, waląc w klawisze jak opętany. MacDonaldowie w bawialni też musieli go słyszeć. Kiedy skończył, na chwilę zapadła cisza i zaciekawiony Trader

zaczął się zastanawiać, co zagra dalej. Wkrótce poznał odpowiedź na swoje pytanie: ponownie zabrzmiały takty *Cwału Walkirii.*

Przy ich wtórze drzwi frontowe otwarły się szeroko i wpadł przez nie młody oficer.

– Gdzie jest minister?! – zawołał.

Zanim Henry zdążył mu odpowiedzieć, z bawialni wyszedł MacDonald we własnej osobie.

– Co się dzieje? Jakie wieści?

– Chińczycy ostrzeliwują Fu z armaty Kruppa, sir. Posuwają się naprzód i japoński dowódca nie zdoła ich dłużej powstrzymywać. Jest jeszcze druga linia obrony, sir, ale jeśli ich tam nie zatrzyma…

– Muszę natychmiast iść do Fu – zdecydował Henry.

– Nie! – zaprotestowała Emily. – Już za późno. Zostań z nami.

Lecz Henry pokręcił głową. Emily spojrzała błagalnie na MacDonalda.

– W niczym im pan tam nie pomoże, Whiteparish – stwierdził stanowczo MacDonald. – Nie w takim momencie. Japoński dowódca zna się na rzeczy. Ma pan zostać tutaj. To rozkaz – dodał.

– Ale moi konwertyci…

– Później. Nie teraz. Niech pan zostanie z rodziną, tak jak ja. – MacDonald spojrzał na Tradera, jakby mówił: jeśli Japończycy utrzymają drugą linię obrony, Henry będzie mógł później dodać otuchy swoim konwertytom; jeśli Chińczycy się przebiją, nie będzie kogo pocieszać.

Następnie zwrócił się ponownie do młodego oficera.

– A co się dzieje od zachodu? – zapytał.

– Chińczycy są już na mongolskim targu, sir – odpowiedział żołnierz – ale nie wdarli się jeszcze do legacji.

– A mury miejskie?

– Próbują się przez nie dostać. Na razie nasze barykady trzymają się mocno.

– Proszę mnie informować na bieżąco. – MacDonald skinął głową młodemu człowiekowi, który zaraz wyszedł. Potem wrócił do bawialni, a rodzina Whiteparishów została razem w holu.

Tom tkwił między Henrym a Emily, z których każde obejmowało syna ramieniem, Trader zaś stał obok córki.

Nie był pewien, ile Tom rozumiał z niedawnej wymiany zdań z oficerem, jego rodzice zdawali sobie jednak sprawę z powagi sytuacji. Jeżeli

któraś z trzech linii obrony – mongolski targ, Fu albo górujący nad legacjami mur – padnie, będzie po wszystkim.

Zerknął na Emily. Czy miała przy sobie mały rewolwer, który dla niej zdobył? Był pewien, że tak. Sam miał wojskowego webleya, a po wybrzuszeniu w kieszeni Toma domyślił się, że wnuk ma przy sobie swoją piłkę do krykieta. Nie był tylko pewien, czy Henry jest uzbrojony.

Odgłosy strzałów na zewnątrz stały się głośniejsze. Trader próbował je policzyć: wyszło mu około pięciu pocisków na sekundę, trzysta albo więcej na minutę, w sumie dawało to około dwudziestu tysięcy pocisków na godzinę. Ostrzał nie ustawał. Był pewien, że nic nie zdoła przetrzymać takiej nawały ognia. Lada chwila wróg wtargnie do środka, pomyślał.

Jakby chcąc przeciwstawić się temu strasznemu zgiełkowi, niemiecki pianista jak w delirium coraz głośniej grał słynny utwór Wagnera.

Nagle ujrzeli MacDonalda, który popędził korytarzem do składziku. Usłyszeli, jak krzyczy z wściekłością:

– Zamilknij pan wreszcie!

Rozległo się trzaśnięcie drzwiami. Chwilę później minister wrócił przez hol do bawialni, wyrzucając ręce w górę w geście rozpaczy.

A pianista grał nadal, z jeszcze większą furią.

Trader poczuł delikatne muśnięcie na swoim nadgarstku. Spojrzał na Emily, która szepnęła:

– Weź mnie za rękę, papo. – Tak zrobił i ścisnął ją mocno raz czy drugi, gdy dobiegający z zewnątrz łoskot zagłuszył nawet opętańcze dźwięki *Cwału Walkirii.*

Po którymś z potężnych wybuchów zorientowali się, że fortepian zamilkł. Po upływie minuty do holu wyjrzał nieco spokojniejszy MacDonald.

– Czy ktoś z was przypadkiem nie zastrzelił pianisty? – zapytał. Pokręcili głowami. Minister zniknął w głębi korytarza, a po powrocie oznajmił: – Musiał wyjść od tyłu. – Umilkł na moment i spojrzał na Henry’ego, a potem na Tradera. – No cóż – rzekł powoli – jako były wojskowy mogę wam powiedzieć tyle: nasi przyjaciele zza muru strzelają zdecydowanie za wysoko.

W ciągłym zamieszaniu, jakie towarzyszyło mu od dnia przyjazdu, Trader nie zauważył jednej ważnej rzeczy dotyczącej swojego zięcia. Po fakcie

doszedł do wniosku, że nie sposób było niczego się domyślić; zupełnie nic nie zwiastowało kryzysu.

Po tamtej straszliwej burzowej nocy i dniu, który po niej nastąpił, kompleks legacji ocalał tylko częściowo. Chińczycy zdołali zająć jedno ze stanowisk obrony na murze, potem jednak zostali przyparci do własnej barykady i nie mogli już wiele zrobić. Za to na terenie Fu poczynili duże postępy: linia obrony legacji przebiegała teraz w poprzek placu, którego jedna trzecia została utracona na rzecz nacierających. Barykada była na szczęście solidnie zbudowana i obsadzona japońskimi oddziałami. Co więcej, aby do niej dotrzeć, Chińczycy musieliby przedostać się przez otwarty teren, gdzie byli narażeni na ciągły ostrzał.

Kilka dni po pamiętnej burzy Trader towarzyszył Henry'emu i Emily podczas jednej z ich codziennych wypraw do Fu.

Zdawał sobie co prawda sprawę, że konwertytom musi być tam bardzo ciężko, ale nie spodziewał się wstrząsającego widoku, jaki zastał. Wszystko wyglądało i cuchnęło jak slumsy po powodzi albo jak zbombardowany obóz, co akurat nie było zaskakujące. Gdy jednak zaczęli krążyć wśród ocalałych, Trader wyraźnie pobladł; to było silniejsze od niego.

– Nie powinnam była pozwolić ci tutaj przychodzić, ojcze – powiedziała Emily przepraszającym tonem.

Połowa konwertytów cierpiała na dyzenterię, czego właściwie można było się spodziewać. Bardziej przerażające były przypadki ospy.

– Zaczęło się jakiś czas temu – poinformował go Henry. – Ludzie codziennie na nią zapadają, głównie dzieci. – Najgorsze jednak było to, że konwertyci przymierali głodem.

– Co możemy poradzić? W pierwszej kolejności musimy wykarmić ludzi w legacjach, zwłaszcza żołnierzy, żeby zachowali siły do walki – wyjaśniła ojcu Emily. – Dla konwertytów zostaje nam kilka jaj, trochę zatęchłego ryżu i odpadków. – Pokręciła głową. – Wojsko oczekuje, że konwertyci naprawią barykady, lecz oni są na to zbyt słabi. Staram się ich dokarmiać, ilekroć zdołam znaleźć coś do jedzenia, ale wówczas od razu oddają wszystko swoim najbliższym. Dlatego wszyscy wyglądają tu jak szkielety, a ja mam okropne wyrzuty sumienia.

Spędzili w Fu blisko pół godziny. Trader zobaczył tam wielu dobrych ludzi, katolickich księży i zakonnice, prezbiteriańskich i anglikańskich pastorów, z których każdy cierpliwie zajmował się swoją trzódką, nikt jednak nie miał do rozdania żadnych zapasów jedzenia. Henry i Emily wybrali

czterech konwertytów, którzy powinni trafić do szpitala, po czym wszyscy razem wrócili do legacji. Kiedy opuszczali Fu, chiński snajper posłał nad ich głowami kulę, żeby pokazać, kto tutaj rządzi.

Gdy Emily poszła z konwertytami do izby chorych, Henry zapytał Tradera, czy mógłby zamienić z nim słówko na osobności.

Znaleźli zaciszny zakątek w ogrodzie, gdzie wśród drzew stała ławka, i usiedli. Henry milczał przez chwilę, potem się odezwał:

– Czy mogę coś ojcu powiedzieć w zaufaniu?

– Oczywiście.

– Nie chciałbym, żeby to dotarło do Emily.

– Zgoda – odparł Trader. – O ile nie uznam, że to coś, o czym powinna wiedzieć.

– Nie powinna. – Henry znów się zawahał. – Czasami dobrze jest po prostu z kimś porozmawiać – dodał.

– Mów zatem śmiało.

– To zabawne, ale mój ojciec często mnie przed tym przestrzegał. Mówił, że u misjonarzy to ryzyko zawodowe, chociaż przez te wszystkie lata nigdy mnie to nie spotkało. – Umilkł. – Przypuszczam – podjął – że spodziewałem się jakichś straszliwych męczarni. Ciemnej nocy duszy [12] i tak dalej.

– Chyba nie rozumiem, o czym mówisz.

– Och, przepraszam. Mam na myśli utratę wiary.

– Ach. Cóż, słyszałem o tym, oczywiście. Czym jest to spowodowane u ciebie?

– Nie jestem pewien. Chyba po prostu od pewnego czasu to we mnie narastało. Czarę goryczy przelało to, co w ostatnim miesiącu działo się z nawróconymi w Fu.

– Każdym by to wstrząsnęło. Prawdę mówiąc, sam byłem u kresu wytrzymałości.

– Tak, ale ojciec nie rozumie, że to wszystko moja wina. Patrzę na tych biednych, głodujących ludzi, na ich umierające dzieci i myślę sobie: to przeze mnie się tutaj znaleźliście. Gdybym was nie nawrócił, bokserzy nie próbowaliby was zabić.

– Chrześcijanie od wieków cierpieli prześladowania.

– Owszem, ale ci nieszczęśni Chińczycy nie byli gotowi wziąć krzyża na ramiona i zostać męczennikami. Oni po prostu uwierzyli we wszystkie

dobre rzeczy, które im mówiłem, a teraz zapewne umrą pod gradem kul i będzie to wyłącznie moja wina.

– Przyprowadziłeś ich do Chrystusa, być może ocaliłeś ich dusze od potępienia.

– Tak właśnie powinienem czuć.

– A co czujesz?

– Nic. Nic nie czuję, poza straszliwą pustką.

– Rozumiem, że przede wszystkim trzeba mieć wiarę.

– To prawda, lecz ja już jej nie mam. Zniknęła, rozwiała się jak dym gdzieś za horyzontem.

– Nie jestem teologiem, ale czy nie jest to dylemat, który zwą problemem zła? Odwieczne pytanie o to, dlaczego wszechmocny i miłosierny Bóg miałby stworzyć świat pełen okrucieństwa i cierpienia? Dlaczego źli ludzie triumfują, a dobrzy giną?

– Otóż to. Religia wyjaśnia tę zagadkę na wiele sposobów: Bóg wystawia nas na próbę albo ma jakiś cel, którego nie znamy. Są także inne argumenty, lecz ja niespodziewanie stwierdziłem, że w żaden z nich nie wierzę. Wszystkie wydały się nagle stekiem bzdur.

– Chrześcijaństwo wymaga okazywania innym dobroci. To nie może być złe.

– I jest dobre. Kazanie na Górze to coś pięknego! Sęk w tym, że mogłem przyjechać do Chin na przykład jako lekarz albo pomagać biednym, nie czyniąc nikomu żadnej szkody.

– Wiesz co? – rzekł Trader w zamyśleniu. – Przed laty uczestniczyłem w Londynie w kolacji, na którą zaproszono pewnego jezuitę. Przy porto rozmowa zeszła na temat świętych i ich kanonizacji. Ktoś zapytał go, czy kiedykolwiek zdarzył się przypadek kandydata do beatyfikacji, który na jakimś etapie życia straciłby wiarę. Jego odpowiedź wszystkich nas zaskoczyła. „Taki fakt przemawiałby wyłącznie na ich korzyść – odparł. – Utrata wiary może być elementem duchowej drogi, trudną, ale konieczną próbą”. Pamiętam, jak pomyślałem, że choć sam nie jestem katolikiem, to muszę przyznać, że Kościół katolicki wie sporo o tajemnicach ludzkiego serca.

– Próbuje mnie ojciec pocieszyć. To bardzo ładnie z ojca strony – stwierdził Henry. – Przykro mi, że wplątałem w to wszystko Emily.

– Nonsens. Sama wybrała takie życie. Przestań się o wszystko obwiniać. – Trader uśmiechnął się życzliwie do zięcia. – Mogę ci jednak powiedzieć coś, co ci pomoże, coś, nad czym w ostatnich dniach rozmyślałem. Wierzę,

że istnieje jakaś nadprzyrodzona siła, która nas chroni. Nie wiem, czy to boska opatrzność, czy coś bardziej przyziemnego, ale ta siła utrzymuje nas przy życiu.

– Jak ojciec to rozumie? – zapytał Henry.

– Tamtej nocy Chińczycy mogli zająć legacje, lecz tego nie zrobili. Coś ich powstrzymało.

– Nie wierzy ojciec, że Smocza Cesarzowa chce nas zniszczyć?

– Przypuszczam, że właśnie o to jej chodzi, być może jednak na dworze ścierają się ze sobą dwie przeciwstawne frakcje i jej rozkazy są tylko częściowo wykonywane. Choć nie mogę tego w żaden sposób dowieść, osobiście wolę myśleć, że to sam Bóg działa poprzez tych ludzi. Ty też możesz znaleźć pocieszenie w tej myśli. Cokolwiek powstrzymuje naszych wrogów, musi działać dopóty, dopóki nie dotrze odsiecz. Jeśli więc nawet chwilowo zabrakło ci wiary, masz teraz dobry powód, żeby się nie poddawać i trzymać się jej bez względu na wszystko.

– Tak zrobię – obiecał Henry. – Jest ojciec jedyną osobą, z którą mogłem się tym podzielić.

– Wiem – przytaknął Trader.

Wczesnym wieczorem jego teoria dotycząca chińskich ataków znalazła potwierdzenie. Trader zaszedł pod dzwonnicę, żeby przejrzeć najnowsze obwieszczenia, i spotkał tam Morrisona.

– Widziałem się dziś z naszym przyjacielem Backhouse’em – zagadnął go dziennikarz z „Timesa”. – Wybrałem się na barykadę przy starej bibliotece, która spłonęła. Chciałem sprawdzić, czy Chińczycy znowu nie próbują się tamtędy przekradać. Nigdzie nie było po nich śladu, za to z biblioteki doszły mnie jakieś hałasy, jakby ktoś tam buszował. Okazało się, że to Backhouse! Ukrywał się gdzieś w mieście – Bóg raczy wiedzieć, jak mu się to udało – a teraz przyszedł zobaczyć, czy zdoła ocalić choć kilka książek.

– Powiedział panu, co tam się teraz dzieje?

– Tak. Katolicy nadal bronią się w swojej katedrze, ale doszło do kilku strasznych masakr. Posiłki są już w drodze, lecz nasze wojska muszą się najpierw przebić przez liczne oddziały bokserów. Trzeba będzie zaczekać. Powiedziałem o tym MacDonaldowi, ale nie chce ogłaszać tego publicznie, bo to źle wpływa na morale. Poza tym nie ma zaufania do źródła tych wiadomości.

– Zapewne ma rację w obu kwestiach.

– Zgoda, chociaż Backhouse powiedział kilka rzeczy, które mają sens. Według niego chiński dwór jest podzielony. Stronnictwo Cixi chce nas wybić do nogi i raz na zawsze zamknąć miasto dla cudzoziemców. Drugie stronnictwo obawia się odwetu ze strony naszych mocarstw. My co prawda nie mamy dostępu do telegrafu, lecz dwór stale odbiera z zachodnich stolic depesze z pogróżkami.

– A więc w Zakazanym Mieście działają dwa przeciwstawne stronnictwa. Przyszło mi to do głowy.

– Nie koniec na tym: Cixi posłała wici do gubernatorów prowincji, żądając wojska.

– I co?

– Nic, głucha cisza. Zignorowali ją. Jest wściekła, ale niewiele może na to poradzić.

– Interesujące. Miejmy nadzieję – dodał Trader – że Backhouse choć raz powiedział prawdę.

Emily od zawsze wiedziała, że jej ojciec jest dobrym człowiekiem. W pierwszej połowie lipca, pomimo nieznośnego skwaru, Trader był w znakomitej formie. Codziennie przestrzegał leniwej rutyny: rano, ubrany w długą lnianą marynarkę z dużymi kieszeniami, spędzał czas z Tomem. Odbywali lekki trening, po czym przekazywał wnuka w ręce młodego Fargo, który ćwiczył z nim bieganie oraz grę w polu.

Po południu, zasiadłszy w wiklinowym fotelu, wyciągał z jednej ze swoich dużych kieszeni książkę i czytał na głos obu chłopcom oraz każdemu, kto tylko chciał się do nich przyłączyć. Wybierał zwykle jakąś humoreskę Marka Twaina, przygody Sherlocka Holmesa albo co zabawniejsze scenki ze swojego ulubionego *Klubu Pickwicka* – coś, co na godzinkę lub dwie odrywało ich od brutalnej rzeczywistości oblężenia. Po wieczornym posiłku, kiedy robiło się nieco chłodniej, a ostrzał ustawał, wybierał się z Emily na przechadzkę, podczas której gawędzili o rodzinie, zamierzchłych czasach i dalekich miejscach.

Trader miał też najwyraźniej dobry wpływ na zięcia. Henry był, rzecz jasna, oparciem dla całej rodziny, chociaż ostatnimi czasy jego zachowanie było nieco dziwne. Trudno się temu dziwić, zważywszy na ogromny stres, jaki przeżywał. W jednej chwili wydawał się spięty – zbyt spięty, żeby

Emily mogła go w nocy ukoić – lecz już kilka godzin później napotykała go nucącego wesoło pod nosem, co nigdy wcześniej mu się nie zdarzało. W obecności jej ojca mąż był jednak zawsze cichy i spokojny jak dawniej.

Legacje mogły być w stanie oblężenia, lecz brytyjski minister dzielnie starał się wypełniać wszelkie towarzyskie zobowiązania. Emily wcale się nie zdziwiła, gdy pewnego dnia lady MacDonald poinformowała ją: „Nie zapomnieliśmy o kolacji na cześć pani ojca. Czy pojutrze to odpowiedni termin? Jak pani sądzi?”.

Ów uroczysty dzień źle się zaczął: Chińczycy zaczęli ostrzeliwać z armaty Kruppa dach rezydencji MacDonaldów, najwyraźniej chcąc się przekonać, czy uda im się strącić powiewającą nad nią flagę. Emily głośno dała wyraz swojemu zaniepokojeniu, czy kolacja w ogóle powinna się odbyć, lecz ojciec uspokoił ją, mówiąc: „Strzelcy po prostu się nudzą, moja droga. Sprzykrzy im się ta zabawa na długo przed zachodem słońca”. I rzeczywiście tak się stało.

Potem wstąpiła do nich lady MacDonald.

– Zastanawiałam się właśnie, moja droga, co pani ojciec na siebie włoży. Włoski minister zawsze nosi pełny strój wieczorowy, podobnie jak mój mąż, lecz w obecnej sytuacji niektórzy z mężczyzn mogą nie dochować wymogów elegancji. Ponieważ pani ojciec jest gościem honorowym, uznałam, że lepiej będzie zawczasu zapytać, co zamierza włożyć.

– Frak i białą kamizelkę, chyba że uznacie to państwo za zły pomysł.

– Och, znakomicie! A pani i pani mąż?

– Planuję włożyć długą suknię. Henry lubi swój stary czarny surdut – całkiem wytwornie się w nim prezentuje – oraz naturalnie koloratkę.

– No tak. Na przyjęciu będzie jeszcze dwóch innych duchownych, zapewne przywdzieją coś podobnego. Ubieranie się na proszoną kolację to dla kleru nie lada wyzwanie, prawda? – Uśmiechnęła się. – Kto wie, może pewnego dnia Henry zostanie biskupem? Ogromnie podobają mi się te ich fioletowe stroje, a pani?

– Tak się składa, że od swojego przyjazdu ojciec tylko raz włożył wyjściowy strój – poinformowała ją Emily – więc jego koszula będzie wykrochmalona i wyprasowana jak po wyjęciu z kufra. – Lady MacDonald szeroko otworzyła oczy. Mała pralnia, z której korzystali w legacji, spisywała się nad wyraz dobrze, utrzymując koszule mężczyzn w idealnej czystości, ale nie było tam żadnych urządzeń do prasowania, wykrochmalona koszula stanowiła zatem prawdziwą rzadkość.

– Wprost nie mogę się doczekać – oświadczyła.

Wieczorem John Trader doskonale odegrał swoją rolę. Żaden z mężczyzn nie prezentował się równie szykownie i chociaż włoski minister też miał na sobie frak z kamizelką oraz cały rządek medali, Trader pozwolił sobie zawiesić na chwilę wzrok na niewyprasowanej koszuli dyplomaty – na tyle długo, aby wywołać rozbawienie MacDonaldów.

Trzeba przyznać, że w brytyjskiej legacji wszystko odbywało się w jak najlepszym stylu. Kolację wydano na dwadzieścia osób; stół był pięknie zastawiony, gdyż w rezydencji zachował się elegancki serwis obiadowy, kieliszki i cała reszta. Jeśli zaś chodzi o potrawy, to ich przyrządzenie wymagało sporej dozy pomysłowości.

Na początek podano zupę ugotowaną na wywarze z jarzyn, następnie pastę rybną na grzankach, curry z wróbli oraz zapiekane pikantne paszteciki. Danie główne stanowiło mięso, które spożyto z należytą powagą, był to bowiem jeden z cennych kuców wyścigowych, których zostało już tylko kilka. Do tego groszek z puszki i ziemniaki, zapijane, rzecz jasna, doskonałym bordeaux.

W pewnym momencie MacDonald, który cierpiał na dyzenterię, musiał opuścić towarzystwo.

Pozostali jednak bawili się dalej. Trader zwrócił się do lady MacDonald z pytaniem o deser, a w odpowiedzi usłyszał: „Mam nadzieję, że lubi pan naleśniki”. Przytaknął, mówiąc, że nawet bardzo. Ledwo to powiedział, chiński pocisk artyleryjski przebił strop gdzieś nad ich głowami. Rozległ się ogłuszający huk i sufit się zakołysał, jakby lada moment miał na nich runąć. W deszczu sypiącego się tynku ci, którzy mogli, zanurkowali pod stół. Lady MacDonald, która siedziała na wysokim drewnianym krześle z podłokietnikami, oraz Trader, któremu zaawansowany wiek nie pozwalał tak szybko się poruszać, pozostali na swoich miejscach. Kiedy opadł kurz, zapanowała głucha cisza. Potem, przy wtórze szurania krzeseł o podłogę, goście wychynęli spod stołu i zaczęli się otrzepywać. Wyglądało na to, że szczęśliwie nikt z zebranych w jadalni nie odniósł większych obrażeń, stół jednak wyglądał jak po bitwie, cały zasłany odłamkami rozbitych talerzy i kieliszków.

W drzwiach pokoju ukazała się blada twarz sir Claude’a MacDonalda. Towarzyszył mu Tom.

– Czy ktoś na piętrze ucierpiał? – spytała go żona.

– Nie było tam nikogo oprócz mnie i młodego Toma. Nasze córki są w salonie na dole. Nic im nie jest. W kuchni też obyło się bez strat. – Minister wskazał Tomowi swoje krzesło i kazał na nim usiąść, sam zaś oznajmił: – Wracam do łóżka.

– Co za niefortunny zbieg okoliczności – podsumowała ze spokojem lady MacDonald, dzwoniąc na służbę, którą tego wieczoru stanowili w większości katoliccy konwertyci, aby uprzątnęła stół.

Podczas gdy oni zajęli się usuwaniem skutków ostrzału, gospodyni zwróciła się do Tradera:

– Jak pan myśli, co powinniśmy teraz zrobić?

– Ma pani tam więcej kieliszków? – spytał, wskazując gestem kredens.

– Z pewnością.

– W takim razie, lady MacDonald – rzekł gość honorowy – sądzę, że sytuacja wymaga, abyśmy odkorkowali szampana!

Gdy wychodzili, lady MacDonald odciągnęła Emily na stronę.

– Wiesz, moja droga – powiedziała – gdybym wcześniej nie poznała swojego męża, chciałabym wyjść za pani ojca. – Uśmiechnęła się. – Podobają mi się mężczyźni, którzy potrafią się zachować.

Upalne dni ciągnęły się bez końca, a odsiecz wciąż nie nadchodziła. Z każdym dniem chińscy snajperzy zdawali się strzelać coraz celniej, a liczebność brytyjskich, francuskich, niemieckich i japońskich oddziałów niepokojąco topniała. Emily zastanawiała się, jak długo może trwać ta sytuacja.

Pewnego wieczoru otrzymała odpowiedź.

W oblężonych legacjach istniało pilne zapotrzebowanie na dwa rodzaje wyrobów. Pierwszą grupę stanowiły worki z piaskiem, które kładziono na murach i barykadach. Kobiety wykorzystywały wszelkie materiały, jakie tylko wpadły im w ręce – worki, stare koszule, pantalony, wszystko, z czego dało się uszyć worek wielkości poszwy na poduszkę, napełnić go ziemią i zaszyć mocną nicią. W czasie deszczu z tych prowizorycznych zabezpieczeń sączył się na ziemię bury szlam, a worki często pękały, stale więc potrzebne były nowe i Emily nierzadko pomagała je przygotowywać.

Drugi wyrób był znacznie bardziej ponury – należało bowiem szyć całuny, w których grzebano zmarłych i zabitych. Musiały zastąpić trumny, których nie było, i często wykonywano je w pośpiechu z materiału, który

akurat był dostępny. Ponieważ pochówki odbywały się po zmroku, kiedy robiło się chłodniej, niedociągnięcia te nie były aż tak widoczne.

Tej nocy trzeba było pochować dwóch mężczyzn. Wraz z Henrym stanęli nad prowizorycznym grobem. Na widok jednego ze zmarłych, niskiego mężczyzny drobnej budowy, schludnie zaszytego w swoim całunie, Emily pomyślała o workach z piaskiem, które na co dzień szyła. Dla odmiany drugi mężczyzna był na tyle wysoki, że przygotowany przez nią całun okazał się za krótki i sterczały z niego nieładnie bose stopy. Emily z całych sił starała się nie myśleć o swoim ojcu; mimowolnie zastanawiała się, czy wkrótce przyjdzie jej go pogrzebać, i co pocznie, jeśli całun będzie dla niego za krótki. Czym okryje mu stopy? Na tę myśl zachciało jej się płakać.

Po powrocie do domu zajrzała do Toma, żeby upewnić się, czy już śpi. Wyszła akurat z pokoju syna na podest schodów, gdy dobiegło ją pytanie ojca, zadane w holu ściszonym głosem:

– Ile czasu jeszcze wytrzymamy, jak pan myśli?

Odpowiedział mu MacDonald:

– W tempie, w jakim obecnie doznajemy strat, do końca miesiąca nie ostoi się żaden nasz oddział.

– A co z amunicją?

– Podobnie. Wystarczy jej do końca miesiąca.

– No cóż, nasi wciąż mają trochę czasu, żeby przyjść nam z odsieczą. Nawiasem mówiąc, dziś po południu w okolicach francuskiej legacji doszły mnie spod ziemi jakieś hałasy. Pomyślałem, że powinien pan o tym wiedzieć.

– Myśli pan, że to Chińczycy drążą chodniki minowe?

– Wcale bym się nie zdziwił.

– Ja też nie. Dobranoc.

Emily na palcach pobiegła do swojego pokoju. Zastanawiała się, czy powtórzyć Henry’emu, co usłyszała, uznała jednak, że to niewłaściwy moment. Sądziła, że jej mąż śpi, ale otworzył jedno oko.

– Co się stało? – zapytał.

– Nic – odparła w nadziei, że zaraz zaśnie.

– Emily. – Henry usiadł na łóżku. – Powiedz mi, proszę.

Powtórzyła mu więc zasłyszaną rozmowę.

– Możemy się już tylko modlić – dodała na koniec.

– Bóg nas nie opuści. – Powiedział to z uśmiechem pełnym niewyobrażalnej słodyczy. – Jedno wiem na pewno – dodał z całą stanowczością. –

Najważniejsze, żeby wypełniła się wola Boża. – Jego słowa dodały jej nieco otuchy, a przynajmniej tak wówczas sądziła.

Trader przygotował swoją rodzinę na to, co miało nadejść.

„Pomoc jest już w drodze – rzekł. – Im bliżej będą nasze posiłki, tym większa będzie desperacja Cixi i tym gorliwiej będzie chciała nas stąd wyrzucić. Cała jej nadzieja w tym, że jeśli dobrowolnie odejdziemy albo zostaniemy zabici, będzie mogła zamknąć bramy miejskie i oświadczyć nadciągającym z odsieczą, że nie ma już kogo ratować. Mówię o tym dlatego – ciągnął – abyście, gdy nadejdzie następny potężny atak, wiedzieli, co to dokładnie oznacza. Chińczycy podejmą ostatnią, rozpaczliwą próbę zdobycia legacji przed odstąpieniem od oblężenia. Jeśli ją przetrzymamy, nadejdzie odsiecz i wszyscy zostaniemy uratowani – jak Bóg da, łącznie z konwertytami”.

Dziesięć dni minęło, Chińczycy nieco się przybliżyli, ostrzał snajperski z obu stron nie ustawał, a od czasu do czasu z drążonych pod ziemią tuneli dobiegały słabe postukiwania kilofów i łopat. Choć od dawna nie mieli żadnych wiadomości, Trader czuł, że odsiecz nie może być daleko.

Kiedy więc o świcie w piątek trzynastego lipca rozpoczęło się silne bombardowanie, zwrócił się do Emily: „Jest tak, jak mówiłem. Niedługo będzie po wszystkim. Jeszcze jeden, ostatni atak i nasi chłopcy się tu przedrą”.

Przez cały dzień działka Kruppa zasypywały Fu gradem pocisków. Niskie zabudowania o dachach krytych dachówką płonęły i zapadały się na oczach przerażonych konwertytów. Od południa ostatkiem sił broniono stanowisk na murach miejskich. Na północy Chińczycy próbowali przedrzeć się do brytyjskiego kompleksu przez zburzoną bibliotekę.

O czwartej po południu dzwon na szczycie niewysokiej wieży, na której wieszano ogłoszenia, rozdzwonił się gwałtownie na znak, że zewsząd trwa natarcie na legacje i każdy musi się bronić, jak tylko potrafi.

Pomimo błagań Emily Henry natychmiast wybrał się do Fu, a ona z ojcem i Tomem została w holu rezydencji MacDonaldów. Lady MacDonald oraz jej córki przebywały w salonie w głębi budynku. Trader ściskał w dłoni swojego webleya. Zerknął na Emily, a ona skinęła głową i wydobyła niewielki rewolwer, który dla niej zdobył.

– Masz sześć nabojów. Postaraj się dobrze wykorzystać pierwsze pięć z nich – rzekł cicho Trader, po czym spojrzał na wnuka. – Nie martw się, chłopcze – dodał. – Nie dotrą tak daleko, ale jeśli nawet, to sobie z nimi poradzimy. – Pobladły Tom wydawał się w równej mierze przerażony, jak podekscytowany, lecz dzielnie zwrócił się twarzą do wejścia. – Dobry chłopak – pochwalił go Trader. – Tak trzymaj.

Naraz rozległ się nowy dźwięk: tysiące gardeł zdawało się zewsząd skandować:

– *Sha!* Bij, zabij! *Sha! Sha! Sha!*

A wszystko to przy wtórze huku działek Kruppa i niedużych armat, palb karabinowych i przeraźliwych krzyków. Bóg wie ilu ludzi walczyło wręcz; sądząc po ogłuszającym zgiełku, musiały ich być setki. Przez drzwi rezydencji wpadł niemiecki żołnierz, wołając MacDonalda.

– Jest przy dzwonnicy! – odkrzyknął Trader i Niemiec zniknął.

Na zewnątrz trwała wrzawa bitewna. O dach walił grad grzechoczących pocisków, złowrogie skandowanie przybrało na sile. Czy rozbrzmiewało teraz bliżej? Trudno było powiedzieć.

W holu pojawił się MacDonald.

– Czy odnalazł pana ten Niemiec? – zawołał Trader.

– Tak. Rosjanie im pomagają. Utrzymują nasze pozycje. – Minister zniknął w głębi domu, żeby sprawdzić, co z jego rodziną, po czym znowu się pokazał. – W Fu Japończycy mają nową linię obrony. Na razie zdołali powstrzymać chińskie natarcie.

– A co z moim mężem? – chciała wiedzieć Emily.

– Nie mam pojęcia. Trudno cokolwiek powiedzieć. Od południa, przez francuską legację, idzie nowe natarcie na Fu, tyle wiem.

Pospieszył do wyjścia. Mijały kolejne minuty.

Nagle rozległ się grzmot i ziemia zatrzęsła się pod ich stopami. Po chwili z nieba zaczęły spadać różne przedmioty, jakby nad legacją właśnie przeszło tornado. Fragmenty murów rozbijały się o dachy, reszta rzeczy waliła o ziemię z głuchym łoskotem. Trader, Emily i Tom rzucili się do drzwi i zobaczyli gęstą, ciemną chmurę przetykaną tu i ówdzie żarzącymi się czerwono iskrami, która niczym upiorna zjawa wznosiła się nad dachami Fu. Zaraz też dobiegły ich stamtąd straszliwe krzyki.

– Wysadzili chodnik! – domyślił się Trader, ale nie potrafił określić, czy do wybuchu doszło pod samym Fu, czy gdzieś w jego pobliżu. Czyżby nadszedł ich kres i Chińczycy zaraz wleją się do środka szerokim strumieniem?

– Wracajcie do domu – polecił Tomowi i Emily. Bóg jeden wiedział, czy Henry’emu udało się przeżyć. – Szybko!

Czekali więc w holu, nasłuchując okrzyków *Sha! Sha!* wznoszonych przez nadciągające chińskie oddziały.

Jednak niczego takiego nie usłyszeli. O dziwo, w miarę upływu czasu ostrzał zdawał się wręcz słabnąć, a potem, ku ich wielkiemu zdumieniu, w drzwiach stanął Henry we własnej osobie – co prawda z twarzą usmarowaną sadzą i w brudnym ubraniu, ale wciąż rozpoznawalny i jak najbardziej żywy.

– Słyszeliście ten wybuch? – zapytał.

– Oczywiście! – zawołała Emily. – Myślałam, że zginąłeś!

– Właśnie dlatego wróciłem. Żebyście się nie martwili.

– Czy Chińczycy zaraz tu będą? – chciał wiedzieć Trader.

– Nie sądzę. Zginęli rozerwani na strzępy swoją własną miną. W miejscu, gdzie była francuska legacja, zieje teraz ogromny krater. Chińczycy posuwali się naprzód. Przypuszczam, iż wiedzieli, że mina ma wybuchnąć, ale nie zdawali sobie sprawy z siły eksplozji. Musieli stracić wielu ludzi, bo się wycofali.

– Założę się, że to nie była tylko ta jedyna mina – stwierdził Trader. – Pewnie planowali kilka wybuchów, a teraz zastanawiają się, co dalej robić.

Upływające godziny zdawały się potwierdzać jego przypuszczenia. Wrócił MacDonald i oznajmił: „Na wszystkich frontach szturm został wstrzymany”. Henry wrócił do konwertytów w Fu, którzy potrzebowali jego wsparcia, Emily natomiast zabrała Toma na górę i położyła do łóżka.

Trader nalał sobie szklaneczkę brandy, wyszedł na werandę z widokiem na ogród, usiadł w wiklinowym fotelu i zapatrzył się na trawnik skąpany w bladej księżycowej poświacie. Ustał nawet ostrzał snajperski i ciszę przerywał tylko słaby trzask płomieni z okolic dymiącego krateru.

Siedział tak przez jakiś czas, gdy ujrzał nadchodzącą córkę. Emily miała na sobie jasną suknię i również niosła szklaneczkę brandy. Trader wstał, chcąc jej odstąpić swój fotel, lecz tylko pokręciła głową.

– Nie trzeba, ojcze. Wolę przysiąść obok ciebie na stołeczku. Jest całkiem wygodny.

– Tom zasnął?

– Tak. Całe to zamieszanie chyba go zmęczyło.

– Henry jeszcze nie wrócił?

– Nie. Dlatego to taki dobry moment na rozmowę z tobą. – Umilkła, on zaś cierpliwie czekał. – Pamiętasz – podjęła po chwili – co powiedziałeś, gdy myśleliśmy, że Chińczycy zaraz się tu wedrą? Że mam sześć naboi i żebym dobrze wykorzystała pierwsze pięć z nich?

– Tak.

– Ostatni strzał miałam zostawić dla siebie.

– Zakładałem, że właśnie dlatego zależało ci na posiadaniu broni.

– Owszem. Jednak dziś wieczorem zdałam sobie sprawę, że mogę oddać do wroga tylko cztery strzały. Dwa pociski powinnam mieć w zapasie, rozumiesz?

– Dwa?

– Jeden dla Toma i jeden dla siebie. – Spojrzała na niego ze smutkiem. – Jak myślisz, co by mu zrobili? W najlepszym razie przebiliby go bagnetem. Czy nie mam racji?

– Nie wiem. – Wolał o tym nie myśleć.

– No cóż, ja wiem. Dlatego potrzebowałabym dwóch pocisków. Problem jednak w tym, że nie mam do siebie zaufania. Dzisiaj to do mnie dotarło. Wiedziałam, co powinnam zrobić, ale raczej bym się na to nie zdobyła. Okropnie się bałam, że się zawaham, a potem będzie za późno.

– Dzięki Bogu nie było takiej potrzeby. A teraz jest już po wszystkim.

– Ale co będzie następnym razem?

– Nie będzie następnego razu.

– Nie wiadomo. – Westchnęła. – W takim wypadku… Strasznie mi przykro, ale wówczas ty będziesz musiał to zrobić.

– Prosisz mnie, żebym zastrzelił własnego wnuka? – Trader spojrzał na nią z przerażeniem. – Powinnaś porozmawiać o tym ze swoim mężem, Emily, nie ze mną.

– Henry ma dość odwagi, żeby to zrobić, ale obawiam się, że mógłby odmówić. Jego wiara może mu na to nie pozwolić.

– Jego wiara?

– On bardzo mocno wierzy, papo.

Trader nic na to nie odpowiedział.

– Obiecasz mi, że to zrobisz?

Trader się zawahał. Pomyślał o Tomie i o chińskich bagnetach.

– Przecież mogę zginąć pierwszy – zauważył.

– Nie rób tego, bardzo cię proszę.

– Cixi chce rozejmu – oznajmił im nazajutrz MacDonald. – Właśnie otrzymaliśmy wiadomość z jamenu Tsungli: wszystko należy potraktować jako zwykłe nieporozumienie. Dobre sobie! Cixi osobiście wyraziła swoje ubolewanie.

– Najadła się strachu – stwierdził Trader. – Ciekawe, czy chodzi o ten wybuch, czy też kryje się za tym coś więcej?

– Podobno naszym posiłkom udało się wreszcie przebić i podążają w górę kanału. Jedenaście tysięcy żołnierzy! Zapewne dowiedziała się o tym wczorajszego wieczoru.

– Czyli to była ostatnia próba zdobycia legacji, tak jak myślałem.

– Prawdopodobnie – przyznał MacDonald. – Miejmy nadzieję, że nasi wkrótce tu dotrą.

Dziwnie było przechadzać się znów po legacji bez konieczności wypatrywania chińskich snajperów i krycia się przed ich ostrzałem. Drugiego dnia rozejmu Trader wspiął się nawet na mur, skąd obserwował Chińczyków zbierających spod barykad ciała swoich zabitych. Spoglądając w kierunku Miasta Cesarskiego, widział mongolski targ po zachodniej stronie brytyjskiej legacji; ku swemu zdumieniu dostrzegł, że na placu stoi kilka straganów z żywnością. Zobaczył też starego Chińczyka, który ze skrzynką jaj na plecach torował sobie drogę przez targ, zmierzając w stronę brytyjskiej barykady. Trader odwrócił się jeszcze, żeby spojrzeć na wschód, gdzie za kanałem w Fu Emily krzątała się wśród konwertytów.

Schodząc z muru, potknął się i przewrócił. Na szczęście nie odniósł żadnych widocznych obrażeń. Właściwie nie było się czym przejmować, lecz głos rozsądku nakazał mu iść do izby chorych.

Infirmeria, powiększona o kilka starych magazynów, robiła imponujące wrażenie. Przyjmowało tam dwóch lekarzy; w nagłych wypadkach pomagało im kilka pielęgniarek, z których dwie same były w pełni wykwalifikowanymi lekarkami. Jak zauważył Henry, można tam było liczyć na lepszą opiekę niż w czasach pokoju. Dwie lekarki-pielęgniarki zbadały go dokładnie, stwierdziły skręcenie nogi w kostce i odesłały go do domu. Wcześniej otrzymał kulę z zaleceniem, aby na razie się z nią nie rozstawał; szybko jednak zastąpił ją hebanową laską ze srebrną główką, pożyczoną od MacDonalda, która według Tradera wyglądała znacznie lepiej.

– Tak się cieszę, ojcze – powiedziała Emily z uśmiechem – że nie straciłeś nic ze swej próżności.

Rozejm zdawał się obowiązywać również w kolejnych dniach. Oddawano co prawda sporadyczne strzały w kierunku położonej nieco dalej katolickiej katedry, ale poza tym panował spokój.

Pewnego dnia, zbudziwszy się z popołudniowej drzemki na werandzie, Trader ujrzał nad sobą twarz Toma.

– Śpisz, dziadku? – zapytał chłopiec.

– Już nie.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Śmiało.

– Fargo twierdzi, że wszystkie te kłopoty z Chińczykami to nasza wina, bo sprzedawaliśmy im opium, przez które ludzie chorują. Czy to prawda?

– No cóż… – Trader się zawahał. – To trochę bardziej skomplikowane. Chińczycy mieli własne zapasy opium, ale to prawda, że od nas kupowali go całkiem sporo. Sęk w tym, że chcieliśmy im sprzedawać różne rzeczy – bawełnę, wyroby przemysłowe – lecz ich nie interesowało nic poza opium.

– Czy opium naprawdę jest takie szkodliwe?

– Sądzę, że nie różni się szczególnie od innych używek. To w zasadzie lekarstwo, a Chińczycy lubili je palić, tak jak my lubimy sączyć brandy. Jeśli jednak pali się za dużo opium, można wpaść w nałóg, co zwykle kończy się chorobą. Tak samo jest z piciem brandy, skoro już o tym mowa. – Trader pokiwał głową z mądrą miną. – We wszystkim trzeba znać umiar, Tom. Umiarkowanie to sekret udanego życia.

– Matka mówi, że Chińczycy nie chcieli wpuszczać do swojego kraju cudzoziemców, z misjonarzami włącznie, i że nadal chcieliby zamknąć przed nami granice.

– To prawda. Zdarza się, że jakieś państwo przez wieki jest odcięte od świata zewnętrznego, jednak prędzej czy później ten świat puka do drzwi, a wówczas coś musi się zmienić. Tak właśnie było z Japonią, gdzie przecież nie handlowano opium.

– Więc to Chińczycy byli w błędzie, a my mieliśmy rację?

– Nie ująłbym tego w ten sposób. Idąc przez życie, przekonasz się na własnej skórze, że tak naprawdę wszystko zależy od sprawnego rozwiązywania konfliktów.

– Hm. – Tom nie wyglądał na przekonanego. Naraz przyszło mu do głowy coś nowego. – Dziadku?

– Tak?

– Czy gdybyś mógł przeżyć swoje życie od początku, wyjechałbyś do Chin, żeby handlować opium?

Trader milczał. Pomyślał o Kantonie, o Makau, by po chwili wrócić wspomnieniami do Kalkuty.

– Wydaje mi się – odrzekł – że pozostałbym w Indiach. – Powoli skinął głową i uśmiechnął się do wnuka. – Wiesz, że to tam poznałem twoją kochaną babcię? – dodał. Na swój sposób był przekonany, że mówi prawdę.

– A co byś robił, gdybyś został w Indiach?

– Zapewne handlowałbym herbatą. Dziś wybrałbym to zajęcie. Tak się zresztą składa, że mój syn, a twój wuj, jest kupcem herbacianym. Handluje indyjską herbatą, ale wtedy nie było to jeszcze możliwe.

– Czy gdybyś nie handlował opium, ktoś inny by to robił?

– Och, niektórzy z pewnością nie przepuściliby takiej okazji. Nie mam co do tego wątpliwości. – Trader zamilkł. – Jak widzisz, na wszystko jest odpowiedni moment – dodał. – Liczy się to, co można zrobić i kiedy. – Chłopiec nadal wyglądał na zdezorientowanego. – A teraz – zakomenderował – chodź ze mną.

Nie bez wysiłku wstał i ruszył sztywnym krokiem przez trawnik. Ujmując mocno hebanową laskę, wbił ją okuciem w darń tak mocno, że stanęła pionowo.

– Powiedzmy, że to jest bramka do krykieta – odezwał się. – Chcę, żebyś rzucił piłką tak, aby odbiła się od ziemi tylko raz i przeszła tuż ponad czubkiem laski.

Przez kolejne pół godziny obserwował, jak Tom rzuca piłką – nawiasem mówiąc, niezwykle celnie. Podchodził, podnosił ją, znowu rzucał i tak raz za razem. Było to dobre ćwiczenie dla chłopca i powstrzymało go od zadawania dalszych pytań.

Lipiec przeszedł w sierpień, dni mijały leniwie. Dla Tradera był to dziwny, niemal nierealny czas.

Wciąż trwał rozejm, choć czasami zdawało się, że wisi on na włosku. Obie strony naprawiały swoje umocnienia. Trader zauważył, że po wschodniej stronie legacji, za murami Fu, chińscy żołnierze bez większego przekonania odbudowują swoje barykady, podczas gdy od zachodniej strony, za mongolskim targiem, cesarskie oddziały zajmowały się umacnianiem redut,

tak jakby lada dzień miał nastąpić ponowny atak; ich groźne miny sugerowały, że byliby bardzo zadowoleni z takiego obrotu spraw.

Całkiem możliwe, że odzwierciedlało to stanowisko dwóch przeciwstawnych frakcji w Zakazanym Mieście.

Wieści o nadciągającej odsieczy były już pewne: posiłki zmierzały kanałem ku miastu, lecz żołnierzom brakowało łodzi. Spowalniała ich też armata, mimo to spodziewano się ich przybycia już za tydzień, najdalej za dziesięć dni.

Główny problem stanowiła żywność, a raczej jej brak. Jamen Tsungli wysyłał co prawda kosze owoców, a drobni handlarze przychodzili na plac, żeby handlować jajkami i kurczakami, lecz zapasy podstawowych produktów spożywczych w legacji stale się kurczyły.

„Musimy po prostu jakoś dotrwać do czasu przybycia odsieczy i nie umrzeć z głodu” – stwierdziła Emily.

Z nudów ludzie zaczęli strzelać zza barykad w nadziei upolowania czegoś, co nadawałoby się do jedzenia. Zapasów nigdy za wiele, pomyślał Trader.

Pewnego słonecznego, sierpniowego poranka postanowili wybrać się z Tomem na wspólny spacer.

– Zrobimy przegląd naszych umocnień – zwrócił się z uśmiechem do Emily.

– Bądźcie ostrożni – poprosiła.

– Naturalnie – odparł.

Tego dnia Trader był z siebie całkiem zadowolony. Mimo że nadal chodził o lasce, jego noga sprawowała się coraz lepiej i mógł już niemal w pełni ją obciążać. Gdy wyruszali, z rozbawieniem zauważył, że wnuk jak zwykle chowa do kieszeni piłkę do krykieta.

– Wiesz, że nie będziemy dzisiaj grali? – zagadnął Toma, a gdy wnuk nie zareagował, uśmiechnął się pobłażliwie i stwierdziwszy, że to w zasadzie nie ma znaczenia, powiódł chłopca do pierwszego punktu obserwacyjnego.

Wspinając się po kamiennych stopniach na szeroki parapet muru obronnego, zachowywał wielką ostrożność. Nie chciał znowu się potknąć i upaść, tak jak ostatnio. Udało mu się w miarę łatwo pokonać schody, a jeśli nawet raz czy dwa skrzywił się z bólu, Tom niczego nie zauważył.

Przez kilka minut podziwiali widoki, potem wrócili do legacji brytyjskiej i przeszli przez cały jej teren, aż do północnego krańca. Odkąd zaczął obowiązywać rozejm, udało się solidnie wzmocnić mur oddzielający legację od spalonej chińskiej biblioteki.

– Będą musieli się sporo natrudzić, żeby się tędy przebić – zauważył Trader – o ile, rzecz jasna, ponownie spróbują nas zaatakować.

Pomyślał, że miejsce, w którym obecnie się znajdują, przypomina właściwie spokojny, ogrodzony ogród. Już mieli ruszyć dalej, gdy Tom pociągnął go za rękaw.

– Dziadku – szepnął – słyszałeś to?

– Co? – Jak na człowieka w swoim wieku, Trader mógł się poszczycić całkiem dobrym słuchem, tym razem musiał jednak przyznać, że nie słyszał niczego dziwnego.

Czekał cierpliwie, podczas gdy znieruchomiały Tom nasłuchiwał w skupieniu.

– Spod ziemi dochodzi ledwie słyszalne skrobanie!

– Jesteś pewien?

– Tak.

– Psiakrew – mruknął Trader. – Znowu zaminowują chodnik. To tyle, jeśli chodzi o rozejm.

– Czy powinniśmy to komuś zgłosić, dziadku?

– Zdecydowanie. Po powrocie powiem o wszystkim MacDonaldowi.

Zapewne ruszyliby prosto do rezydencji, gdyby nie fakt, że podążając wzdłuż zachodniego muru legacji, natknęli się na żołnierza, który niósł pod pachą kurczaka.

– Skąd pan go ma? – zainteresował się Trader.

– Z mongolskiego targu. Jest tam otwartych kilka straganów.

– Och, dziadku, kupmy coś dla mamy! – zawołał Tom.

– No nie wiem. – Trader się zadumał. – W zasadzie nam nie wolno. Komitet żywnościowy prosił wszystkich o gromadzenie zapasów żywności w jednym miejscu do czasu zakończenia oblężenia.

– To może chociaż kupimy kilka jajek? – Tom nie rezygnował.

Trader nie odpowiedział. Skręcili jednak w wąską uliczkę prowadzącą na mongolski targ i wyjrzeli zza rogu.

Pośrodku niewielkiego placu stało raptem z pół tuzina straganów. Na szerokich, osmaganych wiatrem twarzach mongolskich handlarzy malował się wyraz dziwnej obojętności, jakby chcieli powiedzieć: „Naszą ojczyzną

jest step, nic nam do waszych sporów”. Wyglądało na to, że sprzedają jajka, kurczaki i jakieś słodycze – żadne frykasy, ale przynajmniej byłoby coś na ząb.

Trader omiótł czujnym spojrzeniem niskie zabudowania znajdujące się po przeciwległej stronie placu. Czy gdzieś tam mogli się ukrywać snajperzy? Żołnierz z kurczakiem nie wspominał o żadnym zagrożeniu; Trader mógł jedynie żałować, że na targu nie kręci się więcej ludzi.

Zauważyła ich stara mongolska handlarka, dźwignęła z ziemi koszyk i podszedłszy bliżej, przechyliła go, pokazując ułożone w nim jajka. Przystając kilka stóp od nich, na migi dała im do zrozumienia, że jeśli pójdą za nią, może mieć dla nich inne, lepsze towary. Przy wskazanym przez nią straganie jakiś człowiek w średnim wieku, być może jej syn, trzymał za szyję chudą kurę, która apatycznie machała skrzydłami. Skinął na nich, a kobieta gestem kazała im iść obok siebie, jakby mogła w ten sposób zapewnić im bezpieczne przejście do straganu.

Podekscytowany Tom podniósł wzrok na Tradera.

– Możemy tam pójść, dziadku? – zapytał błagalnym tonem.

– Chyba tak – mruknął Trader.

Przeszli przez pusty targ i dotarli do straganu, gdzie przyjrzeli się wychudzonym kurczakom i innym oferowanym towarom. Mongoł z zainteresowaniem przyglądał się Traderowi. Najwyraźniej wywnioskował, iż ów wysoki dżentelmen z hebanową laską i czarną przepaską na oku musi być bogatym człowiekiem, bo nagle chwycił kosz z jajami, włożył trzy żywe kurczaki do drewnianej skrzynki i wręczył to wszystko Traderowi, mówiąc krótko:

– Juana.

– Juana? Chcesz za to jednego juana?! – wykrzyknął Trader ze zdumieniem, po czym wybuchnął śmiechem. W ramach najnowszych działań mających na celu wzmocnienie gospodarki rząd chiński wyemitował nową, cenną srebrną monetę zwaną juanem. Trader rozczapierzył palce jednej ręki. – Pięć fenów – odrzekł. Była to równowartość pięciu centów, jedna dwudziesta juana i całkiem dobra cena, nawet w czasie wojny.

Mongoł wyglądał na rozczarowanego; podsunął im pół tuzina jaj, dając do zrozumienia, że tylko tyle mogą kupić za pięć fenów. Trader pokręcił głową i wskazał na kurę, którą handlarz miałby jeszcze dołożyć. Rzucił przy tym wnukowi ukradkowe spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „Patrz, jak należy umiejętnie się targować”. Mongoł się zastanawiał. Nie zdążyli

jednak dowiedzieć się, czy przystałby na ich ofertę, ponieważ nagle wzrok handlarza przesunął się ponad głową Toma i spoczął na czymś, co znajdowało się za plecami chłopca. Trader się odwrócił.

Stojący za nimi mężczyzna był ubrany na czerwono. Bokser, rzecz jasna; przykucnąwszy w znanej z kung fu pozycji tygrysa, z lekkim mieczem jian w ręce, zatarasował sobą dostęp do uliczki, którą dostali się na targ, tak że znaleźli się w pułapce.

Skąd się tu wziął, u licha? – zastanawiał się Trader. Musiał prześlizgnąć się przez którąś z barykad. I jak w ogóle znalazł się w tej części miasta? Przecież siły bokserów wycofały się ze stolicy.

Napastnik zaczął się do nich zbliżać, cały czas poruszając się na ugiętych nogach. Trader rzucił szybko okiem za siebie, na Mongołów, lecz ci beznamiętnie im się przyglądali i najwyraźniej nie zamierzali się wtrącać.

Starszy pan mógł zrobić tylko jedno. Nie spuszczając wzroku z boksera, zawołał cicho do Toma:

– Trzymaj się za mną, dopóki nie dam ci znaku. Wtedy ile sił w nogach pobiegniesz w kierunku uliczki. Zrozumiałeś? Nie zadawaj żadnych pytań. Masz zrobić dokładnie to, co powiedziałem. Zgoda?

– Tak, dziadku.

– Dobrze. – Trader powoli ruszył w stronę boksera, unosząc jednocześnie do góry hebanową laskę. Dawno nie parał się szermierką, powinien jednak być w stanie zająć na chwilę napastnika – dostatecznie długo, żeby chłopiec zdążył uciec. Stwierdził, że gdyby nawet przyszło mu zginąć, nie byłby to najgorszy sposób na odejście z tego świata.

Oczywiście mogło mu się też poszczęścić. Gdyby zdołał trafić laską w oko Chińczyka, on i Tom mieli szansę wyjść cało z opresji.

– A zatem, mój czerwono odziany przyjacielu – mruknął – przekonajmy się, czy jesteś dobrym szermierzem.

Posuwając się naprzód, przyjął pozycję *en garde*: koniec laski trzymał wzniesiony do góry i wycelowany w przeciwnika.

– Przygotuj się, chłopcze! – zawołał do wnuka, po czym zamarkował uderzenie.

Bokser dał się zwieść; zamachnął się, żeby odeprzeć atak, który nie nastąpił, przez co na ułamek sekundy się odsłonił. Trader tylko na to czekał; natarł na niego, szybki jak błyskawica.

A raczej natarłby, gdyby nie przecenił sprawności swojej nogi. Skręcona kostka nie wytrzymała obciążenia, noga ugięła się pod nim i zanim się obej-

rzał, padł twarzą na ziemię. Kiedy bezradnie podniósł wzrok na przeciwnika, zobaczył, że bokser z uśmiechem unosi miecz.

– Uciekaj, Tom! – krzyknął. – Biegnij ile sił w nogach! – Nie widział wnuka, lecz na wszelki wypadek spróbował zamachnąć się laską, celując w kostki boksera, żeby zatrzymać go na miejscu i dać Tomowi więcej czasu na ucieczkę. Całe jego ciało napięło się w oczekiwaniu na cios; czy bokser pchnie go mieczem? Czy też może będzie ciął na oślep?

Nagle, ku swemu zdumieniu, usłyszał suchy trzask przypominający wystrzał z pistoletu. Bokser szarpnął się gwałtownie, zatoczył do tyłu i runął na ziemię jak rażony gromem. Odwracając głowę, Trader ujrzał młodego Toma, który z wyrazem triumfu na twarzy przypadł do jego boku, żeby pomóc mu wstać.

– Co się stało? – wymamrotał starszy pan.

– Trafiłem go moją piłką do krykieta! – zawołał Tom. – Prosto między oczy!

– Na Jowisza, rzeczywiście. – Trader przykląkł na jednym kolanie. Miecz nieprzytomnego Chińczyka leżał obok niego na ziemi. Bokser wydał głuchy jęk. – Szybko, Tom, zabierz mu miecz, zanim się ocknie! – nakazał wnukowi, który wykonał polecenie i mocno zacisnął dłoń na rękojeści. Bokser był oszołomiony, lecz z wolna odzyskiwał przytomność. Spróbował się podnieść.

– Czy mam go zabić, dziadku? – zawołał Tom z zapałem. – Z łatwością odrąbię mu głowę. – Z podniecenia niemal wyskoczył ze skóry.

– Nie teraz. Trzymaj miecz i pomóż mi wstać.

Chwilę później, obejmując ramieniem barki wnuka, ruszył chwiejnie w kierunku wąskiej uliczki. Bokserowi tymczasem z trudem udało się podźwignąć z ziemi, lecz zaraz znowu upadł. Dotarłszy do wylotu uliczki, przyspieszyli kroku i wkrótce byli już bezpieczni.

– Żałuję, że nie pozwoliłeś mi go zabić, dziadku – poskarżył się Tom.

– Wiem, chłopcze – odparł Trader. – Ale twojej matce to by się nie spodobało.

Dotarli bezpiecznie do legacji i skierowali się do rezydencji, gdy naraz z ust Toma wyrwało się niewinne przekleństwo.

– Co się stało? – zaniepokoił się jego dziadek.

– Zostawiłem na targu piłkę do krykieta. Mogę po nią wrócić?

– Nie – odrzekł stanowczo Trader. – Obawiam się, że to wykluczone.

W rezydencji zastali zarówno Emily, jak i Henry’ego i czym prędzej opowiedzieli im o swojej przygodzie. Emily była zachwycona, że obaj wrócili żywi do domu, nie omieszkała jednak spojrzeć na ojca z lekkim wyrzutem.

– Czego właściwie szukaliście na mongolskim targu? – chciała wiedzieć.

– Kupowaliśmy kurę i jajka – odpowiedział Tom. – Dla ciebie.

– Rozumiem – odrzekła Emily, nie odrywając wzroku od syna. – No cóż, cieszę się, że jesteście już bezpieczni.

– Nie powinienem się tam zapuszczać – przyznał Trader ze wstydem. – Tom uratował mi życie, trafiając napastnika w czoło tą piłką do krykieta.

– Ma potężny zamach. – Henry się roześmiał.

– Istotnie. – Trader z namysłem pokiwał głową. – To rodzinne.

– Czyżby? – zdziwiła się Emily.

– Raz też czymś w kogoś rzuciłem. Stare dzieje… Opowiem ci innym razem.

– Jestem z ciebie bardzo dumny, Tom, że ocaliłeś życie dziadkowi – rzekł z powagą Henry.

Tom aż promieniał.

– Wcześniej byliśmy przy murze starej chińskiej biblioteki – ciągnął. – Słyszeliśmy coś, o czym według dziadka natychmiast powinien się dowiedzieć sir Claude.

Jeszcze zanim skończył, rozległo się pukanie do drzwi i stanął w nich wspomniany dżentelmen we własnej osobie.

– Czy ktoś wymienił moje nazwisko? – zapytał z uśmiechem.

– Słyszeliśmy coś, o czym powinien pan wiedzieć – powiedział Trader. – To znaczy ja nie, ale młody Tom ma lepszy słuch. Powiedz sir Claude’owi, co słyszałeś, chłopcze.

Tom opisał dochodzące spod ziemi skrobanie, na co MacDonald z powagą skinął głową i stwierdził, że Chińczycy zapewne znowu zaminowują chodnik. Trader przyznał mu rację.

– Świetnie się spisałeś, mój mały – zwrócił się MacDonald do Toma. – Nawiasem mówiąc, zajrzałem do was dlatego, że przez mur legacji od strony mongolskiego targu przerzucono właśnie pewien przedmiot. Coś mi mówi, że należy on do ciebie. – Ku uciesze chłopca minister wręczył mu piłkę do krykieta. – Muszę przyznać, że ci Mongołowie zachowali się bardzo szlachetnie – dodał. – Może powinniśmy jednak nauczyć ich grać w krykieta?

Nazajutrz rano MacDonald i Trader spotkali się przy drzwiach wejściowych.

– Postawiłem trzech ludzi przy starej chińskiej bibliotece. Dodatkowo jeden z naszych lekarzy położył na ziemi płytę rezonansową i nasłuchuje odgłosów stetoskopem. Niezwykle pomysłowe rozwiązanie. Chciałbym pana prosić o przysługę – ciągnął minister z ożywieniem. – Muszę pożyczyć od Henry'ego jego teleskop. Należy coś sprawdzić.

Wrócił w południe, wielce zafrasowany.

– Miał pan rację, zaminowują chodnik pod starą biblioteką. Próbujemy teraz ustalić, gdzie poza tym kopią. Mam jeszcze jedną nowinę, obawiam się, że nie najlepszą. Wdrapałem się na mur z teleskopem Henry'ego. Do Pekinu przybyły nowe mandżurskie chorągwie, widziałem je jak na dłoni. Wygląda więc na to, że przynajmniej jeden z gubernatorów odpowiedział na wezwanie Cixi i przysłał jej wsparcie. To nie wszystko: bokserzy również wrócili, i jest ich wielu.

– To dlatego ten łajdak pojawił się na mongolskim targu. – Trader westchnął.

– Najwyraźniej. Według ostatnich meldunków nasze siły dzieli od stolicy jeszcze około pięciu dni drogi, choć, jeśli mam być szczery, osobiście nie polegałbym na tych doniesieniach. W przeciwieństwie do mnie, Cixi zapewne dokładnie wie, gdzie znajduje się odsiecz. Pytanie brzmi, która opcja zwycięży w Zakazanym Mieście: umiarkowani czy bojownicy? Jeśli to drugie, lada dzień powinniśmy się spodziewać kolejnego potężnego natarcia.

Cóż by to była za ironia losu, myślał Trader, gdyby ich rozpaczliwe wysiłki ostatecznie spełzły na niczym. Walka, głód, choroby, poświęcenie, uratowanie mu życia przez wnuka, jego własne pożałowania godne próby wzmocnienia wiary Henry'ego – to wszystko miałoby pójść na marne? Czyżby miało się okazać, że obrońcy legacji – żołnierze, kobiety, dzieci i konwertyci – zginą co do jednego na kilka godzin przed przybyciem odsieczy?

Oczywiście nie podzielił się z nikim swoimi przemyśleniami – nie miałoby to żadnego sensu. Kuśtykał, usiłując zachować pogodny wyraz twarzy, przekonany, że całkiem nieźle mu to wychodzi, aż pewnego dnia Emily podeszła do niego, objęła go ramieniem i powiedziała:

– Biedny papa. Taki jesteś smutny…

– Skądże – zapewnił ją. – Tylko ta przeklęta noga daje mi się we znaki.

Córka ścisnęła mocno jego ramię, choć czy mu wierzyła, to już inna sprawa.

Minął tydzień. Nikt nie chciał rozmawiać o zagrożeniu ze strony chińskich chorągwi i bokserów; ludzie woleli dzielić się pogłoskami o nadchodzącej odsieczy. Można też było czerpać pewną pociechę z faktu, że każdy dzień, w którym nie doszło do szturmu, oznaczał, iż oblegający mają coraz mniej czasu na jego podjęcie.

Wróg nie ustawał jednak w drążeniu i zaminowywaniu chodników, a ostrzał snajperski z każdym dniem coraz bardziej się nasilał, tak że rozejm w zasadzie przestał obowiązywać.

Co do Tradera, tak jak pozostali odliczał dni i godziny dzielące ich od ocalenia, z tą wszakże różnicą, że sen z powiek spędzała mu obietnica złożona Emily w związku z Tomem.

Gdybyż tylko jego córka nie miała racji! Na tym polegał cały problem. Trader doskonale wyobrażał sobie, jak wyglądałoby natarcie bokserów uzbrojonych w miecze jian i wymachujących bagnetami oddziałów cesarskich. Dobrze wiedział, co napastnicy zrobiliby z chłopcem, i nie wątpił, że należy mu tego oszczędzić.

Wiedział jednak, że nie zdoła zabić chłopca, i ta myśl nie dawała mu spokoju. Tom ocalił mi życie, myślał, a mnie brakuje odwagi, żeby zapewnić mu godną śmierć. Wmawiał sobie, że musi to zrobić, lecz w głębi serca obawiał się, że mógłby zawieść wnuka. Modlił się żarliwie, aby odsiecz czym prędzej dotarła na miejsce.

Doszło do tego, że pewnego dnia po południu, gdy czytał Tomowi jakąś powieść przygodową, głos mu się załamał i nie był w stanie kontynuować. Chłopiec bardzo się tym zaniepokoił i zdziwił, lecz Trader wyjaśnił mu, że znowu dokucza mu skręcona noga.

I choć oczywiście zachował kamienną twarz, niewiele brakowało, a zapłakałby z ulgi, słysząc w końcu z ust MacDonalda długo wyczekiwaną nowinę: „Tym razem rzecz jest zupełnie pewna. Nasze wojska będą tu jutro!”.

Tej nocy panowały iście egipskie ciemności. Niespotykana dotąd cisza aż dzwoniła w uszach, w powietrzu czuć było elektryczność, jakby zanosiło się na burzę, która zresztą istotnie nadeszła. Na horyzoncie wyrósł wał

ciemnych, spiętrzonych chmur, zadudniły grzmoty, a niebo przecięła błyskawica.

W tym samym momencie, jakby na znak dany z niebios, z gardeł tysięcy mandżurskich chorążych i bokserów oblegających legacje buchnął straszliwy okrzyk, który zagłuszył nawet odgłos gromu.

– *Sha! Sha!* – Bij, zabij. – *Sha!*

MacDonald w kilka sekund znalazł się przy drzwiach wejściowych rezydencji. Żołnierze nadbiegali ze swoich posterunków z meldunkami o natarciu.

– Ogłosić alarm! – zawołał MacDonald i chwilę później dzwon na wieżyczce rozdzwonił się jak szalony.

A więc doszło do najgorszego! Trader stał z rewolwerem w ręku, mając przed sobą ścianę deszczu. Od ogłoszenia alarmu minęła godzina i nad legacjami rozpętała się ulewa. MacDonald dawno wyszedł i dotychczas nie wrócił. Wszyscy zdrowi mężczyźni, nie wyłączając Henry’ego, byli teraz na barykadach; gdyby nie noga, Trader również by do nich dołączył. Zamiast tego pełnił wartę na ganku od frontu rezydencji, w głębi której w salonie schroniły się lady MacDonald z córkami, podczas gdy Emily i Tom kulili się w zacisznym kącie w holu.

Chińczycy postanowili najwyraźniej skorzystać z ostatniej szansy na atak, bez względu na szalejącą burzę. Została im jedna noc, żeby zabić cudzoziemców i tych zdrajców konwertytów. Tylko jedna noc, aby ostatecznie odciąć swoją stolicę od świata zewnętrznego i powiedzieć nadciągającym wojskom, że nie ma już kogo ratować.

Trader wiele by dał za informację, co się właściwie dzieje. Chińskie okrzyki wojenne to przybierały na sile, to znów przygasały. Najchętniej opuściłby swój posterunek i poszedł na mury sprawdzić sytuację.

Naraz ze zdumieniem ujrzał nadbiegającego Henry’ego. Jego zięć był całkiem przemoczony, ale najwyraźniej cały i zdrowy.

– Jakie wieści? – zapytał go Trader.

– Na razie się trzymamy – rzucił Henry i zniknął w środku. Pięć minut później wrócił na ganek.

– Co powiedziałeś Emily i Tomowi? – chciał wiedzieć Trader.

– To samo co tobie, ojcze. Trzymamy się. – Henry umilkł i posłał teściowi smutne spojrzenie. – Między nami mówiąc, nie jestem pewien, czy

zdołamy się dłużej bronić. – Ze wzruszeniem uścisnął dłoń Tradera i odszedł.

Trader zrozumiał: Henry przybiegł, żeby ostatni raz zobaczyć się z żoną oraz synem i żeby pożegnać się z teściem.

Zerknąwszy do środka przez uchylone drzwi, dostrzegł tylko rąbek spódnicy Emily. Toma nigdzie nie widział. Sam chętnie wszedłby do środka, pozostał jednak na stanowisku. Mijały kolejne minuty, a on stracił rachubę czasu.

Czuł się tak, jakby znalazł się w sennym koszmarze, gdzie czas i przestrzeń kształtowane były przez deszcz, krzyk i nieludzkie wrzaski oraz huk wybuchających wokół niezliczonych pocisków. Czasami zgiełk narastał i zdawał się przybliżać, kiedy indziej znów cichł, ale Trader nie potrafił stwierdzić, czy się oddala. Tej nocy odzyskiwał poczucie rzeczywistości jedynie w tych momentach, gdy ciemności rozświetlała nagła błyskawica, a w jej świetle ukazywały się wygięte dachy pobliskich budynków, lśniące w deszczu niczym ostrza mieczy i noży.

To chyba już długo nie potrwa, pomyślał. Wiedział, co zrobi, kiedy Chińczycy w końcu się przebiją: zostanie tu, gdzie jest, i będzie strzelał dopóty, dopóki go nie rozsiekają.

Nie chciał oglądać śmierci swojej córki ani Toma. Czy to było z jego strony egoistyczne? Chyba nie; skoro nie było już nadziei, Emily będzie musiała zrobić to, co uzna za stosowne. I chociaż próbowała zrzucić odpowiedzialność na niego, wierzył, że córka postąpi właściwie, niezależnie od tego, co wcześniej mówiła.

Co do niego, wolałby zginąć od kuli już teraz, zamiast przedłużać tę męczarnię oczekiwania.

Na ogród posypały się pociski z działka Kruppa. Czy napastnicy wiedzieli, w co celują? Czy za jakiś czas się zreflektują i zamiast ogrodu ostrzelają rezydencję? Nie zważając na deszcz, Trader wysunął się powoli na trawnik i stanął przed linią ognia. Właściwie nie był świadomy, co robi. Pocisk trafił w drzewo oddalone od niego zaledwie o dwadzieścia stóp.

Chwilę później zauważył, że ktoś znowu spieszy ku rezydencji. Wytężył wzrok i zmarszczył brwi.

– Co pan tu robi, do diabła? – zapytał.

Przed nim stał Backhouse.

– Pomyślałem, że do was zajrzę.

– Lepiej poszedłby pan walczyć na barykadach razem z innymi.

– Już tam byłem, ale potem zjawił się MacDonald i chyba uznał, że zawadzam pozostałym. Nie wiem, o co mu chodziło, w każdym razie wysłał mnie tutaj, żebym panu pomógł.

– Niech pan nie wchodzi do środka, nie ma potrzeby niepokoić mieszkańców. Może pan stać tutaj, na zewnątrz.

– Jeśli staniemy na ganku, też będziemy na zewnątrz, ale przynajmniej nie zmokniemy.

Trader nic na to nie odpowiedział.

– Zostając tu, gdzie teraz, znajdzie się pan wkrótce na linii ognia – zauważył słusznie Backhouse.

Trader znów nie zareagował, ale niechętnie cofnął się na ganek. Przez kilka minut stali obaj w milczeniu. Naraz pocisk wystrzelony z działka Kruppa eksplodował na trawniku, dokładnie tam, gdzie stał wcześniej Trader.

– No proszę – powiedział Backhouse. – MacDonald miał rację, że mnie tutaj przysłał. Właśnie uratowałem panu życie.

– Szlag by cię trafił!

Po krótkiej chwili Backhouse odezwał się ponownie.

– Coś mi się wydaje, że szuka pan śmierci, panie Trader. Mam rację?

– Nie.

– Jeśli Chińczycy się tu przedrą – a bardzo możliwe, że tak się stanie – będziemy stanowili pierwszą linię obrony rezydencji.

– To oczywiste. Zakładam, że ma pan broń.

– O tak. W zasadzie całkiem dobrze strzelam. Może uda nam się przez jakiś czas utrzymywać ich na dystans, ale prędzej czy później przedostaną się do rezydencji, a my nic nie zdołamy na to poradzić. Kto tam teraz jest?

– Lady MacDonald z córkami, moja córka, pani Whiteparish oraz jej syn.

– Czy lady MacDonald jest uzbrojona?

– Nie wiem. Ale moja córka ma rewolwer.

– Jeśli Chińczycy dostaną się do środka, pańska córka powinna go użyć, żeby zabić siebie, no i oczywiście swojego syna.

– Pilnuj pan własnego nosa!

– Chyba że sam zamierza pan to zrobić, zakładając naturalnie, że będzie pan miał taką szansę.

– Nie pańska sprawa.

– Mogę pana zastąpić, jeśli pan sobie życzy.

– Pan? – Trader z przerażeniem spojrzał na Backhouse’a. Ta kreatura miałaby zastrzelić Emily i Toma? Dobył swojego webleya i wycelował broń w pierś intruza.

– Wynoś się pan stąd! – krzyknął. – I to już, albo przysięgam na Boga, że pana zabiję!

Backhouse, widząc, że starszy pan nie żartuje, wycofał się z gracją, lecz pospiesznie.

Trader pozostał sam i trwał tak, częściowo moknąc na deszczu, wśród nieustającej kanonady grzmotów i wystrzałów artyleryjskich, niczym wysoka, odwieczna skała na szkockim wzgórzu, ponury i posępny, bez nadziei na ocalenie.

W najciemniejszej godzinie nocy, tuż przed świtem, na wschodzie rozległ się kolejny głuchy huk, a zaraz po nim – głośne wiwaty. Przypuszczając, że to Chińczycy wdarli się do legacji, Trader dobył broń i wycelował ją, gotów zastrzelić pierwszego boksera albo żołnierza mandżurskiej chorągwi, który odważyłby się do niego zbliżyć.

Wkrótce istotnie ujrzał nadbiegającą postać, która w ostatniej chwili zawołała:

– To ja, Henry!

Tradera ogarnęła radość na myśl, że razem polegną, do końca walcząc ramię w ramię.

– Słyszał ojciec te potężne działa na wschodzie? – wykrzyknął Henry, wpadając na ganek.

– Działa? Myślałem, że to grzmoty.

– Nie. To nasze działa! Przybyła odsiecz! Jesteśmy uratowani!

Kolejne miesiące zapisały się w pamięci Emily wieloma wspomnieniami. Przybycie odsieczy wprawiło wszystkich w uniesienie: aż miło było patrzeć na wkraczających do miasta Brytyjczyków, Amerykanów, Rosjan, Francuzów, Niemców, Japończyków, a być może najbardziej na tych wspaniałych sikhów z Indii. Najlepiej jednak zapamiętała moment, w którym samotny oficer – pierwszy, jakiego zobaczyli – wkroczył na trawnik brytyjskiej legacji i niepewny, gdzie się właściwie znajduje, został powitany przez samą lady MacDonald pamiętnymi słowami: „Nie wiem, kim pan jest, ale bardzo się cieszymy, że pana widzimy”. Z tyłu za nią tłoczyła się grupka kobiet, wszystkie wystrojone jak na przyjęcie dyplomatyczne.

Drugie miejsce w hierarchii pamiętnych zdarzeń zajęła reakcja jej drogiego ojca, który na wieść, że cesarzowa wdowa Cixi zdołała wymknąć się nocą z Zakazanego Miasta i nigdzie nie można jej znaleźć, zauważył uradowany: „A więc jednak dała drapaka! Ucieczka pod osłoną nocy – można by pomyśleć, że nie stać jej było na zapłacenie czynszu!”.

Z kolei trzecie wydarzenie bardzo nimi wstrząsnęło.

Dzień po przybyciu odsieczy i ucieczce Cixi dokonano odkrycia dwóch chodników minowych wykopanych przez Chińczyków – przy czym żaden nie był tym, który Tom namierzył po północnej stronie legacji. Nikt o nich nie wiedział, a wewnątrz znajdowały się ogromne ilości materiałów wybuchowych, uzbrojonych i gotowych do detonacji. Dlaczego nie zostały użyte? Nigdy się tego nie dowiedzieli. Emily była z ojcem, mężem i Tomem, kiedy MacDonald przyszedł im to oznajmić.

– Gdyby wybuchły – stwierdził – z legacji nie pozostałby kamień na kamieniu. Wszyscy wylecielibyśmy w powietrze.

Zauważyła, że jej ojciec położył wtedy rękę na ramieniu Henry’ego i rzekł do niego cicho:

– Jeśli to nie jest widomy przejaw boskiej opatrzności, to nie wiem, co mogłoby nim być. – Henry zaś niespodziewanie wybuchnął płaczem, a Emily nie do końca wiedziała dlaczego.

Kolejne miesiące upłynęły im stosunkowo spokojnie. Bunt bokserów nie został całkowicie stłumiony i chociaż chrześcijanie ukrywający się w Dzielnicy Legacji oraz w katolickiej katedrze ocaleli, w północnych prefekturach jeszcze niemal przez rok dochodziło do straszliwych masakr, głównie katolików, które trwały aż do wygaśnięcia powstania.

W tym czasie cesarzowa Cixi, która salwowała się ucieczką w przebraniu, pojawiła się ponownie w prowincjach centralnych, skąd rozpoczęła tournée dyplomatyczne po najstarszych chińskich miastach, aby uzgodnić warunki swojego bezpiecznego powrotu do stolicy przy wsparciu zachodnich mocarstw.

Tymczasem do legacji wracało życie. Jesienią Tom został wysłany do Anglii w towarzystwie rodziny, która akurat się tam udawała. Henry’ego całkowicie zaabsorbowała misja, którą trzeba było odbudować, Emily zaś wzięła się do pisania długiego listu do swoich najbliższych, w którym zdała

im pełną relację ze wszystkiego, co się wydarzyło, podkreślając, rzecz jasna, rolę, jaką jej waleczny ojciec odegrał w całym przedsięwzięciu.

Ojciec zresztą bardzo ją zaskoczył. Przypuszczała, że wróci do Anglii razem z Tomem, on jednak oznajmił, że chciałby coś jeszcze zrobić przed wyjazdem i że może mu to zająć miesiąc albo dwa.

Oboje z Henrym bardzo się uradowali z jego towarzystwa, Emily nie ukrywała jednak zdumienia tym, jak bardzo ojciec jest zajęty. Odbywał rozmowy z dyplomatami i toczył długie dyskusje z Morrisonem, wiekowym sir Robertem Hartem oraz innymi osobistościami znającymi się na polityce zagranicznej. Wreszcie, po dwóch miesiącach, ukończył to, co zamierzył.

Jego raport, zatytułowany „Ułuda chińskich reparacji", nigdy nie został opublikowany, był jednak powszechnie czytany i z podziwem komentowany, stanowił bowiem istne arcydzieło.

– Widzisz – tłumaczył córce Trader – od kilku dekad mam takie czy inne związki z Chinami i doszedłem do wniosku, że wszyscy popełniliśmy ogromny błąd. Ilekroć dochodziło do konfliktu – a przecież według nas wojnę zawsze wywoływała druga strona, nie my – domagaliśmy się od Chińczyków odszkodowania na pokrycie własnych wydatków, a także po to, żeby zniechęcić ich do wszczynania dalszych kłopotów. Dotarło do mnie, że z taką polityką wiąże się sporo problemów. Po pierwsze, wytaczając argumenty natury moralnej i twierdząc, że winę ponosi zawsze ktoś inny, pogłębiamy jedynie wrogość między naszymi krajami. Po drugie, powołując się na własną moralną wyższość, musimy zwykle uciekać się do kłamstw, co w ogóle nam nie służy. Po trzecie, takie postępowanie wpędza zwycięską stronę w poczucie złudnego samozadowolenia, w związku z czym przestaje ona wsłuchiwać się w poglądy i potrzeby oponenta.

– Czy nie należy jednak bronić własnych racji, jeśli uważa się je za słuszne? – chciała wiedzieć Emily. – Zgodzisz się chyba, papo, że tak.

– Nie, jeśli to czyni z ciebie tyrana. Sprawy mają się następująco: przejrzałem bardzo skrupulatnie wyliczenia i ująłem wszystko w tabele. Za każdym razem doprowadzaliśmy ten kraj do ruiny. Pomyśl tylko: zależy nam, żeby Chiny otwarły się na handel z nami. Ilekroć odmawiają, bo z jakiegoś idiotycznego powodu postanowiły odciąć się od świata zewnętrznego, przybywamy, żeby zrujnować ich gospodarkę. Czy to ma przekonać Chińczyków do tego, żeby nas zaakceptowali? Czy w ogóle umożliwia im to wzrost handlu? Nie! Chcąc z powodzeniem prowadzić interesy – albo działania dyplomatyczne – należy przede wszystkim poznać punkt widzenia drugiego

człowieka i zrozumieć jego potrzeby, a następnie znaleźć sposób na to, aby postępowanie zgodne z naszymi oczekiwaniami leżało w jego własnym, dobrze pojętym interesie. Wymaga to, rzecz jasna, cierpliwości, ale każda inna droga na dłuższą metę przyniesie efekt przeciwny do zamierzonego. Musimy pomóc Chińczykom, a nie ich karać! Nazwij to oświeconym egoizmem albo jak sobie chcesz, ale tak właśnie powinniśmy czynić.

– Ten temat jest dla ciebie naprawdę bardzo ważny, ojcze.

– Tak, bo dopiero niedawno pojąłem to wszystko, co mój raport potwierdza czarno na białym.

– Chciałeś go napisać jeszcze przed swoim wyjazdem stąd?

– Tak, dopóki argumenty były świeże w moim umyśle, a ja miałem dostęp do takich ludzi jak Hart, będących źródłem rzetelnych informacji. Chciałem też, aby ujrzał światło dzienne, zanim znów zaczniemy domagać się reparacji za tę ostatnią awanturę.

Emily była taka dumna ze swego ojca! I chociaż obce mocarstwa po raz kolejny zażądały odszkodowań, z satysfakcją odnotowała, że w dość krótkim czasie cudzoziemcy, począwszy od Amerykanów, jedni po drugich zaczęli zwracać Chinom pieniądze – czasami w formie pomocy charytatywnej, czasami w postaci inwestycji, ale tak czy inaczej Chińczycy mogli je odzyskać.

Oczywiście jej ojciec wyjechał na długo przedtem, zanim do tego doszło.

Wypłynął statkiem, który mijał Makau, dzięki czemu podczas pożegnania Emily miała okazję trochę się z nim podroczyć.

– Będziesz mógł zejść na ląd i odwiedzić w Makau stare kąty – powiedziała. – Domyślam się, że wzbudzi to w tobie wiele romantycznych wspomnień.

– Och, masz na myśli swoją matkę?

– Nie. Wiem, że przed nią miałeś tam inną kobietę. Była w połowie Azjatką, prawda?

– Jak to, u licha, odkryłaś?

– Babcia mi powiedziała. Wiedziała o twojej kochance, matka zresztą też. Nigdy nie dokuczała ci z tego powodu?

– Nie. Właściwie nigdy o tym nie wspominała.

– Cóż, w każdym razie dobrze ci to zrobi. Bezpiecznej podróży, ojcze. Niech powrócą szczęśliwe wspomnienia!

Statek sunął z wolna w kierunku Makau. Większość pasażerów spędzała czas na pokładzie, ponieważ dzień był słoneczny, a widok na wyspę, z lśniącą bielą fasadą katedry Świętego Pawła wysoko na wzgórzu, doprawdy malowniczy. Mimo to Johna Tradera nie było na pokładzie.

Zachorował jeszcze przed wejściem na statek, z czego zresztą doskonale zdawał sobie sprawę, ale to już nie miało żadnego znaczenia. Jego bliscy byli bezpieczni, raport gotowy, a pora odpowiednia, żeby się pożegnać – również ze względu na Emily i Henry'ego. Cieszyli się nawzajem swoim towarzystwem, ale zawsze lepiej jest odejść, zanim rozstanie uraduje gospodarzy.

Lekarz okrętowy wszedł do jego kabiny. Był to życzliwy, rozsądny człowiek po czterdziestce, Irlandczyk nazwiskiem O'Grady. Z powagą popatrzył na Tradera.

– Zdaje pan sobie sprawę, że będę musiał wysadzić pana w Makau?

– Dlaczego?

– Ma pan zapalenie płuc.

– Wiem o tym.

– Świeże powietrze i słońce Makau może jeszcze zdołają pana uratować.

– Chcę płynąć dalej.

– W takiej sytuacji nie mogę ręczyć za pana życie.

– To oczywiste. Ale może mnie pan pochować.

– Na morzu? Tego pan pragnie?

– Tak.

– Nie wolno mi robić takich rzeczy.

– Napisze pan oświadczenie, żeby się zabezpieczyć, a ja je podpiszę. Choć nie sądzę, aby to kogokolwiek zainteresowało.

– Zapewne ma pan rację.

– Jak długo potrwa postój w Makau?

– Dwa dni.

– Jeśli pan pozwoli, spędzę jeden z nich w słońcu na pokładzie.

Lekarz zgodził się i Trader zrobił tak, jak powiedział, a gdy drugiego dnia po zmroku odbili od brzegu, z trudem pokonał drogę powrotną do swojej kabiny i zwalił się na łóżko.

Leżąc na posłaniu, myślał: „Gdybym nie dostał zapalenia płuc, pochowaliby mnie w Szkocji, a tego właśnie nie chcę". Wolał zostawić Drumlomond Lomondom; ostatecznie nigdy nie był jednym z nich. Kupił posiadłość w Szkocji, o której zawsze marzył, i przez wszystkie te lata z powo-

dzeniem odgrywał rolę pana na włościach, nadszedł jednak czas, aby ruszyć w dalszą drogę.

Gdzie zatem chciałby spocząć? Nie potrafił wyobrazić sobie żadnego odpowiedniego miejsca na stałym lądzie. Taki pochówek nie pasowałby do życia, jakie wiódł. Zresztą teraz i tak nie było już odwrotu. Jestem człowiekiem morza, pomyślał; niechże więc morze mnie przyjmie.

Późnym wieczorem zaczął zapadać się w mrok i tonął pod bacznym spojrzeniem doktora O'Grady'ego, a noc stawała się coraz czarniejsza. Czarna jak opium.

MANDAT NIEBIOS

JA TO UCZYNIŁEM. To moja zasługa. Ona wszystko przewidziała; aż do ostatniej chwili panowała nad sytuacją. Mimo to potrzebowała mnie, a ja nie zawiodłem.

Z tego, że ma jakiś sekretny plan – jestem bowiem pewien, że musiała go mieć – po raz pierwszy zdałem sobie sprawę niespełna dwa lata po jej powrocie do Pekinu po stłumieniu powstania bokserów. Dzień wcześniej wybrała się do Wschodnich Grobowców, żeby obejrzeć swoje mauzoleum, i wróciła stamtąd w doskonałym nastroju. Mauzoleum okazało się doprawdy imponujące; kiedy nadejdzie czas, zostanie w nim pochowana z odpowiednimi honorami i w wielkim przepychu, a ludzie przez kolejne stulecia będą podziwiać jej mogiłę.

W dniu, o którym mowa, miała przyjąć u siebie grupę zachodnich dam, głównie Amerykanek, które przybywały z kurtuazyjną wizytą.

W owym czasie tego rodzaju spotkania były już na porządku dziennym. Myślę, że rozmawiała z tymi kobietami z kilku powodów. Najwyraźniej uznała, że skoro nie może pozbyć się cudzoziemskich barbarzyńców, najlepiej będzie się z nimi zaprzyjaźnić – a nadal potrafiła być bardzo czarująca, o ile tylko miała na to ochotę. Cudzoziemki uwielbiały te wizyty, a one same zdawały się bawić Cixi, choć trudno powiedzieć, czy jej rozbawienie było autentyczne.

Jestem jednak pewien, że kierowała nią również ciekawość, wychodziła bowiem z założenia, że jeśli tylko może dowiedzieć się o zachodnich obyczajach czegoś, co mogłoby być przydatne dla Chin, powinna to uczynić.

Tego dnia spotkanie przebiegało tak jak zwykle. Zachodnie kobiety chciały rozmawiać o krępowaniu stóp, na co Cixi wyjaśniła:

– Jako Mandżurka, tak jak wy nie popieram tego zwyczaju. W istocie zamierzam poczynić pewne kroki, aby położyć kres podobnym praktykom. – Jej odpowiedź bardzo im się spodobała. Kilka kobiet – jak przypuszczam, za namową swoich mężów – zaczęło się rozwodzić nad zaletami wielkich linii kolejowych, które zachodnie mocarstwa mogłyby wybudować w Chinach, gdyby tylko Cixi wyraziła na to zgodę. Na osobności cesarzowa zawsze mi powtarzała, jak bardzo nienawidzi pociągów; w towarzystwie gości uśmiechała się jednak i odpowiadała, że w przyszłości w Chinach powstanie niewątpliwie znacznie więcej linii kolejowych. Nawiasem mówiąc, jechałem z nią raz pociągiem i odniosłem wrażenie, że chyba jej się to podobało.

Lecz tego dnia chciała przede wszystkim rozmawiać o zachodnim systemie władzy.

– Czy to prawda – zagadnęła Amerykanki – że w waszym kraju ludzie wybierają zgromadzenia, które ich reprezentują, a także prezydenta, który rządzi krajem, lecz tylko przez kilka lat?

– W rzeczy samej – przytaknęła jedna.

– Wyboru dokonują wszyscy mężczyźni?

– Większość z nich, ale nie wszyscy.

– A kobiety? Też mogą brać w tym udział?

– Jeszcze nie.

– Czy fakt, że musicie tak często powtarzać tę procedurę, nie zakłóca porządku publicznego?

– Być może. Zarazem jeśli nie podoba nam się jakiś rząd, możemy go szybko zmienić.

– Być może Wasza Wysokość uzna nasz system za lepszy – wtrąciła młoda Angielka. – Mamy monarchę, który rządzi zgodnie z radami parlamentu. Uważamy, że dzięki temu nasz rząd włada mądrzej i jest bardziej stabilny.

– Przeżyłam waszą królową już o kilka lat – zauważyła Cixi z pewną satysfakcją. Po chwili zmarszczyła brwi. – Pewien człowiek, zwany Sun Yat-sen, został w Hongkongu częściowo wykształcony przez was, Brytyjczyków. Przygotował pełen rozmachu plan, przewidujący powołanie takiego wybieralnego zgromadzenia dla Chin. Pragnął rewolucji, więc w końcu musiał opuścić kraj, ale w naszych południowych prowincjach wciąż mieszka wielu ludzi podzielających jego tak zwane postępowe poglądy. Sprawiają nam duże kłopoty.

– Uważamy, że nasza monarchia konstytucyjna jest stabilna i pełna poszanowania dla tradycji – odparła angielska dama.

Cesarzowa nie odpowiedziała, ale zauważyłem, że nad czymś się zastanawia.

– Muszę paniom przypomnieć – powiedziała cicho – że Brytyjczycy nie zawsze szanowali nasze tradycje. Wie pani, że właśnie w tej chwili wojska brytyjskie wkraczają do Tybetu?

– Nie wiedziałam – przyznała owa dama z widocznym skrępowaniem.

– Tak przypuszczałam. Jednak to prawda. – Cixi zacisnęła wargi. – W ostatnich latach miałam szczęście korzystać z doświadczenia doskonałego generała, który nie tylko potrafił utrzymać porządek w tym ogromnym kraju, ale także w razie potrzeby bronić naszych terenów przygranicznych. Mówię o generale Yuanie.

– Poznałyśmy go – odrzekło kilka z pań.

– To zaiste wspaniały żołnierz – dodała jedna.

– Przedstawiciel starej szkoły! – zawołała inna.

– Wasza Wysokość doprawdy ma szczęście – powiedziała trzecia.

– Cieszę się, że się ze mną zgadzacie – odparła moja pani.

Po wyjściu Amerykanek cesarzowa zwróciła się do mnie:

– A co ty sądzisz o generale Yuanie, Lakowany Paznokciu?

Zastanawiałem się chwilę nad odpowiedzią. Wiedziałem, że mogę pozwolić sobie na szczerość, a ona nie będzie miała mi tego za złe; bądź co bądź darzyła mnie zaufaniem.

– To stary watażka, który szuka tylko własnych korzyści, o pani.

– Naturalnie. Ale potrzebujemy go. A jak oceniasz naszych gości?

– Wydają się uważać, że ich systemy sprawowania władzy są lepsze od naszych – odpowiedziałem. – Oczywiście my zawsze uważaliśmy, że nasz rodzaj rządów przewyższa te barbarzyńskie.

– Istotnie – przyznała. – Powiem ci coś, Lakowany Paznokciu. Pamiętasz, jak cudzoziemskie wojska przybyły na odsiecz legacji, a ja musiałam w pośpiechu opuścić stolicę?

– Jak mógłbym zapomnieć?

– Panował wtedy taki chaos! Cieszyłam się, że byłeś przy mnie. Wędrowaliśmy od miasta do miasta, od prowincji do prowincji, aż nabrałam pewności, że można już bezpiecznie wrócić do Pekinu. Mówiło się, że przeprowadzam inspekcję; odkryłam wówczas, kim są moi prawdziwi przyjaciele – prefekci i gubernatorzy, którzy nas przyjmowali – a także zjechałam więk-

szy szmat kraju niż w poprzednich latach. Miałam okazję rozmawiać z różnymi ludźmi, mandarynami i uczonymi, którzy nie mieli pojęcia, czy jeszcze kiedyś wrócę do władzy, a mimo to mówili, co im leżało na sercu. Wiele się dzięki temu dowiedziałam o swoim kraju i jego historii. – Umilkła na chwilę. – Chiny muszą się zmienić, Lakowany Paznokciu. Teraz to wiem. Dlatego tak lubię słuchać tych zachodnich kobiet, bo tym sposobem mogę się dowiedzieć jeszcze więcej.

– Wiecie już, o pani, jak powinno się zmienić Królestwo Niebios?

– Niezupełnie. Jeszcze nie. Ale uświadomiłam sobie coś innego: na wszystko przychodzi czas. Pamiętasz, jak obecny cesarz próbował wywrócić porządek cesarstwa do góry nogami?

– Zawsze podejrzewałem, o pani, że to były pomysły jego wychowawców.

– Założenie uniwersytetu było dobrą decyzją, ale te jego reformy… Nikt – ani mandaryni, ani szlachetnie urodzeni – nie był na nie gotowy. Zabrakło mu poparcia. Dlatego musiałam tu wrócić i go uwięzić.

– Zrobiłaś, co było konieczne, o pani.

– Widzisz jednak, Lakowany Paznokciu, to samo dotyczy Sun Yat-sena i jego postępowych przyjaciół. Wydaje im się, że coś sprawdzi się w praktyce tylko dlatego, że jest dobrym pomysłem, a to nieprawda. W obu przypadkach próbowano wprowadzać zmiany zbyt nagle i zbyt szybko. Grunt to wyczucie czasu. W tym tkwi sedno sprawy. – Uśmiechnęła się smutno. – A wiesz, o czym jeszcze trzeba pamiętać?

– Nie, moja pani.

– Nigdy nie ma dość czasu, żeby zrobić to, co sobie zaplanowaliśmy.

Cixi mogła nie być do końca przekonana, jakich zmian wymaga nasze cesarstwo, lecz w owych latach sporo się w Chinach działo.

Opracowano plany wyborów do Zgromadzenia Narodowego i w końcu zniesiono stare konfucjańskie egzaminy dla mandarynów, a w zamian wprowadzono nowy program nauczania, obejmujący przedmioty ścisłe i naukę języków obcych. Zniesiono też tortury – wyobrażacie to sobie? Jeszcze kilka lat wcześniej propozycje podobnych reform można było przypłacić życiem.

Co do koncesji na budowę kolei, Brytyjczycy i Francuzi, Rosjanie, Japończycy i Niemcy w krótkim czasie zaczęli tworzyć połączenia kole-

jowe odpowiadające swoim potrzebom.

Nadal służyłem cesarzowej, jak zwykle pilnie wypełniając swoje obowiązki. Zachęcała mnie, abym co jakiś czas odwiedzał młodego cesarza. Mimo że miał własnych eunuchów, gotowych służyć mu na każde zawołanie, czuł się dość samotny w swoim pawilonie i zawsze zdawał się cieszyć go mój widok. Znał moją historię i wiedział, że jestem trochę inny niż pozostałe osoby z pałacu. Myślę też, że miał do mnie zaufanie.

Po każdej takiej wizycie Cixi pytała mnie: „Co o nim myślisz? Czy wszystko u niego w porządku?". Oczywiście sama także go widywała, ale chciała wiedzieć, jak odbierają go inni ludzie.

Myślę, że na swój sposób troszczyła się o niego.

Prawda była taka, że czasami nie wiedziałem, co mam jej odpowiedzieć. I nie chodziło tylko o stan fizyczny młodego cesarza, choć najwyraźniej cierpiał na wiele dolegliwości. Mam raczej na myśli stan jego umysłu. Ze swoją długą, bladą, obrzmiałą twarzą zawsze wyglądał na pogrążonego w smutku, a w niektóre dni miewał wahania nastroju. Jednak raz czy dwa razy zdarzyło mi się zastać go siedzącego samotnie i z przejęciem majstrującego przy zegarze, zupełnie jakby był małym dzieckiem. Niektórzy uważali, że brakuje mu piątej klepki, jednak z czasem doszedłem do wniosku, że mógł to robić celowo – zachowywać się jak półgłówek, żeby wszyscy mieli go za nieszkodliwego. Jeśli tak było, powinien był przez cały czas konsekwentnie udawać.

W ten sposób upłynęło prawie pięć lat. Mogłem oczywiście już dawno przejść w stan spoczynku: przed wielu laty nabyłem piękny dom pana Chena, dorobiłem się sporego majątku i naturalnie odkupiłem swoje narządy. Przez większość czasu wiodłem drugie życie jako zamożny kupiec, nie potrafiłem jednak opuścić cesarzowej. Co tydzień na dzień lub dwa stawałam się ponownie Lakowanym Paznokciem i jej usługiwałem. Czasami wyjeżdżaliśmy do Pałacu Letniego, ale najczęściej przebywaliśmy w Zakazanym Mieście. Nadal – choć coraz rzadziej – organizowano tam przedstawienia teatralne i inne rozrywki dla Cixi. Tym, co szczególnie lubiła, było pozowanie do fotografii; chyba przekonały ją do tego te zachodnie kobiety, które bardzo chciały się z nią fotografować. Aż do końca niezwykle dbała o swój wygląd, a jeśli istniała możliwość, że zostanie sfotografowana, jeszcze bardziej zależało jej na tym, żeby się dobrze prezentować.

Choć w tamtych latach często ze sobą rozmawialiśmy, zwykle nikomu nie zdradzała swoich potajemnych planów. Ukrywała je nawet przede mną – z jednym wyjątkiem: pewnego razu powiedziała coś, do czego w kolejnych latach wielokrotnie wracałem myślami.

– Pamiętasz, Lakowany Paznokciu – zwróciła się do mnie wówczas – jak wspominałam ci o potrzebie zmian i o tym, że muszą one nadejść w stosownym momencie?

– Tak, moja pani – odparłem.

– Historia naszego kraju jest taka długa, że studiując ją, odkrywamy, iż w zasadzie wszystko już było. Coś może wydawać się nowe, lecz wcale takie nie jest! Dlatego zwykle można dość ogólnie przewidzieć, co ma nastąpić.

Nie ulegało wątpliwości, że zależało jej, abym dobrze zapamiętał jej słowa, ale co planowała na przyszłość ani czy w ogóle miała to szczegółowo obmyślone – tego nie wiedziałem.

W tym samym czasie zaczęły się nad nami zbierać ciemne chmury. Japonia i Rosja zaczęły ze sobą wojować; Japończycy pokonali Rosjan, zajęli większość zagarniętych przez nich ziem mandżurskich, a następnie przejęli kontrolę nad Półwyspem Koreańskim. Cesarz coraz bardziej niedomagał, podobnie jak Cixi, która przeszła lekki udar i której twarz opadała teraz nieco z jednej strony. Jednak jej umysł, na ile mogłem to ocenić, nadal był ostry jak brzytwa. Ja zaś stale zadawałem sobie pytanie, jaka przyszłość czeka cesarstwo chińskie.

Wiedziałem, że cesarzowa Cixi jest gotowa na śmierć, zanim ona sama to pojęła. Od pewnego czasu nie czuła się już dobrze, ale jej organizm potrafił znakomicie się regenerować. Przede wszystkim zaś miała silną wolę życia i dopiero gdy ta zaczęła w niej słabnąć, wiedziałem, że niewiele czasu jej pozostało.

Zaczęło się pewnego ranka, kiedy jak zwykle pielęgnowałem jej paznokcie. Cixi wydawała się przygnębiona. Gdyby w komnacie poza nami był ktoś jeszcze, nie odezwałbym się ani słowem, nigdy bowiem nie należy mówić głośno o słabościach władcy, byliśmy jednak sami.

– Wyglądacie dziś na zasmuconą, Wasza Wysokość – zauważyłem.

– Jestem smutna, Lakowany Paznokciu – odpowiedziała. – Czuję się bardzo rozczarowana swoim życiem.

– Historia nie zna wielu kobiet, których kariera na dworze byłaby równie imponująca – powiedziałem.

– Być może – przyznała – a jednak poniosłam porażkę. Z początku sądziłam, że osiągnęłam olbrzymi sukces, bo dałam cesarzowi syna. Cóż lepszego może uczynić kobieta dla Królestwa Niebios albo dla własnej rodziny? Musiałam walczyć o dziecko i nieomal przypłaciłam to życiem, ale ostatecznie mój syn został cesarzem. – Westchnęła. – I po co? Nie nadawał się do rządzenia, a ja winiłam za to siebie.

– To nie była wasza wina, o pani – zaprotestowałem. – Jego ojciec nieszczególnie mu pomógł.

– Wszyscy mężczyźni w moim życiu okazywali się słabi, miałam jednak nadzieję, że moja krew zwycięży…

– Płynie w was krew prawdziwej wojowniczki, o pani.

– Czyżby? Tak mi się wydawało. Dlatego, choć byli inni kandydaci, wybrałam na następcę syna księcia Chuna, ponieważ jego matką była moja siostra. Wydawał się najbardziej obiecujący, ale co zrobił, kiedy w końcu doszedł do władzy? Próbował z dnia na dzień przekreślić cztery tysiące lat naszej historii! Okazał się zwykłym głupcem.

– Grunt to wyczucie czasu – przyznałem.

– Otóż to, Lakowany Paznokciu! – wykrzyknęła. – Nawet ty, zwykły eunuch, lepiej byś się spisał!

Owszem, przytaknąłem w duchu, ale to dlatego, że w życiu musiałem o wszystko walczyć, podobnie jak ty. Dzięki temu człowiek wiele się uczy. Oczywiście nie powiedziałem tego na głos.

Po ostatnich słowach cesarzowej zapadło dłuższe milczenie, a ja nadawałem ostatnie szlify jej paznokciom.

– Jestem zmęczona, Lakowany Paznokciu – odezwała się w końcu. – Wiem, że świat musi się zmieniać, ale ja nie chcę żyć w takim świecie. Nie chcę żyć w świecie z pociągami i zgromadzeniami ludowymi.

– Wasze ciało i umysł są silne – przekonywałem ją.

– Mandat Niebios wkrótce zostanie cofnięty – dodała cicho.

Przyznaję, że to mną wstrząsnęło. Ściśle rzecz ujmując, zamarłem. Trzymałem akurat jej rękę w swojej i nie śmiałem wykonać najlżejszego ruchu, na wypadek gdyby miało to zostać zinterpretowane jako reakcja z mojej strony.

Co przez to rozumiała? Że dynastia chyli się ku upadkowi? A może że jej własne życie właśnie dobiega końca? Sądziłem, że miała na myśli siebie,

lecz kiedy znów się odezwała, nie byłem już tego taki pewien.

– Co się stanie po mojej śmierci, Lakowany Paznokciu?

– Władzę obejmie cesarz, jak sądzę – ośmieliłem się wyjąkać.

Nic na to nie odrzekła – ani słowa.

Wstałem i zacząłem się zbierać do wyjścia.

– Generał Yuan jest przekonany, że cesarz rozkaże go zgładzić – oznajmiła nagle.

– Och. Nigdy nie słyszałem, aby cesarz cokolwiek o tym wspominał – stwierdziłem.

– Cesarz może nie przepadać za generałem Yuanem – kontynuowała ze spokojem Cixi – ale nie o to chodzi. To zdecydowanie najlepszy generał, jakiego obecnie mamy, a nasza armia jest wobec niego lojalna.

Tu miała rację: zabicie Yuana byłoby zwykłą głupotą. Nie miałem wątpliwości, co cesarzowa chce teraz ode mnie usłyszeć.

– Może mógłbym złożyć wizytę cesarzowi i sprawdzić, jak się miewa – powiedziałem.

– Dobry pomysł, Lakowany Paznokciu – odparła. – Ostatnimi czasy niepokoi mnie stan jego zdrowia.

Znalazłszy się w przedsionku, ujrzałem tam nie kogo innego jak generała Yuana we własnej osobie, czekającego na audiencję u Cixi.

Był to szorstki, niewysoki człowiek, okrągły jak beczka, o bujnych siwych wąsach przypominających rogi wołu. Swoją osobą budził respekt, a nawet strach, lecz wobec mnie był zawsze bardzo przyjazny.

Ukłoniłem mu się nisko.

– Dokąd to się wybierasz, Lakowany Paznokciu? – zapytał.

– Pomyślałem, że odwiedzę naszego cesarza, o panie – odrzekłem.

– Wiesz, że zamierza mnie zabić? – rzucił.

– Nigdy nie słyszałem, aby o tym wspominał.

– No cóż, może uda ci się go przekonać, żeby tego nie robił – zasugerował wesoło generał.

Potem się rozstaliśmy.

Kilka godzin później ruszyłem korytarzem do pawilonu cesarza i przeszedłem przez wiodący doń wąski mostek, pilnie strzeżony, aby cesarz nie wydostał się ze swego więzienia. Strażnicy przepuścili mnie bez słowa.

Zastałem cesarza leżącego na otomanie. Choć liczył sobie zaledwie trzydzieści lat, wyglądał na schorowanego starca. Włosy miał przerzedzone, a twarz lekko siną; w dodatku zauważyłem na jego paznokciach charakterystyczne poprzeczne białe paski i domyśliłem się, że to skutek arszeniku.

– Przyszedłem zapytać, czy Waszej Wysokości nie brakuje towarzystwa – odezwałem się łagodnie.

– Nieszczególnie – odrzekł, po czym usiadł. – Czy coś wydarzyło się w pałacu, Lakowany Paznokciu?

– Nie powiedziałbym – odparłem. – Wcześniej widziałem się z cesarzową wdową. Pielęgnowałem jej paznokcie. Wydała mi się zmęczona.

– Czy źle się czuje?

– Ma tak silną wolę życia, że bardzo trudno to stwierdzić, jednak z pewnością nie młodnieje. Chyba niepokoi ją wasze zdrowie.

– Przysłała cię, żebyś mnie szpiegował?

– Skądże. – Uśmiechnąłem się. – Od tego ma połowę eunuchów w pałacu. Zresztą Wasza Cesarska Mość sam wie to najlepiej.

Roześmiał się na te słowa.

– Nie sprzątają moich pokoi tak skrupulatnie, jak powinni – poskarżył się, marszcząc brwi.

– Mogę jej to powtórzyć – zaproponowałem. – Każe ich wychłostać.

– Dobrze. Zrób tak. – Cesarz ściszył głos. – Jak oceniasz mój stan?

– Nie wyglądacie dobrze, mój panie – przyznałem. – Jakbyście źle się odżywiali albo nie mieli dość ruchu, o ile mogę sobie pozwolić na szczerość.

– Chyba ktoś próbuje mnie otruć. Myślisz, że mam rację?

– Nie wiem, dlaczego ktoś miałby pragnąć waszej śmierci – odpowiedziałem gładko. – Zawsze wydawało mi się, że Wasza Cesarska Mość jest niezbędny na dworze. Przecież każdą decyzję wydaje się w waszym imieniu.

– Istotnie, tak właśnie jest. – Ta myśl najwyraźniej poprawiła mu humor. – Powiedz mi, co jeszcze słychać u Cixi.

– Narzeka na koleje – odparłem – choć dobrze wiem, że podróżowała już pociągiem.

– Co nowego? – Cesarz zaśmiał się z cicha. – Widziałeś dziś kogoś jeszcze?

– Tak – przyznałem. – Kiedy od niej wychodziłem, generał Yuan akurat czekał na audiencję.

– Mówił coś?

– Tylko tyle, że jego zdaniem zamierzacie go zgładzić, panie.

– Hmm… – Cesarz zacisnął wargi, jakby nad czymś rozmyślał. – W zasadzie się nie myli – rzekł. – Jest zbyt pewny siebie. Wydałem odpowiednie instrukcje, na wypadek gdyby Cixi umarła, a ja byłbym niezdolny do sprawowania władzy. W takiej sytuacji generał ma zostać ścięty. – Z zadowoleniem skinął głową.

Wtedy to do mnie dotarło: Cixi miała rację; skoro cesarz był na tyle nierozważny, aby chcieć śmierci Yuana, nie powinien rządzić tym krajem. Co gorsza, był na tyle głupi, żeby mi o tym powiedzieć, nie było więc żadnej szansy, że kiedykolwiek się zmieni.

– Zagramy w warcaby? – zaproponowałem i przez kolejną godzinę zabawialiśmy się w ten sposób.

W końcu cesarz oznajmił:

– Jestem już zmęczony. Przyjdziesz niedługo, żeby znów mnie odwiedzić?

– Co tylko Wasza Cesarska Mość rozkaże – odparłem. – Czasami – dodałem ciszej – wypalam fajkę opiumową dla uspokojenia skołatanych nerwów. Jeśli Wasza Cesarska Mość zechce, następnym razem przyniosę fajki dla nas obu.

– A mógłbyś?

– Och, myślę, że tak.

Cixi dała mi znać, abym nazajutrz stawił się przed nią. Wyraźnie jej się pogarszało, lecz umysł wciąż pracował bez zarzutu.

– Wiesz, Lakowany Paznokciu – odezwała się – że należy poczynić pewne ustalenia dotyczące sukcesji, na wypadek gdyby po mojej śmierci cesarz nie był w stanie wywiązać się ze swych obowiązków.

– Zapewne. – Nic więcej nie dodałem.

– Ojciec naszego cesarza, książę Chun, ma jeszcze jednego syna, z innej matki.

– Istotnie – przyznałem. – Młodego księcia Chuna.

– Młody książę Chun jest z tego samego pokolenia co cesarz – mówiła dalej Cixi – więc nie powinien być jego następcą.

Dokładnie tę samą zasadę złamałaś ostatnim razem, sadzając na tronie syna swojej siostry, pomyślałem, lecz głośno powiedziałem tylko:

– To bardzo skomplikowane sprawy.

– Tak się jednak składa, że młody książę Chun ma syna z kobietą, którą osobiście dla niego wybrałam.

I której serdecznie nienawidzi, miałem ochotę dodać.

– Macie, pani, na myśli chłopca, którego zwą Puyi? – zapytałem.

– Puyi mógłby zostać następcą tronu, a jego ojciec – regentem.

Zdumiony wpatrywałem się w cesarzową: to dziecko nie skończyło jeszcze trzech lat! Cóż to był za pomysł?

Po czym nagle to do mnie dotarło: obaj cesarze, którzy rządzili za życia Cixi, okazali się do niczego: pierwszy porzucił stolicę i czmychnął na północ, drugi nieomal nie doprowadził naszej administracji do upadku. Jedyną znaną jej formą rządów, jaka od pięćdziesięciu lat się sprawdzała – lepiej lub gorzej, ale jednak – była regencja. Być może cesarzowa wdowa uznała, że to stanowi naturalną kolej rzeczy. Z Puyi na tronie kraj miał zagwarantowanych kolejnych kilkanaście lat regencji.

Tylko co potem? Może wreszcie nastanie jakiś mądry cesarz; ostatecznie w przeszłości bywali już tacy.

Zaraz jednak przypomniałem sobie, co mówiła o zmianach i stosownym dla nich czasie. Zaledwie kilka tygodni wcześniej zapadły ostateczne ustalenia dotyczące zgromadzenia, o którym debatowano. Miało zacząć funkcjonować po upływie jedenastu lat, czyli dokładnie wtedy, gdy mały Puyi osiągnie pełnoletność. No tak; takie rozwiązanie miałoby sens: krajem rządziłoby nowo wybrane Zgromadzenie Narodowe, a Puyi, według wszelkiego prawdopodobieństwa, stałby się monarchą konstytucyjnym. Nie dam głowy, że taki miała plan, ale jeśli tak, mógł się okazać całkiem trafiony.

Coś w każdym razie planowała – stopniową transformację. Przypuszczałem, że lud mógłby ją w tym poprzeć. Sam zawsze wierzyłem w konfucjański ideał moralnych rządów sprawowanych przez dobrego cesarza, ale obserwując od pół wieku kolejnych cesarzy, musiałem zadać sobie pytanie, gdzie takiego znaleźć. Sam nigdy go nie widziałem.

Dobrze znałem Cixi, jestem więc niemal pewien jeszcze jednej rzeczy: podejrzewała, że dynastia jest skazana na upadek, i pragnęła, aby umarła wraz z nią.

Pomyślcie tylko: rządziła Chinami od pół wieku, broniąc starego porządku, odważniejsza, bardziej śmiała i przebiegła niż jakikolwiek mężczyzna. A teraz otwierała kraj na nową rzeczywistość – po niej nie będzie już żadnego cesarza; miała być ostatnią na tronie, może nawet bohaterką

narodową. Okazała się z pewnością najbardziej niezwykłą z kobiet, jakie w swoim życiu znałem, istną zagadką. Ktoś powie, że podobnie jak wielu władców przed nią wybudowała sobie imponujący grobowiec; wszystko to prawda, ale jeśli chcesz fascynować przyszłe pokolenia historyków, musisz pozostać zagadką.

Ależ ja ją podziwiałem! Jej plan był misternym dziełem sztuki, doskonałym w swojej symetrii.

Mimo to jej dalsze słowa mnie zaskoczyły.

– A zatem, Lakowany Paznokciu, co twoim zdaniem powinnam teraz uczynić?

– Hm?

– Z cesarzem.

– Pytacie o to mnie, pani? Waszego pokornego sługę?

– Znam cię od pięćdziesięciu lat, Lakowany Paznokciu. Jesteś inteligentny. Mam do ciebie zaufanie. Poza tym jesteś bezstronny, a w tej sprawie nie masz nic do stracenia ani do zyskania. Jeśli mam być szczera, sama nie wiem, jak powinnam postąpić. Jestem już taka stara i zmęczona. Wierzę jednak, że zrobiłbyś, co należy.

Myślałem bardzo intensywnie, nie odrywając od niej wzroku.

– Wiecie, o pani, że jestem wobec was lojalny – odrzekłem w końcu. – Zawsze tak było. Uważam, że lepiej niż ktokolwiek inny rozumiecie tajniki władzy.

Słuchała mnie bardzo uważnie.

– No i?

– Jesteście pewna, o pani, że chcecie znać moje zdanie? Osobiście uważam – ciągnąłem – że, o ile dobrze pojmuję wasze intencje, w tej sprawie nic więcej nie powinno już zostać powiedziane.

Spojrzała mi w oczy i powoli skinęła głową, a ja wiedziałem, że właśnie złożyła los Królestwa Niebios w moje ręce. Wyobrażacie to sobie? W moje ręce!

– Jestem teraz zmęczona – stwierdziła. – A ty masz co robić. Przyjdź rano, żeby wypielęgnować mi paznokcie.

Wczesnym wieczorem wybrałem się na spotkanie z cesarzem. Zarówno w korytarzu, jak i na wąskim mostku paliły się lampy, których światło odbijało się w pokrytym lodem stawie.

Cesarz był w bardzo kiepskim stanie.

– Od rana boli mnie brzuch – poskarżył się. – Jestem okropnie zmęczony, ale ból nie pozwala mi zmrużyć oka.

– Czy mogę przygotować fajkę dla Waszej Cesarskiej Mości? – zapytałem. – Przyniosłem trochę opium. Złagodzi ból.

– Dobrze – zgodził się.

– Czy również mogę zapalić?

Przytaknął, ja zaś przygotowałem dwie fajki opiumowe. Przez jakiś czas paliliśmy, po czym zapytałem cesarza, czy ból nieco zelżał, on zaś odrzekł:

– Tak, ale brzuch nadal mi dokucza.

– Sądzę – powiedziałem – że Wasza Cesarska Mość poczułby się lepiej po wypiciu odrobiny herbaty. Ma dobroczynny wpływ na jelita. Czy Wasza Cesarska Mość pozwoli mi nalać trochę także dla siebie? – odważyłem się zapytać.

Gestem dał mi znak, abym napełnił czarki. Był bardzo senny i podając mu napar, musiałem podtrzymywać go jedną ręką. Dopiero potem sam się napiłem.

– Wypijcie wszystko do dna, panie – powiedziałem i cesarz posłusznie opróżnił czarkę.

Była dość duża, aby pomieścić dawkę arszeniku, która powaliłaby dwa konie.

Ludzie mówią, że cesarzowa Cixi osobiście poszła do cesarza, gdy ten był już na łożu śmierci, i przyglądała się, jak umiera, ale to nieprawda. To ja przy nim byłem. Tylko ja i nikt poza mną. To ja odebrałem życie ostatniemu panującemu cesarzowi Chin.

Dwie godziny później, kiedy już usunąłem wszelkie ślady trucizny, znów przekroczyłem mostek, szepnąwszy pełniącemu służbę eunuchowi, że cesarz śpi, lecz nie wygląda zbyt dobrze.

– Przez cały dzień słabuje – przyznał.

Kiedy nazajutrz stawiłem się u Cixi, była już na nogach, zaabsorbowana organizowaniem sukcesji po cesarzu, który zmarł minionej nocy. Posłano już nawet po małego Puyi.

Byłem u niej, gdy ojciec dziecka zjawił się, aby zaprezentować je Cixi. Cesarzowa akurat odpoczywała, a brzdąc narobił strasznego wrzasku, więc chyba nikt nie był zadowolony z tej wizyty.

Kwestia sukcesji została w każdym razie ustalona: Puyi miał być cesarzem-dzieckiem, jego ojciec zaś – regentem.

Zanim się oddaliłem, Cixi poprosiła mnie na stronę.

– Czy jest coś, czego potrzebujesz, Lakowany Paznokciu?

Była taka bogata! Dałaby mi wszystko, o co tylko bym poprosił. W owym czasie byłem już jednak dobrze sytuowanym człowiekiem i ucieszyłem się, że nie muszę korzystać z jej hojności. Jestem zresztą pewien, że ją także ucieszyła moja odmowa.

Przyszedł mi jednak do głowy genialny pomysł.

– Wasza Wysokość – odparłem – chciałbym mieć w swoim domu kilka książek. Dodałyby mi splendoru, a w pałacu jest ich tak wiele. Czy mógłbym wziąć sobie tuzin albo dwa?

– Cóż za niezwykła prośba! Ciągle mnie zaskakujesz, Lakowany Paznokciu. Weź, co chcesz, tylko pokaż mi je, zanim wyjdziesz.

Poszedłem więc do prywatnej biblioteki, wybrałem tuzin książek, które uznałem za wartościowe, i przyniosłem je do niej. Była już bardzo zmęczona i z pewnością wyczerpana wydarzeniami mijającego dnia, więc ledwie rzuciła na nie okiem. Zdobyła się jednak na uśmiech.

– Raczej już się nie spotkamy, Lakowany Paznokciu – oznajmiła.

– Proszę tak nie mówić, Wasza Wysokość – wyszeptałem.

– W niczym nie przypominasz pozostałych eunuchów – mówiła dalej – a to dlatego, że byłeś kiedyś mężczyzną. Często odnosiłam wrażenie, że coś do mnie czujesz.

Skłoniłem głowę.

– Tak było, o pani – przyznałem cicho. Byłem bardzo poruszony.

– Masz, zatrzymaj to na pamiątkę po mnie. – Ściągnęła jedną z pięknych, wysadzanych klejnotami osłon na paznokcie, które nosiła, i dała mi ją.

Mam ją po dziś dzień.

Jeszcze tego samego wieczoru położyła się w odpowiedniej pozycji, z twarzą zwróconą na południe, i umarła. Dokonała tego samą siłą woli.

Historia nie zna drugiej kobiety, która byłaby do niej podobna.

Był to także ostatni dzień mojej służby w pałacu – z honorem przeszedłem w stan spoczynku. Na dobre przestałem być eunuchem znanym jako Lakowany Paznokieć i od tej pory żyłem wyłącznie swoim drugim życiem, jako bogaty kupiec z pięknym domem, w otoczeniu dzieci i wnuków.

Zanim jednak opuściłem Zakazane Miasto, poszedłem ku zachodniej bramie i skręciłem w nawiedzoną uliczkę. Od bardzo dawna tam nie zaglądałem, lecz przez lata od czasu do czasu potajemnie zasilałem ukryty pod kamieniem skarbczyk, nic z niego nie ujmując. Wiedziałem, że kiedyś mogę go potrzebować.

– Dobry wieczór, o pani – powitałem ducha, na wypadek gdyby był gdzieś w pobliżu, po czym uniosłem kamień i wydobyłem spod niego woreczek ze srebrem. Zanim odłożyłem kamień na miejsce, umieściłem pod nim pojedynczą monetę. – Dziękuję ci za to, że strzegłaś mojego majątku, czcigodna pani – dodałem. – Zostawiam ci tę monetę na wypadek, gdybyś kiedykolwiek miała jej potrzebować.

Potem odszedłem. Myślę, że zjawa była zadowolona z daru; w przeciwnym razie z pewnością dałaby mi to do zrozumienia.

* * *

W kolejnych latach ustalenia dotyczące sukcesji poczynione przed śmiercią przez Cixi nie zostały zrealizowane. W czasie, który dziś nazywamy rewolucją, młodziutki cesarz stracił swój tron, a doktor Sun Yat-sen został wybrany na prezydenta. Ale jego władza również nie trwała długo: wkrótce przejął ją generał Yuan, który próbował założyć nową dynastię. Nikt poza nim jednak tego nie chciał i po niedługim czasie republika rozpadła się na wiele mniejszych terytoriów, zarządzanych przez lokalnych watażków.

Przypomniałem sobie wtedy, co usłyszałem kiedyś od Cixi na temat historii: „Wszystko już było”. Historia naszego kraju jest taka długa, że choć okoliczności się zmieniają, schemat w gruncie rzeczy pozostaje zawsze ten sam: dynastia stopniowo się degeneruje, do kraju wkraczają cudzoziemcy, lud się buntuje, Mandat Niebios zostaje wycofany, dynastia upada i następuje okres zamętu oraz walk wewnętrznych. W końcu nowa, zwykle rodzima, dynastia przywraca porządek i dawne cesarstwo znów odradza się na kilka kolejnych stuleci.

Wątpię, aby Cixi była zadowolona z takiego obrotu spraw, ale raczej nic by jej nie zaskoczyło.

* * *

Pozostała mi do załatwienia jeszcze jedna osobista sprawa; dlatego właśnie potrzebowałem tych książek z pałacu cesarskiego.

Na krótko przed powstaniem bokserów poznałem nieco dziwnego Anglika, który studiował język chiński i dałby wszystko za nasze książki, zwłaszcza jeśli były rzadkie i wartościowe. Ja zaś potrzebowałem jego pomocy. Człowiek ów nazywał się Edmund Backhouse.

Kiedy zaprosiłem go do siebie i pokazałem zabrane z pałacu książki, ogromnie się uradował.

– Bardzo chciałbym je mieć w swoich zbiorach – rzekł. – Ile pan za nie chce?

– Nie zależy mi na pieniądzach – odparłem – tylko na przysłudze. – Po czym wyłożyłem mu swój plan. – Sądzi pan, że to mogłoby się powieść? – zapytałem.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać – rzekł. Chyba rozbawiło go wyzwanie, jakie mu postawiłem. – Gdzie znajdę tego człowieka?

Świątynia Pomyślności była starym klasztorem, jeszcze z czasów dynastii Ming, położonym tuż za murami Zakazanego Miasta. Doprawdy trudno było wyobrazić sobie lepsze miejsce, w którym eunuch mógłby dożyć swoich dni: do klasztoru można było swobodnie wchodzić i równie swobodnie zeń wychodzić, a jednocześnie miało się zagwarantowaną wygodną kwaterę i opiekę mnichów. Resztę mieszkańców również stanowili byli eunuchowie, więc wszyscy czuli się dobrze w swoim towarzystwie. Jednak żeby tam się dostać, trzeba było być bardzo bogatym.

Muszę przyznać, że żyło im się tam bardzo dobrze; sam chętnie bym tam osiadł, gdybym nie miał innych możliwości.

– W Świątyni Pomyślności – wyjaśniłem Backhouse’owi. – Nic więcej nie wiem. Reszta zależy od pana. Może pan na przykład powiedzieć, że pisze historię dworu cesarskiego albo coś w tym rodzaju, i poprosić go o rozmowę.

– To dla mnie żadna nowość – przyznał.

– W takim razie powodzenia. Kiedy będzie pan miał coś dla mnie, proszę przyjść tutaj po zmroku, upewniwszy się, że nikt pana nie śledzi.

Backhouse zjawił się u mnie nocą po upływie zaledwie dziesięciu dni.

– I jak panu poszło? – zapytałem.

– Wszystko się udało – odrzekł. – Przyszedłbym wcześniej, ale okazał się taką kopalnią informacji, że odwiedziłem go aż siedem razy, zanim przyszło co do czego. Potem pożegnałem się, dając mu na odchodnym prezent w ramach podziękowań. Rozstaliśmy się jak przyjaciele. Przy odrobinie szczęścia minie trochę czasu, zanim się zorientuje, co stracił.

– Ma je pan więc?

– Oczywiście. – Postawił przede mną słój, w którym spoczywały skurczone narządy płciowe chłopca, który później stał się panem Liu.

– Potrzebowałem dłuższej chwili, żeby się zorientować, gdzie je trzyma. Ostatecznie wyszło to bardzo naturalnie: po prostu zapytałem go o jego narządy, kiedy opisywał mi procedurę, którą przeszedł jako dziecko. Słój stał na półce za posążkiem wotywnym Buddy.

– Oto pańskie książki – powiedziałem. – Może je pan od razu zabrać? Lepiej, żebyśmy przez jakiś czas się nie spotykali.

Po kilku dniach pan Liu z przerażeniem stwierdził dotkliwą stratę. Przypuszczał naturalnie, że słój musiał zabrać któryś z przebywających w klasztorze eunuchów, i zrozpaczony rozmyślał, kto mógłby mu aż tak źle życzyć. Okazało się, że miał tam sporo wrogów, co nie jest chyba niczym niezwykłym w takim miejscu jak klasztor.

Dopiero z czasem jego podejrzenia padły na Backhouse’a. Tylko dlaczego Anglik miałby mu zrobić coś takiego? To samo retoryczne pytanie zadał Backhouse policjantom, którzy go odwiedzili.

– Możecie śmiało przeszukać moje skromne mieszkanko – rzekł. – Tylko nie wiem, po co miałbym kraść jądra pana Liu, zwłaszcza że tak serdecznie i ciekawie nam się ze sobą rozmawiało. To nie miałoby sensu. – I chociaż policja skrupulatnie zbadała każde pomieszczenie, było całkiem jasne, że podziela jego pogląd.

Tymczasem ja cierpliwie czekałem. Minęły trzy miesiące. Przypuszczam, że w tym czasie pan Liu odwiedzał po kolei wszystkich, którym niegdyś groził lub których oszukał; mimo to nie posiadałem się ze zdziwienia, że tak długo zwlekał z odwiedzinami.

Pewnego popołudnia zjawił się wreszcie przed moimi drzwiami, a gdy służący mu otworzył, poprosił o rozmowę ze mną. Zadbałem o to, aby musiał przez dłuższą chwilę czekać na zewnętrznym dziedzińcu, i obserwowałem go ukryty za parawanem. Widziałem, że mój dom zrobił na nim duże wrażenie.

W końcu został wpuszczony na pokoje.

– Co pana do mnie sprowadza, panie Liu? – spytałem, udając zaskoczenie.

Muszę przyznać, że bardzo się postarzał; był zgarbiony i sponiewierany. Wyglądał na skrajnie wyczerpanego i w niczym nie przypominał dawnego pana Liu, którego zapamiętałem.

– Pomyślałem, że możesz coś wiedzieć – wyznał. Ciekawe, ilu osobom był dotąd zmuszony opowiadać o swoim upokorzeniu.

– Wieść niesie, że poniósł pan wielką stratę – odrzekłem. – Dotkliwą stratę.

– Rzeczywiście, bardzo dotkliwą. Nie muszę ci chyba mówić, o co chodzi.

– Skądże. Nie wiem tylko, jak mógłbym panu pomóc.

Popatrzył na mnie błagalnie.

– Jeżeli wiesz cokolwiek… – wyjąkał. – Chętnie zapłacę…

– Jak tylko doszły mnie słuchy o tym, co się stało – odparłem – zacząłem się zastanawiać. Albo ktoś żywi do niego urazę, pomyślałem, albo chodzi o okup. Czy ktoś zażądał od pana pieniędzy?

– Nikt. Też na to wpadłem, ale nie było żadnego żądania okupu.

– Mimo wszystko – ciągnąłem – nie znaczy to jeszcze, że złodziej, zaspokoiwszy swoje pragnienie zemsty, nie będzie skłonny zwrócić panu słoja za odpowiednią kwotę.

– Tylko gdzie szukać tego człowieka?

– W pałacu nic panu nie umykało, ale teraz wie pan bardzo niewiele. Ja zaś jestem kupcem: proszę dać mi trochę czasu, a popytam ludzi. Niczego nie obiecuję. Niech pan tu wróci za miesiąc. – Potem go odesłałem.

Wrócił po miesiącu, a jakże. Gdy tylko mi powiedziano, że czeka na ulicy, posłałem sługę z wiadomością do pewnego młodego człowieka, któremu ufałem i powierzałem różne dyskretne sprawy do załatwienia. Zanim pan Liu wszedł do środka, człowiek ów był już w drodze do Świątyni Pomyślności, gdzie pozostawił opatowi pakunek zawierający słój z narządami pana Liu i poprosił, aby przekazano go właścicielowi do rąk własnych, kiedy już wróci, po czym zniknął, zanim ktokolwiek zdążył zapytać go, kim właściwie jest.

Trzeba przyznać, że pan Liu wyglądał naprawdę źle: cały jakby zapadł się w sobie. Spojrzał na mnie ze smutkiem, a nie dostrzegając żadnych

mogących dawać otuchę sygnałów z mojej strony, całkiem się skurczył.

– Niczego się nie dowiedziałeś – stwierdził, jakby znał już odpowiedź.

– Przeciwnie – odparłem. – Jestem przekonany, że słój wkrótce zostanie panu zwrócony.

– Naprawdę? – rozpromienił się. – Tak myślisz?

– Mam taką nadzieję. Ale to będzie kosztować.

– Wymień tylko kwotę!

Pokręciłem głową.

– Nie stać pana.

To mu się nie spodobało.

– Zapewniam cię, że… – zaczął.

– Wiem, że ma pan pieniądze, panie Liu. Ale ja jestem kupcem i bogatym człowiekiem. Pański problem i jego cena nie mają dla mnie znaczenia.

– Jeśli jest coś, co mógłbym zrobić… – spróbował ponownie.

– Owszem – przytaknąłem. – Jest coś takiego. Przez wzgląd na dawne czasy. – Rozkoszowałem się tą chwilą. – Padnij na kolana, Liu, i złóż mi ceremonialny pokłon.

– Koutou?

– Na pewno pamiętasz, jak to się robi. Złóż mi pokłon koutou, tak jak cesarzowi.

– Ależ to byłoby bluźnierstwo! – wykrzyknął.

– Chcesz odzyskać swoje jądra? Tak czy nie? No, dalej!

Powoli osunął się na kolana, a gdy podniósł na mnie wzrok, w jego oczach dostrzegłem ślad spojrzenia dawnego pana Liu.

– Chcesz mnie upokorzyć – syknął.

– Nikt nas tu nie zobaczy – stwierdziłem obojętnie.

Wykonał pierwszy ukłon.

– To byłeś ty! – zawołał. – Ty! Od początku za tym stałeś! – Instynkt w dalszym ciągu go nie zawodził.

– Nieprawda – odparłem ze spokojem. – Nawet gdybym wpadł na podobny pomysł, nie wiem doprawdy, jak miałbym go zrealizować. Korzystam po prostu z okazji, którą los niespodziewanie mi zesłał. Kiedy jednak pomyślę o wszystkich krzywdach, które mi w przeszłości wyrządziłeś – ciągnąłem – to musisz przyznać, że kara, którą ci wymierzam, jest bardzo łagodna. Gdybym to ja wszystko zaplanował – dodałem na koniec – nigdy nie odzyskałbyś swoich jąder.

To mu zamknęło usta.

– A teraz pokłoń mi się jeszcze raz – rozkazałem.

POSŁOWIE

Badaczom historii Chin z pewnością nieobce jest to pytanie: co tak naprawdę działo się na dworze chińskim podczas długich lat sprawnych rządów Cixi? Całą sprawę dodatkowo zagmatwał jeden człowiek: mam tu oczywiście na myśli Edmunda Backhouse'a. Jego relacje z dworu cesarskiego i skandalizujące pamiętniki stanowią pasjonującą lekturę, a kultura popularna przez całe dziesięciolecia czerpała z nich pełnymi garściami. Nikt jednak nie wie, czy opisane w nich wydarzenia stanowią wytwór bogatej wyobraźni autora, odzwierciedlenie plotek powtarzanych na ulicach Pekinu czy też można je uznać za wiarygodne źródło historyczne.

Backhouse był niewątpliwie utalentowanym lingwistą i bibliofilem. Osobiście nie wierzę w niektóre z jego opowieści, ale jako powieściopisarz kierujący się poczuciem odpowiedzialności wobec historii, nie miałem innego wyjścia, jak wybrać czysto techniczne rozwiązanie: posłużyłem się Lakowanym Paznokciem, czyniąc z niego narratora tych fragmentów powieści, które dotyczą Zakazanego Miasta oraz Pałacu Letniego. Jest to wszakże narrator mający własny, specyficzny punkt widzenia, który może, ale nie musi być całkowicie wiarygodny. Znakomicie się bawiłem, budując tę jakże przydatną postać, i mam nadzieję, że zarówno czytelnicy, jak i badacze historii Chin uznają, że moje wysiłki się opłaciły.

A ponieważ Edmund Backhouse rzeczywiście był naocznym świadkiem oblężenia legacji, pozwoliłem sobie włączyć go w wydarzenia, w których faktycznie uczestniczył, dorzucając kilka zmyślonych interakcji z moimi fikcyjnymi bohaterami. Nie mogłem też oprzeć się pokusie i powierzyłem mu w ostatnim rozdziale pewną rolę do odegrania – bądź co bądź, pomyślałem, skoro on mógł koloryzować, to ja też mogę!

Kilka tajemnic nadal pozostaje niewyjaśnionych. Jak właściwie umarł cesarz, bratanek Cixi? Obecnie zdaje się panować powszechna zgoda co do tego, że prawdopodobnie został otruty przez pałacowych eunuchów. W powieści pozwoliłem, aby ów „zaszczyt” przypadł w udziale wymyślonemu przeze mnie Lakowanemu Paznokciowi.

Co się działo z Cixi w ostatnich latach jej życia – czy istotnie miała jakiś plan? Co chciała osiągnąć? Ostatnio, po opublikowaniu jej biografii autorstwa Jung Chang, pojawiło się w tej sprawie trochę kontrowersji. Ustami mojego narratora, Lakowanego Paznokcia, przedstawiam możliwą wersję wydarzeń – sami oceńcie, ile są warte moje przypuszczenia.

Prezentujemy kolekcję książek, których szlachetny rys przyciąga niczym szmaragdowy kamień.

Szmaragd zachęca do spojrzenia wstecz, spokojnej refleksji i zanurzenia się we wspomnieniach. Podobnie książki z naszej serii zapraszają, aby się w nie zagłębić, a losy ich bohaterów zawsze poruszają czułą strunę. Zdeterminowani przez historię, nieprzerwanie zmagają się z tym, co nieuchronne, walcząc o miłość, szczęście, a niejednokrotnie o przetrwanie. Opowieści napisane z epickim rozmachem wabią bogactwem dramatycznych wydarzeń i wielkich uczuć.

Szmaragdowa seria to dzieje rodzin w trudnych czasach. Perypetie miłosne i dramaty historii splatają się, tworząc fascynujące wielowątkowe opowieści.

Przypisy końcowe

1. Chińczycy dzielą dobę na 12 części, a każda z nich odpowiada jednemu zwierzęciu; godzina małpy przypada między 15 a 17 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). [wróć]
2. Godzina szczura przypada między 23 a 1 w nocy. [wróć]
3. Yamen – siedziba urzędników administracji cesarskiej w Chinach; pełnił również funkcję mieszkalną. [wróć]
4. Dalekowschodni odpowiednik kałamarza lub palety malarskiej; służył do rozdrabniania tuszu z wodą. [wróć]
5. Chiński instrument smyczkowy, barwą dźwięku zbliżony do ludzkiego głosu. [wróć]
6. Szarpany instrument strunowy, nazywany chińską lutnią. [wróć]
7. Pośmiertnie nadano mu imię Wénhuángdì. [wróć]
8. Nawiązanie do ostatnich wersów poematu Wydrążeni T.S. Eliota w przekładzie Antoniego Libery: „Oto jak kończy się świat / nie z hukiem, ale skomleniem”. [wróć]
9. Przekład Michał Bogusz, źródło: https://zawielkimmurem.net/2020/01/13/li-bai-nocne-rozwazania/ [wróć]
10. Pełna nazwa polska to trójskrzydlak Wilforda (Tripterygium wilfordii). [wróć]
11. Odpowiednik chrześcijańskiego Święta Zmarłych. [wróć]
12. Nawiązanie do tytułu książki św. Jana od Krzyża, inaczej: głęboki kryzys egzystencjalny. [wróć]